100/XX
Antologia polskiego reportażu XX wieku
TOM 1

pod
redakcją
Mariusza Szczygła

100/XX

Antologia polskiego reportażu xx wieku

Tom 1 1901–1965

pod redakcją Mariusza Szczygła

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2014

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Rada programowa: Hanna Krall, Elżbieta Sawicka, Małgorzata Szejnert, prof. dr hab. Kazimierz Wolny-Zmorzyński

Wybór tekstów, układ i wstępy © by Mariusz Szczygieł, 2014
Posłowie © by Kazimierz Wolny-Zmorzyński, 2014
Prawa autorskie do tekstów zamieszczonych w antologii przysługują ich autorom lub następcom prawnym.

Dołożono wszelkich starań, by odszukać wszystkich właścicieli praw autorskich tekstów wykorzystanych w książce. W przypadku ewentualnych niejasności wydawca zapewnia, że prawa wszystkich właścicieli będą respektowane.

Projekt okładki: Fajne Chłopaki
Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl

Współpraca, archiwa i materiały: Julianna Jonek
Redaktor prowadzący: Magdalena Budzińska
Redaktor techniczny: Robert Oleś / d2d.pl
Koordynacja pracy: Małgorzata Uzarowicz, Elżbieta Totoń / d2d.pl, Sandra Trela / d2d.pl
Korekta: Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl, Małgorzata Poździk / d2d.pl, Zuzanna Szatanik / d2d.pl, Alicja Listwan / d2d.pl, Sandra Trela / d2d.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

ISBN 978-83-7536-750-8

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa, tel. +48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl
Skład: d2d.pl, ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2014, Wydanie I
Ark. wyd. 45

Cena 49,90 zł

Powieść? Nie. Reportaż. Co sądzicie o reportażu? Myślę, że jest on literacką strawą przyszłości. Oczywiście tylko reportaż najwyższej klasy [...]. W przyszłości nie będzie powieści, to znaczy książek z wymyśloną akcją. Sądzę, iż przyjdzie czas, że ludzie zechcą czytać jedynie prawdę o otaczającym ich świecie.

Egon Erwin Kisch, *Powieść i reportaż*, 1929

Wiek XIX, opanowawszy analizę, goni za syntezami. Jest to wiek szczęśliwych uogólnień. Już pierwsza wojna przynosi taki nawał faktów, że ludzie rozglądają się za tymi, którzy je pomogą rejestrować. [...] Traktat wersalski stwarza dwadzieścia osiem sporów granicznych, Rosja proklamuje nowy ład, a w masach każdego kraju, zmobilizowanych przez wojnę, następują przewarstwienia – trzeba się tego wszystkiego ponauczać. Reporterzy zwijają się, znosząc pyłki wiadomości.

Melchior Wańkowicz, *Prosto od krowy*, 1965

Reporter to postawa życiowa, to charakter. [...] Wystan H. Auden zauważył kiedyś, że reporter z racji swojego zawodu jest prawdziwym demokratą: słucha głosu innych, troszczy się o ich los, traktuje skrzywdzonych i poniżonych jak równych sobie.

Ryszard Kapuściński, *Lapidarium IV*, 2000

Spis treści

Wstęp 11

1901 **Janusz Korczak** 23
Czapka z głowy, reporterze
Nędza Warszawy

1902 **Teodor Tomasz Jeż (właśc. Zygmunt Miłkowski)** 41
Fantazji literackiej cuglów nie popuszczę
Opowiadanie z wędrówki po koloniach polskich w Ameryce Północnej

1903 **Wacław Sieroszewski** 51
Obcy jest taki jak ja
Przez Syberię i Mandżurię do Japonii. Kartka z podróży

1903 **Kazimierz Laskowski** 65
Kataklizm musi być „straszliwy”
Dolinami łez

1904 **Maria Konopnicka** 75
Mało zrozumienia dla żon
Na normandzkim brzegu

1906 **I. – Anonimowy reporter „Tygodnika Ilustrowanego”** 93
Zwierciadło czasu teraźniejszego
Szkoła dla służących imienia Świętej Kingi (dawniej Świętej Zyty)

1910 **Władysław Stanisław Reymont** 99
Czuły aparat spostrzegawczy
Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki

1915 **Maria Rodziewiczówna** 131
Dokładność rzeczy naprawdę widzianych
Wrażenia i przeżycia. Lato 1915

1915 **Juliusz Kaden-Bandrowski** 151
Opiewać legiony i seks
Ordynans

1920 **Stefan Żeromski** 167
Nie zostawiać suchej nitki
Iława–Kwidzyn–Malbork

1921 **Stefan Bryła** 189
Import zdziwień
Ameryka

1923 **Tadeusz Staniewski** 195
W wolnych chwilach pytać o jedno
Dni strajku szkolnego we Wrześni

1926 **Józef Moszyński** 215
Bimber nawet z nogi
Hallo, hallo... fala 480 mtr...

1926 **Stanisław Strumph-Wojtkiewicz** 223
Modelem byłem ja sam
Warszawa w ogniu

1927 **Jan Parandowski** 247
Reporter z krainy Mitologia
Dwie wiosny

1928 **Tadeusz Dębicki** 261
Nic wspólnego z rasą narcyzów
Moienzi Nzadi, u wrót Konga

1931 **Zofia Nałkowska** 281
Zawsze tylko obrazy
Krzyk niesłyszany

1932 **Kazimiera Iłłakowiczówna** 299
We właściwym miejscu i czasie
Wspomnienie o Prezydencie Narutowiczu

1932 **Irena Krzywicka** 307
Nie byłam specjalistką
Proces o zabójstwo tancerki

1933 **Ewa Szelburg-Zarembina** 323
Reportaż skuteczny
„Myjcie owoce!"

1933 **Wanda Wasilewska** 343
Talent walczy
Jeden dzień w poradni

1934 **Zbigniew Uniłowski** 351
Szczegół doprowadzony do manii
Dzień rekruta

1933 **Konrad Wrzos** 375
Fotograf literacki
Miasto bezrobotnych

1938 **Melchior Wańkowicz** 391
Produkuję poczucie psychiczne obywatela
Na co koza rogi ma

1932 **Antoni Słonimski** 409
Tropem ogłoszeń w gazecie
Moja podróż do Rosji

1931 **Stanisław Cat-Mackiewicz** 427
Kot w nieznanym ogrodzie
Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów

1933 **Antoni Sobański** 437
Reporter nie prorok
Cywile, Reichstag i książki

1933 **Ferdynand Goetel** 451
Przeciętny reprezentant przeciętnego czytelnika
Podróż do Indii

1936 **Ksawery Pruszyński** 467
Mieć namiętności, nie mieć przekonań?
Bombardowanie Madrytu

1938 **Zbigniew Mitzner** 491
Mgła aluzyjności
Inferno w Zbąszyniu

1939 **Franciszek Gil** 503
Reportaż jako podanie urzędowe
Świadectwo dojrzałości i karta na broń

1941 **Perec Opoczyński** 511
Listonosz widzi wszystko
Reportaże z warszawskiego getta

1942 **Władysław Leny-Kisielewski** 529
Jednoosobowa redakcja w powietrzu
Historia jednego lotu

1944 **Kazimierz Wierzyński** 541
Chodzić piechotą
Garść wody. Według opowiadania komandora Ł.

1945 **Józef Mackiewicz** 555
Zobaczyć, sprawdzić, zlustrować, ustalić
Ponary – „Baza”

1945 **Lech Pietrzak** 567
I sąd jest literaturą
Naprzód! Na zachód!

1945 **Edmund Osmańczyk** 577
Reporter, czyli Polak
Na pobojowisku

1945 **Wanda Melcer** 589
Zagarniać rzeczywistość jak szynkę
Wyprawa na odzyskane ziemie

1948 **Aleksander Janta-Połczyński** 605
Cytuję wyłącznie własne doświadczenie
Wracam z Polski 1948

1950 **Michał Krajewski, Bogdan Ostromęcki** 623
Talentu nie zaprzęgać
Ludzie rusztowań

1950 **Maria Dąbrowska** 643
Nic nie rozumiem, ale kocham życie
W „Parowozie”

1951 **Jerzy Ros** 669
Zaglądać do starych reportaży
Stalowe źródła siły

1955 **Ryszard Kapuściński** 681
Odwiedź poznanych kiedyś ludzi
To też jest prawda o Nowej Hucie

1955 **Włodzimierz Godek** 693
Płomienna głowa
Sądecki tor przeszkód

1957 **Jerzy Urban** 705
Zajmować się szczęściem indywidualnym
Pamiętnik swata

1957 **Marian Brandys** 729
Jadać przy rodzinie
Ostatnia bitwa

1959 **Zbigniew Kwiatkowski** 747
Zrozumiane ocenić
Miasto, które mijamy

1960 **Janusz Rolicki** 759
W masce
Janek, podaj wapno

1961 **Stefan Kozicki** 779
Nie pisać o kosmonautach
Panna Lili poszukuje posady

1962/1972 **Anna Strońska** 791
Wedle zgrzebnych faktów
Pożegnanie z Kawińską

1962 **Aleksander Rowiński** 811
Obwąchiwać temat jak pies jeża
Sądny dzień

1964 **Edward Hołda** 829
Nie dążyć do pełni
Luminescencja

1965 **Wiesław Górnicki** 843
Widzieć więcej niż zeszyt
Zaćmienie

Dodatki 863
Literatura rzeczowa i źródła cytatów do tomu 1 864
Rada programowa antologii 870

Wstęp

Szanowni Czytelnicy, jestem szczęśliwy.

Otóż udało się zebrać sto najciekawszych, najlepszych, najbardziej odkrywczych, najbardziej kontrowersyjnych i najważniejszych polskich reportaży xx wieku. Wiele z nich ma w sobie wszystkie „naj", które wymieniłem. Inne tylko jedno, ale za to bardzo mocne.

Mam wrażenie, że pomysł tej antologii przyszedł mi do głowy, kiedy dostałem w prezencie od księgarza Leonarda we Wrzeniu Świata antologię polskiego eseju xx wieku. Uświadomiło mi to, że takiej antologii nie ma reportaż. Wydaje mi się, że trzy lata temu podzieliłem się tym świetnym pomysłem z Wydawnictwem Czarne. Wydawnictwo ma wrażenie, że taki pomysł miało najpierw ono. Życzliwy literaturze faktu redaktor radiowej Trójki Michał Nogaś wyznał mi, że ma wrażenie... iż to on wpadł na pomysł wydania reportaży xx wieku i podpowiedział to wydawnictwu.

Powiem szczerze: cieszę się, że nasze dziecko ma tylu rodziców. Oznacza to, że tej antologii bardzo potrzebowaliśmy.

Według czyjego gustu dobierane były teksty? Nie było wyjścia – według mojego.

Na to przystała rada programowa tej antologii w osobach Hanny Krall, Elżbiety Sawickiej, Małgorzaty Szejnert i profesora Kazimierza Wolnego-Zmorzyńskiego, na to przystało wydawnictwo. Jest to antologia autorska, jednak bez udziału czworga wymienionych specjalistów od reportażu i literatury byłbym jak pilot bez parametrów lotu. Dzięki nim musiałem się trzymać określonego pułapu, a jeśli dopuściłem do zniżenia maszyny, to tylko dlatego że niżej był jakiś arcyciekawy, niespotykany widoczek i chciałem zrobić przyjemność pasażerom. Szybko jednak znów się wzbijaliśmy.

Starałem się wszakże, by mój gust nie zawsze dominował. Nie znoszę na przykład („nie lubię" to za mało powiedziane) tekstów batalistycznych. *Westerplatte* czy *Bitwa pod Monte Cassino* Melchiora Wańkowicza to dla mnie tortura z wbijaniem igieł pod paznokcie. Jednak moja współpracownica Julianna Jonek, która zdecydowanym tonem recenzowała każdy znaleziony przez nas tekst, uwielbia relacje z bitew i działań wojennych. Na przykład ze wszystkich reportaży Mariana Brandysa najwyżej oceniła właśnie ten batalistyczny, który mnie odstrasza już pierwszymi zdaniami – *Ostatnią bitwę* opowiadającą o kampanii

wrześniowej. Poparła ją w tym Hanna Krall („Ta *Bitwa* jest wspaniała!") i nie protestowałem.

Dzięki pomocy Julianny Jonek jestem też spokojniejszy o to, że nie zanudzimy młodego pokolenia, a większość tekstów będzie dla młodszych ode mnie czytelników wciągającą przygodą.

Zacznijmy jednak od metody naszej pracy i sposobu dobierania tekstów. Każdy członek rady po zastanowieniu i przejrzeniu biblioteczki zaproponował od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu dwudziestowiecznych reportaży, które uznał za ważne i ciekawe. Ja przypomniałem sobie wszystkie teksty, które zrobiły na mnie wrażenie w młodości. (Najtrudniej było z tekstami Krzysztofa Kąkolewskiego, ponieważ wszystkie zrobiły na mnie wrażenie). Potem wraz z Julianną odwiedziliśmy mieszkanie legendarnej redaktorki wydawnictwa Iskry Krystyny Goldbergowej, która redagowała teksty chyba wszystkich reporterów drugiej połowy XX wieku i sama ułożyła lub zredagowała kilka antologii reportaży PRL-u: *Tu zaszła zmiana* (1975), *Klucze do zdarzeń* (1976), *Losy niewymyślone* (1980), *Rachunek sumienia* (1984). Pani Krystyna udostępniła nam swoją bibliotekę i wynieśliśmy z niej kilkadziesiąt książek, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewaliśmy. (Przy okazji i przy herbacie uzyskaliśmy od niej zaskakujące wyznanie: „Krall tak, Szejnert tak, Kapuściński tak, Kąkolewski tak – powiedziała. – Ale Lovell! Lovell był zawsze najlepszy!").

Wreszcie sięgnęliśmy do wszystkich ważnych opracowań na temat polskiego reportażu. Szukaliśmy w piśmiennictwie popularnonaukowym – jak na przykład w obszernym eseju encyklopedycznym Krzysztofa Kąkolewskiego w *Słowniku literatury polskiej* czy *Anatomii reportażu* Jacka Maziarskiego. W fantastycznych książkach Melchiora Wańkowicza poświęconych literaturze faktu, jak *Prosto od krowy*, czy literaturze w ogóle, jak *Karafka La Fontaine'a*. Szukaliśmy także w czasopismach przeznaczających na reportaż więcej miejsca niż inne, na przykład w miesięczniku „Kontrasty", który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, najczęściej piórem Katarzyny Meloch, Krystyny Goldbergowej czy Zbigniewa Stolarka, omawiał wszystkie dokonania polskiej szkoły reportażu. Roiło się w tych materiałach od tropów do sprawdzenia.

Wydane dotąd w Polsce antologie reportażu uwzględniały zwykle okres międzywojenny, ale opierały się głównie na reportażach z lat trzydziestych, do tego przeważnie z „Wiadomości Literackich". Tekstów sprzed 1918 roku nikt dotąd w żadnej antologii nie prezentował. Profesor Kazimierz Wolny-Zmorzyński dał nam listę „literatury faktu" z początku wieku. Były to głównie relacje z podróży, bo przeważnie takie oblicze miał reportaż sto lat temu. Brakowało nam jednak reportaży prasowych. Tutaj najbogatszym źródłem materiałów

okazał się „Tygodnik Ilustrowany", chyba najambitniejsze pismo społeczno-literackie tamtego czasu, wychodzące we wszystkich zaborach. Znalazłem tam na przykład fascynujące dywagacje Cecylii Walewskiej z 1903 roku o służących i ich paniach czy też tekst *Sama* z tego samego roku o nowym typie kobiety, która nie będzie się już bała samotności. Przynoszą one dużo świetnych informacji o obyczajach, ale są raczej publicystyką czy polemiką z dominującym stylem życia niż o tym życiu opowiadaniem. Niemniej znajdowały się też w „Tygodniku" teksty, które miały ambicje zrelacjonowania czytelnikom jakiegoś wycinka życia lub ważnego zdarzenia. Kilka takich zamieszczamy.

Jest jasne, że przed odzyskaniem niepodległości reportaż społeczny, problemowy, polityczny nie mógł istnieć. Prawda dotycząca tych tematów, a na niej musi się opierać reporter, pod zaborami mogła być niebezpieczna i dla piszącego, i dla opisywanych, i dla redakcji. Jeśli ukazywały się materiały reporterskie, to raczej krajoznawcze, podróżnicze i obyczajowe. Dopiero Polska wolna, a szczególnie pojawienie się „Wiadomości Literackich" z ich redaktorem naczelnym, wizjonerem Mieczysławem Grydzewskim, oraz czasopism kobiecych takich jak „Bluszcz" czy komunizujących lub socjalizujących pism robotniczych nakręciły koniunkturę na prawdziwe relacje z życia.

Staraliśmy się sobie także przypomnieć wydarzenia, które, dalibyśmy się pokroić, musiały zostać opisane w jakiejś relacji reportażowej. (Nie dalibyśmy się pokroić za naszą wiedzę, tylko za nasze przeczucia, rzecz jasna). Hanna Krall namówiła nas na przykład na znalezienie tekstu o głośnym procesie zakonnika z Jasnej Góry, Damazego Macocha, który w 1912 roku był sądzony w Piotrkowie Trybunalskim. Otóż ten paulin podczas spowiedzi uwiódł urzędniczkę telegrafu. Żeby ukryć romans, namówił ją i swojego kuzyna na fikcyjne małżeństwo. Po jakimś czasie zamordował kuzyna w swej jasnogórskiej celi, a jego ciało najpierw ukrył w starym tapczanie, a potem wywiózł dorożką i wrzucił do Warty. Rosyjska policja ujawniła przy okazji, że Macoch dopuścił się wielu kradzieży, posuwając się nawet do profanacji świętego obrazu – razem z dwoma innymi zakonnikami zrabował Matce Boskiej Częstochowskiej koronę i suknię z pereł.

Damazy Macoch wiedział, że jest gwiazdą. Na procesie, na który ściągnęły tłumy dziennikarzy ze świata (o sprawie pisał nawet „The New York Times"), oskarżony podpowiadał fotografowi, jak ten powinien robić mu zdjęcia.

Wydawało się nam więc, że jakiemuś ówczesnemu dziennikarzowi musiało przyjść do głowy, by szczegółowo zbadać życie oskarżonego lub opisać cały ten fascynujący spektakl sądowy. Zwłaszcza że wydawano nawet karty pocztowe z fotografiami z procesu. Tam jednak, gdzie powinien być taki tekst

(na przykład w „Nowościach Ilustrowanych", w „Gońcu Częstochowskim" czy czasopiśmie „Świat"), znajdowaliśmy tylko podpisy do rysunków lub zdjęć z rozprawy. Do żadnej dłuższej relacji, którą można by potraktować jako materiał reporterski, nie udało się nam dotrzeć.

Złapaliśmy się na tym, że wiele tekstów pamiętamy jako inne, niż były w rzeczywistości. Na przykład Elżbieta Sawicka, która podsunęła nam wiele tropów reporterskich w twórczości prozaików, pamiętała, że Tadeusz Konwicki pojechał na olimpiadę w Monachium i był tam świadkiem zamachu bombowego. Napisał o tym reporterski esej dla tygodnika „Literatura". „Monachium 1972. Bardzo ciekawe! Wybitne. Konwicki w znakomitej formie" – zaznaczyła przy tym swoim typie. Rzeczywiście, Konwicki w formie, napisał dwa teksty z Monachium, jednak – jak to u pisarza – ważne było dla niego nie wydarzenie, ważny był on. Olimpiada stała się jedynie pretekstem do podzielenia się opowieścią o roli sportu w jego życiu i do innych przemyśleń. Nie dowiedzieliśmy się niczego o ludziach, atmosferze, zdarzeniu. Właściwie Konwicki opisuje olimpiadę z perspektywy hotelowego telewizora.

Autorzy antologii *7599 dni Drugiej Rzeczypospolitej*, Ewa Sabelanka i Kazimierz Koźniewski, wyznają, że marzyło im się rozpoczęcie książki reportażem z ulic Warszawy z 11 listopada 1918 roku.

> Wszyscy znamy fotografię, na której dwaj już uzbrojeni w karabiny studenci Uniwersytetu Warszawskiego odbierają broń żołnierzowi niemieckiemu. W „Tygodniku Ilustrowanym" były aż dwie kolumny takich listopadowych fotografii. Byliśmy przekonani, że w listopadowych numerach dzienników lub tygodników musi znajdować się reporterski odpowiednik tych zdjęć. Przecież w stolicy Polski żyło tylu pisarzy i dziennikarzy! I doskonale wiedzieli, iż Polska się odradza. Przewertowaliśmy wszystkie roczniki pism tygodniowych, listopadowe i grudniowe numery gazet. Nawet i takich, które jak „Robotnik" z braku papieru ukazywały się dosłownie na dwuszpaltowych skrawkach, pasemkach. I nic! – wyznają. – Artykuły, publicystyka, odezwy, informacje kronikarskie – ani jednego reportażu.

W podobny sposób zweryfikował się także nasz pierwotny pomysł na tę antologię. Otóż planowaliśmy, że *100/xx* będzie pokazywać historię Polski i świata odzwierciedloną w reportażach. Okazało się, że to zadanie nie do wykonania. Gdyby bowiem chcieć znaleźć reportaże ze wszystkich ważnych wydarzeń xx wieku, sto rozdziałów antologii (a założyliśmy, że będzie ich sto, czyli tyle, ile lat wieku, i ani jednego więcej) nie zmieściłoby nawet jednej

trzeciej. Nie dałoby się w ten sposób opowiedzieć o każdym ważnym momencie najnowszej historii. Zresztą nie o każdym powstał dobry reportaż. Jeśli w ogóle powstał (patrz: kłopoty autorów antologii *7599*).

Oczywiście w *100/xx* odnotowujemy wiele ważnych wydarzeń: strajk dzieci we Wrześni (Staniewski), I wojnę światową (Kaden-Bandrowski i Rodziewiczówna), zamach na prezydenta Narutowicza (Iłłakowiczówna), przewrót majowy (Strumph-Wojtkiewicz), wielki kryzys lat trzydziestych (Wrzos), budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego (Wańkowicz), wojnę domową w Hiszpanii (Pruszyński), Hitlera u władzy (Sobański, Mitzner), kampanię wrześniową (choć w tekstach, które powstały kilka lat po niej – Brandysa i Wierzyńskiego), eksterminację Żydów (Mackiewicz), zasiedlanie Ziem Odzyskanych (Melcer, Pietrzak), zaciskanie kagańca w latach pięćdziesiątych, a potem rewizję błędów i wypaczeń (Mularczyk, Godek), rewoltę młodzieżową 1968 roku (Szczepański), Grudzień '70 (Seidler), Sierpień '80 (Krall, Miller z zespołem), stan wojenny (Gluza z zespołem, Berberyusz), wydarzenia na placu Tian'anmen (Giełżyński), narodziny kapitalizmu (Metelska, Wróblewska), wojnę w Czeczenii (Jagielski). Odnotowujemy je jednak dlatego, że udało się znaleźć na ich temat wartościowe teksty. Teksty, które albo są naprawdę ponadczasowe, albo tak typowe dla swojej epoki – jak choćby reportaże socrealistyczne – że ich dawna uroda i zawartość informacyjna mogą dziś być dla czytelnika pociągające.

Pierwszym wydarzeniem xx wieku, które rejestruje nasza antologia, jest wspomniany strajk wrzesiński. To Małgorzata Szejnert wyraziła owo „historyczne" życzenie i staraliśmy się je spełnić. „Tak bym chciała przeczytać reportaż o strajku dzieci we Wrześni i o ich procesie, który potem miał miejsce w Gnieźnie – napisała w e-mailu. – Musiało coś na ten temat w tamtych czasach powstać. Proponuję szukać w »Czasie« krakowskim, w »Dzienniku Poznańskim«, »Gońcu Wielkopolskim« i »Wielkopolaninie«".

Trwało trochę, nim dokopałem się do zaskakującego tekstu autora, który nie był reporterem i prawdopodobnie nie wiedział, że pisze reportaż. Po dwudziestu latach od strajku i procesu, na podstawie materiałów z archiwum i rozmów z mieszkańcami miasta, nauczyciel Tadeusz Staniewski odtworzył tamte zdarzenia. W drugiej połowie xx wieku powstały też inne reportaże o dzieciach wrzesińskich (na przykład Moniki Warneńskiej), ale wydało się nam, że tekst oddalony raptem o dwadzieścia lat od tamtych wydarzeń będzie najwiarygodniejszy. Przy okazji pokazujemy, jak może wyglądać pewien podgatunek reportażu – reportaż historyczny. Niniejsza antologia to także celowy i przemyślany wybór różnych typów reportaży.

Tak więc mamy Wrześnię, lecz nie dlatego że musieliśmy, ale dlatego że pojawiło się piękne reporterskie znalezisko. Nie ma natomiast w tej antologii żadnego tekstu, który znalazłby się w niej, bo z jakichś powodów „tak wypadało".

Tutaj zdradzę technikę rozmów z autorami. Nie wszyscy zgadzali się, by akurat ten, a nie inny tekst znalazł się w antologii. Słyszałem od niektórych: „Nie zgadzam się. Napisałem wiele znacznie lepszych rzeczy!", „Postanowiłam, że dam panu do antologii reportaż pod tytułem...". Nic z tego, drodzy Państwo. Mówiłem wtedy zgodnie z prawdą: „Ma pani dwanaście córek. Ja zakochałem się w tej niskiej brunetce, a pani chce mnie żenić z wysoką blondynką".

Podziałało we wszystkich przypadkach. Autorzy dali nam zgodę na wykorzystanie tych tekstów, w których się zakochałem. (Choć może powinienem im mówić o synu, bo reportaż to rodzaj męski).

Bardzo szybko się okazało, że sto rozdziałów to wcale nie tak dużo. Piszę „rozdziałów", gdyż na niektóre składają się pojedyncze teksty, drukowane w prasie, a inne to krótsze lub dłuższe fragmenty książek. (Mam nadzieję, że część Państwa sięgnie po przypomniane przez nas książki, większości z nich prawie nikt już bowiem nie pamięta). Gdy więc uświadomiliśmy sobie, że sto rozdziałów to wcale nie tak dużo, szybko dojrzeliśmy do decyzji, że nie będziemy zamieszczać tekstów oczywistych, klasycznych i takich, które od razu się narzucają. Wiele osób, słysząc o przygotowaniach do publikacji (samo czytanie i wybór tekstów trwały ponad pół roku), mówiło na przykład: „A co będzie z Kapuścińskiego? No bo to bardzo trudny wybór. Chyba musicie dać i coś z *Cesarza*, i z *Szachinszacha*, i z *Imperium*, i z *Buszu po polsku* też, bo jednak *Buszem* pokazał, że można nie być spętanym stylistyką obowiązującą w polskiej prasie...".

Nie, drodzy Państwo, wybór był bardzo łatwy.

Nie będzie ani *Buszu*, ani *Cesarza*, ani *Imperium*. Jeśli chodzi o autorów najsławniejszych, o klasyków reportażu, zrezygnowaliśmy z ich najbardziej znanych tekstów, zwłaszcza że ciągle są wydawane czy też obowiązują jako lektury szkolne. Nie znajdą więc Państwo w *100/xx* wspomnianego *Cesarza*, a także *Medalionów*, *Bitwy pod Monte Cassino* czy *Zdążyć przed Panem Bogiem*. Za to znajdą Państwo mniej znane teksty autorów powyższych dzieł.

W przypadku Ryszarda Kapuścińskiego drukujemy reportaż, o którym wspomina się w jego życiorysach jako o tekście przełomowym. Reportaż ten sprawił, że zauważono nazwisko autora, pogratulowano mu siły reporterskiego ciosu, ale żeby już nie był tak waleczny, wysłano go za granicę. Mowa o tekście

To też jest prawda o Nowej Hucie, który czytelnicy mogli znać ze słyszenia, ale który nie był dostępny w żadnej współczesnej książce.

Jeśli chodzi o reporterów młodszego pokolenia, zrezygnowaliśmy z ich głośnych książek, które wydawane były w ostatnich latach i są dostępne w księgarniach. Nie ma więc *Cygan to Cygan* Lidii Ostałowskiej czy *W rajskiej dolinie wśród zielska* Jacka Hugo-Badera. Mamy za to inne ich piękne reportaże, tyle że dużo mniej znane.

A więc przy oczywistych autorach – nieoczywiste teksty. A poza tym – mnóstwo autorów nieoczywistych.

Z jednej strony ci, którzy zupełnie się z reportażem nie kojarzą, jak Maria Rodziewiczówna czy Michał Ogórek. Z drugiej – wspaniali reporterzy z różnych powodów zapomniani. Są tu autorzy wyłącznie jednej książki, a czasem tylko jednego reportażu. Jeden był dyrektorem szkoły, inny architektem, jeszcze inny pilotem, a wielu, zwłaszcza przed wojną, było pisarzami.

Są wśród autorów reporterzy o bardzo różnych poglądach politycznych. Ich zapatrywania, opcja polityczna czy przynależność do jakiejkolwiek organizacji nie miały wpływu na ocenę atrakcyjności tekstu.

Są w *100/xx* antykomuniści, jak bracia Mackiewiczowie, jest endek Teodor Tomasz Jeż, są zatwardziali komuniści, tacy jak Wanda Wasilewska czy Wiesław Górnicki. Jest nawet ewidentny antysemita, jednak nie z reportażem antysemickim. (Przyznam: odkrycie, że prawdopodobnie drugą polską książką reporterską w historii była książka z dziedziny „demaskowanie prawdziwego oblicza żydostwa", jest dla mnie znaczące).

Mamy wśród tekstów w tej antologii reportaże kultowe dla różnych środowisk. Zamieszczamy na przykład reportersko-publicystyczny tekst Barbary Pietkiewicz *Gorzki fiolet* (ukazał się w „Polityce" w 1981 roku), który uważany jest przez środowiska genderowe i gejowskie za pierwszy w PRL-owskiej prasie reportaż o homoseksualizmie (był drugi, ale zyskał największą sławę). Mamy też pierwszy reportaż na tabuizowany przez całe dekady PRL-u temat losów polskiej arystokracji po zwycięstwie władzy ludowej. To tekst Małgorzaty Szejnert *Mitra pod kapeluszem*.

Mamy reportaże, które opisują ważne wydarzenia z wieloletniego dystansu, bo wcześniej nie pozwalała na to cenzura lub nie można było dotrzeć do dokumentów – to na przykład reportaże o aferze mięsnej czy powojennym losie akowców.

Mamy teksty, które powstawały wysiłkiem zbiorowym, gdy grupa autorów gromadziła obszerny materiał na jeden temat. W ten sposób opisano wydarzenia w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku i początek stanu wojennego.

Mamy reportaże, które choć pisane na gorąco, w swoim czasie nie miały szans na druk, na przykład *W „Parowozie”* Marii Dąbrowskiej czy teksty Pereca Opoczyńskiego. Ujrzały światło dzienne po wielu latach.

Mamy reportaż, który czytelnicy przepisywali na maszynie i kolportowali własnym sumptem – to tekst Józefa Kuśmierka.

Mamy reportaże, które nie ukazywały się w prasie oficjalnej, ale w drugim obiegu – na przykład opowieść Ewy Berberyusz o rodzinie Wałęsów w czasie, kiedy Lech był internowany, wspomniany zbiorowy pamiętnik stanu wojennego, wydany w podziemiu przez Kartę, czy też książki publikowane na emigracji, jak reportaż Józefa Mackiewicza czy tekst Aleksandra Janty-Połczyńskiego o podróży do Polski w 1948 roku, który Jerzy Giedroyc wydał własnym nakładem.

Mamy wreszcie reportaż, który był w swoim czasie obyczajowym szokiem. Tak wielkim, że autor od razu w zakończeniu ogłosił, że szuka adwokata, przewidując, że będzie miał kłopoty. To wcieleniowy reportaż Jerzego Urbana dla „Po prostu”.

Więcej nie będę tu zdradzał, ponieważ mnóstwo informacji zamieściłem we wstępach poprzedzających teksty. Sylwetkę każdego reportera i jego dzieło opatrzyłem małym szkicem, w którym staram się odtworzyć okoliczności powstania reportażu i opowiedzieć o jego twórcy. Bardzo rzadko dotykam życia prywatnego autorów – tylko tam, gdzie wydało się to istotne dla treści. Przyznaję, że we wstępach wyraziłem też wiele swoich uczuć dla tych stu tekstów.

Każdemu, kto marzy, żeby być reporterem, i czyta tę antologię, aby podejrzeć, jak pisali inni, wyjawiam: pisząc swoje teksty, starałem się za każdym razem wyłuskać to, co jest dla warsztatu danego reportera najistotniejsze. A potem ująć to w tytule każdego wstępu. Czytając już tylko same tytuły (*Kot w nieznanym ogrodzie*, *Reportaż jako podanie urzędowe*, *Czapka z głowy, reporterze*, *Odwiedź poznanych kiedyś ludzi*, *Zawsze tylko obrazy*, *Mieć namiętności, nie mieć przekonań?*, *Tropem ogłoszeń w gazecie*, *Dokładność rzeczy naprawdę widzianych*, *Chodzić piechotą* i dziewięćdziesiąt jeden innych), można sobie stworzyć zbiór przykazań warsztatowych, choć oczywiście wiele z nich wzajemnie się wyklucza, bo co reporter, to inna szkoła. Jeśli tytuł jednej z książek profesora Kazimierza Wolnego-Zmorzyńskiego brzmi *Reportaż – jak go napisać?*, to ja na to pytanie odpowiadam: najpierw poczytać.

Według Egona Erwina Kischa reportaż to suche sprawozdanie podniesione do poziomu sztuki. Taką ambicję jego zdaniem powinien mieć każdy reporter. W zbiorze *100/xx* nie ma fragmentów pamiętników, dzienników czy książek wspomnieniowych, choć w jakimś sensie one także są sprawozdaniami i często

przypominają reportaż. Za teksty reporterskie uznaliśmy te, które były napisane specjalnie z myślą o „doniesieniu", przekazaniu czytelnikom informacji o ludziach czy zdarzeniach (*reporto* znaczy po łacinie „donoszę", „przynoszę z powrotem") i przeznaczone do druku w książce reporterskiej lub prasie. W typie reportażu, przy którym się upieramy, chodzi o swego rodzaju intencjonalność: dotarcie do odbiorcy.

Choć mamy też reportaż, który został zapisany w dzienniku. Ale tylko dlatego, że w czasach, kiedy Maria Dąbrowska go pisała, nie miałby szans na ukazanie się w prasie.

Znajdą też Państwo jeden tekst, który był napisany dla potomnych (może z nadzieją na druk, ale trudno to dziś stwierdzić), bo w chwili powstania na pewno nie mógł być wydrukowany. Autorowi groziłaby za to śmierć.

W jednym wypadku uznaliśmy, że reportażem był list. Jest to list Kazimiery Iłłakowiczówny opisujący zamach na prezydenta Gabriela Narutowicza. Po dziesięciu latach od tamtego wydarzenia świadek pisarka donosi o tym, co przeżyła, z intencją dotarcia do szerokiej publiczności. Nie chodzi więc o list prywatny. Reportaż to historia, która wydarzyła się naprawdę i ma dawać do myślenia. Jeśli spełnione są te warunki, można go zapisać także w postaci listu.

Ostatecznym kryterium było dla nas to, które proponuje Jacek Maziarski w swojej *Anatomii reportażu*:

> Wydaje się, że w przypadkach wątpliwych generalną zasadą powinno być przyjmowanie za reportaż tylko tych utworów, w których dominuje funkcja sprawozdania, a więc w konsekwencji – dominuje element akcji, opisu, unaoczniającego przedstawienia.

Wiele osób, słysząc o przygotowaniach do tej antologii, pytało, czy był taki reportaż, który wytypowało niezależnie od siebie wszystkich czworo członków naszej rady programowej. Niestety nie.

Najwięcej, to jest trzy nominacje, otrzymała niewznawiana po 1989 roku książka *Oko w oko z kryzysem* Konrada Wrzosa, z której drukujemy jeden rozdział.

Po dwie nominacje od rady (czyli połowę głosów) dostały teksty *Dzień rekruta* Zbigniewa Uniłowskiego, *Wspomnienie o Prezydencie Narutowiczu* Kazimiery Iłłakowiczówny, *Syn* Barbary N. Łopieńskiej oraz trzy książki: *Sztafeta* Melchiora Wańkowicza, z której drukujemy rozdział, *Moja podróż do Rosji* Antoniego Słonimskiego, z której drukujemy kilka mniejszych fragmentów, *Wracam z Polski* Aleksandra Janty-Połczyńskiego.

Pozostałe dziewięćdziesiąt trzy rozdziały *100/xx* są wynikiem sugestii rady, podsuwanych źródeł i odkryć moich oraz Julianny Jonek.

Przygodą – mam nadzieję – będzie dla czytelnika także kompozycja niniejszej antologii. Jedne teksty się dopełniają, inne ze sobą kontrastują. Tematem, pomysłem, nastrojem. Słowem: rozmawiają ze sobą.

Niektóre teksty potrzebowały drobnych zmian redakcyjnych, trzeba było ujednolicić pisownię, uwspółcześnić ortografię i interpunkcję, czasem poprawić ewidentne pomyłki. Tu i ówdzie uznaliśmy za konieczne służyć Państwu przypisami. Staraliśmy się, żeby fragmenty książek, połączone w antologii w nową całość, były spójne i zrozumiałe. Skrótów dokonywały Julianna Jonek, Magdalena Budzińska z Wydawnictwa Czarne i ja.

W tym miejscu chcę podziękować trzem osobom, bez których powstanie tej antologii nie byłoby możliwe: Juliannie Jonek, która pomagała w wyborze tekstów, ich wyszukiwaniu i uzasadnianiu, dlaczego właśnie te, a nie inne powinny się znaleźć w antologii, i często bardzo dokładnie czytała reportaże, do których ja nie miałem cierpliwości. Magdalenie Budzińskiej, która szła za każdą podaną przeze mnie informacją, weryfikowała błędy, pomagała znaleźć wiadomości o autorach i wygładziła wiele moich nieudanych zdań. Małgorzacie Uzarowicz, która przy pomocy Magdaleny Budzińskiej szukała autorów, ich spadkobierców, docierała do ich rodzin, a niektóre musiała przekonywać, że nie powinny robić trudności w udostępnieniu reportaży.

Szanowni Czytelnicy, jestem jednak także nieszczęśliwy.

Sto rozdziałów tej dwutomowej przecież antologii okazało się niemiłym ograniczeniem. Sprawiło, że następna setka utalentowanych i znanych reporterów została przez nas pominięta. Wybór był bardzo trudny i jest mi przykro, że nie mogli się w *100/xx* znaleźć:

Wojciech Adamiecki, Jacek Antczak, Jerzy Ambroziewicz, Mirosław Azembski, Laura Bakalarska, Mirosław Banasiak, Marian Baran, Przemysław Berg, Karolina Beylin, Bogdan Białek, Marian Bijoch, Anna Bikont, Andrzej Błachowski, Kazimierz Błahij, Hanna Boguszewska, Michał Bołtryk, Lech Borski, Kazimierz Bosek, Stefan Bratkowski, Olgierd Budrewicz, Zofia Bystrzycka, Alina i Czesław Centkiewiczowie, Cezary Chlebowski, Ryszard Ciemiński, Krzysztof Czabański, Zbigniew Domarańczyk, Wanda Dybalska, Kazimierz Dziewanowski, Elżbieta Dzikowska, Elżbieta Dziwisz, Marcin Fabjański, Wanda Falkowska, Arkady Fiedler, Juliusz Foss, Kamil Giżycki, Piotr Głuchowski, Pola Gojawiczyńska, Grzegorz Górny, Wiesława Grochola, Magdalena Grochowska, Artur Gruszecki, Magdalena Grzebałkowska, Mirosław Ikonowicz, Karol Jackowski, Jerzy

Janicki, Sokrat Janowicz, Maria Jarochowska, Ewa Junczyk-Ziomecka, Włodzimierz Kalicki, Romuald Karaś, Józef Kisielewski, Jakub Kopeć, Waldemar Kosiński, Elżbieta Kotarska, Helena Kowalik, Marcin Kowalski, Aldona Krajewska, Janusz Krasiński, Klemens Krzyżagórski, Włodzimierz Krzyżanowski, Maciej Kuczyński, Paweł Kwaśniewski, Kosma Lenczewski, Krzysztof Lis, Cezary Łazarewicz, Janusz Makarczyk, Andrzej Makowiecki, Aleksander Małachowski, Janusz Meissner, Maryna Miklaszewska, Eryk Mistewicz, Michał Mońko, Krzysztof Mroziewicz, Remigiusz Napiórkowski, Janusz Niczyporowicz, Kazimierz Nowak, Mieczysław Olbromski, Ferdynand Ossendowski, Andrzej W. Pawluczuk, Monika Piątkowska, Bolesław Prus, Jerzy Przywieczerski, Piotr Pytlakowski, Michał Radgowski, Stanisław Rams, Wiesław Saniewski, Joanna Siedlecka, Maciej Siembieda, Wilhelmina Skulska, Jacek Snopkiewicz, Ryszarda Socha, Olga Stanisławska, Tadeusz Strumff, Jacek Stwora, Katarzyna Surmiak-Domańska, Michał Suryc, Ewa Szczukajtys, Bogdan Szczygieł, Andrzej Szczypiorski, Szymon Szechter, Seweryna Szmaglewska, Jacek Szmidt, Witold Szymanderski, Sławomir Ślubowski, Leszek Talko, Dorota Terakowska, Małgorzata Terlecka-Reksnis, Teresa Torańska, Barbara Wachowicz, Monika Warneńska, Adam Warzocha, Marta Wesołowska, Bronisław Wiernik, Maria Wiernikowska, Jan Wiktor, Jagienka Wilczak, Ewa Wilk, Ewa Winnicka, Janusz Wolniewicz, Wieńczysław Zaczek, Danuta Zagrodzka, Stefania Zahorska, Tomasz Zalewski, Marek Zieleniewski, Mariusz Ziomecki, Katarzyna Żaczkiewicz, Edmund Żurek, Ewa Żychlińska-Konarowska.

Może nadejdzie czas, że uda się przygotować drugą część antologii, w której pojawi się przynajmniej sto z tych nazwisk…

Wielostronicową definicję hasła „Reportaż” w *Słowniku literatury polskiej xx wieku* Krzysztof Kąkolewski kończy takim akapitem:

> W reportażu występują cztery kategorie czasowe: 1) czas, w którym przebiegało rzeczywiste zdarzenie; 2) wybrany z niego czas odtworzony i prezentowany w reportażu; 3) czas zbierania materiału przez autora – często proces dochodzenia do prawdy bywa dramatyczny i zostaje włączony do utworu; 4) czas odbioru (czytania) utworu, wynikający z jego rozmiaru.

Szanowni Państwo, życzę Wam wobec tego, aby ten czwarty czas – czas czytania, wynikający z rozmiaru utworu(ów), był czasem długim, ale pięknym. I żeby obfitował w zaskoczenia i myśli, które nigdy by Wam nie przyszły do głowy, gdybyście nie przeczytali tych stu reportaży.

Mariusz Szczygieł

1901

Janusz Korczak (1878 lub 1879 – 1942)

Czapka z głowy, reporterze

> Nie są szczęśliwe oczy dziecka, które na nas patrzą. Twarz za drutami, za białą kratką – półką ze starej lodówki przyniesioną z junk shopu. Oczy wilgotne, nieufne, nieruchome. To Pia. Trzy lata, owrzodzenia na skórze, nie mówi, słabo się rusza i rzadko uśmiecha. Siedzi w czarnej dziurze, która jest jej domem

– pisze Wojciech Tochman (patrz t. 2, s. 801) w swojej książce *Eli, Eli* i wyjaśnia powód tego spotkania bogatych z biednymi:

> Całkiem liczną grupą przyszliśmy sfotografować ubóstwo. Przylecieliśmy z Madrytu, Paryża, Frankfurtu, Warszawy, Londynu, Moskwy, Tel Awiwu, Sydney, Toronto i Nowego Jorku. Można by w uproszczeniu powiedzieć: z Dalekiego Zachodu. [...] rzuciliśmy w hostelu Frendly's plecaki, w recepcji przeczytaliśmy ogłoszenie dla odkrywców spod znaku Lonely Planet: True Manila! Prawdziwe oblicze Manili! Zobacz miasto niedostępne dla turystów! Free of charge!

Wycieczki do slumsów – nic nowego. Sto trzynaście lat temu Janusz Korczak – syn adwokata, wychowawca dzieci, lekarz, pisarz i publicysta – też zaczął odbywać takie wyprawy. Na warszawskie Powiśle, Zacisze, Wolę i Starówkę. Wchodzenie w świat nędzarzy było modą i najlepszym sposobem na „zagłębianie się w ciemne strony społeczeństwa". Student medycyny Korczak należał do grupy wycieczkowej z Zofią Nałkowską i pisarzem Ludwikiem Licińskim na czele.

> Zwiedzaliśmy razem lupanary i szynki, włóczyliśmy się nocami po piaszczystych brzegach Wisły, obchodziliśmy imieniny prostytutek, zapijaliśmy się wstrętną, cuchnącą wódką z nożowcami – zapisał Liciński.

Bójkę dwóch nożowników, których Korczak próbował rozdzielić, opisał tak:

> Pochylił się nad Józkiem, otoczył jego szyję ramieniem i pocałował go w mordę... w tę cyniczną, opuchłą, pijacką mordę... Józek oderwał się od jego twarzy. Zaklął. [...] Zatrząsł się, zakołysał i nóż z wściekłością rzucił na ziemię.

W 1901 roku Korczak porzucił towarzystwo.

> Idzie sam, bo zdaje sobie sprawę, że zrozumienie ludzi biednych wymaga całkowitego wyzbycia się wstępnych założeń, a zarówno dekadenckie rozmiłowanie w »dołach«, jak i pozytywistyczna litość powodują wpychanie nędzarzy w ściśle określone role. Zaczyna też do niego docierać, że pomaganie nie może być powierzchowną aktywnością towarzyską, a decyzja o rozpoczęciu pracy z wykluczonymi wiąże się z olbrzymią odpowiedzialnością. W tej obserwacji można się doszukiwać źródeł jego późniejszej decyzji o poświęceniu całej swojej energii jednej, konkretnej grupie – dzieciom – diagnozuje Jan Wiśniewski w artykule *Z salonu na ulicę*.
>
> Ja wam mówię – ostrzega Korczak – że w rękawiczkach wolno gwarzyć o tragicznym zgonie młodego m a l a r z a, ale nie o bójce nożowników w podmiejskiej karczmie lub utopionym w kloace niemowlęciu. Czapka z głowy, a papieros z pyska – reporterze.

Ludzi, których jedenaście lat wcześniej Prus porównywał do stada „zdziczałych psów", Janusz Korczak opisuje z pokorą i bez poczucia wyższości. Współczujący uczestnik życia – tak można scharakteryzować Korczaka reportera. Efektem tej uczestniczącej obserwacji w terenie były jego naturalistyczno-sensacyjno-wychowawcza powieść *Dzieci ulicy* (1901) oraz reportaż *Nędza Warszawy* (także 1901) drukowany w „Miesięczniku Kuriera Polskiego", dodatku do „Kuriera", dziennika zachowawczego, ugodowego wobec zaborcy, ale jednocześnie dydaktycznego, którego wiodącym tematem była walka z nędzą.

Reportaż Janusza Korczaka i dziś może nauczyć nas, jak umiejętnie pomagać biednym, bo „nieudolne ofiarowanie datku kształci dzieci na zawodowych żebraków, popiera indywidua bardzo wątpliwe, rozgorycza ludzi ciężko i uczciwie pracujących, odciąga pieniądze od prawdziwie potrzebujących pomocy".

Nędza Warszawy

Silne wrażenie wywarło na prasie naszej ukazanie się broszury księdza Kirchnera[1] pod nagłówkiem: *Walka z nędzą na Bałutach, przedmieściu Łodzi*[2]. Wytyczną myślą dziełka jest zdanie: „Jeżeli miłosierdzie ma być rozumnym, musi dokładnym poznaniem, sądem jasnym i głębokim zrozumieniem – ogarnąć materiał swej pracy", to jest nędzę.

Od lat kilku, początkowo dorywczo, a ostatnio z większą ciągłością, przeprowadzałem obserwacje nad życiem i bardziej jeszcze nad duszą nędzarzy naszego miasta. Jest to zaledwie pierwszy etap pracy. Nie łudzę się, bym miał już materiał cały ogarnąć, a nawet „dokładnie poznać", jednakże niektóre szczegóły pozostały mi w pamięci, z wielu objawów zdaję sobie sprawę i postrzeżeniami pragnę podzielić się z czytelnikami w niniejszym artykule.

My się nędzy nie boimy

Zima. Wieczór, godzina dziewiąta. Mróz.

Na szosie ciemno zupełnie: ani latarni, ani gwiazdy na niebie. Przydrożne drzewa tylko majaczą czarnymi konturami.

Idę w kierunku karczmy, która ma swą tradycję w historii Warszawy. O wiorstę[3] z okładem oddalona od rogatki przedmieścia cieszy się przyjaźnią tych, dla których miasto nie zawsze bywa bezpieczne.

Zastępują mi drogę dwie postaci.

– A dokąd to? – pytają.

– Do karczmy. Proszę, chodźcie panowie ze mną.

– A fundujesz?

– Inaczej bym nie prosił.

Czułem, że się wahają, że nie ufają.

– No, zimno, panowie; chodźcie albo nie.

Szliśmy w milczeniu.

– Czy daleko jeszcze? – pytam.

– A pan tu pierwszy raz?

– Pierwszy.

– O, tam się świeci, to już karczma.

[1] Włodzimierz Kirchner (1875–1970) – ksiądz, artysta malarz, fotograf. Członek Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego oraz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, autor licznych artykułów o problematyce filantropijnej.

[2] Bałuty – obecnie dzielnica, wówczas osada pod Łodzią, licząca około 35 tysięcy mieszkańców.

[3] Wiorsta – dawna rosyjska jednostka odległości równa 1066,8 m.

Rozumiałem, że idą powodowani ciekawością; inaczej woleliby na szosie zakończyć naszą rozmowę. Nie mogłem zauważyć w nich obawy, widziałem niedowierzanie, skrępowanie.

W karczmie zastaliśmy tylko jakiegoś przejezdnego chłopka i „majstra", który podobno od dwóch lat robi jakiś płot czy ogrodzenie – i skończyć go nie może.

Byłem trochę rozczarowany; jak każdy mieszkaniec śródmieścia sądziłem, że znajdę tu pełne izby strasznych postaci.

Postawiono przed nami pięć szklanek wódki – „monopolki". Trzeba było pić.

Podczas całej biesiady rozmowę podtrzymywał jeden tylko „majster"; zastaliśmy go już nietrzeźwego; przy poczęstunku, który tak niespodzianie spadł na niego, ożywił się i opowiadał o kolejkach, które ludziom zarobek odebrałyby[4], o swoim płocie, o wojnie tureckiej.

Ci ludzie, którzy na trzeźwo zaledwie pojedynczymi wyrazami posługują się w swej mowie, pod wpływem alkoholu stają się rozmowni, szczerzy, weseli, towarzyscy, a często takie zdanie wypowiedzą, nad którym długo zastanawiać się trzeba, które czasem w podziw wprowadza.

– Bo dusza, proszę pana, lżejsza jest od wódki; to jak człowiek sobie wypije, to ta dusza się podnosi do góry, do góry, aż wypłynie nareszcie.

– I wtedy tylko można ją widzieć w człowieku?

– A tak.

– A jak za wiele wypije, to dusza może zupełnie wypłynąć i już nie wraca?

– A tak, i człowiek umiera.

I słyszy się oto podobne rozumowanie, tak różne od naszych pojęć; i widzi się, że tysiące ludzi w samej Warszawie hołduje tej zasadzie; i rozumie się, że tu żadne dowodzenia cyfrowe lekarzy nie przekonają ich, że wódka usypia, a nie budzi duszy, że psuje, nie zaś poprawia.

Tysiące przesądów nieznanych, zrodzonych w ciemnocie; tysiące poglądów opacznych, niezbadanych, które koniecznie zbadać i znać należy! Inaczej walka z nimi niemożliwa.

Duszno i smutno mi było...

Gdym wychodził, towarzysze moi postanowili odprowadzić mnie do rogatki.

– Tu się ł o b u z y kręcą, jeszcze pana który zaczepi.

Pamiętam, że wypowiadając wyraz „łobuz", zaśmiał się, a w śmiechu tym nieszczerym było wiele owej duszy, która „wypłynęła od wódki".

[4] Chodzi o lokalne kolejki wąskotorowe, które zaczęto budować w Warszawie i najbliższych okolicach pod koniec XIX wieku i które dowoziły do Warszawy znaczne grupy pracowników z pobliskich wsi i miasteczek.

Na powrotnej drodze usłyszałem inne zdanie, nie mniej typowe:

– My, to my się nędzy nie boimy ani się śmierci nie boimy; my się tylko boimy niewoli.

A niewolą tą jest wszelka praca systematyczna, każdy stały dach nad głową, każdy obowiązek długotrwały, a nade wszystko – więzienie.

„My się nędzy nie boimy" – ogólna to zasada nędzarzy od urodzenia. Przywykli do niej, zżyli się z nią, wytworzyli sobie specjalną filozofię, specjalny nawet kodeks moralności, a jeśli odezwie się głos sponiewieranej duszy, to wódką go zgłuszą, żartem cynicznym zbędą.

– Dopóki mam, to piję, bawię się, a zachoruję, to pójdę do szpitala, a umrę, to mnie pochowają. A nie pochowają, to nie.

Odprowadzili mnie aż do latarni.

– A teraz pan sam już pójdzie.

Wyjąłem z sakiewki pozostałe pieniądze.

– Nie, nie potrzeba.

– Ależ zimno jest, mogą się panom przydać.

– Niech da – rzekł jeden.

Zawrócili, gwiżdżąc. [...]

Więc tak wyglądają ci, którzy „za złotówkę zamordują człowieka", jak mi zapowiadano. Może to i straszni ludzie, ale tam na szosie, na mrozie – tylko nieszczęśliwi.

Honor

Gdym pytał, jakimi zasadami moralnymi kierują się w swym życiu „wydziedziczeni", czy mają coś takiego, co szanują, czego się obawiają, co w postępkach ich krępuje – odpowiadano mi niejednokrotnie, że poza kaprysem, poza chwilowym nastrojem, który raz każe im zabić niewinnego, ot, tak sobie, dla fantazji, to znów nakaże im oddać ostatni grosz jakiejś biednej kobiecie lub dziecku, mają oni jedno przykazanie: szanuj swój honor.

Znaczenia tego wyrazu określić niepodobna. Honor nie zabrania im kraść, nawet od najbiedniejszych, nie broni im zabić, nawet niewinnego, nie broni gwałcić, nie broni korzystać z pieniędzy zdobytych kosztem honoru żony, córki, siostry, w ogóle mało z a k a z u j e, a wiele n a k a z u j e i dlatego częściej stokroć skłania, niż odwodzi od zbrodni. Ażeby wyjaśnić znaczenie honoru u nich, trzeba uciec się do przykładów:

Siłacz znany umawia się z właścicielem cyrku, że otrzyma pięćdziesiąt rubli za występ z warunkiem, że da się pokonać zawodowemu siłaczowi cyrkowemu. Ogłoszenia brzmią, że zwycięzca otrzyma pięćset rubli nagrody.

Podczas walki wieczornej siłacz, czy to roznamiętniony widokiem tłumów i okrzykami, czy też rozgniewany, powala siłacza cyrkowego i otrzymuje przy widzach pięćset rubli. W stajni zaczynają się pertraktacje.

– Ja nic nie wiem, ogłoszone było pięćset rubli i koniec.

– Ale pan złamał umowę, to niehonorowe.

– Więc masz, taki a taki, swoje pieniądze i...

Nic nie bierze, wychodzi.

Nazajutrz aresztują go, bo chciał ukraść sakiewkę. Samo istnienie podobnej „legendy" jest niezwykle charakterystyczne. Złodziej jest jednocześnie bohaterem prawie.

Inny przykład.

Pięciu „łobuzów" dostaje dwadzieścia pięć rubli, aby „dali naukę" kelnerowi, który obgadał towarzysza przed rodzicami narzeczonej.

O północy kelner wychodzi. Otaczają go pijani, potrącają, szukając powodu do sprzeczki. Wówczas kelner, zrozumiawszy, o co idzie, powiada:

– Chodźcie, panowie, to wam wszystko opowiem.

Udaje mu się przekonać „zapłaconych", którzy przyznają mu słuszność, przepraszają go i cały gniew skierowują przeciw temu, który chciał ich oszukać. Oddają mu przepite już pieniądze, zdobywszy je z niewiadomego źródła – i w tydzień później „dają naukę oszustowi".

Jeszcze inny przykład.

Do piwiarni wchodzi felczer P. ze znajomym.

– A, spotkaliśmy się wreszcie – rozlega się głos. – Chłopcy, na pikietę[5]!

Dwóch staje przy oknie, dwóch przy drzwiach.

– To ty, braciszku, takeś „spaniał", że na ulicy to mnie nie znasz.

Zbliża się do stolika z zaciśniętymi pięściami i zwraca się ku towarzyszowi felczera.

– Posłuchaj no pan – mówi P. – jeżeli panowie macie jakieś porachunki, to je sobie załatwiajcie, ale jak mnie przy tym nie będzie.

– A panu co do tego? Panu włos z głowy nie spadnie, tylko się pan odsuń.

– Ale ja nie mogę go zostawić, bo z nim przyszedłem. Proszę pana bardzo, zostaw go pan dzisiaj.

– Dobrze, to gdzie indziej się z nim spotkam. Chłopcy, sza!

I wyrywa sobie włosy z wściekłości.

– Ale wyprowadź go, bo nie wytrzymam.

A oto opowiadanie, które słyszałem sam z ust żony murarza. Izba mała, wilgotna, ciemna, brudna. Mąż, żona, troje dzieci i staruszka.

Lampka kopci. Przy żelaznym piecyku śpi stara.

[5] Pikieta – tu: straż, zwiad, ubezpieczenie.

– To wariatka. Łaziła sama po mrozie, to ją wzięłam. W niedzielę idzie pod kościół i zarabia sobie na wódkę i łach jaki. A jedzenie to już my tam jej dajemy.

Murarzowa pijana (przed paru godzinami wróciła ze stypy, która trzy dni trwała), karmi wyschłą piersią dziecko. Chłopcy stoją oparci o łóżko, wpatrzeni w matkę. A ona opowiada historię zbrodni braci.

– Było ich siedmiu, między nimi moi dwaj bracia. Wszyscy pijani. Diabli nadali, że tę dziewczynę spotkali. Pijanego nie sądzą. Mój brat jeden, Janek, i drugi jeszcze, to nic nie robili, tylko upadli na belki nad Wisłą i zasnęli. A ci nie widzieli tego... Jak stróż nocny usłyszał jęki (chociaż jej głowę okręcili), tak przylata i mówi, że idzie po policję. To tych pięciu uciekło, a dwóch niewinnych „nakryli". Dziewczynę do szpitala, a ich do więzienia. Jakem Janka po wyroku zobaczyła, to nic nie mogłam mówić, tylko: „Janek, bój się Boga, a co tu z tobą zrobili?". Tak mnie sparło. Bo co to, on od maleńka przyzwyczajony na powietrzu, w kąpieli, na słońcu. A on nic, tylko mówi do Władka: „Słuchaj, ja idę za ciebie na Sybir, ale pamiętaj, jak może jeszcze wrócę, to ciebie, drania, zabiję i znów pójdę". A jak go prowadzili, to taka moc ludzi szła na stację, że strach. Tak go lubili. A ja to go najbardziej ze wszystkich kochałam, i on mnie. Raz śpię już, a tu ktoś wali we drzwi. „Kto tam?" „Ja, Janek". Otwieram w koszuli, a on tu za kark prowadzi kogoś. „Pani kochana moja, czy ja na panią powiedziałem tak i tak?" Ja mówię, że nie wiem. A to Janek chciał go utopić we Wiśle, że on tak na mnie mówił.

– A dlaczego na sądzie nie powiedział prawdy? – pytam.

– Boby honor stracił. Nie ten winien, co winien, a ten, co go złapali. U nich to tak. Jeszcze sobie na to piosenkę ułożyli.

Postawiła nogę na kufrze, położyła niemowlę na kolanie, ujęła się ruchem pijackim pod bok i zaśpiewała.

Dokładnie piosnki nie zapamiętałem, a nawet w streszczeniu przytoczyć jej nie mogę, tyle tam brudnych słów i taka treść cyniczna.

A chłopcy stali oparci o łóżko, wpatrzeni w matkę: jeden ma lat osiem, drugi sześć.

Ot, co jest ich honor.

Ich „sława"

W wycieczkach swoich, wśród nowych znajomych trzymałem się niezbicie jednej zasady: nie kierować rozmową, nie wpływać na treść, na temat rozmowy, ale słuchać i badać, jaki ona przyjmie kierunek. Chciałem wiedzieć, o czym oni w kółku domowym rozmawiają, w jakim kierunku myśli ich biegną.

I oto zauważyłem, że poza osobistymi sprawami: zarobku, zdrowia, poza sąsiadami – najbardziej zajmują ich zbrodnie. Są to ich wiadomości bieżące, polityka, literatura i sztuka. Tego zabito, tamtego zraniono, owego pobito, ten aresztowany, ów skazany.

Z jakim to zapałem czternastoletni chłopiec dorzucał szczegóły do opowiadania rodziców i historii rodziny zbrodniarzy, z których ostatniego – kalekę bez nóg – pochwycono przed pół rokiem za morderstwo. Dziadek – koniokrad, trzech synów rzezimieszków, a teraz ostatni z wnuków.

W opowiadaniu ich nie było ani pogardy dla zbrodniarzy, ani współczucia dla nich, ale pewien odcień podziwu, jaki się odczuwa względem bohaterów.

– Jak to ich ciągnęło do krwi; bez nóg, zdawałoby się, że ten już nie będzie w więzieniu, a dostał się „taki".

Nie znają oni innych bohaterów, prawdziwych – cały wielki świat bohaterstwa myśli, uczuć, czynów podniosłych jest im obcy, więc pasują na rycerzy zwykłych zbrodniarzy. A jak brzmią ich legendy, niech ta jedna będzie przykładem.

Pod Płockiem mieszkał w lasach bandyta (tu następuje imię i nazwisko). Pięć razy go łapali, ale zawsze uciekał. Cztery razy składał całą szajkę, ale jak robili obławy, to wszystkich wyłapali, a on się zawsze wymknął. Raz dziewczynę wydawał za mąż, więc pisze do policji, że będzie tu i tu, żeby go nie łapali, bo on po weselu sam się odda. Obstawili cały dom, bo wiedzieli, że on nie kłamie. Zabawa w najlepsze idzie, a tu się dowiadują, że on tam już dawno jest. Tak jeden stuka do drzwi, a ten łapie szafę sam jeden, zastawia drzwi i woła: „Stu zabiję, a nie złapiecie mnie, a rano sam się oddam". Tak czekali do rana, a on, jak się wybawił, to wyszedł i powiedział: „Macie, wiążcie". I w dwa dni znów uciekł. Dopiero w ileś tam lat złapali go i znów uciekał, ale go postrzelili. To go dwie mile jeszcze gonili. I wywieźli go. Matka jego była praczką, on był nieślubny, a jednak kochał ją. Więc przysłał matce pieniądze, aż raz napisał, że albo już o nim słuch zginie zupełnie, albo go znowu zobaczą. I taka była wiara, że tylko go czekali. Ale nie wrócił. Dalej następuje cały szereg jego czynów. Raz jedzie Żyd bryczką. On wychodzi i woła na chłopa: „Stój!". Więcej nie potrzeba. „No, Żydzie, oddawaj zegarki". Już naprzód wiedział, że Żyd ze „szwarcem"[6] jedzie. Żyd nic, oddał co do jednego. „A teraz dawaj pieniądze". Żyd oddał. „A teraz jedź na szabas". A chłop nie chce dalej jechać, bo mówi, że teraz mu już Żyd nie będzie miał czym zapłacić. „A ile się umówiłeś?" „Trzy rubelki". Dał mu pięć rubli, śmieje się i powiada: „Trzy ruble dla ciebie, a za dwa kup mu wódki, bo ci jeszcze umrze ze strachu".

[6] *Szwarc* – tu: towar przemycany, kontrabanda.

Tacy tam roznamiętniają umysły i... zaraza się szerzy.

Że tak jest, dowodzi naocznie statystyka i tłumaczą pedagodzy. Wystarczy przeczytać dzieło znakomitego Guyau[7] pod nazwą *Dziedziczność i wychowanie* lub *O zarazie moralnej* Dawida[8]. „Wiadomo, z jaką szybkością upowszechniają się zbrodnie przez poddawanie w takiej właśnie postaci, w jakiej dokonaną była pierwsza: kobiety, pokrajane na sztuki, dziwne samobójstwa; hak na strażnicy, na którym powiesiło się siedmiu żołnierzy itd. Stąd to płynie niebezpieczeństwo prasy. Redaktor dziennika »Morning Herald« oświadczył, iż w dzienniku swym nie będzie nigdy zamieszczał sprawozdań z morderstw, samobójstw ani też z szaleństw, które mogłyby być zaraźliwymi; słowa tego dotrzymał".

Nie dość nie pisać o zbrodniach, należy rozsiewać „legendę dobra" przez życiorysy, opisy czynów szlachetnych. A jak słowo drukowane wpija się w umysły, miałem sposobność się przekonać, gdy słomiankarz opowiadał mi treść książeczki jakiejś o Boerach[9], przeczytanej przez czytającego sąsiada.

Treść błaha: pewien ojciec, zamieszkujący Powiśle, miał dwóch synów, obaj wyemigrowali. Jeden zaciągnął się w szeregi angielskie, drugi wstąpił do szeregów Boerów. I oto dwaj bracia po bitwie, ranni, spotykają się.

Nie wątpił ani na chwilę, że wszystko to jest prawdą, wyraził nawet przypuszczenie, że ojciec chłopców „musiał gdzieś niedaleko stąd mieszkać", a kiedy doszedł do sceny spotkania się braci, długo trzymał mnie w zaciekawieniu.

– I widzi pan, ten właśnie, któremu on dawał wodę do picia, to był, proszę pana, ten... ten... co to panu mówiłem... to... był... jego... brat.

I z tryumfem na mnie spoglądał.

Więc można przeciwdziałać szerzącej się zarazie...

Ale oto jeszcze jedna cecha charakterystyczna, nie dość jeszcze sprawdzona.

Żona skarży się, że mąż jej ma sprawę o groch.

– Patrz pan, co to za „ciamara"[10]. Wziął trochę grochu i już ma sprawę. Jest o co. Tylko kłopot, nic więcej. Mówią, że pójdzie na t r z y tygodnie.

– A czy nie można się pogodzić? – pytam.

– Gospodarz radzi, żeby „zablatować"[11] świadka.

– A jak mu każą przysięgać? – pyta mąż.

– E, nie odzywałbyś się lepiej.

– No nie, pani mąż ma słuszność. Gospodarz źle pani radził – powiadam.

– Ale, co pan mówi? On, proszę pana, już sześć miesięcy siedział. On się zna.

Ze skruszonej miny męża wnioskowałem, że on sam odczuwa swą niższość.

[7] Jean Marie Guyau (1854–1888) – francuski pisarz i filozof, zajmował się głównie problemami etyki, estetyki i krytyką religii.

[8] Jan Władysław Dawid (1859–1914) – pedagog, psycholog i publicysta, autor rozpraw pedagogicznych.

[9] Boerzy – Burowie (od niderl. *boer* – chłop).

[10] Ciamara – niedołęga.

[11] Zablatować – przekupić.

– Ja tam tak nie umiem – powiada.

I zdaje mi się, że ci ludzie ciężkiej pracy, wyrobnicy – nędzarze zdają się uznawać swą niższość wobec tych, którzy nie za „trochę grochu", ale za większe znacznie przestępstwa nie spotykają się z karzącą ręką sprawiedliwości.

– Najuczciwsi są przeważnie najmniej zdolni – mówił mi ze smutkiem zarządzający szkołą rzemiosł dla chłopców Powiśla.

Jest to tym smutniejsze.

A kiedy „najdzie"

Na Targówku[12] u nędzarza bal składkowy.

Jęczy harmonia – niewesoły instrument: gdy do tańca nuci, to jakby płakała.

Większa część gości nietrzeźwych.

Usiadłem na kufrze, gdzie obok grającego zgrupowały się dzieci, i przyglądam się tańcom, i słucham krótkich uwag nieletnich widzów.

Spośród tańczących wysuwa się para i niknie za drzwiami prowadzącymi na korytarz.

Dziewięcioletnia może dziewczynka, trzymając na kolanach trzyletniego chłopczynę, patrzy na odchodzących i potem zwraca się z uwagą do siedzącego obok chłopca.

Oboje się roześmieli. Oczy dzieci błyszczały podnieceniem, które wywołała wódka.

Instynktownie odebrałem z jej rąk chłopca, posadziłem go na kolanach i wpatrywałem się w jego oczy. Duże, szafirowe, lśniące, z odcieniem zdziwienia czy pytania, które często w spojrzeniu dzieci zauważyć można.

Nagle wielki smutek mną ogarnął.

– Umrzesz czy się wychowasz, a jeśli się uchowasz, czym będziesz, dziecko?

Zdawało mi się, że można wejść tu w roli chłodnego obserwatora, a oto rwała mi się na usta prośba:

– Nie dawajcie dzieciom wódki ani kropli, nie pijcie jej sami.

I wpatrywałem się w oczy chłopca, i zdawało mi się, że się skarżą.

– Pan nie tańczy? – pyta mnie jedna z tancerek.

– Nie będę więcej tańczył.

Zbliża się do mnie gospodyni.

– Do pana piję – mówi.

Zatrzymała chwilę kieliszek, który niosła do ust, i rzekła poważnie:

[12] Targówek – dzisiejsza dzielnica prawobrzeżnej Warszawy. Po 1870 roku rozwijał się tam przemysł, powstało kilka zakładów produkcyjnych, m.in. huta szkła.

– Naszło na pana? Przeżegnaj się pan, panie Janku.

Zrozumiałem natychmiast, że zdanie to ma ogromną wartość dla ich charakterystyki.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Bo jak „najdzie", to najlepiej się przeżegnać.

– A czy na panią często tak „nachodzi"?

– O, przy pracy to się często o różnych rzeczach myśli i... W pańskie ręce.

– Daj nam Boże.

Przyszło mi na myśl, że to straszne jednak, że biorąc kieliszek do ręki, wspomina się imię Boga, a gdy myśl skołatana się budzi, to się ją tu znakiem krzyża odpędza.

– No, a teraz rzuć pan bachora i chodź pan tańczyć.

Zrozumiałem, że wyszedłem na chwilę ze swej roli... obserwatora i błąd popełniłem.

Stało mi się jasnym, że oni nie dwie, ale trzy dusze mają: jedną dla „panów", drugą dla towarzyszy, a trzecią dla siebie.

Dorożkarz, posłaniec, roznosiciel gazet, kelner, kąpielowy, ci wszyscy, których posługi dotyczą „państwa" – inny jest w swoim fraku z numerem, w czapce niż w rodzinie, wśród towarzyszów. Tu jest uniżony, grzeczny, przyjmie w milczeniu najniesłuszniejszą obelgę, jest usłużny i okrzesany; tam jest butny, despotyczny, bezwzględny, wesoły, rozrzutny, prostak; a dla siebie tam, w głębi duszy, chowa to właśnie, co Asnyk nazywa głosem, który „z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie" woła „dziwną tęsknotą przejęty, o świeże, lepsze, szlachetniejsze życie". W życiu kieruje się nim bardzo rzadko, odpędza go, głuszy, zwierza się z jego istnienia tylko po pijanemu, gdy równowagę traci i sądzi, że to „dusza wypływa od wódki".

A im bardziej poniżające pełnią oni posługi, im brutalniej daje im się uczuwać stanowisko zajmowane, tym bezwzględniejsi są, tym mniej tego głosu słuchają.

Dlatego nienawidzą tych, ot, „złotych młodzieńców" na przykład, którzy nie widzą człowieka w stróżu, kelnerze itd., sądząc, że dziesiątką lub rublem zatrą w pamięci ich doznane upokorzenia.

Trzeba poznać ich choć tyle, ile ja ich poznałem, by wiedzieć, że każde „ty", każde „durniu" lub „błaźnie" drażni ich, psuje, robi nieczułymi na głos duszy, na to, co w rzadkich chwilach rozmyślań „nachodzi" na nich.

Dziś i jutro

Ilekroć ocierałem się o tę nędzę, która już nie tylko na strojniejsze ubranie świąteczne nie ma środków lub na możliwie pożywny pokarm, ale na kupienie chleba często nie ma kilku kopiejek – źródło jej widziałem w śmierci lub chorobie pracującego ojca lub matki, często w pijaństwie, rzadziej w jaskrawym wyzysku (stróże niektórych domów podmiejskich, szewcy-tandeciarze wyzyskiwani przez Żydów, wysyłających obuwie do Cesarstwa itd.).

A co od razu rzuca się w oczy, czy to na zabawach ludowych, czy podczas zakupów przedświątecznych, czy w niedzielnych rozrywkach – to ogromna, wybitna nieopatrzność w wydawaniu ciężko zarobionego grosza.

Oto budżet wydatków rodziny robotnika podczas poobiedniej przejażdżki na Saską Kępę: wódka pięćdziesiąt dziewięć kopiejek (prócz zaprawy), przejazd łódką trzydzieści, pierniki dwadzieścia, limoniada piętnaście kopiejek, karuzela dziesięć, huśtawka dwadzieścia jeden, gra „na szczęście" piętnaście kopiejek, kwiaty pięć, żebrakom pięć, kwas osiem, karmelki pięć, droga powrotna przez Pragę pieszo – razem na cztery osoby dorosłe i pięcioro dzieci – rubel dziewięćdziesiąt trzy kopiejki, prócz zapasów, zakąsek zabranych w koszyku (z zapasów liczyłem tylko wódkę). Wszyscy dziewięcioro mieszkają w jednym pokoju bez kuchni; ośmioletni syn pracuje u „kwaśnika"[13] od czwartej rano do siódmej wieczorem przy drutowaniu zakorkowanych butelek – za rubla tygodniowo. A jest to rodzina trzeźwa, uczciwa, pracowita, spokojna i piśmienna.

Zbieranie pieniędzy na czarną godzinę, na posłanie dziecka do szkoły, jednym słowem, robienie oszczędności – nazywa się „zbieraniem dla złodzieja", bo ten, ów, tamten miał w kuferku tyle i tyle rubli, które mu skradziono.

Chwilowa utrata zarobku od razu wtłacza rodzinę na samo dno nędzy: na razie lombard, później kij żebraczy.

Zdawałoby się, że wobec widma choroby powinni oni w zakresie możliwości oszczędzać zdrowie, obawiać się jej. Typowym będzie wyznanie „kościarza"[14], któremu lekarz zapisał jakieś trzy „strasznie gorzkie" proszki:

– Jeden wziąłem, ale już więcej nie chciałem, bo paskudny. Wszystko, co brałem do ust, było potem gorzkie. To drugi podsypałem Edkowi, bo go pchły żarły. Bo pchły albo od takiej goryczy uciekną, albo zdechną. A trzeci to babie nasypię do wódki, to jej może odejdzie ochota do „śmirowania"[15] na jaki tydzień.

Lekarz zalecił mu pójście do szpitala, ale on „nie umiera jeszcze" i pewnie bańki sobie każe postawić, tylko że nie zarabia już trzy dni, więc nie ma pieniędzy.

[13] Kwaśnik – tu: producent kwasu chlebowego.

[14] Kościarz – człowiek zbierający kości i handlujący nimi.

[15] Śmirować – upijać się.

Jeśli dodamy jeszcze, że obok nadzwyczajnej nieufności względem tych, którzy radzą coś takiego, co im nie przypada do gustu, są łatwowierni jak dzieci względem sprytnych oszustów – będziemy mieli dokładne pojęcie, jak chwiejnym jest los tysięcy rodzin, jak najdrobniejsze niepowodzenie rujnuje nieprzygotowanych, jak z dniem niemal każdym nędza rośnie, mnoży się, a w ślad za nędzą idzie większa jeszcze ciemnota i zepsucie.

Żadne instytucje dobroczynne nie są w możności nędzy usunąć, nawet złagodzić, tu trzeba raczej zapobiegać wytwarzaniu się nowych zastępów nędzarzy i... wychowywać odpowiednio ludność wyrobniczą. Najbardziej dotyczy to tych, których zarobek nie jest stały, ale za to wyższy, więc pozwala na pewne oszczędności na czas bezrobocia – aby dziś pamiętali o jutrze.

„Wysmółek”[16] miłosierdzia

– Kiedy chłopiec przychodzi do terminu – tłumaczył mi światły rzemieślnik – to jest z początku niczym, gapą. Nawet do posyłek niezdatny, bo albo zgubi, albo odniesie nie tam, gdzie potrzeba. Dopiero po niejakim czasie z „popycha”, z „wysmółka” robi się terminatorem, czeladnikiem, wreszcie majstrem. U nas, proszę pana, większość litościwych ludzi to są „wysmółki filantropijne” – cały ogół z nich się składa, a dopiero wyjątkami są terminatorzy i czeladnicy dobroczynności, a majstrów miłosierdzia, może oni są, ale ja ich nie widziałem... Taki, uważa pan, wysmółek czasem chce najlepiej, ale kiedy nie zna się, nie umie i psuje.

I w rzeczy samej, „wysmółki” miłosierdzia wiele złego robią, a gdyby nie szczupłe ramy niniejszego artykułu, postarałbym się dowieść, że szkodzą oni nie tylko jednostkom, ale często i instytucjom.

Tu natomiast przytoczę parę z tysiąca przykładów.

Przed kościołem Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu o zmierzchu klęczy druciarczyk[17]. Chłopczyna skupiony, zatopiony, zda się, w modlitwie. Odchodzę na stronę i patrzę: spośród tłumu przechodniów wysuwają się dziesiątki „wysmółków” i... wsuwają dzieciakowi datki. Po niejakim czasie druciarczyk podnosi się, idzie w boczną ulicę i... liczy zarobione pieniądze.

Około tygodnia prowadził on swe intratne praktyki religijne. Zauważył, że publiczność traci do niego powoli zaufanie, więc znikł: może wymyślił coś nowego, może przeniósł się w inne strony. Chłopiec może nawet i szczerze chciał się raz pomodlić, gdy datek „wysmółka” naprowadził go na myśl, że jest to niezły sposób zarobkowania.

Drugi przykład.

[16] Wysmółek – smoluch, wycieruch, brudas.

[17] Druciarz – wędrowny rzemieślnik drutujący rozbite naczynia i garnki, sprzedający i wykonujący drobne przedmioty z drutu.

Włóczy się po Warszawie kobieta o odrażającej twarzy, skurczona, w chuście, czasem z kwiatami na talerzu, częściej z dzieckiem na ręce lub z dwojgiem dzieci, czasem sama – i piskliwym głosem powtarza:

– Na kawałek chleba dla dzieci!

Do łatwowierniejszych dochodzi z receptą.

– Na lekarstwo nie mam, proszę pana, dla dziecka chorego, proszę pana.

Mam przekonanie moralne, że ta kobieta ma więcej grzechów na sumieniu niż niejeden z osądzonych i skazanych.

O, naiwności „popychów"! Jak można uwierzyć, by matka takim głosem żebrała na chleb dla dzieci? Owszem, widywałem i na ulicy żebrzące matki: stały nieme, jakby skamieniałe, nie rozglądając się na wszystkie strony, „czy rewirowy nie idzie", a gdy im było zadać pytanie, to odpowiadały bez związku, ze ściśniętym gardłem, plącząc się w odpowiedziach, i widzieć było można, że już nie chcą datku, nic nie chcą, pragną uciec do domu i... choćby skonać.

– Gdzie pani mieszka?

– Ja... ja mieszkam... A po co pan pyta?

– Chciałbym zajść, przekonać się.

– A czy pan trafi? (Tu następuje adres.)

– Czy pani była w Biurze Informacyjnym[18]?

– Nie, ja nie wiem, gdzie... Mąż dopiero pół roku jak umarł.

– Biuro jest na Tamce.

– A, u sióstr, tak, byłam, przeznaczyły trzy ruble kwartalnie. Dopóki chodziłam do fabryki...

To jeszcze nie najstraszniejsza nędza: ta kobieta chora ma tylko troje dzieci; są takie, które mają sześcioro...

Wreszcie trzeci przykład.

Podano mi adres nieszczęśliwej kobiety, opuszczonej przez męża, z kilkorgiem drobnych dzieci.

Poszedłem na Powiśle. Na liście lokatorów nazwiska (a raczej pierwszych jego liter) – nie znalazłem. Wstępuję do stróża.

– Czy tu mieszka chora kobieta, opuszczona przez męża, z dziećmi?

– A mieszka, mieszka. O, tu niech pan pójdzie. Tu, na facjacie.

W głosie stróża brzmiała ukryta niechęć.

– Czy może ona nie jest taka biedna? Może pan wie coś o tym?

– Nie, nic nie wiem. O, tam mieszka, jak to okienko.

– Ale pozwól pan: jeżeli pan wie, to nie powinien pan ukrywać.

– A, co mi tam.

Zabrała głos stróżowa, wychodząc z jakiegoś ciemnego kąta z głębi izby.

[18] Biuro Informacyjne o Nędzy Wyjątkowej mieszczące się w klasztorze Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo przy ul. Tamka 30 w Warszawie. Biuro wspierało ubogich oraz organizowało pomoc innych instytucji charytatywnych i darczyńców.

– A to, proszę pana, jest tak, że ona ma męża, tylko z nim nie mieszka. On pijak; wynajmuje mu tu pokój na Solcu pod numerem x. Ona prała rękawiczki, ale się „zwąchała" z jakąś panią baronową.

– Taka w wielkim kapeluszu – dodaje dziewczynka stróża.

– I ona, ta baronowa, to pisze a pisze prośby do całego świata.

Zjeżdżają się tu panie w karetach, nie karetach. Tu na Wielkanoc na całej ulicy nikt nie miał takiego święconego jak ona, a mężowi palto nowiusieńkie sprawiła. A dzieci to w lecie chodzą w trzewikach.

– Ja tam, proszę pana – wtrącił stróż – ciężko pracuję i na chleb nie mam. Żona mi chora na oczy... Niech pan pójdzie do rządcy. On panu to samo powtórzy. Bo ja nie przez złość, bo co mi tam, ale tu cała ulica trzęsie się na to.

Przeczułem, że sprawdzać nie ma potrzeby. Nie myliłem się. Przed kilku miesiącami wypadkowo poznałem rządcę domu i potwierdził słowa stróża.

Jakie wnioski z trzech przykładów?

Nieudolne ofiarowanie datku kształci dzieci na zawodowych żebraków, popiera indywidua bardzo wątpliwe, rozgorycza ludzi ciężko i uczciwie pracujących, odciąga pieniądze prawdziwie potrzebującym pomocy.

Kto nie chce być „wysmółkiem miłosierdzia", winien:

1) tylko w wyjątkowych, nadzwyczajnych wypadkach udzielać datki na ulicy, i to nigdy dzieciom;

2) we wszystkich innych wypadkach pytać o adres, sprawdzać na miejscu prawdę słów i starać się pomóc rodzinie tak, by ją zabezpieczyć, ułatwiając znalezienie zajęcia, umieszczenie dzieci w ochronach lub innych instytucjach dobroczynnych;

3) mieć pod swą opieką parę lub kilka rodzin ubogich, dostarczając im pism, książek, zachęcając do uczenia dzieci, i niech stosunek ten nie będzie jakimś sztywnym patronatem, a przyjaźnią;

4) zapisać się na członka cieszącej się sympatią instytucji, nie zrzekając się osobistej dla jej dobra działalności.

O „majstrach miłosierdzia" kiedy indziej.

Zakończenie

Artykuł ten pisałem z notatek, dorywczo kreślonych, starałem się pozostawić wspomnieniom ich pierwotną barwę tam nawet, gdzie przeszkadzało mi to w powiązaniu poszczególnych części lub, co ważniejsza, pozornie stało w sprzeczności z celem, jaki sobie założyłem w pracy.

Nie o zniechęcanie, ale o zachęcanie do czynu mi idzie. Bezczyn jest wynikiem brudnego egoizmu lub skutkiem powierzchownego rozumowania: jeżeli

dwa, trzy razy w życiu sparzyłem się w swych porywach, wolę nic nie robić. Czemu? Jeśli zostałem oszukany, wprowadzony w błąd, nabrałem pewnej sumy doświadczenia, w które zbrojny, tym owocniej mogę działać.

Kto pogniewa się na tych ludzi za to, że nie są podobni do wyśnionego ideału, temu nie mogę winszować logiki w rozumowaniu. Tak, ciemni są oni, prości, rażą nas na każdym kroku: mową i czynami, brakiem oświaty i ogłady, ale spójrzmy na nich przez pryzmat miłości, a nie wyobraźni – wówczas razić nas przestaną.

Przykro, przyznaję, bardzo przykro rozstać się z takim obrazem nędzy, jaką kreślą nam autorzy powiastek dla dzieci, ale tym niezbędniejszą jest rzeczą z obrazem tym się rozstać, jeśli praca ma przynieść pożądane owoce. Zrażać się nie wolno!

Na zakończenie przytoczę jeszcze jeden przykład: czyn „majstra miłosierdzia".

Z zakładu księdza Siemca[19] ucieka chłopiec. Na opróżnione miejsce znalazłyby się setki chętnych kandydatów. Ksiądz każe odszukać chłopca, który skruszony powraca, sprawuje się doskonale przez parę tygodni i znów ucieka. Ksiądz każe powtórnie go odszukać: znajdują go w przytułku noclegowym i sprowadzają. Chłopiec po niejakim czasie znów ucieka i ksiądz Siemiec poleca odszukać go po raz trzeci. – Po co? – zapyta wielu. Bo tym cenniejszy był ten włóczęga, że nie chciał ulec, tym większy tryumf będzie, jeśli wyrwie go się ulicy i poniewierce, a przekona do czynnego, uczciwego życia, bo... „najzdolniejsi, najdzielniejsi u nas się marnują". Tylko wytrwałość w pracy, pracy, opartej na „znajomości materiału", z którym się pracuje – może być owocną.

Janusz Korczak, *Na mównicy. Publicystyka społeczna* (*1898–1912*), t. 2, red. nauk. J. Bartnicka, oprac. B. Wojnowska, Warszawa: Oficyna Wydawnicza „Latona", 1994, s. 401–416

[19] Dom zarobkowy ks. Jana Siemca przy ul. Wiślanej, później przy ul. Lipowej mieścił warsztaty: ślusarski, stolarski, kowalski i brązowniczy; przyjmował około 140 dzieci miesięcznie.

1902

Teodor Tomasz Jeż
(właśc. Zygmunt Miłkowski, 1824–1915)

Fantazji literackiej cuglów nie popuszczę

Syn oficera napoleońskiego, ojciec Narodowej Demokracji, powstaniec styczniowy, spiskowiec, założyciel Ligi Narodowej Polskiej – pułkownik Zygmunt Miłkowski zasłużył się też prozie dokumentalnej.

Czytelnikom znany powszechnie jako Teodor Tomasz Jeż był autorem dziewięćdziesięciu powieści, w tym wielu historycznych. Niektóre ukazały się tylko w czasopismach. Żadna nie zapisała się jednak trwale w historii literatury, pisał bowiem pospiesznie i schematycznie. Henryk Markiewicz zarzuca mu brak wiedzy i intuicji literackiej, potrzebnej do odtworzenia klimatu epoki. Ulubione postacie Jeża to dzielni bojownicy, ich niezłomni ojcowie i ofiarne matki. Natury silne, patetyczne, odważne, ale papierowe.

Pisał dużo i namiętnie. Ma też na swoim koncie dokonania w obu nurtach literatury faktu XIX i początku XX wieku. Pierwszy z nich to pamiętnikarstwo i proza wspomnieniowa. W trzytomowej autobiografii *Od kolebki przez życie* (wyd. 1936) Miłkowski opisał swoją działalność spiskowca, legionisty, dowódcy, emisariusza sprawy polskiej i działacza politycznego podróżującego od Ukrainy przez Bałkany, Turcję, Londyn i Paryż, aż do swojego osiedlenia się w Lozannie w 1872 roku. Jednocześnie przytacza mnóstwo anegdot i kapitalnych obserwacji obyczajowych, jak ta w rozdziale *Pułkownik 1863*, kiedy musiał przeprawić zapas broni dla powstańców za rzekę Zbrucz do miejscowości Dźwiniaczki:

> Po wyekspediowaniu broni Kęszycki odwiózł mnie do sąsiada, od którego dostałem się do Krzyweńkiego. Przed wyjazdem z Dźwiniaczki byłem świadkiem sposobu, w jaki tanim kosztem czernić sobie można włosy na głowie. Polecam go elegantom, dbającym o to, aby nie świecić szpakowatą. Bierze się talerz, kapie się nań z łojowej świecy kropel parę, trzyma się ów talerz stroną łojem nakapaną nad świecą, póki się nie okopci całkowicie, i stroną tą następnie wyciera się głowę dookoła.
>
> – Widzisz pan dobrodziej, nie lubię pieniędzy na głupstwa wyrzucać – tłumaczył mi przy tej operacji właściciel Dźwiniaczki.
>
> Pojechaliśmy razem do sąsiada (nazwisko zapomniałem) i ten opowiedział parę szczegółów, tyczących się następstw, jakie się na czole i uszach pokazują, takiego sposobu czernienia włosów.

Drugim nurtem ówczesnej twórczości dokumentalnej było podróżopisarstwo. Prasa chętnie publikowała „listy", „kartki", „wrażenia", „szkice" czy „obrazki z podróży", które słali wówczas najpopularniejsi pisarze: Dygasiński, Konopnicka, Kraszewski, Sienkiewicz i inni. Najbogatszy materiał do korespondencji znajdowano w Stanach Zjednoczonych. Pociągające wydawało się opisanie, jak żyją tam Polacy. Pierwsza znacząca grupa emigrantów z Polski przybyła do Stanów po rozbiorach, a wielka emigracja miała miejsce pod koniec XIX i na początku XX wieku, kiedy to w USA znalazło się ponad dwa i pół miliona Polaków. Jechali głównie za chlebem. Zaraportowanie do kraju o losie rodaków było ambicją wielu podróżników. Fakt, że Henryk Sienkiewicz napisał wspaniałe *Listy z podróży do Ameryki* (1880), ich nie zniechęcał – wręcz przeciwnie. Tam też w 1900 roku wybrał się i Miłkowski.

Jego zdanie ze wstępu do tej relacji mogłoby być mottem reporterów: „Fantazji literackiej cuglów nie popuszczę".

Opowiadanie z wędrówki po koloniach polskich w Ameryce Północnej

Przedsiębiorę opowiadanie – proste, bezpretensjonalne opowiadanie, w którym zaletę główną stanowić będzie prawda czysta. Ani na chwilkę, ani na linijkę fantazji literackiej cuglów nie popuszczę. Jeżeli w ciągu narracji trafi się literaturą zabarwiony ustęp, to i w razie takim zmyślenie w nim się nie znajdzie. Zdając przed publicznością polską sprawę z wędrówki, przedsięwziętej i dokonanej w celach doniosłością polityczną podszytych, winienem sprawozdaniu nadać charakter dokumentu, przydać się w razie potrzeby mogącego i historykowi. [...]

W Southampton [...] dowiedziałem się, że Grosser Kurfürst[1] oczekiwany jest nie rychlej, aż o trzeciej po południu – miałem więc przed sobą godzin kilka, z którymi nie wiedziałbym co robić, gdyby nie R. Dmowski. Mieszkał on pod on czas w Londynie; przyjechał do Southamptonu umyślnie dla powiedzenia mi ostatniego na gruncie europejskim *goodbye*. Poczciwie to było z jego strony – że zaś sam świeżo odbył do Ameryki Południowej (do Brazylii) podróż, więc mnie poinformował, zainstalował i ze mną się na pokładzie pożegnał. [...]

Sześciu nas zajmowało kajutę. Z rana wstawaliśmy po jednemu, we dwóch bowiem nie było miejsca na ogarnięcie się do wyjścia. Jam się budził i ubierał najpierwszy. Tym razem powziąłem zamiar wstać raniej niż zwykle, aby nie stracić ani jednego z poprzedzających wnijście do portu nowojorskiego widoków. Uprzedził mnie mój towarzysz, który miał zwyczaj sypiać najdłużej, i zabrał czasu godzin dwie przynajmniej, golił się bowiem, rozebrał się następnie zupełnie, mył się od stóp do głowy, na co wszystko na sześć osób przysposobioną wodę wyekspensował, dalej masaż ręcznikami na osobie swojej czynił, dalej się odziewał, czesał, szczotkował, paznokcie obrabiał, rozpakowane walizki pakował, i pięciu nas obudzonych, niecierpliwiących się w łóżkach trzymał. [...] Bezwzględny ów towarzysz był z rodu potomkiem Izraela. [...]

Do Buffalo dojechaliśmy za widna, ale jechaliśmy długo, zanim dotarliśmy na miejsce. [...] Ulokowano mnie nad tak zwanym *salunem* (*saloon*), oznaczającym w Anglii salon, a w Ameryce szynk. [...] *Salunizm* (szynkarstwo) jest jednym z łatwiejszych sposobów dojścia do dobrobytu. Pracy niewiele, zyski duże, dzięki pociągowi rodzaju człowieczego do spirytualiów, pociągowi, któremu Polacy nie opierają się tak, jakby się opierać powinni dla naprawienia

[1] MS Grosser Kurfürst – parowiec, którym autor miał popłynąć do Ameryki.

sobie tej opinii, jaką uzyskali w epoce panowania Sasów. Salunizm w Ameryce znaczne niesie dochody, o tym miarkować można stąd, że w każdym szynku wypicie szklanki piwa daje prawo do spożycia przy *barze* (długim a wąskim stole), stosownie do pory dnia, śniadania, obiadu, podwieczorku, składającego się z chleba, sera, wędlin, jaj, pod warunkiem jedzenia stojący. [...]

Mówiono mi o ujemnym wpływie farm na płeć niewieścią. Po miastach kobiety zamężne, matki dzieciom, z nawyku i potrzeby oddają się zajęciom domowym, od których uwalnia je śmierć dopiero. Mąż haruje, zarabia, dolar do dolara dokłada i przy pomocy kredytu łatwego dochodzi do *homestead*, to jest do zagrody własnej. Każdy robotnik, bez trudu wielkiego, właścicielem domku i kawałka gruntu stać się może, ale rzadko który własności z góry nie obciąża długiem częściowo spłacalnym. Na uiszczenie się z długu pracować trzeba dalej siłami zespolonymi ojca, matki i dzieci – ojciec i dzieci poza domem, matka w domu. W sposób ten synowie i córki od wczesnej młodości przyzwyczajają się i wciągają do pracy; póki mieszkają u rodziców, pracują na nich i na siebie. [...] Praca własna, zaopatrując kobiety w świecidełka, będące natury ich potrzebą, uwalnia je od zaspokajania jej na innej drodze. Stąd zepsucie obyczajowe po miastach nie istnieje prawie pomiędzy Polkami w Ameryce. [...]

Na farmach kobiety mniej, aniżeli ich siostrzyce po miastach przebywające, pracują, za to więcej mają czasu na rozczytywanie się, jeżeli nie w *Pięknych Meluzynach* i *Megalonach*, to w powieściowych i nowelistycznych utworach ilustrowanych literatury angielsko-amerykańskiej, w ogromnej po kraju roznoszonych ilości. Rozczytywanie się to romansowo nastraja z pączków na farmach wykwitające Poleczki. [...]

Co się hotelów amerykańskich tyczy [...], urządzone są one ku zupełnej podróżnych wygodzie, ale podróżnych amerykańskich. Europejczyka świeżo przybyłego dwa rażą braki: nie znajduje przy łóżku świecy; śród służby hotelowej nie masz urzędnika od czyszczenia butów i sukien. Świece zastępuje zawieszony na środku izby kandelabr, zaopatrzony w gazowe lub elektryczne albo w gazowe i elektryczne lampy, niewyręczające do pisania i czytania ani świecy stearynowej, ani też lampy na stole postawionej. Z butami zaś i odzieżą, gdy podróżny nie wozi ze sobą narzędzi i materiałów, służących do nadawania im pozoru przyzwoitego, musi się z nimi wynosić bądź na ulicę, gdzie przy specjalnej instalacji, składającej się z ustawionego na wyniesieniu fotelu i z podstawek na nogi, specjalista, zwykle sędziwy, poważny Murzyn, czeka z szuwaksem i szczotkami – bądź do zakładu fryzjerskiego, posiadającego zazwyczaj – zwłaszcza w pobliżu hotelów – instalację dwojaką: jedną dla

brodogolenia, przyrządzoną w taki na podnoszonych i zniżanych za pomocą wind fotelach sposób, że pacjent operowany jest leżący, drugą, taką samą jak na ulicy, dla buto- i sukniczyszczenia. [...]

Przed przybyciem moim do Cleveland najeździłem się kolejami żelaznymi w Ameryce dosyć i uwagi na jedną nie zwróciłem rzecz: na towarzyszy i towarzyszki podróży. [...] Uwaga moja skoczyła nie na towarzyszy, ale na towarzyszki, na istoty płci niewieściej – nie dla tego jednak, o co podejrzenie rodzi się zapewne w umyśle czytelników, ale dlatego, że były to Murzynki – córy tego gatunku rodu człowieczego, co świeżo wyprowadzony został ze stanu poniewierki ostatecznej. Pierwszą rzeczą, co mi się w oczy rzuciła, była ich obcość. Wśród podróżnych widoczny był brak łączności pomiędzy nimi a bliźnimi ich płci obojga koloru białego. Murzyni mężczyźni, pełniąc funkcje służebne, ocierają się o białych, o ile tego rodzaj ich służebności wymaga. Kobiety trzymają się na stronie, całkowicie na stronie, zespalając się z siostrzycami białymi w jednym tylko – w staranności, z jaką postacie swoje przystrajają, trzymając się mody we wszystkim, do czego się ona odnosi: w kroju odzieży, w kształcie obuwia, w rękawiczkach, wstążkach, szlarkach[2], okryciu głowy, we wszystkim – słowem, bo nawet w czesaniu włosów na głowie. Z tym ostatnim muszą mieć one kłopot niemały ze względu na wełniste pokrycie głów, jakim je natura obdarzyła. Czy sposób wełnę splątać w warkocze? Murzynki jednak sztuki tej dokazują – jak? – jest to dla mnie tajemnicą. Przypatrywałem się fryzurom ich, zdobnym w warkocze, w grzywki, w chmurki, w różne inne mody wymysły – z tajemnicy zasłony zdjąć nie mogłem. Wchodzą w to zapewne obce mi całkowicie arkany sztuki fryzjerskiej. Sądząc jednak wedle tego, com widział, zdaje mi się, że Murzynki, w rzeczy potęgowania wdzięków swoich, nie powinny by ani w krawieckim, ani we fryzjerskim względzie kobiet białych naśladować. Różnią się one od białych nie tylko kolorem ciała, ale i konstrukcją anatomiczną, nadającą ich upostaciowaniu i obliczu wyraz odmienny. Do nich by bardziej aniżeli staniki obcisłe i spódnice ogoniaste przystawały tuniki o barwach krzyczących. Że, co się tego tyczy, powinny one o jakiejś radykalnej pomyśleć zmianie, dowód w tym, że naśladownictwo siostrzyc białych ku tym ostatnim, nie ku nim, zwraca zapędy czarnych Don Juanów, tak często z tego powodu linczowanych oraz nierzadko na szubienicach, za wyrokiem sądów regularnych, żywoty kończących. Gdyby się odpowiednio odziewały, przypuszczać należy, iżby u nóg swoich nie tylko czarnych, ale może i białych Don Juanów miewały. Nawet w wełnie na głowie do twarzy by im było bardziej, aniżeli w warkoczach, w grzywkach i w chmurkach. [...]

[2] Szlarka – lamówka albo falbanka stanowiąca wykończenie brzegu sukni lub czepka.

Po Nowym Jorku, Buffalo, Chicago i innych ludzkich mrowiskach Waszyngton sennym mi się wydał grodem – sennym, ale prześlicznym. [...]

Biały Dom jest to rezydencja czteroletnia każdorazowego Stanów Zjednoczonych prezydenta – dostojnika z władzą obszerniejszą, aniżeli była władza królewska w Rzeczypospolitej Polskiej, posiadającego znaczenie polityczne wyższe niż znaczenie monarchów drugorzędnych, jakimi są cesarze niemiecki i austriacki, sułtan turecki, król włoski etc. [...]

Wnijścia do rezydencji naczelnika rządu nie wzbronił nam nikt. Wkraczaliśmy w progi prezydialne w przeświadczeniu o nieobecności pana McKinleya[3] w stolicy. Odźwierny wyprowadził nas z błędu, co stanowiło przeszkodę w zwiedzeniu rezydencji we wszystkich szczegółach.

– Niedostępne są nam komnaty mieszkalne... – zauważył szanowny mój przewodnik. – Ale przyzwoitość nakazuje złożyć karty nasze wizytowe...

Złożyliśmy przeto (pułkownik J. Smoliński i ja) karty nasze i poszliśmy po salonach chodem powolnym, zatrzymując się tu i ówdzie wobec ozdób i malowideł zapełniających komnaty. Przeszliśmy w sposób ten komnat kilka, gdy na spotkanie nasze nadszedł młody człowiek z oświadczeniem, że: „Prezydent prosi".

– Wzgląd szczególny... – szepnął pułkownik Smoliński.

Młody człowiek ofiarował się nam na przewodnika i, po przejściu komnat kilku, wprowadził do gabinetu, w którym nas oczekiwał prezydent.

[...] Po powitaniu zapytał, jak współziomków moich w Stanach Zjednoczonych znalazłem. W odpowiedzi mojej powiedziałem, po com przyjechał i jak się do wychodźców polskich w Stanach Zjednoczonych we względzie politycznym odnoszę.

– Domagam się od nich – rzekłem – ażeby, wiernie przybranej służąc ojczyźnie, nie zapomnieli o pierwotnej, szarpiącej się w więzach niewoli potrójnej...

– Uznaję to... – odrzekł McKinley z gestem odpowiednim i z uśmiechem życzliwym. [...]

Opowiadano mi o nieprzyjemnościach, na jakie się przybysze narażają, zanim nabiorą nawyku do stosowania się do praw i porządków miejscowych, zwłaszcza we względzie stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą. W Polsce, we wszystkich trzech zaborach, przewaga znajduje się po stronie męskiej – przewaga łagodzona zwyczajem w sferach towarzyskich wyższych, prawie nieograniczona w niższych. Bijanie, *vulgo* „pranie", bab przez mężów uważa się za rzecz zwyczajną. Mężowie nie przypuszczają, ażeby im nie wolno być miało kobiet ich wygrzmocić od czasu do czasu. Z wyobrażeniem tym

[3] William McKinley (1843–1901) – prezydent USA w latach 1987–1901.

przybywają do Ameryki i doświadczenie – niekiedy gorzkie – naucza ich, że wolność w Ameryce jest we względzie tym niewolą. Mąż nie tylko ręki na żonę podnieść nie ma prawa, ale żona do odpowiedzialności pociągnąć go może nie tylko za bicie, ale nawet za stosowanie do niej wyrazów obelżywych. W ogóle w stanach, wchodzących do składu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, mężowie za przekroczenia tego rodzaju karani bywają grzywną i dłuższym lub krótszym więzieniem. Istnieje jednak stan jeden – Delaware czy Maryland – w którym kara cielesna nie została jeszcze zniesiona.

Zamieszkały w stanie owym Polak pewien żonę swoją, nie z potrzeby, ale z przyzwyczajenia, bijał często. Znosiła to biedna kobieta, żaliła się przed kumoszkami, i te doradziły jej, ażeby na męża swego wzięła *warrant*, to jest ażeby na niego wniosła skargę, pociągającą areszt za sobą. Posłuchała rady tej. Mąż aresztowany – oddany został pod sąd i skazany na tyle a tyle miesięcy więzienia, przeplatanego w każdym tygodniu rózgami, wymierzanymi mu w ilości oznaczonej, i wystawianiem go raz na tydzień pod pręgierzem na środku miasta. Gdy się o wyroku takim dowiedziała, babę rozpacz ogarnęła. Chciała męża od kary wyprosić, gubernatorowi u nóg się włóczyła. Nie pomogły płacze, prośby. Mąż karę w całości odcierpiał. [...]

W żadnym innym stanie kara cielesna nie istnieje. Niebezpieczeństwo jednak ze strony prawnej w całej unii północnej grozi istotom płci męskiej nie tylko ożenionym, ale i w stanie kawalerskim pozostającym. Grozi im niebezpieczeństwo z tego względu, że stan nietrzeźwy wobec prawa nie służy ani za wymówkę, ani też za okoliczność łagodzącą w razie, gdy kto bądź zobowiązanie jakie poweźmie, bądź występku się dopuści. Pijaństwo, samo przez się jako występek w kodeksach stanowych zaznaczone, zobowiązania potęguje, występki powiększa. Biada przeto młodzieńcowi, co by po pijanemu – przy świadkach notabene – pannie o rękę się oświadczył i po trzeźwemu słowa nie dotrzymał! Panna wyjmuje *warrant*, młodziana aresztują, sądzą i w razie jeżeli, mimo świadkami dowiedzione mu oświadczenie, kawaler pojąć pannę za małżonkę się wzbrania, patrolką go do sądu przywożą, księdza sprowadzają i ślub mu dają. Płeć mocna więc, do stanu małżeńskiego sposobna, mocno na baczności wobec płci słabej w Stanach Zjednoczonych mieć się musi. [...]

W ogóle w słuch mi wpadało kaleczenie mowy polskiej w pokoleniu młodym akcentem, w starym – wtrącaniem zwrotów lub wyrazów angielskich. Na przykład: „kużdy jeden" zamiast „każdy"; *lot* – kawałek gruntu na dom z ogródkiem, *blok* – dział kwadratowy w mieście, *warda* – dzielnica, *kierydż* – kareta, *kara* – tramwaj itd., itd. [...]

Szedłem, dokąd mnie wzywano. Polacy rzetelni, patrioci niepodejrzani, przyjęli mnie, ugościli i Ojczyznę, w srogiej pozostającą potrzebie, wspierać przyrzekli. Z przyrzeczeniem tym, w przekonaniu, że się ono w czyn zmieni i potrwa, póty Polska wolności nie odzyska, wracam do Europy, niosąc słowa otuchy tym, co na gruncie polskim sprawy polskiej z narażeniem mienia, wolności i życia bronią. [...]

Zygmunt Miłkowski, *Opowiadanie z wędrówki po koloniach polskich w Ameryce Północnej*, Paryż: „Goniec Polski", 1902, fragmenty

1903

Wacław Sieroszewski (1858–1945)

Obcy jest taki jak ja

Być może na jego życiu zaważyło wydalenie z piątej klasy gimnazjum w Warszawie za udział w spisku przeciw rosyjskiemu zaborcy.

Uczył się potem na ślusarza, a jednocześnie kolportował nielegalne druki, co skończyło się aresztowaniem. W więzieniu zadał się z buntownikami i dostał osiem lat katorgi. Ze względu na młody wiek zamieniono mu ją na zesłanie do wschodniej Syberii. Ale na zesłaniu też był niepokorny – skazano go na dożywotni pobyt w okolicach podbiegunowych, gdzie mieszkały plemiona Czukczów, Tunguzów i Jakutów. Tam właśnie – jak pisze w szkicu o Sieroszewskim Artur Hutnikiewicz – wśród najbardziej nieprzychylnych warunków, w zaduchu jakuckiej jurty, przy słabym blasku tlącego się ogniska zaczął spisywać na skrawkach gazet atramentem sporządzonym z palonej kory swoje pierwsze nowele i opowiadania, które następnie przekazywał „okazją" do kraju.

Jego monografia *Dwanaście lat w kraju Jakutów* wydana w 1900 roku przyniosła mu uznanie nauki rosyjskiej i uwolnienie. Wrócił w nagrodę do Warszawy, jednak nie na długo. Znów musiał przymusowo jechać do dalekiej Rosji:

> Wyprawa moja na „Daleki Wschód" miała mocno „polityczny" początek. W roku 1900 u prof. Korzona żandarmeria rosyjska znalazła w czasie rewizji jakiś niefortunny list, gdzie wymienione były nazwiska Stefana Żeromskiego i moje. Na podstawie tego listu oskarżono nas ni mniej, ni więcej jak o zorganizowanie wspaniałego pochodu robotniczego dookoła pomnika Mickiewicza w dniu jego odsłonięcia oraz przypisano nam autorstwo płomiennej z tego powodu proklamacji. Pochód istotnie był wspaniały, a proklamacja bardzo piękna, lecz twórcami ich byli Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski. Żandarmeria jednak tak była zachwycona jej „stylem", że uparcie dowodziła, iż pisać ją musiał jakiś literat. Zostałem więc osadzony w cytadeli, a Żeromskiego ocalił jedynie krwotok, jakiego dostał w tym czasie. Zostałem wypuszczony za kaucją pod nadzór, lecz śledztwo ciągnęło się długo, wreszcie po roku doszło do mnie, że będę musiał „wrócić" do ojczyzny (*na rodinu*), to jest do Irkucka, gdzie po spędzeniu dwunastu lat w kraju Jakutów i trzech w Irkucku zapisano mię do ksiąg mieszczaństwa.

Nie uśmiechał mi się ten „powrót do Ojczyzny". Zwróciłem się więc z prośbą o pomoc do senatora P. Siemionowa, wiceprezesa Petersburskiego Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu, którego to towarzystwa byłem członkiem. Siemionow już raz wyrobił mi był prawo powrotu do Polski, wbrew oporowi Ochrany za napisanie monografii o Jakutach nagrodzonej złotym medalem Tow. Geogr. Mój dostojny protektor obiecał uczynić wszystko, co będzie w jego mocy, i w tym celu kazał sobie przedstawić moją sprawę. Po kilku dniach oznajmił mi ze smutną miną, że nic zrobić nie może, że [...] „żandarmeria tutejsza bardzo jest zawzięta na rodzinę Sieroszewskich i nie bez powodu". Tu pokazał mi wypis z Ochrany, gdzie, poczynając od dziada Kajetana, szwoleżera 1812 roku i oficera wojsk „insurgenckich" z trzydziestego roku, wyliczeni byli wszyscy „buntownicy" Sieroszewscy: stryjowie i ojciec mój w sześćdziesiątym trzecim roku, dwie siostry rodzone i brat stryjeczny w osiemdziesiątych latach, wreszcie ja sam w tym wianku scharakteryzowany jako *osobo uporstwujuszczij* i niebezpieczny. Czułem się „zdruzgotany".

– No, to nici... My zrobimy tak... – pocieszył mię zacny senator, widząc moje zmartwienie. – My interesujemy się obecnie Dalekim Wschodem. Zorganizujemy panu do spółki z Akademią Nauk ekspedycję do Ajnów... Jest takie plemię na północnych wyspach Japońskiego Archipelagu, ciekawe plemię kosmatych ludzi, bardzo podobnych do naszych chłopów... Pan tam pojedzie na rok albo dwa, przywiezie pan materiały, opracuje je... Wydamy książkę i znowu dostanie Pan za nią powrót do Ojczyzny. [...]

Co miałem robić?!... Po paru dniach namysłu i walki z sobą, gdyż przykro mi było rzucać świeżo założoną rodzinę i przed ledwie paru laty odzyskaną Ojczyznę, zgodziłem się, postawiwszy za warunek, że będzie mi dodany do pomocy nie kto inny jak Bronisław Piłsudski, starszy brat marszałka Piłsudskiego, przebywający naówczas na Sachalinie w charakterze zesłańca politycznego. W ten sposób ekspedycja nabierała cech całkowicie polskich i w dodatku B. Piłsudski władał doskonale ajnoskim językiem i był bardzo wśród Ajnów popularny, gdyż ich wspierał, bronił i otaczał opieką. Tytułowano go nawet żartobliwie „królem Ajnów". Warunki moje zostały przyjęte i po półrocznych wstępnych studiach udałem się w podróż przez Mongolię, Mandżurię, Chiny do Japonii.

Efektem badań Wacława Sieroszewskiego nad Ajnami była książka *Wśród kosmatych ludzi*, wydana już w wolnej Polsce (1927), ale samą podróż opisywał w 1903 roku w korespondencjach do „Tygodnika Ilustrowanego".

Najważniejsze jego powieści powstały wiele lat później. Był – jak podkreśla Hutnikiewicz – ojcem polskiej powieści przygodowej, pierwszym polskim pisarzem prawdziwie egzotycznym, pierwszym polskim marynistą i jednym z najbardziej rasowych epików. Do Obcego (Innego) w każdym swoim dziele podchodził jednakowo:

> W kolorowym mieszkańcu dalekich lądów widział zawsze człowieka, takiego jak on sam.

Przez Syberię i Mandżurię do Japonii. Kartka z podróży

Zagrzebani w śniegu

Znalazłem się sam nie tylko w przedziale, ale i w całym wagonie. Zdaje się, że pierwszą klasą nikt tu nie jeździ. Konduktor obejrzał bilet i gdzieś się podział. Pociąg monotonnie zadudnił po przemarzłych podkładach i szynach. Brzęczały szyby, zgrzytały kiedy niekiedy hamulce, podzwaniały łańcuchy, pociąg gwizdał, stawał, znowu ruszał, jęczały dzwonki, migały światła stacyjne... ale wszystko to były dźwięki zewnętrzne, nienaruszające zupełnie osamotnienia mojego wagonu. Czuję się niby w szklanej trumnie, w rzęsiście oświetlonym, wydłużonym pudle, wleczonym przez „żelaznego smoka".

Chodzę po wąskim korytarzyku, zaglądam do pustych przedziałów, gdzie błyszczą martwo lustra i złocone brązy, wodzę wzrokiem po pustych siatkach, po firankach trzęsących się od ruchu pociągu. Jest coś tajemniczego we wszystkim, co jest związane z podróżą, tym symbolem życia, gdyż nawet ci, którzy siedzą na miejscu, wciąż przecież dokądś dążą i szukają czegoś, i nigdy nie są pewni jutra.

Ile złoconej nędzy, występku, rozpaczy, ile tęczowych marzeń i nadziei, ile ambicji, wyrachowania lub bolesnej na wszystko obojętności przewiozły te wygodne chwilowe więzienia?...

Ogarnął mnie letarg podróżniczy, a następnie senność. Wołam na posługacza, aby mi przygotował posłanie, lecz ani znaleźć go, ani dowołać się go nie mogę. Wówczas przypominam sobie rady przyjaciół: „Wystrzegaj się jeździć samotnie w przedziale pierwszej klasy". Na domiar przypominam sobie, że istotnie czytałem niedawno w gazetach o bandzie kolejowych opryszków, operujących gdzieś w tych miejscowościach. Rad nierad otwieram kuferek i wyjmuję rewolwer, a klamkę drzwi przywiązuję mocno do jakiegoś haczyka. Słyszałem później w nocy, jak się ktoś dobijał; pewnie konduktor albo kontroler, ale nie otworzyłem. Trudno: uprzejmość moja nie mogła przezwyciężyć wstrętu do zimnej podłogi.

Sznurek okazał się dobrym wynalazkiem, zwykłe zamknięcie na klameczkę wcale nie zabezpiecza. W moich oczach jakiś jegomość, chcąc się dostać do zamkniętego przedziału, wyjął z kieszeni zwykłe, płaskie szczypce i zamek otworzył. W nowych syberyjskich wagonach są już wszędzie łańcuszki i chociaż rzezimieszkowie przecinają je z łatwością, ale bądź co bądź jest to przeszkoda... W starych wagonach śpiący pasażer jest zupełnie na łasce służby

kolejowej i złodziei... Wciąż na liniach wschodnich i syberyjskich słychać skargi na kradzieże. Zdarzają się nawet morderstwa.

Ale samotność ma w podróży wiele też uroku. Zamiast więc szukać uciążliwego towarzystwa, nauczyłem się barykadować drzwi. Używałem do tego stolika, który doskonale mieścił się we framudze i naciskał na klamkę.

Obudziłem się nazajutrz o wschodzie słońca. Wokoło rozścielała się bezkresna, zaśnieżona równina. Tu i owdzie, niby blade obłoczki, szarzały gaje i smugi brzeźniaku; nad nimi, na zachodzie, wisiał na szafirowym niebie blady sierp młodego księżyca. Pociąg, ciężko dysząc, leciał ku słońcu, które wielkie i czerwone to wychylało się, to nikło w kłębach różowego dymu lokomotywy. Biegliśmy pod wiatr, więc dym owijał nas wciąż niby welon. I dzień następny, i noc pociąg leciał przez zaśnieżone stepy. W dali majaczyły tu i ówdzie wioski szare, niskie, przytulone do ziemi jak stada zziębłych kuropatw. Liczne wiatraki świadczyły o żyzności ziemi, lecz... pomimo wiatru skrzydła ich tkwiły nieruchomo w błękitach. Może nie miały co mleć w tym roku, a może wiatr był dla nich za silny.

Istotnie wiatr w miarę posuwania się pociągu na wschód wzmagał się, nabierał cech wichury.

W Samarze za radą generała, który znał dobrze te okolice, zrobiłem zapas żywności.

– Może się panu uda szczęśliwie... przeskoczyć przez nasz Złatoust, ale... zawsze lepiej mieć coś z sobą!

Na stacji dużo gadano o wypadku, który zdarzył się niedawno (28 lutego) na uralskiej przełęczy. Pociąg spadł z nasypu i według sprawozdań gazet było pięćdziesięcioro rannych i kilku zabitych.

Droga między Syzraniem a Złatoustem uważana jest za najgorszą i najniebezpieczniejszą w całej Rosji. Ciągle zdarzają się rozmaite wypadki.

Podróżni przygotowywali się do przebycia tej części drogi jak do jakiej wojennej wyprawy.

Miałem już w wagonie współtowarzyszów. Wprawdzie generał wysiadł w Samarze, ale natychmiast damski przedział zajęła jakaś dystyngowana Angielka.

We dnie wiatr przycichł i pędziliśmy wesoło wśród słonecznych kryształowych błękitów, podziwiając zaspy śniegu namiecione przez niedawną zawieję. Tydzień temu wstrzymała ona na dwa dni w tym miejscu cały ruch pociągów. Zupełny bezruch powietrza budził w nas nadzieję, że się nam uda przemknąć szczęśliwie przez fatalne miejsce. Mróz skrzył się smugami brylantów na pooranych przez wichurę śniegach. Zbielałe od sadzi drzewa

stały spokojnie w swym muślinowym ubiorze. Lecz palacz z naszego wagonu, spytany o pogodę pokręcił głową.

– Kto ją odgadnie... pogodę?... Ona przebiegła... czasem się jeno przyczai...

Z pewnym niepokojem spoglądałem na skamieniałe stepy i chwilami wydawało mi się, że rysy ich już drgają.

Jeszcze nie drgały naówczas, ale pod wieczór lekkie podmuchy zaczęły mieść śnieg pod koła. Grajcarki białej kurzawy wzlatywały z czubów wydm, lecz opadały natychmiast leniwo. Step budził się. Wiatr się zmienił, gonił teraz za nami jak gdyby igrał: chwytał dym lokomotywy, kotłował go po polach, zwiewał w bok lub obrzucał nas tumanami iskrzącej się w słońcu kurzawy.

Zorza wieczorna zagasła w purpurowych chmurach.

Nazajutrz obudził mnie niezwykły bieg naszego pociągu. Szarpał, trząsł się i stukał kołami, jak gdyby miał szczerą chęć wykoleić się wkrótce. Wiatr gwizdał zuchwale i rzucał coraz gęstsze obłoki śniegu na uciekające wagony. Na jednej ze stacji dodano nam drugą lokomotywę. Niewiele to pomogło: pociąg utykał coraz widoczniej. Nareszcie wstrząsnął się, stanął i zaczął przeraźliwie gwizdać. Wyjrzałem z wagonu, okolica tonęła w mlecznej, ryczącej wichurze. Pociąg szarpnął jeszcze kilka razy, po czym znieruchomiał na długo. Wewnątrz i na zewnątrz niego rozległy się trwożne głosy, w kłębach śnieżycy zaczerniały cienie ludzi. Ubrałem się i ruszyłem na wywiady. Zaniepokojona Angielka wyglądała przez okno. Wichura w mgnieniu oka przejęła mój jesienny paltot, zaczęła ziębić mnie i szczypać. Zaciekawiony brnąłem jednak przez zaspy ku przedniej lokomotywie. Tam ruszała się gromadka ludzi. Byli to robotnicy kolejowi.

Mało jednak pracowali; oparci na łopatach lub zasłaniając się nimi jak wachlarzami od wiatru, utyskiwali na zimno, wichurę i... drogowego technika. Urzędnik ze znaczkiem na czapce coś głośno rozkazywał, ale nie bardzo go słuchano. Wiatr chwytał rozkazy i unosił w stronę przeciwną: trudno było go przekrzyczeć, a łatwo nań spędzić, że się nie słyszało. Lokomotywa co czas jakiś gwizdała, z tyłu odpowiadała jej towarzyszka, po czym maszyna zaczynała ciężko oddychać, jak człowiek skupiający siły, jej tłok, korby i koła ruszały się z początku wolno, potem coraz szybciej i szybciej.

Daremne wysiłki: jej tułów, wielki, zakopcony, zaśnieżony, nie posuwał się na krok, wiatr tymczasem potężniał, mrok zapadał, choć w istocie był przecież poranek. Leciał on nie z nieba jak zwykle, lecz z ziemi i był jakiś mętnobiały, martwy, przerażający. Nieduża z początku zaspa przed lokomotywą wkrótce sięgnęła jej do osi. Robotnicy choć wzięli się szczerze do łopat, nie zdążali odrzucać śniegu. Wiatr chwytał go i ciskał na powrót. A była go w powietrzu

taka obfitość, że najbliższe przedmioty przeświecały przezeń słabo jak przez mleczne szkło.

Naczelnik pociągu kazał podzielić pociąg na kilka części w nadziei, że mu się uda go przeprowadzić przez zaspę częściowo, po kilka wagonów.

Z wielkim mozołem przeciągnięto wagon pocztowy, następne próby poszły jeszcze oporniej. Wagony zasypane były aż po stopnie. Rozwiała się nadzieja odkopania ich, można je było jedynie przeciągnąć przez zaspy. Lokomotywy jęczały od wysiłku, lecz praca okazała się nad ich siły. Mroźny wiatr zwiewał ciepło i osłabiał je, lecący zewsząd śnieg zalepiał otwory, wypełniał szpary i przeloty, topniał, chłodził kocioł i spływał na dół, gdzie znowu zamarzał, tworząc duże sople lodowe, rosnące jak stalaktyty i stalagmity między ziemią a członkami stalowych olbrzymów, wkrótce gęsta i mocna sieć nici lodowych łączyła maszynę z ziemią. Trzeba ją było wciąż obijać i niszczyć, a ona wciąż powstawała na nowo. Kłęby dymu, pary, chrapliwe świsty, przejmujące chrapanie maszyny, brzęk szarpanych łańcuchów, łoskot uderzanych buforów, sprawiały wrażenie strasznej agonii wlepionego w śniegi pociągu. Ponad tym wszystkim unosiło się wściekłe wycie rozwydrzonej zamieci. Do tumanów lecącego z dołu śniegu dołączyły się obłoki padającego z góry. Świat cały znikł w białej chmurze, w której długi nasz pociąg ginął jak mała kruszyna.

Przejmujące zimno zmusiło mnie, bym schronił się do wagonu. O tak! Była to zamieć nieustępująca bynajmniej „purgom”[1] Oceanu Lodowatego! Wśród podróżnych wszczął się popłoch. Służba kolejowa traciła głowę. Jeszcze raz z wielkim wysiłkiem spróbowano przewlec jeden wagon z podróżnymi, lecz po kilku stajaniach wagon wykoleił się i zamknął ostatecznie drogę.

Wtedy odczepiono tylną lokomotywę i posłano ją na powrót na stację po pomoc.

– Czy aby dojdzie? – szeptali konduktorzy.

Zbliżał się wieczór.

W pociągu zawrzało. Głodni podróżni poczęli się burzyć.

– Naczelnik!... Gdzie naczelnik pociągu?! – wołali, snując się po wagonach.

– Uciekł na lokomotywie na stację!

– Ależ nie! Siedzi w służbowym wagonie i zapija herbatę!

– Pójdźmy do niego. Nic w ustach nie miałem od rana.

– Co to będzie, gdy zabraknie opału? Zmarzniemy!

Gdy procesja wzburzonych podróżników wtłoczyła się do służbowego wagonu, naczelnik pociągu, młody inżynier, bardzo się zmieszał.

– Cóżem ja winien? – tłumaczył się.

[1] Purga – występujący na Syberii gwałtowny wiatr północno-wschodni z zamiecią śnieżną.

– Co nas to obchodzi! Chcemy jeść i nie chcemy zmarznąć. Dlaczego było mało ludzi na drodze? Dlaczego ich dotychczas nie ma? Pan chciał rzucić nas i uciec... Pan zapija herbatę, kiedy nasze żony i dzieci... nie mogą doprosić się łyka wody gorącej...

– Posłałem na stację po pociąg ratunkowy.

– Czy pan zaręczy, że dojedzie?

Inżynier ruszył ramionami.

– Tego nikt nie wie i przewidzieć nie może. Kazałem przygotować wody gorącej, lecz niech panowie oszczędzają opału, gdyż mało go mamy.

– A co? A co? Zmarzniemy! Zamrożą nas żywcem! Co ci kolejarze sobie myślą!?

Inżynier w milczeniu wycierał pot z czoła.

– I w podobny sposób krzywdzą ludzi, którzy zapłacili swoje pieniądze! – srożył się jakiś cięty trochę jegomość w lisim futrze.

– Panowie, niechby nas wszystkich przeprowadzili do jednego wagonu dla zaoszczędzenia opału – proponował inny w bobrowej czapce.

– Zwariowałeś pan? Cały pociąg do jednego wagonu?

– Więc do dwóch.

– A kobiety?... Przecież spać trzeba.

– Będzie cieplej.

– Pociąg ratunkowy przywiezie żywność i opał – znów spróbował uspokoić wzburzonych inżynier.

– Nie zawracaj pan głowy! Żaden pociąg w taką zamieć nie dojedzie!...

Na chwilę głosy ucichły jak gdyby dla wysłuchania odpowiedzi burzy. A burza wyła, huczała, gwizdała, przewalała potoki śniegu ponad wagonami, przewiewała je między kołami, zatykając coraz szczelniej wolne otwory i przedziały. Oddech jej lodowy sięgał nawet głębi wagonów i kołysał blade płomienie świec i lamp.

– W każdym razie proszę... drzewa i świec oszczędzać...

– Panie, jadę z żoną i nic myślę siedzieć w ciemnościach. Kupiłem trzy bilety, aby mieć oddzielny przedział. Teraz słyszę o jakimś projekcie pomieszania wszystkich klas – gadał gruby jegomość w lisim futrze.

– Pan myśli, że to żarty. My tu panu przyślemy nasze kobiety. Niech pan z nimi pogada! – groził inny.

Inżynier, który na pozór popadł w zupełne odrętwienie, nagle ożył.

– Wszystko będzie! Niech się panowie uspokoją! Każę zapalić wszystkie lampy. A jeżeli nie starczy opału, to rozbierzemy budkę najbliższego dróżnika.

Mężowie odeszli ułagodzeni. Jeden z nich tylko huczał dalej, niby bąk puszczony w ruch zbyt silną ręką.

– Co panowie im wierzycie! Szelmy, łotry, wyzyskiwacze... Umyślnie wsadzili nas w zaspę... Dla nich to żniwo... gratka! Kto policzy koszta odkopania? Kolej zapłaci, ile podadzą, a podadzą, co im się żywnie podoba! Ilu ludzi pracuje na linii? Może trzystu, a może trzydziestu?... Kto ich porachuje? Ile im zapłacono? Może dano im po pół rubla, a może i po dwa?... Znam ja te zaspy dobrze, sam byłem kolejarzem... Każda taka zamieć to złota żyła... Głupi chyba nie pociągnie... A że nam źle, co ich to obchodzi?... Co ich obchodzi! Rekiny, mówię panom... Ale ja nie dam się skrzywdzić!...

Ten rezolutnie przeniósł się z trzeciej klasy do pierwszej i został moim sąsiadem. Nie miałem czasu jednak słuchać jego gadania, gdyż musiałem śpieszyć na pomoc sąsiadce. Wyglądała na bardzo strapioną. Nic nie jadła i nie żądała nawet wody gorącej na herbatę. Ofiarowałem jej do rozporządzenia moją zaopatrzoną jako tako w Samarze spiżarnię i wkrótce piliśmy wesoło wcale niezłą herbatę z wody śniegowej na małym stoliczku, nawet nakrytym serwetą.

Właśnie opowiadała mi o niepokoju, jaki wywołać musiało jej opóźnienie, gdy rozległ się łoskot i wagon potoczył się jak pijany. Imbryki z wodą gorącą spadły na siedzenie, pudełko z biszkoptami na ziemię, Angielkę odrzuciło w jeden kąt, a mnie w drugi. Uderzenie powtórzyło się jeszcze kilka razy, ale było już słabsze, po czym rozległ się gwar, który górował nawet nad rykiem zamieci. Angielka już przyszła do siebie: nie potrzebowałem jej ratować. Skoczyłem więc do swego przedziału, skąd rozległ się wielki trzask w czasie wstrząśnienia; obawiałem się o żelazne pudło z przyrządami i apteczką. Były tam prócz tego naboje, eter oraz inne wybuchające i łatwo zapalne substancje.

Widok, który ujrzałem, przeraził mnie: pudło leżało na ziemi, dnem do góry. Spadając, wywaliło drzwi, i gdybym był wówczas w przedziale, niechybnie by mnie zabiło, ważyło bowiem przeszło sto kilo. Ale wewnątrz pudła panowała pocieszająca cisza. Nic nie syczało, nie swędziło. Ostrożnie postawiłem je wiekiem do góry i otworzyłem. Dzięki szczelnemu upakowaniu nawet szkiełko żadne nie pękło.

Odetchnąłem i pobiegłem dowiedzieć się, co znaczył hałas. Okazało się, że przyszła lokomotywa, którą posyłano na stację. Przerzynając się przez zaspy, nie umiarkowała biegu, wpadła na nas, połamała pierwszy na drodze wagon i wyrzuciła go z szyn. Zostaliśmy więc zakorkowani z dwóch stron przez wykolejone wagony. Zamieć śpiewała nad nami hymn zwycięski. Zaspy u niektórych wagonów sięgały platformy.

Zapadała noc. Mleczny, ruchomy, lodowy wir mętniał wokoło i czerniał. Czarne zarysy pociągu zlały się z ciemnością. Rząd oświetlonych okien wydawał się zadusznymi lampkami, palącymi się na opuszczonym grobowcu. Przybyła lokomotywa ciężko wydychała nagromadzoną parę. Krwawa łuna naftowych pochodni biła od połamanego pociągu daleko na smugi lecących chyżo, jakby ścigających kogoś płateczków śniegu, na figury ludzi, kupiących się tam...

Krzyczeli i klęli.

Byli to robotnicy. Zbuntowali się i wypowiedzieli posłuszeństwo.

– Każdemu życie miłe! Nie będziemy dziś robili... Ciemno!... Zmarzliśmy... Nie pójdziemy!... – wołali.

– Odkopcie choć lokomotywę, żeby wróciła na stację.

– Nie! Niechaj stoi!... Każdemu miłe życie...

– Nie zapłacę wam za dziś ani grosza!

– Zawsze nas okpiwacie! Obiecujecie rubla, a dajecie pół... Po śmierci niepotrzebne nam pieniądze. Chodźcie, chłopcy, niech maszyna stoi... Dosyć z nas nadrwili...

– Zaraz bierzcie się do lokomotywy. Inaczej nie puszczę was do wagonu i zmarzniecie w polu! – wołał inżynier, siląc się przekrzyczeć i wiatr, i ludzi.

– Ho, ho! Samy... chody... Wagon łamaj! – odpowiedzieli mu robotnicy z porywami burzy.

Byli to przeważnie Tatarzy, Baszkirzy, Czeremisi. Wywijali łopatami, wydawali gardłowe dźwięki; ciemne, kanciaste ich twarze groźnie migały w krwawo zabarwionej pochodniami zamieci.

Wichura tak szalała, że nie mogłem doczekać się końca tej sceny; odzież moja zamieniła się w ciężki, nabity śniegiem pancerz, śnieg dostawał się już do żywego ciała. Schowałem się czym prędzej do wagonu, dowiedziałem się jednak, że robotnicy postawili na swoim i nie odkopali lokomotywy. Dopiero nazajutrz rano posłano ją po żywność i opał. Wróciła po kilku godzinach, razem z pociągiem ratunkowym. Zaspy u naszego pociągu miejscami sięgały już okien. Długi, czarny, nieruchomy, wyglądał on w bladych kłębach zamieci jak smok zawiany w stepie. Dokoła niby stada kawek uwijały się tłumy robotników.

Pasażerowie po źle spędzonej nocy wylegli orzeźwić się świeżym powietrzem. Zamieć szalała po dawnemu, lecz zdawało się, że ruch, który zawrzał dokoła, osłabił jej potęgę. Gromady chłopów w zlodowaciałych kożuchach, w futrzanych, nabitych śniegiem czapach, z osędziałymi brodami i wąsami, istne wcielenie synów zimy, bodły łopatami i drągami góry ubitych wiatrami zasp.

Saneczki zaprzężone w nieduże, kosmate koniki odwoziły na stronę rozbite grudy. W szańcach zamieci tworzyły się duże wyłomy, lecz wiatr nie ustępował i z wężowym świstem wściekle dął w te właśnie szczeliny. Ludzie ryli wytrwale nory w śnieżnej kurzawie, uwijali się pod kołami pociągu, wśród zlodowaciałych hamulców, oskrobując osie, koła i łańcuchy.

Po kilkunastu godzinach takiej pracy zaspy zostały przebite; odkopany pociąg pod ochroną wciąż poruszających się łopat, stał w głębokim przekopie jak w tunelu. Ale dwie lokomotywy jeszcze nie mogły go stamtąd wydobyć. Dopiero gdy przybył drugi ratunkowy pociąg, pociągnięto nas z jego pomocą na powrót na stację.

Podróżni, pełni radości, rzucili się do bufetu po żywność, gdyż ta odrobina, jakiej dostarczały ratunkowe pociągi, nie mogła nas zadowolić i głód dawał się już we znaki. Zwłaszcza cierpiała klasa trzecia, ale klasa trzecia składała się z ludzi, którzy przyzwyczajeni byli cierpieć i milczeć. Jak dotychczas protestował jedynie „stan trzeci", klasa druga. Klasa pierwsza, składająca się z Angielki i ze mnie, siedziała cicho, gdyż prócz filozofii posiadała jeszcze spory zapas sucharów, chleba, biszkoptów oraz innych przywilejów. Ale po przybyciu na stację nawet pierwsza klasa szemrać zaczęła w imię ludzkości.

Na stacji nic nie przygotowano dla podróżnych, ani łyżki strawy gorącej. Wydawano jedynie, z miną wielce łaskawą, za kwitkami po kawałku czerstwego chleba, kiełbasy starej i cuchnącej i równie starego sera. Herbatę i cukier sprzedawano za grubą gotówkę, choć, jak się okazało, według przepisów kolejowych każdy podróżny miał prawo w trzeciej klasie na rubla strawnego, w drugiej klasie na dwa, a w pierwszej na trzy ruble dziennie. Nikt z nas jednak o tym prawie nie wiedział i każdy płacił chętnie, byle coś dostać.

Urzędnicy kolejowi uciekali od podróżnych jak od morowej zarazy i kryli się gdzieś po dziurach, że znaleźć ich było bardzo trudno. Nagabywani twierdzili, że to nie ich rzecz, że oni są „od ruchu", wreszcie od kół, wagonów, biletów, i odsyłali głodnych do kogoś, kogo właśnie nie było.

Angielce, która energicznie na nich napadła, podano kotlet... Ja zaś wolałem na ustroniu przyglądać się spokojnie naturalnemu biegowi rzeczy.

Niebezpieczeństwo już nie groziło nikomu, a obronę „praw człowieka" wziął na siebie „stan trzeci". Błądziłem wśród gromady wilgotnych, zziębłych cyklopów, którzy nas przed chwilą wyrwali z uścisków burzy. Gęsto wypełniali salę stacyjną, a para ich oddechów, zapach machorki, przałych[2] kożuchów, niezmienianych kilka dni onuc, czynił pobyt wśród nich dość przykrym. Znowu burzyli się. Żądali wódki, żądali większej liczby pustych

[2] Przały – zaparzony, butwiejący.

wagonów, aby mogli się tam ogrzać, osuszyć i wyspać. Dano im wódki, lecz o wagony wynikł zatarg.

Druga klasa tymczasem wpisywała „protest" do księgi zażaleń. Był to manifest bezwarunkowo godny końca osiemnastego stulecia. Dobrze, że choć z błahego powodu ludzie mogą czasem powtórzyć wielkie wyrazy! Podpisałem go chętnie, ale przed podpisaniem musiałem pokazać swój bilet kolejowy. Na tej małej, zasypanej śniegiem stacyjce wywołał on wrażenie nieoczekiwane. Żandarm, zwracając go, salutował mi z wielką paradą, a autorzy protestu nie taili swego zadowolenia. Słyszałem, jak szeptali: „Podróżnik wysyłany przez Akademię do Japonii w niewiadomym celu".

– Biedaczysko! Zabiją go na pewno, gdyż na wiosnę, ani chybił, wojna z Japończykami... Zbyt wiele już sobie pozwalają Japosie!...

– Kto wie jeszcze, czy dojedzie? Chunchuzi[3] w Mandżurii również nie żartują! Niedawno był taki wypadek...

Dalszy ciąg był istotnie okropny, ale na szczęście... fantastyczny. Oddawano mi honory jak skazanemu na śmierć. Zresztą było dość wesoło.

Angielka, zjadłszy kotlet, bardzo się pokrzepiła. Okazała się miłą, ukształconą, dobrze wychowaną osobą. Godzinami gawędziliśmy o Tołstoju, Nietzschem, o współczesnych prądach społecznych i literackich. Była zagorzałą patriotką, choć urodziła się i wychowała w Rosji. Dziwna rzecz: ci Anglicy umieją w szlachetny sposób kochać i cenić swoją ojczyznę, zdaje mi się, że pochodzi to z właściwego zrozumienia przez nich w ogóle narodowości jako czynnika niezbędnego do życia ludzkości. Zauważyłem, że oni szanują jedynie tych, którzy mają... ojczyznę. Jednocześnie wśród Anglików znalazłem największy procent „patriotów" bez szowinizmu.

Nazajutrz sporządzono nareszcie sprowadzoną aż z Samary maszynę do rozrzucania zasp i mimo szalejącą dalej burzę ruszyliśmy naprzód.

„Gramofon" – tak robotnicy przezywali „zaspówkę" („zaspową" maszynę) – szedł przed nami, popychany przez oddzielną lokomotywę. Byliśmy sczepieni z nią łańcuchami, ale mieliśmy dwie osobne lokomotywy. Posuwaliśmy się bardzo wolno, a jednak gdyśmy wcięli się w pierwszą zaspę, uderzenie było tak gwałtowne, iż w pierwszej chwili pomyślałem o... początku końca. Moja towarzyszka zbladła jak śmierć... Przykre uderzenia powtórzyły się i powtarzały wciąż od tej chwili co kilka sążni. Maszyna wrzynała się w zaspę, zatrzymywała, lokomotywa dawała kontrparę, pociąg był odrzucany na długość łańcuchów, a stalowe skrzydła wiatraka puszczone w ruch kruszyły i rozrzucały zaspę.

Robotnicy skrzętnie pomagali, kopiąc przed maszyną wąskie przejście, które ona rozszerzała z łatwością.

[3] Chunchuzi, częściej: hunhuzi – bandy grabieżcze działające w Chinach na początku XX wieku i wykorzystywane w różnego rodzaju rozgrywkach politycznych.

Przedarłszy się przez jedną zaporę, ruszaliśmy wciąż wolno i ostrożnie do następnej. Znów uderzenie, nagłe szarpnięcie w tył, pochylenie się, trzask, drżenie wagonów, co połączone z nadzwyczaj przykrym targaniem pociągu, czepiającego stopniami o boki wąskich przekopów, czyniło przejście przez zaspy ogromnie nieprzyjemnym. Za każdym sygnałowym gwizdnięciem twarze podróżnych nabierały wyrazu ludzi oczekujących na wyrwanie zęba. Rzeczy zlatywały z półek, podłoga kołysała się, ściany wagonów, bufory i haki jęczały. Nikt nie był pewny, czy nie pękną i czy straszne szydła pękniętych wiązań i rozszczepionych belek nie wysuną się nagle z ciemności, godząc w piersi skupionych trwożnie ludzi. Angielka, pomimo odwagi, bladła za każdym razem jak płótno i zamykała oczy. Nie mogłem jej pocieszyć, gdyż obecnie było to dla nas cierpienie nieuniknione... Próbowałem dowieść, że właściwie żadne nie grozi niebezpieczeństwo, lecz... bez skutku.

Dzień cały jechaliśmy trzy mile dzielące nieszczęsne stacje. Na wieczór obiecywano nam bufet i gorącą strawę, lecz mocnośmy się zawiedli. Wprawdzie dostaliśmy na stacji trochę mięsa, ale zimnego i... po bardzo wysokich cenach. Protest klasy drugiej nie pomógł. Sprytni kolejarze od razu zgadli, że żaden z podróżnych nie zna zakresu swych praw, i bardzo zręcznie z tego korzystali; na trzecią klasę krzyczeli z góry, na drugą nie zważali, a mojej Angielce, gdy upomniała się o obiecaną zupę, grzecznie oświadczyli, że intendent pośle natychmiast do sąsiedniego miasteczka po wszystko, czego zażądają podróżni.

Uspokoiła się i poprosiła o kilka jajek i pieczoną kurę. Intendent ukłonił się bardzo elegancko. Były to jednak drwiny. Nikt nic nie dostał i do miasteczka wcale nie posyłano, choć komunikacja z nim istniała, gdyż wielu podróżnych pojechało tam na noc. Widocznie intendent poprzestał na zapisaniu naszych życzeń na podanym kolei rachunku, a o spełnieniu ich zapomniał w wesołym gronie towarzyszów. Zajęli przedział obok mojej sąsiadki i tak hałasowali, że musiałem im zwrócić uwagę. Ale ponieważ nazajutrz droga poszła nam gładko, zasp więcej nie było i pociąg leciał chyżo po wyzłoconych słońcem, malowniczych stokach Uralu, więc z łatwością zapomnieliśmy o drobnych niegodziwościach ludzkich i nawet... o wrażeniach ciał, przeciąganych przez drutownicę.

„Tygodnik Ilustrowany" 1903, nr 27 i 28

1903

Kazimierz Laskowski (1861–1913)

Kataklizm musi być „straszliwy”

Dziś nikt by takiego reportażu o powodzi nie napisał. Reportażu, który każdą informację ma owiniętą w poetyzujący obraz. Reportażu tak patetycznego. Reportażu, który cały jest emfazą.

Kiedy przeglądałem „Tygodnik Ilustrowany” i wzrok mój padł na wyrwane z kontekstu dwa zdania: „Jechałem tymi dolinami łez we trzy dni po największym napięciu kataklizmu, kiedy opadłe nurty odsłoniły w całej nagości pierś nieszczęścia, a wstrząsający obraz zniszczenia roztaczał się w całej pełni. Prawie nie do wiary!”, już wiedziałem, że ten tekst musi trafić do naszej antologii.

Jest nie tylko zapisem nieszczęścia, które spotkało mieszkańców dorzecza Wisły, ale także zapisem tego, jak na początku wieku obrazowano kataklizm w ambitnej prasie. W czasach, kiedy wydarzeń nie można było śledzić na żywo w telewizji. Dziś przymiotniki w takiej ilości, w jakiej używał ich Laskowski, byłyby ponad wytrzymałość wielu czytelników. Wtedy chyba były w tekście tym, czym kolory na fotografii. Nic bez nich nie można było dojrzeć.

O Kazimierzu Laskowskim – poecie, pisarzu i dramaturgu – znaleźć można zaledwie garstkę informacji. Ksiądz prałat Stefan Misiniec w „Tygodniku Salwatorskim” napisał, że należy on do „mniejszych poetów, których życie wypełniała tęsknota za niepodległą Polską”. Urodzony na Kielecczyźnie, po studiach w Niemczech (cukrownictwo) osiadł w miejscowości Podgaje, ale z jakichś powodów stracił majątek i przeniósł się do Kielc, a potem do Warszawy, gdzie związał się z kilkoma redakcjami. Pisano o nim też, że po przeprowadzce do stolicy „wielka łatwość wersyfikacyjna i pogoń za zarobkiem doprowadziła go do zaniku ambicji artystycznych”.

„Tygodnik Salwatorski” zamieścił dla przykładu wiersz *Ryngrafie naszej ziemi*, w którym – zdaniem księdza Misińca – bezmiarowi nieszczęść, które poeta przedstawiał, nie towarzyszyła głębia i sprawność słowa. Jednak wiersz Laskowskiego można dziś odczytywać jako cenne świadectwo modlitwy poetyckiej tamtego czasu. Zacytujmy początek:

Orędowniczko nasza!
Oto pod Twe stopy
Słania się najsmutniejszy z krajów Europy.
Najbiedniejszy pod złotym słońca baldachimem,
Kraj pragnień, zasłoniętych chmurami i dymem [...].

W swojej twórczości, obok tomów opowiadań i wierszy o życiu dworu i wsi, Kazimierz Laskowski ma książkę szczególną. Można ją uznać za książkę reporterską. W 1896 roku opublikował literackie portrety Żydów z okolic Pułtuska i zatytułował je *Żydzi przy pracy*.

„Żydzi przy p r a c y? Nie wierzycie? To posłuchajcie!" – zachęca czytelników w pierwszych zdaniach. I tłumaczy:

> Koń pracuje, ciągnąc piersiami, wół karkiem lub rogami, doktór głową, a po trosze ręką, badając puls chorego, adwokat gębą, grabarz rękoma i stopą, bo stopa przyciska rydel... Wszyscy pracują na swój sposób. A żydek? Żydek nie tylko pracuje, ale pracuje za trzech, h a n d l u j ą c. Po pierwsze b a d a szlachcica jak doktór, czy mu potrzeba pieniędzy; po wtóre g a r d ł u j e jak adwokat, że „więcej pieniędzy za pszenicę dać nie może"; po trzecie jak grabarz g r z e b i e czasem niewypłacalnego dłużnika [...].

Laskowski prześwietla metody pracy swoich bohaterów – lichwiarzy i kupców. Opisuje na przykład, jak przez manipulację wątłym kapitałem pewne małżeństwo doszło do znacznego majątku. Zgryźliwą opowieść o nich kończy tak:

> Mają już sklep we własnym domu, mają już na pożyczkach u ludzi paręset rubli, a i żyją, jak Bóg przykazał, edukując dzieci. W szabat siada u nich do rybki dziesięć osób. Ich dwoje, siedmioro bachorków i belfer. I to wszystko żyje z procentu wkładowego kapitału siedemdziesięciu pięciu rubli!!!

Być może uznawał swoje reportaże za demaskatorskie. Dziś nazwalibyśmy je śledczymi, gdyby nie to, że cechuje je ogromna niechęć. Odeszły w niebyt chyba przez swój antysemityzm. Książka ma podtytuł *Notatki wieśniaka*. Może opowiedział mu te historie jakiś chłop, choć to raczej mało prawdopodobne. Do opisywania socjotechnik i oszustw stosuje – jak na „wieśniaka" – zbyt skomplikowane rachunki. Może słowa „wieśniak" używa autoironicznie: nic nierozumiejący chłop wobec przebiegłych Żydów?

Książkę wydaną przez „Gazetę Warszawską" (a więc konserwatywną i katolicką) Kazimierz Laskowski kończy wyznaniem, że napisał ją po to, aby wskazać wszystkim prawdziwą przyczynę niechęci do Żydów i aby pouczyć współobywateli:

> Tak pracują żydzi, a przynajmniej większość wybranego ludu, bo na szczęście są wyjątki, o czym zapominać nie należy. Do przeciwdziałania kultowi t a k i e j p r a c y, będącej uzasadnioną przyczyną i jedynym bodźcem antysemityzmu, przyczyniać się powinien każdy kochający ogół społeczny. Pisząc *Żydów przy pracy*, taki cel miałem na myśli.

Lepiej jednak poczytać jego relację z powodzi.

Dolinami łez

O roku ów, kto cię nie widział w naszym kraju...
A. Mickiewicz

Rok zapowiada się dobry. Po kilku ciężkich dla rolnika latach, przyszła wiosna wczesna, ciepła, słońcem promienna i zaświeciła nadzieją urodzaju.

Jeszcze miesiąc temu śmiały się dolą bujne „wyzłacane pszenicą, wysrebrzane żytem" niwy, jeszcze miesiąc temu rwała się z kmiecych progów ku ognistym zagonom raźna śpiewka, jeszcze wesele wołało w pieniach; miesiąc temu jeszcze pachniało świeżym chlebem powszednim tam, gdzie dziś – według słów znakomitej poetki:

...Lud na drogach pada, kona,
Życie ścina śmierci chłód,
Nocą wstaje gwiazda blada
I gromnicą trupom świeci,
A nad smutną ziemią leci
Krzyk ostatni: Biada! biada!
To głód!

Bo trzeba to sobie z góry powiedzieć, że klęska żywiołowa, która objęła kraj cały, to straszny zwiastun, to zapowiedź dni głodowych; trzeba to sobie powiedzieć, bo klęska jest powszechna, niebywała...

Tygodniowe ulewy, burze, huragany, zmulone zboża, pogniłe ziemniaki i warzywa – to zaledwie pierwszy akord żałoby nad zniszczonym owocem pracy ludzkiej, pierwszy syk złowieszczej struny... Z każdej piędzi rozbrzmiewają hiobowym echem złowrogie wieści wylewów, powodzi, zagłady!

Wylały rzeki i rzeczułki, strumyki i ruczaje, zerwały się z uwięzi stawy i jeziora, chłonąc rozszalałym nurtem wszystko spotkane, zatapiając wsie i miasteczka, góry i doliny. Nie oparły się rozkiełzanym falom ani stuletnie drzewa, ani węgły chat, ani fundamenty fabryczne, ani ciosy kamienia, ani żelazne zagrody stawideł – potop wód parł, druzgotał, miażdżył, znosił, witany w nieubłaganym pochodzie krzykami rozpaczy i zwątpienia.

Tak było nad Narwią, tak nad Bugiem, Wieprzem, tak nad Nidą, czy Prosną, tak nad Wartą czy Pilicą...

Ale jeżeli godzi się wyróżniać nieszczęście z nieszczęścia – to katastrofa doszła wprost do gigantycznych rozmiarów w dolinie Kamiennej i całym Powiślu, zwłaszcza w górnej części królowej rzek naszych, od Sandomierza ku Korczynowi.

Jechałem tymi dolinami łez we trzy dni po największym napięciu kataklizmu, kiedy opadłe nurty odsłoniły w całej nagości pierś nieszczęścia, a wstrząsający obraz zniszczenia roztaczał się w całej pełni.

Prawie nie do wiary! Mała trzeciorzędna rzeczka, zasilająca kilkowłókowe[1] zbiorniki wód, położonych wzdłuż kolei ostrowieckich fabryk żelaznych, w ciągu doby wymiotła, w literalnym tego słowa znaczeniu, ślad ludzkiej pracy na przestrzeni kilku mil, rozniosła kosztem milionów sypane groble, zerwała z ciosu i żelaza zbudowane stawidła, wysadziła mosty, przegryzła prądem tor kolejowy, zatapiając wszystko od zbóż, dróg do budynków stacyjnych i fabrycznych.

Doby, bodaj chwil kilku starczyło, aby niszczący żywioł zamienił jedną z najbogatszych okolic kraju w rumowisko stłuczonych zbóż, strzaskanych drzew, rozrzuconych chat; jednej bodaj chwili starczyło, a zasłał całe zagłębie od Starachowic poza Ostrowiec gruzem zwalisk, cegieł, wymościł sitowiem, odłamami desek, zwałami wyrwanej z podglebia ziemi i kamieni.

Starachowice, Wierzbnik, Michałów, Brody, Nietulisko, Kunów, wsie okoliczne i miasto Ostrowiec, Bodzechów, Ćmielów, Bałtów aż ku Wiśle – oto etap tego straszliwego pochodu.

Wody, wyrwawszy się ze Starachowickich zbiorników, rozbijają w puch olbrzymie stawy Michałowa, ryją kilkowiorstowym[2] pasem nasyp kolejowy od Wierzbnika przez Kunów do Ostrowca, przecinają w kilku miejscach olbrzymimi wyrwami gościniec bity, znoszą po zrujnowaniu stawów tartak w Brodach, wyrzucając olbrzymie kłody i belki na znacznej wysokości, druzgoczą most pod Małachowem i niewstrzymane już niczym, rękawem dwuwiorstowej szerokości toczą się w kierunku Ostrowca.

W mgnieniu oka pod wodą wstęga szyn, stacja kolejowa. Z powodzi dolatują zrozpaczone krzyki o pomoc. W mgnieniu oka zwał wody chwyta w objęcia Ostrowiec, zalewa niżej położone domy, odcina od świata fabryki klimkiewiczowskie i częstocickie i zatapia po drodze kilkadziesiąt domków z ludnością wyrobniczą na przedmieściach Bolesławów i Karolinów.

Chwieją się pod naporem fal ściany, dygocą zręby, zarysowują mury. [...]

Do walki z żywiołem staje kto żyw bez różnicy! Straż ogniowa, kapłani, obywatele, młodzi i starzy. Ale próżny wysiłek! Bezowocna walka!

Groza rośnie.

Setki ludzi tracą mienie, tysiące rąk pracę, zorganizowany komitet ratunkowy z hrabią Wielopolskim, inżynierem Śmitkowskim i księdzem proboszczem Ostrowca, Naulewiczem, na czele ma nazajutrz tysiąc ust głodnych do nakarmienia.

Straty w dolinie rzeki Kamiennej, w fabrykach, w ziemiopłodach, w uszkodzonych budynkach, w pochłoniętym materiale wynoszą miliony, a są to tylko

[1] Włóka – dawna jednostka miary powierzchni wynosząca około 17 ha.

[2] Patrz s. 26, przyp. 3.

straty doraźne. Gorzkich następstw powodzi dziś obliczyć trudno, a bodaj czy nie będą groźniejsze.

Przerwa w komunikacji kolejowej, zawieszenie robót chwilowe lub na zawsze w kilku fabrykach, stagnacja w handlu okolicznym, upadek zrujnowanego doszczętnie rolnika, dziesięć tysięcy robotników bez pracy i zarobku – oto skutki tych strasznych chwil, które w dniach 10, 11 i 12 lipca ta biedna okolica przeżyła.

We trzy dni w tej wrzącej przemysłowym i rolniczym życiem dolinie – rozsiadły się nędza i głód.

A jednocześnie prawie, jakby pobratymstwa niedoli łakome, zaczęły się rozlegać hiobowe wieści od Zawichostu, Sandomierza, od Osieka i Korczyna, od szarej Wisły!

I tu niebywały, bo sroższy niż w 1813 roku wylew wypisał na milowych przestrzeniach zagładę i zniszczenie. Już nie oddzielne chaty, nie wsie i folwarki, ale całe gminy ogarnął nieznający tamy żywioł. Lewym brzegiem rzeki – od Zawichostu poczynając, ku Krakowowi, nie ma szerokim, nieraz kilkowiorstowym pasem, jednej piędzi ziemi nienawiedzonej powodzią.

Nie pomogły bohaterskie wysiłki pobrzeżnej ludności, nie pomogły natychmiastowe fachowe zarządzenia inżynierii wodnej w Sandomierzu, nie pomogła obrona wałów pod Osiekiem, toczona z pogardą śmierci dwie doby przez dzielnego dziesiętnika (strażnika rzecznego) Ostrowskiego, wody niemal jednocześnie przerzynają nasyp ochronny lewego brzegu na dystansie Sandomierz–Korczyn i hen dalej w górze rzeki, aż po Igołomię.

Pęka wał pod Skotnikami, pod Gągolewem, powyżej Osieka, pod wsią Maśnikiem bałwany przedzierają pięćdziesięciosążniową wyrwę, za Ratajami, pod Pacanowem, Nowym Miastem szczerbi się raz koło razu cały pancerz ziemny. [...]

Toną wsie i sioła!... Z wieżyc kościelnych biją dzwony na trwogę!... Tonie Kaźmierzów, Ciszyca, Radowąż, Speranda, Śnieżyce, tonie po strzechy domostw przy ujściu Koprzywianki położony Kamieniec, toną Skotniki, Łążek, Świniary, Łukowiec, Przytoka i Otoka, toną Maśnik, Ruszcza, Budziska, Gace, Rataje, Komosów, Zofijówka, Zalesie, Słupia, Kępa Lubaska, toną tysiące morgów w pocie czoła płużonego areału, toną tysiące morgów łąk i pastwisk!

Klęska dosięga z górą stu wiosek, rujnuje kilkadziesiąt tysięcy naszego luda! W jednej dolinie Stopnickiej powódź ogarnia czterdzieści miejscowości. Są wsie bez jednego źdźbła trawy, bez jednego kłoska, bez jednej suchej izby!

Przybór i zalew trwają dwie doby. Ludność unosi życie, czepia się płotów, chwyta konarów drzew, gromadzi na strychach i dachach.

Grozę położenia zwiększa brak łódek.

Trudna walka z rozszalałym żywiołem! Bezbronna ludność czeka zmiłowania Bożego.

Więc statki rządowe holują galary[3] i zabierają wyłowiony inwentarz, więc administracja cukrowni Rytwiany i zarząd dóbr Staszowskich księcia Radziwiłła zbija z desek prowizoryczne tratwy, więc niektórzy z ratujących idą wpław z pomocą!

Znów odgrywają się sceny chrześcijańskiego zaparcia się dla bliźnich. Jak pod Osiekiem dziesiętnik Ostrowski, tak na wałach pod Pacanowem walczy do wyczerpania pan Knote, rządca tego majątku. Po szumiących falach krążą improwizowane tratwy i zwykłe wyrwane ze stodół wrótnie z chlebem, solą, kartoflami dla głodnych. Wśród ratujących złotymi głoskami zapisuje się nazwisko pana Saskiego, praktykanta gospodarczego ze Słupca.

Ale dopust Boży robi swoje.

Według przybliżonych obliczeń, szkody na tym tylko szmacie Powiśla przenoszą milion dwieście tysięcy rubli!

A następstwa? Strach pomyśleć, a jednak myśleć i radzić trzeba. Straszliwa powódź przyszła w porze przedżniwnej i zatopiła wszystko do ostatniego kartofla! Nie dość tego: choć wody opadną, choćby łzy nad straconą krwawicą zdołała osuszyć na dziś dłoń bliźnia, nie mniej strasznie przedstawia się jutro. Późna, a olbrzymich rozmiarów powódź uniemożliwiła na czas długi wszelkie roboty w polu – w rozmiękłą rolę nieprędko da się wyjechać z pługiem. Nadto brak paszy zmusi rolnika do wyprzedaży za bezcen uratowanego inwentarza. Nawozy, jeśli nie były zużyte przy utykaniu wałów, zabrała i rozniosła woda; dodajmy do tego zniszczenie narzędzi i statków domowych, brak odzieży, puste komory i sąsieki, brak ziarna do siewu i na przeżywienie rodzin – a można ręce opuścić z rozpaczy.

Na domiar złego grozi jeszcze tej rzeszy nędzarzy najstraszliwszy z wrogów: choroba.

Przesiąkła wilgocią ziemia, rozkładający się pod namułem świat roślinny już dziś zieją gorączką malaryczną.

Więc wyrosną świeże mogiłki na wiejskich cmentarkach Powiśla, więc reszta łez niewylanych w powodzi padnie na wieka trumienne. [...]

Oczywiście, przyrodzoną przyczyną wylewów były bez wątpienia niezwykłe, ulewne opady deszczowe, powodujące przybór wód zarówno w głównych łożyskach, jak i dopływach.

[3] Galar – płaskodenny statek rzeczny używany dawniej do przewożenia towarów.

Lecz, jak w okolicach Ostrowca, przeważa zdanie, że zanieczyszczenie koryta Kamiennej żużlem i odpadkami pobliskich fabryk, a nadto lekkomyślne utrzymywanie nadmiernej ilości wód w zbiornikach stało się powodem niebywałej katastrofy, tak na Powiślu brak środków ratunkowych, a przede wszystkim łodzi, o czym już wspominałem, powiększył liczbę nieszczęśliwych, niewytrzymałość zaś i, powiedzmy, lichy miejscami stan wałów ochronnych nie tamował rozwielmożenia się żywiołu.

Dość rzucić okiem na obwałowania obu brzegów, aby nabrać przekonania o znamiennej różnicy, istniejącej między galicyjskimi a nasypami po tej stronie. Pierwsze górują nie tylko rozmiarami, wysokością i trwałą robotą ziemną, ale nade wszystko planem wykonania. Zygzakowata linia wałów lewego brzegu, z opuszczeniem nieraz całkowitym dużych nizinnych przestrzeni pobrzeża, zaledwie średniemu przyborowi może dać opór, a daje go tym mniej właśnie, im obwałowanie przeciwległe brzegu jest skuteczniejsze. Bez przesady twierdzić można, że jednostajny wysoki grzebień wałów galicyjskich zwraca całą siłę nurtu, odbijając prąd rzeki ku lewej stronie. Ostatni wylew uwydatnił najjaskrawiej, że dorywcze, kosztem nadbrzeżnych gmin dokonywane obwałowanie brzegów Wisły jest zgoła niewystarczające.

Obecnie kierownictwo i przeprowadzenie robót nasypowych spoczywa w ręku specjalnych komitetów, złożonych z właścicieli gruntów zagrożonych zalewem. Roboty wykonywane są na koszt zainteresowanych, z funduszów powstałych ze składek i za pomocą szarwarku[4] odrabianego w naturze. Władze rządowe uczestniczą w obradach komitetu z głosem doradczym, lecz na prowadzenie robót nie udzielają żadnego zasiłku. Prace przeto komitetów, skutkiem nader ograniczonych środków materialnych, nie przybrały większych rozmiarów, więc i wały, dotychczas istniejące budowane sposobem tanim i w miarę funduszów, nie stanowią dostatecznej zapory bystrym falom rzeki.

Bez wątpienia chętna obywatelska działalność komitetów mogłaby się znakomicie przyczynić do uregulowania nizin Powiśla, gdyby rząd zechciał na ten cel udzielić zasiłków lub choćby długoterminowego taniego kredytu, co umożliwiłoby podjęcie robót na wielką skalę, jednocześnie we wszystkich zagrożonych punktach. Oprócz tego plany powinny być wykonywane przez fachowych, znających dokładnie nadbrzeżne warunki inżynierów.

Co się tyczy obowiązujących obecnie komitety instrukcji z 1845 roku, te o ile zawierają idealne przepisy pod względem technicznym, o tyle skutkiem zmian, zaszłych w ustroju władz administracyjnych i we wzajemnym stosunku organów różnych dykasterii[5], są przestarzałe i nie odpowiadają warunkom

[4] Szarwark – obowiązek dostarczania ludzi i wozów do robót publicznych, a także same te prace.

[5] Dykasteria – oddział sądu lub innego urzędu administracyjnego.

chwili. Należałoby opracować nowe przepisy, określające dokładnie sferę działalności komitetów i ich stosunku do władz administracyjnych i zarządu inżynierii.

Takie poglądy słyszałem na Powiślu.

Ostatnie słowo należy się tym biednym, tym w niedoli...

Jednym z najszczytniejszych budowniczych dobra było i będzie zawsze szlachetne, ofiarne serce społeczeństwa.

Grzeszyliśmy nieraz sercem, miejmyż i cnotę serca.

„Tygodnik Ilustrowany" 1903, nr 31

1904

Maria Konopnicka (1842–1910)

Mało zrozumienia dla żon

Jej najpopularniejszy tytuł *O krasnoludkach i sierotce Marysi* może ewentualnie rywalizować z *Naszą szkapą*. Jej najpopularniejszy wers to „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród…". *Rotę* śpiewa się dziś na pielgrzymkach i w kościołach jak pieśń religijną.

Z tym przeciętny czytelnik kojarzy Konopnicką – poetkę i pisarkę. Do tego patos. Nawet „listy pisywała zawsze tak podniosłe, jakby z góry przewidywała, że będą opublikowane" – stwierdza Maria Szypowska, jej biografka.

Zainteresowanie zapomnianą królową bogoojczyźnianego kiczu, matką ośmiorga dzieci, a właściwie zainteresowanie jej życiem, w ostatnich latach zaskakująco się ożywiło. W głośnej książce *Homobiografie* Krzysztof Tomasik odbrązawia jej życiorys:

> Najważniejszą osobą ostatnich lat życia Konopnickiej była malarka Maria Dulębianka, postać najbardziej przemilczana w jej biografii. Łatwo zgadnąć dlaczego […]. Dulębianka i Konopnicka poznały się w 1889 roku i pozostały przez ponad dwadzieścia lat nierozłączne. Malarka reprezentowała typ znany wśród lesbijek od wieków: krótko obcięta, w surducie i z monoklem, polowała i jeździła konno. […] Konopnicka nazywała ją „Piotrek" lub „Pietrek z powycieranymi łokciami". W liście do dzieci, opisując tłum tratujący ją nieomal, kiedy schodziła ze statku, zaznacza: „Pietrek, blady i mężny, nic się nie bał, tylko mnie bronił". Sama Konopnicka, ubierająca się w długie suknie, kapelusze, często z kwiatami, była przeciwieństwem partnerki. Poetka zresztą nie tylko odejmowała sobie kilka lat, ale też dbała, by odpowiedni wizerunek został przedstawiany szerokim masom, na przykład podając do publikacji swój portret sprzed kilkunastu lat jako aktualny. W efekcie choć Dulębianka była młodsza o dziewiętnaście lat, mogła sprawiać wrażenie starszej. […] Razem podróżowały, potem zamieszkały w Żarnowcu […]. W listach do dzieci autorka *Roty* nie wyjaśniała ani nie komentowała jej pojawienia się, po prostu w pewnym momencie z liczby pojedynczej przeszła na mnogą, pisząc: mamy, postanowiłyśmy, zwiedzałyśmy, wyjeżdżamy. […] W 1908 roku pisała córce: „Dulębianka cała przejęta sprawami równouprawnienia, od tygodnia przeszło »obrabia« posłów na sejm w tym przedmiocie. Liczymy na ludowców i na mający być postawionym przez

nich wniosek reformy wyborczej bez różnicy płci. Ale to wszystko wątpliwe jeszcze bardzo".

Konopnicka była redaktorką naczelną kobiecego pisma „Świt", które wychodziło od 1884 do 1887 roku i propagowało emancypację kobiet. Kręgi katolickie jej dokonania oceniały bardzo negatywnie: „W »Świcie« uprawiał się postępowy, czyli pogański liberalizm z przymieszką żydowszczyzny". Sama redaktorka też miała fundamentalną wątpliwość – nazwałbym ją – poemancypacyjną. Z założenia miało to być pismo dla kobiet i to właśnie budziło jej zastrzeżenia:

> Nie jestże to zabytek tych czasów, kiedy „dla kobiet" pisano wszystko inaczej, kiedy im podawano wyłącznie dla nich przygotowane dzieje, literaturę, filozofię – i etykę. Czyż ten dodatek – dla kobiet – nie stoi w ścisłym związku albo ze sposobem przedstawiania rzeczy w piśmie, albo z jakimiś ograniczeniami w treści? Wszak jeden istnieje doskonały sposób przedstawiania wszystkich zjawisk i stosunków życia – ten jest dla wszystkich. Wszelki inny dlatego tylko innym będzie – że będzie gorszy.

Konopnicka dobrze znała języki: niemiecki, francuski, rosyjski, czeski, angielski i włoski. W 1883 roku wyjechała do Włoch, czego owocem były wydane w „Tygodniku Powszechnym" reportaże pod tytułem *Wrażenia z podróży*.

Styl jej relacji charakteryzuje najlepiej taki urywek:

> Kiedy po raz pierwszy zostawiłam za sobą kapryśne domków szeregi, ogródki i… ludzi, biała ścieżyna wybiegła przede mną i podjęła się być przewodnikiem moim. Nie posiadała ona drogowskazów, co to zapytane o coś, odpowiadają ci półgębkiem, a zaledwie odwrócisz się od nich – wytykają cię drewnianymi palcami […].

Konopnicka podróżniczka i dziennikarka postanowiła przedstawić osady rybackie w Normandii. Surowe i dramatyczne życie odtwarza – jak pisze Henryk Markiewicz – z realistycznym lakonizmem. Morze zaś staje się w jej tekście już nie tylko żywiołem, ale i symbolem metafizycznym. Jednak opowiadając o rybakach, Maria Konopnicka po raz kolejny zaskakuje. Otóż jako reporterka wobec ich żon jest bardzo surowa i krytyczna. Ocenia je głównie pod względem przydatności dla mężów. Dla swoich bohaterek ma mało zrozumienia. A tekst ten powstał przecież już po zaangażowaniu się Konopnickiej w równouprawnienie kobiet i w trakcie jej związku z emancypantką.

Reportaż *Na normandzkim brzegu* jest więc kolejnym dowodem na to, że istniało kilka Konopnickich.

Na normandzkim brzegu

Dom rybaka to dalszy ciąg morza. Przez ścianę szum, w powietrzu sól, za oknem bezmiar modry. Zdaje się, że dość jest drzwi otworzyć, aby przez nie weszło morze i mieszkało z nami.

W sieniach pęki lin, sznurów, podrywek, koszyków; w izbach u sufitów okręciki wiszą, nad kominem muszle i gwiaździce, w podwórku wywrócone do góry dnem czółno, połamane kotwice, więcierze, zapasowe wiosła...

Wchodzisz i myślisz – dom na ziemi stoi.

A nieprawda!

I on, i byt pokoleń całych od prapradziadów, co wznieśli te zręby, aż do gospodarzy naszych, wszystko to stoi morzem i na morzu. Życie ludzkie zarzuciło tu kotwicę tak samo, jak ją nieco dalej zarzucają barki i łodzie, i tak jak one kołysze się z falą i na fali. Jego radości i nadzieje, jego klęski i żałoby kołyszą się z nim razem. Coś z płynności żywiołu weszło tu w dusze ludzkie. Każdy przypływ wypełnia je otuchą i wzmaga; każdy odpływ zabiera coś z nich i unosi z sobą. Oczy tak samo osychają z łez jak nadbrzeżne piaski, a żagiel, wzdęty świeżym tchem morza, pędzi nie tylko barkę, ale i krew w żyłach. Palce starej Normandki, która w rogu podwórka sieć wiąże, plączą się i mdleją, kiedy *les sablons*[1] zażółcą się w słońcu; lecz kiedy biegnąca grzbietem morza fala zahuczy, zasyczy u brzegu, wielka iglica sieciarki błyskawicznie miga, a węzły sieci aż warczą, z taką je mocą dociskają stare, stare palce.

Przypływ i odpływ reguluje tu i zarządza wszelkie sprawy żywota. [...]

Od sobotniego przypływu morza wieczorem lub nocą do poniedzielnego przypływu nocą albo rankiem w osadzie zostają kobiety same.

Nie sprowadza to jednak wcale bezkrólewia. Sprawy domu, sprawy rodziny, a nade wszystko sprawy pieniężne są i bez tego zawsze w rękach kobiet. Rybaczka normandzka jest energiczna, zabiegła, roztropna i na grosz chciwa. Dzieci kocha więcej niż męża, pieniądz wszakże u wielu idzie przed wszelkim kochaniem. Dość spojrzeć na wąskie, zacięte usta Normandki, aby poznać, że jej grosz w ręku piszczy. W domu obywa się z dziećmi byle czym, kartoflami, fasolą z ogródka, a co mąż zarobi, tym oczy przez niedzielę cieszy, a w poniedziałek zanosi do kasy i na rentę składa.

Renta, zbieranie renty jest największą namiętnością Normandki. Poświęca

[1] *Les sablons* (fr.) – piaski.

jej ona większą połowę życia, oddanego wszelkiego rodzaju prywacjom[2] i pracy – nieraz ciężkiej.

Wartość mężczyzny, a i wartość małżeńskiego szczęścia oblicza się oczywiście na zyski z połowu. Nie mówi się tutaj: „Mąż mój jest dobry człowiek" ani „Mąż mnie kocha", ale się mówi: „Mąż mój zarabia, mąż mój tyle a tyle przynosi". A jeśli przynosi dużo, wszystkie sąsiadki zazdroszczą takiego męża jako dobrze rentującego kapitału.

Zarabia to jest nie tylko największą pochwałą, ale zasadą miłości i miarą szacunku.

Wie o tym mąż każdy.

Przynosi mało, to się ledwo, biedaczysko, wlecze z przystani do domu, bo czuje zawczasu, że go tam nic przyjemnego nie czeka; przynosi dużo, to mu się droga pod podeszwą pali i na pewniaka „poivradę"[3] węszy.

Jedno wszakże czeka zarówno ich obu: widok żony przybranej niemal że zalotnie, czasem w wielkiej paradzie długich kolczyków i broszki spinającej chusteczkę na czarnym staniku, czasem z ognistym pęczkiem geranium przy gorsie. Im mniej wszakże przynosi mąż z sobą, tym chciwiej wpatruje się w te uroki, wiedząc dobrze, jak są krótkotrwałe. Jakoż gdy się żona nie doliczy w mieszku spodziewanej sumy, kolczyki i broszka jeszcze przed śniadaniem do puzderka idą, geranium wstawia się w wodę, a po śniadaniu, przy którym o poivradzie ani słychu, żona powiada, że ją głowa boli, albo do sąsiadki idzie, albo się do robienia porządków zabiera, przy czym zalotny fartuszek zastąpiony bywa dużą, grubą ścierką.

O popołudniowej niedzielnej czekoladzie nawet mowy nie ma, a gdy niefortunny małżonek o cydr się dopomni – choć taka odwaga w podobnych razach jest rzadka – wtedy go dostaje „z tej drugiej", to znaczy z tej beczki, gdzie się wytłoczyny nalewają wodą, po spłynięciu pierwszego jabłecznego soku.

I co ma biedak wobec tego robić? Oczywiście to, co właściwie robi; popatrzy, popatrzy trochę smutnie, a trochę bezmyślnie, za czym zapala fajeczkę na krótkim cybuszku, naciska na uszy bawełnianą czapkę i onieśmielony chyłkiem wynosi się „na schodki", gdzie nieraz i do wieczora jak winowajca przesiedzi zgarbiony, ze spuszczoną głową, nie wiedząc, azali mu los oszczędzi zawodów sroższych jeszcze.

Jakże innym jest los męża, która zarabia. Żona mu cały dzień po domu kolczykami dzwoni i nie tylko nic z uroków swoich nie traci, ale jeszcze raz w raz do lusterka zabiega, przymuskując włosy. Poivrada wykręca język wprost na drugą stronę, a cydr „z tej pierwszej" złoci się, rumieni i musuje w szklankach.

[2] Prywacja – wyrzeczenie, odmawianie sobie.

[3] *Poivrade* (fr.) – sos pieprzowy, także mięsna potrawka z tym sosem.

Szczęśliwiec, bynajmniej nie na schodkach pali fajkę, ale w izbie, rozwalony za stołem, z nogami na ławie, przy czym mówi dużo, głośno, śmiało, pluje prosto przed siebie – jest panem. Co to panem! On jest uosobionym dochodem, on jest rentą samą!

Tak przychodzi słodka godzina niedzielnej czekolady, która rozbełtana z wodą i rozmiękłym w niej chlebem przedstawia jakąś szarą, gęstą, dla oka niewtajemniczonych nieprzyjemną masę, po której wszakże dzieci oblizują się aż do wieczora na obydwie strony. Zaczem mąż przywdziewa granatową, dzianą z wełny kurtę, takąż czapkę i wypiękniony, wymuskany aż do kokieterii, przechadza się z strojną żoną pod rękę po ulicach osady, wesoły, triumfujący, szczęśliwy, ku większemu pohańbieniu mężów „na schodkach" palących. Że oboje mówią o rencie, tego i dodawać nie trzeba. Tak przychodzi wieczór, dom cały wcześnie się ucisza, a dzieci idą spać na strych.

Ale na giełdzie małżeńskiego szczęścia wyższym jeszcze walorem niźli mąż, który zarabia, jest mąż asekurowany.

Rybaczka normandzka nie powierza morzu „swego człowieka" bez ścisłej gwarancji. Asekuruje go ona prawie że w dzień ślubu, prawie że w chwili, kiedy się on wraz ze swoją barką, sieciami własnością jej staje, i poza całym przywiązaniem patrzy na niego jak na przedmiot, który nie tylko za życia, ale i po śmierci korzyść jej jeszcze przyniesie.

– *Une fois mon mari mort, je touche mes cinq cents francs*[4] – mówi nasza gospodyni z jasnym, pogodnym uśmiechem, jak gdyby mówiła o jakiejś radosnej chwili swego życia.

Nie znaczy to wcale, żeby *mère* Toutaint nie kochała *père* Toutainta. Bynajmniej! Kocha go bardzo. Zawsze jednak błogo pomyśleć, że i śmierć nawet sama zysk jej jakowyś przyniesie.

Prócz żon wszakże i wdów po rybakach są jeszcze w osadzie matki młodych marynarzy, których morze poniosło daleko.

I te są rentierkami także.

Jest zwyczaj, że syn marynarz leguje matce urzędownie część pobieranej na statku zapłaty. Co miesiąc tedy ciągnie do biura marynarki procesja czarno ubranych kobiet po ten grosz synowski. Czarno – to nie znaczy żałobnie, to znaczy – paradnie.

Co która z kobiet ma najlepszego, to wyciąga ze skrzyni i na siebie kładzie. Bo w tym jest właśnie cała macierzyńska duma, żeby pokazać, jako nie żadna nędzarka przychodzi po konieczną pomoc, ale że przychodzi matka po daninę serca i pamięci syna.

[4] *Une fois mon mari mort...* (fr.) – Jeśli mój mąż umrze, otrzymam pięćset franków.

Kołyszą się tedy kolczyki, błyszczą wielkie okrągłe brosze, szeleszczą jedwabne fartuchy, a twarze jaśnieją dumnym jakimś szczęściem. Jest to pochód triumfalny matek. Wychuchały, wychowały, wykarmiły, a teraz – ot pociecha! Jest dwóch synów w rodzie, to jeden marynarz. Ten pierworodny, rzecz prosta. Drugi zostaje rybakiem. Dopiero trzeci chwyta się rzemiosła lub na księdza idzie. A tak morze zabiera lwią część potomstwa, a ziemia – ledwo trzeciznę. Ale są matki, które i po dwóch synach biorą daninę z dalekiego morza. Normandii bowiem – przepowiadana szerszej francuskiej ojczyźnie – depopulacja nie zdaje się grozić. W tym jędrnym klimacie i w utęsknionych do siebie małżeństwach rodzi się dzieci dosyć, szczególniej zaś chłopców.

Nasza pani Toutaint jest jedyną siostrą siedmiu braci, śpiących już po większej części na dnie mórz dalekich, a jednocześnie matką siedmiu synów, z których pierworodny jest też marynarzem.

I ona tedy do procesji należy, jako że *touche cinq francs* od swojego Jacques'a.

Idzie prosta, szczupła, wyniosła. Ma coś rzymskiego w sobie. Jej profil można by na medalach bić, z tą czystą, antyczną linią wąskiego czoła, lekko zgarbionego nosa, cienkich warg i silnie zaakcentowanej brody. Czarny odświętny strój podnosi jeszcze wyrazistość jej śniadego typu. Wprost z biura marynarki zawróci do kasy.

Renta rośnie. [...]

Ranek wesoły, rześki, świeży. Pomiędzy niebem a ziemią tęczuje powietrze migotliwe jak kryształ rozbity. Miliony świetlnych punktów palą się, drżą w nim, mrugają nasiąknięte szafirem, różem, zielenią i jutrzennym złotem.

Zanim przejrzysty lazur się ustoi, zanim naleje sobą przepastne otchłanie, powietrze barwi się rozmaicie, niespokojnie, zmiennie, całe skroś wibrujące, pełne pracy stawania się błękitem.

Osada prawie że pusta.

Ostatnie gromadki dzieci tylko co przeleciały ku tamie, z gwarem zapartych od pośpiechu głosów i z suchym tupotem drewnianych chodaków, wśród ujadania pokurciów, oszczekujących gwałtownie kamienistą drogę.

Za dziećmi, kłapiąc w saboty tkwiące na krzywych, cienkich, trzęsących się nogach, nadążają, jak mogą, weterany morza.

Jarząbkowe ich oczy mało co już widzą ze świata, ale gdy patrzą na morze, zdaje się, że co najmniej do Houlgate dojrzeć mogą. Ba, do Cabourg nawet! Ślepy *père* Plon zaklina się na Trzy Maryje, jako tylko na lądzie jest ślepy. Na morzu wszakże widzi wszystko tak niezawodnie „jak Boga Ojca w niebie"!

Tylko że syn wierzyć temu nie chce...

Uszy ich, ogłuchłe od huku i łoskotu fal, niewiele co słyszą na lądzie. Ale szum morza trafia jakoś do nich – przez duszę.

Teraz spieszą wszyscy spadzistą ulicą osady, potykając się, stukając kijkami, trzymając się jedni drugich, żeby nabrać w zgasłe oczy nieco światła z morza.

Idą. Z wyciągniętą, cienką szyją idą prędkim i drepcącym krokiem, zadychując się ciężko, uparcie. Co i raz to przystanie, który i za piersi chwyci, kaszląc srodze.

A piersi dychawiczne, zapadłe aż świszczą wśród kaszlu pod dzianymi na drutach kaftanami, które po zgiętych grzbietach lezą gdzieści na kark, odsłaniając od dołu cały system sznurków, utrzymujących wysłużone szelki.

Idą. Instynktownie śpieszą do morza, do żywiołu siły. U podbródków wiszą im kosmyki włosów siwych; w poczerniałych zębach tkwią krótkie fajeczki. Nie mówią nic. Nawykli do długich milczeń, samotnych połowów, nie czują potrzeby mówienia. Wiedzą zresztą, że słowo ich nie płaci teraz. Ani na morzu, ani w domu, nigdzie.

Idą z chciwością jakąś, z zawistną goryczą patrzeć na barki, na kosze ryb, na sieci...

Oni sami nie zarabiają już teraz nic. Jest jaka taka renta, to nią kobieta po swojej woli rządzi, skąpo wydzielając grosze na tytoń, na tabakę.

A na progach opróżnionych domostw siedzą pożółkłe prababki w białych bawełnianych, głęboko nasuniętych na czoło szlafmycach, spod których sterczą im nad uszami i nad karkiem kępki rzadkich, wypłowiałych włosów. Kabłąkowate grzbiety chylą się ku ziemi, bezzębne usta mamroczą, głowy w szlafmycach się chwieją, a nad szlafmycami chwieją się za ruchem głów bawełniane chwasty, opuszczone to w tył, to naprzód, to z lewego, to z prawego boku, to zgoła w górę sterczące. Wielkie, spasłe, czarno lśniące, odwykłe prawie od chodzenia koty leżą na kolanach prababek ociężałe, spokojne, mrużąc zielone ślepia o pionowej, skrawozłotej strzałce. Inne czochrają się o poobwijane szmatami, potwornie rozpuchłe nogi staruch, o piersi, o porosłe mchem szarawym brody.

Ale prababki nie zważają na to.

Wszystkie trzęsące się w szlafmycach głowy i wszystkie mamroczące usta, i wszystkie wpół oślepłe oczy zwrócone są pod wiatr rześki, świeży, niosący od przystani szum dalekiej wrzawy.

W przystani ruch, tłok, skrzęt, nawoływania setnych, pomieszanych głosów.

Barki wracają!

Wracają z wielkiego, dwutygodniowego połowu u angielskich brzegów.

Najwyższy przypływ księżycowej pełni od wczoraj pędzi je ku normandzkim wrębom.

Co żyje, pcha się na tamę, pod latarnię, na cypel najbardziej wysunięty w morze. Tutaj wrzawa kobiecych głosów ma w sobie nieustający, natężony brzęk roju pszczelnego, w który gęsto wpada krzyk trzymanych u piersi niemowląt. Szczęście jeszcze od Boga, że co starsze chłopaki i dziewczyny, pobrawszy koszule w zęby, brodzą u brzegu po pas, po ramiona, boby się to podusiło na tamie z kretesem.

Od tamy aż do bud rybnego targu całe wybrzeże zawalone pustymi koszami.

Na koszach siedzą przybyli o brzasku z Paryża przekupnie, gwarząc i ćmiąc fajki.

Przekupnie udają obojętnych, zgoła nieinteresowanych w zbliżaniu się barek z towarem. Kilku grubych handlarzy obróciło się plecami do morza. Robią giełdę.

Ale w nierównych kłębach dymu z fajek, w gęstym pluciu, w latających oczach i w zimnych, przebiegłych twarzach widać nerwowy niepokój.

Nie wiadomo, co połów przyniesie, a towar dziś jeszcze odejść musi do Paryża i znaleźć się o brzasku w wielkich rybnych halach.

Więc co i raz wstanie który, podciągnie nerwowym ruchem pasa i niby wytrząsając fajkę, spode łba na morze patrzy.

A morze idzie. Idzie śpieszne, szumne, drgające życiem w każdej jasnej kropli.

Przed kilkoma godzinami jeszcze stało dalekie i zaparte w sobie. Aż nagle dmuchnęły w nie ode dna jakieś potężne, tajemnicze płuca, i oto na całej powierzchni wszczął się ruch światła, prąd życia.

Dech bujny, oceanowy, szeroki zakołysał je, zamarszczył, zatęczował delikatnym połyskiem perłowej masy.

Morze jest różane i liliowe razem; razem złotawe i srebrne. Jest nade wszystko świetliste i drgające blaskiem. Ruszone z głębi fale odrywają się od tego świetlistego tła, strzępią się, tężeją, dostają piór szumnych, barwnych, dostają lotu i głosu. Z wesołym pluskiem dopędza jedna drugą, prześciga i leci. Jedna drugą zalewa; jedna przez drugą skacze, jedna drugiej podaje dreszcz i huk pośpiechu. Całe morze pędzi, prze, naciera. Całe morze szumi, jak kipiąca czara. Całe morze śpiewa pieśń radości, pieśń rozkwitu, mocną pieśń siły młodej i nadziei.

Jakaś niezmierna płodność i pełnia życia, jakaś niezmierna bujność i rozlewność życia bije z tych szumnych głębin, z których potężny przypływ

dobywa i niesie co najświeższe fale. Fale tylko co zrodzone, tylko co rozkwitłe, całe jeszcze w białych puchach swojego pąkowia.

Na tamie ścisk większy coraz, wielkie dyle i podpory trzeszczą. Cała osada skupiła się w najdalszym końcu u strażniczej wieży. Wrzawa głośna wśród powszechnego naprężenia przycichła, przeszła w niepokojący, niewyraźny pomruk. Wszystkie głowy stłoczone, wszystkie oczy na zwiady wysiane, patrzą z wytężeniem w daleką, daleką, modrą i świetlistą roztocz. A po dalekiej, dalekiej, modrej i świetlistej roztoczy mkną barki ciche a prędkie. Wiatr w miarę żywy dmucha od zachodniej strony, prężąc żagle tchem krzepkim, równym, donośnym. Żagle kwitną, złocą się, goreją, przedziwnie malowane słońcem.

Barwne łaty palą się na nich czarodziejsko kolorowym ogniem.

Tu płomienieje pas rudej czerwieni; tam zmyta deszczami, postrzępiona szmata świeci przejrzyście bladym seledynem; ówdzie modra wypłowiała płachta wsiąka w niebieskość powietrza nieporównanie miękkim i wytwornym tonem.

Szare, niebielone, wydęte ku słońcu płótna śnieżą się, srebrnieją, różowieją jako kwiat jabłoni, zachodzą osobliwszymi światłami o zorzowych barwach. Niektóre wyglądają wprost jak płaty natężonego światła wtopione w cichy rozblask i modrość poranka.

Tak płyną barki to wydłużonym, łabędziowym sznurem, to po trzy, cztery, kupkami jak cyranki, rozrzucone po morzu fantastycznie, luźno, szeroko.

Jest ich trzysta przeszło. Cała flotylla osady.

Już z jednej słychać głosy i okrzyki, a drugie wschodzą dopiero na horyzont delikatną wizją smukłych swoich kształtów. Najdalsze są jak gdyby wysoko nad linią widnokrężną w powietrzu niesione. Te są jak czar i sen.

A w miarę jak barki zbliżają się, prując fale ostrym, nakuwanym dziobem i szorując w pianach szeroko odsadzonym burtem, z tamy buchają radosne wołania:

– La Providence!...

– L'Esperance!...

– La Touque!...

– L'Admiral!...

Bo tylko obojętne spojrzenie profana nie dostrzega indywidualnych różnic w onych statkach. Dla wpatrzonych w nie z dumą i miłością oczu każda barka ma fizjonomię zupełnie odrębną. A nie tylko fizjonomię, ale i własne chody po morzu, i własną linię masztów, i własny furkot wydętego żagla. To są wszystko żywe indywidua o znajomych rysach. [...]

Ale oto już barki wyciągnęły się niezmiernie długą linią, wpływając do wąskiej przystani pojedynkiem, okrzykiwane przez wyrostków, witane nieludzkim piskiem dzieci.

– La Gentille!...

– La Sainte Barbe!...

– La France!...

– Le Triton!...

Ale kiedy Le Triton podpływał pod tamę, młoda rybaczka przechyliła się przez poręcz, podając ku niemu tęgiego, trzepoczącego się chłopaka, którego przy piersi trzymała. Natychmiast jeden z wioślarzy uczepił się dylowania tamy, wlazł po nim jak po drabinie, dziecko od matki odebrał i ojcu je podał.

Zaczem inne rybaczki też dzieci podawać zaczęły, a barki rozświegotały się cienkimi głoskami.

Mnie wszakże zajął najwięcej Kardynał Lavigerie. Ten miał u masztu zużyty szmat florenckiej, terakotowej czerwieni, która teraz płomieniała w słońcu, tak zaś był zapchany rybą i sieciami, że cała jego załoga, składająca się, jak zwykle, z właściciela statku, czterech pomocników i małego *mousse'a*[5], przeniosła się na wąskie, długie, u statku uwiązane czółno.

Czółno pędzili wiosłami pomocnicy, młodzi, gibcy, prości, przeginając się w swoich trykotowych bawełnianych koszulach pełnym klasycznego rytmu ruchem, obliczonym na popis przed galerią z tamy. Jakoż pochlebny szmer uznania towarzyszy popisowi temu.

Le patron[6], zawiędły, suchożyły i do pasa nagi, obróciwszy ku przystani plecy lśniące jak miedź polerowana, siedzi na burcie zgarbiony, niedbały, kurząc fajkę, plując w morze i okazując najdoskonalszą obojętność dla kupiących się u brzegu handlarzy.

On też robi giełdę.

Głowę ma obnażoną, włosy tęgo ujęte w przygarść od karku i czoła, na czubku czaszki czerwoną tasiemką związane, sterczą zuchwałą kitą w samo słońce, wykończając sylwetkę całości z jakimś niespodzianym i butnym rozmachem. Jest to niezawodnie najoryginalniejsza postać, jaką na tym wybrzeżu widziałam.

Ale już potężny przypływ wpędza Kardynała w samą gardziel portu; ognista czerwień żagla rozdętego nad chwiejącym się kadłubem statku zapłomienia wody; salwa okrzyków się wzmaga, a dwie te udane obojętności – patrona ze sterczącą kitą włosów i handlarzy – mocują się z sobą. Uważne wszakże oko teraz już spostrzec może, iż rybak będzie górą. Jakoż nie odwrócił ani razu głowy do przystani i nie sprostował nagich, lśniących, niedbale zgarbionych

[5] *Mousse* (fr.) – tu: chłopiec okrętowy. [6] *Patron* (fr.) – tu: kapitan.

pleców; kupcy zaś, choć siedzą jeszcze na koszach, powypuszczali z gąb fajki, wyciągnęli szyje, oczy się im zaokrągliły, rozdęły nozdrza na świeży, rybi duch, niektórzy wprost trzymają się oburącz koszów, żeby przedwczesnym zerwaniem nie okazać żądzy i targu nie zepsuć sobie.

Wreszcie – nie wytrzymali.

Podniósł się jeden, poprawił trzosa, chrząknął, za nim drugi, trzeci, dziesiąty i zaledwie dziób barki stuknął o pale, a łańcuch kotwiczny zazgrzytał, runęli na Lavigerie jak sępy, nakrywając go wrzawą i czarnością swoją. Wtedy dopiero *le patron* powstał, rozprostował atletyczną postać i nie patrząc na tę czarniawe mrowiącą mu się na pokładzie statku, wydał krótkie rozkazy załodze.

Natychmiast ustawieni sznurem pomocnicy jęli sobie podawać płaskie, pełne ryby kosze z niezmierną chyżością i wprawą. Daremnie kupcy chcą powstrzymać wyładunek słowami i gestem. Daremnie rzucają się na kosze, targając je ku sobie. Pomocnicy czynią rzecz swoją tak, jakby kupców nie tylko na pokładzie, ale zgoła na świecie nie było.

Kupić na statku jest zyskiem handlarza; przedać na targowisku jest zyskiem rybaka. Śmigają tedy kosze w powietrzu niemal z rąk do rąk rzucane, kupcy drą się i pocą, a *le patron* obojętnie dobywa z zamszowych spodni kredę i towar rozlicza. Aż skoczy do niego w czółno kilku najgorętszych.

Porozumiewanie się ich jest tak burzliwe, że wygląda na awanturę; gesty tak gwałtowne, że wyglądają na bijatykę. Uderzyli wreszcie w dłonie. *Le patron* z chytrym błyskiem swych normandzkich oczu, kupcy drapiąc się po załebkach i skwaszeni jakby.

Słona będzie ryba nocy tej w Paryżu! [...]

Ścisk, tumult, krzyk, obwoływanie ceny i towaru.

Ociekający wodą pomocnicy wyładowali już co podlejszy towar; całe zasieki wałkowatych ciał psów morskich, które się z koszów jak wrzeciona toczą, i czarniawej, szeroko rozpłaszczonej hai.

Te będą sprzedawane z „ławki" i na wagę. Cała ludność osady tym żyje, a co zbywa, suszy się na wietrze, na słońcu i rozsyła dalej.

Gdzieniegdzie haja, u której ciemnego, w obszerny płaszcz rozszerzonego grzbietu wisi śmiesznie cienki ogon, do ogona prosięcia podobny, przewrócona na wznak ukazuje dziwaczną i smutną twarz swoją.

Bo jest to naprawdę twarz ludzka niemal, z wyrazem niewymownej i bezradnej troski.

Na białocielistej skórze dobitnie zaznaczone oczy, nos, usta z grubą, odętą wargą dolną i kilkoma poprzecznymi zmarszczkami zarysowane czoło

przedstawiają fizjonomię trochę bezprzytomną jakby i w kwaśnym humorze, ale przede wszystkim głęboko zafrasowaną, strapioną.

Zapomnieć tego niepodobna, tak ostro odbija się w pamięci ta dziwna twarz ze swoją bladością, swoją szkicowością ulotną, a jednak ogromnie wnikliwą, ze swoim bezradnym, śmiesznym, a przecież wstrząsającym patosem rybim. Jest w tym wszystkim melancholia nie do opisania.

Ale główny, dobyty spod pokładów towar ożywia nagle te ciemne, jednostajne masy i rzuca na ich szarawość świetne, wesołe i jaskrawe różnobarwne nuty.

Wielkie, płaskie, okrągłe o dwóch uchach kosze czerwienią się od smakowitych *rouge'onów*[7], których przedziwnie stonowana łuska przechodzi od bladego różu podbrzusza do ciemnej purpury u grzbietowej skrzeli; srebrzą się od „płaskunów"; pstrzą, mienią od zielonkawych i modrych, żywą ochrą i karminem cętkowanych makreli; roją od gliniastych, mrowiących się krewetek, od czarnomalachitowych węgorzy, od śniadych, rozedrganych minogów i wijunów morskich, na stosach których tu i ówdzie rozciąga się ważny i ogromny homar, próbując wolnym ruchem siły swoich nożyc. Towar szlachetny, pierwszorzędnej wartości i ceny. Handlarze i rybacy stłoczyli się około koszów w tęgo zwarte kupy. Setna wrzawa tam bucha jak kipiątek z kotła. Głównym przecież ogniskiem wrzawy tej są asystujące sprzedaży wyrostki.

Ci natychmiast po wyładowaniu koszów, za którymi to i owo zawsze się da chwycić, dzielą się na dwa obozy, z których jeden staje po stronie kupca, a drugi po stronie rybaka, i wtedy to po każdym niemal słowie targu wybucha szalony rejwach to w jednym, to w drugim obozie, a pełne oburzenia: „*Oh!... Oh!... Oh, la la!*" – odgrywają rolę starogreckiego chóru w tym dramacie.

Co wszakże jest do zauważenia, to że większość, owszem, zupełnie zdecydowana przewaga głosów stoi po stronie kupców i w ich interesie chrypnie.

Tu bowiem skapnąć może grosz jaki, to za oburzenie na wysokie ceny, to za pomoc przy noszeniu zakupionego towaru, to ot tak, odczepnego; podczas gdy ze strony przeciwnej co najwyżej spadnie ochłap ryby, który i bez tego chwycić można w ciżbie.

Szelmowskie jednak miny i mrugania świadczą, że ów wallenrodyzm podjęty jest w wspólnym interesie osady. Jakoż rzadki ten dzieciuch, który by kupiwszy sobie papierosa lub jaskrawo malowany cukierek, nie oddał jeszcze paru *sousów*[8] matce. Ci też giełdę robią.

Co do rybaka, ten rzuca skąpe słowo, ćmi fajkę, puszcza kłęby dymu, pluje i milczy.

[7] *Rougette* (fr.) – ryba morska, barwena.

[8] *Sou* (fr). – drobna moneta, jedna dwudziesta franka.

Milczenie to, denerwujące kupców w sposób wprost nieznośny, gorsze jest prawie niż wysoka cena. Zapowiada bowiem długą jeszcze walkę, a tu na stacji zaczynają już składać i szykować wielki, rybny pociąg.

Ale i obecność kobiety niemało targ przedłuża.

Ta wprawdzie nie mówi nic, gdyż nie jest to w obyczaju tutejszym przyjęte, ale ma szczególne, sobie tylko właściwe i do każdej sytuacji odpowiednio stosowane westchnienia, chrząkania, pociągania nosem, które są zbyt wyraźną grą na *hausse* lub *baisse*[9], żeby się kupcy mieli nie znać na tym.

Tedy co niecierpliwszy, a polityczniejszy, z góry jakiego franka albo i dwa rzuca *pour madame*[10], że niby przyszła mężowi pomagać, a w rzeczy, żeby ją licho gdzie indziej poniosło.

Kobieta przestaje wówczas chrząkać i wzdychać, ale jednak stoi. A już tym samym, że stoi, targ na sobie trzyma.

Rybak może by się i prędzej użyć dał, on tak się tych ryb opatrzył, że je mierzi sobie. Przy tym do domu, do czystej koszuli, do świeżej strawy by rad. A tymczasem żona co i raz to go za kurtę targnie.

Jakże! Wie ona dobrze, co wyprawa pochłania gotowego grosza.

– Czworo wyżyłoby za to przez ten czas w domu – objaśnia mnie *mère* Toutaint.

Stary nie ruszy się na duże morze bez tęgiego połcia schabu, bez metrowej kiełbasy z czosnkiem, bez białego chleba, bez cydru, bez sera. I nie byle jakiego sera, ale z Pont-Eveque! I to wszystkiego dużo, a nie mało! Wraca, to kurę żeby i za dwa franki na rosół mu rżnij, a ryby, choćby też na ruszcie pieczonej i smarowanej słoniną, do gęby nie weźmie.

A potem pomocnicy!

Pomocnicy we czterech połowę zysku biorą. Czy to mało jest?

A renta? Na rentę, jeżeli się z każdej wyprawy nie odłoży grosza, to człowiek nie ma o czym śmierci czekać po najdłuższym życiu. Życie zaś rybaka jest krótkie. Jakieś czterdzieści lat starczy morzu, żeby z tęgiego chłopa szmat zrobić.

Ale tęgich chłopów prawie że i nie ma. Skąd ich brać? Ledwie chłopak dwanaście lat skończy i miałby właśnie w co najlepsze rość, kiedy go morze zabiera i trzyma – do zdarcia.

– To czemuż puszczacie?

– Alboby to matka dała radę chłopcu po dwunastym, gdyby jej nie pomagało morze. Takiemu dryblasowi?

Mère Toutaint wzdycha:

– Nie ma tu u nas z chłopaków pociechy, nie! Ma synów samych.

[9] *Hausse, baisse* (fr.) – z terminologii giełdowej: zwyżka, zniżka.

[10] *Pour madame* (fr.) – dla pani.

– Jak dziewczęcia w domu brak, to ani zabawy, ani śmiechu, ani kwiatów, ani lalek, nic. Żadnej radości. Nasz Karol od trzech lat pomaga ojcu na morzu. Składać nawet zaczął co nieco. A ja, co z niego mam?

Ledwo w próg, jużci krzyczy: „Mamo, umyj!". Ledwo go odszoruję z tego brudu, mułu, że i trzy wody mało, to znów krzyczy: „Mamo, wyczesz!". Drab taki... I zaraz co najlepszego ma, to na grzbiet i do miasteczka, że niby strzyc chce się.

Wróci, to jeszcze drzwi nie zamknął, już woła: „Mamo, zgotuj co dobrego! Co słodkiego! Czekolady! Kawy!". Taki mądrala.

– *Alors je prends mon chicorée*[11]... Biedny Karol.

Ale stara, wpółślepa Gudula sieciarka uśmiecha się na to i melancholijnie kiwa zwiędłą głową.

...Zna ona to wszystko, zna... To wszystko przeszło już dla niej. Jednego, jedynego miała... Marynarza... Piotruś mu było... Pomarł z febry na statku, okręcie, na dalekim morzu.

Do kancelarii ją wołali, pan mer pismo czytał... Dawno! Jeszcze wtedy nie była głucha. Dobry syn! Jedynak! Jak ta dusza w ciele!... Zlecił na nią pięć franków na każdziutki kwartał. Na pogrzeb to składa... Dobry syn!

...A morze szumi a szumi, a mewy krzyczą a krzyczą...

A jego nieboraka deska śmiertelna kołacze o cmentarne wrota... Przypomina...

Tyle lat... Piotruś mu było!

...Wieje wiatr ode wschodu słońca – to deska kołacze... Wieje od zachodu – też kołacze, skrzypi...

A morze huczy, a szumi...

A mewy...

...Zna ona to wszystko, zna...

Wszystko to przeszło dla niej!

Tymczasem rybny pociąg rusza ku Paryżowi z wolna, targowisko opróżnia się, rybacy wracają do domów.

Prawda! Oprócz wioślarzy z Lavigerie, którzy tu z wiosek, z głębi kraju przyszli, wszyscy są niedorodni jacyś, jacyś pokrzywieni, zużyci. Grzbiet pochyły, kabłąkowate nogi, pierś wąska, cienkie długie ręce, a dopieroż na tym niezbyt udatnym kadłubie siedzi głowa ciężka, krótko strzyżona, czarniawa, z twarzą, po której jak rok długi wichry morskie chodzą, oksydując ją na miedź i na brąz.

Twarzy tych prawie niepodobna odróżnić między sobą zrazu. *Père* Drugeon tak samo wygląda jak *père* Miard, a *père* Miard niczym się nie różni od *père* Orne.

[11] *Alors je prends mon chicorée* (fr.) – No więc szykuję [mu] tę kawę. (Chodzi o kawę z cykorii).

Trzeba ich dłużej znać i widywać często, żeby się w tych jednostajnie kwadratowych, z gruba ciosanych twarzach połapać jakoś, dopatrzeć rysów indywidualnych.

Co je upodobnia najwięcej, to jedna dla wszystkich moda noszenia zarostu.

Moda ma tu, rzecz prosta, oznaczać nie to, co się raz w raz zmienia, lecz to, co właśnie trwa nienaruszenie od dziadów, pradziadów i nigdy żadnej nie ulega zmianie. Jakoż wszyscy tu rybacy golą starannie wąsy, a z obu stron dolnej szczęki zapuszczają dwie silne kępy dość krótko, równo przystrzyżonych włosów, co im nadaje jakowyś osobliwszy, koźli i faunowski wyraz, do najwyższego stopnia sprzeczny z ich tępym i dobrodusznym spojrzeniem. Zdarza się wszakże, iż kępy te, bez których w ogóle niepodobna pomyśleć typowej twarzy normandzkiego rybaka, łączą się i przechodzą w pełną, po dolną wargę sięgającą, w równy kwadrat ściętą brodę.

Elegant, który taki zarost nosi, wygląda z pewnego oddalenia, jak gdyby dolną szczękę w sztywny czarny futerał aż po usta wpuścił, co przy starannie wygolonych wąsach dziwaczny charakter fizjonomii daje. Tacy trafiają się wszakże tylko wpośród młodzieży.

Ale weterani, którzy już z morzem skończyli rachunki i na łaskawy chleb do matki-ziemi poszli, ci golą całą brodę i dopiero u podgardla wypuszczają frędzle żółtawych, martwych, wypłowiałych włosów.

Ot, jak ta kupka starych, co na boku stoi, barkom się przygląda, podnosząc brwi siwe, mruczy i kręci drżącymi głowami, że niby za ich czasów... ho, ho!...

Co tu i mówić nawet!...

I zapalczywie pykają z fajeczek weterany stare, i zadumują się, i na morze patrzą. Ale morze gwałtowne, zwycięskie, zdobywcze, strojne w pióropusze silnej, młodej fali odtrąca natężonym blaskiem i bojowym ruchem ich oczy mętne, struchlałe. Powieki drżą, opuszczają się, mrugają szybciej coraz. Pierś dotrzymać nie może oddechem natarciu potężnych kłębów żywego, z oceanowych roztoczy pędzonego porannym wiatrem powietrza. Dyszą silnie, pracowicie, ale wydychać tego nadmiaru życia i świeżości nie mogą. Coś ich kłuje w oczy, coś im dech zapiera, coś ściska serca drżące.

Nie, to nie ich morze!

Zbyt huczne ono, zbyt natarczywe, zbyt mocne. To morze – młodych!

Ich morze, to dawne, było całkiem inne. Łatwo je było wiosłu pod pióra brać, łatwo i sieci przez oka przepuszczać. Barka polatywała tylko jak ten ptak powietrzem... Ho! ho! – jakie to wtedy były wyprawy! Ho! ho! Jakie połowy i targi. Niechby się przypatrzyli ci tam... młodzi!

– Ale teraz – morze się zmieniło. Inne jest. Zupełnie inne...

Wzdychają, kulą głowy między ostre sterczące ramiona i z jakąś mgłą w zmrużonych oczach zawracają ku kamienistej drodze, którą przyszli.

Gorzki smak mają w ustach, słoność ciężką w piersiach. Drepcą zgarbieni, zniechęceni, rozczarowani, o wiele bardziej zgrzybiali, niż kiedy schodzili tu rankiem. Nie oglądają się, fajki im pogasły. Maszerują znojnie we dwoje prawie zgięci, zadychując się częściej, uporniej. Dopieroż kiedy u szczytu drogi na równi staną, a wytchną, obejrzą się, a tu morze – Trzy Maryje!...

Ogromne, ukojone; lekko falujące, a takie jasne, takie łaskawe, takie dobre, dobre... Takie – ich!

Są teraz w tym oddaleniu, że tylko miękka, nieobjęta wzrokiem świetlista modrość jest im widna.

Co trudem, co łamaniem się i mocowaniem fal, co bojem ich, gwałtem i zwycięstwem, wszystko to znikło dla ich starych oczu.

Więc się uśmiechną i zapatrzą błogo.

– Nie, nie!... Morze jest to samo! To samo! Własne ich, dawne, drogie morze! Morze ich młodości...

Wieczne ono, wieczne jak Bóg Ojciec w niebie!

Głębokie westchnienia ulgę im przynoszą. Stoją szczęśliwi, rozrzewnieni, wdzięczni, pełni w sobie jakiegoś cichego rozradowania, tryumfalni niemal.

– Ech, ech! Młodzi!... Wielka parada! Wszyscy byli młodzi! Wiadome rzeczy. Puszy to, dmie, rządzi... Oni by i morze przerobić podług siebie chcieli! – Ale gdzie to?... Komu?... Jak?...

I wyciągają się cienkie szyje ze skulonych ramion, i trzęsą się głowy struchlałe z jakąś przedziwnie naiwną, dziecięcą niemal litością dla owych „młodych", i podnoszą się brwi wypełzłe jakimś mruganiem filuternym, chytrym.

Coś z tej przeogromnej świetlistości, w którą patrzą, chodzi po ich zwiędłych twarzach jasnymi łunami...

Zaczem zapalą pogasłe fajeczki i uspokojeni, pokrzepieni na duszy, bezpieczni, iż odnaleźli swoje dawne morze, powracają weterany do ubogich siedzib, aby znów dumać a dumać o nim i tęsknić a tęsknić. [...]

Maria Konopnicka, *Na normandzkim brzegu*, Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1978, s. 15–16, 21–26, 69–90

1906

I. – Anonimowy reporter „Tygodnika Ilustrowanego”

Zwierciadło czasu teraźniejszego

Trudno dziś ustalić, kim jest „I." – autor reportażu o szkole służących dla „Tygodnika Ilustrowanego". Warto jednak podkreślić, że w miarę wcześnie pojawiły się w tym popularnym piśmie reportaże, które nie były „kartkami z podróży", ale zbliżały się do dzisiejszych reportaży prasowych.

„Tygodnik" – ilustrowany periodyk o kulturze, literaturze, historii oraz ważnych i ciekawych miejscach w kraju i na świecie – wychodził przez osiemdziesiąt lat, od 1859 roku do wybuchu drugiej wojny światowej. Było to jedyne tego typu pismo, które ukazywało się we wszystkich zaborach. W xx wieku ilustrowano je zdjęciami, wcześniej – przede wszystkim grafiką drzeworytową, która tworzona była w własnej redakcyjnej pracowni. Co tydzień na podstawie zamawianych rysunków przygotowywano nowe drzeworyty. Na przykład zakłady maszyn i narzędzi rolniczych panów Ewansa, Lilpopa i Raua „rysował z natury Gerson", zaś pałac i park na skarpie w miejscowości Ciążyń odtworzono w drzeworycie z „rysunku nadesłanego". Na przełomie wieków pojawiły się w piśmie obszerne fotoreportaże z uroczystości, pogrzebów, wystaw i klęsk żywiołowych. Ilustrowaną relację poświęcono na przykład pogrzebowi Konopnickiej czy też obchodom rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

To w „Tygodniku" swoje premiery miały największe polskie powieści, drukowane w odcinkach: *Nad Niemnem* Orzeszkowej, *Faraon* Prusa czy *Popioły* Żeromskiego. „Dominowała w nim historia ojczysta, prezentowana w postaci biografii, opisu zabytków i miejscowości" – piszą autorzy *Dziejów prasy polskiej*. Reporterskie opisy miejsc należały do stałych pozycji „Tygodnika". Warszawską Królikarnię opisywano na przykład tak (nr 32/1910):

> Obok w kącie ogrodu poważnie rozmyśla mała kaplica, ze śmigającą w niebo małą wieżyczką, a przy niej niby Łazarz przytulił się dom o wyglądzie szpitalnym, co patrzy na jasny świat szeregiem okien tak przerażająco smutnie... Aż mieszczucha zastanawia tu wszędy rozlany jakiś spokój i cisza sfinksowa...

Jeśli reportaż jest „zwierciadłem czasu teraźniejszego" (jak twierdzi Marek Miller [patrz t. 2, s. 315]), to w wypadku tekstu *Szkoła dla służących* znaleźliśmy na strychu zwierciadło bardzo dobrze zachowane. Wprawdzie prawie nikt już dziś takich ram do luster nie robi, ale przejrzeć się w nim nadal można.

Szkoła dla służących imienia Świętej Kingi (dawniej Świętej Zyty)

Której z pań naszych nie chodzi o to, aby mieć dobrą i inteligentną służącą! Najczęściej tak bywa, że bierze się do domu dziewczynę nieobeznaną z niczym, uczy się ją gotowania, sprzątania, prania, prasowania, szorowania, opieki nad dziećmi, usługiwania lokatorom, wybierania najlepszego mięsa… a po tej nauce Marysia idzie sobie do innych państwa, szczęśliwych, że mają do czynienia już z doświadczoną, choć może nieumiejącą jeszcze czytać ani pisać służącą.

Konieczną więc była u nas szkoła dla sług, choćby kto słusznie zresztą nawet mówił, że takie urządzenie społeczne, jak trzymanie służących jest w krajach – powiedzmy otwarcie – cywilizowanych, bardziej rozbudzonych do samodzielnego życia, przeżytkiem lub zbytkiem. W Ameryce służąca – to elegancka pani, która bierze dolara dziennie, zrobi obiad, zmyje statki i idzie, dokąd jej się podoba. Jest to „artystka sztuki kulinarnej”, której nie można palnąć w plecy ani też zasypywać jej komplementami, czerpanymi z nazw bogatej fauny krajowej i zagranicznej. Coś podobnego we Francji. Ale bo też tamtejsza służąca a nasza – to niebo i ziemia. Tamta – to sprytna, elegancka panienka, robiąca wszystko z błyskawiczną szybkością i ochotą, dowcipna, rozmowna, lubiąca pracę porządną. Nasze zaś – mniejsza o to – ale nasze nie pobierają ani dolara, ani franka dziennie, lecz trzy, cztery, no… sześć, czasem nawet aż dziesięć rubli miesięcznie! Przy tym zaś robią wszystko, co wyszczególnione zostało wyżej.

Pytałem właśnie szanownej założycielki szkoły dla służących imienia Świętej Kingi, czy zakład ten (założony 4 grudnia roku 1904) nie zwróci uwagi na kwestię zapłaty przyszłych swych wychowanic.

– To już do nas nie należy – odpowiedziała pani Bronisława Kuczyńska – nam chodzi przede wszystkim o to, aby z zakładu wychodziły służące umiejące prać, prasować, gotować i tak dalej (i wszystko to, co wyszczególniłem wyżej), aby miały poczucie obowiązku i godności własnej, aby posiadały zasady takie, które by mogły z nich uczynić w domu nie służącą, lecz przyjaciółkę. Przy tym wszystkie umieją czytać, pisać i rachować.

– Aa, to bardzo ważne. Jak się odbywa nauka służących?

– Przez praktykę: zaczyna się od zwyczajnego szorowania, zmywania statków i tak dalej. Później uczą się kucharstwa. Kierowniczką w tym względzie jest pani Anna Bobacka, która była dawniej w Kuźnicach…

– W znanym zakładzie poświęconym nauce gospodarstwa domowego, założonym przez hrabiego Zamoyskiego, właściciela Zakopanego?

– Tak jest. Z tego zacnego zakładu „Czepczulek" przybyła obecna przełożona „domu Świętej Kingi" pani Józefa Chacharowska.

– W ten sposób istotnie można być pewnym, że służące, które wyjdą z zakładu, zostającego pod tak umiejętnym kierownictwem, staną się dla gospodarstw naszych prawdziwym dobrodziejstwem. Ile uczennic liczy już zakład?

– Czterdzieści kilka. Ale jest miejsce na pięćdziesiąt.

– To musi pochłaniać ogromne koszty. Słyszałem, że wszystkie odbywają naukę bezpłatnie.

– Naturalnie. Dochody, jakie przynoszą obiady, są niewystarczające. Potrzebujemy jak największej ilości członków do naszego stowarzyszenia. Wkładka minimalna ruble trzy. Członkowie mają oczywiście pierwszeństwo w otrzymywaniu służących z naszego zakładu. Jeżeli nas nie poprze społeczeństwo... Przecież wszystkie służące u nas mieszkają. Zakład ma dwadzieścia trzy pokoje na dwóch piętrach...

– Istotnie, tak pożyteczną instytucję warto by poprzeć.

Poszliśmy zwiedzić zakład. W pokojach czystość wzorowa. Każda z dziewcząt ma własną umywalkę, odgrodzoną przegródkami od sąsiedniej. Wszystko ukryte za czystą firanką. Dowiaduję się, że uczennice wstają o wpół do siódmej z rana, kładą się spać o dziewiątej. Kuchnia ogromna, piec na osiem fajerek, do zmywania osobny pokój, a w nim specjalne przegródki dla ociekających talerzy. Wszędzie ład, porządek, uczennice witają swoją przełożoną ze szczerą sympatią i uszanowaniem. Czują nad sobą opiekę czułą i sprawiedliwą. Jest to bardzo miły widok.

Schodzimy na dół, do pralni. Tam pod kierunkiem pani Jankowskiej idzie nauka prania ręcznego, jak również na świeżo sprowadzonej maszynie. Pranie to – daleko praktyczniejsze od barbarzyńskiego prania ręcznego, przy czym dziewczęta (jak o tym każdy wie) po pięć i sześć razy muszą brać w rękę te same sztuki bielizny i zdzierać sobie skórę do krwi – polega na wprowadzeniu bielizny do napełnionego mydlinami bębna, który się obraca w jedną i w drugą stronę. W bęben wnika gorąca para i oczyszcza z brudu w mgnieniu oka. Potem oczywiście jeszcze trzeba bieliznę raz „przeprać" – ale cóż to za ekonomia sił i zdrowia! Obok mieści się suszarnia bielizny ze specjalnym piecykiem. Widziałem upraną bieliznę. Przedstawia się wzorowo. Zakład przyjmuje już bieliznę „z miasta" i bierze za pranie nieco taniej niż gdzie indziej.

– Czy zakład przyjmuje „na praktykę" osoby, które nie mają zamiaru być fachowymi służącymi?

– Nie. Ale od marca urządzimy osobne kursy dla przychodnich pod kierunkiem pani Henikowskiej. Jednocześnie zaś zaczniemy oprócz dotychczasowych (czterdzieści trzy kopiejki) dawać obiady nieco droższe i wykwintniejsze (sześćdziesiąt pięć kopiejek).

– A dlaczego zakład zmienił nazwę?

– Ponieważ inna instytucja nazwała się również zakładem Świętej Zyty, musieliśmy więc zmienić nazwę dla uniknięcia możliwych nieporozumień. Zresztą, wielu członków myliło się, zapisywało się nie do nas, myśląc, że właśnie nas popierają...

– Poparcia, poparcia! Istotnie instytucja ta ze wszech miar zasługuje na poparcie.

Podziękowawszy za tak obszerne i uprzejme informacje, opuściłem szkołę dla służących imienia Świętej Kingi z tym przeświadczeniem, że jest to niewątpliwie czynnik kulturalny w kraju naszym – i to na niwie, kulturą tą jeszcze nietkniętej.

„Tygodnik Ilustrowany” 1906, nr 6

1910

Władysław Stanisław Reymont (1867–1925)

Czuły aparat spostrzegawczy

Pierwszy polski reportaż napisał autor, który miał dwadzieścia siedem lat. Do tego był to od razu reportaż uczestniczący i wybitny. *Pielgrzymka do Jasnej Góry* Władysława Stanisława Reymonta z 1895 roku jest uznawana nie tylko za pierwszy tekst reporterski w naszym kraju, ale też za pierwsze dzieło Reymonta, które ujawniło główny rys talentu przyszłego noblisty. „Zapisane zdumiewająco czułym aparatem spostrzegawczym bogactwo świata" (Artur Hutnikiewicz). „Nadzwyczajna sprawność obserwatorska Reymonta zawsze przysparzała mu legendy" (Jolanta Sztachelska).

Wracając do pielgrzymki. „Dlaczego idę? – nie wiem" – wyznał autor. Świetnie odtwarzał dialogi, w które wchodził z ludźmi:

> Na słomie kilkanaście sióstr jedna koło drugiej są tak upakowane, że przewrócić się na drugi bok jest niemożebnością. Śpią już wszystkie. Niezmiernie gadatliwy ten podwarszawski naród: zasypuje mnie bez końca pytaniami:
>
> – Pan z famielią?
> – Nie, sam.
> – To i przez żuny?
> – Bez.
> – Że to kobita puściła w drogę pana samego?
> – Nie mam żony.
> – Ale?! – rzuca krótkie powątpiewanie gospodyni.
> – Naprawdę.
> – Ale pan z Warsiawy?
> – Tak.
> – Tam to szyćkie panowie tak na pieskiego, jak najdłużej przez żuny.
>
> Chwila milczenia, a potem na wyścigi opowiadają mi różne kłopoty i sprawy [...].

Celnie opisywał mijane okolice: „Jest to sobie kilkanaście domków brudnych i odrapanych srodze, jakby wysilano się umyślnie, aby stworzyć rzecz brzydką aż do obrzydliwości". Przyglądał się ludziom, by w ich twarzach znaleźć coś wspólnego: „Widzę głowy twarde, czoła niskie, profile jakby dzikie, a spojrzenia niezmiernie jasne, o dziecięcym wyrazie. Spoglądają na mnie nieufnie".

Uważa się *Pielgrzymkę* także za literacki dokument psychologiczny. W zachowaniu ponad czterech tysięcy pątników Reymont starał się zaobserwować to, co mógłby uogólnić tak, żeby jego reportaż był reportażem o Polsce. Ludwik Krzywicki w studium o tym tekście zauważył, że wędrówka Reymonta to opis „jaźni zbiorowej".

> Śpiewają wszystkie piersi i wszystkie serca zdają się kłaść całą wiarę w te słowa i wszystkie dusze zdają się chwiać i zlewać z sobą w tej szerokiej, pełnej niezmiernie mocnych dźwięków pieśni trzystoletniej.
>
> – To jest cementem, który ich spaja i jednoczy – myślę, przepatrując twarze.
>
> Chciałbym znaleźć twarz jaką znajomą. Nie ma nikogo. Pieśń ta ogólna, razem śpiewana, kończy się. Starszy brat intonuje inną, ale równocześnie zaczyna brzmieć dziesięć co najmniej śpiewów o odrębnej melodii. Teraz widać, że to olbrzymie ciało nie ma głównego i jedynego środka: ma ich kilkanaście; widać setki gromad, idą swojacy przy swojakach, parafiami, wsiami, ba! nawet powiatami i zawsze się ktoś wysuwa na czoło, rozkłada książkę i intonuje pieśń nową. Powstaje z tego taka kakofonia, taki galimatias srogi, że słuchać niepodobna; lament tych głosów tworzy okropnie brzęczący wir, który bije niemiłosiernie o mój słuch, niby jakiś ostry i chrapliwy klekot.

Artur Nowaczewski, krytyk „Gościa Niedzielnego", podkreśla, że w czasie drogi zachodzą w młodym Reymoncie ważne przemiany – przede wszystkim nie wątpi już on w głęboką wiarę prostych ludzi. („Wiem, po co idą. I moje »ja« sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórce życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem").

Prawdopodobnie pielgrzymka, na którą wybrał się w 1894 roku, była efektem jego niezgody na rolę, jaką wyznaczył mu ojciec, półchłop, gospodarujący na cudzej ziemi, a jednocześnie kościelny organista. Chciał, by syn poszedł w jego ślady i miał konkretny zawód. Wysłał go więc do Warszawy do zakładu krawieckiego. W 1883 roku młody Reymont ukończył nawet Warszawską Szkołę Niedzielno-Robotniczą. Jednak kiedy miał osiemnaście lat, związał się z wędrowną trupą aktorską i włóczył z nią przez rok. Gdy dzięki staraniom ojca dostał pracę podrzędnego urzędnika na małej stacji kolejowej, nie wytrzymał tam długo i uciekł do Niemiec z przygodnie poznanym spirytystą Puszowem. Próbował nawet nowicjatu na Jasnej Górze, ale szybko wrócił na kolej. Jesienią 1983 roku wymówił posadę na stacji i z trzema rublami wyjechał do Warszawy. „Przyznają mi talent, ale drukować ani, ani – zbyt realistyczne" – zanotował w dzienniku. „Tygodnik Ilustrowany" nie był zainteresowany jego tekstami.

Kilka miesięcy później, w maju Władysław Reymont szedł już z pielgrzymką. Relacją z niej „Tygodnik" już bardzo się zainteresował, wydrukował ją w odcinkach. Nie użyto jeszcze słowa „reportaż", tylko „opis w oryginalną formę ujęty".

Cykl *Z ziemi chełmskiej* o losie polskich unitów to ostatni reportaż Reymonta. Wielokrotne inicjatywy oderwania unickiej Chełmszczyzny od Polski, które pojawiły się w kołach rosyjskich już w połowie XVIII wieku, odrodziły się w roku 1907. Powstał projekt przyłączenia ziem zamieszkałych przez grekokatolików do cesarstwa rosyjskiego. Zaakceptowana przez rząd carski propozycja trafiła do Dumy. Projekt zakładał utworzenie części guberni siedleckiej, lubelskiej i nowej guberni chełmskiej z sześciuset trzydziestoma siedmioma tysiącami mieszkańców. Władze podkreślały, że lud Chełmszczyzny etnicznie i wyznaniowo należy do prawosławia i narodu rosyjskiego.

Wszystko to zmusiło uznanego już pisarza do zabrania głosu. Ponoć Reymont traktował swoje przedsięwzięcie reporterskie bardziej jako czyn potrzebny Polsce niż realizację literackiego marzenia.

> Reportaż twórcy *Chłopów* mówi więc nie tylko o tym, co zdarzyło się na ziemi chełmskiej w 1909 roku – pisze Joanna Sztachelska – ale dotyka spraw o charakterze uniwersalnym, pokazuje podstawowe doświadczenia Polaka doby niewoli.

Powstał fresk o ludziach „walczących o swoje elementarne prawa: prawo do szczęścia rodzinnego, sposobu wychowania dzieci, poszanowania obyczaju i tradycji. Jest to walka pierwotna, spontaniczna, często nieuświadamiająca sobie własnej ideowej ważności".

Władysław Stanisław Reymont w ostatnim swoim reportażu rzadko udziela głosu sobie. Prawdopodobnie dlatego, że spotkał takich bohaterów, o jakich reporter może tylko zamarzyć.

Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki

I

Misja[1]

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawołał:

– Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misji, a tak mi głęboko wyryła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć o niej z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unii przed aktem tolerancyjnym[2].

Wielkanoc owego roku wypadała w początkach kwietnia razem z prawosławną. Pamiętam, że w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękłe do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem zdenerwowany, bo zanosiło się na dłuższą pluchę, a tu, jakby na dobitkę, przychodzi mi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

– Co się stało? Widziałem ją jeszcze wczoraj przy wieczornym udoju.

– Zachorowała w nocy, leży prawie konająca! – mówił, trąc rękawem oczy.

– To idźcież do pani, może wam co pomoże.

– Kiedy się bojamy, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi grasowała ospa przez całą zimę.

– A może wam sprowadzić doktora? – proponuję mu bardzo serio.

Jakby się zdumiał, aż gębę otworzył. Ale naraz rzucił mi się do nóg, całował mnie po rękach i bełkotał wystraszony.

– Dopraszam się tylko o księdza! Doktór nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka, zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie, a chorobę zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze. Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czwórkę, bo do parafii mieliśmy cztery opętane mile[3] i roztopami, ale gdym mijał czworaki, wydało mi się, że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karmiącą prosięta. Powstałem na nią, że w takiej chorobie wyłazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknąwszy drzwi, powiada mi cicho do ucha:

– Musi jaśnie pan posłać po księdza z Panem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła z takim naciskiem i oczy jej tak błyszczały, że byłem pewny, iż majaczy.

[1] Misja – tu: zjazd duchowieństwa do danej miejscowości na uroczystość religijną. Misja w ziemi chełmskiej miała szczególne znaczenie: duchowieństwo katolickie w największej tajemnicy przekradało się do niedostępnych miejsc w lasach i naznaczało wiernym spotkanie, aby tam odprawić mszę świętą, nauczać, chrzcić, dawać śluby, spowiadać, udzielać komunii. Księżom za udział w takiej misji groziło zesłanie na Syberię.

[2] Prześladowanie unitów na Chełmszczyźnie trwało aż do kwietnia roku 1905, kiedy – na skutek rozruchów rewolucyjnych w całej Rosji – rząd ogłosił tzw. ukaz tolerancyjny, zezwalający na przechodzenie z prawosławia na inne wyznanie.

[3] Opętana mila – pełna mila (chodzi o mile polskie, jedna równała się około siedmiu, ośmiu tysiącom metrów).

– Ja zdrowa jestem, chwała Bogu! – odpowiedziała. – Ale tylko do mnie można wezwać księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katoliczka.

– A któż chory? – zaczynałem rozumieć ten podstęp.

– Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne[4], to księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają te cztery niewinne dusze pozostać bez świętych sakramentów? Od tygodnia się męczą, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza! Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą. Pan Jezus daruje mi to cygaństwo, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesą na ten czas do izby i wyspowiadają się. Strażniki ani się domyślą.

– Chcecie ospę przywlec do chałupy! – krzyknąłem na nią.

– Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie! – odparła poważnie.

– Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać! – tłumaczyłem.

– To już trudno. Może Jezus w czym innym okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nieszczęśnikom trzeba pomagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych! – dodała z taką mocą, że dałem spokój perswazjom i konie wysłałem.

O zmierzchu przywlekli chorych do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowalowa powtykała im w garście pozapalane gromnice, przyklękła w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli nieruchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zaniósł jakiej religijnej pociechy „uporstwujuszczym”[5]. Węszyli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywęszyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszyscy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem, umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

Gorzko zapłaciła za swoje miłosierdzie, ale przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powiedziała do mojej żony:

– Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatraty!

Otóż wkrótce po odjeździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelarii, a tylko co zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi z bliska w twarz i szepnął:

– Jutro w nocy misja!

[4] Rząd rosyjski przemocą dążył do zniesienia Unii i popi zapisywali unitów jako wiernych prawosławnych, określając to „dobrowolnym nawróceniem”. Unicie zapisanemu jako prawosławny pod groźbą surowych kar nie wolno było praktykować swojej wiary.

[5] *Uporstwujuszczij* (ros.) – uparty, nieposłuszny; tak nazywano unitów, którzy nie chcieli przejść na prawosławie.

– Gdzie?

– W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

– Skąd jesteście? – spytałem go mimo woli.

– Z całego świata! – odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

– Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią – rzekł jakimś biblijnym tonem.

– A czy mogę zabrać żonę na misję?

– Za daleka droga dla dziedziczki. A przy tym kobiecie łatwiej umrzeć, niźli dochować sekretu.

Zabierał się do odejścia.

– Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

– Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

– Ale proboszcz będzie na misji?

– To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafialny propinator[6]!

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalską, mocną szkapę i pojechałem. Przed domem stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedziało dwóch chłopów, a skorom dojechał i chciał wyminąć, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy noga za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orientować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, połśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wynosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

– Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadziły zajadłym szczekaniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak

[6] Propinator – dzierżawca karczmy z wyszynkiem, rozpijacz.

uważnie, że mimo woli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole z pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwnym, gdyż grunty mieli niskie i jeszcze wszędzie po bruzdach siwiały stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedziało paru chłopów i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi „Pochwalony" i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty[7] i kiedym się wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

– Strażnik idzie za panem! Trzeba skręcić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami koło stodoły! – I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wąska dróżka, obsadzona gęsto wierzbiną, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie majaczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przyczaił się na skręcie, pilnie mnie spoza drzew obserwując, a chłopi maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiego bądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianymi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłódkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otwarły się naraz jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

– Konia można postawić pod szopą. – I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynków[8]. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przesączały bardzo mało światła, ale w czerwonawych brzaskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszeptali między sobą i poczułem, że mnie okrążają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misję, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

– Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, objaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebranym. Nikogo

[7] Patrz s. 26, przyp. 3.

[8] Mierzynek – nieduży koń roboczy.

jednak nie znałem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski, te surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulękłe i te męczeńskie głowy „opornych".

– Chyba obcy tutaj by nie trafił! – powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

– Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek jak smród wszędzie się wciśnie.

– Trzeba się nieraz strzec własnego cienia.

– A to ciężko się uchronić! Mało to „duszołapów"[9] węszy za każdym opornym!

Parę dni temu wyniuchali Michała Klimiuka z Wisznicy.

– Co się stało? – odezwały się strwożone głosy.

– A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! – zwrócił się do mnie. – Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ich ślubną metrykę! Co się im przy tym zaraz dostało, to jeden Bóg wie. Ją związali jak barana i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

– Chyba się na to nie zgodzi – wtrąciłem.

– To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z Unii, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberii. To oporny z opornych. Wiedzą o tym dobrze i słono zapłaci za swój ślub i przeróżnych bied się nasmakuje.

Rozgadali się i z wolna, prawie mimo woli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk, ze zwykłych, codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi; z kar, płaconych za wszystko: za ochrzczenie dziecka i za nieochrzczenie, za pogrzeby odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzi, za samo wejście do kościołów, z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisjach i więzieniach; z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości, z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotonnie smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dioklecjana[10] opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

[9] Aluzja do strażników szpiegujących unitów.

[10] Dioklecjan – cesarz rzymski (245–313?). Od 303 roku prowadził najkrwawsze w czasach rzymskich prześladowania chrześcijan.

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerwy ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, poginęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystką krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie zabłagali o litość, a zapomniani, wyszydzani, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakim wciąż męstwem, nieulękli jednako i jednako niezwyciężeni.

Siedziałem jakby zmartwiały; płacz sączył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary i cały dom zdawał się napełniać szlochaniem, gdy ktoś odezwał się głośno:

– Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

– Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dopokąd się Panu Jezusowi spodoba.

– A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem[11] nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiałe, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać nieomal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernym skupieniem, posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości, ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

– Ot i kara boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasłuchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednym oku zabłysły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś bliskiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z różańcem na szyi przerwał milczenie i klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

– Należy się im szczery pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklęknęli wszyscy i zaszemrały gorące szepty modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawołał:

– Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pośpiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

– Pan chce z nami na misję, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionymi oczami.

[11] Chodzi tu o wojnę rosyjsko-japońską prowadzoną w latach 1904–1905. Działania wojenne podjęte przez cara Mikołaja II Romanowa w celu objęcia panowania na Dalekim Wschodzie ostatecznie zakończyły się klęską Rosji.

– Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko! – powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta baty i wychodzili.

Noc była na świecie i chłodnawy wiatr pociągał z pól, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom czerniejącym na horyzoncie niby opadła nisko chmura. Jechałem na drugiego. Przede mną, na pierwszym wozie siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chlupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokim milczeniu. Gdzieniegdzie, we wsiach zatopionych w ciemnościach, przebłyskiwały światełka, czasami wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parskały konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i nie żałując bata, ruszyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:

– Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscu. Nasłuchiwałem z zapartym tchem... Gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

– Powóz we cztery konie! Bóg wie, kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniuśko! – padła cicha i mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda i po chwili nie było już na szosie nikogo.

Ruszyłem stępa. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie i było słychać uderzanie kopyt i brzęk uprzęży, a w parę minut później przesunął się koło mnie powóz, zaprzężony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

– Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tym mówić, po co się mają płoszyć! – szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skręciliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

– Zgasić! Mógłby kto zobaczyć z szosy!

Zdążyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotonny skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalewane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała spod kół i kopyt, a spłoszone czajki zakwiliły nade mną. Potem wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon, niezmiernie grząski, wyboisty i pełen kałuż. Potem staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słychać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki[12].

– Ruszać, a nie rozwłóczyć się! – zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż spod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

– Kto jedzie?

– Swoi! Swoi! – zerwały się niecierpliwe wołania.

– Tu nie ma przejazdu: grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

– Jechalim z nadzieją, to może przejedziemy! – zagadał poważnie pierwszy wóz.

– Tak że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyknąć: swoi!

Słowo „z nadzieją" było umówionym hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk ligawki i wjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzóz majaczyły jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zsiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli wyłożonej okrąglakami, które zapadały się pod kopytami jak klawisze; grzęzłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczułem twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew rozstrzępione w czarne pióropusze.

– Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych – rozkazano.

Przystanąłem i wkrótce podniosły się dokoła mnie szepty i ostrożne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć

[12] Ligawka – długa trąba, najczęściej drewniana używana przez pasterzy do oznajmienia gospodarzom, że bydło wyrusza na pastwisko.

słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głuche dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesją, że z wolna bór napełnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby bełkotem wód, napływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i owdzie szarpać uprzęże i tłuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzmagał się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzaną, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i wciąż podsycane gałęziami, wybuchało coraz potężniejszymi słupami płomieni. Setki ludzi kręciły się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejsca i rzekł bardzo przyjaźnie:

– Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością; ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem rwał się w górę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż do czubów drzew, a dokoła ciżbiły się rdzawe pnie sosen twardą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

– Nie zdążą prędzej niźli na świtanie.

– Byle ich w drodze nie spotkało co złego.

– Na uroczysku, tam sucho i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafią!

– A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda.

– Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyczeć:

– Zgasić ogień, a toć łunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zawalono ziemią ognisko i zadeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

– Czy to jeszcze daleko? – spytałem jakichś cieni przechodzących obok bryczki.

– Nie bardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przebrać[13] na jakieś niewielkie

[13] Przebrać się – tu: przeprawić, przedostać.

wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystymi drzewami, a otoczone nieprzebytym bagnem i wodami.

– Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu! – zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

– Stawiają ołtarz i co potrzeba – objaśnili mnie.

– A czy księża już są?

– Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przy tym zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanymi dokoła ognisk, aż spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w kolembrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

– Sporo ludzi się zebrało! – zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczynali drzemać.

– Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przyszli tylko sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

– A nie wytropią nas tutaj?

– Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w boskim ręku. Nikt się tu nie dostanie ani stąd nie wyjdzie bez pozwoleństwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

– A jakże dostaną się księża?

– Przez mokradła, ale takim przejściem, o którem tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczelniej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarym tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli, pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i ówdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

– Już nadchodzą, panie! – I wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnym morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze i słychać było dalekie kwakania dzikich kaczek.

– Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić – dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roiło się w blednących z wolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długim, męczącym oczekiwaniu rozległy się wołania:

– Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już z daleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów.

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

– Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!

Usłuchano bez szemrania i gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za niemi zwarła się wielkim półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamanym murem, ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Palący wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk, i jęk serdeczny:

– Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancją i kielichem w rękach wstępował z wolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak żrały[14] łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy i jednym ruchem i z jednym westchnieniem i uczuciem jednym tysiące padły na kolana.

[14] Żrały – dojrzały.

Ołtarz wznosił się jakby świetlane widzenie zawieszone gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzęczały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozpływały się pachnące dymy i złocista monstrancja unosiła się nad pochylonymi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie i było tylko słychać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrzęsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził[15] na chwilę i przycichnął i pochylony, jakby się wsłuchiwał w rozdrgane szmery modlitw, w rozełkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którym wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche, prędkie i trwożne szepty:

– Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

– Jezus Maryja! Święty Józefacie!

– Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

– Cicho, teraz nabożeństwo! – odezwał się ktoś karcąco.

– A niech przyjdą i niech nas wezmą! – podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestrachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i ówdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięści i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

– To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie straszy!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiły jak trybularze[16], bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca i głośniej zaśpiewały ptaki, a w modrawym, zimnym świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczonych głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że

[15] Gędzić – śpiewać, szumieć.

[16] Trybularz – ręczna kadzielnica kościelna.

już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroiły się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wzniósł wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

– Niech teraz przyjdą i spróbują brać! – odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnych dymach i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon głosem zaintonował suplikacje[17].

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwymi ustami świętą melodię i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia, każda dusza skarżyła się żałosnym płaczem i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze[18] ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się z wolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną źrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły i śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonymi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

[17] Suplikacja – w Kościele katolickim: pieśń błagalna, szczególnie popularna w okresie klęski.

[18] Kierz (daw.) – krzew.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dzietni, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali.

Cisi, prości, spokojni, wierni a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest, panie, nasz lud na „Czerwonym Podlasiu".

Skała, w którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmogły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny[19], i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

Zakończył opowiadanie pan R.

Konie czekały już na mnie przed gankiem, ale zaledwie wszedłem do bryczki, zaczął padać drobny i zimny deszczyk, a pan R., rozejrzawszy się po zasępionym niebie, zawołał:

– Dzisiaj świętego Jana, wie pan, co lud prorokuje, kiedy deszcz pada w tym dniu?

Jak się Jaś rozpłacze,
Mama nie utuli,
To będzie padało
Do świętej Urszuli.

Ale pomimo tej mokrej przepowiedni ruszyłem w głąb „Czerwonego Podlasia".

II

Deszcz jednak ustał i wkrótce po południu wyjrzało blade, anemiczne słońce, a nisko pochylone zboża i trawy rozbłysnęły siwymi rosami. Droga była szeroka, polska, miejscami piach, miejscami błoto po osie, a miejscami wyboje i kałuże na pół chłopa.

Kraj płaski, równy jak stół, przestronny; oczy lecą niby ptaki w cały ogromny świat, lecą daleko i radośnie, aż za przemglone, niebieskawe krańce nieba. Zboża zielonym morzem pokryły ziemię, jak okiem dosięgnąć wiatr pieszczotliwie przegarnia płowe, cicho szumiące zagony, a nad nimi tu i ówdzie

[19] W ramach represji po ukazie tolerancyjnym, gdy lud chełmski gromadnie porzucił prawosławie, rząd rosyjski przeprowadził tzw. wyodrębnienie Chełmszczyzny, czyli wydzielenie jej z Królestwa Polskiego i przyłączenie do cesarstwa rosyjskiego.

bielą się ściany domów, śpiewają skowronki, kołyszą się samotne drzewa i błyskają kopuły cerkiewek.

Wsie rzadkie, ukryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów.

Gdzieniegdzie wśród łąk, porozrzucanych niby barwne kilimy, wśród łozin i czarnych olch, srebrzą się kręte wstęgi rzeczułek, patrzą siwe oczy stawów, czajki zawodzą lękliwie i spacerują bociany.

A nad drogami dumają stare, pochylone sosny z obrazkami, to wierzby rosochate przysiadły niby kumy, to krzyże wyciągają białe ramiona lub stoi dąb prawieczny, podarty piorunami.

Po wzgórkach piaszczystych i nagich leżą cmentarze, zasadzone gąszczem olbrzymich krzyżów, pochylonych na wszystkie strony jakby w niemym wołaniu ku wioskom i domom.

Bardzo rzadko spotykamy wozy, a jeszcze rzadziej przechodzi drogą jaki człowiek, przygląda się badawczo i wymija mnie bez słowa. Przejeżdżam wielkie, doskonale zabudowane i prawie puste wsie, bo nawet dzieci uciekają strachliwie w pola, a tylko spoza węgłów i drzew śledzą mnie jakieś nieufne spojrzenia i psy zajadle naszczekują.

Milcząco i dziwnie sennie poruszają się ludzie po zagonach. Nigdzie nie zrywają się wesołe pokrzyki, nie wrzeszczą dzieci, nie rozlega się śmiech i nie rozdzwania piosenka.

Tylko melancholia i łzawy smutek płynie z tych pól niezmierzonych. A na każdym kroku stoją święte figury, kapliczki, gdzie Maryje w niebieskich szatach i złotych koronach wyciągają miłosierne ręce, Jany Nepomuceny, Chrystusy w cierniowych koronach i nowe, biało pomalowane krzyże, przystrojone w powiędłe wieńce, kwiaty i różnokolorowe wstęgi.

– Dużo nowych krzyżów! – odzywam się do woźnicy, który przed każdym żegna się pobożnie i czapkę zdejmuje.

– A sporo, bo, jak tylko nastało „Polactwo", to pracowali nad nimi dniami i nocami, żeby nastawiać jak najwięcej.

– I tak ładnie przystrojone.

– Bo ubrali je na ten dzień, kiedy to po wszystkich kościołach odprawiało się nabożeństwo na intencję nieodłączania Chełmszczyzny.

– Byliście na tym nabożeństwie?

– Jakże, przecież cała wieś poszła, nawet i prawosławni nie zostali w domu.

– Widzę, żeście i wy katolik.

– Ja prawosławny! – odpowiedział.

– A chodzicie do kościoła?

– Moi rodzice i starszy brat już Polaki, a ja nie jestem jeszcze pełnoletni.

Przerwał nagle i tylko już odpowiadał, ale bardzo niechętnie i wymijająco, zaczął mi nie dowierzać, bo często łapałem jego nieufne spojrzenia.

– Pan pewnie z Chełma? – rzucił lekceważąco przez ramię.

– Nie, z Warszawy! – zdziwił mnie gniewny akcent jego głosu.

Uśmiechnął się tak wątpiąco, że dałem spokój przekonywaniom, ale niedługo wytrzymał, kręcił się na siedzeniu, zacinał konie, przyglądał mi się spod oka i gdyśmy już dojeżdżali do jednego z moich etapów, zagadnął znowu tym samym gniewnym i wzgardliwym tonem:

– A gdzie jechać?

– Do wójta.

– Czy do tego niezatwierdzonego?

– Do niego właśnie jadę.

Twarz mu się rozjaśniła, spojrzał na mnie życzliwiej i zaczął się tłumaczyć:

– Bo tyle teraz kręci się po wsiach różnych ludzi, co to i po polsku mówią, i przed kościołami się żegnają, i polską wiarę chwalą, a potem to namawiają do podpisów za odłączeniem. U nas we wsi był taki jeden, jeszcze na jesieni. Do diaka[20] przyjechał w goście, a po wsi całe dnie spacerował, do chałup zaglądał, każdego zagadywał, bakę świecił[21] i niby to pod sekretem rozpowiadał, że mają dworskie ziemie podzielić między chłopów. Nasi nie bardzo wierzyli, bo jakże to można za darmo co dostać, ale zaklinał się na wszystkie świętości. A po nim zjechali jacyś panowie z urzędu, przykazali sołtysowi ludzi zwołać i to samo powiedzieli. Jakiś pewnie starszy od całej wsi napisał prośbę i kazał się pod nią wszystkim podpisywać, a straszył, że który się nie podpisze, to gruntu nie dostanie.

– I dużo się podpisało?

– Ziemia łakoma rzecz, a żaden nie ma jej za wiele, to i sporo się podpisało, nawet i spomiędzy katolików. Dopiero potem, kiedy się pokazało, że prośba była nie o ziemię, ale za odłączeniem od Polski, niejeden gorzko zapłakał i łbem bił o ścianę. Niektórzy nawet pojechali odbierać tę prośbę, ale... wydrą tam z gardła wilkowi. Jeszcze się z nich wyśmieli, a diak jak sobie podpił, to po całej wsi krzyczał, jako nareszcie będzie już koniec Polactwu, że wnet wygonią panów i księży, a który chłop nie zostanie prawosławnym, to pójdzie z torbami. Ale psie głosy nie idą pod niebiosy. Prawda, panie?

Słońce zachodziło, gdyśmy wjeżdżali do wsi, obok cerkwi, przerobionej z kościoła i stojącej na wzgórku w wieńcu olbrzymich lip i klonów.

Zajechaliśmy pod duży, biały dom, stojący nieco w głębi; przed gankiem wynosiła się potężna grusza, obwisła od owocu, a z boków rozciągał się wielki sad.

[20] Diak – psalmista i pomocnik w cerkwi prawosławnej.

[21] Świecić komuś bakę – nadskakiwać, schlebiać.

Wójta poznałem kiedyś w Warszawie, jeszcze w dniach wolnościowych, więc przywitał mnie bardzo serdecznie i po krótkim wypoczynku zaprosił do obejrzenia gospodarstwa. Zamożność i doskonałe gospodarowanie znać było na każdym kroku; żyta sięgały do strzech i czerniały, niby bór, koniczyny były po pas, a w podwórzu, obudowanym w zamknięty czworobok, aż roiło się od gęsi, kur, kaczek i trzody chlewnej. Cztery tęgie krowy wychodziły właśnie na podwórze, pędzone przez małego chłopaka w płóciennej, białej katance.

– Mój wnuczek! Franuś, a chodźże do nas!

Ale Franuś śmignął w inną stronę.

– Niezwyczajny obcych, to się wstydzi. A to moja córka i gospodyni! – wskazał na wysoką kobietę idącą ze szkopkami[22] ku oborze. – Żona umarła mi już dawno.

Zaprowadził mnie do byczka, stojącego w osobnej zagrodzie.

– Dostałem za niego nagrodę w Lubartowie na wystawie – rzekł z dumą.

Obejrzałem jeszcze jakąś dostojną maciorę, otoczoną licznym potomstwem, obejrzałem duży sad, prowadzony bardzo starannie i pełen owoców.

– Mój zięć się na tym rozumie, był we dworze przy ogrodniku.

Zwróciłem uwagę na stos bali, przykrytych spadzistym dachem.

– Na dom dla mojego najmłodszego, drzewo suche jak pieprz.

– Czy służy w wojsku?

– Nie, panie, skończył szkołę nałęczowską[23], a teraz praktykuje we dworze.

Wróciliśmy do domu dopiero na kolację.

W świetlicy[24] było bardzo czysto i porządnie, łóżka miały przykrycia z prześlicznych kilimów, w rogach stały szafy, na ścianach połyskiewały za szkłem święte obrazy, a pomiędzy nimi Kościuszko, Leon XIII i Kordecki. Zapalona lampa zwisała od pułapu. Pod oknem na stole leżał komplet „Zorzy”[25] i kilkanaście broszur rolniczych.

– Bo ja jestem członkiem kółka od samego założenia – pochwalił się skwapliwie – Mam jeszcze trochę innych książek, ale schowane, bo strażnicy tak się do mnie znarowili[26], że nieraz to nawet nocami przychodzą w gościnę.

– I pewnie dlatego nie chcą was zatwierdzić na wójta.

– A zapowiedzieli, że jak mnie jeszcze raz wybierze gmina, to znowu się przejadę. Byłem ja już na takim spacerze, byłem...

– Daleko?

– W orenburskiej[27] i ledwie człowiek przywlókł kości z tej drogi!

– Musiało wam być ciężko!

– Że i na szubienicy byłoby lżej! Ale człowiecze szczęście, co dzisiaj zapomina o wczoraj, to się jakoś wytrzymało i po manifeście[28] wróciłem. A jak

[22] Szkopek, skopek – wiaderko z jednym uchem używane przy dojeniu.
[23] W Nałęczowie działała znana szkoła rolnicza.
[24] Świetlica – tu: główna, paradna izba w domu.
[25] „Zorza” – popularny tygodnik społeczno-oświatowy dla wsi, wspierał spółdzielczość, rzemiosło i kasy oszczędności.
[26] Znarowić – tu: rozzuchwalić się.
[27] Gubernia orenburska była często miejscem zesłania przestępców politycznych.
[28] Manifest carski zwykle zawierał ułaskawienie, całkowite lub częściowe, różnych kategorii przestępców.

nastała tolerancja, to już się zdawało, że raje się otworzyły przed nami. Bo niech pan tylko dobrze w głowę weźmie i pomiarkuje, jakeśmy to żyli na Unii! Człowiek był uważany gorzej niźli ten zwierz najgorszy! Przez trzydzieści lat ani kościoła, ani księdza, ani spowiedzi, ani ślubu, ani pogrzebu. Człowiek rodził się, żył i umierał, jakby w tym kryminale, a tu naraz otworzyli drzwi na wolność. Nawet uwierzyć było ciężko, jakby się śniło!

– A któż was pierwszy zawiadomił o tolerancyjnym ukazie?

– Dziedzic z W... Sadziliśmy właśnie ziemniaki daleko za wsią, gdy mój najmłodszy wstrzymał konie i powiada: „Ojciec, ktoś jedzie do nas przez pola".

Patrzę, prawda, wali konno na przełaj jakiś człowiek z gołą głową i już coś z daleka krzyczy i wymachuje jakimś papierem. Dziw, że się nie zatknął ze zmęczenia, ale cały ukaz mi przeczytał. Tak mnie zamroczyła ta nowina, że się nie mogłem poruszyć z miejsca. Musiał mną potrząsać niby snopem, aż mi się całkiem w głowie rozwidniło – i zmiarkowałem. Poleciałem zaraz na wieś, ludzie już schodzili z pól; krzyczę, rozpowiadam, czytam w głos ukaz, a ci nic, ani be, ani me, stoją, oczy wytrzyszczają i niby porażeni coś językami mamlą, a nikt nie rozumie ani słowa. Mieliśmy schowany spory dzwon jeszcze z naszego unickiego kościoła, krzyknąłem na zięcia, wywlekliśmy go z dołu, powiesili na kozłach i zacząłem bić w niego z całych sił. Przeszło trzydzieści lat nikt go nie słyszał, to i przemówił do wszystkich tym świętym głosem zmartwychwstania. Trudno powiedzieć, co się wtenczas działo. Cała wieś jakby oszalała, zerwały się takie krzyki, takie szlochy, takie lamenta jakby w dzień Sądu Ostatecznego. Z radości, panie, i z wesela. Rozesłaliśmy zaraz konnych po wsiach z tą nowiną. W maju to było i o zmierzchu wystroili pod cmentarzem ołtarz, nanieśli światła, zieleni a kwiatów i do białego prześpiewaliśmy pod nim.

Byli tacy, którzy chcieli zaraz odbierać cerkiew, że to była przerobiona z kościoła.

A rano diak nam wydał schowane w cerkwi nasze dawne chorągwie i ruszyliśmy wielką procesją ze śpiewami do parafialnego kościoła. Wszyscy poszli, nie tylko oporni, ale nawet i prawosławni; nie wiem, czy w całej wsi pozostało z pięć osób do przypilnowania inwentarza.

Zaś pop, jak zobaczył, co się dzieje, zastąpił nam drogę koło cerkwi, zatrzymywał, prosił i zaklinał, żebyśmy nie porzucali prawosławia, groził nawet, ale nikt go nie usłuchał. Mieliśmy do kościoła przeszło siedem mil; ciągnęliśmy ze śpiewami, z rozpuszczonymi chorągwiami, z obrazami, jak kiedyś, jak przed dawnymi laty, a z każdej wsi przyłączali się do nas, że jakby te rzeki wezbrane, płynął naród wszystkimi drogami, a wszędzie śpiewy nasze, obrazy

nasze, krzyże nasze i mowa nasza. Nieraz myślałem, co już nie dojdę i zamrę ze szczęścia. Własnym oczom nie chciało się wierzyć, jak strażnicy zdejmowali czapki przed procesją i rozstępowali się żołnierze. Urzędników jakby nie było i nikt nam nie przeszkadzał być tym, czym się człowiek urodził: Polakiem i katolikiem. Przez dwa dni i dwie noce kościół był otwarty na roścież; gorzały na ołtarzach światła, biły dzwony i odprawiały się nabożeństwa; przez dwa dni i dwie noce naród sycił zgłodniałe dusze, krzyżem leżał, modlił się i sposobił do nowego życia. Cała parafia przepisała się na polską wiarę, nawet diak przeszedł, a pop zamknął cerkiew i wyjechał. Myśleliśmy, jako się już skończyła nasza kalwaria! Człowiek zaczął się prostować, śmiało patrzeć w oczy i żyć jak drugie Polaki. Na całym „Czerwonym Podlasiu", jak u nas przezywają te dawne unickie powiaty, zawrzało niby w ulach. Skończyły się lamenta i każdy, jak tylko poradził, brał się do roboty. Pomogli nam niektórzy panowie, tośmy założyli macierz, kółko rolnicze, kasę, zaczęli stawiać kościół, a prawie każda wieś zgodziła sobie nauczyciela, bo już wszyscy, od starych do najmłodszych, chcieli się nauczać po polsku. Każdy rozumiał, co oświata to kij na przeróżne biedy. Tak, panie, było u nas z początku! – Głos mu naraz przycichnął, i twarz się poryła w posępne bruzdy.

– Ale źli ludzie niedługo dali się nam cieszyć! Nie w smak im poszły nasze zabiegi! Wiadomo przecież, że ciemnego łatwiej wziąć na postronek. Byłoby dużo powiadać o tym – zakończył śpiesznie.

Do izby zaczęli wchodzić chłopi ze wsi, podawali mi ręce i zasiadali w milczeniu na ławach i stołkach. Zebrało się kilkunastu, w różnym byli wieku, ale wszyscy jednakowo krępi, rozrośli w barach i ubrani w brązowe samodziały, twarze mieli krótkie, surowe, spalone na słońcu i jakby wykute z ziarnistego kamienia, nosy proste i cienkie, włosy jasne i bardzo niebieskie oczy. Wpatrywali się we mnie życzliwie, ale zarazem badawczo.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – zaśmiał się wójt, przysłaniając okno kilimkiem.

– I pieski też warto pospuszczać – radził jakiś bardzo ostrożny.

Zaczęli się rozpytywać o wyodrębnienie Chełmszczyzny, więc na odpowiedź przeczytałem im cały ten projekt. Wysłuchali w skupieniu, dyskutując nad każdym punktem po kolei. Mówili dobrą polszczyzną, z minimalną domieszką rusycyzmów, jak zresztą mówi lud na całym Podlasiu i Chełmszczyźnie.

– Ale z tego projektu wychodzi, że już postanowili pogrzebać nas żywcem! – odezwał się ponuro siwy, brodaty chłop. – Bo, jak nas oderwą od Polski, to przepadniemy!

– A jednak przetrzymaliście tyle lat – zauważyłem mimo woli.

– Prawda, ale tylko jednemu Bogu wiadomo, jak nam było ciężko! Przenieśliśmy wszystko, człowiek ciągle się żywił nadzieją na lepsze czasy, ale jak nas teraz odgrodzą i spętają w nowe prawa, to się możemy podusić niby kury w kojcu. Twardy jest nasz naród i wytrzymały, ale i koń więcej nie uciągnie, niźli poradzi! Już dzisiaj niejeden się trzęsie przed nowymi biedami, a co będzie, jak przyjdą?

– Nie strachajcie, Mikołaju! – zabrał głos chudy, pokurczony staruszek – nie strachajcie! – powtórzył cicho, słodko, a z wielką mocą. – Pan Bóg nas ciężko próbował, a przetrzymaliśmy, to i nasze dzieci nie gorsze, też poradzą przenieść, choćby i gorsze jeszcze biedy, i tak samo doczekać się lepszego! Na świecie to jak w marcu, raz deszcz, raz śnieg, raz słońce, a zdarza się i burza z piorunami, ale kto cierpliwy, to wiosny się doczeka, bo wiosna przyjść musi! A Pan Jezus przecież powiedział: kto jest poniżony, tego ja wyniesę ponad wszystkie! Trzeba wierzyć i czekać!

– Pan może nawet nie wie, co się w naszej wsi działo? – zapytał porywczo brodaty.

– Podczas zniesienia Unii?

– Tak. Zaraz na początku 1875 roku przysłali nam całe dwie roty wojska i rozkwaterowali po domach i objedli nas za karę do ostatniego ziarnka!

– Przecież płacili za wszystko, mam jeszcze kwity – wtrącił wójt ze śmiechem.

– Chowamy je dla dzieci, a te insze pamiątki to już sami będziemy nosili na skórze do śmierci. Aż straszno pomyśleć o tamtych czasach! – szepnął brodaty.

– Jakże to było? – spytałem nieśmiało, widząc, że twarze kurczą się jakoś boleśnie.

– Zaś w samem piekle nie mogło być straszniej! – zaczął znowu staruszek. – Różnymi sposobami próbowali nas przerabiać na swoje kopyto, a kiedy nie pomogły prośby ani groźby, ani nawet nahajki, to wymyślili taką sztukę, że od świtania wypędzali wszystkich na całe dnie w pole i przykazywali zgarniać śniegi rękami. A zimno wtenczas było, mrozy trzaskające i wichury lodowate! Połowa ludzi pomroziła sobie ręce i nogi, ale żaden się swojej wiary nie wyparł! A potem wzięli się na drugi sposób: zabronili nam karmić inwentarz! To przez cały tydzień, przez wszystkie dnie i noce słychać było tylko na wsi ryki bydlątek i płacze ludzkie!

Wszystko prawie wściekało się z głodu, gryzło żłoby, tłukło się o ściany i zdychało. Nawet wody nie było im wolno zanieść, nawet garści słomy

podrzucić, bo zaraz były w robocie nahaje. Serca pękały z żałości, ludzie mdleli, dostawali konwulsji, włóczyli się u nóg i jak psy skamlali o zmiłowanie nad bydlątkami... Na darmo, bo tamci wciąż swoje mówili: „Podpiszcie się!". Ale o zbawienie duszy szło, to woleli wszystko stracić, a nikt się nie podpisał. Nikt, panie, ani jeden!

Zrobiło się cicho, przysapywali ciężko, jakaś kobieta skulona pod piecem rozszlochała się spazmatycznie, a mnie przejął lodowaty dreszcz zgrozy.

– A nie żałowali nam niczego! Niczego! – wyrzekł ktoś z westchnieniem.

– I kiedy odeszli – ciągnął dalej staruszek – to ze wsi zostały tylko gołe ściany i ani jednego bydlątka, ani jednego ziemniaka, ani jednego ziarnka zboża, ani jednej skibki chleba, nic, tylko te sieroce płakania, głód, choroby i śmierć. I żeby nie miłosierdzie boskie, to byśmy...

– Co było, to i przeszło; ważniejsze, co nas teraz czeka! – przerwał mu jakiś młody.

– Nie śpiesz się, Józef, przyjdzie i weźmiesz swoje, jak i my brali, weźmiesz...

Młody rzucił się niecierpliwie i rozgorzał jak szczapa na wietrze.

– Wezmę, ale oddam z dokładką; przecież nie będę klęczący nadstawiał pleców, nie będę pacierzem bronił się przed kijem, nie, na kij znajdzie się kłonica, albo i co lepszego! – wołał gwałtownie, wyzywająco.

– Nie daj się, dużo sam zrobisz, trykaj łbem we ścianę, trykaj! – drwił stary.

– Wszyscy tak już wiedzą jak i ja. Nie pozwolimy się zarzynać jak barany!

– Józef prawdę mówi – przymówił znowu brodaty. – Przeżyłem dawne i tak je dobrze pamiętam, że już bym może nowego nie przetrzymał. Lepiej nam wszystkim poginąć od razu, niźli znowu tak żyć jak dawniej.

– Naród jest poczciwy i pokorny, nikomu wody nie zamąci, robi, co każą, ale niech go nie drażnią, niech go nie krzywdzą, niech go do dołu nie spychają, bo może być źle! I barany mają rogi! Bóg wie, co się stać może!

– Im się wydaje, że my to co? Nie ludzie czujące? Że my z drzewa i można z nas wyciosywać, co się tylko komu podoba! My żywe i żyć chcemy, to się w trumnę po dobrej woli nie położymy, a wdeptać się w nią nie damy.

– Żeby nam przyszło głowy położyć, a nie damy się!

– Bójcie się Boga! Jeszcze kto posłyszy i doniesie! Ludzie! – błagał staruszek, bo chłopi już tracili równowagę, siedzieli wprawdzie spokojnie, ale po izbie latały coraz groźniejsze słowa i spojrzenia, a twarze rozpalały się gniewem. Kobieta pod piecem rozszlochała się tak głośno, aż ktoś zakrzyczał:

– Mogliście się już przez tyle lat wypłakać. Nie czas nam na beki a lamenta!

Przycichło w izbie, ale po chwili znowu zawrzały rozmowy, zaczęli się coraz szczerzej wywnętrzać, tylko że głosy były już cichsze i trwożniejsze,

a słowa wyrywały się z trudem, jakby spod serca, jakby z utajonych głębin trwogi; smutek przejmował dusze i pochylał te bohaterskie, nieulękłe czoła, rozpaczliwy, beznadziejny smutek wyzierał z przymglonych łzami oczów.

– Aż strach pomyśleć, co się z nami stanie!

– Nawet kalendarz mają nam zmienić!

– I wszystkie święta przemienią po swojemu! Boże Narodzenie wypadłoby w styczniu!

– Jakże to może być? Przecież Chrystus urodził się 24 grudnia, to nie może się rodzić drugi raz w styczniu! Nie może! Nasz polski Chrystus urodził się 24 grudnia! Jakże... Tego człowiek nie zrozumie, choćby jeszcze żył sto lat!

– I gruntów nie będzie nam wolno kupować!

– Za własny grosz i nie będzie wolno! To już koniec świata!

– A powiadają, że jak nas tylko odłączą, to wzbronią mówić po polsku, za każde słowo będzie rubla sztrafu[29]. Nawet w kościele nie będzie wolno księdzu ani nikomu po polsku! Ani pieśni, ani nic!

– Jezus Maryja! Jezus Maryja! – zajęczała kobieta, wznosząc ręce do góry.

– Nikt na to nie przystanie, a i księża przecież się nie zgodzą...

– Księża też mogą nas odstąpić, jak odstąpili uniccy, nie pamiętacie?

– To nie pójdziemy do takich kościołów; do lasów wrócim. Bóg jest wszędzie.

– A i na takich księży znajdzie się kara! Naród by im tego nie przepuścił!

– A niech nas odstąpią, a niech nas wszyscy opuszczą, a niech nas pozabijają jak te psy wściekłe i niech się to już raz skończy! Przecież człowiek dłużej takiego życia nie wytrzyma!

– Nie wytrzyma, mój Jezus! Nie wytrzyma! – zawołał jakiś chłop, łzy polały mu się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, płakał jak dziecko.

– I za co to wszystko? Cośmy komu zawinili? Dlaczego? – biadali bezradnie.

– Dlatego, żeśmy Polacy i katolicy! – zawołał wójt.

Naraz siwy staruszek przyklęknął, wyciągnął ręce do obrazów i zaczął odmawiać głośno *Pod Twoją obronę*.

Cała izba powtarzała za nim głosami pełnymi łez, rozpaczy i błagania. A kiedy się porozchodzili, wójt powiedział:

– Wszyscy się boją odłączenia od Polski gorzej niźli śmierci. W każdej wsi zobaczy pan to samo, w każdej chałupie i w każdym człowieku.

Bardzo długo nie mogłem zasnąć tej nocy. [...]

[29] Sztraf – kara, grzywna.

VI

Nie pamiętam już, gdzie zauważyłem po raz pierwszy krzyż, postawiony w czystym polu, ale pamiętam, że stał samotnie wśród zbóż rozkołysanych i otwierał białe ramiona, jakby chcąc przygarnąć w miłosiernym uścisku pocieszenia całą tę ziemię nieszczęsną. Myślałem, że to mogiła samobójcy, lecz później, w dalszej wędrówce po Chełmszczyźnie, zobaczyłem jeszcze więcej takich samotnie stojących krzyżów; dźwigały się po miedzach, w lasach, w głuchych pustkach i nad rzekami, w gęstwinach wiklin i olch, a zawsze z dala od ludzkich siedzib i dróg wszelakich.

Dziwiło mnie głównie to, że wszystkie były nowe i jakby w jednym czasie postawione, ale tak się złożyło, iż dopiero w okolicach Chełma spytałem się o ich znaczenie.

Chłop, który mnie wiózł, spochmurniał nagle, rozejrzał się nieufnie, chociaż jechaliśmy pustą drogą, i odrzekł cicho:

– To mogiły „najoporniejszych". Wieczny odpoczynek daj im, Panie!

Westchnął i jakby się pogrążył w smutne rozpamiętywania. Nie śmiałem przerywać modlitewnego nastroju i milczenia.

Upał tego dnia był nie do wytrzymania. Niebo wisiało białawą, rozpaloną blachą i słońce lało takim warem, że konie ledwie się już wlokły, a rozprażona cisza pól ogarniała niezmożoną sennością. Cały świat omdlewał w słonecznej pożodze. Kłosy zbóż ciężko zwisały nad drogami; samotne drzewa, opłynięte białawym, rozedrganym skwarem, stały podobne do płomienistych wybuchów; nawet cienie leżały pokurczone niby liście powiędłe z żaru. Rozżarzone, migotliwe światło wyżerało oczy, kurz zapierał piersi, oddychało się duszącą spiekotą, parzyła ziemia, parzyło powietrze, parzyło wszystko. Drogi leżały puste i wyschnięte, na polach nie ujrzał ani żywej duszy: lipcowe południe spędziło wszystkich pod strzechy. Zamilkły ptaki, nawet skowronki nie dzwoniły, a tylko czasem przeleciała nisko nad ziemią wrona z rozziajanym dziobem, gdzieś w żytnich puszczach zawołała przepiórka lub furknęły młode kuropatwy.

– Daleko jeszcze mamy do Chełma?

Nie mogłem już znieść milczenia.

– Niedaleko! – ocknął się prawdopodobnie. – Zdążymy ze słońcem.

Na szczęście wjeżdżaliśmy w jakiś las gęsto podszyty i w rowie zalśniła woda, do której konie same skwapliwie skręciły.

– A może byśmy przeczekali upał? – proponowałem, ledwie już żywy.

– Dobrze. Konie wytchną i człowiek rozprostuje gnaty.

Bór nas okrył cieniem i chłodem, z głębin biły wilgotnawe powiewy, przesycone żywicą i słoneczną zgnilizną. Wyciągnąłem się na trawie z rozkoszą.

Chłop rzucił koniom siana, usiadł przy mnie, fajkę zapalił i zaczął mówić szeptem, jakby do siebie:

– Tam leżą tacy, którzy nawet po śmierci jeszcze „uporstwują". Tak, panie – ożywił się nagle i podniósł głos. – Przecież w te straszne lata to człowiek musiał się obywać bez chrztów, bez kościoła i bez ślubów, a jak umierał, to i bez chrześcijańskiego pogrzebu. Nie było wolno się nam rodzić ani umierać. A kto nie chciał iść do grobu w asyście popa i strażników, tego się grzebało po kryjomu, nocami, a często i w niepoświęcanej ziemi, jak zapowietrzonego. Sypały się potem na nas kary, sypały. Człowiek przecież nie mógł przepaść bez śladu, trzeba było zrobić w kancelarii akt zejścia, to pisarz zaraz pytał: „Gdzie nieboszczyk pochowany?". „W ziemi". „Ale który pop go chował i w jakiej parafii?" „W ziemi. Przecież cały świat jedna Boża parafia". Często, gęsto oberwało się przy tem pięścią, ale człowiek musiał powtarzać tylko to jedno: „W ziemi". Bo i prawdę powtarzał. Strażnicy potem latali jak wściekli, wyszukując trupa po cmentarzach, a znaleźli, to pochowali po raz drugi, ale po swojemu. I mnie spotkało takie nieszczęście. Straciłem był chłopca. Miał już na piąty rok. Zmarnował się na krosty. Pochowałem go, jak się wszystkich naszych chowało, w głuchą noc i kryjomo; a chociaż mogiłkę zrównałem z ziemią i założyłem darnią, strażnicy ją wywąchali, rozkopali grób i trumienkę wyciągnęli; pop ją pogrzebał po raz drugi, na innym miejscu i z wielkimi ceremoniami.

Na próżno moja żona broniła dziecka – nie przemogła. Jeszcześmy potem zapłacili sztraf i w kozie siedzieli. A nie tak dawno, bo z dziesięć lat temu, przyszła na mnie nowa bieda. Umarł mi zięć. Twardy to był Polak i gorliwy katolik; dopomagał też „opornym", jak tylko potrafił, księży przewoził i książeczki po wsiach roznosił, nawet do Rzymu jeździł ze starym Błyskoszem. Przeziębił się na misjach i do trzeciego dnia już był gotowy. Ale ostatnim tchem prosił, żeby go po śmierci nie wydać popu. Sprawa była ciężka: znali go dobrze strażnicy i wciąż go tropili, tylko że się im zawsze wyślizgiwał z pazurów jak piskorz. Więc skoro gruchnęło po wsi o jego chorobie, starszy zamówił się do nas niby to w jakimś interesie. Zaraz zmiarkowałem, że chce zobaczyć, czy chory długo pociągnie. Nie dałem tego poznać po sobie, ale chory, chociaż ledwie o bożym świecie wiedział, zakrzyczał: „Twój brodacz jeszcze mnie nie pochowa! Jeszcze wyzdrowieję!".

Starszy odszedł i na drugi dzień znowu przyszedł, a że chory już był nieprzytomny, to zaglądał do chałupy co parę godzin i czyhał na niego, jak diabeł na dobrą duszę. Trzeciego dnia, jakoś o zmierzchu zmarło się choremu. Zatailiśmy śmierć nawet przed najbliższymi sąsiadami. Pozasłaniałem okna

i chociaż wśród płaczów i narzekań, a trzeba było pomyśleć, co dalej robić, boć do trzeciego dnia nie mogliśmy zwlekać z pogrzebem. Baliśmy się, że strażnik przyjdzie rano i nieboszczyka już nam ze swoich garści nie popuści. Rada w radę postanowiliśmy pochować go jeszcze tej nocy; nie sposób było ryzykować ani jeden dzień. Na szczęście noc była chmurna i padał drobny, gęsty deszcz; kobiety przybrały nieboszczyka, ja zbiłem byle jaką trumnę i zaraz po północku powieźliśmy go polami do lasu, w takie miejsce, że ani się mógł kto domyślić. Co tam przy tem było płaczu i lamentów, to już lepiej nie wspominać... Wróciliśmy o samym świcie i tylko co głowę przyłożyłem do poduszki, aż tu przylatuje mój najstarszy i powiada: „Od naszej stodoły, przez pola i do samego lasu, znać, jakeśmy w nocy jechali. Jak trafią na te ślady, to i grób znajdą". Co tu robić? Myślałem, że mnie krew zaleje. Przecież takich śladów nie zatrze na poczekaniu. Było to na wiosnę, grunt był spulchniony pod zasiew, że miejscami koła zarzynały się po osie. Medytujemy, co począć, gdy któreś z dzieci krzyknęło: „Strażnik na wsi! Pewnie idzie do nas". „Jezus Maryja! Wszystko się wyda i wykopią go, jak Jasia!" Ale Pan Bóg mnie oświecił i natchnął Duchem Świętym: kazałem synowi położyć się do łóżka po nieboszczyku, kobiety obwiązały mu głowę mokrymi szmatami, przykryły go pierzyną, i wdowa usiadła przy nim, nie powstrzymując już tych łez rzewliwych, jakie wylewała po mężu, i tych wzdychań bolesnych.

Starszy wszedł i zaraz od progu pyta o chorego zdrowie. „W Bogu nadzieja, że może jeszcze wyzdrowieje", powiedziałem.

Popatrzył na nas, przeżegnał się i wyszedł.

A po południu zjawił się pop, aby go przysposobić na śmierć. Wdowa zagrodziła mu sobą drogę i gębę wywarła. Nie uląkł się jednak kobiecych natrząsań, był już nawykły do takich przyjęć. Ale jakem powiedział, że zięć choruje na ospę, przybladł i wyniósł się jak niepyszny: miał przecie ośmioro drobiazgu. Tylko strażnik zaglądał do nas przez cały tydzień i niczego się nie domyślił. Dopiero, kiedy deszcze rozmyły owe ślady, że i diabeł nic by po nich nie wytropił, dowiedział się o wszystkim. Dziw, że się nie wściekł ze złości! Szukał też dniami i nocami, ale złapże ten wiatr w polu... Odsiedziałem za tę sztukę parę tygodni. Cóż robić, panie, kiedy sami zmuszali nas do cygaństwa. Żyliśmy pod ziemią jak krety, to i po kreciemu trzeba się było bronić. Mój Boże, ileż to razy człowiek wędrował o kilkanaście mil do kościoła i sprzed samego ołtarza strażnik go wyciągał za łeb i prowadził do kozy na inne, dłuższe pacierze. A często i sami księża odpędzali nas od kościołów jak oparszywiałe psy, bali się bowiem „opornych" gorzej niźli śmiertelnego grzechu – zakończył, żegnając się jakby na odpędzenie ciężkich przypomnień.

Kiedy się nieco ochłodziło na świecie, ruszyliśmy dalej, a on zaczął mi szczegółowo opowiadać przesmutne dzieje swojej parafii. Mówił cicho, monotonnie i bez żalu, jakby powiadał zwykłe codzienne sprawy, które musiały przyjść i które człowiek musi przenieść. A ja słuchałem z zapartym tchem, pełen zgrozy, bólu i zdumienia. Chwilami zdawało mi się, że słyszę jakąś straszliwą tragedię, pełną łez, jęków, bezbronnych ofiar i nadludzkich bohaterstw. Ale nie, to była prawda i rzeczywistość, jak prawdą był ten dzień upalny, ta droga dudniąca pod kołami, i ten stary pochyły chłop – to była okrutna prawda o przeszłości tego męczeńskiego ludu „opornych". Nie mogę opisywać wszystkiego, bo musiałbym rozsnuwać dzieje każdego człowieka, każdej chałupy i każdej grudki ziemi, przesiąkłej krwią i łzami. Przytoczę tylko jeden fakt niezmiernie charakterystyczny i typowy.

W roku 1883 w początkach lutego umarła w Janowie Podlaskim niejaka Agnieszka Semeniuk, jak wszyscy „oporni" gorliwa katoliczka. Przed śmiercią zaklęła na wszystkie świętości rodzinę i swoich najbliższych, żeby ją pogrzebali chociażby w dole po kartoflach, byle tylko po katolicku. A sprawa była niełatwa, gdyż cmentarze w tym czasie były już srogo pilnowane, zwłaszcza nocami, żeby przeszkadzać tajnym pogrzebom „opornych". Wzięli się więc na sposób i postanowili ją pochować w biały dzień, kiedy cmentarz był najmniej strzeżony.

Jakoż trzeciego dnia zebrało się przy zmarłej kilkanaście kobiet, wzięły trumnę pomiędzy siebie na prześcieradła i ruszyły bocznymi uliczkami ku cmentarzowi. Szły cicho, bez śpiewu, jak lękliwe, czarne cienie, ale i tak je dojrzał jakiś „duszogub" i dał znać policji. Zastąpiło im wnet drogę paru strażników i zawrzała krótka walka, bo kobiet było więcej; rozpędziły napastników i poszły spiesznie dalej.

Rozległy się świsty, nawoływania i tętenty, a zanim zdążyły do grobu, rzuciła się na nie cała zgraja z dobytymi szablami. Jedne kobiety zwarły się w krąg trumny, drugie się aż na niej pokładły i broniły nieboszczki zębami i pazurami. Wrzask rozniósł się po całym mieście, naleciało się ludzi, a bójka toczyła się coraz zawzięciej; trumna przechodziła z rąk do rąk i w końcu, przy wydzieraniu jej sobie, padła na bruk, rozbita, i nieboszczka wyleciała w śnieg. Krzyk gruchnął niebosiężny, podniosły się straszne płacze i szlochy, czym rozsrożone jeszcze bardziej kobiety rzuciły się na strażników z taką furią, że po chwili zrobiła się jedna olbrzymia kupa ciał, tarzających się po ulicy z dzikim wrzaskiem nienawiści.

Skorzystały z tego jakieś rozważniejsze, porwały trupa i obwinąwszy go w chusty pozdzierane z własnych pleców, zaczęły z nim uciekać, ale już nie

zdążyły. Nadbiegło bowiem jeszcze więcej strażników ze starszym na czele, trupa odebrali, a włożywszy go do trumny, kobiety rozpędzili na cztery wiatry. Musiały ustąpić przed siłą, tylko widząc, że sprawa przegrana, wybuchły strasznym rykiem i przekleństwami.

Na placu została tylko trumna i strażnicy niewiedzący, co z nią zrobić, gdyż do cerkwi było daleko, a nikomu nie chciało się jej nieść.

Nadjechał na to jakiś chłop. Kazali mu trumnę wieźć, ale chłop zmiarkował, o co idzie, zaciął konia i uciekł.

I nikt w całym mieście pomimo próśb i gróźb nie chciał dać koni, a trumna, powiązana sznurami, wciąż czekała na środku ulicy.

Wreszcie o zmierzchu przyjechał z Błonia jeden z gospodarzy i dopiero tego przymusili, że zawiózł nieboszczkę do cerkwi.

Nazajutrz za pogrzebem poszedł tylko pop, diak i wszyscy, jacy byli w mieście strażnicy, a z każdego domu popłynęły za nim ciche, żałosne płacze i wyrzekania. [...]

Władysław Stanisław Reymont, *Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki*, wyd. 4, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1927, fragmenty

1915

Maria Rodziewiczówna (1864–1944)

Dokładność rzeczy naprawdę widzianych

> Nie mam pojęcia, dlaczego jestem posiadaczką niemal kompletnego zbioru dzieł Marii Rodziewiczówny. Dlaczego moja babcia była jej bezkrytyczną wielbicielką, tak wielką, że do trumny zażyczyła sobie różańca i właśnie jednej z jej książek? Życzenie spełniłam

– pisze zdumiona decyzją babci Absolutnie Nieperfekcyjna, blogerka recenzująca książki, i przytacza cytat z powieści *Straszny dziadunio* (do trumny włożyła inną):

> Jak drzewo złamane burzą, runął na pierwszy spotkany fotel, ręce wnurzył w roztargane włosy, skurczył się jak robak zgnieciony stopą; coś niby wycie czy łkanie dobywało się z jego gardła. A zatem taki jego kres, taki! Ha, ha! [...] Korowodem jędz tłukły się myśli po czaszce nieszczęśliwca. Czasem z niewyraźnego jęku wyrywał się wybuch krótkiego śmiechu. Chichotała rozpacz – szalał.

> Rok urodzenia mój i mojej babci dzielą pięćdziesiąt cztery lata. To dużo. Na tyle dużo, że nie bardzo rozumiem, dlaczego warto dziś czytać *Strasznego dziadunia* – zwierza się blogerka i tłumaczy: – Nie mogę, po prostu nie mogę znieść takiej dawki patosu i pompatyczności. Zło i dobro. Starzy i młodzi. Uczciwi na wskroś i zgnili padalcy. Szarości mało.

Może odpowiedzią dla Absolutnie Nieperfekcyjnej jest list Henryka Sienkiewicza na jubileusz dwudziestopięciolecia pracy Marii Rodziewiczówny (krytyka wspominała o rocznicy chłodno, ironicznie lub nie wspominała wcale):

> Radość, z jaką społeczeństwo przyjęło Twą pierwszą powieść – pisał Marii – sława i uznanie, jakie ją otaczały, były dowodem, że istnieje ścisły, serdeczny i głęboki związek między Twoją duszą a duszą polskiego ogółu i że Ty wypowiadasz w wysokiej artystycznej formie to właśnie, co on myśli, czuje, do czego dąży.

Może odpowiedzią mógłby być głos sławnego na początku wieku krytyka Wilhelma Feldmana, który pisał, że w powieściach Rodziewiczówny „panuje zawsze ta sama droga ciernista, prowadząca ostatecznie cnotliwych do raju na ziemi, a grzeszników do piekła". Mogło to imponować wielu babciom.

Lato 1915 jest utworem zupełnie odmiennym. To świetny reportaż uczestniczący z czasów pierwszej wojny światowej. Surowy styl i dynamiczny opis. W pamięci zostają obraz poszukujących schronienia pszczół, którym wojna zniszczyła domy, albo scena odbijania przez kozaków magazynu ze spirytusem:

> Przy spirytusie była już wojskowa władza – tłum pomimo to rzucał się do rowu, kędy ciekł strumień ognisty. Pod groźbą kul chłeptał i czerpał. Zaczęto to zarzucać gnojem i ludzkimi ekskrementami – bezskutecznie – jeszcze był pożądany i smaczny. Kto nie docisnął się, by pić, ten przesiąkłą płynem ziemię ssał i połykał.

Rosjanie pod naporem armii niemieckiej wycofywali się z Królestwa, zostawiając spaloną ziemię. Wypędzili ponad osiemset tysięcy polskich obywateli, zabierali im konie, bydło, maszyny. Kradli i bili. Rodziewiczówna opowiada o tym exodusie z perspektywy swojego majątku rodzinnego w Hruszowej na Polesiu. Jednocześnie ma świadomość, że pisze – jak to nazywa – „studium »ducha« ludzkości". Jak w reportażu idealnym ogół przegląda się u niej w szczególe. Napisała tylko jeden taki tekst w życiu, a być może jest to ten najwartościowszy.

Przeżycia roku 1915 posłużyły pisarce po latach za kanwę powieści *Florian z Wielkiej Hłuszy* (1929).

> Może dzięki własnym doświadczeniom – zastanawiała się Anna Zahorska w 1931 roku – ten plan Rosji iście piekielny, który zmarnował tyle ludzi i mienia polskiego, opisała autorka z dokładnością i żywością rzeczy naprawdę widzianych.

Wrażenia i przeżycia. Lato 1915

Pierwszych dni lipca nie wydawało się w Warszawie groźniej, niż w zeszłym październiku, ale biorąc dziesięciodniowy urlop ze szpitala, czułam, że nie wrócę. Miałam wewnętrzne wrażenie obowiązku obecności na własnym kawałku ziemi, chociaż wtedy jeszcze wydawał się tak daleki od wojennej nawałnicy – i za osłoną tylu twierdz.

Jechałam, by przygotować dom dla wielu ludzi, których okoliczności gnały na wschód i którym tamte strony wydawały się bezpiecznym azylem.

Podróż odbywa się wedle zasad czasu wojennego: siła nad prawem.

Prawo pozostało niewzruszone na punkcie kupienia biletu – dalej rządziła siła. Wnętrza wagonów przedstawiały jakąś skłębioną w chaos gęstwinę tobołów i ludzi, coraz wyżej się piętrzącą. Mieszczono się pod ławkami, na ławkach, w korytarzach, na półkach, na schodkach, na buforach, na dachach. Chwilami rozlegał się żałosny pisk i wydobywano spod tłumoków na wpół zduszone dziecko lub witano rozpaczliwym: o l a b o g a ! przybycie kogoś otyłego do komórki z piecem, gdzie już mieściło się osób dziesięć.

Pociąg stał i czekał, fala ludzka pchała się, a ubytku nie znać było wśród tłumu na peronie. Myślałam, siedząc pod sufitem na pięciu cudzych i dwóch swoich kuferkach, jak nam też podoła znękana nadwiślańska lokomotywa i kiedy będzie kres wytrzymałości ścian wagonów.

Ruszyliśmy nareszcie, ale niedaleko. Co parę wiorst[1] na polu pociąg stawał – po co? – nie wiem. Zapewne, żeby pasażerowie mogli dłużej użyć przyjemności tej podróży, której mieli być rychło pozbawieni na długie miesiące. Na stacjach spotykaliśmy tłum nam zazdroszczący – byli tacy, co po kilka dni czekali o głodzie na szczęście, które nam dostało się w udziale, i starali się wywalczyć sobie miejsce, chociażby na naszych głowach. Mijały nas lub stały z nami rzędem pociągi wojskowe. Te się też nie spieszyły.

Żołnierze z filozoficzną obojętnością ruskiego chłopa kopcili papierosy, spali, pluli pestkami słoneczników – oficerowie rozprawiali o wysokiej kulinarnej wartości raków z Wołgi i „żałowaniach”[2]. Czasami z któregoś wagonu rozlegała się smutna jak dola rosyjskiego chłopa śpiewka... Na nas zstąpiła też wreszcie tępa rezygnacja i w ogóle przyznać trzeba, że cała nasza nieszczęsna „cywilna hołota” dziwnie pokojowo była nastrojona. Zdeptany, duszony, nie sarkał nikt na towarzyszy. Kurczył się, kulił, usuwał, jak mógł, drugiemu

[1] Patrz s. 26, przyp. 3.

[2] Żałowanie – tu: żołd.

pomagał, ustępował. I tak nam minął dzień i noc, i wreszcie rano dobrnął pociąg do Brześcia. Tam ujrzałam jedno morze ludzkie.

Peron, dworzec, plac za dworcem zapchane szczelnie nieszczęśnikami czekającymi dalszej lokomocji. Bagaże i toboły tworzyły formalne zatory, bufet ogołocony był najzupełniej. Pociągi na wszystkich liniach – zapchane doszczętnie.

Przeważną część publiczności stanowiły rodziny Rosjan i dopiero miało się obraz, ile tego żyło i „działało" w naszym kraju. Nie chcąc zdobywać miejsca w innym pociągu, dotrwałam jeszcze na mych kuferkach jedną stację dalej i postanowiłam resztę drogi odbyć końmi.

O krok od kolei jak zmora rozwiała się męka w ciszy pól. Wieś – jakby inna planeta – żyła swym normalnym letnim życiem. Zbierano zboże i siano, bydło przeżuwało na pastwiskach, gęsi bielały po wygonach, baby prały przy rowach – jak co roku, jak zawsze. Mijam powiatowe miasteczko. Trochę rozmaitości stanowili musztrujący się żołnierze, ale i ta czynność odbywała się bez pośpiechu i zapału, ot tak sobie, jakby gdzieś biła się Portugalia z Hiszpanią. Pod wieczór, po dwudziestu siedmiu godzinach podróży, dostałam się wreszcie do domu.

Tam też nikomu nie śniło się żadne niebezpieczeństwo; gospodarstwo szło normalnie, urodzaj był świetny, zbiór pomyślny, bo susza panowała niesłychana. Zboże po wysokiej cenie zakupywało wojsko, nawet rekwizycja bydła i koni nie była dokuczliwa: brano niewiele, płacono dobrze.

Zdaje mi się, że ludzie miejscowi, Rusini, wzrośli w grozie i czci dla „naczalstwa", posądzali mnie o „nieprawomyślność" lub tchórzostwo, gdy wydałam mej służbie rozporządzenie: omłócić co się da, rozdać całoroczną ordynarię[3], reszty ziarna nie gromadzić w jednym miejscu, stogi siana składać po chaszczach leśnych – kto ma rzeczy cenne – niech je ukryje...

Gospodarz ze wsi czytający gazety, dworak, który mi dotrzymał życzliwości nawet w 1905 roku, przyszedł na spytki.

– Jakże to pani myśli? Na gazetach piszą...

– Łgarstwa, Dokimie. Naczalstwo kradnie, nabojów nie ma, ładu nie ma. Warszawę oddadzą, Polskę oddadzą.

– Ale do nas nie przyjdą?

– Jak nie zechcą, to nie przyjdą.

– Nie może to być.

Odszedł nieprzekonany. Upłynęło dni kilka, siłą woli zmuszałam się do ciągłej roboty, by nie myśleć. Od kraju za Bugiem szedł do duszy jęk, groza...

[3] Ordynaria – część zarobków urzędników dworskich i stałych robotników rolnych w folwarku wypłacana w naturze.

Ukazały się pierwsze tabory wysiedlonej Lubelszczyzny. Otrzymałam urzędową prośbę o przyjęcie rodzin z „Carstwa Polskiego". Odpisałam, że przyjmę siedem rodzin, i pewnego dnia zjechały te rozbitki.

W drobne koniki oprzęgnięte wozy, z płócienną budą – i na tym wszystko, co uratowali z ruiny. To wszystko ograniczało się do paru zielonych skrzyń, tobołu z pierzyną, worków ze zbożem, i mnóstwa dzieci. Czasami wlókł się wierny psiak i krowina.

Tak wyglądali chłopy rodowe, od wieków osiadłe na żyznej lubelskiej ziemi... Twarze mieli ośniedziałe nędzą i trudem kilkutygodniowej już wędrówki, ale twarde i spokojne. Gdy się pokrzepili ciepłym jadłem i roztasowali pod dachem – rozgadaliśmy się. Dostałam tylko pięć rodzin – w tym przemycili mi urzędnicy jedną prawosławną. Okazało się, że przeważnie wloką się właśnie prawosławni – katolicy wygnani – kędyś po drodze poprzystawali, zamajaczyli, zabłąkali się – i pozostali. Ci, co do mnie dotarli, już byli zdecydowani nie dać się pędzić dalej.

Pochodzili wszyscy z dwóch wsi – mnie znanych. Opowiadali, że dziedzic, pan R., w przeddzień wyroku na swój dwór cały dzień w biurze wypłacał, bydło i konie rozdawał służbie i włościanom, a nazajutrz widział jeszcze zburzoną swą cukrownię, folwarki i dwór i pod nahajami wyjechał z płonącego domu.

Mój Dokim przyszedł ze wsi podzielić się wrażeniami. Wieś już zapchana była wygnańcami – ulokowano tam prawosławnych, wiódł ich pop, który u miejscowego osiadł. Nastrój chłopa zmienił się. Zasępiony był.

– Kiepsko, proszę pani. To oni ten naród całkiem wysiedlają. Powiadają, że im dadzą ziemię na Syberii. Żywe oni tam nie zajadą.

– Wy się tylko ruszyć nie dajcie, to wam radzę.

– My za Brześciem bezpieczni.

– A ja ci mówię, że najbezpieczniej nam będzie w naszych chaszczach i torfach, bo nas nie Niemcy będą wyganiać, ale kozaki, jak i tamtych gnali. Ja się ruszyć nie dam, ale żeby was nie wystraszyli. A co by nie było, pamiętaj, że dla ciebie i żony jest moja chata w lesie. Tam was kozaki nie znajdą.

Poszedł chłop mocno zachwiany w swych poglądach na „naczalstwo". Że pastwiono się nad Niemcami kolonistami i Polakami, to rozumiał, ale żeby prawosławnych, pupilów Eulogiusza[4], pędzono na Sybir, z popami na czele – to mu się w głowie nie mieściło.

W parę dni potem otrzymałam list od znajomej spod Terespola, pytający o gościnę dla rodziny i całej służby – miałam jeszcze czas odpisać, gdy nagle przestały przychodzić gazety z Warszawy. Zdawało się, że serce kraju przestało bić – nieregularnie, rwano, otrzymywałam jeszcze „Dziennik Kijowski". Nad

[4] Eulogiusz (1868–1946) – biskup prawosławny, po pierwszej wojnie światowej przedstawiciel Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego w Europie Zachodniej.

cichą okolicą przeszło jakby tchnienie zbliżającej się burzy. Na drogach od Brześcia do Pińska zaroiło się od taborów – otrzymałam rozkaz rekwizycji bydła.

Brak wieści, związku z krajem był tak męczący, że ruszyłam do powiatowego miasta, żeby swoich zobaczyć, spytać o sprawy publiczne. Trakt był zapchany wysiedleńcami, pola sąsiednie ogołocone, drzewa przydrożne obłupane siekierami na opał, skazane na uschnięcie, i wciąż korowód wozów, bydła, ludzi sczerniałych nędzą, kobiet w łachmanach, dzieci wiecznie głodnych – i gdzieniegdzie przy drodze już – krzyżyki mogił...

Pod miastem obozowisko straszne – już nie dziesiątki, ale setki i tysiące wozów i ludzi nad rzeką, z której czerpano wodę do picia, pojono bydlęta, prano szmaty, brodziły dzieci. Rzeka – zawsze niebystra i marna wskutek całoletniej suszy – ledwie się sączyła; na mieliznach leżały zdechłe konie i bydło. Na placu parę drewnianych bud: jedna z płachtą Czerwonego Krzyża, druga z szyldem Ziemskiego Sojuza, trzecia – Komitet Księżniczki Tatiany. Przy Czerwonym Krzyżu parę „krzyżanek" flirtowało z oficerami, przy tamtych uwijała się policja i stały tłumy głodnych.

Zjechałam do naszego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, gdzie my, Polacy, zwykliśmy się skupiać wokoło prezesa, pana B.

Ledwie mnie przywitał, powiada:

– Niech pani nawet do domu nie wraca. Musimy tu ratunek zorganizować. Ludzie mrą z cholery, z głodu, z tyfusu. Urzędnicy nie mogą dać rady, już do nas zwrócili się o pomoc. Musi pani zostać, zorganizujemy chociażby posiłek. Sześć tysięcy ludzi trzeba co dzień nakarmić.

– A cóż oni na to mają? Trzeba kotłów, drew, kaszy, okrasy, chleba.

– Nic nie ma. Są tylko pieniądze. Wszystko można dostać, byle organizacja.

– To się organizujcie, wrócę do domu, we wtorek przywiozę kotły i wybiorę się na dłużej.

W domu zastałam już nowiny. Przybyli nowi lokatorzy zbiegli z Warszawy – jedni z kuferkami, inni by sobie miejsce zapewnić – dom mój cichy i pusty zaczął się zaludniać. Przyszły ostatnie słowa pisane od bliskich swoich i ostatnia gazeta. Miałam wrażenie, że już do mnie nie dochodzi bicie serca kraju, żem na wygnaniu, na obczyźnie.

Jeszcze nieporządnie, co dni parę dochodził „Dziennik Kijowski" tylko. Było to dogorywanie poczty, jak dogorywał ruch osobowy kolei żelaznej. Każdy człowiek nienależący do monarchini świata, armii przestawał być uważanym za człowieka. Był poza prawem – pastwą wojny.

Jednakże trzeba było pracować. Po paru dniach ruszyłam znowu do powiatu, wioząc owe kotły i gotowa na dłuższe tam zajęcie. Trakt zawalony był

jedną masą podwód i znękanych ludzi, dużo starych brzóz leżało zwalonych na opał dla obozów, na polach już znać było spustoszenie wyrządzone przez tabory. Miasteczko zapchane wojskiem i szarym tłumem gnanego z Królestwa chłopstwa. Zajechałam ze swymi bagażami na punkt oznaczony, poszłam do pana B.

Był w swym biurze, chmurny, ponury.

– Jestem. Zaczynajmy robotę. Zorganizowaliście ratunkowy komitet? – pytam.

– Nie. Władza, od której to zależy, zdecydowała: *Zdieś nie Priwiślinije i nikakich komitietow nie budiet*[5].

Popatrzyliśmy na siebie – cały traktat o „kwestii polskiej" był w tym spojrzeniu. Burkliwie pan B. po chwili dodał:

– Dziś pochowano osiemnastu cholerycznych, jedenastu tyfoidalnych. Nas mają też wysiedlić, podobno do kurskiej guberni.

– Niedoczekanie. Ubiją na miejscu, a z ziemi nie pójdziemy.

– Mamy łozy, błota, torfy, lasy. Jakby nie dali zostać w domu, bo mój majątek w rejonie fortecznym, to do pani się zjawię z dziećmi i żoną.

– Zmieścimy się. Wytrwamy.

A wtem ktoś wszedł, znajomy obywatel, obejrzał się – i cicho rzekł:

– Warszawa wzięta onegdaj.

Znowu zapanowało milczenie.

– 5 sierpnia, we czwartek! – ktoś szepnął.

A ktoś inny dodał:

– Sto lat wytrwała, zawsze polska. Warszawa wszystko przetrzyma.

– A my? – posępnie ktoś wtrącił.

– Na nas idzie huragan i ruina. To samo co tam, za Bugiem. Zawsze razem. Taki los. Krwawa pieczęć unii. Kładli ją dziadowie, ojcowie – dziś na nas kolej. Trudno – trza swą dolę spełnić.

– Trwać! – zakończył nasze refleksje pan B.

Wróciłam wieczorem do domu i w porę, bo zastałam podwórze zawalone istnymi taborami koni i rojno od ludzi z taborów.

To był pierwszy u mnie etap wypędzonych z Królestwa obywateli.

Konie pełnej krwi ze stadnin, przepyszne fornalki, sążniste wozy, stada rasowego bydła – przepłynęła przez nasz trakt piaszczysty rzeka ruiny polskiej.

A takich piaszczystych traktów dużo wiodło z tej Korony, co nam była wzorem pracy, umiejętności fachowej, dobrobytu, kultury – i każdym takim traktem sunęła fala, w głąb, do Rosji, by zmarnieć na tej może wreszcie ostatecznej już „zsyłce".

[5] *Zdieś nie Priwiślinije...* (ros.) – Tu nie Królestwo Polskie i żadnych komitetów nie będzie.

Nie było buntu, więc nie było kary, Sybiru i konfiskaty – w zamian była rzecz nowa, w skutkach jednaka: ewakuacja. Męczeńskim szlakiem na wschód, starym szlakiem gnano Polskę.

I jeszcze te ostatki, to trochę uchwyconego z pożogi na wozy dobytku lub uratowanego inwentarza wzbudzało podziw chłopów Rusinów.

– Bogaty kraj, bogaty! – Kiwali głowami.

W głębi duszy jednak zgadzali się z „naczalstwem". Słuszne było, że wysiedlono Niemców kolonistów – mogli być szpiegami – słuszne, że wysiedlono Polaków, boć to *miatieżniki*[6]. Jednego zrozumieć nie mogli: dlaczego pędzono prawosławnych z Chełmszczyzny i dlaczego tych nawet prowadzili popy.

Pierwsza niechęć do wysiedleńców zaczęła się nawet od tych taborów. Były to pierwsze, co zaczęły po wsiach kraść i grabić z pól. Litość Rusinów miejscowych ostygała, kult dla naczalstwa zmalał. Tymczasem dom mój co dzień bardziej się zaludniał i po kilku dniach wydawał mi się pełen. Tabory przybywały na nocleg, prowiantowały się w paszę, odjeżdżały dalej rankiem. Inne zostawały na dłuższy postój. Rozmieszczałam bydlęta po folwarkach, ludzie robili z wozów obozy, gotowali jedzenie w kuchni lub na dworze, kobiety prały szmaty, chorym dawano ile możności ratunek – i tak płynęła rzeka niedoli, i żyło się, twardniejąc na trud, zgryzotę, w zamęcie nie mając czasu na refleksję nawet.

Pewnego wieczoru zjawiła się kobiecina zbiedzona z dziewczynką.

Zastanowiła mnie przypomnieniem chustczyna amarantowa na głowie dziecka.

– A wy co? – pytam.

– Proszę pani, my sierociarnia ziemianek.

Osłupiałam. Zimą w Warszawie zebraliśmy trzydzieścioro sierot na własność i wychowanie.

– Skądże wy? Co się stało?

– Wygnano nas z Wągrowa. Jedziemy już dwa tygodnie. Kazano nam dążyć do pani, a potem co pani postanowi.

– A gdzież dzieci?

– Wyrzucili nas z wagonu w polu. Tam siedzą, myśmy we dwie przyszły, pytając po drodze.

Kobieta ochroniarka już prawie nieprzytomna ze zmęczenia, dziewczynka – dziecko niefrasobliwe, jak każde dziecko.

Rozpoczęło się tedy po nocy szukanie owej gromadki i na szczęście zwieziono je w komplecie, żywe, całe, głodne, zdrożone, ale świergocące jak stadko wróbląt. Dwór, zda się zapchany szczelnie, pomieścił je i wraz z nimi zstąpiła na mnie otucha.

[6] *Miatieżnik* (ros.) – buntownik, powstaniec.

– Ani ich nie dam dalej gnać do Rosji, ani żywa ich nie odstąpię. Niech nas tu razem pozabijają lub razem się ostoimy.

I przez ciężkie dni, tygodnie i miesiące te sieroty zostawiły mi wspomnienia najgorszych trosk i jedyne jasne chwile. Ze świata tymczasem szły coraz groźniejsze wieści, pogłoski, bo i z Kijowa przestały przychodzić gazety. Padanie fortec, cofanie, brak amunicji, w administracji chaos, żadnej organizacji. Do miasteczka powiatowego nie ma dojazdu. Trakt zawalony już taborami wojskowymi, żołnierstwem, które miażdży lub spycha nieszczęsne wozy chłopstwa ewakuowanego, pędzi ze sobą tysiące sztuk bydła i dąży do Pińska.

20 sierpnia przyszła wiadomość, że armia niemiecka jest już pod „niezdobytym" Brześciem. Wieść tę przywieźli państwo K., znajomi, których spod fortecy ewakuowano.

Olbrzymi ich tabor dobrnął na nocleg. Jechali ostatnie cztery mile osiemnaście godzin, w tłoku trenów wojennych i chłopskich wozów. Dwór, zda się zupełnie zapchany, pomieścił jeszcze sto osób i kilkadziesiąt koni.

Tego dnia odczułam już wyraźnie tchnienie idącej na nas burzy. Czuło się ją w powietrzu i w duszy. Późnym wieczorem wyszłam w pole: głucho jeszcze, daleko huczały armaty, na widnokręgu, nisko przy ziemi paliły się ogniska obozów przy drodze, suchy powiew wiatru miał swąd pożarów i duszność.

Wracając, wstąpiłam do mieszkania sierot. Gwarno tam było. Kąpano je, zmieniano bieliznę; czekając na wieczerzę, zbierały się pod lipą i krążąc wkoło, śpiewały o mądrej kaczce i posłusznych kaczętach. Nic ich nie obchodziło, co się działo za cieniem lipy!

Nazajutrz zjawił się najwyższy dygnitarz, *uriadnik* z rozkazem, aby otrząsnąć cały owoc z sadu – bo będą przechodzić armie. Rozkaz wydała władza sanitarna, dbała o zdrowie sołdatów.

Spytałam go tedy, czy nie ma rozkazu, co robić ze spirytusem. Kto go ma pilnować przed armią, a jest tego kilka tysięcy wiader w cysternie.

Nie – o tym nikt nie myślał. Podobno mają go otruć arszenikiem i wylać, ale kto i kiedy jeszcze nie było *prikazu*. I z tym odjechał.

Ale już i wieś zawrzała niepokojem. Zjawili się chłopi o radę.

– Czy wam każą odjeżdżać?

– Nie, ale batiuszka odjeżdża. Straszno. I kasę z gminy wywieźli.

– A ileż masz w kasie?

– Półtory sotni[7].

– A twoje gospodarstwo warte półtora tysiąca?

– Bodajże więcej.

[7] Sotnia – tu: sto rubli.

– A widzisz tych, co uciekają? Chcecie tak się tułać jak oni?

– A pani co „duma”?

– Ja się nie ruszę.

Poskrobali się w kudły i poszli. Zrozumiałam, że ich ogarnia straszna zaraza tłumu, duszy zwierzęcej, kolektywnej – panika.

Trzeba się stać skałą lub człowiekiem, żeby się fali oprzeć, zarazie kolektywnej nie dać się obalić.

Tabory obywatelskie u mnie spoczywające zaczęły zabierać się w dalszą drogę. Przez dni parę długie szeregi wozów ładownych, ekwipaży, stada bydła, koni ciągnęły z majątku, dalej, w głąb – bocznymi drogami przez lasy, w stronę Pińska, i dalej ku Orszy, Smoleńskowi – Bóg wie w jaką dal cudzą, wrażą, straszną. Odchodzili z ciężkim sercem, jak skazańcy. Przeprowadzałam ich do przydrożnej kaplicy z bezmiernym żalem i współczuciem...

Byli tacy z Radomskiego, co jeszcze od zeszłego roku znajdowali się w tułaczce – po drodze tracąc dobytek, siły, zdrowie, walcząc ze zdemoralizowaną służbą, bez żadnej otuchy i nadziei.

Wracałam do domu, powtarzając, zaprzysięgając sobie: śmierć – a nie taka wędrówka, i aby nie myśleć, zabierałam się do roboty. Nie była to właściwie robota, była to już wojna, jak ją cierpi i znosi jednostka poza prawem wojennym stojąca: cywilny obywatel z terenu walk.

Pierwsza wojenna fala, co nas ogarnęła, były to tabuny wojskowego bydła. Wypasano nimi wszystkie pola i łąki, mnogość i sposób żywienia przypominały czasy biblijnych obyczajów. Ziemia stała się bezpańskim stepem, a dwory zagrodami, gdzie te niezliczone tabuny spędzano na nocleg. Powiat nasz należy do małowodnych – całoletnia niebywała susza dopełniła miary jeszcze jednej klęski pragnienia. Cierpieć zaczęli ludzie, ale najnieszczęśliwsze były zwierzęta – padały gęsto, zdrożone, zegnane, oszalałe paniką, głodem, pragnieniem. Z dzikim rykiem gromady okrążały studnie, tratując co słabsze spomiędzy siebie, pod naporem padały ogrodzenia sadów, gdzie były sadzawki ze stojącą, niezdrową wodą. Żołnierze pastuchy, od kurzu i zmęczenia do ludzkich istot niepodobni, spędzali to jako tako do zagród na noc, ale część wypierała się na wolność i ginęła po lasach, bo skoro świt pędzono tabuny dalej, za cofającą się armią w stronę Pińska.

Oficerowie od tej komendy wstępowali na chwilę, prosząc o mleko – spiesząc bardzo. Mówili cyfry wprost bajeczne: tysiące, dziesiątki tysięcy sztuk, zarazy już grasowały wszystkie: karbunkuł, zaraza płucna, jaszczur[8]. Co dwór, co wieś, przybywały znów tysiące; zagarniali wszystko, by wrogowi nie zostawić.

[8] Karbunkuł – wąglik, jaszczur – pryszczyca.

– A cóż zrobicie, jak nie zdążycie ujść? – pytałam.

– W ostateczności potrujemy i pozabijamy.

Ile lat pracy trzeba było, by to bogactwo wytworzyć, i ile lat minie, zanim to straszne zniszczenie biedny *civilus* na powrót swą mrówczą pracą odrobi!

Przez dni kilka fala ta przechodziła przez kraj – już się rozlała szeroko – wszystkimi szlakami, niebaczna dróg, znacząc swój ślad padliną i zniszczeniem.

Huk armat był coraz bliższy, coraz gęstsze przeciągi wojsk. Zjawili się pierwsi kozacy. Kilku oficerów chciało zająć mieszkanie w domu, ale się rozmyślili. Pojedynczy kozacy wpadali do dworu, porywali uprząż, konie, bryczki, płacąc zresztą za wszystko gotówką. Opowiadali, że ponieśli porażkę w błotach Dywińskich.

Bóg wojny istotnie jest z Niemcami. Błota te to odmęty torfowe, nigdy nieprzebyte – suche lato uczyniło je terenem bitwy. „Niezdobyty" Brześć przestał istnieć, kraj leżał otwarty – już wieczorem na horyzoncie czerwieniały wokoło łuny pożarów.

Czując, że na dnie już tylko liczyć trzeba było rosyjskie panowanie, posłałam do gminy o jakąś decyzję w sprawie spirytusu. Ale nie było już ni władzy, ni policji – kraj zalewało coraz dziksze wojsko. Gwałtowne wybuchy zwiastowały wysadzenie kolejowego mostu i stacji, przerwała się ostatnia komunikacja.

Wtedy miałam ciekawe studium „ducha" ludzkości.

Tłuszcza żołnierska, chłopska – jedni gnani przez wroga, drudzy gnani paniką, umierający ze strachu przed „Germańcami", których wyobrażali sobie jako ludożerców – rzucili się do rabunku sadu.

Stada mężczyzn, kobiet, dzieci, starych bab i dziadów rzuciło się zajadle do żarcia niedojrzałego owocu, łamania płotów, gałęzi młodych drzew, pakowało ten łup w worki, fartuchy, wyło z uciechy – zapewne dlatego, że poniosą ze sobą w tej ucieczce cholerę i dyzenterię. Po kilku godzinach olbrzymi sad był doszczętnie ogołocony, stratowany, odarty prawie z liści. Kto się nasycił owocem, łamał kwiaty, róże, krzewy – co się dało. Potem zabrano się do pasieki. Z dachów czyniono opał i podkurzacze, wydzierano ramki i pożerano wszystko razem – wosk, czerw, zimowy zapas miodu, umykając od rozjuszonych pszczół. Żołnierze i chłopstwo tam zajęte do ludzi nie byli podobni, opuchnięci od żądeł, umazani miodem, a rechoczący z uciechy.

A huk armat niemieckich, regularny, potężny zbliżał się nieubłaganie.

Wieczorem tłuszcza cofnęła się na wieś i starszyzna znalazła, że czas jest odpowiedni do przysłania straży do ochrony sadu „ze względów sanitarnych".

Przybyło tedy dwóch żołnierzy i myślałam, że będzie może noc spokojna.

Ale o dziesiątej wieczorem straż mi dała znać, że kozacy odbili magazyn ze spirytusem, piją i chłopy też z wiadrami lecą. To był moment, którego człowiek jednakże do śmierci nie zapomni i po którym zupełnie na śmierć jest obojętnym. Warczenie uciechy tłumu, tupot biegnących, trzeszczenie resztek płotu słychać było wśród huku armat.

Zarządziłam jako taką ochronę przed najściem pijanej tłuszczy. Pogaszono w domu światło, znieśliśmy do piwnicy odzież, pościel, żywność, sprowadziliśmy sieroty, posłałam na wieś do oficerów i przebyliśmy tak parę godzin pełnych wrażeń i nastroju.

Parę bliskich strzałów karabinowych dodało nam otuchy. Chyłkiem, czając się po krzakach, ktoś ruszył na przeszpiegi. Przy spirytusie była już wojskowa władza – tłum pomimo to rzucał się do rowu, kędy ciekł strumień ognisty. Pod groźbą kul chłeptał i czerpał. Zaczęto zarzucać gnojem i ludzkimi ekskrementami – bezskutecznie – jeszcze był pożądany i smaczny. Kto nie docisnął się, by pić, ten przesiąkłą płynem ziemię ssał i połykał. Przy oświetleniu pochodni obraz był ciekawy jako studium ludzkości z xx wieku.

Homo sapiens używał.

Wracając, zajrzałam do mych pszczół. Kłębami całymi osiadły puste ściany swych siedzib, otulając swymi ciałami matkę, do śmierci wierne, karne, przywiązane.

Rozbudzone sieroty osiadły ganek i cienkie głosiki śpiewały „Kto się w opiekę…”.

Przetrwaliśmy tak tę noc.

Nazajutrz przypłynęła do mnie nowa fala. Zajechały tabory już nie z Korony, ale miejscowe, sąsiedzi, znajomi o mil kilka spod Brześcia. Wśród nich ujrzałam z radością księdza.

Zamówili się na krótki odpoczynek z zamiarem ucieczki dalej – do Pińska.

– A pani? – było pierwsze pytanie.

– Mnie nie wyganiają dotąd. A jeśliby wyganiali, daleko nie zajdę piechotą, bo już zabrano uprzęże, wozy i konie.

– Nas też nie wyganiano. Rozkaz o ewakuacji cofnięty, ale nie mogliśmy wytrzymać. Pomimo cofnięcia rozkazu kozacy gonią, palą i rabują.

– Dom mam murowany, to go nie spalą, jak odjadę, to jeszcze doszczętniej zrabują, a jechać z „nimi” nie chcę. Nigdy nie miałam ochoty zwiedzania Rosji po opowiadaniach rodziców, którzy ją przewędrowali bardzo dokładnie, bo kibitką do Tobolska. Wobec tych wszystkich racji trzymam się zdania pana B. z Kobrynia: trwać.

– Pani nie wie, co się stało onegdaj w Kobryniu. Miasteczko w większej części spalone i obrabowane, kozacy „hulali", ludzie przeżyli straszną noc, stłoczeni w kościele, pociski wybuchały na ulicach, zabitych dużo osób. Zgroza!

– Ano, wojna. Nie uciekniemy już przed nią. Tu trwając, mamy przed sobą parę dni grozy i fala się przewali. Tam uchodząc, przedłużymy mękę tylko, a ruina w rezultacie jednaka. Szkoda próżnego wysiłku. Zresztą dobrowolnie stać się zbiegiem wstyd.

Zaludnił się dom z powrotem. Uprosiłam księdza o mszę w kaplicy i o spowiedź wieczorem.

Idąc do kaplicy o zmierzchu, przeciskałam się wśród chłopskich taborów.

Ruszyły w panice najbliższe okolice, dzika ludność z Dywińskich błot, kołtunowate, w łyka obute, w burej odzieży postacie, rabujące, zuchwałe. Rąbali drzewa i parkany na ogniska, piekli barany i gęsi, paśli inwentarz, zrabowanym ze spichrza zbożem i pijani byli błotem z rowów, kędy ściekał spirytus.

Pod dworem stały jaszcze[9] z amunicją, nieco dalej armaty. Żołdactwa były tłumy. Niebo gorzało łunami.

Za powrotem zastałam pułkownika i paru oficerów oraz watahę żołnierzy po miedź. Zaczęła się gwałtowna, pospieszna i bezładna rekwizycja. Pogrzebowo zadzwoniły aparaty gorzelniane, kotły, statki gospodarskie i gdy wreszcie późno w noc to wywieźli, wróciłam do domu.

Przez ten czas sąsiadów jeszcze przybyło i postanowili zostać, i przetrwać burzę. Dom był obozowiskiem. Każdy się lokował, gdzie mógł, urządzał się na jakie takie bytowanie. Chciałam być uprzejmą gospodynią, ale po chwili zrozumiałam, że nie mam po temu ani czasu, ani możności. Ustąpiłam gościom cały dom, zachowawszy dla siebie i moich dwóch domowych towarzyszek jeden mały pokoik. W swoim sypialnym ulokowałam chorego, który wydawał mi się bardzo podejrzany o cholerę, czyjaś służąca tejże nocy podobnież zachorowała.

Co chwila, co godzina zbiegów przybywało. Cały dom był jak kolejowa poczekalnia na węzłowej stacji: góry tobołów, skręt ludzi i zupełny zanik wszelkich towarzyskich form. Muszę wyznać, że większej części tych „gości" nie poznałam wcale z nazwiska, a zapamiętałam tylko najnieznośniejszych. Do „państwa" należała też służba, konie, psy, wzmagające jeszcze chaos i panikę. Załoga ta cała liczyła około stu osób, stłoczonych w domu, który jak mrowie otoczyli maruderzy cofającej się armii.

Hałastra ta przeciągała przez dwór bezładnie gromadami. Pierwsze odwiedziny były, rozumie się, do magazynu wódczanego – jeszcze coś tam

[9] Jaszcz – wóz z okutą skrzynią służący do przewożenia amunicji artyleryjskiej.

znajdowali, bo dom oblegali przeważnie już pijani, dobijali się do drzwi, wrzeszcząc różne swe żądania: *kuszat', wódki, sapog* – a nade wszystko: „*Uchodi, budiem palit!*"[10]. Cały dzień trwała ta napaść i opędzanie się. Na domiar zmęczenia „goście" co czas jakiś opadali mnie w paroksyzmach lęku. „Uciekajmy, uciekajmy!" Ale nie uciekali – tylko czułam, że mają do mnie o to pretensje.

Wieczorem w oknach stanęła łuna. Maruderzy podpalili lamus tuż przy domu stojący. Mieli nadzieję, że tym nas z domu wywabią i „pohulają". Aleśmy tylko organizowali straż przy gankach, by nam drzwi nie podpalili, i zasiedliśmy do jakiego takiego, pierwszego w tym dniu posiłku. Ale nie zdążyłam cokolwiek przełknąć, gdy nas strwożyły odgłosy jakby karabinowej palby – regularne grzechotanie, tuż za domem, w ogrodzie.

Noc już była, może już niemiecka piechota następuje, przeszło mi przez myśl. Posłałam po sieroty. Zaspane przeniesiono i przeprowadzono do domu, posłano im na nocleg w sali.

Ale nie była to bitwa. To z łoskotem pękały i spadały dachówki z podpalonej przez maruderów gorzelni. Potem zaczęły się walić z piętra aparaty – stanął słup ognia i po paru godzinach dymiła tylko ruina. Daleko na polu huczały armaty.

Wśród nocy zajechały przed dom samochody, jakiś sztab roztasował się na piętrze. Założono spiesznie telefon. Dwór zapełniło regularne wojsko.

Jak hieny zniknęli maruderzy. Można było z domu wyjść, odetchnąć powietrzem, rozejrzeć się po dworze.

A dwór już był pusty. Służba, widząc, że zostaję, uznała za rzecz wskazaną sama swym losem się zająć. Zabrali tedy wozy, konie, woły, obładowali się zbożem i pociągnęli za wojskiem.

Ruszyła też w panice cała wieś. Jak stado owiec poszli wszyscy: dorośli, starzy, młodzi, dzieci – kto czym miał i mógł: końmi, wozami, piechotą, obładowani nad siły, oszaleli zarazą paniki.

Poszli na przepadłe. Szlak ich widziałam potem, po dniach kilku. Usłany był smugą zbóż, wyrzucanych z fur przeładowanych, ciskali na drogę płótna, wełnę, odzież, okrasę – a dalej, dalej i trupy. Straszny szlak i rozpaczliwy obraz zwierzęcego, bezmyślnego pędu.

Kiedy wrócą i ilu ich wróci do tych chat, do tych pól i co zastaną te niedobitki? Został przecie jeden Dokim. Ciężko chory schronił się z żoną do mej chaty w lesie i tam przetrwał te ostatnie dni.

Puste czworaki i oficyny zapełniało wojsko, podwórza gorzały od ognisk, przy których szlachtowano i pieczono masy bydła i świń. Rano oficerowie

[10] *Kuszat'* (ros.) – jeść, *sapog* (ros.) – but, *Uchodi, budem palit!* (ros./ukr.) – Uciekać, będziemy palić!

saperscy zrewidowali cały dom. Myślę, że posądzono mnie o nieprawomyślność, żem tak uparcie tkwiła na miejscu. Przetrząśnięto tedy każdy kąt, żem wreszcie spytała, czego właściwie szukają, to im pomogę.

Mówili, że szukają spirytusu, ale ostatecznie kupili trochę uprzęży i odeszli. Cały dzień zjawiali się coraz inni – z namowami, żeby jednakże uciekać, ofiarowywali nawet podwody dla sierot i dla mnie obiecywali opiekę w podróży i masę pomyślności w Rosji, a straszny los, gdy pozostanę.

„Goście" już byli znowu gotowi do drogi, tym bardziej gdy ich jeden z oficerów zapewnił, że dom będzie niezawodnie na linii strzałów, a jedyna piwnica zawali się od jednego pocisku.

Zbierali się, radzili, straszyli się wzajemnie, lamentowali – ale nie jechali. Po południu wyszłam w pole, za spaloną gorzelnię. Dzień był dżdżysty i posępny – szerokim półkolem ciągnęła się na horyzoncie naszym płaskim i wypukłym linia boju. Znaczyły się wybuchy armatnich strzałów i łuny palących się wsi, zresztą nic widać nie było – przelatywali konni żołnierze stamtąd do sztabu lub ranni do opatrunku, nic nie zwiastowało grozy tak bliskiej.

Za powrotem do domu, dowiedziałam się, że jakiś pijany sołdat wybił okna w kaplicy. Przenieśliśmy tedy ołtarz do domu i urządziliśmy go w salonie. Późnym wieczorem miałam znowu na zawsze pamiętny obraz z owych dni:

Podwórze zawalone żołnierstwem, a obok w oficynie na galerii gromadka sierot w oświetleniu jednej świeczki.

Chór piskliwych głosików śpiewał „Kto się w opiekę..." – w ciemności wtórowały chrypliwe basy. To żołnierze polscy, klęcząc bez czapek, modlili się razem. Poklękaliśmy z księdzem także. W nocy strzały się wzmogły i z dniem doszły do całej potęgi. Stary dom trząsł się od huku, chwilami rozdzierały się chmury i błyskało słońce.

Wśród wojska powstał większy ruch, telefon działał bez przerwy, zjawiły się armaty na łące za dworem, zaczęto sypać okopy. Ostatnie tabory zniknęły w lasach, czułam, że dobiega kres męki.

W domu dwoje ludzi chorych na cholerę leżało już beznadziejnie. Ratowaliśmy ich, ile możności, zupełnie o zarazę nietrwożni. Wśród huku armat ksiądz odprawił mszę rano, dzień cały oficerowie znowu nas nachodzili, namawiając do wyjazdu z nimi razem. Ostatni tak zakończył:

– My dziś w nocy odchodzimy na pozycję o wiorst piętnaście. Po nas przyjdą jeszcze kozaki, żeby wszystko spalić. Nie ręczymy za wasze życie. Rozkaz wypędzania cofnięty, ale kozaki o rozkaz i zakaz się nie troszczą. Po nich już przyjdą Niemcy. Wrogowi nie trzeba nic zostawić.

Tedy wyczerpała się wreszcie moja cierpliwość i odpowiedziałam mu ostro:

– Dwa razy człowiek nie umiera, ale raz i tylko tam i tak, jak mu Bóg przeznaczył. Moje doczesne dobro zmiecie wojna, bo leży na jej szlaku, ale mój honor każe mi tu zostać i nie pójdę ani polskich dzieci do Rosji nie dam. Dosyć ich Sybir pożarł. Te niech tu ze mną zginą lub przetrwają.

Myślałam, że źle się skończy to moje szczere credo, ale odszedł bez stosowania jakichś represji i oto wieczorem zaczęli się zbierać do odwrotu.

Armaty grały i słychać było coraz wyraźniej grzechot karabinów, noc zaszła ciemna, chmurna – ostatnia z tej zmory. Uspokoiłam „gości", że będę czuwać, żeby spoczęli, sieroty położyliśmy spać w sali, zostałyśmy we dwie na warcie.

Do północy artyleria spoczywała na podwórzu, żołnierze Polacy zebrali się w kuchni – rozmawialiśmy, dawali mi polecenia i adresy rodzin, żeby wieść kiedy przesłać, boć to straceńcy byli – rezerwiści żonaci i dzietni z kaliskiej, lubelskiej, płockiej ziemi, zgnębieni, znękani, bez nadziei powrotu do tych swoich najbliższych, najdroższych.

Słońce, co wejdzie, już ich i mnie rozłączy żelaznym pierścieniem granicy – i chwalili mi, żem została, i takeśmy żałośnie przegwarzyli, szeptem, bo się Rosjan kolegów bali.

Aż po północy rozległ się rozkaz wymarszu, pożegnaliśmy się.

– Już teraz kozacy tylko przejdą po nas! Niech was chroni Częstochowska Królowa – szepnął ostatni, odchodząc.

Rumor zbierania, zaprzęganie, komenda, parskanie koni, ruszyli, wyszli za bramę, utonęli w nocy – zapanowała cisza, bo i strzały ustały, i ta cisza była najcięższą chwilą owych dni.

Zmieniałyśmy się na warcie w oknie.

Z bezmiernego zmęczenia zasypiałam chwilami. Budziłam się, słysząc już kozackie wycie, ale to złuda była – to tylko chrapał i jęczał nieszczęsny choleryczny za ścianą. Wokoło na drodze była cisza.

Bardzo długo była ta noc i bardzo ciężka. Wreszcie znowu mnie sen zmorzył. Zbudziła mnie towarzyszka warty:

– Spójrz no! Jakaś łuna na lewo. Może stodołę podpalili.

Zerwałam się. Jaśniało nad gumnem, ale tak było cicho i pusto. Nigdzie śladu kozaków.

To był brzask wschodu słońca.

I oto jak czarny całun w tym blasku sczezła straszna zmora, odetchnęłyśmy, przeżegnały. Nie będzie kozaków, przetrwałyśmy na stanowisku.

Wyszłam na boży świat. Dzień wstawał pogodny, z pierwszym jesiennym szronem, bo był to już 2 września.

Miałam wrażenie zrazu, że jestem sama na świecie. Nigdzie ani żywego ducha. Minęłam zniszczony, rozgrodzony sad, ruiny gorzelni, wyjrzałam na pole – wszędzie martwa pustka.

Ale za to wszystkie podwórza zawalone resztkami obozów, śladami żołnierskiej, dzikiej gospodarki. Kupy nawozu, zboża, ziarna, skóry i wnętrzności zwierzęce, kawały mięsa, kotły, blaszanki, koła od wozów, odzież, szmaty, ładunki, zdechłe konie, rozprute pierzyny, worki z obrokiem, ilość i jakość przedmiotów nie do zapamiętania i spisania. Wszystkie budynki bez drzwi i okien, wszędzie ślady ognisk, kupy pierza z drobiu i brud niedający się wyrazić.

Nareszcie usłyszałam dwa głosy: skomlenie psa i jęk człowieka.

Pod węgłem piszczał szczeniak bezpański, a w pustej izbie na tapczanie jęczał sołdat – straszny, siny na twarzy – w cholerycznych kurczach.

Zostawili go na pastwę śmierci. Oczekiwał jej zupełnie obojętnie, prosił o papierosa. Gdym wracała do domu, ujrzałam po kątach przemykające postacie. To jacyś pozostali z taborów, zbiegi, hieny, rzucali się już do rabunku.

A wtem u węgła szopy, z jakiejś porzuconej pustej kadzi, wytknęła się głowa ostrzyżona, a dalej postać chłopaka w dziwnie niedopasowanej odzieży.

Wyskoczył ze swej kryjówki, przeciągnął się, wyszczerzył zęby.

– Juz posli! – szepnął z mazurska.

Dał susa między budynki i poleciał na przełaj – ku zachodowi.

Ten się pewnie oprze aż za Bugiem. Zaledwie wróciłam do domu, gdy ktoś wpadł, krzycząc:

– Niemcy idą!

Wyszłam tedy na ganek, za mną wysypywało się z domu, co żyło.

I oto na folwarku ukazał się pierwszy szary piechur w pikielhaubie z karabinem gotowym do strzału i zjeżonym żądłem bagnetu.

Zatrzymał się na nasz widok, pozdrowił:

– *Guten Morgen.*

Pomimo woli zaśmiałam się.

– *O gewiss, guten Morgen!* – odpowiadam.

Ucieszył się i on, że może się porozumieć, i zaczęliśmy gawędkę:

– *Keine Russen?*

– *Einer!*

– *Wo ist er?*[11] – Bagnet się najeżył. Wskazałem na folwark.

– Tam leży chory na cholerę.

[11] – *Guten Morgen. – O gewiss, guten Morgen...* (niem.) – Dzień dobry. – O, zdecydowanie dzień dobry. – Nie ma Rosjan? – Jeden jest. – Gdzie?

Machnął ręką, położył karabin na ziemi. Zdjął szynel i nie przestając rozmowy, zaczął go misternie składać w wałek, z całą drobiazgowością równając każdą fałdę.

Zza węgła wychodzili pojedynczo inni i za przykładem kolegi składali karabiny i pozbywali się szyneli tymi samymi automatycznymi ruchami.

A ów pierwszy rozpytywał:

– Dokąd poszli Rusy?

– Nie wiem, kędyś tam.

– A wy kto?

– Polacy.

– Żeście zostali? A toć tu ruski kraj.

– Jeszcze wam daleko iść do ruskiego kraju. Tu nie znajdziecie ani jednego Rosjanina. Wszyscy uszli.

– Dogonimy ich.

Było ich już z tuzin, pęki karabinów zdobiły podwórze. Zapalili fajki.

Nad dworem przeciągnął, warcząc, aeroplan. Dzień był pogodny, iście letni.

Tedy piechur spytał:

– A gdzie u was kuchnia? Pokażcie. *Wir möchten Kaffee trinken*[12].

Ruszyli za mną do domu.

W ten sposób odbyło się nasze przejście pod władzę i na usługi innej armii.

Maria Rodziewiczówna, *Światła*, Rzeszów: Continental, 1991, s. 123–143

[12] *Wir möchten Kaffee trinken* (niem.) – Napilibyśmy się kawy.

1915

Juliusz Kaden-Bandrowski (1885–1944)

Opiewać legiony i seks

Przysłużył się Piłsudskiemu i jego legendzie. Przysłużył się językowi polskiemu. To on jako pierwszy, w zbiorze swoich reporterskich zapisów o legionistach Józefa Piłsudskiego nazwał ich „piłsudczykami". To on stał się piewcą legionowego czynu, zjawiska nie tylko z dziedziny wojskowości, ale i ducha narodu.

W chwili wybuchu wojny Bandrowski miał niespełna trzydzieści lat i był adiutantem Piłsudskiego. Został też oficerem werbunkowym i kronikarzem 1. Brygady. Przed wojną studiował grę na fortepianie i filozofię w Brukseli. Skończył z wyróżnieniem konserwatorium, ale z powodu lekkiego niedowładu ręki, złamanej w dzieciństwie, nie został wybitnym pianistą. Kiedy w 1913 roku wrócił z Belgii do Polski, zaczął wydawać swoje pierwsze książki.

Piłsudczycy (1915) – jak pisze w posłowiu do nich Krzysztof Tur – należą do tego nurtu piśmiennictwa legionowego, który powstawał na polu walki. „Nie jest to więc refleksja czyniona z dystansu, lecz reportażowy niemal zapis faktów, nastroju, atmosfery" – podkreśla. Moim zdaniem jednak *Piłsudczycy* czytani dziś wydają się zbiorem chaotycznych notatek – nie bardzo wiadomo, co się dzieje ani w jakich wydarzeniach legioniści biorą udział. Na tym tle wspaniale wyróżnia się spójny i ciekawy *Ordynans*.

Zaraz po wojnie Kaden-Bandrowski napisał powieść *Łuk* (1919) – rzecz o seksualnym wyzwoleniu kobiety. Pokazał w *Łuku* wojnę od strony cywila. Powtarzał, że to lewa strona tej wspaniałej tkaniny, którą byli *Piłsudczycy*. Zachwianie równowagi i norm obyczajowych. O bohaterce powieści Maryśce Miechowskiej pisano jak o polskiej pani Bovary: równie tragicznej, równie nieszczęśliwej.

Gdy w 1929 roku ukazało się drugie wydanie książki, pisarz postanowił wyruszyć w długą rundę odczytową. Na tę wieść biskup Henryk Przeździecki w odezwie do księży potępił całą twórczość Kadena. Jak opowiada Michał Sprusiński w posłowiu do *Łuku*, 11 listopada 1929 roku Kaden pojawił się na mównicy poznańskiego Domu Ewangelicznego. Usłyszał najpierw mowę przedstawiciela młodzieży, z której wynikało, że jako pół-Żyd godzi w moralność chrześcijańską. Potem padły okrzyki: „Precz z pornografią!", „Precz z rozbijaniem rodziny!" i „Atak masonerii odeprzemy!". Komisarz policji wezwał do opuszczenia sali, co nastąpiło po odśpiewaniu *Boże, coś Polskę* i wyskandowaniu „Niech żyje Polska katolicka i narodowa!" oraz „Precz z Żydami

w literaturze polskiej!". W Toruniu Kaden złagodził już swój występ, choć na koniec i tak odśpiewano mu *Boże, coś Polskę*. W łódzkiej filharmonii przywitano go słowami tej samej pieśni i zgniłymi jajkami. Jego przyrodni brat Jerzy Bandrowski, autor powieści fantastycznych, opublikował w prasie oświadczenie, że z Kadenem nic go nie łączy.

Czytając więc reportaż o piłsudczyku-ordynansie, warto pamiętać o lewej stronie tkaniny, której tak bardzo nie chcieli oglądać polscy patrioci i katolicy na początku lat dwudziestych:

> Weszła na palcach...
>
> – Nie bój się, nie bój – szeptała, pochylając go z powrotem na łóżko.
>
> – Chciałem – dyszał, wpatrzony w nią rozszerzonymi źrenicami – właśnie chciałem przyjść do ciebie, pożegnać się, zobaczyć cię raz jeszcze i iść w świat... Bo ty mną gardzisz... Tamci się biją, giną – a ja...
>
> – Ogrzej mnie – mówiła Maryśka frasobliwie, sadowiąc się na jego polowym łóżku – nie gardzę, jestem tylko trochę smutna, zmęczona i trochę pijana... Nie gardzę, wszędzie jest ta sama wojna – szeptała, skubiąc wargami jego uszy – nikim nie gardzę...
>
> Zaś gdy cichutko się stulili, niby dwa skrzydła tego samego motyla, śmiała się:
>
> – Ta sama wojna, ten sam obóz, mój miły. Aaa, patrzże, śpimy na twoim łóżku polowym... Nie bój się, jeszcze i ty będziesz bohaterem... Będziesz, będziesz, jak tylko ci pozwolę...
>
> Znów sunął nowy pociąg. Wielkie rzuty pogłosu szarpały się między murami, do pokoju wraz z ciemną chmurą dymu wpadł dziki śpiew żołnierzy.
>
> Maryśkę rozdarło nagle straszliwe pożądanie i w tym krzyku, huku, dymie – szarpiąc obiema dłońmi czarne włosy Adolfa, oddała mu się pierwszy raz tak, jak kobieta oddaje się mężczyźnie... [...]
>
> Bo to jest nagłe otwarcie świata – podnosił ją sobie na podołek i zamykał w ramionach, co się w ich języku nazywało „gniazdem"...
>
> Z czarnych głębi towarowych wozów wyrywał się ten sam okrzyk, który był zawołaniem miłości ich obojga...
>
> – A-a-a... – ryczeli stłoczeni przy otworach żołnierze.
>
> – Bo oni jadą na śmierć – powiadał Adolf rozemkniętym udom Maryśki... – Śmierć im ten sam okrzyk z piersi wypędza, co mnie – gdy dajesz się kochać... Ja też będę tak krzyczeć, gdy będę jechać, gdzieś przez Wołyń, na nasz front.

Ordynans

Felek czekał w kuchni, aż kucharka napełni obie sosjerki, by je na srebrnej tacy wniósł „za mięsem" do stołowego. Tymczasem kucharce szło niesporo, bo Walenty już z mięsem na tacy stał przy stole i gadał, i użerał się o to wojsko polskie... Z gniewu, z ruszania wąsów, z potu, co mu na czoło występował, widać było, że Walenty gorączkuje się, złości i sprzeciwia.

Wariaty, oberwańcy, strzelcy, postrzeleńcy!

Felek słuchał Walentego, palcem przejeżdżał zimny kant sosjerki i nic nie rozumiał.

Wiadoma rzecz, że jeśli wojsko, to wojsko. Jest takie i inne, każdy ma swoje, było takie i owakie, z różną mową i cudacką komendą. Czemuż to?...

Jakieś słuchy chodziły o tym po wsi od dawna razem z zatłuszczonym kawałkiem gazety. Snuły się wieczorem przy kominie w czas pogwarki, schylone i chwiejne jak dym...

Felek myślał w wieczory czytanek i słuchów owych, że siedzą prawie święte, tak dalekie – za obrazami nad łóżkiem. Pewnikiem stamtąd wyszły, pewnikiem tam wrócą... Już od kilku dni i teraz bał się i wstydził, że słuchy zeszły między gadanie ludzkie, że Walenty pyskuje a wydziwia. Przystawił sosjerkę do sosjerki brzeżkiem równiutko i wyciągnął się nagle, aż mu oczy na wierzch wyszły, a w kościach chrupło.

Walenty splunął, łapę pod tacę podłożył – idziesz Felek – huknął i poszedł z mięsem.

Jeden za drugim wchodzili do jadalni, gdy nagle za rozwartą bramą iść to zaczęło...

Panienki sfrunęły do okien, Walenty stanął z gębą rozdziawioną na środku posadzki, jak słup, starsza pani zakołysała się od łez, a pan ręce w łańcuszek zegarka wczepił, jakby go sobie z kiszkami wyrwać chciał.

Oni!!!

Szli drogą, w szarym, chmurnym południu, cierpliwie, jakby do spowiedzi, wojsko szare, z białymi orłami na czapkach. Co to było, nie wiedział Felek jeszcze, ino w ruchu i wzięciu się, w przystępowaniu, czy że na bakier się nosili, czy – już zapomniał, bo tylko dzwonienie słodkie nim trzęsło, że szli, a coś sobie powtarzał jak najprędzej w żarach i we wstydzie gorącym.

Aż nagle buchło z szeregu kurzawą, impetem po gazonie, przez płot, że wstrząsły się stare wierzby przydrożne:

Na bok wisielcy,
Bo idą strzelcy,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

I znów:

Siwe mundury,
A w butach dziury,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Komendant jedzie,
Wojenka będzie,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Zwaliły się z tacy dwie sosjerki, Felek wyrżnął się o jedne drzwi, o drugie i pędził, już pędził tyłami ogrodu na skrzyżowanie dróg, jęcząc i gryząc wargi do krwi.

Wstydził się, żeby go tam nie ujrzeli, więc się zaczaił w krzakach i czekał.

Szli mocno, naprzeciw wiatru, krokiem równym i zgodnym, z przymrużonymi oczyma i z otwartymi od śpiewu ustami.

Na nic i na nikogo jeszcze nie patrzył, jak na nich... Każdy ruch, każdy guzik, każdy but zapamiętał Felek na zawsze.

Twarze mieli młode, dobre, wesołe. I to, że właśnie szli pod kamienną figurą, czwórka za czwórką, tacy dopasowani! Patrzył jak ten jabłko gryzie, tamten ciężar na plecach podrzuca, ten garścią okruchy chleba do ust wsypuje.

Szli tuż nad nim i oczy mu się mrużyły od mijania nóg, a od marszu i ziemi dudniącej, i rozśpiewanego powietrza – wciąż się w piersiach rzewne układały drżenia.

Przeminęli na skręcie razem z wozami. Na drodze został tylko święty kamienny z pajęczyną między palcami we wietrze fruwającą.

Felek odczekał, aż ucichło, i znów kopnął się za nimi biegiem pospiesznym.

Skręcali na lewo w bok, do polnej drogi.

Stanął jak wryty... Oto po jednej stronie dążyły czwórki i jedna za drugą znikała w borze sosnowym, a po drugiej stronie stała chałupa matki Felka i matka przed oknem między złotymi kręgami słoneczników, jak święta w złotej obwódce. Nie ruszał się...

Nie ruszy się stąd, niech tylko ciągle idą pod tym lasem... Ale szli i szli, aż znikli, potem jeszcze tamten i ten łysnął między drzewami, potem jeszcze bronie dźwięknęły, a potem las, jakby ich wypił wszystkich, topiąc w suchym szmerze gałęzi...

Felek słyszał, jak skrzypły drzwi, jak się z powrotem za matką zawarły. Słyszał sypki szum płowych mietliczek, dobrotliwy pomruk matczynej chałupy, wszystkich jej ścian i wszystkich ścian obory i wszystkiego, co tu żyło w biedzie, łatanej troską.

Chmury ciężkie leciały nad lasem, wiatr czesał i pieścił wyschłe mietliczki, droga się po dawnemu u świętej figury rozdzierała na dwie części...

Samo się stało, że począł iść, krok za krokiem, jakby każdym krokiem komuś coś kradł i komuś coś dawał...

Aż znalazł się na krajuszku lasu, tam, skąd widać całą chałupę matki zgarbioną, do pustego ugoru przyległą...

Coś go takiego tknęło, coś go takiego owiało, że się już nie obejrzał, tylko biegł przed się, za pobrzękiem gwerów[1] i manierek, aby bliżej...

Dopadł ich przed samym miastem. Noc już była, gwiazdy obsiały niebo jak srebrny mak, księżyc płynął wśród nich gładki i biały, a na trawach skry tańczyły mrowiem niezliczonym.

Żołnierze szli niczym mur, zwarty cień to z boku wlokąc, to pchając przodem i ciężko robili bokami, widać bardzo zmordowani.

Na rynku wszystko się zatrzymało; dowódcy poszli do jasno oświeconego domu.

Nie obejrzał się, kiedy szeregi wsiąkły w ziemię. Wojacy się pokładli na bruku, oblepili wszystkie ławki pod apteką i wszystkie schodki przed domami. Usłał się z nich na rynku drugi bruk nierówny, dyszący...

Nazajutrz od samego rana począł ich szukać. Gdzieś poszli czy ukryli się, a tylko chłopów nawaliło się do miasta! Pokręciły się te chłopy tędy i sędy, aż nagle trąba rozległa się wojenna i wszystko sunąć poczęło w jedną stronę, a Felek ze wszystkimi, głupi na to jak tabaka w rogu...

Chłopy pochrząkując, podciągając portek, stanęły w zbitej gromadzie – słońce od samego rana świeciło najpiękniejsze – a ku gromadzie sunie, niby kawał ciemnego nieba, oddział z tym samym oficerem co wczoraj. Zakręcił nimi, stanęli bardzo srogo... Znowu powiedział i wytchnęli, jedną nogę naprzód wyciągnąwszy.

Widział to Felek, bo stał na boku, przy kupie bab płaczących. Oficer wyciągnął papier, czytał z niego wszystkie wielkie słowa i skończył wołaniem o wojsku polskim.

[1] Gwer – karabin.

Cisza nastała i aż się niebo wyprężyło od tej cichości.

Tymczasem chłopy już idą...

Pierwszy, drugi, czwarty powoli se idzie, przed oficerem odmie się, bo mu niesporo, przemówią do niego, zapiszą. Przekręci się na pięcie i stanie do szeregu.

Felek obleciał plac dokoła, przejechał łokciem pod nosem i też idzie, wielkimi krokami, z kapelusiną dziurawą, aż na oczy wciśniętą, że się tylko na uszach odstających trzyma. Stanął przed oficerem, słucha, jak paski i rzemienie na nim chrzęszczą, a czuje, że na sobie wszystko się trzęsie i skroniami pot płynie – z tej uwagi...

– Ile masz lat? – spytali.

– Nie wiem.

Oficer wzruszył ramionami.

– Chcesz wstąpić do polskiego wojska?

Felek nie odpowiedział, bo mu twarz zakrzepła w przysiężnej gotowości, a oczy jasne jak czyste niebo tego dnia znieruchomiały nagle.

Surowa twarz oficera ogrzała się różowym ciepłem.

– Czternastu lat nawet nie masz?! Za młody jesteś.

Felek zrozumiał i żeby przebłagać czy przekonać, zdjął kapelusz, odsłaniając złote, zmierzone jak mietliczki, włosy i młodość głowy dziecinnej, za dużej w stosunku do całej postaci.

– Cóż my, chłopcze, z tobą zrobimy?!

Nie odpowiadał, garść całą wsadziwszy w dziurę kapelusza.

– Wracaj do domu, wracaj i nie zabieraj mi czasu.

Wtedy nagle w niebieskich oczach Felka rozpękły wielkie, brylantowe gwiazdy, twarz się ściągnęła w zmarszczkach, a wystające z rozchełstanej koszuli malutkie piersi drżeć jęły szybko.

Felek płakał. Przyszedł z kolei nowy, wielki chłop, odsunął płaczącego.

I znów szły chłopy, odymały się przed komendantem i stawały do szeregu.

Słońce już doszło południa, gdy Felek, przeczekawszy całą kolej, drugi raz stanął przed komendantem...

Stał prosto, w oczy patrzał prosto, ręce prosto wyciągnięte trzymał wzdłuż siebie, bez tchu, w kapeluszu, którego dnem, jak źdźebła owsa, miękkie się wychylały kosmyki włosów.

– Czegóż ty jeszcze chcesz?

Wtedy zaparł dech w sobie, żeby mu nie przerwała dławiąca łza, i głosem wysokim, silnym jak kwilenie jastrzębia rzekł:

– Chcę służyć w wojsku polskim...

– Jużem ci mówił, nie zawracaj mi głowy. – A młoda, czarna bródka komendanta drżała ze śmiechu. – Czternastu lat nawet nie masz. No idź...

Felek tylko naprzód postąpił, jak młody kogut wyciągając głowę ku górze.

– Silny jestem...

– Za młody jesteś.

– Ja i tak pójdę – odpowiedział, nie patrząc na nikogo.

– Nie wezmę cię, za młody jesteś.

I znów zapisywali się inni, a Felek stał zgrzany, spocony, bez ruchu, z amarantowymi uszami i powtarzał jakby do siebie czy do białych domków miasteczka, czy do nieba szerokiego – gdy go ludzie słuchać nie chcieli:

– Ja i tak pójdę, ja i tak pójdę!

Aż skończyło się wszystko.

Żołnierze plasnęli łapami o karabiny, chłopy się ustawiły we dwójki, zapłakane baby odeszły.

Felek stał na tym samym miejscu, dwóch małych Żydków kręciło się koło niego – i krzyczał coraz głośniej, natarczywiej:

– Ja i tak pójdę! Ja i tak pójdę!!!

Komendant skoczył ku niemu i czerwony z gniewu krzyknął:

– Pójdziesz, ale przy pierwszej sposobności, jeśli się zbłaźnisz... My wszyscy, Legion...

Oni wszyscy... Legion...

Zelżało w Felku i światłość się w nim rozlała... Teraz się odął jak tamte stare chłopy. Wolno przystąpił do szeregu i stanąwszy na końcu, że przez bary poprzednika dojrzeć nie mógł, co się na początku dzieje, po męsku splunął przez zęby ze strasznej wdzięczności dla Komendanta...

Zaczęło się od chodzenia, od prawej ręki i lewej, że ta prawa, a nie lewa...

Potem przyszły bluzki i wszyscy dostali, potem portki przyszły, wszystkie dla niego za długie.

Dopiero zagryzając język, oberżnął nogawki kozikiem.

Potem przyszły buty, nabijane gwoździami, za długie. Potem dostali plecaki i karabiny. Ze swoim karabinem znajomił się Felek pół dnia, cichutko głaskając kolbę i pakując oko do lufy. Żeby mu go kto nie ukradł, nauczył się na pamięć numeru gweru i wyrżnął (jako że pisać nie umiał) chałupę matczyną na drzewcu.

Kiedy pierwszy raz stanął na warcie, nasrożył się tak, że ludzie z miasta całą kupą stali przed nim o dziesięć kroków i odejść nie chcieli.

Kiedy drugi raz stał na warcie, przyszła matka z płaczem i z błogosławieństwem, i za rękaw go brała, a on nic, tylko słyszał, jak płacze, ale chodził tam i z powrotem i nie patrzył w tę drugą stronę.

Oni wszyscy!... Legion!...

Potem się napadu nocnego spodziewali, stojący na cmentarzu. Szło się na ochotnika. Poszedł i on ze swoim komendantem, ale się tylko po próżnicy zgonili po lesie, bo „tamtego" nie było.

Potem gdzieś szli i szli bez końca, ze strzelaniną na bokach, lasami i drogami, światami, z niebem przepalonym nad głową, z czarną nocą u stóp. Jeść nie było co ani pić. Sama ziemia pusta i głodna dokoła, ale Felek zawsze dbał, żeby dla swego komendanta coś mieć, bo bardzo się pokochali, jako że on, Felek, był obywatelem i komendant.

Obaj...

– A wiesz ty, co znaczy obywatel!? – spytał go raz komendant.

– Wiem.

– No co?

– Obywatel to ja.

– Masz rację.

Tak się ułożyło w duszy Felka, że ponieważ jest obywatelem, musi więcej potrafić, niż może.

Idą... Inni niosą karabiny na ramieniu, na rzemieniu... Żeby tak swój karabin Felek niósł, toby mu kolba grzęzła w błocie. On swoją broń niesie w garści, palcami za zamek podtrzymuje. Cały ciężar w mdlejącym ręku dźwiga, ale nie puści, bo jest obywatelem...

Aż doszli nareszcie do świata zakazanego. Wojsk tam widać było coraz mniej, a pustki coraz więcej i coś leżało na ziemi czy na niebie rozprószone, że aż dreszcz od tego brał. Pustki coraz więcej i ognia...

Minęli wieś i gdy noc nastała, siedli w okopach, zaś nad ranem zaczęło się...

Nad okopami szła jedna burza ołowiu, syki armatnie gięły się po niebie; ziemię szarpało, że czarnym słupem leciała pod niebo, to znów pękały w chmurach całe garście kul i żelaza. Od tego łomotu, trzasku i łamania zatykało Felkowi dech w piersiach. Leżał w okopie i gadał prędko, dużo – krzycząc od czasu do czasu:

– Jo strzylom, strzylom!

Zaś gdy usłyszał za sobą rozkazy komendanta swego, wyskoczył z rowu, by się pochwalić.

– Jo strzylom, komendancie!

– Osioł jesteś, bracie.

– Podług rozkazu – odpowiedział Felek, prężąc się wśród gradu kul.

– Cóżeś ty za ordynans, skoro tu siedzisz, gdy ja cię co chwila potrzebuję.

Teraz dopiero zaczęła się dla Felka prawdziwa rozkosz bitwy. Z nieotartym nosem, gryząc wystawiony język, latał od kompanii do kompanii lub wlókł gdzieś za skórzane ucho pakę amunicji, lub przynosił okopom kradzione w taborze konserwy. Potem wracał do komendanta, z zabobonnym podziwem patrzył, jak ten odgaduje coś z trzeszczących stronic wielokrotnie złożonej mapy.

Albo z rozkazem wracał na linię, spotykając po drodze rannych, którzy się wlekli, kuśtykając, popielaci od bólu – w tej chwili, w tym huku szanowni i niepotrzebni.

Minęła bitwa, nastał spoczynek, jedzenie, spanie i słońce. I znów bitwa. Zżyli się z komendantem do tego stopnia, że nie mogli się obejść bez siebie. Komendant myślał i pisał, a Felek pośpiechem i szybkością tej myśli był, niosąc rozkaz i meldunek – do ognia.

Aż pewnego razu, już w zimie, coś go tknęło, gdy się zapatrzył na całą tę wojnę w dolinie, z góry wracając z meldunkiem.

W mgle sinej wybłyskiwały straszliwe języry wystrzałów armatnich. Daleko, na horyzoncie, niby krwawiące serca, gasły zapalone chałupy, dym się snuł, a ogień karabinowy cichł z wolna.

Słusznie go tknęło, bo spotkał na drodze swego komendanta. Szedł sobie komendant z głową w bok przechyloną, bez czapki, palcami jednej ręki rwał i skubał powietrze, drugą rękę niósł mu żołnierz, białosiną, błyszczącymi nićmi krwi przez dłoń wiązaną.

– No, widzisz Felek, teraz się rozstaniemy – rzekł komendant, a usta mu się rozwarły tak powoli, jakby cały las wstrzymał od tego dech swój.

– Bo mnie przy was nie było, komendancie!

– Tak, tak – szeptał komendant z uśmiechem – bo ciebie przy mnie nie było.

Poszli razem tą jedyną drogą rannego, wśród strzałów, bólu i żalu, i głębokiego honoru milczenia, ostrożni i odważni... Komendant kapiący krwią po mchu i ordynans, siejący po zwiędłych gałęziach łzy obfite.

U doktora był tłok.

Jedni leżeli, drudzy siedzieli, sycząc co chwilę. Każdy prosił o papierosy, których nikt nie miał.

Zrobiono miejsce, jako że to ranny komendant batalionu. Ramię miał rozwalone. Nie wiedzieć, jak się trzymać mogło. Z ramienia tyle krwi wypłynęło, że się Felkowi pusto w piersiach zrobiło.

Wziął doktorską kartkę o komendancie, jako że – kto, gdzie ranny, gdzie jedzie – i poszedł szukać fury osobnej. Odwiezie komendanta, osobno, on sam.

Od chałupy do chałupy biegł – z niczym. Zaczepił o jakąś kolumnę taborów, tu z wozu jednego zrzucać wszystko chciał, batami mu pogrozili, on bagnetem, aż gdy wrócił z powrotem do doktora – komendanta tam już nie było. Którędy poszły wozy z rannymi?!

Coś wymiarkował i poszedł lasem, polem, zboczami... Wiatr dął ukośny, promienie księżyca giął, a Felek grzązł w błocie i popędzał samego siebie, by dognać komendanta.

Pożary wciąż jeszcze gasły, gdzieś na przodzie hukała palba karabinowa. Widać się zmylił, bo ogień był coraz gęstszy, kule bzykały koło uszu jak ciężkie, ostre komary.

Zawrócił tedy przemarznięty, ze stopami oblepionymi gliną. Zimna wichura piszczała w czarnych krzakach, żal ogromny ciążył w zbolałym sercu.

Nadjechały tabory jakieś z ludźmi uśniętymi na kozłach. Konie parły pod górę, prężąc zady, drepcząc na miejscu, jak muchy w ulepie. Mimochodem skradł biały koc dla komendanta biednego, „taboryci" dali mu czekolady i poszedł dalej.

Gdzieś już chyba nad ranem doszedł do drugiego miejsca opatrunkowego. W starym było pałacu, a wozy do niego zjeżdżały ze wszystkich dróg, pełne jęku i skrzypienia, i trzasku, jakby to nie drzewo i nie osie trzeszczały, a ludzkie kości.

Felek pokazał kartkę i przepuszczono go do pokojów, nasyconych słodkim, gryzącym zapachem leków i krwi.

Tu znajdzie komendanta...

Szedł na palcach między białymi kocami, pod którymi leżeli ranni na podłodze, wysoko stąpając, niby skoczybruzda[2] wśród skib. Straszno mu było iść, bo ranni twarze mieli snem obrzękłe i zmordowane. A gdy zaświecał zapałkę, nie dowierzając światłu ściennej lampki, wzdrygali się, głośno jęcząc.

Wtedy drżenie szło daleko po białych kocach, które niczym marszczony kożuch zlewały się w jedną całość. Poszedł na pierwsze piętro.

Właśnie taszczyli kogoś po schodach sanitariusze.

Może komendanta?!...

Widać było schylonych ludzi, doktora, dwie gały latarek elektrycznych, a w pośrodku żółtą, woskową twarz.

To nie był on.

[2] Skoczybruzda – żartobliwe określenie geodety.

Poszedł szukać dalej, tak jak się szuka na wojnie, to jest kierując się za traktem wozów, za jękliwym szlakiem rannych, lecz głównie węchem i przypadkiem.

Od Czecha, sanitariusza, wydobył cały szereg nazw miejscowości, gdzie mogli byli być odwiezieni nasi ranni.

Powtarzał je na pamięć i doszedł wreszcie do większego etapu. Miasteczko to było opuszczone, rozbite, z połamanymi wozami na placach, z krzyżami mogił w rowach. Z okien parterowych domków wyglądały łby koni, w rynsztokach leżało mnóstwo pudełek od konserw, na drzwiach, niby znaki tajemnicze, bieliły się wielojęzyczne napisy przeróżnych oddziałów wojsk, które tędy maszerowały.

Ruch w mieście, ledwie opuszczonym przez Rosjan, dopiero się budził, a zaczynali go, niby pierwsze węzły tkaniny, pojedynczy Żydkowie, z towarem na plecach idący po rozwalonej drodze.

Felek uczepił się furgonu i późną nocą na kość zmarznięty dojechał do pierwszej stacji kolejowej.

Przybył za późno. Pociągi już odeszły. Na stacji czekały tylko dwa wagony pierwszej klasy ze sztabem.

Tu też znać było wojnę. Szczególna ostrożność cechowała każde poruszenie się na szynach, każdy zaś gwizd lokomotywy szybko się urywał, jakby przerażony własną śmiałością.

– Muszę jechać, mam przydzielenie – tłumaczył Felek naczelnikowi stacji, który go nie chciał wpuścić do wagonu.

– Pociąg już rusza.

– Mam przydzielenie! – Felek odepchnął naczelnika stacji i przytrzymując na plecach swój kawaleryjski, mały karabinek, skoczył na stopnie.

Pociąg ruszał ostrożnie, delikatnie, rzeczywiście jakby sunął po drodze nigdy nieprzewidzianego podstępu.

W korytarzach wagonu spali ordynansi. Wlokąc kradziony swój koc po ich głowach, Felek odepchnął jakieś drzwi przedziału, zamknął je i – bezpieczny przed pogonią naczelnika – wymacawszy, że na siedzeniach śpią jacyś oficerowie, położył się w środku, na podłodze przedziału.

Ledwo zdążył pomyśleć o swym komendancie, gdy sen go zdjął głęboki.

Dzień już był. Pociąg wciąż ostrożnie sunął wśród uśniętych, bladych pól.

Felek obudził się, czując na sobie czyjeś mocne spojrzenie. Gdy otwarł oczy, ujrzał nad sobą siwą głowę, czerwoną twarz, złoty kołnierz i wyciągnięte ręce.

Jenerał! – Felek poznał po kołnierzu.

Jenerał chylił się nad nim i coś po niemiecku głośno krzycząc, rozpytywał.

Tedy zerwał się Felek, na „baczność” obcasami stuknął i głośno, surowo całą swą historię zameldował.

Na to obudził się drugi jenerał i powstało jeszcze większe zamieszanie. Zawołali innych oficerów, bo nikt nie mógł Felka zrozumieć. Jasno się zrobiło w przedziale od złota, gwiazdek i błyszczących guzików. Nareszcie dogadali się dzięki porucznikowi od ułanów, Polakowi.

Pochwalili Felka, dostał cukierków, śniadanie, jakąś kartkę, a co najważniejsze, dowiedział się, że ranni nasi zapewne wysłani zostali do x.

Jakim cudem, pożegnawszy uprzejmie sztab, dostał się tam Felek po całym tygodniu, tego nikt by prócz niego nie zrozumiał.

Cudem prostoty i śmiałości. Bez marszruty, z kartką wystawioną w polu na ranę komendanta, kłócąc się, podłażąc pod balaski stacyjne, kręcąc się między wagonami, jechał coraz dalej, zmartwiony śmiertelnie i niemożliwie najedzony, bo nie omijał ani jednej okazji, gdzie były siostry dyżurne z kiełbaskami i herbatą.

Kartę na ranę komendanta uważał za glejt, który mu musi otworzyć wszystkie drzwi, ułatwić wszystkie przejścia, zapchane więznącymi we wszystkich drzwiach żołnierzami. Gdy chciano mu odebrać karabin albo prowadzić do spisywania protokołu, pokazywał tę kartkę i nawet nie czekając, jaki wywrze skutek, zawracał na pięcie.

W x... miał o tyle ułatwione wszystko, że nikt go tu nie rozumiał, ale też i on nikogo rozumieć nie mógł, a więc i nie potrzebował.

Rozpoczął wędrówkę po szpitalach na własną rękę, długimi, nieznanymi ulicami, pierwszy raz w życiu patrząc na ulizany bruk wielkiego miasta i jego wydęte budowle. Obrażało tu Felka wszystko do głębi: i ruch, i hałas, i piękne sklepy. Szedł od szpitala do szpitala, nie słuchając nawoływań, obojętny na słodką łaskę sióstr miłosierdzia, powodowany trafnym, chłopskim węchem. Brudny, obłocony jeszcze z bitwy, w podkutych butach, z karabinem, który wadził o wszystkie progi, pchał się Felek od kancelarii do kancelarii – bezskutecznie.

To tu, to tu... – mówiło mu przeczucie i spocony, zziajany, robiąc łokciami, pchał się naprzód – lecz znów nie tu... Tu, tu na pewno... Felek zawadził o dwóch żołnierzy, ale nie potrzebował z nimi gadać, bo sam był żołnierzem.

Zaraz zobaczy wśród pokotu zharatanych ludzi srogą, kochaną twarz, którą raz pierwszy ujrzał przy dróg skrzyżowaniu pod lasem, swego komendanta...

Jeśli się zbłaźnisz, my wszyscy... Legion!

Oni wszyscy – Legion!

Opowie mu zaraz koniec bitwy, bo przecie komendant nie wie, jak się skończyło! – Z radością, z dumą, jakby mu niósł wszystek kurz, wszystką krew walki, szedł na salę.

Zawróciły go siostry, zdybał doktor. Znów się zaczęły pertraktacje. Felek pokazał kartkę na ranę komendanta.

Doktor przyjrzał się jej uważnie, ruszył skórą na czaszce i uszami, oddał ją młodszemu – a światło elektryczne błyszczało na białych ścianach jak miód – młodszy poszukał w książkach, kiwnął głową i oddał kartkę powoli Felkowi.

Felek zdrętwiał. Jeszcze mówiono do niego i poznał nagle po głosie gładkim i równym, który żołnierze rozumieją tylko...

Że z głosu tego wykreślone jest życie... Jak wtedy pierwszy raz w miasteczku przed swoim komendantem, stał teraz wyprężony przed śmiercią jego... Spod powiek Felka, przybitych ciężarem wiadomości, płynęły ogromne łzy.

Wydziwiali nad nim, głaskali po głowie, dziwili się, że taki mały, polski legionista aż tu zajechał. Zjadł z nimi wspaniały obiad, chcieli zatrzymać w mieście i w szpitalu, ale on nie chciał, tylko chciał wrócić do pułku, a przedtem być na cmentarzu.

Zawieźli go tam dorożką.

Gdy się znalazł na tym grobie i gdy już, żeby siostra nie myślała, udał, że napis odczytał – zadumał się i zdziwił ogromnie rzeczy jakiejś nieznanej a wielkiej. W końcu ręce obie oparł na tej ziemi z myślą, że komendant je czuje... Potem zdjął z czapki białego orzełka i wsadził go w ziemię, tam, gdzie powinna być głowa, aby na tym orzełku leżała...

Dlaczego wracał do pułku? Już nie dlatego, żeby się bić, i nie dlatego, by być ordynansem, bo komuż?... A tylko tak, jak się wraca do pułku, bo żyć bez niego nie można i tam się tylko być musi, a już nigdzie indziej nie – tylko tam...

Właśnie gdy przybył z powrotem, pułk ruszał naprzód. Orkiestra grała na drodze, mieszkańcy żegnali szeregi na chodnikach, a wojsko szło na wiatr, w dal...

Czasem tylko żołnierz w pożegnaniu rękę za siebie do dziewczyny wyciągnął, jakby ją chciał razem z jej domem, ciepłem i miasteczkiem ze sobą wziąć w te pola śnieżne i miejsca nieznane...

Łażąc od szeregu do szeregu, przekonał się Felek, że wszyscy już o nim wiedzą, jak pojechał za swoim komendantem. Było mu wszystko jedno i żal jeszcze większy, że znów idą krokiem równym, zgodnym, z przymrużonymi oczyma i z otwartymi od śpiewu ustami:

Na bok wisielcy,
Bo idą strzelcy,

Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Stał samotny, jak ta figura przy drodze rozstajnej, bolejący, bezradny i nieruchomy.

Oddziały przeszły, nie miał się gdzie zameldować. Dopiero za kolumną w plebanii zobaczył, że luzuje się jakaś warta. Pójdzie się zameldować komu bądź i niech robią, co chcą.

Wszedł do pokoju i ledwie zdążył trzasnąć piętami na „baczność", gdy cały zesztywniał z osłupienia.

Naprzeciw niego, oko w oko, siedział komendant Piłsudski z wąsem, jak srogi wujek, z oczyma, w które nie śmiał Felek spojrzeć, takie były niebieskie i mądre.

Reszta oficerów pakowała jakieś papiery.

– A co? – spytał sam Piłsudski.

W Felku zamarło wszystko.

– Melduję posłusznie, że mój komendant został ranny, a potem go zgubiłem i umarł.

– A któż gubi swego komendanta?

Felek patrzył na brygadiera, jak siedzi z łaskawie opuszczonymi rękoma, zafrasowany, groźny i dobry.

– Kiedyście wrócili?

– Dziś rano.

– Czy meldowaliście się w waszym batalionie?

– Nie...

Krzaczaste brwi Piłsudskiego ściągnęły się i wzrok stał się twardy, jakby uderzyć chciał.

– A cóż wy jesteście za żołnierz? – Wtedy uprzytomniły się Felkowi słowa umarłego komendanta:

Oni wszyscy... Legion!...

Stanął w płomieniach żarliwego wstydu...

– Więc czegoż ode mnie chcecie?...

Huknął w obcasy – podług rozkazu – zakwilił ostrym dyszkantem i gdy brygadier krył pod wąsem uśmiech pięknego zakłopotania, Felek pędził za kolumną, do batalionu, przejęty wielkim gorącem ważnej, świeżo zrozumianej Służby...

Janusz Kaden-Bandrowski, *Piłsudczycy*,
Białystok: KAW, 1990, s. 93–107

1920

Stefan Żeromski (1864–1925)

Nie zostawiać suchej nitki

Prawdopodobnie fakt, iż był pisarzem wpływowym i poczytnym (opublikował już *Ludzi bezdomnych*, *Popioły*, *Wierną rzekę*), spowodował, że w maju 1920 roku zaangażował się w akcję propagandową przed plebiscytem na Warmii, Mazurach i Powiślu. Traktat wersalski z 1919 roku zobowiązywał rząd polski do przeprowadzenia głosowania, w którym mieszkańcy rozstrzygną, czy chcą, aby tereny te przyłączono do Polski, czy też do Prus. Nad przebiegiem plebiscytu miała czuwać Liga Narodów.

Stefan Żeromski razem z poetą Janem Kasprowiczem i profesorem Władysławem Kozickim, historykiem sztuki z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pojechali do Grudziądza, Iławy, Kwidzyna, Malborka, Prabut, Sztumu, Suszu i kilku innych miejscowości, by przekonywać do głosowania za Polską i wzmacniać patriotycznego ducha w tych, którzy czuli się Polakami. Terror w stosunku Polaków przed plebiscytem przyjął niespotykane rozmiary. Adam Wisłocki w reportażu dla „Tygodnika Ilustrowanego" *Gwałty niemieckie na Mazurach i Warmii* opisał atak na grupę polskich artystów, która przyjechała do Domu Polskiego w Biskupcu. Na rynku zebrał się dwutysięczny tłum. Kiedy koncert się zaczął, na scenę wtargnęły „masy Niemców uzbrojone w kije, żelazne pręty, noże i rewolwery oraz granaty ręczne". Oficer francuski, przedstawiciel Komisji Międzyalianckiej, z dwoma żołnierzami usiłował zaprowadzić porządek, ale napastnicy ogłosili, że jeśli wszyscy Polacy nie opuszczą sali, obrzucą tłum granatami.

> Artyści z oficerem francuskim i księdzem Ludwiczakiem na czele poczęli opuszczać salę, schodząc po schodach pierwszego piętra. Na schodach tych Niemcy utworzyli szpaler, gdzie bito wychodzących kijami, gumowymi wężami oraz żelaznymi prętami, przeważnie w głowę. Gdy zbici i zmaltretowani w ten sposób dostali się na werandę [...] rozbestwiony tłum rzucił się z kijami, kamieniami i nożami, i posypały się strzały rewolwerowe, i po rynku oraz przyległych ulicach rozpoczęła się dzika pogoń i znęcanie się przede wszystkim nad kobietami. Obalone na ziemię bito i kopano w piersi, deptano i tłuczono po głowie kolbami od rewolwerów, wydzierano pasmami włosy, zdzierano z rąk pierścionki. Ciężko ranne są panie: Teodora Rapacka, Zofia Hartmann oraz Aleksandra Weissowa, którą jako zabitą pozostawiono na rynku.

> Przeszło trzy godziny znęcał się tłum w ten sposób. W końcu zupełnie nieprzytomne i zlane krwią ofiary zostały wniesione do hotelu Bischofsburgerhof, gdzie mieści się Dom Polski oraz ekspozytura Komitetu Warmińskiego.
>
> Pod pretekstem poszukiwania ukrytych tamże Polaków wtargnięto do lokalu, który zupełnie zdemolowano, skradziono wszelką garderobę i bieliznę, rozbito szafy i kufry i przy tej sposobności zabrano 43000 marek, będących własnością komitetu. Członka tegoż komitetu, pana Jabłończyka, pocięto nożami (stan beznadziejny, przebita wątroba). [...] Ksiądz Ludwiczak ocalał cudem, ukrywając się w chlewie, skąd wyszedł dopiero o dziesiątej wieczorem w przebraniu i piechotą udał się do Olsztyna (45 km).

Dalej reporter opowiada, jak przedstawiciel aliantów, kapitan francuski, widząc, że jest sam i nie poradzi sobie z sytuacją, usiłował telefonicznie zaalarmować zwierzchników w Olsztynie, ale nie uzyskał połączenia, bo poczta pozostawała wciąż pod nadzorem niemieckim. Cel został osiągnięty, stwierdza reporter, zespół aktorsko-muzyczny, szerzący na Warmii żywe słowo polskie, niezdolny jest do dalszej pracy.

Dlatego też miejscowe gazety informowały o przybyciu znanych Polaków („Do Olsztyna przyjeżdżają z Kwidzyna Żeromski i Kasprowicz, by przekonać się naocznie o walkach i cierpieniach ludu polskiego na Warmii i Mazurach", 29.05.1920), drukowały wywiady z nimi oraz ich odezwy do mieszkańców.

Stefan Żeromski z tej podróży napisał reportaż *Iława–Kwidzyn–Malbork*, określany przez jego biografistę jako „literackie sprawozdanie wyniesione z owej osobliwej wędrówki". Wydrukowała go w czerwcu 1920 roku „Rzeczpospolita".

Jeszcze tego samego roku materiał ukazał się w broszurze z publicystyką Żeromskiego *Inter arma*. Znalazł się tam także inny jego tekst na poły reporterski, później sławny dlatego, że nie mógł ukazać się w PRL-u i wydano go tylko w wydawnictwach podziemnych lub emigracyjnych – *Na probostwie w Wyszkowie*.

To relacja z podróży połączona z refleksjami o narodzie. W sierpniu 1920 roku w towarzystwie kilku publicystów Żeromski jedzie na tereny, z których polskie wojsko wyparło Armię Czerwoną. Trafiają do parafii księdza Mieczkowskiego w Wyszkowie, gdzie akurat zastają generała Hallera i pewnego francuskiego ambasadora. Ksiądz częstuje przemokniętych gości herbatą i podaje niedostępny powszechnie cukier w kostkach. Do tego w cukiernicy, „która jak ziszczenie pięknego marzenia z ręki do ręki krążyć poczęła, oczy nasze

ujrzały na jawie cukier kostkowy w najlepszym gatunku i pokaźnej obfitości kawałków".

Okazuje się, że niedawno na plebani gościło trzech mężczyzn, którzy na tyłach Armii Czerwonej przedostawali się do Polski, żeby po zwycięstwie Rosjan stworzyć w Warszawie rząd bolszewicki. Byli to Julian Marchlewski, Feliks Kohn i Feliks Dzierżyński. Ksiądz informuje, że to cukier pana Marchlewskiego, „zostawiony przezeń w popłochu ucieczki". „O śmieszności rzeczy wysokich, gdy nie mogą ustać własną swoją przyrodzoną potęgą!" – komentuje Żeromski i negatywnie charakteryzuje całą trójkę. Pisze, że cieszy się, iż nigdy nie widział twarzy Dzierżyńskiego ani nie dotykał „ręki krwią obmazanej po łokieć". Co więcej, „wyznaję, iż imię to i nazwisko, wymówione w mej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsji".

Pisarz nie pozostawia suchej nitki na uzurpujących sobie prawo do przywództwa nad przyszłą bolszewicką Polską:

> W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili. Na ich sumieniu leżą zgwałcenia przez dzicz sołdacką naszych dziewcząt i kobiet. [...] Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że jak niegdyś carscy komisarze, tak obecnie sowieccy komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi [...]. Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszonej, ściągnęło na tego ducha batog bolszewicki.

Jak widać, nie pozostawia też suchej nitki na Polakach, większa część tekstu to krytyka wszystkich, którzy mają wpływ na zarządzanie młodym państwem.

Wracając do plebiscytu, na nic się zdała jego praca propagatora. Z powodu karygodnych zaniedbań rządu oraz ogromnej przewagi i nieczystych zagrań strony pruskiej, łącznie z meldowaniem w ostatniej chwili tysięcy Niemców spoza Prus, w Iławie za Polską opowiedziało się pięć procent mieszkańców, w Malborku – dwa i pół procent, w Kwidzyniu – niecałe dwa procent. W powiecie sztumskim, o którym Żeromski napisał, że mieszka w nim sześćdziesiąt dwa procent Polaków, za przyłączeniem do Polski zagłosowało dwadzieścia sześć procent.

Iława–Kwidzyn–Malbork

I

Pociąg warszawski, przesuwany w Tczewie, na granicy Gdańska i Polski, z szyn na szyny kolejowe[1], cofając się dla znalezienia swego miejsca, wjeżdża na most żelazny, jedno z potężnych dzieł ludzkich, ujarzmiających wspaniałe Wisły łożysko. Głęboka noc zwisa nad urodzajną ziemią – nad ową „Danziger Niederung"[2], zamkniętą w delcie Wisły i Nogatu. Niejasne kształty wież miasta, zarysy wyniosłych budowli, światła dalekie majaczeją wśród wątłej mgły nadrzecznej. Odblask pełni księżyca pada na powierzchnię rzeki i ukazuje ją całą na dalekiej przestrzeni. Bujne strumienie środkowego wartu pienią się, uderzając o granitową przeszkodę, banie i kłęby wodne wykwitają nisko, nisko między potężnymi słupami. Przenikliwe światło sięga aż do samego dna żywej wody. Z tego to dna pomyka w górę i wytryska na powierzchnię krąg wodny za kręgiem, fala pienista za falą, strumień srebrny za strumieniem i śmieje się do oczu, mówi do serca niewiadomą, tajemniczą swą mową: „To ja tu jestem, to ja tutaj w głębi wód płynę, twoja własna woda, woda miłości twojej, twoja wierna rzeka. Z jodłowej puszczy się niosę, ze świętego gaju dzieciństwa twego…". Tczew! Już raz przed laty zdobywałem był to miasto, idąc w marzeniu – „Na Gdańsk! Ku morzu!" – w ślad za orężnym czynem i wiekopomną sławą Jana Henryka Dąbrowskiego. Teraz mam możność wysławienia rekuperacji tego miasta po wtóre, zdobycia już trwałego i na wieki, sprawiedliwej odnowy prawa na tych ziemiach polskich odwiecznie. Parę miesięcy liczy sobie era przejęcia Tczewa przez Polskę – a jakże zmieniło się oblicze miasta! Na urzędach, rogach ulic, sklepach i instytucjach napisy polskie, aż do najodleglejszego przedmieścia. Ludzie wszędzie mówią po polsku w tym zawzięcie niemieckim mieście Dirschau…

Podobnej metamorfozie uległ Grudziądz, twierdza militarna i niedawno jeszcze twierdza niemieckiego nad polskością ucisku! Gdy się przemierza place, ulice, zaułki i ogląda piękne zabytki tego grodu, można podziwiać mistrzostwo w sztuce tępienia śladów polskiej pracy, życia i przeszłości, zaciekłość pasji zacierania jakiegokolwiek wspomnienia o kulturze, skazanej na zadeptanie i zagładę. Oto pierwsza pamiątka z brzegu: pomnik na zewnętrznej ścianie starożytnego kościoła. Postać nadgrobna w polskich szatach, z buławą

[1] To jest z szyn szerszych, układanych w Imperium Rosyjskim i w Królestwie Polskim, na węższe, tzw. standardowe.

[2] Danziger Niederung – Gdańskie Niziny, dawny powiat Królestwa Prus w rejencji gdańskiej ze stolicą w Gdańsku. Na podstawie traktatu wersalskiego w całości przyłączony do Wolnego Miasta Gdańsk.

czy buzdyganem w ręku – pozostawiona, lecz napis pospołu z marmurową tablicą wyrwany i usunięty.

Nazwiska polskie nade drzwiami sklepów przeważnie polskie, lecz zniekształcone, przystosowane do niemieckiego brzmienia i zaopatrzone w czysto niemieckie imiona chrzestne, aby snać pańskiego ucha nie raziły i – ażeby nie było najlżejszego złudzenia lub wątpliwości o prawomyślnej adhezji[3] kupca lub przemysłowca do szczepu panów.

A oto teraz w ciągu niewielu tygodni jakaś siła, jakaś niezłomna, niewidziana na tych obszarach potęga, coś jakby tajemnicza ręka, zmazuje z szyldów nie tylko powykręcane kombinacje liter w nazwiskach, przywraca im brzmienie oraz imiona polskie, ale nadto same tytuły handlu podaje w dokładnym polskim tłumaczeniu, nieraz zabawnie przenicowując niemiecki sens na polskie. Tam tedy wabi przechodnia „Hotel dworcowy", gdzie indziej „Restauracja do beczułki" (*Restaurant zum Tönnchen*) itp.

Ukazują się już także zakłady, sklepy, przedsiębiorstwa i przemysły nowe, świeżo założone. Na każdym kroku uderza oczy: „ulica Trzeciego Maja", ulica „Tadeusza Kościuszki" itp. oraz hotel, księgarnia, piekarnia, cukiernia, restauracja warszawska. W dużym hotelu, który tam jeszcze niedawno był siedliskiem dyktatorów minionej wojny, gdy wybierali się na podbój świata z tego właśnie gmachu i układali plany przerzucania plemion ludzkich z miejsca na miejsce, ujarzmiania ludów i deptania narodów, dziś służba mówi poprawną polszczyzną, a menu restauracyjne układane jest tylko po polsku. Kiedy to miasto stanie się polskie do rdzenia i kiedy w każdym sklepie nie tylko szyld będzie polski, ale targ i mowa tylko po polsku brzmieć będą – na to trudno termin wyznaczyć. W każdym razie wnosząc z pięknego początku, ulegnie ono spolszczeniu w nadzwyczaj szybkim tempie. Ludność niemiecka przystosowuje się do obecnego stanu rzeczy. Kto zaś nie może pogodzić się z tym nowym stanem rzeczy, emigruje do Niemiec! Miejscowe pismo podaje spisy osób wyjeżdżających i wylicza wiele nazwisk o polskim brzmieniu, owych Willych i Trudy, dla których nie do zniesienia się wydaje powrót na łono wzgardzonej ojczyzny i przyznanie się do wzgardzonego niegdyś narodu.

W granicznej stacji Gardei żołnierz polski przepuścił automobil wiozący profesora doktora Jana Kasprowicza, doktora Władysława Kozickiego, radcę namiestnictwa we Lwowie, i niżej podpisanego oraz pana Morawskiego, urzędnika konsulatu generalnego w Kwidzynie, a przedstawiciel Sicherheitswehry[4] zrewidował nasze paszporty i pozwolił nam wtargnąć na teren plebiscytowy. Mijamy tedy osady niemieckie zabudowane, tudzież folwarki przypominające

[3] Adhezja – tu: przynależności.

[4] Sicherheitswehra – niemiecka policja plebiscytowa, jedna z organizacji paramilitarnych powołanych przez Niemców do nadzorowania terenów plebiscytowych.

fabryki kształtem swych obór, stajen i owczarni. Po godzinie drogi ukazuje się w oddali zamek krzyżacki i kościół w Kwidzynie.

Gdyby ktoś nie znał dziejów komturstwa w Marienwerder[5], nie wiedział wcale, w jakim celu wzniesione zostały te strome budowle z niezliczonej ilości cegieł, kształt narożnej wieży, kwadratowego stołpu i łukowaty, daleko wysunięty, wsparty na wysokich słupach dansker[6], to ta dziwna forteca, odpychająca swym ponurym kształtem, wyjawiłaby mu sama dokładną powieść o pobożnych ujarzmicielach. Kolosalne murowane nogi zamczyska, wychodzące z kompleksu murów kościoła, twierdza czyhająca na ślepych i nagich murach, na olbrzymich zrudziałych i zzieleniałych skarpach, cały ten murowany rynsztunek zbója zdaje się przyklękać do skoku na daleką, płaską ziemię Powiśla, czyhać do wypadu i niepowstrzymanego marszu poprzez rzeczki i lasy, pola i łęgi dla przekroczenia w bród Wisły, którą widać w oddali, wijącą się w kępach drzew olbrzymich. Setki tysięcy zaiste słowiańskich chłopów, Pomorzan i Kociewia wypalały te cegły na rozkaz swych panów, dla swych rozkazodawców i władców, dla wielkich mistrzów i komturów; nosiły je pod batem i kijem z miejsca na miejsce na podniebne rusztowania, ażeby na siebie samych i na swych braci wznosić wśród lasów Pomezanii[7] tę niezdobytą katownię, ażeby z czasem ulec na wieki pod przemocą i na rozkaz panów w obcy dla samych siebie naród się zamienić. Z wąskich okienek podobnych do strzelnic oczy konkwistadorów Wschodu, wychodźców z całego świata, bywalców i znawców wszelkich przysmaków Południa, oczy nienasycone w łupiestwie, tyranii i zdzierstwie, wypatrywały wszelką siłę, wszelką własność i wszelkie dobro. Zanim się stali „panami nad Prusy", ile przeszło czasów ciemięstwa i walki – świadczy wysokość, szczytność i strzelistość oraz głębokość jaskiń podziemnych zamku w Kwidzynie. Nie ma w tych murach nic z piękna, poezji czasów minionych, snu wieków w szczerbach poniechanych budowli przez nowoczesnego człowieka. Przeciwnie – wszystko to jest wyrestaurowane, podparte, oczyszczone i żywo tyrańskie. Dawna obłuda i ciemięstwo świeci się tu i błyszczy wciąż jeszcze. Jeden z najgenialniejszych ludzi na świecie, zaszczyt i chwała plemienia człowieczego na ziemi, Mikołaj Kopernik, tych stron syn i znawca stosunków, zwał rycerzy *„des Deutschen Ordens"*[8] *– latrones, praedones et homines scelerati*[9]. To słowo genialnego Polaka należałoby wyryć na krzyżackim murze w Kwidzynie. Miasto rozpostarte dookoła zamczyska i kościoła nosi dziś charakter czysto niemiecki. Ani jednego napisu polskiego – z wyjątkiem kartek ogłoszenia komisji plebiscytowej o mającym się dokonać porządku głosowania, które dwujęzyczne mają brzmienie.

[5] Marienwerder – niemiecka nazwa Kwidzyna.

[6] Dansker – wykusz lub baszta wysunięta przed linię murów i połączona krytym mostem z zamkiem.

[7] Pomezania – nazwa jednej z prowincji staropruskich, położonej nad Wisłą i Nogatem, w latach 1235–1236 podbita przez Krzyżaków.

[8] *Des Deutschen Ordens* (niem.) – zakonu krzyżackiego.

[9] *Latrones, praedones et homines scelerati* (łac.) – rabusiami, rozbójnikami i zbrodniarzami.

Każda prywatna rozmowa, prowadzona na ulicy po polsku, wywołuje odruch spojrzenia, które, gdyby tylko mogło, gotowe by bliźniego w łyżce wody utopić – budzi pomruki, bełkoty, szepty i ściska twarde kułaki niemieckich przechodniów. Jest to miłe miasteczko, gdzie ludzie czują przynajmniej, kim są, i zdają sobie sprawę z tego, do jakiej należą parafii.

Wybuchy zbyt żywych niemieckich afektów tamują do pewnego stopnia pióropusze włoskich bersalierów[10], uwijające się raz wraz po mieście, zabawne sprawiając wrażenie w tym krzyżackim gnieździe. Można by doprawdy przypuścić, iż jest tajemne powinowactwo między tymi zjawiskami: niegdyś tutaj, do Kwidzyna, z Wenecji, przywędrowali późniejsi „*Herren in Preussen*"[11]. Obecnie dawni ich włoscy gościnni padronowie przybyli, ażeby popatrzeć, jak się też w ciągu wieków zagospodarowali na nowej siedzibie ich cisi i bogobojni lokatorowie. Nie zawsze spokojnie kończą się te oględziny. Czasem noże i pałki migają dookoła kogucich pióropuszów i czerwonych fezów z sutymi chwastami. *Signore* Pavia, prezes komisji plebiscytowej, zza okien gmachu landratury[12], z wyniosłych sal, ozdobionych konterfektami wszelakich Wilhelmów i Bismarcków, spokojnie przysłuchuje się co dzień muzyce batalionu bersalierów i przypatruje ich oryginalnemu powrotowi do koszar, jakby się rzecz odbywała w Bergamo lub Urbino, a on tu siedział sobie w roli podesty[13]. Upodobanie do włoskiej muzyki podziela z nim spory zastęp mieszkańców, a zwłaszcza mieszkanek cichego miasteczka.

W hoteliku Casino, wykupionym przez Polaków, w eleganckich pokojach restauracji, na dole gromadzi się co dzień, pożywia, rozprawia, wiecuje, spiskuje i pracuje wszystka polonia. Pełno tu gwaru polskiego, słychać wciąż język włoski i francuski. Służba mówi po polsku, a choćby kto tym językiem nie władał poprawnie i biegle, to skoro tamten próg przestępuje, pewnie jest Polakiem z ducha. Na to ognisko czynią od czasu do czasu napaści kawalerowie kwidzyńscy. Był wypadek, że jeden oficer francuski rozgromił bandę napastników.

Drugim ogniskiem polskim jest dom komitetu plebiscytowego z salą teatralną na dole oraz z biurami sekcji centralnej, propagandy, oświatowej, finansowej, aprowizacyjnej, statystycznej, prasowej i dobroczynnej. Trzecim ogniskiem polskim jest konsulat generalny, mający na swym czele hrabiego Jana Sierakowskiego z Waplewa. Roztasowawszy się w hotelu Casino, wpadliśmy od razu w wir spraw plebiscytowych, w koło zatargów z prezesem Pavią, protestów, listów, odwołań i potwierdzeń, wynikłych na tle zbrojnego zamachu Niemców na pochód narodowy, co miało miejsce na tydzień przed naszym przybyciem. Zaraz w dniu następnym złożyliśmy wizytę naszemu

[10] Bersalierzy – lekka piechota włoska, strzelcy. Stacjonowali na terenie plebiscytowym w ramach wsparcia wojsk rozjemczych.

[11] *Herren in Preussen* (niem.) – panowie na Prusach.

[12] Landratura – zarząd powiatowy, jeden z odpowiedników starostwa powiatowego w niemieckich systemach podziału administracyjnego; siedziba landrata.

[13] Podesta – w niektórych średniowiecznych włoskich republikach miejskich najwyższy urzędnik o uprawnieniach sądowniczych i wojskowych. Mianowany (dla zachowania bezstronności) spośród obcych książąt i rycerzy, niezwiązanych z miejscowymi ugrupowaniami.

konsulowi generalnemu i szczegółowo zaznajomiliśmy się ze stanem rzeczy na terenie plebiscytowym, obejmującym kwidzyńskie, sztumskie, malborskie, suskie i iławskie po Olsztyn, dokąd sięga ingerencja kwidzyńskiego komitetu.

Tegoż dnia hrabia Sierakowski wprowadził nas na posiedzenie komitetu plebiscytowego. Kierownicy poszczególnych sekcji, byli łaskawi dać nam sumaryczne sprawozdania z wszelkich prac dotychczasowych, od zawiązania komitetu w Warszawie z inicjatywy mecenasa Osuchowskiego, aż do ostatnich faz pracy i walki. Żałować mi wypada, że nie mogę przedstawić tutaj całokształtu tej roboty. Nie należy jednak ujawniać jej cech charakterystycznych, gdyż ich przytoczenie mogłoby odsłonić wiele tajnych sprężyn działania przed oczyma nieprzyjaciół.

II

Bardzo ciekawie przedstawia się zespół ludzi pracujących w tym komitecie. Z odległych krańców kraju spotkali się tu ludzie charakteru i czynu. Ten z Poznańskiego, tamten z Galicji, ten z Ameryki, a tamten „ze świata", kupiec i ksiądz, posiadacz i biedak, dziennikarz i urzędnik tworzą tu sprawne biuro odkupicieli polskości. Atmosfera duchowa panująca w tym gronie działaczów przypomniała mi dawne sprawy spiskowe w Królestwie za czasów Hurki i Apuchtina[14]. Mówi się tam wciąż o czyhających szpiegach i zdrajcach, o wyrodkach i bohaterach, o duchach czystych i przebiegłej kanalii. Jak w tamtych zespołach nie brak i tutaj motywów komicznych, frazesów i fanfaronady. Ta tylko zachodzi różnica, że za owych dawnych lat było się w środowisku narodowym, w pełni życia polskiego, pod cudzoziemską pokrywą jedynie. Na terenie plebiscytowym to życie bojowe musi sobie torować drogę w świecie wrogim i przemożnym, zaopatrzonym we wszelkie środki, od materiałów bojowych do najdoskonalszych urządzeń szkolnych.

Dopiero w tym czasie pozwolono w Olsztyńskiem zakładać szkółki prywatne, a więc sekcja oświatowa komitetu tworzy szkółki, wynajmuje w Malborskim lokale na ochronki, otwiera w Sztumskim dziewięć ochronek, w Kwidzyńskim dwie, w Suskiem pięć, w sumie około pięćdziesięciu instytucji oświatowych wraz z czytelniami. Są to oczywiście zaledwie drobne początki. Księża niemieccy przeciwdziałają nawet takiej inicjatywie, jak zakładanie w polskich miejscowościach ochronek wiejskich. Na ogół stan współżycia z księżmi niemieckimi znacznie jest gorszy niż na Śląsku Górnym. W szkołach ludowych nauczyciele wyśmiewają się z polskości, z polskich obyczajów i języka. Toteż przełamywanie tych wszystkich przeszkód i budowanie własnych instytucji w dobie, gdy ludzie mają się decydować na plebiscyt,

[14] Iosif Hurko (1928–1901) – generał-gubernator warszawski. Aleksandr Apuchtin (1922–1904) – kurator warszawskiego okręgu szkolnego, obaj zaciekli rusyfikatorzy.

na wyrzeczenie się kultury zasobnej we wszystko, uposażonej i operującej wyszkolonymi ludźmi, a na przechylenie się ku nieznanej, dalekiej i ubogiej Polsce, jest pracą syzyfową, zarazem spóźnioną i przedwczesną. Sam plebiscyt tutaj, w tych potwornych warunkach, jest pomysłem niesprawiedliwym i urągającym wszelkiej prawdzie.

Prezesem komitetu jest poseł ksiądz Ludwiczak, w którego mocnej ręce inicjatywa całej pracy spoczywa. Jego sekretarzem jest energiczny profesor Dykier. Panowie Odrowski, Wilk, Chmielewski i inni dzielą między siebie te prace, na których wynik z takim niepokojem cała Polska spogląda. Jedną z najciekawszych postaci w tym światku polskim walczącym w Kwidzynie jest ksiądz Rudolf Nowowiejski, brat rodzony znakomitego muzyka, twórcy narodowej *Roty*; jest to bowiem człowiek tamtejszy, Warmiak urodzony. Wielorakie i rozległe wykształcenie, znajomość dziewięciu języków obcych aż do arabskiego, odbyte dalekie podróże, wrażliwość, bystrość, energia, śmiałość, a nade wszystko prostota i szczerość czynią z tego człowieka postać nadzwyczajnie zajmującą i sympatyczną. Na licznych wiecach ksiądz Nowowiejski staje do walki właśnie z księżmi niemieckimi, a podtrzymuje i roznieca ogień uczuć polskich w duszach nielicznych księży Polaków, kolegów swych i przyjaciół. Jako znawca nieporównany stosunków, ludzi, miejscowości, języka i obyczajów jest czynnikiem niezastąpionym w pracy komitetu. Dziś jest tutaj, jutro o setki kilometrów, nie doje i nie dośpi, wciąż w drodze i wśród ognia pracy. Jego mowy, apostrofy, wielojęzyczne wystąpienia do władz koalicyjnych cechuje oryginalność i trafność. Poezje łacińskie, niemieckie i polskie sypie jak z rękawa. Ściślejszą swą ojczyznę opiewa w strofach, których autograf, jako cenną pamiątkę, przechowuję w tym notatniku:

O, Warmio, kraju święty,
Warowny domie nasz,
Ach, jakże niepojęty,
Ty dla mnie urok masz!
Potężna w tobie siła,
Żywota wieczny zdrój,
O, Warmio moja miła,
O, drogi kraju mój!

Zaraz w dniu następnym złożyliśmy wizytę prezesowi komisji koalicyjnej, panu Pavii. Wymowny włoski polityk i prawnik w ciągu dobrych paru godzin przedstawiał nam historię miejscowych zatargów, udowodniając wszystko dokumentami, a wciąż zapewniając nas o swej nadzwyczajnej, niewzruszonej

sympatii dla Polski. Musieliśmy odczytać wszystkie polskie zażalenia i rekursy[15] oraz odpowiedzi na nie prezesa Pavii, brał nas bowiem za świadków czy sędziów poprawności swego stanowiska i lojalności w postępowaniu. W trakcie tej długotrwałej dysertacji nadszedł przedstawiciel Anglii w komisji plebiscytowej pan Beaumont, a wkrótce potem i przedstawiciel Francji hrabia de Cherizy. Obydwaj ci panowie zgadzali się na wywody prezesa Pavii, przyznali mu słuszność i pochwalili zarówno motywy, jak sposoby jego postępowania w odpowiedziach na zażalenia polskie. Jednakże pod tą zewnętrzną jednolitością poglądów i zgodnością powziętych decyzji dawała się wyczuć wewnętrzna różnica. Odnosiło się wrażenie, iż zawzięty, zimny i ironiczny pan Beaumont nie jest wcale przyjacielem naszej sprawy na tej ziemi plebiscytowej, a natomiast przedstawiciel Francji sprzyja nam bezwzględnie.

Nazajutrz, w pierwszym dniu Zielonych Świąt, miał się odbyć wiec ludowy w Kwidzynie w tymczasowym domu ludowym. Przypuszczać było można, iż to miasto tak z zewnątrz niemieckie zaledwie garsteczkę posiada Polaków. Tymczasem – wielka sala teatralna ledwie mogła ogarnąć tłum ludzi przeważnie ubogich, którzy się zgromadzili na wezwanie doraźne komitetu. Wrażenie wywołane przez ten wiec pozostanie na zawsze w mej pamięci jako jedno z najsilniejszych w życiu. Nigdy jeszcze nie widziałem w twarzach ludzkich takiego zdecydowania, kamiennej zawziętości, takiego męstwa i grozy, takiego ujawnienia się czujących i czuwających dusz w ciałach i obliczach jak tam właśnie. Byli to robotnicy, wyrobnicy, kolejarze, służba, niżsi urzędnicy pocztowi, półinteligencja, ludzie prości, drugorzędni. Gdy wielki poeta Jan Kasprowicz, sam syn ludu i sam ongi równie dobrze jak oni traktowany przez tychże gnębicieli, wypowiedział natchnioną a prostą mowę, wzywając, żeby wytrwali i czekali – gdy ich zapewniał, że nie jesteśmy już dziś jako stado owiec rozbite przez wilki, lecz że mamy już własne państwo, niezwyciężone wojsko i rząd narodowy, który czuwa i śledzi, który ma w pamięci każde zdarzenie, ma zapisaną każdą krzywdę, wie o każdej ranie i sińcu, o każdym policzku i zniewadze, patrzałem, sam zachwycony, na te twarze zastygłe w uniesieniu jakby w zachwycie. Oblicze pewnej wychudłej, starej kobiety w czerni, z rękoma obwiniętymi czarnymi splotami różańca, które się ku mówcy raz wraz ekstatycznie i nabożnie wznosiły – oczy zaszklone łzami dziękczynienia za tę wieść o wszechpotężnym mścicielu, polskim rządzie – unoszenie się całego ciała jakby na wyżynę z wielkiej wewnętrznej radości... Uśmiech na ustach świadczył o niebiańskim prawdziwie triumfie, o szczęściu duszy śniącej swój sen przy końcu życia ziemskiego, iż wysłuchane zostały długie, bezsilne modlitwy i skończone są wszelkie katusze. Pęka już ziemska, nieprzełamana

[15] Rekurs – odwołanie się do wyższej instancji sądowej.

moc nieprzyjaciół i tajemnicza, święta Polska nadchodzi, niosąc tablice zapisane, gdzie każda krzywda, każda zniewaga, każde potrącenie jest zapisane. A więc nienadaremna była wytrwałość w przechowywaniu wzgardzonej mowy, dobre było trzymanie się w beznadziejnym i wyśmiewanym uporze swojego polskiego słowa modlitwy i obyczaju...

Twarze tych wszystkich ludzi, którzy wsłuchiwali się w każdy wyraz, gdyż nie każdy wyraz był dla nich zapewne zrozumiały, wargi ich, szepcące po każdym zdaniu mówcy jakieś słowa, klątwy, przysięgi, skargi, okrzyki! Spojrzenia ich, gesty rąk, potakiwania i skinienia! Po znakomitym, agitacyjnym przemówieniu profesora Dykiera, który pouczał tych ludzi, jak mają się zachować w razie zaczepek i napaści: „Samym nie zaczepiać Niemców przenigdy, lecz w razie napaści bić w pysk na odlew!"– po wyjaśnieniu, co znaczy i jakie ma przyczyny spadek marki polskiej[16] itp., poczęli przemawiać oni sami. Niektórzy zaczynali mowę po polsku, a nie mogąc znaleźć odpowiednich wyrazów, wyrzucali ją ze siebie jednym tchem po niemiecku, uskarżając się i przedstawiając swe krzywdy. Pewna kobieta opowiadała, jak w kościele popychają ją, odtrącają, gdy się po polsku modli, inna wypominała swe biedy i prześladowania w służbie, poniewierki i wypędzanie za to, że z dziećmi mówi po polsku. Kilkakrotnie zabierał głos Bartkowiak, świeżo wypuszczony z więzienia przywódca demonstracji narodowej. Wreszcie przemówił robotnik, Kaszub z rodu. Była to prześliczna mowa. W prostym swoim wykładzie ten mówca zwracał się do zgromadzenia z zarzutem, czemu to ludzie nie kupują książek polskich, stawiał oskarżenie, czemu czytają świstki niemieckie, czemu nic nie wiedzą o Polsce, a słuchają wszelakich pogłosek i bajek. W samem brzmieniu słów jego uderzał ton pieściwy i miękki, złagodzenie, jakby zmatowanie szorstkości i twardzizny naszej mowy, coś jakby poświst odmienny wiatru morskiego, zaniesiony na szczyty i równiny. Niektórzy z mówców tego wiecu wypowiadali się jak najbardziej stanowczo przeciw komisji koalicyjnej i żądali ingerencji rządu polskiego na plebiscytowym terenie. Po wiecu dużo osób zgłaszać się poczęło z osobistymi skargami, z wyliczeniami krzywd i bied, zawierzywszy po prostu i naiwnie prawdomówności naszych przemówień, gołosłownych w gruncie rzeczy zapewnień, iż zaiste rząd polski o każdą krzywdę, ranę i siniec się upomni i za każdą zniewagę zażąda od ciemiężców zadosyćuczynienia.

W drugim dniu Zielonych Świątek miał się odbyć wiec narodowy w Iławie (Deutsch Eylau). Byliśmy przygotowani do wyjazdu w towarzystwie profesora Dykiera. Czekaliśmy tylko na samochód, który lada chwila miał z Iławy nadjechać. Tymczasem godzina upływała za godziną, termin wiecu minął, automobil się nie zjawiał. Okazało się później, że szofer wysłany po nas był

[16] Marka polska – jednostka monetarna obowiązująca od 1916 roku na terenach Królestwa Polskiego okupowanych przez Cesarstwo Niemieckie, a następnie do 1924 roku w Rzeczypospolitej Polskiej.

to Niemiec, który wskutek jakiejś urojonej przyczyny nie dojechał do Kwidzyna. Według relacji późniejszej jednego z miarodajnych czynników miejscowych, „samochód został stać na drodze" z winy szofera. Jakkolwiek tam było w rzeczywistości, my nie mogliśmy „być z Kwidzyna do Iławy wyjechani", gdzie zgromadzenie ludzi polskich daremnie na nas wyczekiwało.

III

Natomiast doskonale powiodła się wyprawa w innym kierunku – do Sztumu i Malborka. Korzystaliśmy tego dnia z towarzystwa i wskazówek prezesa komitetu plebiscytowego księdza Ludwiczaka. Toteż kiedy samochód mijał osiedla po drodze do Sztumu, byliśmy dokładnie uświadomieni, który dom jest polski, a który niemiecki, ile każdy zakład, cegielnia, folwark gburski czy latyfundium magnackie zatrudnia robotników polskich, gdzie już odbywały się zebrania i wiece, jaki gdzie jest nastrój i duch plebiscytowy, co ludzie mówią i jak się zapatrują. Osiedla polskie łatwo zresztą poznać – niestety! – po lichszych zazwyczaj budynkach, słomianej strzesze stodoły i – stokroć niestety – po bardziej brudnym obejściu. Jedno bowiem trzeba Niemcom bezwzględnie przyznać – to wytrwałość i niezłomny upór we wdrażaniu materialnej kultury. Ich drogi bite, wysadzone nieskończonymi alejami lipowymi, ich urządzenia przemysłowe, zabudowania, uprawa pól i kultura lasów czynią z tych krain Europę w najbardziej dodatnim znaczeniu tego wyrazu.

Nie zawsze oczywiście słomiana strzecha i zaniedbanie czystości obejścia znamionuje siedlisko Polaka. Niejednokrotnie doznaje się radosnego zdumienia na widok znakomitych gospodarstw i bezwzględnej czystości, zasobności, smaku, stosowanych przez polskiego właśnie mieszkańca tej strony.

Nie dojeżdżając do Sztumu, stolicy powiatu, zawierającego wysoki, bo sześćdziesięciotrzyprocentowy odsetek Polaków, zatrzymaliśmy się w Sztumskiej Wsi (Stuhmsdorf). Na prawo i na lewo od drogi stały murowane domki wśród falistych pól, rozchwianych od młodocianego, dorodnego zboża. Idąc od domu do domu, wszczynaliśmy rozmowę z mieszkańcami, którymi są sami Polacy. Mowa ich jest najzupełniej poprawna. Oto wyskoczyła zza progu na nasze spotkanie dziesięcioletnia Wilhelmina, zupełna z ruchów i barwy młoda sarenka. Włosy i przyodziewek jednakiej ma barwy, ni to glinki polnej na upale wyschniętej. Twarz, nogi i ręce zapiekłe od słońca czynią z niej, biednej sztumskiej plebiscytki, ideał niedościgły zdrowia, wzór dla wszystkich, jakie tam gdzie wegetują, dziewczynek świata, choćby o najbardziej zdecydowanej państwowości. Wilhelmina przestępuje z nogi na nogę, zaplata i rozplata drobne swe palce i nie może udźwignąć głowy, gdy ją tam mordujemy pytaniami

o te nasze zatracone sprawy: czy chodzi do szkoły, ile w szkole dzieci, jak uczą, po jakiemu gadają... Nie wie, biedactwo, że ona to właśnie jest tym skarbem naszego zjednoczonego narodu, którego wydać na zniemczenie nie możemy. I nie wydamy! Mocarstwa musiały walić się, trony w drzazgi druzgotać, moc piekła musiała pęknąć i runąć, ażeby „Wilhelmina" mogła się uczyć w tym „Stuhmsdorfie" po polsku. Lecz i teraz nie chodzi do szkoły, gdyż nauczyciel dręczy dzieci za ich polskość, wyśmiewa się, przedrwiwa, szydzi, przekręca i kpi sobie ze wszystkiego, co nie niemieckie. Odzyskawszy wreszcie głos ze ściśniętego gardła w obecności księdza Ludwiczaka, Wilhelmina spogląda nam w oczy prześlicznym bławatem swych wesołych źrenic i opowiada śmiało, co się w jej szkole dzieje. Relację córki potwierdza ojciec jej, reperujący wóz przed domem. Nie posyła dziecka do szkoły, gdyż nauczyciel dręczy dzieci w szkole za polskość. Do ochronki założonej przez panią hrabinę z Waplewa dziewczyna za stara. I tak oto lata przed domem, po drodze i po miedzach. (Co prawda każdy z nas robiłby na jej miejsce to samo, gdyby tak jeszcze raz mógł przeżyć szczęście jej radosnego dzieciństwa!) Lecz my, starzy nienawistnicy przemocy, musimy jednak zapędzić Wilhelminę do szkoły. Już ów pan nauczyciel przestanie dręczyć dzieci. „Nie damy ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy!". W Berlinie zwalony został tron i skruszone pono berło nocy. Na zamku cesarskim powiewa pono sztandar rzeczypospolitej. Socjalistyczne zasady wolności, sprawiedliwości, braterstwa, wyzwolenia ze wszelkiego ucisku stanęły pono na miejscu siły przed prawem. Lecz nauczyciel pruski, tak samo jak za czasów Bismarcka i innych tam tyranów, znęca się nad dziećmi we wsi czysto polskiej. Na papierze istnieje prawo, iż wolno nawet w państwowej szkole uczyć się po polsku w ciągu kilku godzin tygodniowo, lecz w rzeczywistości panuje to samo władztwo narodu nad narodem i przemoc zorganizowanego państwa nad bezbronnym ludem. Zewnętrzne rządy reakcji zostały niby to zwalone, lecz rząd wewnętrzny małych łotrów, szczurów reakcji, siedzących we wszystkie norach i szczelinach życia, po dawnemu nad tym życiem króluje.

W mieście Sztumie niemal wszystkie nazwiska kupieckie na szyldach mają czysto polskie brzmienie lub polskie za zniekształceniem niemieckim. Każde dziecko, któreśmy zaczepili, odpowiadało najlepszą polszczyzną. Zwiedziwszy dom nowo założonej ochronki polskiej, ruszamy dalej, gdyż na razie nie Sztum jest celem naszej wycieczki, lecz Malbork. Zdążamy tedy szosą na północ, wyminąwszy po drodze wspaniale pobudowane koszary tuż za miastem. Ktoś z nas, patrząc na owe koszary, czyni uwagę, iż przecie nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Takie koszary nie są do pogardzenia...

– Ba! Gdyby była dobra wola... – dorzuca ktoś drugi.

Falista okolica przesuwa się szybko przed oczyma. Mieszkania ludzkie na prawo i lewo od bitej drogi mają dla nas na razie o tyle znaczenie, o ile mieszczą w sobie ludność polską. Praca oświatowa na tym malborskim już terenie ogranicza się do wynajęcia trzynastu lokali na ochronki wiejskie. A plebiscyt za parę tygodni!

W oddali na pewnym wzniesieniu ukazują się szeroko i daleko nad całą okolicą panujące strzeliste wieże i masy jaskrawie czerwonych budowań. To Malbork. Wkrótce samochód mija przedmieście, gdzie na szyldach widnieją nazwiska o brzmieniu słowiańskim, przeciska się przez wąską, starożytną bramę i wbiega na ulicę szeroką, podcieniami z obu stron zabudowaną, gdzie za lśniącymi witrynami mieszczą się sklepy i składy najzupełniej berlińskie. Uderza oczy stary ratusz z XIV wieku, lecz wszystkie spojrzenia skupiają na sobie olbrzymie strome mury i wieżyce. Wreszcie ukazuje się i sam sławetny obraz Matki Boskiej na zewnętrznym murze prezbiterium kościoła, figura olbrzymiej wielkości. Nie mam tu miejsca na opis gniazda Krzyżaków. Po zwiedzeniu go zostaje wrażenie nudy i pustki. Nie ma tam ani jednego dzieła sztuki, a to, co zostało wskrzeszone z ruiny zamczyska, z ruiny, w którą je pogrążył wandalizm Fryderyka II, zostało odrestaurowane na życzenie Wilhelma II z taką starannością, że jest pomnikiem nie tyle kultury, obyczajów i czasu Krzyżaków, ile monumentem manii wielkości i krzyżackich gustów ekscesarza. Cały ów zamek i znaczna większość dawnej twierdzy ma nowe czerwone lub zielone dachy, nowe podmurowania i łuki przyporne, zaopatrzony jest w chodniczki, opatrzony drzewkami, wyszorowany, wymieciony, wyświechtany i wypucowany z pruską dokładnością, jak stary szyszak, który by się chciało wsadzić sobie na głowę. Wiekowa zbójecka czatownia na Litwiny, Prusy i Słowiany, która w ruinie taiła w sobie z pewnością dziką poezję dzikich rycerzy z nad Nogatu, dziś daleko bardziej niż zamek w Kwidzynie jest jak gdyby przechowywaną w wacie i dydaktycznie wydobywaną na pokaz z zamczystego pudełka. „Cokolwieczek zanadto tu jest czysto" – jakby powiedział rosyjski pisarz Szczedryn. Wskutek owego wymycia, wyszorowania i jakby wyczesania starego zamczyska od głębin przepaścistych fos pod zwodzonym mostem aż do szczytu „Marienburskiej wieży" jest ono symbolem dzisiejszej pruskiej duszy, jej łapczywości na cudze dobro i nienasyconego apetytu na cudzą duszę. Balk, Ulrich von Jungingen, krwiożerczy komtur Henryk von Plauen i tylu innych „*in der Kutte und im Rittermantel Qawartiermejster Gottes*"[17] na ziemiach nadwiślańskich są tylko jak gdyby herbem na chorągwi bojowej. Toteż rozmaici wschodniopruscy poeci opiewają swoje

[17] *In der Kutte und im Rittermantel...* (niem.) – w habicie i rycerskim płaszczu bożych kwatermistrzów.

własne uczucia, pisząc hymny na cześć starego zamczyska – jak, uczciwszy uszy, Bruno Pompecki:

So leuchte du ewig vom Nogatstrand,
Weit hinaus in das alte Ordensland!
Steh fest auf der Wacht, du wuchtiger Bau,
Dass „deutsch" stets verbleibe der Weichselgau.

Lieder eines Westpreussen, Stuttgart 1905[18]

Oczyszczając stare gruzy, nowocześni Krzyżacy wymietli oczywiście wszelkie wspomnienie o Polsce, która przecie przez kilkaset lat była w tym zamczysku u siebie, a jego zbójeckiego wnętrza używała na pożyteczny „generał", sejmik ziem warmijskich pod przewodem warmijskiego biskupa. Jedyną pamiątką po Polsce jest w jednej z dolnych sal oblężnicza kula z epoki Grunwaldu, tkwiąca w ścianie nad kominem. W górnej sypialni przemawia o Polsce umieszczona w marmurze alokucja[19] ekscesarza Wilhelma II, zapowiadająca wytępienie polskim strzechom Pomezanii, Warmii i Pomorza. Kustosz, oprowadzający nas po zamku i tytułujący na początku wizytacji ekscesarza Niemiec z nabożnym wywracaniem oczu „*Seine Kaiserliche Majestat*"[20], ujrzawszy nasze skromne podpisy w księdze gości, już nam marmurowej tablicy nie wskazywał. Przeczytaliśmy ją sobie sami w skupieniu ducha. Ta mowa zuchwała, umieszczona w marmurze i tkwiąca na ścianie dumnego zamku w Malborku, dziś, po wszystkich perypetiach i wyniku wielkiej wojny, nasuwa na myśl przysłowie zapisane przez cichego polskiego pracownika Grzegorza Knapskiego w jego genialnej, wiekopomnej książce pt. *Adagia*, prawdziwie stokroć bardziej wiekopomnej, niż ten malborski zamek: „W zgromadzeniu roztropnych głupi najpierwszy i najwięcej mówi".

IV

Musieliśmy spiesznie Malbork opuścić, ażeby tegoż dnia zdążyć do Sztumu na zjazd kółek rolniczych.

Nim się jednak ten zjazd rozpoczął, skorzystaliśmy z chwili czasu, ażeby się udać do Zajezierza. Na przeciwległym od miasta brzegu większego z dwu sztumskich jezior leży w ogrodach ukryty polski dwór należący do pana Kazimierza Donimirskiego. Zajeżdżających przed ganek powitała nas polska pieśń narodowa dzieci z miejscowej ochrony i młodzieży szkolnej. Krótko zabawiliśmy w staropolskim domu Zajezierza, lecz mogliśmy powziąć wiele cennych informacji od gospodarza.

[18] *So leuchte du ewig vom Nogatstrand*... (niem.) –
Więc lśnij wiecznie na brzegu Nogatu,
rozjaśniając ojczyznę zakonu,
potężna budowlo, stój na straży
niemieckości, żeby nie znikła znad szarych nurtów Wisły.
Pieśń mieszkańca Prus Zachodnich

[19] Alokucja – uroczysta przemowa.

[20] *Seine Kaiserliche Majestat* (niem.) – Jego Cesarską Mością.

Wkrótce boczną drogą po drugiej stronie jeziora udaliśmy się na spotkanie korowodu zdążającego do Sztumu. Już na przedmieściu kobiety spotykane, chłopcy i dziewczęta informowały nas po polsku, że słychać muzykę i „że już jadą". W istocie wychylił się na wzgórza zdążający drogą od strony Mikołajek długi szereg pojazdów. Na przedzie waliła uszykowana w kilka szeregów młodzież konno z chorągwią o barwach narodowych i z drugą, symbolizującą pracę kółek rolniczych: wieniec pszenicy w zielonym polu. Przewodniczył na koniu tej dziarskiej młodzieży prezes pan Jan Donimirski. Za konnym komunikiem[21] jechały pojazdy prawie jednego typu, wiozące rodziny rolników z okolicznych gospodarstw. Doskonałe konie, odzienie starszych i dzieci świadczące o dostatniej stopie życiowej, dawało od rzutu oka pojęcie o wartości społecznej tych średnich gospodarzy na stu czy dwustu morgach gruntu. Byli to przedstawiciele swoistego na tych ziemiach typu „gbura", rolnika, gospodarującego na niewielkim kawałku roli. Powiedziano nam, iż korowód kilkudziesięciu pojazdów jest drobnym zaledwie ułamkiem całości polskiego zaludnienia powiatu. Utrudnienia czynione na każdym kroku w dostarczaniu pism, druków i listów polskich uniemożliwiły większości rolników przybycie na ów zjazd kółek. Lecz i w tej ilości zgromadzeni czynili imponujące wrażenie. Cała kawalkada z muzyką na czele przedefilowała przez miasto, przywabiając wszystką jego ludność do drzwi i okien.

Przypatrywałem się wyrazowi twarzy mieszkańców Sztumu i co prawda nie dostrzegłem błysku nienawiści ani w jednym oku. W wielu zaś dostrzegłem spojrzenie pełne sympatii i żywej, bezinteresownej ciekawości. Owe nazwiska na „-ski" i „-icz", widniejące na szyldach kupieckich miasta Sztumu, wkrótce zapewne nie utrzymają się w niemieckiej swojej transkrypcji, a obywatele polscy noszący te nazwiska pójdą razem ze szlachtą, gburami i chłopami pod polską narodową chorągiew.

Wielka sala miejscowego kasyna ledwie mogła ogarnąć tę część polskiego żywiołu, która na zjazd przybyła. Ogorzałe panny, na których modne, powiewne bluzki, pończochy i pantofelki są wyraźnie odświętnym strojem, kawalerowie w długich butach z ostrogami i sportowych kurtkach, starszyzna w paradnych, rzadko wdziewanych surdutach, wszystek ów rolniczy świat, z uszanowaniem, stojąc, wysłuchał tęgiej i mocnej przemowy swego prezesa. Jest to świat pewny. Ci nie odstąpią swego sztandaru i nie zdradzą, chociaż z taką trudnością i tak inaczej niż wszyscy posługują się naszą polską mową. Jest to język nasiąknięty niemczyzną jak gąbka wodą. Wyrazy, zwroty, składnia, akcent, przydechy – wszystko jest niemieckie. Ale z jakimże to entuzjazmem słuchają zbiorowej deklamacji, gdy ich własne panienki, przebrane

[21] Komunik – w wojsku polskim XVI–XVII wieku jazda bez taborów i armat.

w krakowskie stroje, wypowiadają wiersze narodowej poetki! Piękne dla nich jest to wszystko, co sobie sami dla siebie z mozołem i trudem niemałym zrobili. I zaprawdę, specyficznie piękne było rubaszne przedstawienie teatralne, gdy ze sceny brzmią zdania ledwie, ledwie polszczyznę przypominające, piękna była naiwność intrygi i piękne były wiersze witające ojczyznę wskrzeszoną z martwych.

Daleka polskość jest dla tych ludzi jeszcze czymś arcysubtelnym, trudnym, dziwnie zawikłanym wobec materialności i wyrazistości wszystkiego, co ich otacza, jakąś niby lekcją piękną, której trzeba się dobrze wyuczyć dla doskonałego czucia i poprawnego myślenia. Tak to z trudem i mozołem, niby strumień podziemny przez skałę, co drogę naturalną zawaliła sobą, przebijać się musi polskość do ojczystego morza. Bo to przecie pod cieniem Malborka i w pruskiej katowni, w środowisku wszelakich Pompeckich gromadzi się ta silna, zdrowa młodzież i przywiera duszą do nieznanej ojczyzny. Nie wiedzą jeszcze nic, czym jest wyniosła polska sztuka i czarodziejska poezja, czym jest nawet sam przebogaty język naddziadów i żywa, wszechogarniająca mowa plemiennego ogromu. Wszystko wyżarła, a próżnię sobą nasyciła – obca kultura. Ci ludzie uczepieni są jak gdyby do jednego palca ojczyzny. Lecz już tego palca nie puszczą. Po przedstawieniu teatralnym nastąpiły tańce. I taniec ich jest niemiecki: to walc nieskończony, z figurami i bez figur.

Jako już zbyteczni i nieprzydatni do żadnej figury, wymknęliśmy się cichcem z rozbawionego tłumu i samowtór z moim poetą pomknęli do Kwidzyna. W ciemności nocnej migają wsie za dnia poznane, kształty fabryk, dworów, chałup, lasy i pola. Poznajemy po ciemku te polskie domy, które nam za dnia pokazał ksiądz Ludwiczak, gdzie śpią spracowani prości ludzie, których nawet na sztumską zabawę nie stać. To tu, to tam. Zupełnie jakby dusza leciała ciemnymi polami, tłukła się od wsi do wsi, od chaty do chaty, jakby zaglądała w okna i wałęsała się u węgłów. Tam i sam mijamy plant kolejowy. Kolej Mława, Iława, Prabuty, Susz, Kwidzyn, Sztum, Malbork, Gdańsk. To jest kręgosłup wiążący Gdańsk z Warszawą i Krakowem. To jest splot wszystkich nerwów, który by ową twardą i surową, rolniczą młodzież w Sztumskiem, mówiącą na poły zniemczonym językiem, związał z poezją Mickiewicza, z teatrem Wyspiańskiego, z obrazami Matejki i muzyką Szopena. Zawrotnie ciemnymi polami niósł nas samochód, dwu fantastów, knujących wciąż tę samą „fantastyczną" myśl o zjednoczeniu ojczyzny. To samo znów, co było w czasie wojny w Zakopanem za panowania NKN-u[22] żegnało nas do kupy, choć każdy swoimi, upartymi oczyma na świat patrzy. Jedna fantazja naszego programu już się nam ziściła. Już tam w nocnej ciemności światełka

[22] NKN – Naczelny Komitet Narodowy, organ polityczny działający w latach 1914–1917, założony przez polityków o orientacji proaustriackiej, dążących do utworzenia Monarchii Austro-Węgiersko-Polskiej. Miał także oddział w Zakopanem.

daleko, daleko połyskujące, to Polska niepodległa, murowana, zjednoczona: to za Wisłą Tczew, Gniew, Grudziądz. Doświadczeni politycy, przemądrzali wodzowie mas ludzkich nie chcieli wówczas ani wiedzieć, ani słyszeć, ani nawet w swych statystykach podawać do wiadomości takich „fantazji", jak Tczew, Gniew, Grudziądz. Na tydzień przed ową nocą widzieliśmy byli ziszczony romans poetów.

Z gościnnego domu państwa Kowalskich w Górkach (Gorken) pod samym Kwidzynem, gdzie wkrótce utworzyła się kwatera główna komitetu, udaliśmy się w drugą z kolei drogę, na południe, do Iławy (Deutsch Eylau). Zwiedziliśmy Prabuty i Susz, miasta zniemczone do gruntu, gdzie procent świadomych Polaków jest nieznaczny, aczkolwiek jak gdzieindziej na szyldach widnieją liczne polskie nazwiska. Parafia katolicka w Prabutach (Riesenburg) na kilka tysięcy ogółu wyznawców liczy mały stosunkowo odsetek Polaków, jednak nabożeństwo odprawia się po polsku w każdą drugą niedzielę. Świadczy to o zjawisku, które się już w Kwidzynie ujawniło na wiecu. Ludzie ubodzy, zahukani, podają się za Niemców z trwogi i konieczności życiowej, przyduszeni żelazną pięścią panów kraju albo pracodawców opartych o państwo. Lecz w głębi duszy, w rozmowie z Bogiem są jeszcze sobą, to znaczy Polakami.

Gdyby kto w mieście Suszu poprzestał na obejrzeniu zewnętrznym rynku i ulic, byłby przekonany, że miasto jest czysto polskie, tyle w nim nazwisk polskich. Tymczasem jest ono jeszcze bardziej niż Prabuty podniemczone. W okolicy Susza leżą olbrzymie dobra magnatów: Dohna-Finkensztеina, braci Oldenburgów, hrabiego Bruneck itd., podpór tronu Hohenzollernów, przyjaciół ekscesarza i eksnastępcy tronu, najwytrwalszych ostoi niemiecko-pruskiej reakcji. Tam to, jak wieść niesie, uknuty został zamach Kappa[23] i tam się gotuje do nowego skoku ostatnia krzyżacka energia. Cóż więc dziwnego, że miasta położone wśród tak przemożnych czynników i wpływów, zależne na każdym kroku od dostaw tych olbrzymich wytwórni zboża i mleka, zachowują swą narzuconą pruską fizjognomię? Najbardziej zniemczona jest bodaj Iława, położona w pobliżu granicy polskiej. Operuje tutaj hakatyzm[24] wojujący i nieprzebierający w środkach. Tu, zdaje się, pali się ognisko oddziaływania na pobliskie już wsie Mazurów. Odłam komitetu plebiscytowego, działający w Iławie, złożony z ludzi młodych, inteligentnych i przejętych gorącym polskim uczuciem, ma tu do zwalczenia najgorsze bodaj przeszkody. Po zapoznaniu się ze stosunkami, które nam urzędnicy komitetu ułatwili przez swe referaty, ruszyliśmy w powrotną podróż obok prześlicznych mazurskich jezior, wśród lasów i równin.

[23] Tak zwany pucz Kappa-Lüttwitza – nieudana próba przewrotu monarchistycznego w Niemczech w 1920 roku, zorganizowana przez koła junkierskie i wojskowe. Na jego czele stali Wolfgang Kapp i generał Walther von Lüttwitz.

[24] Hakata – potoczna nazwa (od nazwisk założycieli: F. Hansemanna, H. Kennemanna i H. Tiedemanna) niemieckiej organizacji nacjonalistycznej Deutscher Ostmarkenverein, utworzonej w 1894 roku w Poznaniu w celu germanizacji ziem polskich w zaborze pruskim.

Wykręciliśmy naszą drogę z Prabut na szlaki boczne, do wiosek polskich we wschodniej części powiatu sztumskiego. Niezrównany nasz przewodnik ksiądz Rudolf Nowowiejski był tu w swoim żywiole, bo na rodzinnych terenach. W pewnej małej miejscowości, którą oznaczę literą M., widzieliśmy niesłychane zjawisko, iż jeden jedyny człowiek, którego nazwiska ujawnić nie można, zdołał wytrwałą swą pracą obudzić ze snu niemieckiego całą osadę, a dzieciom po prostu nadać duszę polską. Mijając osady leżące na uboczu od głównego traktu, widzieliśmy gospodarkę chłopską, chaty takie same jak w głębi rodzinnego kraju. Z tych chat witano nas wszędzie okrzykiem na cześć Polski. Pod wieczór tego dnia, czyniąc zadość wielokrotnemu zaproszeniu, zajechaliśmy do Buchwałdu[25], majątku pana Donimirskiego, rodzonego brata Antoniego Donimirskiego, niegdyś współredaktora „Słowa" i jednego z promotorów ruchu kooperacyjnego[26] w Kongresówce. Mieliśmy tutaj obraz gospodarstwa wielkofolwarcznego i wielofolwarcznego, z uprawą i produkcją rolną stojącą na wysokim poziomie. W starym dworze Buchwałdu, gdzie nasz uprzejmy gospodarz pięćdziesiąt lat osobiście przepracował wśród wszelkich burz, przemian i przewrotów, słyszeliśmy najciekawszy, jaki być może, wykład stosunków istotnych, realnych, niewątpliwie dokładnych i ściśle konkretnych. Do tego starego dworu, gdzie człowiek, gorliwie pilnujący swego zagonu, z głębokim wzruszeniem wyznaje, iż jeszcze nie miał szczęścia oglądania na własne oczy żołnierza polskiego, z dala i ze wszech stron zbliża się Polska. Ten dach przetrzymał wszelkich Bismarcków i Bóg wie jak zaciekłych landratów. Tegoż dnia zdążyliśmy jeszcze przed zmierzchem do Waplewa, ażeby przez chwilę napawać się pięknem jego parku i rzucić okiem na dzieła sztuki, istotnie bezcenne, zgromadzone w starym pałacu. Jak piękny sen z dalekiego regionu ukazał się nam świat zamknięty w drewnianej szkatułce z listami Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana.

V

Nie poeci i fantaści, nie „ludzie uczucia", lecz właśnie ludzie najrealniejszego sposobu myślenia, którzy przez niemieckie druty kolczaste, zatoczone dookoła ich siedzib, przebili się do Polski, twierdzą stanowczo, iż Malbork w parę lat stałby się miastem polskim, ostoją polskości. Jakimże sposobem taki cud mógłby się dokonać? Bo do dziedziny cudów należałoby odsunąć podobne wywrócenie wszystkiego na nice. Malbork posiada wielkie cukrownie, które przerabiają buraki wyprodukowane na Warmii i Pomezanii. W malborskich cukrowniach pracują w ogromnej przewadze robotnicy polscy. Dziś ten żywioł jest lekceważony. Ugniatają go w swych rękach, jak chcą, właściciele

[25] Buchwałd – obecnie Bukowo.

[26] Ruch kooperacyjny – działalność związkowa, stowarzyszeniowa i spółdzielcza.

Niemcy. Pod względem społecznym żywioł ten tkwi w objęciach socjalizmu urzędowego niemieckiego, który co do walki z polskością idzie ręka w rękę z partiami najbardziej wstecznymi.

Niemcy w Malborku tworzą jeden obóz. Samo przez się nasuwa się tutaj pytanie: gdzież jest i co robi polska partia socjalistyczna? Czemu jej zawzięci agitatorzy nie pracują w Malborku? Dlaczego tam nie widać walki, pochodów i sztandarów PPS? Są przecież robotnicy, są ludzie żywi, jest tak paląca, tak rozżagwiona sprawa plebiscytowa, są masy, czekające na żywe słowo, na mężnych i ofiarnych ludzi, którzy by mogli wielkiego dokonać dzieła, zorganizowawszy robotników polskich w Malborku i wielką sprawę wręczyliby w ich ręce. Tam, gdzie potrzeba pracy ofiarnej i zuchwałej, głucho dziś o PPS. Przynajmniej na tym terenie plebiscytowym, który widziałem, nikt o tej partii nie słyszał. Gdyby cukrownie malborskie przeszły na własność Polaków, gdyby żywioł robotniczy został przez jakąś partię robotniczą polską zorganizowany, wszystko przekręciłoby się do góry nogami. Kupcy w Kwidzynie, Sztumie czy Malborku, pozostawieni na peryferii państewka północno-niemieckiego ze stolicą w Królewcu, straciliby wszelką rację egzystencji. Przeciwnie, po przyłączeniu tych miast do ogromu polskiego, przeciętego przez kolej Warszawa–Mława–Iława–Malbork–Gdańsk, staliby w ogniu handlowego ruchu, obsługiwaliby obszary szerokie i czerpali soki z wielkich obszarów. Przezorni Niemcy w Iławie, pomimo tak buńczucznej miny i tak zawadiackich pogróżek, spiskowania, zbrojenia się i nasadzania bojówek po wioskach, już dziś pono zwijają manatki, właśnie na wypadek przegranej Polaków. Horoskopy bowiem nie są dla interesu dobre na wypadek wygranej niemczyzny w hazardzie plebiscytu. Miasto Gdańsk, tak dziś harde i wyniosłe, pokazujące na każdym kroku Polsce zęby i kopyta, inaczej by przemówiło, gdyby wielkie, żyzne tereny, leżące z prawej i lewej strony kolei Mława–Iława–Malbork–Gdańsk, tereny, które Gdańsk żywią, należały do Polski. Te obszary, miasta, przez które najżywsza i najkrótsza arteria biegnie z Polski do Gdańska i do morza, są to narządy życia dla naszego państwa. Kto chce mieć w Gdańsku port i wyjście na morze, ten musi posiadać w dzisiejszych warunkach kolej Mława–Iława–Kwidzyn–Malbork–Gdańsk i ziemie do tej kolei przyległe. Te role obsiewa żywy, twardo i rozumnie pracujący rolnik polski oraz pierwszorzędne, najbardziej wzorowo prowadzone gospodarstwo wielkofolwarczne. Pomyślmy tylko: gdyby tak nasi mili sąsiedzi Czesi mieli do zdobycia kraj jednoplemienny, do gruntu polski – pięćkroćstotysięcy Mazurów – gdyby mieli do zdobycia ziemię sztumską, Warmię i Pomezanię, obszary, w których zakolu leży święte pole Grunwaldu, gdzie tkwi owa kula Jagiełły, wyrzucona na Malbork, czyby

czynili to, co my czynimy? Jakiż śmiech pomyśleć, że nie zdobywszy jeszcze granic zachodu i północy, takie ziemie mając zajechane i wyszarpane przez Niemców w ich niebezpiecznym zazębieniu, my krwią bohaterską naszych rycerzy zlewamy teraz przyczółki mostowe na Dnieprze i zdobywamy rzekę Sosze! W pogardzie ma Polskę cały świat robotniczy zachodu. Wdaliśmy się w siepaniny z Moskwą, zaniedbując zachód i morze. Na zachód i północ macha się ręką i powiada: „To trudno" albo powiada się: „To wina koalicji", albo powiada się: „To tam dziedzina i ingerencja Korfantego", albo wreszcie: „To by nam groziło wojną z Niemcami"... Jakiekolwiek są zasady i zbrodnie Moskwy dzisiejszej, jest faktem niezaprzeczonym, że ta Moskwa dzisiejsza złożyła uroczystą deklarację niepodległości Polski. Panowanie Niemiec nad nami grozi na każdym kroku. Niemiec odgraża się nam na terenach, które posiadamy, a cóż mówić o terenach plebiscytowych! Niemiec w żywe oczy przeczy, jakoby Mazur pruski mówił po polsku.

Według niego Mazur jest potomkiem Gotów, a mówi po mazursku. Mowa Kaszubów to nie jest dialekt polski, lecz jest to język kaszubski. Ślązak nie mówi po polsku, lecz po wasserpolsku[27]. Niemiec, reakcjonista czy socjalista, wciąż nas ćwiartuje w swych planach, dzieli i rozszczepia. W okolicach Prabut i Suszu jest to gniazdo, które zagraża nie tylko nam, lecz całej Europie. Ziemie tych junkrów, knujących wciąż zamach na Europę i jej kulturę, powinny przypaść ludowi polskiemu, który w samem Królestwie ma pośród swego ogromu trzy miliony z górą ludzi bez ziemi i bez dachu. Biada nam po tysiąckroć, jeśli w tej straszliwej godzinie nie okażemy się narodem świadomym swego celu i sensu swego życia, w tej godzinie, kiedy ma się zdecydować los pokoleń przyszłych! Biada nam po tysiąckroć, jeśli teraz opuścimy Mazurów i zaprzedamy w niemiecką niewolę braci spod Kwidzyna i Sztumu, jeśli teraz nie zdobędziemy Iławy, Kwidzyna, Malborka.

Stefan Żeromski, *Inter arma*, Warszawa:
J. Mortkowicz, 1920, s. 17–47

[27] Wasserpolen lub Wasserpolacken – niemiecki termin pierwotnie stosowany przez Prusaków na określenie ludności polskiej zamieszkującej Dolny oraz Górny Śląsk. Później używany także wobec mieszkańców pogranicza niemiecko-polskiego na terenie Śląska, Warmii, Mazur i Kaszub.

1921

Stefan Bryła (1886–1943)

Import zdziwień

Najsławniejszy polski specjalista od drapaczy chmur. Na początku lat trzydziestych zaprojektował wysoki na szesnaście pięter i sześćdziesiąt osiem metrów, najwyższy w Polsce, a drugi co do wielkości wieżowiec w Europie – gmach Prudentialu, późniejszy Hotel Warszawa. Skonstruował pierwszy na świecie most spawany. Do Marzyc pod Łowiczem ciągnęły przed wojną zastępy inżynierów z całej Europy, aby podziwiać tę epokową konstrukcję. Wymyślił warszawski Dom Bez Kantów. Zaprojektował warszawskie Muzeum Narodowe i pierwszy wieżowiec w Katowicach. W 1995 American Welding Society uhonorowało Stefana Bryłę nagrodą Historical Welded Structure Award.

Trudno dziś powiedzieć, czy Stefan Bryła miał świadomość, że pisał też reportaże.

W latach 1910–1912 odbył pierwszą wyprawę naukową do Ameryki, Azji i Europy, o której napisał kilka książek podróżniczych. Potem jako inżynier pracował na amerykańskich budowach. Ze Stanów przywiózł teksty o nowoczesnych miastach. Amerykański wpływ na polskie budownictwo zawdzięczamy przede wszystkim jemu. Zachwycał się Nowym Jorkiem, Pittsburghiem, Filadelfią, mniej – Waszyngtonem.

Tam właśnie ten tropiciel nowoczesności spotkał zjawisko dla siebie niepojęte:

> Zdarzyło się, że do hotelu przyjechałem wieczorem. Było już zupełnie ciemno. Nie znając miasta, pojechałem autem prowadzonym przez Murzyna, który murzyńsko-amerykańskim zwyczajem miał wszystkie zęby złote. Spokojną, zaciszną ulicą, wysadzaną drzewami dojechaliśmy na miejsce. Z hotelu wybiegł jeden kędzierzawy Murzyn w białym ubraniu z wielkim fontaziem czerwonym na szyi i roztworzył paszczękę w uprzejmym uśmiechu, pokazując też rząd złotych zębów. Potem przybiegło jeszcze dwu, też Murzynów, też w białych ubraniach, też z wielkimi fontaziami w białe kropki; jeden miał zęby złote, drugi białe. Nie miałem zamiaru stawać w murzyńskim hotelu i przyznam się, że wszedłem z pewną niechęcią. W przedsionku wyskoczyło jeszcze trzech Murzynów [...] i zaczęli zapewniać, że *boss* będzie miał wygodne mieszkanie, i wszyscy uśmiechali się do mnie zresztą otwartym, dobrodusznym uśmiechem. Wtem z głębi wyskoczył jeszcze

jeden czarny Murzynek. Zrobiło mi się trochę dziwnie. Czy ja śnię? Gdzie ja właściwie jestem? W Waszyngtonie? Czy na Wybrzeżu Kości Słoniowej albo w Kongo? Pomimo pewnej odrazy nadrobiłem miną i postąpiłem do elewatora. [...]

W tym murzyńskim otoczeniu było mi trochę nieprzyjemnie. Widziałem poprzednio niejednego w Bostonie czy Filadelfii i ze dwa razy wycierałem odruchowo serwetą talerz podany mi przez Murzyna, nim przywykłem do tego, że i czarne palce mogą być najzupełniej czyste, ale w tak dobranym otoczeniu jeszcze nie byłem nigdy. Zamknąłem się solidnie w moim numerze. W nocy śnili mi się sami Murzyni i uśmiechnięte szeroko usta ze złotymi zębami.

Z Ameryki Stefan Bryła przywiózł wiele zdziwień. Najwięcej wdzięku ma jednak jego zadziwienie amerykańską drogerią.

Ameryka

W amerykańskiej drogerii

Będąc jeszcze w Filadelfii, miałem codziennie wielokrotnie sposobność czytania jednej niezrozumiałej, niepojętej dla mnie reklamy. Widziałem ją wszędzie: w dziennikach, na dachach, na domach, na tramwajach, jednym słowem wszędzie, gdziekolwiek padł mój wzrok. Były to tylko trzy słowa, ale słowa powtarzające się uporczywie, narzucające się wszędzie. Słowa te były: „*Get it at Evans's*". Przetłumaczyłbym je na: „Kupuj u Evansa".

Ale co kupować u tego Evansa i kto jest ten Evans? Dlaczego nie wymienia towarów, jakże mam kupować? Czy jest to może *big store*, „bazar" w rodzaju paryskiego Bon Marché lub Louvre, berlińskiego Wertheima lub KaDeWe (Kaufhaus des Westens)?

Aż pewnego dnia, przechodząc ulicą Market Street, znalazłem rozwiązanie zagadki. Myliłem się. Nie było to *big store*, była to największa filadelfijska apteka, a raczej drogeria, skład apteczny.

Ale jaka drogeria!

Nie będę opisywał specjalnie tej Evansowskiej drogerii. Od innych przeciętnych amerykańskich różni się ona tylko większą elegancją, a może i wielkością. Przechodzi bowiem przez cały „blok", tworząc coś w guście pasażu, łączącego z sobą dwie rozległe ulice. Poza tym jednak znaleźć można w każdym *drug store*, to samo, co u Evansa. Zwłaszcza w Nowym Jorku!

Otóż przede wszystkim taki *drug store* otwarty jest z reguły cały dzień i całą noc i widny z dala wielkim, poprzecznie do ulicy umieszczonym napisem: „*Druggist*" lub „*Drugs*". Niekiedy, dość rzadko, posiada jeszcze jakieś godło, na przykład w Chicago w bardzo wielu miejscach widzi się moździerz kuchenny z tkwiącym w nim tłuczkiem.

Już jednak sama wystawa sklepowa jest niespodzianką. Widzisz w oknie rzeczy, towary najrozmaitsze; ale rzucają się w oczy przede wszystkim nazwy najrozmaitszych *ice-cream'ów* (lodów), *soft drinków* (napojów bezalkoholicznych) i najrozmaitszych innych letnich, zimnych napojów, w jakie Ameryka obfituje więcej niż którykolwiek kraj w Europie. Najczęściej podane są ceny, pięć lub dziesięć centów za lody *all flavours*, to jest wszystkich gatunków, za *ice cream soda* (lody z wodą sodową), za najrozmaitsze *sundaes* (lody z sokami owocowymi), za *banana split* czy za *ginger ale*, *egg drinks*, *coca-cola* lub *root beer*. Napisy te ponalepiane są na szybach tak szczelnie, że

przedmioty wystawione niemal giną dla oka. Zresztą mniejsza o nie; zobaczymy je wewnątrz.

Wchodzimy. Przede wszystkim wzdłuż ściany lada sklepowa i na niej różne naczynia, z których wytryska *ice-cold water* (woda zimna jak lód), *soda water*, niekiedy zimne mleko, *ginger ale* i może jeszcze jaki inny *soft drink*. Obok szeregi szklanek; poniżej lub z tyłu w ścianie szeregi rur, z których można uzyskać pożądany *flavour*. Przed ladą zydelki o trzech nogach, na których pół siedząc, pół stojąc, chłodzą się goście. Ale zwykle nie płaci się od razu; dostaje się tylko znaczek, który odchodząc, należy złożyć z pieniędzmi przy kasie. Czasem – na odwrót, trzeba najpierw w kasie nabyć kwitek na *ice cream* czy *root beer*.

Tu w lecie pełno; dźwięczą szklanki wciąż, „nikle”[1] idą do kasy jeden za drugim, bo Amerykanin z reguły nie chłodzi się alkoholem. On dobrze rozumie, co jest *all right*, zwłaszcza przy takiej pracy.

Ale to dopiero jedna strona interesu. Obok znajduje się to, co i u naszego drogerzysty znaleźć można; mydełka, szczotki, proszki, pudry, najrozmaitsze przybory toaletowe. O tym szerzej rozwodzić się nie będę.

Ale obok dalej klisze, aparaty, przybory fotograficzne oraz ogłoszenie o „nadzwyczaj” szybkim wywoływaniu klisz i ewentualnym wykonywaniu odbitek. Robienie lekarstw to chemia i fotografia też chemia. Wszystko więc w idealnej zgodzie.

A znów są papiery, a zwłaszcza papiery listowe. Co papiery mają wspólnego z drogerią!? A jednak są, i to często w bardzo ładnym wyborze. Jasną rzeczą jest, że obok papierów znajdują się widokówki najrozmaitsze i również jasną rzeczą jest, że obok widokówek znajdują się marki pocztowe, czasem automaty z markami. Obok oczywiście – wszelkie inne przybory do pisania: atramenty, ołówki, pióra, *fountain pens*, w ogromnym wyborze od kilkudziesięciu centów do kilku dolarów; niekiedy ogłoszenia, że „tu napełnia się *fountain pens* zupełnie bezpłatnie”, z czego Amerykanie korzystają dość chętnie.

Dalej „pamiątki”. A jako pamiątki amerykańskie służą najczęściej składane kubki do picia (o ile kto nie chce pić wody na przykład na stacji ze wspólnej szklanki, co zresztą rzadko kogo razi), także podstawki, przyciski, obrazki najrozmaitsze. To się rozumie samo przez się.

Obok noże, widelce, zastawy całe, scyzoryki, noże do papieru, książki, jakieś wyroby skórzane, dalej cukierki, dalej... Trudno mi wyliczać wszystko. Tyle tam rzeczy najprzeróżniejszych.

Ale przynajmniej nie ma u Evansa restauracji? Tak, u Evansa nie ma, ale...

[1] *Nickle* (ang.) – pięciocentówka.

Ale są w innych *drug store'ach*. Na niejednym widnieje napis „*Quick lunch*". I przychodzi tu w południe mnóstwo ludzi zjeść, przegryźć coś pospiesznie przy dźwiękach fonografu, nawet zjeść obiad (zresztą niezbyt drogi i o niezbyt wielkim wyborze potraw). I to wszystko nazywa się *drug store*, drogeria, lub *pharmacy*, apteka!

Są i inne nieco, tak zwane pięcio- lub dziesięciocentowe sklepy, też będące czymś w guście drogerii i mające nawet poniżej swego centowego tytułu napis „*druggist*". Na przykład na Sixth Avenue.

Tu dostać można te same towary, co w zwykłej drogerii, może tylko w nieco większym zakresie, a w gorszej jakości. Tu często jakiś gentleman staje i zachęcając do kupna czegoś tam, „trzyma mowę", po której sypią się nikle czy dziesięciocentówki, a mówca w zamian wydaje jakieś paczki. Tu za pięć centów kupisz dwa *ice cream cones*. Tu możesz słuchać fonografu i pójść sobie potem, oglądnąwszy towary i nie kupiwszy nic. To też *drug store*.

Raz jeszcze w Montrealu zaszedłem do *drug store'u* po marki pocztowe. Zażądałem dziesięciu po cencie i wręczyłem dziesięciocentówkę sprzedającemu. Ten wziął ją, włożył do kasy i... wręczył mi dziesięć centowych miedziaków. Wypatrzyłem się nań jak na wariata, nie rozumiejąc nic.

Wtedy wskazał mi automat. Musiałem dziesięć miedziaków wrzucać w otwór kolejno, by otrzymać dziesięć marek. Inaczej dostać ich nie mogłem!

Podziwiałem kanadyjską praktyczność. A gdyby kto potrzebował marek centowych za dolara? Niech szuka gdzie indziej! Zastrzegam się, że spotkałem to raz jeden tylko, i to nie w Stanach Zjednoczonych, ale w Montrealu. Niemniej fakt jest faktem.

Natomiast w Nowym Jorku udało mi się zobaczyć coś innego. Byłem w jednym *drug store* na *ice cream soda*. Nagle stała się rzecz nadzwyczajna.

Wszedł ktoś i przyniósł receptę lekarską. Spojrzał na niego w zdziwieniu właściciel, spojrzeli zdziwieni chłopcy usługujący, spojrzeli goście... Receptę?! A tu zwykle przychodzi się po wszystko, tylko nie po lekarstwo. A właściciel zachował się jak nasz aptekarz, zupełnie *all right*. Wziął poważnie receptę, mruknął: „Za pół godziny", wydał jakiś kwitek. Słowem, zrobił wszystko, co solidny aptekarz zrobić powinien, on, właściciel tak wszechstronnie zaopatrzonego *drug store'u*.

A gdy gość wyszedł, aby za pół godziny powrócić, odłożył receptę na bok, jak solidny aptekarz też uczynić powinien, i zabrał się znów do sprzedawania soft drinków.

Takie to są amerykańskie drogerie! [...]

Stefan Bryła, *Ameryka*, Lwów–Poznań:
Wydawnictwo Polskie, 1921, s. 133–137

1923

Tadeusz Staniewski (1886–1978)

W wolnych chwilach pytać o jedno

Nauczyciel i dyrektor szkoły, który może nawet nie wiedział, że napisał reportaż.

Urodził się w Błędowie na Wołyniu, na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1910 roku zdobył tytuł doktora filozofii. Wykształcenie zawdzięczał matce, Marii z Łotockich Staniewskiej, która chcąc uchronić syna przed wynarodowieniem w gimnazjum rosyjskim w Łucku, zadecydowała o ucieczce całej rodziny przez zieloną granicę do Krakowa.

Był niezmordowany w dwóch kwestiach: organizował nowe szkoły i pisał szkice historyczne o miejscowościach, w których pracował.

Po studiach zaczął pracę w gimnazjum w Tarnopolu.

Z chwilą ogłoszenia przez Austrię mobilizacji uciekł do Krakowa i zgłosił się do Strzelca, by w sierpniu 1914 roku wyruszyć na front w szeregach 2. Karpackiej Brygady Legionów Polskich. Walczył pod Nadwórną, Mołotkowem, Zieloną, Kirlibabą i po rozsypce batalionu z mocno nadwyrężonym zdrowiem pojechał do Wiednia. Potem znalazł się na Morawach, gdzie organizował kursy pedagogiczne. Stamtąd wysłano go do pracy w Myślenicach.

W 1918 roku z najstarszymi uczniami swojej szkoły wyruszył bronić Lwowa. (Niebawem ożenił się z córką lwowskiego architekta).

Po powstaniu państwa polskiego wyjechał do Wrześni i zaczął pracę w tamtejszym gimnazjum. Zafascynowany wydarzeniami wrzesińskimi z lat 1901–1902, zaczął zbierać na ich temat materiały.

Jego tekst *Dni strajku szkolnego we Wrześni*, napisany dwadzieścia lat po tamtych wydarzeniach, można nazwać reportażem historycznym. 20 maja 1901 roku nauczyciel ukarał chłostą czternaścioro dzieci za to, że odmówiły odpowiedzi po niemiecku na lekcji religii. Przed szkołą zebrał się wzburzony tłum. Uczestników zajść władze ukarały więzieniem i grzywną. Przed sąd państwo pruskie pozwało i rodziców, i dzieci. Na więzienie skazano dwadzieścia pięć osób.

Do napisania reportażu historycznego – rodzaju nietypowego jak na tamte czasy – skłoniły Staniewskiego wspomnienia świadków i historia, która we Wrześni wciąż była żywa:

> „Dziś Września na cały świat sławna" – oto słowa, jakimi p. Z. zakończyła jedno ze swych opowiadań na temat strajku dzieci wrzesińskich.

> Z uczuciem osobliwego pietyzmu słuchało się nieraz prostych, lecz tchnących szczerością opowiadań świadków dramatu, którego w roku 1901 widownią stała się mała Września.
>
> Czym była Września wczoraj (przed laty dwudziestu) i czym jeszcze jest dziś po odzyskaniu bytu niepodległego – oto pytanie, któremu poświęciłem wolne chwile od zajęć szkolnych w czasie pobytu we Wrześni.

Z Wrześni wysłano go do Łucka, gdzie został dyrektorem szkoły – tej, do której sam chodził. Ponieważ jako piłsudczyk czuł się tam nieżyczliwie traktowany, przyjął propozycję zorganizowania gimnazjum w Dziśnie – miasteczku bez połączenia kolejowego na krańcu Polski. Dziś na Białorusi.

W 1925 roku założył tam Kasę Stefczyka, Koło Ligi Morskiej i Kolonialnej oraz teatr amatorski. Potem, korzystając z rosyjskich źródeł, napisał szkice historyczne o stanie oświaty na Wileńszczyźnie w okresie zaboru rosyjskiego oraz wspomnienia z własnych przeżyć w szkole rosyjskiej – *W szponach dwugłowego orła*.

Od 1934 roku do wybuchu wojny był dyrektorem Państwowego Gimnazjum i Liceum imienia Króla Jana Sobieskiego w Wejherowie. Już w sprawozdaniu za pierwszy rok szkolny zamieścił obszerną historię tej szkoły, sięgając aż do czasów pruskich, ze szczególnym uwzględnieniem tajnego nauczania języka polskiego.

Notowany na liście berlińskiego gestapo, tuż przed wkroczeniem Niemców opuścił z rodziną Wejherowo. Okupację przeżył w Krakowie, gdzie nauczał na tajnych kompletach.

Po wojnie wrócił do Wejherowa, był nadal dyrektorem gimnazjum, ale został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Była to decyzja polityczna, ponieważ kategorycznie sprzeciwił się usunięciu ze szkoły ucznia, który naraził się władzom ZMP.

Na przymusowej emeryturze opracował monografię Wejherowa.

Dni strajku szkolnego we Wrześni

Ten oto puchar, napełniony sokiem z nadreńskich winogradów, wychylam na pomyślność prowincji poznańskiej i jej nadwarciańskiej stolicy.
Z mowy toastowej cesarza Wilhelma II
wygłoszonej dnia 5 września 1889 roku w Poznaniu

Na pozór małe zdarzenia szarego codziennego życia wyrastają czasem zależnie od sprzyjających okoliczności do rozmiarów wydarzeń historycznych, zdobywając dla siebie trwałe prawa obywatelstwa na kartach kroniki narodowej.

Do tej kategorii wydarzeń należą, zajmując jedno z miejsc naczelnych w ostatniej dobie naszych dziejów porozbiorowych, skojarzone ze sobą węzłem związku przyczynowego, strajk szkolny dziatwy wrzesińskiej i proces gnieźnieński. [...]

Nowy cios postanowiła wymierzyć ludności polskiej regencja poznańska[1] jeszcze w lecie roku 1900. Potrzebę zaprowadzenia niemieckiego wykładu religii uzasadniła tym, że język niemiecki był już od dłuższego czasu wykładowym i dziatwa (naturalnie polska) szkół wieloklasowych i nieprzepełnionych jednoklasowych jest dostatecznie biegła w posługiwaniu się nim, że zatem nic nie staje na przeszkodzie wprowadzeniu nauki religii po niemiecku... na średnim i wyższym stopniu szkoły elementarnej. Inspektorowie okręgowi (powiatowi) mają dokładnie zbadać i przedstawić w swych rocznych sprawozdaniach, o ile w poszczególnych zakładach zachodzą warunki sprzyjające wprowadzeniu nauki religii po niemiecku; na końcu sprawozdania winni oni sformułować stosowne wnioski, co mogą uczynić bez przeprowadzenia specjalnej hospitacji. Kontrola taka pozwoli w poszczególnych wypadkach ocenić zapał i gorliwość, z jaką niektórzy nauczyciele popierają sprawę szerzenia niemczyzny, ma zarazem stać się bodźcem dla tych, którzy aż do tego czasu nie mogli poszczycić się zupełnie dodatnimi wynikami na tym polu pracy (!). Nauka „niemieckiej religii" miała się rozpocząć z nowym rokiem szkolnym. Wprawdzie sprawozdania inspektorów, uprzedzając życzenia regencji, przemawiając na korzyść niemieckiego wykładu, brzmiały optymistycznie, przecież panowały jeszcze pewne uzasadnione obawy, że innowacja nie zostanie przyjęta obojętnie i może napotkać na opór zarówno dzieci, jak i rodziców.

Ażeby stępić ostrze swego zarządzenia, postanowili Niemcy chwycić się radykalnego sposobu: wepchnąć w ręce dziatwy katechizmy niemieckie

[1] Regencja poznańska – administracyjnie Wielkie Księstwo Poznańskie było podzielone na dwie regencje: poznańską i toruńską.

zakupione na koszt rządu. Spodziewali się, że z chwilą, gdy ten dar Danaów[2] zostanie, lubo z niechęcią, przyjęty, usunięta będzie tym samym jedna z przeszkód zachęcających do wytrwania w biernym oporze. Należało przeto pewnego pięknego dnia bez osobliwego hałasu, a korzystając ze sposobności, wręczyć dziatwie nowe katechizmy i wyjaśnić jej, że od tego czasu będzie mogła korzystać z nauki religii wyłącznie w języku niemieckim, skoro tekst ofiarowanych jej książek w niczym nie sprzeciwia się dogmatom Kościoła katolickiego. Zawiedli się!... We Wrześni w większym jeszcze może stopniu niż w innych miastach Wielkiego Księstwa Poznańskiego żyły wspomnienia roku 1848 i bitwy pod Sokołowem[3]. Z roku na rok w dniu 2 maja, ukrywając się przed czujnym okiem żandarma, gromadziła się osłonięta ciemnościami zapadającej nocy u stóp pamiątkowego pomnika grupa patriotycznych mieszkańców Wrześni na polu sokołowskim, gdzie składała uroczysty hołd cieniom poległych bohaterów i ślubowała wierność dozgonną Matce Ojczyźnie. Nic w tym dziwnego, że nowe zarządzenie antypolskie mogło spotkać się z oporem właśnie we Wrześni, a częściowo też w żyjącym podobnymi wspomnieniami Miłosławiu.

Niemałym było zdziwienie i zakłopotanie nauczycieli, kiedy w chwili rozpoczęcia nauki religii dzieci oparły się stanowczo przyjęciu ofiarowanych im katechizmów. W klasach wszczęły się tumulty i hałas, powstała prawdziwa rewolucja dziecięca. Jedna z dziewcząt (Bronisława Śmidowiczówna, dziś zamężna Matuszewska) wprawdzie przyjęła podarowaną jej książkę... ale przez fartuszek. Nauczyciele, rektor, inspektor, regencja znaleźli się w położeniu mało rzec kłopotliwym, lecz śmiesznym. Oto dziatwa szkolna, nieletni chłopcy i dziewczęta wypowiedzieli śmiało wojnę systemowi germanizacyjnemu i duchowi państwowości pruskiej z cesarzem Wilhelmem na czele.

Aby poprzeć stanowisko dziatwy, odbyło się we Wrześni dnia 16 maja liczne zgromadzenie ludowe, na którym do zebranej publiczności przemawiali wybitniejsi politycy i posłowie sejmowi. Wynikiem obrad było uchwalenie uroczystego protestu skierowanego do władz naczelnych w państwie i interpelacje sejmowe.

W relacjach niemieckich opisujących omawiane zajścia słyszy się dość często, że zostały one podstępnie wywołane przez agitatorów polskich wbrew woli i interesowi ludu, oddanego swej spokojnej pracy i przechowywującego wierność cesarzowi. Jeżeli możemy dziś w imię prawdy stwierdzić niezbicie, że wśród mało uświadomionej masy ludowej znajdowało się zawsze niemało żywiołów oportunistycznych i biernych, to niemniej pewnikiem jest, że nie mogąc jej natychmiast zniemczyć, pielęgnował rząd pruski z całą

[2] Dar Danaów – koń trojański.

[3] Mowa o powstaniu wielkopolskim i jednej ze zwycięskich bitew stoczonej przez powstańców pod Sokołowem 2 maja 1848.

świadomością typ głupiego „Bartka zwycięzcy”[4]. Czyż jego to wolę mieli uszanować mężowie stanu i założyć ręce w chwili groźnego niebezpieczeństwa?

Każdy trzeźwo i jasno oceniający, a nieuprzedzony Polak widział, czemu cyniczne i butne prusactwo nie próbowało nawet przeczyć, że celem ostatecznym, jaki sobie wytknął rząd, było zgermanizowanie ludności polskiej za pośrednictwem szkoły. […] Kiedy ani perswazje i upomnienia, ani groźby nauczycieli nie skutkowały i dzieci, zachowując się biernie, pomijały milczeniem pytania zadawane po niemiecku, przybył dnia 20 maja o godzinie dziesiątej rano do szkoły zawiadomiony przez rektora Fedtkego inspektor szkolny doktor Winter. Zostawiwszy po skończonej nauce starsze dzieci, kazał im nauczyć się po niemiecku pod grozą chłosty pieśń *Kto się w opiekę poda Panu swemu* (!). Kiedy jednak i ta jego groźba nie osiągnęła spodziewanego celu, a dzieci, trwające w niemym oporze, ponownie zachowywały grobowe milczenie, rozdrażniony niepomiernie polecił wykonanie egzekucji.

O smutnym losie dziatwy rozeszła się w mieście wieść lotem błyskawicy, wywołując powszechne uczucia zgrozy i litości. Długie odsiadywanie kary sprawiło, że około godziny dwunastej w południe zaczął się gromadzić na rynku i przed budynkiem szkolnym tłum, w którym znalazło się – jak to często bywa – niemało chciwych sensacji niedorostków. Wtem otwarła się główna brama budynku, a na ulicę wybiegło kilkoro dzieci, które, rzewnie płacząc, pokazywały rodzicom i znajomym spuchnięte i pokryte sińcami dłonie. Ten i ów, oglądając krwawe ślady obrażeń cielesnych, zaciskał pięść i miotał przekleństwami pod adresem nieludzkich nauczycieli; bardziej krewkie elementy, zwłaszcza młodzież rzemieślnicza, próbują natychmiast wzniecić w szkole zamieszanie i ciskają kamieniami w jej kierunku. Kiedy w ten sposób na ulicy potęguje się gwar i wzrasta coraz to bardziej rozdrażnienie tłumu, w murach budynku szkolnego pełni swe funkcje urzędowe w towarzystwie siłacza Scholzchena urzędnik królewski inspektor doktor Winter. Wobec tego, że sytuacja stawała się nieprzyjemna, a jeszcze miano karać kilku uczniów, doradzali nauczyciele Winterowi, by, unikając grożącego mu osobiście niebezpieczeństwa, opuścił szkołę tylnymi drzwiami. Lecz w tym krytycznym momencie czuł się Winter osobliwie powołany wytrwać mężnie na zajętym przez się posterunku i stoczyć bój w obronie honoru zagrożonej niemieckiej władzy. Oświadcza więc dobitnie, że „pruski urzędnik wykonujący swe »czynności urzędowe« nie ulęknie się gróźb tłumu i nie opuści stanowiska służbowego”. Nienapastowany przez kogokolwiek przedziera się przez ciżbę ze szkoły do magistratu, skąd

[4] Bartek zwycięzca – tytułowy bohater noweli Henryka Sienkiewicza z 1882 roku. W 1970 roku, po wybuchu wojny prusko-francuskiej ten prosty chłop z Wielkopolski zostaje wcielony do wojska. Dzięki swojej niezwykłej sile, ogłupiony propagandą i dyscypliną wojskową, Bartek wsławia się w bitwie i zyskuje uznanie pruskich generałów. Mimo zasług, powróciwszy do rodzinnej wsi, jest szykanowany i upokarzany. Przegrywa sprawę w sądzie, a z powodu długów musi opuścić swoje gospodarstwo.

następnie wraca w towarzystwie wachmistrza policji miejskiej Kozłowicza. Widok przedstawiciela władzy bezpieczeństwa nie tylko nie działa uspokajająco, lecz przeciwnie – powoduje silne podniecenie. Słychać, że jeszcze troje dzieci ma ulec kaźni. Toteż na rozpaczny czyn odwagi zdobywa się matka Klimasowa, która w chwili, gdy tłum gęściej skupia się u bramy, przedziera się środkiem ciżby i otwarłszy drzwi, woła, zwracając się do Wintera, że wolałaby widzieć swego syna leżącego na marach niż uczącego się niemieckiej religii. Stanowcze wystąpienie Klimasowej uwalnia jej syna od chłosty. Wiodąc go z tryumfem do domu, nie omieszkuje też wysłać pod adresem nauczycieli szeregu wymyślań i złorzeczeń. Zdarzało się już parokrotnie, że nastrojony względem władz duchem pojednawczym piekarz Śmidowicz próbował, jakkolwiek bezskutecznie, odegrać rolę pośrednika między rodzicami a inspektorem i proponował kompromisowe rozstrzygnięcie sprawy. Ale teraz ponowna jego misja dyplomatyczna zakończyła się zupełnym fiaskiem, gdyż rozgniewany Winter rozkazał mu natychmiast opuścić szkołę. Najgroźniejszą postawę zajęła Piasecka, żona murarza, która w chwili, kiedy pragnący dostać się do domu nauczyciel Koralewski ukazał się na ulicy, uzbrojona „drewniakami" zadała mu dotkliwy cios w głowę. Jakkolwiek czynne znieważenie nauczyciela stawiało Piasecką w ciężki stan oskarżenia, to jednak, jak to wynika z późniejszego procesu w Gnieźnie, wypadek sam nie został przez prokuratorię umieszczony w protokole. Opuszczający szkołę pod opieką wachmistrza Kozłowicza Winter oraz nauczyciele zasypani zostali gradem przekleństw, pogróżek i złośliwych dowcipów tłumu. Najgroźniejsze objawy nienawiści zwracały się przeciw osobie niecnego Koralewskiego, osobliwie gdy jeden z czeladników rzeźnickich ofiarował się dokonać na nim wiwisekcji. W międzyczasie na rynku uwijają się żandarmi i notują nazwiska najbardziej opierających się nakazowi rozejścia się. Wtem spadają krople ulewnego deszczu, ostygają rozgorączkowane umysły; znaczna część zgromadzenia opuszcza rynek i rozchodzi się do domów.

Najpóźniej, bo dopiero o godzinie czwartej po południu, wracał nauczyciel Koralewski. Ogłuszony silnym uderzeniem Piaseckiej, czuł się bliskim omdlenia. W drodze dolatywały do jego uszu niezbyt pochlebne wołania w języku, którego oficjalnie nie rozumiał... Nosząc czysto polskie nazwisko, ożenił się z Niemką z Nadrenii i wyrzekł się własnej narodowości. Za umiejętne wszczepianie w umysły biednej dziatwy dźwięków mowy Bismarcka za pomocą pruskiej metody nauczania, otrzymywał od władzy przełożonej osobne pieniężne wsparcia. Do służby wstąpił jeszcze w roku 1881. Już w roku 1886 dostał po

raz pierwszy nagrodę za osiągnięte rezultaty w nauczaniu języka niemieckiego. W dwa lata później został przeniesiony do Wrześni. Od roku 1898 zostaje stałym zastępcą rektora. „Jest on – wydaje o nim pochlebne świadectwo doktor Winter – jednym z najbardziej lubianych kolegów w nauczycielstwie mego okręgu". „Wszak przyrzekł nie grywać w karty; nie można mu wziąć za złe, że czasem zabawił się w wesołym towarzystwie i pił piwo. W każdym wypadku nie zaniedbywał swych obowiązków". Sam Koralewski, oczyszczając się z podnoszonych przeciw niemu zarzutów, zaprzeczał, jakoby był nałogowym karciarzem. Grywał bowiem „z obywatelami i urzędnikami, a nie niższymi od siebie".

Na progu domu przywitały go z płaczem żona i dzieci, w przekonaniu, że jest ciężko ranny. W nocy rzucił nieznany sprawca kawał cegły do jego mieszkania przez okno. Pozostając w ciągłej obawie o swoje życie, prosił żandarmerię, by wystawiła posterunek na pobliskiej ulicy. Postępowania nie zmienił, chociaż czuł wyrzuty sumienia. Synowi Gadzińskiej, żony tercjana[5] szkoły, zagroził, że ojciec jego straci miejsce, jeżeli nie zaniecha swego oporu i nie zacznie odpowiadać na lekcjach religii po niemiecku. Biadającej z tego powodu kobiecinie przyniósł do oglądnięcia niemiecki katechizm opatrzony pieczęcią arcybiskupią na dowód, że arcybiskup i papież pochwalają działalność i rozporządzenia władz pruskich. Utożsamiająca w swej prostej naiwności polskość z katolicyzmem Gadzińska nie pozwoliła siebie przekonać, że papież nie zna języka polskiego, lecz powtarzała stale ze wzruszeniem, że „papież jest nasz" (to jest polski).

Innym razem – być może pod wpływem gorącego trunku – przyniósł Koralewski do szkoły polskie katechizmy i usiłował przekonywać dziatwę, że nie ma różnicy w tekście między polskim a niemieckim wydaniem. Powoływanie się na autorytet arcybiskupi musiało doczekać się sprostowania i stosownego wyjaśnienia ze strony władzy duchownej, a mianowicie: w liście arcybiskupa Stablewskiego do dyrektora sądu ziemiańskiego z dnia 12 listopada 1901 roku arcybiskup wyjaśnia, że władze szkolne, nie mając kontaktu z władzami duchownymi, nie zasięgają opinii tychże w sprawie nauczania religii. Taki stan prawny, jak to wyraźnie wynika z oświadczenia ministra oświaty w izbie deputowanych, nie pozwala ani uznać, ani też stawiać przeszkód nauce religii udzielanej po niemiecku. *Imprimatur* arcybiskupie wydrukowane na katechizmach niemieckich oznacza tylko, że książki te nie zawierają nic, co by mogło być niezgodne z duchem zasad katolickich.

Jak z powyższego widać, władza duchowna, nauczona być może przykrymi doświadczeniami, obaliła fałszywe twierdzenia nauczycieli niemieckich,

[5] Tercjan – dawny woźny w szkole.

lecz nie założyła stanowczego protestu przeciw aktowi pruskiego bezprawia. Toteż pachołkowie hakatyzmu[6] dosyć lekko połknęli gorzką pigułkę w nadziei dobrotliwego i pobłażliwego uśmiechu na obliczach swych popleczników i przełożonych.

W czasie, gdy jeszcze w szkole katolickiej odbywała się chłosta i tłum zalegał ulice, nie zabrakło czcicieli Bachusa, gotowych wszelakie troski utopić w kuflu piwa, zwłaszcza że dzień upalny sprzyjał temu znakomicie. Niezbyt pewnie trzymając się na nogach, wyłonił się właśnie z sąsiedniego szynku nauczyciel O. Pohl, Niemiec z zachodu, a odgrażając się pod adresem Koralewskiego, tłumaczył przygodnym towarzyszom zabawy, że jest o swoją osobę zupełnie spokojny, nie obawia się niczyjej zemsty, a że jak nigdy nie zgodziłby się na to, by jego dzieci uczono religii po polsku, tak z drugiej strony przyznaje słuszność rodzicom Polakom, domagającym się dla swych dzieci nauki religii w języku ojczystym.

Są pewne dane, które wskazują, że ten na pozór bezstronny nauczyciel nie tylko srogo obchodził się z dziatwą, ale robił doniesienia do władz z powodu, że jakoby zaprowadzone w prowincji poznańskiej niemieckie pozdrowienie (!?): „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" celowo powtarzają dzieci po polsku, i proponuje je za to karać. Twierdzi przy tym że, jeżeli nie zostaną zastosowane względem dziatwy stosowne środki represyjne, zło się rozszerzy i wszystkie po polsku mówiące dzieci sprzeciwią się pozdrowieniom niemieckim (co widocznie zagrażało wielkości niemieckiej ojczyzny).

Władze szkolne pruskie zaskoczone wypadkami 20 maja wydają następujące instrukcje inspektorom okręgowym we Wrześni i Miłosławiu: „Rodzicom dzieci, które opierają się nauce niemieckiej religii, a mają prawo po ukończeniu czternastego roku życia opuścić szkołę, należy oznajmić, że obowiązkowa nauka szkolna zostaje im przedłużona o rok cały, zaś groźbę takową należy, gdyby nie osiągnęła należytego skutku, w czyn zamienić. Rozkaz swój uzasadnia regencja tym, że dzieci stawiając opór, wykazują brak dojrzałości moralnej" (*sittliche Reife*), a w głównym przedmiocie nauczania powszechnego nie dają dowodu, że zdołały uzyskać „dostateczne pensum wiedzy". Obwieścić się to ma rodzicom nie zbiorowo, „lecz od wypadku do wypadku". W pewnych razach może być wzięta w rachubę możność przeniesienia danego ucznia do niższej klasy. Aż do chwili stłumienia oporu zaleca się stosowanie karceru. Karać cieleśnie należy jedynie w razie stanowczego oporu, to jest wtenczas, gdy bierne nieposłuszeństwo zakłóca porządek szkolny.

[6] Patrz s. 185, przyp. 24.

Jak z powyższego wynika Niemcy zrozumieli dobrze taktykę Polaków. Toteż nie chcieli więcej dolewać oliwy do ognia i wkładać broni w ręce przeciwników; opór spodziewali się złamać, stopniowo i systematycznie ich nużąc.

Szczegółowe instrukcje zalecają karanie dzieci chłostą tylko w tych wypadkach, gdzie zostanie naruszona dyscyplina, a to zgodnie z przepisami i w obecności świadka. Tymczasem liczba opornych dzieci, znajdujących zachętę ze strony rodziców, wzrastała stale i objęła cały ogół dziatwy; wyjątek stanowiły dzieci, których rodzice zależni byli od łaski rządu. Władze pilnie śledziły zachowanie się tych ostatnich, a wzywając ojców, przedstawiały opłakane następstwa oporu dzieci. Dziatwa przejmowała się z zapałem swoją bohaterską misją, a występując solidarnie, prześladowała bezwzględnie „łamistrajków" i innych mniej uświadomionych towarzyszy. Ku przerażeniu pruskich pedagogów spotyka się u chłopców książki, gdzie podobizny Bismarcka i innych wielkości zostały oszpecone wykłuciem oczu. Naturalnie pociąga to za sobą nowe kary i represje. Materiał religijny usiłują nauczyciele przerabiać na godzinach języka niemieckiego. Osobliwie dają się użyć do tego celu stosowne wyjątki z historii biblijnej; na nauce śpiewu każą nucić niemieckie psalmy. Stanowczy opór stawiają dzieci przy odmawianiu porannej modlitwy po niemiecku, a jeśli się modlą, to tylko głośno i po polsku.

Społeczeństwo i prasa polska stanęły swymi sympatiami zgodnie po stronie dziatwy, a wskutek tego strajk przestawał być jedynie zatargiem lokalnym i przybierał charakter walki rasowej. Budziły się wśród ogółu niemieckiego obawy wcale uzasadnione, że idąc za przykładem Wrześni, zastrajkują dzieci szkolne w sąsiednich gminach i że w ten sposób potrafią Polacy przysporzyć rządowi pruskiemu niemało kłopotów, kompromitując cały jego system germanizacyjny. Sprawa wrzesińska nabrała rozgłosu nie tylko w Niemczech i Polsce, ale odbiła się głośnym echem w szerokim świecie słowiańskim. Nawet koła panslawistyczne rosyjskie szukają w tym czasie zbliżenia z Polakami, a ich polakożercza prasa staje na stanowisku, że do sporów wewnętrznych słowiańskich mieszać się Prusakom nie wolno. Chwilowo rodzi się nadzieja w pomoc rosyjską, jak temu niedwuznaczny wyraz dała „Praca" poznańska. Te złudzenia wywołane nastrojami chwili, nieoparte na żadnej realnej podstawie, musiały prysnąć w obliczu rzeczywistości. Wzmagające się niebawem prześladowanie żywiołu polskiego i katolickiego na Litwie kazało wyrzec się nieziszczalnych mrzonek. Należało poprzestać na własnych siłach i podtrzymując ducha w sercach młodzieży, zagrzać ją i rodziców do wytrwałości i poświęcenia. Ogół społeczeństwa, zdając sobie sprawę z powagi chwili, stara się utrzymać i zachęcić w solidarnym oporze zarówno rodziców, jak i dziatwę.

Zarówno we Wrześni, jak i w innych miastach zawiązują się osobne komitety opieki, które gromadząc środki pieniężne napływające z całej Polski, wypłacają poszkodowanym stosowne subsydia pieniężne.

Jednym z moralnych sprawców strajku wrzesińskiego, jak zresztą zupełnie trafnie w danym wypadku sądzili Niemcy, był wikary parafialny ksiądz Laskowski. Gorąco oddany sprawie etycznego wychowania roztaczał opiekę już w czasie swego pobytu w Wieluniu nad dziatwą szkolną, co musiało niewątpliwie zwrócić na siebie podejrzliwość władz pruskich. Gdy zadość czyniąc jej prośbom, zgodził się na tajemne nauczanie języka polskiego, otrzymał nakaz władz, zabraniający udzielania lekcji i skazujący go na karę pieniężną. Przeniesiony do Wrześni nie omieszkał znowu pójść za głosem serca, ratując przez osobistą styczność i wpływ dziatwę od wynarodowienia. Dzieci gromadziły się często na wikarówce, gdzie prócz nauki czytania otrzymywały książki polskie, wskutek czego mniej były poczytne książki niemieckie – a na co narzekali Niemcy. Sierota Władysława Wiśniewska bawiła od dziewiątego roku życia w niemieckim domu sierot; gdy opuściła zakład i przybyła do szkoły wrzesińskiej, nie umiała ani słowa po polsku, przez co w zachwyt wprawiała miejscowych pedagogów. Nagle stała się rzecz straszna: oto znaleziono u niej na godzinie nauki dwie książeczki. Jedna pod tytułem *Prawdziwy Polak* zawierała zbiór najniezbędniejszych słówek, zwrotów i rozmów, mających na celu możliwie prędkie nauczenie się potocznej mowy polskiej z dokładnym podaniem wymowy. Druga zawierała napisane po polsku dzieje Starego i Nowego Zakonu[7]. Obie te książki miał jej ofiarować ksiądz Laskowski. Jest całkiem rzeczą naturalną, że taka żarliwość dla mowy ojczystej jako objaw drzemiącego w głębinach duszy instynktu narodowego nie mogła podobać się jej najzaciętszym wrogom. Sprytniejsi atoli Niemcy nie chcieli robić zbyt wiele hałasu i woleli oszczędzać księdza Laskowskiego, podczas gdy reszta, a osobliwie nauczyciel Koralewski, szpiegowała jego czynności i gromadziła materiał oskarżający.

[...] Dezorientacja mas, podtrzymywanie kultu cesarskiego, duchowa germanizacja – oto były zasady i wytyczne pracy wychowawczej; jako takie musiały one z natury rzeczy zbankrutować z chwilą, gdy zanikać poczęło zaufanie w poczucie sprawiedliwości władz naczelnych. Pozornie mało znaczące zajście, jakie rozegrało się dnia 20 maja na rynku wrzesińskim, stworzyło idealną sposobność do skompromitowania całego systemu germanizacyjnego w szkole pruskiej. Przedstawiciele „kultury" pruskiej stanowią istotnie dobrane grono: są to bowiem ludzie nałogowi (Koralewski i Pohl) i zajadli renegaci. Nadzieja otrzymywania premii pieniężnych każe niektórym z nich przenosić

[7] Stary i Nowy Zakon – Stary i Nowy Testament. Chodzi o książkę Józefa Stagraczyńskiego, *Historya święta czyli Dzieje Starego i Nowego Zakonu: dla użytku szkół miejskich i wiejskich*, Księgarnia Katolicka, 1891.

się z dalekich okolic nadreńskich do Marchii Wschodniej, innym zapierać się mowy ojczystej. Osobliwie smutny obraz prostracji duchowej przedstawiają te jednostki z nauczycielstwa, które jako nosiciele (*Kulturträger*) wyższej kultury niemieckiej robią eksperymenty na zdrowej jeszcze duszy polskiego ludu. Typowym reprezentantem tego rodzaju ludzi jest niewątpliwie Koralewski. Czyż, mając przed sobą podobne sylwetki, nie nasuwa się wątpliwość co do prawdziwości słynnej tezy historycznej, wedle której zwycięstwo nad Francją w roku 1870 odniósł nauczyciel ludowy niemiecki...?! Jednym z najniebezpieczniejszych wrogów Niemiec była zawsze tradycja narodowa polska. Jak długo ta żyła – żył naród; można było prowadzić walkę z książką polską, nie znaczyło to bynajmniej, że ją natychmiast zastąpi książka niemiecka. Gorzej się stało, gdy nareszcie dziecku kazano się modlić po niemiecku. Na tym polu już musiała rozpocząć się walka, walka elementarnych podstaw tradycji z czymś, co jest jej bezwzględnym skażeniem i negacją. [...]

Dnia 14 listopada 1901 roku rozpoczął się słynny proces gnieźnieński, a na ławie oskarżonych zasiadło dwudziestu czterech obywateli miasta Wrześni. Świadków powołano czterdziestu, na galerii zgromadziła się doborowa publiczność. Rozprawie przewodniczył radca Kah. Po przesłuchaniu oskarżonych zabrał głos prokurator Langer, który słusznie zresztą podniósł, że znamieniem zasadniczym wszystkich spraw, jakie występują w tym procesie, jest przeciwieństwo zachodzące między Niemcami i Polakami. Państwo – wywodził – w tym zatargu musiało interweniować i wziąwszy w obronę niemczyznę, odeprzeć polskość. Do środków obronnych należało udzielanie nauki w języku niemieckim; opór skierowany przeciw nauce religii w języku niemieckim powstał nie samorzutnie, ale wskutek wzmożonej agitacji. Kary cielesne były całkiem na miejscu, toteż winny uchodzić jako pewien rodzaj „czynności urzędowych" (*Amtshandlungen*). Styl i słowa Langera dziwnie brzmią w ustach szermierza sprawiedliwości, który, zamiast mówić o przekroczeniu ustawy, nadaje swemu przemówieniu tło czysto polityczne. Jak nić czerwona przewijają się w tej mowie te same argumenty, jakie spotykało się ciągle w mowach Bismarcków, Bülowów i Wilhelmów II, odsłaniających cynicznie swe zaborcze zamiary wobec słowiańszczyzny. Cesarz orator nie zaniedbał użyć stosownej aluzji do sprawy wrzesińskiej w swej sławnej mowie malborskiej: „I znów doszło do tego, że polska buta chce ubliżyć niemczyźnie"... „Ten stary Malbork to stara warownia na wschodzie, punkt wyjścia dla kultury krajów położonych na wschód od Wisły, ma pozostać także w przyszłości zawsze symbolem działań niemieckich". W toku rozprawy ujawniło się kilka

epizodów, rzucających ciekawe światło zarówno na prostotę ducha oskarżonych, jak i na głupią pyszałkowatość pruskich urzędników. Gadzińska, Polka, stróżka przy szkole wrzesińskiej, wyraziła wobec całego audytorium zdanie, że Chrystus, apostołowie i Matka Boska rozmawiali między sobą po polsku... Sprostował jej twierdzenie obrońca Woliński, dodając przy tym, że zapatrywanie jej nie jest znowu tak bezdennie głupie, jeśli się zważy, że apostołowie w dniu zesłania Ducha Świętego otrzymali dar mówienia wszystkimi językami, aby mogli szerzyć światło Ewangelii w mowie zrozumiałej dla ludu. Te argumenty ubawiły prusaków; rozpisała się o nich prasa hakatystyczna, przytaczając je na dowód niższości kultury polskiej. Dlatego całkiem na miejscu będzie przytoczyć inny rodzaj rozumowania (niemiecki) występującego w roli świadka nauczyciela Scholzchena. Na pytanie wystosowane doń przez obrońcę Wolińskiego oznajmił, co następuje: „Z religią jest jak z mlekiem (tak również mówił dzieciom w szkole). Jest rzeczą obojętną, z jakiego naczynia je pijemy – ze szklanki czy z filiżanki. Mleko pozostanie mlekiem" (!). Istotnie ciekawe porównanie, świadczące o bystrości rozumowania już nie prostej Gadzińskiej, stróżki, ale światłodawcy pruskiego.

Od tych fałszywą powagą, obłudą lub śmiesznością tchnących wywodów odbijał uroczysty tenor przemówień obrońców polskich. Szło im bowiem nie o teatralny efekt, starali się nie tylko zmniejszyć winę oskarżonych, ale pragnęli nadto przed forum zebranej publiczności i reporterów pism występować w roli rzeczników wielkiej sprawy, usiłując poza areną sejmu pruskiego znaleźć drogę dla oddziaływania na opinię publiczną. Szczególnie śmiało, z głębokim poczuciem słuszności bronionej przez się sprawy zwraca się do Niemców zaprzysiężony obrońca Woliński: „Wy, moi panowie, jesteście wysokimi urzędnikami państwa, które się cieszy najwyższym rozkwitem, a którego potęga i sława promienieją daleko. Zważcie jednak, że w swej przeszłości państwo to miało również smutne i ciężkie godziny. Gdybyście, moi panowie, żyli w tych czasach, co byście rzekli, jeśliby dzieci wasze zmuszano uczyć się w obcym, niezrozumiałym języku wielkich prawd wiary, które mogą stać się dla nich drogowskazami w życiu późniejszym?". Odwołuje się na końcu swego przemówienia na uchwałę soboru trydenckiego, którego sesja dwudziesta czwarta zaznacza, że nauka religii ma być podawana *secudum captum* (zrozumiale). Że strona niemiecka, przysłuchując się tym wywodom, doznawała niemiłych wzruszeń, świadczy o tym wymownie zachowanie się korespondentów gazet niemieckich, którzy, nie czekając nawet końca wywodów, opuścili ostentacyjnie salę. Przykrych słów prawdy nie było potrzeby słuchać, zwłaszcza gdy mowa prokuratora już była gotowa do druku. Opierając się na niej, zatrąbił

hakatystyczny „Posener Tageblatt" w trąby jerychońskie, przelewając krokodyle łzy nad „biednym ludem" oszukanym przez przywódców ruchu narodowego. Dziś po wypadkach wielkiej wojny światowej nietrudno stwierdzić, jak smutny obraz przedstawiałaby ziemia poznańska, gdyby jej „biedny lud polski" nie miał zaufania do swych przywódców w chwilach dla narodu najcięższych (!). Dziębowski, drugi obrońca, widzi w wypadkach, jakie zaszły, sytuację tragiczną bez wyjścia i stwierdza, że są one szkodliwe dla państwa, gdyż podkopują miłość poddanych do panującego. Nie wie, a raczej symuluje nieświadomość, że wprowadzenie nauki religii w języku niemieckim było postanowione już od dawna i że wyszło z natchnienia władców pruskich. Ze względów zapewne taktycznych atakuje też Wintera za to, że chce być konsekwentny w przeprowadzeniu rozporządzeń władzy regencji poznańskiej, których sam jest duchowym sprawcą (w istocie było inaczej[8]). Oskarża go za to nie przed zwykłym sądem, lecz przed trybunałem cywilizacji, gdzie go – jak spodziewa się – na pewno potępią. Ożywiony i ostry dialog wywiązuje się również po przemówieniu rzeczoznawcy doktora Krzyżagórskiego z Wrześni, który w słynnym dniu 20 maja stwierdził liczne obrażenia cielesne u pobitej dziatwy.

Prusaków oburza naturalnie lekceważenie „metod" pruskiej pedagogiki i dlatego, mimo protestów ze strony obrońców polskich, stawia prokurator wniosek, by zapytać doktora Krzyżagórskiego, czy należy do „*polnische Partei*", przy czym o istnieniu polskiego stronnictwa mówi w następujący sposób: „Miano polskiej partii nadaję tym, którzy pracują nad zachowaniem myśli i świadomości narodowej przez przechowywanie w pamięci dziejowej przeszłości i narodowych zwyczajów w ogóle tym, co utrzymują łączność ze sprawą polską". [...] Odpowiedzią na taki cynizm mogła być tylko ironia, którą tchnęły słowa obrońcy Wolińskiego, a który oznajmił, że nareszcie udało mu się dowiedzieć, czym jest w pojęciach Niemców tak zwana polska partia... Wyjaśnił, że to bynajmniej nie jest żadna partia, gdyż na jej program piszą się wszyscy Polacy. Wystarczy przeto zapytać doktora Krzyżagórskiego, czy jest Polakiem, o czym zresztą pan prokurator musi wiedzieć dobrze. Kiedy zatem izba uchwaliła dopuścić do głosu doktora Krzyżagórskiego i postawiła mu stosowne pytanie, odpowiedział: „Jestem Polakiem i do żadnej osobnej partii nie należę". Długie i porywające mowy obrońców, tchnące głębokim poczuciem prawa i sprawiedliwości nie tylko nie wzruszyły sumienia sędziów, ale podyktować kazały wyroki srogie, skazujące dwadzieścia osób na ciężkie kary więzienia (od jednego miesiąca do dwóch i pół roku!). Uzasadnienie kary miało na względzie naruszenie

[8] Jak to zdołałem stwierdzić na podstawie dokumentów [przyp. autora].

autorytetu państwa wskutek zakłócenia porządku publicznego czyli, jak mówiono, „*Landfriedenbruch*". Sędziowie Niemcy nie brali naturalnie pod rozwagę tego, że oskarżeni, stając w obronie swych najświętszych praw przyrodzonych: mowy ojczystej i przekonań religijnych, działali z pobudek idealnych. Surowym wyrokiem chcieli odstraszyć lud prosty od powtórzenia w przyszłości ekscesów, a inteligencję uczynić moralną sprawczynią klęski, jaka spadła na oskarżonych. Obawiali się widocznie zbliżenia się między rozmaitymi warstwami społeczeństwa polskiego, uświadomienia mas, które rosło, a na które w niemałym stopniu mógł wpłynąć dodatnio strajk szkolny. W ogniu staczanej walki stawała się hartowną niby stal dusza polskiego chłopa. Zrozumiał niebezpieczeństwo i zaczął bronić swej ojcowizny. Najlepiej sprawę tę ilustrują cyfry, wyrażające zmianę stanu posiadania u Polaków i Niemców. Liczba wykupionych od roku 1902 z rąk niemieckich gospodarstw włościańskich wzrasta kilkakrotnie w stosunku do poprzedniego dziesięciolecia, a jakkolwiek i Niemcy ujawniają na tym polu zwiększoną zapobiegliwość, przecież wysiłki ich są niewspółmierne i nie są w możności wyrównać ponoszonych strat. Wynikało z natury rzeczy, że stan taki dla niemczyzny niepomyślny musiał przyspieszyć narodziny ustawy kolonizacyjnej, za pomocą której rząd postanowił zwalczać już nie tylko pewien odłam społeczeństwa polskiego, ale cały ogół, godząc w podwaliny jego materialnej egzystencji. Z drugiej strony „dopiero dramat wrzesiński sam z siebie uczynił to, cośmy zaniedbywali, pobudził świat do myśli" („Praca"). Toteż w liście skierowanym do dziennikarzy zaboru pruskiego mówi Henryk Sienkiewicz o Słowianach jako o rasie młodszej, pełnej rozmachu i entuzjazmu życia, która winna zwyciężyć w walce z germanizmem. Sędziwy powieściopisarz Teodor Tomasz Jeż, zwracając się w innym liście do matek Polek, radził, by krzywdę wyrządzoną dziatwie wrzesińskiej opowiedziały matkom całego świata. W parlamencie wiedeńskim poruszył sprawę wrzesińską popularny hrabia Wojciech Dzieduszycki [...], w berlińskim książę Radziwiłł. Nawet pewna część Niemców zrozumiała, że w walce z systemem pruskim odniósł moralne zwycięstwo idealizm dzieci nad brutalną siłą pięści. „Breslauer Grenzzeitung" podniosła, że dzieci wrzesińskie cierpiały jak przystało na męczenników wiary. „Czoła uchylić musimy przed mężnymi dziećmi szkolnymi, które raczej gotowe były zawlec się na rusztowanie, niż sprzeniewierzyć się swym świętym dziecięcym przekonaniom. I takie dzieci bywają bite! Gdybyśmy w państwie naszym mieli dużo takich dzieci – to jakich zacnych, jakich szlachetnych ludzi mogliby z nich zrobić światli wychowawcy?! Małych męczenników wrzesińskich sławić będą

niewątpliwie w pieśni polscy poeci, a płomień tych poezji rozpali serca młodzieży do dalszego oporu przeciw wynarodowieniu". Podobne jednak głosy słyszy się rzadko na tle ogólnego hymnu nienawiści i hasła: *ausrotten*[9].

Po naradzie, jaka odbyła się w Poznaniu, w obecności dyrektora Szauernkopfa i doktora Frankego przyszło do konkluzji, że należy patrzeć na pewne rzeczy przez palce, a dzieci trzeba znużyć. W tym też celu postanowiono powołać do życia przy szkole wrzesińskiej tak zwane klasy karne, w których by mogła być umieszczoną oporna dziatwa.

Z wiosną 1902 roku zarówno uczniowie, jak i ich rodzice trwają w niezłomnym oporze. Dzieci przestają odzywać się po niemiecku. Matki zabraniają witać nauczycieli słowami: „*Gelobt sei Jesus Christus*"[10], bo to jest rodzaj modlitwy, więc pozdrowienie niemieckie byłoby grzechem. Uczeń Woźniak argumentuje: „Ja na chrzcie świętym przysięgałem nie przyjmować żadnej nowej religii". Liczba opornych wzrasta do cyfry siedemdziesięciu ośmiu; wobec tego Winter dochodzi do wniosku, że dalsze kary cielesne nie są na miejscu i dzieci starsze muszą być nadal zatrzymane. Próbowano składać na ręce inspektoratu prośby o zwolnienie. Odpowiedzi naturalnie były wszystkie odmowne. Według oznajmienia Wintera musi dziatwa uczęszczać do szkoły nadal z tego powodu, że posiada brak „obyczajowej dojrzałości, jako też dlatego, że w jednym z głównych przedmiotów nauczania (to znaczy w religii!) nie dała dowodu, że posiada dostateczny zasób wiadomości" (!).

Po długich i kłopotliwych naradach przedstawiła regencja poznańska ministerstwu plan, dotyczący zlikwidowania strajku, zaś dnia 10 marca 1902 otrzymała gmina szkolna wrzesińska okólnik ministerialny, w którym najwyższa magistratura oświatowa zaznacza, że nowe środki wychowawcze, jakie z winy jej obywateli zostały powołane do życia, nie mogą być opłacane z funduszów państwowych i że cały nowy ciężar podatkowy będzie zmuszoną ponieść sama. Położenie obu stron walczących ze sobą staje się wielce zawikłane. Miejscowe władze szkolne skarżą się, że ośmiesza się nauczycieli w przedstawieniach teatralnych; regencja przeto tym usilniej winna dbać o ich lepsze materialne uposażenie, aby przeciwdziałać emigracji na zachód. (Szkoda, że się to nie stało). Jeden z nowo przybyłych nauczycieli, Wokittel, chcąc wynająć mieszkanie u pewnej wdowy, spotkał się z zapytaniem, czy mówi po polsku. [...] Inny, zresztą mówiący po polsku nauczyciel, lęka się opuszczenia swego starego i niewygodnego mieszkania, gdyż mógłby pozostać bez dachu nad głową. W sklepach daje się odczuwać wyraźnie bojkot Niemców lub osób mówiących po niemiecku. Na postawione sobie pytania odpowiadają kupcy z reguły po polsku; nawet służące nie chcą przyjmować służby u Niemców

[9] *Ausrotten* (niem.) – wykorzeniać.

[10] *Gelobt sei Jesus Christus* (niem.) – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

lub żądają większego wynagrodzenia; sklepikarze nie chcą zaopatrywać ich w niezbędne artykuły życia i odmawiają nawet sprzedaży mleka.

Dopiero większy duch wstąpił w nację niemiecką, gdy rozeszła się wiadomość, że z dniem 1 kwietnia ma zawitać do Wrześni batalion wojska jako wierna straż niemczyzny na ziemi słowiańskiej. Podobne bataliony miały być poumieszczane z załogą również i w innych miastach polskich. Nadzieja łatwego zarobku i obawa przed Polakami kazały obywatelom niemieckim zwracać się częstokroć do Berlina z charakterystyczną prośbą: „*Uns auch ein Batalionchen*"[11].

Niebawem chcąc utrzymać stałą załogę, przystąpiły władze wojskowe do budowy we Wrześni okazałych koszar, które to przedsięwzięcie nie poszło na marne, skoro, w niespełna lat dwadzieścia po słynnej sprawie wrzesińskiej, mogły w ich murach znaleźć dla siebie wygodne pomieszczenie oddziały wojskowe zmartwychwstałej Rzeczypospolitej!

Gmina szkolna opierała się wynajęciu baraków na tak zwane klasy karne, lecz na próżno. Już 3 kwietnia odbyło się otwarcie nowej szkoły i wprowadzenie siedmiu dalszych nauczycieli; na końcu uroczystości po poprzednim „patriotycznym" przemówieniu landrat zawołał: „*Kajserhoch*"[12]. Niektórzy z rodziców próbowali stawiać dalszy opór, odgrażając się, że gdyby dzieci ich miały uczęszczać do szkoły nawet do dwudziestego roku życia, do nauki religii w języku niemieckim nie dopuszczą. Były to jednak już raczej odruchy, gdyż na ogół rząd ostatecznie odniósł nad biedną ludnością wrzesińską pyrrusowe zwycięstwo. Niedwuznaczny wyraz temu dał doktor Winter w swej inauguracyjnej mowie podczas otwarcia szkoły, i to w sposób, który przynosi zaszczyt pruskiej kulturze jego ducha. Wyraziwszy ubolewanie, że wskutek swego krnąbrnego postępowania dzieci skłoniły rząd państwowy do podjęcia kroków stanowczych, podniósł z radością, że ten sam rząd potrafi również silną dłonią przeprowadzić wszelkie środki zapobiegawcze.

Ciężar nowych kosztów, które ponosiła gmina na utrzymanie sił nauczycielskich, przetrzymywanie dzieci w szkole powyżej przepisanego wieku, zniechęcenie ogólne i zatargi z miejscowym komitetem powodowały bezustanną dezercję w obozie opornych. Rozpatrując zapiski z tych czasów, obserwujemy coraz mniejszą liczbę dzieci trwającą w oporze. I tak wedle relacji inspektora z dnia 28 czerwca 1902 notują sprawozdania klasowe trzynaście procent, to jest osiemnaścioro opornych. [...]

Jeszcze w końcu sierpnia roku 1902 mamy trzynaścioro opornych, których nazwiska zasługują na wzmiankę: Podsędek, Kantorczyk, Mularczyk, Jankowiak, Jerszyński, Nowicki, Jagodziński, Nowaczewski, Izydorek, Staszakówna,

[11] *Uns auch ein Batalionchen* (niem.) – Dla nas też batalionik.

[12] Właśc. *Keiserhoch* (niem.) – Niech żyje cesarz.

Owczarkówna, Sadowska, Stachorska. Dzieci te zachowują się w szkole zupełnie spokojnie i biernie, co trzeci dzień odsiadują z góry przepisaną karę karceru... Z biegiem czasu i ta liczba maleje, mamy już tylko siedmioro. Groźba regencji, że dzieci te zostaną zatrzymane przez jeszcze jeden rok (trzeci) w szkole, uczyniła dalszą walkę bezcelową. Zostawszy nareszcie panem sytuacji, przenosi rząd chwilowo sprowadzonych nauczycieli do nowych miejscowości. Pozbawiona nadziei odzyskania nauki religii w języku ojczystym poddała się ludność wrzesińska biernej rezygnacji, nie wiedząc może o tym, że trud jej bezowocny nie był, że swym wystąpieniem uratowała chwiejne jednostki od zatrucia obcym wpływem, że pozwoliła swym dzieciom przetrwać w czasach, kiedy naród był wystawiony na jeszcze straszniejsze ataki hakatyzmu. Jakkolwiek system germanizacyjny czynił tu i ówdzie zdobycze, odrywając od pnia narodu jednostki słabe i chwiejne, jeżeli w mało krytycznych umysłach budził podziw dla tak zwanej pruskiej kultury, to jednak dni jego były policzone; jako taki nie wyrządził nawet społeczeństwu szkód tyle, co rusyfikacja na Wschodzie. Kultura prawdziwa jest twórcza i budująca. Prusacy, podobnie jak Rosjanie, osiągnęli w czasie swego panowania cel jeden: zdołali zahamować rozwój twórczości narodowej, zagłuszyć nasiona rodzinnej cywilizacji, tysiące istnień ludzkich wykoleić. Lecz z dala od gwaru i ruchu wielkomiejskiego, na wsi i w miasteczkach, rozbrzmiewała nieskażona obcymi wpływami odwieczna gwara piastowa, a biały orzeł, jedyny prawy spadkobierca i władca krainy nadgoplańskiej, czuwał, by zjednoczywszy się z wolną Macierzą, weszła w nowe życie, pełne bujnego rozkwitu.

Jakże się odmieniła karta dziejów po upływie lat dwudziestu? Pod wpływem czarodziejskiej mowy polskiej, która odzyskała wszystkie należne jej prawa w szkole własnej, zaczynają powstawać nowe wartości kulturalne i twórcze podniety. Również na polu stosowania odpowiednich metod wychowawczych zaznacza się widoczny postęp, a pomimo ciągłego jeszcze braku sił kwalifikowanych polskich walka dawnego szablonu z nowymi zasadami kończy się zwycięstwem tych ostatnich. Ta uwaga końcowa o tyle jest tu na miejscu, że zbija twierdzenie jednego z pedagogów, człowieka pełnego zapału i dobrych chęci, który powiedział, że szkoła pruska była, jeśli idzie o system wychowawczy, „błogosławieństwem". Wprawdzie walcząc o swe prawa narodowe, zahartowała się jednostka niejedna, wyrobiła sobie charakter stały i nieugięty – nie było to jednak zasługą szkoły pruskiej, lecz raczej skutkiem reakcji przeciw jej systemowi. Celem, do którego zmierzały wszystkie jej usiłowania, była germanizacja, a jednym z głównych środków wpajania wiedzy i dobrych

obyczajów był kij (rzecz obojętna jaki: przepisowy lub nie). A gdzież są dobre wzory, przykład dobry idący z góry? Na to wystarczy przeglądnąć sylwetki pedagogów wrzesińskich z roku 1901, by wywołać na ustach bezstronnego świadka uśmiech politowania.

Mała garstka bezwolnych, pozbawionych samokrytycyzmu istot, jednostek polskiego pochodzenia, lękających się na każdym kroku niby cienia argusowego wzroku władzy pruskiej, żyła w odosobnieniu od społeczeństwa polskiego, obcowała przeważnie ze swymi niemieckimi kolegami, biorąc udział w ich życiu towarzyskim i związkach. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że nauczyciel (Polak) nie odegrał w życiu społecznym byłego zaboru pruskiego tej roli przewodniej jak pewne czynniki inne (na przykład księża); gdy zaś zbliżał się niekiedy do ludu (jak Karol Miarka na Górnym Śląsku), porzucał zawód.

Jedno z głównych zadań najbliższej przyszłości to wyszkolenie kadr zdrowego i fachowo przygotowanego stanu nauczycielskiego, który by obok pracy wychowawczej w szkole mógł uczestniczyć w organizacji oświatowej i ekonomicznej wsi i miasta. Głęboka wiara w wielkie skarby ducha narodowego nie pozwoli już nigdy na to, by obcy język i obyczaj mogły się plenić na naszej polskiej, prasłowiańskiej ziemi, ona też sprawi, by w Poznaniu nie został na próżno wzniesiony toast na pomyślność „prowincji poznańskiej" i jej nadwarciańskiej stolicy" przez ostatniego z koronowanych Hohenzollernów.

Tadeusz Staniewski, *Dni strajku szkolnego we Wrześni*, Września: Wyd. A. Prądzyński, 1923, fragmenty

1926

Józef Moszyński (1893–1975)

Bimber nawet z nogi

Pisał o tym, czego często obawiają się poważne redakcje, czyli o rzeczach błahych. „Przyczynkarstwo i ciekawostkowość – tak, ale w pismach, które przegląda się u fryzjera" – mówiliśmy przez całe lata, odrzucając tego typu tematy w „Gazecie Wyborczej", która miała się zajmować wyłącznie rzeczami ważnymi. Dla tematów lekkich przeznaczało się specjalny czas, na przykład lato, gdy wydawano „Gazetę na Plażę". Teraz odpuściliśmy. Świat od „ważnego" pisania nie zmienił się tak bardzo na lepsze, a brak tematów lekkich i przyjemnych robił z nas nudziarzy. Zaburzał jednak jakąś niezbędną dla organizmu człowieka, ale i gazety równowagę. Jeśli reporter do błahego tematu podchodzi z talentem, z jego reportażu może wyniknąć coś istotnego. Jak twierdził wicenaczelny „Gazety" Ernest Skalski, dobry reporter upędzi bimber nawet z nogi od krzesła.

Józef Moszyński – redaktor i reporter „Tygodnika Ilustrowanego" – wiedział to wszystko już dziewięćdziesiąt lat temu. „Tygodnik", pismo poważne, patriotyczne i misyjne, pozwalał sobie na luz i dostarczał czytelnikom bezpretensjonalnych reportaży i obrazków.

> Któregoś dnia po wszechstronnym omówieniu nieudanej konferencji genewskiej, po zupełnym wyczerpaniu najaktualniejszych tematów polityki wewnętrznej i skonstatowaniu, że ustrój parlamentarny przeżywa na całym świecie ostry kryzys, który niestety trwa nadal [...] doszliśmy do przekonania, iż najbardziej aktualnym wydarzeniem chwili jest nadejście wiosny – pisze w numerze 15 „Tygodnika" z 1926 roku. – Ten odwieczny, choć co rok nowy temat straciłby jednak również swoje powaby, gdybyśmy na wiosnę spojrzeć chcieli okiem średniego obywatela, stroskanego do głębi konstruowaniem skromnego budżetu miesięcznego i na próżno usiłującego rozpaczliwym gestem uchwycić ów „koniec", który należy związać z końcem. Równie beznadziejną wydałaby się wiosna, obserwowana okiem nieszczęsnego męża, dla którego nadejście wiosny polega jedynie na konieczności sprawienia swej drugiej połowicy nowego kostiumu wiosennego wraz z kapeluszem [...]. Dlatego to postanowiliśmy spojrzeć na wiosnę innymi oczami. [...] Spojrzyjmy na świat oczami małych ludzi.

Reporter wybiera się więc do parku Ujazdowskiego w Warszawie, gdzie bawi się gromada dzieci. Rozmawia z nimi o tym, czym aktualnie żyją (zły sen, nowa lalka), i podsłuchuje, o czym rozmawiają ze sobą i z opiekunkami:

> Bitwa w toku. Nagle przerwa. Zawieszenie broni. Naczelny wódz grupy atakującej ma jakąś myśl nową. Coś rozważa, zastanawia się. Wreszcie decyduje: – My jesteśmy wojskiem Napoljona. Ja będę Napoljonem, a ty Janku?
>
> – Ja jestem książę Józef.
>
> – Napoljon miał inny kapelusz, a książę Józef miał baczki – odzywa się głos protestu.
>
> – A oni tam w fortecy, to będą bolszewicy – woła sprytny Henio.
>
> – Bolszewicy?... pyta Napoleon. Czekajcie, ja muszę pójść do pani.
>
> – Proszę pani... – mówi niecierpliwie wódz i pociąga lekko panią za rękaw.
>
> – Czy Napoljon był dobry dla Polski?
>
> „Pani" spogląda przez chwilkę na zdyszanego malca, uśmiecha się i myśli.
>
> – Czemu pytasz o to Jurku?
>
> – Bo muszę zaraz wiedzieć, czy był dobry dla Polski.
>
> – Czy był dobry?... Tak sobie Jurku, tak sobie...
>
> – Taak sobie...? – Powtarza zmartwiony Jurek i znowu nad czymś myśli.
>
> – A czy Napoljon bił się z bolszewikami? – pyta już z mniejszą werwą.
>
> – Nie, dziecko, wtedy nie było jeszcze bolszewików – mówi, śmiejąc się „pani".
>
> – Nie było... – Jurek robi zakłopotaną minę i odchodzi powoli do swego wojska.
>
> – No i co? – pyta książę Józef.
>
> – Nic – odpowiada krótko Józef. – Ja wcale nie jestem Napoljonem. Oni to bolszewicy, ja jestem Piłsudski, a ty Haller.
>
> I bitwa zaczyna się na nowo.

Józef Moszyński pochodził z Podola, z rodziny o tradycjach ziemiańskich. Kiedy był dzieckiem, przeprowadzili się do Warszawy, gdyż ojciec został dyrektorem stołecznej Fabryki Wyrobów Metalowych Rohn Zieliński i S-ka. Studia zaczął w 1913 roku na Kursach Handlowych Męskich (późniejsza Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie), przerwane zostały jednak przez pierwszą wojnę światową. Jako oficer kawalerii carskiego wojska trafił wówczas na front. Po wojnie został adiutantem sztabowym i stałym korespondentem „Kuriera Warszawskiego"; pisał codzienne komunikaty z wojny polsko-radzieckiej, sygnowane „M.B." i „B.M.". Uczestniczył w misji prowadzącej pertraktacje z wojskami

ZSRR, a w 1922 roku został nominowany na stanowisko sekretarza delegacji polskiej w Mieszanej Komisji Granicznej na Wschodzie. W 1925 roku porzucił służbę wojskową i przeszedł do pracy w prasie. W redakcji „Naokoło świata" był zastępcą redaktora naczelnego, a od 1927 roku – redaktorem naczelnym. Równocześnie sprawował pieczę nad „Tygodnikiem Ilustrowanym". W latach 1925–1926, podczas wojny hiszpańskiej i francuskiej w Maroko (o Republikę Rif), nadał ponad sto sześćdziesiąt korespondencji wojennych. W czasie drugiej wojny światowej był w konspiracji, żył z produkcji mydła. Pod koniec powstania został schwytany przez Niemców, później ranny trafił do obozu w Pruszkowie, skąd uciekł. W 1945 roku zatrudniono go w wydawnictwie Czytelnik, m.in. w jego delegaturze w Szczecinie. Od 1947 roku pracował jako dyrektor administracyjny Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy. Sześć lat później, już jako emeryt, powrócił do Warszawy.

Jakby w opozycji do twardego, wojskowego życia jego wielkim atutem była reporterska wrażliwość na rzeczy ulotne i drobiazgi. Taki jest też jego uroczy reportaż o wpływie radia na życie Polaków.

Hallo, hallo... fala 480 mtr...

Ładując się w upalny, słoneczny dzień listopadowy w porcie Casablanki na pokład wielkiego parowca transatlantyckiego odpływającego do Bordeaux, nie przypuszczałem wcale, że wypadnie mi przebyć na Oceanie Atlantyckim groźną burzę huraganową, szalejącą niemal bez przerwy przez trzy z górą doby.

Cała podróż ta obliczona była na trzy dni, tymczasem, dzięki burzy właśnie, musieliśmy błąkać się po Atlantyku w przeciągu aż pięciu długich dni.

Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności nie ulegam wcale chorobie morskiej i dlatego nieporównanie lżejszą była podróż ta dla mnie niż dla reszty pasażerów, którzy już nazajutrz rano po opuszczeniu Casablanki, kiedy burza się rozpoczęła, zalegli wszyscy swe kabiny, aby ostatniego dopiero dnia podróży ukazać się na pokładzie okrętu z twarzami zwiędłymi i wychudłymi z przemęczenia.

Wszyscy zresztą, nie wyłączając załogi okrętowej, byliśmy już dość znużeni wówczas i oczekiwaliśmy z upragnieniem końca podróży.

Droga była rzeczywiście wyjątkowo ciężka. Okręt nasz wspinał się na olbrzymie zwały spienionej wody, aby potem spaść nagle w dół dziobem w postawie niemal pionowej i znów wielkie bałwany zalewały obficie górny jego pokład.

Trzeciego dnia podróży późnym już wieczorem zbliżyliśmy się do Zatoki Biskajskiej, burzliwej zazwyczaj w tym okresie jesiennym. Owego dnia ocean rozszalał się niepomiernie. Okręt trzeszczał i zdawało się, że lada chwila woda zgniecie go jak wątłą skorupę. Barometr wskazywał zaledwie 715 mm ciśnienia, co oznaczało dalszą gwałtowną burzę.

Wiadomość, iż zbliżamy się właśnie do Zatoki Biskajskiej, dolewała nieco otuchy w serca przerażonych podróżnych, dla których sam wyraz „zatoka" oznaczał już coś mniej groźnego niż wielki, rozszalały ocean, zawsze przecież bliżej lądu!

W oddali, w prawo od nas, z brzegów Hiszpanii, zamigotała przerywanym światłem latarnia morska – ląd... Wtem zasyczała gwałtownie radiostacja okrętowa: głośny, przenikliwy, syczący pisk aparatu nadającego w przestrzeń jakieś wyrazy alfabetem Morse'a.

Depesza na ląd.

Przyszły mi wówczas na myśl czytane kiedyś w gazetach wiadomości o tonącym Titanicu i o bohaterskim jego telegrafiście, wzywającym do ostatniej chwili przez radio pomocy dla ginących pasażerów.

I nie bacząc na to, iż w czasie wojny miałem nieraz możność w sytuacjach trudnych ocenić należycie wartość usług radiostacji polowej, teraz jednak dopiero z całą wyrazistością odczułem, jak niesłychanie doniosłe znaczenie praktyczne posiada w dziedzinie łączności ten epokowy wynalazek.

Dowiedziałem się wprawdzie wkrótce, iż radio przyniosło nam z lądu wiadomości wcale niepocieszające: otrzymana depesza zawierała zakaz wjazdu na wzburzone i niebezpieczne wody Zatoki Biskajskiej, gdzie pomimo złudnej bliskości lądu groziło nam rozbicie o skały. Nakazano nam tedy odwrót na otwarty ocean i spędzenie burzliwej nocy na jego rozszalałych wodach. Ładna perspektywa! – myślałem sobie wówczas.

Wiadomość ta przedostała się też niebawem do kabin złożonych niemocą, a tak bezlitośnie przez ocean kołysanych na swych łożach pasażerów – przyczyniając się w znacznym stopniu do pogorszenia stanu ich zdrowia.

Dziś technika radiowa osiągnęła już tak wielkie wyniki, o jakich nie marzyło się jeszcze przed kilku laty.

Maleńki, o prostej konstrukcji aparat odbiorczy, pozwalający słuchać nadawanych z różnych krańców świata wiadomości i muzyki w formie bezpośrednio zrozumiałej dla każdego słuchacza, nie zaś – jak to do niedawna jeszcze było – przy pomocy umówionych sygnałów Morse'a, jest dostępny dla najszerszych kół publiczności.

Na doskonale i z wielkim nakładem pracy zorganizowanej Ogólnokrajowej Wystawie Radiowej w Warszawie dano możność licznie zwiedzającej ją publiczności zapoznać się z obecnym stanem techniki radiowej w ogóle i w Polsce – w szczególności...

W popularnej formie podawane przez specjalistów wyczerpujące objaśnienia ułatwiły odwiedzającym wystawę gościom zrozumienie przedmiotu i przyczynią się niezawodnie do rozpowszechnienia radia w Polsce.

A czyż można było jeszcze kilka lat temu przypuszczać, że ten cudowny przyrząd, przy którego pomocy uda nam się pochwycić rozsiane w przestrzeni dźwięki, będzie w konstrukcji swej tak prosty i tani, iż potrafi go zbudować ośmioletni Boguś czy dziesięcioletni Franio, uczniaczek ze wstępnej klasy?

I czyż ośmielano się podejrzewać, że taki najprostszej budowy odbiornik radiowy da się bez trudności pomieścić w kopercie od zegarka kieszonkowego, w pudełku od zapałek, kostce z domina lub w łupince od orzecha i że aparat

taki, skonstruowany przez młodocianego amatora, kosztować będzie zaledwie dziewięćdziesiąt groszy?

Wszystko to jeszcze dziesięć, pięć lat temu nie pomieściłoby się w najbujniejszej wyobraźni człowieka.

Dziś jednak ludzkość zbyt już jest popsuta rozwojem techniki, tak że coraz trudniej jest doprawdy zaimponować czymkolwiek prostym nawet zupełnie ludziom, żyjącym z dala od kultury.

Prosty Bartek lub Maciek z zapadłej jakiejś wiosczyny, idąc za postępem chwili, kupował sobie przed paru laty, niedawno zresztą, bo w czasie inflacji marki polskiej – gramofony, dziś ten sam Bartek, przyjeżdżając do miasta na targ, dowiedział się od przekupek o rozwoju radia, słuchał potem z rozdziawioną gębą wielkich głośników radiowych wysuniętych z okien podchorążówki w czasie wystawy radiowej w Warszawie i choć uśmiechał się z początku głupkowato, później chytrze, sądząc, iż „biorą go na kawał" – jutro kupi sobie niezawodnie sam radio i słuchać będzie pogadanek ze stolicy i koncertów z Paryża i Londynu.

I niczym go już wtedy nie zadziwisz.

Starą, wychudłą szkapiną, zaprzężoną do roztrzęsionego wózka przyjeżdżał co dzień do miasta. Woził mleko.

Od niepamiętnych prawie czasów, hen, jak pamięcią sięgnął, widział się zawsze na wózku z całą gromadą naczyń blaszanych, pełnych świeżego mleka lub pustych już, kiedy wracał z Warszawy do wsi.

Żebyż choć z własnej obory mleko woził! Ale gdzie tam! Na całym swym trzymorgowym gospodarstwie miał jedną krowinę, chudą – jak ten koń, którym do miasta jeździł – więc odrobiną mleka, którym go obdzielała, żywił się wraz z żoną starą i był tylko najemnym dostawcą mleka ze wsi.

Przez całe życie ciułał kopiejkę do kopiejki, potem fenig do feniga, wreszcie grosz do grosza. Uciułane z kopiejek ruble zabrał mu syn, gdy odjeżdżał do „Hameryki", z fenigów uzbierane marki sprzedać chciał na funty poniewczasie, lecz nie znalazłszy kupca, zachował je w komorze, w niewielkiej skrzyni. Najtrudniej jakoś ciułały się z groszy złote – więc biedny był stary.

Obmierzła mu też już ta wieczna jazda z blaszankami do miasta trzy mile i z powrotem tyleż, po drodze, na której znał już każdy kamień na pamięć i krzak każdy.

Posłał więc list do syna, by mu przysłał nieco dolarów na drugą krowę, wtedy już kto inny do miasta jeździł będzie, a on mu jeszcze swoje mleko sprzeda. Ale syn niecnota ani dolarów mu nie słał, ani odpowiedzi nijakiej.

Któregoś więc dnia, nasłuchawszy się od przekupki Ignacowej o doskonałości komunikacji radiowej, przy której pomocy słuchała wczoraj na własne uszy mowy ludzkiej aż z Paryża, stary mleczarz udał się swą szkapiną pod gmach wystawy radiowej.

Tam pozdrowiwszy wszystkich u wejścia donośnym: „Niech będzie pochwalony", oświadczył komuś, iż pragnie tu rozmówić się ze swym synem.

– Mówiom ludzie w mieście, że przez te wasze haparaty można by pogodoć z moim Frankiem z Hameryki. Chcę mu powiedzieć tylko, żeby mi co rychlej trochę dolarów przysłał.

I długo przekonywać go musiano, że jest to jeszcze teraz niemożliwe, gdyż technika radiowa, pomimo wielkiego postępu, nie osiągnęła u nas jeszcze takiego stopnia rozwoju.

Niedowierzająco słuchał tych objaśnień, twierdząc uporczywie, że skoro Ignacowa słuchała wczoraj mowy ludzkiej z Paryża, to czemu by on nie miał rozmówić się z Hameryką?

Wreszcie, zmartwiony bardzo, poskrobawszy się w głowę, odjechał, oświadczając, że w takim razie powróci tu za rok – to może już wówczas można będzie rozmówić się z Frankiem.

„Tygodnik Ilustrowany" 1926, nr 26

1926

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (1898–1986)

Modelem byłem ja sam

Reportaż Strumpha-Wojtkiewicza znalazł się w tej antologii na wyraźne życzenie Melchiora Wańkowicza. Kiedy autor *Karafki La Fontaine'a*, który wiedział wszystko o reportażu krajowym i światowym, recenzował antologię polskiego reportażu międzywojennego *Polskie drogi* (1962), zarzucił redaktorom, że brakuje w niej reportażu o zamachu stanu z 1926 roku.

Wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom Wańkowicza i prezentujemy tekst o przewrocie majowym, materiał, który mistrz sam zatwierdził do druku. Otóż wydawnictwo Rój, potęga wydawnicza przedwojennej Polski, które Wańkowicz prowadził razem z Marianem Kisterem, złożyła zamówienie u trojga młodych autorów. Wanda Melcer, Maria Szpyrkówna i Stanisław Strumph-Wojtkiewicz mieli napisać szybkie reportaże o wydarzeniach majowych. Reportaż Strumpha wraz z fragmentami tekstów obu autorek ukazał się w Rojowskiej serii „Biblioteczka Historyczno-Geograficzna".

Po latach od tego zdarzenia cała sympatia Wańkowicza do Strumpha wygasła, a nawet przypuścił na niego atak, ale o tym za chwilę.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz był synem sędziego i nauczycielki, urodził się na Kaukazie lub, jak podają inne źródła, w Warszawie. Od roku 1917 do września 1920 był podoficerem u ułanów krechowieckich i uczestniczył niemal we wszystkich kampaniach odradzającego się wojska Rzeczpospolitej. Został ranny i przeniesiony do rezerwy. Pracował jako dziennikarz, był m.in. redaktorem naczelnym „Polski Zbrojnej", i pisał powieści, głównie batalistyczne. Przed wybuchem drugiej wojny światowej napisał książkę gloryfikującą generała Rydza-Śmigłego (*Nasz wódz*). W 1939 roku został oficerem prasowym generała Władysława Sikorskiego. W 1941 – przyjechał do ZSRR, gdzie został szefem Biura Oświaty i Propagandy armii generała Andersa. W 1942 roku musiał się jednak z Andersem pożegnać z powodu swych narastających prosowieckich sympatii. Wrócił do Anglii. Tam objął stanowisko szefa korespondentów wojennych i Kwatery Prasowej Naczelnego Dowództwa. Nazwano go „zdolnym propagandystą do wynajęcia". Przed wojną w *Naszym wodzu* pisał na przykład, że Piłsudski wychował dzielnych kierowników państwa (m.in. Rydza-Śmigłego), a pół roku po wojnie stwierdził jednak, że „nie mieliśmy szczęścia do naszych kapitanów, którzy nie umieli nawigować na szlakach spokojnych". O swoich przeżyciach z lat 1939–1945 napisał na początku lat sześćdziesiątych książkę *Wbrew*

rozkazowi, w której przedstawia generała Władysława Andersa w niezbyt korzystnym świetle.

Po wojnie wrócił do Warszawy i pracował jako dziennikarz i pisarz.

Jak napisał w swojej autobiografii w 1967 roku, wykrył, że Stefan Żeromski, rysując sylwetkę Cezarego Baryki, „miał przed oczami obraz przez kogoś mu odmalowany, modelem zaś tego obrazu byłem ja sam".

W 1972 roku Melchior Wańkowicz poświęcił mu obszerne studium *Czaruś w grobowcu Szujskich* (w tomie *Przez cztery klimaty*). Podważa w nim wiarygodność dziennikarską i pamiętnikarską Strumpha-Wojtkiewicza, wynajduje w jego książkach mnóstwo przekłamań, a właściwie niedopowiedzeń, z których wynika, że u początku najważniejszych wydarzeń historycznych stał Strumph. Nazywa go wprost mitomanem. Tekst ukazał się za życia Strumpha, ale nie znalazłem żadnych nań reakcji. Poza tym, że w jednej ze swoich trzech autobiografii Strumph napisał, że Wańkowicz jako dyrektor wydawnictwa Rój „nadbijał nakłady, podstawił ciotkę figurantkę", słowem, oszukiwał autorów. Oburzony osiemdziesięciodwuletni Wańkowicz pozwał siedemdziesięcioszścioletniego Strumpha i proces wygrał.

W brawurowym szkicu o Strumphie Wańkowicz przedstawił go jako reportera, który ma fioła na własnym punkcie, a wiadomo, że w tym zawodzie wybujały egotyzm często zniekształca prawdę:

> Przecież tak się ze Strumphem liczą! Przecież w rozmowie z nim tak się każdy z dygnitarzy konfuduje. Minister Kościałkowski „płonił się", minister wojny „był spłoszony", dyrektor Kręglewski „jęknął", generał Zając „przybladł", prezydent Raczkiewicz „wyjąkał", dyplomata angielski „wykrztusił" oraz „wił się", pułkownik Mazurkiewicz „osłupiał", generał Kukieł „nalegał", Sikorski pytał „trwożnie" i obiecywał ambasadę w Moskwie, Anders „pochylał się konfidencjonalnie" i obiecywał wysokie stanowisko. Przecież Strumph tak miesza atuty w grze możnych tego świata, że na życie jego dybią nieustannie. Zaczęło się to już na długo przed wojną (kolega chce go zabić, postrzał z ramienia koncernów zagranicznych, dybanie na niego agentów niemieckich w Rzymie, jakiś niejasny epizod z atakiem Henckla, generał Zagórski grozi mu rozstrzelaniem, generał Dreszer liczy się z tą możliwością, major ze świty Rydza-Śmigłego ma zamiar zrobić to samo). Ta śmiertelna seria się nie kończy. Anders, który najpierw radzi mu schronić się gdzieś w Persji, teraz sam dybie na jego życie. „Że Anders z rozkoszą każe mnie rozstrzelać, o tym nie wątpiłem". […] To było w Rosji. Strumph wyjeżdża do Londynu, ugrzązł po drodze na trzy tygodnie

w Kairze. „Trzykrotnie Anglicy wyznaczali dla mnie miejsce w samolocie... [...] Chodziło o sprawdzenie, czy znów nie zaszły jakieś okoliczności, czy nie podstawiono zamiast mnie kogoś innego..."

Podobnych zdarzeń w autobiograficznych książkach Strumpha-Wojtkiewicza są setki. Może dlatego umiał napisać – sfilmowane z sukcesem w latach siedemdziesiątych – powieści sensacyjne *Agent nr 1* i *Sekret Enigmy*?

Powróćmy jednak do 1926 roku, kiedy Stanisław Strumph-Wojtkiewicz nie był oskarżany przez Wańkowicza o mitomanię, lecz przeciwnie – doceniany jako reporter.

W końcu redaktor sam był świadkiem wydarzeń majowych i dopuścił tekst Strumpha do druku.

Warszawa w ogniu

Dzień 12 maja

Tymczasem, już przed południem tego dnia (środa), stało się powszechnie wiadome, że oddziały 22. Pułku Piechoty dowodzone przez pułkownika Sikorskiego, stacjonowane w Siedlcach, załadowały się pomimo oporu władz kolejowych do pociągu i ruszyły w kierunku Warszawy. Następnie stwierdzono, że batalion manewrowy w Rembertowie, 1. Pułk Strzelców Konnych z Garwolina i 7. Pułk Ułanów znajdują się w marszu, dokonywanym przez marszałka Piłsudskiego na Warszawę.

Około godziny trzeciej po południu rząd rozesłał do pism i ogłosił następującą odezwę:

> Szerzona od długiego czasu przez spiskowców i burzycieli ładu i porządku zbrodnicza agitacja wśród wojska spowodowała smutne następstwa.
>
> Kilka oddziałów wojskowych z niektórych powiatów, zebranych w okolicy Rembertowa, podnieconych fałszywymi pogłoskami i uwiedzionych fałszywymi rozkazami, dało się pociągnąć do złamania dyscypliny i wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi Rzeczypospolitej.
>
> Rząd Rzeczypospolitej, stojąc na straży Konstytucji i utrzymania ładu i porządku, zabezpieczył stolicę przed wtargnięciem zbuntowanych dowódców i obałamuconych przez nich oddziałów.
>
> Prezydent Rzeczypospolitej jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych państwa wezwał rozkazem zbuntowanych do opamiętania się i poddania prawowitej władzy.
>
> Rząd wzywa wszystkich obywateli do bezwzględnego spokoju i posłuchu legalnym władzom Rzeczypospolitej.

Wypadki tego popołudnia potoczyły się z błyskawiczną szybkością.

O godzinie pierwszej minut trzydzieści po południu do XVII komisariatu policyjnego, mieszczącego się w Grochowie przy ulicy Grochowskiej numer 139, zajechał szwadron ułanów. Ponieważ drzwi były zamknięte na łańcuch i policjanci nie chcieli otworzyć, ułani szarpnęli drzwiami i wyważyli je z zawias. Wszedłszy do komisariatu, ułani rozkazali podnieść ręce do góry i oddać broń. Jednocześnie jeden z ułanów przeciął szablą przewodnik telefoniczny. Po odebraniu broni policjantom ułani zabronili im wychodzić z komisariatu i polecili kontynuować pracę. W niespełna pół godziny po

zajęciu komisariatu nadjechał samochodem marszałek Józef Piłsudski ze swym byłym adiutantem, pułkownikiem Wieniawą-Długoszowskim.

Wkrótce po przyjeździe Wieniawy-Długoszowskiego wszystką odebraną broń zwrócono policjantom.

Koło godziny trzeciej po południu ułani ustąpili z komisariatu. Marszałek Piłsudski w tym czasie nie wychodził z samochodu.

O oblężeniu komisariatu zawiadomił komendę policji jeden z policjantów, mający służbę na ulicy. Wskutek interwencji komendanta głównego policji państwowej ułani opuścili komisariat po upływie półtorej godziny.

Po godzinie czwartej po południu wraz z garnizonem rembertowskim przybył na Pragę marszałek Piłsudski i po odebraniu na rogu ulic Grochowskiej i Skaryszewskiej raportu od oczekującej na niego delegacji korpusu oficerskiego oddziałów warszawskich udał się wraz z 7. Pułkiem Ułanów, 1. Pułkiem Strzelców Konnych i oddziałami piechoty w kierunku trzeciego mostu. Jeden pułk piechoty odmaszerował ulicą obok kościoła Świętego Floriana i ulicą Zygmuntowską na most Kierbedzia. W chwili pojawienia się wojska oddział policji, strzegący praskiej strony mostu, odmaszerował. Pułk piechoty przemaszerował przez most i obsadził obie strony, w czym kompania 21. Pułku Piechoty nie czyniła przeszkód.

Marszałek Piłsudski na trzecim moście imienia Poniatowskiego zatrzymał się.

Most od strony warszawskiej obsadzony był już z rozkazu generała Orlicz-Dreszera przez dywizjon 1. Pułku Szwoleżerów pod dowództwem majora Stombeckiego.

Toteż kiedy o godzinie piątej prezydent Wojciechowski w asyście oddziału Szkoły Podchorążych, zaopatrzonego w karabiny maszynowe, przybył, ażeby spotkać marszałka, spotkanie nastąpiło nie na moście, a na prowadzącym nań wiadukcie – tam, gdzie stała pierwsza placówka piłsudczyków.

Do tej placówki prezydent podjechał bez eskorty wojskowej, w towarzystwie dwóch adiutantów i zbliżając się, zapytał:

– Co wy tu robicie?

Oficer-komendant posterunku stanął na baczność i mówił coś niezrozumiale.

– Czy słuchacie prezydenta Rzeczypospolitej? – zapytał pan prezydent Wojciechowski.

– Tak jest, panie prezydencie – odpowiedział oficer, wydając jednocześnie ułanom polecenie, aby publiczność zbliżającą się do posterunku usunąć.

Ułani chcieli rozkaz wykonać, ale pan prezydent wydał polecenie:

– Ja tu rządzę – nie potrzeba tego!

Oficer znów stanął na baczność.

Następnie pan prezydent rozkazał oficerowi, aby sprowadził dowódcę.

Za chwilę przybył podpułkownik 7. Pułku Ułanów, któremu pan prezydent wręczył rozkaz do poddania się prawowitej władzy i wyznaczył termin.

Podpułkownik Stamirowski wziął rozkaz i udał się do marszałka Piłsudskiego. W kilka minut później przybył sam marszałek Piłsudski, do którego prezydent zwrócił się z wezwaniem do posłuszeństwa wobec najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych.

Gdy marszałek Piłsudski chciał przedstawić swoje żądania, prezydent Rzeczypospolitej zapytał krótko:

– Proszę odpowiedzieć, tak czy nie?

Marszałek Piłsudski odrzekł, że jeszcze chce porozmawiać o tym.

Prezydent odrzekł stanowczym głosem, że nie przyjechał na rozmowy, lecz żąda poddania się legalnej władzy.

Na to marszałek Piłsudski odrzekł, że dla niego legalna droga jest już skończona.

Na tym skończyła się rozmowa.

Prezydent zwrócił się do stojących obok żołnierzy i podchorążych:

– Podchorążowie! Poznajcie swój obowiązek!

I wręczył im tekst swego rozkazu do żołnierzy, po czym odjechał do gmachu Prezydium Rady Ministrów, aby wydać odpowiednie zlecenia rządowi.

Wówczas do Szkoły Podchorążych, a raczej do jednego z dowódców, majora Porwita, zwrócił się marszałek Piłsudski, żądając powolności. Legionista, major Porwit, odrzekł, że musi słuchać prezydenta.

Wtedy marszałek siadł w auto i wrócił do swych szeregów.

Pułkownik Wieniawa-Długoszowski jednak pozostał chwilę, gawędząc z „przeciwnikiem", aby tymczasem dać możność ułanom podpułkownika Stamirowskiego cofnąć się z mostu, na którym byliby wystrzelani jak kaczki. Fortel się udał, acz niezupełnie; ułani zyskali na czasie i cofnęli się, ale pułkownika Wieniawę oficerowie „rządowi", kończąc nagle niefrasobliwą pogawędkę, ujęli pod ręce i zaaresztowali. Odwieziony do więzienia wojskowego na Dzikiej, przesiedział w nim pięć godzin, aż do opanowania centrum miasta przez piłsudczyków.

Tak rozpoczął się brzemienny w następstwa konflikt. Dla jednych oddziałów łatwiejszym wyjściem było posłuszeństwo dla rządu, dla innych – posłuszeństwo marszałkowi. Nie wszystkie zaś wybrały drogę łatwiejszą. Jeśli chodzi na przykład o Szkołę Podchorążych, liczącą siedem setek znakomicie

wyszkolonego żołnierza, to wybrała ona drogę wierności dla Konstytucji i prezydenta. Drogą tą – iście kawaleryjską, drogą krwawego obowiązku – szła odtąd przez kilka dni, bohaterstwem i nieugiętością zadziwiając przełożonych i przeciwników. Była kośćcem obrony Belwederu.

Naród może być dumny ze swoich podchorążych, wdzięczny, że nie poniżyli chlubnej tradycji warszawskiej podchorążówki. Po skończonych walkach wyraził się o nich marszałek Piłsudski: „Nie zawiedli mnie moi kochani chłopcy...".

Pierwsze starcia i pierwsze ofiary

Około godziny szóstej po południu rozpoczyna się kompletny chaos w ruchu ulicznym, w informacjach sprzecznych prasy i urzędów, w rozgorączkowanych umysłach. Ulice zalega tłum, usiłujący przedostać się w kierunku mostów, sejmu, gmachu Rady Ministrów. Oddziały policyjne i wojskowe przeciągają w galopie lub pędzącymi samochodami; w górze widać obserwujące samoloty; dziesiątki dodatków nadzwyczajnych i setki pogłosek kursują wśród publiczności. Z tych i owych ust bucha żywiołowy okrzyk: „Precz z Witosem!" i „Niech żyje marszałek Piłsudski", śpiew „My, pierwsza brygada..." zagłusza wreszcie wszystko. Kordony wojska i policji z trudem utrzymują linie, gubiąc się wśród dziesiątków tysięcy ludności, manifestującej na rzecz marszałka lub też po prostu przyglądającej się wydarzeniom.

Poseł socjalistyczny Marek z towarzyszami zwraca się w tych chwilach do prezydenta z propozycją pośredniczenia. Prezydent odmawia przyjęcia delegacji, oświadczając, że jest to sprawa rządu. Socjaliści komunikują wówczas adiutanturze prezydenta, że wobec odrzucenia propozycji pośredniczenia odpowiedzialność za dalszy bieg wypadków spadnie na prezydenta.

Do sejmu dostać się nie można. Na placu Trzech Krzyży – wojsko i policja. Na moście Poniatowskiego, po przejściu szwoleżerów na stronę praską, pilnuje przeprawy sam minister wojny generał Malczewski. Ma kilkudziesięciu piechurów i parę karabinów maszynowych, przy czym w końcu wycofuje się na brzeg warszawski, w ten sposób postanawiając bronić przeprawy...

W trakcie wydawanych zarządzeń padają na moście Poniatowskiego dwa strzały.

Oba brzegi milkną. Publiczność ucieka. Zaczynają gwizdać coraz gęściej kule. Artylerzyści kręcą się wokół wkopanej armaty.

Nagle od Pelcowizny poczyna trajkotać karabin maszynowy. W gmachu Rady Ministrów obraduje rząd. Ogłoszony zostaje stan wyjątkowy. Urzędnicy gorączkowo przebiegają po dywanach, tłumiących odgłos kroków. Policja

i wojsko na dziedzińcu w postawie gotowej do walki. Obie bramy – wjazdowa i wyjazdowa – zamknięte. Karabiny maszynowe wycelowane są w przeciwległe domy na Krakowskim Przedmieściu. Wzbudza to w tych godzinach grozy powszechną wesołość. Tłum warszawski zdaje sobie od dawna sprawę z wartości poczynań wojennych. Nauczyła go wojna...

Most kolejowy strzeżony jest przez Cytadelę i jej załogi.

Marszałek Piłsudski postanawia wkroczyć do stolicy przez most Kierbedzia. Nie spodziewa się żadnego oporu – jest pewien popularności swojej u wojska i wśród ludności.

Zawodzi się jednak – opór istnieje.

Tragedia kilkudniowej walki bratobójczej właśnie w tym tkwiła, że opór istniał – lecz był słaby, niedołężnie zorganizowany.

Sprawa puszczenia przez most była z góry przesądzona na niekorzyść „rządowców". Oba przyczółki warszawskie – i przy moście Poniatowskiego, i przy moście Kierbedzia, były od początku w ręku generała Dreszera. Pierwszy, jak już pisaliśmy, obsadził 1. Pułk Szwoleżerów, drugi – z rozkazu generała Dreszera 36. Pułk Piechoty pod wodzą pułkownika Kazimierza Sawickiego, oraz 21. Pułk Piechoty.

Toteż marszałek, zdecydowawszy się na wkroczenie do Warszawy przez most Kierbedzia, nie miał wiele kłopotu; natychmiast po rozmowie na wiadukcie z prezydentem, skierował brzegiem praskim do mostu Kierbedzia 22. Pułk Piechoty, batalion manewrowy, 7. Pułk Ułanów i 1. Pułk Strzelców Konnych, zostawiając na moście Poniatowskiego jedynie słabe przykrycie.

Oddziały 22. Pułku Piechoty ruszyły z mostu w górę, Nowym Zjazdem – do placu Zamkowego. Rozrzucony w tyralierę na ulicy Pułk 36., dowodzony przez pułkownika Sawickiego, zmieszał się z Pułkiem 22. i ruszył na miasto. Z placu Zamkowego zahuczała kanonada armatnia: to porucznik 1. Dywizjonu Artylerii Konnej Szczepan Olchowicz użył z rozkazu dowództwa swego działa, ustawionego koło Kolumny Zygmunta. Dwa karabiny maszynowe od wylotu Miodowej rozpoczęły wściekły, ale krótki ogień w kierunku Nowego Zjazdu. Również od wylotu uliczek staromiejskich ruszył do ataku na nacierających piłsudczyków Pułk 30., dowodzony przez pułkownika Modelskiego.

Wtedy z okien niemal wszystkich domów okalających plac Zamkowy posypały się strzały na obrońców rządu. Batalion rembertowski opanował Zamek. Kule krzyżowały się z rozmaitych kierunków. Od Mariensztatu oddziały wojska nacierającego poczęły dawać salwy.

W krótkim czasie obsługa działa wraz z pułkownikiem Olchowiczem zupełnie wyginęła. Dwa zaprzęgi następne dywizjonu ogarnęła fala atakujących.

Tłum, nie bacząc na kanonadę, jak pijany przewalał się placem i ulicami na spotkanie wojsk marszałka. Oddziały 30. Pułku, wśród walki ze strzelcami i z oddziałami 22., 36. i 21. Pułku Piechoty, cofały się metodycznie ku Cytadeli, sypiąc w drodze odwrotu okopy.

Fala ludzka popłynęła, zda się, rozpychając domy, w stronę Rady Ministrów i Komendy Miasta. Środkiem, prawie zduszone w ścisku i tumulcie, znaczyły swą obecność błyskami wzniesionych bagnetów oddziały marszałka.

Przed gmachem Rady Ministrów, zagradzając drogę w poprzek Krakowskiego Przedmieścia, wparł się w bruk miejski i stanął w groźnej postawie oddział Szkoły Podchorążych.

Nastała chwila ciszy. Na podchorążych zaczynano przeć. Bagnety się pochyliły.

Wtedy z dziedzińca Rady Ministrów wyjechały jeden za drugim samochody rządu. Na przodzie sunęła limuzyna prezydenta Rzeczypospolitej z flagą, trzepoczącą na przodzie. Dalej podążali ministrowie cywilni. Policja na samochodzie ciężarowym na końcu.

Ulice zatrzęsły się od krzyków – na cześć marszałka Piłsudskiego.

Padły w pobliżu jakieś strzały.

Samochody rządowe znikły w ulicy Ossolińskich, potem widać je było, jak przez plac Saski i Mazowiecką skierowały się w stronę Belwederu.

Żelaznym krokiem zdążała w tymże kierunku – jeno przez Nowy Świat – Szkoła Podchorążych.

Tłum wył, szalał, leciał w ślady.

Przed zamknięty na głucho gmach Komendy Miasta wtoczył się lud. Już mówiono, że generał Suszyński, komendant miasta, opuścił swą siedzibę.

Jacyś cywilni – jacyś wojskowi – wielkimi krokami biegli przez ulice. Ścigał ich tłum, wydłużając się w pogoni, nie bacząc na gęsty ogień rewolwerowy.

Jakiś wysoki ksiądz szedł od umierających na placu Zamkowym w komży i z przyborami kościelnymi. Urągano mu w drodze, z gwizdem i wyciem wygrażano przy twarzy. Przeszedł pospiesznie – świecąc w zapadającym mroku komżą, nie tyle zatrwożony o siebie, ile zawstydzony i jakby zdziwiony... Nie znał dotychczas – ulicy...

Z Komendy Miasta, tyłami, wymykały się postacie. Tłum gonił za nimi – one gubiły się wśród tłumu. [...]

Około godziny pierwszej w nocy z dnia 12 na 13 maja marszałek Piłsudski, rezydujący w Komendzie Miasta, oświadczył przedstawicielom prasy, co następuje:

Nie mogę długo mówić, jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się po ciężkiej walce z samym sobą na próbę siły z wszystkimi konsekwencjami.

Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowię imponderabilia: jak honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie o korzyści własne czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie – gdy nie chce ono iść ku zgubie – za dużo nieprawości.

Późnym wieczorem przybył do Komendy Miasta marszałek sejmu Rataj i odbył dłuższą konferencję z marszałkiem Piłsudskim.

Z kół bliskich osobie marszałka Piłsudskiego informowano, że we wszystkich pertraktacjach z rządem marszałek Piłsudski wysunął kategorycznie żądanie natychmiastowego ustąpienia rządu Wincentego Witosa.

„Osoba prezydenta Rzeczypospolitej jest poza sferą pertraktacji i o przesileniu państwowym nie ma mowy". Tak pisało jedno z pism.

Szefem Sztabu Generalnego został przez marszałka mianowany generał Burhardt-Bukacki, który początkowo wraz z pułkownikiem Kutrzebą opowiadał się po stronie rządu. Generał Dreszer kierował dalszą akcją wojenną. Rozegrała się ta akcja na łamanej linii od placu Trzech Krzyży do Dworca Głównego. [...]

Na placu Teatralnym stanęła artyleria.

Na placu Saskim, u stóp pomnika księcia Józefa Poniatowskiego, spoczęły strudzone forsownymi przemarszami grupy żołnierzy i oficerów. W Ogród Saski słano patrole. Od strony Łobzowianki i ulicy Nowowiejskiej darł ciszę ostry grzechot karabinowy.

Wyżsi dowódcy wojsk marszałka Piłsudskiego omawiali, siedząc na stopniach, sytuację. O ile można było z urywków rozmowy wywnioskować – byli zafrasowani trybem wypadków, pełni jednakowoż zdecydowania.

Kilkanaście osób cywilnych, byłych legionistów, przyszło powitać kolegów. Telefony wciąż funkcjonowały. Zajechały polowe kuchnie.

Samochodem, poprzez warty, przemknęły karabiny maszynowe policji warszawskiej, zdążające w kierunku Belwederu. Maszerująca w ślad kompania policji została zatrzymana i wzięta do utrzymywania w oddaleniu tłumów wiwatującej nieustannie ludności. [...]

Późną nocą zagrały na nowo działa. W okolicach Czerniakowa i Sielc 1. Pułk Szwoleżerów nawiązał bojowy kontakt z oddziałami rządu, okopującymi się w Łazienkach.

Umęczona, rozgorączkowana, rozentuzjazmowana – względnie zrozpaczona – Warszawa poszła spać. Tylko oddziały żołnierzy czuwały.

A pewna pani, zamieszkała w Markach pod Warszawą, nic nie wiedząc o dokonanym zamachu stanu, nastawiła wypadkiem swój radioodbiornik na falę londyńską...

„Marszałek Polski Józef Piłsudski zajął Warszawę siłą zbrojną..." – przyszła oszałamiająca wiadomość.

Dzień 13 maja

Spędzimy cały ten pogodny, a obfity w wydarzenia dzień na ulicach miasta i w najważniejszych punktach „frontu".

Przejdźmy najpierw przez Nowy Świat, którym pędzą auta sanitarne i zajęte przez wojskowych taksometry[1] – do Krakowskiego Przedmieścia, zalanego tłumem.

Przed Komendą Miasta wre ruch. Zajeżdżają bezustannie i wyjeżdżają samochody. Maszerują oddziały strzelców i pierwsze partie cywilnych ochotników, uzupełniające siły marszałka Piłsudskiego.

Lekkie samochody pancerne wyruszają właśnie ze świeżą amunicją w kierunku ostrej strzelaniny w południowej części miasta. Już wiadomo, że pułki: 10. Łowicki, 58. i 59. Poznański, 3. Lotniczy walczą po stronie rządu.

Pułk 71., który walczył około Dworca Wschodniego, przedzierając się do Belwederu, oraz 55. Poznański zostały częściowo ogarnięte przez szybko i sprężyście działające dowództwo marszałka. Przybywa mu w sukurs szereg oddziałów, często niezmiernie zmęczonych. Z Łomży, z Kutna, z Pułtuska, z Ciechanowa, z Płocka, z Zegrza. Zapowiadany jest przyjazd generała Dąb-Biernackiego z pułkami legionowymi z Wilna.

Generał Ładoś natomiast rozpoczyna z pułkami poznańskimi żmudną, wobec oporu kolejarzy, drogę z Pomorza – na pomoc rządowi.

Zebrawszy te wiadomości, dochodzimy do wniosku, że zwycięży strona lepiej przewidująca, bardziej energiczna, zmyślniejsza. Chodzi bowiem o przetrzymanie. Zamach stanu nie powinien przeciągać się, jeśli ma mieć sukces.

Kierujemy kroki ku terenowi walk.

Po drodze dowiadujemy się różnych szczegółów.

Oto na przykład strzelcy opanowali poprzedniego wieczora Polską Agencję Telegraficzną, znajdującą się wówczas na terenie wojsk rządowych. Wobec

[1] Taksometr – tu: taksówka.

tego przez całą noc prowincja była tak informowana, jak tego wymagała sytuacja wojsk marszałka. A przecież poprzedniego wieczoru minister wojny, generał Malczewski, zatrzymał na placu Trzech Krzyży dyrektora Agencji pana Góreckiego i po wydaniu mu szeregu poleceń nie pamiętał o zabezpieczeniu PAT-u. [...]

Poza tym – gmach telefonów Cedergrena zajęty został również przez strzelców, nie mówiąc o poczcie i telegrafie. Jedynie komisarz rządu, zatarasowawszy się w ratuszu, kieruje policją, konfiskuje pisma, działa w imieniu rządu jednym słowem. Dwa dni nieulękle strzela papierowymi kulami zarządzeń w piłsudczyków, aczkolwiek jest zupełnie w ich mocy.

Przed południem już mówi się o beznadziejnej sytuacji Belwederu. Chodźmy to sprawdzić.

Z trudem przedostajemy się przez ulicę Śniadeckich, struchlałą w świście kul. Samochody pancerne od rogu tej ulicy i ulicy Marszałkowskiej biją bez ustanku z karabinów maszynowych w stronę placu Zbawiciela i w bramę pola wyścigowego. Padają tu liczni ranni, ktoś z osób cywilnych, choć w bramie schowany – pada, zabity na miejscu.

[...] możemy przedostać się na ulicę Puławską. Tu – istne piekło: z bruku lecą skry i ostre okruchy szarpanego zaporowym ogniem kamienia. Lecą z brzękiem szyby, kule rykoszetują na wszystkie strony, ulica pusta – jak wymiótł. Te kule muszą iść chyba od placu Zbawiciela – z tamtych aut pancernych. Chodzi widocznie o przecięcie komunikacji między Belwederem a lotniskiem. Ktoś przebiega wreszcie ulicę do nas i pokazuje przebitą dłoń. Potem znajduje dziurę w kapeluszu i guz niewiadomego pochodzenia na czole.

Spróbujmy przecież...

Jesteśmy – nareszcie – po długiej jak wieczność minucie pod domami strony przeciwległej. Dochodzimy przez podwórza do urwiska: widzimy tyły Belwederu, na którym powiewa sztandar prezydenta, i szosę do Wilanowa, bronioną przez świeżo usypane okopy.

Wprowadza nas przez druty i tyralierę oficer. Na dziedzińcu legitymują.

W sieni Belwederu widzimy prezydenta Rzeczypospolitej: wydaje właśnie zarządzenia. Jest spokojny i opanowany. Pułkownicy Anders i Kutrzeba, generałowie Suszyński, Rozwadowski i Sawicki, ministrowie, oficerów cały legion. Twarze pogodne, zacięta brawura w oczach. Martwią się: nie ma czasu na ogolenie się, brak papierosów...

W westybulu warta ułanów przybocznego szwadronu. W dalszych pokojach: na prawo Sztab i Prezydium Rady Ministrów, wprost – kasyno i bufet.

Granat wali w drzewo na podwórzu pałacowym.

– To już drugi – mówią. [...]

Zmęczeni nadmiarem wrażeń wychodzimy na taras Belwederu. Ale... nie ma tam mowy o spokojnym wypoczynku. Wysyłane z dalekiej zieleni Łazienek czy też aż znad Wisły, raz wraz dochodzą kule karabinowe. Na ścianach znać ich świeże ślady.

Mówi się tu dużo o nadchodzących posiłkach poznańskich, o trwającym właśnie ataku na centrum miasta, o niespanej nocy, o rannych i poległych, o małym zdenerwowaniu niektórych ministrów, o dobroci wody belwederskiej...

Pijemy ją kubkami z wiadra ustawionego na pięknym stole. Czarny chleb, kiełbasa, mają powodzenie. Do pustych butelek po piwie raz wraz ktoś zagląda i zawiedziony odchodzi.

W pokoju sztabowym pisane są na małych ćwiartkach papieru rozkazy, dekrety, odezwy, urzędowe listy. Prezydent przechodzi często przez ten pokój, wymieniając z poszczególnymi oficerami zdania o sytuacji. Widać, że troszczy się o wszystko i całokształt wydarzeń obejmuje jasnym umysłem. [...]

Żołnierze Rzeczypospolitej!

Honor i Ojczyzna – to hasła, pod którymi pełnicie szczytną służbę pod sztandarami Białego Orła.

Dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo prawowitym władzom i dowódcom – to najważniejszy obowiązek żołnierski, na który składaliście przysięgę.

Wierność Ojczyźnie, wierność Konstytucji, wierność legalnemu Rządowi – jest warunkiem dotrzymania tej przysięgi.

Obowiązek ten przypominam Wam, żołnierze, jako Wasz Najwyższy Zwierzchnik i żądam bezwzględnego wytrwania i wierności żołnierskiej.

Tych, którzy by o obowiązku tym zapomnieli, wzywam i rozkazuję im natychmiast powrócić na drogę prawa i posłuszeństwa mianowanemu przeze mnie Ministrowi Spraw Wojskowych.

Prezydent Rzeczypospolitej (–) S. Wojciechowski
Prezes Rady Ministrów (–) Wincenty Witos
Minister Spraw Wojskowych (–) J. T. Malczewski, generał dywizji

Zwiesiwszy głowę w zadumie nad tragedią armii polskiej, wyjdźmy na ulicę Bagatelę. Najspokojniej w świecie mijamy plac Unii Lubelskiej i tuż, na

Polnej, spotkawszy taksometr, każemy się zawieźć przez Lwowską i Poznańską w śródmieście. Ogarnia nas przy tym zdumienie: pierwsze napotkane oddziały marszałka Piłsudskiego wycofują się biegiem z ulicy Mazowieckiej, kopią pospiesznie okop na Królewskiej. Działa, trzy świeżo naprawione tanki, jakieś wywleczone z magazynów stare auta pancerne, na gwałt wyjeżdżają na plac Saski i na Nowy Świat. Tabory wycofują się pospiesznie na Pragę, zamęt rośnie, ulice pustoszeją, kanonada się przybliża. [...]

Powstaje mnóstwo tragicznych pomyłek: ginie od kuli karabinowej pani Wernerowa, przechodząca koło zamkniętego okna w swym mieszkaniu; studentów Jużyckiego i Czaplę, niesłusznie posądzonych o strzelanie z okien, tłum morduje... Wypadków lekkomyślnego oskarżenia jest coraz więcej, niektóre pisma prześcigają się w lekkomyślnym budzeniu namiętności. Zaledwie kilka wypadków strzelania z okien przez zbyt gorących zwolenników rządu lub przez świadomie prowokujących – rozdmuchano do rozmiarów nieodpowiadających rzeczywistości.

Redakcje pism „Gazeta Warszawska" i „Głos Codzienny" zostały zajęte przez grupy młodych ludzi.

Rozchodzi się fałszywa wiadomość o rozstrzelaniu zaaresztowanego Adolfa Nowaczyńskiego. Wiadomo zaś na pewno, że generał Sosnkowski postrzelił się w Poznaniu, zaś dowódca 7. Pułku Legionów, wezwanego do Lublina na odsiecz marszałkowi, pułkownik Więckowski, w obliczu sprzecznych rozkazów – zastrzelił się, oświadczając przed samobójstwem swoim oficerom: „Róbcie – jak chcecie, k....".

Walki toczą się ze zmiennym szczęściem na placu Trzech Krzyży, w Alejach Jerozolimskich, na Marszałkowskiej, przed Dworcem Głównym. Na kościele Zbawiciela tkwi całe popołudnie karabin maszynowy wojsk rządowych, strzelając wzdłuż ulic Mokotowskiej i Marszałkowskiej, aż po Ogród Saski. Gmach Ministerium Spraw Wojskowych ulega znacznym uszkodzeniom. Ginie na ulicy Koszykowej pułkownik Frank-Wiśniewski. W poprzek ulic wyrosły barykady, okopy z kostki brukowej, śmietników, ławek, płyt chodnikowych. Działa biją na bliskie odległości, zwalczając się w pojedynku artyleryjskim. Samoloty ostrzeliwane są przez karabiny maszynowe. Czołgi ruszają Nowym Światem do kontrataku. [...]

Z tą chwilą zapasy amunicji, nowe samochody pancerne, spora liczba szeregowych uzupełnia siły marszałka Piłsudskiego. Sytuacja jednak nie jest zbyt jasna, pomimo sukcesu ostatniego, jeśli uznano za konieczne poczynić przygotowania na dzień następny w dwu ważnych, a ryzykownych z punktu widzenia wojskowego wypadkach.

Mowa tu o zarządzeniu strajku generalnego i o uzbrojeniu kilku tysięcy ochotników cywilnych. [...]

Strajk miał mieć dwa generalnej doniosłości skutki: wstrzymanie ruchu kolejowego, który groził wciąganiem w wir walki wciąż nowych oddziałów rządowych; następnie wyrzucał w śródmieście dziesiątki tysięcy ludności robotniczej, usposobionej jednolicie w sensie jak najbardziej wrogim do rządu premiera Witosa.

Ze strajku wyłączono: filtry, piekarnie, elektrownię, szpitale.

Zapadał wieczór. Uznojone walką oddziały po obu stronach upadały ze zmęczenia, ale serca zacięły się już w ślepej zawziętości. Dzień następny wróżył jeszcze bardziej obfite żniwo śmierci.

Na konferencji prasowej w Komendzie Miasta wysłannikom prasy oświadczono, co następuje:

Marszałek Piłsudski, wyruszając z Rembertowa na czele oddanych sobie oddziałów wojskowych w kierunku stolicy, miał na celu zamanifestowanie swego protestu przeciwko świeżo utworzonemu rządowi Witosa, który marszałek Piłsudski uważa za rząd nieprawości.

Od pierwszych kroków akcji – jak podkreślono z naciskiem – marszałek Piłsudski chciał za wszelką cenę uniknąć nie tylko rozlewu krwi, ale nawet wymiany strzałów.

Pierwsze strzały padły na rozkaz generała Rozwadowskiego ze strony wojsk stojących przy rządzie.

Marszałek Piłsudski oczekiwał dobrowolnej kapitulacji rządu pana Witosa w środę do godziny siódmej. Skoro jednak to nie nastąpiło, natomiast wypowiedziano mu walkę – był zmuszony wkroczyć do Warszawy.

O północy z dnia dwunastego na trzynastego sytuacja na odcinku pod Belwederem była tego rodzaju, że oddziały stojące pod dowództwem marszałka Piłsudskiego mogły opanować siedzibę pana prezydenta Rzeczypospolitej, gdzie przebywa rząd pana Witosa.

Na wyraźny rozkaz marszałka wojsko nie atakowało Belwederu. Rozkaz ten tłumaczy się tym, że marszałek Piłsudski nie chciał stworzyć nawet pozorów, iż akcja jego wymierzona jest przeciwko osobie prezydenta Rzeczypospolitej.

Po północy wojska marszałka Piłsudskiego, ostro zaatakowane przez oddziały stojące przy rządzie i skupiające się koło Belwederu – były zmuszone przyjąć walkę, która niestety trwa prawie bez przerwy do chwili obecnej.

Dzień 14 maja

Tymczasem Warszawa poczęła się z wolna przystosowywać do warunków narzuconych przez bieg wydarzeń. Na murach miasta pojawiła się od samego rana następująca odezwa komisarza rządu do ludności Warszawy:

> Z polecenia marszałka Józefa Piłsudskiego w dniu dzisiejszym objąłem władzę komisarza rządu na m.st. Warszawę.
>
> Zadaniem moim jest utrzymanie w mieście bezpieczeństwa, ładu i spokoju.
>
> Wzywam wszystkich mieszkańców m.st. Warszawy do bezwzględnego posłuszeństwa wszystkim zarządzeniom organów bezpieczeństwa zarówno wojskowych, jak i Policji Państwowej.
>
> Zabraniam chodzenia grupami większymi ponad trzy osoby oraz zatrzymywania się na ulicach miasta.
>
> Zebrania w lokalach zamkniętych winny być meldowane w Komisariacie Rządu na m.st. Warszawę na 24 godziny przed terminem.
>
> Sklepy winny być otwarte w godzinach przepisowych. Pobieranie cen nadmiernych bezwzględnie jest zakazane.
>
> Okna i balkony frontowe winny być zamknięte.
>
> Restauracje i kawiarnie winny być zamykane o godzinie 21.
>
> Winni przekroczenia powyższych rozporządzeń będą karani z całą surowością prawa.
>
> Winni wszelkich wystąpień z bronią w ręku przeciwko ustanowionym władzom oraz winni dokonywania rabunków i grabieży karani będą sądami doraźnymi.
>
> Komisarz rządu na m.st. Warszawę
> Sławoj-Składkowski
> generał brygady

[...] Tymczasem jednak nadchodzą chwile najwyższego napięcia dramatycznego.

Oto na ulice wylegają setki uzbrojonych robotników i formują się do ataku decydującego.

Oto wypełniać poczyna miasto ciżba ludu, świętującego dziś z powodu strajku. Ciżba ta wpiera się w dzielnice południowe miasta, jakby pchając przed sobą wojska marszałka Piłsudskiego do ataku.

Od rana broni uparcie lotniska pułkownik Borejsza; cudów waleczności dokazują spychani w Aleje Ujazdowskie podchorążowie; pułki poznańskie

ratują zagrożone sytuacje w Łazienkach, 10. Łowicki trzyma się ostatkami sił.

1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej i stu kilkudziesięciu ochotników, przeważnie spośród młodzieży akademickiej, broni lotniska od strony placu wyścigowego i filtrów przed zaciekłymi atakami spieszonej kawalerii i strzelców.

Już około godziny jedenastej ani jeden samolot nie startuje: teren lotniska jest ostrzeliwany strasznym krzyżowym ogniem karabinów maszynowych.

Zapowiadane, oczekiwane oddziały poznańskie nie przybywają. W Skierniewicach zatrzymane, forsują drogę pono siłą.

W południe marszałek Piłsudski wyjeżdża na poszczególne odcinki bojowe pod Belwederem.

W tym czasie prezydent Wojciechowski osobiście obchodził linie wiernych mu oddziałów.

O godzinie jedenastej minut trzydzieści, po krwawej walce, oddziały marszałka Piłsudskiego zdobyły na poznańczykach teren Szpitala Ujazdowskiego. Rozległa się w tym czasie gwałtowna kanonada na Kruczej: to oddziały rządowe po raz ostatni usiłują wyjść przebojem do centrum miasta. [...]

O godzinie czwartej z minutami odebrano Ministerium Spraw Wojskowych, po czym rozszalałe, skotłowane jak rzeka tłumy uzbrojonych robotników wdarły się w aleję Szucha i do gmachu Szkoły Podchorążych.

Zdobyta tam broń została rozchwytana momentalnie przez nowe fale. Oddział regularny porucznika Różańskiego szedł na czele tłumu.

Nie zatrzymując się przy opanowaniu szkoły dłużej ponad konieczność wypuszczenia więzionych tam oficerów i szeregowców, wziętych przez wojska rządowe jako jeńców w poprzednich walkach, oddział Różańskiego ruszył na Belweder, do którego dostęp przez odwrót załogi szkoły na Łazienki był już do pewnego stopnia otwarty.

Belweder osłaniał oddział przyboczny prezydenta, jednak już bez komenderującego oficera. Oddział Różańskiego rozbroił szeregowców oddziału przybocznego, a w kilka minut po piątej porucznik Różański wkroczył do Belwederu. Resztki 10. Pułku Piechoty poddały się.

Belweder był pusty. W westybulu pozostała tylko służba, która oświadczyła, że prezydent, członkowie gabinetu Witosa i generałowie zerwali się od obiadu na wiadomość o złym obrocie rzeczy na froncie walk i nie skończywszy jedzenia, opuścili Belweder.

Ku zdobytemu Belwederowi runęła teraz lawina ludzka. Środkiem, jezdnią, wśród niemilknących okrzyków, przemknął w samochodzie oficer ze

sztandarem prezydenta. Rozpoczął się pochód jeńców, potem wracały zwycięskie oddziały.

Każdy niemal żołnierz miał kiść bzu w lufie karabinowej.

Ostatnie chwile rządu

Opuściwszy Belweder na przeszło godzinę przed jego wzięciem, prezydent przeszedł wraz z członkami rządu i wyższymi oficerami przez część parku Łazienkowskiego, po czym ulicami: Podchorążych, Sielecką, Chełmską i Siekierkami skierował się w powozie do Wilanowa. Grupę eskortowało kilkunastu żołnierzy, policja. Odwrót przykryty był przez Szkołę Podchorążych, walczącą jeszcze w Łazienkach, i przez Fort Dąbrowskiego, w którym obwarowały się oddziały poznańskie (generał Kędzierski). [...]

Późno w nocy rozeszły się poza tym jednocześnie w stolicy dwie sensacyjne wiadomości: o abdykacji rządu i prezydenta oraz o nadejściu i okopaniu się między Ożarowem i Utratą kilku pułków poznańskich, sowicie wyposażonych w artylerię.

Walka bratobójcza zatem omal nie rozgorzała na nowo – z siłą zdwojoną.

Podniecenie ludności poczęło już wieczorem powoli mijać. Głosy mściwe, słowa kainowe stały się rzadsze. Zmęczony obywatel stolicy szedł spać po tylu spędzonych na czuwaniu godzinach. Żołnierze, idący do koszar, chwiali się na nogach ze zmęczenia.

Ranek dnia następnego zelektryzował już nie mięśnie – lecz umysły. Plakaty na murach i odezwy rozrzucane z samochodów zawierały następujący komunikat Sztabu Generalnego z dnia 15 maja 1926 roku, godzina piąta czterdzieści:

> Prezydent Rzplitej zrzekł się władzy na rzecz marszałka Piłsudskiego i uznał go za jedynie godnego i powołanego do rządzenia Polską. Rząd Witosa został rozwiązany. Marszałek Piłsudski wraz z marszałkiem Ratajem pracuje nad utworzeniem nowego Rządu, złożonego z ludzi uczciwych i godnych władzy.
>
> Oddziały zaprzestaną walki i po uporządkowaniu zostaną odesłane transportami do swych garnizonów. Marszałek Piłsudski nakazuje zachować spokój i godność wzajemną wojska.
>
> Szef Sztabu
> gen. Burhardt-Bukacki
> generał brygady

O godzinie szóstej rano marszałek Rataj oznajmił przedstawicielom prasy:

– W piątek 14 maja 1926 roku o godzinie dziesiątej wieczorem zgłosili się do mnie ksiądz prałat Tokarzewski i major Mazanek, którzy wręczyli mi pismo pana prezydenta Wojciechowskiego, brzmiące w sposób następujący:

Do Pana Marszałka Sejmu Macieja Rataja

Proszę Pana Marszałka o przybycie niezwłocznie do miejsca mego pobytu w Wilanowie dla przyjęcia mego oświadczenia, które pragnę złożyć w obecności rządu dla zaprzestania dalszego przelewu krwi. Proszę spowodować natychmiastowe zawieszenie broni.

Stanisław Wojciechowski

Ze względu na ostatnie zdanie tego pisma, proponujące zawieszenie broni, zwróciłem się do pana marszałka Piłsudskiego.

Marszałek Piłsudski przyrzekł wydać ze swej strony natychmiast potrzebne zarządzenia zmierzające do wstrzymania akcji bojowej.

Zgodnie z życzeniem pana prezydenta Wojciechowskiego udałem się o godzinie dwunastej w nocy do Wilanowa, miejsca pobytu prezydenta Rzeczypospolitej i rządu. Tam otrzymałem następujące pisma:

Pierwsze:

Do Pana Marszałka Sejmu Macieja Rataja

Wobec wytworzonej sytuacji, uniemożliwiającej mi sprawowanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej w zgodzie ze złożoną przeze mnie przysięgą, zrzekam się tego urzędu i zgodnie z artykułem 40 Konstytucji przekazuję Panu Marszałkowi Sejmu uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jednocześnie załączam prośbę o dymisję dotychczasowego rządu.

Stanisław Wojciechowski
Wilanów, 14 maja 1926 r.

Drugie:

Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

Niniejszym zgłaszam dymisję całego rządu.

Wincenty Witos
Wilanów, 14 maja 1926 r.

Trzecie:

Protokół posiedzenia Rady Ministrów, odbytego w Wilanowie dnia 14 maja 1926 r. w obecności p. Prezydenta Rzplitej.

Początek o godz. 5 m. 30 pp.

Pan Prezydent Rzplitej zażądał od Rady Ministrów odpowiedzi na pytanie, czy w związku z sytuacją wytworzoną zajęciem stolicy przez wojska Piłsudskiego i grożącą w dalszym ciągu przewlekłą wojną domową należy prowadzić dalej walkę, czy jej zaniechać.

Rada Ministrów, jednomyślnie uznając, że przedłużanie walki w tych warunkach doprowadzi do wojny między poszczególnymi dzielnicami Rzeczypospolitej, że koniecznym jest użycie całości wojska dla obrony granic państwa wojną taką zagrożonych, że wreszcie niezbędnym jest w interesie państwa usunięcie rozdziału, dzielącego naród oraz wojska na dwa wrogie obozy, postanowiła, że wobec tego przerwanie dalszej walki jest nakazem chwili. W przekonaniu, że nowemu Rządowi łatwiej uda się przeprowadzić to zadanie, Rada Ministrów uchwaliła zgłosić swą dymisję. Pan Prezydent Rzeczypospolitej jednocześnie zakomunikował swą decyzję złożenia urzędu Prezydenta.

Następują podpisy ministrów.

Za zgodność
Wincenty Witos

[...] Przewrót był dokonany. Posypały się odezwy i zarządzenia nowych władz. Z krańców Rzeczypospolitej i z prowincji zachodnich przyszły wreszcie nowiny: echa, dalekie echa zamachu.

Tymczasem stolica zajęła się grzebaniem czterystu zabitych i zmarłych z ran... Oddała się rozpamiętywaniu strasznych dni majowych... Zaczęła wić wieńce żałobne z bzu, który właśnie suto zakwitł w ogrodach.

Straty

Prócz tych czterystu zabitych i zmarłych z ran, około tysiąca osób wojskowych i cywilnych jęczy w szpitalach warszawskich. Jest w tym sporo młodzieży, są też dzieci kilkutygodniowe, z którymi ciekawe wydarzeń matki wybrały się na miasto.

Kilkadziesiąt samolotów zostało podczas ostrzeliwania lotniska i podczas „bombardowania ulic", co nawiasem mówiąc, ograniczyło się do kilku rzuconych niezbyt celnie bomb, bądź zupełnie zniszczonych, bądź uszkodzonych.

Spłonął hangar. Zginęło bez śladu parę tysięcy karabinów, rozdanych cywilnej ludności lub porzuconych na polu walki. Z oddaniem tej broni i amunicji ludność nie bardzo się kwapi.

Zużycie w materiale amunicyjnym, ekwipunkowym, końskim, taborowym dość znaczne. Jest to zrozumiałe, jeśli się uwzględni forsowność marszów szeregu jednostek bojowych, no i rzadko spotykaną zaciekłość walki.

Gdy podczas rewolucji bolszewickiej w Moskwie było w ciągu dziewięciu dni około trzystu rannych i zabitych, tu – w polskiej bitwie bratobójczej, liczby te należałoby pomnożyć przez pięć. Trzeba podkreślić jednak, że kilku oficerów walczących po stronie marszałka świadomie osłabiało skuteczność ognia powierzonych sobie oddziałów przez odpowiednio zmylone nastawienia celowników. Niechże nikt tego nie pojmie jako obrazy: oficerowie ci godni są istotnie najwyższego uznania i współczucia, do ostatka bowiem oszczędzali krew i życie braci własnych – nieraz braci dosłownie... A tych na darmo wyrzuconych pocisków nikt im nie policzy za stratę.

Mówiąc dalej jedynie o stratach materialnych, wyliczyć by należało tysiące szyb rozbitych, setki murów pokaleczonych, dziesiątki zdezelowanych biur rządowych, kilka domów zbombardowanych.

Linie tramwajowe, drzewa w parkach, rozkopane chodniki i jezdnie – to wszystko wymaga obecnie pieczy, naprawy, restauracji. [...]

Co do rachunku sumienia – to zajmują się tym zapewne wybitniejsi, a odpowiedzialni za układ stosunków przywódcy i działacze. Niech ich sądzi potomność.

Po zamachu stanu

Marszałek Piłsudski nie objął zatem dyktatury, wbrew ogólnym przewidywaniom. Utworzony został rząd tymczasowy, złożony z byłych urzędników i wiceministrów. Po pierwszym swym posiedzeniu pod przewodnictwem prezesa rady ministrów doktora Bartla wydał on następującą, podpisaną przez wszystkich ministrów odezwę do obywateli Rzeczypospolitej:

> Powołany przez marszałka sejmu, działającego w myśl art. 40 Konstytucji, rząd złoży swą władzę w ręce prezydenta Rzeczypospolitej, obranego przez Zgromadzenie Narodowe.
>
> Tragiczne wydarzenia ostatnich dni, głęboko wstrząsające sumieniem wszystkich obywateli Rzeczypospolitej, domagają się zbiorowego wysiłku, aby raz na zawsze usunąć możliwość ich powtórzenia.

Przyczyny tych wydarzeń leżą w rozkładzie moralnym, jaki toczyć zaczynał życie publiczne w Polsce; przeciw temu rozkładowi musi się zwrócić zdrowe poczucie obywatelskie.

Rząd rozumie, że dziś nie dość jest utrzymać tymczasowo ład i spokój, że ponadto musi być osiągnięty taki poziom moralności życia publicznego, który by dawał pewność wewnętrznego odrodzenia i wywyższenia Rzeczypospolitej.

To odrodzenie moralne, oparcie rozwoju Rzeczypospolitej na poszanowaniu prawa i słuszności społecznej, wykorzenieniu wszelkiego sobkostwa partyjnego czy jednostkowego, uważa rząd nie tylko za hasło na przyszłość, ale za bezpośrednie zadanie swojej pracy na dziś.

Odpowiednie zarządzenia, zmierzające do usunięcia zła, jakie się wkradło do życia państwowego, zostaną podjęte w zakresie działania rządu niezwłocznie, zarazem rząd wystąpi z planem niezbędnej naprawy organizacji życia państwowego i usunięcia jej dotychczasowych niedomagań.

Niezłomnie wierząc w żywe wartości moralne i obywatelskie narodu, rząd wymaga stanowczo od wszystkich obywateli bezwzględnego posłuchu i lojalnego współdziałania oraz nieprzeszkadzania rządowi przez jakiekolwiek nieuprawnione samodzielne wystąpienia.

Były prezydent Rzeczypospolitej po abdykacji udał się samochodem do Spały na krótki pobyt. Ścigały go natrętne nagabywania reporterów. [...]

Wszystko spieszyć się poczęło naraz z zajęciem stanowiska wobec nowego układu warunków.

Wśród sprzecznych poglądów zarysowały się dwa przeciwne sobie punkty widzenia. Stronnictwa umiarkowane skupiły się pod hasłem praworządności, a więc wyborów przez Zgromadzenie Narodowe prezydenta; ugrupowania lewicowe, w nieuzgodnionych jeszcze licznych oświadczeniach, zażądały dyktatury marszałka Piłsudskiego bądź dyktatury proletariatu, bądź rządu robotniczo-włościańskiego z ogólną socjalizacją ustroju Rzeczypospolitej.

Jest to sprawa bieżącej polityki państwowej. Lud warszawski, mniej interesując się stroną wewnętrzną zagadnień, odczuł natomiast głęboko dni pozamachowe, dni nieustannie krążących pogrzebów.

Niektóre z tych żałosnych pochówków stały się istnymi manifestacjami ludności.

W przepełnionych kościołach, na nabożeństwach żałobnych i nieżałobnych dawno już nie buchał tak rozpaczny szloch zgromadzonych, a pieśni drgały bólem wszystkich matek polskich i osieroconych rodzin.

Podczas nabożeństwa żałobnego za poległych w kościele garnizonowym przy ulicy Długiej zaszedł niezwykły fakt, który wywołał liczne komentarze.

W kościele obecny był cały szereg generałów i innych wyższych wojskowych, a wśród nich także szef duszpasterstwa katolickiego przy Dowództwie Okręgu Korpusu Przemyśl ksiądz Józef Panaś, były kapelan 2. Brygady Legionowej i więzień stanu w słynnym procesie w Marmarosz-Sziget[2].

Po mszy świętej ksiądz Panaś zbliżył się do siedzącego w prezbiterium generała Dreszera i trzymając w ręku zdjęte z piersi ordery, rzekł:

– Zrzucam je, bo palą mi piersi.

Przy tych słowach ksiądz Panaś rzucił istotnie ordery z brzękiem na posadzkę kamienną kościoła.

Odwrotnie zaś, szereg przeciwników marszałka Piłsudskiego, po minięciu gorączki pierwszych chwil, ustosunkował się wobec nowej sytuacji z neutralnym, a czasem i przychylnym wyczekiwaniem. Powszechna jest niechęć do przypuszczenia, że tak olbrzymi w swej dramatyczności ewenement mógłby się na nic więcej jak morał Ojczyźnie nie przydać. [...]

Jeszcze kilka dni walki domowej, a groźba interwencji obcej zawisłaby nad nami, sprowadzając tysiączne, fatalne dla istnienia narodowego konsekwencje.

Był namiętny patriota, który w ostatnich latach naszej półtorawiecznej niewoli wyraził się lekkomyślnie, że gotów by z samym diabłem się sprzymierzyć, gdyby to miało dać Ojczyźnie niepodległość. W złą czy dobrą to powiedział godzinę... Duch nienawiści rozpanoszył się wśród nas już w ósmym roku Niezależności. [...]

7599 dni Drugiej Rzeczypospolitej, oprac. E. Sabelanka, K. Koźniewski, Warszawa: Iskry, 1983, s. 122–149

Pierwodruk opublikowany przez Towarzystwo Wydawnicze Rój w 1926 roku ukazał się pod tytułem *Bieg wydarzeń*

[2] Odbywający się przed sądem austriackim proces legionistów polskich, którzy odmówili złożenia przysięgi na wierność cesarzowi Niemiec. 30 września 1918 roku Karol I zadecydował, iż wstrzymuje postępowanie i proces umarza.

1927

Jan Parandowski (1895–1978)

Reporter z krainy Mitologia

Pamiętam, że miałem jedenaście lat, kiedy kupiłem jego książkę *Eros na Olimpie*. Głównie dlatego że tytuł kojarzył mi się z rekwizytem, który budził emocje moje i moich kolegów – z prezerwatywą marki Eros. Bo do mitologii właśnie nawiązał przemysł gumowy PRL-u i była to chyba jedyna zaleta ówczesnych prezerwatyw. Okładka książki podsycała moje zainteresowanie – były na niej półnagie postacie kobiety i mężczyzny w jakimś bajecznym ogrodzie. Mam ten egzemplarz do dzisiaj, jest na nim napisane: „Mariusz Szczygieł (10)", co oznaczało, że *Eros na Olimpie* był dziesiątą książką w biblioteczce jedenastolatka.

Już wstęp był bardzo emocjonujący:

> Ktoś w chwili niezadowolenia mógłby nazwać tę książkę złą – pisał Parandowski – rozumiejąc przez to, że jest niegodziwa, przewrotna, nieprzystojna. [...] Zresztą nie udawajmy przed Grekami świętoszków. Gdyby oni znali naszą obłudę, powiedzieliby, że nie mylili się w swojej opinii, nazywając barbarzyńcami wszystko to, co mieszka poza błogosławieństwem greckiego słońca. Albowiem Herodot powiada: „U Lidów, jako też u wszystkich prawie barbarzyńców, nawet mężczyzna wstydzi się pokazywać nago". Wierzyli, że nie ma nic bardziej pięknego nad ciało ludzkie, i bliscy byli mniemania, że miłość jest najświętszą rzeczą na świecie. Nigdy nie łączyli spraw miłości z pojęciem bezwstydu. A gdyby nawet komuś podobało się tak uczynić, znaleźliby odpowiedź w przysłowiu. THEOS HE ANAIDEIA – i Bezwstyd jest bóstwem. Tak, i temu bóstwu w Atenach postawiono kapliczkę...

Moim ulubionym rozdziałem był *Zwycięski pochód Dionizosa*, napisany jak tekst reportera, który nie dotarł na samo wydarzenie, ale dzięki spóźnieniu ma okazję uchwycić coś, czego inni nie widzą, ponieważ uznali, że najważniejsze już się odbyło. Widzi więc uczestników w chwili, kiedy oni nie wiedzą, że ktoś ich obserwuje:

> Obóz Dionizosa spał jeszcze. Na obszernej polanie leżały Bachantki i Menady obok kosmatych Satyrów. Sen porozrzucał te ciała znużone orgią nocną, po krzakach, pod drzewami, wśród pni zbutwiałych, na wilgotne liście zeszłoroczne i na kruche uschłe gałązki, które z trzaskiem łamały się za każdym poruszeniem śpiących. Nimfy miały na sobie szczątki poszarpanego

> odzienia, które je źle chroniło przed rannym chłodem; zziębnięte kobiety garnęły się bezwiednie do Satyrów, pokrytych gęstą sierścią, i nie budząc się, odnawiały uściski minionej nocy. […] Kałuże rozlanego wina mieszały się z krwią żywcem rozdartych zwierząt; Bachantki jadły wczoraj te surowe kawały mięsa i jeszcze teraz miały dookoła pobladłych ust rdzawe plamy krwi. Sen ich był ciężki […].

Przyznam, że przed chwilą, przepisując ten fragment, też byłem zachwycony. Już nie krajobrazem po orgii, lecz idealnie brzmiącymi zdaniami. Ale, jak wiadomo, u Parandowskiego słowa to rzecz alchemii.

> Słowo, mleczny brat marzenia, uchyla furtkę, którą w każdej chwili można się wymknąć na swobodę. Jakże łatwo uciec od dokuczliwych czasów, od niepowabnej przyrody, od nieznośnych warunków, wreszcie od samego siebie, od tej istoty uprzykrzonej, natrętnej, której nie pozbędziemy się do śmierci – napisał w *Alchemii słowa*. – Duchem ucieczki można objaśnić znaczną część literatury – spuentował.

Kiedy miałem lat piętnaście, w pierwszej klasie liceum, poznałem dzieło, do którego *Eros na Olimpie* z 1926 roku był tylko apendyksem. Tym najważniejszym dziełem była bowiem *Mitologia*, którą Parandowski skończył w 1924 roku. Za kolejną książkę ze świata antyku – *Dysk olimpijski* – otrzymał w 1936 roku brązowy medal na Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury podczas letniej olimpiady w Berlinie.

Uważany był za jednego z największych polskich erudytów. Urodził się we Lwowie i tam skończył uniwersytecki Wydział Humanistyczny. Po drugiej wojnie pracował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a potem na Uniwersytecie Warszawskim.

Do zamieszczenia fragmentu jego książki podróżniczej *Dwie wiosny* – opisu wędrówki Jana Parandowskiego po starożytnych zabytkach Grecji, Sycylii i Capri – namówiła mnie Julianna Jonek. Zwróciła uwagę, że pojechał tam już po napisaniu *Mitologii*, po *Erosie*, w 1927 roku. Przecież to tak, jakby Ryszard Kapuściński pojechał do Etiopii dopiero po napisaniu *Cesarza*…

> Z Parandowskim było tak, że znałam go jak wszyscy, którzy pamiętają cokolwiek z polskiego: jako autora *Mitologii*. Ona jest matką wszystkich opowieści, jest fundamentem fikcji, a tu nagle jej apostoł schodzi z pokładu statku na ziemię, na której powstały mity. Jako reporter! I gdy wyobraziłam sobie niesamowite podniecenie Parandowskiego, kiedy wybierał się w tę podróż… To musiało być spełnienie jego największych marzeń. To tak,

jakby Milne mógł wybrać się do Stumilowego Lasu, a Barrie do Nibylandii. Parandowski wiedział o Grecji wszystko, dzisiaj powiedzielibyśmy, że miał świetnie zrobioną dokumentację. Ale nie wiedział, jak pachnie tamtejsze powietrze, jaki kolor ma woda, jak smakują owoce, jak ciepłe są nagrzane słońcem budynki Akropolu pod koniec dnia. Wiedział wszystko, ale brakowało mu tego, co jest podstawą reportażu: osobistego doświadczenia. Pojechał i dzięki tej podróży polska literatura może pochwalić się jeszcze jednym, zupełnie wyjątkowym reporterem: z krainy Mitologii

– tak pięknie mnie przekonała.

Oto więc przed czytelnikiem konfrontacja erudycji z reporterską autopsją. Jan Prokop w *Prozaikach dwudziestolecia* napisał, że „Parandowski jest nie tyle odkrywcą nowych lądów, co skarbnikiem przeszłości".

Ale przecież i skarbnik musiał pierwszy raz wejść do skarbca. I o tym jest poniższy fragment *Dwóch wiosen*.

Dwie wiosny

Arcymorze

W południe wszedłem na pokład Semiramis. Ostatni pasażerowie biegli bez tchu, zziajani, potykając się o rozstawione paki, kufry i wózki tragarzy. Na szczycie mostku łączącego okręt z portem stał policjant turecki. Przeglądał papiery podróżnych i nie odpowiadał na pytania. Z komina szły kłęby dymu. Parowiec drżał wstrząsany hamowaną pracą maszyny. Na koniec, nasyciwszy się ludźmi i bagażami, schował ramię dźwigaru, wciągnął mostek, szarpnął cumy przytrzymujące go do ziemi – i ruszył. Wielka biała chmura sunęła przed nim, jakby go odprowadzała na pełne morze.

Wybrzeże Konstantynopola rozwijało się wstęgą, gdzie ścisłym haftem biegły domy, meczety, magazyny. Słoneczna odległość obmyła cały obraz z kurzu i brudu i przesłoniła go melancholią rzeczy, od których się odjeżdża. Płynęliśmy przez Marmara, mając po jednej stronie Azję, po drugiej Europę. Wśród ogrodów jaśniały wille i pałace. Ku błękitnym wodom zbiegały żółte ścieżki. Nadszedł ciepły wieczór, rozłożył cienie na płowych i zielonych płaskociach, a niebo uczyniło się perłowe. W nocy wyroiły się gwiazdy i Wielka Niedźwiedzica zawisła jak metr zwinięty, zbyt wielki do odmierzania ziemskich przestrzeni. Wśród fal mieniło się odbicie księżyca splotami bajecznego węża. Woda miała barwę oksydowanego srebra.

Zeszedłem do kabiny, ale nie mogłem zasnąć ze wzruszenia. Żadnej podróży nie zaczynałem w podobnym uniesieniu. Nawet owa pierwsza, jeszcze dziecinna wyprawa na południe, w poszukiwaniu morza, które ciągnęło ku sobie moje robinsonowskie tęsknoty, nawet to pierwsze zalęknione obcowanie z wielką nieznajomą przestrzenią, otwierającą się po obu stronach pociągu – nie przejawiało się takim drżeniem. Spełniało się teraz to, co wydawało się dalekie, planowane ostro, nie w opieszałej beznadziei wykonania. Opadła mnie jakby nostalgia – nie zwyczajne pragnienie wyjścia z granic swojego kraju i przewietrzenia duszy po cudzych drogach, lecz wprost tęsknota do jakiegoś powrotu, potrzeba witania się z rzeczami, do których oko i serce przywykło. Byłem wypełniony Grecją, jej historią, sztuką, myślą, zdarzały się chwile, że obumarła składnia języka greckiego rozrastała się w mózgu do potęgi jedynie możliwego wyrażania uczuć. I oto wiózł mnie okręt ku tym bliskim i nieznanym brzegom.

Wczesnym rankiem wyszedłem na pokład. Właśnie minęliśmy Dardanele.

Otwarło się Morze Egejskie wyzłocone pierwszymi promieniami słońca. Oczy biegły po drobniutkich falach i bawiły się błyszczącymi iskierkami. Na skałach niedalekiej wyspy świt dogasał. Krańce widnokręgu obiegał pas ciemniejszy, istotnie barwy fiołkowej, tak jak to widział Homer. Nagle wypłynęły delfiny. Było ich kilkanaście. W szybkich jak myśl obrotach wywijały koziołki, prężąc grzbiety i bijąc płetwami. Pradawne opiekuńcze zwierzęta mórz greckich – rumaki srebrnonogich nereid.

Na jednej z waz greckich widziałem okręt otoczony delfinami. Na pokładzie leży Dionizos. Maszt, reje i żagle rozkwitły w potężną winorośl. Liście i ciężkie, nabrzmiałe sokiem grona zwisają nad bogiem baldachimem łagodnego cienia. Dookoła skaczą delfiny. Łódź, której nikt w ruch nie wprawia, płynie dokądś, niesiona chyba własną duszą. Zdaje się, jakobyśmy i my płynęli w tym samym kierunku – szlakiem bajki Egejskiego Morza.

Marzenia przelatują w powietrzu. Morze, co widziało narodziny Apollona i Afrodyty, jest jak czasza wycięta w olbrzymim bloku szafiru – czasza, z której pić można bez miary spokój i wytchnienie. Płuca chłoną świetlisty eter. Światło zabija wszystkie małe myśli, oczyszcza i przeobraża wszelką nikłą rzeczywistość, zatapia ją w ogromie jasnego widnokręgu. Dusza zawieszona wśród błękitnych przestworów syci się niewysłowioną słodyczą. Jakbym płynął na łodzi bez wioseł, żagla ni steru, pod gwiazdą dobrej nadziei, prowadzony niewidzialną ręką.

W prawiekach Azja i Europa tworzyły w tym miejscu wspólny ląd, który pod naporem gwałtownych wstrząśnień rozwiał się i zapadł. Dawne doliny zmieniły się w zatoki, łańcuchy gór wyszły na powierzchnię i rzuciły między dwie części świata rój wysp niby pale mostu. Gdzie okiem sięgnąć, widać złociste pszczoły osiadłe na łanie bławatów. Zanim jeden szereg wysp zapadnie w liliową dalekość, już podnoszą się inne, błyszcząc słońcem, które odbija się na wysokich skałach. Wierna obecność tych kawałów ziemi, odbierając morzu pustkę i niezmierzoność, błogosławiła pierwszym łodziom, co wiozły modlitwę grecką ku nowym ołtarzom. Wśród nich działy się legendy wypraw i powrotów, a wyspa oddawała wyspie bohaterów, w zaczarowanym kole coraz nowej przygody.

Dzisiaj one tworzą uczucie pustki wśród radosnej chwały morza. Skały, wygracowane przez wiatry i spalone od słońca, pokrywają rzadkie liszaje zetlałej roślinności, a tylko w zagłębieniach, zbierających trochę wody deszczowej, jaśnieją płachetki zielonej trawy. Brzegi opadają stromo lub rozpryskują się w złomiska, dokoła których wirują mniej spokojne fale otoczone białymi obrąbkami piany. Nie dojrzeć ani pól uprawnych, ani osad ludzkich, ani czółen

zaczepionych u wybrzeża. Wszystkie domy uciekły w głąb wysp, jakby wciąż jeszcze krążyły po morzu statki piratów.

W starożytności ten obumarły archipelag żył bujnie. Miasta i wsie swobodnie kąpały się w morzu, a na wzgórzach i przylądkach stały świątynie, kaplice lub ołtarze. Każde stulecie okrywało nową sławą odpryski zatopionego kontynentu. Na złotej lutni przepłynęła tędy głowa Orfeusza i dążąc do Lesbos, śpiewała przez całą drogę. Delos pachniała kadzidłem swoich świątyń. Naksos, wycięta w kształt winnego liścia, widziała ślub Dionizosa z Ariadną. Mity, historia, poezja wyrzeźbiły każdy głaz w oblicze jakiegoś cudu lub wspomnienia.

Błogosławiona magia sławy! Oto naprzeciw rufy okrętu wysuwa się garbaty grzbiet wyspy, jakich już tyle i tak podobnych przeminęło po drodze, gdy wtem z pokładu rzuca się w tę stronę czyjś okrzyk: – Salamina! – i brzmi jak rycerskie powitanie.

W Atenach

Samochód owinął się białym, duszącym kurzem i gnał po długim, prostym gościńcu. Spod grubych warstw pyłu ledwo przeglądała zieleń przydrożnych drzew. Na przestrzeni dwudziestu kilometrów z Pireusu do Aten dwa razy serce zabiło mi żywiej: gdy ujrzałem płową masę Akropolu z jego białymi relikwiami i gdy spoza zakrętu wybiegły jakby wprost ku mnie wysokie kolumny Olimpiejonu. Na triumfalnej bramie Hadriana widniał napis: „Oto jest miasto Tezeusza". Byłem w Atenach.

Czytałem po ulicach wszystkie szyldy, napisy, afisze. Rozwiązywałem znaczenie słów, które odbiegły od pierwowzorów z naszych szkolnych gramatyk, cieszyłem się każdym niezmienionym wyrazem. Co za radość, że to zabalsamowane słownictwo, w którym spełniam tajemnicze obrzędy łączenia się z duchami ludzi dawno umarłych, żyje, jest mową codzienną, wypowiada rzeczy konieczne i pospolite!

Szedłem za grupą osób głośno rozmawiających. Zrazu wydawało mi się, że chyba nie mówią tym samym językiem, który odezwał się do mnie z murów miasta. Był to prędki, syczący, skrzypiący szwargot. Wsłuchiwałem się pilnie, zanim zdołałem wyłowić parę znajomych dźwięków. Gdzie tylko ucho podałem, wrzał dookoła ten język nazywający się „rzymskim", jakiś mi jednocześnie bliski i daleki. Między mną a nim kładły się stulecia, w których dawna mowa Hellenów przeszła przez bizantyńską gwarę ludową i ze wszystkich wojen i najazdów wzięła w siebie słowa łacińskie, albańskie, słowiańskie, arabskie, włoskie, tureckie, francuskie. Pogmatwała się składnia, wykoślawił się

sens starych wyrazów, w coraz zmieniającej się wymowie zatarły się odwieczne etymologie. Z całą znajomością greczyzny stałem na bruku ateńskim jak zwyczajny cudzoziemiec.

Wsiadając do autobusu, zapytałem szofera:

– *Omonia* (plac Zgody)?

Odpowiedział:

– *Malista.*

Nigdy się ten człowiek nie dowie, jak mnie uradował tym jednym małym słowem. Znaczy ono właściwie: „najbardziej" i od trzech tysięcy lat wyrażano nim w tych stronach żywe potwierdzenie. Po nieskończone razy powtarza się ono w dialogach Platona – zawadiackie, niepewne, potulne, zależnie od tego, czy Sokrates kogoś do muru przypiera, czy pozwala mu się rozzuchwalić, udając własną niższość. A kiedy zapytałem znów o coś jednego z sąsiadów w autobusie, odparł: *ochi* – nie – i na znak przeczenia podniósł z lekka głowę do góry. Ten odmienny gest, ta osobliwość, wyróżniająca już bohaterów Homeryckich, była jak powitanie dawnych dziedziców tej ziemi, którzy niby umówionym znakiem stwierdzali, że istotnie znajduję się w ich kraju.

Wysiadłszy pod zakurzonymi palmami placu Zgody, zacząłem krążyć po najbliższych ulicach. Zauważyłem wówczas pod domami szeregi stolików nakrytych szklanymi gablotkami. Siedzą przy nich „wekslarze" i od rana do późnej nocy zmieniają obcą walutę, ważą złoto i srebro na mosiężnych szalkach, w tajemniczym między sobą porozumieniu i wieczystej, sąsiedzkiej, ciasnej konkurencji. Stojąc przed jednym z nich, miałem wrażenie, że litery z banknotów drachmowych, ułożonych pod szkłem, wyskakują ze swoich rządków i zbierają się w sens starego zdania: „...jeżeli usłyszycie, że ja się bronię takimi samymi słowami, jakimi zwykle mówię, i na rynku koło stołów wekslarskich, gdzie mnie niejeden z was słyszał..."[1]. Chciałem oczywiście obejrzeć się za siebie, czy gdzieś w pobliżu nie stoi Sokrates.

Ale wydłużały się przede mną ulice zbyt obce. Z olśniewających marmurowych bruków podnosił się drobny, biały pył, którym nasiąkałem bez przyjemności i bez poczucia, że lecą ku mnie atomy dobrej, znajomej atmosfery. Ruch dookolny podmywał mnie niby pal wbity w łożysko potoku. Zacichły sny, tak zbożnie wiezione do tej przystani z najdalszych szlaków mojej myśli. Osiadły gdzieś głębiej, w iłach rozczarowań i niespełnionych pragnień. Płuca omdlewały od czadu miasta i nogi ogarniało znużenie od potrącania zwyczajnych niemych kamieni. Jak czółno, które się odwiązało od brzegu, odniósł mnie wielki strumień ulicy Patissia pod kolumnadę Muzeum.

[1] Platon, *Obrona Sokratesa* [przyp. aut.].

Jakże mi dziwnie witać się ze starymi znajomymi! Biegłem ku nim po ławkach szkolnych – od małego świeżutkiego pulpitu z pierwszej gimnazjalnej aż do spracowanej ławy uniwersyteckiej, całej w zmarszczkach czasu i bezmyślnych scyzoryków. Poufaliłem się z nimi na wiotkich karcinach podręczników i dziełek popularnych, na kredowych stronicach uczonych książek i na pysznych światłodrukach albumów. Wszystko miało wtedy tylko jedną płaszczyznę i taką małą odrobinę życia, która wydawała mi się ogromna. A teraz byłem z nimi, w ich własnym domu. Wyokrąglały się w oczach ich kształty i rosły do właściwych rozmiarów, gesty odkrywały swój czar, marmur objawiał swoją barwę, brąz swoją bezcenną patynę. Przesuwałem dłonią wzdłuż okaleczałych posągów, szukając jak niewierny Tomasz wiadomych ran i oszpeceń.

Oddychałem olbrzymim powietrzem czasu. Od pierwotnych czerepków z niezgrabnie wplecionym ornamentem, od koślawych idolów ledwo człekopodobnych, przez nieme, nieśmiejące oddychać posągi, do coraz zwinniejszych obrotów dłuta, do coraz pieściwszych wygładzeń naskórka, od głów stężałych w prometeuszowej glinie, od pierwszych zlepków nieogrzanych jeszcze niebieskim ogniem, do oczu jaśniejszych nad spojrzenie ludzkie, do ust najsłodszych gotowych przemówić słowami, których serce łaknie, do ruchów tak błyszczących, tak świetnych jak promienie słońca na wodzie. W szeregach kamiennych postaci, w tysiącach waz i terakot, w nieprzeliczonym mnóstwie drobiazgów ze złota, kości słoniowej, klejnotów, wszelkiego sprzętu ludzkiego życia – widziałem majestatyczny pochód sztuki greckiej. Szły przede mną twarde ścieżki wytrwałego, nieomylnego postępu. Na każdym zakręcie widziało się, jak dawne formy rozstają się z życiem, jak zapadają powoli i jak w ich zamierających oczach dorasta niecierpliwe, świeże, młode, piękniejsze potomstwo. Osuwał się na mnie znój wieków ludzkiego wysiłku. Byłem świadkiem oszałamiających triumfów i spokojnych, uległych klęsk przezwyciężonych stuleci. Patrzyłem na świat umarły z jasnej wysokości życia.

Nagle ogarnęła mnie cmentarność tych sal. Gablotki wydały się szklanymi trumnami. Gemmy z przyklejonymi napisami leżały jak motyle na szpilkach. Stosy mumii i pudeł malowanych tworzyły prawdziwą trupiarnię. Z szaf wiała woń soli zabezpieczających te szczątki od rozkładu. Bezbrzeżnie, nie do zniesienia smutne stały się twarze posągów wyciągniętych rzędem pod zimnymi ścianami. Podniosła się nagle tęsknota do otwartych pól, do słońca, drzew i ptaków, do rzeczy wiecznie żywych, jawnie pośród świata bytujących.

I odepchnął ją zwarty szyk wielkich kamienic wzdłuż prostej, szerokiej ulicy.

Zanim jeszcze zaszedł mój pierwszy dzień w Atenach, patrzyłem na miasto ze wzgórza Likabetu. Leży sobie miękko, wygodnie, w dostatku niezabudowanych przedmieść, po które wyciągną się wkrótce łapki regulacyjnego cyrkla. Otacza je po brzegach trochę szarej zieleni gajów oliwnych. Pośrodku dwa główne place – Zgody i Konstytucji – nie owe naturalne, przez życie oddzielone kwadraty, które w starych miastach tradycja upiększa i podnosi, ale ze ścisłej rachuby wynikłe pustki u zbiegu ulic, ze skwerami i przystankiem tramwajów. Dookoła rozsypane łuski dachów, na których nie brak ani jednej dachówki. Pod nimi widać równiutką biel fasad, balkony nieskazitelnie odlane z żelaza według kilku wzorów, okna o szybach czystych, niezałamujących się tęczą starego szkła, ogródki z mieszczańską zapobiegliwością podzielone sztachetami na „moje" i „twoje". Wszystko zaledwie wczorajsze. Nowe kamienie nie wciskają się pomiędzy stare, powozy nie wjeżdżają w odwieczne bramy, które poszczerbiła historia. Trzeba wyjść właściwie za miasto, aby zobaczyć ruiny, dokoła których bawią się dzieci.

Tak z góry, jak i z dołu – miasto nowe, świeże, błyszczące. Ma zaledwie sto lat. Chateaubriand widział tu jeszcze wieś albańską. Po odzyskaniu niepodległości zbudowano stolicę jednym tchem. Szły pieniądze od bankierów greckich z całego świata. Odkopano zapomniane kamieniołomy. Znowu pojawił się śliczny marmur pentelikoński, biały, drobnoziarnisty, ten sam, z którego stawiano Partenon, i solidny hymetyjski, szaroniebieski w ciemne żyłki. Panował wówczas król Otton, Bawarczyk. Z Monachium przyjechali architekci. Byli to rzetelni murarze, którzy wykuwali w kamieniu reguły swoich podręczników. Królowi zbudowali koszary zamiast pałacu, wznieśli kilka czy kilkanaście gmachów w „neoklasycznym" stylu – pełne kolumn, fryzów, polichromii, dokładne i uczone jak lekcja starożytnej architektury, całe miasto porżnęli długimi, nie na żar tutejszego słońca, szerokimi ulicami. Obcy, niby najeźdźcy z północy, zdobyli Ateny dla siebie, narzucając im prawa własnego budownictwa.

Tylko nazwy ulic zostały greckie i niesamowicie starożytne. Obejmują całą mitologię, historię, literaturę Hellady. Idzie się jak po kolumnach leksykonu, ułożonego cierpliwie i z ostrożnością, żeby nie pominąć ani jednej sławy. Istnieje nawet dzielnica poświęcona osobom Platońskich dialogów. Ani razu nie powita nas jakieś imionisko, do którego serce od wieków przywykło, bo narosła na nim tradycja dziejów i anegdoty. Tylko pod Akropolem jest jedna uliczka mała, kręta i niesforna, o nazwie prastarej: *odos Tripodon* – ulica Trójnogów. Niegdyś zdobiły ją pomniki tych, co odnieśli zwycięstwo w teatrze przez wystawienie najlepszego chóru. Były to jakby kapliczki z brązowym

trójnogiem na szczycie. Została z nich tylko jedna. Ale ta smukła budowa, uwieńczona dionizyjskim fryzem, wystarcza, aby przesunąć całą dzielnicę ku cichej poezji starych miast, wylęgających pod swoimi fundamentami legendę.

Spod pomnika Lizykratesa wyciąga się długi, rozwlekły okrzyk:

– *Portokalia ke limoni!*

To handlarz owoców popędza osła z ładunkiem cytryn i pomarańcz nakrytych liśćmi wawrzynu. Środkiem ulicy biegną kozy. Zaułki, w miarę zbliżania się do Akropolu, stają się coraz gęstsze. Przy samym wzgórzu domy zbierają się w nierozwikłane gromady – jedne niskie, że ręką można sięgnąć dachu, inne wyskakują na dwa pięterka w górę. W szarych murach, z kamyków i błota, wybłyśnie czasem biały odłam kolumny lub posągu. Każda drożyna ucieka w sień jakiejś lepianki, trzymającej się wątłymi fundamentami żywej skały. Wśród rozwieszonych sznurów bielizny, wśród bluszczu pnącego się po odrapanych ścianach, wśród pisku dzieci i klekotu drobnych warsztatów dogasa upał dnia, który tu zawsze jest jakby przyćmiony.

W obrębie tej dzielnicy przechowały się jeszcze okruchy starego obyczaju, pstre zlepisko antyku, średniowiecza i Wschodu. Dookoła ruin Biblioteki Hadriana i na placu Świętego Pantelejmona trzymają się resztki dawnego bazaru tureckiego, który zajął miejsce starożytnej agory. Nieprzeliczone krainy, stragany, sklepiki, piwnice pachną z daleka owczym masłem, oliwą i rozgrzanym mięsem. Spośród targowiska ucieka ku śródmieściu długa ulica Hermesa, otwierająca się wielkimi wystawami modnych magazynów.

Byłaby i ona zupełnie pospolita, jak wszystkie powleczone europejskim tynkiem, gdyby nie kilka czy kilkanaście drzwi wąskich i ukrytych, które prowadzą do sklepów osobliwości. Jest to zazwyczaj jeden pokoik, ciemny i chłodny. Na ścianach wiszą bizantyńskie ikony o poczerniałych figurach na złotym tle, broń staroświecka, inkrustowana kością słoniową, wysadzana drogimi kamieniami, kropierze[2], czapraki, pasy ze skóry i jedwabiu, dywany, fajki tureckie, laski o srebrnych gałkach, różańce z bursztynu i drzewa sandałowego – cały lamus orientalny, pachnący dalekimi krajami, uwiązany do nazw Smyrny, Konstantynopola, Aleksandrii, Damaszku, nasuwający myśl o karawanach, co idą przez pustynię, po trupach miast zasypanych w piasku.

Obok szaf oszklonych i stołów, gdzie leżą brązy, terakoty, wazy greckie, porcelany, fajanse, podnoszą się rzeźbione wieka kufrów o miedzianych okuciach. W nich, jak w skrzyni królowej Hekabe, leżą stosy materii jasnoczerwonych, szkarłatnych, pomarańczowych, niebieskich, zielonych, żółtych – wszystkie kolory tęczy, soczyste i mocne: kilimy i hafty, szale, koszule, spódnice. Nieuczone dziewczyny chłopskie improwizowały na tych misternych tkaninach

[2] Kropierz – długa kapa z wyciętymi otworami na oczy, okrywająca konia rycerskiego.

najcudniejsze kaprysy linii, ornamentów, arabesek. Najwytworniejsze hafty pochodzą z Arachovy, z Orzechowy, wsi wyrosłej w x wieku na gruzach prastarej Anemorai, kwitnącej do dziś nieopodal Delf, wśród szmeru strumyków i bujnych winnic. Grecka Arachne osiadła pod słowiańską strzechą.

Nie wiem, co miał na myśli Pindar, nazywając Ateny – „uwieńczone fiołkami". Może podsunęło mu te słowa przypomnienie jakiejś procesji, może wynikły ze spotkań z ludźmi, którzy kochali kwiaty. Niepodobna przypuścić, żeby odnosiły się do samego miasta. Nawet jeśli nasza wyobraźnia napełni koryto Ilissosu żywszą strugą, jeśli podniesie z ogołoconych wzgórz zieleń dawnych lasów, nasze powątpiewanie trwać będzie nadal w suchym skwarze attyckiej skały. Przecie i ta najbardziej „wilgotna" scena z platońskiego dialogu, baziami pachnąca rozmowa Sokratesa z Fedrosem, ma za tło strumyk, który przejść można, zamoczywszy nogi zaledwie po kostki. Platany, które szumiały nad ich głowami, i dziś rosną w tym samym miejscu, na wysepce ujętej w widły Ilissosu, a w najbliższym sąsiedztwie jest może nawet więcej zieleni, niż jej było wówczas.

Rozwija się stąd wielka przestrzeń dawnego parku królewskiego, prawdziwa fundacja cienia, kosztowne dzieło dobroczynności, na które sama przyroda nie mogła się zdobyć. Krótkie, błędne ścieżki przebiegają wśród starych drzew, pod pergolami opiętymi powojem lub winoroślą, przez pachnące zarośla wawrzynów. Pod palmami i eukaliptusami, w zakamarkach paru starożytnych szczątków, pije się cień jak dobrą, chłodną wodę. Ale ogród żywiony sztuczną wilgocią podziemnych kanałów, wszędzie tam, gdzie niezbyt dokładnie założono rury dopływowe, odsłania grunt spalony, nagi lub zarosły spłowiałymi chwastami. Na drzewach wiszą tablice z napisem: „Zanim odrzucisz zapałkę lub papieros, uważaj, gdzie rzucasz": każda iskra może tu rozpalić pożar. Trawników nie ma. Pod drzewami tulą się małe grządki kwiatów, na których wschodzą równocześnie, pomieszane z sobą, bratki, mak, koniczyna hiszpańska, tytoń, dymnica, goździki.

Jedynie w kwietniu, który jest dla Aten jakby powrotem Persefony, zawisa nad miastem błogosławieństwo wiosny. Zdarza się wtedy widzieć różowe płomyki drzew migdałowych, klematycja rozciąga dokoła altan swe długie palce, na przedmieściach mury przydrożne okrywa passiflora, a po starych sztachetach pną się dzikie róże. Ale na całe lato zostają tylko po ulicach platany i drzewa pieprzowe, i doniczki na oknach. Mirty i oleandry, które kwitną w lipcu, ledwo rozwinięte giną pod skwarem i pyłem. Wtedy ze szczególnym uporem przypominają się wiersze poetów. Są rzeczywiście jak utajone w kielichach kwiatów krople rosy. Wydaje się, że spadły nagle z nieznanego nieba,

pod którym dojrzewało kiedyś lepsze, piękniejsze życie. I są jak zgubione nawoływania po lesie, za którymi się idzie na przekór swej woli i mimo że nie nas wołano.

„Pójdziesz do Akademii. Pod cieniem świętych oliwek przechadzać się będziesz w wieńcu z rozkwitłego sitowia. Napoisz się wonią cisa i świeżych pączków białej topoli. Radować się będziesz wiośnie, słuchając, jak szum jaworu miesza się ze szmerem wiązów”[3]. Ktoś późniejszy od Arystofanesa mógłby mi obiecać jeszcze więcej: dom biały na ustroniu i wpółuchylone drzwi, za którymi słychać głos Platona.

Poszedłem. Lecz rozmowę jaworu z wiązem dawno przerwała czyjaś siekiera, a wiosna przykucnęła cichutko pod parkanem cmentarza, wśród niewielkich ogrodów, gdzie jest nieco jarzyn, oliwek i cyprysów. Wizję młodych ciał, które niegdyś goniły po trawie, i młodych duchów, które zbierały się dokoła Platona, przesłonił jednolity budynek kliniki położniczej.

Nieopodal zaś mały wzgórek wapienny, niby ocalały kopiec graniczny, objaśnia położenie starożytnego Kolonos Hippios. Tu narodził się i mieszkał Sofokles. W swoim domu gościł przez kilka miesięcy boga. Kiedy bowiem Ateńczycy sprowadzili z Epidauros posąg Asklepiosa, kaplica pod Akropolem nie była jeszcze gotowa. W całym mieście nie było rąk godniejszych, aby przyjąć niezwykłego przychodnia, nie było dostojniejszego dachu, pod którym mógłby spocząć. Dom poety już wówczas wydawał się świątynią, zanim stał się nią naprawdę, zanim samego Sofoklesa ogłoszono po śmierci herosem.

Z tego pagórka, patrzącego wprost na Akropol, stary wieszcz obejmował rozradowanym spojrzeniem najdroższy pejzaż. „Wszedłeś, cudzoziemcze, do kraju, który rodzi sławne rumaki, do najpiękniejszej na ziemi okolicy, do jasnego Kolonos. Zielone krzewy trzęsą się od słodkich śpiewów słowiczych, gaj święty porasta drzewami pełnymi owoców, wśród których pnie się bluszcz ciemny jak wino. Ani wiatr, ani burza, ani skwar tu nie dociera. Na święta bachiczne zjeżdża w nasze strony Dionizos z orszakiem swych boskich piastunek. Pod rosą niebieską codziennie rozkwita cudny narcyz, odwieczny strój Wielkich Bogiń, i szafran złocisty. Strumień Kefisowy otwiera nigdy niewysychające bezsenne źródła, co żywią dookolne łąki, i dzień w dzień, pod niezmąconym cieniem, przepływa równiny, podnosząc łatwą płodność gładkiej jak pierś ziemi. Zatrzymują się tutaj chóry muz i Afrodyta, co powozi złotymi lejcami”[4].

W dzisiejszej zieleni zachowała się odrobina owej poetyckiej prawdy. Nad przedmieściem podnosi się opar wilgoci, od starodrzewu przelatuje cieniuchne tchnienie świeżości.

[3] Arystofanes, *Chmury* [przyp. aut.].

[4] Sofokles, *Edyp w Kolonos* [przyp. aut.].

Ilekroć zdarzy się, jak tutaj, przemknąć stopą po tak wyraźnych śladach (czasem odczuwa się wręcz ciepłe dotknięcie powitania), doznajemy uczucia poczciwych prostaków, którzy żałują, że Chrystus nie przyszedł na świat gdzieś w pobliżu ich chaty – bo i nam się wydaje, że gdybyśmy u siebie mieli takie dziedzictwo, usunęlibyśmy się z drogi wszystkim pamiątkom i osiedlibyśmy z dala od nich, na czatach. Tak bardzo trudno pogodzić się z myślą, że żyć to znaczy koniecznie odtrącać od siebie to, co umarłe. Nieznośne wydaje się zuchwalstwo, z jakim nowoczesność rozpiera się pod tymi stropami, których wiązania jeszcze widzimy.

Może dopiero trzeciego dnia, może już wcześniej, ulice ateńskie stały się dla mnie już tylko niezbędnymi przejściami ku rzeczom leżącym poza nawiasem ich życia. Pamięć zachowała jakieś oderwane drobiazgi: dorożki torujące sobie drogę dzwonkami, starzy obywatele po brzegach kawiarni obracający w palcach bursztynowe paciorki, gwardziści w trzewikach z pomponami – błahe, roztargnione spojrzenia. Zapewne jest w tym ruchu wielkomiejskim jakiś zbożny sens, coś tam się przerabia i klaruje na podniosłe sprawy narodu, pełnego soków, z oczyma wyraźnie odwróconymi ku przyszłości.

Ale nam pilno do naszych zajęć. Na stopniach Tezejonu, w żółte jak miód południe, czytać będziemy *Fedona*, póki mrok nie przyćmi książki. Między wysokopiennymi kolumnami Olimpiejonu chodzić będziemy jak w lesie wyciętym. Małymi ścieżynami obiegniemy stoki Akropolu, zaglądając do szczelin, w których śpią sowy – tak dawniej, uczepione do skały, wisiały kapliczki bogów. W szkarłatny wieczór usiądziemy na ławie teatru Dionizosa – w najwyższym rzędzie, skąd widać skrawek morza – na brzegu marmurowego krateru, gdzie rumianek kołysze nieprzeliczone kadzielniczki ciepłej, dobrej woni.

Robimy to wszystko, na co ateńczycy nie mają czasu. Nikt z nich nie wie, że na łysym Pnyksie echo kroków rozpryskuje się na drobne, zgłuszone szmery, jakby im odpowiadał szelest stóp przeminionych zgromadzeń ludowych. Nie mają ucha dla tych rzeczy i nawet nie domyślają się, ile głosów niewysłuchanych przelatuje ponad ich głowami zwykła dola stałych mieszkańców sławy. To my dopiero – ludzie z daleka – gubimy kierunek dzisiejszych dróg i pod ich płytami odnajdujemy zatarte ścieżki.

Co za rozkosz brać w siebie, czuć w sobie cały ów świat zamierzchły!

Jan Parandowski, *Dwie wiosny*, Kraków:
Państwowy Instytut Wydawniczy, 1952, s. 7–26

1928

Tadeusz Dębicki (1902–1952)

Nic wspólnego z rasą narcyzów

Na początku XXI wieku zachwyciliśmy się Kazimierzem Nowakiem, podróżnikiem cyklistą z Poznania, który w latach 1931–1937 na rowerze i pieszo przemierzył Afrykę. Jego listy z tej podróży stały się bestsellerem. Ryszard Kapuściński (patrz s. 681) zaliczył je do klasyki polskiego reportażu. Współczesny podróżnik i fotograf Dominik Szmajda, który wybrał się śladami Nowaka i wydał o nim książkę, podkreślał rewolucyjny jak na owe czasy stosunek Kazimierza Nowaka do Afrykańczyków:

> To były lata trzydzieste ubiegłego wieku, a więc rozkwit ery kolonializmu – wyjaśniał. – Mieszkańcy Afryki byli przede wszystkim tanią siłą roboczą bez żadnych praw i nawet jeśli uznawano ich za ludzi, to na pewno za gorszy gatunek człowieka. A on traktował ich jak równych sobie, co było wręcz niewiarygodne w tamtych czasach.

Powiedziałbym inaczej niż Dominik Szmajda: w tamtych czasach bardzo powoli stawało się to „wiarygodne". Otóż kilka lat przed Nowakiem dwudziestosześcioletni marynarz Tadeusz Dębicki napisał imponujący reportaż z Konga, który jest dowodem na to, że autor nie myślał w kategoriach rasy. Jeśli każda cywilizacja ma tendencje do narcyzmu – jak twierdził Kapuściński – to Dębicki reporter i Dębicki gość zachowywał się w Afryce jak ktoś, kto nie ma zamiaru być narcyzem.

Tadeusz Dębicki był synem Zdzisława Dębickiego, poety i krytyka literackiego, który w latach 1918–1929 kierował „Tygodnikiem Ilustrowanym".

Nim powstał zaskakujący w swej otwartości reportaż *Moienzi Nzadi, u wrót Konga* – a powstał przy okazji podróży Tadeusza do Konga na żaglowcu Lwów – autor próbował już swoich sił w tekstach marynistycznych. Jako student Szkoły Morskiej w Tczewie, którą skończył w 1924 roku, prowadził dziennik z innego rejsu Lwowa – z Gdańska do Rio de Janeiro i z powrotem.

Ten trzymasztowy żaglowiec to legendarny statek, rozsławiony przez niezapomniany zbiór opowiadań marynistycznych *Znaczy Kapitan* Karola Olgierda Borchardta. Lwów był pierwszym polskim żaglowcem szkolnym – kolebką nawigatorów, dumą nowo powstałego państwa. Zbudowany w 1869 roku w Wielkiej Brytanii, został kupiony dla szkoły w Tczewie w 1920 roku za dwieście czterdzieści siedem tysięcy dolarów. 13 sierpnia 1923 roku jako pierwszy polski

statek przekroczył równik – w trakcie rejsu do Brazylii, który opisał student Dębicki. Lwów musiał sam zarabiać na swoje utrzymanie, dlatego trasy jego podróży układały się w zależności od celu przeznaczenia ładunku.

Dębicki rzeczowo rejestruje monotonne dni na morzu, ale kiedy tylko w porcie lub na falach dzieje się coś niecodziennego, potrafi dostrzec sytuacje, z których może zrobić anegdotę lub scenkę.

Na przykład w Rio de Janeiro, gdy Lwów nawiedzili goście, z których dwóch miało równo ucięte noski prawych butów. Okazało się, że w Brazylii oprócz zwyczajnych nożowników grasują jeszcze specjaliści walczący brzytwami. Brzytwę ukrywa się między dużym a drugim palcem stopy i umiejętnym kopnięciem rozpruwa brzuch przeciwnikowi.

Kiedy marynarzom udało się złowić dwumetrowego rekina (kapitan musiał do niego strzelić, gdyż ryba tak się rzucała, iż nie sposób było jej wciągnąć na pokład), każdy zapragnął wziąć sobie coś „na pamiątkę". Gdy rozcięto rekinowi brzuch, okazało się, że połknął papiery i kawałki drutu ze Lwowa.

Na Wyspach Zielonego Przylądka Dębicki opisuje handel marynarzy z tubylcami, których języka nie znali. Mieszkańcy wysp, podpływając do żaglowca łódkami pełnymi owoców, wykrzykiwali „papierosy", gdyż uznali je za najlepszą dla siebie walutę.

Innym razem, włócząc się po mieście, marynarze wstąpili do winiarni. Tam, opisuje Dębicki, „zbliżył się do nas mały czarny nagusek, trzymając za rękę jeszcze mniejsze i umorusane czarne bobo, i trącając nas nieśmiało ręką, powiedział: »*Master, my sister, two dollars*«". Spytali go, czy chce sprzedać swoją siostrę. Ucieszył się i dodał szybko: „*Yes, yes, master*". Widząc, że się śmieją, opuścił cenę do dolara. Na pytanie, co powie matka, odparł, że matka kazała mu sprzedać siostrzyczkę, bo do portu przyszedł nowy statek. „Daliśmy mu dolara i kazali odprowadzić dziecko do domu".

Dziennik jest dowodem na to, jak szczegółowo interesował się Dębicki życiem miejsc, do których przypływał. Dowiadywał się na przykład, ile statków zawijało do jakiegoś portu przed pierwszą wojną światową, a ile po wojnie; z czego żyją mieszkańcy, czy wszyscy mają pracę itp.

Po zakończeniu wojny Tadeusz Dębicki został pierwszym dyrektorem reaktywowanego towarzystwa żeglugowego Gdynia America Line, z którego w 1951 roku wyodrębniono Polską Żeglugę Morską i Polskie Linie Oceaniczne.

Jak twierdzi synowa Tadeusza Dębickiego (syn już nie żyje), nic nie wiadomo o tym, żeby po wojnie wrócił do reportaży czy opowiadań. Zostało za to po nim kilka szant, do których napisał teksty. Między innymi ta o tytule *Morowa marynarska wiara*.

Moienzi Nzadi, u wrót Konga

Zbiórka wszystkich Murzynów. Długim szeregiem ustawiają się na molo i na brzegu. Zjawia się komendant w świeżo odprasowanym, naszywanym złotem, śnieżnobiałym mundurze. Razem z pierwszym oficerem liczą czarnych i rozdają im małe ćwiartki papieru z pieczęcią okrętową. Służą one do sprawdzania obecności. Od czasu do czasu, niespodziewanie, podczas roboty, zarządza się zbiórkę i wszystkim obecnym robi się jakiś specjalny znak na ich kartkach. Po miesiącu, podczas wypłaty, tym, którzy nie przedstawili każdorazowo swych papierków do kontroli, potrąca się część ich wynagrodzenia. Sposób to dość prymitywny, ale bodajże jedyny, jaki można tu zastosować, gdyż o żadnym sprawdzaniu według nazwisk, a nawet imion nie może być mowy.

Oprócz kartek, wydanych im przez komendanta statku, wszyscy Murzyni pracujący na okrętach posiadają jeszcze blaszane numerki – coś w rodzaju ich dowodu osobistego. Są to małe, kwadratowe blaszki, na których są wyciśnięte odpowiednie cyfry i – nie wiem, czy w oczach władz ma to zastąpić fotografię właściciela – siedząca na gałęzi małpa. Pomysł w każdym razie niezmiernie dowcipny!

Natychmiast po skończonej zbiórce rozpoczynamy pracę. Drugi oficer zabiera połowę czarnych na pokład i do ładowni – ja z resztą pozostaję na brzegu. Siatka, naładowana stukilowymi workami ryżu, opuszcza się na molo. Dwóch celników Murzynów i dwóch czarnych *pointeur'ów*[1] rzuca się do przeliczenia sztuk. Jednocześnie moi *boys* pchają się już po swój ładunek. Wybieram dwóch najsilniejszych dla podawania worków innym na głowy. Jest to praca najcięższa. Stosunkowo słaby nawet Murzyn z łatwością będzie biegł z wielkim ciężarem na głowie. Ale schylać się co parę sekund do ziemi, podnosić wysoko do góry ciężkie worki i usadawiać je na głowie tragarza to dla czarnych, którzy mięśnie ramion mają zwykle dość słabo rozwinięte, praca nie lada. Jednakże moje dwa draby spisują się doskonale. Pot cieknie po nich jak woda, a oni pomimo to nie robią zupełnie wrażenia zmęczonych. Podśpiewują i pogwizdują sobie jakąś prymitywną melodię, zupełnie podobną do kilku innych, które już u nich słyszałem. A reszta, chudzi i wysocy czy mali, okrągli, starsi czy jeszcze dzieciaki prawie, gdy tylko poczują, że worek pewnie leży na ich głowie, biegną drobnym, elastycznym krokiem do odległego o sto metrów na brzegu magazynu, dudniąc bosymi piętami po deskach pomostu.

[1] *Pointeur* (fr.) – tu: pracownik nadzorujący rozładunek i pracę.

Ale oto wkrótce wszystkie worki zostały wyładowane. Przychodzi kolej na rozmaite skrzynie. Teraz trzeba pilnie uważać na ich ciężar i wielkość, gdyż zwykle najstarsi porywają najmniejsze i najlżejsze pakunki, zostawiając rzeczy ciężkie dla czternastoletnich chłopców.

Jedni noszą skrzynie również na głowie, aby jednak było im wygodniej, skręcają w grube, miękkie powrósło kilka zerwanych na brzegu wielkich liści i kładą na swe kędziory niby wianek. W ten sposób twarda skrzynia nie naciska bezpośrednio na czaszkę i leży pewniej na większej powierzchni. Inni wolą nosić skrzynki oparte kantem na ramieniu. Podziwiałem chłopców, którzy po kilkunastokrotnym obróceniu tam i z powrotem mieli oba ramiona pokaleczone i starte do krwi, a pomimo to sami jeszcze się cisnęli po następne sztuki.

Przy wyładowywaniu jakiejś partii niewielkich, ale bardzo ciężkich skrzynek z żelazem kazałem Murzynom przyciągnąć z magazynu niskie, dwukołowe ręczne wózki, aby na nich przewozić towar. Okazało się to jednak zupełnie niepraktyczne, gdyż, po pierwsze, nie umieli zupełnie ładować tych wózków i zwykle już w połowie drogi wysypywali wszystko, po drugie zaś ciągnięcie wózka z kilkoma skrzynkami trwało dłużej niż zaniesienie ich do szopy przez tę samą liczbę robotników. Kiedy kazałem, aby skrzynki noszono dalej ręcznie, Murzyni zaczęli nawet wykrzykiwać z radości i znowu, aczkolwiek uginając się pod ciężarem, puścili się biegiem w stronę brzegu. Muszę tu jednakże nadmienić, że jeśli biegną oni z ładunkiem, to bynajmniej nie z chęci przeniesienia jak największej ilości paczek, ale po prostu żeby prędzej złożyć swój ciężar na ziemię. Wracając z magazynu, szli zawsze wolno, i nawet ociągając się.

Opowiadano mi, że zdarzają się czarni, którzy potrafią wykonać tylko jedną pracę pokazaną im przez białych, a zrozumienie czegoś innego poza tym zupełnie przekracza ich inteligencję. W Pointe-Noire mianowicie (Kongo Francuskie) Murzyni pracowali, pchając wagonetki po szynach kolejki polowej. W pewnym miejscu w poprzek toru leżała kłoda drzewa. Pierwsi dwaj, dopchnąwszy do niej swój wagonik, poczuli opór. Zamiast zdjąć belkę z szyn, zaczęli pchać silniej. Inne wagonetki zatrzymały się za nimi. Wreszcie przy pomocy większej liczby ludzi udało im się ruszyć z miejsca pierwszy wózek, posuwając go ciągle z belką pod przednimi kołami.

Co do mnie jednak, to muszę przyznać, że spośród czarnych, którzy pracowali ze mną przeszło miesiąc, nie znalazłem ani jednego, który by przypominał tamtych. Przeciwnie nawet, większość była bardzo inteligentna i sprytna i umiała sobie dawać radę w trudnych czasem sytuacjach. Co do przykładu z noszeniem skrzyń czy też wożeniem ich na wózku, to przypuszczam, że było

to raczej przyzwyczajenie do danego rodzaju wysiłku fizycznego, a ich potężne i od małego wyrobione karki są znacznie odporniejsze na zmęczenie niż mięśnie ramion.

Winda wyrzuca teraz na molo pęki długich desek. Czarni porywają je na ramiona i biegną z nimi niemal po omacku. Słońce już zaszło. Jasne lampy zalewają pokład snopami światła. Setki nietoperzy i olbrzymie ćmy krążą koło latarni. Słychać brzęczenie tysięcy moskitów. Molo i brzeg są pogrążone w ciemności.

– *Zole, baka zole!* (Po dwie, zabierajcie po dwie!) – wołam do zmęczonych już porządnie chłopców.

Jest godzina dziewiąta wieczór. Od południa pracują bez chwili przerwy i bez posiłku. Ja, który ich tylko pilnuję, już czuję się wyczerpany. A oni najpierw zlani potem dźwigali ciężkie skrzynie pod ołowianymi promieniami słońca, teraz po ciemku potykają się i kaleczą nogi na sterczących z pomostu gwoździach.

– *Zole! Zole!*

Deski muszą być dziś jeszcze wyładowane. Kolacja będzie dopiero po skończonej pracy. Żal mi dzieciaków, uginających się pod ciężarem, biegnących krokiem coraz mniej pewnym, patrzących na mnie ze strachem. Ale o piątej rano pobudka. Muszę więc ich poganiać, aby skończyli jak najprędzej.

– *Malu, malu!* (Prędko, prędko!)

Aż wreszcie ogłuszające wrzaski i krzyki rozlegają się na pokładzie. Zdaje się, że ziemia zapada się dokoła. Hałas ten to znak, że ostatnie deski wyciągnięto już z ładowni. Murzyni pracujący u mnie przyłączają się natychmiast do tej kociej muzyki. Jeszcze dwa, trzy obroty tam i z powrotem i praca na dzisiaj jest skończona. Wracam na statek. Bije godzina pół do jedenastej. Jestem głodny jak wilk. Zmęczony, wolnym krokiem kieruję się do jadalni, skąd zalatują już smakowite zapachy. Po drodze widzę, jak drużynowi rozdzielają między swych ludzi kolację: p o c z t e r y s u c h a r y n a o s o b ę.

– *Ho-o! Tanto, tanto!* – Na wpół przez sen jeszcze słyszę głośne wołanie. – *Ho-o! Tanto, tanto!*

Krzyk powtarza się znowu, wraca jak natrętna, dokuczliwa mucha, brzęczy mi w uszach, wreszcie dokazuje swego – budzę się ostatecznie. Odchylam muślinową siatkę, a raczej wyciągam dolny jej róg spod materaca, gdyż, nauczony doświadczeniem poprzednich nocy, opancerzam się nią teraz hermetycznie. Naciskam kontakt. Błyska jasne, oślepiające dla zaspanych oczu światło. Spoglądam na zegarek. Łudzę się jeszcze, że może śniły mi się te wołania.

Niestety, najwyraźniej w świecie zegarek pokazuje pół do szóstej. Jakby na potwierdzenie tego czarny *boy* przynosi mi do kabiny filiżankę kawy i chininę. Trudno, trzeba wstawać. Wyłażę więc, mokry jak mysz, spod prześcieradła zastępującego mi kołdrę i spod mego dusznego muślinowego namiotu. Ze złością spoglądam na termometr, wskazujący trzydzieści stopni. Przecież wentylacja jest nie najgorsza! Siatka druciana zamiast drzwi, siatka w oknie, nawiewnik w suficie! Nic nie pomaga! Puszczam więc w ruch elektryczny wentylator.

Ubieranie się nie trwa długo. Cała nasza garderoba tutaj to koszula, spodnie, białe pantofle i kask od słońca. Kask, bez którego nie można się w dzień krokiem ruszyć. Bez innych części stroju można by dość śmiało przechadzać się po brzegu. [...] Ale za to Murzynki noszą tu suknie do kostek!

Wychodzę na pirs[2]. Na pokładzie zaczyna się już ruch. Czarni sprzątają swe maty, na których spali, otwierają luki, winchmani[3] próbują windy. Szybko robi się dzień. Bije godzina szósta.

– *Allez! En avant!* (Zaczynać).

Równo z uderzeniem dzwonu pierwsza partia towarów musi znaleźć się na pomoście. Murzynom się płaci, Murzyni muszą pracować. Nie wolno zmarnować chwili, nie wolno przystanąć dla otarcia potu ani wyprostować grzbietu, zgiętego od noszenia ciężarów, ani odejść na parę kroków, aby się napić wody. Wszystko to są przestępstwa, za które grozi kij, którego biały mondela[4] nie wypuszcza z ręki przez cały czas pracy.

Tutaj w Kongo nie ma napisów: *Soyez bons pour les animaux*[5]. Tutaj nie ma towarzystwa opieki nad... zwierzętami. (Bo któryż z białych zamieszkujących Kongo nie powie, że czarni to są zwierzęta? Przez cały czas mego tam pobytu słyszałem to na każdym kroku. Czarni? To małpy, umiejące mówić! Ludzie? Tacy jak MY? Nigdy!)

Stukają głośno hałaśliwe windy, dudni żelazne pudło statku. W ładowniach, na pokładzie, na pirsie – wszędzie gromady czarnych. Dwóch lub trzech białych utrzymuje w karbach i strachu dwustu czarnych, dwustu ludzi z rasy skazanej na wieczne niewolnictwo. Czy wieczne? Trwa ono już od czasów egipskich, kartagińskich, rzymskich. Ale któż może przewidzieć, jak długo trwać będzie jeszcze? Jednak dawne cywilizacje zginęły, po panach nie ma śladu, a niewolnicy istnieją ciągle. Czy rasa ta nie obudzi się kiedyś i czy nie rozlegnie się hasło: „Afryka dla Afrykanów"? Mówi się u nas często o Azjatach, Amerykanach czy Australczykach. Słowa „Afrykanin" nie spotyka się prawie nigdy. Nie bierze się ich w rachubę, nikt się z nimi nie liczy. A jednak rasa to silna i żywotna. Nie upłynęło jeszcze czterysta pięćdziesiąt lat od chwili, gdy biali wkroczyli na kontynent Ameryki, a cóż się stało z jej pierwotnymi

[2] Pirs – pomost w porcie wchodzący w głąb basenu portowego.
[3] *Winchman* (ang.) – operator wciągarki, windy ładunkowej.
[4] *Mondele* (jęz. lingala) – biały nadzorujący czarnych pracowników, także biały w ogóle.
[5] *Soyez bons pour les animaux* (fr.) – Bądźcie dobrzy dla zwierząt.

mieszkańcami? Inkasi i Aztekowie należą dziś do legend. Po ich wspaniałej cywilizacji trudno się śladów doszukać. Indianie zostali niemal całkowicie wytępieni, tak że w końcu rząd zakazał zabijania ich na równi z bizonami, aby zachować w rezerwatach ostatnie okazy tej c i e k a w e j rasy. Spojrzyjcie na niklową pięciocentówkę amerykańską. Cóż na niej widzicie? Dwa rzadkie i osobliwe zwierzęta – to bizon i Indianin.

A Murzyni? Od tysiącleci polowano na nich, od tysiącleci urządzano w głąb Czarnego Lądu wyprawy po czarny towar, setki tysięcy ich wyginęło w niewoli, setki tysięcy wywieziono na inne kontynenty, gdzie się zastraszająco szybko rozmnożyli, a miliony ich jeszcze pozostały na ziemi macierzystej. I gdyby te miliony, przyzwyczajone do tropikalnego klimatu i specyficznych warunków życia, które Europejczyk znosi z trudem albo nawet znieść ich nie może, gdyby te miliony czarnych powstały kiedyś zgodnie przeciwko rasie białej, by odzyskać s w ą ziemię i wolność na niej, by upomnieć się o prawo człowieczeństwa, którego narody chrześcijańskie im odmawiają, ciężko zapewne byłoby rasie białej walczyć z nimi.

Ale tymczasem Murzyni pracują pokornie i ulegle, znosząc z poddaniem się swój los, biernie przeżywając życie. Nie marzą nawet o wolności.

Pracują u nas na statku nieraz po czternaście godzin na dobę, zarabiając po d w a franki dziennie. Po pięciu dniach ciężkiej pracy mogą sobie kupić szklankę piwa, gdyż cena jej wynosi dziesięć franków.

Śpią na matach, rozłożonych na gołym, żelaznym pokładzie. Rzucają się na nie tak, jak odeszli od pracy, w paru podartych łachmanach. Rosa nocna osiada kroplami na ich ciele i brzęczą nad nimi moskity. Śpią jak zabici, dopóki gwizdki i krzyki nie zbudzą ich do nowej pracy. Rano dostają po cztery lub sześć sucharów, które jedzą, maczając w brudnej, żółtej wodzie czerpanej z rzeki. Czystej wody ze statku pić im n i e w o l n o. W południe ich czarny kucharz wydaje im ryż. Właściwie miazgę i odpadki z najgorszego gatunku ryżu, gotowane na parze w brudnej, żelaznej beczce. Ugotowany ryż wysypują do skrzyń drewnianych, które drużyny zabierają do siebie, aby garściami wybierać z nich większe grudki. O soli oczywiście mowy nie ma. Wieczorem znowu cztery suchary z wodą rzeczną. I spać na żelaznym pokładzie!

Czyż nie lepiej im było, gdy byli naprawdę dzikimi, gdy nie znali jeszcze wcale zbawiennej c y w i l i z a c j i?

I znowu mija dzień. Statek, pozbawiany tona za toną swego ładunku, powoli wynurza się z wody. Rosną na brzegu sterty skrzyń i coraz większy kwadrat zajmują ułożone na ziemi worki lub beczki. Długi sznur czarnych

z ciężarami na głowie wije się bez końca na molo i na brzegu. Coraz głębiej zapuszcza się w otwarte luki ciężki hak windy. My, oficerowie, pracujemy tu dziesięć razy więcej, niż pracuje się normalnie w portach Europy. Do nas także należy pilnowanie roboty na brzegu i w magazynach. Ale czymże jest to wszystko razem wzięte wobec wysiłku czarnych? Pomimo że jesteśmy zajęci więcej niż przez dwanaście godzin na dobę, udaje nam się jeszcze z powodzeniem stosować zasadę, że Murzyn nie powinien widzieć pracującego białego. Mondela są tylko od pilnowania czarnych. Bantu są od roboty. I Bantu szanują białych, i boją się ich. Gdy Murzyn z ciężką skrzynią na głowie napotka na swojej drodze białego, musi mu ustąpić, zejść na bok lub się cofnąć. W ten sposób przyzwyczaja się ich do tego, że kilkuset czarnych boi się jednego białego, uzbrojonego w kij. Że traktują Europejczyków poniekąd jako istoty wyższe, które można nienawidzić, ale trzeba się ich bać i słuchać. Że myśl o nieposłuszeństwie nigdy nie pojawi się w ich biednych, czarnych głowach. I aby utrzymać swój autorytet, biali uczą się, jak należy bić krajowców. Ja sam otrzymałem również wskazówki w tym zakresie. Głowy, plecy i karki mają twarde, uderzenia tam wymierzone mijają się z celem. Skutecznie za to jest bić kijem w łydki i pod kolana. Przewracają się od razu na ziemię. Trzciną lepiej jest bić po rękach i po twarzy. Kto wie, czy świat c y w i l i z o w a n y nie wyda kiedyś podręcznika o tym, jak należy bić Murzynów? Wszak idziemy ciągle naprzód.

Zapada noc. Gdzieś w głębi statku, dokąd nigdy nie dochodzi światło dzienne, przy kilku olejnych kagankach pracuje w czarnym kurzu kilkudziesięciu *boys*. Kroplisty pot zlewa ich plecy, piersi i ścieka po zapylonych, miedzianych udach. Zaduch, smród spalonej oliwy, wyziewy węgla, nieznośne gorąco bije od żelaznej ściany, za którą znajdują się kotły okrętowe. Ani śladu wentylacji. Powietrze jest niemal namacalnie gęste. W długi sznur ustawieni czarni podają jedni drugim brykiety węglowe. Mówię: ustawieni – są raczej skurczeni, bo wysokość tej nory wynosi mało co więcej niż metr.

Weszli tu przed wschodem słońca. Pół godziny w południe spędzili na pokładzie, jedząc łapczywie mdły ryż i śmierdzące ryby, suszone na słońcu razem z wnętrznościami.

W ciasnocie i strasznej temperaturze powtarzają przez czternaście godzin co sekunda ten sam ruch rękami. Od sąsiada z lewej do sąsiada z prawej strony. Brykiet za brykietem, tony całe przechodzą przez ich ręce i wreszcie na końcu łańcucha spadają w czarną otchłań, nad którą unoszą się tumany kurzu i pyłu węglowego.

Schodząc tu z zalanego blaskiem pokładu, potrzeba kwadransa, aby przyzwyczaić się do ciemności. Wychodząc zaś na górę, gdzie termometr wskazuje trzydzieści stopni ciepła, ma się wrażenie, że wyszło się z łaźni na zimne powietrze. Już po godzinie pobytu w tej dziurze uciekam czym prędzej do innej pracy, ubranie moje jest całe przepocone i przesiąknięte czarnym pyłem. Na skórze mam jakby warstwę błota węglowego. Kask jest czarny. Nozdrza pełne kurzu. Muszę się natychmiast myć i przebierać.

Od czasu do czasu tylko zagląda się do pracujących tam Murzynów. A oni od rana do nocy siedzą w tym piekle, do którego trzeba zejść i pozostać tam czas jakiś, aby zrozumieć, co to jest. Przyglądałem się jednemu Hotentotowi, który stał w wąskim otworze, mającym najwyżej pięćdziesiąt centymetrów kwadratowych. Jak dzień długi podawał kawałki węgla z niższego pokładu na wyższy. Głowa tylko mu wystawała ponad luk. Każdy brykiet, który mu wtykano w opuszczone na dół ręce, musiał podnieść wysoko nad głowę, aby oddać go drugiemu. Pył sypał mu się ciągle na twarz. Oczy miał zupełnie czerwone. Spluwał czarnym błotem. Z kędzierzawej czupryny sypał mu się miał węglowy. Pracował tak w milczeniu, aby po czternastu godzinach zarobić dwa franki.

Czasem, gdy byli w lepszych humorach, czarni zaczynali śpiewać. Był to raczej nie śpiew, ale pewnego rodzaju rytmiczne powtarzanie kilku wyrazów. Potrafili na przykład godzinami zawodzić w kółko dwa słowa: *jasondo-kilonge*, akcentując mocno w pierwszym wyrazie pierwszą, w drugim zaś przedostatnią sylabę. Śpiew taki rozweselał ich zupełnie widocznie i z większym zapałem zabierali się do pracy. Kawałki węgla nie przechodziły wtedy, a przelatywały z rąk do rąk w takt wykrzykiwania. Znaczenia tych słów nigdy dokładnie dowiedzieć się nie mogłem. Jeden z czarnych kapitanów za otrzymanego papierosa poinformował mnie, że tematem jesteśmy my, oficerowie Mateby. Domyślałem się, że treść nie musi być bardzo pochlebna dla nas. Zauważyłem tylko, że jeśli zaproponowałem czarnym, aby śpiewali swe *jasondo-kilonge*, zaczynali się śmiać i cieszyć jak dzieci i monotonny chór zaczynał natychmiast swe zawodzenie, a praca szła dwa razy sprawniej.

Stroma uliczka, wykładana szerokimi, płaskimi kamieniami pnie się pod górę. Kilka uschniętych drzew sterczy przed jakimś starym, na wpół rozwalonym budynkiem arabskim. Biały tynk poodpadał płatami ze ścian i ukazuje ciemne plamy wysuszonej gliny, spajającej szare kamienie. Wygląda to jak jakiś zrabowany, zniszczony starożytny grobowiec, którego ściany tylko oparły się jeszcze ludziom i działaniu czasu. Ściany, rozgrzane i rozpalone, które

słońce kruszy powoli, cal za calem, przez dziesiątki dziesiątków lat. Bezlitosne, niszczycielskie, afrykańskie słońce. To samo słońce, które daje życie bujnej tutejszej przyrodzie i które ją potem zabija, to samo, które broni tego lądu przed najściem bezdusznego postępu i zachłannej cywilizacji, przerachowujących piękno i bogactwo natury na zielone bilety dolarów lub białe świstki funtów szterlingów.

Jeżeli postęp zwycięży, wówczas każdy wolny skrawek ziemi będzie pokryty asfaltem, cementem lub higienicznym, pyłochronnym brukiem, drzewom i kwiatom wolno będzie rosnąć tylko na specjalnych, ogrodzonych, ciasnych skwerach, a ostatni potężny lew, dawny pan puszczy, zdechnie na suchoty w żelaznej klatce, otoczony gapiami. Skrawek nieba będzie można dojrzeć tylko z dna zawrotnie głębokich kanionów, utworzonych przez żelazobetonowe drapacze chmur. A jeśli ktoś między załatwieniem dwóch korzystnych interesów będzie miał tyle wolnego czasu, aby z dna takiej ciemnej kotliny spojrzeć na chwilę ku niebu, ujrzy wypisane na nim brudnym, brunatnym dymem reklamy drogich hoteli i tanich papierosów. I będzie to się nazywało zmienianiem pustyń w kwitnące miasta.

Stroma uliczka wykładana białymi kamieniami dosięga szczytu wzgórza, aby dalej rozszerzyć się w ulicę i opaść znowu do sąsiedniej dolinki. Zaczyna się miasto. Z rzadka ustawione białe domki, jakieś krzywe, niezgrabne, przeważnie z blachy żelaznej, z szerokimi, cienistymi werandami, o płaskich dachach, z siatką od moskitów zamiast szyb w oknach. Kilka domów mieszkalnych, kilka sklepów. Tu jakaś belgijska faktoria, w której można dostać wszystko, co w ogóle można dostać w Matadi. Od kasków tropikalnych i białych ubrań aż do mydła i gwoździ. Od taniego, ale drogo sprzedawanego szampana aż do nafty i smarów. Tam oto małe sklepiki włoskie, hiszpańskie, portugalskie i senegalskie, zajmujące się handlem różnymi osobliwościami i pamiątkami miejscowymi. Można tu dostać tkaniny przedstawiające w jaskrawych kolorach plac Świętego Marka w Wenecji z aeroplanem (*sic!*) unoszącym się nad pałacem Dożów. Gipsowe posążki Buddy, figurki z masy imitującej kość słoniową, murzyńskie tkaniny *made in Germany*, oryginalne senegalskie złote pierścionki, rzeźbione w arabeskowe napisy z Koranu i zaopatrzone w angielską próbę złota. Japońskie pocztówki z tygrysami w bambusowej dżungli, celuloidowe bransoletki, takie jakie noszą Murzyni z plemienia Azande, kolczyki ze szklanymi szafirami, bursztynowe cygarniczki i tureckie pantofle. Wszystko to oczywiście po cenach dziesięćkroć większych niż w Europie, skąd te wytwory wielowiekowej cywilizacji pochodzą.

Skręcam w jakąś cienistą aleję, wysadzaną niskimi palmami o szerokich, rozłożystych liściach. Przyjemnie tu i chłodno jak w jakimś tunelu-szpalerze. Czerwony pył pokrywa mi obuwie. Cała droga przysypana jest czerwonym kurzem ze zwietrzałych skał i kamieni. Po bokach rzadkie domki mieszkalne. Tu i ówdzie zamiast psa przywiązano na łańcuchu złośliwą i rzucającą się małpę. Na drążkach, na ganku lub w oknach drzemią, zwiesiwszy głowy, zaspane, srebrzystoszare papugi.

Zza grupy drzew wynurza się wielki, ciemny, drewniany budynek. Robi wrażenie, jak gdyby miał się niedługo rozlecieć, jak gdyby był opuszczony i zaniedbany od dawna. To poczta. Tuż koło wejścia umieszczona jest czarna tablica z kilku wyblakłymi obwieszczeniami. Na jednym z nich czytam: „Czy zażyłeś już dzisiaj swą dawkę chininy? Jeśli nie, zrób to natychmiast!", „Wystrzegajcie się moskitów i muchy tse-tse!". Jednakże biali najeźdźcy boją się tutejszej natury. I pomimo całej cywilizacji nieprędko zapewne będą mogli nic sobie nie robić z febry i z upału tak, jak czarni Bantu.

Obszerna hala drewniana na stoku wzgórza – to kościół. Opodal duży krzyż – taki, jak na drogach rozstajnych w Polsce, a na nim ukrzyżowany Chrystus. Wysoka, niebotyczna palma pochyla się nad nim i szeroko rozpościera grzywę swych liści, aby uchronić go od słonecznego żaru. Wchodzę do kaplicy. Są nieszpory. Brodaty misjonarz przy ołtarzu. Nawa wypełniona wiernymi. Sami Murzyni, przeważnie kobiety w jaskrawych chustkach i szmatach. Klęczą i śpiewają jakąś francuską pieśń kościelną. Biali nauczyli ich wiary, z której sami sobie niewiele robią. Biali *mondela pembe* i białe *mami* idą w niedzielę na *whisky and soda* do hotelu ABC. Czarni Bantu modlą się w kościele o dobro dla wszystkich ludzi, czarnych i białych, bo wszyscy są równi. I słowa pieśni, śpiewanej dziwnym akcentem, ulatują w górę ku promienistemu słońcu i nasiąkniętemu blaskiem niebu, dopóki nie zagłuszy ich nieznośny huk rozklekotanego motocykla, który wśród tumanów kurzu pnie się do góry po wyboistej drodze.

Z oddali dolatują dźwięki tam-tamów i monotonny, melancholijny śpiew Murzynów. Dzisiaj jest święto i czarni Bantu urządzają zabawę i tańce. Na niewielkim wydeptanym wśród kamieni boisku zgromadził się już spory tłum białych i czarnych. Murzyni w odświętnych ubraniach. Mężczyźni powyciągali możliwie całe części garderoby, niektórzy nawet przystroili swe głowy w jakieś szczątki kapeluszy lub czapek. Kobiety w sukniach bajecznie kolorowych, z kroju podobnych do szlafroków, i w fantastycznych chustkach na głowach. Mieni się to wszystko barwami od wiśniowej do bladoróżowej, od granatu do koloru błękitnego i ultramaryny, wszelkie odcienie zieleni,

fioletu i złota. Wszystkie tkaniny drukowane są w olbrzymie, dziwaczne kwiaty, liście, ptaki, arabeski i esy-floresy. Brzęczą dziesiątki mosiężnych bransoletek, kołyszą się w uszach i nosach wielkie, miedziane kółka. Błyskają białe zęby, śmieją się wielkie oczy. [...]

Południe. Matowe, białe rozpalone słońce. W mieście o tej porze ruch zamiera. Sklepy, urzędy, biura zamknięte są od godziny jedenastej rano do trzeciej po południu. Zamierają palmy, drętwieją kwiaty, milkną ptaki, ludzie chowają się do cienistych domów. Nawet kamienie zdają się być zamarłe, wyczerpane. Tylko w porcie nie przerywa się pracy. Dzięki chwilowej nieobecności śpieszących się zawsze statków pasażerskich mamy do swego rozporządzenia wszystkie wagony i lokomotywy. Trzeba korzystać ze sposobności. Trzeba się śpieszyć.

Ale pośpiech ten nie wychodzi na dobre Murzynom. Biali się denerwują i piją więcej mrożonego piwa. A po piwie denerwują się jeszcze bardziej. Jeden z zarządzających przesuwaniem wagonów na brzegu przychodzi do nas, aby sobie zajodynować spuchniętą rękę. Klnie przy tym, że czarni mają takie twarde głowy. Musiał bić mocno, bo pięść przybrała wielkość kokosowego orzecha. Za chwilę ten sam niosący światło w głąb Czarnego Lądu kolonizator zaczyna po flamandzku wymyślać pracującemu w dole, na berlince[6], Murzynowi. Gdy ten, nie rozumiejąc oczywiście ani słowa, schyla się do dalszej pracy, biały chwyta znalezioną pod ręką łopatę i z furią ciska ją pionowo z wysokości kilku metrów wprost na zgięty kręgosłup zajętego pracą chłopca. Gdyby nie to, że drugi czarny spostrzegł to na czas i gwałtownym szarpnięciem odsunął go na bok, biedny Bantu byłby zapewne został kaleką na całe życie, lub nawet poniósł śmierć po przecięciu kręgosłupa. Na jego miejsce wyznaczono by innego, a historia, wytłumaczona nieszczęśliwym wypadkiem, przeminęłaby bez śladu.

Zza wagonów dolatują wrzaski jakiegoś chłopaka.

– *Imene! Imene!* (Dosyć! Dosyć!)

Czterech przerażonych czarnych przytrzymuje go rozciągniętego na ziemi, siadłszy na jego kończynach, a dwu spoconych białych wali ostrymi, tnącymi trzcinami. Gdy wreszcie ciemnomiedziana barwa jego pleców zniknęła pod siatką krwawych pręg, mondela każą puścić delikwenta, zapowiadając mu, żeby więcej nie zjawiał się do roboty, jak również nie przychodził po odbiór należących mu się za trzy tygodnie czterdziestu dwu franków! Okazuje się, iż winą jego było to, że gdy jeden z białych uderzył go kilka razy trzciną po twarzy, zasłonił się, chwycił trzcinę i złamał ją, rzucając się zresztą zaraz

[6] Berlinka – niewielka, kryta barka.

do ucieczki. Operacja obijania odbywała się za kilku wagonami, aby inni nie widzieli. Należy bowiem pamiętać, że na jednego białego jest w Matadi dziesięciu Murzynów.

A oto inna scena. Bantu przerzucają na berlince worki orzechów palmowych. Białemu mondela wydaje się, że jeden z nich pracuje nie dość pilnie. Jeden *knockout* i Bantu traci dwa zęby. Drugi *knockout* – leży na ziemi. Rozciął sobie szeroko czoło o ostry kant żelaznej blachy. Nie warto się schylać, aby bić go dalej. Wystarczy go jeszcze kopnąć z dziesięć razy w twarz i głowę – a będzie długo pamiętał. Biały idzie myć ręce, a Bantu stracił przytomność z upływu krwi i leży na dnie berlinki. Murzyni podnoszą gwałt, przestają pracować. Lotem błyskawicy wieść roznosi się po statkach, po brzegu, dochodzi do miasta. Przychodzi komisarz policji, bo bicie Murzynów jest zabronione. Ale biali zawczasu biorą na stronę jednego z czarnych i mówią coś do niego, wymachując rękami. Biedny chłopak opowiada potem komisarzowi, że był świadkiem wypadku: Bantu spadł do berlinki, rozciął sobie głowę i potłukł się bardzo.

Teraz ten, który fałszywie zaalarmował policję, ma dostać dla przykładu baty. Inni mają natychmiast przystąpić do pracy. Nieprzytomnego Bantu zabierają na noszach do szpitala. Biali szczycą się, że budują szpitale dla czarnych. Ale zdaje się, że przed ich przybyciem szpitale dla Murzynów były mniej potrzebne.

Nareszcie wyładowywanie zbliża się ku końcowi. Dwa luki są już puste, a z dwóch tylko jeszcze winda wyszarpuje pogięte, poplątane i hałaśliwe pręty żelazne. Ale i to już trwa jeden dzień zaledwie. Gdy wreszcie ładownia zostaje całkowicie opróżniona, zaczepiają Murzyni na hak od windy mnóstwo kolorowych szmat, skrawków papieru i kilka uschniętych gałęzi. To znak zakończenia pracy. *Winchman* podciąga hak wysoko i wśród ogólnych krzyków, śmiechu, skakania i przeraźliwie głośnego klaskania dłońmi po udach *boys* wydrapują się na pokład, aby zakryć luki, sprzątnąć po pracy i ułożyć się wygodnie, na wznak, z podgiętymi kolanami, spoglądając w niebo, i oczekiwać na kolację. Wystarczy, że robota ukończona została o godzinę wcześniej niż zwykle, aby czarni cieszyli się jak dzieci. Śmieją się ich wielkie, poczciwe oczy i szczerzą się w uśmiechu białe zęby. Ten i ów wyciąga ze swego węzełka, stanowiącego cały jego bagaż, trochę bananów, żółte suszone ryby lub maniok zawinięty w liście.

Spod burty dolatują dziwne dźwięki cichej muzyki. Coś jak gdyby jakaś staroświecka pozytywka wygrywała powoli dziwną, nieznaną melodię.

To któryś Samba, Zimba czy Macziczi gra na likembi, prostym instrumencie składającym się z kawałka deseczki, na której jest umocowane kilka płaskich sprężyn stalowych. Położył instrument na lewej dłoni, a palcami prawej przebiera powoli po klawiszach. Młody Bantu marzyciel, zapatrzony w rzekę, improwizuje jakiś smutny, pełen skarg utwór. Dziwna, bardzo cicha muzyka rozlega się nieśmiało dokoła. Może to tęskna pieśń czarnej dziewczyny o wojowniku Bantu, który wyruszył walczyć z wrogim plemieniem Azande? Pieśń powstała przed wiekami w bujnych puszczach słonecznej i wolnej Afryki? Może melodia nucona niegdyś przy rozniecony pośrodku wsi ognisku, nad którym czarne *mami* piekły mięso ubitych zatrutymi strzałami antylop? Może pieśń śpiewana w noc księżycową podczas składania ofiar nieznanemu a potężnemu bóstwu? Dzisiaj rozlega się ona drżąco, niepewnie, bojaźliwie. Słabi są Bantu i niepewne jest ich jutro. Niegdyś, gdy Bantu byli jeszcze dzicy, ale byli panami tej ziemi – pieśni ich zapewne brzmiały donośniej.

Dzisiaj uparto się, aby ich ucywilizować. A cywilizowanie to polega głównie na nakładaniu na nich wszelkich obowiązków – które stworzone zostały przez wiekowe układanie się życia społecznego w Europie – przy jednoczesnym pozbawianiu ich wszelkich praw. Murzyni, mieszkający nieraz w niedostępnych prawie puszczach, muszą płacić rządowi podatki. Za co i od czego? Co w zamian otrzymują? Buduje się za to szosy automobilowe. Im to nie jest potrzebne. Przyczyni się to tylko do szybszego ich wytępienia. Często nie znają nawet pieniędzy i płacą w naturze wyhodowanymi z trudem bananami, maniokiem, orzechami palmowymi. Kto nie ma na zapłacenie, musi odrobić tę sumę.

Oto przechodzi koło statku grupa Murzynów będących w trakcie cywilizowania. Mają pozakładane na szyję mocne, żelazne obroże i poskuwani są za nie łańcuchami, po dwóch lub trzech razem. To więźniowie. Co zawinili? Nie wiem. Ale sądząc z tego, co dotychczas widziałem – myślę, że raczej niewiele. Ciekawy jestem, czy który z białych sędziów próbował pracować pod piekącymi promieniami słońca równikowego, przykuty do dwu innych ludzi. Przykuty za żelazną obrożę na szyi. A nie należy zapominać, że dzień roboczy czarnych trwa przynajmniej dwanaście godzin, a nie osiem jak w Europie. Ciekawy jestem, ile wyroków wydano dla przykładu lub dla postrachu, nie mając może dostatecznych dowodów w ręce. O sprawiedliwości, którą poszczególni biali sami wymierzają czarnym, mówić nawet nie trzeba. Jeden z nich chwalił się przede mną w ten sposób: „Powiedziałem memu *boy*, że chce mi się pić, a ta *macaque*

przyniosła mi szklankę wody! Dałem mu taką nauczkę, że dobrze teraz będzie pamiętał, że białym przynosi się piwo. Niech wodę piją sobie sami, czarne małpy!".

Doprawdy, czasem wstyd mi było, że należę do rasy białej...

Bezczelność białych ludzi w tym niedawno odkrytym, łapczywie zagrabionym, bogatym kraju nie ma granic. Potrafią oni przyjść tu z armatami i karabinami maszynowymi, wymordować tysiące faktycznie zupełnie bezbronnych czarnych i rozgłosić po świecie, że nasze bohaterskie oddziały odniosły świetne zwycięstwo nad dziesięćkroć silniejszym przeciwnikiem. Jest to z jednej strony ośmieszaniem się – z drugiej – nadużywaniem wyrazu „bohaterstwo".

Wyobraźmy sobie, że myśliwy ubija z karabinu maszynowego pięćdziesiąt, sto czy tysiąc sztuk zwierzyny zamkniętej w ogrodzeniu i szczyci się potem wynikami polowania. A jeżeli doda jeszcze, że w ten sposób z narażeniem życia przyczynił się do racjonalnej hodowli i zachowania rasy – sytuacja będzie zupełnie podobna. Zupełnie podobna do zwycięskich walk z krajowcami, prowadzonych... dla ich dobra.

Czyż nazwiemy sportsmenem człowieka łapiącego ryby za pomocą granatów rzucanych do stawu? A może i to będzie bohaterstwem?

Podczas walki pod Lomami w 1890 roku cztery tysiące czarnych pada trupem. Podczas innej bitwy biali, uzbrojeni tylko w trzy działa Kruppa, odnoszą wspaniałe zwycięstwo nad sześcioma tysiącami krajowców, podczas gdy ich siły liczą zaledwie siedmiuset ludzi. W bitwie pod Lindi w ciągu trzech godzin pada czterystu czarnych.

Wreszcie podczas wojny światowej, w ofensywie 1916 roku we wschodniej Afryce niemieckiej[7] bierze udział armia belgijska, składająca się z piętnastu tysięcy czarnych. Czarni oczywiście walczą również po stronie przeciwnej. Białych oficerów można policzyć na palcach. Oddziały staczają wiele bardzo krwawych potyczek. Po co to wszystko? Aby wyzwolić biednych Murzynów spod panowania niemieckiego. A czarni z drugiej strony giną zapewne w obronie swego kraju przed najeźdźcą belgijskim. Czyż to nie wszystko jedno dla biednego Murzyna, czy biały człowiek okładający go kijem przyjechał z Berlina, czy z Antwerpii? Czyż to nie podobna zupełnie sytuacja do oswobodzenia Warszawy przez Niemców w roku 1915? Coś mniej więcej w rodzaju spadania z deszczu pod rynnę.

Tylko że Niemcy nie wpadli na pomysł wystawienia w Berlinie pomnika, który by wyobrażał Polaków błogosławiących na klęczkach żołnierza pruskiego. A analogiczny pomnik stoi w Antwerpii.

[7] Właśc. Niemiecka Afryka Wschodnia (Deutsch-Ostafrika) – niemiecka kolonia w środkowo-wschodniej Afryce obejmująca Tanganikę (1884–1919) oraz Rwandę i Burundi (koniec XIX wieku – 1916).

Międzynarodowa konferencja geograficzna w roku 1876 w Brukseli postanawia zbadać, jakie kroki należy poczynić celem zniesienia niewolnictwa w Afryce, rozjaśnić ciemności spowijające jeszcze tę część świata, zbadać bogactwa, które zdają się niewyczerpane, jednym słowem, zanieść tam skarb cywilizacji. W roku 1891 czterystu czarnych należących do ekspedycji europejskiej, niosącej właśnie skarb cywilizacji – umiera z głodu. W rok później w innej ekspedycji na ogółem sześciuset tragarzy pada z głodu i wycieńczenia czterystu pięćdziesięciu.

To tylko kilka drobnych przykładów. Można by zebrać ich setki. Tylko kilka drobnych przykładów, jak ciężko jest pracować dla Murzynów. A oni, niewdzięczni, buntują się jeszcze przeciwko swym białym oswobodzicielom, którzy, zaprawdę, przybyli do Afryki jedynie i tylko w imię cywilizacji i pracują tylko dla idei. Oswobodziciele, którzy oswobodzili ich chyba tylko... z wolności.

A wszystkie przytoczone powyżej fakty zachodziły niezawodnie w celu polepszenia warunków moralnych i materialnych krajowców, gdyż do tego zobowiązali się biali, podpisując dnia 26 lutego roku 1885 punkt piąty Ogólnego aktu berlińskiego[8], dotyczącego konwencjonalnego basenu Kongo. Warunkiem koniecznym do wypełnienia tego zobowiązania było oczywiście efektywne zajęcie Konga.

A Murzyni nawet nie zdają sobie sprawy z tego, ile kosztuje takie ich cywilizowanie i jak poświęcają się dla nich narody europejskie (które chyba nie miałyby już nic innego do roboty, gdyby robiły jakieś poświęcenia dla czarnych).

Kraj złota, radium i diamentów, niewyczerpane kopalnie miedzi, bogate złoża i żyły żelaza, węgla, nafty, cyny, królestwo wspaniałej fauny o cennych kłach lub skórach, ojczyzna bajecznej flory dającej przeróżne owoce, dostarczającej tłuszczów lub chemikaliów posiadających własności trujące i lecznicze, kraina rzek i jezior zarybionych, gór wysokich, bogatych w minerały, puszcz potężnych, stepów, sawann i pustyń – serce i skarbiec środkowej Afryki – to basen Moienzi Nzadi[9]. Padlinożerne białe sępy, rozgrzebawszy już swymi szponami śmietnisko Europy – znalazły nagle w Afryce skarbiec niewyczerpany klejnotów, nęcących swym blaskiem ich chciwe oczy. Z radosnym krakaniem rzuca się wszystko na łup nieoczekiwany, dający możność łatwego zapchania żołądków i kieszeni. Dziobią się wzajemnie między sobą i wyrywają pierze ze łbów i skrzydeł, starając się porwać kąski jak największe, których nawet unieść ani przełknąć nie mogą. I nie wiadomo przed kim, przed szczątkami własnego sumienia zapewne, usprawiedliwiając się,

[8] Ogólny akt berliński (General-Akte der Berliner Afrika-Konferenz) był pokłosiem międzynarodowej konferencji zwołanej w 1884 roku w Berlinie w celu omówienia sprawy kolonialnego podziału Afryki. Akt ten zakazywał handlu niewolnikami jako sprzecznego z prawem międzynarodowym oraz ustanawiał wolność żeglugi na Kongo i Nigrze.

[9] Także: Mwanza Nzadi lub Moienzi Enzaddi – nazwy rzeki Kongo w lokalnych dialektach, dosłownie „wielka rzeka", „rzeka, do której płyną wszystkie rzeki".

krzyczą: „Jesteśmy dobroczyńcami! Niesiemy cywilizację! Niesiemy kulturę!". Nieprawda! Nie cywilizację i kulturę niesiecie, ale p o s t ę p, zabójczy postęp. Postęp, który niszczy i zabija wszystko, człowieka, zwierzę, roślinę, kulturę i cywilizację, który chce zabić nawet Naturę – aby mógł wreszcie wszechwładnie sam zapanować na ziemi.

Dlaczego nie idziecie oświecać Eskimosów na pustyniach lodowych? Dlaczego nie chcecie nauczać prymitywnych mieszkańców Ziemi Ognistej? Dlaczego nie wysyłacie misji do plemion zamieszkujących Saharę? Północną Syberię? Wszak o kulturę, o cywilizację wam chodzi?

Nie, wam chodzi o postęp i o złoto, którego postęp potrzebuje, a tam, w tamtych krajach, złota nie ma. Niech sobie dzicy żyją tam spokojnie w swej dzikości. Nie będziemy im przeszkadzać, mącić ich spokoju ani naruszać tradycji. Ale pod warunkiem że ktoś kiedyś nie odkryje tam złota.

Wszystko polega na prześciganiu się w układaniu ładnych paragrafów przy jednoczesnym łapczywym zagarnianiu złotodajnych ziem. Złoto potrzebne jest, aby rządzić. Rządzi ten, kto je posiada, a często posiada je człowiek nieuczciwy.

Oto do dalekiej krainy przyjeżdża kilku panów z Europy i mówi krajowcom: „Od dzisiaj zakładamy tu naszą kolonię. Możecie tu dalej mieszkać, pod warunkiem że będziecie siedzieli cicho i płacili regularnie podatki. Wszystko, co jest w ziemi i na ziemi, należy do nas. Powinniście się cieszyć, że wyzwoliliśmy was spod wiekowego jarzma niewolnictwa. Teraz nikt nie ma prawa handlować wami, gdyż jesteście naszą własnością państwową. Radujcie się, że pokazaliśmy wam drogę ku światłu!".

Potem ci sami panowie wracają do Europy i ogłaszają, że w imię cywilizacji uszczęśliwili krajowców w swej kolonii. O drobnym szczególe, że na przykład kilkuset czarnych budujących tę szkołę umarło z głodu, nie warto wspominać. Nazajutrz pod eskortą dobrze uzbrojonych białych wysyła się puste okręty po ładunek złota.

Jakie będą wyniki tego cywilizowania Murzynów, jeżeli czterysta lat temu na wysokim stopniu kultury stojące ludy, mieszkające na terytoriach dzisiejszego Peru i Chile, przestały istnieć? A z legend wiemy, że były tam ongi wspaniałe miasta, świątynie i twierdze, w których biali znaleźli złoto. Zaprawdę, Rzym mniej ucierpiał od najścia Wandalów niż te kraje od cywilizowanych odkrywców i misjonarzy.

Z każdą milą przebytą w stronę morza upał mniej daje się we znaki. Nie jesteśmy już w kamienistej niecce, odbijającej ze wszystkich stron promienie słońca i koncentrującej je na nas. Zieloność lasów daje wypoczynek naszemu

wzrokowi, zmęczonemu widokiem pomarańczowoceglastych, oślepiających wzgórz. Chłód dżungli i puszczy, obficie karmionej wodami Moienzi Nzadi, odświeża nas i orzeźwia. Splątany gąszcz lian przykuwa wzrok i budzi ciekawość do tego, co kryje się dalej, za nim.

Komendant wypłaca czarnym ich zarobki. Niektórzy dostają za miesiąc pracy sześćdziesiąt franków, inni tylko czterdzieści – gdyż przyłapano ich na oddalaniu się od pracy. Teraz, gdy wszelka robota została ukończona i gdy przez kilka godzin Bantu mogą wylegiwać się na pokładzie, mogą również oglądać na swej skórze i na plecach inny rodzaj zapłaty. Zapłatę, którą przyniosła im cywilizacja razem z bezwartościowymi świstkami papierowych franków. Wrócą Bantu do swych chat położonych o dzień lub dwa drogi od Banana. Pokażą swym przyjaciołom nowe blizny na ciele, kupią za zarobione pieniądze parę bransoletek ze szklanych paciorków albo – marzenie każdego z nich – tandetny, dla Murzynów robiony leżak. Będą się wylegiwać na nim przed swą chatą – palić fajki i myśleć o białych ludziach, którzy są silniejsi od nich i dlatego Bantu muszą powoli wyginąć.

Spaceruję po mostku razem z pilotem – gdy nagle rozmowę naszą przerywa lekkie wstrząśnienie statku. Za chwilę drugie, potem trzecie. Trzy razy zahaczyliśmy o muliste ławice na dnie rzeki. Pilot jest zdumiony. Idziemy wąskim kanałem, wyznaczonym bojami – nie ma więc mowy o zboczeniu z drogi. Pięć dni temu przeszedł tędy Anversville, zanurzony na dwadzieścia jeden stóp – my zahaczamy, mając zaledwie osiemnaście stóp zagłębienia. Metr piasku – więcej niż metr nawet – naniesionego w ciągu pięciu dni! Statki hydrograficzne muszą wyznaczać nową drogę innymi odnogami rzeki – gdyż w tym miejscu Wyspa Krokodyla pragnie zapewne połączyć się z lądem. Dragowanie[10] w takich warunkach nie przyda się na nic. Moienzi Nzadi jest silniejsza od białych ludzi.

Szybko mijamy dziesiątki kanałów, odnóg i wysepek. Maszyny statku posuwają nas dziesięć mil na godzinę. Prąd Konga pomaga nam, dorzucając sześć mil jeszcze. Rzeka chce się nas pozbyć jak najprędzej, odesłać nas do granic oceanu, wyrzucić na morze natrętnych białych ludzi. Ale oni tego nie rozumieją.

Wreszcie Banana. Cicha laguna układa się do snu. Świeże, chłodne morskie powietrze jest jak orzeźwiający napój dla zmęczonych płuc. Palmy sycą się wilgocią, krzewy rozpościerają szerzej swe liście, fantastyczne mangrowie[11] zapuszczają tysiączne splątane macki w ożywczą wodę.

Ruch i gwar na pokładzie. Radość między czarnymi chłopcami. Przysłuchuję się ich rozmowom – planują wszyscy wspaniałe życie za zarobione

[10] Dragowanie – pogłębianie dna.

[11] Mangrowe, mangrowia – namorzyny, wiecznie zielone drzewa i krzewy rosnące na płaskich, bagnistych wybrzeżach mórz tropikalnych.

pieniądze. I mówią o tym, co będą jedli po powrocie do domów. Kupią mnóstwo suszonych ryb i manioku i cały dzień będą leżeli na słońcu. Tak mało potrzeba im do szczęścia. Po co uczyć ich nowych potrzeb, które szybko staną się rzeczami koniecznymi i uczynią jeszcze uboższymi biednych Bantu. [...]

Dobrzy Bantu! Nie ufajcie nigdy białym ludziom, przybyłym z M'Putu[12]...

Wzdłuż dalekiego brzegu. Wybór reportaży z lat międzywojennych, oprac. J. Gembicki i Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1966, s. 176–201

[12] M'Putu lub Mputu (jęz. kituba) – Europa.

1931

Zofia Nałkowska (1884–1954)

Zawsze tylko obrazy

> Doktor Epstein, profesor z Pragi, przechodząc ulicą między blokami oświęcimskiego obozu w pogodny poranek letni, zobaczył dwoje małych dzieci jeszcze żywych. Siedziały na piaszczystej drodze i przesuwały jakieś patyczki. Zatrzymał się przy nich i zapytał:
>
> – Co tu robicie, dzieci?
>
> I otrzymał odpowiedź:
>
> – My się bawimy w palenie Żydów.

Przyznam się, że ta pointa *Medalionów* Zofii Nałkowskiej, które przeczytałem dwadzieścia osiem lat temu w klasie maturalnej, tkwi we mnie do dziś. Wiem, że nie zapomnę jej aż do wyczerpania mojej pamięci.

„Kompozycyjna funkcja pointy" – tak brzmiał ten punkt lekcji (u polonistki Stefanii Błaszak w moim liceum ekonomicznym w Legnicy). To dzięki Nałkowskiej wiem, że po przeczytaniu pointy czytelnik powinien być już trochę innym człowiekiem.

Badaczka życia, edytorka jej dzienników i autorka biografii pisarki Hanna Kirchner uważa, że *Medaliony* mogą znaleźć się zarówno w antologii opowiadań, jak i antologii reportażu. A być może to wydane w 1946 roku i genialne w swej literackiej prostocie świadectwo zbrodni hitlerowskich jest jeszcze jakąś formą osobną.

Materiał do ośmiu nowel dokumentalnych, składających się na niewielki tomik, Zofia Nałkowska zbierała podczas swojej pracy w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, ale także spotykając przypadkowe osoby, które okazywały się byłymi więźniami obozów koncentracyjnych. Bohaterką rozdziału *Dno* jest na przykład sprzątaczka z Hotelu Sejmowego, która przeszła przez kilka obozów; bohaterką *Dwojry Zielonej* – stara Żydówka, którą pisarka zagadnęła wśród ruin Warszawy i zaczęły rozmawiać o Majdanku.

Helena Boguszewska z komisji była w Auschwitz w przeddzień przyjazdu Nałkowskiej. Koczowali tam wciąż na łóżkach więźniowie w ostatnim stadium wyniszczenia, bez woli życia.

> Przyjaciółka – pisze Hanna Kirchner – chciwie wypytywała Helę o wszystko to, co tam zobaczyła. „W naszych relacjach z Oświęcimia i Brzezinki chciała widzieć obrazy, zawsze tylko obrazy, budowane z mnóstwa szczegółów...

> Jak to Nałkowska!" Ważna była dla niej naoczna wizja, choćby i *per procura*, nie opinia, nie sądy ogólne.

W tym widać jednak Nałkowską reporterkę. Zawierza prawdzie, a nie własnej pisarskiej wyobraźni.

Pracując nad tekstami do *Medalionów*, nazwała je na własny użytek „nowelkami zbrodniczymi". W liście do Jerzego Zawieyskiego donosiła: „W Warszawie napisałam jeszcze jedną zbrodniczą nowelkę, ładną nie z mojej zasługi". Jak widać, pisarka miała poczucie, że tego typu tekst tworzy bohater – realnie istniejący człowiek, do którego autor jest tylko niezbędnym dodatkiem.

Jednak Nałkowska reporterka ujawniła się na długo przed drugą wojną światową. Była już znaną pisarką i panią pułkownikową, żoną dowódcy Żandarmerii Wojskowej. Za mężem w 1922 lub 1923 roku przeniosła się z Warszawy do Grodna, gdzie wszystko ją rozczarowywało, miasto było „plugawe", a mury „śmiertelnie smutne". Znalazła tam jednak zajęcie, które pochłonęło ją bez reszty. Została, za namową znajomej, społecznym kuratorem w zakładzie karnym. Swoje obserwacje notowała w zeszycie podpisanym *Więzienie.* Opisuje na przykład rozmowę z komendantem policji i jego szczerość na temat konieczności i skutecznej techniki bicia aresztowanych:

> Wyjaśnił, że na śledztwie bije umiejętnie, kantem dłoni w okolicę ucha, by zatrzymać dopływ krwi, i wtedy zadaje pytanie [...]. Ich życie tutaj jest daleko gorsze niż w katordze Dostojewskiego. Nie mają żadnej roboty poza granicą więzienia, nie dostają mięsa, nie stykają się z nikim poza rzadkimi widzeniami przez kratę [...]. Nie można tego porównywać. T u t a j s k a z a n i e n a p a r ę l a t j e s t t y m s a m y m c o w y r o k ś m i e r c i.

Relacje o więźniach w szpitalu – podaje Hanna Kirchner – uzupełniła Nałkowska wkrótce dopiskami: „Umarł". Napisała, że ludzie dzicy i głupi znajdują się w rękach drugich dzikich i głupich. „I nie można pomyśleć: ku czemu to się dzieje, do czego to zmierza". Sama widziała ślady świeżej krwi na ciałach nowo przybyłych więźniów. „Więzienie jest teraz moim skarbem moralnym", zanotowała.

Z tego wzięła się książka *Ściany świata* (1931), dziś już zapomniana, a przed wojną także wydana tylko raz, gdyż reporterska prawda Nałkowskiej nie była władzy na rękę. Właściwie jest to nie tylko opowieść o skazanych i ich życiu, ale także obraz utwierdzania państwowości polskiej na kresach.

> Nałkowska dowiaduje się więc, że więzienie, policja to narzędzia wywierania w majestacie prawa ucisku narodowego i społecznego. Zbrodnie też

są owocem systemu socjalnego. Ołdak pokłócił się z bratem przed pańską stodołą o pańską siekierę (*Zależności*). Pietrow zabił, bo sponiewierano jego ludzką godność i zamordowano nadzieję. Wyzyskiwali przez siedem lat jego gorliwy trud bez zarobku, tylko za obietnicę małżeństwa z córką gospodyni, a potem wyszydzili bez litości (*Ukojenie*).

Hannę Kirchner zaskoczyło, że recenzenci *Medalionów* rozwodzili się nad nowością poetyki tego zbioru, nad „przełomem" narracji. Nie zauważyli, że matrycą tej metody stały się właśnie teksty więzienne Nałkowskiej. Zwłaszcza zaś troska o oddanie głosu ofiarom.

Krzyk niesłyszany

Powróciłam tutaj, do mego domu nad łąkami – jak dawniej, jak zawsze – by jeszcze raz wyleczyć się z tych ran, które zadała mi moja niedola, i z tych, które zadało mi moje szczęście.

Księżyc przesunął się po niebie, poza gałęziami i liśćmi znajomych wierzchołków, czarność ogrodu stoi za oknem. Jeszcze raz jestem sama – z lampą naftową, książkami na stole i bukietem dzikich tutejszych kwiatów – sama w tym dawnym, białym pokoju.

Powróciłam – jak zawsze – aby tu zmóc się i przezwyciężyć jeszcze raz, aby wielkie zło i wielkie dobro mego życia rozważyć, pojąć i przyjąć.

Boże, Boże, oto miejsce mojej młodości, pełne zakątków szczęścia i rozpaczy, gdzie nic nie było nauką i doświadczeniem, a wszystko czekaniem, zapytaniem i niezrozumieniem. Tak samo jest dziś, tak samo jest jeszcze raz. I czyż jestem bardziej spokojna, mądrzejsza, czyż jestem mniej żałosna? Nie.

Życie, życie moje, które nie przestałoś mnie zadziwiać – co mam uczynić? Jak tobie sprostać? Uroku niedosiężony, nocy, która okrywasz tę krzywdę, dniu, który przyzwalasz na uśmiech – więc to tak miało być, więc to tak?

Ale nie o tym wcale chcę mówić. Mam przecież opowiedzieć tę cudzą sprawę, koło której przeszłam, nie umiejąc ani pomóc, ani zapobiec, ani naprawić.

1

Między polowaniem we dnie i balem w nocy wypadło jeszcze wieczorem takie jedno zebranie zarządu. Doprawdy, intensywnie żyło się w tym małym, smutnym mieście – mieście oplecionym cudowną zieloną naturą, leżącym pośród jej powabów, jak plama brudu i zaduchu, i wszelkiej dezaprobaty.

W ciągu dwudziestu minut przeobraziłam się całkowicie i z rozległych, wietrznych przepaści wiosny, od widma czerwonego zachodu nad czarnym lasem, weszłam prosto między duszne dywany i portiery jakiegoś adwokackiego gabinetu. Tylko skórę twarzy miałam piekącą od pędu samochodu, od podrywów kwietniowego wichru znad czarnej ziemi. I w tych płomieniach twarzy czułam wciąż jakby obecną ową łunę wydłużonego za czarnymi sosnami, wspinającego się na pobladłe niebo zachodu.

Na posiedzeniu odczytywało się znowu podanie więźniów o przedterminowe zwolnienie.

Szczególne to były dokumenty i z niezwykłego pochodziły miejsca. Z niskiego podziemia życia, na którym dopiero owo życie może się krzewić z niejakim spokojem, z niejakim poczuciem bezpieczeństwa.

Szło przeważnie o ciężkie zbrodnie, pociągające za sobą długie lata kary. Długie lata niewoli – tak trudne, tak niemożliwe do zniesienia, że prawie nigdy nie dają się przeżyć do końca. Niejednokrotnie to widziałam, o ile łatwiej jest umrzeć tam, w tych murach, niżeli żyć.

Dużo było tych podań. Opisywały dokonane przestępstwa w subiektywnym oświetleniu – tak bardzo innym niż dawna nieodwrócona rzeczywistość. Rozeznawało się w tym bez trudu małe kłamstewka, powtarzane tyle razy od szeregu lat, że stały się już najświętszą, ukochaną prawdą – prawdą mogącą przywrócić życie.

Myślałam o wartości tak zwanego przyznania się do winy, branego zawsze pod uwagę przy wydawaniu wyroku. I nie byłam wcale pewna, czy istotnie jest ono moralnie cenniejsze niż wyparcie się solidarności z dokonaną zbrodnią, niż niejako utracenie wiary w jej możliwość.

Bo oto były i podania zawierające opowieści zupełnie szczere. Podania usiłujące zaledwie wyjaśnić lub zbagatelizować przestępstwo.

Jedna z takich próśb przypomina mi się w tej chwili.

Jakiś chłopek białoruski opowiadał pokrótce, że pracował z innymi na leśnych robotach w głębi puszczy przez lato i przez jesień. I oto jednej nocy robotnicy okradzeni zostali z ubrania. Jednemu zginął kożuch, innemu nowe buty. Zrobili sami rewizję i rzeczy skradzione znaleźli u jednego z towarzyszy. Zmówili się więc, by go ukarać. Bili go, dusili postronkiem, nagiego i nieprzytomnego wyrzucili z baraku na noc na mróz, później bili znowu, przypalali u ogniska i po dwudziestu czterech godzinach sprawili to wreszcie, że umarł. Podanie pisane było przez innego więźnia, specjalistę od próśb, osobę kompetentną, miało ozdoby w piśmie i stylu, pewne podniesienie tonu. A jednak szła z niego owa obiektywna prawda, stosunek naturalny do zaszłego faktu, pogodzenie się z nim, jak z każdą rzeczywistością.

Na zakończenie petent, od trzech lat przebywający w więzieniu, gorąco prosił o zwolnienie przedterminowe. A jako motyw podawał zły stan gospodarstwa, które marnieje bez opieki.

Czy mam wyznać, że wolałabym, aby już teraz, po trzech latach więzienia, wypierał się jakoś udziału w tym leśnym morderstwie, aby już teraz nie był tak pewny, że go istotnie dokonał?

Ale teraz chcę przypomnieć sprawę Rosy – młodego więźnia, którego nie znałam jeszcze wówczas. Widziałam go tylko nieraz z daleka, przechodząc

brukowanym, czystym dziedzińcem koło buchającej sadzą i ogniem czeluści kuźni więziennej.

Rosa nie złożył sam podania. Ale władza więzienna i kuratorzy zwrócili uwagę, że sprawował się wzorowo, że był cichy i pracowity, lubiany przez dozorców i więźniów. Już raz dawniej starano się podobno o jego zwolnienie, ale sprawa upadła z powodu braku zgody ojca, który odmówił przyjęcia syna do domu. Ten ojciec umarł w tych dniach i rzecz na nowo stała się aktualna.

Rosa karany był za udział w napadzie bandyckim, gdzie było i zabójstwo. Dostał wyrok na lat dwanaście, zmniejszony przez amnestię do lat ośmiu. Przesiedział w więzieniu sześć lat, z tego rok pod śledztwem, a pięć już „na wyrok", i miał wyraźne zmiany w płucach.

Mnie wyznaczono, abym nazajutrz pomówiła z owym Rosą i dostarczyła potrzebnych do dalszych starań danych.

Zauważyłam już dawniej, że każda myśl moja jest uparta, lepka i długo nie chce ode mnie odejść. Czeka póty, póki nie jest przeżyta do końca, dopomina się o swoją całość.

Tak było i tym razem z myślą o przyznaniu się do winy albo zaparciu się jej wobec ludzi i siebie. Obiecując być w więzieniu nazajutrz w południe, myślałam o tym właśnie, czy Rosa będzie się wykręcał, czy też się przyzna. I czepiałam się tego, jakby to było najważniejsze.

Podobnie i moje myślenie obrazami jest jakieś powolne, przewlekłe i niejako rozmarzone. Jakby ktoś taśmę filmu przesuwał umyślnie zbyt wolno – by nadać większą cenę, większą godność przemijającej rzeczywistości.

I tak staje się, że obraz nie dość widziany, że stan jakiś niedoznany do końca – powraca, staje przede mną uparcie i domaga się trwania, chce żyć przeze mnie jeszcze jednym, dokładniejszym życiem.

Siedząc tam między ludźmi w zaduchu portier i dywanów, odurzona całym dniem, spędzonym na wietrze, z mrużącymi się oczami i płonącą twarzą – słuchałam uważnie tych dziwacznych, straszliwych i prostych opowieści ze świata zbrodni i męczarni, który już teraz nie był mi wcale obcy. I widziałam wyobraźnią ściany tych sal i celi, widziałam niesamowite zbiorowisko ludzi, którym wszystko, co jest niezauważoną, byle jaką, codzienną radością, zostało odjęte.

Ale przeskoczyło coś nagle i zatrzymało się, jak obraz w zepsutym filmie. I oto za chwilę siedziałam znów na zboczu wysokiej grobli pośród wielkiego mokradła puszczy. Miałam pod sobą skórzane siodełko trójnoga, który za lada nieuwagą chciał się przewrócić. Mały, nagi krzak osłaniał moje istnienie

przed słonkami, nogi w wielkich, nieprzemakalnych butach trzymałam na samym brzegu wody, z której wystawały malutkie, białe kwiatki anemonów. Czarna woda bagien topiła kępy, płowa trawa zwijała się u stóp gołych prętów, jak włosie. Dalej, w zwartej ścianie bezlistnych, czarnych, poplątanych pni i gałęzi kwitło dołem wilcze łyko – egzotyczne, różowe i pachnące. Ku górze wydźwigały się z tego gąszczu olbrzymie świerki, piramidy czarnej zieleni, o gałęziach obwieszonych niewiarogodnymi mchami, które jak grube, szarozielone frędzle i falbany wisiały daleko ku ziemi.

Wzdłuż grobli część puszczy była wycięta, więc miałam nad głową rozległy, głęboki kawał nieba, pełnego małych, różowych chmur.

Po wietrze drogi ten wieczór zapadający nad puszczą wydawał się zaklęty spokojem, aż twardy od nieruchomości i ciszy. Nie ruszały się żadne gałęzie, zastygłe w czarną siatkę na mroczniejącym, czerwonym niebie wieczoru. I jedne tylko wśród zapartego oddechu natury donośnym, radosnym, dzwoniącym i rozśpiewanym głosem wołały i namawiały się ptaki. Odpowiadały sobie w gałęziach drzew i nisko przy ziemi, cichnąc, zasypiając i znowu się budząc. I w spokój blednącego nieba szedł z czarnej wody bagien, z samego dna puszczy wznosił się ten śpiewający ptakami głos ziemi.

Może powinnam była pomyśleć, że właśnie w takich leśnych ostępach, wśród skrzypu pił i suchego łoskotu walących się drzew, wynikła oto kiedyś możliwość zbiorowego umęczenia na śmierć człowieka za to, że ukradł kożuch i buty.

Ale nic nie myślałam. Niedaleko ode mnie, tam, w tym stygnącym zmierzchu puszczy, stał ze strzelbą na stanowisku cienki i wysoki oficer porucznik Oniewiecki. Czekał, bacząc zasłuchany w przelewne śpiewanie wszystkich ptaków, by w nim rozeznać głuche chrapnięcie słonki, sunącej pod niebem zielonym i niespodzianie zapadającej w mrok lasu.

Był poważny i skupiony, o każdej chwili gotowy do strzału. Widziałam dokładnie jego kurtkę z brązowej, świecącej skóry ze sztywnym kołnierzem sięgającym po uszy. Spod daszka czapki wyglądał twardy, nadąsany profil i ciemne oczy, dymiące czarem młodości.

Stał nieruchomo – i razem z całym ciemniejącym światem zapadał w mrok, czerniał i szarzał. Ale był pośród tej jeszcze zatajonej, a już gwałtownej i dyszącej wiosny jak jej widomy kształt. Był piękny i można było sądzić, że był także szczęśliwy.

Podniosłam się z miejsca i cały ten obraz sprzed dwóch godzin znikł nagle, zapadł się w głąb pod mijającą chwilę – ponieważ pojęłam już jego sens, ponieważ przeżyłam go sobą do końca.

Posiedzenie było skończone. Odjeżdżałam do domu, by raz jeszcze przeobrazić się całkowicie, bo za godzinę rozpoczynał się bal. A nazajutrz w niedzielę o godzinie dwunastej miałam być w więzieniu, by mówić z Rosą.

Tak – niewątpliwie intensywnie żyło się w tym małym, smutnym mieście, które nie mogło nic poradzić na dziką piękność otaczającej je natury.

2

Nie był to wcale jeden z tych świetnych balów, które w karnawale wydawały po kolei pułki garnizonu – kiedy to dwupiętrowa sala starego zamku królewskiego zamieniała się w niewiarogodną feerię świateł, kwiatów i kolorów. A po zabawie pozostawała na długo pachnąca smuga wspomnień.

Był to sobie zwykły bal w spóźnionym sezonie, urządzony przez jakąś instytucję, której na wiosnę zabrakło pieniędzy i musiała je w taki sposób zdobyć.

A jednak wystarczyło wejść do tej prześlicznej sali, z której bielejących nad ranem okien tylokrotnie oglądaliśmy przy ostatnim tangu dalekie śniegowe pustkowia i smugi lasów między wzgórzami, i zamarzniętą rzekę w głębokim jarze, wystarczyło poddać się magii skoncentrowanego światła i muzyki, aby wrócił od razu cały urok tamtych zimowych, balowych nocy.

Uparty, monotonny rytm taneczny wywlekał z głębi ciała ten sam dreszcz, wyprzęgał w orbitę dziwnych praw swoich urzeczeniem, któremu trudno było się oprzeć.

Tłum był, jak zwykle, znajomy i ze wszystkimi trzeba było się witać. Jak zwykle jednak i tym razem było coś nowego i godnego uwagi. Tą rzeczą nową była obecna na balu właścicielka Wietlicy pani Liska, o której wiedzieliśmy wszyscy, że od śmierci męża nie bywała dotąd nigdzie i nie bawiła się przez czas znacznie dłuższy, niż wymagała zwykła żałoba.

Pamiętam, że dziwiono się temu ogólnie. I to nie tylko dlatego, że pani Liska była młoda i mogła być ładna, ale dlatego, że wszyscy pamiętali, jak złe było pożycie tego małżeństwa. Życie ludzi bowiem było tam przecie zupełnie przezroczyste dla innych, nie mogło mieć tajemnic. Z tego, co opowiadano, widać, że zmarły w tragicznych okolicznościach Liski był niemiłym człowiekiem. Nie miał przyjaciół, zerwał z rodziną żony, młodą kobietę zamykał na wsi, despotyzował, podobno nawet bił. To wszystko działo się na długo przedtem, zanim przyjechałam. Gdy poznałam panią Liską, była już od paru lat wdową.

Odwiedzałam ją czasami w jej pięknej, starej Wietlicy albo ona przyjeżdżała do mnie, gdy nie było gości.

Powiedziałam, że mogła być ładna. Bo jednak nie była, mogąc. Była jakaś sucha, zbyt szczupła i zaaferowana, trochę twarda w stosunku do interesantów i służby, nie dość kobieca, nie dość staranna w ubiorze i ruchach. Gospodarowała u siebie jak mężczyzna, uprzemysławiała majątek, zaprowadzała nowe porządki. Wiele morgów obróciła na plantacje tytoniu i owoców, wymówiła dzierżawę tartaku, zbudowała nowoczesne kurniki. Hodowała wiele gatunków kur – różnych rozmiarów, niezwykłych kształtów i barw. Znała ich sekrety rodzinne i erotyczne i umiała je wyzyskać, opierając na tym cały ekonomiczny system życia.

Była to poważna w ogóle osoba. I mnie więc dziwno było tu ją zobaczyć w nowej, nieznanej roli, zupełnie inaczej wyglądającą.

Nie chciała z początku tańczyć. Tłumaczyła, że nie umie jeszcze tak dobrze, czy też że wszystko zapomniała. Miała na sobie białą suknię w złote kwiaty, na szyi perły i właśnie tym razem była ładna. Włosy jasne i lśniące, jak metalowy kask, ujmowały ciasno jej małą głowę. Rozmawiając z nią o tym tańcu, zobaczyłam przechodzącego tu z drugiej sali porucznika Oniewieckiego. Gdy podszedł do mnie, przedstawiłam go pani Liskiej, licząc właśnie na jego zbawienny wpływ w tej mierze. Myślałam, że się doskonale przyda do jej tanecznej inicjacji.

Nie zapomnę chwili ich poznania – tak była od pierwszego zetknięcia się ich oczów wyraźnym początkiem szczęścia. W obojgu jednocześnie widziało się siłę tego wrażenia. Jakby jednoczesny wicher gorący przeleciał po ich twarzach.

Patrzyli sobie w oczy ze zdziwieniem czy aż niedowierzaniem. Tak: z niemożnością uwierzenia, że to jest aż tyle, że takie rzeczy się stają. I uśmiechali się oboje, ponieważ byli bezsilni wobec tego, przed czym nie można było się bronić.

Za chwilę zobaczyłam, że tańczą razem. I uważałam, że to właśnie powinno było się stać – to, od czego świat naokoło staje się piękniejszy i lepszy.

– Jaki cudowny bal, prawda? – mówił porucznik, gdy siedzieliśmy później w innej sali przy kolacji. Chociaż bal był zwyczajny, brzydszy od innych. – I jak to dobrze, że pani przyjechała właśnie na ten bal.

Oniewiecki miał oczy, które od szczęścia nie nabierały blasku, tylko stawały się matowe. Nie płonęły, tylko buchały duszącym czarem jak dymem.

Ona słuchała jego słów bez treści, z wolna opuszczając powieki. Nie chciała na niego patrzyć, nie mogła. Ale nawet nie patrząc, wystawiona była na działanie tego uroku, doznawała go przez skórę, piła go z dźwięku jego głosu. Jej sucha twarz czerwieniała i bladła z upojenia.

Myślałam sobie teraz, że urok tego porucznika nie wynika bezpośrednio z jego niewątpliwej urody, ale raczej z pewnych właściwości jego zachowania lub po prostu z jego wad.

Bo pamiętałam go dobrze z polowań, tenisa, konkursów konnych albo przejażdżek – i zawsze była w nim niezawodna sprawność fizyczna.

Ale w salonie, we fraku stawał się inny, leniwy, zniewieściały. Jego zręczność i energia zapadała od razu w stan spoczynku. Siadał jakoś ciężko i już zaraz szukał sobie miejsca na oparcie łokcia, podnosił się leniwie, mówił mało, był roztargniony, chociaż starał się być grzeczny i uważny. A gdy już mówił, robił to z wysiłkiem widocznym, marszcząc brwi, szukając słów, poważniejąc od wysiłku. Tak mówiąc, był zawsze poważny. A gdy chciał się uśmiechnąć, to musiał przestać mówić.

Właśnie opowiadano naokoło rzeczy zabawne, a Oniewiecki nie śmiał się wcale, tylko myślał o czymś z właściwą sobie, skupioną uwagą. Pani Liska zapytała:

– Dlaczego pan się nie śmieje? Czy to nie jest dowcipne?

Chwilę trwało, nim zrozumiał, czego chciała. Do szczęścia bowiem wystarczał mu już dźwięk jej głosu.

– Bo ja się nie śmieję z rzeczy śmiesznych – usiłował jej wytłumaczyć. – Ja się śmieję wtedy, gdy mi się coś podoba.

Śmiał się więc teraz, patrząc na panią Liską. Ogarniał ją ciepłem i słodyczą tego uśmiechu.

Na jego żądanie znowu szła z nim do tańca, snując się błędnie w gorących dymach tego czaru, w pętach jego patrzenia i uśmiechu – blada, odurzona, bezbronna wobec tego, czego wcale nie znała: cudownej radości życia.

Zabawa trwała aż do białego kwietniowego rana. Gdy wschodziło słońce, rozjeżdżaliśmy się do domów. I tegoż dnia o dwunastej punktualnie dzwoniłam do gładkiej, blachą żelazną obitej bramy więziennej.

3

Odwinęła się ku górze okrągła powieka otworu i stanęło w niej nagie oko dozorcy. Poznał, kto idzie, i otworzył bramę.

W kancelarii objaśniłam, po co przyszłam. Minęłam małe pierwsze podwórze i rozwarła się przede mną druga taka sama brama żelazna z dozorcą. Zaprowadzono mnie do małego pokoju dla badań śledczych.

Była to po prostu jedna z cel najnowszego gmachu więziennego, w którego wielkiej, nowoczesnej hali urządziliśmy niedawno koncert dla więźniów. Jeden stół pod ścianą i jedno krzesło wystarczało jako tło dla wszystkich scen,

które się tu od szeregu lat odbywały. Mury były gładkie, ciemne w dole i jasne wyżej i czyste, jak wszystko tutaj. Jedno okratowane okno wysoko.

Rosę sprowadzono z kuźni, gdzie pracował jako dobry kowal.

Przyszedł zaraz, może dwadzieścia kroków było od kuźni do tego gmachu celkowego. Wystarczyło przejść szerokość więziennego podwórza. Tak, wszędzie tutaj było blisko.

Przyjrzałam mu się uważniej tym razem. Twarz miał po tutejszemu szeroką i nabrzękłą, barwy popielatej, bo na bladej skórze leżała cienka warstwa sadzy. Uśmiech, którym mnie powitał, był dobry i dziecinny.

Poprosiłam zwyczajnie, aby opowiedział mi coś o sobie. Na przykład, co robił, zanim tutaj się dostał.

Poprawił się, stanął ciężej na jednej nodze i trzymając w ręku swoją czapkę bez daszka, zaczął mówić. Ja tylko siedziałam na krześle, on zaś stał. Zresztą, jak zwykle, nie byliśmy sami.

Jest tutejszy z pochodzenia, ojciec jego miał w rynku warsztat stolarski, do wojska wstąpił jako ochotnik. Jeszcze za Niemców należał do jakiejś organizacji, tylko nie pamięta, jak się nazywała.

– Wojna mnie zdemoralizowała – powiedział.

Tak, powiedział to właśnie i tymi słowami. O, jakże mi się to nie podobało. Było takie gotowe, takie przerastające jego poziom i cudze. A jednak może pomimo to nie było nieprawdziwe.

Jako szeregowy zapoznał się z kilku cywilnymi, ale żaden z nich tu z nim nie siedzi. Jeden zabity został później przez bolszewików, jeden umarł w więzieniu na tyfus, ostatni wreszcie za złe sprawowanie przewieziony został do innego, gorszego więzienia.

– I jakże to było? – zapytałam.

Zrozumiał naturalnie, o co pytam. Więc było tak: poszli stąd we czterech nocą do jednej wsi, gdzie mieli we dworze zabrać pieniądze. Tego, że może tam być i zabójstwo, Rosa wcale nie wiedział.

– Jak przyszliśmy na to miejsce, to mnie zostawili w ogrodzie pod oknami, żebym pilnował. A sami weszli do środka. Z początku robili cicho, potem dopiero słychać było hałas i strzały. Wcale go tam nie mieli zabić, gdyby nie to jedno, że wyszedł na nich z rewolwerem. Sam szukał tej śmierci czy co...

Gdy to mówił, jego dziecinna, za wielka twarz była po prostu zafrasowana.

– I nie byliście tam w środku? Potem także nie?

Spoważniał, stał się uroczysty.

– Niech Bóg broni – powiedział surowo. – Stałem pod oknem, a jak zaczęli strzelać, to uciekłem.

Siedziałam przez chwilę, myśląc o swoim. Tak, Rosa był już teraz sam głęboko przekonany, że nie wchodził do środka, że nie brał udziału w zabójstwie, że nie mógł wziąć udziału. Nie tylko nie zabijał: nie mógł nawet widzieć zabójstwa.

Schwytano go dopiero po miesiącu, jak tamci na niego powiedzieli.

– Co powiedzieli?

– Różnie mówili: że to nie oni strzelali, że to z mojego rewolweru.

Znów aż zafrasował się od tej myśli.

– A co było przez ten miesiąc, zanim was złapali? Czy mieliście pieniądze od tamtych? Gdzieście byli?

– Byłem w Białymstoku.

To było wszystko, co sobie przypominał, że był w Białymstoku.

Nie mogłam się dowiedzieć, czy żałował tego, co się stało. Wyglądało, że nic nie pamięta, że to jest jakieś puste miejsce w jego życiu.

W wojsku nigdy nie był karany, w domu przedtem uczył się rzemiosła, teraz pracuje tutaj, w więzieniu.

Wszystko jest proste, jasne i zrozumiałe – oprócz tej nocy i tego miesiąca, kiedy ukrywał się przed policją.

Tak, to prawda, że już w zeszłym roku mieli mu wyrobić warunkowe zwolnienie. Ale rozeszło się o ojca, bo nie chciał podpisać, że go przyjmie. Ojciec dumny, nie mógł mu darować tego wstydu, nigdy nawet nie przyszedł do więzienia. Przychodziła tylko matka.

Dziewięć dni temu ojciec umarł, tydzień, jak był pogrzeb. Tędy przechodzili do fary. Więc inspektor był taki dobry, że mu pozwolił iść do kancelarii i stamtąd popatrzyć na ulicę przez okno na pogrzeb ojca. Widział wszystko – i trumnę, i konia od karawanu, i ludzi. Widział matkę i siostrę za trumną. Mówił z zachwytem o tej chwili.

– Tak, ojciec to już mi nie darował – powiedział. I znowu się zasmucił.

Czas krótki siedzieliśmy w milczeniu. Rozważałam, czego jeszcze mam się dowiedzieć.

– Powiedzcie mi, gdzież to tutaj się stało, w jakiej wsi?

– Nie tak daleko stąd – odpowiedział chętnie Rosa – może będzie dwadzieścia wiorst[1], we wsi Wietlica, we dworze.

– Jak to? To było to zabójstwo Liskiego wtedy, to to właśnie?

Powstrzymałam się, by nie wstać z krzesła. Nie mogłam w tej chwili na niego patrzyć, nie podnosiłam głowy.

– Tak, to pana Liskiego wtedy tam zabili – powiedział smutnie Rosa. – I gdyby nie był sam wyszedł na nich z tym rewolwerem...

[1] Patrz s. 26, przyp. 3.

Wstałam jednak, trudno mi było tego słuchać. Rzecz szczególna, ile się we mnie zmieniło od chwili, w której wiedziałam, kto był ofiarą, o jaką to sprawę chodzi.

Na chwilę ten człowiek przestał być dla mnie więźniem przez sześć lat odciętym od życia, słońca i powietrza, a stał się tym, którego straszna twarz ukazuje się nocą w oknie od ogrodu, który przychodzi mordować i zabijać. Bo był przecież naprawdę i tym, i tym zarówno.

Ale do mnie przecież należało właśnie rozeznać, kim był bardziej: zbrodniarzem czy nieszczęśliwym.

Podniosłam na niego oczy, stojącego i nieruchomo wyczekującego w swoim kącie. Jego duża, okrągła twarz znowu mi przypomniała zatroskane dziecko.

– Ile macie lat? – zapytałam.

– Dwudziesty czwarty – odpowiedział i westchnął. – Siódmy rok, jak siedzę.

Pomyślałam chwilę i zapytałam jeszcze:

– Czy słyszeliście jego krzyk?

– Jaki krzyk? – nie zrozumiał.

– Nie od razu przecież do niego strzelali. Może bili go przedtem. Nie pamiętacie?

Prawie pożałowałam tego pytania, taka głęboka przykrość odmalowała się na twarzy więźnia.

– Nie, nic nie słyszałem – powiedział łagodnie.

I było to jakby okazanie jakiejś delikatności wobec pamięci zamordowanego, chęć oszczędzenia mu czegoś jeszcze teraz, danie mu jedynego zadośćuczynienia, jakie jeszcze w ogóle było możliwe.

Rosa był z tych, którzy nie przyznawali się do winy. Jego kłamstwo miało motywy cienkie i subtelne. I było jedyną prawdą jego dzisiejszego życia.

4

Na następnym posiedzeniu, które odbyło się w tym samym cichym i miękkim adwokackim gabinecie, opowiadałam, jaka była moja rozmowa z Rosą. Ustalono poza tym, że w chwili zbrodni nie miał lat osiemnastu, że został wciągnięty przez towarzyszy znacznie starszych, że przebył już w więzieniu sześć lat, że z wojska i warsztatu przedtem miał dobre opinie, że ma początki gruźlicy. Postanowiono więc podjąć na nowo starania o zwolnienie.

Wracając stamtąd jak zwykle dość późnym wieczorem, wybrałam jednak drogę dalszą, która prowadziła koło więzienia. Nocą wydawało się, że jest tu pięknie. Zbocze jaru nad rzeką, ubrane starymi drzewami, wyglądało dziko i samotnie. Nie było teraz widać fabryk, tartaków i cuchnącego brudu nędzy.

Wysokie mury i budynki więzienne były, jak już mówiłam, pozostałością dawnego klasztoru i wielkim kompleksem leżały w cieniu wspaniałego gmachu fary. Najstarsza część więzienia znajdowała się w głębi, za drugim podwórzem – więzienie kobiet – i straszna była tam grubość murów, a okna wąskie, niedające światła, zduszone pobliżem jakichś ślepych ścian. Zawsze było w tym gmachu zimno, mokro i ciemno, nawet lato nie przynosiło zmiany i ulgi. Dreszcz przenikał, gdy się tam weszło z upału w lekkiej sukni.

Tamtejsze podwórze nie miało wcale drzew – było wąskie, ściśnięte tymi ślepymi ścianami. Tylko niebo tam było z dóbr świata, tylko niebo i grządka petunii na środku, między kamieniami bruku, w elipsie drewnianego pomostu, po którym chodzą dookoła więźniowie przez swoje pół godziny codziennego spaceru – jeden za drugim, w milczeniu.

Znałam tak dobrze to więzienie, jego różne oddziały, jego dziwne kąty i zakamarki. A przecież było takie miejsce, do którego nie przeniknęłam nigdy. Widziałam tylko ponad ciemnymi schodami prowadzącymi w dół – tam, w tej najstarszej części więzienia, napis „K a r c e r y".

Tam nie byłam nigdy. Ale wiedziałam, że na to, by zamknąć w nich więźnia, potrzebne było specjalne zaświadczenie lekarza więziennego. Zaświadczenie, że on to zniesie.

Wszystko inne pamiętałam: kuźnię, w której pracował Rosa, warsztaty z zapachem kleju, który szkodził na płuca Wapuli, i gdzie tak chętnie nawet w niedzielę rozcinał pudełka od papierosów Kołym, szkołę pięknie odnowioną, czystą kuchnię i piekarnię. I zwłaszcza najlepiej to pamiętałam: szpital więzienny, w którym tylu, tylu ich umarło za mojej pamięci.

Tak – nieraz przechodziłam pod tymi murami i, doprawdy, chyba nigdy obojętnie. Bo mieszkają tam ci, którzy w wielkiej równowadze świata wzięli na siebie zło.

Ktoś tam wchodzi i ktoś wychodzi, prawie co dnia są zmiany. Często, zwłaszcza na wiosnę, ktoś umiera. Liczba więźniów ulega znacznym wahaniom. Ale nigdy nie jest tak, żeby tam było pusto. Zawsze tam oni są.

To jest miejsce, w którym świat lokalizuje swoje zło, zamyka na klucz jego niebezpieczeństwo.

I znów pomyślałam, jak bardzo to jest potrzebne do wszystkiego, jak to więzienie wszystkim nam niezbędne jest do życia. Nie byłoby polowania, bo nawet puszcza musi być bezpieczna, nie byłoby ślicznego balu i roztańczonych kobiet, i jazd dalekich samochodem, i cichego, bezpiecznego domu. W s z y s t k o j e s t d l a t e g o, ż e j e s t w i ę z i e n i e. Czyżby to znaczyło, że wszystko jest złe?

Weszłam teraz w wąziutką ulicę między te mury więzienne i mur kościoła. Było tu prawie zupełnie ciemno, dopiero na rogu paliła się mała elektryczna latarnia. Nikt prawie tędy nie chodził, nie było tu przynajmniej nikogo o tej chwili. Zaraz dalej zaczynało się przedmieście i ów stromy stok ku rzece.

Powietrze było chłodne, ale wiosenne. We dnie spadł deszcz, a później chmury rozeszły się pod wiatrem i w wielu miejscach nieba zamkniętego ścianami ulicy było teraz widać gwiazdy. Sponad muru wychodziły daleko na to niebo dwie wspaniałe, czarne wieże fary.

O pewnej chwili w tę cichą ulicę wpadło długą smugą światło samochodu i wydźwignęło z mroku kamienie bruku, dotąd nieobeschłe, jakieś dalej drzewo o mokrych gałęziach i rów z parkanem. Samochód zatrzymał się tutaj, drgając i głośno dygocąc. Wreszcie ucichł i zgasły jego latarnie.

Przy kierownicy siedział nieruchomo człowiek w kurcie ze skóry, z kołnierzem sięgającym uszu. Nie mogłam stąd zobaczyć jego profilu pod daszkiem czapki wojskowej. Ale trudno mi było długo wątpić, kto to jest.

Czekał. To było widoczne. Z tej pustki, z tej nocy i ciemności musiała teraz wyniknąć ona.

Wiedziałam, że była w mieście, chociaż nie odwiedziła mnie tym razem. Ale przed bramą syndykatu widziałam, idąc w tę stronę, białe konie z Wietlicy.

I nagle wyrosła na brzegu ulicy, wyszła nie wiadomo skąd – wyzwana, wyczarowana jego oczekiwaniem.

Zeskoczył do niej i zdawało się, że ona teraz wsiądzie do auta razem z nim i że w życzliwe ciemności drogi wiosennej poniesie ich szczęśliwie.

Ale ona stała, nie wchodząc. Byłam dość daleko od nich i nie słyszałam, co mówili. Jednak widać było w cieniu jakby jego namowę i niecierpliwy spór.

Wreszcie usłyszałam jego głos:

– Przecież nie wolno mi przyjechać do Wietlicy, prawda? Więc nigdzie, więc nigdzie!

Potem ona mówiła coś długo i prędko, ale przyciszonym głosem. I po chwili znowu usłyszałam jego słowa:

– Tak, właśnie tak. N a ż a d n y m m i e j s c u z i e m i...

Wydawało się, że powtórzył to, co mówiła ona, że jakby przedrzeźniał jej słowa, które może były dla niego zbyt ciężkim wyrokiem.

Jeszcze chwilę trwała dziwna, zła rozmowa tych dwojga ludzi młodych, o których myślałam jednak, że się kochają. Aż wreszcie posłyszałam warkot motoru, smuga światła znowu przecięła ulicę. W samochodzie, który przeleciał koło mnie, zobaczyłam przy kierownicy jednego tylko człowieka, porucznika Oniewieckiego.

Nie widział mnie wcale, wpatrzony przed siebie, swym twardym, pochmurnym profilem prujący mrok i noc.

Gdy znowu oswoiłam się z ciemnością, zobaczyłam panią Liską, która szła w moją stronę. Szła niepewnie, prawie się chwiała – i w swym ciemnym kapturku, w jakimś wąskim deszczowym płaszczyku była wyjątkowo mała i drobna.

Myślałam, że i ona mnie nie zobaczy, bo trzymała jedną rękę przy twarzy, jakby zasłaniając się przed czymś. Jednakże, gdy byłam zupełnie blisko, nagle stanęła i dziwnie wyciągnęła do mnie ręce.

– Pani, to pani! – zawołała, ale nie mogła więcej mówić.

Szłyśmy teraz przez chwilę razem tą ulicą, trzymając się prawie wpół.

– Czy pani musiała tak zrobić? – zapytałam, gdy wciąż milczała.

– Tak, musiałam – odpowiedziała zaraz. – Tak sobie sama postanowiłam.

Zrobiło mi się żal, gdy to usłyszałam. Znałam już bowiem i dawniej siłę jej charakteru i pewną jakby jego oschłość. Łatwo mi było uwierzyć, że od rzeczy postanowionej nie odstąpi.

– Stało się źle, że przyjechałam wtedy na ten bal – mówiła z głową tak pochyloną, że nie widziałam nawet kawałka jej twarzy. – Stało się źle, nie powinnam była przyjechać...

– Czemu pani tak mówi?

Skręciłyśmy teraz ku miastu, mijałyśmy ludzi. Nie widziała tego, zapatrzona w czarną rozpadlinę wspomnienia.

– Proszę pani, gdyby on był umarł zwyczajnie, gdyby chorował, gdybym ja o tym była wiedziała przedtem, gdyby to było nie tak, nie tak. Bo ja wiem, są rzeczy, które z latami mogą jakoś minąć, wiem, że to bywa... Ale ja tamto pamiętam, ja tamtego przecież nigdy i nigdzie nie zapomnę... Nigdy i nigdzie nie zapomnę... Właśnie – n a ż a d n y m m i e j s c u z i e m i...

Zatrzymała się chwilę i wykręciła ku mnie twarz. Zobaczyłam ją dokładnie pod światło latarni. Jej oczy zaczerwienione, zapuchłe od płaczu były teraz suche.

– On był widocznie męczony przedtem, była taka chwila, że on mnie wołał. Słyszałam jego krzyk – zmieniony, zduszony głos. A ja nie mogłam tam wejść, nie mogłam nawet odpowiedzieć. Więc jakże to jest możliwe, jakże można nawet pomyśleć...

Tak, to było niemożliwe i nie do pomyślenia. Doprowadziłam panią Liską do apteki, przed którą stał teraz jej powóz. I ona pojechała sama do swego domu, do Wietlicy.

Od tego czasu wcale jej nie widziałam. W parę miesięcy później, gdy miałam już opuścić to miasto, poszłam pożegnać się z więzieniem i głównie ze szpitalem więziennym. W ostatniej celi, gdzie było dotąd tylko dwóch chorych, zobaczyłam trzecie zajęte łóżko. Podniósł się z niego Rosa.

Był bardzo zmieniony, chociaż chorował dopiero od tygodnia. Miał twarz daleko szerszą w dole niż dawniej, a szyję szerszą od twarzy. Teraz dopiero, gdy nie pracował już w kuźni, można było zobaczyć, jak był blady – mimo wysokiej gorączki, którą odczytałam sobie z karty nad jego głową.

Na mój widok uśmiechnął się mile i dziecinnie.

– Pani mnie poznaje – ucieszył się. – Tak, teraz jestem tutaj, bo jestem chory. Jak się tak wyjdzie prosto od ognia na wiatr, to można się łatwo przeziębić.

Na jego podanie jeszcze nie było odpowiedzi, ale on nie niecierpliwił się wcale, nie był niespokojny. Ja jednak tak dużo już tego widziałam w tym samym więziennym szpitalu, że nie miałam wcale złudzeń co do jego losu. Wiedziałam, o ile łatwiej jest tam umrzeć, niżeli żyć.

Nie stało się nic więcej. I teraz jestem daleko stamtąd, jestem tutaj.

Lampa naftowa stoi na stole, osypana trzepocącymi się, umierającymi ćmami, które przyszły z ogrodu. Na papierze stoi na rozpostartych, cienkich i długich nogach komar olbrzym i nie rusza się wcale, ale żyje. Opalone ma oczy i pyszczek, może trochę i te długie nogi. Nie wiem, czy mam go zabić, czy może jednak lepiej jest mu żyć tak niż wcale. Kto może decydować takie rzeczy?

Jestem tutaj, ale myślę jeszcze o tamtym, co minęło. I dotąd niezrozumiały jest dla mnie dziwny rozkład niewątpliwej sprawiedliwości, niewątpliwej równowagi świata. Patrzę, jak mogę najuważniej, staram się zrozumieć – ale nigdy nie rozumiem. Czuję tylko, że nie może być inaczej, ponieważ tak jest. Czy to już jest zrozumienie? Czy nigdy niemożliwe jest więcej?

Czy Rosa mógł nie zabić męża pani Liskiej, skoro przecież go zabił? Czy, co się stało, mogło się nie stać?

A jeżeli coś, co się stało, mogło się nie stać, jeżeli można największym wysiłkiem woli i cierpienia w to uwierzyć – uwierzyć w to, że więzienie może być puste – to czy jedyną bramą do tej niepojętej możliwości nie jest jednak to, że tego krzyku, który słyszała pani Liska, że tego krzyku męczonego, mordowanego człowieka Rosa nie słyszał?

Zofia Nałkowska, *Opowiadania. Charaktery dawne i ostatnie. Ściany świata. Medaliony*, Warszawa: Czytelnik, 1989, s. 133–153

1932

Kazimiera Iłłakowiczówna (1888–1983)

We właściwym miejscu i czasie

Reportaż ma różne twarze: umie być rzeczowym sprawozdaniem, umie esejem, umie nowelą. Na przykładzie tekstu Kazimiery Iłłakowiczówny chcemy pokazać, że reportaż może mieć też formę krótkiego listu. Wybitna poetka z wyobraźnią magiczną, tłumaczka Goethego i Tołstoja, wnuczka Tomasza Zana „Promienistego" – przyjaciela Mickiewicza. Studiowała w Oksfordzie i Krakowie. Po 1918 roku zatrudniła się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale robiła wszystko, żeby pracować z marszałkiem Piłsudskim. Wspominano na przykład, jak niezapowiedziana zjawiła się w Belwederze i oświadczyła Piłsudskiemu, że przyszła tylko dotknąć jego płaszcza. W 1926 roku dostała posadę sekretarki marszałka i była nią dziewięć lat, aż do jego śmierci. Dzięki temu, że od powstania państwa polskiego była związana z jego elitami i 16 grudnia 1922 roku zjawiła się w warszawskiej galerii Zachęta na wernisażu, na którym obecny był Gabriel Narutowicz, możemy dokładnie ujrzeć tę chwilę, gdy malarz i endek Eligiusz Niewiadomski strzela do nowo wybranego prezydenta RP.

Narutowicz, profesor politechniki w Zurychu, zasłynął w Europie jako projektant i budowniczy wielkich hydroelektrowni. Ponieważ miał poglądy zbliżone do zapatrywań Piłsudskiego, przyjął propozycję marszałka i wrócił do Polski. W 1920 roku Narutowicz został ministrem robót publicznych, potem ministrem spraw zagranicznych. Jego wybór przez Zgromadzenie Narodowe na prezydenta prawica uznała za prowokację. Twierdzono, że Narutowicz nie jest Polakiem, że wybrali go głównie Żydzi i Niemcy. Na ulicach manifestowała młodzież endecka: usiłowano zatarasować drogę prezydentowi, który jechał odkrytym powozem, obrzucano go grudami śniegu. Na placu Trzech Krzyży w starciach z policją zginął jeden robotnik, a kilkanaście osób zostało rannych. O klimacie, w jakim narodziła się ta zbrodnia, pisał Tuwim: „Krzyż mieliście na piersiach, a browning w kieszeni...". Atmosferę nagonki na Narutowicza po wyborze na prezydenta najlepiej oddaje cytat z popularnej „Gazety Porannej 2 Grosze":

> ...jakieś ptasie móżdżki urzędnicze biedzą się nad ceremoniałem „objęcia władzy" przez prezydenta Narutowicza... ludność polska prowokacji tej nie zniesie... zamiast strumienia krwi, które widzieliśmy na ulicach stolicy onegdaj, popłyną krwi tej rzeki...

Dziesięć lat później redaktor naczelny „Gazety Polskiej" Tadeusz Hiż poprosił Kazimierę Iłłakowiczównę, żeby napisała o zabójstwie prezydenta. Choć wiele tekstów o zamachu podaje, że postrzelony Narutowicz upadł w ramiona poetki, wyjaśnia się, że nie jest to prawda.

We wrześniu 1939 roku Iłłakowiczówna razem z całym MSZ-etem ewakuowała się do Rumunii. Przeżyła tam wojnę jako guwernantka w rodzinie profesora medycyny, gubernatora miasta Kluż. Nauczyła się rumuńskiego, a po oddaniu terenu Siedmiogrodu Węgrom – także węgierskiego. Większości urzędników udało się wyjechać na Zachód, o nią nikt nie zadbał. Jej paszport dyplomatyczny stracił ważność w 1942 roku – przez pięć lat aż do 1947 roku nie mogła przedostać się do Polski.

Zacząłem od tego, że reportaż umie przyjąć inną formę, niż tego się po nim spodziewamy. Kazimiera Iłłakowiczówna w 1957 roku opublikowała w dość małym jak na tamte czasy nakładzie (dwa tysiące egzemplarzy) zbiór zapomnianych dziś tekstów z pobytu na uchodźstwie – czterdzieści jeden drobnych utworów, przeważnie opowiadających o Siedmiogrodzie, pod wspólnym tytułem *Z rozbitego fotoplastikonu*. To reportaże, które przyjęły postać prozy poetyckiej. Najbardziej przywodzą na myśl współczesną książkę *To ty jesteś Daniel* (2001) Hanny Krall (patrz t. 2, s. 301). Tu reporterka okazała się poetką, tam poetka okazała się reporterką.

Tekst pod tytułem *XIV* jest moim ulubionym:

> W tym jednym półroczu skupiły się wszystkie złe wróżby. W sam dzień Nowego Roku upadł przed drzwiami frontowymi mały ptaszek zwyciężony przez straszliwy, różowy, pełen kłujących pyłków mróz. Zaniesiony do pokoju, otworzył dziubek i dyszał bez przerwy przez całą dobę, aż zesztywniał i umarł. Zaraz potem zdechł wspaniały leonberger, pies łańcuchowy: tak samo dyszał z otwartym pyskiem długo w mroźną noc, i rano już nie żył. A na początku lata wesoły, dzielny bialutki Gugu, wrzucony dla zabawy do basenu – nie dożył ranka... Dorośli go zniszczyli, tak jak zgubili wiernego stróża domu, nie zwalniając go na noc z łańcucha mimo próśb dzieci! Ale teraz przyszedł za to na nich wielki niepokój: zapomnieli o świętych rocznicach imienin i urodzin; z grających pudeł wylatywały drzwiami i oknami zamiast ulubionych przez wszystkich preludiów i fug – złowrogie głosy zwycięstw, gróźb i obietnic.
>
> I naraz spełniły się wszystkie wróżby. Ogromnym rzeszom zły los kazał opuścić kraj i wędrować dalej na południe. Zbrojni ludzie w obcych mundurach weszli do domu i pozdzierali z okręcików chłopca ojczyste

chorągiewki... Płaczą Morneni, Maria i Anuca. Trajan, Grigore i Gheorge stoją we drzwiach gotowi do odejścia w góry po tamtej stronie. Dziewczynka wzięła kredki i szkicownik szkolny i chodzi z pokoju do pokoju, rysując każdy z nich na pamiątkę. Potem biały dom na wzgórzu zostanie zwinięty w szereg tobołów i wywleczony ze swego miejsca dalej na południe, jak wywrócone wielkie drzewo z mnóstwem korzeni.

Wspomnienie o Prezydencie Narutowiczu

Kochany Panie,

skoro chce Pan, abym spisała, co pamiętam o panu Narutowiczu, oto jest garść suchych faktów.

Poznałam pana Narutowicza na konferencji genueńskiej[1], gdzie byłam obecna jako przydzielona do delegacji polskiej; później, kiedy został ministrem spraw zagranicznych, jako podwładna miałam sposobność doznać jego dobroci, której tak wiele promieniowało z niego zawsze na otoczenie. Stykałam się z nim też parokrotnie w domu państwa Potulickich w Oborach, dokąd minister Narutowicz przyjeżdżał z panami Kajetanem Morawskim i Stefanem Przeździeckim, których specjalnie lubił i wyróżniał. Był prosty, wielkoduszny, lojalny i sprawiedliwy, łatwy w obejściu i pełen swoistego litewskiego humoru, który był mi bardzo bliski i zrozumiały.

W dzień, kiedy go zabito, byłam raz pierwszy w życiu na wernisażu. Poszłam tam pod wrażeniem obrzydliwych wypadków z okazji przysięgi Prezydenta, stałam w westybulu z innymi osobami i z wielkim niepokojem oczekiwałam przybycia pana Narutowicza. Pamiętam, że mówiłam o tym, jak łatwo może ktoś w tym tłumie znowu dopuścić się jakiejś zniewagi. Po wejściu Prezydenta tłum ruszył za nim schodami i do sali na prawo, ja zaś z malarzem Janem Henrykiem Rosenem, wówczas także urzędnikiem MSZ, weszliśmy do sali na wprost schodów, gdzie wisiał jego obraz.

Tam znowu rozmowa zeszła na osobę Prezydenta. Mówiliśmy, że tłoczyć się razem z socjetą na pierwsze miejsca nie ma sensu. „Tak – powiedziałam – ale wśród nas byłby bezpieczniejszy. Chciałabym stać tuż przy nim, żeby go w razie czego choć zasłonić…”

W tej chwili za nami padły trzy suche, ciche strzały. Twarz Rosena zrobiła się zupełnie szara: „To nie tu, to coś na ulicy” – powiedział bez cienia przekonania i oboje wpadliśmy na górną platformę schodów, którymi w pośpiechu zaczęły się tłoczyć płaczące i krzyczące panie… Roztrącał je pan Rajnold Przeździecki, który śpieszył w dół, wołając: „Na miłość boską, prędzej, księdza!”. Panikę wstrzymywać starał się pan Stefan Przeździecki, który skinął na mnie, stojąc w drzwiach: „Niech pani wejdzie. Jeszcze żyje, ale zdaje się, że koniec…”. Księżna Franciszka Woroniecka, zapłakana, stała trochę bliżej grupy skupionej pośrodku sali i zaczęła wołać do mnie z płaczem: „Siostro, prędzej, prędzej!”. Byłyśmy razem na froncie.

[1] Międzynarodowa konferencja zwołana w Genui w 1922 roku w celu omówienia planu odbudowy gospodarczej środkowej i wschodniej Europy po pierwszej wojnie światowej.

Prezydenta trzymało kilka osób w pozycji półleżącej na króciutkiej ławeczce pluszowej, gdzie jedna trzecia jego potężnego wzrostu nie mogła znaleźć miejsca. „Połóżmy go na podłodze" – powiedziałam. Uklękłam i oparto go o mnie klęczącą.

Za mną był jakiś postument ze świętą figurą. U stóp Prezydenta, którego postać zajęła wielki kawałek podłogi, siedział na krześle zabójca. Oficer, biały jak papier, trzymał mu łokcie skręcone w tył. Zabójca powiedział: „Proszę mnie nie szarpać, nie będę uciekał". Miał twarz kamienną, nie patrzył na zabitego.

Wydawało mi się okropne, aby Prezydent, o ile jeszcze coś widział, musiał ciągle na n i e g o właśnie patrzeć. Błagałam kogoś, aby go zabrali. Wyprowadzono go do sali, gdzie wisi *Grunwald*.

Jakiś przygodny doktor był cały czas przy nas i zapewniał mnie, że Prezydent od razu nie żył i że można go zostawić, ale wydawało mi się to rzeczą nie do zrobienia, żeby tę głowę z moich kolan przełożyć na podłogę. Przyszedł ksiądz bardzo prędko i dał zabitemu czy umierającemu absolucję. Daleko później zjawił się doktor z pogotowia, któremu uwierzyłam, że Prezydent umarł.

Ogarnęła mnie wielka troska o wygląd twarzy Prezydenta. Zamknęłam mu oczy i związałam mocno twarz jego własnym białym szalikiem. Bolało mnie uczucie osamotnienia tego trupa, którego barki i głowa tak bardzo ciążyły na moich kolanach. Zdawało mi się, może niesłusznie, że większa była złość i zgroza niż żal większości widzów tej tragicznej śmierci niewinnego. Tylko Rosen klęczał przy mnie i płakał. Modliliśmy się oboje bardzo gorąco. Cudzoziemskie mowy i polska przeplatały się koło nas.

Po trzech kwadransach ścierpłam tak od ciężaru, że zaczęłam prosić, aby przyniesiono poduszkę. Jakiś woźny przyniósł swoją własną białą z mieszkania. Prosiłam też bardzo o krzyż, o jakąś płachtę do przykrycia trupa. Zacny Zdzisław Szczerbiński, też kolega z MSZ, wydostał i przyniósł piękny krzyż ze zbiorów Zachęty i sukno ze stołu. Przykryliśmy ciało, tak że kiedy przyszli z noszami, trup nie był już tak niewymownie skrzywdzony i poniżony na tej podłodze.

Twarz Prezydenta, gdy ją miałam na kolanach, była cały czas niezmiernie spokojna, tak jakby umarł bez wstrząsu. Myślę, że byłby lubił mieć przy sobie, tak jak miał, Stefana i Rajnolda Przeździeckich, i Rosena, i mnie, i Szczerbińskiego. Wszyscy byliśmy z MSZ, gdzie pana Narutowicza bardzo kochano i gdzieśmy wszyscy byli niezmiernie wzburzeni obejściem, jakiego doznał po opuszczeniu nas.

Zdaje mi się, że zabity został, kiedy oglądał obraz pana Ziomka, jakiś krajobraz.

Woźny, który ciągle stał obok trupa, zapewne woźny tej sali, był nieprzytomny z oburzenia i zgrozy: „Psiakrew, inteligent, żeby z tyłu strzelać – mówił. – Zaraz bym z nim zrobił koniec". Starałam się go przekonać, że powinien raczej żałować Prezydenta, niż myśleć o zabójstwie zabójcy, które przecież nie wskrzesi zabitego, ale nie chciał tego zrozumieć. Wiem, że się ciągle bałam, żeby nie sprowadził jakiego tłumu dla zlinczowania więźnia w sali Grunwaldzkiej. Królewską miał właśnie iść pogrzeb zabitych na placu Trzech Krzyży robotników[2].

Kiedy przyszła policja, zapytała, czy jestem córką zabitego lub krewną. Powiedziałam, że niczym nie jestem. Zabrano go, nieszczęśliwego zabójcę też gdzieś bezpiecznie wyprowadzono. Ręce miałam we krwi Prezydenta. Nie wiedziałam długo, co zrobić z tymi rękami, wszystko się wydawało niewłaściwe. Doszłam do MSZ bez rękawiczek, bojąc się dotykać klamek. Wreszcie już tam na miejscu umyłam ręce w łazience.

Byłam na procesie jakby z poczucia jakiegoś obowiązku. Nieszczęśliwy zabójca, którego córka zresztą pracowała w biurze MSZ jako maszynistka – śliczna, cicha panienka – wydał mi się doprowadzonym do egzasperacji neurastenikiem. Myślę, że wyrok śmierci musiał powitać z ulgą.

Jeden Bóg osądzić go może ze zrozumieniem jego chorej duszy. Czy mam Panu wyznać, że modlę się za zabitego i za zabójcę jednym tchem, w jednym zdaniu bez przecinka?

Są to smutne wspominki, jeśli może w szczegółach nieścisłe, bo pamięć mam notorycznie złą, to co do ogólnej atmosfery wypadku bardzo prawdziwe. Niech Pan zresztą zapyta Rosena, Szczerbińskiego i Przeździeckiego. Uzupełnią oni na pewno luki, które ja zostawiłam.

Nie mam nic przeciwko zużytkowaniu tego listu w druku, w nadziei, że nikomu nie zrobi on przykrości.

Łączę przy tej okazji *etc.*, *etc.*

Kazimiera Iłłakowiczówna, *Wspomnienia i reportaże*, Warszawa: Biblioteka „Więzi", 1997, s. 189–193

[2] Większość źródeł wymienia tylko jedną ofiarę śmiertelną – robotnika i związkowca Jana Kałuszewskiego. Jego pogrzeb zgromadził kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

1932

Irena Krzywicka (1899–1994)

Nie byłam specjalistką

Jedno ze znanych przedwojennych haseł, mających oświecić społeczeństwo, brzmiało: „Chrońcie dzieci przed krzywicą!". Zostało jednak strawestowane: „Chrońcie dzieci przed Krzywicką!".

Jako pisarka i dziennikarka Irena Krzywicka walczyła z podwójną moralnością – inną dla kobiet, inną dla mężczyzn. Kiedyś napisała list do Jarosława Iwaszkiewicza, o którym dowiedziała się, że pociągają go mężczyźni, i zaproponowała mu poszerzenie doznań erotycznych – z nią właśnie. Jej sława gorszycielki wzięła się też z tego, że otwarcie żyła z dwoma mężczyznami: mężem, adwokatem Jerzym Krzywickim, oraz Tadeuszem Boyem-Żeleńskim (mężczyzną postępowym i żonatym). O swoich związkach mówiła: „Miałam dwóch mężów, których bardzo kochałam". Życie prywatne reporterów zazwyczaj nie jest istotne, ale w przypadku Ireny Krzywickiej muszę podkreślić, że zarówno mówiąc publicznie o swoim życiu, jak i pisząc reportaże, nie bała się tego, co myśli, i nie bała się oznajmić tego w druku.

> Dotychczasowa cywilizacja męska przechodziła różne przeobrażenia – pisała – tworzyła wsie i miasta, egzaltowała się i masakrowała dla spraw religijnych, znosiła jedne formy ucisku, wprowadzała inne, rozkładała się i wzrastała w siłę, przy jednym tylko trwała niezmiennie: połowę ludzkości – k o b i e t y – p o z o s t a w i a ł a t r w a l e w s t a n i e n i e w o l n i c t w a.

Irena Krzywicka pracowała w „Ekspressie Porannym" i „Robotniku", ale najbardziej znana była jako dziennikarka, reporterka i recenzentka „Wiadomości Literackich", z którymi tylko współpracowała. Było to najważniejsze pismo dwudziestolecia międzywojennego – wychodziło od roku 1924 do wybuchu wojny.

> Krąg „Wiadomości" – pisze autorka monografii tego tygodnika Małgorzata Szpakowska – był to rodzaj samozwańczej elity, która próbowała narzucić innym własną miarę i która własne wyobrażenia o społeczeństwie i sztuce traktowała jako uniwersalne. Zwłaszcza własne wyobrażenie o nowoczesności [...].

To „Wiadomości Literackie" doprowadziły w latach trzydziestych do rozkwitu reportażu. A jednocześnie propagowały nowy styl życia. W numerze 20

z 1932 roku Irena Krzywicka zadebiutowała reportażem z sądu – *Proces o zabójstwo tancerki*, a jednocześnie właśnie do tego numeru dołączono pierwszy dodatek „Życie Świadome" poświęcony sprawom reform obyczajowych. Głównymi animatorami „ruchu uświadamiającego" byli Tadeusz Boy-Żeleński, doktor Herman Rubinraut i właśnie Irena Krzywicka. Pisała dla „Życia" o kwestii przymusowego celibatu więźniów (*Miłość w więzieniu*), upominała się o przywileje kobiet w czasie menstruacji (*Sekret kobiety*), zastanawiała, jak rozmawiać z dziećmi o seksie (*Dzieci a sprawy drażliwe*). Wiele szumu narobiła jej powieść *Pierwsza krew*, w której jedna z bohaterek przeżywa niepokoje związane z pierwszą miesiączką. Z tego powodu eseista Paweł Hertz jeszcze w latach dziewięćdziesiątych xx wieku wzdrygał się na nazwisko Krzywickiej i mówił: „Tfu, ona ma krew na rękach".

W publikacjach o „Wiadomościach Literackich" często wspomina się, że reportaże sądowe Ireny Krzywickiej należą do najlepszych tekstów w dorobku tego tygodnika. (O innych sławnych reportażach „Wiadomości" – w następnych rozdziałach antologii). Roli sprawozdawczyni sądowej podjęła się bez przygotowania i bez ambicji zachowania obiektywizmu – uważa Małgorzata Szpakowska. Są to subiektywne opowieści o ludzkich charakterach i przypadłościach, a nie bezstronne relacje.

> Właśnie to, że nie byłam specjalistką – tłumaczyła Krzywicka – że miałam świeże spojrzenie na zagadnienia, które dla wielu stały się rutyną, nadało mojemu sądowemu pisaniu specjalną wartość.

Relacjonowała głośne procesy, ale też drobne sprawy z sądu grodzkiego. Tu właśnie subiektywność Ireny Krzywickiej – uważa Szpakowska – uwyraźniała się najmocniej. Czasem jako głos rozsądku. Nie mogła pogodzić się choćby z oskarżeniem ulicznych przekupek o brak higieny, skoro kupowali u nich tacy sami biedacy jak one.

> Zapewne gotowany groch trzymany w brudnym koszyku jest niezdrowy. A mieszkanie w dwadzieścioro w jednej izbie jest zdrowe? A głodowanie miesiącami jest zdrowe? – grzmiała.

Najgłośniejszym jej tekstem sądowym był reportaż z najsłynniejszego procesu Polski międzywojennej – tak zwanej sprawy Gorgonowej. W 1931 roku w willi architekta Henryka Zaremby pod Lwowem zamordowana została podczas snu jego siedemnastoletnia córka. O morderstwo oskarżono Ritę Gorgonową, gosposię i kochankę inżyniera oraz opiekunkę jego dzieci, która miała palcem upozorować gwałt na dziewczynie, żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

Przez pewien czas podejrzany był sam ojciec, ale prokuratura skłoniła się do wersji obciążającej gosposię.

> Tym razem Krzywicka jest już jawnie stronnicza, cała jej relacja podporządkowana jest obronie oskarżonej, na pierwszy plan wysuwane są argumenty świadczące o jej niewinności, natomiast argumenty oskarżenia są dezawuowane z całą mocą – pisze Małgorzata Szpakowska. – I choć w ostatnim reportażu autorka przyznaje: „Nigdy się może nie dowiemy, jak było naprawdę", to ciąg dalszy tego zdania nie pozostawia wątpliwości co do jej stanowiska: „ale zdrowy ludzki sens, psychologiczne wejrzenie w tych ludzi i w sytuację, analiza przestępstwa, wszystko to przemawia niedwuznacznie na korzyść Gorgonowej".

Niestety relacja z procesu Gorgonowej jest tak obszerna, że przekracza możliwości tej antologii. Skracanie czegokolwiek spowodowałoby zaś dezorientację czytelnika w sprawie. W związku z tym proponujemy debiutancki tekst sądowy Krzywickiej z „rewolucyjnego" numeru „Wiadomości Literackich". W warszawskim teatrzyku Ananas zakochany Zachariasz Drożyński strzelał w afekcie do ukochanej tancerki...

Proces o zabójstwo tancerki

Obecność moja w sądzie wzbudziła zdziwienie na ławie prasowej. Cóż to? „Wiadomości Literackie" wysyłają swego sprawozdawcę na sensacyjny proces? Pismo poświęcone krytyce i sztuce udziela miejsca sprawom, które podlegały dotąd wyłącznej i chciwej eksploatacji pism codziennych? Widziałam twarze niemal zgorszone. Cóż robić! Literatura ma ten przywilej, że wpycha się wszędzie, wszystko jest dla niej pożywieniem, nęci ją zawsze zagadka przestępstwa i zbrodni. A że coraz bardziej zacierają się różnice w hierarchii rodzajów literackich, lekceważony do niedawna reportaż zaczyna się czuć coraz pewniej wśród swoich czcigodnych poprzedników.

Bywalcy dziennikarze patrzą z uśmiechem pobłażania na literata, w którego oczach maluje się nieuchronnie silny wstrząs psychiczny, jaki mu daje sala sądowa. Czuje się on do pewnego stopnia jak prostaczek w teatrze. Granica między jego życiem a życiem działających przed nim osób od razu się zaciera: chciałby się wtrącić, rzucić pytanie, pokłócić się o odpowiedź. Czuje się bezpośrednio zamieszany w rozgrywające się przed nim wypadki. Z drugiej znów strony ta natłoczona sala, chciałam powiedzieć – widownia, ci panowie w efektownych togach, ta defilada coraz to nowych osób przed barierką świadków budzi w nim zmysł teatralny. Wstrząsa nim ta ponura *commedia dell'arte*, której kanwą jest fakt autentyczny, a epilogiem więzienie, jednocześnie zaś trudno mu jest uwierzyć w realność, w nieteatralność tego, co się przed nim dzieje. Nie lubię słowa „misterium", ale czymże innym jest ten proces o duszę i ciało grzesznika, te dopuszczone do słowa głosy dobrych i złych sił?

Proces Drożyńskiego, w którym nie chodziło o wykrycie zbrodni, ale o charakterystykę oskarżonego, miał niewątpliwie ów charakter moralitetu, gęsto, niestety, naszpikowanego wątpliwej wartości morałami i dość średniowiecznego w koncepcji i w formie. Mieliśmy przed oczami zespół (proszę mi darować tę terminologię, ja teatr traktuję poważnie) amatorów i wytrawnych... graczy (w tym wypadku można by tak bez błędu zastąpić słowo „aktor"). Amatorzy to oczywiście świadkowie i oskarżony; główni aktorzy to panowie w togach. Z jednej strony bezpośredniość, trema, uczucie, z drugiej – kunszt, talent, rzemiosło. Z jednej – lęk, zawstydzenie, nieraz kłamstwo, z drugiej – bezwzględność, często brutalność, chłodny patos. Przykra jest nierówność między tymi dwiema grupami działających osób. Jedni, ci w togach, mają

wszystkie awantaże, przywileje, to jest ich dzień, niejako ich benefis, tamci za barierką to plebs, statyści. Niektórzy ze świadków mają swoje wejście tryumfalne, większość jednak jest postawiona jakby w stan oskarżenia i traktowana niechętnie i pogardliwie.

Jest coś dziwnego i wprost niesamowitego w widoku tych ludzi, którzy są tu zmuszeni do mówienia prawdy, jeżeli nie całej prawdy, to w każdym razie w stopniu o wiele większym, niż to się zdarza w życiu codziennym. Stają przed nami i mówią o swoich najintymniejszych sprawach, odzierają z tajemnic siebie i oskarżonego, otwierają naszym oczom swoje i jego życie. Mówią przed sądem, to konieczne; ale właściwie z jakiej racji my ich słuchamy, przypadkowa publiczność i pilnie notująca ława prasowa? Jest jakaś nieprzyzwoitość w tym niepowołanym i najczęściej bezcelowym słuchaniu cudzych zwierzeń, jest przerażające nieposzanowanie prywatnego życia osób, które są często w najdalszy, w najbardziej przypadkowy sposób związane z oskarżonym. Jest coś niemal średniowiecznego w tym publicznym torturowaniu niewinnych ludzi krzyżowym ogniem pytań dotyczących nie tylko oskarżonego, ale i ich samych – nie tylko faktów, ale zapatrywań i poglądów. Pytania, zadawane przez strony, mają aż nazbyt często formę niewłaściwą i nietaktowną, przy czym świadka zeznającego na korzyść oskarżonego dręczą oskarżyciele, nad świadkiem zeznającym na jego niekorzyść pastwi się obrona. Udziela mu się nauk moralnych, szydzi się z jego słów, ironizuje na temat jego stosunku do różnych spraw życia, podaje się w wątpliwość jego prawdomówność, honor, uczciwość i inteligencję. Świadek odchodzi od barierki spreparowany dokładnie, aby w końcu, o ile pozostanie na rozprawie, usłyszeć mogącą przyprawić o depresję charakterystykę swojej osoby. Ale nawet gdy obie strony chwalą zeznającego, to czyż można zaprzeczyć, że tego rodzaju publiczne *colloquium* musi w ten czy inny sposób zaciążyć na życiu świadka, że żadna egzystencja nie może wyjść bez szwanku z takiego obnażania, że prywatne konsekwencje takiej półgodzinnej spowiedzi mogą być nieobliczalne. Badanie świadków wydało mi się jedną z najbardziej bezlitosnych egzekucji, tym bardziej przykrą, że publiczną. Mówię o tym z przerażeniem, bo jeżeli nawet założyć optymistycznie, że żaden z nas nie będzie zbrodniarzem, to z pewnością każdy z nas może być świadkiem. Nie życzę tego nikomu.

Oto typowy wypadek: jest sobie teatrzyk, podrzędny kabaret. W teatrzyku tym tańczy młodziutka tancerka. Pewien pan na wysokim stanowisku siada od jakiegoś czasu co dzień w pierwszym rzędzie i posyła dziewuszce kwiaty. Zapoznaje się z nią, rozmawia z nią kiedyś za kulisami, idą razem do kina... Co dzień w każdym teatrze na całym świecie zawierają się tego rodzaju

znajomości. Ale przypadek sprawia, że tu właśnie następuje katastrofa. Młodą tancerkę zabija jej kochanek. I od razu pan na stanowisku, który dowiedział się o zbrodni z gazet, staje się własnością ogółu. Mówią o nim, piszą o nim, szperają w jego życiu prywatnym. Pan staje przed sądem i musi się zwierzać. Gdyby milczał, wyglądałoby to podejrzanie. Musi opowiadać, co czuł do zabitej, jak z nią rozmawiał, czy ją traktował „z sympatią", czy bez. Musi się spowiadać ze swoich słów i gestów, i to wobec tłumnie zebranej gawiedzi. Chwalą go potem w przemówieniach za inteligencję i subtelność; można kogoś przyprawić o zgrzytanie zębów takimi pochwałami. Ten świadek jest na stanowisku, więc się go traktuje ostrożnie. Za to innych...

Na ławie oskarżonych siedzi młody, elegancko ubrany chłopak. Maska twarzy nieruchoma, oczy głęboko osadzone, usta zaciskające się kurczowo, tik nerwowy w policzku. Matowa, ciepła bladość południowca. Jednocześnie raczej buzia niż twarz: nic nieznaczący nosek, usta pulchne, gdy niezaciśnięte, głowa mała i okrągła. Mówią o oskarżonym, że się grubo pudrował i karminował sobie usta: cóż dziwnego, gdy się ma twarz lalczynego pierrota, co, przetłumaczone na język dzisiejszy, oznacza twarz wzorowego żigolo. Oto typowy fordanser, ulubieniec starszych pań i panów pederastów. Któż by mógł uwierzyć, że tak właśnie wygląda zabójca? Taka powierzchowność predestynuje do pewnego trybu życia, ale któż by pomyślał, że predestynuje do zbrodni?

Prasa zbyt surowo obeszła się z Drożyńskim. Nie bronię go. Zabójstwo z zazdrości, z wściekłości po odtrąceniu przez kochankę – na to nie ma wytłumaczenia. Och, to przywłaszczanie sobie prawa do cudzego życia, ten brak ambicji, czepianie się drugiego człowieka, to niszczenie kochanki, gdy się nie może jej mieć na własność! Dotychczasowa moralność raczej zbyt pobłażliwie odnosiła się do tego rodzaju zbrodni. Drożyński padł do pewnego stopnia ofiarą pojęć, że zazdrość jest uczuciem słusznym i godziwym (trzeba było słyszeć, jak pewnym tonem o tym mówił), że zabicie kobiety, która przestała kochać, to jest jednak gest, za który, gdyby był legalnym mężem, mógłby może uzyskać sympatię sędziów i prasy. Istotnie, nie można się oprzeć uczuciu, że sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby zabójca zajmował właśnie ową legalną pozycję wobec ofiary. Kto wie, czy nie wybielono by go wówczas do czysta? Już by się wtedy nie mówiło o wyzysku materialnym, bo któż by brał mężowi za złe, że żona płaci za niego taksówkę lub rachunek w restauracji? Jego zazdrość poczęto by „szanować", sprawę siniaka pod okiem uznano by za niedowiedzioną (jak jest w istocie) i gdyby jeszcze rzecz działa się przed sądem przysięgłych, Drożyński poszedłby do domu wolny.

Czy ten lub inny wyrok zmieniłby coś w istocie sprawy? Nic. Toteż spróbujemy, my, widzowie, my, słuchacze, my, publiczność, których może niesłusznie dopuszczono do udziału w tej ponurej sprawie, wyrobić sobie zdanie o tej dość pospolitej zresztą zbrodni, zwykłym *crime passionnel*.

Nie ma usprawiedliwienia dla zbrodni Drożyńskiego, mimo iż nazbyt często sądy usprawiedliwiały ten typ zbrodni. Za to cały stosunek jego z Korczyńską nie wydał mi się ani tak podły, ani tak niegodziwy, ani tak niemoralny, jak to przedstawiono i w sądzie, i w prasie. Zapewne, kiedy zaczęły się pogróżki, sprawa nabrała grozy, ale to już był okres desperacji i zapadania się w otchłań. Jeżeli chodzi o sam romans, niemal każdy młody chłopiec może się znaleźć w podobnej sytuacji, tylko że jeden się wydobędzie, inny pójdzie na dno.

Chłopak wybitnie inteligentny i zdolny, to się czuło od pierwszej chwili, kiedy otworzył usta, to mu przyznał zresztą prokurator. Syn adwokata, doskonały uczeń, kończy gimnazjum, wstępuje na uniwersytet. Zarobkuje, zdaje egzaminy, posiada przyjaciół. Jest ładny, zdolny, ma temperament i duże apetyty, sporo zarabia na posadzie w magistracie, dużo wydaje. Nagle traci zajęcie. Przy tym zahamowaniu zarzuca jak samochód, coś pęka w jego psychicznej kierownicy. Dostaje różne posady, coraz pośledniejsze, wreszcie w urzędzie śledczym. Na żadnej nie może się utrzymać. Jest głupio ambitny, chorobliwie drażliwy, wygórowanego mniemania o sobie. Ma kochankę tancerkę, osiem garniturów, czapkę studencką i pustkę w kieszeni. Raz już wszedł w skórę złotego młodzieńca i nie potrafi z niej wyleźć. W którymś punkcie swego życia wypada z rytmu, mylą się nici, którymi życie porusza tę postać pierrota, stworzonego, aby czarować girlsy i ekspedientki, stworzonego może na to, żeby zostać kimś w życiu. Ten chłopak, dotychczas bez zarzutu, przestaje się uczyć, zaczyna się wałęsać, grać dniami całymi w bilard, w karty, przenosi punkt ciężkości swego życia na osobę dziewczyny tańczącej co wieczór na scenie.

Iluż młodych chłopców przeszło przez taki okres! Na przekór oburzeniu panów prokuratora i powodów cywilnych, którzy nie mogli pojąć, jak niegłupi chłopak może w ten sposób spędzać dnie, znam sama wielu wybitnych ludzi, którzy tak właśnie przefujarzyli młodość, co im nie przeszkodziło odbić się w pewnej chwili do góry. I jeszcze jedno: z całego przewodu sądowego wynikło, że Korczyńska była miłą i wartościową dziewczynką, ale trzeba stwierdzić, że jednak dla młodego chłopca bez pieniędzy była znajomością niebezpieczną. Ktokolwiek należy do świata teatralnego lub choćby się z nim styka, musi się trzymać na pewnym poziomie, musi być ubrany, musi mieć zawsze parę złotych w kieszeni, nie może się wyrzekać taniego luksusu, który obowiązuje w tym otoczeniu. Bezinteresowna aktorka może nie przyjąć

grosza od swego kochanka, ale jest nie do pomyślenia, aby pozwoliła wejść za kulisy chłopcu w podartych butach, w wytartej marynarce, aby mógł z nią chodzić ktoś, kto w deszcz nie może jej zawołać taksówki. To już jest minimum, bo to ją ośmiesza, deklasuje, zmniejsza jej możliwości, nakłada na nią stempel niemal perwersji, a dziś ambicją każdej aktoreczki jest być wzorową mieszczką. Może się sama biednie ubrać, nie może mieć kochanka oberwańca. I cóż się dzieje? Korczyńska kocha swego chłopca, a on nie ma pieniędzy, traci posady, które lekceważy, bo czuje w sobie większe możliwości, bo ma myśli zaprzątnięte miłością, bo jest neurastenicznie drażliwy. Nie ma pieniędzy, a mieć je musi, choćby tyle, aby robić dobrą minę wobec kochanki, a zwłaszcza wobec jej przyjaciółek. Drożyński poczyna miotać się desperacko, aby zdobyć choć parę złotych, gra, pożycza, włazi w najgorsze kompanie, szamoce się spazmatycznie, aby się utrzymać na powierzchni i oczywiście stacza się coraz niżej. Kiedy już nie ma skąd wziąć na te wspólne drobne wydatki, więc jednak dla niej – od kogo bierze? Od niej. I ona mu daje, bo nie chce go stracić, bo wstydziłaby się kochanka biedaka, bo oboje nie mieli ani rozumu, ani odwagi, aby przeciwstawić się otoczeniu i błysnąć odważnie nagością swojego ubóstwa.

Z tym braniem pieniędzy sprawa się jakoś inaczej przedstawia w sądzie, inaczej w życiu. „Ach, więc pozwalał jej zapłacić za taksówkę, ach, więc ona płaciła w restauracji, ach, więc mu dała pięć złotych!" – wołali panowie prawnicy z oburzeniem, które może zbyt często towarzyszy ich słowom. Nie dowiedziono zresztą, że płaciła, to były uporczywe plotki, zapewne słuszne, ale cóż w tym znów takiego złego? I gdyby cała sprawa nie skończyła się zbrodnią, czy miałby ktokolwiek prawo to osądzać? Tego rodzaju wymiana usług – daje ten, kto ma – jest nader częsta wśród ludzi, którzy się kochają, zwłaszcza w obecnych warunkach, kiedy kobieta zarabia tyleż co mężczyzna albo więcej. Znam wiele takich małżeństw i par, szczególnie wśród sfer proletariackich, inteligenckich, wśród studenterii. Czyż pojęcie, że zawsze mężczyzna powinien płacić za kobietę, nie jest, doprawdy, tym, co się nazywa przesądem burżuazyjnym, przeżytkiem pochodzącym ze sfery, gdzie mężczyzna zawsze ma pieniądze, a kobieta nie potrzebuje zarobkować? Matka Drożyńskiego zeznała, że jeszcze dziś jest w posiadaniu dwóch weksli syna wystawionych za pończochy i pantofle damskie; łatwo by stwierdzić, czy to prawda. Zapewne prawda i nie ulega dla mnie wątpliwości, że kiedy Drożyński miał pieniądze, wydawał na Igę, kiedy nie miał, wydawała ona. Nie widzę w tym hańby. Toteż śmieszne wydały mi się tryumfalne okrzyki panów oskarżycieli: „Ach, więc on jednak wziął od niej sześćdziesiąt groszy, kiedy

mu zabrakło w cukierni? Widział pan czy nie widział, jak ona płaciła za taksówkę?" itd. To są kryteria wzięte z romansów „z wyższych sfer towarzyskich", nie z życia. Inna rzecz, że Drożyński zaplątał się bez wyjścia w swojej trudnej sytuacji, począł obsuwać się z rozpędem spadającego ciała. Przymusowe próżniactwo, na jakie go skazała utrata ostatniej posady, fatalne znajomości, głupie fałszowanie dokumentów, beznadziejna niemożność zarobienia w jakikolwiek sposób pieniędzy – na poprzednich posadach opatrzono go pewnego rodzaju wilczym biletem, który mu zamykał dostęp do wszystkich biur – oto dzieje grzechu mężczyzny. W tych warunkach Iga, która też zresztą zarabiała już grosze w źle prosperującym Ananasie, coraz częściej wtykała mu do ręki złotówki, może w końcu sam ich żądał, kiedy miał długi karciane albo inne, o nędzo! – „honorowe". Dziewczynie poczęło się to przykrzyć: kobieta ma we krwi od wieków, że jest opłacana, tak dalece, że upokarza ją, gdy to ona ma przez czas dłuższy pomagać mężczyźnie, to ją niejako dyskwalifikuje we własnych oczach. Nic więc dziwnego, że zaczęła narzekać przed koleżankami na tę nieznośną *à la longue* sytuację. Jestem pewna, że Drożyński ze swą chorobliwą ambicją nie mniej cierpiał nad tym niż ona; był on i pozostał, wbrew swemu postępowaniu, nadziany po czubek głowy całym pasztetem konwencjonalnych zasad moralnych. Inna rzecz, że zaplątał się tak mocno, iż każdym ruchem mógł tylko pogorszyć sytuację, a uratować się, jedynie odchodząc, tracąc dziewczynę! Na to nie mógł się zdobyć. Pozostać? Nie mógł nie rozumieć, że taka sytuacja trwać długo nie może, że zjawi się nareszcie jakiś bogaty wielbiciel, z którym walka będzie dla niego niemożliwa. Ten okres musiał być dlań męką, którą łatwo sobie wyobrazić, toteż dziwna mi się wydała ironia pana prokuratora w stosunku do matki Drożyńskiego, która opowiadała, jaką golgotę przechodził jej syn i jak ona cierpiała razem z nim. Pan prokurator zapytał z ogromnym zdziwieniem, co to mogła być za golgota, że to raczej Korczyńska mogła przechodzić golgotę, nie on. Mogła i ona, i on, to sobie chyba nietrudno wyobrazić. Ona skuta z człowiekiem, który był jej już tylko kamieniem u szyi, on patrzący z rozpaczą na ruinę swoich możliwości, na niemożność odegrania się, na nieuchronne następstwo rywala.

Życie splątało wszystkie nitki rządzące figurynką tego banalnego pierrota. Następują już teraz nieskładne podrygi. Istnienie traci wszelki sens, dni wloką się groźne pustką i ponurym próżniactwem. Tępe dni spędzane przy bilardzie. Towarzystwo żigolaków, pokątnych pedeków, kryminalistów, byle kogo. Ambicja, nieuzasadniona pycha rośnie, uniwersytet pozostaje daleko w tyle. Jedna pasja, jedna namiętność, jedna myśl – Iga. Ale ten zdesperowany, zmarnowany, idący na dno chłopak nie umie kochać słodko. Sadyzm czy też

chorobliwa zazdrość, może poczucie własnej niedostateczności, każą mu dręczyć dziewczynę, szantażować ją samobójstwem, zabójstwem. Szarpie ją i wyłamuje jej ręce, przeraża, grozi. Jak zauważył nad wyraz przenikliwie pan prokurator, z rąk tego ambitnego i zdolnego człowieka wymknęło się wszystko, co nadaje jakąkolwiek władzę i znaczenie w świecie. Pozostał jedyny teren, na którym mógł czuć swoją wyższość – prosta zakochana kobieta, jedyna istota, której wolno mu było rozkazywać, którą, jak każdy słaby władca, rządził terrorem i strachem. Jednocześnie sam czepiał się kurczowo tej jedynej istoty, która nadawała sens jego zmarnowanemu życiu. Im bardziej opadał w hierarchii społecznej, tym bardziej trzymał się prestiżu czapki studenckiej, „sfery", z której pochodził, moralności, honoru, wszystkich słów, które zwykle niewiele znaczą, a w jego ustach ziały coraz przeraźliwszą pustką. I kult dla tych słów zachował nawet w ostatnim akcie tragedii, na ławie oskarżonych, kiedy już ze zdolnego, gorącego chłopca zdołał się przedzierzgnąć w ponurego kabotyna, zapewniającego, że chciał uczynić z Igi „damę z towarzystwa", wzorową niewiastę, że zabił ją jedynie dlatego, gdyż widział, że idzie na „złą" drogę, że szarga jego honor, jego, człowieka, z którym była związana przez parę lat. Plótł te wszystkie brednie nie do darowania, zamiast powiedzieć po prostu, że wreszcie wymknął mu się ostatni atut z ręki, że dziewczyna zbuntowała się i odeszła, i zostawiła go samego na gruzach zniszczonego życia, że to nie tyle zazdrość, ile rozpacz wepchnęła mu rewolwer do ręki: zginąłem, giń razem ze mną.

Zamiast tego – mnóstwo żałosnych, przez niego samego pozbawionych wszelkiej treści słów. Miało się wrażenie, że po tej kompletnej katastrofie, po utracie wiary w siebie, w swoją przyszłość, po utracie ukochanej kobiety, po utracie wolności jedno mu tylko zostało: wiara w słowo, w puste, wyświechtane słowo, które w jego mniemaniu ratowało to, na czym mu zawsze w życiu zależało, a czego nigdy nie umiał osiągnąć – prestiż. „Honor", „uczciwość", „nie kłamię nigdy", „cnota", „czystość", cały arsenał mieszczańskiej moralności, którą podeptał – oto słowa, które tym bardziej go upajały, im bardziej tracił do nich prawo.

Zdumiewająco brzmiały one w ustach człowieka, który zachował dla nich cały kult, ale najwyraźniej nie skonfrontował ich nigdy z własnym życiem. Niestety, trzeba wyznać, że w ogóle w całym przewodzie sądowym nadużywało się tych szumnych, wieloznacznych i często beztreściwych słów, że równie gęsto siali nimi panowie w togach. Cały proces miał dość antypatyczny charakter, gdyż nie chodziło o to, do czego sąd jest powołany i predestynowany – do stwierdzenia winy – ale o zdanie sobie sprawy z „oblicza moralnego

oskarżonego". Znajdujemy się obecnie w momencie takiego przełomu pojęć etycznych, że trzeba w szermowaniu nimi zachować daleko idącą ostrożność. Próbowałam to zilustrować na przykładzie dotychczasowego stosunku do zabójstwa z zazdrości z jednej strony, a dzielenia się pieniędzmi między kochankami z drugiej. Dziś potępimy to, co się dawniej usprawiedliwiało, usprawiedliwimy to, co dawniej uchodziło za hańbę. Poza tym różne normy obowiązują w różnych środowiskach. Podczas rozprawy mówiło się cały czas o Korczyńskiej jak o panience z Sacré-Cœur. Panowie obrońcy pytali się dobrodusznego tancerza, który się w niej kochał, czy nie uważał za niewłaściwe, że Iga bawiła się do piątej rano na imieninach w mieszkaniu, o zgrozo, nieżonatego człowieka. Drwiono z innego świadka, gdy powiedział, że między Igą a jego przyjacielem porucznikiem istniał stosunek koleżeński: „Więc jak to, porucznik był kolegą tancerki? I pan nie miał nic przeciwko temu?". Pytano innego świadka natarczywie, co rozumie pod słowami: „żyją ze sobą", ale to już miał być zapewne dowcip.

Patos panów oskarżycieli doszedł szczytu, kiedy mówiono o spędzeniu płodu przez Korczyńską. Pan prokurator tak nawet sformułował pytanie, skierowane do oskarżonego: „Więc powiada pan, że pan z niej chciał uczynić damę z towarzystwa i wzorową niewiastę, może pan nam opowie, jak się pan zabrał do tego. Więc najpierw ją pan zaprowadził do akuszerki?". Oskarżony bardzo impetycznie zaoponował przeciwko takiemu sposobowi stawiania pytań; trudno mu odmówić słuszności. Rozumiem dobrze, że należało ośmieszyć kabotyńskie słowa o „damie z towarzystwa", ale to oburzenie panów prawników na fakt spędzenia płodu przez młodziutką dziewczynę, niezamężną, tancerkę, której ciąża przeszkodziłaby w wykonywaniu zawodu, i to w dobie, kiedy kodeks karny ma ulec bardzo znacznym modyfikacjom[1] – czy to nie zbytek gorliwości? Przy tym zabawne zjawisko: ponieważ chodziło koniecznie o to, aby z Igi uczynić „świetlaną postać", więc odpowiedzialnością za to „przestępstwo" obarczono jej kochanka. „Więc czemuż jej pan od tego nie powstrzymał? Więc czemuż się pan z nią nie ożenił?" – padały pytania. „Ach, więc to pan ją sam zaprowadził do akuszerki, a może dawał jakieś proszki? Jak to, więc pan nie pragnął mieć dziecka? Własnego syna?" „Pragnąłem mieć syna – zgrywał się w odpowiedzi Drożyński – marzyłem o tym – wołał ten dwudziestopięcioletni chłopak – gdyby go była miała, nie omieszkałbym węzłem małżeńskim uświęcić nasz związek" (niestety, tym stylem przemawiał zarówno oskarżony, jak i panowie w togach). Jednej tylko rzeczy nie powiedział i nie domyślili się jej panowie prawnicy: to właśnie Iga z pewnością nie chciała mieć dziecka – i któż by to jej brał za złe? Rozpoczynała karierę

[1] W 1932 roku, m.in. dzięki działalności Krzywickiej i Boya-Żeleńskiego, ustanowiono zapisy legalizujące usunięcie ciąży w określonych przypadkach.

gwiazdy: ładne ułatwienie. Czemu się z nią wówczas nie ożenił? Ona z pewnością nie chciała wyjść za niego, za tego chłopaka bez pozycji, bez pieniędzy, bez przyszłości, ona z takimi możliwościami: urodą, młodością, talentem. Postąpiła tak, jak postępuje mnóstwo znajomych, kto wie czy nie żon prawników całego świata, i doprawdy, nie było o czym tyle mówić, chyba że to już tak wypada przerzucać się przed sądem komunałami wyświechtanych pojęć, na które oskarżony, równie konwencjonalnie myślący, nie umiał znaleźć odpowiedzi i połykał je w zażawionym i gryzącym milczeniu.

Potem nastąpił dzień naprawdę tragiczny, dzień, którego przeżycie trzeba było okupić nerwami, zupełnym wytrąceniem z równowagi. Zeznawały obie matki, zabitej i oskarżonego. Muszę wyznać, że, nieprzyzwyczajona do podobnych emocji, z trudnością mogłam wytrzymać tragiczny ciężar tych zeznań, straszliwy widok tych dwóch istnień okaleczonych na schyłku. Nie potrafię powiedzieć, której staruszki los wydał mi się bardziej wstrząsający, zapewne obu. Matka Igi Korczyńskiej – mój Boże, to przecież łatwo sobie wyobrazić! Matka Drożyńskiego – spłoszona, przerażona, bojąca się spojrzeć w stronę syna, napięta, żeby nie powiedzieć czegoś na jego niekorzyść, kłamiąca często oczywiście i heroicznie, na pół przytomna, zdruzgotana już nie tylko rozpaczą, ale i hańbą, powtarzająca spazmatycznie te niepotrzebne słowa, że nigdy go nie opuści. Toteż agresywność i drwinki oskarżycieli w stosunku do tej tragicznej postaci – „Ach, więc pani nie wiedziała, ach, więc i pani przechodziła tę domniemaną golgotę, ach, więc pani nie umie policzyć, ile pani miała dzieci?" – czyniły ponure wrażenie. Staruszka istotnie zapomniała, ogłuszona, ogłupiała, ile miała córek, ilu synów. Ogółem było szesnaścioro, tak jest, a to dużo, proszę panów prawników. Szesnaścioro dzieci, których większość wyginęła, to nie jest tak łatwo policzyć, gdy się ma lat blisko siedemdziesiąt i ostatniego syna na ławie oskarżonych. Można zapomnieć, gdy się to wszystko sumiennie rodziło i grzebało, a nie chodziło jak Iga do akuszerki, co też się panom nie podobało. Matka zbrodniarza ma dosyć do czynienia z samą sobą, bez drwiącej pomocy i szyderczych zdumień młodych mężczyzn w togach, oddzielonych od niej całą przepaścią zdrowia, zadowolenia i powodzenia.

Te dwie matki to był widok zaiste pirandelliczny. Każda z nich mówiła swoją prawdę, logiczną i prawdopodobną, tylko że te prawdy nie zgadzały się ze sobą i nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę.

„Więc jak to było z tymi pieniędzmi? Brał czy nie brał?" – pytano starej Wielgusowej[2]. „E, co tam pieniądze – odpowiedziała ładnie – jak się kochali i mieli się żynić".

[2] Iga Korczyńska nazywała się naprawdę Jadwiga Wielgusówna.

I znów w stosunku do tej matki, jak w stosunku do Drożyńskiego, ujawniło się, że nie ma tu zastosowania przeciętny kodeks obyczajowy, którego uporczywie trzymali się podczas rozprawy zarówno oskarżyciele, jak obrońcy. Z matki Korczyńskiej nie dało się wykrzesać, mimo zachęty, szczerego oburzenia na narzeczonego córki za to, że brał od niej pieniądze, choć w jej słowach brzmiał niewątpliwie żal za uszczuplenie dochodów rodziny. W tej sferze jest na porządku dziennym, że dziewczyna lub jej rodzice dają chłopakowi pieniądze, ubranie, płacą jego długi do dnia ślubu.

Tak samo z tym biciem. Jeżeli nawet Drożyński bił Igę, matki jej nie mogło to tak wzburzyć, jakby tego oczekiwał sąd. „Czy bił ją?" „A bił, a owszem, bił, ja to mu nawet raz mówiłam: czekaj, ja ci wleję, jakeś ty mojej córce wlał", ale – bądźmy bezstronni – brzmiało to miękko. Trudno wymagać, aby dla Wielgusowej była dziwota, że chłop tłucze babę. Zbyt często musiało to się zdarzać jej i sąsiadkom.

Sąd, obrońcy i oskarżyciele brzydzą się chłopcem, który bierze pieniądze od kochanki, wymawiają zaś ze czcią słowo: rodzice. Otóż ci rodzice, a zwłaszcza ojciec odegrał w stosunku do Igi dość podobną rolę. Ta dziewczyna w ogóle miała pecha, jak wszystkie prawie dziewczęta z proletariatu, które są zawsze przez kogoś wyzyskiwane od dziecka. Alboż rodzice nie eksploatowali Korczyńskiej? Dzieckiem oddali ją do baletu, a gdy poczęła zarabiać, skrupulatnie konfiskowali jej pieniądze. W końcu doszło do tego, że ojciec w ogóle przestał dawać na dom.

To są inne obyczaje, inna terminologia, inna psychika. Wielgusowa przetrzymała jakoś śmierć i pogrzeb córki, śmierć jeszcze dwojga dzieci, ale usiłowała odebrać sobie życie – gdy dostała wezwanie do sądu. „Czemuż to?" – dziwili się słusznie sędziowie. Krótkonogi, krótkonosy Wielgus nie bardzo umiał na to odpowiedzieć: „Ano już było zapomniane, a jak przyszło wezwanie, to się odświeżyło".

Podczas procesu napiętnowane zostały tak zwane sfery uliczne, jak je wykwintnie nazwano. Paru ludzi oderwano od zajęć i kazano im zeznawać przed barierką, czy widział ktoś kiedyś Drożyńskiego na ulicy w towarzystwie dwóch „protustek", jak je nazywa Jakub Wojciechowski. Drożyński twierdzi, że go tylko zaczepiły, paru świadków zeznało, że z nimi rozmawiał. Ważna kwestia... Gdyby sąd był złożony z kobiet, jeszcze by można zrozumieć, że taki nacisk się na to kładzie, ale żeby mężczyźni tak się o te rzeczy prawowali i żeby stąd wyciągali wnioski o „sylwecie moralnej oskarżonego"? Jak silny może być ucisk tych trochę nieszczerych pojęć, dowodzi starcie oskarżonego z jednym ze świadków, sympatyczną skądinąd aktorką rewiową. „Widziałam

Drożyńskiego na Nowym Świecie w nocy w podejrzanym towarzystwie" – twierdziła kategorycznie młoda dama. „A cóż pani sama robiła o tej porze na Nowym Świecie?" – zapytał impertynencko oskarżony. „Ja byłam w towarzystwie, gdyby mnie ktoś zobaczył samą, też by mnie uważał za podejrzaną". Ej, nie, droga pani. Dziś nikt nie uważa kobiety za podejrzaną, gdy ją widzi samą w nocy, nie udawajmy. Ileż to kobiet, urzędniczek, aktorek, wraca późną nocą do domu po pracy. Po co utrzymywać te fikcje?

Te mieszczańsko-dżentelmeńskie kryteria ogromnie zawodzą, kiedy się je stosuje mechanicznie poza środowiskiem, w którym powstały. Mają one jednak widocznie trwały urok. Sam Drożyński chętnie podawał się za dżentelmena. Jak jednak jest niesprecyzowane u nas to pojęcie, dowodzi, że jeden świadek zawołał: „Drożyński nie mógł brać pieniędzy od kobiety, to był zawsze dżentelmen, raczej by kradł!". „Ach, więc dżentelmen może kraść?" – zdziwił się słusznie pan prokurator. „Przecież się mówi dżentelmen włamywacz" – odparł z dziecięcą prostotą świadek. Cały prawie czas miało się uczucie, że się jest na sztuce granej w dwóch językach: innym mówili panowie w togach, innym liczna czereda świadków.

Męcząco, nużąco i denerwująco upływały te dni rozprawy. Szczegóły, tyle zbytecznych szczegółów. A poza nimi wizja dwóch przeklętych rodzin, nad którymi los pastwił się ze szczególną zajadłością. Zarówno rodzina Drożyńskich, jak Wielgusów była naznaczona stygmatem nieszczęścia. Umęczona szewcowa traci dwoje dzieci w jednym roku, w tym córkę, która zabłysła szczerym metalem wśród surowej rudy ich życia. Śliczna, dobra, utalentowana, mogłaby, jak to się często zdarza, wysiłkiem swoich lotnych nóżek wydźwignąć rodzinę na wyższy szczebel społeczny. Ale i rodzina Drożyńskich jakże naznaczona: czterech braci ginie na wojnie, piąty anormalny, szósty odbiera sobie życie, siódmy na ławie oskarżonych. I jakże tu nie zadrżeć, jeżeli się ma dzieci. Im więcej dzieci, tym gorzej.

Niestara, ale zniszczona Wielgusowa, płacząc, wołała, że pragnęła widzieć swą córkę za Drożyńskim, że chodziła nawet w tym celu do jego matki, błagając, by wpłynęła na syna. Pani Drożyńska wyśmiała ją podobno, wyszydziła i wyrzuciła za drzwi. Tymczasem pani Drożyńska zeznaje, że była u niej co prawda Wielgusowa, ale z prośbą, żeby matka wpłynęła na syna, aby się odczepił od dziewczyny, że z nim ona nie ma żadnej przyszłości, że trafia jej się jakiś bogaty pan. Jak było naprawdę? Nie dowiemy się nigdy. Tak jest, jak wam się wydaje.

I wreszcie nastąpił wielki dzień, popis, benefis, turniej gwiazd. Publiczność wyłamała drzwi. Zapomniano o oskarżonym. Wszystkie oczy wlepione były

w mówców. Istotnie, widowisko było wspaniałe. Bardzo przystojny i utalentowany prokurator olśnił zebranych. Jego przemówienie było wyborne pod względem krasomówczym, ale czy efekt, pasja nie przystoi bardziej obrońcy niż oskarżycielowi? Tyle ognia, żeby temu nieszczęśnikowi przysolić jeszcze parę lat więzienia!

Odpowiadał mu doskonale pełen niezwykłego wdzięku i rozumu dziekan Rady Adwokackiej. W ogóle wszystkie przemówienia były bardzo interesujące; jedno mnie w nich tylko uderzyło: to ten nieuchronny patos na zimno, to sztucznie wyhossowane oburzenie, to bezustanne szermowanie arsenałem górnych słów, to przejaskrawienie tonów, zarówno jasnych, jak ciemnych.

I zdawało mi się, że po zniknięciu upiornych matek jestem na dalszym ciągu sztuki Pirandella: dwie prawdy, dwie koncepcje, każda prawdopodobna i logiczna, dwie interpretacje tegoż życia tego samego człowieka.

Bo też sąd – i to wrażenie umacniało się we mnie z każdym dniem – jest jednym z najbardziej żywiołowych objawów zmysłu teatralnego ludzkości. Może dlatego jest taki trwały, taki niezmienny, taki fascynujący. Ta właśnie wielomówność, jaskrawość efektów, kult słowa, to bezwiedne niejako zwracanie się do publiczności po zgodę – czyż to nie najczystsza forma teatralizacji życia? Czemuż jednak służy ona tak wydatnie zaspokajaniu zmysłu okrucieństwa, nie mniej wrodzonego człowiekowi?

Irena Krzywicka, *Sąd idzie*, Warszawa: Czytelnik, 1998, s. 9–27

1933

Ewa Szelburg-Zarembina (1899–1986)

Reportaż skuteczny

„Chcę moimi baśniami, wierszykami, wesołymi historiami cieszyć, pokazując Wam we wszystkich moich książkach świat bliski i daleki pięknym i dobrym…" – pisała do dzieci Ewa Szelburg-Zarembina w książce *Idzie niebo ciemną nocą*. I prowadziła je „do takiego miasta, gdzie są domy z cukru, a ulice z ciasta…". Przed wojną w „Moim Pisemku" i „Płomyczku", po wojnie w „Świerszczyku" drukowała urocze wiersze, których każde dziecko łatwo uczyło się na pamięć.

Jednak dorosłym czytelnikom socjalistycznego „Robotnika" czy inteligenckich „Wiadomości Literackich" świat bliski i daleki pokazywała już nie tak pięknym i dobrym. Świat reporterki Ewy Szelburg-Zarembiny – córki ogrodnika i krawcowej, która skończyła na Uniwersytecie Jagiellońskim i polonistykę, i pedagogikę – to świat wymagający naprawy.

Jej najsłynniejszy przedwojenny reportaż, który wymienia się chyba w każdym fachowym opracowaniu o rozkwicie reportażu lat trzydziestych xx wieku, nosi tytuł *„Myjcie owoce!"*. Opowiada o tak zwanym procesie kobryńskim, który na jakiś czas zelektryzował opinię publiczną II RP. Już w pierwszym zdaniu reportażu pisarka oznajmia, że z powodu procesu musi przerwać pracę nad powieścią *Matka Judasza*.

Na ławie oskarżonych zasiedli chłopi ze wsi Lepiówka w okolicy Brześcia nad Bugiem, którzy w sierpniu 1933 roku napadli na posterunek policji w Nowosiółkach.

Według jednej wersji zdarzeń zdesperowani i zrozpaczeni chłopi próbowali odbić rzeczy zarekwirowane im przez poborców za niezapłacone podatki. Ośmiu aresztowano i w trybie natychmiastowym osądzono. Razem z nimi sądzono aresztowaną wcześniej działaczkę Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi Reginę Kapłan. Oskarżono ją o podburzanie chłopów, połączono jej sprawę z napadem na posterunek i uznano wieśniaków za komunistyczną bandę terrorystów, którzy chcieli zaanektować północno-wschodnią część Polski i przekazać ją ZSRR.

Taka była właśnie druga wersja zdarzeń – nazwę ją wersją środowisk prawicowych – że chłopi rzeczywiście należeli do partii komunistycznej i chcieli oderwać kawałek Polski.

Najważniejszą ideą reportażu Szelburg-Zarembiny z tego procesu jest zwrócenie uwagi na tryb działania sądu doraźnego – oto choć nie trwa wojna,

pospiesznie skazuje się ludzi na śmierć. Kręgi komunistyczne podkreślały, że „faszystowski rząd karze śmiercią już za samą przynależność do partii komunistycznej". Z analizy wyroków ogłaszanych w prasie codziennej w 1932 roku wynika, że przed sądami doraźnymi stanęły sto siedemdziesiąt dwie osoby, z których sto dwadzieścia skazano na karę śmierci. Większość wyroków śmierci zapadała na Białorusi i zachodniej Ukrainie.

> Ta geografia wyroków – napisał Zbigniew Mitzner – zgodna była z normalnym prawem faszystowskiej dyktatury, czy też nawet zwykłych „demokratycznych" rządów, polegającym na tym, że w koloniach panuje zawsze reżim ostrzejszy niż w metropolii. A owe „kresy" to przecież były swego rodzaju kolonie Polski kapitalistycznej.

Zbigniew Mitzner wspominał także, że reportaż *„Myjcie owoce!"* dosłownie wstrząsnął czytelnikami. Podkreślał, że niemałe znaczenie miała osoba autorki. Zarembina nie była przed wojną komunistką, a do tego była bardzo religijna.

> Sądziliśmy – pisał Mitzner – że Zarembina przemawia z pozycji obiektywnej, niesolidarna politycznie z ławą oskarżonych. A jednak mówiła, pokazywała sąd, oskarżała sąd, procedurę i ten sposób wymiaru sprawiedliwości. Czytaliśmy ją z zapartym tchem, bo mówiąc słowami Wańkowicza, obchodziło to nas jak własna skóra. A może więcej: jak własne sumienie.

Po pierwszych doniesieniach z sali sądowej grupa pisarzy z Nałkowską, Boyem, Irzykowskim, Kruczkowskim, Słonimskim na czele napisała list do władz: „Tylko droga spokojnego beznamiętnego rozważenia wszelkich okoliczności sprawy, bez pośpiechu i gwałtu daje gwarancję należytego wykrycia przebiegu wypadków". Domagali się przeniesienia sprawy kobryńskiej do sądu zwykłego. Kilka miesięcy później, pod wpływem zamieszania, które wywołał reportaż, rząd podjął decyzję o zniesieniu instytucji sądów doraźnych we wszystkich sprawach poza szpiegostwem. Jak zanotowała w swoim dzienniku Zofia Nałkowska, prasa podała, że chłopi dostali dożywocie, a sprawę Reginy Kapłan przekazano sądowi zwykłemu.

Niestety rok później z inicjatywy nowego premiera Leona Kozłowskiego, przy aprobacie marszałka Piłsudskiego utworzono specjalne miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej (przez wielu uznane za polski obóz koncentracyjny), gdzie „elementy wywrotowe" bez żadnego sądu zamykano na wiele miesięcy, a nawet lat i poddawano wymyślnym torturom.

„Myjcie owoce!”

Wyjazd

Jest tak, że właśnie piszę *Matkę Judasza* i – jest tak, że mogę pojechać na proces do Kobrynia. Jeśli się zaraz zdecyduję.

Z małą walizką wsiadam do tramwaju i jadę na dworzec. O dwunastej odchodzi pociąg przez Brześć do Kobrynia. Obrońcy z Warszawy, jadący na sprawę, są już także. Pociąg prawie pusty. Wsiadamy do wagonu trzeciej klasy i zajmujemy cały przedział.

Moi towarzysze wyjmują z tek cienkie, szeleszczące arkusze, pokryte bladym pismem maszynowym: odpisy aktu oskarżenia, protokoły.

W monotonnym stukocie kół, w nerwowym szeleście nikłych papierów zapoznaję się i ja ze sprawą. Czytam, jak czyta się wszystko, z abstrakcyjną, fachową, beznamiętną ciekawością. Nazwiska, czyny, paragrafy kodeksu karnego – wszystko to jeszcze jest dla mnie tylko papier i druk, jak pierwsze kartki każdej sensacyjnej książki, kupionej „do wagonu”.

Mijamy stacje o nic niemówiących nazwach... Ktoś z nas, pochodzący z Podlasia, wskazuje na jakieś wieże klasztorne: Biała Podlaska! Wiemy wszyscy: to tutaj i nie tak dawno oporni unici walczyli z prawosławną przemocą.

Patrzę przez chwilę na szybko cofające się wieże klasztorne i znowu wracam oczami do szeleszczących kartek, zapisanych pismem maszynowym w urzędzie.

Zaczyna padać gęsty, drobny, prędki deszcz. Ustaje. Wysiadamy. Więc to jest Kobryń?

Dwie brudne, rozklekotane dorożki wiozą nas od dworca długą drogą do miasta. Właśnie zachodzi słońce. Zachodzi nad podziw pięknie. Resztki kropel deszczowych, rozbite na pył, krążą w powietrzu i nadają wszystkiemu barwy dziwne i przezroczystość dziwną.

Ale oto wjeżdżamy w cień, między gęsto stojące zabudowania. Przymykam prędko oczy: przed sześcioma niespełna godzinami byłam w Warszawie, chcę ją sobie przypomnieć i nie mogę. Wsiąkła całkowicie w mrok, po tamtej stronie kobryńskich opłotków pełnych przekwitających astrów i słoneczników. I już jej nie ma. Jest Kobryń.

Szabasowe świece

Niewielka murowanka przy ulicy Marszałka Piłsudskiego to Hotel Handlowy. W izbach, ziejących chłodną stęchlizną, na ścianach zielone tapety w „złoty" deseń i tapety czerwone w deseń „złoty", na sufitach tapety białe w „srebrne" paski. Na stolikach pod oknami czysto wyprane serwety. W oknach pod bielą dziurawych firanek żółknące pelargonie, kosmate lipki i ułanki w glinianych garnkach. Drzwi zamykają się na druciane haczyki... Mysia dziura pod piecem zatkana przepaloną żarówką...

Są jeszcze dwa hotele, ale nie ma wyboru. Wszystko zajęte, tyle zjechało na sąd urzędowych osób. Lokuję się więc tutaj. Zresztą nie jest najgorzej: pluskiew, na oko, zdaje się, nie ma, a wody ciepłej „ile zażądano".

Wychodzę na miasto. Naprzeciw hoteliku – cerkiew. Obok cerkwi pomnik Kościuszki: popiersie w kamieniu, dokoła armaty i armatnie kule. Na pomniku napis: „Na pamiątkę wypędzenia Moskali... mieszkańcy Kobrynia"... Mijam. Idę dalej. Z chwiejących się łagodnie szyldów patrzą na mnie kolejno blaszana dama i drewniany oficer o dwóch lewych nogach. Przez małe czyste szybki widzę jarzące się, rzęsiste świece i biel obrusów. Wieczór jest piątkowy: szabas. Mieszkańcy Kobrynia w głębi swych mieszkań spożywają radosną wieczerzę. Przez szpary w drzwiach i nadprożach wydobywa się zapach ryby, szafranu i szabasowego pieczywa. Nasyca sobą noc.

Osobno, z daleka od podrygujących szabasówek, świeci zimny, jesienny księżyc. Wysoko świeci, nad dachami, nad rynsztokami, nad rynkiem, nad drewnianym mostem na Muchawcu, nad rzeką Muchawcem.

W wilgotnej, malarycznej mgle czernieją przekwitłe słoneczniki w błotnistych ogrodach schodzących do rzeki i czernieją rzeczne trzciny dochodzące do tych ogrodów.

Przez głuchy most śpiący koń wlecze pustą dorożkę ze śpiącym dorożkarzem. W trawie między kamieniami bruku cykają regularnie niewidoczne świerszcze.

Za szybkami domostw stopiły się, zgasły szabasowe świece.

Kobryń śpi.

Bagnety

Po ciepłym piątkowym wieczorze sobotni ranek zimny jest i wietrzny.

Posiedzenie sądu wyznaczono na godzinę dziewiątą. O wpół do dziewiątej wychodzę z hotelu. Zaraz od schodków nie poznaję wczorajszego miasteczka. Ulice jakby się poszerzyły, domy jakby urosły. Wszędzie, gdzie spojrzeć:

granatowe mundury policji. Ludność cywilna tłoczy się na drewnianych gankach i we frontowych oknach.

Widać przeszło tu wcześniej przed nimi srogie słowo: „sąd doraźny".

Im bliżej gmachu sądu grodzkiego, tym więcej mundurowej policji, srogo patrzącej spod sztywnych, białych czapek. Na chłopskich twarzach, ściągniętych kagańcem skórzanej podpinki, leży nieruchoma, groźna świadomość władzy.

Uliczka, którą idę, mijając gęsto rozstawionych policjantów z pałkami gumowymi i z karabinami, przechodzi w błotnistą, wyboistą drogę. Drewniany chodnik z desek prowadzi do żelaznej bramy. Przed bramą motocykle. W bramie posterunkowy, przystojny, barczysty chłopak, ostrym, rozkazującym głosem legitymuje nieliczne osoby dopuszczone na salę rozpraw.

„Myjcie owoce!"

Gmach sądu grodzkiego, ongiś klasztor, stoi pośrodku obszernego dziedzińca porosłego wyprzałą trawą. Przed frontem ubogi kwietnik, pełen naiwnych astrów różowych i białych. Kręcą się tu ociężałe, bure wrony, niechętnie ufruwające przed ludzkimi nogami.

Przed drzwiami wejściowymi na schodach, przemieszane obficie policją, grupy ludności cywilnej: publiczność w paltach, w kapeluszach, kilku wojskowych w mundurach z krzyżami i – niewielka gromadka chłopska w siwych półsukmanach, w spodniach ze zgrzebnego płótna, w łapciach łykowych... Rodzina oskarżonych? Czy może tylko sąsiedzi świadkowie?...

Wstępuję w tłoczącej się ciżbie po schodach. Już jest duszno. Już nie ma czym oddychać. Ktoś dyszy mi na kołnierz palta: „Będzie im ciepło".

Więc to tu? – myślę w nagłym popłochu, jakbym teraz dopiero, w tej chwili, usłyszała w sobie słowo: „sąd doraźny", i – podniósłszy głowę, widzę na wprost wejściowych schodów – afisz.

Na widocznym miejscu wywieszony troskliwie przedstawia ten afisz owoce: pomarańcze, gruszkę, winogrona. Po tych owocach spacerują cztery dokładnie namalowane duże muchy. U dołu wyraźny czytelny napis w polskim języku: „Myjcie owoce!".

Przystanęłam, patrzę na winogrona z muchami, odczytuję napis i przez chwilę nie mogę się ruszyć z miejsca. Aż potrąciła mnie małym twardym tobołkiem kobieta w białej chustce na głowie, w zniszczonej półświtce[1]. Młoda kobieta o zapuchniętych, czerwonych oczach (więc chyba jest tu i rodzina?)...

Mam wielką ochotę wziąć tę kobietę pod łokieć i poradzić: „Myjcie owoce. Koniecznie myjcie owoce. Nie zapominajcie przed spożyciem umyć

[1] Świtka – sukmana, wierzchnia odzież mieszkańców wsi lub drobnej szlachty.

w przegotowanej wodzie pomarańcz i winogron. Popatrzcie tylko na ten afisz. Widzicie?".

Publiczność z gościnnych występów Grand Guignolu[2]

Rzecz prosta, w małym miasteczku, zagubionym wśród trzcin i błot, trudno jest o sensację większej miary.

W życiu jednak, jak w kabale, może się zdarzyć i to, „czego się nie wie, czego się pragnie, a czego się nie spodziewa". I oto zdarzyło się coś nadspodziewanie ciekawego. Poruszy krew w żyłach mężczyzn i napędzi naturalne rumieńce na uróżowane twarze pań: możliwość otarcia się z bliska a najzupełniej bezpiecznie o cudzą śmierć – z ludzkiego wyroku. O dziewięć takich śmierci.

Więc gdy rozparci na krzesłach ludzie w paltotach i modnych kapeluszach, siedzący za barierką, naprzeciw ludzi ostrzyżonych przy skórze, a siedzących pod piecem na ławie pomiędzy dwoma nagimi bagnetami, uśmiechają się, a nawet śmieją głośno – jest to tylko czysty objaw radości z tego, że zarysowujący się cień szubienicy nie sięga od pieca do barierki.

Ten siwy, wąsaty jegomość z miną szlagona[3] starej daty, ta paniusia w brązowym kapelusiku z czerwoną kokardką, pulchna, różowa, z dołkami na twarzy, strzelająca na wszystkie strony roześmianymi oczami, i tamta obok, chuda, w futrzanym kołnierzu, i jeszcze inna, cała w pieczołowicie ułożonych lokach i loczkach – bawią się tutaj tak, jak bawi się publiczność w Grand Guignolu. Ani trochę bardziej na serio. Po przedstawieniu wrócą spokojnie do domu.

Trudno jednak nie pomyśleć, że są tu rodziny poszkodowanych policjantów, z trudem utrzymujących ład urzędników administracji. Ci chyba istotnie muszą się czuć, jak czuto się ongiś na Dzikich Polach: oko za oko, ząb za ząb.

Bo takie wyryte jest przykazanie w przepełnionym krwią sercu człowieka. I tak też jest zapisane w Starym Testamencie.

Jest wprawdzie i Nowy Testament.

Crucifix

Nowy Testament...

W drugiej połowie ciasnej, na żółto pomalowanej sali sądu grodzkiego jest niewysokie podium. Na podium stoi stół sędziowski. Nad stołem, na ścianie, w miejscu, gdzie przed rokiem 1918 wisiała prawdopodobnie papierowa twarz Cara Wszechrosji, po obu stronach orła dwa portrety: prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i marszałka Piłsudskiego.

Stół czerwonym suknem przykryty. Na czerwonym suknie mały, czarny

[2] Grand Guignol – paryski teatr rozrywkowy, który zdobył sławę spektaklami o makabrycznej, naturalistycznej i pełnej grozy treści.

[3] Szlagon – niewykształcony szlachcic z prowincji.

krzyż. Na uświęconym krzyżu, tej wczorajszej rzymskiej szubienicy – wiszące martwe ciało Chrystusa, Syna Człowieczego.

Za krucyfiksem, który jest obrócony wiszącym ciałem Chrystusowym ku ławie oskarżonych, i tuż za wysokim oparciem foteli sędziowskich stoją w czterech rogach podium czterej policjanci z karabinami u nogi. Ostry, nagi bagnet osadzony na każdym karabinie.

Sala powstaje na wejście wysokiego sądu.

Sędziowie, w togach czarnych z fioletowym, w biretach. Trzy różne twarze – ten sam znużony wyraz. Na szczupłej piersi przewodniczącego sądu kołysze się szeroki łańcuch ze srebrnym orłem i z literami z daleka widocznymi: RP.

Tęgi, przystojny, młody prokurator w sutej czarnej todze oszytej czerwienią ma już na pełnej twarzy ten uśmiech, który opuści go dopiero w przedostatnim dniu rozprawy.

Naprzeciw uśmiechniętego prokuratora, nad złączonymi stolikami skupione twarze obrońców.

Za linią obrony – nieruchomi, wpatrzeni tępo w okno oskarżeni pod strażą drugich czterech bagnetów.

Na skraju barierki, oddzielającej oskarżonych od ożywionej publiczności, leżą dopiero co zdjęte im z rąk kajdanki. Muszą być pod ręką, gdy wypadnie na przykład dwóm policjantom pod karabinami prowadzić do ustępu na podwórze sądu oskarżoną, idącą z rękami wyciągniętymi mocno w przód przed siebie.

I jeszcze tylko to – pośrodku skąpo wydzielonego miejsca dla mających zeznawać świadków stoi stół z dowodami rzeczowymi: leży na nim kilka połamanych karabinów, jeden z tkwiącą wewnątrz lufy starą łuską, rewolwer zdatny do użytku, czerwono opieczętowane pakieciki z nabojami, zeszyty szpagatem koszyczek z garderobą pseudo-Maszy, pseudo-Wali, *false* Reginy Kapłan.

Rozpoczyna się przewód sądowy.

Sprawdzenie personaliów oskarżonych idzie szybko.

Przewodniczący, oparłszy głowę na ręku, przystępuje do odczytywania aktu oskarżenia.

Zmuszam się do uprzytomnienia sobie, że te słowa, których nikt poza obroną właściwie nie słucha, to istotnie AKT OSKARŻENIA, na mocy którego dziewięciu żywym ludziom, siedzącym przede mną, grozi natychmiastowa ŚMIERĆ.

Dźwięk głosu czytającego ucicha zupełnie. Jeszcze przez chwilę szeleszczą przewracane kartki na czerwonym suknie.

Przepisanej formie stało się zadość: akt oskarżenia odczytano publicznie.

Oskarżona Regina Kapłan lekko zezującymi oczami patrzy uważnie na

pochyloną nad stołem twarz przewodniczącego. Oskarżeni chłopi patrzą tępo w okno na poruszające się tam wierzbowe gałęzie.

Znad leżących przed nimi odpisów aktu oskarżenia wstają kolejno obrońcy i stawiają wniosek o przekazanie sprawy do sądu o trybie zwykłym, jako że:

„istnieje sprzeczność konkluzji aktu oskarżenia, która mówi o powstaniu w celu oderwania północno-wschodnich województw, z uzasadnieniem aktu oskarżenia, które nie posiada nawet cienia poszlaki, że oskarżeni dążyli do oderwania tych województw; dochodzenie było prowadzone w niewłaściwym trybie; termin prekluzyjny dwudziestu jeden dni na skierowanie sprawy do postępowania doraźnego nie został zachowany, już bowiem po sformułowaniu aktu oskarżenia do sprawy dołączono nowe dowody; nie ma związku między sprawą Kapłanówny aresztowanej w lipcu ze sprawą ośmiu oskarżonych aresztowanych w sierpniu".

Przez chwilę wydaje się, że oczywiście tak będzie, jak żąda obrona.

Ale oto uśmiechnięty prokurator podnosi się ze swego fotela. Wnosi o odrzucenie wniosków obrony. Według niego rozprawa ze względu na program i cel Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i na to, że oskarżeni przyznali się na śledztwie, iż do partii należeli, musi być prowadzona w trybie doraźnym.

Sąd po dłuższej naradzie odrzuca wniosek obrony.

Od tej chwili ciężko zawisłe nad salą słowo pozostaje w niej już na stałe: artykuł 93, paragraf 1.

Cień „maszynki"

Czy oskarżeni przyznają się do winy?

Regina Kapłan – nie.

A przecież Bogdanowicz Leon, ten z krzywymi nogami, ten, co teraz tu właśnie obok niej siedzi i ramieniem ją dotyka, ten poznał ją w śledztwie.

Mówi Regina Kapłan, dwudziestosiedmioletnia brzydka dziewczyna w białym berecie, zepsutym polskim językiem, mówi spokojnie, zimno:

– Ja do temu człowieku pretensji nie mam. Żalu do jemu nie czuje. Jak on wtedy mówił, że mnie zna, to on nie był człowiek... To on był jak zwierzę ze strachu...

A gdy tak mówi spokojna Żydówka *false* Regina Kapłan, pseudo Wala, pseudo Masza, Leon Bogdanowicz, chłop czterdziestoletni, były radny gminny, zasłania twarz prawą ręką i płacze. Z wyblakłych maleńkich oczu niebieskich lecą mu drobne łzy i ściekają po długim nabrzmiałym nosie.

– Czy przyznaje się do winy oskarżony Leon Bogdanowicz?

– Nie.

– Nie przyznaje, pane, nijak do nijakoj winy.

– Tu jest zapisane, coście zeznali u pana sędziego śledczego – mówi beznamiętnie przewodniczący, nie patrząc na oskarżonego, i szuka w papierach.

Znalazł. Czyta cichym głosem:

„Ja, tak, przyznaję się do winy, że w czasokresie mniej więcej od wiosny 1927 roku do obecnej chwili na terenie powiatu kobryńskiego brałem udział w związku p.n. KPZB, z wiedzą, że związek ten dąży do obalenia istniejącego ustroju państwowego Polski, oderwania ziem północno-wschodnich i przyłączenia takowych do Rosji Sowieckiej, czyli do czynu przewidzianego w artykule 93, paragraf 1 kodeksu karnego"...

– Tak zeznaliście u pana sędziego śledczego?

– Ta-ak. Ale ja nic niewiniem. Wysoki sądu! Ja był na policji dwie dni... Ja... powiedział: „Co chcecie, to i piszcie"...

Przewodniczący beznamiętnie przewraca kartki protokołu. Pyta po chwili:

– No, a cóż, pan sędzia śledczy z sufitu spisał?

– Pan sędzia śledczy spisał z tego, co było w policji zeznano – twierdzi z uporem Bogdanowicz. – A potem ja znowu do policji wrócił. I mnie policja mówiła, że ja ją baczył, tę Żydówkę, to naprasno ja mówił, że nie baczył...

– Dobrze, siadajcie.

I przewodniczący pochyla się nad innym papierem:

– Jan Liśkiewicz...

Nie, i ten się nie przyznaje. Widać, że wszyscy postanowili to samo: wszystkiemu przeczyć.

– A pan sędzia śledczy z sufitu to wziął? – powtarza przewodniczący i wyczytuje znużonym głosem z czarnego na białym: „Ja, tak, przyznaję się do winy, że w czasokresie"...

– Tak zeznaliście u pana sędziego śledczego?

– Tak, proszę pana Wysokosądu, ale...

I czy to będzie dwudziestotrzyletni blady Kitel, ojciec półtorarocznego dziecka, czy trzydziestosześcioletni bogaty Tymoszczuk, podobny do Tatara, czy zuchwały, raz już trzema latami więzienia karany za opór władzy Nikończuk, z brwiami „jak krylja sokole", o których śpiewają pieśni białoruskie, czy inni – żaden tutaj nie chce powtórzyć: „Ja, tak, przyznaję się do winy, że w czasokresie"... Każdy mówi z uporem: „Nie, nijak niewinien"...

A potem w chaotycznych słowach zaczyna przewijać się – cień: jakaś tajemnicza „maszynka"[4]...

[4] W oddziałach policji politycznej na Kresach przy badaniach oskarżonych, zwłaszcza podejrzanych o działalność polityczną, często używano aparatu wytwarzającego prąd elektryczny. Rażenie prądem sprawiało znaczny ból.

Na pytanie obrony, na żądanie prokuratora oskarżeni starają się wspólnie zmaterializować cień. Mówi Kitel, dopomagając sobie gestem, wyprężony, ze ściągniętymi brwiami...

Bogdanowicz opisuje z namysłem...

I znowu Kitel...

A Bogdanowicz mocniej przechyla głowę na lewe ramię, co przy jego długiej szyi jeszcze bardziej upodabnia go do człowieka wiszącego na niewidocznej pętli...

Prokurator zauważa, że przecież był na miejscu przestępstwa on, byli sędziowie śledczy i wtedy nikt z oskarżonych nie mówił o żadnej „maszynce".

Dziwnym zbiegiem okoliczności, jak w przesadnej sztuce teatralnej, na dworze zaczyna właśnie błyskać się i grzmi.

Sąd ogłasza przerwę do jutra.

Wracam zmoknięta do ponurej, zimnej izby w hotelu. Kładę się na czarne, blaszane łóżko.

Pod piecem dwie myszy, które wylazły z dziury przytkanej przepaloną żarówką, wyrywają sobie zręcznie czerstwą skórkę chleba.

Jest już ciemno. Myszy przestały chrobotać.

Za parę godzin pieją koguty.

Noc z 3 na 4 sierpnia, czyli gąsior z jagodami

Regina Kapłanówna zdjęła biały beret. Wijące się, potargane włosy, energicznie odrzucone z czoła, tworzą niepokojącą ciemną plamę na sinych kaflach pieca. Ma twarz dziś, jak i zawsze, nieruchomą, usta zacięte i oczy, lekkim zezem patrzące, uważne i zimne.

Odwracam wzrok od Żydówki Reginy Kapłan ku ośmiu ziewającym, znużonym chłopom białoruskim, którym akt oskarżenia zarzuca, że z bronią w ręku porwali się na majestat Rzeczypospolitej, w drodze zbrojnego powstania usiłując oderwać od niej północno-wschodnie województwa i przyłączyć je do obcego państwa.

Czyliż tak wyglądają wodzowie groźnej irredenty?

A sama irredenta?

Według zgodnych w zasadzie zeznań policji, oskarżonych i świadków wypadki w nocy z 3 na 4 sierpnia przedstawiają się w krótkości tak:

Po zajściach w Leplówce, a na skutek rozpowszechnianych w terenie odezw o rzekomym powstaniu krakowskim i rewolucji mającej wybuchnąć w całej Polsce kilkudziesięciu mężczyzn, przeważnie młodych chłopaków,

zbiera się w nocy na drodze, wiodącej do Nowosiółek. Część z nich ma karabiny, część – kije, reszta idzie z pustymi rękami.

Nadjeżdża na rowerze policjant. Gromada, ujrzawszy policjanta, rozsypuje się. Uciekają i kryją się po krzakach. Policjant jedzie na rowerze dalej. Spotyka drugą bandę. I ta rozstępuje się, dając drogę policjantowi, choć na jego pytanie: „Dokąd, panowie?" – nikt nie odpowiada.

Ale oto krzyknął ktoś w tłumie: „Zabić go! Skończyć z nim!" – i padł strzał w stronę policjanta.

Porzuciwszy rower i torbę służbową, policjant ucieka.

W ucieczce zostaje ranny w lewą piętę, a także w prawe udo.

Dopadłszy polami posterunku w Nowosiółkach, melduje o zajściu komendantowi posterunku. Sytuację pogarsza fakt, iż, jak się okazuje, połączenie z Kobryniem i Dywinem już zostało zerwane przez uszkodzenie przewodów telefonicznych.

Mija godzina w oczekiwaniu na spodziewany napad.

Tymczasem napastnicy, idąc dalej drogą, przyszli pod dom wojskowego osadnika[5] Księzkiego, instruktora Strzelca. Nie zważając na grożącego im karabinem Księzkiego, wybili okno, weszli do środka, żądając wydania broni strzeleckiej. Gdy Księzki oświadczył, iż broń w liczbie dwudziestu karabinów znajduje się już albo na posterunku, albo nawet w Brześciu, chłopi zażądali, aby ich poprowadził na posterunek, popierając rozkaz słowami: „My, organizacja przeciwburżuazyjna. Koniec waszego panowania". Przy czym zabierają Księzkiemu, prócz floweru[6], szablę, siodło oraz gąsior... z jagodami (!) – jak zapewnia z goryczą wysoki sąd sam świadek Księzki na rozprawie.

...Gąsior z jagodami! Nie jestem specem od spraw aprowizacji armii powstańczych, ale zaprowiantowanie się sokiem jagodowym, nawet jak na armię powstańczą, wydaje mi się zbyt... domowe.

Siodło, według późniejszego zeznania jednego z oskarżonych, rychło porzucono za stodołą. Co się stało z gąsiorem jagód – nie wiadomo. Tymczasem gromada z Księzkim pośrodku udała się jeszcze do trzech osadników, żądając wydania broni i mówiąc: „Skończyło się wasze panowanie. Proszę oddać broń i spokojnie siać i orać" (jak zeznają przed sądem osadnicy: Patek i Wyrzykowski).

Następnie Księzki udaje się z gromadą na posterunek. Tu na rozkaz chłopów woła trzykrotnie: „Proszę otworzyć!".

Aż za trzecim razem komendant posterunku oddaje do napastników pierwszy strzał przez zamknięte drzwi.

Wtedy następuje obopólna strzelanina, która trwa niecałą godzinę, po

[5] Po zakończeniu wojny z bolszewikami rząd polski przydzielał byłym wojskowym ziemię na Kresach dla „wzmocnienia elementu polskiego".

[6] Flower – karabinek sportowy.

czym „powstańcy", wystrzelawszy posiadane naboje, rozpraszają się i wracają do domów, aby się przespać i rano stanąć do roboty w polu. Gdyż po owym nocnym powstaniu...

– Specjalnego popłochu nie było – zeznaje Jerzy Budzyński, inteligentny komisarz urzędu śledczego w Brześciu nad Bugiem, kierujący tego dnia oddziałem pościgowym i obławą. – Specjalnego popłochu nie było. Praca przy żniwach szła jak zwykle, tylko że stosunkowo mało było mężczyzn.

Poza tym wielu winnych napadu na posterunek dobrowolnie zgłosiło się na policję. Oddawano też nieliczną ową broń i gorliwie (nawet w błotach osękami) pomagano jej szukać.

Taka jest oto historia jednej godziny nocy z 3 na 4 sierpnia, kiedy to księżyc – według relacji posterunkowego Knorowskiego, rannego w tym napadzie w lewą piętę i w prawe udo – co i raz był za chmurami.

Jest takie małe państwo w Europie, na wschód od Polski, w którym gorliwa policja bezustannie wykrywa i unicestwia „zamachy" stanu. Nie wiem, w czyim to leży interesie.

Ale wiem z pewnością, że istotnie dobro państwa polskiego nie leży w wyolbrzymianiu karygodnych wybryków ciemnego chłopa białoruskiego do wielkości irredenty, która może oderwać połać ojczyzny i przekazać ją obcemu państwu.

Tak pojęta racja stanu wydaje mi się źle pojęta. Taki objaw patriotyzmu – nieowocny.

– Czyn był wielki i kara musi być wielka – woła pan prokurator, żądając dziewięciu szubienic.

Mocarstwo polskie jest zbyt wielkie, aby je mógł rozbić karabin z tkwiącą w nim starą łuską. I zbyt jest silne, aby je trzeba było podpierać drewnem szubienic!

Ja smatru, czto dalsze budiet

Świadkowie w tym procesie to policja mundurowa, policja śledcza i konfidenci, współoskarżeni i – świadkowie odwodowi.

Przyznam się, że interesuje mnie specjalnie pewien rodzaj świadków, bez których podobne temu procesy nie mogą się odbywać.

Więc też nic dziwnego, że słucham z ciekawością i uważnie starszego posterunkowego służby śledczej, Władysława Mazurkiewicza, mężczyzny dobrze zbudowanego, o dobrodusznie ukrytych oczach, oficera rezerwy, ze wstążeczką Krzyża Walecznych w klapie szarego garnituru.

Świadek Mazurkiewicz zeznaje:

– ...od roku 1928 notowany był w komendzie powiatowej policji państwowej w Kobryniu Leon Bogdanowicz jako aktywny działacz KPZB, lecz nigdy nie zebrałem przeciw niemu dostatecznych dowodów do oskarżenia go z artykułu dziewięćdziesiątego siódmego, paragraf pierwszy kodeksu karnego. Jako radny gminny potrafił zawsze zacierać ślady przestępstw, nigdy nie można było zebrać przeciw niemu konkretnych dowodów winy... W toku dalszych obserwacji ustalone zostało za pośrednictwem konfidentów, że Leon Bogdanowicz zajmuje poważniejsze stanowisko w kompartii... Prowadząc dochodzenie w sprawie napadu na posterunek w Nowosiółkach, dowiedziałem się od jednego z konfidentów, że napad ten dokonany był z rozkazu Leona Bogdanowicza... Wiadomości powyższe zostały potwierdzone przez przesłuchanie podejrzanych, biorących udział w napadzie na posterunek w Nowosiółkach...

Obszerne, płynne zeznanie starszego posterunkowego służby śledczej przerywane jest przez oskarżonego Bogdanowicza uwagą...

I oświadczeniem Kapłanówny, iż to on, a nie policjant mundurowy, wyprowadzał ją od sędziego śledczego z powrotem na posterunek, co zresztą na konfrontacji potwierdza starosta, który to widział.

Starszy posterunkowy policji śledczej w obu wypadkach wzrusza ramionami.

Dla mnie, laika nieobytego z sądem, ciekawy także jest, wezwany przez prokuratora mimo sprzeciwu obrony, świadek oskarżenia Ewa Minkusowa, młoda kobieta, sześciokrotnie karana za kradzież, obecnie aresztowana, do niedawna przebywająca w tej samej celi co uwięziona Regina Kapłan.

Twarz drobna, świeża i okrągła. Cera śniadawa z ciepłymi rumieńcami. Oczy piwne, nieco skośne, niespokojne. W źrenicach lekka skaza histerii.

Ubrana w ciasno związaną białą chusteczkę, w szary gruby kaftan, w jedwabne czarne pończochy ze strzałkami i w lakierki na bardzo zgrabnych nogach.

Towarzyszy jej policjant, który ją dostawił z więzienia do sądu.

Minkusowa zeznaje równie płynnie jak świadkowie ze służby wywiadowczej, ale nie tak monotonnie. Czuć, że to nie wyuczona lekcja, ale natchniona improwizacja. Zeznaje, jakby opowiadała bajkę dzieciom, bajkę odrobinę straszną, ale ciekawą bardzo i dobrze się kończącą.

– ...Powiada mnie pani oddziałowa: „Minkusowa, ty na tę Żydówkę bacz i jak co, to mnie skazy".

...Ja leżałam bolna. Ona, ta Żydówka, mówi: „Niczego, dziewczonka, prędko nam *wsiem łudsze budiet*[7]".

[7] *Wsiem łudsze budiet* (ros.) – wszystkim będzie lepiej.

...I mówiła ona do mnie: „Z małych lat ja pracowała w komunizmie. Ja była organizatorka. Ja rabotała w partii".

Tu Minkusowa zatrzymuje się, opiera policzek na dłoni i ze ściągniętymi uważnie brwiami, w przewodniczącego sądu wpatrzona, namyśla się głośno:

– *Potom czto jeszcze ona nie goworiła?*[8]

I za chwilę opowiada już szybko dalej, pokazując zręcznymi żywymi ruchami, jak to Regina Kapłan zalepiła gryps w kulkę z chleba.

– *...a ja smatru, czto dalsze budiet?*[9]

A „dalsze" było, jak się okazuje, to, że Minkusowa gryps Kapłanówny przychwyciła, pani oddziałowej oddała.

I patrzy Ewa Minkusowa spod oka na Reginę Kapłan, ukradkiem, ciekawie. A Regina Kapłan uśmiecha się spod pieca małym skrzywieniem wąskich, zaciętych warg.

Dobry znajomy

Wieczorem na ulicy niespodziewane spotkanie: natykam się na dawnego dobrego znajomego.

Idzie za mną z tyłu, w milczeniu, krok w krok.

Od czasu do czasu przechodzi na drugą stronę ulicy... i – znów go mam po chwili za sobą. Gdzie skręcę, i on skręca. Przystaję – on przystaje także.

Wchodzę na pocztę, żądam połączenia z Warszawą, bo chcę zatelefonować do domu, do męża. Po chwili wchodzi i on.

W pustej poczekalni stanął przed ścianą i zadarłszy głowę, ogląda zapstrzone afisze jeden po drugim.

Poweselałam od razu. Odmłodniałam! Zdaje mi się, że mam znowu piętnaście lat i pod kamlotowym pensjonarskim fartuchem niosę „bibułę", a za mną, to idąc krok w krok po Namiestnikowskiej ulicy, to przechodząc na drugą jej stronę, zdąża cierpliwie cichymi krokami dobry znajomy niepodległościowej młodzieży polskiej.

Uciecha trwa krótko: to nie Lublin, to Kobryń. To nie szkolne czasy, to rok 1933.

Jest już kat czy go nie ma?

Wąskimi uliczkami, szerokim rynkiem, pod okapami domostw, na gankach, w sieniach, za przymkniętymi drzwiami, za przysłoniętymi oknami przemyka się, pełznie, skacze, roi się – plotka. I mnoży się, i rośnie, i – urasta do bijących się w piersi zapewnień, do zachłystujących się, gorączkowych twierdzeń:

[8] *Potom czto jeszcze ona nie goworiła?* (ros.) – Czego ona jeszcze potem nie mówiła?

[9] *...a ja smatru, czto dalsze budiet?* (ros.) – a ja patrzę, co będzie dalej.

...ktoś widział „na własne oczy", jak jechał przez miasto samochód wojewody i skierował się w stronę sądu.

...ktoś wie „na pewno", że Kostek-Biernacki był w sądzie.

...ktoś „słyszał": przywieźli Brauna już dziś w nocy.

...ktoś jest „dokładnie poinformowany", że Braun jest i tylko czeka na wyrok.

Z ulicy w ulicę, ode drzwi do drzwi, z ust do ust przeskakuje pytanie-plotka:

– Jest kat? Może go nie ma?

Dziewięć głów w puli

U nas, w Lubelskiem, podczas silnego wiatru mawia się: „Musi się ktoś obwiesił, kiej tak dmie".

Od dwu dni wiatr tutaj, w Kobryniu, miażdży po prostu okna, dmąc, wyjąc i ciskając się srogo na każdym skrzyżowaniu ulic.

Na wniosek obrony przyjechał z Druskiennik od łóżka ciężko chorego syna biegły adwokat Ehrlich[10]. Wyjaśni sądowi historię zmiany w programie Polskiej Partii Komunistycznej. Przecież od tych słów... „będąc członkami KPZB, w celu oderwania północno-wschodnich województw i przyłączenia do Rosji Sowieckiej utworzyli zbrojny oddział...", tkwiących czarno na białym w akcie oskarżenia, zależy prawie wszystko.

Nastrój na sali ciężki.

Padają daty zjazdów, paragrafy.

Zaczyna się wyraźnie gra o grubą stawkę.

O tym nie tylko się wie: to się już czuje.

Oskarżeni chłopi już nie oglądają się bezmyślnie za każdym stuknięciem drzwi na sali. Z nieporadną uwagą, z pilnym trudem słuchają w ciągu dwu dni skomplikowanych, doktrynerskich wywodów czterech wyszkolonych w tej materii ekspertów, o zawikłanych subtelnościach programu i taktyki KPZB, o subtelnościach, które na zawsze pozostaną dla nich tajemnicze, niedostępne i niezrozumiałe.

Na bladych, nabrzmiałych twarzach tych ośmiu ludzi coraz częściej pojawiają się prędkie, gwałtowne drgnienia zwierzęcego strachu. Jedyny, zda się, zrozumiały dla nich jeszcze punkt na tej sali wirującej w piekących, załzawionych oczach to czarne postacie obrońców.

Ci obcy, nieznajomi, z dalekiego, z obcego świata przybyli ludzie w tej chwili są im najbliżsi. Bliżsi od czegokolwiek innego: oni to pewność, że się jeszcze żyje, i – nadzieja, że się żyć będzie. Mówi obrońca:

[10] Henryk Ehrlich (1882–1942) – adwokat, członek żydowskiej partii socjalistycznej Bund i egzekutywy II Międzynarodówki.

– Jeśli w tym, co ci ludzie tu zeznali o stosowanym do nich przymusie, jest choć setna, choć tysiączna część prawdy, wysoki sąd w sumieniu swoim nie może przejść nad tym do porządku dziennego.

Mówi oskarżyciel publiczny:

– Mamy dość innych dowodów winy.

I mówi oskarżyciel publiczny:

– Trudno uwierzyć, że ten chłop, który żyje na naszym terenie, korzysta z naszej kultury, że ten chłop tak się odwdzięcza państwu.

I woła oskarżyciel publiczny donośnym, każącym głosem:

– Zarzucam im wszystkim, że usiłowali oderwać część ziemi od Rzeczypospolitej i przyłączyć do obcego państwa. Okoliczności łagodzących nie widzę! Oni dla społeczeństwa są już niepotrzebni, niech zostaną wykreśleni z liczby obywateli polskich!

...Od chwili już zamieszkało między nami słowo dotąd w twarz oskarżonym jeszcze niewymówione, dotąd jeszcze niemogące przejść przez gardło sprawiedliwości...

– Wyraźnie! Wyraźnie! – zrywa się ku oskarżycielowi zduszony głos z ław obrończych.

I oskarżyciel publiczny mówi wyraźnie:

– Żądam dla oskarżonych kary śmierci – i głębiej odetchnąwszy – przez powieszenie.

Widzę: oskarżony Bogdanowicz chwyta się oburącz za gardło!

Na chwilę, na jeden skurcz serca świat zapadł się... i – znowu czuję podłogę pod nogami.

Jest na sali wszystko tak, jak było – i nic nie jest tak samo. Wiem to, czuję to. Ale świadomie zdaję sobie sprawę tylko z jednego:

ciało na twarzach ośmiu mężczyzn w moich oczach zapadło się tak, że wyraźnie sterczą im pod skórą kości policzkowe, a pod wytrzeszczonymi, zbielałymi oczami legły głębokie doły. Tylko kobieta Regina Kapłan ma twarz spokojną jak zwykle. Może odrobinę jest bledsza. Tak, bledsza. I – ależ tak, wyładniała.

Za oknem zachodzi czerwono słońce. Czerwony poblask wypełnia salę sądu.

Na czerwonej drodze, w którą szli ci ludzie, stanęła Sprawiedliwość w amarantowym płaszczu, ze złotym szerokim łańcuchem, kołyszącym się na piersi. I odchylił się płaszcz – srebrny orzeł u złotego łańcucha zalśnił na nagich żebrach pustej klatki piersiowej w miejscu, gdzie u żywego człowieka bije serce.

Jeden po drugim wstają obrońcy. A w miarę, jak mówią, szkielet Sprawiedliwości wypełnia się ciałem: pod złotym, sędziowskim łańcuchem, pod literami RP, cyfrą Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – zaczyna uderzać żywe ludzkie serce.

Wyrok, który zapadł 8 września o godzinie dwunastej minut dwadzieścia, brzmiał:

– W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej sąd doraźny po rozpatrzeniu sprawy Kapłanówny i innych na zasadzie artykułu dziewięćdziesiątego trzeciego, paragraf pierwszy kodeksu karnego postanawia: uznając Liśkiewicza, Kitla, Tymoszczuka, Maciuka, Kozłowicza, Guziuka i Nikończuka winnymi popełnionego przestępstwa z dziewięćdziesiątego trzeciego, paragraf pierwszy, Bogdanowicza – winnym przestępstwa z artykułu dwudziestego szóstego i dziewięćdziesiątego trzeciego, paragraf pierwszy kodeksu karnego, skazać ich na dożywotnie więzienie, sprawę Kapłanówny przekazać do postępowania zwykłego.

Wracam do domu

Jestem znowu na dworcu w Kobryniu. „Cukier krzepi" – wołają ze ścian poczekalni afisze. Nadchodzi pociąg idący do Warszawy.

Wracam do domu.

Refleksje.

Więc jednak nie przekazano sprawy na drogę postępowania zwykłego... Prawda, sprawę Kapłanówny przekazano... Dożywotnie więzienie, zasądzone w trybie doraźnym... Więc na śmierć? Jednak... Dożywotnie więzienie: Aleksy Guziuk ma lat dwadzieścia jeden. Jan Kitel – dwadzieścia trzy, Bazyli Nikończuk – dwadzieścia cztery...

No tak, ale mogą mieć nadzieję.

Przez tych kilka dni procesu nie czytałam porządnie gazet. Oto numer „Gazety Polskiej" z 7 września: „Charakterystycznym przykładem nastrojów, jakie panują we wsiach, które były terenem zajść, jest fakt, jaki miał miejsce w dn. 27 sierpnia rb. w Dorogiewieżach. W dniu tym na nabożeństwo do miejscowej cerkwi przybyły tłumy mieszkańców Pawłopola i Dorogiewicz, które chciały zamanifestować swój wrogi stosunek do akcji wywrotowej, zakończonej tragicznymi zajściami w Nowosiółkach. Przybyła ludność złożyła w cerkwi przysięgę, że od tej chwili mieszkańcy gminy Nowosiółki będą wiernymi obywatelami państwa polskiego i dzieci swe będą wychowywali na dobrych synów Polski, posłusznych rządowi polskiemu. Po złożeniu tej przysięgi zgromadzone rzesze ludności zaniosły gorące modły za pomyślność Rzeczypospolitej i Marszałka Piłsudskiego".

Jesteśmy jako dzieci. Usypiamy siebie samych. Tak, po prostu albo nieco skomplikowanie. Oto numer „Robotnika" z 3 września. Apel literatów: „Domagamy się skierowania sprawy na drogę postępowania zwykłego. Bo tylko droga spokojnego, beznamiętnego rozważenia wszelkich okoliczności sprawy, bez pośpiechu i gwałtu – daje gwarancję należytego wykrycia przebiegu wypadków tak, jak się miały rzeczywiście, a nie, jak się układają w wyobraźni ludzi przerażonych albo oskarżających.

Zwracamy się do tych, w których leży moc decyzji.

Apelujemy do ich sumień, do ich uczucia ludzkiego, do ich dobrych instynktów".

Obowiązek został spełniony. Intelektualiści nie mogą w takich razach nie protestować!

Protestujemy – i mamy słuszność. Protestujemy – i siłą rzeczy poprzestajemy na ogłoszonym w druku proteście.

W sumieniu swoim jesteśmy spokojni. Wracamy do swoich intelektualnych spraw.

Budujemy kulturę.

Kulturę, która rozchodzi się dziesiątkami pięknych winogronowych plakatów:

„Myjcie owoce!".

Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór J. Dąbrowski, wstęp Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1962, s. 404–422

1933

Wanda Wasilewska (1905–1964)

Talent walczy

Mówiono o niej z jadem: „była Polka". A ponieważ w powszechnej opinii stała się rzeczniczką utworzenia z Polski siedemnastej republiki radzieckiej, opowiadała się za wcieleniem Lwowa do Związku Radzieckiego, zrzekła się polskiego obywatelstwa, została komisarzem politycznym Armii Czerwonej w stopniu pułkownika i weszła do Rady Najwyższej ZSRR, często mówiono po rosyjsku: „*bywszaja Polka*". Nie uważała się za emigrantkę ani uciekinierkę, tylko za kogoś, kto „przybył do ojczyzny proletariatu". Dla wielu Polaków Wanda Wasilewska stała się symbolem zdrady narodowej.

Wiosną 1943 roku na polecenie Stalina założyła w ZSRR Związek Patriotów Polskich, który miał przygotować mu warunki do przejęcia władzy w Polsce. W lipcu 1944 roku została wiceprzewodniczącą PKWN-u, marionetkowego rządu z sowieckiego nadania, który w oficjalnej propagandzie był pierwszym polskim rządem ludowym. Jednak już jesienią Wasilewska przestała uczestniczyć w życiu politycznym Polski i – jak pisze w swoich wspomnieniach – „chciała pracować w skali Związku Radzieckiego". Mimo że NKWD we Lwowie na progu ich domu zabiło jej drugiego męża, członka PPS-u Mariana Bogatka.

Istnieje teoria, że Wanda Wasilewska nie zdecydowała się wrócić w 1945 roku do Polski z obawy przed negatywną reakcją społeczeństwa i ewentualnym zamachem na swoje życie, którego mogłoby dokonać akowskie podziemie, żeby ukarać zdrajczynię. Kiedy po wojnie chciała odwiedzić Witowo koło Zakopanego, dokąd jeździła jako dziecko, mogła wybrać się tam tylko w asyście żołnierzy Wojska Polskiego jako ochroniarzy.

Dziś ma też swoich obrońców, którzy to, co napisałem wyżej, uznają za „prymitywnie upraszczający wizerunek Wasilewskiej". Bo przecież słowami „Jak wam nie wstyd?" skarciła w Teatrze Polskim żołnierza, który wstał, kiedy recytowano *Kantatę o Stalinie*. Bo przecież to Janina Broniewska wznosiła toast szampanem za to, żeby Polska była siedemnastą republiką, na co Wasilewska powiedziała ze smutkiem: „Czy wiesz, za co pijesz?". Bo przecież wyrwała z łagrów NKWD wielu Polaków (obrońcy zapominają, że nie kwestionowała słuszności istnienia łagrów). Bo przecież cały swój majątek zapisała w testamencie polskiemu Kościołowi w Kijowie itp.

O wiele bardziej jednoznaczna jest jako reporterka.

W 1927 roku skończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, pisała bajki i książki dla dzieci. Do zajmowania się reportażem nakłonił ją przed wojną mąż, który – jak napisała w hagiografii Wasilewskiej Eleonora Syzdek – „uznawszy talent literacki żony, uważał, że powinna go wykorzystać w prowadzonej przez klasę robotniczą walce".

I rzeczywiście w II Rzeczpospolitej używała reportażu jako środka do pokazywania sytuacji robotników i najbiedniejszych grup społecznych. Najpierw w krakowskim piśmie „Naprzód" (początkowo tygodnik, a potem pierwszy na ziemiach polskich socjalistyczny dziennik), następnie w „Robotniku". Debiutancki reportaż Wasilewskiej *Pod więzienną bramą* (1932) opowiadał o robotnikach odsiadujących kary za udział w strajkach i manifestacjach:

> Taki świat. Tak. Taki świat, który zna jedno lekarstwo na to, żeby ludzie nie mordowali z głodu – więzienie, który na nędzę dziecka i rozpacz kobiety ma jedną odpowiedź – więzienie.

Drugi reportaż, *W sieci* (1933), opowiadał o warunkach, w jakich pracują włókniarki:

> Poruszają się jak automaty – zabito w nich uczucia, został tylko lęk, żeby nie stracić pracy, żeby móc biegać tu na popuchniętych, obolałych stopach, wiązać, wiązać zerwane nici. Zabito w nich myśl – prędzej, prędzej, bo my przecież na akord.

Chyba nie przypuszczała, że gdy zatryumfuje już w Polsce socjalizm, warunki pracy włókniarek niewiele zmienią się na lepsze.

Jeden z reportaży Wasilewskiej, *Hotel „Pod wszą"*, był ostrą krytyką sytuacji w domu noclegowym dla bezrobotnych i bezdomnych w Krakowie, którzy „cuchną nędzą, brudem, łażą po nich żarłoczne wszy", „spluwają na podłogę zabarwioną krwawą śliną gruźlicy" – i miał swój pozytywny skutek. Mieszkańcy przytułku otrzymali inny, lepszy lokal.

W 1933 roku napisała powieść o klasie robotniczej Krakowa – *Oblicze dnia*.

> Jest to coś w rodzaju reportażu – tylko to, co widziałam, słyszałam, sama przeżyłam [...]. Sens ogólny – świat jako ciemność, proletariat jako budowniczy nowego dnia. Dlatego głównym bohaterem jest murarz, zresztą bezwstydnie wzorowany na Marianie. Koniecznie chciał, żebym chociaż fach zmieniła, ale to by mi zepsuło cały symbol.

Krytyka lewicowa uznała *Oblicze dnia* za dalszy ciąg *Przedwiośnia* – Żeromski zamykał jeden etap literatury pytaniem o dalsze losy narodu, a Wasilewska

otwierała nowy, wskazując, że lekarstwem na zwyrodnienia imperializmu jest rewolucja.

Swoje relacje ze świata, który wymaga naprawy, Wanda Wasilewska pisała emocjami.

Jeden dzień w poradni jest reportażem z Poradni Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa przy ulicy Leszno w Warszawie, gdzie uświadamiano kobiety w kwestiach zapobiegania ciąży i planowania rodziny. Pierwszym kierownikiem poradni był doktor Herman Rubinraut, znany lekarz, współtwórca wspomnianego już dodatku do „Wiadomości Literackich" – „Życie Świadome", autor broszury *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*, której około stu tysięcy egzemplarzy rozdano w poradni bezpłatnie. Towarzystwo powstało z inicjatywy Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Jeden dzień w poradni

– Ile macie izb?

– Jedną.

Doprawdy, mogłoby się zdawać, że znikły z powierzchni ziemi dwu- i trzypokojowe mieszkania. W każdym razie nie mieszkają w nich nasze klientki. Izba z kuchnią to już jest dużo. W suterenie, na poddaszu, z rzadka luksus trzeciego piętra lub parteru.

– Ile dzieci?

– Pięcioro.

A poza tym pięć poronień u pokątnej akuszerki, cztery naturalne, gdy się zanadto zdźwigała, „bo to ja mam obsługi, to nieraz ciężko", mówi spokojnie, poprawiając wymykające się spod chustki siwe kosmyki włosów.

Oczywiście czwarty miesiąc ciąży. Czternasta osoba do tych trzynastu, które zamieszkują norę w suterenie.

– Cóż my wam możemy poradzić? – długo i cierpliwie dyżurna tłumaczy.

Kobiecina kiwa obojętnie głową. Co ją mogą obchodzić niezrozumiałe, niepojęte przepisy prawa, jakieś paragrafy i formułki. Ona wie jedno – że jej przybędą jeszcze jedne głodne usta do wyżywienia, jeszcze jeden kłopotliwy lokator w zatłoczonej izbie, jeszcze jeden ciężar spadnie na wycieńczone barki. Wychodzi bez słowa.

Młoda kobiecina. Dzieci? Było dziewięcioro, żyje troje. A teraz znów ma być.

Twarz jej nabiega rumieńcem ceglasto lśniącym na pergaminowej skórze policzków.

– No to co ja mam zrobić, moja pani, co? Jeszcze i to ma zdechnąć z głodu, jak tamte dwa najmniejsze zdechli? Mój już osiem miesięcy nie robi.

Zachrypnięty głos przechodzi w krzyk. Trzęsie przed dyżurną palcami chudymi jak szpony. Wychodzi, trzaskając drzwiami, jeszcze na schodach słychać, jak mruczy coś do siebie, przeklinając świat, życie i tę poradnię, która jej nie może nic pomóc.

– Czy jest w domu kto chory?

– Chory? A tak. Mąż ma płuca słabe, a moja starsza, już jej idzie na trzynasty rok, to ma kość w nodze popsutą. Taka się jej śmierdząca woda cięgiem leje.

– Ile macie izb?

– A ileż by, jedną, taką kuchenkę mamy. Ile osób? Zaraz – nas dwoje, dzieci czworo, lokatorów dwóch – osiem ludzi, proszę pani.

– Lokatorów trzymacie?

– A chciał się człowiek jakoś wspomóc, jakże, tyle gąb, ale teraz oba nie robią, takie to i wspomożenie. – Z rezygnacją macha ręką. Jej drobną zniszczoną twarz ryją głębokie zmarszczki. Płowe rzadkie włosy ściśnięte mocno w mikroskopijny węzełek na wierzchu głowy.

Okrągła chłopska twarz. Patrzy na dyżurną z wyraźnym niedowierzaniem.

– Jakże to? Przecie pisało „poradnia"? Ja na służbie jestem, jak się dowiedzą, nie będą mię trzymać, gdzież ja pójdę? A to już przecie późno, ino, a będzie znać.

Starsza, wynędzniała kobieta płacze, splatając bezradnie ręce na wydętym brzuchu.

– Na miłość boską, kobieto, to przecie dziewiąty miesiąc, lada dzień dziecko się urodzi, a wy tu przychodzicie.

– Paniusiu, jak mój robił, to my se powiedzieli: „A niech ta będzie", chociem ja i nie taka młoda, a jeszcze bez to, że nam tamte pomarły – ale teraz? Nijakiego wyjścia nie ma. Mój nie robi i jeszcze się go choroba chwyciła, cosik mu w nogi wlazło, chodzić nie da, z mieszkania wynosić się kazali, już na drugi tydzień trza się zabierać, a teraz jeszcze dziecko – paniusiu kochana, ja już ni mogę, ni mogę...

Powstrzymywany płacz zrywa teraz wszelkie tamy. Wybucha głośnym zawodzeniem. Kobieta jak nieprzytomna kołysze się na krześle, powtarzając w kółko dyżurnej, sobie samej, całemu wrogiemu światu: „Ja już ni mogę, ni mogę...".

Są starsze i młodziutkie, obdarte i ubrane z widoczną starannością. W chustkach na głowach i w skromnych kapelusikach. Ładne i brzydkie.

A jednak wszystkie są do siebie podobne. Ten sam lęk we wszystkich oczach, to samo bolesne skrzywienie ust.

Są zresztą i inne. Wysoka młoda dziewczyna wchodzi nieśmiało. Kiedy zbliża się do stolika, jej delikatną twarz oblewa jaskrawy rumieniec. Tak. Robotnica. Jedenaście osób w jednej izbie. Bez pracy.

– Mam chłopca, z którym chcę żyć – mówi z prześlicznym uśmiechem i znów jej jasną twarz przebiega czerwona łuna. – Przyszłam, żeby mi panie poradziły.

A jakże. „Panie" radzą. Radzą, szczęśliwe, że tym razem istotnie mogą pomóc tej dziewczynie, która tu przyszła z całym zaufaniem, tak prosto, bez fałszywego wstydu i obłudy, mówiąc o swoim „chłopcu".

– Mam już dwoje, i tak ciężko – zwierza się mizerna krawcowa. – Już na więcej nie możemy sobie pozwolić. To, co jest, ledwo starczy, przyszłoby trzecie, toby wszystkie głodne chodziły.

– Dziecko teraz to luksus, dla bogaczy, nie nam, biednym ludziom. Ja bym chciała strasznie, proszę pani, lubię dzieci. Ale jak? Mąż bez pracy, ja pranie do domu biorę, jakże to dziecko w tej parze, w tym zaduchu? Musimy poczekać, może się jako odmieni.

– Mąż pije, ostatni grosz na wódkę idzie, poduszki mi z domu powynosił, kapy, co miałam, a pije. Nijakiej rady na to nie ma. Dzieci? Dwoje mamy, pożal się Boże, takie to i dzieci. Starszemu piąty rok idzie, jeszcze nie mówi, pod siebie, z przeproszeniem, robi, wrzody mu się na głowie otwierają. Mniejszy to samo. Takem sobie zaprzysięgła, proszę pani, już co dziecka, to nigdy. Na co? Na poniewierkę, na utrapienie takich matołków rodzić? Jeszcze póki ja żyję, to ta o to dbam, przecie dzieci, ale jak mnie nie będzie, strach pomyśleć. I akuratniem się dowiedziała: poradnia. Tak sobie myślę, trza iść, niechże mi jako poradzą.

Idą jedna za drugą. Korowód ludzkiej nędzy, bezradnej kobiecej niedoli. Otwierają się przed nami niskie drzwi suteren, zatęchłe, wilgotne nory. Patrzy z nich zmora chorób, krzywd i nędzy. Serce jest ciężkie od łez, uszy pełne skarg. Zresztą nie potrzeba nawet skarg, wystarczy popatrzyć.

A naprzeciw tego znękanego tłumu stoi bezlitosny mur zbudowany z przepisów, paragrafów, drobnomieszczańskiej opinii i konkurencji zawodowej.

Nieśmiałe pukanie. Czarujące stworzenie, promieniejące niezwykłą urodą, staje w świetle lampy. Jaskrawoszafirowe ogromne oczy w cieniu czarnych rzęs. Złocista cera, nadąsane czerwone usteczka. Księżniczka z bajki, siedemnastoletnia córka bezrobotnego palacza.

– Przecież ojciec mnie zabije, a ten chłopak do niczego się nie poczuwa i zresztą też bezrobotny.

Jakże wytłumaczyć tej drżącej z lęku uroczej dziewczynce, że jesteśmy bezradne, że nie możemy jej pomóc?

– Przecież to dopiero czwarty tydzień – czerwone usteczka wyginają się w dziecinną podkówkę. Jest cała jak delikatny, mieniący się barwami kwiat. Jak zjawisko z innego świata nad smutną ziemią. Chciałoby się jej dziękować, że jest tak piękna.

– Więc nic się nie da zrobić?

Nic, czarująca dziewczynko. Mamy mocno spętane ręce. Musimy cię odesłać stąd bez żadnej pomocy. W imię nieurodzonego dziecka spychamy cię w dół, bez żadnej pomocy. W imię niewiadomego życia skazujemy na zagładę

twoich siedemnaście lat, twoją niezwykłą urodę egzotycznego motyla. A wiemy przecież dobrze, dokąd prowadzi droga, którą teraz pójdziesz. Jesteś zbyt ładna, żeby Wisła czy esencja octowa stały się jedynym wyjściem. Znajdą się opiekunowie, którzy ci dopomogą. A kiedy w wicher i deszcze stać będziesz na rogu ulicy, kiedy twoje oczy stracą szafirowy blask, a czerwień ust sztukować będzie tania pomadka, kiedy już zwiedzisz wszystkie szpitale i komisariaty policji obyczajowej, zrozumiesz może to, czego ci nie mogła wytłumaczyć dyżurna w poradni, że przeciwko tobie, siedemnastoletniej córce bezrobotnego palacza, sprzymierzyły się wszystkie potęgi: przepisy, paragrafy, konkurencja zawodowa i opinia sytych mieszczuchów.

Niepiękne dzielnice. Reportaże o międzywojennej Warszawie, wybór i oprac. J. Dąbrowski, J. Koskowski, Warszawa: PIW, 1964, s. 316–321

1934

Zbigniew Uniłowski (1909–1937)

Szczegół doprowadzony do manii

Zmarł w wieku lat dwudziestu ośmiu, ale zgodnie z podziałem ludzkości poczynionym przez Hannę Krall – że jedni żyją, a drudzy opisują – zdążył pożyć zarówno życiem tego, który żyje, jak i tego, który opisuje.

We wszystkich notkach biograficznych podaje się, że pochodził z rodziny drobnomieszczańskiej z warszawskiego Powiśla, ale nie znalazłem informacji, czym dokładnie zajmowali się jego rodzice. Wiadomo, że matka umarła na gruźlicę, a ojciec popełnił samobójstwo. Uniłowski skończył tylko dwie klasy gimnazjum. Chorował na gruźlicę. Pracował jako pomocnik murarski, roznosiciel paczek u krawca, sprzedawca świętych obrazków na jarmarkach i pikolak w warszawskiej restauracji Astoria.

Brał sok z życia – jak określał takich ludzi Wańkowicz.

Właśnie w Astorii spotkał go Karol Szymanowski, który zajął się jego leczeniem i wprowadził w świat literacki. Kompozytor dał mu do dyspozycji swoją willę w Zakopanem i tam Uniłowski napisał swoje pierwsze nowele. W Warszawie przygarnął go potem Stanisław Ryszard Dobrowolski. Uniłowski zamieszkał z nim i z jego matką. We wspólnym mieszkaniu narodziła się jego pierwsza głośna powieść *Wspólny pokój* (1932), o której Iwaszkiewicz napisał, że jest zapisem walki z koszmarem, jakim jest ubóstwo. Materialne i duchowe. Jego realistyczne podejście do materiału literackiego zaczęto nawet nazywać „uniłowszczyzną".

Dzień rekruta, który ukazał się na tytułowej stronie „Wiadomości Literackich" w Dniu Niepodległości – 11 listopada 1934 roku – wywołał skandal. Spowodował odwołanie Uniłowskiego ze stypendium literackiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które otrzymał na dłuższy pobyt w Brazylii. W imieniu państwa polskiego uznano, że zdemaskowanie ukrytego oblicza polskiej armii dyskwalifikuje młodego autora jako przedstawiciela tego państwa na innym kontynencie.

Reportaż wywołał lawinę potępienia. Rozwiewał bowiem typową dla polskiej literatury legendę munduru. W ocenie tego „obrazka", jak nazwał tekst Tadeusz Dołęga-Mostowicz, należy jednak uwzględnić rozbieżność dwóch podejść – pokolenia Dołęgi-Mostowicza, które marzyło o tym, by służyć wreszcie w polskim wojsku, i pokolenia Uniłowskiego, który „z racji swojego wieku poznał to wojsko już wtedy, gdy z natury rzeczy stało się ono zjawiskiem

normalnym, codziennym, a przez to oczywiście mniej romantycznym, bardziej nasyconym szarzyzną pracy powszedniej. A Uniłowski jako rekrut zetknął się z wojskiem właśnie od tej strony, od strony nie bohaterskiej, lecz szarej i ludzkiej. Artysta zawsze szuka właściwości ludzkich. [...] Artysta nie jest kronikarzem, któremu płaci się za upiększanie prawdy, nie jest narożnym pacykarzem od malowania karmelkowych portretów, nie jest zawodowcem od reklamy i propagandy. Jeżeli spada do tej roli, przestaje być artystą, jak to się dzieje dziś w Sowietach, gdzie pisarze zamienili się w stado skamlących chwalców wszystkich urządzeń państwowych, aż do asenizacji włącznie".

Dzień rekruta znalazł się w najbardziej znanej antologii międzywojennego reportażu polskiego z 1962 roku *Polskie drogi*. Redaktorzy Jan Dąbrowski i Zbigniew Mitzner nie mieli wątpliwości, że jest to reportaż. Inaczej uważa Bolesław Faron w *Prozaikach dwudziestolecia*:

> Nie mieści się w poetyce reportażu *Dzień rekruta*, gdyż z materiału rzeczywistości realnej stworzył Uniłowski autonomiczny obraz literacki, nie zaś wyłącznie sprawozdanie z życia koszarowego. Autor wcale nie manifestuje dokumentarnego charakteru utworu, rezygnuje z określenia miejsca akcji, nazwy jednostki wojskowej, z prawdziwych nazwisk oficerów i podoficerów czy innych sygnałów, które by stwarzały przynajmniej pozory możliwości weryfikacji komunikowanych faktów.

Podręczny słownik pisarzy polskich z 2006 roku nazywa ten tekst „naturalistycznym reportażem z życia armii". Moim zdaniem *Dzień rekruta* mieści się w poetyce reportażu literackiego, tak jak go dzisiaj rozumiemy. Uniłowski udowadnia, że reportaż nie musi być – choć może – sprawozdaniem. A rezygnacja ze szczegółów, które identyfikowałyby bohaterów i miejsce zdarzeń, była w tym przypadku niezbędna, jeśli wziąć pod uwagę falę histerii, która przeszła przez prasę po opublikowaniu tekstu. Uniłowski służył w jednostce stacjonującej we Włodawie, tam najprawdopodobniej, w koszarach artylerii, miały miejsce opisane wydarzenia. Ponoć z wojska został szybko wyreklamowany przez wpływowych znajomych. Kto chce, może nazwać *Dzień rekruta* prozą realistyczną (jak wiele tekstów w tym zbiorze), ale oznacza to tylko, że reportaż ma różne oblicza. Jak pisał Kazimierz Koźniewski, który poświęcił temu gatunkowi kilka studiów, reportaż literacki to „młodszy brat reportażu, ale dorodniejszy", dopuszczający „użycie wszelkich środków artystycznych z wyjątkiem fikcji".

Zbigniew Uniłowski zmarł na zapalenie opon mózgowych. Dwa tygodnie po jego śmierci „Wiadomości Literackie" poświęciły młodemu pisarzowi, który skończył dwie klasy gimnazjum, cały numer (50/1937). Pisali o nim najbardziej

znani tamtej epoki: Breza, Broniewski, Gombrowicz, Iwaszkiewicz, Krzywicka, Miłosz, Nowaczyński, Parandowski.

Czesław Miłosz tak opisuje metodę literacką i reporterską Zbigniewa Uniłowskiego:

> Do manii niemal doprowadzona troska o przedstawienie szczegółów, o równouprawnienie najpodrzędniejszych, zdawałoby się, wrażeń, które u innych ludzi mijają przytłumione – kazała mu być okrutnym, trywialnym może, ale zawsze i wszędzie szczerym. Książka o Brazylii *Żyto w dżungli* ukazuje Brazylię podobną do pierwszego lepszego powiatu w Polsce. Nic ze wspaniałości, przepychu, egzotyzmu. Ludzie są tu tacy sami, takie same wady i śmieszności, podobna skłonność do frazesów, takie same miasteczka, wsie i drogi. Kto inny nawet gdyby się rozczarował, narzuciłby sobie przekonanie, że rozkoszuje się pięknem tak odległego kraju, stworzyłby jeszcze jedną książkę podróżniczą.

Dzień rekruta

– Ile panu... dwa, trzy?

– Dwa kawałki, jeśli pani tak łaskawa. O, dziękuję! Zbyt słodka kawa jest jak ładna, ale źle ubrana kobieta. Ja wybieram miejsce? Przesiądę się do pani, panno Ewo, na tej linii lepiej idzie karta. Co, wieje, prawda? Zamknę okno? Nie trzeba? A może jednak? Dobrze, już cicho siedzę. Kto dzieli karty? Aha, dzieli pytek. Nie, ja nie uważam trefli jako inwit na bez atu. Trefl to trefl! Proszę państwa, ja mam czternaście kart...

W pobliżu stolik, na stoliku zimne, delikatne przekąski, przeróżne kombinacyjki. Whisky, koniak, wino, syfon z wodą, ciasteczka. Powiew od okna porusza płatkami róż i loczkami panny Ewy. Od sufitu spływa matoworóżowe światło i poruszane falami dymu z papierosów snuje się między głowami grających w brydża.

– Nie, ja źle wyszłam... Bo ciągle myślę o tym porównaniu kobiety z kawą. To jest przecież bez sensu, dlatego że pan jest poetą, mamy wysłuchiwać bez protestu wszystko, co pan powie? Zła jestem...

– Ja sobie tak...

Chciałem coś odpowiedzieć, ale na gniewne usta panny Ewy wypłynęła obrzydliwa, brunatna plama, ona sama też mi się zamgliła, głowy pozostałych partnerów na jeżych łapkach pobiegły w okna, w pokoju zaczęły wirować sadze i z sadzy tych wypłynęła krostowata twarz kaprala Schramki ze skisłymi oczkami.

– No, i czego nie wstajecie? Sam nie wiem, dlaczego do was się odzywam! Macie minę, jakbyście byli w cywilu i myśleli: „Położyć się czy też wypić jeszcze jednego?". Nie słyszeliście pobudki? Powiem do dowództwa, to wam kupią trąbkę aku... akuzu... te... Wstawajcie, do jasnej cholery, co się tak na mnie gównianie gapicie?

Zorientowałem się, że mam wilgotne i zimne nogi, że od spodu kłuje mnie słoma, a z wierzchu drapie koc, że w ustach mam niesmak i szum w głowie, że mi jest w głowę i ręce lodowato, a pod kocem letnio, że wokół zgrzytają podkute buty i słychać gwar, a oddalający się tyłek kaprala Schramki oznacza koszary, a nie żadną grę w karty z panną Ewą. Jestem trzeci dzień w pułku, w nocy mam jakieś wygodne sny, a rano budzę się za późno z uczuciem, że mi ktoś nerwy powiązał w supełki. Opuszczam nogi na zimne klepisko, ubieram

się szybko, ale nieporządnie, i takiego kołtuna mam we łbie, że nie wiem, po co się ubieram. Kiedy jestem gotów, biegnę do szeregu, ale szereg jest już na dziedzińcu, a ja czuję, że jestem jeszcze bardzo nieprzyzwyczajony. Wczoraj zgubiłem pas, bardzo mi za to nawymyślano, położyłem się smutny, a tu nad ranem taki sen i przebudzenie twarzą w twarz z kapralem Schramką.

Ubieram się powoli, co mi tam, i tak za późno. Wojna, chwała Bogu, jeszcze daleko. Wszystkie łóżka, te górne i te dolne, już posłane, równo, gładko, z zakładką pośrodku. Mnóstwo łóżek, a ja zdenerwowany stoję jak w składzie trumien. Nie zdążyłem jeszcze włożyć munduru czy kurtki, na razie nie wiem, jak to się nazywa, kiedy usłyszałem za sobą stuk obcasów, to kapral Schramko stał na baczność i mówił:

– Pozwólcie, to wam potrzymam. Ja dla was jakiś czas będę taki grzeczny i uprzejmy, bo mnie interesujecie swoją straszliwą głupotą. Co, nie możecie trafić? Rękaw tu, o, tutaj. W zeszłym roku byłem sanitariuszem na izbie chorych, miało się dużo czasu. Lubiłem czytać, co wpadło pod rękę, więc też czytałem i wasze książki. Myślałem sobie: „Ten ci ma pióro jak lancet". Tak też teraz sobie myślę: „Wrócicie do cywila i skombinujecie tak wszystko, że zrobicie ze mnie dupę i skurwysyna, a z siebie inteligenta i pacyfistę, który jest ponad szarym życiem pułkowym". Na komisji nie mówiliście o maturze, bo chcieliście poznać tak, jak jest naprawdę. Czekajcie, już ja się postaram, byście jej nie stracili. Ściągnijcie pas, co, gdzie jest pas? Racja, żeście go już wczoraj nie mieli, pewnieście gdzie w sraczu zaprzepaścili. Dam wam inny, zapiszemy sobie to. Powiadam wam jeszcze raz, na ucho, że przez jakiś czas będę dla was miły i względny, ale potem się do was zabiorę jak do jakiej kurwy. Ja się znam na ludziach i mimo że nie mam wykształcenia, gadać umiem, jak słyszycie. Chodźcie po pas. Schowacie gdzieś pas i pójdziecie do koni bez pasa, słyszeliście? Chytrą macie mordeczkę. No, czekajcie! Ja was...

Mam już pas i myślę, gdzie by go tu schować. Do koni się nie spieszę. Pasy strasznie kradną. Od trzech dni nie lubię koni. Pod łóżko... będą zamiatali. Racja, trzeba jeszcze posłać łóżko. Wesłać pas w łóżko. Wyjmą i zaścielą jeszcze lepiej ode mnie. Opaszę się pod mundurem czy kurtką, czy czym. Przecież mundur to wszystko chyba, razem ze spodniami. Dobrze już, łóżko może być gorzej posłane przez te pierwsze kilka dni. Zanim pójdę do koni, wyczyszczę sobie przy studni zęby, nie myłem ich od czasu, jak tu jestem. Wyjmuję z kuferka trochę proszku w garść, biorę szczoteczkę i opuszczam opustoszały barak. Na dziedzińcu poczułem się niesamowicie, że tyle czasu siedziałem sam w baraku o tak późnej porze. Ha, wschodzi właśnie słońce. Na dziedzińcu jest pusto, powietrze suche, mroźne i wietrzne. Daleko, koło gmachu dowództwa,

biegnie drobnym kroczkiem żołnierz; ręce ma wtulone w rękawy... w rękawy – i cały jest zgarbiony i pokręcony. Omijam barak, bo w tamtej stronie, od tyłu, mieści się studnia. Idąc, rozglądam się, odczuwam nieprzyjemne sieroctwo. Stąpam po sypkim, kilkucentymetrowym pokładzie śniegu. Wiatr układa na nim grzywki. Daleko, o jaki metr od ziemi, wypłynęło okrągłe jak duża patelnia, krwiste słońce. Na niebie – sine, zaróżowione na brzeżkach kosmyczki chmur. Zastanawiam się, czy to jest piękne, czy ponure. Na kilka metrów przed sobą widzę płot czy zasiek z drutu kolczastego, a daleko już głucha pustać z badylami w śniegu. Opuszczam głowę, buciorem kreślę jakieś znaki na śniegu. Widzę jadowicie – zieloną łąkę, pasą się na niej kłębiaste konie z ogonami w supłach. Trzymam w garści wędkę albo czytam książkę, albo nic nie robię, leżę. Ktoś mi się układa w nogach. Dziewczyna, dobrze, pocałuję dziewczynę. Unoszę głowę, nie, to kapral Schramko.

– Będę na was czekał przy koniach – rzekł i pobiegł boczkiem, zasłaniając się ręką od wiatru, w stronę stajni.

Ruszam naprzód, ale zaraz oglądam się i patrzę na znaki, które porobiłem nogą. Krzyż, okrągła gęba, krzyż, dwie pałeczki i imię kobiece. Bez znaczenia. Widzę oblodzoną studnię. Ściskam proszek w garści, namyślam się, czy przyspieszyć kroku, czy nie, kiedy słyszę za sobą bardzo nieprzyjemny głos:

– Ty tam, stój.

Biegnę sobie, ale słyszę, że po raz drugi tak zawołano, tylko że z aluzją do czyjejś matki. Oglądam się i poznaję z daleka suchą postać kapitana Hulki, którego mi wczoraj pokazano jako kogoś okropnego. Przytykam palec do piersi i patrzę na kapitana. Stoi, nie wiem dlaczego podobny do kości goleniowej wbitej w ziemię, cały zalany szkarłatem słonecznym, nieruchomy i niepokojący.

– No ty, koteczku, przecież, że ty, a nie słońce. Widzicie przecież, że wokół nie ma żywej duszy. Prędko tylko, do mnie, już!

Stał z rękami do tyłu, w płaszczu z grubego, szorstkiego sukna i butach z miękką, pomarszczoną cholewą. Czapa z wielkim, okutym na brzegu daszkiem wciśnięta była na bakier, jej wytarte, poplamione sukno strzępiło się w czterech rogach, a okucie daszka było sczerniałe, pęknięte w dwóch miejscach. Właśnie kapitan zaczął mówić z jakimś smętnym uśmieszkiem, na skutek czego jego chropowata twarz pomarszczyła się w wielu miejscach jak skóra jaszczura, oczy błyszczały wesoło, a spierzchnięte rozchylone wargi ukazały zęby prześliczne, miniaturowe, jak u dzieweczki.

– Słuchajcie, widziałem was, jakżeście szli. Tak nie chodzi żołnierz, a ostatnia zdzira tak chodzi w deszczowy niefortunny wieczór. Słuchajcie, nad czymżeście tam tak rozmyślali? Na miły Bóg! Przecież to jest straszliwie

późno, przynajmniej od godziny powinniście gdzieś być, sam już nie wiem gdzie, ale nie szlajać się po podwórcu! Słuchajcie, wyglądacie dziwnie jakoś, niedołężnie! Co?

Kapitan Hulka mówił cicho i powoli, stał nieruchomo i wyglądał niesympatycznie.

– Słuchajcie! I cóż wy sobie myślicie o wojsku? Spróbujcie stanąć na baczność. Co trzymacie w rękach, pokażcie no.

– Proszę pana, ja trzymam w lewej ręce proszek, a w prawej szczoteczkę do zębów. Od kilku dni nie czyściłem sobie zębów, nie jestem do tego przyzwyczajony. Szedłem do studni z zamiarem oczyszczenia sobie zębów.

– To nie do uwierzenia. Włóczycie się na placu jak w muzeum, gapicie się na słońce i macie zamiar o tej porze higienizować się. Słuchajcie, z jakich stron wy jesteście?

– Urodziłem się i mieszkam stale w Warszawie.

– A więc mieszczuch, niedołęga i inteligent? Ta między nami różnica, że jestem z Poznania, zatem dobry żołnierz, a wy, zblazowany kongresowiak, nigdy nim nie będziecie. Wy sobie pewnie różnie o mnie myślicie, co? A wiecie wy, że ja, marnując się w tym zapowietrzonym pułku, muszę jeszcze patrzeć na takich jak wy zgnilców? Czy wiecie, że ja w czasie wojny jestem sto razy więcej wart niż teraz w tym zapadłym kącie? Myślicie, że przyjemnie mi wam to mówić? Patrzycie na mnie ze strachem? Nie wiecie, kto ja jestem, może duch nieznanego żołnierza stoi przed wami? Pomyślcie! Pobiegnę zaraz, dam nura w słońce i już nie ma mnie, znikłem. Co?

– Nie powinien pan opowiadać mi takich rzeczy, przykro słuchać.

– Wam przykro, a mnie miło. Nareszcie spotkałem kogoś, komu mogę coś takiego powiedzieć. Powtórzycie, nie uwierzą, powiedzą, że macie bzika. Tak, możecie już odejść, zameldujecie się w stajni u kaprala Sączka i powiecie, że kazałem wam zamieść tą szczoteczką od zębów stajnię. No, już was nie ma!

Odwróciłem się i począłem żwawo iść w kierunku studni. Obawiałem się obejrzeć, a nuż go nie ma. Pokręciłem korbą od pompy, nabrałem wody w usta i z poruszającymi się, wydętymi policzkami spojrzałem mimo woli w stronę kapitana Hulki. Zobaczyłem jego wąskie plecy, ręce były w kieszeniach rozpiętego płaszcza. Stał rozkraczony i pochylony, chwiał się korpusem w różne strony. Posłyszałem pewne odgłosy, po czym przyszło mi na myśl, że kapitan Hulka wymiotuje. Zaraz też włożyłem szczoteczkę z proszkiem do ust. Kapitan wyprostował się i ciągle kołysząc się na nogach, łypnął okiem w moją stronę. Wyjął z kieszeni spodni chusteczkę, przyłożył ją do warg.

Poruszał głową gwałtownie, jak gdyby nagle oślepł. W końcu wykrzyczał w moją stronę:

– Ależ tak, nie ulega wątpliwości, zalałem się, towarzyszu pancerny! Całą noc... no i co? Ha, idiota! Gdybyś ty widział Radzymin, gdybyś ty... ach, tobyś wiedział, co to jest żyć w tej parszywej ciszy... Co to jest służyć w zapomnianym prawie pułku, bez... bez szczęku oręża, bez kanonady. Precz, uciekaj, bo zakropię!

Wypłułem wodę, wsunąłem szczoteczkę za cholewę i pobiegłem do stajni. Na chwilę przywidziało mi się, że przez śnieżną pustać tuż pod słońcem biegnie w długich susach, z podciągniętą do góry sutanną, z gołą głową ksiądz z krzyżem w prawej ręce.

Zatrzymałem się między szpalerem zadów końskich. Poruszające się ogony wydawały cichy, monotonny szum. Czyszczone konie żuły obrok, słychać było nawoływania:

– Stój, pokrako!

– Kiedy, panie kapralu, brzucha nie daje czyścić!

W tej chwili ujrzał mnie pucołowaty brunet, kapral Sączek. Podbiegł do mnie, jak gdybym był spóźnioną dziewczyną, z którą sobie tutaj wyznaczył randkę.

– Gdzieżeście się podziewali, u kurwy mamy?

– Zaspałem. Już miałem nawet z tego powodu nieprzyjemność ze strony pana kaprala Schramki. Przepraszam bardzo, którego czyścić?

– Rany Jezusa! Czy wy tego nie rozumiecie! Przecież jesteście w wojsku. Pierwszy z brzega czubaryk[1] jest od was obrotniejszy. Jej, jej! Weźcie miotłę i zamiatajcie. Skoczcie do stajni obok i pożyczcie kubła na łajno. Biegiem!

– Kiedy, panie kapralu, pan kapitan Hulka kazał mi za karę zamieść stajnię szczoteczką od zębów. Mam przy sobie tę szczoteczkę.

– Za jaką karę? Biegnijcie po kubeł, mówię wam, do jasnej cholery! Wy nie wszystkie klepki macie w porządku, trzeba was posłać do doktora. Biegiem!

– Właśnie chciałem prosić o dok...

– Gonicie po kubeł, bo was tu ukatrupię, bydlaku!

Wyszedłem z ciepłego zaduchu stajni na mroźne powietrze. Byłem przygnębiony i czułem się jak zaczadziały. Stanowczo nie byłem zdrów, do życia wojskowego nie nadawałem się zupełnie, a wszystko, co robiłem, drażniło mnie swoim bezsensem. Zobaczyłem biegnącego w żwawych podskokach, w krótkim artyleryjskim kożuszku ogniomistrza Połanieckiego z czwartej baterii. Kazał mi się zatrzymać.

[1] Czubaryk – pogardliwie o żołnierzu radzieckim, bolszewiku; także o przedstawicielu wschodniej ludności napływowej.

– Słuchajcie, rekrut. Weźmiecie szuflę i miotłę, trzeba obmieść stajnię ze śniegu, bo nawiało. Poprosicie o miotłę i szuflę kaprala Sączka. Żwawo!

Zabierał się biec dalej, ale mu powiedziałem:

– Kiedy pan kapral Sączek kazał mi zamiatać stajnię wewnątrz. Właśnie biegnę po kubeł.

– Róbcie, co każę! Może mam z wami iść na czarną kawę i w klubowych fotelach, z cygarami w zębach omówić tę sprawę. Uch, pało, pało! – krzyknął z daleka, mijając studnię.

Kiedy powtórzyłem kapralowi rozkaz ogniomistrza, zapytał mnie, dlaczego nie przyniosłem kubła, przy czym spojrzał na mnie jakoś niewesoło i wskazał zgiętym palcem szuflę i miotłę. Kiedy wychodziłem na dwór, wbiegł do stajni buchający parą kapral Schramko. Drepcząc w miejscu, patrzał na mnie z zainteresowaniem. Wyszedłem ze stajni, szurając szuflą, a uszy świerzbiły mnie w oczekiwaniu przykrych słów. Lecz nikt do mnie nie przemówił, tylko kapral Sączek krzyczał z oddali:

– Koń ma być czysty, koń to nie wy, głupi śmierdzielu!

Obszedłem ze dwa razy stajnię, zastanawiając się, skąd zacząć. Od słońca spływała na zabudowania chłodna czerwień, wiatr wył przeciągle i z przystankami, to znów wyjękiwał żałosną, zimową krzywdę. Niezdarnie zgarniałem półmetrowe nasypki miałkiego śniegu, często odpoczywając. Przytulając dłonie do zmarzłych uszu, podskakiwałem w miejscu jak groteskowy pajac. Wszystko wyglądało martwo, doświadczałem ckliwego smutku. Na placu nic się nie działo, czasem tylko przebiegał żołnierz, mały i pokurczony. Pochylony nad robotą rozmyślałem tkliwie nad sobą, że od czasu mego pobytu w pułku dowiaduję się ciągle o swoim bydlęctwie, idiotyzmie, chamstwie albo lekkich obyczajach mojej matki. Nie zgadzamy się, trudno, należy się rozejść. Przy tym jestem chory i nerwowy. Koniecznie musi mnie zbadać lekarz. W wojsku muszą być ludzie silni, zdrowi, słowem, dziarscy żołnierze. Myślałem o wielu innych jeszcze sprawach, kiedy raptem dotknąłem głową czegoś miękkiego, a przed oczami zamajaczyły mi lśniącą czernią buty.

Ogniomistrz Połaniecki, nie wiem, czy ze wzruszenia nad moją dolą, czy też od wiatru, miał łzy w oczach.

– Dużoście obmietli? Chodźcie no tam do tyłu, zobaczymy.

Zobaczyliśmy, że cała tylna ściana otulona jest od dołu śnieżnym nalotem, jak gdyby duch mój przeszedł tamtędy, a nie ja z moją miotłą i szuflą.

– To jest dobra robota, szkoda każde słowo. Toście całą godzinę odgarniali ten kawałek z tamtej strony? Wy mnie sobą zachwycacie!

– Nasypało z powrotem, panie ogniomistrzu, to jest syzyfowa praca.

Twarz ogniomistrza Połanieckiego przybrała wyraz przykrego zniechęcenia, tak jak gdyby się mną brzydził. Skręcił sobie papierosa, zapalił, wsadził lewą rękę w kieszeń spodni i odwrócony tyłem do mnie zapatrzył się w słońce.

Zrobiło mi się przykro. Gdyby choć krzyknął. Przyzwyczaiłem się do rugania. Czułem się nieswojo. Powiedziałem:

– Omiotę jeszcze raz.

Odwrócił się i przeszedł koło mnie, brzęcząc ostrogami. Ha, trudno. Byłem mu obojętny.

Zacząłem pchać szuflę, lecz po kilku minutach wychylił się zza węgła kapral Schramko. Miał minę podobnie jak i ogniomistrz Połaniecki: mieszanina wstrętu, sytości i pogardy. Powiedział leniwie:

– Po jaką cholerę obmiatacie tę budę, kiedy powinniście wypić kawę i czekać teraz w kolejce u doktora. Przecież zapisałem was na dzisiaj! Biegajcie, może jeszcze zdążycie.

Boże mój! Doktor, ratunek, powrót! Rzuciłem wszystko i począłem biec w stronę baraków. Z tyłu słyszałem:

– Szuflę, miotłę i szuflę odnieście na miejsce, słyszycie!

Lecz ja biegłem naprzód. Teraz, w takiej chwili, takie głupstwa, nie.

Wbiegłem do baraku i wyciągnąłem spod łóżka walizkę. Tu się mieści moja wolność, moja legitymacja. Przecież w okresie między komisją a przyjazdem do pułku zachorowałem na płuca. Z kliszami rentgenowskimi pod pachą ruszyłem do lekarza.

Z poczekalni przez otwarte drzwi widziałem mego boga. Jaką szlachetną ma twarz. Bródka, okulary, powaga. Pełen niepokoju przysiadłem na ławie, oczekując swojej kolei. Prócz mnie było w pokoju ze dwudziestu rekrutów. Jedni byli obnażeni do pasa, inni znów ubrani, wpatrywali się z przechylonymi głowami, nabożnie w badającego doktora. Jakiś rekrut zdjął but i z godnym spokojem wyciągnął nogę z ropiejącą raną. Ktoś przytulił się obnażonymi plecami do rozpalonego pieca i z bolesnym rykiem wskoczył na tę nogę. Wtedy zakotłowało się, któryś z rekrutów przypiekł się jeszcze raz, w ciasnej poczekalni zahuczało, rekruci klęli, jak który umiał, inni śmieli się, radzi przerwanej nudzie oczekiwania. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem ogniomistrza Żuka. Kiedy pojawił się na progu, uciszyło się, tylko rekrut z ropieniem pokuśtykał do kąta na jednej nodze, z butem i onucą w ręku, jak chore ptaszysko. Dobrze odżywiony, rumiany na twarzy, z wąsem i loczkiem na czole, ogniomistrz Żuk sprawiał wrażenie starzejącego się Kozaka, już nie mołojca. Stał w mundurze, z rozpiętym kołnierzem,

w prawej ręce trzymał jakieś nieprzyjemne narzędzie przypominające nożyce, w lewej kłębek gazy. Ponieważ starał się patrzeć bystro, słowem – inteligentnie, oczy jego zrobiły się maślane, guziczkowate, oczy w słup.

– Cóż to – mówił z pobłażliwą powagą – żachowujecie sie jak nieszforne dżatki. Pan major jako tesz i ja proszimi o żachowanie szpokoju. Czyż nie mamy do czynienia ż chorymi? Ty, ż przypiekniętymi plecyma, przybliż sie! Czy cierpisz bardżo? A ty ż nogą, chodże również, posztaramy sie wam ulżyć w tem cierpiniu!

Ofiary wypadku wyszamotały się z ciżby, sykając i postękując. Widziałem po ich minach, że prawdziwą ulgę przyniosłoby im wydostanie się na zewnątrz, jak najdalej od felczerskiej ręki ogniomistrza Żuka. W drzwiach zamajaczyły czerwone, miejscami powalane od brudnego pieca plecy, potem zza parawanu wyleciało masę bolesnego wrzasku. Co chwila ukazywało się czoło z loczkiem. Doktor patrzył ponuro na topniejące wzorki w oknie. Najpierw poparzony wybiegł zza parawanu jak pies spuszczony z łańcucha.

– Walę na izbę chorych – okrzyknął nas z zaciętym tryumfem i wybiegł na dwór.

Kulejący siedział teraz na środku pokoju, a wokół chodził lekarz z miną, jakby go obwąchiwał. Po czym bródka wymełła jakieś słowa i ogniomistrz Żuk z bolesną miną wywołał następnego.

Okazało się, że przy piecu grzeje się kapral Borek, najgłupszy kapral z naszej baterii, używany do zajęć niewymagających energii i charakteru. Prowadził chorych do lekarza, pokazywał, gdzie co zamieść, najczęściej robił inspekcję wychodków, czy są czyste i wysypane piaskiem. Na mój widok kapral Borek uśmiechnął się tak, jak gdybym ja był kapralem, a on mną. Miał rude włosy i oliwkową cerę, co wyglądało nieprzyjemnie.

– Jesteście zapisani, o tu. – Wskazał palcem na pulchną od brudu książkę.

Kiwnąłem głową i aby mu się czymś zrewanżować, machnąłem w powietrzu moimi kliszami. W tej chwili kapral Borek przerażonymi gestami wskazał pokój lekarski. Na mnie kolej. Starałem się przybrać minę człowieka, który nie ma nic wspólnego z tym wszystkim, inteligenta równego lekarzowi; a zatem maleńkie wyjaśnienie ze słowami: oczywiście, procedura, nieporozumienie. Byłem gotów się poniżyć, zszujeć, byleby tylko wrócić do dawnego życia. Położyłem przed doktorem poplamione kopercisko z taką siłą, że powiew poruszył kilka włosów bródki doktora. Przekręcił głowę, czułem, że patrzy na moje buty; ogniomistrz Żuk coś mu tłumaczył nad uchem ze wzrokiem motocyklisty pędzącego nad przepaścią. Wyczułem, że to, co mówił, nie tyczyło mnie. Doktor odpowiedział ze zniecierpliwieniem:

– Wszystko jedno, rano czy w nocy, niech diabli porwą! Co to za paskudztwo leży przede mną?

– Coszcie tu położyli przed panem majorem? – zwrócił się do mnie ogniomistrz Żuk.

– To są rentgenowskie zdjęcia moich chorych płuc, ponieważ w międzyczasie zapadłem i znalazłem się tutaj na skutek nieporozumienia – powiedziałem twardo.

– Co wy powiecie, to taki nowy wynalazek? – zapytał doktor.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i tylko biłem ręką w piersi jak goryl.

– Słuchajcie, że jesteście zdrowe byczysko i markierant[2], to nie potrzeba was wcale badać. – Pyrgnął kopertę z kliszami za siebie. – Sądzę, że tydzień sprzątania wychodków wpłynie korzystnie na stan waszych płuc. Tamtejsze powietrze – wiecie. Biedaczysko! Następny.

Powlokłem się, aby podnieść klisze, ale ogniomistrz Żuk przeszkodził mi ze słowami:

– Zostawcie to, byszcie więcej nie zawracali głowy panu majorowi. Gdże jeszt wasz kapral? Szluchajcże, Borek, ten wasz chorowity ma przez tydżen wychodki czyszcicz.

To było wszystko. Minąłem się w przejściu z rekrutem kwitnącym na szyi czyrakami. Stanąłem na placu i ogarnąłem wzrokiem baraki, kilka drzew, znów baraki. Z konieczności wszystko wydało mi się bliższe, hę, wcale miłe, przemknęła mi nawet myśl, jak przerażona myszka, że za półtora roku przykro będzie to wszystko opuszczać. Przygnieciony kapitulacją, patrzałem na fryzjera pułkowego, który wyszedł przed zakład i trzepał jakieś ściereczki. Minął mnie rozfalowany oddział rekrutów ze słowami piosenki: „Siedzimy w tej tawernie, razem ty i ja, a stary Joze na gitarze gra…". Jeszcze coś o szklance pełnej wina. Pobiegłem do swojej baterii tak, jak wszyscy żołnierze biegli zazwyczaj przez plac. Biegnąc, myślałem sobie, że przecież każdy rzetelny Polak musi być dobrym żołnierzem, jesteśmy przecież otoczeni niebezpiecznymi sąsiadami, i tak nas skubali przez tyle lat, zresztą wojsko hartuje ciało i ducha… Tak, ducha także hartuje. Wymyślają, no, trudno, takie widać mają obliczenie, przecież z taką masą żołnierzy nie mogą się cackać. Już w baraku, w rozpędzie zauważyłem, że drepcze koło mnie kapral Schramko i mówi:

– Stójcie, do cholery, maraton jaki odprawiacie w tym wojsku! Pójdziemy do mojego pokoju, to mi buty wyczyścicie, pokażę wam które. Widzicie jednak, że nie jesteśmy takimi idiotami, aby wierzyć w wasze symulacje. Nasz lekarz pułkowy ma dobre, wyrobione oko. Chodźcie ze mną! Najlepiej będzie, jak się uspokoicie i poddacie się porządkowi ogólnemu. Radzę wam!

[2] Markierant – ktoś, kto udaje, że pracuje.

Ma rację, cóż to, u Niemców jestem, u licha! Weszliśmy do izdebki kaprala Schramki. Na klepisku dwa łóżka, stół i jeszcze jakieś rzeczy – pisać szkoda. Z łóżka po lewej stronie zerwał się starszy żołnierz, magazynier Sawicki. Nie spodziewałem się, że razem mieszkają. Parę dni temu, kiedy Sawicki wydawał mi wojskowe rzeczy, mruknął mi poufnie i od niechcenia, że służyć u takiego drania jak kapral Schramko jest przykre i hańbiące. Wszyscy kaprale zawodowi są dranie, ale kapral Schramko to ohydnie głupi pyszałek, robi psychologa, ma przy tym jakieś powody do zadzierania nosa, ale o tym to się sam z czasem przekonam. Więc zerwał się Sawicki półprzytomny od snu, powlókł do kubka z wodą, po czym ociekający jak koń u wodopoju uwalił się z powrotem na wyrku. Kapral Schramko miał minę człowieka, któremu wytrwałość, rozum i opanowanie nie pozwalają wybuchnąć, dopóki obiekt eksperymentalny nie przestanie być interesujący. Pokazał palcem pod stół:

– Te – powiedział.

Stały tam buty z cholewami oblepione zeschłym błotem z ostatnich ćwiczeń. Stały potulnie jak para piesków na dwóch łapkach. Oklapnięte ucha. Patrzałem na te buty i przed oczami przesunął mi się szereg figur, jak w książce gimnastycznej Müllera. To ja czyszczę te buty w różnych pozycjach. Spojrzałem ponad stół. Na ścianie wisiał arkusz papieru z postaciami żołnierzy z czasów Księstwa Warszawskiego, potem oleodruk obrazu przedstawiającego Napoleona patrzącego na palącą się Moskwę. Poniżej fotografia prześlicznej kobietki o czupurnej twarzyczce. Fotografia spowita była w jakieś wstążeczki i zeschłe kwiatki. Przecież to porusza w człowieku różne rzeczy, jak się patrzy na taką wspaniałą dziewuszkę, zwłaszcza po obmiataniu baraku i wizycie u lekarza. Hę, ta inteligencja, delikatność, mówi pewnie po francusku i gra na pianinie, a przy tym śpiewa. Zmieniłem nogę i dalej patrzałem. Nad uchem zaburczał mi głos kaprala Schramki jak warkot dalekiego samolotu:

– To nie jest byle pinda, co? Taka pliszka, co?

– Tak, panie kapralu, to jest bardzo ładna panienka, a przy tym ma sympatyczny i inteligentny wyraz twarzy.

– Nie jest żaden wyciruch śmierdzący kapuśniakiem, ta moja narzeczona. Jestem wybredny, wiedzcie o tym.

Z szacunkiem postąpiłem krok naprzód. Jednocześnie zrobiło mi się przykro, chwyciło mnie coś pomiędzy zazdrością i oburzeniem.

– Musi pan być bardzo szczęśliwy, panie kapralu.

– Owszem, wiecie. Wybrał sobie ją człowiek z jakiej setki. W karnawale pobierzemy się. Jak się ją będzie krótko trzymało... No, idę! Wyczyścicie mi te buty solidnie.

Poszedł. Przybliżyłem się do fotografii i dotknąłem palcami. Głupie biedactwo. A może to jest rzeczywiście wartościowy chłop, tylko zazdrość i wojsko tak mnie do niego usposobiły. Oczyszczę mu buty. Wyciągnąłem je spod stołu i zacząłem kruszyć skorupę z błota. Pracowałem w kucki, skacząc co chwila. Zatrzeszczało wyrko i zamajaczyła na nim chybotliwa figura Sawickiego. Ziewał żałosnym, utrapieńczym jękiem. Drapał się przy tym po ogolonej głowie i wpatrywał się we mnie złym i obłędnym wzrokiem. Oczka miał okrągłe, uporczywe. W końcu wybełkotał:

– Kurzuście tego... pyłu... Nie lepiej to na dwór. Ach, z was jest, jak Jezusa kocham... huuu, uuua.

– Pan kapral nic nie mówił, żeby wychodzić. Ja też wdycham. Pan magazynier w nocy nie będzie mógł spać. Sen poobiedni powoduje ociężałość, czyni człowieka złym, leniwym i bezmyślnym. Kapral Schramko ma ładną narzeczoną, przyjemność patrzeć.

– Co wy gadacie sto rzeczy na raz. W wojsku człowiek nigdy nie jest wyspany... A ładna, i forsę ma na dodatek. Ma, proszę ja was, sto tysięcy dolarów i mieszka... gdzie to: w Ameryce gdzieściś. Przyjedzie tu niedługo. Ogniomistrz Maliniak wcale się baterią nie zajmuje, tylko ciągle jest zły jak piorun, bo go po całych dniach kacenjamer dusi, a ma go z tego, że po nocach chla z kapralem Schramką w mieście czy w podoficerskim. Golą wódkę na temat tego posagu. Schramko ma przez to taką władzę w baterii. Taki dzwon, ma szczęście, popatrzcie no na nią. I ma szacunek, ale ja mu kiedy wymasuję mordę, będziecie widzieć. Na jesień idę do cywila. Ale kurzycie, niech was piorun trzaśnie, idę na dwór!

Zaszurgał gwoździami butów i wyszedł. Przez izbę przewalały się kłęby pyłu. Oskrobałem dopiero pół cholewy. Ogarnęło mnie zniechęcenie i brak woli. Ki diabeł, czy w razie wojny dwie armie czyszczą obłocone buty? Dwie armie celują do siebie z porządnych karabinów i strzelają z armat. Przyklapnąłem pierożek na głowie i wyszedłem, pozostawiając buty na środku. Niech obudzą we mnie energię, jak chcą, wszystko mi jedno. Chciało mi się przy tym jeść, piasek mi trzeszczał w zębach i całe ciało mnie piekło.

Przez okno zobaczyłem, że rekruci szeregują się do obiadu. To mnie nieco ożywiło. Wlazłem między łóżka, zabrałem swoje menażki i karnie stanąłem w szeregu. Rekruci stali jak ochwacone szkapy; jedni gapili się w śnieg i grudę, inni rozglądali się wokół. Kapral Borek oglądał wnętrze swojej czapki. Marcowe słońce potęgowało płowość jego słowiańskiej czupryny, wietrzne podmuchy igrały nią, a kapral zajęty był swoją czapką, jak gdyby tam w środku odbywały się jakieś interesujące rozrywki. Wobec dwóch rekrutów kapral

Borek czuł się jako tako, potrafił nawet wypowiedzieć sztucznym głosem, jak zły aktor:

– Och, wy, ofermy, niedorajdy wy.

Lecz większa liczba wyprowadzała go z równowagi, ogarniał go lęk przed szyderstwem, a gdy rekruci kopali się albo jeden drugiemu podbił oko, kapral Borek wołał:

– Jojoj, dajcie spokój, jak Boga kocham!

Przy tym patrzał przerażony, czy ktoś mu nie powie czegoś przykrego. Teraz nasadził czapkę, cyknął kilka razy ustami i rozglądając się, mruczał coś, nie wiadomo, do nas czy do siebie. Na skutek tego cykania rekruci nazywali go cykownikiem.

– Ba...czność! W prawo zwrot! Będziemy szli, uważacie, do kuchni. Co, co, kapral Schramko kazał mi tu czekać, ale jakoś go nie widać. Ruszamy, równy szereg. O Jezusie kochany, z nogami, no nogi! O, leci kapral Schramko!

Rzeczywiście kapral Schramko cwałował jak pierwotny człowiek, brak mu tylko było maczugi. Uczułem jakieś złe fluidy między mną a nim. Biegnąc, patrzał na mnie, miał coś do mnie. Dysząc jak szybkobiegacz u mety, wołał:

– Zatrzymajcie się, Borek, stójcie!

Zatrzymał się i chwilę patrzał na mnie niedobrym wzrokiem. Wreszcie wykrzyknął:

– Co z butami?!

– Strasznie zapaćkane...

– No i dlatego mieliście je oczyścić, szmatława pokrako! Ja was nie rozumiem. Zostawiliście buty na środku pokoju i poszliście sobie jak od pustej miski, co?

– Nałykałem się piasku, niedobrze mi się zrobiło. Wybaczy mi pan kapral, ale czynność to dla mnie bardzo przykra, takie czyszczenie butów.

– Ja wiem, wyście chorzy na płuca! Już nawet major zalecił wam pewną kurację, bęcwale! Co wy sobie właściwie myślicie o rozkazie w wojsku? Boże kochany, przecież to straszne mieć do czynienia z taką cholerą jak wy. Kapralu Borek, zaraz po obiedzie zaprowadzicie go do wychodka. Idźcie już. Taki bydlak!

Zawrócił do baraku tak gwałtownie, że wpadł na magazyniera Sawickiego.

– Mógłby pan kapral trochę uważać, przecież po łbie nie pozwolę sobie łazić – mówił magazynier, podejmując ze śniegu upuszczone naczynia do obiadu.

Kapral Schramko już odbiegł kilka kroków, ale wrócił i wymierzył Sawickiemu tęgiego kopniaka z takim przejęciem, jak gdyby to była jakaś czynność przymusowa.

– Ja na wasze szczekanie wynajdę jakiś lepszy środek, na razie macie to, gówniarzu.

Po czym pogalopował do baraku jak szalony.

Sawicki mruczał coś o raporcie. Szedł blisko mnie i powtarzał w kółko:

– Chamie, poczekaj, ty chamie, cham!

Jasne było, że kapral Borek lubił awantury, które jego nie dotyczyły. Stawał się pewniejszy siebie, energiczniejszy. Już w drodze do kuchni krzyknął na nas kilkakrotnie, że idziemy jak stado baranów. Przed kuchnią kazał nam się ustawić w kolejkę, po czym sam wszedł do środka, a za nim magazynier Sawicki. Teraz rekruci popychali się, jeden drugiego trzasnął menażką w głowę, znać było podniecenie. Patrzałem na rekrutów z innych baterii, jak na podwórzu pojadali obiad, stojąc albo siedząc na kupie belek. Kilku myło menażki przy studni, niepewnie stojąc na lodowej powłoce. Raptem ze środka wybiegł olbrzymimi krokami kapral Borek, bez czapki i z przerażeniem na twarzy. Za nim kolejno w powietrzu: brunatna płachta, która w zetknięciu z plecami Borka wydała plusk i zaczęła ściekać z nich w postaci zupy kartoflanej, dalej zadzwoniła menażka i potoczyła się razem z czapką po śniegu. Kapral Borek z rozpędu wyciągnął się jak długi, a w ślad za przedmiotami wyskoczył magazynier Sawicki, który usiadł okrakiem na Borku, tłukąc go zapalczywie łyżką po głowie. Chwilę tarzali się po śniegu, wreszcie usłyszeliśmy głos Borka:

– Dajże spokój, no idźże, ty głupi...

Kapitan Hulka stanął rozkraczony i w głębokiej zadumie patrzył na walkę. Kiedy przytoczyli się do jego nóg, powiedział wolno:

– Ja was proszę, wy wstańcie. Tak, otrzepcie się, czapki na głowy i stańcie na baczność. Wy, Sawicki, jesteście stanowczo zwinniejsi, to wam przyznać muszę. Natomiast były kapral Borek posiada niewątpliwą siłę, stanowcza przewaga. Powiedzcie mi, moi drodzy, czy wy codziennie urządzacie dla rekrutów takie zapasy?

– W zupę mi charknął – wykrztusił Sawicki.

– Niechcący, niech mnie Bóg skarze, niechcący – powiedział Borek.

– Coś wy nie chcecie odpowiedzieć jasno na pytanie. Uspokójcie się do jutra rana, do raportu. Ja rad jestem, żem was widział tak pięknie walczących. Do zobaczenia, chłopcy. A ogniomistrz Maliniak jest w baterii, nie wiecie, a?

Nie byli w stanie mu na to odpowiedzieć. Kapitan Hulka z rękami do tyłu poszedł w stronę naszego baraku. Nie widziałem już, co uczynił Borek i Sawicki, ponieważ w tej chwili przestąpiłem próg kuchni i stanąłem przy kotle z zupą.

Kucharze wojskowi to weseli chłopcy, z dużym poczuciem humoru. Pogardliwa żartobliwość, z jaką wydają zgłodniałym rekrutom jadło, upokarza bardzo, człowiek się wtedy robi taki mały, maleńki. Mają swoje kawały te byki w białych fartuchach. Prawdopodobnie chodzi im o pośpiech, bo tak nalewają gorącą zupę, żeby trochę po palcach pociekło. Kawałkiem mięsa tak łupią w kaszę, że człowiek znajduje się przez chwilę w aureoli bryzgów z kaszy. Podszedłem do wydzielającego z lękiem, z przymrużonymi oczami i wyciągniętymi rękami, jak gdybym chciał mu oddać menażki i zaraz wiać. Plupp – zupa, pupp – kasza, pac – mięso! Jestem gotów, mogę sobie pójść do jakiego kąta i zeżreć wszystko jak pies, bylebym później nie zapomniał wyczyścić munduru z plam. Wychodzę na dwór z wzniesionymi do góry naczyniami, jak pogański kapłan z obiatą albo kelner od Ritza. Siadam sobie pod ścianą na jakiejś belce, usadawiam jedzenie między rozkraczonymi nogami i jem. Jest niewygodnie. Zręczny Sawicki dał mi przyciasny mundur, wszędzie mnie uciska. A niech tam, rozepnę kołnierz. Zupa niezła, kaszę także zjeść można, jak się jest głodnym, ale na mięso toby mi musieli dać ze trzy dni czasu, żebym mógł je poszarpać na drobne cząsteczki i jako tako przełknąć. Ale wojsko to przecież nie knajpa, gdzie można wykrzywić gębę i powiedzieć do kelnera:

– Zamień mi to pan na wątróbkę *sauté*, a jak nie, to poproś pan dyrektora.

Zjadłem, co się dało, i polazłem do studni, gdzie mogłem zaobserwować, jak tłuszcz nie daje się lodowatej wodzie. Najlepiej wytrzeć chusteczką do nosa, bo jak nie:

– Co to, rdzewieje wam menażka? Już ja wiem, wy to jesteście taka świnia, co z byle jakiego koryta zeżre.

Mój Boże, ironiczny ton w stosunku do rekrutów utrzymywał się w całym pułku od kapitana do starszego żołnierza, wisiał w powietrzu, konie nawet patrzyły na nas ironicznie. Ci nasi zwierzchnicy – to pierwszorzędni kpiarze.

Każdy kapral mógłby zostać satyrykiem, literatem; ci oczywiście, którzy umieją pisać. Kapral Borek nie. Kiedy odchodziłem do studni, patrzał na mnie jak pies, któremu zamiast mięsa rzucono pół cytryny. Jutro pewnie zdejmą mu dwie pałki. Wstyd, ale i żal. Obejrzałem się parę razy, majstruje coś przy daszku od czapki.

Nie wiem teraz, czy zanieść naczynia do baraku, czy co! Bo kapral Sączek woła nas do śpiewania. Mamy czwórkami maszerować i uczyć się śpiewu. Słowa jakiegoś Własta czy innego poety wszyscy mają spisane na karteczkach, tylko ja nie. Nie będę spisywał cudzych wierszy, mam swoje. Jakże tu śpiewać z naczyniami w rękach. Zawracam i pytam kaprala Sączka:

– Proszę pana, odniosę to... do tego...

– Co jest z waszym kołnierzem! Obciągnijcie mundur, wyglądacie jak sflaczały serdelek! Stawajcie w szeregu. Słowa macie?

– Czego słowa?

– Tanga argentyńskiego! *Wandy*! Przecież wczoraj wieczorem kapral Schramko dyktował, nie?

– Ja umiem na pamięć te słowa, panie kapralu.

Uczę się kłamać. Robię się chytry, przebiegły. Rzeczywiście, że wczoraj coś tam dyktował kapral Schramko, ale przecież zgubiłem pas, byłem zajęty szukaniem. Staję w czwórce, będę udawał, że śpiewam. Starzy żołnierze wylegli z jadalni i ssąc własne zęby po obiedzie, czekali, aż zaczniemy. Bardzo lubili, kiedy rekruci uczyli się śpiewów.

Zapiąłem kołnierz. Boże, coś się dzieje z moim brzuchem. Pęcznieje mi, z trudem oddycham. Mam niesmak w ustach, gorąco mi, pokrywka jest pewnie z innej menażki, bo ciągle mi wypada i straszliwie zawadza. Łyżkę wsadziłem za cholewę, kiedy się schylałem, zakręciło mi się w głowie.

– No, b-czność! Równajcie tam! Marsz. Śpiewać!!

Wszyscy się ślizgamy po grudzie. Idziemy prosto w słońce, na ślepo. Pierwsza czwórka zaczyna: „Wando, kocham cię nad życie... mummrrum też".

– Kochaj mnie też! – wrzeszczy kapral Sączek.

Pewnie kapral Schramko zajął się czymś na chwilę, bo nikt nie miał słów: „kochaj mnie" zapisanych. Samo: „też". Od początku.

Starzy żołnierze posuwają się za nami jak węże za dźwiękiem klarnetu. Wreszcie bucha do nieba szczera pieśń argentyńska o Wandzie, która ma kochać, napić się wina i podać usta malowane. Jak świetnie się przy tym maszeruje. Poobiednie osłabienie przeszło mi, tylko ta przeklęta pokrywka... Wando... Gdzie ja ją też zamieniłem, przecież wczoraj była dobra.

Przed wejściem do baraku kapral Sączek powiedział mi, że wcale nie śpiewałem, tylko tak markowałem.

– Przynajmniej byście nie kłamali, przepiszcie sobie to zaraz albo wieczorem, bo teraz pójdziemy do armat.

Nareszcie do armat, w końcu coś istotnego, prawdziwa żołnierka. Zdążyłem sobie tylko tak pomyśleć, bo kapral Schramko, który usłyszał ostatnie słowa, powiedział:

– Do żadnych armat. Ja mam dla niego świetną, żołnierską robotę. Gdzie Borek? Aa... ta...

Kapral Schramko powiedział w związku z Borkiem tak potworne świństwo, że mi się zrobiło nieswojo. Coś tak wyszukanego. Zwrócił się do mnie:

– Odszukajcie kaprala Borka i przypomnijcie mu o sobie. Jest pewnie gdzieś koło kuchni. O, już wy teraz jesteście u mnie wyróżniony, nie pozwolę wam zginąć w tłumie. Już was nie ma tu, przed moimi oczami.

Coś się we mnie działo, gdy szedłem przypomnieć się Borkowi. Ni złe, ni dobre, byłem tylko wewnętrznie bardzo poruszony. Słońce świeciło gdzieś na niebie, niezdecydowane, wyblakłe. Otaczała mnie białość nudnego, zimowego popołudnia. Zobaczyłem z daleka kaprala Borka, jak stał samotnie na placu i przeciągał się niby parobek w gorące lato przed pójściem do roboty. Przyspieszyłem kroku. Śmieszyła mnie postać i nazwisko kaprala Borka. „Głuchy" Borek. Wyglądał nieporadnie, taki jakiś niewykończony, coś mu brakowało. Wymachiwałem ręką, on też począł biec ku mnie. Kiedyśmy się tak zbliżali do siebie, czułem, że się lubimy, wspólna niedola wytworzyła to uczucie. Nie biegł już, tylko przeskakiwał z nogi na nogę. Powiedział:

– Myślałem o was. Przecież mam was pilnować przy waszej robocie. Jak Boga kocham! Co im strzeliło do głowy, moglibyście się obyć beze mnie. Wszyscy powariowali. Pójdziemy najpierw tam, o, skąd wychodzi ogniomistrz Połaniecki.

O jakie sto metrów czaił się brunatny budyneczek ze ściętym daszkiem, niby połowa przeciętego wzdłuż domku. Wyszedł właśnie stamtąd ogniomistrz Połaniecki, zatrzymał się i manewrując koło spodni, spluwał dookoła. Szliśmy chwilę, nic nie mówiąc, gdy nagle kapral Borek spytał ponuro i niesamowicie:

– A macie wy jaką łopatę czy miotłę?

– Nie, nie mam nic takiego.

– No, to postarajcie się, słowo daję. Jakże tak? Poczekam na was, walcie do stajni.

Skręciłem w stronę stajni. A jeśli nie znajdę tych narzędzi? Kapral Borek wzruszył mnie swoim człowieczeństwem. Nieszczęście jakoś go uplastyczniło duchowo, stał się żywszy wewnętrznie. Mimo woli odczuwałem, że tę naszą południową sprawę otacza jakiś urok tajemniczości. Idąc, wspominałem różne historie dotyczące życia żołnierskiego. Przypomniały mi się książki Sienkiewicza: Skrzetuski przekradający się przez błota, życie obozowe Zbaraża. Też tam mieli jakieś sprawy i zajęcia. Zrobiło się nagle szaro na świecie. „Wierzeje" od stajni skrzypiały żałośnie, poruszane niewyczuwalnym powiewem.

Miotła i łopaty stały tam, gdzie je rano zostawiłem, koło stajni.

O kilkanaście kroków minął nas ogniomistrz Połaniecki z rękami w kieszeniach spodni, z sytą, zadowoloną twarzą. Popatrzył na nas, jak się patrzy

na deptaku w Krynicy na znajomego z widzenia. Kapral ze zwieszoną głową wskazał mi samotny budyneczek.

– To tu – rzekł cicho.

Wszedłem do środka i stanąłem oko w kupę z mym trudem. Prawdą jest, że pewne części ciała ludzkiego nie mają oczu. Marzenia mojej młodości, moje ambicje! Towarzyszcie mi w mojej ochotnej pracy! Oho, ogniomistrz Połaniecki coś niezdrów. Jakie powietrze, cóż za powietrze! Zwijałem się żwawo, raz tylko wytknąłem nos na dwór i wtedy zobaczyłem kaprala Borka, jak stał na spocznij, z lewą ręką w kieszeni, a w prawej trzymał papierosa i smutno patrzał przed siebie. Robiło się coraz ciemniej i prawdopodobnie zimniej, lecz ja chłodu nie czułem, pogrążony w swojej wojskowej powinności. Ktoś wszedł do środka. W mroku rozpoznałem postać kapitana Hulki.

Manneken pis[3] jako dorosły mężczyzna w wojsku. Coś nucił pod nosem. Nagle zaświecił zapałkę i przyjrzał mi się. Właśnie opróżniałem szuflę w otwór w desce. Cisnął zapałkę, zasyczała.

– Ach, to wy? Toście, widzę, awansowali? A na dworze Borek, dobrana kompania, nie ma co! Wasza szybka kariera imponuje mi.

Przekręcił śrubkę. Opanowała mnie złośliwa pewność siebie. Odrzekłem:

– Nie wypada, aby pan kapitan kpił sobie ze zwyczajnego rekruta w tym miejscu. Uważam, że nic z sobą nie mamy do gadania. „Załatw sprawę i żegnaj" – zna pan kapitan to powiedzenie? Najlepiej będzie, jak zaprzestaniemy wszelkich rozmów.

– Piękne słowa. Widać, żeście inteligentny chłop. Tylko że na taką rezolutność jest tu u nas sposób.

– Nic mnie nie obchodzą pańskie sposoby, za wielka przepaść dzieli nas w hierarchii wojskowej, aby mi pan mógł coś zrobić. Zresztą myślałem już sobie, co pan kapitan robi w tym pułku. Wszędzie pana pełno, włóczy się pan po wszystkich kątach, zaczepia pan Bogu ducha winnych ludzi, to mi zmienia pojęcie o pańskiej szarży, podkopuje prestiż pańskich trzech gwiazdek. Właściwie jestem taki sam obywatel jak i pan i mam prawo widzieć to, co niewłaściwe. Przy tym widziałem pana dziś rano w stanie, który mnie jako rekrutowi nie może dać żadnego przykładu.

– Mocny w pysku, rzeczywiście. Nie jesteście żadnym obywatelem, a gówniarzem w tej chwili i w ogóle! Nie widzieliście wojny? Co ja tu robię? Racja, ja sam nie wiem, co ja tu robię! Chyba to, że rozmawiam w tej chwili w wychodku z takim młodym draniem jak wy! Co wy o mnie możecie wiedzieć? Cztery razy byłem ranny! Ja...

[3] Manneken pis – brukselska fontanna przedstawiająca siusiającego chłopca.

– Prowokuje pan rozmowę, aby móc się wywnętrzyć. A ja nie chcę tego wszystkiego słuchać.

– Musicie słuchać, skoro zadajecie istotne pytania. Co ja tu robię? Ha! Żona moja, która jest nauczycielką, mówiła mi, że piszecie książki. Z nikim nie mogę sobie pozwolić na taką rozmowę jak z wami. Z pułkownikiem i kolegami mogę tylko pić w tej zatraconej, cholernej dziurze. Większość tych, którzy byli ze mną na froncie, zajmuje dziś wysokie stanowiska w stolicy czy w innych miastach! W sztabie! Są majorami albo pułkownikami! A co ja? Walczyłem przecież tak samo jak i oni, głowę mam nie gorszą! A tu co? Na portkach mam łaty, zobaczylibyście, jak moja żona jest ubrana! Chodźcie na dwór, zobaczycie te łaty, kurwa mać!

– Nie idę na żaden dwór, rozmowa z panem drażni mię.

– Chodźcie w tej chwili, ja was proszę!

Wyszliśmy z zupełnie ciemnego wychodka. Padał drobny śnieg, wszędzie paliły się już latarnie, migocząc żałobnie. Kapitan podał mi pudełko z zapałkami.

– Świećcie i patrzcie.

– Nic nie będę przyświecał.

– Jesteście dureń. Chodźcie tu, Borek. Zapalcie zapałkę.

Borek zbliżył się i zaświecił. Kapitan zawinął płaszcza. Zobaczyłem dwie równe łaty z tego samego materiału co i spodnie. Były to normalne łaty. Nic w nich nie było zadziwiającego.

– Widzicie?

– Tak, to nic nadzwyczajnego. Gdyby pan kapitan nie urzynał się tak często, mógłbym panu współczuć, że nie zajmuje pan poważniejszego stanowiska. Pan jest pijak, panie kapitanie, potrzeba panu wojny, rozumiem, pobudki. Ale nam się wcale nie chce wojny, mamy jej dość. Cały świat ma dość wojny. Że pan się czuje na froncie świetnie, to mnie wcale nie dziwi. Taki już typ z pana. Bardzo dobrze, że władze tutaj pana ulokowały. Pan tutaj może się trochę znęcać nad żołnierzami, trochę popić i tak pan przebrnie do emerytury. Nam teraz nie potrzeba takich surowych żołnierzy jak pan, nam potrzeba rzetelnych, rozumnych polityków.

– Ale wtedy, w dwudziestym pierwszym roku, potrzebny wam byłem, psia wasza mać, co?

– Każdy mężczyzna był wtedy potrzebny, nawet piętnastoletni chłopcy. Pańskie argumenty są słuszne, ale tylko w ograniczonym, indywidualnym pojęciu.

Zapałka zgasła, dzieliły nas powolne płatki śniegu. Kapral Borek stał za

kapitanem śmieszny, stężały w swym pokurczeniu. Kapitan zapinał płaszcz i sapał, w końcu stęknął głośniej i odszedł bez słowa. Okręciła go śnieżna kurzawa, która zerwała się nagle i z wyciem. Ale postać jego nie znikała w chybotliwej poświacie lamp. Widzieliśmy go długo, jak szedł bokiem, z rękami przy uszach.

Otrząsnąłem się ze śniegu, wyciągnąłem z wychodka szuflę i miotłę, po czym powiedziałem Borkowi, że idę te rzeczy zanieść do stajni. Patrzał na mnie jakoś dziwnie i skakał w kółko, stukając obcasami. Wreszcie powiedział:

– Ale pijanica, co? Idźcie potem po kawę, a ja walę do baterii, jaka zawieja, patrzcie tylko!

Dał nura w śnieżny tuman. Ciągnąc szuflę i miotłę, biegłem jak koń w dyszlach. Właśnie ogarnął mnie przykry kociokwik. Czułem się jak urzędnik, który upił się w towarzystwie zwierzchnika i na drugi dzień dręczą go wspomnienia różnych gaf i poufałości. Psiakrew, jak mogłem się z nim przekomarzać, i to z taką smarkaczowską fanfaronadą. Jestem wobec niego niczym, bzdurą. Przecież ten człowiek walczył, nadstawiał łba za ojczyznę, kiedy ja chodziłem w krótkich majtkach. I nic dziwnego, że teraz łazi wściekły i przygnębiony; marnuje pewnie swoje talenty, musiał to być dobry oficer frontowy. Ale po co się czepia? Bo urżnięty. Powinienem robić swoje i nie być taki wyzywający. Czułem się coraz paskudniej, ręce mi zgrabiały i drobny śnieg wciskał się w uszy, za kołnierz, siekł mnie po twarzy i oślepiał. W stajni ogarnęła mnie już wściekłość, mimo że ciepło i łagodne odgłosy żrących koni powinny mnie uspokoić. Miotłę i szuflę postawiłem w kącie i zacząłem otrzepywać się ze śniegu. Co za cholera jasna! Potrzebuję zmarnować tutaj półtora roku na głupich i wstrętnych zajęciach! Każdy stara się zrobić ze mnie idiotę, zamiast uczyć mnie tego, co należy. Niech sobie chamów ze wsi trzymają choćby i lat dziesięć, a mnie niech pokażą, co mam robić w razie wojny, i koniec. Czy we wszystkich pułkach są takie cholerne porządki? Przy tym wszystko, co mnie otaczało, przygnębiało mnie psychicznie. Te baraki, ich wstrętna kolejność, albo studnia! Już przy wjeździe natknąłem się na czarne, gołe drzewa otaczające stary cmentarz. A obok gmach dowództwa, oklejony obwieszczeniami, że tego to a tego dnia powieszono czy rozstrzelano jakiegoś szpiega. I te zabudowania w szczerym polu, ogrodzone drutem.

W tej chwili zatrzeszczała słoma i jakaś wielka postać wyrosła w nędznym świetle lampki naftowej. Ozwał się gardłowy, chłopski głos:

– Kto tu?

– Nic, przyniosłem tylko łopatę, bo...

Żołnierz zaczął zbliżać się dumnie, wielkimi krokami.

– Coś ty za jeden? Będziesz widział, ty pieronie. Jo cię...

Miał tak ohydną twarz, że rzuciłem się do wyjścia i przejęty strachem wybiegłem w przewalające się kłęby wściekle wirującego śniegu. Padało tak gęsto, że z trudem oddychałem. Dognało mnie mocne, chamskie przekleństwo. Wiatr spychał mnie w bok, wokół tak huczało, jak gdybym wypadł z oddechem głosu Boga. Pokryty nalotem śnieżnym, wbiegłem do swojej baterii, zatrzasnąwszy drzwiami rozpętaną wichurę. Położyłem swoją furażerkę na jakąś skrzynię, po czym zdjąłem mundur, aby strzepnąć śnieg. Śmierdziało obrzydliwie wszelkim zaduchem brudu ludzkiego. Fale rozmów cichły i podnosiły się, rekruci tłoczyli się między łóżkami, przełażąc przez siebie jak robactwo. U pułapu rzędem świeciło żółtym blaskiem kilka zakopconych lampek naftowych i w tej walce ciemności z marnym światłem ludzie wyglądali złowrogo i potępieńczo. Wzdłuż ściany wolnej od łóżek zbliżali się w moją stronę ogniomistrz Maliniak i kapral Schramko. Krępy i kanciasty ogniomistrz Maliniak toczył się jak kaczka obok zgrabnego, lekko stąpającego kaprala Schramki. Na wielkiej głowie ogniomistrza sterczała czapka na bakier, jego nalana twarz kraśniała siecią czerwonych żyłek, a jasne wąsiki pod zadartym nosem wyglądały jak przyklejone. Duże palce obu rąk wetknął za pas.

„Oho, dwóch takich na mnie jednego to trochę za dużo – pomyślałem z rezygnacją. – Do czego też się przyczepią? Może zapytają troskliwie, czy jadłem kolację? Wtedy odpowiem wesoło, że nie, ale to nie szkodzi, jestem młody. Na to oni, kłaniając mi się jak dwóch posłów anielskich: »Boże drogi, to przecież trzeba wam po co posłać? Zaraz, zaraz!...«. »O, dziękuję, doprawdy, nie jestem głod...«"

– Cóż wy, gamoniu głupi, bez płaszcza łazicie? Żeby załapać jaką cholerę i na izbę chorych, co? Z munduru żeście ścierkę zrobili, dobro wojskowe to dla was żadne mecyje. Lafirynda, psiakrew!

No, czy nie myślałem, że się zatroszczą o mnie. O moje zdrowie. Naturalnie kapral Schramko, najżyczliwszy mi człowiek, bo z panem ogniomistrzem Maliniakiem mało się znamy. Właśnie odwrócił się ode mnie jak od maleńkiego źdźbła słomki, popstrzonego przez muchy. Ale kapral Schramko pozostał. On mnie tak lekceważąco nie opuści.

– Wychodki w porządku?

Chciałem powiedzieć, że przerwał mi kapitan Hulka, ale zaraz pomyślałem, że przecież nie będę opowiadał temu capowi o żałosnej i ludzkiej w gruncie rzeczy sytuacji kapitana. Mój umysł otuliła błoga rezygnacja.

– Miejsce ustępowe postarałem się pozostawić w takim stanie, w jakim je znalazłem, panie kapralu.

Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór J. Dąbrowski, wstęp Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1962, s. 426–449

1933

Konrad Wrzos (1905–1974)

Fotograf literacki

„Jednym z fundamentów reportażu, a nawet w ogóle pisarstwa, jest dociekliwość" – tak Melchior Wańkowicz rozpoczął swój szkic *Ciekawość pierwszy stopień do... sukcesu*. I podał przykład dociekliwości z II Rzeczpospolitej:

> Pewnego razu Rada Ministrów miała obradować w sprawie absolutnie tajnej. Dla większej więc pewności nie wyznaczono posiedzenia w Pałacu Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu, tylko chyłkiem zebrano się w salce użyczonej przez Bank Gospodarstwa Krajowego [...]. W trakcie obrad ktoś spostrzegł drgnienie portiery. Odciągnął portierę i oczom mężów stanu ukazał się ukryty za nią reporter „Kuriera Ilustrowanego" Konrad Wrzos.

Nazywał się Bronisław Konrad Rosenberg, „Wrzos" był jego pseudonimem. Oprócz „Kuriera" pracował także dla dużego paryskiego dziennika „L'Intransigeant", był jego korespondentem z Europy Wschodniej. W 1938 roku wyjechał do Paryża, w 1939 do Nowego Jorku, a stamtąd w 1942 roku do Brazylii. Zmarł w Rio de Janeiro.

Przed wojną znany był z kilkunastu książek, w tym z *O Piłsudskim i piłsudczykach* (zbiór tekstów poświęconych marszałkowi oraz jego współpracownikom), *Kiedy znowu wojna?* (reportaż o tym, jak kraje i narody Europy w 1936 roku przygotowują się do wojny). Jego najsłynniejszą książką jest jednak *Oko w oko z kryzysem*. W 1933 roku Wrzos przejechał Polskę: odwiedzał robotnicze mieszkania, wiejskie chałupy, pałace szlachty i przytułki dla bezdomnych. II Rzeczpospolita to w jego książce głównie obraz nędzy.

> Na drodze do Nowego Sącza w maszynie zaczęło coś stukać – pisze we wstępie. – Kierownik warsztatu szukał wady w panewce i bolcu; musiał rozebrać maszynę. Okazało się, że rozluzował się tylko wentylator i stukot stąd, a nie z panewki pochodził. Po prostu trzeba było podnieść maskę.
>
> Dzięki tej usterce reporter tworzy metaforę sytuacji w Polsce:
>
> Wszyscy słyszymy stukot w maszynie. Skąd on pochodzi? Podnosimy maskę, nasłuchujemy...

Zachwycony książką Wrzosa był publicysta „Wiadomości Literackich"

Witold Giełżyński (ojciec Wojciecha, którego tekst z 1989 roku także znalazł się w tej antologii [patrz t. 2, s. 549]):

> Takiego jednak ogólnopaństwowego, snującego się przez blisko czterysta stron książki, wstrząsającego filmu, jaki zmontował p. Wrzos jeszcze w piśmiennictwie polskim nie było – czytamy w 38 numerze „Wiadomości" z 1933 roku. – Robi on tym większe wrażenie, że składa się z realnych obrazów – bez uogólniania, bez moralizatorstwa, bez podmalowywania. [...] Jedyny środek artystyczny, którym posługuje się ten fotograf literacki – to zestawianie kontrastów. Widać to już z samego układu książki, gdzie po Annopolu, mającym wspólne pomieszczenia na czternaście rodzin, następuje Nieśwież ze stu sześćdziesięcioma ośmioma pokojami dla jednego pana, a po opisie pracy na „biedaszybach" idzie rozdział o koncernach węglowych, których kierownicy pobierają tytułem miesięcznej pensji taką sumę, jakiej górnik nie zarobiłby przez sto lat pracy! [...]
>
> Wprawne oko dziennikarza umie wszędzie wydobyć paradoksy życiowe. W instytucji wydającej na Pradze zasiłki bezrobotnym, przeciętnie złoty osiemdziesiąt siedem na osobę, wisi napis: „Myjcie owoce przed jedzeniem", a pod nim ilustracja przedstawiająca pomarańcze, winogrona i banany (jedna pomarańcz kosztuje złotego, banan – sześćdziesiąt groszy) – oto najpożyteczniejsza wskazówka higieniczna dla bezrobotnych.

Książka *Oko w oko z kryzysem* ma jeszcze drugą część tytułu: *Reportaż z podróży po Polsce*. Była to u nas pierwsza książka określona wprost jako „reportaż".

Siedemdziesiąt pięć lat później – kiedy nasze media zaczęły mówić o nowym wielkim kryzysie – śladami Wrzosa pojechał reporter Witold Szabłowski.

Wrzos w 1933 roku:

> – Bieduje się i głoduje – mówi gospodyni. – Cóż to za życie? Ani żyć, ani umrzeć.
>
> Pan Antoni: – Dotychczas głównym źródłem utrzymania była wyprzedaż tego, co mieliśmy. Poszły ubrania, kołdry, poduszki. Teraz kolej na resztę: łóżko bez pościeli, sienniki i pustą szafę.
>
> Gdy weszliśmy do sklepiku kolonialnego – opisuje Wrzos spacer z synem pana Antoniego – zaproponowałem Romanowi, abyśmy coś zjedli. Roman stanął przed ladą, na której poukładane były bloki z czekoladą, słoiki z miodem i konfiturami, cukierki, pierniki, popatrzał i rzekł po chwili: – Chleba...

[...] W bramach domów, wśród nocy, pod łodziami, nad brzegami Wisły, na przystaniach i w kabinach plażowych śpią bezdomni. Można ich spotkać na ławkach w Alejach albo na klatkach schodowych, na strychach i w piwnicach. W jednym tylko przytułku na Dzikiej, w sławnym „Cyrku", sypia ponad tysiąc osób. W korytarzach, przy ubikacjach, wśród najgorszych wyziewów, leżą na ziemi ludzie ubrani w łachmany. W powietrzu unosi się ciężki zapach najpotworniejszej nędzy i brudu [...].

Szabłowski w 2008 roku:

Warszawskich bezdomnych wciąż najłatwiej znaleźć nad Wisłą. Na Gocławiu, niedaleko przepompowni Gruba Kaśka, urzęduje Kapitan. [....] Latem palą ogniska, grillują. Się żyje. Zimą idą do schronisk.

– Jak się żyje? Jako bezdomny przytyłem już pięć kilo. W życiu nie pamiętam, żebym tyle jadł. Idziemy rano na peweksy... Jakie peweksy? No, na śmietniki. Co tam ludzie wyrzucają, to się w głowie nie mieści – i Kapitan wyciąga z garba szynkę, konserwę i kawałek sera. – Jedzenia mamy od cholery. A ludzie nawet wódkę wyrzucają. Zrobią imprezę, nie dopiją i wszystko – srrrrru! – na śmietnik. Rysiek kiedyś znalazł na śmietniku komputer. Ale nie wiemy, jak go uruchomić. A kalkulator jaki znalazł! Pokaż, Rysiu. [...] Skąd kryzys? Proste. Za dobrze się ludziom powodzi. Kto widział, żeby chleb wyrzucać? I konserwę. I mięso. I kalkulatory?

Reportaże Konrada Wrzosa powinny nas zawstydzić: słowa „kryzys" na określenie naszej sytuacji w ostatnich latach używamy chyba zupełnie bezzasadnie.

Miasto bezrobotnych

Na przyjęciu w willi dyrektora jednej z hut katowickich zapytano mnie, jaki będzie kolejny etap tej podróży po Polsce dzisiejszej. Odpowiedziałem:

– Zawiercie!

– Możemy panu wszystko o tym mieście opowiedzieć – odezwało się kilka głosów.

Były to głosy dyrektorów hut i zakładów przemysłowych.

– Zawiercie to miasto bezrobotnych – rzekł gospodarz.

Istotnie, Zawiercie jest miastem bezrobotnych. Na trzydzieści dwa tysiące dusz trzy czwarte ludności Zawiercia jest na utrzymaniu opieki społecznej.

Ludność ta spędza dni po domach i na ulicach. I dlatego dziwnie wyglądają ulice i domy Zawiercia. Kiedy przyjechałem do tego miasta, była dziesiąta przed południem. W hali dużego dworca stały gromadki ludzi. Byli to bezrobotni. Z tuzina tragarzy pozostało trzech. Oddałem jednemu z nich (powiedział mi przy tej okazji, że rzadko widzi złotówkę) swą walizkę i kazałem się wieźć do fabryki bawełnianej, która nazwę swą wzięła od miasta.

Przejeżdżaliśmy przez ulice miasteczka, którego niskie, drewniane domki stoją obok równie niskich, zniszczonych i odrapanych, parterowych i piętrowych małych domków murowanych. Był dzień powszedni. Grupki ludzi stały na chodnikach. Kobiety w chustkach, mężczyźni w czapkach, przeważnie bez płaszczów, w kurtkach. Sklepy, nad którymi widniały duże, oznaczone wielkimi literami szyldy, tu i ówdzie pozabijane były deskami. Jedziemy do fabryki „Zawiercie".

Dlaczego tę fabrykę wybraliśmy spośród innych jedenastu – tylko sześć fabryk w tej chwili wegetuje – szklanych, chemicznych i żelaznych? Dlatego że z istnieniem tej fabryki związany jest los Zawiercia.

Zajeżdżamy przed gmach. Mijamy tłum robotników, którzy co dzień zgłaszają się do swych dyrektorów, aby zapytać, kiedy znów zostaną uruchomione wrzeciona i krosna. Wchodzimy do sali konferencyjnej dyrekcji fabryki, gdzie oczekują nas jej dwaj dyrektorzy. Siedzimy w dużej sali o nieco zaniedbanym wyglądzie. Z pożółkłych portretów patrzą na nas starzy panowie. To założyciele fabryki, której początek sięga roku 1872. Od tego czasu zawierciańska

przędzalnia bawełny rozwijała się systematycznie; rok 1926 i 1927 był punktem szczytowym jej rozwoju. Zakłady „Zawiercia" zatrudniały wówczas sześć tysięcy pięćset robotników; pracowali na dwie zmiany w tkalniach, przędzalniach, w farbiarniach, bielarniach i drukarniach. Jeszcze na początku roku 1929 zatrudniały one pięć i pół tysiąca robotników. Dziś Zakłady „Zawiercie" zatrudniają sześciuset pięćdziesięciu robotników, którzy pracują cztery dni w tygodniu, na jedną zmianę i tylko w przędzalni.

Jeszcze do przełomu roku 1930 i 1931 fabryka pracowała na tak zwany skład. Produkowano towary białe i sztuczny jedwab. Jak wiadomo, najbardziej intratny dla przemysłu bawełnianego jest sezon letni. W tej chwili powinna już być zrobiona kolekcja towarów wykonanych w myśl ostatnich zaleceń mody. Kupcy powinni się zgłaszać do fabryki, która znów po zorientowaniu się pracuje na tak zwany skład. Wykonany towar przesyła się do własnych składów i do odsprzedawców. Tak było zawsze. Dziś o tym wszystkim nie ma mowy.

Zdolność produkcyjna „Zawiercia" wynosi około miliona metrów miesięcznie i tę produkcję „Zawiercie" osiągnęło. Teraz produkcja sprowadza się do wykonywania przędzy jako półfabrykatu. Przędzalnia bawełny liczy dziewięćdziesiąt dwa tysiące wrzecion, tkalnia dwa tysiące sześćset krosien. W roku 1928 wyprodukowano około czterech milionów kilogramów przędzy. W roku 1932 około ośmiuset tysięcy.

„Zawiercie" jest miastem w tym mieście. Rozbudowało się ono na stu morgach gruntu. Wzdłuż fabryki linia kolejowa, tak zwana warszawsko-wiedeńska, na długości ośmiuset metrów.

Wszystko to – gmachy, grunta, domy i lasy – jest teraz dla fabryki ciężarem. Podatek od majątku płaci się bowiem ten sam. Zmniejszył się tylko podatek dochodowy i obrotowy. Zysk fabryka ma tylko z produkcji przędzy.

Jakie fabryka miała koszta dawniej? Jeżeli się przyjmie, że dzienny zarobek robotnika wynosił przeciętnie pięć złotych, to z trzydziestu tysięcy złotych, które dziennie „wychodziło" z fabryki na ulicę, dwadzieścia pięć tysięcy niewątpliwie szło do żołądka miasta, do sklepów kolonialnych, krawców, szewców, księgarń i fryzjerów. Obecnie robocizna wynosi w budżecie fabryki około trzech tysięcy złotych. Dochód miasta spadł z dwudziestu pięciu tysięcy do trzech. W tym samym stopniu spadł, oczywiście, dochód samorządu i właścicieli nieruchomości, szkół, łaźni itd., itd. Szkoła w Zawierciu chyli się ku upadkowi. Znikoma część rodziców opłaca czesne; idzie ono na opał. Dzieci bezrobotnych wpisowego nie płacą. Z czego ma żyć szkoła? Za co mają żyć nauczyciele?

Jeden z dyrektorów „Zawiercia", który wiele serca i czasu poświęca sprawom społecznym, mówił mi z troską o ciężkim losie szkolnictwa w Zawierciu. W jego dobrych oczach malował się smutek.

Jak można zatrudnić przeszło pięć tysięcy zredukowanych robotników, skoro nie ma dla kogo produkować?

Obydwaj panowie pokazali mi fabrykę, której są kierownikami. Przeszliśmy przez szereg wielkich sal fabrycznych, począwszy od magazynów, skończywszy na ekspedycji. W wielkim jak hall dworca kolejowego magazynie, który ongiś przepełniony był omalże pod sufit zapasami surowca, leżało... kilkanaście pak bawełny amerykańskiej. Ta bawełna idzie na maszyny, które ją czyszczą, rzucają odpadki do wielkich jak w ogrodach zoologicznych klatek. Z oczyszczonej bawełny, która wygląda jak wata, rozdziela się włókna, aby je potem nawinąć na wałki i na szpule. I tu, jak w fabryce wełny czesankowej, kołowrotek został zastąpiony maszyną, która sama przędzie. Nazywa się samoprzędnicą. „Nadmajstrzy", który w marynarkowym ubraniu krążył na tej sali między maszynami, przy których stali robotnicy przeważnie w koszulach i robotnice w bluzkach (nie wszystkie były obute, niektóre nosiły trepki, niektóre stały bose na kamiennej posadzce); otóż „nadmajstrzy" powiedział mi, że pracuje w fabryce od czterdziestu lat i że takiego spadku poziomu pracy nie pamięta.

Podszedłem do jednego z robotników, aby go zapytać, jak żyje.

– Żyję marnie – powiedział mi – wstyd powiedzieć. Je się kartofle i dwa razy w tygodniu kawałek mięsa. Zapanowała nędza.

Robotnik ów ma trzy tysiące złotych długu, poprzedniego dnia był u niego komornik. Dlaczego ma tak wielkie długi? Kształcił dzieci – chciał im stworzyć warsztat pracy. Syn jego jest krawcem, ale synowi trzeba pomagać. Córka pracuje jako fryzjerka.

Wstąpiłem w Zawierciu do krawca i sklepu z ubraniami, do szewca i fryzjera. Krawiec powiedział mi, że w styczniu 1928 roku jego zarobek miesięczny wynosił osiemset złotych, zaś w styczniu 1933 roku – cztery złote. Ubranie na ulicy Warszawskiej – na ulicy tej można w Zawierciu wszystko kupić – kosztuje od dwudziestu pięciu do czterdziestu złotych. Ubranie na zamówienie od stu do stu dwudziestu złotych.

Szewc odpowiedział mi, że zarobek jego spadł ze stu pięćdziesięciu złotych tygodniowo do dziesięciu.

Fryzjer oświadczył, że dochody jego zmniejszyły się o osiemdziesiąt pięć procent.

Czyż można się dziwić, że w tych warunkach po dwudziestu ośmiu latach pracy nasz pięćdziesięciopięcioletni rozmówca skarży się na swoją dolę? Jego

dzienny zarobek wynosi dziś siedem złotych dziewięćdziesiąt siedem groszy. Ma żonę i troje dzieci. Chciałby pracować i ma siły do pracy, ale pracuje tylko cztery dni w tygodniu. Jak wybrnie z kłopotów życiowych?...

Mimo to nie jest w najgorszej sytuacji. Tysiące innych jego towarzyszy było zmuszonych, wobec redukcji, opuścić warsztaty pracy.

Przeszedłem przez wszystkie sale.

Jeszcze przed rokiem huczały w nich maszyny, dzisiaj stoją one nieme. Jakiż jest obraz tych opustoszałych sal, których skomplikowane warsztaty tkackie zaniemówiły? Krążą dziś po tych salach fabrycznych już nie tysiące robotników, lecz pojedynczy dozorcy, rekrutujący się zresztą z dawnej załogi. Krążą w szalach i czapkach. W pustych halach fabrycznych jest zimno. Te zimne sale budzą grozę. Gdzieniegdzie zwisają z warsztatów resztki tkanin jedwabnych lub pluszowych, jak gdyby porzucone nagle wśród pracy.

Czy wrócą do niej robotnicy, czy wrócą do drukarni, pralni i wykańczalni, do bielarni, do wrzecion i krosien? Czy wrócą do pracy?

Zarejestrowanych bezrobotnych jest w tej chwili w Zawierciu siedem tysięcy osiemset pięćdziesiąt cztery osoby. Jeżeli się zważy, że są to przeważnie głowy rodzin, zaś rodzina składa się z trzech do czterech osób, to łatwo można dojść do dwudziestu pięciu tysięcy osób, które są utrzymywane przez opiekę społeczną. Zawiercie, według ostatniego spisu ludności, liczy trzydzieści dwa tysiące mieszkańców. Nie jest więc przesadne twierdzenie, iż trzy czwarte ludności Zawiercia utrzymuje gmina.

Inspektor pracy w Zawierciu zaprowadził mnie do mieszczącego się tuż przy inspektoracie pracy koszarowego domku robotników jednej z fabryk tekstylnych. Domek ten mieści się przy ulicy Górnośląskiej. Jest piętrowy, drewniany. Wprost z ulicy wchodzimy do klatki schodowej. Zniszczona jest ta klatka schodowa, wygląda tak, jakby za chwilę miała runąć. Inspektor pracy dobrze zna ten dom i jego lokatorów. Lokatorzy zaś, robotnicy, ufają swemu inspektorowi pracy. Inspektor prowadzi nas do pierwszych drzwi na lewo. Mieszka tu robotnik imieniem Julian z żoną i synkiem.

Lokatorzy siedzą w pierwszym pokoiku, w którym jest też kuchnia. Gospodyni stoi przy kuchni i piecze chleb z mąki, którą otrzymują bezrobotni Zawiercia. W kuchni jest ciepło i dlatego pokój mieszkalny, który mieści się tuż za nią, jest nieogrzewany. Lokatorzy mieszkają w izbie kuchennej. Pan Julian jest specjalistą od tak zwanego gręplowania, to jest czesania bawełny; zarabiał dawniej cztery złote dziennie. Teraz, jako bezrobotny, miesięcznie otrzymuje trzy ćwierci kilograma słoniny, osiemnaście kilogramów mąki żytniej, dziewięć kilo mąki pszennej, trzy kilo grochu, trzy ćwierci mydła, trzy

ćwierci soli i trzy paczki mieszanki cukrowo-kawowej, i ziemniaki. Miał węglowy sprowadza sam. Ten miał pochodzi z „biedaszybów" Zagłębia Dąbrowskiego. Miał ten pozostawiają bezrobotni pracujący na „biedaszybach" jako nieużytek – na „powierzchni". Jeśli się zjawi przy „biedaszybach" bezrobotny z innej niż górnicza „branży" – górnicy pozwalają mu zbierać odpadki. Idzie on po ten miał do odległego od Zawiercia o osiem kilometrów „biedaszybu". Jest świadkiem, jak jego bezrobotni koledzy górnicy wydobywają spod ziemi bryły węgla. Sam nie potrafiłby tego. Musi więc prosić ich o odpadki, którymi jego żona pali w piecu. Pan Julian ma jeszcze siedemdziesiąt osiem złotych długu. Jak dług ten powstał?

– Miałem brata – mówi mi – wrócił z wojska, poszedł do fabryki. Poręczyłem za niego, gdy kupił ubranie. Pewnego dnia brat niósł ciężką płytę, dźwignął ją, przerwał sobie stos pacierzowy. Umarł. Potem umarła matka, która też robiła we fabryce. Staruszka zarabiała osiemdziesiąt sześć groszy dziennie. Trzeba jej było pogrzeb urządzić. Poumierały też dzieci. Pozostał tylko jeden, mały Adamek.

Żona pana Juliana mówi, że „z sześciorga dzieci pięcioro, gdy się tylko podchowało, to umarło". Pozostał tylko mały Adamek. Adamek też powinien się dobrze odżywiać. I dlatego matka jego kupiła jeszcze za dobrych czasów kury. Kilka sztuk z nich pozostało, gdaczą właśnie w małym kurniku, który stoi w tej izbie, będącej sypialnią i kuchnią.

Niestety nie wszystkie jajka daje matka swemu małemu synkowi. Niektóre trzeba wymieniać na sól.

Adamek potwierdza tę informację swojej mamusi.

– Jak kurka zniesie jajko, to nie zawsze je dostanę od mamusi. Mamusia od kilku miesięcy sprzedaje jajka.

– A mleko kiedy piłeś? – pytam mego małego rozmówcę.

– Nie pamiętam...

– Przypomnij sobie.

Adamek zastanawia się, widać, że myśl jego pracuje.

– Chyba od zeszłego lata – odpowiada.

– Co teraz jesz?

– Ziemniaki, chleb, kapustę, grochówkę, kluski, które mamusia robi z mąki – recytuje Adamek i zwracając się do ojca, dodaje: – Mamusia już nie umie gotować jak dawniej. Kiedyś umiała. O, źle jest na świecie – mówi ten sześcioletni mały człowieczek.

Pytam go, co by mu przyniosło ulgę. Jakie ma życzenia? Maleńki odpowiada bez namysłu:

– Żeby tatuś do roboty poszedł.

Ojciec powtarza za nim, że byłoby wówczas lepiej.

– Może wyślą nas na jakieś roboty – powiada – abyśmy mogli pracować porządnie, żyć i jeść.

Matka dodaje, że wówczas mogłaby poprawić swoją „reputację" u Adamka i więcej czytać. Od czasu kiedy mąż jej stracił pracę, gazet się nie czyta. Dawniej czytało się od czasu do czasu książkę. Jedyna, która pozostała z lepszych czasów, to *Iwonka*, którą pani Julianowa oglądała kiedyś ze wzruszeniem w kinie.

Pan Julian prowadzi nas do swego sąsiada i zarazem szwagra, który zajmuje mieszkanie naprzeciwko. Składa się ono z jednej izby, w której mieści się piec kuchenny. Przechodzimy znów przez walącą się klatkę schodową, aby dojść do naszego nowego rozmówcy. Wchodzimy do czystego pokoiku, w którym stoi łóżko, szafa, stół i dwa krzesła. W pokoju zastajemy gospodarza, żonę jego i maleńką ich córeczkę.

Mieszka tu bezrobotny o poetyckim imieniu – Apolinary. Jest mizerny, ma żółtą cerę. Nosi ciemną kurtkę i kamasze z juchtowej skóry. W tym małym pokoiku zwraca uwagę dobrze zachowana prymitywna umywalnia, przy której obok miednicy leży duża kostka mydła i czysty ręcznik. Pan Apolinary prezentuje mi swoją małą córeczkę. Nazywa się Janinka. Ma szósty rok. Janinka to blade smutne dziecko.

– Mieliśmy dwie dziewczynki – mówi jego żona – jedna umarła, druga się dochowała, ale kaszle, jak tylko wyjdzie na dwór. Raz „rzuciła się" jej krew, nie wiem, nosem czy ustami. Pobiegłam po męża, który jeszcze pracował w fabryce, i prosiłam, żeby prędko biegł do domu ratować córeczkę.

– Spaliśmy wtedy na sali – uzupełnia informacje swej żony pan Apolinary. – W fabryce był strajk włoski, nie opuszczaliśmy jej. Pobiegłem po doktora. Kazał dziecku dawać to oto lekarstwo – mówi, pokazując buteleczkę z syropem.

Słucham tych zwierzeń, przyglądając się to naszemu rozmówcy, to jego fotografii w mundurze wojskowym. Fotografia ta wisi na ścianie nad nim i możemy z łatwością porównać, jak wyglądał pan Apolinary w okresie pomyślności i jak wygląda w okresie kryzysu.

Czy może lepiej wyglądać, skoro pożywienie jego składa się z kartofli i klusek, z kartofli i chleba? Pan Apolinary dostaje też słoninę, jak inni bezrobotni, ale twierdzi, że na wagę jej składa się również opakowanie. Na poparcie tego twierdzenia pokazuje nam olbrzymią płachtę grubego papieru, którym opakowany był kawałek słoniny.

Tak pan Apolinary żyje od czasu, kiedy stracił pracę, to jest od sierpnia. I on tak samo przerabiał bawełnę na nitki. Zarabiał trzy złote pięć groszy dziennie. Ma przeszło trzydzieści lat i nie jest mu przyjemnie spędzać dni w domu.

– Czekamy – powiada – zmiłowania boskiego i myślimy, że nas wyślą na jakieś roboty.

Takich marzycieli jest w tym domu dwudziestu czterech. Są to przeważnie ojcowie rodzin. Wraz z rodzinami mieszka w tym domku robotniczym dziewięćdziesiąt dziewięć osób.

Opuszczamy drewniany domek przy ulicy Górnośląskiej, opuszczamy schody bez poręczy, walącą się klatkę schodową i okna zabite deskami, sufit zdarty do trzciny i ściany odrapane!

Przejeżdżamy do innego obwodu. Zawiercie podzielone jest na trzydzieści pięć obwodów opieki nad bezrobotnymi. Każdy obwód ma swego opiekuna. Jedziemy do obwodu przedostatniego, do obwodu trzydziestego czwartego. Opiekunem jego jest były majster fabryczny i przedstawiciel handlowy, który kupił sobie domek, ma on opinię człowieka zamożnego. Czy słusznie? Cały jego dochód – powiada – stanowi teraz sześćdziesiąt złotych miesięcznie, odnajmuje bowiem pokój dyrektorowi pobliskiej fabryki.

Nasz rozmówca jest opiekunem około dwustu rodzin. Dowiadujemy się od niego, że opieka społeczna wydaje na każdą głowę miesięcznie... cztery złote, czyli czternaście złotych dwa grosze dziennie.

Trzydziesty czwarty obwód jest jedną z najsmutniejszych dzielnic Zawiercia. Dzielnica ta nazywa się Argentyną. Jak Warszawa ma Pragę i Annopol, tak Zawiercie ma swą Argentynę. Ale żadne chyba miasto w Polsce, poza Łodzią, która ma swoje Bałuty, nie ma takiej drugiej Argentyny.

Chcieliśmy zobaczyć jeden z domków na Argentynie. Opiekun trzydziestego czwartego obwodu zaprowadził nas do jednego z domków przy ulicy Polskiej. W domu tym mieszka dziewięć rodzin. Odwiedzamy wszystkie po kolei. Na parterze mieszka duża rodzina, rodzice z córkami, zięciami i wnukami. Zajmuje pokój i przedpokój. W jednym pokoju śpi jedenaście osób. Stoją trzy łóżka i kołyska. W kołysce tej śpi dziecko zięcia gospodarza. Dziecko to ma pięć miesięcy. Maleńka kruszyna z śmieszną kępką włosów na główce domaga się pokarmu. Matka nie może go dać. Jej pożywienie składa się z kartofli i wody. Dziecko kaszle. Kartofle w tym domu jada się trzy razy dziennie. Chleb, który otrzymuje ta duża rodzina, wystarcza na dwa tygodnie.

Dziecko domaga się pokarmu! Bezradna matka daje mu smoczek, to je uspokaja. Rozglądamy się po pokoju. Jedynym meblem jest kredens. Szafy w tym pokoju nie ma.

Wszystko, co lokatorzy tego pokoju posiadają, mają przecież na sobie. Ale to, co mają, pielęgnują. Granatowe bluzy i suknie w kwiaty są zachowywane starannie.

W tym pokoju nie ma kuchni we właściwym znaczeniu. Jest natomiast zmontowany przez mężczyzn piecyk prymitywny. Składa się z trzech nóżek, jak piecyk polowy.

Rozmawiamy z lokatorami mieszkania i słuchamy ich żalów. Dowiadujemy się, że ojciec tej rodziny pracuje w jednej z fabryk żelaza sezonowo dwa do trzech miesięcy. Jeden zięć pracował trzy dni w tygodniu, drugi zięć utrzymuje się z zasiłków opieki społecznej. Najmłodsza córeczka od trzech dni nie była w szkole, nie ma butów i siedzi w domu. Syn, chłopak szesnastoletni, w ogóle jeszcze nie pracował.

Gdyby go zapytano, jaki był i jaki jest jego zawód, odpowiedziałby: „Bezrobotny!". Żałuje, że sam nie może sobie nic sprawić. Dostał właśnie od dobrych ludzi parę butów, ale oba z lewej nogi. Lokatorzy tego mieszkania mówią, że czekają zmiłowania bożego.

Kiedy tak gawędzimy, z sąsiedniego pokoju dochodzi śpiew. Ktoś śpiewa smętną melodię.

– Kto to? – pytam.

– To sąsiad. Śpiewa z biedy.

Na drewnianym półpiętrze, którego podłoga i sufit zrobione są z desek, mieszka pan Stanisław. Duży pokój, do którego wchodzimy, zamieszkuje osiem osób; pan Stanisław z żoną, z sześciorgiem dzieci; dwoje jest dorosłych. Pan Stanisław pracował „na robotach publicznych". Wszystko, co oszczędził, wydał. Dziś nie ma nawet za co kupić butów dzieciom. Właśnie stoi przed nami dwóch małych chłopców bez butów. Pan Stanisław nie ma też za co kupić prześcieradeł i poduszek. Sprzedał je, żeby mieć za co żyć. Wszystko, co mu zostało, to kapelusz i płaszcz. Zwisają one z gwoździa wbitego w ścianę. Marzeniem pana Stanisława było, aby dzieci wykształcić.

Marzenia tego nie wyrzekł się po dzień dzisiejszy. Najstarszy syn Stanisław jeździ do seminarium nauczycielskiego do Sosnowca. Tyle, ile mu potrzeba na stały bilet kolejowy miesięczny, to jest dwanaście złotych, przysyłają mu ze wsi krewni z powiatu olkuskiego. Na dwanaście złotych składa się praca wszystkich krewnych pana Stanisława. Jest on faworytem rodziny. Jego siostra Krystyna skończyła lat czternaście. Zdała egzamin do czwartej klasy gimnazjum w Zawierciu; wobec tego, że egzamin zdała celująco, dyrekcja szkoły zgodziła się, by płaciła tylko piętnaście złotych miesięcznie. Pan Stanisław jednak nie mógł sobie na to pozwolić i panna Krystyna pozostała w domu.

Słucha właśnie opowieści ojca o swojej sprawie i cicho popłakuje w kącie pokoju. Ale pan Stanisław nie traci nadziei, że będzie lepiej. Ma dzieci, dla których chce pracować. Jest mu ciężko i smutno, ale przecież i on ma swoje słońce: dzieci! Najmilszym jego słoneczkiem jest bose maleństwo, na imię mu Kazio. Kazio ma cztery lata, wesołe oczy i najmilszy uśmiech dla ojca.

Kazio uśmiecha się, gdy go pytamy, czym się odżywia.

Odpowiadają za niego rodzice:

– Kartoflami, kapustą, chlebem.

Kazio wielu rzeczy nie widział jeszcze. Nie widział na przykład cukru. Jego rodzice wierzą jednak w Boga i w dobrą gwiazdę swego dziecka.

– Kaziowi musi być dobrze!

Przechodzimy do sąsiedniego pokoju. Do pustego mieszkania, które zajmuje kobieta imieniem Waleria. Porzucił ją mąż. Nie dlatego, żeby ją przestał kochać, lecz by jej umożliwić otrzymywanie zasiłków dla bezrobotnych. Jak się to stało? Mąż pani Walerii pracował „na robotach publicznych". Pewnego dnia podczas pracy skaleczył oko. Otrzymał z tego powodu zasiłek w wysokości siedemnastu i pół złotego miesięcznie. Oczywiście został równocześnie zwolniony z pracy. Zgłosił się do funduszu pomocy bezrobotnym, ponieważ już nie pracował, ale ukrył przed „władzą", iż otrzymuje odszkodowanie z powodu skaleczenia oka. Tak otrzymując zasiłki z powodu skaleczenia oka i żywność z opieki społecznej, radził sobie z żoną i dwojgiem dzieci. Przyszedł jednak smutny dzień. „Władza" dowiedziała się, że bezrobotny ukrył przed nią fakt otrzymywania zasiłku z powodu skaleczenia oka. Prawo do żywności społecznej było stracone. Siedemnaście i pół złotego nie wystarczyłoby na życie dla czterech osób. Racje żywnościowe były niezbędne dla wyżywienia rodziny. Mąż pani Walerii uciekł, aby umożliwić żonie otrzymywanie zasiłków.

I teraz żona otrzymuje racje żywnościowe. „Władza" zgodziła się uznać ją za wdowę po ucieczce męża. „Sprawiedliwości" stało się zadość! „Sprawiedliwości!"...

Na klatce schodowej półpiętra mieszka jeszcze inna pani Waleria z dzieckiem. Ta kobieta od półtora roku nie wstaje z łóżka. Straciła władzę w nogach. Jej pokój powstał przez przepierzenie ściany i klatki schodowej. Pokój ten ma dwa metry kwadratowe. Mieszka w nim pani Waleria z sublokatorką, cztery osoby gnieżdżą się razem. Dwie matki i dwoje dzieci. Pani Waleria jest właścicielką tego mieszkania, siedzi na swym żelaznym łóżku. Jej sublokatorka łóżka nie ma. Lokatorzy tego pokoiku są na utrzymaniu opieki społecznej.

Na parterze w mieszkaniu, które przedtem było sklepem, a do którego prowadzi z ulicy wejście, mieszka sześćdziesięciotrzyletnia żebraczka; ma dwoje dzieci, dwudziestotrzyletnią córkę i dwudziestojednoletniego syna. Wszyscy mieszkają oni razem. Stara kobieta jest babką. Ma rocznego wnuka. Opiekun trzydziestego czwartego obwodu jest jedynym człowiekiem, którego lokatorzy tego mieszkania wpuszczają do siebie. Mój towarzysz zapukał do nich i powiedział:

– To ja, Dziąbek, otwórzcie.

Stanąłem w drzwiach. Stara kobieta siedziała ze swoją córką i wnukiem na łóżku. Młody mył się w balii. Wrócił z „biedaszybu".

Dziwne rzeczy opowiadano mi o tej rodzinie, dziwne rzeczy opowiadano o młodych i dziwnie mi było, gdy tych opowieści słuchałem. O starej powiedziano mi, że pomaga swym dzieciom, żebrząc.

Takie były nasze rozmowy z lokatorami domku na Argentynie. Ale nie były to wszystkie rozmowy. Odwiedziliśmy bowiem również właściciela tego smutnego domu i on bowiem zajmuje pokój w swoim domku, i on jest jego lokatorem, i on jest na utrzymaniu opieki społecznej.

Właścicielem domku przy ulicy Polskiej jest pan Roch. Ma żonę i dwoje dzieci. Weszliśmy do jego mieszkania. Leżał właśnie w łóżku, nakryty niepowleczoną pierzyną. Przez zsunięte na nos okulary czytał książkę. Pan Roch ma dziś lat siedemdziesiąt. Przez wiele lat pracował jako robotnik. Był monterem w fabryce „Zawiercie". Przez wiele lat oszczędzał i tak doszedł do pięciu tysięcy złotych. Czas było pomyśleć o zabezpieczeniu starości. Kupił ten oto domek, który zwiedziliśmy. Było to pięć lat temu. Aby się dobrze zabezpieczyć, powynajmował mieszkania robotnikom. Spokojną starość budował na komornym, które miało regularnie wpływać od lokatorów. Dwa lata potwierdziły jego obliczenia, ale potem zaczął się kryzys i redukcje. Pan Roch wyprzedał prześcieradła, powleczenie, szafy, ażeby wyżyć. [...]

Pan Roch ma jednak nadzieję, że mimo swych siedemdziesięciu lat znowu dożyje szczęścia. Tymczasem szuka pociechy w Bogu i w książce religijnej, którą właśnie czyta.

Kiedy opuszczaliśmy dom pana Rocha, opiekun trzydziestego czwartego obwodu zapytał mnie, czy chcę, by mnie zaprowadził do innych jeszcze lokatorów przy ulicy Polskiej. Tych domków na Argentynie jest wiele. Są one bezładnie rozrzucone, jak wszystkie zresztą domy w tym mieście, którego serce słabnie coraz bardziej.

Szliśmy w milczeniu. Padał śnieg. Niebo było koloru szarej waty.

– Czy chciałby pan obejrzeć – mój towarzysz ponowił po chwili pytanie – inne jeszcze domki?

Odparłem:

– Nie, dziękuję.

I rozpoczęliśmy rozmowę na temat przyjścia z pomocą Zawierciu – miastu bezrobotnych. Mój rozmówca zdaje sobie sprawę z tego, że finanse miasta są więcej niż skromne i że trudno posiadanymi pieniędzmi przynieść skuteczną pomoc bezrobotnym. Mimo to jest on zdania, że należałoby sumy przeznaczone na pomoc bezrobotnym powiększyć. Dobrze wie, że skarb państwa ma inne wydatki i że opieka społeczna nie może zjadać pieniędzy państwowych, ale myśli, że na pomoc dla bezrobotnych Zawiercia muszą się pieniądze znaleźć. Muszą! Poza tym jest zdania, że należałoby przynajmniej cztery tysiące bezrobotnych przenieść z Zawiercia do innych miast i dać im pracę.

A więc pieniądze i praca mogą uratować Zawiercie.

Pieniędzy i pracy dla Zawiercia! Chleba i pracy dla Zawiercia!

Serce Zawiercia powoli bić przestaje.

Save our souls! Oto modlitwa tonących na morzu.

sos. Te trzy tragiczne zgłoski przejmują radiostacje będących na morzu okrętów i przekazując je innym – śpieszą na pomoc tonącym, śpieszą, by zdążyć na czas.

sos. *Save our souls.*

„Boże, zbaw nasze dusze".

Oto treść codziennej modlitwy, wydobywającej się z piersi tysięcy bezrobotnych tego smutnego miasta – Zawiercia.

Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór J. Dąbrowski, wstęp Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1962, s. 506–517

1938

Melchior Wańkowicz (1892–1974)

Produkuję poczucie psychiczne obywatela

> Rasa pisarza, jego temperament, duma narodowa, optymizm – szczerością tchnący – stworzył nowy polski typ reportażu przemysłowego. I to jest bezsprzeczną zasługą Wańkowicza – ta jak gdyby pionierskość jego reportażu.
>
> B. S. S. w „Kurierze Warszawskim", 19.01.1938 r.

> Książka chwyta swoją werwą pisarską. Jest to pierwszorzędna pomoc dla nauczyciela Polski współczesnej.
>
> Z. K. w „Wiadomościach Historyczno-Dydaktycznych" 1938, nr 2

> Jest to entuzjazm na rzecz dynamizmu polskiego.
>
> Adam Uziębło w „Narodzie i Państwie", 6.02.1938 r.

> Wizja Polski szczęśliwej, Polski przyszłości ujęta w ów tak dobrze znany styl wańkowiczowski; styl dramatyczny, wibrujący, ekspresyjny; styl stwarzający nową koncepcję pisania o sprawach ekonomicznych w Polsce.
>
> „wi" w „Kurierze Porannym", 14.01.1938 r.

Jak widać, cykl reportaży Melchiora Wańkowicza o budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego rzucił na kolana wszystkich. W ciągu roku wyszły cztery wydania *Sztafety*, poprzedzone broszurą *COP – ognisko siły*. Był to nie tylko reporterski fresk o tworzeniu się nowego centrum przemysłu, ale i syntetyczny obraz wysiłku Polski po 1918 roku, która nadganiała gospodarcze zapóźnienie.

> Dlatego czując temat jak narastanie nowego słoju w drzewie narodowym, dałem tej mojej książce tytuł *Sztafeta*. Jutro już ta sztafeta będzie dalej niż książka, pojutrze jeszcze dalej.

W czwartym wydaniu, które ukazało się na chwilę przed wybuchem drugiej wojny, Wańkowicz napisał, że trzy poprzednie nakłady, które rozeszły się w kilka miesięcy, wskazują, jak bardzo czytelnik potrzebował wiadomości o „polskiej planowanej pracy".

> Kraj jest spragniony, by go przeorała praca. Praca ma tę cudowną właściwość, że przyda się każdej orientacji, każdemu rozwiązaniu. Kto pracuje – rzadko błądzi. I zawsze zdobywa tytuł – jakiego jest wart.

W czwartym wydaniu jest w spisie treści element, którego nie ma w wydaniu najnowszym, z 2012 roku. Otóż każdy rozdział opatrzony jest hasłem

precyzującym, czemu jest poświęcony: *Praca*, *Sandomierz*, *Energia wodna*, *Stal*, *Ruda*, *Celuloza*, *Nawozy sztuczne*, *Myśl gospodarcza*, *Teletechnika*, *Wytrwałość* itd. Wańkowicz oświadczył, że tymi reportażami on sam także produkuje cenny surowiec: poczucie psychiczne obywatela.

Sztafety w Polsce Ludowej nie wznawiano, ponieważ sławiła sukcesy gospodarcze II Rzeczpospolitej. „Przemilczana w PRL-u książka Melchiora Wańkowicza o polskim pochodzie gospodarczym" – reklamuje ją wydawnictwo Prószyński i S-ka przy okazji najnowszego wydania. Nie jest to do końca prawda.

Owszem, w PRL-u nie eksponowano *Sztafety*, w przeciwieństwie do innej przedwojennej książki Wańkowicza – *Na tropach Smętka* z 1936 roku, która była na rękę władzom, gdyż mówiła o polskości Prus Wschodnich. *Sztafeta* nie była jednak całkowicie przemilczana. Krzysztof Kąkolewski we wspaniałym wywiadzie rzece z Melchiorem Wańkowiczem z 1973 roku mówił, że to książka, którą lubi najmniej, że pisarz stał się dzięki niej prekursorem socrealizmu i reportaży produkcyjniaków. W latach 1949–1955 „wszyscy chcieli stworzyć podobne dzieło". Za to Ryszard Kapuściński pisał w 1974 roku w „Kulturze", że jest to jedna z jego ulubionych książek Wańkowicza. I powtarzał za nim, że reporter nie powinien bać się cyfr. Dzięki Wańkowiczowi dowiadujemy się na przykład, że masa betonu użyta do konstrukcji zapory wodnej jest równa trzystu kamienicom. Tony, hektary, metry, ceny – to wszystko jest ważne. „To ma swoją wymowę, ma znaczenie, i dla tych, którzy tworzą kraj, i dla tych, którzy czytają".

Sam Wańkowicz, który uwielbiał z siebie kpić, kolportował o *Sztafecie* taką anegdotę:

> W 1920 roku przyjeżdżam do powiatu wołżyńskiego i widzę kozę.
> W 1921 roku przyjeżdżam, widzę dwie kozy i raduję się, że pogłowie wzrosło o sto procent.

„Polska jest skazana na wielkość" – taka myśl unosi się nad *Sztafetą*. Wańkowicz ubolewa, że nie mamy – tak jak wielkie imperia – własnych kolonii w Afryce. Bez nich „nasze dążenia będą połowiczne. Będziemy zależni w najżywotniejszych interesach od innych". Dlatego też w ostatniej chwili przed wydaniem książki dodał rozdział o zajęciu Zaolzia w 1938 roku, które nazwał „egzaminem z naszej polityki zagranicznej". Po latach zdystansował się od tego.

Prezentowany w tej antologii rozdział *Sztafety Na co koza rogi ma* opatrzony był w wydaniu z 1939 roku hasłem o nieco innym charakterze niż *Sztuczny kauczuk* czy *Obrabiarki*.

Ten rozdział miał podtytuł *Człowiek*.

Na co koza rogi ma

Dziesięć milionów ludzi na samej roli nie dojada i nie dopracowuje. Dziesięć milionów ludzi na samej wsi, bezrobotnych urzędowych, zarejestrowanych miejskich nie licząc, jest materiałem martwym, którego nie dźwigniemy, który nie nadaje się na obywatela, bo go trzeba odżywić, dać mu jaką taką nadwyżkę w dochodzie społecznym na to, by był w stanie choć coś nie coś pomyśleć o sprawach wybiegających poza zakres najprymitywniejszych zwierzęcych potrzeb.

I oto – zdarzył się Centralny Okręg Przemysłowy. Pięć szóstych Polski jest poza jego granicami, ale marzy o nim, podnosi głowę, czeka lepszej przyszłości, rewiduje sąd o Polsce.

Czyż nie są charakterystyczne listy, które na przykład otrzymałem z Wileńszczyzny i Nowogródczyzny, z tego „kurytarza traktatu ryskiego", z tego kikuta obciętego, który wznosi Polska w pustkę rojstów[1], w bezmowę trzech granic, z których dwie dotąd są tak jak zamknięte, a trzecia prawie martwa.

Od chłopa ze wsi Cerkiewnej gminy Szczorse powiatu nowogródzkiego, Pawła Monicza, którego nie znam, otrzymuję list:

> Nie mogłem wytrzymać i do końca przeczytać Pańskiego dzieła, aby nie zwierzyć się, że byłem w złym zrozumieniu o wszystkim mnie otaczającym.
>
> Rumienię się ze wstydu, przetrząsając w pamięci swoje błędne domysły, wirujących w ciemnej głowie. Szukałem zawsze winnych poza sobą, a siebie liczyłem zawsze oszukanym, skrzywdzonym, poniewieranym przez wszystkich, nawet tych, którzy spełniali swój obowiązek. Nie wiedziałem, że płaceniem przez ojca podatku za swój grunt wspomagamy tym rozwojowi Państwa, budujemy lepsze jutro dla takich samych jak ja. Myślałem, że nasz podatek idzie tylko na pensje urzędnikom. Nie widząc rozwoju w swej wsi, nie mogłem tak nie myśleć, a wytłumaczyć o tym nie było komu.
>
> W roku 1927 zbudowany został na rzece Niemen duży most. Przedtem, wiosną lub przy wezbraniu rzeki, prom nie chodził i nie można było przejechać furmanką. Lecz ludzie nie widzieli w zbudowaniu mostu wygody dla siebie, lecz mówili tylko, że zarobił inżynier. Ciemnota rozpościera swoje skrzydła nad naszymi wsiami, z czego korzystają szkodeczne elementy.
>
> Pozostaję z dobrą nadzieją i poważaniem
>
> Monicz Paweł

[1] Rojsty – bagnisko porośnięte mchem, torfowisko.

Michaś Maszara, dwuhektarowy gospodarz z powiatu dziśnieńskiego, to nie jest poeta ludowy regionalny, chłopska osobliwość, jak nasz Kuraś albo mazurski Kajka. Wydał szereg dużych poematów – wymieniamy się książkami: ja mu posyłam swoje, w które wydawcy wkładają cały kunszt – on w zamian mi śle ubogie tomiki, niedające zysku, wydrapane pazurami.

Zastałem Michasia Maszarę w tym roku w polu, tak jakby o sobie napisał ten wiersz:

W białej koszuli lnianej
Wyszedłem z siewnią na rolę
I sieję owies złoty
Na rozpachnione pole.
Bułany koń w ślad skibą czarną
Brnie jak mój wierny cień
Szeroką ręką miotam ziarno,
Idąc w słoneczny dzień.
Słońce przenika włosy,
twarz, piersi, nogi, ręce.
Stopy – w świeżości mam rosy
Duszę – spieczoną w udręce.

(Wiersz jest w istocie wiele lepszy. Nie mam kogo prosić o przetłumaczenie z białoruskiego).

Michaś Maszara siedział w swoim czasie za sprawy białoruskie w więzieniu na Łukiszkach. Pisał do mnie o swoich troskach i sprawach i w liście tym tak pisze o mojej książeczce o COP-ie:

> Jest to pyszny poemat na powitanie nowych czasów. Tym budowniczym zasyłam szczere pozdrowienia i całym sercem łączę się z nimi.

Napisali też do mnie dwaj osadnicy.

Osadnik Kostrzewski, spod Chocieńczyc, mieszkający przy samych drutach granicznych, pisze ze znamionującą go żywością:

> Dziwi mnie tylko jedno, a mianowicie, że dopiero teraz wobec tak wielkiej propagandy całego świata, a szczególnie Sowietów o różnego rodzaju „Dnieprostrojach”[2], dopiero wychodzi teraz tak cenna książka.
>
> Książka uczy, że jest dużo zapalonych budowniczych, inżynierów, krzyczących mimo wszystko z wymachiwaniem czapek „Jest, cholera, jest” zdanie z książki, a choć nie mają oni dyplomów, to gdyby jednak wyszukano,

[2] Dnieprostroj – wielka elektrownia wodna na Dnieprze.

wygrzebano ich z szarych kątów, w jakie się ich spycha – o jakżeż wówczas budowaliby oni wielką, wspaniałą Polskę.

Z powodu tych wieści o Centralnym Okręgu Przemysłowym napisał do mnie jeszcze jeden korespondent: Piotr Krzywiec z wilejskiego powiatu, ze wsi Zajelniaki.

Ten Krzywiec, tak jak i Monicz, jak i Maszara, siedział już w więzieniu za dawanie zbyt wielu pytań. Ale wszyscy oni mają czujące serca i myślące głowy.

Z listu Krzywca, jak i z listu Monicza, przebija żal, że tak długo nie wiedział o rzeczach, o których powinien był wiedzieć.

Nikt nigdy nie mówił, że istnieją w Polsce takie dzielnice. Starano się Polskę przedstawić w kolorach sztucznych...

Czytałem książkę Katajewa pt. *Naprzód czasie*[3], podobną nieco do Pańskiej. Ale Katajew stawia na pierwszym miejscu rekord, budujący się zlepek przesiąknięty sabotażem. Tam robotnik nagania do pracy inżyniera, u Pana inżynier jest arterią ciała pracującego, a całe dzieło jest czynem całego narodu.

Krzywiec pisze, że w 1932 roku chodziła w ich stronach po rękach książka o budownictwie sowieckim. „Wszyscy wspólnie powiadali: »A u nas co?«".

I wraca myślą do swojej ziemi:

Wiatr jęczy, skrzypi mroźna droga, jakieś głosy wołają: „Żyć warto, będzie lepiej!".

Żyć warto, będzie lepiej!... Oto bezpośrednia reakcja szarego człowieka na wieść, że się coś buduje, że się ku czemuś idzie.

Praca, idea pracy, szacunek dla tworzenia – to jest potężny magnes. Przyciąga on nawet tych, którzy siedzieli w więzieniach za tendencje odśrodkowe[4].

A jakże zmienia się człowiek w tej jednej szóstej Polski? Człowiek, który mieszka i pracuje na terenie COP-u? Bo przecież w ostatecznym rzeczy wyniku każdej sprawy tylko o człowieka chodzi.

Gdy rok temu przybyli pierwsi inżynierowie na teren COP-u, stawka robotnika zatrudnionego w lesie (bo innych robót nie było) wynosiła osiemdziesiąt groszy dziennie.

Gdy byłem w COP-ie w październiku 1937 roku, wszystko było jeszcze pod znakiem zapytania. Gdy teren odwiedzałem w lutym 1938, stosunki poczęły się ustalać. Pojechałem im się przyjrzeć latem 1938 roku; stwierdziłem, że

[3] Właśc. *Czasie, naprzód!*, powieść Walentina Katajewa o budowniczych Magnitogorska.

[4] Chodzi o przeciwników politycznych sanacji, osoby podejrzane o działalność wywrotową, działaczy nielegalnych lub zdelegalizowanych przez rządy sanacyjne organizacji osadzonych m.in. w obozie w Berezie Kartuskiej.

kanty spraw zarysowały się dosyć ostro, a przynajmniej dosyć wyraziście na to, aby o nich mówić.

Do wsi Zaleszany, dwanaście kilometrów od Sandomierza, trafiłem w niedzielę. W kościółku skończyła się właśnie msza.

Szary ludek wyległ na ulicę wsiową, wzdłuż której leżały rury gazociągu. Właśnie układanie ich doszło do wsi Zaleszany.

Wśród tłumu gapiącego się wzdłuż drogi nikt nie wie, do czego te rury mają służyć i na co są potrzebne. To są jeszcze ci, którzy pracowali za osiemdziesiąt groszy dziennie. Mają rzekomych swobód konstytucyjnych w bród, łącznie z prawem decydowania o losie kraju przez powszechne wybory, ale co to za rury idą przez wieś i do czego służą – nie wiedzą, choć tam przecie harmider z tej roboty trwa od paru tygodni.

Ci, co się zebrali przed budynkiem, w którym się mieści kierownictwo robót – już wiedzą, że mogą otrzymać pracę, już od jutra kilkunastu ich idzie do roboty. Otrzymają około dwóch złotych sześćdziesięciu groszy dniówki z widokami awansu.

W tym dniu, kiedy otrzymają pierwszą dniówkę – z martwego bloku dziesięciu milionów niedoludzi oderwie się znów jedna drzazga. Z drugiego boku osiada na tym bloku rokrocznie czterysta tysięcy nowego przyrostu. Ciężki jest wyścig ku Polsce, zamieszkanej przez pełnego obywatela.

Idę ku domkowi, w którym mieszkają spawacze. Spawacz – to najwyższa kategoria robotnika; trzeba mieć talent w ręku, aby być spawaczem; ale też i zarabiają do sześciuset złotych miesięcznie; nie dziw, że im się tak płaci; cóż by to było, gdyby te rury, przez które z takim ciśnieniem płynie strumień gazu, miały szczeliny w spojeniach.

Toteż spawacze, przeważnie młodzi chłopcy, noszą się jak primadonny. Mają od święta porządnie skrojone ubrania. Ci czterej – pochodzą z różnych części Polski: z Borysławia, ze Lwowa, z Zagłębia Dąbrowskiego i z Warszawy. Brukarzy COP sprowadza z Gdyni, rutynowanych robotników ziemnych znad Bugu, monterów ze Śląska i z Warszawy, murarzy aż z Iwieńca w wołożyńskim powiecie, kwalifikowanych metalowców z Poznania i Radomia. Tak wszystkie ręce z Polski budują jej serce.

Karczmarka Żydówka, do której zaszliśmy wypić piwa, chwali sobie tych spawaczy, że spokojni ludzie, że oszczędzają i wysyłają rodzinom. Jakiś staruszek, borykając się z kapciuchem, uważa za stosowne wstawić swoje:

– Taki przybytni kwaternik (rozwodził się, jaki to profit wynająć kwalifikowanemu robotnikowi stancję), choć to niby robotnik, ale przyobleczenie ma ładne i po pajsku se żyje. Co dzień jada myiyso (!), i to nie takie proste, jęno

siękane z cybulą̨m i przyskworzone na obie strony, a przepijo toto wódkom. Mądre juchy, nie tak jak nasze chłopy, nicego se nie łodmówi i wi, że żyje na świecie. Nie śparuje grosa, bo go mo doś. Taki wi, na co koza rogi mo.

Gdzież obserwować zmiany, którym ulega ludność, jak nie w Pławiu. Pławo, zapadła wioseczka na lewym brzegu Sanu, którą ponoć trzysta lat temu flisacy założyli (stąd nazwa) – spała sobie w lasach od wieków wiecznych. Lud w tej wsi sam siebie nazywa lasowiakami i mówi zabawnym dialektem, na poły góralskim, na poły kurpiowskim.

Spała sobie wioseczka Pławo, żyjąc z lasu i z flisactwa. Na wielki dzwon przybijano na papierach pieczęć wsi; pieczęć z drzewa rzezana, wyobrażała flisaka; zakopcano ją nad świecą i przybijano do papieru.

Teraz tuż przy Pławiu wyrosły Zakłady Południowe. Miesięcznie około stu tysięcy złotych wpływa do kieszeni okolicznych wieśniaków za podwody, żywność i komorne. Sklepik, który na wsi posiadał według przeprowadzonych badań około stu złotych miesięcznego obrotu, dziś samych tylko artykułów monopolowych sprzedaje na kwotę ponad tysiąca złotych.

Gdzież zaczerpnąć języka, jeśli nie u miejscowego nauczycielstwa. Dobrze trafiam. Kierowniczka szkoły panna Trzeplówna prowadzi tę szkołę od piętnastu lat. Szkoła ta była zawsze jednoklasowa i dopiero niedawno z wielkim wysiłkiem przez gminę na trzyklasową rozbudowana.

Pokój nauczycielek (bo to i drugą siłę, pannę Koprównę, dodano) – a to poduszeczka, a to figureczka, jednym słowem – oświaty kaganek. Babinka jakaści na pogaduszce – ulatnia się sprzed przybyszów, którzy zwalili się autem.

Aut wprawdzie dużo obecnie przez Pławo furkocze, ale mają swoje wielkie sprawy; rwą w las, w którym staje największa huta...

A przecież to mieszkanko i ta szkoła to jak zatoczka, w której lubiliśmy się, będąc dziećmi, bawić pod wiosnę; kiedy wielka woda rwała rzeką, w zatoczce coś się burliło i piekliło; kiedy na rzece była piana, to i w zatoce; kiedy tam szła kra, to i w zatoce po brzegach stało lodowe szkliwie. A przecież łatwiej było w niej wyrozumieć samą istność wody; wychylały się pod powierzchnię jakieś wodorosty, przeświecało dno, łaziły jakieś stwory; wiosna się szykowała niby w obozie wypadowym i potem szła na rzekę, na wielkie wody.

– To nagle spadło, 1 kwietnia 1937 roku – mówi panna Trzeplówna. – Ponajeżdżało inżynierów i poczęli mierzyć; burzyli się ludzie, zwłaszcza kobiety. Zmawiały się siłą rozgonić robotników: że to serwitutowe lasy[5] Frankego zabiorą.

[5] Lasy serwitutowe – lasy na dawnych gruntach dworskich oddane w użytkowanie chłopom.

To było rok temu, kiedy wieś miała tysiąc siedemset pięćdziesiąt dusz wszelkiej płci i wieku. A teraz dwa tysiące ponad to luda doszło, przeważnie mężczyźni. Za kąt płacą po osiem złotych miesięcznie, więc za stancję ponad sto złotych za jedną izbę gospodarz otrzymuje.

Ciekawska kobiecina, którą spłoszyliśmy, wsuwa się znowu i przyłącza do rozmowy:

– Każda kobieta co sie tycy (?) ma po kilkoch na stole i daje im nocnik (nocleg) nie tylko w stancyi, ale i w komoze, w sopie, gdzie sie da. Za to człek jak jaki miesięcnik (biorący pensję co miesiąc) garnie piniondze.

Naturalnie te wzmożone dochody pociągają według kobiecinki konieczność wzmożonych wydatków:

– ...musi sie człek inacy ocharyzić (przyodziać), złotne zemby już robio – lepi pod śmiech psypadajo (ładniej w uśmiechu)... Endulowane znacy sie kandziorowate... gemby po ślachecku nakryte puzdrami (puzdro w ustach tutejszego ludu oznacza namordnik; kobiecina ma na myśli woalki).

– Właśnie – wtrąca panna Koprówna – nasi lasowiacy już coraz częściej stwierdzają, że „giupota (!) ubierać sie po wiesku". Ale bo też zarobki im się otworzyły!... Wie pani – zwraca się do panny Trzeplówny – ta gospodyni obok elektrowni za domek i stodołę zażądała trzydziestu tysięcy złotych. Sami nie wiedzą, ile żądać.

Przypomina mi się opowiadanie, które słyszałem od ministra Kwiatkowskiego i które się tyczy tych czasów, kiedy Mościce tak się budowały jak obecnie Stalowa Wola.

Trzeba było wykupić grunt. Dawano chłopom sąsiadom po dobrawoli cenę dobrą – nie chciały chłopy. Ciągnęły sprawę przez trzy instancje, przegrały sprawę w trzech instancjach, cóż teraz będzie, głupie chłopy, przymusowo trza oddać ziemię za kumiśną cenę.

Przyszły z delegacją do pana derechtora Kwiatkowskiego, sklamrzą. Nie chce tam chłopskiej krzywdy dyrektor Kwiatkowski, mówi do chłopskiej delegacji:

– Wybierta se jednygo gospodarza, ja drugiego, niech ta oni rozsądzą.

Co ta miały robić gospodarze, kiej mus i nie po dobrawoli?

Szepnął dyrektor Kwiatkowski słowo swojemu przedstawicielowi: że to Mościce nie zbankrutują – trza tam chłopom dać w sąsiedztwie półtora morga za mórg.

Osądziły tak rozjemce, a tu chłopy przychodzą, kłaniają się w pas:

– Straśno krzywdo – ich spotkała. I nic, tylko – straśno krzywdo...

Przyszedł na drugi dzień jeden, co trzy ćwierci morga miał. Już ta on

rozmyślił, bo to i z nowego miejsca wózkiem mu będzie wygodniej, którym pracuje przy fabryce, dojeżdżać, i zawsze o pół więcej ziemi dostanie.

Ucieszył się dyrektor Kwiatkowski:

– Idźcie w trzecie drzwi na lewo, do radcy prawnego, to z wami układ podpisze.

Mało wiela wraca chłop, drapie się w głowę. Że to zahaczył zapytać:

– Jak to będzie z onom wirzbom?

– Z jaką wierzbą?

– Ano z wierzbom żywicielką. Bo to kobieta z wiesny natnie gałązek, poplecie se koszyki i żyje z tego człowiek. Taka wierzba to lepszo jak świnia.

– No to cóż chcecie?

To on sobie kalkuluje tak: żeby gront za gront z tym, że to obiecane pan derechtur przyrzucą, boby (znowu) – „straśno krzywdo" beła. A za tę wierzbę to on i żona, i cztery dziecka do kuńca życia utrzymanie mieć powinni. Tak on sobie wykalkulował. Boby inaczej – „straśno krzywdo...".

– Z początku to szczyt marzeń było otrzymać grunt za grunt, bo bali się bezpłatnego wywłaszczenia – mówi panna Trzeplówna – a teraz to już się nie boją pieniędzy. Mówią: „Po co koniecznie grunt; weźmiemy pieniądze, zbudujemy kamienicę, będziemy mieszczanami".

Widać, że to jest aktualny w Pławiu konik – to różniczkowanie się społeczne, to przymierzanie się do nowych możliwości, bo Wolaninka (tak nazywają kobiecinę panie nauczycielki) wybucha skargami na żony robotników, które przyjechały do Pławia i odgrywają wielkie panie: ona, Wolaninka, sama stwierdziła, jak jedna taka kazała gospodyni statki po sobie myć. A to była zwykła „koźlarka" (mąż „koźlarz", to znaczy noszący w koźle na plecach cegły do budowy).

– Cy ty osalała? – perswadowała Wolaninka gospodyni. – Twój na kolei i psez telefon godo i inocy potrafi, a tu mos ty koźlarce usługować?

Do przemysłu, na wyższą pozycję społeczną, pcha się kto może. Po raz pierwszy jak świat światem fornale po okolicznych majątkach na 1 kwietnia w szeregu wypadków nie odnowili umowy rocznej, twierdząc, że pójdą szukać szczęścia w przemyśle.

W zatoczce szkoły to ruszenie wód odbiło się przybyciem trzydzieściorga siedmiorga dzieci pozamiejscowych (przy komplecie stu osiemdziesięciorga dzieci miejscowych).

Liczba ich będzie rosła szybko, bo teraz dopiero robotnicy importowani poczynają sprowadzać rodziny.

Autor cyklu artykułów w „Gazecie Polskiej" o społecznym obliczu COP-u pisze, że „te dzieci będą stanowiły o ostatecznym zatarciu wielu uprzedzeń

i różnic dzielnicowych". Zapewne. Na razie jednak obniżają, a nie podnoszą poziomu cichego dotąd ludu lasowiaków. Jest to element brudny, zapuszczony, hardy, rozlatany, mający najgorsze przykłady w kłębowisku ludzkim, które spłynęło na wieść o nowym eldorado. Panna Trzeplówna skarży się, że i miejscowe dzieci ogarnia newroza środowiska, że na przykład charakter pisma „zrobił się jakiś wariacki".

Ten stan rzeczy odbywa się obecnie na terenie całego COP-u. Uskarżał mi się wizytator Ministerstwa Oświaty, że wlano do obwodu szkolnego w Kielecczyźnie sto pięćdziesiąt etatów – wsiąkły jak atrament w bibułę i nic nie zelżało.

W Ćmielowie w ciągu paru miesięcy wlało się sto pięćdziesięcioro nowych dzieci.

W Benkowie koło Ostrowca mieści się już sześćset dzieci w jednym budyneczku; uczą się na dwie zmiany. Czternastoletnie dryblasy kurczą się w prokrustowych ławkach dla siedmiolatków.

Podobnie duże szkoły widziałem dwie, na dwóch krańcach Rzeczypospolitej. Ta w Tarnowskich Górach, na osiemset dzieci, pałac wspaniały, zajmujący cały kwartał miasta od przecznicy do przecznicy, o salach jak świątynie, o korytarzach, że czwórką by wykręcił. I ta w Stołpcach, niewiele mniej liczna, bo na siedemset dzieci – mieszcząca się w ruderce drewnianej siedmiopokoikowej. W tych klitkach, wiejących wszystkimi szparami (podczas mej obecności wyprowadzano kilkoro dzieci zaczadziałych czadem torfowym z pieców, w których się pali w bezsilnej rozpaczy), dzieci uczą się na trzy zmiany. Kierowniczka pokazywała mi pod zzieleniałym sufitem w korytarzyku okrągły grzyb wielkości głowy niemowlęcia.

Nie można powiedzieć, żeby Polska nie miała gradientów spadku kultury i zamożności z zachodu na wschód. Te gradienty ma wyrównać COP, który pono zbliży Śląsk z Kresami.

A w tym COP-ie?...

A w tym COP-ie w powiecie iłżeckim zwaliło się w ciągu kilku miesięcy z Francji tysiąc reemigrantów z dziećmi.

W Radomiu trzeba by co najmniej siedmiu nowych szkół.

To samo wystąpi w widłach San–Wisła; na przykład w Rozwadowie o trzy kilometry od Pławia miejscowa szkoła powszechna jest rozrzucona w siedmiu rozsianych po miasteczku ruderkach. Dzieci skaczą jak żaby wprost z tych zgniłków zagrzybionych w błoto.

A co będzie z Mielcem? Przecież rośnie jak na drożdżach, ale o budowie szkół nie słychać.

A co będzie z Rozalinem? Robota nad dźwiganiem nowych kolosów trwa dniem i nocą, a w promieniu najbliższej okolicy rozsiane tylko jednoklasowe szkoły.

A Kraśnik? Całe miasto pod nim powstaje. Za ośmiokilometrowym płotem tętni budowa. Cóż poradzą na to ściekające się mrowie ludzkie szkółczyny przez Popowice, Skorczyce aż po Urzędów?

Najgorzej, że zwykle bogactwo przedsiębiorstw budujących nic nie da gminie, a więc i szkołom. Przedsiębiorstwa mają siedziby po stolicach i stolice od nich inkasują podatek gminny. Taki Ostrowiec nie może sobie dać rady z opanowaniem powszechności. Bogate przedsiębiorstwo siedzi w biednej gminie i nie partycypuje w jej troskach.

Ten stan należy szybko zmienić, bo odbije się na ogólnej sprawności. Przemysł niechętnie bierze robotników bez siedmiu oddziałów szkoły powszechnej, a tymczasem takich szkół niemal nie ma. Trzeba jak najszybciej podnieść kategorie szkół i wzmóc udział przedsiębiorstw w budżetach lokalnych gmin. Należy uregulować to w drodze specjalnej ustawy o powstawaniu osiedli robotniczych, podobnej do ustawy, jaka jeszcze obowiązuje w byłej dzielnicy pruskiej.

Należy wielkie baczenie położyć na oświatę pozaszkolną. Należy zdrenować, skomasować, zmeliorować grunt ludzki w Centralnym Okręgu, bo pocznie gnić albo dziczeć.

I znowu – doświadczalne spojrzenie w zatoczkę szkolną panien Trzeplówny i Koprówny.

Pewnego dnia obserwują wielkie poruszenie wśród pędraków. Wreszcie są tego widome skutki: zjawia się uroczyście w jednej z klas sołtys, dobrawszy sobie dla kurażu dwóch innych kolegów.

Delegacja długo stoi w progu, przestępując z nogi na nogę i wypychając się naprzód.

– No co? Czy da się powiedzieć?... – pyta ciało pedagogiczne.

Ciało pedagogiczne jest świadome różnych trudności. Czasem odpowiadają „Ni...". Wówczas ciało pedagogiczne podsuwa delegacji ołówek, ale i tu czasem sytuacja staje się bez wyjścia, skoro delegat oświadcza, że „jo ty jedny litery nie wim".

W danym wypadku daje się powiedzieć, aczkolwiek straszną rzecz. Aż szczecina blond jeszcze bardziej staje jeża nad piegowatą buzią pana sołtysa.

– Bo to, proszę pani, ten chłopak powiada, że orzeł biały to je polsko swynia.

Innym delegatom, skoro już to straszliwe słowo padło, przybywa animuszu:

– On już drugi raz tak... Na pirsze to my myśleli, co to na wrzecy (na żarty?).

Sołtys i ławnicy są oburzeni. W ciche życie lasowiaków wlała się mętna fala z całego świata, wnosząc do COP-u swoje nędze, obolenia, sceptycyzm, obtłuczenie po wszystkich ścieżkach bezrobocia Polski. Ciemnymi wieczorami grają harmonie po chałupach Pławia, płynie wódka, nikt nie zna swojej przyszłości, nikt nie umie obchodzić się ze swoim budżetem, który dziś mu urósł i nie wiadomo, jaki będzie jutro.

Chłopak, który tak szpetnie powiedział o orle, siedzi teraz na lekcjach sam jak sowa, bo inni nie chcą z nim siedzieć; ale ci inni przychodzą zwalniać się do nauczycielek z przyrzeczenia abstynenckiego. Teraz w przemysłowym Pławiu trudniej go dotrzymać, niż ongiś było dać.

W tym mętliku ludzkim jedna istnieje możność wprowadzenia ładu w stosunki – ta co zawsze i wszędzie na każdym szczeblu: hierarchia i kwalifikacje. Żeby nie było przypadkowych zarobków na zdarzonej kupce piasku, żeby miejscowy człowiek jak najdalszy szmat drogi uszedł od owych osiemdziesięciu groszy dniówki, żeby jak najwięcej umiał i jak najwięcej za rzetelną pracę zarabiał.

Kiedyśmy zwiedzali Mościce, minister Kwiatkowski mówił, jak to tu przy montowaniu zakładu pracowało sześć tysięcy chłopa, miało jednak pozostawać na stałe tysiąc sześciuset. Przychodzili więc prosić, by ich z dobrej woli i bez zapłaty pozostawiać na drugą szychtę. Chcieli się nauczyć, chcieli być robotnikami kwalifikowanymi. Ale z wolna ich ogarniała pasja, żeby wiedzieć więcej, lepiej. Zasklepiały się turbogeneratory, opancerzały się maszyny – i już nigdy nie mieliby zobaczyć tego cuda, jak się rodzi, niby żywa istota – życie maszyn.

Potem postanowili, że nie będzie między nimi analfabetów. Już dawno minął ten czas, kiedy do dyrektora fabryki przyszedł ostatni z analfabetów, stuknął buciorami i z dumą wręczył własnoręcznie wyślabizowany, wystękany, wypisany... utwór o wiośnie.

O Boże – jakżeż ta polska wiosna przemysłowa jest kulawa, jak naiwna, jak tuż-tuż z analfabetyzmu pochodząca... i jak urocza.

Do małej szkółki w Pławiu co dzień wieczorem ciągnie sznur tych, co pragną uczyć się pozaszkolnie. Nauczycielki uczą, uczą, aż im się w oczach ćmi, tylko szkodują sobie, że muszą wypalać własną naftę bez rekompensaty. To, że wypalają bez rekompensaty własne siły, nie przychodzi im do głowy.

Inspektor szkolny w Nisku, pan Ginter, pisze do mnie:

> Dążenie ludności do oświaty przez szkołę i kursy wystąpiło naprawdę ogromne. Ludzie wiedzą, że przybywający do pracy robotnicy z innych

okolic stoją wyżej pod względem kulturalnym – chcą im dorównać, a prócz tego łatwiej dostaje pracę człowiek mający lepsze świadectwa i kulturę. Stosunki oświatowe zmieniają się w terenie gruntownie na lepsze.

Zawodowe kształcenie i dokształcanie już rozpoczęto; każdy niemal większy zakład w COP-ie robi to na własną rękę. Prócz tego Poznań, najbardziej zasobna w fachowców dzielnica, idzie z pomocą. Zwiedzałem w Poznaniu roczny kurs dokształcający wykwalifikowanych pracowników fizycznych w przemyśle. To stąd pójdą ludzie do COP-u. Na siedmiuset kandydatów wyeliminowano do egzaminu trzystu, z tego zakwalifikowano siedemdziesięciu dziewięciu. Są to chłopcy do dwudziestu ośmiu lat przeważnie z wykształceniem siedmiu klas szkoły powszechnej.

Kiedyśmy siedzieli przy wspólnym obiedzie, mój sąsiad, chłopak z czupryną blond, w łatanym niebieskim kombinezonie (przyszli wprost od warsztatu), zwierzył mi się:

– Mamy za wiele ludzi do łopaty...

Dorzuciłem:

– I takich, co umieliby tylko w biurze przepisywać.

Chłopak sięgnął po chleb; została jedna tylko piętka wielgachna; przełamaliśmy się nią. Na pohybel niekwalifikowanym robotnikom i inteligentom. *Nazdar*[6] nauce.

Bo naszemu przemysłowi metalowemu w chwili obecnej brak czterystu pięćdziesięciu inżynierów. Bo politechniki polskie wydają rocznie sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt dyplomów, a ubytek roczny (śmierć, emerytura, przejście do innego zawodu) wynosi sto trzydzieści osób. Bo geologów poszukuje się ze świecą w ręku, bo armatorzy wnoszą podania o niepowoływanie na ćwiczenia oficerów i mechaników marynarki handlowej, których nie ma kto zastąpić, bo gminy wiejskie rozbijają się za jakim takim lekarzem, bo na dnie worka z zapasem nauczycieli ukazuje się płótno...

A niedawno z goryczą patrzono na nasz czterdziestotysięczny tłum akademików i, zda się, pytano: „Po co was tylu?...".

Jeszcze gorzej sprawa się ma ze średnimi i z niższymi studiami technicznymi. Za drogo nas kosztuje produkcja poszczególnego inżyniera, byśmy sobie pozwalali na tłumy niedojdów po politechnikach. Lepiej z nich zrobić za tańsze pieniądze dobrych techników, a techników też przesiewać i robić dobrych majstrów. Tak że reformę trzeba poczynać na wszystkich odcinkach, a przede wszystkim od dołu.

[6] *Nazdar* (czes.) – dzień dobry, witaj.

Słyszałem, że w pewnej fabryce w COP-ie kierownictwo zorganizowało kursy trzymiesięczne. Wszyscy robotnicy kończący te kursy z dodatnim wynikiem otrzymują specjalne premie, chociażby pozostawali na dawnej niekwalifikowanej robocie. Dodatek za „wyższe studia".

I znowu chwytam zanikający obrazek – przemówienie prezesa jednej z organizacji w pewnej wsi w COP-ie, które złośliwy przybysz, siedząc w kątku, wynotował *in extenso*. (Co za przybysz i co za prezes – ci, co byli, poznają, a zaś innym zasię). Prezesa bardzo przyciśnięto do muru i nie uchwalono mu absolutorium.

Oto fragmenty z jego mowy obrończej:

> Taki jeden z drugim zakuty żłób co wi? Czy zna się na księgach, pieczątkach, czy wie, co to jest aspolutorium, dezederat, despezyt i zamknięcie?
>
> Pirszy raz nie uzyskałem aspolutorium – był jeden taki markotent, znaczy co mu się markociło w zgodzie żyć. Ja oświadczyłem, że wyciągnę (konsekwencje? – przyp. mój). Danego markotenta proszę wyaprobować pojedynczo i ju! Albo ja coś znaczę, albo nie!
>
> Co się tyczy tej zabawy lasowej... Niejednokrotnie miałem sposobność namacalnie policzyć, ile kieliszków mieści się w litrze czystej. Doszedłem do przekonania, że ten interes można załatwić bezbloczkowo. Wyłoniły się jednakowoż takie incydenty, że dochód się rozleciał, ponieważ jeden z niepowołanych członków komitetu nie wyrównał swoich obowiązków względem tańcówek (pragnący tańczyć płacą za każdy taniec oddzielnie – przyp. mój). Doszło do takiego faktu, że zmuszono mnie zastawić mój własny zegarek akonto kredytów, które pozwoliłem sobie udzielić inspirowanym czasowo przezpieniężnym osobnikom.
>
> Gdyby nie ja, w kamforę by się organizacja już raz tego, jak się nazywa, rozsumowała się. Czy ja mało zrobił? Jak u nas nastała siła żeńska do pracy, to aby powstrzymać szacunek w zebraniach, wydałem rozkaz jednemu z członków zarządu, aby całkiem pojedyńczo czuwał na referencie wygłaszanym przez panią referentkę – itd.

Teraz przychodzi nowe życie z konkretami, które aż wołają o organizowanie się społeczne. Na skutek tego w ośrodkach nowej pracy powstaje szereg placówek spółdzielczych, które starają się zapewnić zaopatrzenie odbiorców w produkty nabywane bezpośrednio u źródła. Typ takiego prezesa niedouka, bajdurzącego górnym stylem i klecącego narzucone z góry organizacje pokazowe, będzie zanikał. Uwieczniam go tu, jak uwieczniłem szyld „tandyta" na wiejskiej chałupie COP-u w Leżajsku. Aby przyszli ludzie COP-u, którzy

już poczynają się formować, przeczytali z uśmiechem tę mowę pana prezesa i obejrzeli te problematy, które wywołały odmówienie mu... aspolutorium.

Zagadnienia człowieka w COP-ie, skoro już ten człowiek ma pracę, musi rozwiązywać nie tylko sprawę oświaty i kształcenia zawodowego, ale i sprawę zdrowia.

Chlubimy się największym przyrostem ludności w Europie, liczymy, że do 1955 roku będziemy większym narodem niż Francja, ale z pola naszego widzenia usuwa się ten straszliwy upust siły, jaki sprawia zły stan zdrowia ludności, ta gruźlica, zabierająca co siódmego człowieka i przynosząca strat w naszym majątku narodowym, według obliczeń Towarzystwa Przeciwgruźliczego, na sześć miliardów złotych rocznie, te choroby weneryczne, trzymające w swoich szponach koło dziewięciuset tysięcy ludzi, jaglica, żrąca oczy setek tysięcy po zapadłych wsiach, infekcje, epidemie, degeneracje, straszliwa danina płacona przez kobiety ginące jak bezradne zwierzęta w mękach porodowych.

To tu, w COP-ie, do którego dotacza się cywilizacja innego rzędu, którego człowiek z nagła jest przerzucany w całkiem obcy klimat, pod inne ciśnienie, to tu, w COP-ie, może powtórzyć się straszliwe żniwo chorób i wynaturzeń, przez które przeszła w swoim czasie chłopska ludność zagłębia naftowego.

W szpitalu w Rzeszowie i obecnie lokuje się na jednym łóżku po dwóch chorych, a jak dzieci – to i po troje. Przygotowalnia do operacji – miejsce, w którym lekarz się myje, wkłada biały fartuch, rękawice, maskę na twarz, odcina się od szatana infekcji i spraw jego – jest równocześnie... kancelarią. Jak za świętej pamięci przedpasteurowskich czasów. Chory, kiedy idzie leżeć na salę, oddaje ubranie na przechowanie rodzinie, bo w szpitalu ubranie szczury zjedzą; kiedy ma wychodzić ze szpitala, dopieroż się telefonuje, szuka krewniaków, aby oddali cenny i nieodzowny depozyt – dziurawe portki.

W Tarnowie – kiedy doktor Turschmid obejmował dyrekcję szpitala, sale były podstemplowane i pomimo że groziły zawaleniem, musiano w nich trzymać chorych. Trupiarnia latem wydzielała taki odór, że siostry mdlały.

...na jesieni, przy czynnej pomocy Wydziału Samorządowego, który wyasygnował trzysta tysięcy złotych, stanie pod dachem szpital w Rzeszowie na sto pięćdziesiąt łóżek.

W Sandomierzu aż do tego czasu obsługiwała chorych fundacja z czasów jednego z Piastowiczów, sprzed najść tatarskich, z roku pono 1221. Było tam też nędzne przytulisko dla chorych i *bric-à-brac*[7] wszelkiej filantropii i łataniny.

...od jesieni, dzięki znowuż subwencji stu tysięcy złotych Zakładu Ubezpieczeń, stara charytatywna buda zostanie przebudowana, będzie wyodrębniony

[7] *Bric-à-brac* (fr.) – tu: miszmasz.

oddział chirurgiczny, oddział dla interny, oddział rozpoznawczy zaopatrzony w laboratorium chemiczno-bakteriologiczne i pracownię rentgenologiczną.

Przy zakładaniu fundamentów pod te budowle znaleziono pod warstwą próchnicy leśnej kilkadziesiąt szkieletów ludzkich. Tak oto na kościach zmarłych i powyrzynanych przez Tatarów będą teraz pobłyskiwać nie ogniki fosforyzujące, ale rentgen.

W Tarnowie – Zakład Ubezpieczeń dał sto tysięcy złotych – dobudowuje się piętro, sam szpitalik rozbudowuje się na trzysta łóżek nowocześnie uposażonych.

W Tarnobrzegu – Zakład Ubezpieczeń dał sto tysięcy złotych – rozbudowuje się oddział epidemiczny.

Na tereny tonące w dzikości, po których uwijały się jeno babki „znające", wkracza, łącznie z formami przemysłowymi, ubezpieczalnia. Ubezpieczalnia, na którą tyle wygaduje pseudointeligent, nawykły do lekarza epoki liberalistyczno-kapitalistycznej, który przy sposobności dowiedział się o zdrowie pani dobrodziejki i któremu wstydliwie wciskało się do ręki honorarium przy pożegnaniu. Od tej strony oglądane lecznictwo społeczne się nie podoba. Ale spójrzmy na nie od strony tych rzesz biedaków: będziemy mieli inny obraz. To tak jak kiedy ktoś patrzy na zegar od prawej strony i widzi, że dwunasta będzie za minutę, a gdy ktoś od lewej – konstatuje, że już jest minuta po dwunastej.

Teraz w COP-ie tworzy się coś w rodzaju generałgubernatorstwa zdrowia. Bo też liczba ubezpieczonych rośnie w COP-ie w zawrotnym pędzie. Kiedy badałem te sprawy w maju 1938 roku, liczba ubezpieczonych w ubezpieczalni w Rzeszowie wzrosła z 10 377 w roku zeszłym do 15 550 w roku obecnym, a w ubezpieczalni w Tarnobrzegu z 9000 na 22 200. A przecież tymi liczbami nie są objęte liczne tysiące chłopów wożących żwir, piasek, drzewo itp. Stworzono komisarza dla trzech ubezpieczalni: Tarnowa, Rzeszowa i Tarnobrzega. Będzie on musiał tam stworzyć taką opiekę lekarską, jaką dziś zapewniają ubezpieczonym ubezpieczalnie krakowska czy poznańska.

Komisarz ma pełne ręce roboty w tym pustkowiu. Tworzy ośrodki zdrowia. Trzonem działalności poza szpitalnictwem jest opieka nad matką i dzieckiem – bo wszak od tego należy zaczynać. „Odfikcyjnia się" przychodnie przeciwgruźlicze, dając im rentgeny; bez nich były jak żołnierze za czasów ministra z czasów wielkiej wojny Suchomlinowa, których wysyłano do ataku bez karabinów – mieli tylko silnie wrzeszczeć.

W Pławiu – od Tarnowa czterdzieści kilometrów w stronę Krynicy – tworzy się kolonia wypoczynkowa dla robotników COP-u na sto miejsc.

W lasach, które spały od króla Ćwieczka, pojawia się nie tylko niesłychana rzecz – cegła. Ale równocześnie – lekarz z apteczką.

Bo to dla ciebie, wszystko, człowieku, dla ciebie, a nie dla maszyny, dla teorii, dla abstrakcji.

Na razie – z problemem człowieka jest diablo trudny dylemat, trudniejszy niż z niejednym rozwiązaniem technicznym (dlatego należy jak najszybciej znieść anachronizm, że całe dwanaście powiatów wchodzących w skład COP-u to kompetencja jednego inspektora pracy, rezydującego w Przemyślu). Wyłożył mi to obrazowo chłop, spotkany przy drodze. Zapytany, co myśli o tej całej budowie, podniósł oczy znad jakiegoś kijaszka, który obrabiał kozikiem:

– Świat sie kończy abo sie zacyno... Dzień i noc trajkoco jakieciś masyny akurat tam, kiej sie niedawno gzyby zbirywało (wierzę, że wówczas wystarczał ten jeden inspektor).

A o tym problemacie ludzkim powiada tak:

– W gazycie pisało, co teroz w kuzdej wsi mo być najmnij dwóch umętalowanych chłopów. W Sodomie i Gomoze to ponoś już dziewiąci sprawiedliwych zdybali, a u nos dobze sie sołtysi i wójci nasosom (?), zeby tych dwóch zdybać.

Startujemy z zagadnieniem człowieka w COP-ie.

O tym człowieku w Polsce tak pisał Szczepanowski: „Otóż biorąc rzeczy przeciętnie, nasz materiał ludzki tak się ma do materiału ludzkiego w Anglii, Francji i Niemczech, jak piasek, glina i słoma, z których lepimy nasze lepianki, mają się do ciosu i żelaza, z których wznoszą gmachy publiczne gdzie indziej".

Chciałbym, jeśli ta książka wpadnie w ręce młodym inżynierom i majstrom pracującym na terenie, żeby nie pominęli tego rozdziału. I pomyśleli, że ich rola nie kończy się w kreślarni albo w warsztacie i że dużo od nich zależy.

Melchior Wańkowicz, *Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym*, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2012, s. 313–339

1932

Antoni Słonimski (1895–1976)

Tropem ogłoszeń w gazecie

Ponieważ Bóg mu powierzył humor Polaków (tak jak księciu Józefowi Poniatowskiemu ich honor), nie sposób nie wspomnieć o jego błyskotliwości.

Felietony, które pisał dla „Wiadomości Literackich" od 1927 do 1939 roku, były często ciosami w serce narodu:

> Zaczyna się od uczenia na pamięć bardzo słabego wierszyka Konopnickiej pod tytułem *Rota*: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz". Jest to dość minimalne jako program polityczny, oznacza to bowiem, że każdy inny może nam pluć w twarz, aby nie Niemiec, i że Niemiec też może pluć, aby nie w twarz.

Recenzje, które pisał dla „Wiadomości" od 1924 do 1939 roku, były czasem nokautami, po których się nie wstaje, jak na przykład sławna do dziś najkrótsza recenzja świata z komedii Victoriena Sardou *Ćwiartka papieru*:

> To nie była ćwiartka papieru, to była rolka.

Kiedy krytykowano jego nieprzychylne podejście do stosunków społecznych w II Rzeczpospolitej i zarzucano, że widzi tylko ciemne strony, obiecał dodawać do swoich felietonów formułę „Mimo że Gdynia się rozbudowuje", w skrócie „M.ż.G.s.r.".

Wszystkie bitwy prasowe, które toczył, nazywał „bojami nad Bzdurą".

O swoim ojcu, który był znanym warszawskim lekarzem, autorem pracy o neurastenii płciowej i człowiekiem niezwykle dowcipnym, opowiadał:

> Wezwano kiedyś ojca do znajomego domu. Zachorowała młoda guwernantka. Gdy ojciec chciał ją zbadać, powiedziała: „Panie doktorze, przyznam się panu, mnie nic nie jest, ale oni mi nie płacą, więc na znak protestu położyłam się do łóżka". „Wie pani co – powiedział ojciec – niech się pani posunie, ja się też położę, bo oni mi też nie płacą".

Antoni Słonimski, poeta, krytyk i felietonista, stworzył też dla „Wiadomości Literackich" dramat w odcinkach, powieść w odcinkach, a także reportaż w odcinkach. Nie bez powodu pisze o nim Małgorzata Szpakowska, że pojawiał się w każdym numerze, czasem nawet w kilku osobach.

Otóż oprócz relacji z podróży artystycznych i egzotycznych w latach trzydziestych wyodrębnił się w tym tygodniku także nurt relacji z podróży

politycznych. Najgłośniejsze były trzy (wszystkie znalazły się w niniejszej antologii): Antoniego Sobańskiego z Trzeciej Rzeszy, Ksawerego Pruszyńskiego z Hiszpanii i Antoniego Słonimskiego z Rosji.

Współczesny wydawca *Mojej podróży do Rosji* zaznacza:

> Antoni Słonimski spisywał swoje wrażenia z podróży „na gorąco" w 1932 roku. Dziś niektóre jego sądy mogą się nam wydawać naiwne. Nie należy jednak zapominać o tym, że autor opisywał tylko to, co udało mu się zobaczyć podczas podróży, reżyserowanej przez sowieckich urzędników. Większość przeprowadzanych z Rosjanami rozmów toczyła się albo w obecności politruka, albo jego rozmówcami byli ludzie pokroju komsomołki Ziny. Tylko w nielicznych przypadkach autorowi udawało się wydostać spod kontroli oficjalnych „przewodników" i zamienić parę zdań ze zwykłymi obywatelami. [...] O odbiorze tej książki w Rosji świadczy zapis w *Kronikach Tygodniowych* [...]: „Od czasu książki *Moja podróż do Rosji* jestem na czarnej liście sowieckich urzędników. Proszą co pewien czas wszystkich literatów i karmią kawiorem, a ja za karę muszę siedzieć w domu".

Trzeba jednak pamiętać, że autor oglądał Moskwę i Leningrad jeszcze przed wielkimi czystkami. Napisał też otwarcie, że chce pominąć kwestię terroru politycznego. Nie będzie pisał o rozstrzeliwaniach bez sądu i Wyspach Sołowieckich, „gdyż są to niesprawdzone pogłoski, mimo że to, co widziałem w Sowietach, usprawiedliwiałoby wiarę w możliwość takiego okrucieństwa".

Co widział?

> W reportażach Słonimskiego najciekawsze bodaj są te fragmenty – pisze Małgorzata Szpakowska – w których udaje mu się docierać do rzeczywistego życia. Jak mieszkają ludzie radzieccy? Ruda przewodniczka prowadzi gościa do „domu komunalnego" – galeriowca w stylu Le Corbusiera, gdzie są wspólne kuchnie, pralnie oraz sale klubowe do użytku mieszkańców; lecz Słonimski widzi tam głównie brudne szyby, na dodatek zaś odkrywa, że oglądał nie osiedle robotnicze, lecz mieszkania przeznaczone dla urzędników. Aby zobaczyć normalne mieszkania, bierze się więc na sposób: z gazety wybiera ogłoszenia ludzi, którzy chcą sprzedać lub kupić jakieś przedmioty, i zgłasza się jako potencjalny kontrahent [...].

Opisuje niechlujność pracy sądów. Automatyzm orzeczeń, znudzenie urzędników:

Dwóch złodziei złapano na gorącym uczynku, o trzecim podsądnym nie wiadomo, czy w ogóle miał coś wspólnego z tamtymi; wszyscy trzej dostali takie same wyroki, bo po co komplikować sprawę? „Przy tak niechlujnym aparacie sądowym [...] każdy donos ma w sobie niebezpieczeństwo ostateczne" – pisze Słonimski. Groźny jest nie tylko terror polityczny: „Narazić się komuś znaczy to samo, co narazić się państwu, bo aparat karzący działa z pociśnięciem byle sprężyny".

Jak widać, Antoni Słonimski nie tylko notował to, co widział, ale od razu próbował zjawisko sowietyzmu syntetyzować. I w tym jego tekst przewyższa wiele reportaży podróżniczych z Rosji tamtych lat.

Moja podróż do Rosji

W wagonie

Dzień wlecze się powoli. Dopiero pod wieczór będziemy na granicy sowieckiej. Nie mogę czytać ani spać. Gdy wreszcie po przedwyjezdnej bieganinie przyszedł ściśle na zegarku oznaczony czas odejścia pociągu, gdy zostałem sam w przedziale kolejowym, ogarnęło mnie silne wzruszenie. Czy ta doba podróży przeniesie nas do kraju najbardziej różnego od reszty obcego nam świata, do ziemi obiecanej, do ojczyzny wszystkich ludzi pracy, twórczości i sprawiedliwości? Jakie będą twarze ludzi po tamtej stronie granicy, jakie będą ich oczy? Czy będą to twarze zdrowo uśmiechniętych robotników, budujących dla siebie fabryki Magnitogorska, czy zmęczone i wylęknione oczy ludzi stojących od świtu w ogonkach po chleb, sól czy naftę? Prócz bagażu, leżącego w siatce wagonu, bierzemy przecież ze sobą ogromny bagaż wiadomości o Rosji. Czy oblepieni jesteśmy kłamstwami prasy burżuazyjnej, czy też może okłamani przez propagandę sowiecką? Czy z tej podróży zdołamy wynieść jakąś prawdę istotną? Czy potrafimy zrozumieć, co czują tam ludzie, którzy rządzą, i co czują ludzie rządzeni? Kto wie zresztą, czy pytania, które sobie tutaj zadajemy, nie stracą swego znaczenia w Rosji i czy ich miejsca nie zajmą inne niepokoje? Czy jadę do kraju czerwonego terroru, czy do państwa żywego socjalizmu, o którym przecież każdy z nas marzył od dziecka? Kto wie, może za parę godzin znajdę się po drugiej stronie, gdzie wszystko jest jasne i zrozumiałe, gdzie zaczyna się kształtować naukowa organizacja życia! Powietrze takiego kraju musi być upajające. Męczy niemożność urobienia sobie, wypracowania obrazu, który nas czeka, a jest to cechą natury ludzkiej, że wychodzimy naprzeciw nieznanego z niepokojem. Przychodzą kolejno coraz gwałtowniejsze fale sceptycyzmu i entuzjazmu. I już nie jestem sam w przedziale. Jest nas trzech. Po prawej mojej stronie zasiadł, nogę na nogę założywszy, Sceptyk o bacznym i przenikliwym spojrzeniu. Pan ten ma w sobie coś nieprzyjemnego, ale nie można mu odmówić inteligentnego wyrazu twarzy. Po lewej stronie siedzi Entuzjasta. Już teraz przylgnął twarzą do szyby i wygląda z niecierpliwością nocy, za którą przyjdzie nowy dzień za granicą świata przeszłości. Wybaczcie, że ci dwaj będą nam towarzyszyli przez cały czas wycieczki do Rosji sowieckiej i że od czasu do czasu będą się wtrącali do rozmowy o tym, co zobaczyłem w najdalszej, najciekawszej i najtrudniejszej podróży życia. [...]

Wieczór w kinie

W największym kinie moskiewskim w gmachu dawnego cesarskiego konserwatorium wyświetlają film *Putiowka w żizń*. Obraz ten idzie od szeregu miesięcy. W ogóle produkcja sowiecka nie wystarcza i na całą Moskwę są teraz do obejrzenia tylko dwa filmy. Drugim filmem jest obraz na tle strajków niemieckich *Niech żyje Moskwa!* Filmów europejskich ani amerykańskich nie ma. Jest to wynik braku walut zagranicznych. Szkoda dolarów na sprowadzanie Chevaliera, gdy tak potrzeba maszyn i speców. Oczywiście, jest to też usprawiedliwione względami politycznymi. Władzy sowieckiej chodzi o izolację od wpływów Zachodu. Film, który głodnemu i obdartemu widzowi nie tylko mówi o zbytku gwiazd filmowych i wampów w piżamach, ale który prowadzi go na ulice wielkich metropolii i pokazuje warunki życia pracującego robotnika amerykańskiego, może mieć wpływ destrukcyjny. Wzbroniona jest tu „anarchia" filmów René Claira, a biedny lumpenproletariusz Charlie Chaplin mógłby tu najzupełniej niespodziewanie wzbudzić nie tylko wesołość, ale i zazdrość w widzach, którzy często nie mają nawet śmiesznych i za dużych butów Chaplina. W społeczeństwie pracy przymusowej, świętej i czczonej, nie ma miejsca dla samotnego włóczęgi. Aby być ścisłym, muszę zaznaczyć, że widziałem tu jeden niemy film z Olgą Czechową[1] w kinie na placu Arbackim. Obraz jest spreparowany napisami i służy do ukazania upadku i zgnilizny obyczajów mieszczańskich. Jeśli się u nas bardzo dużo kłamie o Sowietach, to przyznać trzeba, że kłamstwa te są obustronne. Brak filmów zagranicznych, brak prasy burżuazyjnej i monopol, który posiada państwo na udzielanie wszelkich wiadomości, wytwarzają zgodną opinię Rosjan o nędzy i terrorze panujących w krajach kapitalistycznych. Widok dobrze odżywionych i ubranych cudzoziemców, speców i turystów, tłumaczą pewnie ich przynależnością do klas uprzywilejowanych.

Szerokie, piękne i zbytkowne kuluary konserwatorium są przepełnione. Tłum się przechadza. Długimi szeregami idą mężczyźni, trzymając pod rękę dziewczyny. W marynarskich trykotach, w czapkach cyklistowskich, przeważnie bez kołnierzyków, marynarek, a czasem i bez butów. Ma to w sobie swoiste piękno. Te wielkie sale o lustrach w ramach złoconych, te poczekalnie, dawniej dostępne jedynie dla możnych i bogatych, otworzyły się dla całej biedoty i nędzy miejskiej. Tłum jest tu u siebie. Głodny wzruszeń, które daje sztuka, przynosi w zamian swój szczery entuzjazm i prawdziwą żądzę doskonalenia się. Dawniej po tych posadzkach przechadzały się wyfioczone damy i obwieszeni orderami oficerowie. Było tu targowisko próżności. Damy przyglądały się przez *lorgnon* toaletom, a panowie obnosili swe insygnia władzy,

[1] Olga Czechowa (1897–1980) – rosyjska aktorka pochodzenia niemieckiego.

demonstrując brylanty swych żon jak trofea. Tłum, który defiluje przede mną, nie po to przyszedł. A jednak kto wie? Może i tu jest jakaś parada toalet? Gdy zaczynam pod tym kątem obserwować przechadzające się pary, nabieram wątpliwości. Oto idzie jakiś Kałmuk w liliowej rubaszce i fantazyjnym kapeluszu panama. Kobieta w starym kapeluszu, ozdobnym w kwiatki, owoce, motylki, wstążki i piórka, podstarzałe widmo z umalowaną twarzą, patrzy ze śmieszną wyższością na otyłą damę w męskim szynelu. Oto widać jakiegoś wychudłego urzędniczynę w starannie wyprasowanych białych płóciennych spodniach, stukającego drewnianymi trepkami. Kobiety, które mają pończochy, patrzą z pewnego rodzaju dumną śmiałością na te, które mają tylko skarpetki. Kobiety bez skarpetek patrzą ironicznie na wyskarpetkowane. Patrzą ironicznie, ale patrzą. Gdzieniegdzie w tłumie kroczy dumnie chłop w skórzanej kurtce albo dandys współczesnej Moskwy – krasnoarmiejec. Czyżby się tak niewiele zmieniło? Po kuluarach konserwatorium promenują się stare instynkty, odarte z zewnętrznej świetności.

Przy drzwiach prowadzących do sali stoją dwa biusty, Bacha i Beethovena. Jakiś wyrostek próbuje przeczytać swemu towarzyszowi nazwiska wyryte łacińskimi literami. Wreszcie woła obcą przechodzącą dziewczynę:

– Te, przeczytaj...

Dziewczyna nie tylko przeczytała, ale i objaśnia chłopców, kim byli wielcy muzycy. Małego wykładu słucha już kilkanaście osób. Jesteśmy w kraju, gdzie panuje prawdziwy głód wiedzy, gdzie słowo jest chlebem, gdzie mówią więcej, niż jedzą i piją. Film *Putiowka w żizń* jest też wykładem dydaktycznym. Jest to historia nawracania *bezprizornych*, zdziczałych dzieci, których bandy do niedawna były postrachem ludności miast. Film pokazuje nie tylko sposoby wychowywania opuszczonych dzieci, ale jest też agitacją za wytężoną pracą brygad komsomolców i poglądową lekcją szkodliwości pijaństwa, lenistwa i anarchii w życiu zbiorowym. Obraz zrobiono znakomicie pod względem technicznym, aczkolwiek jako dźwiękowiec często zawodzi. Film jest bardzo piękny i mądrze przeprowadzony. Strona wychowawcza ani na chwilę nie ciąży nad dynamiką akcji. W tego rodzaju pracy artystycznej Rosjanie wydają się mistrzami. Rosja jest przecież krajem aktorów i reżyserów. Trzeba to wiedzieć i pamiętać o tym nie tylko w teatrze, ale i w życiu politycznym, gdzie niestety, te cechy narodowe nabierają często znamion kabotyństwa. Namiętność do wykazania się, przemawiania, ekshibicjonizmu psychicznego, spowiedzi i pozerstwa spotyka się tu na każdym kroku. Mam wrażenie, że mądra władza sowiecka nieraz potrafi te właściwości wyzyskać dla celów cywilizowania kraju. W tym filmie jak w każdej publikacji sowieckiej praca jest apoteozowana.

Ma się wrażenie, jakby nie było tu cichej i spokojnej pracy w laboratoriach czy fabrykach, ale jakaś praca wśród czerwonych transparentów na arenach oświetlonych reflektorami.

Godne podziwu są metody działania na tłum i pomysłowość w wynajdowaniu nowych zastrzyków zapału. Tego dnia w kinie widziałem, a raczej słyszałem mocny wyraz celowości tych wysiłków. W pewnym momencie, gdy na ekranie rozgrywa się walka komsomolców z pijanymi szkodnikami, gdy dzielni młodzi robotnicy rozbijają bufet z wódką, nagle gdzieś w kącie rozlega się huk. Po zapaleniu światła okazało się, że to dwóch młodzieńców rozbiło wielką butlę wódki pod wpływem agitacji filmu, na który pewnie przyszli z nadzieją urżnięcia się po kinie. Gdybym sam tego nie widział, uważałbym to za naiwną opowiastkę propagandową. Widzi się przecież tu wiele rzeczy prostych i naiwnych, które budzą sympatię. Oczywiście, nie można na ten temat rozmawiać ze Sceptykiem, bo ta bestia, gdyśmy wracali z kina, umyślnie przystawała i przyglądała się pijanym leżącym w poprzek ulicy. Z takich ludzi leżących na chodniku nic tu sobie nie robią. Tłum okrąża ich po prostu jak mrówki, które omijają spotkany na swej drodze patyk. Milicjant patrzy na to obojętnie.

Co jest w dawnych sklepach?

Gdy rankiem wymykam się z hotelu przed godziną umówioną na oficjalne zwiedzanie, przypominam sobie, że przed wyjazdem myślałem często o dawnych sklepach i wielkich magazynach. Co się tam teraz mieści? Nie ma przecież handlu prywatnego, a państwo nie może prowadzić tylu magazynów. Czyżby tam ludzie mieszkali? Czyż można mieszkać w oknie u Szczerbińskiego[2]? Muszą chyba zasłaniać te okna i cały dzień siedzieć w mroku. Już po przejściu paru ulic znajduję na to pytanie dość znamienną odpowiedź. W magazynach i sklepach po prostu mieszczą się urzędy. Za wielkimi szybami siedzą urzędnicy i przykładają stempelki do spiętrzonych stosów papierów. Przepisują kawałki, wkładają w teczki, rejestrują, kopiują, spinają spinaczami. Zamiast wędlin, butów, zegarków, kapeluszy męskich i wystaw konfekcji widzi się twarze wysuszone jak wędliny, plecy zgarbione nad aktami, całe tłumy urzędników, bo i tu jest wieczne przeludnienie. Tak. To fakt, który się da łatwo wytłumaczyć. Zniesienie handlu prywatnego i kontrola państwa nad każdym szczegółem życia obywatela musiały zatrudnić setki tysięcy i miliony tych, którzy nie produkują, nie handlują, ale agitują, pilnują, organizują i prowadzą kontrolę, aby nie handlowano. W niektórych sklepach mieszczą się teraz kooperatywy lub magazyny rządowe. Na wystawach widzi się często

[2] Petersburskie przedstawicielstwo Fabrycznego Składu Akcyjnego Towarzystwa Warszawskiej Fabryki Mebli Stylowych Z. Szczerbiński i K. Trenerowski.

napisy: „Butów nie ma". Okna wystawowe zarzucone są jakimiś słoiczkami i paczuszkami. Nieraz leżą na oknach sztuczne, zrobione z drewna rekwizyty. W sklepie państwowym, w jakimś Mostorgu do handlu mięsem i wędlinami, widziałem na oknie wystawowym drewniane szynki i salcesony pomalowane dość realistycznie. Przed sklepem z ubraniami stoi tłum w ogonku. Na stronie widać jakąś kobiecinę, która beczy. Opowiada coś, żywo gestykulując, ale nie rozumiem ani słowa. Pytam jakiegoś wyrostka, co się tu stało.

– To Tatarka – odpowiada – sprzedali jej papierowe ubranie dla męża. Głupia. Myślała, że za dwadzieścia rubli dostanie z sukna.

W tych wszystkich sklepach trzeba mieć *pajok*[3], sprzedają tylko na kartki. W handlu wolnym ceny są znacznie większe i towarów jest bardzo niewiele. Widzi się kramy ze sznurowadłami i tekturowymi szachownicami. Bez kartek można kupić w sklepach rządowych książki, antyki, różne używane sprzęty domowe, papierosy i gazety. Jest jednak sklep Torgsin, gdzie mieszkaniec Moskwy może wejść w każdej chwili bez żadnych kartek i kupić zarówno amerykańskie konserwy z ananasa, kiełbasę, masło, jak i jedwabne pończochy. Ale tylko za złoto lub dolary. Sklepy takie to wielkie magnesy, które wyciągają ostatnie złote opiłki pochowane na czarną godzinę. Rząd potrzebuje walut; przy pomocy tej przynęty wyławia ją z wygłodzonych obywateli. Sklep taki wygląda jak koszmarna gablotka z panoptikum. Jak miraż oazy na pustyni. I u nas przed Hirszfeldem[4] zatrzymują się ludzie głodni, pożerając wzrokiem białe majonezy i złote banany. Ale ostatecznie w Polsce, gdy człowiek głodny zarobi złotówkę, może zjeść kawał chleba białego z prawdziwym masłem i prawdziwą kiełbasą. Tu trzeba mieć walutę, a waluty kupić w Rosji nie można. Łatwiej ubogiemu przejść przez ucho igielne niż przez drzwi Torgsinu.

Gdy wraca się nad ranem, w ubraniu wieczorowym, z jakiegoś przyjęcia czy knajpy i spotyka się robotników idących do pracy, z uczuciem zawstydzenia podnosimy kołnierze, aby zakryć biały gors koszuli. Tu, w Moskwie sowieckiej, doznaję często podobnego uczucia zażenowania. Dla mnie, gdy mam walutę zagraniczną, znajdzie się w tym głodnym kraju masło, którego nie dostaje robotnik, i jajka, których nie dostają dzieci.

Pamiętam niedawno widzianą scenę w Warszawie. Policjant zatrzymał jakiegoś obrosłego brudem obdartusa z baraków, bez koszuli pod poszarpaną marynarką, i zabronił mu przejść ulicę Mazowiecką:

– To ty nie wiesz, cholero, że masz Solcem iść, a nie pchać się tu pryncypialną ulicą!

Oczyszczanie ulic z niemiłego oczom turysty widoku jest również stosowane w kraju zwycięskiego proletariatu. Widziałem identyczną scenę dnia

[3] *Pajok* (ros.) – racja żywnościowa, przydział.

[4] Warszawskie delikatesy braci Hirszfeldów, słynące z wykwintnych wnętrz i bogato udekorowanych wystaw.

22 maja bieżącego roku przed hotelem Metropol na placu Teatralnym. Przed werandą kawiarni hotelowej, jedynej zresztą kawiarni moskiewskiej, przystanęło paru bosych i oblepionych błotem, straszliwie wyniszczonych ludzi. Tych wynędzniałych proletariuszy przepędził policjant, krzycząc, że tędy przechodzić nie wolno, i każąc im iść najpierw do ciężkiej cholery, a potem niżej położonymi ulicami wzdłuż rzeki Moskwy. Obserwowałem niejednokrotnie, że władze sowieckie starają się drogę i miejsca postoju turystów zagranicznych oczyszczać z niemiłych widoków. Starają się, ale niezbyt gorliwie. Myliłby się ktoś, sądząc, że w Rosji panuje jakaś zupełnie sprawna reżyseria czy organizacja życia. Mam wrażenie, że nawet terror w stosunku do przestępców politycznych jest stosowany z okrucieństwem, ale i z dużą dozą niechlujności oraz przypadkowości.

Jedynym miejscem miasta prawdziwie pokazowym jest plac Czerwony, najładniejszy chyba plac na świecie. Mury Kremla oświetlone są nocą silnymi reflektorami. Niezwykłego uroku dodaje Krasnej Płoszczadi wypukłość terenu. Idąc od strony ulicy Twerskiej, widzi się wielkiej piękności cerkiew Wasilewską jak gdyby wyłaniającą się z morza. Zza wypukłości placu wystają tylko wschodnie turbany kolorowych kopuł bizantyjskich. Z okien mego pokoju mam piękny widok na tę cerkiew i na Kreml od strony rzeki. Słyszę u siebie nocą dzwony Kremla wybijające co kwadrans jękliwą melodię.

Nocy tej długo nie mogę zasnąć. Budzi mnie pierwszy brzask. Staję przy oknie. Nic jeszcze nie wiem. Nie silę się objąć rozumem tego małego wycinka życia, z którym się zetknąłem. Czeka mnie wiele wrażeń. Parę dni w Moskwie to przecież zaledwie pierwszy krok w tę dżunglę miejską pełną uroku, dzikości i melancholii. Nie próbuję rozumować. Na razie działa tylko moja wrażliwość.

Słyszysz za oknem szelest bosych stóp?
Płyną, jak widma, głowy w białych chustkach.
Idą mosty budować na zgliszczach i pustkach,
Strzeliste wieże, sieci dróg.

Nad rzeką Moskwą różowieje świt.
Błyszczy się fala. Wiatr dmie coraz chłodniej.
I na dachy cerkiewne i nad Kremla szczyt
Wschodzi znojny, upalny, żółty smutek wschodni.

[...]

Mieszkania moskiewskie

Przypuszczam, że członkowie wycieczek zagranicznych w podobny sposób zwiedzają domy i kluby robotnicze, szpitale, sądy czy urzędy, to znaczy te miejsca, gdzie można znaleźć pewien przekrój życia codziennego jednostki w Sowietach. Pewien jestem, że większość cudzoziemców zwiedza domy wypoczynkowe dla robotników, ale nie wiem, czy który zszedł do suteren, przeznaczonych na mieszkania robotnicze w Leningradzie. Wlazłem kiedyś w taki labirynt piwnic, zastawionych pryczami, i wydało mi się to podobniejsze do koszar, a raczej nawet do lepianek w okopach niż do ludzkiego mieszkania. Wlazłem tam pod pretekstem szukania jakiegoś robotnika cudzoziemca, którego nazwisko oczywiście zmyśliłem.

Aby obejrzeć przeciętne mieszkanie w Moskwie, znalazłem dość prosty sposób. Niezbyt przekonany paroma pokazowymi domami robotniczymi, wziąłem numer gazety i wyszukałem dwa ogłoszenia. Wypisałem sobie adres jakiegoś pana, który chce sprzedać lornetkę. Ale obejrzeć tylko mieszkanie człowieka, który wyzbywa się ostatniej lornetki, nie byłoby niezgodne z rzetelną metodą przyrodniczą. Człowiek, który sprzedaje, może być w specjalnie niekorzystnych warunkach materialnych. Wziąłem więc z gazety drugi adres, kogoś, kto chce kupić płyty gramofonowe. Temu z pewnością powodzi się lepiej. Człowiek z lornetką mieszkał w małym piętrowym domku przy ulicy Sadowniczeskoj. Na bramie widniał spis lokatorów mieszkania nr 1:

Kowalew	1 raz	dzwonić
Bałuszenko	2 razy	„
Anichin	3 „	„
Hirszberg	4 „	„
Baljanow	5 „	„
Szupin	6 „	„
Swoboriew	7 „	„

O oznaczonej godzinie zadzwoniłem sześć razy; otworzył mi młody chłopak lat szesnastu, syn pana Szupina. Przeszedłem przez korytarzyk, zastawiony koszami i walizkami jak przedział trzeciej klasy w przepełnionym pociągu. W pokoju, gdzie miał się odbyć akt wymiany lornetki teatralnej na kilkadziesiąt rubli sowieckich, mieszkało z pewnością z pięć osób, a było obecnych dwu mężczyzn i jedna kobieta. Takie mieszkanie, poprzedzielane parawanami i szafami, znamy przecież dość dobrze z powieści i sztuk rosyjskich. Nie ma tu co opisywać. Chciałem jednak sam stwierdzić, czy w Moskwie nic się pod

tym względem nie zmieniło. Na kuchniach stoi po osiem prymusów, w całym domu jest zaduch, kanalizacja źle działa. Nie kupiłem lornetki, choć bardzo mi było żal pana Szupina i jego wychudłego syna. Transakcja ta dla cudzoziemca wobec oficjalnego kursu rubla byłaby zbyt kosztowna.

Dość podobne wnętrze spenetrowałem u amatora płyt gramofonowych. Znalazłem się tam zresztą w dość głupiej sytuacji, bo nie przygotowałem się na rozmowę i nie wiedziałem, co odpowiedzieć, gdy mnie spytano, jakie płyty gramofonowe mam na sprzedaż, czemu ich nie przyniosłem i czy jestem Rosjaninem. Wyplątałem się, tłumacząc, że źle zrozumiałem ogłoszenie, że nie chcę sprzedać, ale właśnie kupić. Później nieraz jeszcze stwierdziłem, że przeciętny mieszkaniec Moskwy czy Leningradu gnieździ się w dalszym ciągu w *komunalnych kwartirach*, gdzie swąd istotny i moralny, wzajemne szpiegowanie, ciasnota i brak samotności, kwasy i intrygi są czymś bardziej może uciążliwym od panującego głodu.

To wszystko prawda, ale prawdą jest również, że Rosja pod wieloma względami już dzisiaj przoduje cywilizowanemu światu. Spotkać tu można fragmenty najzupełniej wykończone i mądrze związane z budującym się gmachem socjalizmu. Przeciera się przez mgłę widok pełen uroku. Gdy staje się przed takim obrazem, nabiera się wiary, że wysiłek i cierpienia tych ogromnych mas ludzkich nie idą na marne. Przychodzi fala optymizmu. Nędza nie wydaje się uciążliwa, jeśli każdy dzień przynosi nowe emocje i nadzieje. Poczucie konstruktywnej i celowej pracy, świadomość ważności i godności codziennych wysiłków jest silnym narkotykiem. [...]

Dworiec Truda

Oto bardzo piękne popołudnie, które spędziłem w towarzystwie mego przyjaciela Entuzjasty. Tym razem Sceptyk został w domu. Dzień był pachnący świeżą zielenią i wiosennym deszczem.

Zwiedzaliśmy Dworiec Truda, w którym mieści się wzorowy zakład opieki nad matką i dzieckiem. Tu matka znajduje opiekę już od pierwszych miesięcy ciąży. Tu odbywa się poród i wychowuje się dziecko do trzeciego roku życia. Niedonoszone dzieci, pielęgnowane w specjalnych warunkach, rozwijają się normalnie. Dziecko od pierwszych tygodni życia wychowuje się kolektywnie, je, bawi się i uczy w gromadzie. W każdym pokoju dziecinnym znajduje się instrument muzyczny, aby dziecko oswajało się z dźwiękiem harmonijnym. Kolory zabawek, ścian czy obrazków są kolorami zasadniczymi. Dzieci nie bawią się ani zabawkami, ani obrazkami wyobrażającymi przedmioty nierealne lub zwierzęta, których nie spotykałyby w życiu.

Wychowawcy nie chcą widać budzić tęsknot trudnych do zaspokojenia. W każdym pokoju dziecinnym wiszą portrety Lenina albo Stalina. Święta rewolucji obchodzone są radośnie: dzieci dostają wtedy lepsze jedzenie i czerwone chorągiewki. Od pierwszych kroków uczy się je poczucia klasowego. Zastępowanie ikon i świętych obrazków portretami polityków wydaje mi się trochę niebezpieczne. Święci pańscy nie ulegali tak szybkim upadkom jak Trocki. Dziecko wychowane w kulcie Stalina może w przyszłości, za rządów choćby Woroszyłowa, być traktowane jako obciążone nastrojami opozycji albo nawet kontrrewolucji.

Po zakładzie oprowadza mnie miła lekarka o mądrych niebieskich oczach, sądząc z nazwiska Miller, Niemka z pochodzenia. Pokazuje mi, jak dziecko liczące sobie rok i dziesięć miesięcy po umyciu rączek trafia do szafki ze swoim ręcznikiem. Na niziutkich wieszakach umieszczone są obrazki kolorowe. Tak malutka osóbka wie już, że czerwony kogucik oznacza jej łóżeczko i jej ręczniczek... Robi to trochę wrażenie doświadczeń z rybami w akwarium. Jest coś przerażającego, że można kierować już tak młodą istotą, że instynkty i odruchy są tak nieomylne jak czyny uśpionych na seansach.

Dzieci wychowywane są podług najnowszych metod i Bertrand Russell z żywą satysfakcją oglądałby ten wielki kompleks ogrodów i zabudowań[5]. Dzieci nie są ani karane, ani straszone. Pielęgniarkom nie wolno mieć sympatii osobistych i jeśli zostanie zauważona specjalna czułość pielęgniarki dla jakiegoś dzieciaka, przenosi się ją na inny oddział.

W zakładzie jest około dwustu miejsc. Dostaje się tu niezmiernie nikły procent dzieci rodzących się w trzymilionowej Moskwie. Olbrzymia większość dzieci wałęsa się po podwórzach, pije wodę z kałuż ulicznych, dzień cały, zwłaszcza latem, spędza na brudnej ulicy, bo w przepełnionych mieszkaniach nie ma powietrza ani miejsca na zabawę. Widziałem zupełnie małe dzieci na ulicy bardzo późnym wieczorem. Kontrast między wychowaniem ulicznym a Dworcom Truda jest większy niż między dawną szkołą paziów[6] a żydowskim chederem. Jakie dzieci przyjmowane są do tego sanktuarium? Kto tu ma pierwszeństwo? Czy te dzieci, którym jest najgorzej, czy te matki, które są najbardziej opuszczone i godne opieki? Nie. Dzieci przyjmowane są na podstawie tabelki hierarchicznej, z którą często się można spotkać w Sowietach. Naczelna lekarka objaśnia mnie, że pierwszeństwo mają dzieci gepistów[7], krasnoarmiejców, robotników fabrycznych należących do partii. Potem idą robotnicy niepartyjni, pracownicy umysłowi i tak w dół aż do liszeńców, czyli ludzi pozbawionych praw. Oczywiście, niższe stopnie tej drabinki hierarchicznej mają już tylko prawa czysto teoretyczne.

[5] Bertrand Russell był autorem wielu nowatorskich prac dotyczących filozofii wychowania, m.in. *O wychowaniu: ze specjalnym uwzględnieniem wczesnego dzieciństwa*, w których głosił postulaty demokratyzacji wychowania i modernizacji instytucji wychowawczych.

[6] Elitarna szkoła wojskowa założona w 1759 roku przez cesarzową Elżbietę; z czasem przekształcona w tzw. Korpus Paziów.

[7] Gepista – funkcjonariusz GPU, Państwowego Zarządu Politycznego, później włączonego do NKWD.

Znajdują się tu prawie wyłącznie dzieci sfer rządzących i uprzywilejowanych. Ludzie władzy korzystają z wszystkich udogodnień. Władza jest przecież jedyną w Rosji organizacją zwartą i silną.

Ale czy władza w Rosji mniej demoralizuje ludzi rządzących niż w krajach kapitalistycznych? Czy przewrót proletariacki wniósł ze sobą atmosferę zdrową i wolna od bakterii zakażających organizmy starych ustrojów? Cały świat jest dzisiaj chory. Ale wydaje mi się, że nasz kryzys i nasze dolegliwości można porównać do cierpienia na własnych betach, ze szklanką herbaty na nocnym stoliku i starym romansem pod poduszką. Łykamy różne świństwa, które nam zapisują znachorzy, i przewracamy się z lewego boku na prawy. Tu, w Rosji, chory leży na stole operacyjnym. Podlega zabiegom chirurgicznym bez znieczulenia. Jeśli zabieg się uda, przyniesie on światu prawdziwe zdrowie i nowe nieobliczalne siły. Ale czy ta bolesna i krwawa operacja odbywa się z konieczną precyzją i w atmosferze wolnej od bakterii, wydaje mi się może najważniejszym i najciekawszym pytaniem. [...]

Zags

Swoboda kojarzenia się i rozłączania wnosi niewątpliwie uzdrowienie do stosunków seksualnych. Spędziłem parę godzin w Zagsie. Skrót ten oznacza instytucję do rejestracji małżeństw i udzielania rozwodów. Pokoik, w którym siedzi jedna panienka przy małym stoliczku, przypomina salon dentysty. Zniszczone secesyjne mebelki, jakaś oszklona biblioteczka, obrazek przedstawiający księżyc, łódeczkę i zameczek. Obok jest poczekalnia, w której wiszą duże kolorowe afisze objaśniające cele, środki i skutki życia płciowego. Osoby obu płci, które tu czekają parę minut, wchodzą już uświadomione płciowo do pokoju, gdzie podlegają zarejestrowaniu, po czym mogą wyjść i swobodnie korzystać ze świeżo zdobytych wiadomości.

Była godzina dwunasta. Zegar stojący w kącie wybił sześć razy, a wskazówki stały na godzinie pół do czwartej. Z własnym więc zegarkiem w ręku obliczałem, jak długo w Rosji sowieckiej trwa ślub i jak długo rozwód. Pierwszym interesantem był malarz pokojowy. Dostał rozwód w dwie minuty trzydzieści sekund. Nie był to jednak czas rekordowy, gdyż później jakiś zakatarzony młodzieniec w skórzanej kurtce osiągnął w świetnej formie rozwód w dwie minuty piętnaście. Jegomość ten, jak zeznał, brał ślub cztery razy, a ostatni dwa miesiące temu. Następna para spotkała się z poważnymi przeszkodami. Chodziło tu o brak metryki panny młodej. O ile nie omyliło mnie wrażenie, coś było istotnie nie w „porządku" z pochodzeniem dziewczyny. Sposób jej zachowania się, ruchy i wymowa wskazywały na środowisko burżuazyjne.

Urzędniczka nie chciała uznać za wystarczające świadectwo z biura, w którym panna młoda pracowała jako maszynistka.

Po tej młodej parze, lękliwej i niepewnej, brał ślub dwudziestodwuletni szofer z osiemnastoletnią robotnicą fabryczną. Ci czuli się jak u siebie w domu. Wieroczka, miła blondynka o szarych oczach, czekała przy biurku, bo Borys telefonował w kącie pokoju do jakiegoś Saszy i zapraszał go na wieczór, ale Sasza robił trudności. Wyszli po akcie rejestracji, trzymając się pod ręce. Nie było ani welonów, ani drużek, ani karety. Sprawy tego rodzaju traktowane są z całą naturalnością i na pewno szofer Boria, mimo że nie rozesłał specjalnych ogłoszeń na welinie[8], że spędzi tę noc z żoną swą Wieroczką, nie będzie przez to mniej szczęśliwy, a nawet mniej wierny. Panna młoda nie płakała, ale wesoło uśmiechnięta wsiadła do ciężarówki, którą oboje tu zajechali pewnie po drodze do fabryki.

Młodzież, która nie zna kategorii przedrewolucyjnych, czuje się w Rosji dobrze. Niewiele trzeba jej do życia i mało ma pokus. Widziałem na drodze pięknie nazwanej Szosą Entuzjastów kolumnę komsomolców, pracującą przy ustawianiu słupów telegraficznych. Pracowali, bawiąc się i śmiejąc. Piękną tą drogą prowadzono kiedyś skazańców na Sybir. Jest tu koło małego stawu miejsce, w którym zesłanych żegnały rodziny. Dalej już nie było wolno iść z partią. Teraz budują tu domy robotnicze i stadiony sportowe. Entuzjasta na tej Szosie Entuzjastów czuł się jak u siebie w domu i nawet pogwizdywał dubinuszkę[9]. Sceptyk zwrócił mu uwagę, że fałszuje, a potem zaczął się go wypytywać, czy nie wiadomo mu, którędy prowadzi droga na Wyspy Sołowieckie i czy teraz rodziny zesłanych mogą, a zwłaszcza czy chcą, odprowadzać więźniów. Co do radosnej twórczości i wesołej pracy młodzieży Sceptyk także miał coś niecoś do powiedzenia. Jest on zdania, że jeden flegmatyczny Niemiec zrobiłby więcej przez dzień niż pięciu komsomolców przez tydzień. Podobnego zresztą zdania było dwu robotników amerykańskich, sympatyków komunizmu, z którymi zwiedzałem wielką pokazową fabrykę kaloszy. Jeden z tych robotników, Polak amerykański, słabo zresztą już władający językiem polskim, pracował również przy wyrobie kaloszy i znał się świetnie na produkcji.

– Panie – powiedział do mnie – oni tu się chwalą, że nie ma bezrobocia. Nic dziwnego, jeśli pracę jednego robotnika wykonywa dziesięciu ludzi. Czy pan nie widzi, że w tej fabryce jest tłok? Przecież tu ludzie sobie przeszkadzają! [...]

[8] Welin – luksusowy papier, cienki i gładki.

[9] Dubinuszka – rodzaj rosyjskiej piosenki ludowej.

Kreml

Do Kremla niełatwo się dostać. Grupę zwiedzających liczą parę razy przed bramą. Musimy czekać na jakieś formalności i wreszcie, konwojowani przez agentów, wchodzimy za mur tej świątyni władzy. Nie wolno brać ze sobą aparatów fotograficznych. Panuje tu nastrój czujności i poszanowania. Jest cicho i bardzo czysto. O ile wiadomo, Rosjan tu nie wpuszczają. Zarówno cerkwie, jak i muzeum dawnych carów dostępne są tylko dla cudzoziemców. Za murami muzeum, gdzieś w jakichś pokojach, może za tymi żółtymi storami, urzędują proletariusze z Centralnego Komitetu. To połączenie muzeum i najwyższej władzy przypomina Watykan.

Zwiedzałem Kreml w towarzystwie wycieczki amerykańskiej. Amerykanie oddychali tu pełną piersią. Nareszcie wiedzieli, po co przyjechali do Rosji. Oglądali brylanty korony carskiej, niemal włazili do karet dworskich z czasów Piotra Wielkiego, wytrzeszczali oczy na szyte perłami stroje dostojników synodu. Największe powodzenie miała gablotka, w której wystawiono siodełko tureckiej roboty, ofiarowane przez sułtana Katarzynie Wielkiej. Mnie osobiście zastanowiło, jak malutka była ta poduszeczka atłasowa w złotej kulbace, na której siadywała największa pupa świata.

Przyznam jednak, że Kreml mnie nudził. Nigdy nie miałem zapału do zwiedzania muzeów i gdy przeczytałem, że w Hiszpanii w czasie rewolucji spalono parę obiektów do oglądania, miałem lekkie uczucie ulgi. Najciekawszym eksponatem Kremla była dla mnie „ścienna gazeta" personelu, wywieszona na dole w westybulu. Tego rodzaju gazety spotkać można w każdym urzędzie, w klubie robotniczym, fabryce, szkole czy koszarach. Podczas gdy Amerykanie oglądali berła i kołyski dawnych carów, przepisałem sobie z tej gazety, wydawanej przez stróżów, woźnych i kustoszów, parę wzmianek dających posmak nowego życia rosyjskiego.

Najpikantniejszą rubryką gazety ściennej były „Sny". Anonimowy autor w satyrycznym ujęciu poddawał krytyce prawomyślność swych towarzyszy. Wśród paru niewinnych złośliwości w rodzaju: „Towarzyszowi G... śniło się, że w czasie gdy pali papierosy w ubikacji, miotły same zamiatają", była wzmianka podkreślona czerwonym atramentem: „Towarzysz Ak... jest widocznie lunatykiem, gdyż w nocy łazi po Krasnej Płoszczadi i rozmawia po francusku ze swoją mamusią". Po paru tygodniach pobytu w Rosji, gdy znalazłem w notesie tę przepisaną złośliwostkę, odczułem jej dość drapieżny posmak. Być może był to niewinny żarcik, ale równie dobrze można sobie wyobrazić, że taki żart może mieć w konsekwencji wydalenie pracownika, który ukrył swoje burżuazyjne pochodzenie. W kraju, gdzie żyje się słowem, odpowiedzialność

za słowo jest ogromna. Znane mi są wypadki popadania w niełaskę, wyrzucania ze związków, ba, nawet sądu za parę zdań wygłoszonych w publicznej dyskusji. Czytałem kiedyś w piśmie polskim, wychodzącym w Rosji, list pewnego pisarza komunisty, który spowiadał się ze swych błędów, prostował swe mylne poglądy, przepraszał za omyłkę i obiecywał poprawę. Przypominało to nieco heretyków spowiadających się przed świętą inkwizycją. Pisarz ten, któremu zarzucono zbyt nacjonalistyczne podejście do sztuki, uczynił to, co czyni ogromna większość oskarżonych o odchylenia opozycyjne, to znaczy *raskajalsia*. To cerkiewne słowo, bardzo popularne w Rosji, oznacza lojalne przyznanie się do błędu. Wyznanie własnej winy mogłoby wzbudzać nawet szacunek, gdyby nie to, że za niewycofanie się z błędu grozi w Rosji ciężka odpowiedzialność życiowa. Jedynym prawodawcą i panem życia czy śmierci jest państwo, a państwo w Rosji ciągle jeszcze znajduje się w stanie walki. W tych warunkach, gdzie za niebaczne słowo można stracić *pajok*, ludzie trzy razy się namyślają, nim coś publicznie powiedzą. Częściej jeszcze idą po drodze najłatwiejszej i najniebezpieczniejszej, to znaczy w ogóle nie myślą, ale wygłaszają obowiązujące formuły i konwencjonalne proletariackie ogólniki. I to jest odwrotna strona tego medalu za entuzjazm, którym obdarzamy młodzież sowiecką. [...]

Antoni Słonimski, *Moja podróż do Rosji*,
Warszawa: Literackie Towarzystwo Wydawnicze,
1997, s. 5–54, fragmenty

1931

Stanisław Cat-Mackiewicz (1896–1966)

Kot w nieznanym ogrodzie

„Wyjeżdżając do Rosji, mówiłem i pisałem: jadę, aby sobie odpowiedzieć na kilka zasadniczych pytań" – wyznał Stanisław Cat-Mackiewicz we wstępie do książki *Myśl w obcęgach*. Takie ważne pytania stawia sobie każdy reporter, który wyjeżdża w teren sobie nieznany – czy to geograficznie, czy mentalnie. Pytania te nigdy nie powinny zawierać tezy, ale mogą – hipotezy.

Pytania Cata-Mackiewicza brzmiały tak:

1. Czy w razie wojny ościennej w Rosji obudzi się patriotyzm państwowy, który zacznie pomagać rządowi sowieckiemu w walce z wrogiem, cudzoziemcem, czy też przeciwnie, wybuch wojny wywoła kontrrewolucję w Rosji?
2. Czy w walce pomiędzy rosyjsko-bolszewickim centralizmem a siłami decentralistyczno-nacjonalistycznymi zwycięży pierwszy, czy też drugie?
3. Jak się przedstawiają wpływy Azji na bolszewicką Rosję?
4. Jak wygląda ta młodzież, która jest wychowana „bez żadnej moralności", urabiana w pojęciu, że religijność jest jakimś objawem patologicznym w rodzaju histerii płciowej?
5. Jak się przedstawia sprawa rosyjskiego „palimpcestu"?

Palimpcest jest to pergamin starożytny, zamazany przez wieki średnie, aby zużyć go do napisania modlitwy, później za czasów odrodzenia odmyty, oczyszczony, okazany we właściwej postaci, z pięknymi wierszami łacińskimi. Mówiłem więc: przecież i w tym, co piszą literaci sowieccy, i w filmach, takich jak te, które ilustrują życie Puszkina lub obrazują czasy Iwana Groźnego – przecież jest umiłowanie, pietyzm, jeśli nie tęsknota do historycznej kultury rosyjskiej – tylko że to wszystko musi być z góry zamazane czerwonym pokostem.

Po powrocie z radzieckiej podróży Stanisław Mackiewicz wciąż chciał swoją książką na te pytania odpowiedzieć. Przyznał jednak, że już wie, jak były naiwne, „jak sama metoda ułożenia takiego kwestionariusza wypływała z nieznajomości faktycznie panujących tam stosunków". A przecież przygotował się dobrze. Chwalił się, że konstytucję ZSRR znał niemal na pamięć, tak samo dzieła Lenina, Trockiego, Bucharina, Stalina. Przed wyjazdem śledził radziecką prasę. Jednak gdy wrócił, wyjawił, że każdy dzień pobytu w bolszewickiej Rosji łamał jego dotychczasowe, tworzone latami wyobrażenia.

Uważam, że to jedna z najlepszych rzeczy, jaka może spotkać reportera.

Czułem się – pisał – jak człowiek wpuszczony do ogrodu, który w miarę, jak idzie tym ogrodem, napotyka nowe i nowe aleje, ukazujące w swych wylotach coraz nowe i zupełnie inne widoki, otwierające w swoich wylotach coraz nowe horyzonty. Ciągle się trzeba dziwić. Czytelnik, który Rosji sowieckiej nie zna, nie wie na przykład, że to porównanie do ogrodu i do alei ogrodowych byłoby w Sowietach określone zupełnie serio jako kontrrewolucyjne lub przynajmniej drobnomieszczańskie.

Może dlatego wydawana w całej Europie *Myśl w obcęgach* była uznana – w przeciwieństwie do wielu relacji z ZSRR pisarzy oczarowanych bolszewizmem – za „książkę pełną szlachetnego niepokoju o to, czy to, co autor pisze, istotnie odpowiada prawdzie" („The Northern Whig"). Książkę, która „nie jest bynajmniej propagandową książką antybolszewicką, jest podaniem faktów, przetykanym wielu ścisłymi rozważaniami na temat całego eksperymentu" („Daily Express").

Musiało być w pisaniu Mackiewicza coś uniwersalnego, ponieważ jedni uważali, że to książka, która przestrzega przed niebezpieczeństwem komunizmu, inni, że autor jest tak bardzo wobec komunizmu *fair*, że stawiane mu oskarżenia o sprzyjanie bolszewikom są zasadne.

A przecież przed drugą wojną był i promonarchistyczny, i proniemiecki, pisał pełne pasji szkice historyczne i polityczne. Kiedy ułożymy w jedno wszystkie dwadzieścia pięć wzmianek o Stanisławie Mackiewiczu w *Karafce La Fontaine'a* Melchiora Wańkowicza, wyłania się obraz człowieka, który chętnie oceniał ludzi słowami „idiota" i „dureń". Przed tym określeniem Mackiewicz robił zawsze dramatyczną pauzę. I przywalał – jak pisze Wańkowicz – takiego faceta idiotę bezdyskusyjnym kamieniem nagrobnym. Nawet jako entuzjastyczny biograf Dostojewskiego Mackiewicz po przeczytaniu *Skrzywdzonych i poniżonych* napisał: „Tak by się chciało powiedzieć: »Ty, durniu!«".

Stanisław Cat-Mackiewicz ukończył prawo na Uniwersytecie Wileńskim. Był wieloletnim wydawcą i redaktorem naczelnym wileńskiego „Słowa", pisma konserwatywno-monarchistycznego, w którym drukował także jego młodszy brat Józef. W okresie poprzedzającym drugą wojnę światową publikował teksty alarmujące opinię publiczną, że państwo polskie ma dramatyczne braki w uzbrojeniu, co może grozić katastrofą, zwłaszcza wobec niebezpieczeństwa, które – jak przewidywał – jej grozi. W kwietniu 1939 roku został za to zesłany na kilka tygodni do Berezy Kartuskiej. „Ciekawe, że wszyscy jego przeciwnicy – których swym ostrym piórem łatwo obrażał – ujęli się za nim, protestując

przeciwko takim metodom ograniczania »wolności słowa«" – pisze w posłowiu do *Myśli w obcęgach* jego córka Aleksandra Niemczykowa.

Ostatni numer „Słowa" ukazał się 18 września 1939 roku, gdy bolszewicy zajmowali Wilno. W tym dniu Mackiewicz opuścił swoje miasto na zawsze i klucząc przez granice, trafił do Paryża, gdzie został członkiem Rady Narodowej i wydawcą emigracyjnej wersji „Słowa". Po upadku Francji przedostał się do Londynu i tam napisał swoją *Historię Polski 1918–1939*. W 1954 roku został powołany na premiera emigracyjnego rządu polskiego. W 1956 roku wrócił do Polski. Pisał pod pseudonimem do „Kultury" paryskiej, co skończyło się procesem sądowym. Wyroku nie udało mu się dożyć.

Chciałem jeszcze dodać, że przydomek, którego Stanisław Mackiewicz używał jako autor, jest najpiękniejszym określeniem dla reportera. Jego „Cat" pochodzi z opowiadania Kiplinga o kocie chodzącym swoimi drogami. A przecież reporter powinien chodzić swoimi drogami, bo tylko wtedy ma szansę na spotkanie nieoczywistości.

Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów

Liszeniec

O ile sobie przypominam, było to na styczniowej sesji Rady Ligi Narodów w roku bieżącym. Posiedzenia za stołem, postawionym w rodzaju oranżerii koło hotelu Ligi Narodów, toczyły się jak zwykle nudno, sennie, monotonnie. Dziennikarze wałęsali się po wszystkich korytarzach. Wchodzę nagle do sali posiedzenia i słyszę krzyki, hałas. Co się stało? Kto zakłóca protokół i specjalny sznyt Ligi Narodów, polegający na tym, aby mówić w możliwie senny sposób. Jakiś pan wymachuje rękami. Zaczynam alarmować kolegów dziennikarzy. Była to sprawa o niewolnictwo Murzynów po dziś dzień istniejące w Liberii.

Scena ta, w której Liga Narodów tyle oburzenia okazała, gdy chodziło o istnienie niewolnictwa pod równikiem, i tyle serca dla Murzynów – przypomniała mi się, gdy w Bolszewii zaczynałem swe studia nad sprawą liszeńców.

Czy bolszewicki „liszeniec" to to samo co niewolnik? Nie! Ale to też nie to samo co Murzyn. Liszeńcami w Rosji są często ludzie, którzy niegdyś kupowali obrazy cudzoziemskich mistrzów, których pieściła kultura i którzy pieścili kulturę, którzy należeli do międzynarodowego środowiska intelektualistów Europy. W wysiłkach intelektualnych Europy jest część ich pracy, pozostały atomy ich mózgu i krwi. Intelektualiści europejscy na każdym zebraniu, kongresie powinni o nich myśleć jako o swoich kolegach.

Liszeniec to nie to samo co niewolnik – to lepiej albo też to gorzej – liszeniec to prawie dokładnie to, co średniowieczny „wywołaniec", „banita". Nie można go sprzedać ani zastawić jak niewolnika w Liberii, lecz natomiast państwo pozbawia go możności zarobku na każdym kroku, możności pobierania nauki, możności wprost życia. Myślałem czasami, że gdy po raz drugi przyjdzie pod szklany dach genewskiej Ligi Narodów sprawa negrów w Liberii, czy nie powinienem z miejsc dziennikarskich krzyknąć na całe gardło ten jeden wyraz: „liszeniec".

Liszeniec nie ma prawa uczestniczyć w żadnych wyborach, nie głosuje przy wyborach nawet „wiejskiego sowietu", liszeniec i jego dzieci nie mają prawa znaleźć się w wyższym zakładzie naukowym; gdy podrobi sobie dokumenty, aby się tam dostać, zostaje karany kryminalnie; liszeniec nie może mieszkać w sześciu głównych miastach związku, jazda koleją liszeńcowi jest niezwykle utrudniona, dzieci liszeńca nie przyjmują do szkoły początkowej,

bo tam jest zwykle komplet dzieci ludu pracującego, liszeniec nie może być członkiem żadnego związku pracującego, czyli nie dostanie żadnej pracy, czyli nie dostanie kartek na jedzenie.

Wreszcie nie można co prawda liszeńca zabić dla przyjemności na ulicy, lecz można go pozwać przed sąd, a ponieważ sąd sądzi nie według suchej normy prawa, lecz według dynamiki rewolucyjnej, to prawie w każdym sądzie prawie każdą sprawę liszeniec przegra dlatego tylko, że jest liszeńcem.

Spotkałem się w czasie swej podróży z takim wypadkiem. „Biednota" zabrała chłopu liszeńcowi (właścicielowi konia i dwóch krów) siano. Chłop nie miał czym karmić swych krów. Sędzia, rozpatrując sprawę według dynamiki rewolucyjnej, kazał liszeńcowi, aby oddał krowy swoim grabicielom, motywując to, że skoro nie ma on teraz siana, krowy mu są niepotrzebne, ponieważ i tak zdechną.

Drugi przykład cytuję na podstawie wydawnictwa sowieckiego o „prawnych formach małżeństwa", gdzie ten przykład wskazany jest jako prawidłowe rozstrzygnięcie dla orientowania sędziów. Para starych, bezdzietnych chłopów przyjęła na służbę dziewczynę siedemnastoletnią, którą „pokochali jak córkę". Dziewczyna jednak po upływie pół roku chciała wyjść za mąż za człowieka, który się nie podobał staruszkom. Wymówili więc dziewczynie dom. Sędzia kazał tym staruszkom wydzielić dziewczynie część swego gruntu, taką, jakby była ich córką, jakkolwiek żadnego aktu „usynowienia" dziewczyny nikt ze starej pary nie popełnił. Wystarczyło, że sędzia stwierdził, że przez pół roku stara para chłopska „kochała" dziewczynę jak córkę, aby dynamika rewolucyjna zaczęła pracować u niego w takim kierunku. Powtarzam, iż jest to przykład wyjęty z wydawnictwa urzędowego, objaśniającego sędziów, co mają robić w trudnych sprawach, i podany jako przykład do naśladowania.

Liszeniec jest poza prawem, liszeniec jest przedmiotem zemsty społecznej!

Ktoś mnie zapyta: jakże żyje liszeniec, jeśli nie jest chłopem mającym trochę gruntu, skoro nie może dostać pracy ani chleba?

Jak żyje? O popach żebrzących po cmentarzach, którym i tego teraz zabroniono, już wspominałem. Żebrze, ukrywa się, zmienia nazwisko i papiery, potem mu dowodzą, że jest liszeńcem, prowadzą do więzienia, wypuszczają, znowu żebrze i kryje się. Zresztą to nie jest pytanie, które zdolne jest przyprzeć bolszewika do muru: „Z czego ma żyć liszeniec?". Wytłumaczy ci spokojnie, że Związek Socjalistycznych Republik Rad bynajmniej nie po to istnieje, aby opiekować się losem liszeńca, wprost przeciwnie, Związek Socjalistycznych Republik Rad istnieje po to, aby zlikwidować liszeńca.

Specjalnie mnie zdziwiła rozmowa, którą miałem z rektorem I Moskiewskiego Uniwersytetu, panem Kasatkinem.

Było to jeszcze na początku mojego pobytu w Rosji. W przeddzień wizyty u rektora byłem na sztuce ilustrującej życie czerwonej studenterii. Okazuje się, że do tej studenterii wcisnął się pod cudzym nazwiskiem zakonspirowany, udający bolszewika, jeden liszeniec. Który to z nich? Tego „czerwona studenteria" nie wie, lecz zaczyna organizować wywiad. Wreszcie ujawnia się, że tym liszeńcem jest najzdolniejszy z nich i robiący największe postępy w naukach, asystent katedry – Smoła. Była to scena artystycznie doskonała. Odzywała się muzyka i na scenie potężne, liczne rzędy czerwonej studenterii zaczęły tworzyć koło, aby się zamknąć i złapać liszeńca. Liszeniec miotał się jak ryba w sieci, biegał po scenie, szukając wyjścia, jak mysz w pułapce. Lecz oto, przy dźwiękach wstrząsającej muzyki, koło czerwonej studenterii zacieśnia się coraz więcej i więcej, aż wreszcie chwyta go. Teraz nie ucieknie!

Pod wrażeniem tej silnej, bojowej sceny rozbestwiły się we mnie wszystkie niskie i podłe burżuazyjne instynkty. Zacząłem z dostojnym rektorem Kasatkinem dyskutować. Przecież to jest niesprawiedliwe, do diabła ciężkiego, nawet z punktu widzenia rewolucyjnego. Skąd syn ma odpowiadać za ojca? Skąd wiadomo, że syn liszeńca nie będzie komunistą pierwszej klasy? Jak można pozbawiać nauki dlatego, że jego ojciec jest czy był bogatszym chłopem? Oto wracam z Wielkiego Muzeum Rewolucji. Ze statystyk tam ogłaszanych wynika, że siedemdziesiąt trzy procent przestępców politycznych byłoby dziś liszeńcami. Rewolucję w Rosji zrobili liszeńcy. Kropotkin był nie tylko synem liszeńca, lecz synem księcia. Sam Włodzimierz Iljicz Uljanow-Lenin – był szlachcicem, szlachcicem dziedzicznym i herbowym.

Wszystkich tych burżuazyjnych bredni słuchał rektor Kasatkin zupełnie spokojnie, z uśmiechem ironicznym, aczkolwiek łagodnym. Potem objaśnił mnie, o co chodzi. Prowadzi się walkę socjalną. Walkę z niebywałym natężeniem. Walkę ze starymi klasami społecznymi na życie i śmierć. Nie można bawić się w sentymenty. Wychodzi się z założenia, że rodzina, nastrój rodzinny, otoczenie oddziaływają na każdego. Tamci byli rewolucjonistami. Dobrze! Ale ci mogą nie być, są możliwości, że nie będą. Jeśli ktoś zerwał z rodziną, i to jeszcze nie daje całkowitej pewności. Nawet – powiedział mi rektor Kasatkin – jeśli ktoś nie widział ojca i matki od trzeciego roku swego życia, to my, oczywiście, widzimy w tym okoliczność łagodzącą, grubą okoliczność łagodzącą, lecz i to nie daje nam pewności. Stoimy na stanowisku, że instynkty klasy ongiś posiadającej są groźne nawet wtedy, gdy udzielić się mogą tylko przez krew.

Na moje pytanie, czy zdarza się wyrzucanie studentów lub studentek z czwartego, powiedzmy, roku uniwersytetu dlatego, że się wykryło, iż jest on lub ona dzieckiem kułaka, pan Kasatkin wzruszył ramionami i odpowiedział:

– *Spłosz da riadom* (ciągle).

Pan Kasatkin sam liszeńcem nie jest. Jest on z zawodu nauczycielem wiejskim. Teraz, jako rektor Moskiewskiego Uniwersytetu (najzasobniejszej w chwałę i tradycję uczelni rosyjskiej), nie ma żadnych kłopotów z autonomią uniwersytecką, gdyż takowa w Bolszewii nie istnieje. Profesorów i docentów wyznacza sam pan Kasatkin i muszę przyznać, że nie wniosłem wrażenia, aby miał jakiekolwiek wątpliwości co do trafności swej oceny naukowej w dziedzinie wszystkich fakultetów. Objaśnił mnie jednak, że wśród profesury świadomych komunistów jest na niektórych fakultetach tylko pięć procent. Odsetek ten podwyższa się wśród dyscyplin naukowych związanych z „politgramotnymi" naukami, jak na przykład socjologia, literatura itd.

Teraz przychodzi pytanie: kto jest liszeńcem?

Pasjonowałem się do sprawy liszeńców w pierwszych tygodniach mego w Bolszewii pobytu. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że szukanie „normy jurydycznej" w tym państwie jest absolutnie tym samym, co w Polsce szukanie wiatru w polu.

Konstytucje republik sowieckich na pytanie, kto jest liszeńcem, odpowiadają jedno, instrukcje wyborcze, również wydane jako podręczniki oficjalne, formułują tę sprawę inaczej, w praktyce miałem sposobność stwierdzenia jeszcze czego innego. W Moskwie spotyka się biura poświęcone „przywróceniu praw" liszeńcom, to są biura, gdzie liszeniec się zwraca, aby się ze swej banicji oczyścić, jak to można powiedzieć językiem *Volumina Legum*[1] – aby dowieść, że naprawdę liszeńcem nie jest.

„Podstawowymi" – że się tak wyrażę – liszeńcami są: 1) duchowni wszystkich wyznań, 2) ludzie, którzy mieli do czynienia z procesami politycznymi za czasów cesarskich, 3) ludzie, którzy eksploatowali pracę najemnika. Na tym tle, jak na kanwie, wyszywa się wszystkie możliwości, czasami jaskrawo ze sobą sprzeczne. Były żandarm jest oczywistym liszeńcem, chyba że dziś służy w GPU[2]. Inżynier, który pracuje w przemyśle sowieckim, chociażby kiedyś był dyrektorem fabryki i akcjonariuszem, nie jest liszeńcem. Chłop, który kiedyś najął parobka do pomocy, jest liszeńcem. Każdy obywatel ziemski powinien być liszeńcem i jest nim, to nie przeszkadza jednak, że wybitnymi bolszewikami na wybitnych urzędach są: jeden polski hrabia, były właściciel dużych dóbr, i jeden polski baron. Nie powiem też, aby w sprawie, kto jest liszeńcem, a kto nim nie jest, decydowało widzimisię komisarzy. Jestem

[1] Zbiór polskiego prawa stanowionego obejmujący uchwały sejmowe i przywileje królewskie od XIV wieku do 1793 roku.

[2] GPU – Państwowy Zarząd Polityczny, rosyjska policja polityczna, w 1934 roku włączona do NKWD.

zawsze przeciwnikiem upraszczania sobie poglądów – czyniłbym to, gdybym był mówcą wiecowym. Decyduje tu nie widzimisię, lecz napięcie i kierunek walki, napięcie i kierunek agitacji bolszewickiej w danej chwili. Ten, kto dwa lata temu był oczywistym liszeńcem, może dziś za takiego uznany nie będzie, gdyby sprawa jego była otwarta, i na odwrót. Gdy to piszę, ostrze walki zwraca się przeciwko popom, mułłom i kułakom. Toteż każdy chłop, który nie idzie do kołchozu, a do którego można się przyczepić o cokolwiek, będzie liszeńcem, o ile w danej wsi bogatszych nie ma. Instytucja liszeńców ma więc dwojaki charakter – defensywny i ofensywny. Defensywny, bo jest to ścieranie z powierzchni ziemi, a w każdym razie gniecenie, ekonomiczne dławienie, duszenie klas społecznych podejrzanych o nieprzychylny stosunek do Rosji sowieckiej. Jest to duszenie klas mogących stać się bazą kontrrewolucji. Ofensywny, albowiem instytucja liszeńców jest, czym na ćwiczeniach strzeleckich jest papierowy cel. Dzień codzienny w Bolszewii potrzebuje podniety, potrzebuje morfiny politycznej. Liszeńcy są instytucją, na której wyładowuje się temperament rewolucyjny.

To samo, a nawet w większym stopniu da się powiedzieć o wrieditielach. Wrieditiel jest to człowiek oskarżony o sabotaż pracy sowieckiej. Znamy wielkie procesy wrieditieli, znamy proces szachtyński, proces Ramzina i towarzyszy[3] itd. Z tego wszystkiego, co słyszałem, bolszewicy niesłychanie przesadzają winy wrieditielej. Wrieditiel w więzieniu podpisuje skruchę i tam również przypisuje sobie przestępstwa, których nie popełnił – tą drogą unika kary śmierci bez sądu. Gdyby wrieditielstwo istniało w kraju, który by się burzył protestami politycznymi, akcją terrorystyczną, w kraju, w którym organizacja polityczna pulsowałaby w każdym podziemiu, uwierzyłbym w to chętnie. Ale w Rosji mamy obraz zupełnie inny. Akcja kontrrewolucyjna daje o sobie znać w sposób minimalny. Mamy ogromną niechęć do władzy, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent całego społeczeństwa, całego narodu, żywi do Sowietów wyraźną, otwartą, rozpaczliwą nienawiść, lecz nienawiść, która nie umie i nie może się przetworzyć w żadną planową akcję, nienawiść bezsilną. Na tym tle wrieditiel? Tłumaczę to sobie inaczej niż bolszewicy. Uważam socjalistyczny system gospodarczy za idiotyzm. Jak on wygląda w praktyce, opisywałem powyżej. Ale bolszewicy nie mogą tłumaczyć tłumom, że głód, nędza, brak wszystkiego, katastrofy powstają dlatego, że ich system gospodarczy jest idiotyzmem. Więc coś należy znaleźć takiego, aby tłumom wytłumaczyć, dlaczego są katastrofy na każdym kroku. I oto najłatwiejsze, najprzystępniejsze, symplicystyczne, tak łatwo trafiające do przekonania tłumaczenie: wrieditiel. Są ludzie nienawidzący Sowietów, którzy umyślnie

[3] Procesy pokazowe, pierwszy z 1928 roku, w którym sądzono pracowników kopalni węgla kamiennego z miasta Szachty, oskarżonych o rzekomy sabotaż i szpiegostwo; drugi z 1930 roku, w którym przed sądem stanęli najwybitniejsi specjaliści w dziedzinie nauki i techniki. Jednym z głównych oskarżonych był Leonid Ramzin, dyrektor Moskiewskiego Instytutu Technologicznego.

wywołują katastrofy. Tłum w to wierzy, momentalnie wierzy. Byłem na takim filmie: *Zwrotniczy jest winien*. Była katastrofa pociągu, której winę zwala administracja kolejowa na zwrotniczego, a naprawdę jest winien naczelnik stacji, dawny urzędnik, któremu gdy mówią „Leningrad" – to on w myśli poprawia na „Pietrograd", a potem na „Sankt Petersburg" i widzi w zjawie siebie w cesarskim mundurze, widzi trotuar elegancki i dziewczynki. W ten sposób agitacja bolszewicka znajduje wytłumaczenie, dlaczego system gospodarczy zawala się raz po raz w katastrofach, i w ten sposób egzaltuje podejrzliwość mas. Robespierre mawiał: „podejrzliwość w polityce jest tym samym co zazdrość w miłości – nigdy jej nie jest za mało". Rosja od dziesięciu lat żyje, rodzi się i umiera w krwawej, podejrzliwej, złej ekstazie roku rewolucji 1793, tego „roku strasznego".

Stanisław Cat-Mackiewicz, *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów*, Kraków: Universitas, 2012, s. 77–86

1933

Antoni Sobański (1898–1941)

Reporter nie prorok

Reporter hrabia. Z tytułem nadanym jego dziadkowi w 1880 roku przez papieża Leona XIII. Urodził się na Podolu, maturę zdał w Kijowie, nie skończył studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Był właścicielem majątku z cukrownią w Guzowie pod Sochaczewem. Mimo to „jeśli kogokolwiek z ludzi związanych z kręgiem »Skamandra« czy »Wiadomości Literackich« rzeczywiście można byłoby określić mianem Europejczyka, to właśnie Antoniego Sobańskiego" – pisze we wstępie do jego *Cywila w Berlinie* Tomasz Szarota. Mówił sześcioma językami, czytał wszystkie światowe nowości, regularnie jeździł do Londynu, Paryża i Berlina. Ubierał się z tak wyszukaną elegancją, że nazwano ją „*le style* Tonio".

Sławę przyniósł mu właśnie *Cywil w Berlinie*. Po wojnie został niestety dość szybko zapomniany. Jarosław Iwaszkiewicz wspominał, jak w latach sześćdziesiątych był na kolacji u ich wspólnej przyjaciółki Wandy Telakowskiej, która zaprosiła „okropnych urzędasów". Pokazała im sztambuch z uroczym wpisem Sobańskiego. Jeden z gości zapytał, kto to był Sobański. „I Wanda powiedziała: to taki dziennikarz. I kropka. Boże drogi! Powiedzieć o Toniu – taki dziennikarz – i kto to? Wanda".

Jego *Cywila* zaś dziś czyta się świetnie, może nawet lepiej niż w 1933 roku. Jako wysłannik „Wiadomości Literackich" Sobański wyjechał do Berlina już trzy miesiące po dojściu Hitlera do władzy. Powstała reporterska książka o początku dyktatury. Czytając jego reportaże, wiemy już, do czego doprowadził ten sukces Hitlera. I to nadaje dziś im nie tylko atrakcyjności, ale i grozy.

> Sobański celnie opisywał zjawiska, ale nie mógł oczywiście w pełni ocenić ich późniejszych konsekwencji – recenzował wznowionego w 2006 roku *Cywila w Berlinie* Marek Radziwon. – To książka o Berlinie, ale może bardziej nawet o samym cywilu, to jest o niby-normalnym świecie, który nagle zaczyna szaleć, o ludziach, którzy innymi manipulują, i jeszcze bardziej o tych, którzy chcą, by nimi manipulowano, o ludziach, którym, jak sam pisze, „dano spokój za cenę przekreślenia siebie" [...]. Dlatego, chociaż obserwował słynne palenie książek na placu Opery w maju 1933 roku, przyglądał się hucznym norymberskim parteitagom i „Jego Przeciętności Wodzowi", bywał także w miejscach, na które żaden rasowy reporter czasu by nie tracił:

„Każda banalna twarz, każda mydlarnia, każda secesyjna kamienica posiadają życie, które chcę odgadnąć" – pisał Sobański i starał się interpretować dosłownie wszystko.

Widział na berlińskiej ulicy znacznie mniej cudzoziemców, za to znacznie więcej mundurów. Zmilitaryzowało i ujednoliciło się wszystko, bo w mundurach paradowała nie tylko policja, członkowie partii i partyjne młodzieżówki, ale i organizacje bezrobotnych, a nawet zwykli urzędnicy instytucji państwowych. Dostrzegał „oczyszczenie z wszelkiego indywidualizmu" i „mechanizację ruchów" u ludzi wcześniej swobodnych i bezpośrednich.

Sobański brak rzetelnej informacji w gazetach niemieckich odbierał jako ważną informację, liczył nawet fotografie propagandowe w jednym z numerów najpopularniejszej gazety stolicy – „Deutsche Illustrierte Zeitung". Na czterdzieści dwa zdjęcia podaje dwadzieścia dziewięć hitlerowskich, a trzynaście samego wodza, i choćby po tej statystyce widział, że prasie założono knebel. Sprawdzał repertuar teatrów berlińskich i stwierdzał, że jest znacznie uboższy niż choćby rok wcześniej. Dostrzegał, że w miejscach, w których kiedyś kupował prasę brytyjską, teraz gazet zagranicznych nie ma wcale. Zastanawiał się, gdzie podziało się słynne berlińskie poczucie humoru – „przecież jeszcze parę lat temu ludzie śmialiby się, obserwując tłustych panów w brązowych koszulach, jak wchodzą do lokalu, wymachując rękami na podobieństwo semaforów kolejowych".

Na okładce *Cywila w Berlinie* z 1934 roku napisano, że jest to pierwsza książka dająca istotny, prawdziwy i bezstronny obraz dzisiejszej rzeczywistości niemieckiej. Małgorzata Szpakowska dostrzega podobieństwo reporterskiego podejścia Sobańskiego i Słonimskiego (patrz s. 409):

> Obu [...] łączy nie tylko potępienie totalitaryzmu, przemocy, cenzury i kłamstw propagandy, co w przypadku wysłanników liberalnych „Wiadomości Literackich" nikogo nie powinno dziwić, lecz także troska o to, by własny światopogląd nie mącił im bezpośrednich obserwacji.

Może się wydawać, że dystyngowany spokój reportaży Sobańskiego stoi w sprzeczności z tematem „Jak zaczęto budować piekło". Ale jestem przekonany, że właśnie ta swoista elegancja opisu dodaje tematowi ciężaru. Trzy lata później, w 1936 roku, Sobański pojechał na zjazd NSDAP w Norymberdze, „usposobiony do *regime'u* narodowosocjalistycznego – jak sam pisze – znacznie życzliwiej niż przed dwoma i trzema laty".

Swój wzrost sympatii do hitleryzmu – zauważa Szpakowska – wiązał z tym, czego dowiedział się o procesach moskiewskich i o wojnie domowej w Hiszpanii: „Myślę więc, że jadę do kraju mniejszego zła".

Jego przypadek pokazuje, że można być świetnym reporterem, ale słabym prorokiem.

Cywile, Reichstag i książki

Czym jest odwaga cywilna? Jest to objaw indywidualności. Skoro grupa czy zbiorowość czują jednakowo, nie ma już miejsca na tę cnotę. Więc i w narodzie, który, jak wykazały ostatnie wypadki, ma we krwi zmysł organizacji żołnierskiej, trudno jest odnaleźć objawy odwagi innej niż fizyczna. Byłby to wprost wybryk. Jak to? Dobry żołnierz, a ma swoje zdanie i jeszcze się przy nim upiera? Naród niemiecki był od wieków wychowywany w duchu bojowym. *Heldentum*, bohaterskość, oczywiście w znaczeniu wyczynów wojennych, jest gloryfikowana jak nigdzie. Kult dla Richthofena[1] na przykład jest dziś w Niemczech tak żywy, jakby ten, naprawdę zresztą nadzwyczajny, lotnik zginął wczoraj. Z drugiej strony, w podświadomości narodu istnieje podejrzenie, że wszelka *Geistigkeit* (duchowość) jest czynnikiem osłabiającym i przez to nie może istnieć w jednostce lub też zbiorowości równocześnie z odwagą fizyczną. Nie tylko nie może współistnieć, lecz także jest jej wręcz wroga. Od „pięknoduchów" łatwo też mogą nawymyślać. A wiadomo, że grupy silnych ludzi rządzących obecnie niektórymi państwami Europy uważają to słowo za świetną i miażdżącą obelgę. Może zresztą nie tylko rządzący, ale także w ogóle ludzie jutra. Wątpię, aby nasz student nacjonalista, spalający się w szale nienawiści do wszystkich sąsiadów Polski i do wszystkich jej mniejszości, znalazł w sobie dużo miejsca na duchowość, już nie mówiąc o uduchowieniu.

Co do Niemiec, wyżej wypowiedziany sąd musi się wydać surowy. Jest taki. Ale może się też wydać aprioryczny, bezczelny. Nie wypowiedziałbym go też, gdybym nie znalazł jego potwierdzenia u osób inteligentnych, znających Niemcy na wskroś – po prostu u samych Niemców.

Dużo miejsca poświęciłem powyższym wyjaśnieniom, ale było to konieczne. W dalszym nawiązywaniu kontaktu z niemiecką dzisiejszością będziemy musieli wciąż powracać do tego zagadnienia. Bo albo zdziwi nas, że jakaś wybitna jednostka czy grupa nie zaryzykowały skóry (o głowie nie mówię, bo męczeństwa wymagać można tylko od siebie samego, chyba że się jest rządem), albo też, że ludzie stojący bez wątpienia poza niebezpieczeństwem represji, a przeciwnie, posiadający pełną kontrolę nad aparatem władzy, postąpili, zdawałoby się, po tchórzowsku. Tymczasem wcale nie. Oni są po prostu organicznie niezdolni do wystąpienia z szeregu. *Gänseschritt*[2] nie znosi

[1] Manfred von Richthofen (1892–1918) – legendarny pilot niemiecki, as myśliwski pierwszej wojny światowej.

[2] *Gänseschritt* (niem.) – chodzenie gęsiego.

arytmii; dobry żołnierz nie myśli, tylko swoje robi. A że to „swoje" czasem jest cudzym życiem, no to trudno.

Przyszedł wieczór. Spotykam się na kolacji z pierwszym moim berlińskim znajomym. Idziemy do Schlichtera. Jest to knajpa, gdzie schodziła się cała bohema. Nie wstydzę się w tym wypadku tego skądinąd żenującego słowa, bo zachodzi tu rzadki wypadek, kiedy określenie odpowiada prawdzie. [...] Cóż się też dowiem od Kurta? [...] autokrytyka to jedna sprawa, a cudzoziemiec żerujący na sensacji w kraju przechodzącym tak ciężką operację to zupełnie co innego. O tym muszę pamiętać.

Kurt należy do powojennych Niemiec. Znam go od lat sześciu. Od tego czasu bywał na wozie i pod wozem, ale przeważnie pod. Odkąd go znam, nie miał stałego zajęcia. Urodzony w Poznaniu, nie chciał pozostać przy rodzicach na polskim Górnym Śląsku i pokłócił się z nimi. Chłopiec prawy, inteligentny, z naukami przerwanymi w połowie gimnazjum, rozgoryczony jest i wykolejony do głębi. Zawsze mnie dziwiło, że nie został komunistą, a teraz wprost zdumienie mnie ogarnęło, że nie uchwycił się tej deski ratunku, jaką mogło się stać dla niego wstąpienie do szeregów SA. Tłumaczy mi, że szanuje czystość intencji i nie znosi oportunizmu. Poza tym ze wszystkiego, co mówi, widać, że jest indywidualistą. Po pierwszych zdaniach zmiarkowałem, że narodowego socjalizmu nie znosi, a będąc obdarzony czujnym zmysłem humoru, nie może wprost przyzwyczaić się do zewnętrznych, często śmiesznych objawów rewolucji. Ciągle porozumiewawczo szturcha mnie łokciem. Tymczasem ja robię szlachetne wysiłki „asymilacyjne" i staram się przywyknąć do tego całego egzotyzmu. Zmysł humoru Kurta sprawia, że chętniej opowiada anegdoty, niż udziela informacji rzeczowych. Poza tym jest zmęczony i smutny.

Całe rano trzymali go w urzędzie podatkowym; jak mówi, przeszedł tam istną inkwizycję. Wszyscy znajomi zresztą skarżyli się mi na to samo. Rząd nazistowski przykręcił śrubę podatkową jak jeszcze żaden z jego poprzedników. Podobno urzędy podatkowe podwoiły personel. Zresztą nie tylko podatkowe, bo w niektórych innych urzędach luki wytworzone przez rugi partyjne czy rasowe zostały wypełnione „z czubkiem" przez „swoich" ludzi.

Tu niepolityczna wstawka. O Kurcie i urzędzie podatkowym. Rozwścieczony niedyskretną, a przewlekającą się indagacją, oznajmia, że dochody ma niestałe, bo jest na utrzymaniu mężatki. Na to urzędnik: „Proszę o nazwisko tej pani – my to sprawdzimy", i tu następuje rycerska odpowiedź: „Powiedziałem, że ta pani jest mężatką".

Pytam Kurta o jego rówieśników, o chłopców poniżej trzydziestki. Co się

z nimi dzieje? Co też myślą o przewrocie? Słyszę odpowiedź, że wszyscy są w partii. Co, i komuniści, i socjaliści też? A jakże.

– Więc znaczy, masz dużo znajomych w partii?

– O, chyba przeszło setkę.

– Co, i wszyscy z przekonania?

– Nie. Nie znam ani jednego, który by się entuzjazmował.

– Więc jakież są powody, że ci wszyscy chłopcy są w SA?

Następuje dość jasne, widać, że przemyślane wyjaśnienie. Powodów jest wiele. Chyba najważniejszy to bieda. Nęci jedzenie, płaca, mundur prawie darmowy, ewentualnie koszary. Komorne przestaje być zmorą.

Potem w hierarchii powodów idzie bezczynność. Przecież każdy Niemiec jest wychowany w tradycji szacunku i konieczności pracy. Jest przeważnie zdrowy i czynny. Brak zajęcia był dla niego i upokorzeniem, i po prostu torturą fizyczną. Świadomość, że partia, choćby od czasu do czasu, będzie go potrzebowała, że powierzy mu jakąś funkcję, choćby maszerowanie w szeregu, musi grać tu rolę rozstrzygającą.

Znowu dygresja. Tajemnicą chyba pozostanie przyczyna świetnego wprost stanu fizycznego tej niemieckiej młodzieży trwającej w biedzie i bezczynności od tylu lat. Sporty, kult ciała, słońce i woda – to wszystko istnieje i w Polsce. A jednak kiedy w dzień po moim powrocie z Niemiec widziałem defiladę polskiego przysposobienia wojskowego i porównałem tych chłopców z ich niemieckimi rówieśnikami, mimo woli nasunęła mi się myśl, czy za czasów Grunwaldu stosunek fizyczny naszych ras był taki sam? A jeżeli tak, to co zwycięża? Przypuszczam, że młodzież niemiecka jest dziedzicznie obciążona zdrowiem i skutkami wysokiej stopy życia. Kilkanaście lat nędzy nie może widocznie zniszczyć tego dorobku. A znowu u nas: przypomnijmy sobie, jak wyglądał przedwojenny gimnazista, nawet z zasobnej inteligenckiej rodziny. Wszak był to żywy pomnik wystawiony złej przemianie materii. Dzisiaj jednakże postęp jest ogromny.

Powracam do wykładu o popularności SA. Dalszy powód to strach. Jakaż znikoma liczba młodych ludzi w Berlinie nie należała do jakiejś organizacji, szczególnie zważywszy typowo niemiecki pęd do skupiania się pod jakimś sztandarem. Za republiki weimarskiej, a zwłaszcza w samym Berlinie, ugrupowania te, choć może niepolityczne, były jednakże przeważnie postępowe. Trzeba tę wstydliwą przeszłość zamazać. Można jeszcze stracić posadę, jeżeli się ją ma. Jak lepiej zamanifestować swą lojalność, niż wstępując do SA?

Przyjaciel Kurta, pracujący w dużym domu handlowym, został wezwany przez szefa oddziału osobowego i zapytany, czy należał kiedyś i do jakiej partii lub też organizacji. Odpowiedź była negatywna.

– A obecnie należy pan?

– Też nie.

– No, to żałuję. Będziemy musieli się rozstać.

Rozpacz urzędnika; pyta się, co ma uczynić, aby pozostać na stanowisku. Słyszy odpowiedź: „Może moglibyśmy pana zatrzymać, gdyby pan na przykład wstąpił do partii".

Czy podobnych wypadków przymusu było wiele, zanim nastąpiło zamknięcie szeregów partii – nie sposób sprawdzić.

Powodem nie do pogardzenia jest też żądza władzy. Tkwi ona prawie w każdym z nas. Więc cóż dziwnego, że nerwowo i fizycznie wynędzniały bezrobotny, który jeszcze niedawno może nawet żebrał, a dzisiaj nagle ma sposobność rozkazywania i każdy cywil musi go się bać – nie umie oprzeć się tej pokusie.

Wreszcie jednym z powodów jest sobie mała – że tak powiem – żydowska (*horribile dictu*) kombinacyjka. A mianowicie: wiadomo jest, że od 1 stycznia 1934 roku będzie wprowadzona obowiązkowa służba pracy: taka, jaka na przykład istnieje już w Bułgarii. Młody człowiek odpowiadający mniej więcej fizycznym warunkom potrzebnym do służby wojskowej zostanie wciągnięty do specjalnych kadr, będzie umundurowany, skoszarowany czy „zobozowany", będzie użyty do robót melioracyjnych, drogowych, budowlanych itp. i oczywiście będzie przechodził musztrę wojskową. Służba ta może być ciężka. Ale ci, którzy wstąpili już do SA i obecnie odbywają przeszkolenie wojskowe, mają wszelkie szanse, że będą użyci w tych kadrach pracy jako wyższe szarże.

W późniejszej rozmowie z jednym z moich przyjaciół, który jest grubą rybą w ruchu narodowosocjalistycznym, ze złośliwą satysfakcją zapytałem, czy prawdą jest, jakoby strach przed pracą przymusową w styczniu przyszłego roku był już obecnie przyczyną żywiołowego wstępowania do SA. Powiedział, że nigdy się nad tym nie zastanawiał, że nie jest to wykluczone, i widać było, że biedakowi zrobiło się bardzo smutno. Widocznie obliczał, że drogie jest dyskonto zapału.

Rozmowa się nie klei. Kurt zamilkł. On twierdzi, że stoliki stoją za blisko siebie. Bo prawdą jest, że nigdy w życiu nie widziałem tylu plotkujących głów, co w lokalach berlińskich. Każdych dwoje ludzi to, przysiągłbyś, para zakochanych, tak sobie czule szepczą w uszko. A na ulicy mundurowiec ostrogami dzwoni. Jak widzimy, role są podzielone.

Wychodzimy więc na ulicę. Kurt czuje się tu znacznie swobodniej. Wylewa też na mnie całe katarakty kawałów. Większość z nich, jak wszystkich kawałów świata, jest nie do powtórzenia. Ale tych na zagranicę, cenzuralnych,

o charakterze czysto politycznym, jest też cała masa. Należy je opowiadać jednakże oględnie (od słowa „oglądać się"). Sąd się rzadko śmieje, a jest już wyjątkowo drażliwy na punkcie kwestii spalenia Reichstagu[3]. Za powtarzanie jednej z dwóch następujących dykteryjek, kilku, może nawet niewybitnie kontrrewolucyjnych „kawalarzy" zostało skazanych na półtora roku więzienia.

Więc pierwsza dykteryjka. Wieczór pożaru w Reichstagu. Göring siedzi u siebie. Nagle wpada służący i woła: „Ekscelencjo, Reichstag się pali". Na to Göring spogląda flegmatycznie na zegarek i mówi: „Ach, już?".

Druga dykteryjka osnuta jest na tle faktu ze śledztwa w sprawie van der Lubbego[4], rzekomego podpalacza. „Dlaczego van der Lubbemu spaliła się w Reichstagu koszula?". „Bo była brązowa"[5].

A teraz – skąd ta, zdawałoby się, przesadna wrażliwość na tym właśnie punkcie? Otóż pamiętajmy, a mało kto w Europie zdaje sobie z tego dzisiaj sprawę, że Hitler został wybrany i wywyższony wolą narodu. Że na ogół, i wszyscy są tego zdania, wybory marcowe nie były fałszowane. Rządzi więc Hitler pełnoprawnie. A prowokacja ze spaleniem Reichstagu jest tą przykrą, brudną i śmierdzącą (spalenizną) sprawką, o której chciałoby się co rychlej zapomnieć. Ogień w ogóle wiele krzywdy wyrządził reputacji Trzeciej Rzeszy. Ale chociaż już Reichstag nie był tą Ablową ofiarą, której dym szedł prościutko w niebo, to swąd palonych 10 maja książek rozpełzł się gryzącym oparem po całym świecie. Historia ze spaleniem książek uczy nas, że nie to jest ważne w następstwach, co jest ważne samo przez się, ale tylko to, co zapładnia ludzką wyobraźnię.

Weźmy dla przykładu katastrofę Titanica i pierwszą lepszą bitwę podczas Wielkiej Wojny. Ginęło tam gwałtowną śmiercią kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt razy więcej ludzi niż na Titanicu, i to wyłącznie młodych i zdrowych. Drugie tyle wychodziło z tej „imprezy" kalekami. Ale Titanic był i pozostanie zawsze jakoś bardziej fotogeniczny.

To samo z książkami spalonymi na Opernplatz 10 maja. Kiedy się tam tak jak ja stało i widziało brak entuzjazmu, a przede wszystkim obserwowało małą – w porównaniu z możliwościami miejsca, spektaklu i propagandy – liczebność tłumu; kiedy słyszało się zażenowane wyjaśnienia ludzi w ruchu narodowosocjalistycznym wybitnych, tłumaczących, że młodzież musi jakoś ogniście i ciepło zamanifestować swoje zwycięstwo, kiedy się widziało, jak dalece rząd wolałby, żeby palenie w ogóle nie doszło do skutku, cały ten dziki obrządek musi się wydać jednak mniej potworny, niż wydał się w pierwszej chwili słusznie oburzonej opinii kulturalnego świata.

[3] Pożar Reichstagu wybuchł wieczorem 27 lutego 1933 roku.

[4] Marinus van der Lubbe (1909–1934) – holenderski robotnik o lewicowych poglądach oskarżony przez hitlerowców o podpalenie Reichstagu i skazany na śmierć. Historycy przypuszczają, że hitlerowcy użyli go – czego być może nie był świadomy – do prowokacji, by zyskać argumenty przeciw komunistom.

[5] Od barwy umundurowania członkowie SA zwani byli brunatnymi koszulami.

Najciekawszym fenomenem jest tu nie masowa psychoza, którą tak łatwo wywołać hasłami nienawiści, ale fakt braku odwagi cywilnej ze strony rządu, który nie potrzebował chyba bać się studentów, a jednakże pomimo obawy rozgłosu, jaki musi wywołać to autodafe, nie tylko go nie zabronił, ale także jeszcze wydelegował swego ministra propagandy Goebbelsa – i ten o północy, choć stosunkowo jak na siebie umiarkowanie, ale jednakże przemawiał nad palącym się stosem.

Choć prasa codzienna dała liczne sprawozdania z tej smutnej ceremonii, przypuszczam, że warto przypomnieć pobieżnie jej przebieg. Pochód studentów uformował się gdzieś na przedmieściu i ruszył, odwiedzając po drodze składy skazanych książek.

Jak się do tych książek doszło? Otóż przez kilka dni przed paleniem wszystkie pisma zamieściły wzmianki, że każdy, kto życzy sobie przyłożyć rękę do dzieła niszczenia niepożądanej literatury, powinien szkodliwe dzieła wyjąć ze swego księgozbioru, zapakować, zaadresować i wysłać pocztą pod wskazany adres. Wskazówek udzielono nadzwyczaj dokładnie i szczegółowo. Można też było osobiście odnieść książki do lokalu, gdzie je zbierano. Ale mowy nie było nigdzie, żeby ktoś na przykład spalił u siebie w kuchni pod płytą lub na kominku zbiorowe dzieła Heinego czy Spinozy. Bez demonstracji taki akt wewnętrznej, domowej moralności nie byłby nic wart.

Zresztą ani Heine, ani Spinoza na liście palonych książek nie figurowali. Są to jednak wyjątki, których panujące nastroje nie usprawiedliwiają. Prasa wciąż tylko judzi i wprost tarza się w tych najgorszych absurdach, jakie wypływają z przeprowadzenia jakiejkolwiek myśli do jej ostatecznego, logicznego końca. Drugim źródłem takich „rozkładowych" książek była „czystka" przeprowadzona w bibliotekach, takich jak związku urzędników państwowych czy innych kompletnie rządowi podległych. Nie było konfiskat książek ze sklepów czy też wypożyczalni o charakterze handlowym. Nie robiono też „czystki" w bibliotekach instytucji naukowych. Wprawdzie we Wrocławiu studenci zagrozili, że przystąpią do rewizji po domach prywatnych, ale do tego nie doszło. Zresztą liczba dwudziestu tysięcy spalonych tomów świadczy, że palenie było aktem symbolicznym i nie zmierzało do faktycznego zniszczenia niepożądanych dzieł.

Książki załadowano więc na trzy ciężarówki, udekorowane hitlerowskimi flagami. Pochód nie był liczny. Składał się z korporacji z orkiestrami i ze studentów niosących pochodnie. Ludność, że tak powiem, cywilna nie brała w nim udziału. Jednakże, ponieważ maszerowano w formacjach wojskowych z dużymi odstępami między poszczególnymi grupami, pochód ciągnął się

dość długo. Czas jego przybycia na Opernplatz wyznaczony był na jedenastą wieczór. Już o dziewiątej pięciometrowy pas pozostawiony dla publiczności wokoło prostokątnego placu był ściśle wypełniony widzami. Środek placu odgrodzony sznurami patrolowała policja. Pośrodku stał stos belek, mający trzy metry sześcienne objętości, a na specjalnym podium ustawione były jupitery, aparaty kinowe i mikrofony. Oczywiście i dachy, i okna okalających plac gmachów miały swój komplet publiczności. Jednakże oba końce czworoboku w ogóle się nie zapełniły, tak że nawet ruch kołowy na Unter den Linden nie był ani na chwilę wstrzymany. Gdyby w pogodny letni wieczór zatrzymać ruch spacerujących po Unter den Linden między zamkiem a Bramą Brandenburską – nie stworzyłoby to chyba mniejszego zbiegowiska. Prawda, że na godzinę przed nadejściem pochodu spadł mały deszcz, ale wnet się wypogodziło.

Tłum, wśród którego stoję, nie powitał nawet nadchodzącego pochodu. Jest pogodny, bo niemiecki, bo jest wiosna. Przeważnie każdy mężczyzna jest ze swą niewiastą. Zainteresowanie odzwierciedlone na twarzach należy do kategorii letnich. Jedyne okrzyki pochodzą od maszerujących studentów i od tych, którzy, jadąc na ciężarówkach, powiewają wielkimi flagami ze swastyką. Pochód bardzo sprawnie wkracza i rozmieszcza się na środku placu. Stos okrążają i rzucają nań pochodnie; tak powstaje historyczny płomień. Muzyka wciąż gra. Nagle słychać przemówienie jakiegoś profesora. Z kolei występuje dwunastu studentów kropka w kropkę jak nasze dzielne korporanty, kompletni, z „deklami”[6]. (Dekiel to jakoś nie po polsku brzmi? Czyżby to przyszło od zachodniego wroga razem z tak histerycznie opłakiwanym ustrojem uniwersyteckim?) Każdy ma książkę w ręku i wymawiając po kolei tę samą rytualną formułę: „Powierzam płomieniom dzieła (dajmy na to) Karola Marksa”, wrzuca książkę do ognia.

Ogólne wskazówki co do autorów, których należy palić, były następujące:

Najgorsi to pacyfiści: na przykład Ludwig Renn.

Potem (o subtelności!) książki specjalnie zohydzające Wielką Wojnę: Remarque.

Następnie historie wojny światowej w duchu pacyfistycznym.

Książki krytykujące Mussoliniego i faszyzm. Tu wstawka. Rozeszła się pogłoska, że palono dzieła Pitigrillego jako pornograficzne, ale zaraz nazajutrz w pismach ukazało się sprostowanie, że to nieprawda, że gdzieżby palono dzieła najwybitniejszego humorysty zaprzyjaźnionego narodu włoskiego.

Oczywiście, zbiorowe dzieła Marksa i Lenina. Tego biednego Marksa, który takie straszne rzeczy wypisywał o Żydach.

[6] Dekiel – czapka o okrągłym denku noszona przez członków korporacji studenckich.

Później w ogóle autorów żydowskich, jak Lion Feuchtwanger, Emil Ludwig, Jakub Wassermann, Arnold i Stefan Zweigowie, Kurt Tucholsky, Ernst Toller, Theodor Wolff, Alfred Kerr, Alfred Döblin, Arthur Holitscher, Egon Erwin Kisch, Bernhard Kellermann, Leonhard Frank, Franz Werfel, Vicki Baum itd.

Specjalnie wyróżnieni: żydowscy burzyciele obyczajności – czytaj: Magnus Hirschfeld.

Potem następuje długa lista już całkiem niespodziewanych autorów. Powód, dla którego zostali spaleni, pozostanie na zawsze fascynującą zagadką. Bo skoro jako kryterium wysuwa się, że są obcy duchowi narodowego socjalizmu, to autorów takich znalazłoby się znacznie więcej, niż ich było na liście, choćby wspomniany już Goethe. Należą tu: Tomasz i Henryk Mannowie, Erich Kästner, Bertha von Suttner, Foerster, Upton Sinclair, Ernest Hemingway i nawet, zdawałoby się niewinny, Jack London.

Dwunastu „Kulturträgerów”[7] zrobiło swoje i ustąpiło miejsca liczniejszej grupie towarzyszy, którzy tworzą żywy łańcuch pomiędzy ciężarówkami a stosem, podając sobie z ręki do ręki książki, aż ostatni, stojący przy samym ogniu, podrzucają je wysoko w górę, a te, rozwarłszy białe swe kartki, opadają, oświetlone z dołu płomieniem, zupełnie jak ptaki. Przychodzi chwila nieznośnego dla mnie wzruszenia. Jakiś szalony żal chwyta mnie za gardło i wyciska łzy z oczu. Nie mogę przemówić do Kurta. Żal tych książek jako ginących przedmiotów; żal tego narodu, który okrywa się wstydem. Wstyd, że ja, cudzoziemiec, gapię się na tę ich „rodzinną” hańbę. W jednej chwili ten wspólny wstyd zasymilował mnie. Chyba nigdy nie poczułem się za granicą tak bardzo miejscowym, tak bardzo Niemcem. Pomyślałem o uroczystościach weimarskich[8] sprzed roku. Ciągle ta myśl powraca.

A tymczasem muzyka gra. Ci, co biorą udział w obrządku, wiwatują umiarkowanie, a jupitery chodzą po placu jak beznadziejne latarnie morskie.

Nagle cisza. Przemawia Goebbels. Źle słychać, tylko od czasu do czasu można rozróżnić pojedyncze słowa i ten specyficzny ryk, jaki wydają przywódcy narodowego socjalizmu, kiedy chcą naprawdę zawładnąć tłumem. Robi to i Hitler, i Goebbels, najmniej Göring. Żadna parodia przemówienia nie potrafi oddać tego demagogicznego tonu. We mnie budzi to zawsze śmiech.

Po krótkiej mowie ministra propagandy tłum blisko stojący wznosi okrzyki na jego cześć, a reszta dalej trwa w zupełnie gapiowskiej bierności. Dopiero przy pierwszych dźwiękach hymnu hitlerowskiego *Horst Wessel Lied* cały tłum ożywia się i śpiewa z zapałem wszystkie trzy zwrotki. Muszą wydać się one nieskończenie długie dla tych, których ukłon faszystowski, trwający dobre pięć minut – nuży. Bo wszyscy mężczyźni okrywają głowy, a „rączka do

[7] *Kulturträger* (niem.) – osoba uzurpująca sobie prawo do narzucania innym społeczeństwom swoich zasad i kultury.

[8] Chodzi o uroczyste obchody w Weimarze stulecia śmierci Goethego.

góry" obowiązuje bez względu na płeć. Oglądano się trochę na mnie, że nie wykonuję tych gestów, ale nikt mnie w tej sprawie nie zaczepił.

Koniec ceremonii. Tłum się rozchodzi. Ogień dogasa. Strażacy pomagają sikawką. Z popiołu robi się błoto. W tym błocie wszyscy szukają pamiątek. Przez kilka następnych dni wśród moich „nieodrodzonych" znajomych odbywały się prawdziwe licytacje na te pamiątki, znane pod ogólnym mianownikiem: „*Von dem Feuer gerettet*"[9]. Ja osobiście zdobyłem dwa trofea. Jedno to duży, na kartonie naklejony plakat: reklama powieści Remarque'a *Na Zachodzie bez zmian*. Ze względu na rozmiary musiałem go niestety zaraz podarować. A drugie to karta pocztowa – formularz dla pragnących zapisać się na członków Światowej Ligi Reformy Seksualnej. Pod oficjalnym adresem Ligi w nawiasie: doktor Magnus Hirschfeld. Ten szacowny, choć w błocie zbrukany dokument mam zamiar ofiarować polskiemu oddziałowi Ligi, czym niewątpliwie zyskam sobie serca wszystkich współpracowników „Życia Świadomego"[10].

Jako pocieszający szczegół tej smutnej historii można przytoczyć, że w czasie pochodu studenci na ciężarówkach gorączkowo wyszukiwali i odkładali dla siebie na bok co pikantniejsze dzieła. To tylko dowodzi, że i hitlerowska młodzież jest ludzka.

Powyższe sprawozdanie z palenia książek jest zgodne z prawdą i niech nikt nie wierzy histerycznym opisom spotykanym w prasie: bachanalia, sobótka (była to środa), indiańskie tańce, afrykańskie ryki. Nic podobnego. Było tak, jak opisałem.

Antoni Sobański, *Cywil w Berlinie*, Warszawa: Sic!, 2006, s. 49–62

[9] *Von dem Feuer gerettet* (niem.) – uratowane z ognia.

[10] Patrz wstęp do tekstu Ireny Krzywickiej s. 309.

1933

Ferdynand Goetel (1890–1960)

Przeciętny reprezentant przeciętnego czytelnika

Kiedy jego – syna właściciela dworcowej restauracji – relegowano z prestiżowego liceum imienia Nowodworskiego w Krakowie, uzasadnienie brzmiało: „Potajemnie pali cygara, organizuje hazardowe gry w karty i kości, rozprowadza fotografie z kobiecymi aktami". To bardzo trafna zapowiedź barwnego życiorysu późniejszego reportera i pisarza.

Sławę przyniósł mu opis ucieczki. Tuż po wybuchu pierwszej wojny, gdy ten świeżo upieczony absolwent wiedeńskiego wydziału architektury przyjechał do Warszawy, internowano go i zesłano do Taszkientu. Jako obywatel austriacki, potencjalnie niebezpieczny dla imperium rosyjskiego trafił do obozu dla więźniów politycznych. Pięć lat później razem z młodą żoną w ciąży udało mu się uciec. Po trzech miesiącach drogi pełnej niebezpieczeństw, przez Persję, Afganistan i Pakistan, dotarli do Indii. Dopiero tam poczuli się bezpieczni. Powrót do Polski opisał w bestsellerze *Przez płonący Wschód* (1924).

W międzywojennej Polsce był redaktorem pism „Naokoło świata" i „Kuriera Porannego". W 1926 roku wydał autobiograficzną powieść *Z dnia na dzień*, którą zekranizowano w 1929 roku jako melodramat wojenny. Został prezesem polskiego PEN Clubu. W 1938 roku napisał książkę, po której nazywano go pisarzem faszyzującym.

> Opublikował głośny tom publicystyki pod tytułem *Pod znakiem faszyzmu*. Podkreślał tam radykalną poprawę bytu ludności Włoch – zwłaszcza znaczny spadek bezrobocia i przestępczości, wzrost płac, modernizację gospodarki oraz zapewnienie opieki socjalnej – pod rządami Benito Mussoliniego. Istotną część książki stanowi analiza i krytyka komunizmu, „największego zagrożenia współczesnej ludzkości". Autor postulował, by w obliczu alternatywy: faszyzm czy komunizm, przystąpić do konsolidacji państwa. [...] „Proszę pamiętać, panie prezesie, że przyjdzie czas, gdy pan będzie zlizywać kurz z moich butów" – pisała do niego po lekturze Wanda Wasilewska. Po 1939 roku sam uznał tę książkę za błędną, chociaż, jak twierdził, pisaną w dobrej wierze. Co znamienne, trafiła na indeks zarówno komunistyczny, jak i... hitlerowski. *Pod znakiem faszyzmu* pierwszy raz postawiło Goetla w zdecydowanej opozycji wobec liberalnej inteligencji – pisze w szkicu o nim Tomasz Zbigniew Zapert.

Początek wojny (streszczam dalej za Zapertem) spędził u boku Stefana Starzyńskiego, pisał dlań przemówienia, zagrzewające mieszkańców do obrony.

Po kapitulacji Warszawy otworzył razem z dwoma kolegami kuchnię dla pisarzy w biedzie przy ulicy Foksal. Wiosną 1943 roku otrzymał od władz niemieckich propozycję wyjazdu do Katynia (nasiliły się potem plotki o jego kolaboracji z okupantem). Propozycję przyjął za zgodą Komendy Głównej AK. Po powrocie, wstrząśnięty i przekonany o sowieckiej odpowiedzialności za mord, napisał raport dla PCK i zdał relację generałowi Stefanowi Grotowi-Roweckiemu. W styczniu 1945 roku otrzymał propozycję nie do odrzucenia: oświadczy, że Katyń jest dziełem Niemców, a w zamian dostanie gwarancję spokojnego życia w Polsce. Odmówił, więc w prasie ukazał się list gończy, oskarżający go o jakieś pospolite przestępstwo. Z fałszywym paszportem uciekł do Włoch, a potem do Anglii. Żona przyjechała z Polski po wielu latach dopiero na jego pogrzeb.

W PRL-u był pisarzem całkowicie zakazanym – urząd cenzury zalecał: „Wszelka krytyka dozwolona, ale najlepiej przemilczeć".

Jego *Pisma podróżnicze* z lat dwudziestych i trzydziestych, dokumentujące m.in. wyprawy do Egiptu, Indii czy na Islandię, przygotowane przez Idę Sadowską, wydane zostały w całości dopiero w XXI wieku. Do naszej antologii wybraliśmy reportaż z Indii. Jak Goetel sam mówił w wywiadzie dla „Wiadomości Literackich" w 1933 roku, pojechał na Wschód, bo przecież stamtąd przyjechał. „To znaczy, że tam zaczęła się moja twórczość literacka".

Jego postawa reportera to optyka „normalnej europejskiej głowy" – jak określa to Ida Sadowska – „programowa przeciętność delegata czy też reprezentanta swoich potencjalnych czytelników".

> Pisarz odbywa tę podróż za wszystkich, którzy nie jadą – wyjaśniał w „Tygodniku Ilustrowanym". – Jest ich funkcją, ich możliwością, zrealizowaną w najdostępniejszy sposób. [...] Czy to nie brzmi nieco dziwnie, że jadąc do Indii, nie mogłem dostać ani jednej książki w języku polskim o tym kraju. W całej literaturze, którą się posługiwałem w podróży, nie było ani pięciu słów polskich. Wynikało stąd ogromne skrępowanie w pracy. Pisze się dla czytelnika zupełnie nieprzygotowanego, który ma w sobie mglisty i fantastyczny zarys sądu o Indiach.

Chciał poznać i opisać Indie, podzielić się zdziwieniem. Ale jak wielu reporterów podróżników odkrył jeszcze coś innego:

> Jako namiętny zwolennik doświadczeń naocznych pojechałem do Indii – pisał. – Nie wiem, czym tu zrozumiał Wschód, jednakże dopiero tu zrozumiałem i nauczyłem się cenić Europę. Jest to najdonioślejszy rezultat mej podróży.

Podróż do Indii

Lekcja historii

Sprawa sporna, czy wynająć sobie w Bombaju służącego dla obsługi i pomocy w podróży w głąb Indii, czy też wyruszyć samemu, była przedmiotem wielu mych rozmyślań.

Baedeker z roku 1914 uważa, że służący taki jest „przyjemny, ale bynajmniej nie niezbędny". [...]

Koniec końców postanowiłem po długich i zasadniczych rozważaniach służącego nie wynajmować i... wynająłem go przy pierwszej z brzegu sposobności. Zwykła to zresztą kolej ludzkich postanowień.

Mój *boy* ma pięćdziesiąt lat. Wziąłem go z ulicy, bo mi się przypadkowo nawinął pod rękę. [...]

Miał siwe włosy i poczciwy wyraz twarzy. Po angielsku mówił nieźle. Przedstawił pokaźny plik świadectw. Wynająłem go za pięćdziesiąt pięć rupii (rupia trzy złote dwadzieścia groszy) miesięcznie. Bez kosztów utrzymania, bo to już jego rzecz.

Nazywa się Mahomed Izmaiłł i pochodzi z północy. Co ma robić, nie wiem. Na początek daję mu urlop dwudniowy i dopiero w przeddzień wyjazdu na północ rozpoczyna urzędowanie od wielkiego wymyślania czyścicielowi łazienki za nie dość pono wymytą wannę. Później pakuje kufry, zręcznie i porządnie, ale bez żadnej myśli przewodniej, tak że marynarka, kamizelka i spodnie tego samego ubrania trafiają do trzech kufrów. Obszerny wykład o związku poszczególnych części garderoby robi jednak swoje. Zauważam, że od chwili wyjazdu z Warszawy nie miałem tak porządnie spakowanych kufrów. Może... bestia jednak potrzebny?

Teraz więc pierwsza próba zaufania: zakup drobnego sprawunku. Oszukał o parę groszy, ale może... może jego oszukali? Wobec czego druga: zakup biletów kolejowych do Udajpur.

Kupił jak trzeba i wyliczył się sumiennie. No i trzecia, decydująca w chwili wyjazdu. Izmaiłł zabiera moje kufry, aby je dostawić do pociągu i zająć wcześniej miejsce. Trzy kufry i tobół z pościelą! Na odchodnym zagarnął jeszcze i aparat fotograficzny, bo po cóż, powiada, mam się trudzić.

Właściwie – szydziłem z samego siebie, pozostawszy sam w hotelu na pożegnalnym lunchu – powinienem był oddać mu jeszcze i portfel z gotówką.

A jednak, gdym lekki jak nigdy i jak nigdy niespokojny, przybył na dworzec na gentlemeńskie dziesięć minut przed odejściem pociągu, Izmaiłł stał przy drzwiach przedziału pierwszej klasy, dostojny i ważny, w wyniosłym swym spokoju wyższy nad wszelkie podejrzenia.

Jestem bardzo zadowolony z Izmaiłła, choć jeszcze ciągle nie wiem, do czego właściwie służy. Zrozumiałem już jednak, że oprócz swych funkcji wątpliwego znaczenia spełniać będzie wyższe zadania reprezentacji i symbolicznym czarem swej osoby utoruje mi drogę w Indiach. Biały człowiek bez kolorowego służącego nie jest w tych stronach świata całkowicie białym – oto jedna z zasad życia kolonialnego, którą trzeba wpierw odkryć, aby nią w ogóle móc pomiatać.

Jestem stanowczo zadowolony z Izmaiłła, a kiedy pociąg rusza z miejsca i zrywa ostatnią nić łączności z bliskimi mi stronami świata – odczuwam dobroczynne sąsiedztwo jego w przedzialiku z napisem „*Servants*”[1]. Oto jedyny człowiek, który coś niecoś wie, kim jestem, czego chcę, dokąd jadę. Jedyny, do którego będę miał jakie takie prawo przez długie trzy miesiące życia. [...]

W stolicy jutrzejszych Indii

Kiedym zawiadomił mojego *boya* w Agrze, że następną naszą stacją w Indiach będzie Allahabad – wykrzyknął zdumiony:

– Allahabad! Co *master* chce widzieć w Allahabadzie?

– Mahatmę Gandhiego!

– Aa... – otworzył gębę zdumiony. Po chwili zauważył opozycyjnie: – Nikt z turystów nie ogląda Gandhiego!

– Więc ja będę takim pierwszym turystą. A ty nie chciałbyś go widzieć?

– Widziałem go już ze sto razy! – zełgał bez zająknienia, nie tyle z gorliwości nacjonalnej, ile dla urażonej dumy bywalca.

Zamyślił się jednak i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– A *master* wierzy w Gandhiego?

– Nie moja rzecz. Tyś powinien wierzyć w niego albo i nie wierzyć. To twój człowiek.

– Ja jestem *boy* i nie rozumiem się na tym. Ale *boye* to nie wierzą. Mówiłem tu z jednym w hotelu – lawiruje przezornie – to on powiada, że wszyscy *boye* w Indiach modlą się, żeby Gandhi... umarł.

– Proszę! Dlaczegóż to?

– Bo *boye* nie mają zajęcia. W kraju są bitki i turyści nie przyjeżdżają. Ten *boy* powiada, że wszystkiemu winien Gandhi. Jak *master* myśli, czy on ma rację? – zajeżdża mnie przebiegle.

[1] *Servants* (ang.) – służba.

Od czasu wizyty w Lahore mój Izmaiłł podejrzewa mnie o jakieś sekretne zadania w Indiach. Zapowiedziany wyjazd do Allahabadu umocnił niewątpliwie jego podejrzenia. Ponieważ nie orientuje się, o co mi chodzi, rad by mnie wybadać.

– Hm! Trochę racji to on tam może i ma!

– A moja matka, bardzo stara kobieta, to znów powiada, że gdyby nie było Gandhiego, toby się w Indiach żyło tanio i spokojnie, jak za dawnych lat. Moja matka mówi czasem prawdę, a czasem nie. A *master* jak myśli?

– Tak samo, jak ty, mój Izmaiłł. Ty jesteś *boy*, a ja podróżnik.

– *Yes sir!* – przytaknął skwapliwie. – No to wobec tego jedziemy do Cawnpoor! Duża miejscowość, *first class hotel, golden temple*[2] – wylicza żarliwie.

Rozumiem, o co mu chodzi. Mój Izmaiłł pochodzi z Cawnpoor, a gdzieś w pobliżu tego miasta jest jego dom, w którym mieszka z matką. Podczas podróży wspominał nieraz, że rad by ją odwiedzić, na każdym zaś bazarze skupywał dla niej, a zapewne i dla siebie, na czasy letniego bezrobocia, różne praktyczne prezenty. Tu garnek, ówdzie parę funtów ryżu, tam wałek do robienia ciasta, jak i gdzie mu taniej wypadło. Powstał z tych darów tobół ogromny, a rozsypisty, prawdziwe utrapienie nasze podczas podróży. Czy nie zabłąkał się tam i jaki ręcznik lub prześcieradło z moich walizek – nie wypadało dociekać wobec tak budujących dowodów synowskiej miłości. Tym bardziej że Izmaiłł ma pięćdziesiąt lat, a matka jego, jak sam utrzymuje, sto (według mego przekonania siedemdziesiąt).

– Wiesz co, Izmaiłł? – powiadam. – Do Cawnpoor nie pojadę, bo mam dosyć *first class* hoteli i świątyń też wyżej uszu. Ale umówmy się: ja pojadę do Allahabadu sam, a ty tymczasem odwiedzisz matkę. Spotkamy się za trzy dni w Allahabadzie. Kolej zapłacę... dobrze?

– *Very well!* – zawołał olśniony. – Ale co *master* będzie robił trzy dni beze mnie?

– Jakoś tam spróbuję sobie poradzić. Gdybym cię bardzo potrzebował, zatelegrafuję po ciebie. Zostawisz mi swój adres.

– *Very well!* [...]

Ja zaś bawiłem tymczasem w Allahabadzie, zwabiony tam wieścią o Mahatmie Gandhim, który wypuszczony świeżo z więzienia, pierwszy swój z kolei meeting publiczny odbyć miał tam właśnie. Wszakże i niezależnie od osoby znakomitego wodza Indii zasługiwał Allahabad na uwagę. Niewielkie to stosunkowo i niegłośne miasto stało się przecież ostatnimi czasy stolicą rewolucyjnych Indii, mieszka w nim bowiem Motilal Nehru[3], pierwsza po Mahatmie

[2] *First class hotel, golden temple* (ang.) – hotel pierwszej klasy, złota świątynia.

[3] Motilal Nehru (1861–1931) – polityk z rodziny braminów, zorganizował Partię Swaradź, był jednym z pierwszych, którzy zajęli się projektem konstytucji niepodległych Indii; to on zażądał, aby Wielka Brytania przyznała Indiom status dominium. W 1930 roku przyłączył się do ruchu nieposłuszeństwa cywilnego Gandhiego, za co został aresztowany.

osobistość wolnościowego ruchu. Dlaczegóż jednak musiałem przyjechać aż do Allahabadu, aby się dowiedzieć o jego istnieniu?

Historia, a jeszcze bardziej doraźna opinia świata ma swoich faworytów i, ustaliwszy raz ich sławę, przypisuje im nieraz wszystkie dziejowe rozgrywki, nie zastanawiając się już, czy naprawdę są ich udziałem. Ustawiwszy raz pierwszoplanową figurę, skupia na niej wszystkie światła reflektorów wiedzy czy sensacji i pogrąża w cień figury sąsiednie, a może nawet i sama stwarza ową drugoplanowość figur nieraz równorzędnych. Sztuka, a zwłaszcza literatura dokona czasem korekty w tym niesprawiedliwym podziale sławy – ale nie zmieni protekcyjnego systemu oceny dziejowej, wzbogacającego bogatych i zubożającego biedniejszych.

Dla szerokiego świata Gandhi, jeżeli chodzi o Indie, jest wszystkim, a Motilal Nehru niczym. Obok Mahatmy wymienia się jeszcze czasem Mohameda Alego lub braci Alich, Mohameda i Szaukata[4], bo w osobach ich można zryczałtować siedemdziesiąt milionów muzułmanów, stanowiących odrębny i ważny czynnik w historii Indii.

W samych Indiach jednakże inaczej. Motilal Nehru ma imię olbrzymie, dla wielu bardziej nawet znaczne niż samego Mahatmy. I on może jest największą chlubą narodowościowych Indii. Miał przecież bogactwa równe Anglikom – i wzgardził nimi. Miał wykształcenie w najlepszych szkołach Anglii, miał stanowisko, wpływ, mógł, idąc z Anglią, wybić się na pozycję, jaką sobie życzył – miał dostęp wszędzie – i wzgardził tym wszystkim. Prowadził tryb życia szerszy niż wszyscy biali utracjusze, ubierał się w Londynie, piwnicę zaopatrywał we francuskie wina, miał europejskich kucharzy, amerykańskie samochody i... wzgardził tym. Motilal Nehru był Europejczykiem i – wzgardził Europą. Jakżeż wielkie muszą być więc Indie.

Rzeczywiście, nawrócenie Motilala Nehru to jeden z najbardziej znamiennych i najbardziej ważnych momentów w historii ruchu niepodległościowego Indii. Ongiś adwokat, najgłośniejszy w kraju, potomek znakomitej i bogatej rodziny, bystry polityk i świetny erudyta, światowiec i gentleman – człowiek przy tym dobry, szeroki i uczciwy – uosabiał, rzec można, pierwszy typ Hindusa, który przyswoił sobie swobodnie styl i ducha Zachodu. Rozumny sceptycyzm i praktyczny stosunek do życia oraz wielka lojalność w postępowaniu, temperament wreszcie bojowy czyniły zeń osobistość predestynowaną do odegrania wielkiej roli politycznej w chwili, gdy duch demokratyzmu zaczął przesączać się w ustrój Indii, a pierwsze reformy powojenne powołały do życia parlament Indii, okrojony co prawda jeszcze w swych prawach i jeszcze bezsilny, ale i tak cenny jako platforma walki i kolebka dalszych swobód.

[4] Muhammad Ali (1878–1931) i jego brat Shaukat (1873–1939) byli przywódcami panislamskiego ruchu nacjonalistycznego i członkami Ligi Muzułmańskiej w Indiach.

Zaledwie więc staje się członkiem Assembly[5], już obejmuje kierownictwo jednej z najbardziej wpływowych partii i w krótkim czasie staje się centralną figurą parlamentu, cenioną i szanowaną zarówno w obozie skrajnego nacjonalizmu, jak i w kołach zachowawczych, i nawet u samego rządu Indii. Rzec można, iż nadzieje Anglii na spokojny i „rozumny" rozwój wypadków wiązały się w dużej mierze z jego osobą i że nie było w Indiach człowieka, z którym by rząd liczył się tak bardzo jak z nim. Respekt ten zachował nawet wtedy, gdy Motilal Nehru przeszedł do obozu bojkotowców. Jest przecież rzeczą znamienną, że nawet w chwilach najcięższych represji on jeden pozostawał na wolności, pomimo iż piastował najwyższą godność wśród buntowników – prezesurę samozwańczego rządu Indii, zwanego Kongresem.

Do osoby Gandhiego i jego haseł biernego oporu odnosił się przez długi czas sceptycznie. W chwili rozłamu, gdy nacjonaliści opuścili Assembly, nie znalazł się jeszcze po ich stronie, pomimo namów gorących, a potem wyrzutów i złorzeczeń.

Aż dnia pewnego następuje nagły zwrot. Niektórzy twierdzą, iż stało się to po długiej rozmowie z Mahatmą – inni, że pod wpływem syna Jawaharlala[6], którego nieprzejednana nienawiść do Anglii i skrajny fanatyzm i radykalizm, niemal komunistyczny, zdołały przechylić ojca, którego dusza gorąca burzyła się na widok represji, spadających na najlepszych synów Indii.

Historia oswobodzonych Indii opisze zapewne kiedyś dramat, jaki się dokonał w duszy jej wodza postawionego na rozdrożu, gdzie z jednej strony stał rozsądek i korzyść, a z drugiej uczucie i ofiara. Jak wszyscy prawdziwie wielcy ludzie – wybrał drugą. Dokonał tego z nieporównaną szerokością gestu, oddawszy się ruchowi bez zastrzeżeń z całą pasją i hojnością swej bujnej natury. Stanowiąc z natury dokładne niemal jak negatyw przeciwieństwo Mahatmy, podporządkował mu się całkowicie i pierwszy tchnął w obóz ducha zorganizowanej dyscypliny, bez którego, wiedział, nie ma skutecznej walki i nadziei na zwycięstwo. Oddał Kongresowi na nieograniczone usługi swój majątek, swój dom i swoje wpływy potężne. Zarzucił strój europejski i przywdział białą szatę khaddaru[7]. Porzucił dawny tryb życia, zrzekł się odznaczeń, tytułów i znajomości – rzecz niemała, zważywszy wiek jego już podeszły, w którym przyzwyczajenia stają się często treścią życia.

Przystąpiwszy do Kongresu, uzyskuje wpływ natychmiastowy i – o dziwo! – zaufanie i przyjaźń Mahatmy. W ciągu kilku lat swej działalności wprowadza sprężysty strumień energii w chaotyczny nieco i egzaltowany obóz nacjonalistyczny. Wraz z synem Jawaharlalem organizuje armię wolontariuszy,

[5] Central Legislative Assembly – zgromadzenie ustawodawcze Indii.

[6] Jawaharlal Nehru (1889–1964) – syn Motilala, ojciec Indiry Gandhi, polityk, działacz niepodległościowy, wielokrotnie przewodniczący Indyjskiego Kongresu Narodowego, po proklamowaniu niepodległości premier.

[7] Strój kadarytów, zwolenników kierunku w teologii islamskiej, który uznawał wolną wolę człowieka.

którzy objąć mają nadzór i kierownictwo nad akcją bojkotową. Funduje skarb narodowy. Na głośny raport komisji Simona[8], wysłanej z Londynu dla oceny stosunków w Indiach, odpowiada kontrreferatem, znanym pod nazwą sprawozdania Nehru. Wreszcie, gdy wszyscy niemal wodzowie Kongresu, wraz z jego synem i synową, znajdują się w więzieniu, on, choć ciężko już chory, dźwiga brzemię ruchu i umie weń tchnąć wzmagającą się siłę. Dom jego w Allahabadzie staje się węzłowym punktem wszystkich poczynań niepodległościowych na olbrzymich obszarach Indii, a miasto jego rodzinne nieoficjalną stolicą kraju.

Powiadają jeszcze ludzie, i to już wszyscy, którzy mieli z nim do czynienia, że się odznaczał nieodpartym wdziękiem osobistym. Kto zresztą raz jeden tylko spojrzał na jego podobiznę, znajdzie się pod urokiem czaru, promieniującego z tej męskiej, a jednak miękkiej i wrażliwej twarzy.

Kiedym przyjechał do Allahabadu, Motilal Nehru był już śmiertelnie chory. Potężny strumień życia, który przepłynął przez tę świetną postać, rozsadził pierś jej atletyczną. Motilal Nehru jest chory na astmę. [...]

Amnestia dla więźniów stanu, ogłoszona przez Anglię w związku z liberalnym kursem polityki, zgromadziła u łoża chorego sporą gromadkę przyjaciół, a zarazem i przywódców Kongresu. Syn Jawaharlal i jego żona należą też do świeżo wypuszczonych z więzienia. Głównym gościem jest oczywiście Mahatma Gandhi, który niemal bezpośrednio po zwolnieniu z więzienia w Punie, spędziwszy tylko dwa dni w Bombaju, przybył do Allahabadu.

Allahabad przeżywa więc swe wielkie dni niepokoju, radości i trwogi – bo chociaż żegna się z Motilalem, to jednak ujrzy Mahatmę, z którego ust spodziewa się usłyszeć historyczne słowa w przełomowej dla Indii chwili.

Jechałem więc do Allahabadu pełen zaciekawienia i niepokoju, czy też dostanę jakie miejsce w hotelu, boć chyba można się było spodziewać zjazdu ciekawych w chwili tak niezwykłej w życiu trzystumilionowego narodu.

Jednakże mały i arcypodły, choć pono jedyny *first class hotel* Grand był pusty.

Mieszkał w nim tylko jakiś przejezdny handlarz budzikami (niestety mój sąsiad) i młody lekarz angielski, rozpoczynający karierę kolonialną. Nie przybyli więc... nawet dziennikarze pism angielskich, których szpalty pełne były pompatycznych deklamacji o nowej erze w Indiach, opartej na współżyciu i przyjaźni anglo-hinduskiej.

Ten bojkot psychiczny, bojkot uczuć, odruchów i uczuć, towarzyszący kwiecistym nieraz i śmiałym deklaracjom, nie był dla mnie co prawda niczym nowym, bo się już nieraz natknąłem na ten mur odrazy, obracający wniwecz

[8] Siedmioosobowa komisja brytyjskich parlamentarzystów pod przewodnictwem Sir Johna Simona. Gwałtowny sprzeciw wobec jej powstania wywołał fakt, że nie znalazł się w niej żaden hinduski przedstawiciel.

wszelkie próby pojednania, mur nieprzebity, bo ufundowany na nieufności i pogardzie, głusz jednak tego hotelu i przylegającego doń cantonmentu[9] białych przeszła najśmielsze moje przypuszczenia.

O zapowiedzianym meetingu Gandhiego nie wiedział ani właściciel hotelu, ani handlarz budzików, ani przygodny jakiś gość w restauracji, z którym spożyłem obiad przy jednym stole. Może zresztą udawali, że nie wiedzą, ale i to byłoby niemniej znamienne.

W mieście tubylczym zdawała się kipieć codzienna wrzawa i trudno było powiedzieć, co się tam dzieje za tym dygotem. Wewnętrzna temperatura ulicy wschodniej jest tajemnicą, nieodgadłą nawet dla jej synów, a cóż dopiero dla człowieka z obcych stron.

Gromadka gapiów zbierała się tylko pod domem Motilala Nehru, zamkniętym na cztery spusty ze względu na stan chorego. Jedynym żywym świadectwem obecnego w Allahabadzie „rządu" Indii był posterunek ochotników, obozujący obok domu.

Nie miał on oczywiście nic wspólnego z purpurowymi gwardiami maharadżów, gdyż składał się z tuzina bosych chłopaków, w krótkich spodenkach i koszulach. Odwachem posterunku był namiot biedniusieńki, udekorowany flagą w trzech kolorach Indii, białym, czerwonym i zielonym. Skromne drużyny naszych strzelców z lat przedwojennych były mi zbyt świeże w pamięci, abym zlekceważył ten skromny posterunek.

W dniu zapowiedzianego meetingu z wystąpieniem Mahatmy zapanowało w Allahabadzie widoczne ożywienie. Tłumy chłopów, przybyłych z prowincji, zaległy ulice i place miasta tubylczego, obozując gdzie popadło. Bezceremonialni, jeżeli chodzi o wybór miejsca, a zgoła nieobliczalni w sposobach zaopatrywania się w żywność, stają się rychło plagą bazaru i niejeden kupiec, acz ma kram udekorowany i na głowie czapeczkę Gandhiego, z kijem w ręku strzeże swego dobytku w dzień ten świąteczny. W utrzymywaniu porządku dopomagają oddziały ochotników, dość chętnie słuchane, ale nie dość liczne i tonące raz po raz w kłębowisku niesfornego tłumu, w którym widzi się postacie z dna wsiowej ciemnoty i nędzy.

Niektórzy z przybyszów, a nawet całe ich grupki noszą chorągiewki z barwami narodowymi – aliści nie wiadomo, czy wiedzą, co znaczą te kolorowe papierki. Wieśniak hinduski podróżuje chętnie, zwłaszcza gdy chodzi o świąteczne pielgrzymki. Aby go poruszyć, nie trzeba wiele trudu. Zresztą nie widać emocji w tłumie tym, gapiowatym i obojętnym, który snuje się po mieście jak ospała trzoda. Co się dzieje w ich głowach – nie wie zapewne sam Mahatma Gandhi.

[9] *Cantonment* (ang.) – kwatery wojskowe, tu: dzielnica, obwód białych.

Zabawny incydent zdarza się z jedną taką partią przybyszów na dworcu kolejowym. Zachodzę tam rankiem, aby kupić gazety, i zastaję jeden z przełazków z jednej strony toru na drugą zawalony tłumem. Po obu stronach przełazka stoi policja. Na stacji poruszenie: wszyscy spoglądają na zablokowany tłum, który raz po raz wznosi okrzyki na cześć Mahatmy i macha chorągiewkami.

– Co się tu dzieje? – pytam dwu białych dżentelmenów, przypatrujących się z flegmą tej scenie.

– Ano, widzi pan, oni przyjechali na meeting bez biletów kolejowych. Powiadają, że teraz jest bierny opór i że się nie płaci za kolej.

– Nie! – poprawia drugi. – Oni nie chcą płacić, ponieważ utrzymują, że nastała wolność. Rozumie pan? – Wzrusza ramionami i odwraca się na pięcie.

Rozumiem, choć sądzę, że nie płacą, bo po prostu nie mają pieniędzy. Niemniej jednak sprawa zapowiada się zabawnie, zostaję przeto na dworcu, ciekaw, jak się rozwiąże. Jakiś urzędnik pertraktuje z nimi. Dowiaduję się, że zarząd kolei, nie mogąc już stwierdzić, kto skąd przyjechał, żąda po pół rupii od głowy. Ale nie! Ani myślą płacić! Propozycja kolei jest odrzucona w akompaniamencie gwałtownej wrzawy. Niech powiedzą Mahatmie Gandhiemu, że przyjechali go zobaczyć. Reszta ich nie obchodzi.

W odpowiedzi na to przybywa wzmocniony oddział policji i partiami odprowadzają ich do aresztu.

Niezłe to jest *qui pro quo* – myślę sobie – przyjechać zobaczyć Mahatmę i poświętować dzień wolności, a dostać się do aresztu, niezmiennie działającego. Niejeden z nich naprawdę może wierzył, że opłaty kolejowe zostały już zniesione. Biedne to bractwo, bose, na pół gołe... Lecz kolej... rozumuję... co ma począć kolej? Ustąpić i stworzyć precedens o skutkach nieobliczalnych? Skoro się ich jednak zatrzyma w areszcie, jakżeż będzie z atmosferą pojednawczą tego święta, którego wyrazem jest przecież Mahatma Gandhi, wypuszczony łaskawie z więzienia? Oto błędne koło, jedno z wielu, jakie wytwarza problemat wolności, zaszczepiony hinduskim masom.

Rozwiązanie znajduje się jednakże. Telefony zaczynają działać – na dworzec przybywa Jawaharlal Nehru i wykupuje swe owieczki za ryczałtową sumę dwustu rupii. Z pieśnią triumfalną ruszają ku miastu.

Odprowadzonych już do aresztu też oczywiście zwolniono.

Po tym obiecującym wstępie wybieram się na meeting.

Kiedym poprosił zarządzającego hotelem, aby mi zamówił dorożkarza i objaśnił go, gdzie jechać należy... otworzył gębę ze zdumienia.

– Na meeting... ten... tam?

– Tak! Na meeting! – odpowiadam sucho, dając mu do zrozumienia, że mnie nic nie obchodzi opinia jego wytwornego zakładu, wraz z szanownym handlarzem budzików i dostojnym lekarzem z Europy.

– W Bombaju na takim samym meetingu zadusili kilka osób! – zauważa zjadliwie.

– Wiem! Bardzo smutny wypadek.

– I pan się nie boi?

– Boję się! Po to tu jednak przyjechałem.

– Ach tak! Przepraszam! – przygląda mi się z politowaniem.

Że żaden szanujący się Europejczyk nie chadza na meetingi hinduskie, a ujrzenie Gandhiego uważa sobie za dyshonor lub kiepski omen – zmiarkowałem już od dawna.

Niestety, droga do prawdy prowadzi w Indiach przez zdetronizowanie białej skóry. Dążę przeto wytrwale do celu i pokonuję jeszcze jedną zaporę w postaci policjanta, który na skrzyżowaniu ulic wielkim głosem zatrzymuje moją dorożkę, oznajmiając, że dalej jadą tylko pojazdy zmierzające na meeting.

– Jadę właśnie na meeting! – oświadczam.

– Och! – westchnął, wybałuszywszy oczy. Potem zrobił ruch ręką, że pozwala, i ramionami, że ubolewa.

Ten gest, kończący mój europejski honor, jak gilotyna, i to „och!" wydarte z głębi piersi pozostało mi długo w pamięci i powracało stale, ilekroć w myślach szukałem rozstrzygającego argumentu dla sprawy anglo-hinduskiej.

Najcięższa próba czekała mnie jednakże u celu. Nikt mnie tu już nie zatrzymywał ani nie wzdychał nade mną – lecz skoro się znalazłem, sam jeden człowiek biały w obliczu wielotysięcznego tłumu Hindusów, pod pręgierzem oczu zdumionych, zaskoczonych i podejrzliwych – miałem ochotę zapaść się pod ziemię i wynurnąć gdzieś w pobliżu Wisły.

Zbroję jednakże serce męstwem i staję skromnie z boku placu, na miejscu stosunkowo wolniejszym, skąd przez morze głów widzę w dość sporej odległości trybunę. Po niedługiej chwili spostrzegam, że wybrałem miejsce jak najgorsze, gdyż widząc sam niewiele, jestem widziany przez nazbyt wielu ludzi. A każdy, kto mnie raz zhaczył spojrzeniem, trzyma mnie już na smyczy uwagi, choćbym nie wiedzieć jak udawał, że tego nie zauważam, i wyłgiwał się skromnymi minkami. Trudno! W miejscu tym prezentuję się bardziej zagadkowo niż w samym sercu dżungli.

Wytrzymać jednak nie sposób. Zdobywam się na czyn rozpaczliwy i przepycham się w sam gąszcz tłumu. Jestem teraz przedmiotem najbardziej już bezpośredniego zainteresowania, a nawet drobnych awantur, ale sfera mego

oddziaływania ogranicza się do wąskiego koła sąsiadów. Koniec końców utwierdzam się na jakimś wzgórku i powoli... powoli wsiąkam w tłum. Już tylko od czasu do czasu zwracają się ku mnie głowy, już coraz rzadziej słyszę za sobą szmer zaniepokojonych głosów. Wreszcie... pogodzili się jakoś ze mną. Jeżeli uważają mnie za szpicla – nie można się im dziwić.

Jestem teraz w odległości jakich trzydziestu metrów od trybuny, na której rozsiedli się członkowie Kongresu bawiący w Allahabadzie. Niektórych, znanych mi z ilustracji, jestem w stanie rozpoznać. Ten piękny pan z siwym wąsem to Mohan Malavia, ten drugi z wyrazem twarzy pełnym dobroci to senior obozu Vallahabai Patel[10].

Przywódców ruchu niepodległościowego w Indiach porównywano nieraz już do Rzymian, zwracając uwagę na ich białe szaty, podobne do rzymskiej togi. Poszedłbym dalej i przyznał im także swobodny patos gestu, dostojną postawę i nawet rysy twarzy, użyjmy tego uogólnienia, senatorskie. I zapewne w żadnym rządzie mężów stanu jakiegokolwiek państwa na świecie nie znaleźlibyśmy tylu pięknych i szlachetnych typów ludzkich, jak w samozwańczym rządzie Indii. Tak! Są to prawie Rzymianie! Brak im wszakże jednej zasadniczej cechy, to jest srogości czy choćby tylko stanowczości wyrazu. W twarzach mają pewien rys zmęczenia, a w ruchach miękką zniewieściałość.

Widok tego areopagu o antycznym układzie, a także i rzeszy ludzkiej otaczającej go z jakąś instynktowną harmonią i niedbałym ładem uprzytamnia mi naraz fakt, że ten najmłodszy na świecie nacjonalizm hinduski dotknięty jest brzemieniem wieku jednej z najstarszych na świecie ras. I niejedną może tajemniczą i zagadkową właściwość ruchu niepodległościowego w Indiach tej właśnie głębokiej sprzeczności przypisać należy.

Wtem... z jednego rogu placu wybucha powitalny okrzyk: *Dżai! dżai!*[11] – Gandhi!?... Nie! To Jawaharlal Nehru, chuda, wysoka postać o twarzy ostrej i ascetycznej. Wchodzi na trybunę i oznajmia przybycie Mahatmy za dziesięć minut. Mogę teraz rozumieć, co się dzieje, gdyż przysunął się do mnie jakiś młody Hindus w okularach i dowiedziawszy się, że nie jestem Anglikiem, udziela mi gorliwych wyjaśnień o przebiegu wydarzeń.

Senną i znudzoną już oczekiwaniem masę ogarnia rytm rozpoczynającego się meetingu. Reżyseria wieców ludowych w Indiach stoi na wysokim poziomie i niejeden europejski trybun ludu mógłby się tu wiele nauczyć.

Dziesięciominutowa pauza pomiędzy zapowiedzią a przybyciem Mahatmy poświęcona jest na odpowiednie przyrządzenie psychiczne atmosfery zgromadzenia. Na trybunie pojawiają się dwie kobiety. Jedna z nich to żona Jawaharlala, wypuszczona wraz z nim z więzienia, Shyam Kumari Nehru.

[10] Malaviya Madan Mohan (1861–1946) – polityk i reformator społeczny, przywódca nacjonalistów, wydawca dzienników indyjskich, przewodniczący Kongresu w 1918 roku, konserwatysta aprobujący system kastowy w Indiach. Vallabhbhai Jhaverbhai Patel (1875–1950) – polityk, członek Partii Kongresowej, przewodniczący Kongresu w 1931 roku. Wielokrotnie więziony za działalność w ruchu Quit India. Od 1947 roku minister spraw wewnętrznych Indii.

[11] *Dżai*, od sanskr. *dżaja* – słowo oznaczające „zwycięstwo" i używane jako okrzyk radości, niekiedy poprzedza imiona osób lub bóstw.

Śpiewnym, monotonnym głosem wypowiada jakieś rytmiczne zdania – które tłum powtarza jak słowa przysięgi. Jest to pono hymn narodowy Indii, jakże odmienny od naszych pieśni, lecz chyba nie mniej wymowny. Słowa jego padają w duszę, dla jednych jak zaklęcia, dla drugich jak lekcja miłości ojczyzny.

Wreszcie... on!... Mahatma Gandhi. Idzie przez szpaler utworzony z dziewcząt, witany grzmotem okrzyków i oklasków, potężnych i szumnych jak odgłos wiatru poruszającego las. Powoli i spokojnie wchodzi na trybunę i stoi na niej czas długi, rozumiejąc zapewne, że tłum ten zebrał się tu, aby zobaczyć swego Mahatmę i zapamiętać dokładnie, na długo, na całe życie.

Patrzę i ja na tego niezwykłego człowieka, który ponadludzkim wysiłkiem woli wyczarował naród hinduski z milionów i milionów różnojęzycznej, różnorasowej i różnowyznaniowej rzeszy, zaludniającej olbrzymie obszary Indii. Jakże wygląda ten największy czarodziej naszych czasów?

Chudy oczywiście, ale i dość wysoki, i nie tak znów wątły, jak go sobie zwykliśmy wyobrażać. (Złośliwe jakieś przypomnienie podszeptuje mi myśl, że na tych nogach długich i muskularnych mógłby biegać szybko i w niezłym czasie). Narodową swą szatę nosi bez wdzięku, swoistego hinduskim mężom stanu; przerzucana niedbale przez ramię przypomina raczej prześcieradło kąpielowe niż rzymską togę. Twarz osławiona już w całym świecie – drobnego urzędniczyny czy nauczyciela ludowego z głębokiej prowincji. Twarz, która, jak się to mówi, ma „swój rozum". Spojrzenie bystre, po trochu nawet i chytre. Uśmiech nieschodzący z lic, poniekąd już afiszowy. Nie z kategorii oczywiście owych szeroko otwartych amerykańskich gęb, reklamujących zdrowe zęby i wszechstronny apetyt, lecz jak gdyby z twarzy zakonnika, który łagodnym skrzywieniem ust manifestuje skromne swe szczęście wewnętrzne i pogodę ducha, okupione ceną habitu. Twarze tego rodzaju, gdy z nich na chwilę spełznie grymas wieczystej radości, stają się smutne, groźne, a najczęściej bezduszne.

Mahatma nie spędził go z ust, lecz jak gdyby o nim zapomniał, stojąc przed tłumem szalejącym z uniesienia. Myśl jego zdaje się błądzić gdzie indziej, może u łoża umierającego przyjaciela, może w Bombaju, gdzie na podobnym zebraniu zadeptano na śmierć kilka osób. Patrzy na tłum z namysłem i nawet z pewnym wyrazem znużenia. Bije od niego chłód, mrożący owacje, które zamierają też rychło, niewypowiedziane, niewyśpiewane do końca.

Jakże inaczej wyobrażałem sobie tę chwilę i tego człowieka, który tu, na zwycięskim półmetku wszystkich swych wysiłków życiowych, staje w obliczu sprzymierzonych mas? A jednak jakiś odruch sympatii do niego odzywa się we mnie, właśnie teraz i dopiero teraz. Wydaje mi się przecież, że go rozumiem, po raz pierwszy... ale i ostatni.

Od tej pory bowiem zaczynają się dziać rzeczy już dziś dla mnie niepojęte. Mahatma zaczyna mówić i... siada, podwinąwszy nogi pod siebie. Brzmienie głosu suche, intonacja monotonna, ręce jego opuszczone na kolanach żadnym gestem nie tłumaczą i nie popierają słów, tak mówi nie wódz do tłumów ani nawet człowiek do człowieka, a tylko jakiś bonza ferujący boskie wyroki.

Na domiar złego w pewnej chwili... psują się megafony roznoszące głos Mahatmy. Zdolność hinduskiej reżyserii zgromadzeń ma też widocznie swoje niedociągnięcia. A może mszczą się na Mahatmie demony biczowanej przezeń cywilizacji?

Prezydium wiecu zarządza przerwę dziesięciominutową... i oto równowaga mego umysłu otrzymuje cios decydujący. Mahatma dobywa skądeś kądziel i... zaczyna prząść.

Jak dobrze, że mnie tu nie rozumieją, bo chyba powiedziałem: wariat. Wstyd się przyznać, ale to już zbyt dziwne sprawy jak na moją normalną, europejską głowę. Bo, zgódźmy się już z widokiem dorosłego chłopa z kądzielą w ręku, ale tu? Na meetingu? O przykład chodziło? Cóż jednak stałoby się z Indiami, gdyby tak wszyscy Hindusi przędli w ważniejszych chwilach swego życia i swej walki o niepodległość.

Jestem całkowicie skłócony z otoczeniem i już się nie dziwię, gdy po dwudziestu minutach zabiegów megafony pozostają nadal nieczynne – a Mahatma zaczyna mówić dalej, nie przestając prząść, jak jakiś wróż z dziecięcej bajki.

Tłum, nie słysząc teraz niczego, domaga się, aby mu powtarzano słowa mistrza, który albo nie chce, albo nie może podnieść głosu. Rolę żywego megafonu obejmuje rzeczywiście jakiś mąż o potężnym organie głosowym, ilekroć jednak ryczy, powtarzając zdania Mahatmy – respekt tłumu pryska i słowa jego giną w gwarze i zamieszaniu.

Widzę, że już nic z tego nie wyjdzie, i opuszczam meeting, nie wiedząc, czy się cieszyć, czy żałować, żem poszedł na to zebranie cudackie.

Nazajutrz przeczytałem w gazetach miejscowych sprawozdanie z podniosłych chwil, jakie przeżyli uczestnicy zebrania. Niepojęte Indie wydały mi się znów podobne do Europy. Lecz w takim razie: może naprawdę byłoby lepiej, gdyby ci dziennikarze hinduscy... przędli jak Mahatma, zamiast łgać jak ich koledzy i mistrze zza oceanu.

Ferdynand Goetel, *Pisma podróżnicze*, wybór, wstęp i oprac. I. Sadowska, Kraków: Arcana, 2004, s. 170–190

1936

Ksawery Pruszyński (1907–1950)

Mieć namiętności, nie mieć przekonań?

> Tej nocy doświadczyłem pierwszego nalotu bombowego w Moskwie oraz zobaczyłem najbardziej elegancki nightclub w Związku Radzieckim. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, które z tych dwóch wydarzeń wydałoby się bardziej ekscytujące przeciętnemu obywatelowi ZSRR, który odbiera opowieści z Moskwy z nabożnym skupieniem wiernego wsłuchującego się w słowa płynące z Mekki. Dla stu sześćdziesięciu milionów mieszkańców ZSRR stolica ich jest jakby skrzyżowaniem Mekki, Paryża i Nowego Jorku. Jest to święte miasto światłości i stolica postępu. [...]
>
> Jedna jest Partia, jeden Kreml, jeden grób Lenina i jeden Stalin. Ta nowa religia jest zdecydowanie monoteistyczna. Zasada ta jest stosowana nawet na mniejszą skalę. W jednej Moskwie jest tylko jeden Park Kultury i Wypoczynku, tak słynny w sowieckiej ziemi, jak ogrody Semiramidy w starożytnym świecie. W tym jednym mieście jest tylko jeden nightclub, w jedynym hotelu – Moskwa [...].

Tak pisał Pruszyński w rozdziale *Pierwszy dzień w Moskwie* w *Nocy na Kremlu* (1989). Tytuł książki wziął się z reportażu opisującego bankiet, który Stalin wydał na Kremlu na cześć premiera Sikorskiego. Reporter znalazł się tam w 1941 roku jako pracownik dyplomatyczny polskiego rządu emigracyjnego (dziennikarza na takie przyjęcie by nie wpuszczono). Był świadkiem podpisania układu Sikorski–Majski.

Ksawery Pruszyński pisał reportaże z podróży po Polsce i Rosji, ale także po Czechosłowacji, Grecji, Hiszpanii, Niemczech czy Palestynie. Stworzył monografie Tadeusza Kościuszki i Aleksandra Wielopolskiego. Napisał wiele tekstów o wsi i o geopolityce. Przeszedł niemal wszystkie szlaki polskich żołnierzy z czasów drugiej wojny światowej i zdał ze swoich podróży wiele relacji. Jak na dziennikarza żyjącego tylko czterdzieści trzy lata napisał zaskakująco dużo, jednak największą legendą obrosły dwie jego książki reporterskie: *W czerwonej Hiszpanii* (1937), którą rozczarował swoich prasowych mocodawców, i *Rosyjski rok*, której polski rękopis zginął i do dziś się nie odnalazł.

Książka ta ukazała się w 1944 roku w wydawnictwie Rój, które na emigracji działało w Nowym Jorku. Od razu po angielsku – jako *Russian Year*. Kiedy w 1989 roku po raz pierwszy chciał ją wydać w Polsce Janusz Roszko

(patrz t. 2, s. 27), reporter i biograf Pruszyńskiego, nie udało mu się znaleźć polskiego oryginału.

> Gdy wszelkie próby odnalezienia tekstu zawiodły – pisał – zdecydowałem się na dziwną próbę: przetłumaczenia książki z języka angielskiego na polski.

Tłumacze książek Pruszyńskiego zawsze jednak podkreślali, że jego bogata i piękna polszczyzna ze skomplikowaną składnią i porównaniami zrozumiałymi tylko dla polskiego czytelnika ubożeje w przekładach. Siłą rzeczy tłumaczenie z angielskiego na polski wypadło blado. A stylizowanie na Pruszyńskiego – jak stwierdził Roszko – byłoby ryzykowne.

Kiedy *Rosyjski rok* ukazał się na Zachodzie, Pruszyński już od dwóch lat był uznany przez wielu Polaków w kraju i na emigracji za zdrajcę. Po powrocie ze Związku Radzieckiego do Londynu jesienią 1942 roku opublikował bowiem sławny artykuł *Wobec Rosji*, w którym – zgodnie z intencjami Sikorskiego – apelował o szukanie z Rosją porozumienia, bo „Polska na dwa fronty walczyć nie może".

> Jako pierwszy, grubo przed wszystkimi innymi – pisze Krzysztof Masłoń – uczynił Pruszyński wyłom w polskim stanowisku co do kształtu naszych powojennych granic, wzywając do refleksji nad ofertą Stalina, sprowadzającą się w sumie do wymiany: Lwów i Wilno za Wrocław i Szczecin.

Tekst Pruszyńskiego wstrząsnął polską emigracją. Autorowi nie podawano ręki, grożono pobiciem, a po jego śmierci Jan Lechoń napisał w dzienniku: „Był on pierwszym zdrajcą i śmierć nie może znieść tego słowa".

A jak Ksawery Pruszyński pisał o Rosji? Ano tak, że każdy mógł wyciągnąć własne wnioski. „Relacjonował tylko, nie chwalił, nie ganił" – podsumował Janusz Roszko. Proszę spojrzeć na poniższy fragment i odpowiedzieć: pozytywnie pisze o tym, co zaobserwował, czy negatywnie?

> Rosjanie zawsze byli pożeraczami książek, pod warunkiem że nie byli analfabetami, a analfabetyzm został znacznie zmniejszony za władzy sowieckiej. Co więcej – książki są jedną z bardzo niewielu rzeczy, na które można wydać pieniądze w Rosji. Większość innych komfortów czy przyjemności, które pieniądze mogłyby zaspokoić w innych krajach, jest tu po prostu nieosiągalna. Same artykuły pierwszej potrzeby: mieszkanie, ubranie i żywność, są wprawdzie do dostania, ale regułą jest tu spartańska surowość [...].

Odpowiedziałbym, że starał się pisać uczciwie, a więc widzieć zjawisko z tylu stron, z ilu mógł je zobaczyć.

Rezygnację z wyrażania własnych poglądów zarzucano mu już kilka lat wcześniej. Cofnijmy się do 1936 roku, kiedy reportaże z Hiszpanii sprawiły jego środowisku bardzo poważny problem.

Ksawery Pruszyński – absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, młody publicysta konserwatywnego krakowskiego „Czasu" i warszawskiego „Buntu Młodych" (potem przemianowanego na „Politykę") – jako korespondent wojenny „Wiadomości Literackich" wyruszył w 1936 roku do Hiszpanii, gdzie zaczęła się wojna domowa. Rząd Republiki Hiszpańskiej, wyłoniony przez komunistyczne, anarchistyczne i robotnicze ugrupowania, wspomagane przez ZSRR (tę stronę konfliktu reporter nazywa „rewolucjonistami"), kontra prawicowa opozycja, czyli faszyści, nacjonaliści, monarchiści i konserwatyści pod wodzą generała Francisca Franco.

Trafił do „czerwonego" Madrytu w chwili, gdy ofensywa hiszpańskich faszystów utknęła na przedmieściach. Zafascynowała go odwaga komunistów. Zwolennicy lewicy powtarzali, że Pruszyński po prostu umiał pokazać, po czyjej stronie była słuszność.

Krzysztof Masłoń twierdzi, że tak naprawdę wybór dokonany przez Pruszyńskiego był przypadkowy. Cytuje Jerzego Giedroycia: „Ksawery jechał do Franco i przez pomyłkę trafił do republikanów. Gdyby nie to, napisałby nie *W czerwonej Hiszpanii*, ale *W białej Hiszpanii*".

> Książka o czerwonej Hiszpanii, w której spędził pół roku, zawierała wspaniałe opisy przyrody – pisał w pośmiertnym szkicu o Pruszyńskim Wacław Zbyszewski. – Miał talent ściśle malarski (celował zawsze w oddaniu pejzażu, tła, kolorytu) – i mętne rozważania polityczno-społeczne. Można i takie mieć poglądy, tylko że w danym przypadku to nie były poglądy Pruszyńskiego, lecz otoczenia, w którym się w Hiszpanii znalazł. Gdyby trafił na tamtą stronę frontu, byłby się zapewne entuzjazmował generałem Franco i jego spahisami: to, co go bowiem entuzjazmowało, porywało, to nie była sprawa, lecz sama wojna z jej elementem ryzyka, krwi, niebezpieczeństwa i dzikiej pierwotności bytu. Natomiast zabawne było, że Pruszyński zupełnie nie orientował się, że jego reportaże z Hiszpanii najgłębiej były sprzeczne z sympatiami wszystkich jego dotychczasowych towarzyszy spod znaku „Polityki" – „Buntu Młodych".

Jego reportaże w „Wiadomościach" ponoć wprawiły „Czas" w osłupienie i redakcja zerwała z nim współpracę. Wychowanek jezuickiego gimnazjum,

potomek ziemiańskiej rodziny z Kresów, uchodzący dotąd za przedstawiciela zachowawczej młodzieży, nagle okazał się już nie tylko sympatykiem komunistów, ale może nawet komunistą.

Charakteryzując Ksawerego Pruszyńskiego, Adolf Bocheński powiedział, że miał on namiętności, ale nie miał przekonań. Miał koniki, a nie miał poglądów. Miał świetne obrazki, lecz nie miał konstrukcji. Miał oryginalne spostrzeżenia, ale żadnej linii. Czy był – pyta Jarosław Kurski – człowiekiem bez własnego zdania, niczym błona fotograficzna, dowolnie naświetlana przez bieg wydarzeń?

Ale może to jest właśnie ideał reportera? Oddaje poglądy tych, których opisuje, a nie swoje.

Jedno jest pewne: w jego książce z Hiszpanii znalazły się prawdziwe teksty korespondenta wojennego, co w polskim reportażu czasów II Rzeczpospolitej było rzadkością. Nie pisze z oddali, nie jest tylko obserwatorem i komentatorem, relację prowadzi ze środka wydarzeń.

Bombardowanie Madrytu

Madryt, w listopadzie 1936

Cała Gran Via jest w gruzie i żwirze szklanym, tynkowym, kamiennym. To było dzisiaj po południu, między trzecią a czwartą, i z wyjątkiem trupów, nielicznych zresztą, wszystko pozostało, jak było. Jakeśmy tego nie słyszeli? Ale w mieście bywa różnie. Raz pocisk leci echem, innym razem zapada w głuszę. Jedenaście pocisków armatnich zaryło się na przestrzeni dwustu metrów wspaniałej alei stołecznej. Kilka z nich śmignęło ponad dachy, poodłupywało jakieś balkony, zgniotło jak blaszaną manierkę hełm jakiegoś drapacza. Ale reszta leciała jak jaskółki na deszcz, nisko przy ziemi. Oto tutaj pocisk uderzył w granitowe odrzwia wielkiego sklepu z kasami National. Wszystko jest w gruzach i pyle, a granitowy portal wygląda jak ser nadgryziony głęboko przez mysz. Za to kasa National na wystawie ma wszystkie swoje wnętrzności metalowe powyrywane, powyciągane na zewnątrz, poskręcane w jakieś pręty i struny. Co tam kasa National! Tutaj padł tylko odłamek pocisku, może tylko gruz odbity z góry, ale cała szyba jest wywalona, a gramofony, płyty i aparaty fotograficzne sterczą wśród tego gruzu. Można ręką sięgnąć przez kratę – szeroką, wygodną – i brać. Nikt nie bierze nic, choć już dobrze zmierzcha. Gran Via jest wyludniona jak nigdy. Szkło tych szyb było grube, rozbiło się w drobne kawałki, które skrzypią i które odsuwa się nogą po drodze. Jak liście późną jesienią w naszych ogrodach – tragiczne, madryckie liście.

Największy drapacz chmur na Gran Via, miejsce naszych dziennikarskich *rendez-vous* o tej porze i później jeszcze, to gmach centrali telefonicznej. Oszklone drzwi rozbite. Znowu popołudniowe bombardowanie. Jest pełno ludzi na dole. Wjeżdżamy na dziesiąte piętro. Na tej wysokości jeszcze Telefonica jest kolosem grubym i bezpiecznym. W dużej sali siedzi nudząca się gromada cenzorów, moi koledzy czekają na swoje Londyny i Paryże. Wchodzimy schodami na wyższe nieco piętro, stąd widzi się wszystko, najdosłowniej w świecie. Ogarnia się wzrokiem cały front podmadrycki, od sterczącego pod niebo Cerro de los Ángeles, poprzez Carabanchel Niski i Wysoki, poprzez płowe wzgórza Casa de Campo aż po drogę do Escorialu, szlak, którym weszli kiedyś Francuzi, i Ciudad Universitaria. Miasto uniwersyteckie to zespół wspaniałych, niezupełnie jeszcze wykończonych gmachów, laboratoriów i zakładów. Z wielkiego ceglanego czerwonego gmachu powiewa od wczoraj wieczór sztandar czerwono-żółto-czerwony. Jest to odpowiedź na te wszystkie

sztandary z republikańskim fioletem, które wykwitły na wieżach Madrytu. Dawny sztandar królewski wrócił z Maroka, a Ciudad Universitaria to pierwsze domy Madrytu, gdzie wbił swe drzewce. Teraz już się ściemniło. Widać tylko ognie buchające z dalekich armat jak błędne ogniki, a niżej schodzące ku rzece przedmieścia Madrytu całe są ogarnięte rdzawomgławym tumanem. Tuman stoi nad domami jak słup ognisty, bo też naprawdę jest z ognia. To co chwila w coraz to innym miejscu nowa eksplozja podnosi pod niebo kurz, dym i płomień. Bomby prawie wszystkie są zapalne. Jeśli i przedmieścia nie stoją w jednym morzu płomieni, to wskutek tego, że kamień, z którego buduje się tu domy, stoi oporem. Rdzawy tuman, jakby wzniecony spod nóg niewidzialnych zastępów tatarskich, podpełza za to pod Madryt.

Sala telefonów nie ma okien na tę stronę, nie widać więc z niej nic. Wszyscy są podnieceni. Telefony spóźniają się niemożliwie. To władze nadają swym ambasadom w Paryżu i Londynie wszystkie jak najmniejsze szczegóły. Nie byle co. Jedenaście bomb na Gran Via, osiemnaście w centrum miasta. Musi to podnieść propaganda, jak propaganda musi podnieść i ukazać ową skrzynkę zrzuconą wczoraj na spadochronie z samolotu nieprzyjacielskiego. W skrzynce tej odesłano wojskom rządowym poćwiartowane i trudne do rozpoznania zwłoki lotnika, który spadł onegdaj po stronie powstańców... Dziennikarze zagraniczni, którzy skrzynkę widzieli, mają pewne podejrzenia i są raczej wstrzemięźliwi z nadaniem wiadomości: tym usilniej należy ją kolportować. Trzeba dać znać, trzeba zużytkować te bomby, które padły na śródmieście. Nikt się nie dziwi, że tak jest. Telefony są zajęte. Mury centrali telefonicznej są grube, płaszczyzny betonu oprawne w ramy żelazne. Wysoko nad ziemią siedzimy jakby w jej głębi. Cicho, nie słychać gwaru miasta. Poprzez mur dochodzi tylko czasem głuchy odgłos jakby trzepania dywanów. A my wiemy, że to bomby.

Jest zupełnie ciemno, podchodzi Anglik z Agencji Reutera.

– Poszaleli zupełnie. Rzucili bomby na pałac księcia Alby! Jest cały w ogniu.

To nie jest tylko pałac jednego z największych magnatów europejskich, który dźwiga nazwisko i dziedzictwo pogromcy protestantów flandryjskich i jest zarazem dla heraldii wielkobrytyjskiej diukiem Berwick, co tak samo jak Alba zatrąca historią i dramatami Schillera. To nie tylko taki Radziwiłł jednego kraju, a jednocześnie Esterházy drugiego. To nie tylko siostrzeniec cesarzowej Eugenii. Jego dom to wspaniały pałac, w którym jest galeria obrazów, od Goi, Velázqueza, Murilla aż po Winterhaltera, bogatsza niż wszystkie galerie obrazów, jakie są w Polsce. Wszyscy rzucamy się na korytarz do okien. Z kotliny wciśniętej pod dzielnicę Rosales istotnie wzbija się słup dymu z pałacu księcia Alby. Gruby Amerykanin z koncernu

Hearsta[1] już popędził do windy. Zawsze tak robi. Od czasu gdy wszystkie samochody ministerstwa wojny odjechały do Walencji i nie wracają, on jeden ma samochód, wszędzie jeździ, ale nie wozi nikogo. Pewno teraz śmiga ku Rosales... Bumm, bumm.

Huk falą powietrza podpłynął pod okna. Nisko, nisko pod nami jak śmiesznie to wszystko widzieć z tak wysoka, jakby się było zawieszonym w kryształowej kuli nad światem – wzbijają się dwa wielkie tumany. Dwa pociski runęły na Puerta del Sol.

– Poszaleli, poszaleli – woła Anglik.

– *Dis donc*[2] – mówi kolega z „Petit Journal" – jak to jest z tym pałacem tego księcia? Trzeba to dać?

Wie, że zwiedzałem ten pałac właśnie niedawno, już „zainkautowany"[3] i zamieniony na muzeum.

– Dobrze, ale co was interesuje? – pytam.

– Mów, co wiesz, ja zanotuję, co mi potrzebne.

Więc mówię, że taki a taki to magnat, grand hiszpański, lord angielski, uczony historyk, minister spraw zagranicznych za monarchii, wnuk tego Alby za Filipa II.

– *Qu'est-ce qu'il faisait, grand-papa?*

– *Gouverneur des Pays-Bas!*

– *Eh, gouverneur. Laisse donc ça.*

– Ale nie. *Grand capitaine. Représailles. Protestants.*

– *Eh, c'est pour moi*[4].

To antyfaszystowski dziennikarz amerykański. Bardzo zajmuje się historią, nie zna jej wcale.

– Mówisz, że to taki faszysta dzisiejszy.

– Niech ci będzie. Metsle.

„Bomby faszystów spaliły pałac księcia Alby, faszysty z dziada pradziada" – widzę już ten piękny tytuł. Ale Francuz pyta, a tymczasem audytorium rośnie:

– *Et le palais?*[5]

– Wiek XVII – recytuję jak z baedekera. (Bo też w rzeczy samej, z baedekera przeczytanego niedawno).

– *Ce n'est pas du temps des Maures?*[6] – pyta ktoś zawiedziony i nie notuje.

– Jak nie z czasów Maurów, to nieważne.

– *Peinture, sculpture, objets d'art?*[7]

Zwięzłe pytania. Cóż odpowiedzieć?

– *Des Goya, des...*

– *Combien Goya?*[8]

[1] Koncern medialny Williama Randolpha Hearsta obejmujący w szczytowym okresie, w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku, kilkadziesiąt gazet codziennych, magazynów, dwie wytwórnie filmowe i osiem rozgłośni radiowych.

[2] *Dis donc* (fr.) – tu: słuchaj.

[3] Zainkatutowany – zajęty, zarekwirowany.

[4] *Qu'est-ce qu'il faisait, grand-papa...* (fr.) – Co robił ten dziadek? – Był namiestnikiem w Niderlandach. – Namiestnikiem? A, to nie. – Ale nie. Wielki dowódca. Odwet. Protestanci. – A, to dla mnie.

[5] *Et le palais?* (fr.) – A pałac?

[6] *Ce n'est pas du temps des Maures?* (fr.) – To nie z czasów Maurów?

[7] *Peinture, sculpture, objets d'art?* (fr.) – Obrazy, rzeźby, dzieła sztuki?

[8] *Des Goya, des...* (fr.) – Goya... – Ile Goi?

Obudził się Amerykanin z „United Press". Myślał, że kupi ze trzy Velázquezy. Omal nie kupił fałszywego.

– *Je ne sais bien* – powiadam. – *Cinq, six*[9].

Francuz zanotował, że sześć. Amerykanin komunista nic. Amerykanin od Velázquezów napisał u siebie wyraźnie: jedenaście.

– *Quoi sur las Goya?*

To Szwedka, ale nie szczupła, jak myślicie, tylko gruba, tęga.

– *Quoi sur las Goya? Paysages, moeurs?*[10]

Przypominam sobie.

– Nie, portrety.

– *Nus?*

Czy nagie? Owszem. Dwa wspaniałe, nagie.

Teraz wszyscy notują bardzo pilnie. Tylko Szwedce jeszcze czegoś potrzeba:

– *De qui les portraits?*

– *Du roi, de la reine, des infants...*

– *Oh, nus?*[11]

Trzeba wytłumaczyć jeszcze, że królowie Hiszpanii nie portretowali się nago, że żona Napoleona III nie nazywała się ani Józefina, ani Maria Ludwika, ale *belle et bien*[12] Eugenia. Przez ten czas jednak nie daje nam spokoju myśl, że Hearst wszystko zobaczy. Trzeba pójść popatrzeć na pożar, dowiedzieć się, co się uratowało. Schodzimy na Gran Via. Jest ciemna zupełnie noc. Godzina ósma, ale puściuteńko. Ułamki szkła skrzypią pod nogami, a ulica wydaje się jak wielki głęboki jar, jak kanadyjski kanion. Idziemy szybko, szybko. Jacyś milicjanci, jacyś ludzie z tobołami, spóźnieni uciekinierzy z przedmieść. A przedmieścia rzucają łunę, która zaróżawia szczyty tych drapaczy, krawędź kanionu.

Naraz nad nami straszliwy huk. Jeden, drugi. Potem jakby się coś waliło. A w środku tego niesamowity gwizd-wycie. W tej ciemności człowiek instynktownie przypada plackiem na ziemię, do miału na chodniku. Huk drugi i trzeci. Podrywamy się i giniemy w pierwszej bramie. Człowiek spostrzega teraz, że jednak nic tu nie pomógł trening wszystkich wypraw na front, czołgania się w rowach, padania wobec samolotów, że cały drży. Jakie to niesamowite, gdy przez wielkie miasto, olbrzymie a bezbronne, leci z hukiem wśród ciemności pocisk z ciężkiego działa!

Na ścianie przeciwległego narożnego domu różowi się brzask. Jeszcze jeden pożar.

Do tego pożaru trudno bardzo dojść, bo idzie się przez wąziutką uliczkę, którą w dodatku rozkopano. W ciemności źle mierzymy głębokość rozkopu,

[9] *Je ne sais bien...* (fr.) – Nie wiem dokładnie. Pięć, sześć.
[10] *Quoi sur las Goya?...* (fr.) – Co tego Goi? Pejzaże, scenki rodzajowe?
[11] *De qui les portraits?...* (fr.) – Czyje te portrety? – Króla, królowej, infantów... – O, nago?
[12] *Belle et bien* (fr.) – faktycznie, w rzeczywistości.

dwaj pierwsi wywracają się jak dłudzy. Każdy boi się zostać sam. Pocisk runął między domy, w sam środek jakichś jatek rzeźnickich. Wszystko się teraz pali, nikt tego nawet nie będzie ratował. Może tam było mięso, bo naraz zaczyna mdlić nieprzyjemny zapach spalenizny, jak wtedy gdy nocą wracaliśmy z Kartageny koło cmentarzy madryckich. Nie, tu nic nie ma. Można wracać na Gran Via, zejść ku pałacowi Alby. Ale po tych pierwszych wybuchach nikt się nie kwapi. Prawie wszyscy wracają do centrali telefonicznej. Może wreszcie zagranica będzie wolna?

Tymczasem od Puerta del Sol bucha łuna wielekroć większa, a gdy dochodzę, staje się niemal zupełnie jasno, w tym mieście, które latarń nie zapala od dwóch miesięcy. Na sam dół zejść nie można. Pocisk ugodził w duży dom czynszowy, który pali się teraz od wewnątrz przez wszystkie swoje trzy górne piętra. Moc ludzi, odpychanych przez milicję czy gwardię, tłoczy się wkoło domu. Jakieś kobiety płaczą głośno, ale ogień zaczyna huczeć poprzez ściany domu i tym swym huczeniem ścisza wszystko naokoło. Ludzie gromadzą się w jakimś miejscu, nie widzę dobrze w pomroku. Trup.

Jest to trup mężczyzny, niewielkiego wzrostu, w ciemnym ubraniu. Nie widać żadnej rany, tylko ubranie zmiętoszone i koło szyi ciemnieje na bruku coraz większa plama, która mogłaby być po prostu cieniem, ale w której odgadujemy krew. Jest to „zaledwie" piąty trup, jaki widzę w tej wojnie, ale jest coś dziwnie biednego w tym człowieku. Jest on skulony, wpół zgięty, jakby zmęczył się czymś i tak po prostu upadł sobie na chodnik. To nie jest rozwalony, skoszony w walce trup żołnierski. Jeśli istniał gdzie na świecie szary człowiek, to właśnie przed chwilą, właśnie szedł tą ulicą w górę, i właśnie runęła weń śmierć z tego pocisku, który przemienił się w żar wewnątrz tego domu. Ludzie schylają się z noszami, obracają go bardziej, niż przenoszą. Drugie, trzecie, czwarte nosze. Szereg noszy zaczyna iść przez Madryt rozświetlony tylko łunami pożarów, gdy znowu huk. Ulica pustoszeje, bramy pęcznieją od tłoczących się ludzi. Jedynie nosze płyną wolno ku górze, środkiem ulicy. Nad nami huczą trójmotorowce.

Po chwili, gdy wszystko jakby przebrzmiało, wysuwam się i biegnę dalej. Przechodzę kilkadziesiąt kroków, znowu Gran Via. Stromy masyw centrali telefonicznej piętrzy się pod niebo, opływany odblaskiem pożarów. O, teraz te bezduszne drapacze mają majestat inny niż pieniądza. Jest znowu cisza. To wprost niesłychane, jak prędko po sobie przychodzą tu: huk olbrzymi, jęk i krzyki, a potem zupełne milczenie. Takie wielkie miasto i tak naraz milczy. Nad kanionem drapaczy i pod gwiazdami czarnego nieba warkoczą głucho potężne motory bombowców. Naraz za mną prędzej niż huk stacza się światło.

Mam wrażenie, że bym oślepł, gdyby to było przed oczami, takie jest oślepiające. Olbrzymi huk, najsilniejszy; echo gwizdów i brzęków ponad głową. Człowiek ucieka mimowiednie, choć biec ulicami Madrytu po nocy to narazić się na kule gorliwego gwardzisty. Mija mnie oddział, ale się nie zatrzymuje, sam biegnie, tylko w przeciwnym niż ja kierunku. Więc i ja zawracam.

W tym właśnie miejscu ulica tworzy niewielki placyk, takie rozszerzenie skrzyżowania paru ulic. Bomba zapalna upadła tu wprost na bruk i rozbiła się na części. Teraz te części leżą na jezdni szeroko porozrzucane i płoną jakimś chemicznym, oślepiającym płomieniem o blasku rozedrganej rtęci. Jakby moc ruchomych cząstek drgających w różnych kierunkach. Zapalić najwidoczniej nic nie mogą, bo wszędzie tu tylko kostka bazaltowa i szyny tramwajów. Ludzie za nami wychodzą z bram domów ze schronów. Przez sekundę ma się wrażenie, że to jakieś plemię jaskiniowców wylazło oglądać potwora, który zagrażał ich życiu, wobec którego byli bezsilni, a który teraz kurczy się i pręży w przedśmiertnych wstrząsach. Bije od niego gorący żar skondensowany i wtłoczony w metal. Podchodzą strażnicy – tamten dom płonący jest niedaleko – i zaczynają długimi jakby grabiami rozgarniać to ognisko, oddzielać żarzące się oślepiająco kawałki jedne od drugich. Przechodzę na drugą stronę placyku, i wtedy dopiero widzę, że gmach centrali telefonicznej, przedtem rozjaśniony blaskiem, ma teraz jedną ścianę białą jak w dzień. Dom o kilka metrów od niego, po drugiej stronie bocznicy Gran Via, stoi także w płomieniach.

W bramie centrali nikogo. Posterunki stoją wewnątrz. Winda funkcjonuje. Po chwili jestem na dziesiątym piętrze. Przez wielkie czarne okna widać teraz noc nad Madrytem i buchające gęstymi obłokami pożary. Gorąco najbliższego z nich bucha słupem ku górze. Prawie wszyscy dziennikarze zagraniczni już tu są. Gruby Amerykanin z koncernu Hearsta też. Dojechał samochodem pod sam pałac, przeszedł przez ogród, widział. Pokazuje mi krótką depeszę, którą zredagował. Jest dumny z jej tytułu, który mówi coś o widoku godnym Nerona. Istotnie, jest coś neronowskiego w tym mieście, płonącym zewsząd. Czy samoloty jeszcze latają? Nie sposób stwierdzić. Jest jakaś dziwna cisza na tych dwustu metrach nad ziemią, nawet niecałych dwustu. Nie można sobie wyobrazić, żeby bomba, zwykła bomba, mogła strzaskać i taki kolos, jak rozwala czteropiętrowe kamienice. Tymczasem Francuz już dostał swój Paryż. Pośpiesznie, ale pewnym głosem dyktuje ciąg dalszy.

...Drugie bombardowanie Madrytu rozpoczęło się o godzinie ósmej piętnaście tutejszego czasu ostrzałem baterii z Casa de Campo. W wyniku podpalono trzy gmachy bez większego znaczenia. Atak samolotów rozpoczął się,

nim ustała panika spowodowana rzuceniem bomb. Samoloty, krążąc nad Madrytem...

Głuchy huk wstrząsa ścianami drapaczy. Wysokość i mury głuszą wszystko. Jak to musiało huczeć tam, na dnie kanionu.

...zrzuciły szereg bomb, niezbyt wielkiego kalibru, z rodzaju zapalnych. W rezultacie płoną w tej chwili dwa gmachy między Gran Via a Puerta del Sol, jedna bomba upadła nieszkodliwie na ulicę. Bomby spadłe bliżej Cuartel de la Montaña podpaliły pałac księcia Alby (*Hallo, hallo, cherchez Alba dans Larousse, très important*[13]), byłego ministra.

– A może go rozstrzelali? – świta myśl dziennikarzowi.

Niezawodnie byłaby to gratka, coś jak ów stary książę, ostatni potomek Krzysztofa Kolumba, za którym bezskutecznie wstawiały się ambasady wszystkich państw amerykańskich. Ale książę Alba y Berwick siedzi w Anglii.

...le duc d'Alba rèside actuellement en Angleterre – już dudni telefon. – Wspaniała biblioteka, cenna galeria obrazów *de Goya – G comme Gustave, O – Octobre, Ygrek, A, Velásquez – V comme...*[14]

Wstrząs przepłynął falą przez drapacz. Z ulicy podnosi się huk, wsiąka przez grube mury. Anglicy i Szwedzi, nachyleni nad słuchawkami, podają szczegóły bombardowania. Ale wszystko dochodzi tu do nas matowo, stłumione, jakby cedzone przez czas i odległość. Nigdzie chyba bezpieczeństwo nie jest tak złudne jak w tym cyplu wydźwigniętym pod niebo, i nigdzie nie czuję się tak bezpieczny. W wielkiej sali porozkładano polowe łóżka dla personelu, takie same jak we wszystkich ministerstwach i urzędach. Wszyscy moi koledzy są przy telefonach, dzwonią do swych Paryżów i Londynów. W redakcjach najbogatszych pism polskich znudzony sekretarz nocny konfekcjonuje właśnie jakieś „telefonem od własnego korespondenta".

Wychodzę na ulicę. Jest zupełnie ciemno, nie ma żywej duszy. Pożary rumienią się czerwono odblaskami na domach, ruinach. Obchodzę daleko ministerstwo wojny, zwykły cel lotniczych wypadów, krok dzwoni po pustych ulicach, wybijam go umyślnie wojskowo, miarowo, wówczas przy takiej ciemności mniej się jest narażonym na zatrzymanie, legitymowanie przy podniesionych ku tobie karabinach lub wykłócanie się z tępym i podejrzliwym strażnikiem. Ale nie ma nikogo. Okna są zupełnie ciemne, tylko od samego dołu, z suteren czy piwniczek przemykają pasemka światła. Życie wielkiej europejskiej stolicy rozbite zostało tymi bombami na części: drobna cząsteczka tego życia rzucona została aż pod chmury, w wieżycę olbrzymiego drapacza, woła o tym wszystkim na Londyn, Paryż i Nowy Jork. Całe masy spłynęły jak woda w dół, zaryły się pod ziemię, zaczaiły

[13] *Hallo, hallo, cherchez Alba...* (fr.) – Halo, halo, proszę sprawdzić Albę w Larousie, to bardzo ważne.

[14] *...le duc d'Alba rèside actuellement...* (fr.) – ...książę Alba przebywa obecnie w Anglii... G jak Gustaw, O jak... itd.

po norach, wtuliły swe skargi, straszliwe przekleństwo i paniczny, okropny lęk. Lęk zwierzęcy jaskiniowego człowieka. W nocy, około trzeciej, zaczyna naraz terkotać karabin maszynowy, daleką ulicą przewala się z łoskotem jakiś ciężki wehikuł.

– Może to już?

Jak Madryt się broni

Wiecie, co to jest, gdy nad ulicą rozklaszcze się nagle w biały dzień grzechotanie kastanietów, tak, po prostu, kastanietów, tylko jakichś niezwykle głośnych, jakby to puste orzechy leciały na twardy blat stołu stukocącą kaskadą, wokoło której robi się naraz po mieście zupełna cisza? Więc to jest właśnie tak, gdy nadlatują samoloty nad miasto, gdy do na poły niewidocznych jeszcze zaczyna walić artyleria przeciwlotnicza ze swych armatek szybkostrzelnych czy mitraliez[15]. Suche terkotanie karabinów maszynowych, rozlegające się z dachów wielkich domów, jak sponad pudeł rezonansowych nabiera dźwięczności i grzechocze właśnie jak jakieś szczególnie wielkie, szczególnie głośne kastaniety. Wiecie, co to znaczy, gdy naraz słyszy się jakiś huk, bardzo stłumiony, a jednak wstrząsający ścianami domu? Jeśli potem zobaczymy na ulicy gruz, wyłom w murze, rozbite szyby, jeśli – lepiej – zobaczymy piasek starannie wysypany na parę plam ciemniejszych na jezdni, znak, że to właśnie było tutaj, może rano, gdy ludzie stali w ogonku po mleko czy węgiel, może po południu, może wieczorem, gdy było ciemno i spóźnieni przechodnie wracali, w mroku zupełnym, do domów. Prostota piątego dnia wojny wokoło wielkiej stolicy europejskiej – oto co najwięcej uderza. Nie ma w tym wszystkim krzty batalistycznego patosu. Byliśmy na Puerta del Sol, niewielkim centralnym placyku w środku Madrytu [...]. Jest tam gmach ministerstwa spraw wewnętrznych. Otóż właśnie wtedy z dachu jednego z domów rozległ się huk, coś błysnęło, trysnęło falą białego dymu. Sam wybuch usłyszano właściwie w sekundę potem, a przez te ćwierć sekundy każdy na placu, odruchowo, położył się, biegł lub ukrył za lada wyłom muru. Ja sam przywarłem za granitową wnęką, niestety bardzo płytką, a tymczasem przez plac przeszła fala pyłu i dymu, spoza której buchały histeryczne krzyki. Po chwili nie było już nic, tylko kawał dachu został wtłoczony w dół, jak pudło tekturowe zgniecione nogą, tu i ówdzie ludzie leżeli na ulicy, zresztą ucierpiano mało. Pocisk był zapewne przeznaczony dla gmachu po drugiej stronie placu – dla owego ministerstwa, ale artylerzysta źle wyliczył odległość, wziął krócej o ćwierć linijki w pomiarach, co oznaczało kilkanaście metrów. Gdyby pomylił się trochę mniej, pocisk ugrzązłby nie we wnętrzu domu, ale łupnąłby w sam środek ulicy, na której

[15] Mitralieza – działko wielolufowe.

panuje nieopisany tłok. Zwożono by potem całe góry rozerwanego na strzępy mięsa, jak wtedy, przed hotelem Florida.

Ale znowu to są złudzenia literackie, że pocisk leci, że się go widzi. Słyszymy go wtedy, gdy nas mija, dlatego najgłośniej słyszałem armaty rządowe, gdy byłem na froncie, a armaty waliły spoza naszych pleców, przerzucając pociski ponad nami. To wszystko są zupełne złudzenia. Trzeba sobie rozumem dopowiadać, że to o kilka kilometrów w linii powietrznej stoi jakaś armata i wali w miasto, tak jak rozumem musimy sobie dopowiadać, że to nie słońce, jak widzimy na niebie, ale Ziemia kręci się i porusza. W polu istniała jakaś zmysłowo dostrzegalna przyczynowość, która łączyła ruchy wojsk, błyski dymu nad polem, warkot motorów junkersów, z wybuchami, ranami i śmiercią. W mieście wszystko jest zasłonięte szczelnie murami domów: samoloty lecą nieraz tak wysoko, że trudno je dostrzec, gwar uliczny ścisza warkot motoru, który tak głośno tętnił nad zorywanymi ścierniskami. Wybuchy, które rozłupują mur czy bruk, kule lotniczych mitraliez, które sieką dachy domów, wszystko to w mieście jest oderwane od owych armat, samolotów i karabinów maszynowych, od całej tej wojny, która minęła Getafe i Górę Aniołów, stoi w Carabenchel, takiej Jabłonnie, niemal takiej Woli madryckiej, walczy w Casa de Campo, wielkim parku u bram miasta. Wszystko to jest bardziej oderwane, bardziej przypadkowe i niespodziewane. Na froncie, póki front był w polu, żołnierze mówili nam zawsze, kiedy przypuszczalnie będzie spokój, kiedy i którędy najbezpieczniej dostać się do „avanzadilli”[16], a kiedy najpewniej „coś będzie”. Żołnierze by może jeszcze coś wiedzieli, bo oni na tym się znają. Ale żołnierze są na przedmieściach i na przedpolach Madrytu, a tymczasem front ogarnął Madryt.

Myślano, że wszystko jest skończone, gdy fala nieprzyjacielska przelała się przez Pinto i lotnisko Getafe, madryckie Okęcie. Były dwa dni, które były niewątpliwie dniami grozy i próby. Miasto opuścili wszyscy członkowie rządu, bardzo liczni politycy, centralne agendy partii politycznych, wielu publicystów, urzędników, radni miejscy, prezydent miasta, prawie wszyscy nadzwyczajni korespondenci zagraniczni, setki samochodów mknęło w ciągu tych kilkudziesięciu godzin szlakiem na Walencję, na przedmieściach grzechotały karabiny maszynowe, pociski armatnie poczęły padać w śródmieściu. Pomyślmy, gdyby u nas w swoim czasie opuściły stolicę wszystkie władze, politycy, cały znany, pierwszoplanowy świat? Jak by wyglądała, bądź co bądź, obrona?

Tymczasem obrona Madrytu powstała niemal sama, zupełnie samorzutnie i zupełnie rewolucyjnie. Pierwszy komitet obrończy, nim zorganizował

[16] *Avanzadilla* (hiszp.) – wysunięty posterunek wojskowy.

się w większe ciało zbiorowe – juntę, był przedstawicielstwem typowo proletariacko-politycznym, z ludźmi „nieznanymi" – nie dla przedmieść i dołów oczywiście, na „szerszej arenie". Komitet zastał całe linie okopów podmadryckich rozbrojone, całymi partiami zajęte przez nieprzyjaciela. Cofnął się wtedy na ulice przedmieść i ufortyfikował je wszystkie, aż do śródmieścia. Powstały barykady już nie improwizowane w ogniu walki, ale murowane, obstawione worami z piaskiem, okryte dachami. Na tyłach pierwszej linii bojowej pracowało kilkanaście tysięcy ludzi. Madryt, zwłaszcza stary Madryt – a właśnie ta część miasta była w tych pierwszych dniach najbliższa frontu – ze swą ludnością gorącą, wąskimi ulicami, pofałdowanym, nierównym terenem, doskonale nadaje się do walki ulicznej. Madryt miał swoją rewolucję lipcową, nie inną od nocy listopadowej, wiek XIX przekazał wreszcie Madrytowi naszemu nie tylko tradycję walki ulicznej, ale całe rodziny, gdzie trzecie już pokolenie należy do dynamitardów i pistolerosów, chodzi w czarno-czerwonych barwach anarchizmu. Właśnie anarchiści to byli pierwsi ludzie, którzy mnie powitali, niczym najbardziej typowi przedstawiciele, na granicy Hiszpanii, potem od Barcelony zaczęli topnieć, ich kolor czarny był coraz zupełnie zalewany jednolitą czerwienią marksizmu. Potem były spory o to, aby ich CNT[17], ich związek zawodowy, mógł mieć swych ludzi w rządzie, spór o teki, gdy nieprzyjaciel wyrywał coraz to nowe strzępy ziemi pod Madrytem, wreszcie przyszły te dnie, gdy wyjeżdżano powszechnie i tłumnie, z uzasadnieniem i bez żadnego uzasadnienia. Wtedy, po raz drugi, wyszli ludzie z Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej, ludzie w czarno-czerwonych czapkach i czarno-czerwonych fularach, krępi, ogorzali i groźni, jak powstańcy ze sztychów Goi, najbardziej proletariaccy i najbardziej madryccy. Wyobraźcie sobie, czym dla Warszawy jest Powiśle z krwawą tradycją lat 1904–1905, jeszcze silniejszą, jeszcze bardziej zrośniętą z miastem.

Tak, to jest może najlepsze porównanie. Madryt leży na wysoko wydźwigniętej płycie, która od południowozachodu opada jarem w Manzanares. Jeszcze na wzgórzu stoi dawna Puerta de Toledo, wielki łuk triumfalny z granitu, z barokowymi zbrojami z marmuru i boginiami zwycięstwa. Ulica spada stąd prosto w dół, ugięta tylko łukiem, zniża się aż nad Manzanares i przekracza go niewielkim, bardzo starym mostem kamiennym, potem znowu podbiega ku górze, do przedmiejskiego Carabanchel Alto. Taki madrycki wiadukt Poniatowskiego. Teraz w pięciu miejscach wznosi się barykady. U stóp marmurowych bogiń, siedzących na Puerta de Toledo, wyrasta zapora z kamieni brukowych i betonu, doprowadzona do połowy wysokości bramy. Calle de Toledo zamykają wory piasku. Kilkanaście kroków dalej – już za przepustkami – znowu

[17] Confederación Nacional del Trabajo, Narodowa Konfederacja Pracy, hiszpańska anarchistyczna organizacja związkowa założona w 1910 roku, w latach 1931–1936 największy hiszpański związek zawodowy.

wory z piasku. Przyczółek mostowy jest maleńką forteczką. Gdy stoimy przy nim, zaczynają naraz świstać kule, jakby się oderwały od tej pukaniny, która odzywa się raz po raz z przedmieść za Manzanaresem. Zza naszych pleców z hukiem i świstem szybują pociski armat rządowych. Zapadają za cyprysy cmentarzyka, podnosząc słupy ziemi.

Całe partie przedmieść zostały już ewakuowane, mieszkania stoją puste. Na bocznych uliczkach huczy sprężarka, kilof o ostrzu wbijanym w ziemię sprężonym powietrzem. Człowiek w czapce anarchisty wsuwa kilof między spojenia kostki brukowej, rozwala je metodycznie, aż kamień zostanie wyłupany z bruku i odsunięty na bok. Człowiek odłupywać poczyna sąsiedni, a tymczasem tamten bierze ktoś inny i podnosi, podaje stojącemu od niego o kilka kroków, ten następnemu. Teraz spostrzegamy, że jest tu cała kolejka, jak po mleko dla dzieci, jak po węgiel czy kartofle. Kolejka ludzi z przedmieścia czeka na każdy wydarty brukowi kamień, podaje go z rąk do rąk, kamień wędruje poza załom uliczki. Tam dalszy ciąg rąk poda go powstającej na bruku barykadzie. Bruk spiętrza się w zapory, idąc, natrafiamy coraz to na partie ulicy zupełnie ogołocone z nawierzchni, jakby bezzębne szczęki, jak kaczany kukurydzy ogryzione doszczętnie. Madryckie Stare Miasto i madrycka Wola zarazem rozryła tak cały swój bruk, poprzegradzała ulice. W tych dniach, gdy setki samochodów waliły ostatnią szosą do Walencji z trwogą, czy aby zdążą, kule zbłąkane świstały nad podającymi kamienie, w dole karabiny maszynowe dołupywały się ceglanego muru poprzez odpadły już tynk. Samochody mknęły do Walencji, a sprężarki rozwalały spojenia bruku i ręce układały go w mur przegradzający ulicę zasiekiem.

Trudno powiedzieć, co sprawiło naprawdę, że wbrew tylu obawom i przewidywaniom „tamci" nie przeszli. Michaił Kolcow z „Izwiestii" uczynił uwagę, że Hiszpan źle się bije w polu, na stepie, że nie umie się okopać, utrzymać, uczepiony u lada pochyłości terenu, zahaczony w lada płytki rów strzelecki, że w szczerym polu bije go zawsze rutyna wojenna przeciwnika. Być może, że nowe posiłki i zwłaszcza nowe zbrojenia, nowe tanki i samoloty, o których prasa rządowa mówi, że rząd posiada ich tyle, co przeciwnik, powstrzymały odwrót. Może pierwsze domy przedmieścia posłużyły armii na okopanie się i utrzymanie. Wreszcie nie mniej możliwe jest, że na widok barykad i warownego położenia miasta z tej właśnie strony powstańcy się zawahali. Zdobycie miasta, jeśli by się nawet powiodło, kosztowałoby ich zbyt wiele strat, byłoby okupione hekatombą ofiar zbyt kosztowną dla wojska, które – podobno – nie może liczyć na nadmiar ludzi. Fala nieprzyjacielska opełzła więc miasto od południa, obwarowała go tu kordonem i wlała się od zachodu.

Jest to droga do Escorialu, do gór Guadarramy, jest to zupełnie inny wjazd do Madrytu. Południe jest brudne, pełne kurzu i nędznych domów, przypomina najnędzniejsze dzielnice Warszawy czy Łodzi, tam luksusowy samochód nieraz dostawał kamieniem w szybę, i tam właśnie ludność pozrywała swe bruki na barykady. Zachód jest inny. Przede wszystkim dolina Manzanaresu opada tu bulwarami i ogrodami, ogrodem królewskim, później podmadrycką Casa de Campo, wielkim parkiem naturalnym, ze wzgórzami porosłymi wysoką trawą sierry i kępami pinii. Jest to jakby szosa wilanowska – o ileż piękniejsza – Madrytu, i wszędzie wzdłuż drogi rozlokowały się wille i kawiarnie podmiejskie, miejsca zabaw nocnych letniego Madrytu. Otóż fala wojny, powstrzymana od południa, wlała się tutaj w ten zupełnie inny Madryt. W barach i café-chantantach[18] kwaterowali ludzie śpiący pokotem, jak wojsko w niejednym kinie madryckim. Karabiny maszynowe łupały w smukłe, wysokie drzewa. Wzdłuż bulwaru, opasującego tu Madryt, stanęła ostatnia linia okopów. Od niej o kilka kroków rozpoczynają się czekające na ostateczność barykady. Worki piasku i kamienie brukowe to najpowszechniejsza, jak chleb codzienny, rzecz, którą żyje dzisiaj – o, najdosłowniej trzyma się przy życiu – opuszczony przez innych Madryt.

Z tej strony jeszcze Madryt jest warowny przez naturę, wyniesiony wysoko ponad jar, wyżłobiony rzeką, choć z tej strony nie ma już robotniczych przedmieść. Od południa bronili go ludzie nie tylko tutejsi, ale najbardziej swoi, z tej samej ulicy, z domu obok, świat wegetujący między Puerta de Toledo, Rastro a cmentarzem Carabanchel, jakby przykuty do ziemi, jak są w wielkich miastach ludzie, którym całe życie niemal schodzi na wciąż tym samym Powiślu czy Pradze. Tu, od zachodu, stanął przede wszystkim batalion imienia Thälmanna[19]. „Tam jest tyle narodów, że nawet nie wiadomo, gdzie się mogą pomieścić te wszystkie narody" – mówił mi zdziwiony nagłym odkryciem milicjant z Rosales. Istotnie, to już nie są Niemcy, Włosi, Francuzi, to jest legia cudzoziemska, czerwona oczywiście, wszystkich nacji, są Polacy, Słowacy, Czesi, Węgrzy, „Najświętsza Panno, co też narobiłaś książąt po świecie" – wzdychał w podobnym momencie Grabiec z *Balladyny*. Ale także z tej strony Madryt nie został wzięty. Tylko tu walka miała już nie charakter obrony własnego progu, najbliższej ojczyzny, ale międzynarodowej walki idei. W batalionie Thälmanna są wszyscy: Niemcy, wymieceni przez hitleryzm, Włosi, którzy uszli przed faszyzmem, międzynarodówka wielkich dróg Europy, internacjonał wygnania. To jakby przeciwieństwo tej innej międzynarodówki, która zbliża się z plutonami generała Franco, junkersami i savoiami. Dostęp do kwater batalionu Thälmanna jest niesłychanie trudny. Do linii bojowych

[18] *Café-chantant* (fr.) – popularny w XIX i na początku XX wieku typ restauracji, w których słuchano piosenek i oglądano scenki kabaretowe.

[19] Batalion im. Ernsta Thälmanna – jedna z tzw. Brygad Międzynarodowych, ochotniczych formacji cudzoziemskich walczących po stronie sił republikańskich w hiszpańskiej wojnie domowej.

jeszcze bardziej. Tam na południu, u stóp Madrytu, wszystko było entuzjazmem, porywem, zapałem. Tu jest wszystko wystudiowane i obliczone, strzegące się i uważne, czynną i mądrą artylerią, jak tamto było konnicą w galopie wielkiej szarży.

Jeszcze, jeszcze dalej na zachód. Jeszcze jedna dzielnica miasta, przez którą atakujący nie zdołali się przedrzeć. Jeszcze jeden, ósmy ich dzień u bram Madrytu. Długo trwa opór tego miasta. Popowracali ministrowie. Przyjechał na jakiś czas Álvarez del Vayo[20]. Do jednej z wsi prowincji Madryt przeniósł swą siedzibę Largo Caballero[21]. Paru dziennikarzy z Walencji wróciło znowu do hotelu Gran Via. Najdalsze zagony naporu powstańców okrążają Madryt. Wysuwają się aż poza zachód, być może, chciałyby odciąć miasto od gór. Może spodziewają się, że z tej strony wkroczenie będzie łatwiejsze. Może liczą na jakieś posiłki, na jakieś rozgrywki na innych frontach. My tego nie wiemy. Listopad, szczególnie w tym roku słoneczny i przejrzysty, rozzłocił się liśćmi na stokach nad Manzanares. Białe dymy bomb zapalnych migocą nad Casa de Campo. U Puerta de Toledo, u wrót starego Madrytu, grupy ludzi w czapkach czerwono-czarnych Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej wyczekują spokojnie. Wszystkie barykady gotowe. Takie się to wszystko wydaje teraz naturalne, to, że te samoloty ścigają się nad miastem, to, że pocisk nie wiedzieć skąd rozkroi bruk, to, że są ogonki przed sklepami, a barykady na skrzyżowaniach, iż zapomnieć można, że to jest jakaś Hiszpania, z jakimiś hidalgami[22] niegdyś, Carmenami i Doloresami, walkami byków. Cały egzotyzm rozwiał się gdzieś w powietrzu o takiej popołudniowej godzinie, gdy nad Gran Via i Prado grzechocze coś donośnie jak kastaniety, a my wiemy dobrze, że to mitraliezy walą z dachów do aparatów myśliwskich pod niebem. Mój Boże, czy dla nas jednych tak jest? Inni odczuwają to silniej. Szofer prześwietnego poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej jest przecież od dwóch miesięcy milicjantem ludowym, ochotnikiem w kolumnie Mangady[23], a Aniela, *ci-devant*[24] pokojówka pana posła, paraduje po legacji z piękną gwiazdą czerwoną, zdobną w sierp i młot. Tych dwoje łatwiej znalazło wspólny język niż świetni szwoleżerowie z Somosierry.

Żywi i umarli

Doszło się już prawie do tego, że się jej nie widzi; nie słyszy się jej kroków, nie dostrzega jej śladów. W ciągu tylu miesięcy stała się bliska i swoja, jak ktoś z rodzeństwa; powszednia jak chleb, a nawet – od czasu oblężenia – znacznie powszedniejsza od chleba. Od dawna już pogodzono się z nią, gdyż w końcu przystaje człowiek na prawa rewolucji i twarde konieczności wojny. Szybko

[20] Julio Álvarez del Vayo (1890–1975) – aktywista Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, w okresie wojny domowej minister spraw zagranicznych i generalny komisarz wojenny.

[21] Francisco Largo Caballero (1869–1946) – działacz robotniczy, przywódca socjalistyczny i związkowy, w latach 1936–1937 premier rządu republikańskiego.

[22] *Hidalgo* (hiszp.) – szlachcic należący do warstwy niższej szlachty.

[23] Kolumna Mangady – Oddział Julio Mangady, oficera armii republikańskiej, który w 1936 roku wygrał kilka potyczek w okolicach Madrytu.

[24] *Ci-devant* (fr.) – była, dawna.

znikają wielkie plamy krwi: nowi żołnierze, młodzi rekruci wypełniają luki powstałe poprzedniego dnia. I oto teraz dopiero okazuje się, że zagięła ona parol nie na maluczkich, nijakich, bezimiennych. Odwieczne prawo rewolucji poczyna działać. Rewolucja spala się w swym ogniu, elita jej zanika. Na miejsce tych, co rozpoczęli grę, przychodzą inni. Bohaterowie pierwszego aktu w dalszym ciągu sztuki nie ukażą się już na scenie. Tym razem nie dali głowy pod nóż gilotyny ani nie padli ofiarą jakiegoś współczesnego procesu sądowego. Wojna zawarła w czarne ramki nekrologów nazwiska ich, opromienione dawną lub świeżą chwałą, ona to położyła kres ich gorączkowej działalności, ich niezmordowanemu rozmachowi. W oczach naszych powstaje oto panteon rewolucji.

Więc: Lina Odena. Zapamiętajcie to imię, które brzmi świetlanie i ponuro. Robotnica z fabryki pończoch – taka jest właśnie legenda naszych czasów – uczy się wszystkiego: uczy się czytać, pisać, rachować – i walczyć w szeregach partii komunistycznej w Barcelonie. Partia była wówczas nieliczna, mało wpływowa. Dyktatura zaledwie zaczynała się chwiać, król jeszcze zasiadał na tronie, gdy młoda dziewczyna o bladej, pełnej spokoju twarzy zgłosiła się do jednej z „komórek" partyjnych. Spokój: oto wszystko, co zachowała z dawnych lat w dalszych fazach przeobrażenia, które uczyniło ją jedną z przywódczyń młodzieży komunistycznej Hiszpanii. Zaznała więzienia i walki na barykadach: wszędzie pojawiało się jej skupione oblicze nowej Joanny d'Arc. Nazajutrz po rokoszu wojskowym znalazła się w Almerii, małej mieścinie na południu kraju. Pod jej dowództwem tłum zdobył koszary, ona to sprawiła, że sterroryzowane wojska poddały się, dały się rozbroić i rozstrzelać. I to w Almerii, która w sztabie generała Godeta uchodziła za najpewniejszą ostoję. Dalszy rozwój wypadków zastaje ją w Barcelonie i Madrycie: jeździ, organizuje, przemawia na wiecach, przygotowuje teren do dalszych walk, zagrzewa tłum – zwłaszcza młodzież – bacząc, aby entuzjazm nie wyładował się bezpłodnie w próżni słów i gestów, kieruje tę młodzież do szeregów milicji, tych nowych kadr wojskowych, brygad szturmowych, które po opanowaniu ulicznych barykad miały dla utrwalenia zwycięstwa zdobywać sierrę, okopy, stepy. Po raz wtóry spełniwszy swe zadanie, Lina Odena udaje się na front, objeżdża pozycje, walczy. W kilka dni po jej śmierci przejeżdżałem przez Isnallez. Mieścina górska, „pueblo" ze starym kościółkiem i warownym zamkiem z czasów mauretańskich, zagubione w górach o kilkadziesiąt kilometrów od Grenady, obleganej wówczas przez oddziały wierne rządowi. Wśród starych gajów oliwnych krzyżuje się tam mnóstwo dróg. Milicjant, który prowadził auto Liny Odena, jadącej na najbardziej wysunięte pozycje, zbłądził w tym

labiryncie. Front nie był tu zwarty; podróżników zatrzymały patrole powstańcze. Wówczas Odena odebrała sobie życie. Zwłoki jej podobno wywleczono z samochodu i zawieziono do Grenady, gdzie obnoszono je w tryumfie po ulicach. Wieść o jej zgonie przebiegła też przez ulice wielu miast i „pueblos" Katalonii i Hiszpanii, wlokąc za sobą smugę kiru.

Mnóstwo ich jest, tych nazwisk znanych zaledwie od kilku miesięcy, sławnych od paru tygodni, które należą już do przeszłości. Oto drugie z kolei: Katalończyk, największy z nich wszystkich, którego śmierć była najdotkliwszą ze strat poniesionych przez rewolucję: Durutti. Przedziwny był żywot tego człowieka. Robotnik, jak Lina Odena, rewolucjonista, wódz. Tak, wódz w najistotniejszym tego słowa znaczeniu. Jako robotnik był anarchistą, przystawszy do ruchu ludowego, który od dawna już skończył się na całym świecie, wyparty przez marksizm, ale który tu, w Barcelonie i Katalonii, wciąż jeszcze żyje, a nawet bujnie się krzewi. Historia schizm religijnych zna szereg doktryn, jak manicheizm, monoteizm, nestorianizm, które srożyły się po świecie, zagrażając nawet Rzymowi, a potem gasły nagle, aby przywarować gdzieś w jakimś zakątku Syrii, Libanu, Azji Mniejszej, kolebce i grobie tylu religii. Hiszpania jest również krajem, do którego – niby zwierzyna do legendarnego matecznika w *Panu Tadeuszu* – chronią się niedobitki przebrzmiałych doktryn politycznych, aby dokonać tam żywota. Czymże bowiem jest ów karlizm, uporczywie trwający przy życiu, jeśli nie pozostałością legitymizmu europejskiego sprzed stu lat, z epoki hrabiego de Chambord[25], który wiernie trwał przy białym sztandarze? A czymże jest – z drugiej strony – anarchizm, jeśli nie ostatnim schronem Michaiła Bakunina[26], którego we wszystkich innych krajach zwyciężył już Karl Marx? Dziwna to była postać, ten Durutti. Ogień, wulkan, lawina; cały swój szalony rozmach wprzągł w służbę idei rewolucyjnej, od dawna przebrzmiałej, zastąpionej przez inne prądy – i energią swą zdołał tchnąć w nią nowe życie, przywrócić jej rumieńce młodości. Wychowała go robotnicza dzielnica Barcelony o długich, fantastycznie wąskich uliczkach; wyobraźnię dziecka kształtowały nie baśnie czarodziejskie, ale historie o „*pistoleros*"[27]; umiejętność obchodzenia się z dynamitem i granatami ręcznymi posiadł wcześniej niż sztukę czytania; taktykę rewolucyjną przyswoił sobie nie z podręczników, ale żywcem, z zaciekłych bojów, jakie z organizacjami robotniczymi staczała policja Martineza Anidy, ministra dyktatury. Z czasem został syndykalistą, przeżył cztery więzienia, ciężkie roboty, wyrok śmierci. Tułał się po Europie, nigdzie nie znajdując gościny. W ciągu kilku lat różne kraje wysiedlały go ze swych granic, przesyłając sobie nawzajem jego rysopis. Wreszcie wybucha w Hiszpanii rewolucja. Durutti wraca i z miejsca

[25] Henryk, hrabia Chambord (1820– 1883) – Henryk V, wnuk Karola X, w 1836 roku pretendent do tronu Francji, przywódca legitymistów.

[26] Michaił Bakunin (1814–1876) – rewolucjonista rosyjski, twórca i główny ideolog anarchizmu kolektywistycznego, działacz I Międzynarodówki, założyciel Międzynarodówki Anarchistycznej.

[27] *Pistolero* (hiszp.) – rewolwerowiec.

zostaje aresztowany, gdyż nazwisko jego widnieje na liście najgroźniejszych przestępców. Zaprowadzono go do sędziego śledczego, który zajrzawszy do akt jego sprawy, bardzo się stropił: w nagłówku widniało, wielkimi literami nakreślone, przestępstwo, o jakie Durutti był oskarżony: „przygotowanie zamachu na życie Jego Królewskiej Mości". Były to już czasy republiki: oczywista, został natychmiast zwolniony. Nie na długo jednak. Dwa tygodnie temu dowodził wojskami na jednym z odcinków frontu aragońskiego, który dzięki jego obecności bronił się wspaniale. W samej rzeczy okazał się tam znakomitym dowódcą, urodzonym strategiem. W dniu, gdy powstańcy zbliżyli się do Madrytu, zagrażając mu z bliska, tak że rząd musiał przenieść się do Walencji, Durutti, z najdzielniejszymi ze swych oddziałów, pośpieszył na odsiecz stolicy. Była noc listopadowa, chłodna i widna, gdy podczas ataku na Ciudad Universitaria dosięgła go kula karabinu maszynowego. Padł na ulicy miasta: piękna to śmierć dla tego, który będzie Cydem ciągnącej się od stu lat legendy o katalońskich rycerzach dynamitu.

Dużo jest jeszcze tych nazwisk, bardzo dużo. Więc Asensio, jeszcze jeden przywódca kataloński, również syn prostego ludu. Więc Col, marynarz, który ręcznymi granatami zagrodził drogę czołgom nieprzyjacielskim i sam jeden zniszczył ich cztery. I wiele jeszcze innych nazwisk: długa, bardzo długa lista tych ludzi, znanych od dwóch miesięcy, sławnych od paru tygodni, którzy odeszli na zawsze. Najdzielniejsi, najwięksi śmiałkowie. Wszyscy już są po tamtej stronie bytu. W oczach naszych powstaje jakaś jak gdyby Walhalla[28] cieniów rewolucji, siedlisko dusz nowych bohaterów, geniuszów, świętych, którzy zastąpić mają tamtych dawnych, zrzuconych z piedestałów. Lecz równocześnie obok tej Walhalli, jako jej dopełnienie, powstaje niezgorszy lamus, w którym gromadzi się to wszystko, czego rewolucja nie zużyła, ale co zdegradowała. Tam, w tym lamusie, jest miejsce dla bohaterów z 14 kwietnia 1931 roku: dla Zamory, Lerroux[29] i tylu innych. Może w dniu zwycięstwa rewolucji trafi tam również ów prezydent, który na długo przed zagrożeniem Madrytu przez powstańców jeździł na południe składać wizyty i odbierać hołdy. Tak, rewolucja hiszpańska w niczym nie odbiega od norm wszystkich rewolucji świata: obala, pożera, niszczy bohaterów pierwszych dni, aby na ich miejsce wywyższyć ludzi nowych, którzy dojrzeli w ogniu walki. I nie zdziwiłbym się wcale, gdyby pewnego dnia bohaterem i wodzem okazał się José Díaz, sekretarz partii komunistycznej.

„Wszystkich nas czeka ten los, przyjacielu" – pisała w swej celi w Temple pani Roland, egeria żyrondystów. Te słowa, streszczające prawo rewolucji, wciąż jeszcze okażą się aktualne, jeśli z kolei spojrzymy na elitę tamtej strony.

[28] Walhalla – w mitologii germańskiej siedziba dusz poległych wojowników.

[29] Niceto Alcalá Zamora (1877–1949) – po upadku monarchii w 1931 roku premier rządu tymczasowego, od grudnia 1931 do stycznia 1936 prezydent republiki. Alejandro Lerroux (1864–1949) – trzykrotny premier w okresie Drugiej Republiki. 14 kwietnia 1931 uznaje się za dzień proklamowania Drugiej Republiki.

Iluż mieli dowódców i jakie mnóstwo ich ubyło! Więc przede wszystkim Sotello, człowiek niezaprzeczenie wybitny, który po zwycięstwie puczu miał zostać szefem prawicowego rządu. Zginął. Dalej, generał Sanjurio, którego zachowanie się 13 kwietnia 1931 roku niemało przyczyniło się do obalenia monarchii. Zginął w katastrofie lotniczej w pierwszych dniach rewolty. Po nim Godet; ten znów był jednym z głównych dowódców spisku wojskowego, demoralizatorem armii, specjalistą od *„pronunciamentos"*[30]. Klęska, jaką poniósł na ulicach Barcelony, przesądziła o zwycięstwie mas ludowych Hiszpanii, jego zaś zaprowadziła przed trybunał rewolucji, który wydał nań wyrok śmierci. I jeszcze jeden odszedł w tych dniach, tak groźnych dla Madrytu: młody był, a mierzył wysoko: José Antonio Primo de Rivera, syn dyktatora, przywódca „Falangi" hiszpańskiej. Rewolucja zastała go w więzieniu w Alicante, gdzie odbywał karę za jakieś przestępstwa polityczne. W tych dniach postawiono go przed sąd i skazano na śmierć. Ubył jeszcze jeden kandydat na wodza. Pusto się robi dokoła generała Franco.

Oczywiście, powstańcy nie jego predestynowali na swego wodza: był najmłodszy i najmniej politykujący z generałów. Zostało ich jeszcze kilku: Mola, Cabanellas, Queipo de Llano. Wszyscy trzej wielcy intryganci, czczeni jak fetysze, członkowie lóż. W rzeczy samej z chwilą obalenia monarchii pokwapiono się z udzieleniem dymisji generałom prawicowym. Inna rzecz, że republika nie okazała się taka, jaką sobie byli projektowali spiskowcy z pronunciamentów. Usiłowali też przerobić ją po swojemu, własnymi rękami lub raczej szablami. Było to 20 lipca; zamach spalił na panewce. Z tą chwilą wszyscy trzej byli powaleni – zupełnie tak samo jak z przeciwnej strony *señor* Alcalá Zamora. Jedynym wojskowym, który w przeciwieństwie do nich mógł się pochwalić dość mizernym co prawda sukcesem, był Franco. Wszystkie bowiem atuty, jakimi tamci posługiwali się w polityce, znalazły się w rękach przeciwników: były to hasła liberalizmu, postępu. Wielką siłą moralną powstania jest religia. Generałowie poczęli zatem grać komedię: Mola przywraca w szkołach krucyfiksy, stary wolterianin Cabanellas chodzi na mszę, Queipo de Llano uderza w tony religijne w przemówieniach swoich, wygłaszanych w radio sewilskim. Lecz w tych burzliwych czasach komedie nie na wiele się zdadzą. Tak też się stało, że podczas gdy jeden po drugim ginęli Durutti, Odena, Col i ich towarzysze – śmierć i zapomnienie czyniły spustoszenia w pierwszych szeregach ich nieprzyjaciół, usuwając, jakby cudem, wszystkich rywali, którzy jeszcze dwa miesiące temu znajdowali się na drodze młodego generała Franco.

[30] *Pronunciamento* (hiszp.) – forma buntu wojskowego lub zamachu stanu polegająca na publicznym ogłoszeniu sprzeciwu wobec grupy rządzącej, rodzaj wypowiadanego przez wojsko votum nieufności.

Ktoś powiedział, że ta wojna będzie początkiem przyszłej wojny europejskiej – walki między dwoma światami, komunizmem i faszyzmem. Tak się też stało w istocie. Po cudzoziemskich samolotach, po amunicji, po obcych karabinach zwykłych i maszynowych zjawiły się szarozielone czołgi, wielkie wojskowe ciężarówki, malowane na kolor khaki armaty. A po junkersach i innych narzędziach wojny zjawili się wreszcie i ludzie. I to nie tylko lotnicy obcokrajowi, o których obecności sporadycznej donosiły gazety. Obecnie są to już całe oddziały wojskowe. Stawili się tu wszyscy: Niemcy, Włosi, Polacy, Żydzi, Francuzi. Bronią oni najtrudniejszych posterunków: Rosales, Puente de los Franceses, Ciudad Universitaria i Casa de Campo. Cała międzynarodówka antyfaszystowska i komunistyczna przybyła tu, aby ramię przy ramieniu stanąć na przedpolach Madrytu. Po drugiej stronie dzieje się to samo. Polacy z batalionu imienia Dąbrowskiego – oczywiście, Jarosława Dąbrowskiego, dowódcy wojskowego komuny paryskiej – mówili mi, iż w ciche wieczory w okopach przeciwników słychać polskie pieśni. Polacy – a pełno ich tu wszędzie – opowiadali mi jeszcze, że pewnej nocy wołano do nich spod pinii Casa de Campo: „Polacy, nie strzelać!". Jednak strzelali, gdyż jest to znany tu dobrze chwyt Maurów: prosić o pokój, a samym odpowiadać strzałami karabinowymi. Toteż obecnie ludzie mają się już na baczności.

Bratobójcza walka Hiszpanów, jak to się zawsze dzieje w wojnie domowej, wyszła poza ramy jednego narodu i stała się bratobójczą walką wszystkich ludów Europy, zyskując przez to na zaciętości. Jest to całkiem zrozumiałe. Po latach podziemnej walki emigrant włoski ze stokroć większą zawziętością skieruje lufę zenitówki[31] przeciwko savoia-marchetti. Uciekinier Niemiec całą nienawiść, nagromadzoną w czasie trzyletniego pobytu w obozie koncentracyjnym, wyładuje w walce z przeciwnikami Niemcami. Sierp i swastyka splotły się wreszcie w walce, o której marzyły. To nie tylko bohaterowie hiszpańscy, którzy wstąpią, gdy nadejdzie ich chwila, do Walhalli cieniów rewolucji. Ta walka ma znacznie szerszy zasięg: kryje ona więcej obietnic i gróźb dla tych, którzy się w nią wplączą. A Manzanares w głębi jaru toczy swe fale – Styks i Marna tej walki, która pcha ich wszystkich, wielkich i małych, sławnych i bezimiennych, czerwonych i białych – w otchłanne głębiny śmierci.

Wzdłuż dalekiego brzegu. Wybór reportaży z lat międzywojennych, red. J. Gembicki, Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1966, s. 515–537

[31] Zenitówka – działko przeciwlotnicze.

1938

Zbigniew Mitzner (1910–1968)

Mgła aluzyjności

Ten rysunek zajął w „Wiadomościach Literackich" całą stronę. Nosił tytuł *Sytuacja poetyczna w Polsce w roku 1937*. Przedstawiono na nim kilkudziesięciu polskich literatów. Jedni wystawiają głowy z okien domu Polskiej Akademii Literatury, inni robią piruety na jego dachu; Nałkowska ujeżdża Boya-Żeleńskiego jak konia; z morza anonimowych grafomanów wyłania się kilku, którzy wchodzą po drabinie do tyłka Juliana Tuwima; przed domem jedzie wóz drabiniasty, zaprzężony w pegaza, którym powozi Staff, a do środka usiłuje się dostać Wierzyński.

Wóz Akademii ostrzeliwuje z łuku Zbigniew Mitzner.

Reporter, felietonista, satyryk i socjalista (podczas drugiej wojny światowej aresztowany przez NKWD), który razem z Erykiem Lipińskim w 1935 roku założył satyryczne „Szpilki". Tylko w latach 1936–1938 wytoczono mu za satyrę i krytykę piętnaście procesów sądowych. Studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, już jako student wstąpił do PPS. Drukował w „Płomieniach" i „Tygodniu Robotniczym", przed wybuchem wojny był redaktorem naczelnym „Dziennika Ludowego". Jako felietonista używał pseudonimu Jan Szeląg, gromił w swoich reporterskich felietonach faszyzm, sanację i prawicę.

Jego *Inferno w Zbąszyniu*, napisane dla „Dziennika Ludowego", jest relacją z obozu, który Polacy założyli dla tysięcy Żydów – obywateli polskich, wydalonych z Niemiec pod koniec października 1938 roku, na dwa tygodnie przed „nocą kryształową". Władze polskie dążyły do zmniejszenia liczby Żydów w kraju, więc chciały pozbawić polskiego obywatelstwa Żydów przebywających za granicą, głównie w Niemczech. Rząd wydał dekret, że do 30 października 1938 roku obywatele Rzeczpospolitej mieszkający na stałe poza jej granicami mają obowiązek potwierdzić swoje obywatelstwo. Jeśli tego nie zrobią, zostanie im ono odebrane. Ponieważ hitlerowskie Niemcy także chciały pozbyć się jak największej liczby Żydów, wpadły na pomysł, by – nim nastąpi utrata ważności paszportów – przesunąć wszystkich za polską granicę. Tłumaczono, że ma to ich chronić przed statusem bezpaństwowców.

Wypędzono wtedy siedemnaście tysięcy Żydów, z których dziewięć lub dziesięć tysięcy (podaje się różne dane) trafiło do Zbąszynia. Władze polskie nie pozwoliły im jechać w głąb kraju, tylko internowały w przygranicznym obozie. Drogi wyjazdowe ze Zbąszynia i dworzec zostały obstawione posterunkami policji, a rząd ogłosił, że Zbąszyń staje się miastem zamkniętym. Wielu zatrzymanych

opuszczało miasto po kryjomu, korzystając z pomocy mieszkańców. Oficjalnie obóz został zlikwidowany na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej.

> Reportaż ten stanowił niegdyś mój wielki sukces dziennikarski – pisał Zbigniew Mitzner. – Mogę się tym otwarcie chwalić, gdyż nie chodzi o żadne walory stylu, budowy utworu i temu podobne cechy. Chodzi po prostu o to, że reportaż nie bez wielkiego wysiłku udało mi się napisać, że w ogóle mógł się ukazać w druku, gdyż inne reportaże [na ten temat], a nawet zwykłe wiadomości były konfiskowane. Dzięki czemu odniosłem ten sukces? Dzięki temu, że pominąłem albo zepchnąłem w mgłę aluzyjności to, co stanowiło istotę sprawy. Rzecz przecież polegała na tym, że rząd polski nie miał w ogóle prawa internować swoich obywateli, obywateli polskich, nie miał prawa nie wpuszczać ich w głąb kraju, zabraniać im jechać, gdzie chcieli. Ludzie ci stanowili piłkę podrzucaną przez dwie różne ręce. Eksportację dokonaną przez hitlerowców udało mi się jeszcze jakoś po kawałku przemycić, oczywiście unikając opisu faktów najbardziej jaskrawych, unikając otwartego wymieniania, kto jest winien, kto tego wszystkiego dokonał. Winowajcy po tej stronie granicy, ci, co kazali owych ludzi po kilka razy w ciągu nocy spychać z powrotem na stronę niemiecką, którzy chcieli zasłużyć się w opinii hitlerowców i własnych oenerowców twardą ręką i bezprawiem wobec deportowanych – pozostają w tym reportażu w zupełnym cieniu. Gdy dziś czytelnik czyta te kartki, może nawet nie bardzo rozumie, co to za siła trzyma tych polskich Żydów w owych infernalnych warunkach w stajniach Zbąszynia. Wówczas autor, pisząc, apelował do tego, co ludzie i tak o tej sprawie wiedzieli i co sobie do owego opisu umieli dopowiedzieć. Ta sprawa przecież dla wielu uczciwych Polaków stała się punktem zwrotnym. Przecież właśnie Zbąszyń stał się powodem zerwania wszelkiej współpracy z reakcyjnym „Prosto z mostu" takich ludzi jak Irzykowski czy Andrzejewski.

„Prosto z mostu" było tygodnikiem literacko-artystycznym wydawanym od 1935 roku przez obóz narodowy i redagowanym przez Stanisława Piaseckiego. Z Adolfem Nowaczyńskim czy Janem Dobraczyńskim w roli gwiazd pióra miał być przeciwwagą dla liberalnych „Wiadomości Literackich". Był popularny, osiągał o jedną trzecią większy nakład niż „Wiadomości". We wrześniu 1938 roku ostrzegał, że „Żydzi właśnie przeszli do ataku" i „stosują odbieranie chleba Polakom na każdym kroku". Po wydaleniu Żydów z Niemiec i sprawie

zbąszyńskiej felietonista tygodnika Karol Zbyszewski w swojej stałej rubryce *Ryżową szczotką* prosto z mostu napisał:

> Konieczne są te represje hitlerowskie. Pozbywają się Niemcy swych Żydów, a o to przecie chodzi. To podczas wojny ma się truć swoich wrogów iperytem, rozszarpywać ich granatami, a w czasie pokoju nie wolno stokroć gorszych wrogów łagodnie wysiedlić? [...] Humanitaryzm, łagodność, liberalizm – bardzo to wszystko dobre rzeczy. Ale opróżnienie kraju z Żydów jeszcze lepsze. Bez nacisku, przymusu, dekretów tego się nie zrobi. Jeśli się nie chce być żywcem zjedzonym przez pluskwy, trzeba je rozgniatać.

Co do samego reportażu *Inferno w Zbąszyniu* z „Dziennika Ludowego" – jego siła polegała na uzupełnieniu tego, co czytelnicy o Zbąszyniu wiedzieli.

> Te sprawy zbąszyńskie – wyjaśniał dalej Zbigniew Mitzner – działy się na szerokim tle polityki wewnętrznej i międzynarodowej. Decyzje trzymał w swych rękach osobiście Beck. Powszechnie wówczas było wiadome, że ekspulsując Żydów obywateli polskich z Niemiec, rząd hitlerowski bynajmniej nie zamierzał robić kawału swemu wschodniemu sojusznikowi. Że chodziło o wspólną demonstrację „ideową", antysemicką, rasistowską. Ale reportażysta nie miał oczywiście żadnej możliwości szperania po kancelariach w Berlinie i w polskim MSZ-ecie na ulicy Wierzbowej, nie miał możliwości osobistego zainterpelowania w sprawie tej prowokacji pułkownika Becka, mistrza w takich właśnie posunięciach. Pozostawał mu tylko Zbąszyń bez żadnego tła, bez możliwości poczynienia politycznych uogólnień. [...] Demaskatorstwo [reportera] było bardzo ograniczone warunkami.

Owe „warunki" to wprowadzone w listopadzie 1938 roku rozporządzenie o ochronie interesów państwa, a kilka miesięcy wcześniej – dekret prezydenta, uzależniające prasę od władz. Przykładem niech będzie poufne pismo, które Urząd Wojewódzki w Lublinie wysłał do starostów powiatowych 1 września 1938 roku w sprawie likwidacji cerkwi prawosławnych na terenie wschodnich powiatów województwa:

> Urząd Wojewódzki komunikuje, iż Pan Premier i Minister Spraw Wewnętrznych uznał sprawę likwidacji [...] za dotyczącą najbardziej istotnych potrzeb Państwa i religii. Z tych też względów Pan Premier nie może uznać za dopuszczalną jakąkolwiek krytykę działań Rządu na tym odcinku w akcji prasowej. W razie, gdyby które z pism wykazywało niezrozumienie dla

> tej sprawy, Pan Premier zdecydowany jest zastosować wobec właściwych redaktorów czy publicystów represje do Berezy [Kartuskiej] włącznie.

W tej sytuacji nie dziwi, że felietonista lewicowiec, usłyszawszy o akcji w Zbąszyniu, pojechał tam natychmiast. Mówi się, że każdy może napisać w życiu jeden dobry wiersz. *Inferno w Zbąszyniu* to kolejny przykład, że dziennikarz, pisarz czy nawet regionalista amator może napisać jeden reportaż, który przejdzie do historii. Musi jednak znaleźć swój „temat życia". Tak dla niego ważny, żeby chciało mu się wstać od biurka, porzucić książki, wyjść z domu i osobiście docierać do prawdy.

Inferno w Zbąszyniu

Niewielu pasażerów wysiada na tej stacji z pociągu, który za chwilę przekroczy granicę polsko-niemiecką i pojedzie do Berlina. Zawsze mi się wydawało, że Zbąszyń to tylko wielki, zawsze pusty dworzec kolejowy, na którym wita się lub żegna kraj i poddaje celnej rewizji. Takim był dla mnie i przed rokiem, gdy go poznałem z okna wagonu paryskiego pociągu. Myliłem się: Zbąszyń to także miasteczko liczące około sześciu tysięcy mieszkańców.

Przed frontonem dworca przebiegają błyszczące luksy[1] i błękitne ekspresy, łączące dwa krańce lądu europejskiego, jego tył tonie w ciemnościach, panuje nad jakąś niepokojącą ciemnością, w którą się w tej chwili zanurzam, której jednak nie umiem określić.

Krzyk swojskich gęsi

Wielka poznańska taksówka zabiera nas łaskawie na swój pokład. Wśród nadrannej ciemności żeglujemy ku swym noclegom. Auto staje przed hotelem International. Część pasażerów jest u celu podróży. Czekamy na resztę, która idzie pieszo. Wysiadam i czuję się jakby zanurzony w morzu ciemności i ciszy. Ale to cisza niespokojna. Niespełna trzy kilometry stąd leży niemiecka granica. Te małe domki, niknące w mroku, owe polany, otwierające się wśród ulicy miasteczka, czerwone światełka na torach – to jakby sceneria sensacyjnego filmu szpiegowskiego.

Ale cisza nie trwa bezustannie. Przerywa ją nagły krzyk, wydłużający się, to niknący, to znów się wzmagający. Jest ostry i niesamowity jak krzyk pawi. Stojący obok szofer wyjaśnia:

– To gęsi.

I dodaje objaśniająco:

– Tak co noc idą te transporty, ale nie dla nas. Dla nich, bo jeść nie mają co.

Jakby wyczuł, że nie wiem dobrze, o kogo chodzi, dodaje:

– Panie, kiedy to się skończy? My tu już sił nie mamy. Że oni jeść nie mają, to źle. Ale po co ludzi męczą?

I żeby nie było już żadnych wątpliwości, o kogo chodzi, odwraca się twarzą w stronę granicy:

– Ale my się nie damy, my będziemy walczyć! Tylko nie wiemy, co w końcu z tymi ludźmi.

[1] Luks, właśc. lukstorpeda – wagon spalinowy o aerodynamicznych kształtach stosowany w latach trzydziestych xx wieku w szybkich połączeniach międzymiastowych i międzynarodowych.

Podkreśla z naciskiem:

– To są przecież ludzie.

Zatrzaskujemy drzwi auta. Jedziemy dalej.

Nad moczarem

Sam restaurator i hotelarz podaje mi rano herbatę i bułkę. Pochyla się nad stolikiem i pyta:

– Kiedy to się skończy? To przecież trwa już trzy tygodnie. Wczoraj był wojewoda i starosta, i komendant policji, ale oni mówią, że nic nie mogą, że tu decyduje Warszawa. No, ale przecież musi z tym być jakiś koniec, ludzie tak nie mogą się męczyć.

W słowach restauratora brzmi nuta głębokiego współczucia. To ton, którym mówią o tych ludziach wszyscy mieszkańcy Zbąszynia. Jest ich, jak i przybyszów, około sześciu tysięcy. W tym osiem rodzin żydowskich. Reszta katolicy.

Wychodzę na ulicę i teraz dopiero widzę, iż hotel, w którym spałem, stoi prawie nad samą wodą. Staję na mostku, ale oblicze wody jest dziwnie ciemne i nieuchwytne. Nie odbija w sobie ten moczar ani sitowia, ani nieba, ani przechodzących ludzi. Pozostaje niezmienny, nieruchomy, jakby zapadnięty w sobie.

30 października

O tym moczarze myślę, gdy patrzę w twarz pierwszego człowieka spośród tamtych ludzi. Jego rysy nie odzwierciedlają ani bólu, ani cierpienia. Człowiek ten zapadł w siebie i umie mówić tylko o tym, co było.

„Było to w nocy z 29 na 30 października. Noc tę spędziłem nie w domu, ale w mieszkaniu przyjaciela. Rano przyszedł policjant, kazał gospodarzowi ubierać się i iść z nim. Gdy żona aresztowanego poczęła rozpaczać, skinął głową w moją stronę i powiedział:

– Ten pan zostaje, będzie się panią opiekował. Żeby zostawić kobietę samą, to takimi zwierzętami jeszcze nie jesteśmy.

Po pół godzinie wrócił, wylegitymował mnie i kazał iść. Do żony mego przyjaciela zwrócił się i powiedział:

– Nie tylko pani jedna zostaje dzisiaj sama.

Gdy doprowadzono mnie do posterunku, przekonałem się, że mówił prawdę. Tego dnia wyaresztowano wszystkich Żydów obywateli polskich. To samo stało się we wszystkich miastach Niemiec. Wzywano ludzi na policję, a stamtąd wysyłano wprost na granicę. Zabierano chorych ze szpitali,

dzieci ze szkół, sieroty z sierocińców. Proskrypcja objęła wszystkich, od niemowląt do starców. Na moim posterunku było już około osiemdziesięciu aresztowanych. Ustawiono nas twarzami do ścian i tak przetrwaliśmy kilka godzin. Po tym połączono cały transport berliński, który liczył około dwa i pół tysiąca ludzi. Każdemu pozwolono zabrać po dziesięć marek i załadowano nas do pociągu. Po drodze nie wolno było wysiadać. W nocy stanęliśmy sześć kilometrów przed granicą. Przeprowadzono nas naokoło lasami do granicy polskiej. Stał tam jeden polski strażnik, który tłumaczył Niemcom, że nie może nas wpuścić. Wreszcie porozumiał się telefonicznie ze swoimi władzami i wpuścił nas. Policjant doprowadził nas do Zbąszynia. Resztę zobaczy pan sam..."

Straszne dni

Zaległo przykre milczenie. Wreszcie pytam o to, jak jest właśnie tutaj. Słyszę odpowiedź:

– Pierwsze dni były straszne. Ludzie byli bez pieniędzy, bez jedzenia, bez dachu nad głową. Gdyby nie miejscowa ludność (osiem rodzin żydowskich i sześć tysięcy katolików, powtarzam sobie w myślach), umarliby z głodu. Przydzielono nam dawne stajnie. Przywieziono trochę słomy. A drugiego dnia zarząd miejski przysłał gorącej kartoflanej zupy. Pierwsza gorąca strawa. Potem przyszła pomoc z Warszawy. Zorganizowano aprowizację, pomoc lekarską, opiekę nad dziećmi, pocztę. Przystosowaliśmy się do tych warunków. I tak przeszły trzy tygodnie. Ale jak to ma długo trwać? Kiedy to się skończy?

Po raz trzeci słyszę to pytanie. Rysy twarzy mego rozmówcy jakby się zmieniły, poruszyły. Pytanie oczywiście zawisa w powietrzu. Nikt nie umie dać na to odpowiedzi.

Wychodzimy na miasto. Na ulicach panuje niezwykle ożywiony ruch. W ciągu jednej nocy ludność miasta wzrosła o sto procent. Po jezdni krążą karetki Czerwonego Krzyża. Widać kuchnie polowe. Tak jakbyśmy byli w mieście przyfrontowym.

Auto nasze zatrzymuje się. Wchodzimy do wielkiego budynku z cegieł. Przed wojną mieściła się tu stajnia dla koni wojskowej szkoły jazdy. Dziś mieszka tu kilkuset ludzi. Pod ścianami rzędy sienników. O wiele ich mniej niż mieszkańców. Poprzez ciepłe palto chwyta mnie przejmujące zimno murów. Wielki, wysoki gmach nie ma ani jednego pieca. Stoimy pośrodku jakby onieśmieleni swą przypadkową, niepotrzebną obecnością. Po co tu przyszliśmy, gdy jesteśmy bezradni, gdy nic pomóc nie możemy.

Z wolna otacza nas tłum o twarzach bladych i rozgorączkowanych oczach. Zrazu zalega milczenie, aż wreszcie wybucha fala skarg, żalów, złorzeczeń. Łzy mieszane z przekleństwami.

Jesteśmy w pierwszym kręgu piekła.

Przekroczona granica

Kompleks dawnych stajen wojskowych stanowi centrum owej filii piekła. Na ich tyłach jest jakby wielkie podwórze, rynek tego najbardziej osobliwego miasta, którego mieszkańców spędzono ze wszystkich stron Niemiec.

To, co opowiadają mieszkańcy tego miasta, jest niemalże jednakowe, stereotypowe. W Hanowerze, w Kolonii, w Wiedniu, w Berlinie i w Hamburgu system był ten sam, a tylko zmieniały się nieistotne drobiazgi. System zaskoczenia działał wszędzie. Dzięki niemu po Zbąszyniu chodzą ludzie tak, jak przed trzema tygodniami wyszli ze swego domu w Hamburgu. Chodzą w tym samym ubraniu i w tej samej koszuli, ale to już nie są ci sami ludzie. Aresztowano przede wszystkim rzemieślników i właścicieli sklepów. Zarówno ludzi biednych, jak i bogatych.

Ale dziś to są już inni ludzie. Doprawdy nie wiem, czym był ten człowiek, który woła, by innych przekrzyczeć:

– Ja nie chcę nic dla siebie, ale moja żona jest chora, od dziesięciu dni ma gorączkę, a leży w zimnie. Młodzi mieszkają prywatnie, w cieple, a ona jest stara, ona jest chora!

Lekarz, który stoi obok mnie, rozkłada ręce: jest bezsilny.

– Nasze ambulatoria – informuje mnie – udzielają około tysiąca porad dziennie. Nie są to oczywiście wszystko ciężkie choroby. Przyjmujemy jednak i leczymy każdego, by nie powiększać i tak naturalnego rozdrażnienia i rozgoryczenia. Są jednak i chorzy naprawdę. Zdarzają się ataki szału. Tych naprawdę chorych zabieramy do naszego szpitala, a w poważniejszych wypadkach staramy się odsyłać do prawdziwego szpitala, ale tu napotykamy na duże trudności. Z przerażeniem myślę o nadejściu zimy i mrozów, co może spowodować masowe zachorowania.

Obeszliśmy stajnie naokoło. Pojechaliśmy dalej. Widzieliśmy oba ambulatoria, szpital, siedzibę ozdrowieńców i pięciopiętrowy, prawdziwie czarci młyn od pułapu do fundamentów wypełniony wygnańcami. Na szczyt młyna wchodzi się po drewnianych, wąskich, stromych schodach. A na szczycie skóra cierpnie na myśl o jednej zapałce, która może tu wzniecić pożar. Na tym przypadku, że ta zapałka nie zapala wysuszonego drzewa, zawisło

życie wielu setek ludzi, którzy ten młyn zaludniają dniem i nocą, i którym zastępuje on mieszkanie.

Ale oto prostą, pustą szosą, biegnącą wśród sosnowego lasu, jedziemy do granicy. Auto nasze staje u biało-czerwonego szlabanu. Po prawej stronie drogi mały, schludny, miły budynek straży granicznej. Mijamy go, przechodzimy koło szlabanu i idziemy kilkanaście kroków naprzód, nad samą granicę. Wyznaczają ją dwa kopce po obu stronach szosy. O kilkanaście kroków dalej buduje się dom, jakiś robotnik uwija się wokół niego. Dom ten jest już w Niemczech. Zawracamy i wchodzimy do strażnicy.

Znalazło tu przytułek czterdziestu paru wygnańców, którzy według opinii władz nie mają ustalonego obywatelstwa. Warunki ich bytowania są o wiele lepsze od zbąszyńskich. Dwa opalane pokoje, które oddano im do rozporządzenia, stanowią w tutejszych warunkach wielki luksus. Ten luksus rekompensuje niepokój, niepewność jutra wśród tych ludzi, dla których Zbąszyń wydaje się rajem pewności, oparcia o siłę państwa, państwa, którego się jest obywatelem.

A trudno powiedzieć, by tych ludzi dopiero niedola i prześladowanie uczyniły świadomymi obywatelami Polski. Żyd z Wiednia, który trzydzieści lat mieszkał poza krajem, w tej nadgranicznej strażnicy mówi do mnie:

– Ja, proszę pana, zawsze byłem i jestem polskim obywatelem.

Nie patrzę nawet na paszport, który mi podsuwa. Czysty język polski, którym mówi ten człowiek niestary jeszcze, który jako młody chłopak musiał opuścić kraj, jest najlepszym dowodem, że mówi prawdę.

Na drugim krańcu Zbąszynia leży druga granica tej sprawy. Na stadionie bawią się dzieci. Mieszkają w hali gimnastycznej. Dzieci bawią się w berka. Ale nie same. Z powagą odwiedzają je dzieci z miasteczka, gdy mają czas po zakończeniu nauki w szkole. Zabawa wówczas idzie wspaniale. Te dzieci przyjezdne, te obce zapominają już o przeszłości i o przeżyciach ostatnich dni, te tutejsze uważają, że można z nimi doskonale się bawić i nie czują w nich nic ani obcego, ani wrogiego.

Żegnamy dzieci i wracamy do miasta. Miasto tubylców i miasto wygnańców pulsują wspólnym przyspieszonym tętnem. Zmęczenie i oczekiwanie charakteryzują jego życie. Znów na ustach wszystkich pytanie: „Kiedy to się skończy?". Na to jednak nikt ani w Zbąszyniu, ani w Nowym Tomyślu, ani nawet w Poznaniu nie umie odpowiedzieć.

Wieczorem opuszczam Zbąszyń. Przy wyjściu na peron kolejarz sprawdza bilety, a policjant dowody. Z wysokości stalowej wieży dwa reflektory oświetlają tory. Jest w ich promieniu widno jak w dzień. Pociągi idące w stronę granicy nie są oświetlone. Tory prowadzące w stronę zachodu pozostają ciemne.

W tamtej stronie jest granica. W taką noc, jak ta dzisiejsza, pędzono tam wśród innych słynną grupę hamburską. O jej drodze tak mówiła jedna wygnanka:

– Wśród nocy kazano nam wysiadać z pociągu i iść naprzód przez las. Potykając się, upadając, kalecząc o gałęzie, gubiąc krewnych, szliśmy, nie wiedząc dokąd. Byliśmy u kresu sił. Wreszcie znaleźliśmy dobry punkt. Oddział wojska rozstąpił się, żołnierze nałożyli bagnety na karabiny. Esesmani wzięli się za ręce i utworzyli kordon pchający nas ku granicy. Po bokach szli żołnierze. Wśród ciemności rozlegały się pojedyncze strzały. Napór z tyłu wzrastał. Jeszcze krok i przekroczyliśmy granicę.

Przekroczona granica. To nie tylko ta urojona linia między dwoma kopcami po obu stronach szosy. Przekroczono także granicę drugą, „granicę ludzkiej krzywdy, granicę ludzkiego cierpienia". Jeśli wierzyć w sprawiedliwość i potęgę norm moralnych – tej granicy nie wolno przekraczać bezkarnie.

Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór J. Dąbrowski, wstęp Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1962, s. 270–277

1939

Franciszek Gil (1917–1960)

Reportaż jako podanie urzędowe

Napisał chyba najciekawszy formalnie przedwojenny reportaż. Nosił on tytuł *Świadectwo dojrzałości i karta na broń* i mówiono, że właśnie na nim zrobił sobie nazwisko.

Jego tekst dla komunizujących „Sygnałów" ma postać podania do władz o zgodę na kupno pistoletu. Franciszek Gil krótko przed wojną zaczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie Młodzież Wszechpolska atakowała studentów o lewicowych poglądach i tych żydowskiego pochodzenia. Zaś korytarze w gmachu były ciemne, kręte i wąskie. Tekst podania jest więc drobiazgowym uzasadnieniem – z przytoczeniem wielu przykładów agresji Wszechpolaków – dlaczego Franciszek Gil potrzebuje broni w szkole.

W informacjach o lwowskim miesięczniku „Sygnały" (1933–1934, 1936–1939) wymienia się najsławniejsze nazwiska współpracujących z pismem autorów: Erwina Axera, Marię Dąbrowską, Stanisława Jerzego Leca czy Czesława Miłosza. A także założyciela pisma Karola Kuryluka (ojca artystki Ewy Kuryluk), którego w 1938 roku zaatakowała w redakcji bojówka ONR-u i który cudem uniknął ciosu łomem w głowę. O współpracowniku pisma Franciszku Gilu, synu wiejskiego nauczyciela spod Kielc, który już jako gimnazjalista wydrukował tekst o tym, jak uzdrowić Polskę, nie wspomina się prawie wcale. Niestety wszystko, co napisał po *Świadectwie dojrzałości i karcie na broń*, nie miało już świeżości i błyskotliwości tego tekstu.

> Po zajęciu Lwowa przez Sowietów – wspominał poeta i socjolog Michał Borwicz – komunista Franciszek Gil, chociaż chciał, nie bardzo wiedział, co pisać. Publicystyka nie wchodziła w grę, bo wiadomo było, że mogą się nią zajmować tylko dziennikarze mający poparcie partii i rządu.
>
> W końcu Gil postanowił napisać do wychodzącego w Kijowie „Bezbożnika" cykl artykułów o przejawach religijnego fanatyzmu w Polsce przed wojną. Wysławszy do redakcji rozdział o katolikach, przygotowywał następny przeciw przesądom i fanatykom religii mojżeszowej. O artykułach tych byłbym się chyba nigdy nie dowiedział, gdyby nie to, że otrzymawszy numer, w którym pojawił się pierwszy rozdział jego cyklu, Gil doznał morskiej choroby samopoczucia. Dręczony nią, czuł widać gwałtowną potrzebę bodaj podzielenia się swoim utrapieniem. Artykuł, podpisany jego pełnym imieniem i nazwiskiem,

zachował z jego tekstu zaledwie jakieś nikłe „punkty odbicia", ale rozwijał je w sposób drakońsko osobliwy. Gil wspomniał na przykład, że nacjonalistyczne ugrupowania studenckie organizowały pielgrzymki do Częstochowy, by kończyć je antysemickimi rozruchami. Wzmianka powyższa była (niestety) zgodna ze smutną prawdą, jednak redaktorom „Bezbożnika" nie wystarczyła. W drukowanej wersji nie pielgrzymujący na Jasną Górę studenci rozpętywali awantury, lecz sami zakonnicy urządzali dziki taniec dokoła powalonych ofiar i depcząc po nich, wykrzykiwali: „Niech żyje Jezus Chrystus!".

– Obok mnie – mówił mi przygnębiony Gil – mieszka stary Żyd [...], ten Żyd jest bardzo ortodoksyjny i o żadną osobistą sympatię do zakonników z Jasnej Góry nie można go podejrzewać. Ktoś, widać, pokazał mu ten rzekomy mój artykuł, bo ten Żyd mówił do sąsiadki, głośno, tak bym go dobrze słyszał: „A ja myślałem, że ten pan Gil jest porządnym człowiekiem". [...]

By zrehabilitować się chociaż trochę, Gil napisał do „Bezbożnika" bardzo delikatne sprostowanie. Dostał następującą odpowiedź: „W załączeniu przesyłam wam czek za wasz artykuł. Co do sprostowania, odbiega ono o wiele bardziej od waszego artykułu niż drobne zmiany, które musieliśmy w nim zrobić. Czekamy na zapowiedziany artykuł o fanatykach religii mojżeszowej [...]".

Po wojnie Franciszek Gil pisał do tygodnika „Odrodzenie" socrealistyczne reportaże o reformie rolnej. Wyszły w zbiorze *Żniwo wielkiej reformy* (1946). Potem poświęcił się monumentalnym reportażom o polskim wybrzeżu zachodnim. Szczecin – jak go nazwał, „miasto światła" – był jego nową miłością.

Rzeczą publicystyki i literatury – stwierdził w swojej drugiej i ostatniej książce *Ziemia i morze* (1954) – będzie przywracać naszej morskiej myśli, naszemu odczuciu morza, równowagę zwichniętą przez kicze [...]. Sprawą ludzi pióra jest zadomowić w wyobraźni przeciętnego Polaka dźwig obok plaż, stocznie obok rybackich wiosek, przeładunki obok chmur i lazurów, rejsy polskich frachtowców i polskie centra szkolenia morskiego obok niezmierzonych wód i portowych knajp. Któż bowiem ma uzdrowić nasz typowo lądowy cykl myślenia o morzu?

Po Październiku 1956 ponoć spalił dużą część rękopisów i oddał legitymację PZPR. Jak wspomina szczeciński dziennikarz Bogdan Twardochleb, bodaj w 1958 roku, gdy chciano Franciszka Gila eksmitować z mieszkania za niezapłacenie czynszu, z potarganymi włosami stanął w drzwiach z łopatą czy siekierą. Do trumny położono go w podarowanym przez kogoś ubraniu, a pogrzeb odbył się na koszt opieki społecznej.

Świadectwo dojrzałości i karta na broń

Dnia 27 marca br. (1939) złożyłem następujące podanie:

Do Starostwa Grodzkiego we Lwowie

Proszę o udzielenie zezwolenia na posiadanie broni, ponieważ dnia 18 listopada 1938 wpisałem się na pierwszy rok Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Uzasadnienie szczegółowe:

Uniwersytet Jana Kazimierza mieści się w gmachu dawnego sejmu galicyjskiego. Korytarze jego są kręte i ciemne, większość okien wychodzi na przeciwległe ściany, w zakładach przez cały dzień pali się światło. W tych ciemnych korytarzach, w hallu, klozetach, na salach wykładowych bojówki Młodzieży Wszechpolskiej biją od kilku lat studentów niesolidaryzujących się z akcją lub poglądami szerzonymi przez tę organizację. Ponieważ bojówki uzbrojone w kastety, okute pałki, noże napadają zwartą grupą na pojedynczych studentów, nie istnieje żadna możliwość fizycznej obrony. Gmach na podstawie ustawy o szkołach akademickich jest eksterytorialny, policja nie ma prawa wstępu w jego obręb, rektorzy nawet w razie zaistnienia konieczności nie wzywają jej pomocy, służba porządkowa (woźni) jest sterroryzowana i niedostateczna, wobec bojówek i napadów zachowuje się całkowicie biernie, a nawet z sympatią. Wykrycie sprawców napadu jest trudne, dla władz uniwersyteckich wprost niemożliwe, bowiem na skutek panującej od lat na uczelni psychozy terroru nigdy nie ma świadków zajścia; nikt z obecnych nie chce złożyć zeznań, by nazajutrz nie znaleźć się u tego samego audytora w roli poszkodowanego. Nie zeznaje z tych samych względów i nie poznaje nikogo służba; dla utrudnienia zaś rozpoznania na uniwersytet przychodzi zwykle bić bojówka z politechniki, a na politechnikę z uniwersytetu. W rzadkim wypadku ustalenia sprawców napadu władze uniwersyteckie karzą napastników nie dość ostro. Sprawy o sfałszowanie podpisów w indeksie kończą się zawsze relegacją, a zmasakrowanie łomem żelaznym kolegi studenta o odmiennych przekonaniach politycznych – naganą. Drugi rodzaj spraw jest ponadto odwlekany i umarzany, traktowany z wyrozumiałością dla „gorącej krwi młodych", najczęściej stosowana jako kara nagana nie pociąga żadnych konsekwencji. Na skutek precedensu ze studentem Chirowskim, kiedy to Rektorat Uniwersytetu Jana Kazimierza ukarał słuchacza, który napadnięty przez bojówkę

użył w obronie własnej scyzoryka, natomiast przeciwko sprawcom napadu, których nazwiska były znane (student Modelski), nie wszczął żadnych dochodzeń, szansę bezpieczeństwa osobistego na terenie uczelni zostały ograniczone do minimum, do dobrej woli i przypadkowego humoru bojówkarzy. To zagrożenie bezpieczeństwa osobistego podwoiła i spotęgowała w ostatnich czasach niemal kompletna bezkarność niewykrywanych sprawców. W roku szkolnym 1937/1938 na dziedzińcu uniwersyteckim został dwukrotnie pobity student medycyny Janusz Wójcikowski. Wójcikowskiemu groziła przez pewien czas utrata życia, sprawcy pozostali niewykryci. Bojówka endecka zrzuciła dwukrotnie ze schodów studentkę Marię Fidererównę, a na ulicy Kopernika pobiła studentkę Teresę Cislównę w tym samym dniu, kiedy wystąpiła ona czynnie w obronie bitych koleżanek Żydówek; sprawcy pozostali niewykryci. Pobito ciężko studenta Jerzego Lerskiego-Sołtysika, zadając mu pięć ran ciętych w głowę, w sprawie tej toczy się proces w Sądzie Okręgowym we Lwowie. W roku szkolnym 1938/1939, w pierwszym roku studiów petenta, przebito nożem na korytarzu studenta Czesława Raczkowskiego, członka Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej. Pobito studentkę Irenę Łempicką, zamordowano na dziedzińcu uniwersyteckim studenta Zellermeyera (a na politechnice Prowellera), postrzelono w czasie blokady studenta Zbigniewa Briknera. Sprawców tych wszystkich przestępstw dotychczas nie wykryto. Ukarany został jedynie student, który dopuścił się zniewagi słuchaczki Ireny Łempickiej. Ostatnio dokonała bojówka Młodzieży Wszechpolskiej napadu na odczyt naukowy doktora Szczotki, zorganizowany przez młodzież ludową, raniąc ciężko kilka osób i jednej odgryzając palec. W obrębie zatem gmachu UJK nie może być pewnym bezpieczeństwa zdrowia i życia nawet student stojący z dala od wszelkich organizacji politycznych i zajmujący się jedynie pracą naukową. Przytoczone wypadki morderstw oraz ciężkich uszkodzeń ciała mają charakter jedynie przykładowy, wyliczanie wszystkich aktów terroru i gwałtu dokonanych na studentach i studentkach posiadających odmienne poglądy polityczne jest wobec olbrzymiej masy materiału fizyczną niemożliwością.

Wnoszący prośbę w poglądach swoich na sprawy społeczne, polityczne i akademickie jest bliski wszystkim pobitym i poranionym studentom i należy wespół z nimi do tych samych organizacji: Niezależnej Bratniej Pomocy Studentów[1] UJK i Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej[2], z poglądami i metodami tak zwanej młodzieży „narodowej" nie solidaryzuje się, jest ponadto współpracownikiem pism wyznających idee i zasady obce zasadom Młodzieży Wszechpolskiej, każdej więc chwili grozi mu pobicie, a nawet, jak świadczą przytoczone fakty, utrata zdrowia i życia.

[1] Sieć studenckich organizacji samopomocowych, mających na celu rozdzielanie pomocy socjalnej dla niezamożnych studentów, ustanowienie systemu pożyczek i stypendiów, prowadzenie tanich jadłodajni itp. Po opanowaniu przez grupy endeckie na niektórych uczelniach część młodzieży stworzyła oddzielną organizację.

[2] Organizacja młodzieży demokratyczno-radykalnej niezwiązanej z partiami marksistowskimi.

Na Uniwersytecie Jana Kazimierza, w którego murach petent ze względu na obowiązki uczelniane musi przebywać codziennie po kilka godzin i gdzie nie mogą mu zapewnić bezpieczeństwa ani policja, ani służba porządkowa, ani władze uniwersyteckie, chociaż liczba przestępstw popełnianych w jego obrębie jest daleko wyższa niż liczba przestępstw popełnianych na najdzikszym przedmieściu – elementarne bezpieczeństwo życia i zdrowia, do jakiego każdy obywatel ma prawo – zapewnić może jedynie broń palna lub groźba jej użycia.

Dane swoje dotyczące permanentnego stanu zagrożenia zdrowia i życia na terenie wyższych uczelni petent popiera:

1) oświadczeniem ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Wojciecha Świętosławskiego złożonym na komisji budżetowej,

2) komunikatem Polskiej Agencji Telegraficznej o wynikach rewizji w lwowskich domach akademickich.

Ad 1) (w wyjątkach) „Elementy te w ulotkach rozsiewają kłamstwa, rzucają potwarze, dążąc do wytworzenia stałego niepokoju, i usiłują nadal wnosić anarchię do życia szkół akademickich. W ręku tych jednostek każdy środek, aż do używania tępych i ostrych narzędzi metalowych, jest dobry. Stwierdzono też wielokrotnie, że napadano na bezbronnych studentów Żydów, a nawet chrześcijan, o ile ci odnosili się krytycznie do metod stosowanych, nieśli Żydom pomoc lub chcieli siedzieć razem z nimi. Doszło do rozlewu krwi, co gorzej, zajścia pociągnęły za sobą ofiarę dwóch młodych istot ludzkich".

Ad 2) (w wyjątkach) „Od dłuższego czasu na terenie Lwowa pewne grupy studentów przejawiały działalność, której wynikiem był szereg wypadków ciężkiego uszkodzenia lub poranienia poszczególnych osób. Fakty te zmusiły władze bezpieczeństwa do przedsięwzięcia zdecydowanych kroków, zmierzających do zlikwidowania tych przejawów w życiu akademickim. W wyniku dochodzeń ustalono, że w domu Akademickim, Domu Techników i Domu Medyków we Lwowie studenci zgromadzili znaczne ilości broni, materiałów wybuchowych i innych narzędzi napadu.

W związku z tym w nocy z 10 na 11 marca br. w obecności prokuratora, sędziego śledczego oraz rektora politechniki organa policyjne przystąpiły do przeprowadzenia rewizji. W Domu Technika policja napotkała na zdecydowany opór akademików, którzy dopuścili się czynnych napaści na policjantów, w wyniku czego jeden policjant został ciężko ranny, dwóch lekko rannych i czterech kontuzjowanych. W wyniku rewizji we wszystkich trzech domach znaleziono: 16 rewolwerów, 2 flowery, 13 granatów ręcznych, 34 kasety, 2 sztylety, 4 łomy żelazne, 1 petardę, 14 pałek okutych ołowiem, 43 żarówki

wypełnione gazem i płynami żrącymi, bardzo poważne ilości materiałów służących do wyrobu środków wybuchowych, blisko 10 kg nielegalnych ulotek oraz 4 powielacze, na których te ulotki były powielane".

Lwów 27 marca 1939 roku
Załączniki: Poświadczenie zamieszkania, metryka urodzenia, 2 fotografie.
Franciszek Gil kpr. pchor. rez.

Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór J. Dąbrowski, wstęp Z. Mitzner, Warszawa: Czytelnik, 1962, s. 121–124

1941

Perec Opoczyński (1892–1943)

Listonosz widzi wszystko

Listonosz w warszawskim getcie. Widział wszystko, wchodził do wszystkich.

Pisał reportaże, choć wiedział, że jeszcze długo nie będą mogły być wydrukowane. A może nawet nigdy. Zamiast do drukarni – wędrowały do baniek na mleko, które zakopano na terenie getta. Odnaleziono je w 1950 roku.

> Żydowski pocztowiec? Ej, a żeby mi pan tak zdrów był – tak zaczął opis swojej pracy w reportażu *Żydowski listonosz*. – Widzicie, Żydzi, szczęśliwie mamy już żydowskiego pocztowca, a jakże, jak w Palestynie.
>
> Tymi to czy podobnymi słowami niejeden Żyd przyjął żydowskiego listonosza, kiedy ten po raz pierwszy pojawił się w getcie. W dziecięco uśmiechniętej twarzy takiego Żyda było coś wzruszającego. Patrzył i się dziwił. Doprawdy? Żyd „urzędnik"? Przez całe lata w poczuciu swej mizernej wartości, pozbawiony jakichkolwiek praw, był tak zaskoczony, że na chwilę zapomniał o udręce getta, o najstraszliwszym bezprawiu [...]. Ta posada budziła zazdrość wielu Żydów. Tysiące mężczyzn i kobiet patrzyło na żydowskiego listonosza jak na wybrańca, szczęśliwca, któremu sprzyjał los.

Najbardziej wyczekiwano w getcie listów z Rosji. Żydzi, którzy uciekli do Rosji, dopóki Rosja nie włączyła się do wojny, wysyłali do getta paczki z jedzeniem. Przed nadejściem paczki nadawca najczęściej wysyłał list i pisał, że paczkę wysyła.

> List z Rosji, list z Rosji – to było najpiękniejsze marzenie tych wycieńczonych ludzi, ich słodka nadzieja, ostatnie pocieszenie.

W mieszkaniach listonosz zastawał najczęściej matki, które leżały w łóżkach razem z dwojgiem, trojgiem dzieci. Pod czerwonymi pierzynami, bo nie miały nawet na kawałek mydła, żeby uprać poszewki.

> Od ciągłego leżenia w łóżkach ludzie osłabli, wielu nie mogło już zrobić kroku, inni byli spuchnięci od pępka i jeszcze wyżej. U części ledwo oczy wyzierały spod spuchniętych fałdów wokół oczodołów [...]. Wchodząc z listem do takich udręczonych głodem miejsc, listonosz miał wybór: albo zwrócić na poczcie z dopiskiem, że adresat go nie wykupił, bo nie ma pieniędzy, albo pamiętać, że taki przyniesiony list może czasem znaczyć

wybawienie dla takiego złamanego człowieka – i w wielu przypadkach tak właśnie było. Listonosz więc musiał sam nalegać na sąsiadów, aby wykupili list, samemu działać, żebrać.

Za list bowiem adresat musiał zapłacić, znaczek nie pokrywał kosztu doręczenia. Największą męczarnią i dla listonosza, i dla adresatów było pukanie do drzwi wieczorem. Żydzi z powodu rewizji i prześladowań drżeli, nawet kiedy pukano do nich w dzień. „Zanim zaryzykowali i zapytali »kto tam?«, a potem otrzymali odpowiedź, byli półżywi".

Perec Opoczyński podkreślał w swoim tekście, że żydowski listonosz nie jest jednak nikim innym niż Żydem i dzieli los pozostałych. Przeżył wielką akcję deportacyjną w lipcu 1942 roku, zginął prawdopodobnie schwytany w obławie w styczniu 1943 roku, bo wtedy kończą się zapisy w jego pamiętniku. Tworzyć zaczął (po hebrajsku) w dwunastym roku życia. Urodził się w Lutomiersku, był synem chasyda. Matka wbrew ojcu ortodoksowi wysłała go do postępowej uczelni talmudycznej w Kosowie na Ukrainie, gdzie uczył się polskiego i rosyjskiego. Była to nowoczesna edukacja i w miasteczku okrzyknięto go odstępcą od wiary. Usiłował być nauczycielem, a potem szewcem. W 1926 roku zaczął pracę w łódzkiej gazecie „Lodżer Tageblat", jego poezje drukowało awangardowe pismo „Jung Jidisz". W 1935 roku przeniósł się do Warszawy i zaczął pracę w „Dos Wort" – organie prasowym partii Poalej Syjon Prawica.

Kiedy wybuchła wojna, stracił etat dziennikarski. Prawdopodobnie pracę listonosza otrzymał dzięki Ojneg Szabes (Radość Soboty), czyli konspiracyjnemu archiwum getta. Jego inicjatorem był historyk doktor Emanuel Ringelblum. Grupa kilkunastu osób zbierała i opracowała szeroko pojętą dokumentację losów Żydów pod okupacją niemiecką. Materiały zbierali nowoczesną metodą: relacje i opracowania spisywano, opierając się na wcześniej przygotowanych przez zespół ankietach. Dbano, aby gromadzony materiał ukazywał pełny i obiektywny obraz rzeczywistości. Do archiwum włączano też dokumenty oryginalne lub ich szczegółowe odpisy. Zbierano akta oficjalne, ale i prasę, ulotki, bilety, zaproszenia, korespondencję nadchodzącą do getta itp. Przyjmowano dzienniki i pamiętniki. Działalność Ojneg Szabes była całkowicie tajna. Nie wiedzieli o niej sami mieszkańcy getta. Jako przykrywkę dla swoich działań Ojneg Szabes wykorzystywało Żydowską Samopomoc Społeczną, organizację jawną, tolerowaną przez okupanta, ale prowadzącą też aktywność podziemną.

W 1942 roku trzej współpracownicy Ringelbluma zakopali pierwszą część archiwum (dziesięć blaszanych skrzynek) w piwnicy domu przy ulicy Nowolipki 68. W tym samym miejscu w dwóch bańkach po mleku ukryto na początku

lutego 1943 roku kolejną partię archiwaliów. Znalazły się w niej reportaże Opoczyńskiego.

Monika Polit, która przetłumaczyła i przygotowała do druku zbiór jego reportaży (2009), pisze, że Emanuel Ringelblum, powołując do życia Ojneg Szabes, wystrzegał się angażowania dziennikarzy. Obawiał się, że ulegną pokusie „literaturyzowania definiowanego przez niego jako naddatek fałszujący opis nader dramatycznej rzeczywistości, domagającej się jak największej formalnej prostoty, dyscypliny i rzetelności". Nisko oceniał też zdolność zachowania przez dziennikarzy tajemnicy. A mimo to wśród jego współpracowników znalazł się reporter, który szybko zyskał opinię „najpilniejszego ze wszystkich".

Po raz pierwszy pięć gettowych reportaży Opoczyńskiego wydał w 1954 roku dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego Bernard Mark, ale niestety – jak podaje Monika Polit – skracał teksty, nie zaznaczając skrótów. Prawdopodobnie je cenzurował. Na przykład pomijał krytyczne zazwyczaj opinie Opoczyńskiego na temat roli i zachowania polskojęzycznych Żydów zasymilowanych. Cenzura nie dziwi, bowiem bohater Opoczyńskiego, czyli „żydowski lud", nie jest wyłącznie szlachetny i cierpiący. Reporter surowo oceniał żydowską policję, członków niektórych komitetów domowych, lekarzy, ich pomocników, którzy wykorzystując pełnione przez siebie funkcje, zamiast pomagać, wyłudzali pieniądze.

> Współczesna tragedia narodu widziana oczami reportażysty przerastała jednak poprzednie, opisane i utrwalone w żydowskiej tradycji – pisze Monika Polit. – Porażał stopień uwikłania w nią i współuczestnictwa samych Żydów szukających uznania w oczach prześladowców, po to, by utrzymać się na powierzchni egzystencji.

Reportaże Pereca Opoczyńskiego powstały w jidysz. Uznaliśmy jednak, że włączymy je do antologii, dotyczą bowiem naszej wspólnej przeszłości i opowiadają o ludziach, którzy tworzyli historię Polski. I reporter, i bohaterowie mieszkali w Warszawie. Do tego Perec Opoczyński dał przykład, że reporter to powołanie i charakter. Można pozostawać reporterem, mimo że nie drukuje się swoich reportaży. I wie się, że zostaną zakopane w ziemi.

Reportaże z warszawskiego getta

Szmugiel

Uliczka Koźla

Mur getta odciął Franciszkańską tuż przy Koźlej. [Z daleka][1] tego nie widać. Jak to jest, wyjaśnia się zupełnie, kiedy się staje u wlotu uliczki, bo jest ona wąska i mała z dziwnymi staromodnymi [...] i wiekowymi budynkami, podwóreczkami, zakamuflowanymi wejściami i chwiejącymi się schodami. Tylko tu i ówdzie między starodawnymi domkami strzela w górę pięciopiętrowa wąska budowla z mnóstwem okien. Znak, że wcześniej były tu mieszkanka dla robotników, rzemieślników i ulicznych handlarzy. [...]

Wózki z zieleniną i owocami oraz kramy z jedzeniem otaczają tu ciasno każdy dom. Spożywcze kramy są małe. Na ławeczce czy stoliku kładzie Żydówka kilka dwu-, trzykilogramowych torebek z mąką: kukurydzianą, razówką i „bonową" (to mąka, którą piekarze otrzymują od władzy okupacyjnej, żeby piec kontyngentowy chleb) lub kaszą: jagłami i pęczakiem. Innych produktów, jak fasoli, mąki pszennej albo suszonych [owoców?] zazwyczaj na stołach nie widać, to się kupuje w sklepach. Ceny są tu, rozumie się, trochę niższe niż na innych ulicach – w końcu to uliczka Koźla! Jednak dla większości warszawskich Żydów, których getto zostawiło z pustymi rękoma, odbierając im źródło utrzymania, a oferując [w zamian] tylko jedno – wyprzedawanie po trochu ubrań i sprzętów domowych na Wołówce[2], jest tu wystarczająco drogo.

Budki, stragany i wózki zatarasowały ulicę. Każdą budkę oblegają nie tyle klienci, ile ci, którzy chcą coś kupić i nie mają za co. Ruch jest duży, ale nabywane ilości znikome. Żydówka, która może kupić cały kilogram kartofli, buraków czy marchwi, jest rzadkością. Bierze się po dziesięć deko, jeśli nie mniej. Ćwierć kilo jest już [zbytkiem]; kupuje się jedno jedyne jabłuszko, a ten, co prosi o ćwierć kilo, jest już „wzorcowym" klientem czy klientką. [Wielu] przychodzi tylko spytać, o ile dziś zdrożało, czy drożyzna się utrzymuje; przełyka się ślinę i odchodzi z boleśnie palącym wstydem, że się nie ma.

[...] Riksza jest dla uliczki Koźlej wielkim wsparciem, i to nie dlatego że nie ma żadnych dorożek i wozów, bo Niemcy zarekwirowali konie żydowskim woźnicom – to nie byłby jeszcze taki problem. Słowo daję, warszawski żydowski tragarz poniesie na plecach dobry worek mąki, ale co z tego, jak nie wolno tego robić oficjalnie, bo oko agenta czuwa? Z rikszą to jednak co innego. Transport nią Żydzi doprowadzili do takiej perfekcji, o jakiej Chińczykom się nawet nie śniło: za siedzeniem jest wolna przestrzeń, można tam władować

[1] Część opustek i dodatkowych wyjaśnień wynika ze złego stanu zachowania tekstu.

[2] Wołówka – targ starzyzny na ówczesnym placu Broni (pomiędzy Stawkami, Pokorną a Inflancką), przeniesiony tam w 1894 roku z ulicy Wołowej.

kilka toreb mąki i jak gdyby nigdy nic usadowić się nad nimi na pluszowym siedzeniu: ot tak, jadę sobie ulicą...

Ale nie wszyscy, którzy [biorą] jedzenie z Koźlej, jeżdżą rikszą, większość idzie piechotą, i właśnie ci, którzy są podporą tej ulicy, owi pośrednicy i ich pomocnicy, ci kurierzy nie mogą sobie pozwolić na riksze, ich rikszą są [własne] plecy, na które nierzadko ładują po trzy, cztery wory mąki, kaszy i innych produktów naraz. Worek ma zwykle piętnaście kilo i w drogę. [...]

Szmugiel nocą

Nocny przerzut zaopatrywał kramy szmuglerów we wszystkie dobra. W zieleninę i owoce, w produkty spożywcze i mięso, drób, miód i czego tylko dusza zapragnie, nawet i w kieliszek czegoś dobrego. Rano miasto potrzebuje jeść, „kurierzy" muszą mieć robotę.

W letni dzień już o piątej rano można zobaczyć, jak taszczą torby z jedzeniem albo ciągną worki z kartoflami i niosą bańki z mlekiem.

Ci ludzie mają świeże twarze wymyte porankiem, rozświetlone zapałem do pracy. Jedzą do syta i mają ten pewny krok, poczucie siły – w tłumie spuchniętych nóg.

Nocny szmugiel [...] w ciągu kilku godzin nie może zapewnić gettu wszystkiego, czego ono potrzebuje. Szczególnie latem, kiedy szmugler nigdy nie dostaje zamówionych towarów o ustalonej godzinie. Jeśli go zapytacie, czy będzie miał później taki i taki towar, zawsze wam odpowie: nie wiem, jeśli przerzucą – będzie. Wszystko zależy od tego, kiedy tamci dostarczą.

W nocy szmugluje się przez dachy domów, wąskie dziury i nawet przez sam mur getta. Jednym słowem – jak tylko się da. W dzień natomiast szmugiel odbywa się w znacznie prostszy sposób, choć nie bez forteli i sprytnych pomysłów, żydowski łeb... [...]

Kilka domów na Koźlej oznaczonych parzystymi numerami zamieszkiwali chrześcijanie. Wejścia i bramy od strony Koźlej zamurowano. Chrześcijanie wchodzili do budynków od drugiej strony, od ulicy Freta, która się znajdowała poza gettem. Okna niektórych tylko mieszkań wychodziły na Koźlą. Było to błogosławieństwo nie tylko dla owych kilkorga gojów zajmujących te lokale, ale i dla Żydów, i to nie tylko z uliczki Koźlej – tamtejszych szmuglerów, ale i dla Żydów z całej Warszawy. Bo o ile szmugiel jest w swej istocie rzeczą niegodziwą, pętlą zaciągniętą na gardle spuchniętego i obrzmiałego konsumenta, o tyle w strasznych warunkach więzienia, w którym warszawskich Żydów zamknęły mury getta, jest on jedynym ratunkiem dla pozostających przy życiu i kto wie, czy nie trzeba będzie kiedyś postawić szmuglerowi pomnika

za jego narażanie się, bo, spoglądając na to z perspektywy, uratował w ten sposób dużą część warszawskich Żydów od głodowej śmierci.

Zakratowane okna

Okna chrześcijańskich mieszkań były zakratowane. Na pierwszy rzut oka niby po to, by oddzielić gojskie mieszkania od żydowskiej ulicy. Jednak w istocie te kraty doskonale nadawały się do prowadzenia szmuglu. Od środka, tuż przy kratach, wstawiał goj rodzaj drewnianej rynny, jakie się widzi we młynach. [...] kiedy goj sypał do środka worek zboża, wpadało ono prosto do worka, który trzymał żydowski szmugler z uliczki Koźlej. Raz, dwa, worek był pełny i Meir Bomke, wysoki i pleczysty jak tur tragarz, zarzucał sobie worek na plecy, jakby to było piórko, i znikał z nim, niosąc go tam, gdzie trzeba.

W ten sam sposób przerzucało się kaszę, proso, drobny cukier kryształowy [...] i inne produkty. Tylko mąkę szmuglowało się w papierowych torbach i, rozumie się, nie przez okno na parterze, ale przez okna wyższych pięter. Chrześcijański szmugler spuszczał na ulicę sznurek, szmugler żydowski przywiązywał do niego papierowe torby, goj wciągał sznurek i napełniał torby mąką, a potem je spuszczał. [Zaraz] chwytali i uprzątali je szmuglerzy. Aby nie poprzecinać sobie rąk, goj zakładał parę grubych watowanych rękawiczek, przez które przesuwał się sznurek.

Kiedy nadchodził czas spuszczania towaru, okna parteru były oblężone. [...] Ale kupować u nich towar mogli tylko ci, którym szmuglerzy przyznali do tego prawo. Nierzadko słyszało się, jak pod gojskim oknem jeden szmugler wykłóca się z drugim:

– Jankiele, ty parchu, a niech cię! Już więcej nie podejdziesz pod okno. Ręczę za to [...], już ja cię załatwię [...]!

– Meir, rusz się, koniec z tym, szybciej, zobacz tylko, jak on się miga!

– Mendl, zobacz, a żeby was, co stoicie [...], weźcie to [...] do hali!

[...] Wyrywa się sobie z rąk, szybko uprząta się szmugiel. Napór, ciągnięcie, rwanie i towar jest już upchnięty w półuśpionych, ciemnych sklepach średniowiecznego [...] na uliczce Koźlej. Kobiety z szerokimi plecami, czerwonymi policzkami, spracowanymi dłońmi [...] mrugają nerwowo oczami, cały czas rzucają [spojrzenia] w [kierunku wylotu] uliczki, w stronę Franciszkańskiej, [sprawdzając], czy ktoś nie idzie, nie jedzie, i nagle powietrze przecina ochrypły, ostrzegawczy krzyk:

– Pejsach[3]...

„Pejsach!" – okrzyk daje się słyszeć ze wszystkich stron i zamykają się, zatrzaskują drzwi. Część szmuglerów zostaje w środku, inni wychodzą pilnować

[3] Jedno z tajnych haseł używanych w gettach przez Żydów. Pejsach (hebr. *pesach*) to święto Paschy, w przeddzień którego oczyszcza się domy z kwaszonych produktów. Wówczas żydowski dom jest „czysty", gotowy do świątecznych obchodów. Najprawdopodobniej do tego obyczaju nawiązywało hasło „pejsach". Po jego wybrzmieniu natychmiast „czyszczono" ulicę z nielegalnego, szmuglowanego towaru.

na zewnątrz, stoją podparci przed sklepem, niby tak sobie, jakby nie mając nic do roboty. Goje na górze szybko wciągają sznurki i na uliczce Koźlej robi się cicho, [...] szmuglerski młyn się zatrzymał.

Bo jest pejsach. Przyszedł jakiś goj z teczką. Nie wiadomo, kto to jest, ale być może to tajny agent i dlatego się czeka. I kiedy w tym niecierpliwym czekaniu goj ośmiela się znów spuścić sznurek, krzycząc do stojących na dole Żydów: „Nie ma już pejsacha" – z pogardliwą miną doświadczonych posyła mu się na górę ostrzeżenie: „Czekaj, pejsach jeszcze się kręci".

O siódmej – gdzie indziej o wiele wcześniej – dostarczają goje na Koźlą mleko. W mieszkaniach na parterze przystawiają do okien wielkie blaszane bańki o określonej pojemności. Przez kraty wypuszczają grubą rurę aparatu zaopatrzonego w szklaną miarkę – jedno przekręcenie kurka – i leje się biały strumień tłustego mleka, które roznosząc wokół zapach obory, szybko napełnia [podstawiane pojemniki]. W jeszcze szybszym tempie mleko trafia spod okna do sklepów, gdzie żydowskie mleczarki i żydowscy mleczarze czekają już ze swoimi kankami, żeby je roznieść po mieszkaniach.

Berl Kieliszek

Żydowscy szmuglerzy, odbiorcy mleka, są zaopatrzeni w probierze, wskazujące, czy mleko jest prawdziwe, niefałszowane, ale to tylko na ich użytek. O to, by klienci nie zostali oszukani, mało się lękają, wprost przeciwnie, dają sobie z tym radę, bo, słuchaj, nie idzie przecież o uczciwość, tu idzie o zarobek... O tłuste udko, gęsi pipek, kieliszeczek, który taki Żyd jak reb Berl musi wychylić. Tak więc ów Berl przygotowuje u siebie w domu bańki w taki sposób, że wlewa do nich tyle a tyle litrów wody zmieszanej z jakąś białą pianą, taki ma zwyczaj. [A kiedy] do okna podchodzi Żydówka i chce, dla większej swej pewności, kupić właśnie to lejące się prosto z gojskiej rury mleko, Berl żąda sześciu złotych. Jednak ledwo Żydówka zastanowi się chwilę, a rura napełni tymczasem jego bańkę, Berl mówi:

– Może pani kupić już za pięć złotych...

Rachunek jest zupełnie prosty...

Właściwie wyprzedzamy trochę wydarzenia. Praca, czy lepiej: szmugiel, nie zaczyna się od mleka, ale od zieleniny. Bo nie wszyscy mogą kupić chleb, jednakże burak, kartofel i marchew to w czasie wojny pożądany produkt.

U Szlomy Jopka, niskiego Żyda o okrągłych, czerwonych jak świąteczne jabłuszko policzkach i o dłoniach wsuniętych w kieszenie spodni, idzie o świcie sprzedaż szmuglowanych kartofli, zieleniny, a także jaj. [Jest i] tłuste masło, miód, a czasem nawet słonina z trefnej świni. Jego żona Rojza, szerokozada

Żydówka z mięsistymi ustami i upierścienionymi tłustymi palcami, stoi przy wadze, raz po raz łapie w powietrzu torby z mąką i pyta jednego czy drugiego, ile płaci, co kupuje i hajda – poszedł. Jeśli nie podoba się jej oferowana cena, wykrzykuje swoim tubalnym głosem:

– Idźcie, idźcie, kupcy purymowi... Nic innego tylko mąki pszennej potrzebują...

Obok na rozstawionych klocowatych nogach stoi Jopek, patrzy krzywo, mrużąc oczy. Jego białawe brwi, przysypane kurzem z mąki, przypominają o senności piekarza. Nie wyjmuje rąk z kieszeni spodni, łańcuszek zegarka skrzy się na jego opiętej kamizelce i wygląda to tak, jakby chciał powiedzieć: a niech was wszyscy diabli, pętaki, figę, a nie mąkę dostaniecie za taką cenę. A co to mąka, Jopek wie, przecież był przed wojną piekarzem...

Jeden z jego sześciu czy ośmiu wspólników – Icze Lico, który jest wyższy od Jopka o dwie głowy, ale plecy ma równie szerokie – też stoi z rękoma w kieszeniach burki i nic nie robi. Patrzy tylko, czy „kapitał" rośnie. Tam siedzą jego ludzie, liczą, rachują i biorą pieniądze. Czujny młodzieniaszek przy kasie co rusz odmyka i zamyka szufladę wypchaną papierowymi pieniędzmi. Te wypuszczone przez Niemców polskie pieniądze z pomnikiem Szopena i wizerunkami Piastów leżą kupami jak ciśnięte szmaty. Setki, pięćsetki, pięćdziesiątki, znów pięćdziesiątki i jeszcze raz pięćdziesiątki. Młodzieniaszek w błyszczących bucikach i z dobrym papierosem w zębach po tłustym posiłku traktuje ze wzgardą zarówno pieniądze, jak i tych, którzy je dają. Tyle pieniędzy leży przed jego oczyma, tyle papierków z czasu inflacji, że zdaje mu się, że nigdy ich nie zabraknie. Tak, i on zapomniał, jak wygląda człowiek bez pieniędzy, i czeka niecierpliwie, aby te pętaki już zapłaciły, bo przyjmować umie szybko. Icze Lico nie ma co robić. Kręci się po sklepie w opuszczonej na oczy umączonej cyklistówce i wygląda jak wściekły pies. Także trzeci, czwarty i piąty wspólnik jest w sklepie. Kiedyś byli bogatymi furmanami, fabrykantami wody sodowej, garbarzami, teraz są szmuglerami. Jeden z nich siedzi sobie z nogą zarzuconą na stół i spokojnie zjada kurze udko, przegryzając kiszonym ogóreczkiem. Za każdym razem rzuca znad udka pańskie spojrzenie na klientów, czy się opłaca... Ruchliwe są tylko wspólniczki, kobiety. Lepiej znają się na jajach, maśle i innych produktach. Aż się trzęsą, żeby zrobić prawdziwy interes. Jedna stoi i mówi drugiej, że za trzydzieści złotych nie ma jeszcze jedzenia dla dzieci, ale kłamie. Tylko udaje biedaczkę. Obie kobiety wiedzą dobrze, że to tylko ze względu na klientów, żeby słyszeli i im nie zazdrościli: o, a niech mnie, najwięksi szmuglerzy z Koźlej też nie mogą sobie pozwolić na wydanie na posiłek więcej niż trzydziestu złotych! Ale to nieprawda, bo są to

czasy, w których kilogramowy bochenek chleba kosztuje dwadzieścia złotych, a gdzie jeszcze masło, mleko, ser i świeże jajko, które dziecko szmuglera musi zjeść rano na śniadanie – te wszystkie rzeczy, o których tysiące żydowskich dzieci w mieście marzą z rozgorączkowanymi oczami. Chleb za dwadzieścia złotych jest gwarancją, że całego tego dobra nie zabraknie dzieciom szmuglerów. Potwierdza to zarówno spokojne zachowanie Jopka i jego wspólników, jak i nerwowa krzątanina ich żon. Tymczasem ciągle jesteśmy na początku dnia, przy sprzedaży kartofli. Zaraz zacznie się handel innymi produktami. A wtedy dopiero będzie się działo. Nigdy nic nie wiadomo. Dwie godziny później może się zdarzyć cud – ktoś puści plotkę, że Niemcy idą na Rosję. O świcie widziano dużo wojska maszerującego w kierunku mostu na Pragę. To wystarczy. Takie sensacyjne nowiny podchwytują w lot zarówno goje, jak i Żydzi, i ceny zaczynają nagle skakać. Więcej nie trzeba. Kiedy skaczą ceny, ożywia się Koźla. Towary wydziera się sobie z rąk. Jak obcęgami żelazne łapy żydowskich tragarzy-zabijaków chwytają natychmiast każdy spuszczony z gojskich okien worek. Łowią towary dla bogatych handlarek z bazaru. Nikt nie może z nimi konkurować. Pośrodku uliczki, jak w świąteczny dzień przed synagogą, stoją setki Żydów. Żydzi syci, napojeni. Robi się interesy i dyskutuje na tematy polityczne. Bruk jest grubo zarzucony ustnikami i niedopałkami mocnych papierosów, [i to teraz], kiedy papieros kosztuje sześćdziesiąt groszy, to znaczy dziesięć, dwanaście razy więcej niż przed wojną. W tłumie kręcą się handlarze z zawieszonymi na piersi skrzyneczkami pełnymi ciastek, wykrzykują: „No, koniec, kto ryzykuje!". Ciągnie się numerki z torebki i albo się przegrywa, albo się wygrywa ciastko. Kilku młodych szmuglerów otoczyło sprzedawcę i żrą słodycze z tak obrzydliwą uciechą, że aż po prostu przykro patrzeć na ich tłuste gęby. Uliczni śpiewacy i grajkowie zachodzą tu z nadzieją na zarobek w krainie sytości, ale kto tutaj ma dla nich zrozumienie? Skrzypce rzępolą, śpiewak śpiewa: „Ja nie chcę oddać bonu, chcę jeszcze trochę pożyć"[4]. Jednak nie robi to żadnego wrażenia. Ta uliczka porusza się, unosi, kołysze tylko wtedy, gdy niesie się szept: jeszcze ćwierć... pół złotego... dwa. Mąka żytnia dwadzieścia cztery i pół... To najpiękniejsza muzyka na Koźlej. Kogo obchodzi martwy, a raczej wydający właśnie z siebie ostatnie tchnienie, który ułożył się nie gdzie indziej, jak tylko przed sklepem Jopka i urządził sobie tę ostatnią drogę u stóp szmuglerów? Na Ostrowskiej, Wołyńskiej czy nawet na Franciszkańskiej i Nalewkach umarli leżą na ulicach jak u siebie w domu. Żydzi wstają rano, wychodzą na ulicę i wiedzą, że znajdą trupy: jednego, drugiego, piątego, dziesiątego... To te same śmiertelne ofiary głodu, spuchnięci zmarli, którzy głodowali przez całą wojnę – głodowali, aż się doczekali tej

[4] W języku getta „oddać bon" znaczyło umrzeć, ponieważ wraz ze śmiercią posiadacza bonu, czyli kartki żywnościowej, przestawano wydawać reglamentowane produkty.

upragnionej, [a zarazem] znienawidzonej śmierci. Ale [leżeć] tu na uliczce Koźlej? [Jak] zadeptana mucha, pluskwa – kogo to obejdzie? Szmuglerzy stoją w błyszczących butach, w dobrych burkach; zimne wrześniowe słońce złoci ich dobrze odkarmione twarze, pogryzają karmelki i ciastka, które sprzedawca słodyczy im podstawia, i nawet nie słyszą szumu przelatującej śmiertelnej kuli.

– Hej, zobacz no, ciotka[5] idzie!

Ma na myśli Basze, rudą dziewuchę, jedną z kurierek. Jest dziewiąta, dziesiąta rano. Szmugiel trwa w najlepsze. [...] Basze jest wysoką dziewuchą na silnych nogach. Sunąc męskim krokiem, dźwiga worki z mąką. Raz, dwa obraca tam i z powrotem – z pustym plecakiem i z paczką papierowych pieniędzy w ręku. Nim się obejrzysz, wychodzi znowu na ulicę, żeby zaraz zawrócić, i tak w kółko. Nie gorzej niż Basze pracuje stary Zelik, Żyd lat siedemdziesięciu. Od dzieciństwa przyzwyczajony do dźwigania [...]. Na Koźlą przychodzi czasem dwadzieścia razy dziennie. Ale nie wszyscy kurierzy tak mogą. Są kobiety kurierki, co ledwo powłóczą spuchniętymi nogami. Muszą wyżebrać te osiem, dziesięć kilo mąki naraz, a szmuglerzy patrzą na nie jak na utrapienie, którego nie można się pozbyć. Robią im łaskę i rzucają po parę kilo mąki, jak nienawistną jałmużnę przeklętym żebrakom, ale robią to na pokaz, bo w istocie rozumieją, jaką wartość ma każdy kurier... Bo pomoże opróżnić sklep z „trefnego" albo zaoszczędzi kłopotów z zabłąkanym tu żandarmem, polskim policjantem czy junakiem[6]. Ot, dopiero co wczoraj w nocy [była tu] prawdziwa heca, kiedy po ubiciu przez wszystkie strony dobrego interesu niespodziewanie przyszli Niemcy – inni, nieprzekupieni Niemcy – i dali do wiwatu. Zabrali jedzenia za dziesiątki tysięcy złotych i trzeba było jeszcze dodatkowych wielkich pieniędzy, żeby się skończyło jedynie na stratach [finansowych]. W panice tylko trzech ludzi z mety spadło z dachu i zostało na miejscu zabitych. Cóż, taki jest los tych, co żyją z mety. Obieg pieniądza na mecie jest bardzo dobrze zorganizowany. Niezwykle przypomina pośrednictwo finansowe, którym nieustannie cyrkulujący, nastawiony na zysk kapitał posługiwał się w każdej epoce i okoliczności, by zapewnić sobie profity. Są żydowscy i gojscy ludzie mety. Goje przemycają towary dla chrześcijańskich szmuglerów na aryjską stronę, a Żydzi dla żydowskich szmuglerów na żydowską stronę. Ludzie mety prowadzą przy tym rachunki, ile ton produktów zostało przeszmuglowanych, i z każdego kilograma trafia do nich pewien procent. Ludzie mety mają swoich zaufanych, którzy pilnują sprzedaży i kupna i uważają, żeby mecie nie stała się krzywda. Dola ludzi mety jest ciężka. Stanie na dachach jest zawsze związane z narażaniem życia. Ale czego nie zrobi Żyd dla chleba. Koźla daje zarobić tysiącom Żydów. Z Koźlej żyją ci, którzy ciągną

[5] Ciotka – tu: określenie oznaczające kurierki przenoszące towary.

[6] Junak – członek specjalnej formacji składającej się z folksdojczów, Ukraińców i Polaków, powołanej przez Niemców do strzeżenia granic getta warszawskiego i zwalczania szmuglu.

stamtąd na swoich wózkach zieleninę i owoce. Żyją z niej też tragarze. Po kilku stoi przy każdym dużym sklepie szmuglerskim. Łapią spuszczane worki z mąką, zbożem i innymi dobrami i przenoszą je w umówione miejsca. Tak zarabiają. Dodatkowo wprowadzili zasadę, że pobierają pieniądze za każdy worek towaru wyniesionego z Koźlej. Przy Franciszkańskiej stoi Zelik Łapa, niska, solidna postać w założonej na bakier czapce z błyszczącym daszkiem, i czatuje na wychodzących z pakunkami:

– Stop! – syczy – nie wstydźcie się, ojczulku, dajcie pięćdziesiątaka za paczkę.

– Ja, pięćdziesiątaka? – Żyd udaje głupiego.

– Tak, pięćdziesiątaka, i to szybko.

Daje, wszystko dobrze, ale jak nie – przyłoży Łapa łapą, aż tamtemu pokażą się gwiazdki. W obliczu takiego argumentu milknie i płaci. Płacze i płaci.

Południowy odpoczynek na Koźlej

Około dwunastej w południe cichnie na Koźlej. Wszystkie przeszmuglowane zapasy są już bezpieczne, tragarze siedzą na schodkach sklepów. Szmuglerzy polegują na stołach w pustych sklepach i Koźla odpoczywa, przygotowuje się do popołudniowego szmuglu, który zaczyna się około czwartej, piątej po południu. Nie można przewidzieć, czy po południu będzie się płacić tyle, ile rano; to okaże się przy spuszczaniu towaru z okien. Kuraż pierwszego szmuglera, który znosi swoje wory mąki, [nastrój] tragarzy i ludzi z mety pozwala uliczce rozpoznać, czy zmienił się kurs. I oto jak nagły wiatr przeczesujący zboże w letni dzień [sunie] uliczką szmer: w y ż e j!... [...]

Dzieci

[...] [na] nędzę dałoby się może odpowiedzieć, dla zwłok na ulicach można by znaleźć wymówkę: zamieszki, zarazę, pożogę albo inną plagę. Ale dzieci na bruku są jak czarna plama, której nie można wywabić. Gdyby przybył do nas ktoś z zagranicy i zobaczył, jak żyjemy, byłby bez wątpienia wstrząśnięty. Oniemiałby jednak z przerażenia, gdyby się naoglądał straszliwych obrazów opuszczonych dzieci na ulicach.

Dzieci na bruku to zdumiewająca tragedia, która nie tylko rozdziera serca. Jest czymś, co atakuje mózg. Człowiek zamyka oczy z przerażenia, nie może tego znieść, to dociera do najgłębszych warstw jego jestestwa, do jego istoty, do jego krwi, to przeżera do szpiku kości. [...]

Zaczęło się już we wrześniu 1939 roku. Bomby niemieckich samolotów, które, nie bez przyczyny, padały na gęsto zaludnione żydowskie uliczki, niemające

z wojskowego punktu widzenia żadnej strategicznej wartości, zamordowały tysiące żydowskich rodziców [...] dzieci – zdezorientowane, przestraszone, potratowane, wrzucone do zatęchłych piwnic-schronów. Ich oczka były szeroko rozwarte. Dzieci patrzyły i nie rozumiały, gorączkowo szukały matek, jak spragnione pisklęta wyciągały szyjki po kropelkę wody, po kęs jedzenia...

Potem wojna się skończyła, piwnice zostały otwarte i wypuszczono dzieci na „wolność" [...] na łaskę losu. Zaczęło się nocowanie na podwórzach, na schodach domów, na ulicach – i zaczął się głodowy marsz żydowskiego dziecka wojny.

Dokądkolwiek się pójdzie i gdziekolwiek się stanie, widzi się je – głodne, porzucone dzieci, żebrzące z wyciągniętymi rączkami:

– Serdeczni Żydzi, miejcie litość nade mną, jestem głodny!

Kiedy się przechodzi obok i słyszy ten rozważny język dzieci, ten ton stateczny, starczą mowę, kiedy się widzi ich miny i ruchy, nie wiadomo, co robić najpierw: zdumiewać się siłą nędzy czyniącej z dzieci starców, czy też zastanawiać się nad mądrością dzieci, które same jeszcze nie są jej świadome, a może medytować nad ich zdolnością przystosowania się i odwagą w strasznej walce o kawałek chleba?

– O-okruszek ch-chleba! O-odrobinkę ch-chleba! Skóreczkę!

W upale i kurzu, w deszczu i zimnie, w śniegu i na wietrze stoją dzieci [...] proszą, proszą [...]

W te mokre zimowe dni listopada stoją w deszczu, śniegu i gradzie, kurczą się i trzęsą z zimna; ich [...] piosenki, ich [...] pergaminowa skóra ich twarzyczek – straszą śmiercią, ale Żydzi przechodzą obok, udając, że nie widzą. Co robić, w domu mają własne dzieci, które głodują! Niech się martwi wspólnota, gmina, instytucje społeczne! [...]

Kto należy do gminy? Indywidua, sprytne indywidua, które dobrze wiedzą, że nie jest dobrze głodować, ale tę wiedzę odnoszą przede wszystkim do siebie, do własnych [...] rodzin. Własna rodzina [...] troska o nią – jest równoznaczna z troską o całą społeczność...

To jest tragedia polskich Żydów, których wojna zastała tak niegotowych, niezorganizowanych, niedojrzałych do roli przygotowanej przez czas. Żydzi – wielka żydowska wspólnota podzielona na wiele tysięcy maleńkich. Każdy Żyd sam sobie wspólnotą i koniec! Nawet kroku dalej!

Czyż polscy Żydzi, organizując się, nie mogliby niczego osiągnąć? Czegóż to nie można było zrobić w pierwszych miesiącach okupacji?

Można było zapewnić wyżywienie na długie miesiące, jeśli nie na lata, dziesiątkom tysięcy Żydów; można było obuć i ubrać dziesiątki tysięcy

pogorzelców, nagich, bosych, ale nie zrobiono tego. Ciągle miano nadzieję, to znaczy: każdy, kto coś posiadał, oczekiwał w cichości serca, że może uda mu się utrzymać, ukryć zgromadzone dobra, zapasy jedzenia, ubrania, bieliznę – tak długo, aż przyszedł Niemiec, pokierowany przez własnych czy cudzych donosicieli, i zabrał wszyściutko, produkty do ostatniego łuta. Załadował na ciężarówki i wywiózł do wygłodzonego Reichu. [...]

Ilu dziesiątkom tysięcy sierot i porzuconych dzieci można było tym zrabowanym żydowskim dobrem zabezpieczyć byt choć na krótki czas wojny! Gdzie była żydowska mądrość, słynna żydowska dalekowzroczność, która nawet po lekcji w Niemczech, w Austrii, w Czechach ciągle jeszcze nie zrozumiała, co nas czeka w hitlerowskim reżimie okupacyjnym? I tak oto sami dopuściliśmy do tego, aby wszystko poszło na marne, abyśmy zostali obrabowani, do szczętu ogołoceni, tak jak wymieciony jest z zakwasu żydowski dom na Pesach.

Tysiące żydowskich dzieci wałęsa się po ulicach bez domu, bez łyżki strawy, bez koszuli i buta, tysiące żydowskich dzieci – cały legion...

Działa bardzo rozbudowany CENTOS[7]. Ma setki pracowników, działaczy, macherów i zaopatrzeniowców, którzy – dobrze lub źle – dożywiają jednak blisko czterdzieści tysięcy żydowskich dzieci, w większości sierot, a także kolejne czterdzieści tysięcy, które CENTOS karmi częściowo lub całościowo, a kolejne tysiące wałęsają się po ulicach bez żadnej opieki. Gmina też utrzymuje instytucję – jeden jedyny internat przy Śliskiej 64 z ni mniej, ni więcej, tylko... sześćdziesięciorgiem dzieci! [...]

Jak mogą Żydzi, ojcowie dzieci, wyjść rano na ulicę, na której znajdują leżące na trotuarze martwe dzieci, zakryte płachtami zwykłego papieru pakowego, spod którego [...] wystają dziecięce nóżki – jak mogą ci Żydzi wrócić do domu i usiąść do obiadu, niech to będzie nawet kawałeczek chleba, wiedząc, że hańba głodnego dziecka nie została starta z ich ani z głów nas wszystkich?

Dorośli jak dorośli. Trudno, straceni! W getcie umiera siedem tysięcy Żydów na miesiąc – to rzeczywiście straszne, to też jest zagłada, ale dzieci? Dziesięć czy piętnaście tysięcy dzieci na społeczność półmilionową to nie jest dużo, można było się nimi zająć i zadbać o ich potrzeby.

Byłoby dla żydowskiego piekarza, który zarabia pięć, sześć tysięcy złotych na tydzień na chlebie bonowym, wielką rzeczą, gdyby codziennie dawał ileś tam chlebów dla głodnego żydowskiego dziecka? [...] kupcy węglowi i drzewni, którzy się wzbogacili, szmuglerzy, co nie wiedzą, co zrobić z zarobionymi pieniędzmi – nie mogliby oddać procentów od swoich bardzo dużych dochodów, aby zaspokoić potrzeby głodnego żydowskiego dziecka?

[7] CENTOS – Centrala Związku Towarzystw Opieki nad Sierotami i Dziećmi Opuszczonymi, w okresie Zagłady główna instytucja zajmująca się opieką nad dziećmi.

Około trzech tysięcy dzieci żebrze na ulicach, następne dziesięć tysięcy, w połowie lub zupełne sieroty, to dzieci opuszczone, a następne dwadzieścia tysięcy dzieci puka do drzwi kuchni ludowych i domów dziecka, aby dostać choć tę biedną miskę jedzenia, ale te wszystkie szacunki są tylko przybliżone, bowiem śmiertelność z powodu głodu i epidemii jest straszna. Ciągle rośnie i nikt dziś nie wie, jak wielka będzie w następnym miesiącu. Umiera opuszczone dziecko – lżej mu. Kiedy jednak umierają rodzice – przybywa następnych opuszczonych dzieci. Tak oto problem dzieci staje się najważniejszą kwestią dnia w getcie, można powiedzieć: głównym pytaniem o żydowskie przetrwanie w getcie. Ale co się robi, aby na to pytanie odpowiedzieć?

CENTOS jakoś stworzył „centralny patronat nad dziećmi ulicy", stworzył dziesiątki instytucji dziecięcych różnych typów: internaty, półinternaty, domy i tak dalej, ale spośród tych wszystkich instytucji na nazwę placówka dziecięca zasługują tylko internaty (w liczbie czternastu), w których znajduje się ponad dwa tysiące dzieci. Tu dzieciom daje się jeść, miejsce do spania i ubranie. W pozostałych instytucjach dostają tylko trochę wojennego jedzenia, spędzają tam najwyżej kilka godzin w ciągu dnia, potem muszą wracać do domów, do zimnych mieszkań – jeśli takie mają, jeśli nie – na ulicę.

Duża liczba dzieci, które przychodzą do tych instytucji, ma objawy suchot, część – innych chorób, a w niektórych przypadkach nawet szkorbutu – tej strasznej głodowej choroby, o której wiedzieli tylko ci skazani na dożywotnie więzienie aresztanci Szlisselburga w carskiej Rosji.

Szkorbut – szkorbut! Ale czy ta straszna scena ze Smoczej, w której chłopiec dwunastoletni siedzi na krześle postawionym na trotuarze, siedzi wpół leżąc, bo siedzieć prosto nie może, ponieważ szeroko rozpięta koszula pokazuje, że jest spuchnięty aż ponad pępek, a z rozdartego kroku wystaje spuchnięte jądro... – czy ten bolesny obraz lepszy jest od szkorbutu? Czy obraz dziewczyny na Nowolipiu, która siedzi i zbiera z siebie wszy, i wkłada je sobie z ponurym, tępym, idiotycznym spokojem do ust – jest mniej straszny od szkorbutu? I, w końcu, czy te bose, obdarte, pozostawione sobie samym dzieci na Wołówce w deszczowe, śnieżne, wietrzne listopadowe dni, które leżą jedno na plecach drugiego, aby się w ten sposób ogrzać, i żebrzą przy tym, jąkając się z przenikliwego, wstrząsającego ciałem zimna – lepsze są od szkorbutu?

Jakie znaczenie ma dla ponad trzech tysięcy żebrzących dzieci te czterysta porcji chleba z kawą, czy tylko kawy bez chleba, które wydała „akcja uliczna" CENTOS-u? Jakie znaczenie ma dla wielu tysięcy całkowicie czy na wpół nagich dzieci trochę bielizny, którą udało się wydać dopiero co otwartej szwalni CENTOS-u? Każdego dnia znajduje się podrzutki. Można być pewnym,

że matki nie robią tego bezmyślnie; można być pewnym, że serce im się kraje przy rozdzielaniu się z niemowlęciem, które zostawiają gdzieś na schodach w ciemnych korytarzach CENTOS-u czy gminy, czy w końcu na ulicy. [...]

Czy żydowska wspólnota może się tak straszliwie obojętnie przyglądać własnej zagładzie, wyniszczeniu własnego potomstwa?!

Trzeba było zobaczyć, z jaką radością dzieci jedzą tę odrobinę kaszy w kuchniach ludowych, a szczególnie kawałek chleba z marmoladą, aby zrozumieć, jaką wartość ma wysiłek zapewnienia głodnemu dziecku odrobiny ubogiego jedzenia. [...]

Zmieńmy na chwilę ton i przejdźmy do suchej statystyki. Według oficjalnego raportu CENTOS-u do 1 września 1941 roku było w getcie dwadzieścia sześć kuchni ludowych i dziewięć domów dziecka, razem trzydzieści pięć instytucji, w których jadło 29 518 dzieci. Nie były w to, naturalnie, wliczone dzieci z internatów, półinternatów, ognisk albo półkolonii (latem). Tak więc we wspomnianym czasie korzystało z pomocy CENTOS-u w instytucjach różnych nazw i typów – 44 941 dzieci i 4391 dzieci z tak zwanych kącików domowych.

Do 1 września tego roku były w getcie sto sześćdziesiąt cztery domowe kąciki, które prowadziła młodzież z poszczególnych domów. Do kącików należą dzieci lokatorów domów, otrzymują trochę jedzenia z kuchni ludowych. A tam, gdzie organizacja jest lepsza, także obiady i kolacje, jeśli komitet młodzieżowy domu ma dość energii, by zebrać potrzebne na to fundusze.

Idea kącików domowych była bardzo dobra i zdrowa. Można było zamienić kąciki w prawdziwe domy dla dzieci. Tam mogły dostawać nie tylko łyżkę ciepłej strawy, ale też wszystko, co jest potrzebne dziecku. Młodzież z takich domów oddała się tej idei duszą i ciałem. Z początku ten dobry pomysł wywoływał prawdziwy entuzjazm, szczególnie na ubogich ulicach. Młode dziewczęta i młodzi chłopcy musztrowali dzieci i spacerowali z nimi na plac na Gęsiej [...] i tam gimnastykowali się z nimi, śpiewali, grali i tańczyli. Starszym dzieciom opowiadano bajki, a nawet pomagano odrabiać lekcje (szkoły są przecież do dziś nieczynne). [...]

Niestety, entuzjazm ten długo się nie utrzymał, a bardzo zawinił tu fakt, że kąciki dziecięce prowadzono w języku, który dla większości żydowskich dzieci był obcy, czyli po polsku. [...] Tylko te, które prowadziła młodzież zorientowana narodowo, szczególnie w instytucjach powstałych przy podziemnych organizacjach politycznych, przetrwały do dziś – prężne, z bogatym programem – i można powiedzieć, że wykonały ogromną pracę. Powstały wspaniałe chóry dziecięce, w których znalazło się kilkoro dzieci z niezwykłym talentem.

Gdyby wszystkie kąciki były prowadzone w takim duchu, mielibyśmy dziś zamiast stu sześćdziesięciu czterech ponad tysiąc takich punktów. [...] Ale tak się nie stało. Mamy dziś ponad trzy tysiące dzieci, które włóczą się po domach, chodzą z piętra na piętro i pukają do drzwi, zawodząc, histerycznie płacząc i jęcząc:

– O-okruszek ch-chleba!

Wśród dziecięcych ofiar tej straszliwej wojny jest szczególny ich rodzaj, którego nie wolno przemilczeć, mówiąc o dzieciach na bruku. Są to dzieci „obozowiczów", to znaczy dzieci, których ojcowie poszli na przymusowe roboty. [...]

Ich kobiety natychmiast potraciły głowy, szczególnie te, które zostały z dwojgiem, trojgiem małych dzieci, a wiele z dziećmi noszonymi pod sercem... Te ostatnie, ciężarne, z rozpaczy odchodziły od zmysłów. Próbowały biec do gminy, do Jointu[8] czy do komitetu domowego, ale to rzadko kiedy pomagało. Co najwyżej opędzano się od nich kilkudziesięcioma złotymi, które mogły starczyć na dwa, trzy dni, na kawałek czarnego chleba najgorszego rodzaju.

Co im pozostało? Podrzucić dzieci czy je porzucić? Kazać pójść żebrać? [...]

Tu dziecko służy temu, by poruszyć serca, służy słusznej sprawie. Jest jednak wiele przypadków, kiedy dziecko – to samotne, bezbronne stworzenie, które nie może się bronić i pozwala robić ze sobą wszystko, co chcą dorosłe kanalie, jest niczym innym jak fałszywą przynętą, parawanem dla przestępczych żebraczych praktyk. [...] tysiące dzieci stały się zabawkami w ręku wyrzutków, często własnych matek, które zamęczyły je na śmierć, stojąc z nimi od świtu do późnego wieczora w największe upały i żebrząc, posługując się nimi.

Ten rozdział cierpień opuszczonego żydowskiego dziecka jest może najtragiczniejszy, bo nie było nikogo, kto by się zainteresował losem i ujął za takim dzieckiem – niewolnikiem, maleństwem, które według panującego prawa żadnego prawa nie ma...

Dochodzimy tu do punktu, którym jest upadłe w czasie wojny ludzkie morale. Daje ono badaczom psychologii mas, wzrostu przestępstw kryminalnych i innych objawów degeneracji duże pole do popisu. My natomiast chcemy tylko podkreślić, że dziecko, to biedne, opuszczone, stało się ofiarą, na którą zasadziło się w czasie wojny wielu niegodziwców.

Kiedy to biedne dziecko dostawało do rączki kawałek chleba, już był przy nim „chaper"[9] i wyrywał mu go. Kiedy to biedne dziecko miało na nóżkach przyzwoite buciki, nosiło jeszcze mniej więcej porządny płaszczy, dostrzegła to już dobra ciocia wiedźmowatymi, świdrującymi oczami i zastosowała takie

[8] Joint – American Jewish Joint Distribution Committee, Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Pomocy, największa organizacja wspierająca finansowo Żydów zamieszkałych poza Izraelem.

[9] *Chaper* (jid.) – rzeczownik pochodzący od czasownika *chapn* (jid. „łapać, wyrywać"). W getcie mianem „chaperów" określano ludzi głodnych, którzy na ulicach wyrywali przechodniom z rąk jedzenie.

fortele, aby w niecny sposób ściągnąć z dziecka ubranka. Sztuczek, forteli, złodziejskich pomysłów takim ludziom nigdy nie brakuje, zwłaszcza takiej słodko prawiącej cioci czy babci. [...]

– Chłopczyku, chłopczyku – mówi do niego – chcesz, żeby cię zabrać do schroniska dziecięcego? Tak, chcesz? Dostaniesz tam dobre rzeczy do jedzenia i picia. Wystarałam się dla ciebie, zaraz cię tam wezmę, nie tylko dostaniesz dobrze zjeść, ale będziesz też miał zabawki, i rower też ci kupiłam, piękny rower, ale pada, trzeba go czymś przykryć, żeby nie zmókł. Czym by go tu przykryć? Nic nie mam przy sobie... Wiesz co, przykryjmy go twoim paltkiem. Tak? Dobrze?...

Chłopaczek przystaje na to, bo czego nie zrobi chłopiec i dziecko uchodźców z małego żydowskiego miasteczka dla roweru – i bierze to babiszcze paletko, i idzie do domu po rower. Ma zaraz przyjść i chłopczyk czeka... [...]

Kiedy wchodzi się do izb głodujących Żydów i widzi się smutne oczy dzieci, ich blade twarzyczki, ich powolne ruchy przy zabawie, stąpanie osłabionych nóg, ogarnia przerażenie, i niezależnie od światopoglądu czy orientacji politycznej wyrywa się biblijna klątwa, którą anonimowy twórca psalmów posłał ze swego serca, widząc zagładę swego kraju i ludu: „Szczęśliwy, kto schwyci i rozbije o skałę twoje dzieci”[10]. [...]

Kiedy piszemy te słowa, getto znajduje się w krytycznej sytuacji: nowe wypędzenia z mieszkań, nowe zabory ulic getta, coraz mniej miejsca i coraz mocniej zaciska się pętla wokół naszej szyi. Znów mury, nowe mury, nie ma już prawie gdzie się ruszyć. Zima, mokro, zimno, nędza i śmierć. Uda się jeszcze uratować żydowskie dziecko?

Perec Opoczyński, *Reportaże z warszawskiego getta*, przekład, redakcja naukowa i wprowadzenie M. Polit, Warszawa 2009, s. 145–161, 185–200

[10] Psalm 137, 9. Psalmista ma na myśli dzieci prześladowców żydowskiego ludu – Babilończyków. Opoczyński – zapewne dzieci niemieckich oprawców.

1942

Władysław Leny-Kisielewski (1911–1977)

Jednoosobowa redakcja w powietrzu

Był lotnikiem i alianckim korespondentem wojennym latającym bojowo. W Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie w latach sześćdziesiątych wyeksponowano jego mundur w kolorze khaki ze złoto-zielonymi naszywkami na naramiennikach i napisem „*Polish War Correspondent*". Sam siebie nazywał dziennikarzem wojennym bez etatu.

> Zdarzało mi się też być... jednoosobową redakcją – opowiadał. – Pierwsze pismo codzienne „Biuletyn" wydawałem w obozie dla internowanych żołnierzy polskich w Rumunii. Był to organ tajnej organizacji polskiej, zajmującej się przerzutem naszych żołnierzy do Francji. Już w pierwszym numerze zamieściliśmy szyfr informujący zainteresowanych o sposobach ucieczki. Ciekawe, że do końca wojny ani wywiad niemiecki, ani rumuński nie rozszyfrowały go. Podczas swojej wojennej tułaczki założyłem siedemnaście gazet wojskowych. Najbardziej chyba mi utkwiła w pamięci jednodniówka „Jeszcze Polska nie zginęła". Pisałem ją na statku podczas przejazdu z podbitej przez Hitlera Francji do Anglii. Byłem ranny [...].

Przed wojną od 1936 roku Władysław Kisielewski pracował w Polskiej Agencji Telegraficznej w Warszawie. Jeszcze wcześniej – w „Gazecie Grudziądzkiej". W sierpniu 1939 roku jako lotnik rezerwista został zmobilizowany do 43. eskadry 4. Pułku Lotniczego w Modlinie. Przeżył klęskę rozharatanych – jak sam to nazwał – polskich bombowców Karaś. Jako jeden z ostatnich uciekał do Rumunii, stamtąd wydostał się do Francji, potem do Anglii. Brał udział we wszystkich ważnych akacjach RAF-u i Polskich Sił Zbrojnych. Jego korespondencje drukowała cała zachodnia prasa.

Swoje przeżycia opisał w autobiograficznych książkach *Od Torunia do Londynu* (1958) i *Podróż bez biletu* (1972). Tak opisuje ucieczki z obozu internowania w Calafat w Rumunii:

> Pierwsza partia uciekła z obozu w bardzo prosty sposób. Wyciągnęli z szopy wielką beczkę na kółkach służącą normalnie do przewożenia wody, władowali rzeczy w środek i ciągnęli, krzycząc po rumuńsku:
>
> – Woda!
>
> Wartownik przekonany, że jadą po wodę, otworzył bramę i wypuścił całe towarzystwo. W piętnaście minut później wymaszerowała z obozu duża

grupa żołnierzy, niosąc w plecakach deski ze specjalnie w tym celu rozebranego budynku. Prowadził ich kolega przebrany w mundur rumuńskiego strażnika. I tych również wartownik wypuścił bez przeszkód.

Władysław Kisielewski o polskim lotnictwie w czasie drugiej wojny światowej napisał siedem książek. Był krytyczny wobec dowódców, powtarzał, że w Londynie liczba polskich sztabowców, wynajmujących coraz to nowe domy, przerasta nawet liczbę polskich inwalidów, co krok spotykanych na ulicach. Recenzenci podkreślali, że Kisielewski zawsze pisał z perspektywy szeregowego żołnierza.

Wielką siłą jego pisania jest dowcip i szczerość:

Na drugi dzień po zajęciu lotniska Luftwaffe pod Nordhorn wezwał nas dowódca skrzydła pułkownik Gabaszewicz.

– Na pewno nie usłyszymy nic miłego – powiedział mój towarzysz porucznik Głuski, który znał wodza lepiej ode mnie.

Sprawdziło się. Zaraz na wstępie usłyszeliśmy, że jesteśmy największe patałachy w całej jednostce i tylko fakt, że zajmujemy się sprawami prasy i propagandy, usprawiedliwia nas częściowo. Wodzowi chodziło przede wszystkim o to, że w czasie przemarszu z Holandii do Rzeszy zgubiliśmy nasz namiot razem z łóżkami polowymi i całym wyposażeniem.

Po dłuższej na ten temat przemowie dowódca dodał:

– Musicie sobie znaleźć jakieś lokum w pobliżu lotniska, a potem zgłoście się w adiutanturze.

Zgodnie z otrzymanym rozkazem zapuściliśmy nasz zdobyczny niemiecki samochód, by podjechał do pobliskiego pałacu Kruppa. Tam zajęliśmy pięć apartamentów. Żyliśmy wspaniale, pokpiwając z kolegów mieszkających w namiotach. Co rano przynoszono nam do łóżka kawę i bułeczki z masłem. Specjalnie wyznaczony kamerdyner zajmował się naszymi mundurami. Ja początkowo miałem kłopot z przywoływaniem służby, bo wszyscy Niemcy, nawet starcy i dzieci – chowali się przede mną. Przez jakiś czas nie mogłem dociec przyczyny tego zjawiska. Dopiero któryś z kolegów wyjaśnił mi, że to mój współlokator Głuski tak przepłoszył ich, mówiąc, że moje naszywki *war correspondenta* oznaczają przynależność do „*Polnische Gestapo*".

Jednak Władysław Leny-Kisielewski opisujący wesoło-szwejkowskie przygody polskich żołnierzy na obczyźnie to tylko jedna strona wizerunku tego reportera. W wywiadzie dla „Zielonego Sztandaru" w 1973 roku mówił, że w 1946 roku zakładał pierwsze w Polsce Ludowej pismo popołudniowe „Express Poznański", potem w latach czterdziestych ukazały się jego trzy książki o lotnikach.

„A potem – stwierdził enigmatycznie – przyszły czasy trochę gorsze". Nie precyzował, na czym polegały. Wyjaśnił tylko, co w gorszych czasach robił:

> Ale też nie próżnowałem. Byłem kierowcą w ekipie wiejskich kin w Poznańskiem i Koszalińskiem. Zwiedziłem wiele rejonów. Jeszcze lepiej poznałem wieś. A w 1955 roku zdobyłem pierwsze miejsce w popularyzacji filmów radzieckich. Honorowe dyplomy, odznaka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Znów zacząłem publikować. Po 1956 roku ukazały się następne moje książki [...].

Nie ma wątpliwości, że Kisielewski popadł w niełaskę władzy, bo jak to możliwe, że wzięty autor, członek wojskowej elity na początku lat pięćdziesiątych zostaje nagle kierowcą? Gorliwość wobec systemu polegająca na propagowaniu radzieckiego kina jest prawdopodobnie strategią przetrwania – zdobywaniem punktów u władz, żeby uznały go za zresocjalizowanego. Nadeszła jednak popaździernikowa odwilż i reporter-lotnik mógł robić to, z czego był znany, a nawet – jak wiemy – jego mundur trafił do muzeum.

Określenie „niełaska władzy" jest enigmatyczne, nie udało mi się ustalić, co Kisielewskiemu konkretnie zarzucono. Można się tego domyślić, czytając o represjach wobec oficerów walczących w polskich formacjach na Zachodzie. Od 1948 roku byli systematycznie usuwani z armii i instytucji z nią współpracujących. Piloci dostawali zakaz prowadzenia jakichkolwiek statków powietrznych, a nawet – jak podaje biuletyn IPN-u poświęcony temu tematowi – nie mogli latać jako pasażerowie samolotów. Prawdopodobnie obawiano się, że jako „szpiedzy i agenci obcych mocarstw", bo o to byli oskarżani przed PRL-owskimi sądami, mogą przejąć stery samolotu, uprowadzić go i uciec za granicę.

Jak pisze Wojtek Matusiak w *Powojennych losach elity polskiego lotnictwa*, Władysław Śliwiński, wybitny pilot bojowy Dywizjonu 303, w czerwcu 1948 roku został aresztowany w Warszawie pod zarzutem szpiegostwa. Stracono go w dzień Święta Wojska Polskiego – 15 sierpnia 1951 roku.

Józef Kępiński (dowódca polskiego dywizjonu walczącego w kampanii francuskiej w 1940 roku) pracował po 1948 roku jako robotnik w Spółdzielni Pracy „Sprzęt Rybacki", a jego koledzy byli zatrudnieni na stanowiskach magazynierów. Wielu wybitnych lotników aresztowano. Bestialskimi metodami „śledczymi", torturując ich fizycznie i psychicznie, wymuszano przyznanie się do zdrady i szpiegostwa.

Warto o tym pamiętać, czytając brawurowy reportaż „dziennikarza wojennego bez etatu".

Historia jednego lotu

Zaczęło się od tego, że gdzieś w jakimś wysokim dowództwie postanowiono zaminować z powietrza port niemiecki U-bootów, dających się we znaki okrętom sprzymierzonych. Sprawa jako pilna została przekazana sztabowcom z Bomber Command[1], a ci znowu z kolei przekazali ją dowództwu grupy bombowej, które wybrało do wykonania tego odpowiedzialnego zadania polski dywizjon bombowy ziemi mazowieckiej numer 300. W przesłanym rozkazie podkreślano wyraźnie konieczność dokładnego wykonania zadania ze względu na nowy rodzaj min po raz pierwszy użytych do akcji tego typu. Otrzymawszy ten rozkaz, dowódca dywizjonu polskiego był bardzo przejęty, już nawet nie szczególną wagą owego zadania, ale wizją stracenia kilku dobrych załóg na tym piekielnym Breście, który jako wypadowa baza na Atlantyk był w pełni doceniany przez Niemców i odpowiednio broniony.

Zarządzono odprawę. Zeszli się na nią nie tylko ci, którzy mieli lecieć, ale i pozostali, toteż ścisk był ogromny. I wbrew temu, co piszą londyńscy literaci na łamach polskiej prasy, przy słowach: „*Target for the night*"[2] nikim nie „wstrząsnął dreszcz grozy", gdyż od pierwszej chwili wejścia do *operation room*[3] wszyscy sobie przeczytali na wielkiej tablicy, dokąd i po co lecą.

Odprawa ilustrowana wykresami i częścią filmową szybko dobiegła końca. Poszliśmy do „paraszuciarni"[4] przebrać się do lotu. Załoga, z którą lecę po raz pierwszy, przygląda mi się uważnie. Wreszcie któryś powiada:

– „Jajko operacyjne" to chyba zjemy po powrocie?[5] – pragnąc widocznie tym zdaniem dodać mi otuchy.

Podczas dopasowywania uprzęży spadochronu mój dowódca załogi i serdeczny przyjaciel z poprzednich etapów wojennej wędrówki Kazik Brochocki poucza mnie troskliwie, co i kiedy mam robić... Rady, co mam robić po wzięciu mnie do niewoli, najmniej mi się podobały.

Nagle ktoś krzyknął z zewnątrz:

– Lory przyjechały!

Włazimy w nie załogami; jedziemy do miejsca rozproszenia maszyn. Po drodze, dla pewności i zgodnie z King's Regulation[6], przeszukuję kieszenie, czy coś w nich nie zostało, co mogłoby dać jakiekolwiek informacje wrogowi,

[1] RAF Bomber Command – nazwa lotnictwa bombowego RAF jako odrębnej części tych sił powietrznych.
[2] *Target for the night* (ang.) – Cel na dzisiejszą noc.
[3] *Operation room* (ang.) – kwatera sztabu.
[4] Spadochroniarnia, od ang. *parachute* – spadochron.
[5] W czasie wojny w Wielkiej Brytanii jajka reglamentowano. Lotnikowi wykonującemu lot bojowy przysługiwało dodatkowe jajko poza normalnym przydziałem kartkowym.
[6] King's Regulation – Regulamin Królewski – zbiór przepisów regulujących służbę wojskową w Wielkiej Brytanii. Często przywoływany na poły ironicznie przez Polaków jako wzorzec postępowania w wojsku w każdej możliwej sytuacji.

i czy nie zgubiłem „wiatyku" danego mi na drogę przez inteligenta[7]. Jedna z załóg wysiada. My jedziemy dalej do „E" jak „Ellen"[8]. Przybywszy na miejsce, wyciągamy graty z samochodu i wnosimy do kabin. Mechanicy zziębnięci jak nieboskie stworzenia przeglądają samolot i spoglądają na niego tak niespokojnym wzrokiem, jak patrzy czuła matka na swe jedyne dziecko wyruszające w daleką, niebezpieczną drogę. Uśmiechamy się do siebie tak, jak w Londynie ludzie śmiać się nie umieją, i zaczynamy rozmawiać na temat... psich wyścigów.

Zagrały silniki i pilot ze swej kabiny dał nam znak, że czas już wchodzić i zajmować miejsca.

Rzucamy niedopalone papierosy na ziemię i po małej drabince włazimy do wnętrza wellingtona, mijając mechaników wychodzących z wewnątrz. Ulokowałem się u „siebie" i włączyłem intercom. Tlenu włączać nie trzeba. Cały lot będzie się odbywał na niskiej wysokości.

Pada pytanie pilota:

– Czy wszyscy już gotowi?

Jeszcze krótkie sprawdzenie radia i wellington, hucząc silnikami, kołuje do startu. Oglądam się i widzę mechaników, którzy przesyłają nam pozdrowienia wzniesionymi do góry rękami.

Zewsząd ku drodze startowej kołują wellingtony, które kołysząc się ociężale i mrucząc silnikami, robią wrażenie rozgniewanych żuków sunących gdzieś pośpiesznie. Dokołowawszy do startu, stajemy w kolejce. Co chwila jakiś wellington zaczyna ryczeć silnikami i wznosi się w powietrze. Przychodzi kolej na nas. Odpowiadamy lampą Aldisa[9] na dany znak świetlny i zakręcamy ostro do pasa startowego. Obciążony minami wellington nabiera rozpędu. Ziemia ucieka do tyłu z szaloną szybkością. Wreszcie silny podskok, silniki wellingtona grają innym tonem i jesteśmy w powietrzu.

Robiąc okrążenie, widzimy następne maszyny sunące po *runwayu*[10]. Pułap, w tym dniu bardzo niski, dusi nas do ziemi. Po sprawdzeniu czasu schodzimy *set coursem*[11] w kierunku południowym, nabierając wysokości. Lecimy ciągle w chmurach, w które weszliśmy przy pierwszej próbie nabrania wysokości. Po kilku minutach chwyta nas oblodzenie. Schodzimy nieco niżej, ażeby „odtajać", i znów pniemy się do góry, wchodząc w gęste chmury, w których nasza maszyna skacze jak oszalała.

Przelatujemy przez „bramę wlotową"[12] zrobioną ze skrzyżowanych świateł i zbliżamy się ku morzu.

Brzegi brytyjskie mijamy już w zupełnych ciemnościach i oddalając się od nich, spoglądamy na mrugające ku nam z oddalenia beacony[13]. Wkrótce i one nikną nam z oczu.

[7] Żartobliwe spolszczenie nazwy funkcji Intelligence Officer (oficer wywiadu), który zajmował się odprawą załóg przed lotem bojowym, m.in. wręczał im specjalne pakiety, mające ułatwić ucieczkę w razie zestrzelenia na terytorium wroga.

[8] Każdy samolot bojowy w dywizjonie miał indywidualne oznaczenie taktyczne w postaci litery (tu: E), którą często rozwijano w imię żeńskie.

[9] Lampa Aldisa – lampa sygnalizacyjna, używana do nadawania sygnałów alfabetem Morse'a, wynaleziona przez Arthura Aldisa.

[10] *Runway* (ang.) – pas startowy.

[11] *Set course* (ang.) – wyznaczony kurs.

[12] Specjalnie wyznaczone miejsce na wybrzeżu, przez które samoloty mogły przekraczać linię brzegową, nie będąc narażone na ogień własnej artylerii przeciwlotniczej.

[13] *Beacon* (ang.) – latarnia sygnalizacyjna „bramy", a także pozwalająca na lokalizację konkretnego punktu na mapie.

Linia brzegów brytyjskich, znaczonych białym pasem fal łamiących się przy nich, pozostaje za nami. Lecimy ponad „ziemią niczyją", wchodząc coraz dalej w głąb morza.

Lot zaczyna się dłużyć i wbrew ogólnym twierdzeniom zaczynam myśleć o wszystkim – poza lotem. Ot, zagłębiam się w rozmyślania i dopiero po jakimś czasie przypominam sobie, że przecież siedzę w wellingtonie i z każdą minutą oddalam się od wszystkiego, co tam, w Anglii mogło być dla mnie drogie, płynąc bezmiarem przestworzy ku nieznanym losom, aż wreszcie spłynę pod ogień niemieckiej artylerii.

Moje rozmyślania przerywa pełen oburzenia krzyk jednego z kolegów:

– Popatrzcie na sandwicze! Znowu te psie syny zamiast obiecanej szynki dały nam pastę rybią!...

To zdanie było tak krańcowo różne od popularnych słów o „odwecie", czy też „cierpiącym kraju", jakie zazwyczaj kładą w usta lotników lecących na wojnę londyńscy literaci, że nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem. Nagle słychać głos pilota:

– Wzmóc obserwacje nieba i wody! Lecimy niedaleko brzegów nieprzyjacielskich!...

Zaczynam się wpatrywać w stronę niewidocznych brzegów i jednocześnie myślę, że gdzieś tam daleko przed nami wyją już rozpaczliwie syreny alarmowe, a żołnierze niemieccy stają przy swoich działach.

Ale nasze wellingtony nie będą dziś ich celem. Mamy inne zadanie, ważniejsze niż bombardowanie umocnień niemieckich.

Chmury z wolna znikają i na granacie bezksiężycowego nieba pojawiają się gwiazdy.

Piękna noc nastraja raczej do marzeń aniżeli do walki.

Po parogodzinnym locie ponad morzem wykonujemy gwałtowną zmianę kierunku, zawracając ku brzegom, aby niespodzianie wpaść w głąb portu nieprzyjacielskiego, w którym w głębokich schronach odpoczywa flotylla U-bootów.

Gwałtowny skręt i zejście ponad spienione fale.

– Uwaga! Zbliżamy się już do brzegów nieprzyjacielskich – oznajmia nawigator. Wpatruję się uważnie w przestrzeń – ciemną i niewyraźną...

Potem włączam mikrofon i wołam:

– Pilot, jakieś światełka przed nami!...

Istotnie, w oddali zamigotały trzy czy cztery światełka i momentalnie zgasły.

Padają szybkie zdania i wellington w gwałtownym skręcie kładzie się na skrzydło.

Zmieniamy kierunek i pędząc na pełnych obrotach, zbliżamy się do lądu, którego ciemne kontury są coraz wyraźniejsze. Mijamy jakąś wysepkę, przyglądając się uważnie. W dali znów zamigotały jakieś nikłe światełka i pomknęły w głąb lądu, jak gdyby „anonsując" przybycie wellingtonów.

Wszyscy wpatrują się w ziemię, która już wie, że idziemy, i namierza się teraz, aby w odpowiednim momencie przywitać nas światłem reflektorów i błyskami pocisków. Zamknięta w ramy lądu błyszcząca tafla wody, ponad którą lecimy w głąb wrogiego portu, zwęża się coraz bardziej. Po obu jej stronach czai się artyleria gotowa do strzału. Instynktownie czujemy, że już ktoś był tam przed nami i ci na dole są przygotowani do otwarcia ognia. Czekają tylko najbardziej odpowiedniego momentu.

Błyskawiczne spojrzenia na wodę. Lecimy bardzo nisko i jeżeli pod nami znajdą się przyczajone w ciemnościach niemieckie flak-shipy[14], to nas rozniosą ogniem swych szybkostrzelnych działek.

Ląd widać już wyraźnie. Ciemny i złowrogi – wchodzi pod kadłub maszyny. Mijamy pierwszą zatokę i lecimy do drugiej, w której stoją U-booty. Przelatujemy ponad wąskim kanałem i wpadamy w głąb portu, gdy nagła jasność obejmuje kadłub wellingtona od dzioba do ogona. Na moment jestem oślepiony i święcie przekonany, że wiązka reflektorów chwyciła nas w krąg swych świateł. Ale to nie reflektory. To była pierwsza seria ognia artylerii, jaką nas przywitała rozbudzona ziemia. Uciekamy ostrym ślizgiem. Ale nic nie pomaga. Namierzyli się dobrze i walą bez przerwy. Sine słupy reflektorów krążące po niebie zaczynają się zbiegać przy nas. Maszyna tańczy w powietrzu podrzucana podmuchem pocisków. Znów zmykamy ostrym ślizgiem.

Nagle tuż przed nami krwawy błysk rozjaśnia na moment horyzont. Odwracam się – wielka ognista kula zlatuje ku ziemi, ciągnąc poza sobą długi ogon ognia. To jeden z wellingtonów trafiony pociskiem wali się w dół w płomieniach.

Brochocki wykonuje unik, wychodząc z kręgu ognia. Zaczyna być nieco spokojniej.

Po chwili słychać w intercomie:

– Uwaga, kurs bojowy! Drzwi bombowe otwarte!...

Wyrównaliśmy, nalatując wprost na schrony niemieckich okrętów podwodnych. Błyski, które na chwilę pozostały za nami, zaczynają się znów zbliżać, a my, idąc na zrzucenie min, musimy lecieć prosto.

Możemy się tylko bać i czekać: trafią nas czy nie trafią?

[14] *Flak-ship* (ang.) – okręt przeciwlotniczy, uzbrojony w artylerię do zwalczania samolotów (*Flak* – od niem. *Fliegerabwehrkanone*).

Lecimy tak nisko, że jesteśmy nie tylko w zasięgu ognia artylerii, ale i karabinów. Odłamki zaczynają dzwonić po kadłubie i skrzydłach samolotu. Z ognia i żelaza tworzy się potępieńcza, błyszcząca ulica, której środkiem jak burza rwą polskie wellingtony. Dwa szybkie wstrząsy. Miny poszły. Spływają ku wodzie na swoich spadochronach i znikają w głębinie.

Słychać ostrzegawczy krzyk tylnego strzelca:

– Unik! Strzelają z lewej!...

Brochocki zadarł stery i w gwałtownym uniku wychodzi z pola ognia, prześlizgując się pod statecznikiem lecącej tuż za nami maszyny. Mijamy się w odległości pięciu-, dziesięciu metrów.

Sekunda lotu w ciemnościach, a potem błysk ognia i gwałtowny poślizg.

Wellington wali się w dół ku wodzie...

Przez głowę przelatuje mi myśl: „Koniec! Trafili nas!...".

Ale wellington po chwili odzyskuje równowagę i zawraca nad przesmyk, lecąc tą samą trasą, którą wszedł w głąb portu.

Słychać głos pilota:

– Udało się. A byli tak wstrzelani, że już straciłem nadzieję...

– A ta detonacja?!

– To ten wellington nad nami rozleciał się w powietrzu...

Żegnani salwami szybkostrzelnych działek z przyczajonych flak-shipów, wylatujemy z portu.

Teraz dopiero widać w pełni całą iluminację, którą Niemcy urządzili na cześć wellingtonów. Cały brzeg lądu migoce wszystkimi kolorami tęczy. Pociski różnych barw i odcieni gonią się po niebie i wirują dookoła pokręconymi tory. Wyżej, ponad nimi, rwą się jasne wiązki szrapneli najcięższej artylerii, rozjaśniając ciemny granat nieba porysowany sinymi smugami reflektorów. Nasilenie ognia zwiastowało nadejście drugiej grupy wellingtonów, które z desperacką brawurą wdzierały się w głąb portu.

– Uważać na niebo, żeby myśliwcy nas nie zaskoczyli! Bo z tej wysokości, na której teraz lecimy, to nie zdążymy ani skakać, ani wywodować...

Schodzimy jeszcze niżej, prawie ponad fale, aby się zabezpieczyć przed atakiem z dołu, i skręcamy ku Anglii.

Nikną w oddaleniu odbłyski ognia artylerii i światła reflektorów. Lot staje się spokojny i silniki wellingtona grają już inaczej. Ciemności, w których lecimy, rozjaśniają tylko błyszczące nad nami gwiazdy. Czas zaczyna się dłużyć i całą załogę ogarnia nieprzeparta senność. Pogoda staje się coraz gorsza. Nabierając wysokości, wchodzimy w gęste chmury, lecąc w nich aż do Anglii.

Dochodząc do linii wybrzeży, schodzimy pod chmury i zapalamy swoje światła rozpoznawcze. Z dołu migają ku nam przyjaźnie beacony, a smugi reflektorów, zamiatając ziemię, wskazują trasę, którą mamy lecieć.

Po jakimś czasie radiota[15] odbiera rozkazy nakazujące nam szybkie odejście z dotychczasowej trasy. Włączam mikrofon i pytam:

– Co się stało?

– Niemieckie samoloty atakują Londyn i lepiej nie wchodzić w zasięg jego obrony.

Reflektory z dołu kiwają się uparcie, wskazując nam kierunek zejścia. Skręcamy i obserwujemy z daleka błyski brytyjskiej artylerii, porównując jej nasilenie ognia z niemiecką obroną.

Chwilami u dołu zjawiają się olbrzymie, czerwone wybuchy. To bomby niemieckie rwą się wśród murów miasta.

Oddalamy się znowu, wchodząc w gęste i nisko ciągnące się chmury. Maszyną zaczyna rzucać jak w ogniu artylerii i cały samolot świeci się jak choinka. Niedaleko bazy chwyta nas oblodzenie. Przebijamy chmury i nagle pod nami ukazuje się kraina z bajki. Cała przestrzeń pod nami iskrzy się od tysięcy świateł tworzących symetryczne figury i koła, a skrzyżowane w górze reflektory wyglądają jak kolumny gigantycznych gmachów, ginących gdzieś wysoko. Światełka krążących wokół nas samolotów wydają się rojem świętojańskich robaczków wirujących w przestworzach.

Wprost trudno oczy oderwać od tego widoku.

Krążymy w wieńcu samolotów, czekając swojej kolejki. Wreszcie słychać wezwanie: „*E for Ellen*" i otrzymujemy zezwolenie lądowania. Cichnie szum silników i przelatując pod świetlną bramą reflektorów, schodzimy ponad *runway*, płynąc nad ulicą migocących świateł. Wolny od min i lekki już wellington zdaje się radośnie dotykać twardej ziemi. Kołujemy na miejsce postoju maszyn i wyłazimy z samolotu witani radośnie przez czekających na nas mechaników, a potem przysłaną lorą jedziemy do *operation* zdać relacje z lotu.

Inteligent, młody i bardzo miły człowiek, częstuje nas rumem, kanapkami, herbatą i każe opowiadać, jak to tam wyglądało.

Co jakiś czas na salę wchodzą nowe powracające z wyprawy załogi.

Niestety, nie wszystkie. To przygasiło naszą radość i przywołało na pamięć obraz z tamtego brzegu.

– Jak się panu latało? – pyta mnie W/Cmdr[16] Kowalczyk, dowódca dywizjonu.

– Doskonale – odpowiadam. – Trafiłem do wspaniałej załogi.

[15] Radiota – technik obsługujący radiostację.

[16] W/Cmdr – Wing Commander, brytyjski stopień wojskowy w lotnictwie, odpowiednik podpułkownika.

– Uuu – mruczy dowódca dywizjonu, ściągając przepocony szalik. – Dawno już nie widziałem tak silnego flaku, a ten mówi, że mu się świetnie latało...

– A co ma powiedzieć, że miał stracha? – śmieje się Brochocki.

Brak jeszcze kilku załóg. Dowódca niespokojnym wzrokiem patrzy na zegarek, bo z lotu na minowanie nie idzie się do niewoli. Albo wraca się w porę, albo w ogóle nie wraca.

Czekaliśmy długo i na próżno.

Ani załogi nie przyszły, ani żadna wieść o nich.

Nazajutrz rano poszedłem na miejsce najbliżej nas stojącej F-ki[17].

Było puste tak, jak i namiot jej wiernych mechaników, którzy długo w nocy czekali na wiadomość o swojej maszynie. W pokoju oficera technicznego dywizjonu na wielkiej tablicy wykazującej liczbę samolotów dyżurny mechanik kaligrafował kredą krótkie słowo: *„Missing"*[18] i oczy jakiejś dziewczyny, ubranej w mundur WAAF-ki[19], która co noc liczyła powracające z wyprawy samoloty, przesłoniły się łzami. Adiutant dywizjonu miał dużo roboty z pisaniem i wysyłaniem najrozmaitszych papierów, a koledzy zaginionych urządzili dosyć smutne *party*, które w naszym języku nazywa się stypa...

Potem rzeczy poległych odesłano do Blackpool[20] i gdzieś w jakiejś ewidencji skreślono ich nazwiska.

Przez kilka dni w mesie stały puste krzesła, potem przyszły nowe załogi i życie dywizjonu szło dalej swoim torem.

I zacierały się z wolna w pamięci żyjących nazwiska poległych, stawały się coraz bardziej dalekie i nieznane, aż wreszcie całkowicie zginęły w niepamięci.

I może tylko gdzieś daleko w kraju ktoś jeszcze myśli, że żyją – i z utęsknieniem czeka, nie wiedząc, że na próżno...

Jedynym wesołym momentem stała się wiadomość, która drogą telegraficzną nadeszła z Londynu, że tej samej nocy, kiedy latałem nad Brestem, moje mieszkanie w Londynie zostało zbombardowane.

Wywołało to ogólną radość, a Kazik Brochocki podszedł do mnie i zapytał:

– A skąd Niemcy wiedzieli, że ty u nas latasz?

– Nie rozumiem? – zdziwiłem się.

– Bo ci za karę zbombardowali mieszkanie...

Antologia polskiego reportażu wojennego 1939–1945, oprac. S. Nadzin, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1962, s. 138–146

[17] Chodzi o samolot oznaczony w dywizjonie literą F.

[18] *Missing* (ang.) – zaginiony.

[19] WAAF – Women's Auxiliary Air Force, żeńska służba pomocnicza w siłach powietrznych Wielkiej Brytanii.

[20] W mieście Blackpool mieścił się ośrodek zapasowy Polskich Sił Powietrznych, m.in. składnica przedmiotów pozostałych po poległych lotnikach.

1944

Kazimierz Wierzyński (1894–1969)

Chodzić piechotą

Skrytykował podróż samolotem:

> Przelatywałem Atlantyk jedenaście razy, ale nic mi to nie dało. Ogromne samoloty, stu pasażerów, ciasnota, nuda. Okno bez treści, nawet wody w dole nie widać [...]. Nie należy poznawać świata z samolotu. Nie ma wtedy świata, nie ma człowieka, nie ma życia, jest maszyna, pośpiech, zamęt w głowie.

Skrytykował podróż samochodem:

> To także podstępny przewodnik po świecie. Supremacja maszyny nad człowiekiem, także odcięcie od rzeczywistości. Niewiele da się z niej uchwycić, gdy mija się wielkie przestrzenie, nie odrywając oczu od szosy [...]. Nad podróżą unosi się tak zwany terror punktu docelowego: czym prędzej tam dotrzeć i wysiąść według planu. Ten sportowy zapał nie pozwala na sekundę kontemplacji, a najprzyjemniejszy widok, jaki nas czeka, to przydrożna knajpa i karta z potrawami.

Co więc proponował?

> Właściwie świat nadaje się, by chodzić po nim piechotą. Wtedy jest dostępny i namacalny od oczu do podeszwy. Najpiękniejsze wspomnienia mam ze szkolnych czasów z wędrówek na Bubniszcze i Urycz, przez Synowódzko na Paraszkę [...]. Tylko świat przechodzony nogami jest coś wart [...]. Ziemia dotknięta stopą staje się w jakiś sposób naszą rodzinną i łączy z nami na zawsze.

Tylko że już nikt nie chodzi piechotą...

> [...] i jedyna pociecha w tym, że jest jeszcze kolej, piękny wynalazek angielski. Jako urodzony na stacji, gdzie mój ojciec był urzędnikiem carsko-królewskim, mam z koleją najlepsze stosunki od zarania dziejów po dzień dzisiejszy. W pociągu odzywa się we mnie nerw kolejowy: jadę, więc jestem. Ciekawi mnie każdy szczegół, pochłania przestrzeń, poucza oko. Wielkie obszary łączą się razem i stają się pierwszym zjednoczonym światem [...].

Ten fragment eseju *Miasta i ludzie*, wydanego w 1966 roku, mógłby być świetnym credo reportera. Jest – wyznaniem wybitnego poety, który napisał w swoim życiu jedną reporterską książkę. Zapomnianą, ale istotną.

Urodzony w Drohobyczu, w Krakowie studiował polonistykę, filozofię i romanistykę, a w Wiedniu filozofię i slawistykę; skamandryta; redaktor przedwojennego „Przeglądu Sportowego"; recenzent teatralny „Gazety Polskiej", w 1915 roku w bitwie pod Kraśnikiem dostał się na ponad dwa lata do niewoli rosyjskiej; w czasie wojny polsko-bolszewickiej – oficer prasowy naczelnego dowództwa; od 1939 roku na emigracji, gdzie powstał miedzy innymi tomik *Czarny polonez* – diagnoza duchowego upadku Polski lat sześćdziesiątych xx wieku.

6 października 1939 już w Rumunii, na szlaku emigracyjnym, przeczytał przemówienie Hitlera, upojonego zwycięstwem. Wódz twierdził, że mógł zdobyć Warszawę w dwa dni, i przestrzegł świat, by nie tworzył legendy o obronie miasta, które nie umiało się obronić.

> Po przeczytaniu niemieckiej gazety z Czerniowiec – wspominał poeta – zrozumiałem, jak nierówne mamy szanse wobec Niemców, także i w walce na prawdomówne słowa. Najeźdźcy zagarnęli kraj i zamknęli mu usta. Nikt z Polski nie mógł wyrazić nic, co by doszło do uszu świata. [...] Przy wszystkim, co krytycznego można powiedzieć o walkach wrześniowych w Polsce, istotą ich nie przestanie być bitność żołnierza i poświęcenie ludności. Był to poryw powszechny i świadomy – był to poryw równy całopaleniu.

Postanowił zbierać relacje oficerów i żołnierzy „obezwładnionych od początku do końca klęski". Najczęściej spotykał się z nimi w Wielkiej Brytanii. Tak w 1944 roku powstała książka *Pobojowisko* o kampanii wrześniowej.

> Nie była to wojna jednej wojennej sztuki z drugą, wodza z wodzem, techniki z techniką – mówi rozgoryczony rozmówca Wierzyńskiego. – Przeciw niemieckiej sztuce, dowództwu i technice stanął ze strony polskiej tylko jeden przeciwnik: żołnierz pozostawiony sam sobie.

Pobojowisko konsekwentnie zaliczane jest przez encyklopedie i słowniki literackie do opowiadań, jest to jednak zbiór reportaży. Każdy tekst zaczyna się informacją: według opowiadania porucznika D., majora A., żołnierzy 11. kompani itp. Sam autor podkreśla wielokrotnie, że to książka dokument.

> Wszystkie opowiedziane tu bitwy i zdarzenia wojenne – pisze we wstępie – są autentyczne i podane tak wiernie, jak utrwaliły się w pamięci ich uczestników.

Jest w *Pobojowisku* jeden akapit, który mnie wzrusza szczególnie. W rozdziale *Zasadzka* dwudziestosześcioletni podporucznik S., który w Błażowej pod Rzeszowem był organizatorem zasadzki na Niemców, zastanawia się, po co właściwie opowiada Wierzyńskiemu o swoich przeżyciach. I nagle uświadamia sobie cel tych zwierzeń – a my dochodzimy do jednej z tajemnic reportażu:

> – Nie wiem – mówi – na co panu się przyda to opowiadanie. Takich kawałków jest u nas co niemiara. Zwykła zasadzka, nic więcej. Ale jeśli się pan już upiera, to proszę tylko o jedno. Niech pan napisze, że jestem Kaszub, pochodzę z kaszubskiej rodziny, z naszego Pomorza. Niemcy mówią, że Kaszubi nie są Polakami, piszą całe tomy, że to odmienny szczep i Bóg wie co jeszcze. To nieprawda. W niedzielę pod Błażową chciałem im to powiedzieć. Niech pan to napisze, o to jedno pana proszę.

Do antologii wybraliśmy historię komandora Ł., opowiadającego o Helu i Westerplatte, ze zdaniem, które wpisuję sobie do zeszytu cytatów: „Rozpacz nie jest naturalnym pokarmem życia, choć przecież można żyć narkotykami".

Garść wody. Według opowiadania komandora Ł.

Był czas, kiedy ostatni, wysunięty na zachód zakątek Europy stał się ostatnim na kontynencie schronieniem tysięcy ludzi uchodzących przed zagładą niemiecką. W lecie 1940 roku, gdy padła Francja, przytułek ten powstał w Lizbonie.

Zjeżdżały tam tłumy ze wszystkich stron i zapewne nie przerwałyby podróży, gdyby nie była to końcowa stacja kolejowa, z której pociągi nie szły już dalej. W pogodnym klimacie majolikowej, niebiesko-żółtej stolicy mało kto szukał wytchnienia i zasiadał śród jej palm i tamaryszków spokojny. Przytułek był przymusowy, a wyjazd z jego bram należał do najtrudniejszych przedsięwzięć.

Wszystkie starania i plany, a dla niektórych całe życie, zależało od magicznego zaklęcia, słowa-widma i słowa-snu: od wizy. W owym czasie rzeczy się tak ułożyły, że tylko jeden kraj udzielał pozwolenia na wyjazd do swoich granic bez zakulisowych protekcji i szczególnego poparcia, mianowicie Brazylia.

Pojechaliśmy więc do Brazylii. Była to podróż nie tylko na inną część kuli ziemskiej, ale i w głąb życia niedającego się przewidzieć. Jak tylekroć w tej epoce miażdżącej wszystko nagle i nieodwołalnie, ocknęliśmy się znowu w obcym, niespodziewanym świecie, w którym sami sobie wydawaliśmy się inni i niezrozumiali.

Czarodziejska kolorowość tego kraju urzekała najbardziej nieczułe oko. Godzinami można było patrzeć na złotopiaszczyste brzegi morskie, popielate skały wylęgłe z wody, rzekłbyś, widziadlane rzeźby z dna oceanu, na zieloną zatokę i wyspy naprzeciw Rio de Janeiro, zmienne w barwach o każdej porze dnia i wieczoru. Samo miasto, rozpostarte u podnóża gór, mogło się wydawać także z fantastycznego przywidzenia, zwłaszcza o zmierzchu, gdy oglądane z wysokości mieszało światło uchodzącego dnia ze światłem lamp, niby zalewane wiadrami rozbryzganych opalów i brylantów. Tuż za stolicą kraj zmieniał się w wielki ogród botaniczny, tym dziwniejszy, że hipnotyzująca flora była bez zapachu, a powietrze nasycała tylko woń spalonych słońcem ziół i krzewów.

Życie duchowe stołecznego miasta, jego spokój i beztroska, oddalenie od wojny i tego, co niosła z sobą, wydawało się również nie do pojęcia. Gorycz i rozpacz należały do uczuć wycofanych z obiegu, zagubione ich echo tłukło się jakby w dalekich, nieuczęszczanych zaułkach. Od przyjaznych

i serdecznych tubylców oddalała nas odmienność losu, tajemnicza przegroda, która pozwalała nam żyć własnymi troskami wśród otoczenia także zajętego sobą.

Było w tym coś z halucynacji czy podwójnego widzenia świata. Niektórzy sądzili, że oddalenie to pozwala nam oswobodzić się z udręki rzeczywistości i zbliżyć się do wysublimowanej, istotnej treści naszego czasu, losu, Polski. Zdawało się im, że teraz łatwiej trafić do sedna spraw, do tego, co jest w naszym narodzie sponad wstrząsów, katastrof i rozdarcia, co było i będzie w nim nieprzemijające.

Jakkolwiek określać nasz pobyt w tym kraju, czuliśmy się niby w rozdwojeniu rzeczywistości, powtarzającym się na każdym nowym postoju naszej wędrówki. Z życia pozostała przeszłość i przyszłość, pierwsza bolesna, druga niewiadoma. Czas teraźniejszy upływał bez śladu.

Nie wiem, jakim przeobrażeniom uległyby moje przeżycia, gdyby nie pewne spotkanie, które z tych nieco mrocznych wysokości strąciło mnie w sam środek rozjątrzonej rany polskiej.

Poznałem w Rio uczestnika walk na Helu, komandora Ł. Przez dłuższy czas nie wiedziałem nawet, że był on wojskowym, znajomość nasza nie wychodziła poza zdawkowość. Spokojny i małomówny pan o pięknych arcypolskich rysach, po których można by poznać jego pochodzenie śród tysiąca ludzi, miał w sobie pewną powściągliwość i nie kwapił się do zażyłości z nikim. Zbliżyliśmy się dzięki błahemu przypadkowi.

Zdarzyło się, że do Rio de Janeiro przypłynęły dwa okręty angielskie. Brazylia nie była jeszcze w wojnie i flagi spod ostrzelanego nieba, rozwinięte w zatoce Guanabara, wydawały się wówczas znakiem z innego świata.

Jeździliśmy często do portu oglądać przybyszów. Były to frachtowce, stały na redzie w sporej odległości od brzegu. We dnie żaden szczególny ruch przy burcie nie odróżniał ich od reszty statków, wieczorem mrugały na siebie światłami wedle morskiego nałogu. A jednak powiewające w dali flagi miały w sobie coś przykuwającego: były z nami sprzymierzone.

W porcie spotkałem komandora, który tak jak ja zjawiał się tam za popędem sojuszniczego serca. Wspomniał mi wówczas, że służył w marynarce, poczułem się więc jakby lepiej wprowadzony przez tego człowieka w sprawy przybyłych, acz dla obu nas stanowiły one jednakowo tajemnicę.

Pewnego dnia okręty zniknęły. Odjechały prawdopodobnie nocą. Dopiero wtedy poczuliśmy pewien ubytek.

– Pusto – powiedział komandor, choć zatoka szumiała wesołym zgiełkiem morskim.

Staliśmy dłuższą chwilę przy kamiennej nadwodnej barierze, jak gdyby wciąż jeszcze zaskoczeni. Nie było komu ofiarować niemego sojuszu. Wracaliśmy z portu powoli. Pachniało wodnym mułem. Na ścianach miasta grzało się żółte złoto. Mój wstrzemięźliwy znajomy ciągnął po drodze:

– Dziwne uczucie, tak nagle odjechali. Nie przymierzając, jak kiedyś nasi z Helu. Nikt nie wiedział dokąd. Potem okazało się, że do Anglii. Odpłynęli na dwa dni przed wojną, bo nie było dla nich szans wobec przewagi Niemców. Rozkazy otrzymali w zapieczętowanych kopertach, o celu podróży dowiedzieli się na morzu. Pierwszego września, gdy u nas zaczęła się wojna, oni przybili do brzegów brytyjskich. Niedługo potem zaczęli służbę w ramach marynarki królewskiej. Najmniejsza flota wspomogła największą. Niewiele tego było, ale zawsze. Trzy kontrtorpedowce: Burza, Błyskawica i Grom. Odjechali wtedy tak nagle, jak dzisiaj ci nieznajomi. *Good luck!*

Odtąd spotykaliśmy się z komandorem częściej. Ciągnęła nas zawsze woda. Jeździliśmy nad zatokę, w okolice, skąd ocean odsłaniał swoje bezbrzeża lub do dzielnic marynarskich, o których Ł. się wyraził, że choć stoją na lądzie, życie ich płynie na morzu.

– Niech pan spojrzy – mawiał często – ile tego morza! Chyba wycyganione od Boga. A u nas właściwie nie było po czym pływać.

Nie myliłem się, sądząc, że ten jego podziw idzie w parze z zazdrością zawodowca. Komandor okazał się fanatykiem morza, jak wielu Polaków, którzy z lądu przeszli na deski pływających pokładów. Znał każdy milimetr naszego wybrzeża i całą historię przebudowy tych piaszczystych i torfiastych nieużytków na porty, miasta i letnie kolonie. Znał marynarkę, wojenną i handlową, jej szkolenie i podróże, sam był przez pewien czas dowódcą jednej z naszych łodzi podwodnych. A nade wszystko znał dzieje naszego września na Wybrzeżu.

Garnąłem się chętnie do rozmów z Ł., przychodziłem do niego specjalnie na te wyprawy w głąb wspomnień. W końcu doszło do tego, że podróżowaliśmy swobodnie nad bezmiarami oceanów do naszych własnych wód i wybrzeży, zapewne nieznanych tu nawet z nazwy.

Bo istotnie ze wszystkich mórz na świecie najmniejsze chyba było morze polskie. Przelewało się na przestrzeni, która stanowiła tylko dwa procent naszych granic. Niektórzy nazywali je sadzawką, a nawet akwarium.

Ta garść wody podana trzydziestu pięciu milionom ludzi, zamieszkujących ziemie polskie, stała się nie tylko ich orzeźwieniem, ale i warunkiem życia. Przez nieznaczną szczelinę przeciskało się w świat przeszło trzy czwarte naszego wywozu, na mikroskopijnym wybrzeżu wyrósł największy port Bałtyku, Gdynia.

O najmniejsze na świecie morze potoczyły się z wybuchem wojny najbardziej zaciekłe walki.

W Gdańsku była Polska Poczta. W budynku jej zamknęło się kilkunastu urzędników i studentów i broniło się przez trzynaście godzin przeciw niemieckiej piechocie i saperom. Obrońcy wyciskani z piętra na piętro schronili się wreszcie do piwnic i dopiero tam przydusił ich wróg nie do przezwyciężenia – pożar zapalonego domu.

Obok Gdańska był mały cypel nadmorski, zwany Westerplatte, gdzie znajdował się plac przeładunkowy, należący do Polski. Westerplatte miała jeden kilometr kwadratowy przestrzeni. Zamknęło się tam stu siedemdziesięciu pięciu żołnierzy z pięcioma oficerami i broniło się przez siedem dni. Niemcy przypuścili na Westerplatte trzynaście ataków, ale nie zdobyli tego kilometra polskiego w szturmie. Dostał się w ich ręce dopiero wówczas, gdy pięćdziesięciu półżywych ludzi, pozostałych z załogi, nie znalazło już amunicji w koszarach, rozbitych morską i lądową artylerią, i bombami samolotów nurkujących.

Tak zamykali się Polacy w Gdańsku, by walczyć i ginąć.

Na wybrzeżu polskim rozgrywały się boje nie mniej zażarte. Znajdowało się tam dziewięć batalionów wojsk odciętych od reszty kraju już pierwszego dnia wojny. Osadziły się one na ostatnim paśmie lądu, za którym zaczynało się morze. Ziemia tamtejsza, łąki osypane więdniejącym na czarno żarnowcem, brązowe kotliny torfowisk, sosnowe lasy i schowane wśród nich jeziora patrzyły przez dwanaście dni, jak bił się o nie ślepy na przewagę wroga, uparty, niewiarygodny żołnierz. Wdarł się on w wypadkach ofensywnych na teren gdański, aż pod Oliwę, i nie chciał się stamtąd wycofać, nawet gdy odwoływały go rozkazy. Zachodził na tyły Niemców, jak było pod Kartuzami, skąd, wyniszczywszy garnizon, wrócił z jeńcami i bogatym łupem. Zasłynął atakami pancernego pociągu, a na poły widma, noszącego nazwę Smok Kaszubski[1], który wpadał w środek Niemców, siekł ich i znikał nieuchwytny, choć przecież przykuty był żelastwem do ziemi, a nie latał w powietrzu.

Po dwunastu dniach wojska te, poszarpane w walkach, mimo że dopełniły je dwa bataliony spieszonych marynarzy, musiały zejść z łąk, lasów i torfowisk i zwinąć zbyt szeroki front. Trzeba było oddać Niemcom Gdynię i skupić się na pozostałej resztówce polskiego dobytku, na gołym pustkowiu Oksywia, portu floty wojennej. Wolne wybrzeże zmalało do pięciu kilometrów kwadratowych.

Tam zaparły się ocalałe oddziały i biły się do ostatka, odsłonięte i atakowane ze wszystkich stron, z powietrza, z ziemi i z morza. Opór ich był tak wytrwały, że Niemcom nie starczyła jedna dywizja i musieli do jej szeregów

[1] Smok Kaszubski – pociąg opancerzony Wojska Polskiego, zaimprowizowany podczas kampanii wrześniowej przez Lądową Obronę Wybrzeża i skonstruowany w Warsztatach Portowych Marynarki Wojennej.

dodać drugą. Ale nawet i taka przewaga łamała się przez następnych siedem dni pod ogniem obrońców.

Aż nadszedł 19 września, a z nim koniec nadmorskich polskich Termopil. Atak wszystkich możliwych sił niemieckich, piechoty, czołgów, lotnictwa, artylerii lądowej i okrętów wojennych wydarł ostatnie tchnienie z Oksywia. Gdy szturmy niemieckie stratowały goły płaskowyż i rozwaliły koszary marynarki, dowódca polski, bijący się w żołnierskim szeregu mimo rany otrzymanej poprzednio, szukał jeszcze możliwości walki w ostatnim załomie terenu, w płytkim okolicznym wąwozie, zwanym Babi Dół. Przypadł tam z trzydziestoma ludźmi i bronił się do ostatniego naboju. Nie skierował go do Niemców, zostawił go w rozgrzanym karabinie dla siebie.

Tak zginął pułkownik Dąbek, dowódca obrony wybrzeża, który w jednym z ostatnich rozkazów na Oksywiu powiedział: „Nie zostało nam już nic, ale mamy jeszcze honor żołnierski".

Gdy komandor opowiadał o tych wypadkach, płytki jar oksywski poszerzał się do niezwykłych rozmiarów.

– To wszystko działo się prawie na naszych oczach – dorzucił czasem.

Mówił bez śladu patosu, a jednak sama kronika tych wspomnień miała w sobie siłę nie do odparcia.

Na oczach tych marynarzy wyginęła również polska flota, pozostawiona dla obrony wybrzeża i przez to skazana z góry na zagładę. Kontrtorpedowiec Mazur trafiony bombą lotniczą ostrzeliwał się, tonąc, a porucznik D., dowódca osłony przeciwlotniczej, nie opuścił swych dział, nawet gdy pokład stanął pod wodą. Trawler Mewa w czasie jednego z nalotów znalazł się bez załogi, strąconej siłą wybuchu do morza, ale i wtedy kapitan L., dwukrotnie ranny, leżąc przy działach, zdołał przy nich zgromadzić maszynistów z komory motorowej i strzelać do końca. Stawiacz min Gryf i kontrtorpedowiec Wicher, choć przycumowane do brzegu, odparły atak dwu kontrtorpedowców niemieckich, przy czym już pierwsza nasza salwa była tak celna, że zmusiła jeden z niemieckich okrętów do odwrotu, podczas którego zatonął. Pięć polskich łodzi podwodnych szukało spotkania z Niemcami, ci jednak nie schodzili z głębokości dwunastu metrów, nienadającej się do podwodnego ataku. Nieustannie napadane z powietrza, kryły się pod wodą i kładły na dno morskie, a późniejsze ich losy pełne najbardziej ryzykownych przedsięwzięć przechodzą w dziedzinę nieprawdopodobieństwa. Choć wszystkie doznały uszkodzeń, żadna nie wpadła w ręce Niemców. Trzy najdotkliwiej okaleczałe schroniły się do Szwecji. Dwie, Wilk i Orzeł, dotarły do Anglii, przeniknąwszy kordon niemiecki i cieśniny duńskie. Orzeł dokazał tej sztuki, płynąc bez map.

Wiele z tych rzeczy znałem z innych relacji – nigdy jednak nie odżyły one we mnie z tak przejmującą wyrazistością jak teraz, gdy wspomniał o nich ten spokojny, niepopędliwy człowiek, który kiedyś był ich świadkiem.

– Wystarczyło – mówił – spojrzeć przez szkła z byle jakiego punktu na Helu, by nie poznać świata. Od lądu ciągnęły chmury dymu, morze pełne było walk, a powietrze nalotów. Tak wyglądał kraj polskich wakacji, tak konała nasza stacja morska. Wszystko, cośmy najbardziej ukochali. A przecież Hel był także piekłem sam dla siebie.

Mając tak mało morza, wybraliśmy z jego okolic ten osobliwy półwysep na obszar szczególnej miłości. Wąziutkie pasmo ziemi uciekło trzydzieści pięć kilometrów od stałego lądu i położyło się wśród Bałtyku samorodną groblą. Hel powstał z piachów naniesionych do morza przez Wisłę, jakby ta rzeka chciała przedłużyć naszą ziemię. Na wodach, często nieprzyjaznych i burzliwych, półwysep utrzymywał się dzięki ludzkiej pomocy. Utrwalono go przez specjalne faszyny[2], podwyższono przez lasy sosnowe, a usypisty brzeg zasiano roślinnością, wśród której piękny oset rozsiadł się na piaskach niby kokosza chroniąca pod sobą pierzchliwą rodzinę.

Na tej smudze ziemnej, zagiętej śród morza łukiem jak pazur, toczyło się twarde, pracowite życie kilku osad i niewielkich przestrzeni kaszubskich. W miejscu, gdzie półwysep wiązał się z lądem, wybudowaliśmy port rybacki, skąd statki łowieckie wypływały na dalekie wyprawy, na Bałtyk i Atlantyk. W miejscu, gdzie się kończył, w miasteczku noszącym wspólną z całym półwyspem nazwę, pogłębiono starą przystań i zaczęto wznosić umocnienia wojskowe. Miała tam powstać morska twierdza. Z resztą kraju wiązała te strony kolej, którą kładliśmy troskliwie na wątłych gruntach i która latem woziła tysiące przybyszów ze wszystkich stron Polski, a śród nich najruchliwsze, śpiewne rojowiska kolonii dziecięcych i obozów młodzieży. Stąd wyjeżdżali młodzi żeglarze na jachtach do Szwecji i na wyspy bałtyckie, tu marynarze uczyli się morza, profesorowie i studenci badali plankton na swoich specjalnych okrętach. Kto szukał ciszy, szedł między wysokopienne czerwone sosny w Juracie, gdzie na pół oswojone sarny nie przestawały skubać mchu na widok człowieka, a w powietrzu mieszał się zapach jodu z zapachem żywicy.

– Hel był jednak dla nas pułapką matematyczną – powiedział raz komandor. – Trzydzieści pięć kilometrów półwyspu dawało w obliczeniach siedemdziesiąt kilometrów wybrzeża, ale cóż z tego, kiedy półwysep w najszerszym miejscu miał dwa kilometry przestrzeni, a w najwęższym sto pięćdziesiąt metrów. To dobre do statystyki, a nie do życia. Poza Helem mieliśmy tylko sześćdziesiąt pięć kilometrów morskiego brzegu. Niech pan teraz porówna

[2] Faszyna – wiązka chrustu, wikliny lub gałęzi używana m.in. do umacniania nasypów.

nasze ubóstwo z tymi tysiącami, które nas tu otaczają, i niech pan powie, co począć z taką miłością?

Być może świadomość tej dysproporcji i niewspółmierności wobec świata była jedną z pobudek polskiej ambicji, a w czasie wojny przyczyniła się także do wzmożenia oporu. W każdym razie Helu broniono tak, jak broni się najgorętszego ukochania.

Gdy w jarze na Oksywiu padł ostatni strzał pułkownika Dąbka, opór polski przeniósł się na półwysep. Odcięty 14 września od lądu, Hel miał niewiele ponad dwa tysiące żołnierzy do obrony, a od pierwszego dnia wojny przechodził najdotkliwsze jej doświadczenia. Zaczęło się od nalotów powietrznych, od których zapaliły się wyschnięte w upalnych pogodach lasy sosnowe. W ten żar, którego dymów nie chciał rozwiać wiatr, padały bomby lotnicze i pociski artyleryjskie. Na Hel strzelały dwudziestoośmiocentymetrowymi działami dwa pancerniki, wprawdzie starego typu, lecz wyposażone w nową artylerię, Schlesien i Schleswig-Holstein, znany Polakom z walk na Westerplatte. Ze zdobytego wybrzeża zaczęły bić dwie baterie piętnastocentymetrowe, ustawione na lorach, pociąg pancerny podjeżdżający od Pucka i artyleria atakującej piechoty.

W ognistej młocce nie wiadomo było, gdzie się schronić i przeciw komu walczyć. Dzień w dzień nadchodziła jakaś wiadomość o zatopionym okręcie lub o ciężkim ataku. Na łódź podwodną Sęp rzucono raz trzydzieści pięć bomb, na łódź podwodną Ryś kiedy indziej pięćdziesiąt trzy bomby. Z ocalałych okrętów wychodzili ludzie na pół przytomni.

Straszliwy ucisk nerwów i szaleństwo zniszczenia nie obezwładniły jednak obrońców. Upiorna pozycja, otoczona zewsząd morzem i zalewana zawsze ogniem, ostrzeliwała się bezustannie.

Hel nie miał lotniska, musiał bronić się z ziemi. Artyleria przeciwlotnicza dwoiła się i troiła. Na pojedynek tych strzelców, przykutych do półwyspowej tratwy pod stadami kołujących maszyn, żołnierze patrzyli jak na jedyną możliwość odwetu. Widok każdego zestrzelonego samolotu wyrywał z gardeł okrzyk, który toczył się po wszystkich oddziałach. Nie było dnia, by półogłuchła załoga obrońców nie podnosiła takiego wiwatu.

Z okrętów, które poranione w bojach i niezdatne do walki, dopływały tu, by utonąć, zdejmowano działa i potem montowano je na nowych stanowiskach; marynarze przechodzili do spieszonych oddziałów. Ocalałe trawlery wypływały nocą na niewiarygodne wyprawy pomiędzy okręty niemieckie i stawiały miny w Zatoce Gdańskiej, która wydawała się przeniknięta wzdłuż i wszerz przez wroga. Dowódca baterii artyleryjskiej na cyplu półwyspu stał przy swych

działach owinięty w bandaże, uciekłszy samowolnie ze szpitala. Na pancerniku Schleswig-Holstein wylądowała celna salwa polska, która wywaliła jedną z jego wież strzelniczych i rozbiła pyski najjadowitszych armat.

Od lądu jednak przeciwnik wnikał z wolna na polską groblę. Odpędzano go stamtąd kontratakami, a jeden z nich, dokonany przez oddział marynarzy, wyciął w pień intruzów i dotarł aż do Swarzewa. Niemcy wracali ponownie, raz, drugi i trzeci, ze świeżymi siłami. Główne uderzenie powierzyli wyborowemu pułkowi, znanemu Klehm-Regiment, od nazwiska dowódcy.

Po tych frontowych szturmach poszarpani dotkliwie przez straceńców z Helu przyjęli taktykę, na którą nie było, zdawało się, środka obrony. Zmasowali ogromną ilość artylerii i ogniem jej siekli grunt wąskiego półwyspu metr po metrze, tak że nic tam nie mogło się ostać. Atakująca piechota wchodziła na istne rumowisko terenu, który kiedyś wymagał tylu zachodów i pracy, by istnieć i utrwalić się śród morza. Półwysep, atakowany w ten sposób u nasady, niszczony artylerią wzdłuż całej swojej długości i rozbijany najsilniejszą koncentracją ognia u cypla rzuconego w morze, osaczała przemoc nie do odparcia.

Dowództwo uciekło się wtedy do ostatecznego wybiegu. Postanowiono wysadzić w powietrze najwęższe części Helu i odciąć się przez to od atakujących Niemców, przynajmniej na jakiś czas.

– Z półwyspu mieliśmy stać się wyspą – opowiadał komandor. – Przygotowanie tego powierzono mnie.

Jako szef służby broni podwodnej miał on pod sobą składy torped, używanych przez łodzie podwodne. Ponieważ okręty te były już wszystkie uszkodzone, dalsze przechowywanie torped stało się bezcelowe. Przeznaczono je teraz do innego użytku, do obrony lądowej. Komandor miał ułożyć z nich pola minowe.

Użyto do tego tak zwanych głów torpedowych. Są to przednie części torped, napełnione materiałem wybuchowym. Siła ich była duża, ważyły trzysta trzydzieści, trzysta pięćdziesiąt kilogramów każda.

Komandor postanowił utworzyć trzy pola minowe. Pierwsze znajdowało się o kilometr za miejscowością Chałupy, drugie o trzy kilometry za pierwszym i trzecie przed Kuźnicami, mniej więcej w połowie półwyspu, gdzie istniały przygotowane wprzódy umocnienia betonowe.

Na pierwszą linię Ł. wybrał najwęższy skrawek Helu, liczący sto pięćdziesiąt metrów od morza do morza. Prace zaczęto 17 września w nocy. Zdejmowano z torped żółto malowane stożki głów, ładowano je na samochody i przewożono ze schronów na pozycje. Do pierwszej linii przeznaczonych

było trzydzieści głów, łącznej wagi dziesięciu ton. Przewożenie ich zajęło dwie noce. Jednocześnie saperzy zaczęli kopać doły, co można było robić także tylko nocą. Chodziło o to, aby umocnienia te wykonać niepostrzeżenie dla Niemców. Zresztą za dnia wszelka praca była niemożliwa – z powodu nalotów i ostrzału artylerii.

Głowy torpedowe układano w szachownicę, jeden pocisk w odległości dziesięciu metrów od drugiego. Łączyły się one ze sobą lontem detonującym. Za polem minowym zbudowano w specjalnym okopie posterunek ogniowy, skąd jeden ruch ręki miał wysadzić w powietrze przesmyk półwyspu. Posterunek połączony był z podziemnym systemem wybuchowym pola również za pomocą lontu detonującego, a prócz tego podwójnymi przewodami elektrycznymi. Dawało to maksimum pewności, że wybuch nastąpi. Tuż za polem minowym zaczynał się las, którego pasmo, równoległe do pola, wyrąbano i zablokowano na zasiek. Budowę pierwszej linii skończono 20 września. Hel był podminowany. Komandor rozpoczął pracę nad drugim i trzecim polem.

Tymczasem na przodzie przed liniami toczyły się walki swoją koleją. Niemcy po każdym natarciu podciągali bliżej artylerię i osłaniali się drutem kolczastym. Jeszcze dwudziestego kontratak polski zdołał przedrzeć się przez ich umocnienia i wydusić nacierających ze zdobytego terenu. Ale już pięć dni potem Hel miał stać się wyspą.

Jak zawsze Niemcy zaczęli swą akcję od gwałtownego obstrzału artyleryjskiego. Godzinny ogień huraganowy zalał drobny odcinek eksplodującą lawą. Potem przeszła do ataku piechota. W pierwszym szeregu biegli brzegiem morskim sygnaliści z tarczami. Wskazywali oni obserwatorom, jak posuwa się linia piechoty i dokąd przerzucać ogień artyleryjski. Oddziały nasze cofały się i dotarły poza pole minowe. Na posterunku ogniowym został patrol minerski z podporucznikiem marynarki J.

– Rozmawiałem z nim potem – opowiadał komandor – łatwo pan zgadnie, jak byłem ciekawy każdego szczegółu. Dzień i noc nie miałem spokoju, czy robota moja na coś się przyda. Mój udział to były przygotowania, rozstrzygała sekunda beze mnie. Porucznik opowiadał mi, że miał chwilę nie byle jakiej emocji. Widział, jak Niemcy wychodzą na otwarty teren, jak artyleria przerzuca naprzód swój ogień metr po metrze. Minęli rozbite zabudowania Chałup, weszli wreszcie na pola minowe, dotarli na wyrąb leśny, gdzieśmy pokładli drzewne zapory. Zbliżała się rozstrzygająca chwila, właśnie ta moja sekunda. Porucznik zakręcił zapłon elektryczny, który w naszym języku zwaliśmy zapalarką. Nastąpi wybuch – czy nie? Artyleria mogła przecież naruszyć połączenia z posterunkiem ogniowym. Ale widocznie torpedy czuły się

dobrze w swym ukryciu. Spod ziemi eksplodowało dziesięć ton. Poszczególne kratery połączyły się razem, woda wdarła się z obu stron i zalała wyrwisko w mgnieniu oka.

Atak niemiecki zatrzymał się w tej przepaści. Hel stał się wyspą. To było moje apogeum – zakończył.

Opowiadając o tym, komandor nie tracił swego opanowanego tonu. Nigdy nie komentował przedstawianych faktów, tym razem poprzestał także na paru słowach:

– Ta sekunda dała mi przedsmak zwycięstwa, czego los nam w tej wojnie odmówił. Rozpacz nie jest naturalnym pokarmem życia, choć przecież można żyć narkotykami. Do czasu, ale można.

Hel żył tak do 1 października. Bronił uparcie płachetki pozostałej ziemi. Walki te pomniejszyły jeszcze bardziej nową wyspę, nieznaną na żadnej mapie. Cofające się wojska wysadziły w powietrze drugą linię, chroniąc się poza ostatnią. Dalsza obrona stała się jednak niemożliwa, zabrakło żywności i amunicji.

Dnia 1 października o godzinie drugiej po południu ustały działania wojenne według układu kapitulacji. Na pięć minut przed tym, o 13.55, artyleria polska zestrzeliła jeszcze jeden samolot.

Odparła ostatni, bardzo gwałtowny nalot wykonany przez Niemców z przyczyn niedających się odgadnąć, zapewne z dzikiej żądzy zabijania Polaków.

Był to pięćdziesiąty trzeci samolot zbity w obronie morza. Potem Hel umilkł. Antena na dachu Polski powiedziała światu wszystko.

Komandor dostał się do niewoli. Rozminowując pola, według warunków umowy, rozmawiał często z Niemcami. Uważali oni półwysep za niezdobyty. Dowództwo planowało desant, do którego przygotowano sześćdziesiąt okrętów i dwieście bombowców. Przewidywano wysadzenie wojsk z dwu stron broniącej się pozycji. Hel nazywali wulkanem.

Mój znajomy nie komentował faktów. Rozumieliśmy się bez tego. Wystarczyło nam spojrzeć dokoła, na wesołe i szczęśliwe morze Brazylii, i porównać je z losem naszych wód, ściśniętych w kostniejącej garści.

Kazimierz Wierzyński, *Pobojowisko*, Warszawa: Instytut Wydawniczy PAX, 1989, s. 73–86

1945

Józef Mackiewicz (1902–1985)

Zobaczyć, sprawdzić, zlustrować, ustalić

Kiedyś, gdy na międzynarodowych konferencjach istniał zwyczaj osobistego przedstawiania się uczestników, przyszła kolej na Józefa Mackiewicza. Wstał i, jak pisała jego żona Barbara Toporska, powiedział: „Józef Mackiewicz. Zawód: pisarz. Narodowość: antykomunista. Przekonania: kontrrewolucjonista. Kraj pochodzenia: Europa Wschodnia".

Pamiętany jest jako pisarz, publicysta emigracyjny i przeciwnik komunizmu. („Katastrofa to nie śmierć połowy ludzkości w wojnie atomowej, katastrofa to życie całej ludzkości pod rządami komunizmu"). Niestety, niezbyt pamiętany jako reporter. Jego *Bunt rojstów* z 1938 roku – zbiór reportaży, które pisał dla wileńskiego „Słowa" – to głośna opowieść o naszym „bliskim wschodzie", czyli Wileńszczyźnie i Polesiu. Opowieść o „cichym i cierpliwym człowieku tych ziem" i o ginącym świecie, „nietkniętym przemyślnością człowieka kultury materialnej".

Urodzony w Petersburgu, dzieciństwo spędził w Wilnie. Od roku 1922, gdy debiutował znakomitym tekstem *Z ostępów leśnych Białowieży* (w tomie *Bulbin z jednosielca*), aż do wybuchu wojny publikował w dzienniku „Słowo", którego redaktorem naczelnym był jego brat Stanisław Cat-Mackiewicz (patrz s. 427). Józef jako publicysta walczył z polską administracją, która – jego zdaniem – w imię racji stanu niszczyła wielonarodowościową i wielowyznaniową mozaikę dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Mackiewicza reportera wziął więc we władanie przymus. Przymus opowiedzenia prawdy o ważnym dla niego miejscu. „Otwórzmy oczy na tę »rzeczywistą rzeczywistość«, w której niedostrzegalnie dla P.T. opinii publicznej żyją »doły«" – pisał o tej książce Ludwik Chomiński, były poseł ludowy, i wzywał: „Zdławmy w sobie wstyd przy czytaniu pewnych ustępów".

„Jak to wygląda naprawdę, chciałbym właśnie opowiedzieć" – deklaruje Mackiewicz w reportażu *Przez błotną pustynię wiedzie droga do raju*.

Zaczyna się on tak:

> Przed rokiem, czy też dawniej, w prasie ukazała się krótka, ale o frapującej treści notatka. Na Polesiu, wśród błot odkryto wieś. Wieś, w której ludzie żyli odgrodzeni od świata tajemniczymi ścieżkami. Nie wiedzieli, co na tym świecie się dzieje. Nie płacili podatków. – Nie stawali do wojska, nie

odbywali szarawarków. Jednym słowem – wieś-raj… […] Wiadomość ta wydała mi się nieprawdziwą. Znając Polesie, wiem, że w zimie wszędzie dojechać można saniami. A znając jednocześnie gorliwość naszych urzędów skarbowych, wiem, że dla ich urzędników dwadzieścia czy sześćdziesiąt kilometrów sannej drogi nie stanowi większej przeszkody. […] Postanowiłem tedy rzecz całą zbadać. Dostać się do tej wsi za wszelką cenę, zobaczyć, sprawdzić, zlustrować, ustalić. I albo zachować w tajemnicy ścieżki, jakie do niej prowadzą przez rzeczywistość dzisiejszej Polski, albo… odrzeć ją z legendy. Dotarłem. Kosztowało mnie to półtora dnia jazdy koleją. Czterdzieści kilometrów furmanką i dwadzieścia dwa kilometry piechotą przez błota […].

Reporter Mackiewicz odnajduje wieś, w której ponoć nie wie się, że była jakaś wojna, a ludzie załatwiają swoje potrzeby wprost za progiem domu, bo „nikt" nie widzi. Byłby jednak tylko opisywaczem, a nie reporterem, gdyby pogłosek o jej istnieniu nie potraktował jako diagnozy polskiego społeczeństwa, a tajemniczej wsi jako metafory.

Po zajęciu Wilna przez Litwinów był redaktorem i wydawcą „Gazety Codziennej". Podczas powtórnej okupacji sowieckiej pracował jako drwal i woźnica. W 1943 roku na zaproszenie niemieckie i za zgodą polskich władz podziemnych pojechał do Katynia, aby być świadkiem ekshumacji zwłok polskich oficerów. Napisał pierwszą książkę o zbrodni katyńskiej (wydanie niemieckie – 1949, wydanie polskie: *Sprawa mordu katyńskiego*, Londyn 2009). Od 1945 roku – na emigracji; mieszkał z żoną, pisarką Barbarą Toporską, najpierw w Londynie, potem w Monachium. Drukował m.in. w paryskiej „Kulturze" i londyńskich „Wiadomościach".

Jesienią 1943 roku był mimowolnym świadkiem wymordowania wileńskich Żydów. Napisał o tym reportaż *Ponary – „Baza"*, drukowany w piśmie 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych „Orzeł Biały".

Mam poczucie, że to jest najlepsze, co przeczytałam o Zagładzie – mówiła Hanna Krall. – Gdy pisał swój tekst w 1945 roku, słowa, którymi się posłużył, były jeszcze niezużyte.

Ponary – „Baza”

Jeszcze nie tak dawno las wbijał się klinem w miasto Wilno. Mianowicie w to miejsce węzła kolejowego, z którego wybiegają jego obydwie południowe odnogi: na Lidę i na Grodno. Tu rósł na wzgórzach, aż go przetrzebiono po tamtej Wielkiej Wojnie i pozostawiono tylko dęby. Później wycięto i dęby, zostawiając jedynie krzaki leszczyny, gdzieniegdzie młodą jarzębinę i temu podobne leśne nic-potem. Krowy i kozy kolejarzy, pasące się w tych chrustach, wyszargały krzaki, objadły korę, zdeptały skarpy. Potem zabrano je pod teren wciąż rozbudowywanej stacji Wilno-Towarowa, zbrukano przy tym pyłem węglowym, zadymiono z kominów. Wreszcie wybudowano jakieś składy wojskowe czy amunicyjne.

Ale wzgórze to ważne jest dlatego, że odeń ciągnie się ich dalsze pasmo, aż do coraz wyższych, do dziś dnia wciąż jeszcze zalesionych i malowniczych, przebitych opodal tunelem i na kilometrze od jego przeciwległego od Wilna wylotu, zaszczyconych (bo na szczycie) stacją-przystankiem: Ponary.

Góry Ponarskie znane są od dawna. Znane są ze swej malowniczości, z wysokości swych sosen, z poematu Mickiewicza, z bitwy rozegranej tu w roku 1831 pomiędzy wojskami polskimi i rosyjską gwardią carską. Zresztą z wielu bardzo wcześniejszych i późniejszych okoliczności. Tamtędy przechodzą szosy, które zaraz za starodawną kapliczką rozbiegają się jak palce u ręki w czterech ukośnych kierunkach: na stację Ponary, na Grodno, na Wakę i Landwarów, na Rykonty i Kowno. Tam, koło przystanka kolejowego zbudowano miasto ogród, po naszemu zwyczajne letnisko, ale mogące być uzdrowiskiem, bo choć sosny przerzedzone zostały przez liczne wojny i najazdy (od roku 1914 było ich piętnaście), pachnie tu żywicą rok okrągły, a na jesieni grzybami i zimnym, potężnym wiatrem, który nawiewa świeżość ze wszystkich stron kraju. Rosną też wyjątkowo wysokie wrzosy, na tej jałowej, piaszczystej, suchej, zdrowej dla płuc glebie. Wrzosy nie przynoszą pożytku, ale nadają okolicy jej tylko swoisty koloryt. Podkreślają tę siność, ten smętek, którego źródłem są rdzawo jednostajne pnie drzew, wczesne mgły i bezmierne dalekości horyzontu.

Kto kochał swój podwileński kraj rodzinny, ten kochał oczywiście Ponary. Zimą bywały tam tereny narciarskie. Wstyd przyznać, ale były też tereny... pojedynkowe. Panowie, którzy dali sobie nawzajem po mordzie w knajpie

albo nawymyślali po pijanemu, albo zniesławili w druku – zwyczajem kraju, przyjeżdżali tu z kodeksem Boziewicza[1] i staroświeckimi pistoletami. Brnąc zawsze po kolana, bo czy to we wrzosach, czy w śniegu, odmierzali potrzebną liczbę kroków i wyciągali przeciw sobie długie lufy. Pstry dzięcioł przestawał stukać i z niedowierzaniem przechylał głowę, wiewiórka podłaziła wyżej, aby się lepiej przyjrzeć... Szoferzy, którym od świtu nie dano spać, ziewali w taksówkach aż do wymiany strzałów.

Ponary zasłynęły też pewną zbrodnią. Przywieziono tu kiedyś autem do lasu zamordowaną kobietę, rozebrano, oblano naftą i spalono. Spódnica i bielizna wisiały na drzewach. Cały kraj był wstrząśnięty, przyjeżdżali do Ponar reporterzy i fotoreporterzy, śledztwo trwało latami, sprawców nie wykryto. A mrożące krew przypuszczenia... Takie to były czasy.

Wszystko to było, wszystko runęło. Przyjemność letniska, piękność okolicy, siność horyzontów, narty, pojedynki i wstrząsające zbrodnie pokojowych czasów zatrzaśnięte zostały już tylko w pamięci bezpowrotnej i mogą dziś być oglądane chyba jak przez szybę, przez którą żebrak spoziera na klejnoty.

Ponary stały się w tej wojnie uosobieniem niesłychanej dotychczas grozy. Na dźwięk tych sześciu liter zakończonych „ypsylonem" truchlał niejeden człowiek. Ich ponura, odrażająca sława przesączała się z wolna od roku 1941, jak lepko cieknąca krew ludzka, coraz szerzej, coraz szerzej po kraju i z kraju do kraju, ale nie objęła jeszcze świata całego, do dziś dnia.

W roku 1940 założyli w Ponarach bolszewicy, na spiłowanym bezmyślnie kawałku lasu i odebranych od ludności terenach, jakieś nikomu niepotrzebne przedsiębiorstwo państwowe, wielkie place otaczając, swoim zwyczajem, mocnym płotem i drutem kolczastym. Z tak zniwelowanego terenu skorzystali Niemcy w roku 1941 i użyli pod miejsce kaźni, uruchamiając tu jedną z największych w Europie rzeźni Żydów. Nikt nie wie, dlaczego i kto właściwie przezwał ten teren „bazą". Do Ponar podwożono ciężarówkami, a następnie całymi transportami kolejowymi, tysiące Żydów i zabijano.

Dalekim echem spływały z tych wzgórz, het, w wielokilometrowy krąg, pojedyncze strzały, krótkie, urywane, gęste, trwające nieraz wiele godzin, albo na przemian terkoczące seriami broni maszynowej. Odbywało się to w różnych terminach, prawie wyłącznie w biały dzień. Nieraz kilka takich dni z rzędu, przeważnie ku wieczorowi lub rankiem. Bywały tygodnie, a nawet miesiące przerwy, a później znów, zależnie od kierunku i siły wiatru, od pory roku, mgły czy słońca, rozchodziły się mniej lub więcej wyraźne postukiwania masowej rzezi.

[1] Polski Kodeks Honorowy autorstwa Władysława Boziewicza, publikacja z 1919 roku dotycząca zasad postępowania honorowego, w tym odbywania pojedynków. W Polsce międzywojennej podstawowy dokument (choć pozaprawny) regulujący te zasady.

Miałem nieszczęście mieszkać, wprawdzie przy drugiej z rozwidlających się od Wilna tras kolejowych, ale tylko w odległości ośmiu kilometrów od Ponar. Początkowo w kraju, tak nasyconym wojną i wojną jak nasz, nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na strzały, które bez względu na kierunek, skąd pochodziły, wplątały się już były w normalny poszum sosen, nieomal jak rytm znajomy deszczu, bijący jesienią o szybę. – Ale razu pewnego wchodzi na podwórko moje szewc, który odniósł połatane buty i, opędzając się od kundla, tak, dla zagajenia rozmowy, powiada:

– Ale cości dziś bardzo Żydków naszych stukają na Ponarach.

Nadsłuchuję: istotnie.

Czasem to takie, głupie zdanie utkwi w pamięci jak drzazga i przywołuje skojarzone z nim obrazy chwili. Pamiętam, że słońce zaczynało się wtedy kłonić, a właśnie na zachodnim, na ponarskim kierunku rosła w moim ogrodzie rozłożysta jarzębina. Była jesień późna. Stały kałuże po rannym deszczu. Na jarzębinę zleciało stado gilów i stamtąd, od ich czerwonych brzuchów, czerwonych jagód i czerwonego nad lasem słońca (wszystko się tak ułożyło symbolicznie) szły nieustanne strzały, wbijane w słuch z metodycznością gwoździ.

Od tej chwili, od wizyty tego szewca, żona moja zaczęła zamykać nawet lufciki, ilekroć stamtąd biegło echo. Latem nie mogliśmy jadać na werandzie, gdy w Ponarach zaczynała się strzelanina. Nie przez poszanowanie dla cudzej śmierci, a tak, po prostu, kartofle z mlekiem nie chciały jakoś przełazić do gardła. Zdawało się, że cała okolica lipła od krwi.

Po roku 1942, gdy do Ponar zaczęły zjeżdżać masowe transporty skazańców, w lasach biegali Żydzi, którzy się wyrwali z kręgu konwoju, przeważnie postrzeleni, zupełnie tak samo, jak biega ranna zwierzyna. Błąkali się pokrwawieni, krwawiąc pod sobą mech czy liście, wcale nie sprytniejsi od dzikiego zwierza, który też nie potrafi zatrzeć po sobie śladów. Pewien stary Żyd, ze szczęką oderwaną przez kulę, umarł aż w odległości dziesięciu kilometrów od Ponar, zaszyty w rojsty[2] na torfiastej łące. Ani w ich ruchach, ani w ich ucieczce, w sposobie chowania, w ich bełkoczącym z głodu i przerażenia języku, w ich fantastycznych łachmanach i ranach, a głównie w ich oczach pozieleniałych dzikością nie było już nic człowieczego. Tropiono ich też tak samo jak zwierzynę. Szli więc policjanci-strzelcy, z psami, z nagonką. Kobieta, dziecko, dziewczyna młoda, mężczyzna – Żyd, to nie robiło różnicy. Ranny czy zdrowy, czy umierający właśnie gdzieś pod krzakiem jałowca strzelany był po prostu na miejscu i tropiciele szli dalej. Sołtys miał tylko później nakazane wyznaczyć wóz czy sanie i trupa odwieźć w oznaczonym kierunku.

[2] Patrz s. 394, przyp. 1.

Żydzi wiedzeni już nie ludzkim odruchem, a zwierzęcym instynktem przedśmiertnej ucieczki, tak samo jak zwierzęta unikali siedzib ludzkich, psów, głupich dzieci, które z czujnym okrzykiem i oznajmieniem nowiny biegły do wsi, wskazując palcami miejsce, gdzie wypadkiem spostrzegły ludzkiego potwora. Bezwzględnie stosowany przepis karał śmiercią każdego człowieka, który by Żydowi udzielił schronienia, a chociażby kawałka chleba czy nawet tylko wskazówki, który by wiedząc, nie powiadomił policji. A policja ta, złożona z mętnych opryszków, których Niemcy werbowali na Litwie i przywozili do Wileńszczyzny, nastawiona była nie tylko na zabijanie Żydów, ale gnębienie ludności, na rabunek, szantaż i picie samogonu. – Strach zaś jest najpodlejszym doradcą człowieka.

A jednak żyli ludzie nawet w samych Ponarach. Mniej ich było. Połowa, to jest w ogóle kto mógł, zatrzasnął drzwi, werandę i okna pozabijał z płotu wyciągniętymi deskami i przenosił się do miasta czy do innej okolicy. Ale byli tacy, którzy nie mogli. – Życie ludzkie toczy się w wąskich, obciosanych ramach, obciosanych z trudem, a już podczas wojny większym niźli w okresie pokoju. Żadne bydlę nie potrafi się tak dostosować do warunków, tak obgłaskiwać nawet przez grozę, tak do wszystkiego na świecie się przyzwyczaić jak – człowiek. Przez stację Ponary szły pociągi i z Generalnej Guberni, i dalekobieżne z Berlina na front i z frontu, lokalne z Kowna, podmiejskie i robocze z i do Wilna. Ludzie więc kupowali bilety, jechali, wracali, jedli, spali. Żyje ich tyle wokół rzeźni zwierzęcych na całym globie ziemskim, dlaczegoż by po kilku latach nie mieli się przyzwyczaić do życia w bliskości rzeźni ludzkiej?

Zdaje się, że było to w październiku roku 1943 – ...Wieluż to do tego czasu i od tego czasu wymordowano Żydów w Ponarach? Niektórzy twierdzili, że tylko osiemdziesiąt tysięcy. Inni, że dwieście tysięcy do trzystu tysięcy. Naturalnie nie są to liczby wiarygodne. Trzysta tysięcy ludzi! Ludzi!!! To się łatwo wymawia... ale liczby te niewiarygodne się zdają nie tyle ze względu na ich wysokość, co na fakt, że nikt z całą stanowczością, nawet w przybliżeniu, ustalić ich nie mógł. Wiadomo jest, że mordowano tam wszystkich żydowskich mieszkańców miasta Wilna, co musiało stanowić około czterdziestu tysięcy. Poza tym zwożono Żydów transportami ze wszystkich mniejszych i większych miast kraju okupowanego, bodajże z całego tak zwanego administracyjnie Ostlandu. Zwożono ich rodzinami z getta bądź też z robót sezonowych, po których zakończeniu nie wracali do getta, a jechali na śmierć.

A więc w październiku 1943 roku zaczął się okres masowego zwożenia Żydów do Ponar. Nikt naturalnie nie był o tym uprzedzony ani nie wiedział, czy

po ostatniej masowej egzekucji nastąpi jeszcze jedna, czy też dłuższa przerwa.

Jeden z moich znajomych, który od początku chwytał się był za głowę i zaklinał, że dnia nie wytrzyma dłużej, bo oszaleje, wytrzymał jednak bez mała trzy lata. Miałem do niego interes pilny. Nie przyjechał na umówione spotkanie do Wilna, więc nazajutrz pożyczyłem rower i rankiem ruszyłem do Ponar.

Ranek nie był dżdżysty, raczej tylko śliski. Co chwila przednie koło roweru wybiegało w płytką kałużę i co chwila jakiś liść ze ścieżki, bury, przylepiał się do gumy i obracał z nią kilkakrotnie, odpadał jak coś niepotrzebnego, a później lipnął drugi. Nad Górami Ponarskimi wiatr pędził chmury pod chmurami, postrzępił je całe i powyciągał wzdłuż, ale do błękitu nieba nie mógł się przedrzeć. W wąwozach było cicho. Na drogach bocznych pusto-pustynno i woda deszczowa niezmącona przejezdnym kołem, stała w koleinach. – Dla kogoś rejestracja tych prostych faktów wydać się może błahą i niepotrzebną. Dla mnie była ona dekoracją jednego z największych przeżyć życia. Minąłem bokiem tunel kolejowy, wjechałem w brzeźniak. Rower tu szedł po złotej ścieżce usłanej z liści i szeptał gumami: lip, lip, lip. A zaraz za brzeźniakiem wpadłem na wartownika. Był to Estończyk z formowanych przez Niemców krajowych oddziałów ss. Czerwony na twarzy, jakby podpity dobrze. Zrobił ruch, że chce mnie zatrzymać, ale popatrzył tylko zamglonymi oczyma i puścił. Pojechałem ścieżką koło toru kolejowego.

Już z oddali widać było stojący na stacji pociąg osobowy. Stanął na bocznym torze, bez pary. Ścieżka znosi mnie w dół, pod nasyp, i oto mijam widok, który z wieloma tego dnia utkwił mi chyba na zawsze w pamięci. Pod niskorosłą sosenką, wyrastającą, jak wiele w tych okolicach, dwoma pniami w kształcie liry, stoi drewniany stół. Na stole kilka wysmukłych butelek litewskiej monopolowej wódki, pocięty chleb i zwoje kiełbasy. Jakby stragan na odpuście. Stół otacza kilkanaście postaci w mundurach. – Nacisnąłem pedał.

– *Halt!* – powiedział Niemiec w mundurze gestapowca.

Wyjąłem dokumenty i odczuwam, że to wszystko razem jest wstrętne, ta wódka i te twarze pijących, i to, że mnie serce skacze pod gardło, i te zwoje kiełbasy, i fakt, że ten chleb pokrajał ktoś z takim pietyzmem na równe kawałki, a zwłaszcza ten stolik, i dlaczego on się kiwa? Nie mogli to postawić go równiej? I co to ma w ogóle znaczyć? Kilku Niemców z gestapo, kilku czarnych ss. Przeważają policjanci litewscy, ale też jakaś zbieranina w jasnych niemieckich mundurach z odznakami litewskimi, łotewskimi, estońskimi, ukraińskimi...

– *Wo fahren Sie hin?*[3] – pyta Niemiec, oddając mi papiery.

[3] *Wo fahren Sie hin?* (niem.) – Dokąd pan jedzie?

Tłumaczę, że do swego znajomego w osadzie. Kiwa głową i nożem, który trzymał cały czas w ręku, zabiera się do kiełbasy, a później dorzuca spokojnie:

– Tylko musi się pan spieszyć.

„Po co oni piją tu tę wódkę?"... i nagle wyjeżdżam przed pociąg. W tym miejscu leżały w poprzek ścieżki porozrzucane podkłady kolejowe, więc zsiadłem z roweru i zaczynam na chwilę wszystko rozumieć. Bardzo długi pociąg (wówczas nie przyszło mi na myśl policzyć jego wagony) wypchany Żydami. Wyzierają zeń twarze, czasem do ludzkich twarzy niepodobne, ale i inne o normalnym wyglądzie, niektóre nawet uśmiechnięte. Pociąg obstawiony jest policją. Jakoś to wszystko wygląda mi za prosto, jakoś nie tak, jak dyktowała dotychczas wyobraźnia. Czy podobna, żeby tych tu... ich wszystkich... Stanąłem wsparty o rower i w tej chwili jakaś młoda Żydówka wychyla się z okna wagonu i wprost, najnaturalniej w świecie, pyta policjanta:

– Czy prędko pojedziemy dalej?

Policjant spojrzał na nią, nie odpowiedział i miarowym krokiem wartownika, wybierając podkłady pod stąpnięcie, odszedł, a zrównawszy się ze mną, powiedział w półuśmiechu... (a nie był to uśmiech zły ani zawstydzony, ani wesoły, raczej głupkowaty), powiedział wtedy:

– Ona się pyta, czy prędko pojedzie?... Ona już za pół godziny może żyć nie będzie.

Patrzę w to okno. Widzę jej twarz, a tam, tam pod łokciem wyłazi głowa dziewczynki i nawet coś na jej włosach na podobieństwo kokardki. Na dachu wagonu skaczą wróble. – I dziwna rzecz, ja myślę w tej chwili: „Ona pojedzie i dziewczynka z łachmankiem zamiast kokardki pojedzie, i oni wszyscy, cały pociąg. To raczej wartownik się myli"... Ale gdy tak myślę, czuję, że nogi pode mną drżą. Ktoś wrzeszczy, bym tu nie stał. Odchodzę i wzrok mój pada na ten nieubłagany napis, wymalowany czarnymi literami na białym tle: „Ponary". Tablica jak tablica, wsparta na dwóch słupach, słupy wkopane w ziemię. To wszystko bardzo proste, i takie same jak tablice innych stacji. Wszystkie one zawsze stoją naprzeciw zatrzymanego pociągu i przemawiają doń swymi literami.

Odchodzę za siatkę, przedzielającą w tym miejscu ślepy tor... „P" jak Paweł... „onary" same to nic nie znaczą, pusty dźwięk, i w tej chwili dźwięki dochodzące z pociągu zaczynają brzęczeć, zrazu jak rankiem obudzony ul; później coś w nim rzęzi, potężnieje chrobot u zamkniętych na głucho drzwiczek, jak chrobot tysięcy szczurów, później robi się rwetes, gwałt straszny, przechodzi w ryk, wrzask, wycie... pękają uderzone pięściami szyby, trzeszczą, trzeszczą, a później łamią się pod naporem poniektóre drzwi. – Policjanci

zaroili się, zwielokrotnili w oczach, zabiegali, gestykulując i zrywając karabiny z pleców. Dał się słyszeć metalowy trzask zamków i ich, policjantów, dziki, groźny ryk w odpowiedzi na ryk ludzi zamkniętych w pociągu.

Zobaczyłem jeszcze, jak wróble uleciały z dachu wagonu, a będąc już oddzielony metalową siatką od fatalnego toru, zdążyłem wskoczyć pod okap budynku stacyjnego. Chwała Bogu, stało tam jeszcze dwóch kolejarzy w mundurowych czapkach. Nie byłem sam. Trzymam kurczowo rower i podświadomie czuję, że wobec tego, co nastąpi, tego najstraszniejszego, co nastąpić musi, ten rower, ci kolejarze, do których przylgnąłem, to stanie w miejscu bez ruchu, to jedyna legitymacja na prawo dalszego życia. Stłoczyliśmy się razem za tym rowerem jak za szańcem, bo uciekać nie było już gdzie.

Żydzi zaczęli wyskakiwać z połamanych drzwi wagonów, a naprzeciwko biegli w sukurs straży oprawcy w różnorakich mundurach. Z okien zaczęto to wyrzucać tłumoki i walizki, i oknami też wyłazili Żydzi, sami niechlujni i nieforemni jak ich worki i pakunki. To było dziełem kilku sekund. – Pierwszy strzał padł w sposób następujący: jakiś Żyd wysiadał właśnie tyłem przez ciasne okno, spuścił nogi i wystawił właśnie siedzenie, a policjant podskoczył i z odległości jednego kroku – strzelił mu w tyłek. Strzał padł głośny i zaraz zerwały się wrony z pobliskich drzew. W ogólnym harmiderze nie było słychać, czy krzyczał trafiony, załopotały tylko jego zwieszone nogi w podciągniętych prawie do kolan nogawicach, tak że z bosych nóg spadł jeden kalosz, a drugi zadyndał na sznurku, przywiązany do kostki. Powstał upiorny wrzask i lament, i wycie, i płacz, i ze wszystkich stron naraz gruchnęły strzały, gwizdnęły kule, spadły z chrzęstem łamanych kości i pękających czaszek uderzenia kolb. – Ktoś skakał przez rów i trafiony między łopatki, spadł weń jak ciemny ptak z rozczapierzonymi na kształt skrzydeł ramionami. – Ktoś pełzł na czworakach pomiędzy szynami… Stary jakiś Żyd zadarł do góry brodę i wyciągnął ręce do nieba, jak na biblijnym obrazku, i naraz chlupnęła mu z głowy krew i kawały mózgu… Potoczyły się jakieś koszyki-kobiałki… Wywrócił się w biegu jeden policjant… Tiuuuu! gwizdnęła kula… Tam leżało dlaczegoś kilku ludzi, jeden na drugim… Cicho w poprzek szyny leżał może dziewięcioletni chłopak i choć, gdyby krzyczał, nie dosłyszeć by jego głosu, to widać było, że nie żył już, bo nie drga. – Zakotłowało się pod kołami wagonów, bo tam większość szukała ratunku i tam ich najbardziej polewano z broni maszynowej, jak z sikawek, w ciemną masę złachmanionych postaci. – Oto zeskakuje ta młoda Żydówka, płowe jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona w nieludzkim strachu, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwyta córeczkę… Nie mogę patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi,

a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy. Nie powtórzy tego żadna litera wymyślona przez ludzi!

...Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka. Ja nie słyszę, ale widzę z ułożenia ust małej, że woła ona: „Mame!"... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka; i nachylona ku przodowi chwyta matkę za włosy. – Czy wy myślicie, że ci oprawcy, kaci, gestapowcy, esesmani, że ta policyjna hołota zwerbowana do mordowania nigdy się nie rodziła jak my, nie miała matek własnych? Kobiet? – Mylicie się. Są oni właśnie z tej ludzkiej gliny, po ludzku – zezwierzęceni, bladzi jak śnieg, który tu kiedyś spadnie, są jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłędnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu... Bo jakże by wytłumaczyć można, że ten oszalały kompletnie policjant chwyta Żydówkę za prawą nogę i usiłuje wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z gębą tak przekrzywioną, jakby ciętą na ukos szablą, dokąd?! po co?! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczepia za szynę, spódnica zjeżdża do pasa, odsłaniając szare z brudu majtki, a dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i ciągnie je ku sobie, i nie słychać, a widać, jak wyje: „Mam-mme!"... Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew... Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok... A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami, uwiązanymi w ciemieniu kawałkiem łachmanka w kokardkę i... zamknąłem oczy, a zdawało mi się, że ktoś zadzwonił. Zadzwonił istotnie, kolejarz ściskający konwulsyjnie kierownicę mego roweru wpił się palcami w dzwonek, kurczowo nim targnął mimo woli, przechylił się naprzód i rzyga; rzyga na żwir peronu, na opony przedniego koła, sobie na ręce, mnie na buty, rzyga w drgawkach, podobnych do konwulsji tych, w jakich umierają tamci na szynach...

Żyd chciał przeskoczyć rampę, ranny w nogę padł na kolana i teraz słyszę wyraźnie i kolejno: płacz, strzał, rzężenie... Ach, a ten co r o b i?!!! Ten tam, obok, o czterdzieści kroków, nie dalej, w czarnym mundurze! Co on chce zro... Rozkraczył nogi koło słupa, stanął ukosem, zamachnął się dwiema rękami... Sekunda jeszcze... Co on ma w ręku?! Co on ma w tych rękach?!!! Na rany Jezusa Chrystusa! Na rany Boga! Coś wielkiego, coś strasznie strasznego!!! Zamachnął się i – bęc głową dziecka o słup telegraficzny!... Aaaa! aaa! aaa! – zakrakał ktoś koło mnie, kto taki – nie wiem. A w niebie... nie w niebie, a na tle tylko nieba zadrgały od uderzenia przewody drutów telegraficznych.

Nie wszyscy Żydzi opuścili pociąg. Większość została skuta strachem, sparaliżowana w ruchach, z tą iskierką zapewne nie tyle nadziei już, ile raczej

obłędu, że – to nieporozumienie, że im powiedziano przecież oficjalnie, że „jadą na roboty do Koszedar". (Tak mówiono wszystkim transportom, które zawijały do Ponar). Byli też tacy, co wyskoczyli, a później struchleli, stanęli wyprostowani przy wagonach, skamieniali, jakby lojalnością swej śmierci chcieli się od niej wykupić. Tych strzelano na miejscu, tak jak stali.

Jak długo mogło „to" trwać? Bóg jeden, który patrzył na pewno, a widział nawet poprzez gęste chmury tego dnia, mógł policzyć minuty. Widocznie jednak zbliżała się jedenasta, bo od południa biegł pociąg pospieszny z Berlina przez Wilno do Mińska, niezatrzymujący się w Ponarach. Maszynista, widząc tłumy ludzi na szynach, z oddali już gwizdał wściekle i widać było, że hamował. Ale stojący u wylotu stacji gestapowiec zamachał energicznie, żeby się nie zatrzymywał. Maszynista dał parę boczną, syczącą w białych kłębach i zakrywając na chwilę widok, przejechał po trupach i rannych, krając tułowia, kończyny, głowy, a gdy znikał w tunelu i rozwiała się para, ostały już tylko wielkie – kałuże krwi i ciemne plamy bezkształtnych ciał, walizek, tobołków, leżały do siebie wszystkie podobne i nieruchome. I tylko jedna głowa, ucięta u samej szyi, która potoczyła się na środek przejazdu, widoczna była wyraźnie jako głowa człowieka.

Pociąg z resztą Żydów stał już gęsto obstawiony strażami, a strzały dochodziły jeszcze częste, ale już bardziej oddalone, po lesie i wśród zabudowań osiedla.

Mówiono później, że kilkudziesięciu Żydom udało się jednak uciec. Resztę odprowadzono na „bazę". Mówiono dalej, że takich transportów przybyło w tym miesiącu około siedmiu. Mówiono też, że zastosowano specjalne środki konwojowe, które by zapobiegały na przyszłość podobnym wypadkom, którego ja byłem świadkiem.

Józef Mackiewicz, *Fakty, przyroda i ludzie*, *Dzieła*, t. 12, Londyn: Kontra, 1993, s. 17–27

Przedruk za zgodą Niny Karsov

1945

Lech Pietrzak (1911–1995)

I sąd jest literaturą

W latach trzydziestych prowadził w „Dzienniku Ludowym" codzienną rubrykę reporterską *Godzina w Sądzie Pracy*. Przez kilka lat relacjonował rozprawy związane z łamaniem praw pracowniczych. Jego teksty z sądu nie mogły być długie, a mimo to wychodziły poza ramy relacji sądowej.

Odcinek *O człowieku, który zgubił serce* zaczynał się tak:

> – Nie mam serca... Zgubiłem, proszę wysokiego sądu... – mówił powód, szewc chałupnik. Po tym wyznaniu, pełen determinacji i głębokiej nuty żalu po utracie serca, szewc chałupnik westchnął: – Nie mogę... [...] Człowiek, który zgubił serce, przestąpił z nogi na nogę, obleciał wzrokiem mroczny sufit i westchnąwszy, jął opowiadać [...].

Odcinek *Człowiek-koń* nie był zwykłą relacją z przebiegu procesu (choć Lech Pietrzak nawet zwykłe relacje starał się pisać w sposób wolny od rutyny). W tym wypadku szczegóły zasłyszane przez reportera na rozprawie pozwoliły mu stworzyć literacki portret skarżącego się przed sądem:

> Człowiek-koń odpoczywał. Jego uprząż – postronek konopny – zwisł luźno i nie rżnął żywego mięsa ludzkiej piersi. Dyszel wózka, wsparty na bruku, dotykał pięty człowieka-konia i nie szarpał już jego ramienia, nie bódł żeber prawego boku.
>
> Człowiek-koń ocierał brzegiem kapoty pot z czoła i z rozsapanych płuc oddawał resztki zmęczenia. Stał na szeroko rozstawionych nogach, nie bacząc na huk, gwar i pęd mijanych go koni-zwierząt i koni mechanicznych. On, człowiek-koń, zbierał siły na swoją drogę.
>
> Biegła ta droga w dół śmiałym zakrętem. O trzysta metrów dosięgał człowiek-koń składu towarów. Miał on zawieźć tam swój bagaż. Ciężki. Kilkaset kilo mosiądzu.
>
> Nie odsuwając stóp od dyszla, ujął drąg w obie garście. Ale gdy tylko dyszel podniósł, wnet ciężar kilkuset kilogramów naparł na człowieka. Wyciągał mu ramiona ze stawów, uginał kolana. Człowiek-koń szedł krok za krokiem. Obok niego biegły kłusem konie-zwierzęta i pełnym gazem konie mechaniczne. Okrzyki woźniców, wrzaski klaksonów ostrzegały go, by trzymał się brzegu i nie właził im w drogę.

Człowiek-koń nie właził w drogę. Trzymał się brzegu jezdni [...]. Lecz dyszel coraz bardziej wyciągał mu ramiona ze stawów, coraz silniej pchał go przed siebie i człowiek-koń począł biec. Najpierw truchcikiem, lekko wyrzucając nogi przed siebie, potem coraz szybciej stopy człowieka-konia waliły w bruk, coraz głośniej łoskotały koła wózka, aż trucht zmienił się w galop.

Pędził człowiek-koń po pochyłej jezdni. Krzyczał co siły, by mu dano drogę. Wparł pięty w kamienie, chciał hamować toczący się ciężar, lecz jego ludzkie siły były na to zbyt słabe.

Walił wóz z góry całą siłą, pchał przed sobą człowieka, aż wyrżnął w inny wehikuł i rozłożył się do góry kołami.

Człowiek-koń upadł. Podnieśli go przechodnie. Dobrzy ludzie zebrali rozsypany towar i rozsypany wózek. Wózek odstawiono do firmy platformą, a człowiek-koń pokuśtykał do pracodawcy luzem.

Teraz stoi przed sądem pracy i domaga się sprawiedliwości. Prosi o zmuszenie firmy do wypłacenia mu całego zarobku bez potrąceń za zniszczony wózek.

Sąd, stwierdziwszy, że firma obciążała wózek ponad siły ludzkie, przychylił się do tej prośby.

Lech Pietrzak skończył sławną Szkołę Mechaniczno-Techniczną Wawelberga i Rotwanda w Warszawie, która po wojnie weszła w skład Politechniki Warszawskiej. Przed wojną pracował w fabryce Fiata. Zaczął pisać do socjalistycznego „Robotnika" i przełożeni kazali mu zdecydować, komu służy. Przeszedł do „Robotnika", potem pracował w „Dzienniku Ludowym", gdzie – z wojenną przerwą i aż do momentu zlikwidowania pisma w 1949 roku po ucieczce przywódcy ludowców Stanisława Mikołajczyka za granicę – prowadził wspomnianą rubrykę sądową. Potem do odwilży 1956 roku nie mógł być dziennikarzem. Napisał wtedy kilka przewodników turystycznych, miedzy innymi po Kazimierzu Dolnym i okolicach Warszawy. Po stworzeniu „Kuriera Polskiego" związał się z tą redakcją. Na dwudziestopięciolecie Polski Ludowej wydał zbiór swoich reportaży *W kalejdoskopie ćwierćwiecza*.

W styczniu 1945 roku jako reporter „Robotnika" szedł za Armią Czerwoną, wyzwalającą centralną Polskę. W Kielcach wpadł na klasyczny reporterski pomysł: towarzyszyć samotnemu bohaterowi. Spotkał bowiem polskiego oficera, który oznajmił, że jedzie do Częstochowy zabezpieczyć odebrane Niemcom zakłady przemysłowe. O tym między innymi opowiada tekst *Naprzód! Na zachód!*

Naprzód! Na zachód!

W pogoni za pierwszą linią

Rozpoczęło się 12 stycznia o świcie. Na ten dzień czekały miliony nas – z tej i z tamtej strony Wisły. O godzinie dziesiątej rano armie 1. Frontu Ukraińskiego otworzyły na odcinku sześćdziesięciokilometrowym huraganowy ogień artylerii wszystkich kalibrów. Z lotnisk wystartowały eskadry samolotów. Pancerne dywizje zadzwoniły gąsienicami na zamarzłej ziemi. Po kompaniach, pułkach, dywizjach i armiach przebiegł rozkaz: „Naprzód! Na zachód!". Sandomierski przyczółek zadrżał od eksplozji pocisków i łoskotu czołgów.

Wyruszyliśmy z Sandomierza szosą przez Staszów, Kurozwęki na Szydłów. Gonimy w ślad za hukiem dział, który jak grzmot przewala się przed nami, lecz nie możemy go dogonić. Uderzenie sowieckie jest tak szybkie i potężne, że dosłownie zmiotło niemieckie wojsko z rozbudowanych umocnień.

Minęliśmy zniszczony Staszów, spalone Kurozwęki, przejeżdżamy przez wiele linii obronnych, łudząc się, że są to już linie niemieckie. Jednak nie. Są to ciągle wypadowe linie sowieckie, po których ilości widzimy, jak ważny był sandomierski przyczółek i jak mocno usadowiły się na nim armie 1. Frontu Ukraińskiego.

Dopiero niedaleko Szydłowa ujrzeliśmy pierwszy ślad rozpoczętych bitew: grupę niemieckich jeńców odprowadzanych na tyły. Przed Szydłowem wjechaliśmy na ziemię do niedawna niczyją. Dziwna to ziemia... Bieleje na niej kapusta, na polach przyprószone śniegiem stoją mendle żyta, redliny ziemniaków ciągną się długimi zagonami. Nigdzie żywej duszy. Ze swego pasa obronnego Niemcy wszystkich wysiedlili. Na polach i wsiach pustki. Tylko szosa dudni od aut sunących nieprzerwanym sznurem. Jadą samochody, działa, tabory, wozy. Rowami jadą kolumny piechoty. Nad szosą śmigają eskadry samolotów.

Minęliśmy ziemię niczyją. Zaczęła się poryta, skopana w zygzaki omotana drutem ziemia – do wczoraj niemiecka. I tu, między rowami strzeleckimi, leżą snopy żyta. Sterczą szczątki wiejskich chałup. Przed niemieckimi zasiekami odbywa się dziwne polowanie. Myśliwymi są sowieccy żołnierze i psy, zwierzyną zaś... miny.

Zbliżamy się do całej sterty wydobytych min. Nagle zatrzymuje się cała kolumna. Jesteśmy akurat na wzgórzu i widzimy zeń przed i za sobą płynącą rzekę ciągników, wozów, armat, czołgów, wojska...

Głośna eksplozja zatrzęsła naszym samochodem. To wysadzono w powietrze stos uprzątniętych min. Droga wolna. Zahuczały znów silniki, zadzwoniły gąsienice czołgów, zadudniły koła armat. Popłynął potok motorów i żelaza. Naprzód, naprzód, na zachód!

W Szydłowie, pierwszym mieście oswobodzonym obecną ofensywą, ujrzeliśmy gołe mury, sterczące kominy i pierwszych cywilów. Z tobołkami na plecach, z dziećmi na rękach wraca ludność na zgliszcza domów. Po drodze spotykamy jej coraz więcej. Mijamy się – my, rzeka motorów, żelaza i armat – i oni, strumyk pieszych oszołomionych hukiem, wystraszonych ludzi, powracających z ocalałym dobytkiem.

W Chmielniku rynek zatłoczony samochodami. Ludności niewiele. Grupki osób stoją na tle wybitych okien i wyłamanych drzwi. Towarzyszące nam kino objazdowe Ministerstwa Informacji i Propagandy przez megafon zaczyna nadawać hymn narodowy. Momentalnie rynek się zapełnia. Mieszkańcy nie rozumieją, co się właściwie dzieje. Na widok obsługi w mundurach polskich żołnierzy tłum rusza na auto i przez chwilę poważnie się obawiamy o całość auta i naszych kości. Tyle od razu pytań, okrzyków, westchnień, że nie wiadomo, komu i na co odpowiadać. Odpowiedzią jest hymn narodowy. Operator nastawia go nieprzerwanie.

Ujechaliśmy już kilkadziesiąt kilometrów, rwiemy naprzód za odgłosem artylerii, ale nie możemy jej dognać. Fantastycznie szybko idzie sowieckie uderzenie. Nastawiliśmy się na widok pól bitewnych, stosów sprzętu, poległych, a tu prawie nic. Żadnych śladów zmagań. Niemcy na tej trasie nie stawiali żadnego oporu. Minęliśmy ich jedną linię obrony, drugą, dziesiątą – pustka. Dopiero pod Kielcami ujrzeliśmy, że uderzenie sowieckie nie tylko wymiata, lecz i miażdży. Pierwsze rozbite niemieckie samochody leżą do góry kołami. Pierwsze czołgi dymiące jeszcze i pierwsze ślady panicznej ucieczki – hełmy na drodze. Jest ich coraz więcej. Poniewierają się obok tornistrów, płaszczy, masek gazowych – tego wszystkiego, co przeszkadza w ucieczce.

Przed niewielką rzeką Niemcy widocznie stawili opór. Zostały tam działa, granatniki, stosy amunicji i polegli. Leżeli przyprószeni kurzem szosy, zesztywniali na mrozie, zmięci, poczerniali, nie budzą w nas uczucia ani nienawiści, ani litości. Patrzyliśmy na nich z taką samą dozą ciekawości, z jaką oglądaliśmy rozbite samochody i spalone czołgi.

Do Kielc dojeżdżamy z obawą, co tam zastaniemy. Wspomnienie zburzonych miast po prawej stronie Wisły nie wróżyło nic dobrego, ale nietknięte wioski i miasteczka mijane po drodze napawały nas otuchą, że dzięki szybkości sowieckiego uderzenia Niemcy nie zdążyli Kielc zniszczyć.

Tymczasem wzdłuż drogi leżało coraz więcej rozbitych aut, porzuconej amunicji, hełmów i niemieckich trupów. W pewnej chwili ze wzniesienia szosy ujrzeliśmy wieże kościelne i dachy Kielc. Zaledwie kilka słupów dymu unosiło się nad miastem.

Do pierwszego wyzwolonego wojewódzkiego miasta wjeżdżaliśmy z radością, że miasto istnieje. Piękny gmach Domu Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego, ozdoba Kielc, stoi nienaruszony. Z pięter tego gmachu spojrzeliśmy na miasto. Kielce są. Ulicami ciągną potoki broni i motorów.

Gdzieś daleko, za pasmem wzgórz huczała artyleria. Goniliśmy ją cały dzień, lecz dogonić nie mogliśmy. Tej niewiarygodnej szybkości ofensywy na zachód zawdzięczają Kielce i Kielecczyzna swoje ocalenie.

Szybkość ofensywy ratuje miasta

W Kielcach przed czternastoma godzinami byli Niemcy. Urzędy pracowały, sklepy stały otworem, w Wehrmachthaus miał się odbyć koncert. Ulicami snuli się przechodnie, mężczyźni ostrożnie (łapanki), kobiety śmielej, zwłaszcza z dziećmi. Ale w powietrzu czuć było „coś". Kanonada artylerii potężniała z godziny na godzinę. Nieustanny głuchy grzmot przewalał się na wschodniej stronie nieba.

W pewnej godzinie od strony Jędrzejowa, Chmielnika, Buska zaczęły wjeżdżać do Kielc samochody napełnione niemieckim wojskiem. Z urzędów pośpiesznie wybiegli reichs- i volksdeutsche. Wylotowe ulice na zachód i północny zachód zostały zakorkowane tłoczącymi się pojazdami. Huk artylerii potężniał z każdą chwilą. Na niebie ukazały się samoloty. W ciągu kwadransa przechodnie zniknęli z ulic. Od coraz bliższych wybuchów leciały już szyby z okien. Do Kielc całym gazem wjeżdżały sowieckie pancerne czołówki.

Teraz, po czternastu godzinach, w Kielcach są jeszcze Niemcy. Leżą na chodnikach. Mróz ściął ich ciała na drewno. Jednemu hełm zsunął się z głowy. Świeci z daleka łysą czaszką i straszno-śmiesznie skręcony, spogląda szklanym wzrokiem na przechodniów. Drugi ułożył się wzdłuż chodnika. Zesztywniały „na baczność", w poczerniałej ręce trzyma kurczowo granat. Na jezdniach wraki czołgów. Niektóre jeszcze dymią. Przechodnie oglądają ślady pojedynku pancernych maszyn. Niemiecki czołg i sowieckie działo szturmowe sparły się lufami. We wnętrzu rozbitego czołgu zostały dwa hełmy i szary proch spalonej obsługi, z otwartej klapy sowieckiego działa sterczy para walonków i ich przedłużenie – zwęglone nogi. Dziesiątki rozbitych aut i zmiażdżonych zwłok niemieckich żołnierzy leży na jezdniach. Jeżdżą po nich samochody.

Kielce nie są zniszczone. Znać ślady bitwy – dziury w ścianach i wybite szyby. Te wybite szyby, zwłaszcza wystawowe, to skutki nie tylko detonacji. Wystarczy spojrzeć do wnętrza jakiegoś sklepu, aby zadziwić się, jak i kiedy zdążono powywalać szuflady, wynieść towar, zdemolować urządzenie, zniszczyć, rozgrabić wszystko, co się dało udźwignąć.

W gmachu PWiWF, największym i najpiękniejszym w Kielcach, milicja zaciągnęła wartę. Przed godziną przyjechali we dwudziestu z Sandomierza, w liczbie zbyt nikłej, aby zabezpieczyć bodaj gmachy użyteczności publicznej, nie mówiąc już o magazynach i składach niemieckich. Ofensywa poszła tak szybko, że grupy operacyjne zorganizowane w Lublinie nie nadążyły za wojskiem. Pierwszym reprezentantem (mimo woli) rządu i wojska stała się grupa obsługująca kino objazdowe Ministerstwa Informacji i Propagandy. Wojsko (w rozumieniu kielecczan) reprezentowało trzech milicjantów, zapewne zuchów, ale niezdających sobie sprawy z wyjątkowej funkcji, jaka im w udziale przypadła. Propagandę reprezentował młodzieniec mówiący z lekka gwarą ludową, dobrą może na wsi, lecz nie w wojewódzkim mieście. Sytuację ratował głośnik. Nadawał z płyt *Warszawiankę* i hymn narodowy, słuchany przez ludność ze łzami w oczach.

Tempo ofensywy zaskoczyło nie tylko Niemców. W oswobodzonym mieście organizacja władz stała się czystą improwizacją z wszystkimi wynikającymi stąd plusami i minusami. Byłem zbudowany, słuchając obrad Miejskiej Rady Narodowej[1], która szybko i bez zbędnej dyskusji podejmowała decyzje w doraźnych sprawach miasta. Jeszcze huczała artyleria, paliły się niektóre domy, trupy Niemców leżały na ulicach, a w najpiękniejszym gmachu Kielc grupa ludzi brała na siebie odpowiedzialność za losy mieszkańców. Nastąpiło porozumienie stronnictw, odbyto konferencję z duchowieństwem, duży nacisk położono na natychmiastowe stworzenie ochrony własności miejskiej i poniemieckiego majątku.

Ponieważ obsługa kina objazdowego zdecydowała się pozostać w Kielcach do następnego dnia, pożegnałem się z nimi, gdyż moim zamiarem była pogoń za hukiem dział, który z każdą godziną oddalał się na zachód. Szczęście mi sprzyjało. Szukając wojskowego auta, natknąłem się na ciężarowy samochód prowadzony przez polskiego oficera. Dowiedziałem się, że jedzie do Częstochowy. Nie mając pojęcia, jak przebiega linia frontu i czy do Częstochowy w ogóle się dostaniemy, dołączyliśmy do kolumny i po paru chwilach staliśmy się cząstką sznura samochodów, dział i wojska.

[1] Zgodnie z konstytucją z 1952 roku Rada Narodowa była terenowym organem władzy państwowej z przedstawicielstwami w gminach, miastach, dzielnicach większych miast, powiatach i województwach. Rady narodowe poszczególnych szczebli wybierały swoje prezydia i były zależne od rad wyższego szczebla.

To idzie Armia Czerwona

Polski oficer, który był uprzejmy zabrać mnie z Kielc do Częstochowy, należy bezsprzecznie do ludzi lubiących przygodę: jedzie do Częstochowy, nie zważając na ryzyko zaplątania się między pancerne czołówki sowieckie i pozostające często w tyle grupy wojsk niemieckich. Zdąża tam, aby wypełnić rozkaz – zabezpieczyć zakłady przemysłowe.

W czasie drogi oglądamy zastanawiające dziwy:

Szosą posuwa się wąż motorów i ludzi. Za studebakerami jadą przestarzałe fordy. Sowieckie zisy towarzyszą dodge'om. Chyże willysy pędzą na wyprzódki z harleyami. Wśród samochodów zgrzytają traktory, dudnią koła artylerii, szczękają gąsienice czołgów. Z boku drogi ciągnie inny wąż: wozy zdobyte na Niemcach razem z wózkami na jednego konika. Kolaski i taratajki[2], dorożki i lakierowane powozy. Wśród taborów – woły w jarzmach. Są one skrajnym kontrastem samochodów i huczących nad nami samolotów. Kontrasty te są tym dziwniejsze, że składają się na całość, która zdumiewa i każe na ten pochód motorów i maszyn, ludzi i zwierząt patrzeć jak na symbol. Gdy zaś patrzy się na ludzi, to symboliczne znaczenie pochodu wołów i fordów, czołgów i taratajek nabiera cech tym bardziej jaskrawych.

To idzie Armia Czerwona; Słowianie z Wielkiej Rusi razem z Kirgizami, oliwkowi Ormianie obok kosookich Kałmuków. Kozacy znad Donu, Sybiracy, żołnierze brodacze, żołnierze kobiety, żołnierze wyrostki, gromadnie, kupą, wierzchem, z psami, zbrojni od stóp do głów...

Wyprzedzana przez czołgi i tajemnicze katiusze maszeruje kolumna piechoty.

Idą ciasno, nie patrząc pod nogi. Śpiewają chórem. Gwiżdżą na palcach. Na przedzie, chwiejąc się do taktu, kroczy żołnierz i gra na harmonii.

Historia bierze odwet

Droga zapchana pojazdami i wojskiem. Na przełaj, przez pole, jak olbrzymie kraby ciągną czołgi. Dzień jest słoneczny. Na niebie nie ma ani jednej chmurki. Na niebie nie ma ani jednego niemieckiego samolotu. Gdzież to wspaniałe Göringowskie lotnictwo?

Co kilkanaście kilometrów ziemia pokryta rowami przeciwczołgowymi, oplątana zasiekami z drutu, skopana zygzakami okopów. Bunkry, umocnienia i fortyfikacje. Praca wielu miesięcy i wielu dziesiątków tysięcy Polaków, gnanych na okopy przymusem i nikczemną propagandą, pisaną na domach miasteczek: „Wybieraj – Sybir lub okopy!"... „Chcesz bronić Ojczyzny – idź na okopy".

[2] Taratajka – mała, prosta bryczka, zwykle bez resorów.

Umocnienia puste. Mosty niezerwane. Bunkry niezniszczone. Gęsto stoją opuszczone działa z lufami skierowanymi na wschód. Z okopów wszystko, co żywe, uciekło. Zostały hełmy, rozbite samochody, sprzęt i nieco trupów. Co wprawiło *Herrenvolk*[3] w paniczny lęk, każący ratować się obłędną ucieczką, aby dalej, aby na zachód, aby na *Deutschland,* ten, co to *über alles*...?

Gdzie rok 1939, gdzie 1941?

Historia bierze odwet. Koło jej obraca się w przeciwnym kierunku. 1 września 1939 roku z bramy na Częstochowę runęły dywizje 10. armii niemieckiej Reichenaua i Paulusa. 18 stycznia 1945 roku te same niemieckie armie uciekają w panicznym popłochu przez tę samą bramę. Już bez Reichenaua i Paulusa. Bez mrzonek o „nowym ładzie" w Europie.

W Częstochowie

Niedaleka artyleria bije salwami. Mijamy wsie, gdzie dopiero co zajechały ciężkie czołgi, baterie zajmują stanowiska, ludność chyłkiem ucieka do piwnic, a już na wszystkich skrzyżowaniach widnieją świeżo przybite sowieckie drogowskazy. „Regulowszczyk"[4] ze znakującej grupy rzekł nam nie bez dumy, że na swoim samochodzie wiezie drogowskazy z nazwami niemieckich miast, leżących w środku Niemiec.

Wsie, miasteczka na całej trasie są prawie nietknięte. W Żytnie za Włoszczową dowiadujemy się, że do Częstochowy wjechały sowieckie czołgi.

Robi się mrok. Śpieszymy, aby zdążyć przed nocą. Wieczór zastaje nas kilkanaście kilometrów przed Częstochową i szosa przybiera bajkowy wygląd. Rozjaśnia ją niekończący się sznur świateł. To sowieckie kolumny walą z brawurową pewnością na pełnych światłach, pełnym gazem do pełnego zwycięstwa!

W Częstochowie kamienice i fabryki są nieuszkodzone. Ważny ośrodek przemysłowy ocalał. Mieści się tu przemysł galanteryjny i włókienniczy. Guziki, igły, szpilki, sznurki, nici, drobiazgi – tak ważne w codziennym życiu, są wytworem przemysłu częstochowskiego. Poza tym papiernia, fabryki metalowe, huty szkła, dużo innych pomniejszych zakładów i warsztatów składa się na całość uprzemysłowionego miasta.

Do godziny drugiej po południu w fabrykach pracowali robotnicy, o godzinie trzeciej do Częstochowy wjechały sowieckie czołgi.

Na czele, strzelając z dział, jechał czołg z otwartą klapą, w której wychylony do połowy czołgista powiewał sowieckim sztandarem. Zaskoczenie było tak nagłe, że Niemcy nie stawili oporu. Bez czapek, bez broni rozpierzchli się

[3] *Herrenvolk* (niem.) – naród panów.

[4] Regulowszczyk – z ros. *regulirowszczik*, funkcjonariusz kierujący ruchem.

po podwórzach. Wielu poległo, reszta, korzystając z nocy, ławą ruszyła na zachód. O świcie w Częstochowie nie było żywego Niemca.

Polski oficer, z którym przyjechałem, jest witany z takim entuzjazmem, że patrząc, doznawałem głębokiego wzruszenia. Musi on odpowiadać na wiele pytań, ściskać wyciągnięte dłonie, bronić się przed podarkami, które gwałtem wciskają mu do rąk.

Mieszkańcy są zawiedzeni, że do miasta przyjechał tylko jeden polski żołnierz...

Antologia polskiego reportażu wojennego 1939–1945, oprac. S. Nadzin, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1962, s. 219–226

1945

Edmund Osmańczyk (1913–1989)

Reporter, czyli Polak

Gładko zaczesane do tyłu włosy, a pod szyją muszka. Elegancki pan, który w telewizji mówił o świecie, najczęściej o Niemczech i USA.

W latach 1945–1969 jako korespondent Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej był wszędzie tam, gdzie działa się historia. Pod koniec wojny dotarł do zbombardowanego Berlina, relacjonował konferencję w Poczdamie, pisał korespondencje z procesu norymberskiego. „Żadne większe wydarzenie w 1945 roku nie odbyło się bez Osmańczyka" – stwierdził „Przekrój".

Przed wojną studiował w Warszawie, Bordeaux i Berlinie, był doktorem nauk politycznych. Jako obserwator uczestniczył w wielu sesjach ONZ-etu, jego pobyt w Nowym Jorku zaowocował słynną *Encyklopedią ONZ i stosunków międzynarodowych* (1982). Pracował nad nią dwadzieścia pięć lat, najpierw w Polsce stworzył wersję zawierającą pięćset haseł, potem w Meksyku, gdzie był korespondentem PAP – tysiąc. Przedmowę do angielskiego wydania encyklopedii napisał Javier Pérez de Cuéllar, sekretarz generalny ONZ-etu. W PRL-u była powiewem Zachodu.

Kiedy więc znalazłem reporterską książkę Osmańczyka *Notatki korespondenta* z 1951 roku i przeczytałem we wstępie, że „książeczka ta jest zbiorem dwudziestu krótkich reportaży z lat 1945–1950", zapałałem chęcią natychmiastowego jej przeczytania. W tamtych czasach rzadko pisano oszczędnie. Poza tym ciekawiło mnie, co notował ówczesny korespondent światowiec, władający kilkoma językami politolog.

Obraz życia w Stanach według reportera Osmańczyka wyglądał tak, jak powinien wyglądać w Polsce stalinowskiej:

> Ludzie zapracowani do kresu sił, żyją mitem, że kiedyś dorobią się takiej sumy dolarów, która pozwoli im na życie z trudu innych ludzi. Fakt, że liczba takich „szczęśliwców" od stu lat stanowi niezmiennie ułamek procenta ogółu ludności, nie burzy mitu. Wymagałoby to trudu myślenia. A tymczasem upalny i wilgotny klimat, ostre, słoneczne i barwne neonowe światło, chór milionów bez przerwy grających i gadających głośników, to wszystko utrudnia myślenie, rozprasza resztki energii, pozostałej po zawodowej pracy.
>
> Otępieni pracą, oślepieni światłem, znarkotyzowani dźwiękiem obywatele imperium Trumana czytają nagłówki pism, drukowane olbrzymimi literami, odpoczywają, przeglądając obrazkowe opowiastki o „amerykańskim

> nadczłowieku" (*Superman* – najpopularniejsza postać rysunkowych bzdur), ogłupiają się hollywoodzkimi filmami i powoli zaczynają wierzyć, że są narodem powołanym do rządzenia światem [...].

Pisał, że przeciętny Amerykanin nie ma świadomości, że jego kraj się faszyzuje. Przyznawał, że wyjechał z Ameryki wstrząśnięty, bo trzy lata po wojnie dojrzał znów wroga pokoju: „nadczłowieka", tym razem amerykańskiego.

Recenzent „Dziennika Polskiego" podkreślał, że te małe reportażyki, posługując się jedynie obrazami, odsłaniają „podszewkę mokrej imperialistycznej roboty".

Edmund Osmańczyk przez dwadzieścia cztery lata był posłem na Sejm PRL. Po śmierci Stalina głosował za przemianowaniem Katowic na Stalinogród. Z mównicy tłumaczył, dlaczego należy wpisać do konstytucji zdanie dotyczące przewodniej roli PZPR („Ma do tego święte prawo klasa robotnicza"). Głosował za legalnością wprowadzenia stanu wojennego. Po trzydziestu siedmiu latach wierności i lojalności, jesienią 1982 roku, razem z jedenastoma posłami zagłosował jednak przeciwko delegalizacji Solidarności. Zaczął jeździć do kościoła Świętej Brygidy w Gdańsku, zafascynował się Wałęsą. „To nie naród jest chory, lecz nasze państwo zniewolone obcym systemem politycznym" – pisał w 1988 roku w podziemnym „Tygodniku Mazowsze". A w trakcie obrad Okrągłego Stołu reprezentował już stronę solidarnościowo-opozycyjną.

„To kolaborant" – szeptano o Osmańczyku. Odpowiadał: „Nie można kolaborować z własnym państwem".

W kapitalnym szkicu biograficznym Aleksandry Klich i Marka Bastera *Z zawodu Polak*, poświęconym Osmańczykowi, autorzy pytają, dlaczego, choć w prywatnych rozmowach deklarował niechęć do ustroju socjalistycznego, nie wyemigrował. Dlaczego, mimo że doskonale wiedział o zbrodniach władzy i drażniła go cenzura, postanowił zrobić w Polsce karierę?

Znajdują odpowiedź, a jej częścią jest reportaż zamieszczony w naszej antologii.

Edmund Osmańczyk urodził się w niemieckim Deutsch Jägel – dzisiejszym Jagielnie, wiosce pod Strzelinem na Dolnym Śląsku. Ojciec był śląskim Czechem, matka Polką. Wychowywała dzieci i pilnowała, żeby mówiły po polsku. Wysłała go do gimnazjum w Warszawie, ale kazała przysiąc, że po maturze wróci, żeby pracować dla Polaków w Niemczech.

W 1933 roku ułożył tekst hymnu Związku Polaków w Niemczech.

> Paszport mam niemiecki, serce polskie. Ani nacjonalsocjalistą, ani komunistą, ani faszystą, ani socjalistą, ani narodowcem, ani państwowcem, ani też

żadnym „...istą" czy „...owcem" nie jestem. Jestem P o l a k i e m – napisał w debiutanckim tomie wierszy, wydanym w niemieckim Opolu.

Grzegorz Strauchold, historyk z Uniwersytetu Wrocławskiego, uważa, że Osmańczyk to postać tragiczna:

> Przez długie lata był mniejszością narodową w samym środku państwa niemieckiego. Po wojnie znalazł się między młotem i kowadłem: Polska komunistyczna albo emigracja. Co mógł zrobić człowiek, który poświęcił młodość, by zostać obywatelem państwa polskiego?

W 1972 roku Stefan Kisielewski oglądał w telewizji program o konferencji w Poczdamie. Zdumiony przecierał oczy, kiedy usłyszał, że zaproszeni mówią o dobrym Stalinie broniącym Polski przed złymi Anglikami i Amerykanami. Wśród gości siedział Osmańczyk. Gdy kilka dni później spotkali się na ulicy, Kisiel krzyczał: „Janek, jak możesz opowiadać takie bzdury?! Ty, żołnierz AK?!".

Osmańczyk był zdziwiony. Kisiel zanotował w dzienniku, że Osmańczykowi chodzi o Śląsk Opolski. „Tam się wychował, tam marzył o przyłączeniu do Polski i oto rzecz się stała. A w jakich warunkach ogólnych – to go już nie obchodzi".

„Likwidacja elementu bezspornie niemieckiego musi być szybka i bezkompromisowa. Niemcy z Nadodrza muszą zniknąć bezpowrotnie. Jest to akt sprawiedliwości dziejowej, a nie zaborczej przemocy" – napisał w 1945 roku, gdy założył w Krakowie Komitet Obywatelski Polaków Śląska Opolskiego. Nawoływał nawet do usuwania niemieckich napisów z budynków, pomników, nagrobków. Bo „niemczyzna na Śląsku zawsze była tylko pokostem, ordynarną farbą na polskim drzewie".

Możemy sobie wyobrazić, z jakimi uczuciami pisał swój reportaż *Na pobojowisku*, kiedy wędrował po uwolnionych od Niemców miastach Opolszczyzny.

Na pobojowisku

I

Śląsk Opolski wrócił do Rzeczypospolitej. Starostowie polscy objęli władzę nad powiatami, burmistrzowie nad osiedlami miejskimi. „Odrąbana gałązka wróciła do macierzy".

Biało-czerwone chorągwie, orły piastowskie witają przedstawicieli Rzeczypospolitej. Jesteśmy na ziemi ojców.

Może przyszłe pokolenia znajdą wyrazy oddające wielkość przeżywanej przez nas chwili. Dla nas otępiałych w gigantycznej wojnie ta prostota samego faktu historycznego, dokonania się dziejowej sprawiedliwości jest onieśmielająca. Serce nie tłucze się w piersi, nie dławi gardła, ale zwyczajnie przystaje na sekundę, aby znów bić nerwowo troskami dni powszednich. Więc nie mogąc chwili powrotu rozdzwonić, rozburzyć, rozwichrzyć, uciekamy do spraw dotykalnych, uchwytnych, widocznych, do administracyjnego inwentaryzowania przeszłości i teraźniejszości Opolszczyzny w ramach Polskiego Państwa.

Widzimy miasta w większości zniszczone działaniami wojennymi, w granicach od dwudziestu do osiemdziesięciu procent. Wsie popalone i zburzone w stopniu daleko mniejszym. Cyfra ogólna trzydziestu procent może będzie za wysoka. Ludność w miastach niejednolicie utrzymała swój stan. W Bytomiu ze stu tysięcy mieszkańców pozostało pięćdziesiąt pięć tysięcy. W Gliwicach ze stu trzydziestu tysięcy – około osiemdziesięciu tysięcy. W Opolu z pięćdziesięciu dwóch tysięcy – nikogo. W Kluczborku z dwunastu tysięcy – siedemdziesiąt osób. W Oleśnie z siedmiu tysięcy – osiemset osób. W Gorzowie z trzech tysięcy – tysiąc. W Raciborzu, jak w Opolu – nikogo.

Życie gospodarcze miast zamarło zupełnie. Między szkieletami wypalonych domów wyróżniają się domy całe, wyróżniają się zabitymi deskami sklepy, w których nic nie ma. Totalna gospodarka opróżniła je już przed rokiem. Ze zwieszonych nad wypalonymi i pustymi sklepami szyldów o barwach czarno-białych lub czarno-czerwonych spoglądają na nas melancholijnie gotykiem pisane nazwiska: Kosmalla, Bogatz, Jendretzki, Komar, Przewloka, Wiescholleks-Erben... Statystyk powiatowy oblicza, że na szyldach co czwarte nazwisko jest niemieckie, to znaczy Müller, Schmidt czy Mayer.

Na zachód od Odry, położone pięknie, kwitnące w zieleni miasto biskupie Nysa (na Śląsku są dwie rzeki Nysy – Kłodzka i Łużycka – oraz jedno miasto Nysa). W mieście tym jest wielka elektrownia, której prąd oświetla całą

Opolszczyznę, wsie i miasta. Obecnie Nysa jest w ogniu walk. Opole, Olesno, Kluczbork, Strzelce toną w ciemnościach. Dalsza konsekwencja – brak wody i gazu.

W opustoszałych mieszkaniach tumany pierza wśród okaleczałych sprzętów. Bocznymi ulicami i polnymi drogami przemykają się kobiety, mężczyźni, wyrostki z tobołami łupów z Opolszczyzny. To kruki z częstochowskiego zagłębia, z Wieluńskiego, nawet z Łódzkiego, przybyłe tu na żer. Schwytani tłumaczą się powrotem... z obozów koncentracyjnych, gdzie „szlachetni" esesmani dali im złote i w kartach rozpoznawczych przybili pieczątkę „Wymiany dokonano". Polska milicja ma wiele pracy, by zabezpieczyć polski dobytek przed rodzimym ptactwem.

Po wsiach nie ma koni, bydła i trzody. Niemcy uprowadzili większość za Odrę. Pola obsiane w połowie. Wiosenne prace rolne wykonują przeważnie kobiety i dzieci. Nie jest to obraz nowy. Po powstaniach śląskich, pamiętam, było to samo. Kobiety orały i siały. Gospodarstwo musiało być utrzymane.

Tyle zaciętości w kobietach spotkać niełatwo. Jesteśmy w kraju, który ma najdorodniejsze i najpracowitsze niewiasty. Wszystkie mówią po polsku i modlą się po polsku. Im zawdzięczamy, że Śląsk po dziś dzień zachował polski charakter.

Na sto trzydzieści tysięcy gospodarstw Opolszczyzna posiada osiemdziesiąt osiem tysięcy gospodarstw karłowatych i małorolnych. Nie trzeba dodawać, że właścicielami są Polacy. Niemiec nie ma miłości do ziemi, nie potrafi trzymać się pazurami kilku juterek, jak na Śląsku zwą morgi.

Rzeczpospolita upełnorolni chłopstwo opolskie, lecz przedtem w starostwie przeprowadzą narodowościowy kataster, oddzielając ludzi polskiej krwi od przybyszów z Prus, Bawarii i Westfalii, których usunie się bezpowrotnie.

II

W Opolu, mieście drzew i ogródków, kwitną wśród zgliszcz krokusy. W kalendarzu sprawdzamy datę: 21 marca. Zgadza się. Wiosna.

Przez pontonowy most na Odrze idą kolumny niemieckich jeńców. Z Wrocławia, z Nysy, Grodkowa, Niemodlina. Patrzą zdumieni na sztandar polski powiewający z ratusza i zamkowej wieży.

– *Ihr seid in Polen* – tłumaczymy uprzejmie.

– *Aber, das ist doch Oppeln?* – pada głos z szeregów.

– *Nein, das ist Opole*[1].

Nie rozumieją pruscy żołnierze, którzy przeszli dwukrotnie przestrzeń Odra–Wołga i nie widzieli Polski, której miało już przecież nigdy nie być,

[1] *Ihr seid in Polen*... (niem.) – Jesteście w Polsce. – Ale to przecież jest Oppeln. – Nie, to jest Opole.

zwieszają pochmurnie głowy. Kłamstwo pruskiego Lebensraumu budzi w nich uczucie krzywdy. Trzeba będzie stosować ostre metody wychowawcze wobec Niemców, aby pojęli wreszcie, że to, co jest sprawiedliwe, może być dla nich „niedobre", że między sprawiedliwością ludzką a „dobrem niemieckiej nacji" jest przepaść.

Opodal pontonowego mostu, na wyspie w rozwidleniu Odry stoi szczęt piastowskiego zamku – wieża, z rozczapierzonym ogromnym krukiem na szczycie. Zamek zburzono w 1930 roku. Zburzono nawet fundamenty, aby już nie pozostał ślad polskiego budownictwa. Ziemia opolska jest jednak nieustępliwa. Pod fundamentami zamku odkryto biskupińskie osiedle. Propaganda ostbundowych[2] nieuków uderzyła w wielki dzwon: germańskie osiedle prehistoryczne pod piastowskim zamkiem. Zjechali się uczeni z Berlina, Pragi, Poznania i Sztokholmu. Nie było wątpliwości – osiedle ma wszystkie cechy słowiańskie. Roboty wykopaliskowe wstrzymano, propaganda umilkła.

Decyzją prezydenta rejencji zrównano ziemię i wybudowano na miejscu piastowego zamku, wzniesionego na słowiańskim osiedlu, nowoczesny koszarowy gmach pruskiej administracji ziemi opolskiej.

Z biurka prezydenta rejencji wyjmuję papier listowy. Przekreślam tytuł „*Der Regierungspräsident Oppeln den... 194...*", piszę „Opole, w marcu 1945" i rozpoczynam artykuł do „Odrodzenia". Jest w tym dużo dziecinnej satysfakcji. Dosłownie dziecinnej. Pamiętam, w 1923 roku szedłem z matką przez Opole (miałem wówczas lat dziesięć) i zadawałem matce tysiące pytań po polsku. Idące za nami brzuchate niemczysko krzyknęło nagle: „*Hier wird deutsch gesprochen!*"[3]. A ja właśnie gapiłem się na wieżę zamkową, na której wówczas trwał jeszcze piastowski orzeł. Struchlałem, gdy mi wieżę przysłonił pruski kloc. Matka nerwowo schwyciła mnie za rękę. Skręciliśmy w boczną ulicę.

Teraz w Opolu nie spotkam Niemców. Nawet tu, w niedostępnej dla Polaka rejencji, jedynym śladem gburowatego „*Hier wird deutsch gesprochen*" jest cudowny napis przy wejściu:

Du bist in einem deutschen Haus.
HEIL HITLER grüss.
Sonst fliegst du raus[4].

Widocznie wszyscy Niemcy w Opolu przestali pozdrawiać się „*Heil Hitler*", bo wylecieli i nie ma ani jednego.

[2] Bund Deutscher Osten – niemiecka nazistowska organizacja rewizjonistyczna i antypolska, do której należeli głównie Niemcy zamieszkali w Europie Wschodniej. Organizowała dla nich pomoc i udzielała im wsparcia, inicjowała wiece i zebrania, prowadziła działalność germanizacyjną. Chętnie powoływała się na tzw. *Ostforschung* (badania Wschodu), nurt pseudonaukowy, którego celem było uzasadnianie przynależności terenów Europy Środkowej, a szczególnie pogranicza polsko-niemieckiego oraz czesko-niemieckiego, do Niemiec.

[3] *Hier wird deutsch gesprochen!* (niem.) – Tu się mówi po niemiecku!

[4] *Du bist in einem deutschen Haus...* (niem.) – dosł. Jesteś w niemieckim domu. Pozdrawiaj tu: *„Heil Hitler"*. W przeciwnym razie wylecisz.

III

W kościele na Górce (przypomina Sacré Cœur na Montmartre) ostatni spis poległych parafian, przybity do drzwi zakrystii: Obracaj, Gusko, Olschenka, Rusitzka, Cebulla, Dziwissek, Gogolok, Barteczko, Gruschka, Kulik, Chluba, Kowohl i Krajan.

Przed kościołem, na kamienicy muzeum polskie plakaty z granicami Odry i Nysy oraz napisy: „Nie będą Matki Polki rodziły więcej żołnierzy germańskich". „Śląsk Opolski był, jest i będzie polskim".

W muzeum orły piastowskie i polskie chorągwie. Pruska omyłka. W trumnie muzeum nie wolno zamykać godeł żywego narodu. Wpierw trzeba zabić naród, potem można mumifikować ślady.

Przed kościółkiem Świętego Sebastiana, gdzie jeszcze w sierpniu 1939 roku odbywały się polskie nabożeństwa, stoi Boża Męka z odłupanym napisem polskim: „Od ognia, głodu i wojny zachowaj nas, Panie".

Nie zachował. Mamy pobojowisko.

IV

W Kluczborku mieście i powiecie była większość Polaków wyznania ewangelickiego. Podobnie jak na Mazurach nastąpiło tu rozszczepienie z narodem polskim, na skutek mądrego jadu germanizatorów, że Polska to katolicki naród, w którym nie ma miejsca dla protestantów. Hasła „polsko-katolickie" na Śląsku odepchnęły Polactwo kluczborskie, sycowskie, namysłowskie, tak jak Warmię i Poznańskie myślą parafialną, nie państwową, pogrążyły w prusacyzm Mazury.

W zborze kluczborskim, wzniesionym, jak napis głosi, w 1745 roku przez Daniela Mietłę, jest tablica ze spisem pastorów miejscowych od roku 1707 do 1907. Oto nazwiska: Tyrnka, Schlossarek, Russke, Chmura, Czuda, Piechatschek, Jurczek, Neumann, Kalama, Nowak, Swientek, Cichon, Kokott, Wościech, Ulitzka, Stener, Pixa, Moschek.

Na ławkach w zborze tabliczki, oznaczające nazwiskami opłacone miejsca w roku 1845. Wśród nazwisk niemieckich znajdujemy i takie: Kantor, von Borkowski, Opolka, Bragulla, Fabianek, Michalik, Koschinski, Wolnik...

W mieście nie ma ludzi. To samo po wsiach. Z pięćdziesięciu siedmiu tysięcy mieszkańców powiatu i miasta pozostało trzy tysiące. Reszta odeszła za Odrę wraz z cofającą się armią niemiecką. Ile było przymusu (że był, stwierdziliśmy na pewno), a ile obawy – określić trudno. Faktem jest, że katolicka ludność polska powiatu opolskiego czy oleskiego ukryła się przed

ewakuacją i w większości pozostała, natomiast polskiej ludności ewangelickiej w kluczborskim oglądamy garstkę.

W latach przedwojennych Polacy Nadodrza i Prus Wschodnich świadomie usunęli z mowy potocznej i pism pojęcia Polak katolik i Polak ewangelik. Przyjęte na Kongresie Polaków w Niemczech 6 marca 1938 roku[5] *Prawdy Polaków* rozcinały raz na zawsze problemy polskich sumień. Oto prawdy Polaków:

Prawda pierwsza: Jesteśmy Polakami.

Prawda druga: Wiara ojców naszych jest wiarą naszych dzieci.

Prawda trzecia: Polak Polakowi bratem.

Prawda czwarta: Co dzień Polak narodowi służy.

Prawda piąta: Polska Matką naszą, o Matce nie wolno mówić źle.

v

W Gorzowie, małym miasteczku w powiecie oleskim, spotykam przy kościele starowinę, pamiętającą moich rodziców i mnie pędraka, któremu gorzowskie barokowe kamieniczki wydawały się olbrzymimi zamkami. Dopytuję się o znajomych. Nie ma. Umarli. Zginęli. Wyjechali. Śladów polskości, poza nazwiskami, nie ma tu już żadnych, oczywiście nie licząc mowy polskiej pozostałych w Gorzowie mieszkańców. Z trzech tysięcy pozostał tysiąc, trzecia część.

– Trzecina się aby ostała, synku, ale dobre Polactwo, rządzą wszyscy po naszemu – opowiada mi starowinka („rządzić" znaczy mówić).

W kościele usunięto polskie napisy. Szukamy więc polskich chorągwi. Są. Na jednej napis: „*Hl. Franziskus bitte für uns!*". Ten napis jest naszyty na oddzielnym skrawku jedwabiu. Odpruwamy go i oto mamy spłowiały napis: „Św. Franciszku, módl się za nami!".

Jedna z chorągwi z Matką Boską ma materię starą bardzo, zetlałą już i jakby poplamioną. Napisu nie ma. Z boku tylko wyhaftowana data: 1733. Zdumieni oglądamy chorągiew pod słońce i – odczytujemy wyprute litery:

„Bractwo różańcowe założone w Gorzowie w r. 1733 od ks. proboszcza Dubiela – Święta Królowo Różańcowa, módl się za nami!"

Litery wypruto „łońskiego roku, jak gestapo robiło rewizję w kościele..."

W zakrystii *Modlitwy po Mszy Świętej* w języku polskim i niemieckim. Wśród ewangelii i mszałów dwie polskie książki: *Katolicki katechizm dla diecezji wrocławskiej*, Wrocław 1871, drukarnia Nischkowskiego, oraz *Lekcje i ewangelie* ks. Tomanka, Cieszyn 1930 rok.

Proboszcza nie ma. Zabrali go hitlerowcy, pobiwszy wprzód za chęć pozostania na miejscu.

[5] I Kongres Polaków w Niemczech zorganizowany przez Związek Polaków w Niemczech, organizację zajmującą się od 1922 roku reprezentacją prawną Polaków, obywateli niemieckich polskiej narodowości lub pochodzenia i polskich stowarzyszeń wobec władz niemieckich. Berlińskie spotkanie z 1938 roku stało się manifestacją narodową Polaków w hitlerowskich Niemczech mającą zwrócić uwagę na półtoramilionową polską mniejszość.

VI

W Oleśnie na uroczyste przejęcie władzy przez starostę polskiego 25 marca 1945 roku zeszła się z wiosek gromada Polaków.

Starosta, sam opolanin, trafił swą mową do serc. Ludzie płakali, a śpiew *Boże, coś Polskę* załamywał się w krtaniach. Dawni działacze Związku Polaków, mający w czasie wojny za sobą lata obozów koncentracyjnych, gdy przyszło im przemawiać, z trudem dobywali głosu.

Na cmentarzu Olesna są groby powstańców. W sercach oleskich ludzi jest pamięć powstania. Łzy, które płynęły w Oleśnie, były łzami żołnierzy, którzy dotrwali do zwycięstwa.

W Kluczborku, opustoszałym mieście, w jednym z domów przy trakcie wrocławskim, w wyrabowanej całkowicie izbie, na obdartej z obicia kanapce leży młoda kobieta o siwych włosach i promiennym uśmiechu. Drewniane buty, czarna sukienczyna i pasiasta kurtka na zgrzebnej koszuli. To wszystko. Żadnych dokumentów, żadnego tobołka. Na kurtce w dziwaczne pasy – zielony trójkącik. „Dobry człowiek. Więzień polityczny". Szła widać z jakiegoś koncentracyjnego obozu do swoich, do Polski. W opustoszałym mieście, czekającym na przybycie polskiego starosty, weszła do przydrożnego domu, by odpocząć. Serce przystanęło i nie poruszyło się więcej.

Żołnierz nieznany?

Zarządzeniem władz polskich znajdzie grób obok śląskich powstańców. Zmarła na polskiej ziemi, która już wielu przygarnęła ukrzywdzonych do śmierci.

VII

W marcu 1945 roku rozpoczęliśmy odbudowę państwa polskiego nad Odrą i Nysą.

Ludzie idący tam pracować nie zastają kraju, który się „obejmuje i rządzi", lecz kraj, który trzeba ożywić pracą, usunąć zgliszcza i gruzy, oczyścić budowle, a ziemię zaorać i obsiać. Kraj jest bogaty. Tylko trzeba bogactwo wydobyć własną pracą. Za kilka lat będzie to jedna z najbogatszych dzielnic środkowej Polski. Tak, środkowej, bo z Opola do granicy z Niemcami, do łużyckiej Nysy jest dwieście kilometrów.

Chodzę po Opolszczyźnie, przejeżdżam opustoszałe ziemie wrocławskie i myślę o przeludnionym Krakowie, o kretowiskach bohaterskiej Warszawy, o zduszonej w chłopskich izdebkach wsi polskiej. Po cóż ci ludzie się gnieżdżą, po cóż zużywają tyle sił na zdobycie suchotniczej klatki, kiedy tu na zachodzie jest ziemi i pracy, i mieszkań dla wszystkich...

Oddycham zielenią, wiosennym krajobrazem. Jakżeż tu pięknie nad Odrą!

Cóż, że dziś pobojowisko? Ale nasze! Możemy tu cuda zrobić. Każdy, kto ma myśli jasne i silne ręce, wyrośnie tu na swoją miarę.

A znasz, bracie, swoją miarę? Myślę, że nie. Bo miarę ludzką poznaje się tylko tam, gdzie jest pracy bez miary.

Takim krajem jest polska ziemia nad Odrą i Nysą.

Antologia polskiego reportażu wojennego 1939–1945, oprac. S. Nadzin, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1962, s. 299–306

1945

Wanda Melcer (1896–1972)

Zagarniać rzeczywistość jak szynkę

Imię i nazwisko „Wanda Melcer" było nam bardzo bliskie na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego w połowie lat osiemdziesiątych. Ale nie dlatego, że ktoś znał jej teksty. Do tego trzeba by przeglądać stare roczniki „Wiadomości Literackich", posiedzieć w bibliotece. Było bliskie, ponieważ należało do klasycznej podpowiedzi, którą rzucano przed egzaminem z historii prasy polskiej.

– Reportaż międzywojenny! Nic nie wiem! – szeptaliśmy zrozpaczeni na korytarzu.

Na to padała podpowiedź:

– Wańkowicz, Pruszyński i Wanda Melcer nocowała w przytułku.

Nazwisko „Melcer" fajnie brzmiało, było łatwe do zapamiętania, a z „nocowała w przytułku" można było wywieść kilka zdań o tym, że reporterka wrażliwa społecznie, nie zadowalała się tylko obserwacją i rozmowami, ale poważyła się na reportaż uczestniczący i, kto wie, może był to nawet pierwszy reportaż wcieleniowy w polskiej prasie.

Rzeczywiście jej reportaż z 1933 roku *Nocuję w przytułku* miał ambicję pokazania najbiedniejszych od najbardziej osobistych stron ich życia. Rozbitkowie zwierzają się kobiecie, o której nie wiedzą, że jest redaktorką, córką znanego pianisty Henryka Melcera, że skończyła filozofię na uniwersytecie i Akademię Sztuk Pięknych. Siada na ławce na półpiętrze budynku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, z napisem „*Res sacra miser*" (ubogi jest świętością) na frontonie. Siada obok dwóch kobiet, które nie mają ani grosza. Ona ma czterdzieści pięć, więc dzieli się z nimi i teraz każda ma po piętnaście groszy, i każda za tę sumę będzie mogła zanocować w przytułku. W ten sposób reporterka ma już pierwsze bohaterki reportażu. Potem śpi w przytułku z drugą kobietą w nogach łóżka.

„Wanda nie szuka, nie przebiera: zagarnia rzeczywistość niczym szynkę pod masarską gilotynę" – napisała o niej chyba z przytykiem Maria Kuncewiczowa w piśmie „Kobieta Współczesna", w artykule *Niedyskrecje o niektórych pisarkach*.

Nocuję w przytułku znalazło się w obu antologiach reportażu międzywojennego, wydanych w PRL-u. Ekscytujący był także – bodajże pierwszy w Polsce – reportaż Melcer z domu publicznego. Opisywała piwnice, w których trzyma się niepełnoletnie dziewczynki na wynajem, opisywała starą prostytutkę, której

syn jest jej alfonsem, opisywała izbę bez okna, gdzie trzy dziewczyny wydzieliły sobie zasłonami trzy nory. W dwóch się pracuje, w jednej je. Opisywała czas „polowania na ludzi", jak nazywa pozyskiwanie klientów.

Wielkim zainteresowaniem cieszył się także jej cykl siedmiu reportaży o warszawskiej społeczności żydowskiej, *Czarny ląd – Warszawa*, które ukazywały się w „Wiadomościach" w 1934 i 1935 roku.

> I tym razem – pisze Małgorzata Szpakowska – autorka podobnie jak we wcześniejszych tekstach o prostytucji i o bezdomnych nastawiona była na poszukiwanie egzotyki; stąd tytuł nawiązujący do wypraw w interior afrykański i stąd drastyczność znacznej części opisów [...]. Wraz z kolejnymi reportażami wyraźnie wzrasta ostrość sformułowań, w ostatnim czytamy na przykład o młodych chasydach, że to „wybladli młodzieńcy z jedwabistymi pejsami u skroni, którzy w cieniu jeszybotów oddawali się między sobą onanizmowi i praktykom homoseksualnym" (*Modlitwa i umieranie*, nr 36/1935). Ale jednocześnie autorka oburza się, gdy jej teksty ktoś uważa za antysemickie. W tym samym artykule pisze: „Podług pewnych sfer żydowskich ujawnienie dzikich praktyk ortodoksów, chociaż one nie tylko nie są ukryte, ale przeciwnie, mają moc obowiązującą prawnie w całym kraju, oznacza antysemityzm". Podkreśla także, że atakuje ją również katolicka prawica, tak jakby narodowcy „poczuli się nagle bardzo obrażeni wycieczkami przeciwko formom religii żydowskiej".

W swoim czasie Wanda Melcer była niezwykle popularną reporterką i pisarką. „Napisała trzydzieści cztery książki, żadna z nich nie przetrwała próby czasu" – zaczął wspomnienie o Wandzie Melcer na piętnastolecie jej śmierci Krzysztof Masłoń. Powieści tworzyła schematyczne i nieodkrywcze, choć jedna z nich – *Święta kucharka* (1930) – jego zdaniem najlepsza, ostro demaskowała podziały klasowe. Nic więc dziwnego, że po 1945 roku Wanda Melcer została sekretarzem podstawowej komórki partyjnej Polskiej Partii Robotniczej w Związku Literatów Polskich.

Jej *Wyprawa na odzyskane ziemie* jest na pewno jedną z pierwszych, jeśli w ogóle nie pierwszą książką reporterską wydaną zaraz po wojnie. Przed wojną Wanda Melcer pisała o swoich bohaterach z przejęciem i zaangażowaniem, o Ziemiach Odzyskanych – także, do tego w propagandowym tonie. Jednak sześćdziesiąt dziewięć lat temu zadanie opisania ziem zachodnich, które przybyły ludowej Polsce w 1945 roku, uznano za wzorowo wykonane.

Wyprawa na odzyskane ziemie

Gdy powróciłam z objazdu po odzyskanych terenach zachodnich, z Olsztyna, Elbląga, Gdyni, Szczecina i zielonego Śląska, zapytywali mnie znajomi:

– Powiedz, jak tam jest naprawdę? Jak się tam ludzie czują, jak tam wygląda? Bo tu dochodzą nas najsprzeczniejsze wiadomości. Jedni powiadają, że jest tam jak w niebie, inni zaś mówią, że mieszkać tam niepodobna, i wracają. Kto ma rację?

A słyszałam przecie jeszcze co innego: że cały brzeg morski jest ufortyfikowany i w odległości dwudziestu pięciu kilometrów władze zatrzymują wszystkich podróżnych, że nie dostaniemy się do morza, a w ogóle niepodobna przejść ani przejechać bez tysiąca niewygód i cierpień.

Wszystkie te wieści nie powstrzymują nas bynajmniej, przeciwnie, podniecają do działania. Nie powstrzymują też niewygody podróży: trzęsąca ciężarówka, twarde ławki, skromna i nieurozmaicona żywność, jaką ze sobą zabieramy w przewidywaniu, że „tam" niczego się nie dostanie.

Wyjeżdżamy pewnego gorącego popołudnia. Jest nas z szoferem dziewięć osób, ośmiu mężczyzn i ja jedna. Każde z nas reprezentuje co innego: jest więc przedstawiciel Centralnego Komitetu Przesiedleńczego, jest pełnomocnik do spraw repatrianckich i jest Polpress, Polskie Radio, „Życie Warszawy", „Polska Zbrojna", Związek Plastyków i Związek Zawodowy Literatów Polskich. Wchodzimy do naszego wehikułu, nie przeczuwając wcale, jak go polubimy w ciągu tych trzech tygodni, jak nam się stanie domem, jak się w nim będzie dobrze mieszkać. Z małymi wyjątkami dobraliśmy się bardzo dobrze. Nikt się tam z nikim nie posprzeczał, a co najważniejsze nie było wśród nas nikogo, co by się bał niewygód, narzekał czy wreszcie, jak Murzyn z załogi Narcyza – terroryzował innych wymaganiami. Myślę, że pożerało nas gorące pragnienie: przysłużenia się temu, co uważaliśmy wszyscy za wielkie i niezbędne. I gorąca ciekawość, ta sama, co u naszych rozmówców: jak tam jest naprawdę? I wreszcie drażliwość sumienia: namawiamy do przesiedlania – a czy słusznie? Bo że racja tego wspaniałego, tego jedynego w historii przedsięwzięcia bije w oczy, to inna sprawa. Ale czy w obecnej chwili można ludziom, tym dzieciom naszej Ojczyzny, zapewnić trwałą ochronę i względny dobrobyt – oto było zagadnienie, które zaprzątało umysły nasze i serca.

Są wśród nas ludzie uczciwi i szlachetni, są złodzieje i szabrownicy, i tacy, którzy chcą zrobić wielki interes na przesiedleniu, i tacy, którzy zwyczajnie, że to pogorzelcy, chcieliby dostać kawał ziemi, by na nim pracować. I tacy, którzy po prostu idą, bo Ojczyzna ich zawołała, bo poczuli sercem głos i bicie jej serca, i nie rozumują wcale, dlaczego tak prędko biegną, jaki to wicher podniósł ich nagle na nogi i rzucił na morski brzeg. [...]

Na szosach ruch ogromny, wszelkiego gatunku wozy walą na zachód, na wozach wesoło, gwar, śmiechy, śpiew. Przypominają się amerykańskie filmy przedstawiające pierwszych osadników, a oto i wóz jak z filmu: beczkowate obręcze kryte płótnem, u dyszla para krętorogich wołów, co z godnością ciągną powoli czcigodną arkę na skrzypiących kołach, którą chyba Noe podróżował za biblijnych czasów. Między lirą rogów opalona, siwobroda twarz Starego patriarchy-wieśniaka.

Mijamy dostatnie, wielkie wsie. Czemu by się tu nie zatrzymać i nie porozmawiać z osadnikami? Stajemy, cała wieś zbiega się, najbardziej przedsiębiorcza gospodyni wciąga nas do swego domu. Tak, to jest dom i duży dom, wcale nie taka chałupa, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni w biednych wioskach naszych przeładowanych powiatów. To murowaniec kryty czerwoną dachówką, rozświetlony dużymi oknami o podwójnych szybach, o miejskich drzwiach i kamiennym ganku. Wewnątrz rozkładowy, ma trzy pokoje o kaflowych piecach i kuchnię tak urządzoną, że już nie wiejska gospodyni, ale każda mieszczka może o takiej marzyć. Płyta kilkofajerkowa, ściany do połowy wyłożone białymi kaflami, zlew, szafy w ścianach, półki dopasowane odpowiednio do miejsca, które mają zajmować. Sprzęty też wszystkie w komplecie, w kuchni nie brak garnków, misek, tłuczków, sitek i tych specjalnych porcelanowych puszek z wypisanymi słowami przeznaczenia, a po czym nawet przez sen poznałabym, że znajdują się w kuchni, która należała do Niemki. Nie brak i ręcznika z haftowanym krzyżykami napisem, który metaforycznym stylem opiewa korzyści rannego wstawania. W pokojach nie brak sprzętów, poduch ani pierzyn.

Dom, jak tu zwykle, sytuowany szczytem do drogi, małe podwórze zamknięte w kwadrat murowanymi budynkami i kawałkiem sztachet, w szopie narzędzia rolnicze w komplecie, pługi, brony, wialnie, aparaty do mechanicznego zmywania żłobów i betonowych posadzek w oborze. Patrzę na to wszystko i zapisuję. Pierwszy to na tych ziemiach dom wiejski, który oglądamy; potem patrzymy obojętni na te wsie, obory i stajnie, przywykliśmy. Powszednie to dobro, jak wszystko inne. Gospodarzom tak tu jest dobrze, że po prostu nie znajdują słów. Dopytują się ostrożnie, czy myślimy, że nic się nie zmieni?

Czy nie będzie nowej wojny, napadów, przesiedleń, wyrzucań? Czy to możliwe, że nikt im tego wszystkiego nie odbierze? Zapraszają do wnętrza raz jeszcze, chcą ugościć możliwie najserdeczniej, upiekli przecież chleb, mają w bród kartofli, mleka i mięsa, trochę im tylko brak słoniny, ale to drobiazg, prawda, gdy ma się mleko.

Uspokajamy ich, przyrzekamy wszystko, co chcą. O, gotowiśmy przysięgać na Pana Boga i na wszystkich prezydentów ziemi, że cokolwiek się stanie, ich mała własność nie będzie naruszona. Głaszczę twoje jasne włosy, mała Marianno, taka jesteś śmiała, tak odważnie patrzą twoje czarne oczy, tyle gadasz, tak się śmiejesz, tak ci tu dobrze, ty pięcioletnia osadniczko.

– Była jeszcze druga – mówi gospodyni – miała już siedem tygodni, ale ją Niemcy zabili.

– Co, zabili siedmiotygodniowe dziecko? Za co?

– Ano tak, ze złości, rozgniewały się na nas o coś i zastrzeliły ją w kołysce z rewolweru.

– Wasze gospodarstwo spalone?

– Spalone.

– A ile tam tego było?

– Osiem mórg.

– A tutaj?

– Czterdzieści hektarów. I nawet narzędzia znaleźliśmy pod szopą, bo mój jest stelmach[1].

I kiedy wymieniają te magiczne cyfry, znów widzę w ich oczach strach, czy są one aby realne. Sen, no więc dobrze, to jest taki piękny sen. Byle się z niego nie zbudzić!

Wszyscy żegnają nas, kiedy odjeżdżamy, nawet Niemka, która tu służy, nawet mały piesek, uwiązany koło drzwi na niewiarogodnie ciężkim łańcuchu. To twardzi ludzie, ci osadnicy w Hańkowie, i pewno im się będzie dobrze działo.

Po południu dojeżdżamy do Niborka. Droga wije się i kręci wśród wzgórz nad błękitnymi jeziorami. Tu przecież zaczynają się te słynne jeziora mazurskie, które zajmują ogółem 80 745 hektarów przestrzeni. Na terenie jednego tylko powiatu jest ich dwadzieścia siedem. W słońcu pluszczą się ryby, wyskakując nad drobną, połyskliwą falę. Żeglarzu, sportowcze, turysto – to coś dla ciebie! Leżąc na trawie, zagłębisz oczy w wysokim i błękitnym niebie, na którym właśnie wichrzy się lekki stratus. Pochylając się nad wodę, zgubisz oczy w błękitnych toniach. Godzinami, dniami, tygodniami będziesz błądził po tej uroczej krainie, przemierzając ją cierpliwą a lotną stopą. Nasza młodzież,

[1] Stelmach – rzemieślnik zajmujący się wyrobem wozów i części do nich.

harcerze, miłośnicy sportu wodnego znajdą tu odpowiednie, nieznane a niezmierzone tereny.

Ot, choćby takie Jezioro Łękuckie pod Orłowem. Z jednej strony łagodnie falujące wzgórza porosłe świerkami, brzozami i jodłami, z drugiej piękne, smukłe i białe jak brzozy wieżyczki orłowskiego kościoła. A bezkresne Śniardwy, a Kwientyń, Orzyce, Wiszyniec – to wszystko cuda pod względem krajobrazu. Przy tym jeziora te połączone są rzeczkami i umyślnie kopanymi kanałami, co tworzy z nich zorganizowany system komunikacyjny połączony z Bałtykiem węzłem gdańskim lub królewieckim.

I do ciebie mówię, rybaku, osiedl się tu, choćby w tym małym domku nad jeziorem, gdzie czerwona dachówka tak pięknie harmonizuje z liściem drzew. Idź z wędką, więcierzem, naszykuj mocną sieć. Patrz, jak ciągną szczupaki, ostrozębe korsarze tych wód. Nałów sandaczy, leszczów, sumów, linów, węgorzy, okoni, łososi i jak się tam one jeszcze nazywają. Pomyśl, w jaki by sposób nasolić, nawędzić czy w świeżym stanie przywieźć to bogactwo nam, którzy tak rzadko jemy ryby! Wybuduj odpowiednie pomieszczenie, zorganizuj przewóz, spółdzielnie producentów i sprzedaż, wykształć rybaków. Pomyśl, ile tu ludzi znajdzie pracę i chleb, nie mówiąc już właśnie o rybie. Przecież te jeziora dały rocznie 19 420 ton ryb!

Widzieliśmy, że te ziemie były zawsze dla Niemców kosztowne, że poświęcili ogromne sumy na tak zwaną *Osthilfe*[2]. Czemuż jednak musieli tak uczynić – nad tym nie zastanawiają się ci, którzy bezmyślnie przytaczają dane cyfry, zafascynowani ich rzekomą mową. Nie zdają oni sobie sprawy z tego, o czym dobrze wiedzieli Niemcy, że te ziemie zawsze gospodarczo ciążyły do Polski, że tylko w związku z Polską będą miały odpowiednią wagę i wartość, że są naszym niezbędnym i koniecznym dopełnieniem, że teraz dopiero staną się dodatnią pozycją w budżecie państwowym. Że ich wytwórczość nawet, zamiast żeby być forsowana w nieodpowiednim często kierunku, teraz dopiero będzie mogła być racjonalna, wiążąc nasze potrzeby ze swoimi możliwościami.

W samym Niborku i okolicy Państwowy Urząd Repatriacyjny osadził już ponad dwa tysiące rodzin, zapełniając powiat w trzech czwartych. W mieście stykam się na własną rękę z innym aspektem osadnictwa: to ludność miejska, przeważnie zresztą warszawiacy, która otwiera sklepy. Dużo już jest tych sklepów nieźle zaopatrzonych. Wchodzę do jednego z nich, bo w oknie stoi duża i ciemna butelka chlebowego kwasu, a pić się chce strasznie. Lekkomyślnie każę sobie nalać szklankę, miła sprzedawczyni podaje.

– Co, aż piętnaście złotych?

[2] *Osthilfe* (niem.) – dosł. pomoc wschodnia, program wsparcia finansowego i oddłużania Prus Wschodnich realizowany przez Republikę Weimarską. Szacuje się, że wyniosła około 2,5 mld marek.

– O, pani przyjezdna, pani pisze, niech się pani nie krępuje, pani mi nic nie zapłaci.

Zażenowana, nie przywykłam, kładę jednak na ladzie pieniądze.

– Nie, ja od pani nie wezmę. My tu wszyscy i tak bardzo dużo zarabiamy, pani widzi, jakie tu ceny. Inni zapłacą, tu ludzie mogą płacić.

Kiedy się tak certujemy, do właścicielki sklepu podchodzi młody człowiek, mówiąc coś po niemiecku.

– Zatrudnia pani Niemca? – pytam, kiedy odszedł.

– O, to specjalny Niemiec, komunista, był osiem lat w obozie, cierpiał za swoje przekonania. Może pani chciałaby z nim porozmawiać?

Chcę porozmawiać z takim Niemcem, idę do pokoju za sklepem, siadam z nim przy stole. To ślusarz z fachu, ma trzydzieści trzy lata, mówi mi swoje nazwisko. Został zadenuncjowany i uwięziony blisko trzy lata przed wojną. Jedynie dlatego, że jako dobry fachowiec pracował zawsze w fabrykach; oszczędzono go, cieszył się szacunkiem i względną swobodą. Wymienia obozy i miejsca, w których przebywał. Mówi, gdzie było lepiej, a gdzie gorzej, opowiada o gilotynie, która pracowała w Wolfenbühel koło Brunszwiku, mówi o niej z uznaniem, jako fachowiec, gilotyna bardzo *modern*. Teraz mu jest dobrze, pracuje, pomaga w sklepie, wracać nie ma zamiaru. Cóż, nie posiada żadnej rodziny, te siedem lat skradziono mu po prostu z życia.

W Niborku też spotykamy się po raz pierwszy z surową, ceglaną urodą nadwiślańskiego gotyku. Nie tak bogata i nie tak strzelista jak koronkowy gotyk francuski, ta odmiana ostrołukowej architektury pociąga przez swoją prostotę i czystość. Oto zamek. W ostro złamanym, owiniętym podwójnym wiankiem cegły łuku otworu okiennego właściwe okno jest stosunkowo niewielkie, a jego ceglana rama załamana pod łagodniejszym kątem. Jako kontrast między tymi dwoma napięciami powstaje nad szybą przestrzeń o miłym kształcie, którą architekt wypełnił białą, wapienną wyprawą. Zamek budowany w wieku XIV, odnowiony został w XVIII. Historyku sztuki, artysto, intelektualisto, to coś dla ciebie!

I tu od razu muszę mówić o niemieckiej propagandzie. Była ona prowadzona od wieków na wszelkie tematy i na wszystkich poziomach. Teraz widzimy broszury rolnicze, gospodarcze i fachowe w specjalnym opracowaniu dla tych ziem, wydawnictwa popularnonaukowe, wspaniałe monografie artystyczne i wydawnictwa groszowe ilustrujące bogactwo architektury i sztuki. Pseudonaukowa bezczelność szła tu często w parze z ordynarnym łgarstwem. Nie zwracam się więc teraz do artystów, pisarzy i historyków polskich, żeby je w tej mierze naśladowali, fałszując metryki dziełom sztuki. Ale pas graniczny

to wielka szkoła poświęcenia i sprawiedliwości. Wiemy, jak powstały gotyckie katedry i zamki, jak te wspaniałe, rzeźbione odrzwia, tympanony, łuki okienne i konsole, głowice kolumn i kluczowe sklepienia były dziełem wielkiego zespołu bezimiennych artystów.

Jedyne to bodaj w dziejach przykłady wielkiej, oryginalnej twórczej i anonimowej sztuki zespołowej. Wydzielić teraz sprawiedliwie, co tu się komu należy z wpływu, z artystycznej podniety, z udziału wyobraźni twórczej i po prostu z samego życia, to wdzięczne i twórcze zadanie. Przecież jeśli nawet plany konstrukcji były tu przywożone w całości albo, jak w zamkach krzyżackich, opracowane na miejscu przez zakonników-architektów, to pozostał milion szczegółów, pole dla popisu rzemieślnika-artysty. A jakim modyfikacjom podlegał plan pierwotny ze względu na lokalne potrzeby i udział miejscowych rzemieślników – oto ciekawe zagadnienie. Praca o miejscowych polskich zespołach rzemieślniczych zatrudnionych przy budowie kościołów i zamków krzyżackich na Mazurach włączyłaby to pogranicze w orbitę naszych zagadnień historycznych i byłaby dziełem godnym naszych czasów.

Tego dnia zatrzymujemy się jeszcze w Wielbarku i tu nowe zagadnienie osadnicze.

Repatrianci zapytywani są zawsze w Urzędzie Repatriacyjnym, dokąd chcą jechać. Jedni orientują się w tych terenach, przeczytali coś czy usłyszeli, czasem mają konkretne zapotrzebowania, inni nie. Ale jedni i drudzy muszą podać jakiś kierunek – i podają go. Potem co dzień przychodzą do urzędu dowiadywać się, kiedy wreszcie będzie pociąg, kiedy wreszcie będą mogli odjechać. I któregoś dnia nadchodzi wyczekiwany pociąg.

– Dokąd? – pytają.

– Do Olsztyna.

Ale on chciał przecież jechać do Opola. Cóż, pociąg jest. Czekanie dłuży się niemożliwie – pojadę! I mając dobrowolnie obrane skierowanie do Opola, repatriant równie dobrowolnie znajduje się pewnego pięknego poranku w Olsztynie. I teraz, jak w popularnej anegdocie, zachodzą dwie ewentualności. Albo mu się w tym Olsztynie spodoba, znajdzie tam od razu dla siebie widoki pracy czy po prostu teren na zasadzie jakichś tajemnych powinowactw wyda mu się sympatyczny i pociągający – albo nie. A jeżeli nie, to pokazuje swoją kartę przesiedleńczą. „Ja przecież miałem jechać do Opola, a tu zostałem wysłany omyłkowo". Powstaje niebywałe zamieszanie, ludzie nie chcą wysiadać, nie chcą oglądać terenu, żądają innego pociągu. A tego innego pociągu nie ma i teraz sam diabeł nie dojdzie prawdy, a gadania i niezadowolenia mnóstwo.

Inny typ ciężkiego bardzo problemu to problem tak charakterystyczny „słabej" i „mocnej" rodziny. Mocna nazywa się rodzina, gdzie mężczyzna jest w sile wieku i zdolny do pracy, dzieci już podchowane, kobieta młoda i zdrowa. Słaba jest rodzina, gdzie jedna kobieta ma przy sobie dwoje małych dzieci, a często jeszcze starego ojca lub schorowaną matkę. Jakże to ta nieszczęsna „obsiądzie" gospodarstwo, gdzie pójdzie, co zrobi, kto będzie na nich pracował? Problemy ciężkie czasu spokojnego i na miejscu, gdzie są życzliwi znajomi i przyjaciele, podwójnie ciężkie tutaj, gdzie teren jest nowy, w ciągłym ruchu, jak po wybuchu wulkanu. A przecież każdy najmniej nawet życzliwie dla spraw naszego osadnictwa usposobiony zrozumie, że opieki społecznej, szpitali, przytułków nie buduje się z dnia na dzień i w takich warunkach.

Teraz możemy zobaczyć, jak wygląda punkt etapowy, potem będą się te widoki powtarzać. Zwykle więc jest to rozległy plac nieco za miastem, a przy stacji kolejowej położony, ogrodzony i zabudowany kilku barakami. Owe baraki to drewniane budynki, kryte szczelnym dachem, z oszklonymi oknami. Oddzielnie, często, że to latem, pod gołym niebem, znajduje się czysta kuchnia z wielkimi kotłami, gdzie gotuje się jedzenie. W barakach prycze z siennikami i kocami, stoły, ławki i stołki, miednice i kubły do wody. Przesiedleniec ma więc wygodny lokal, gdzie może spać, jeść i odpoczywać, a w razie niepogody schronić się przed deszczem, złożyć rzeczy, zasięgnąć informacji, udać się do lekarza, otrzymać pracę. Z tych właśnie punktów etapowych rozwozi się na miejsca osadników.

Punkty mają własne regulaminy, w teorii osadnik przebywać tu może tylko parę dni, w praktyce – tak długo, aż znajdzie zajęcie. Wyjeżdżający dostaje suchy prowiant na pięć dni. Leży przede mną sprawozdanie jednego z punktów etapowych, co do ilości pokarmu. Nie będę obywateli nudzić wymienianiem wszystkiego, ale ilości są olbrzymie. Figurują tam w porządku alfabetycznym: brukiew, bekonu około dwóch tysięcy kilogramów, cukier około czterech tysięcy kilogramów, cebula, mięso, około piętnastu tysięcy [bochnów?] chleba, ponad tysiąc litrów mleka, ponad sześć tysięcy kilogramów mydła, około dwu tysięcy kilogramów sera i twarogu, kartofli, mąki, smalcu itd., itd. [...]. Wszystko razem w ilości około czterdziestu siedmiu tysięcy kilogramów wykarmiło siedemnaście tysięcy repatriantów do dnia 31 maja rb. Głodu nie było, prawda?

I oto w baraku – że to reszta już rozprowadzona po terenie – spotkałam „słabą rodzinę", kilka wdów z małymi dziećmi. Jedna ma siedmioletniego synka umysłowo nienormalnego po przebytej heinemedinie. W pokoiku

przytulnie i miło, coś parkocze w garnku na dostawionej kuchence, na stole kwiaty, w małej kołysce w kącie stara kobieta kołysze niemowlę. Tak, to typowe „słabe" rodziny, ale umyślnie wybieram najjaskrawszy przykład. Cóż może być gorszego niż samotna wdowa z nienormalnym dzieckiem? Chłopiec siedzi przy stole, ma dzikie oczy i gwałtowne ruchy, jest zresztą drobny i źle rozwinięty na swoje lata. Z krzykiem wyrywa nam z rąk papiery, na których robiliśmy notatki. Kładę mu rękę na ramieniu, zapytuję o coś, staram się odwrócić uwagę, mówię przyciszonym głosem. Uspokaja się, odpowiada jasno, przytomnie.

– Jak pani umie z nim rozmawiać – mówi biedna matka.

Rozglądam się po otoczeniu. To zapewne zbieg okoliczności, ale te kobiety są młode i prześliczne. Śmiały biust widny w skromnej sukience, twarz pociągająca i miła. Te kobiety chwilowo tylko są w tak ciężkiej sytuacji, one na pewno dadzą sobie radę, młodość umie przezwyciężyć przeszkody. W tej chwili na pewno nie mają wielkich wygód, martwią się przyszłością, chciałyby umieścić dzieci w ochronce czy szpitalu, chciałyby, żeby się ktoś zajął tą starą kobietą, a im żeby było dane pracować i żyć. Ale tego samego pragną przecież wszystkie kobiety z całego kraju, wszystkie, z równą niecierpliwością oczekują, żeby sprawa opieki nad dzieckiem, opieki nad chorym, opieki nad starcami została uregulowana. Czy na ziemiach odzyskanych może to nastąpić wcześniej niż w lepiej i dawniej bądź co bądź zagospodarowanym kraju macierzystym?

Więc tymczasem te obie rodziny mają dach nad głową, byt może lepszy niż w domu rodzinnym – i nadzieję na rozwiązanie wszystkich życiowych bolączek, co na pewno już nastąpiło w chwili, kiedy piszę te słowa. A że zostały w tych warunkach ze swoich leży ruszone? Nie do mnie należy wypowiadanie się tu na temat. Przesiedlanie ludzi, przerzucanie ich uważane jest obecnie za najskuteczniejszy sposób zachowania czy uchronienia narodowości.

Każdy, co powtarza, że repatrianci, osadnicy „nie mają dostatecznej opieki" – niech taką rzecz weźmie pod uwagę. Urzędnicy, personel PUR-u, czy to w centralach, czy punktach, to, obywatelu, taki sam człowiek jak wy czy ja. Ich możliwości pod różnymi względami są także ograniczone ciężkimi warunkami powojennymi. Brak transportu, łączności, środków materialnych i warunki miejscowe nie tylko utrudniają im pracę, lecz również powodują te przykre nieraz sytuacje, na które są narażeni i z którymi muszą się godzić wszyscy obywatele jak na terenach odzyskanych i w całym kraju. Sądźcie ich tak, jakbyście osądzali samych siebie. [...]

Uzyskujemy przepustkę i jedziemy następnego dnia rankiem na Hel. Nigdy nie widziałam tak złej drogi, można tu stracić zęby i chyba nawet życie, więc nie dojeżdżamy dalej niż do pierwszej wsi, co i tak zabiera dobre pięć czy sześć godzin.

Nie żałuję, że tu przyjechałam, przecież to teren słynnego ,,Rokossowskiego boju”[3]. W ostatniej desperackiej walce broniło się tu trzysta tysięcy Niemców przeciw przeważającym siłom radzieckim. Nad olbrzymimi drzewami, połamanymi na drzazgi huraganowym ogniem, nad obnażonym i zrytym szkieletem ziemi, nad przepaściami i lejami od bomb i szrapneli unosi się tchnienie epopei. Imponujący jest sam fakt, że w tym wąskim, z dwóch stron smaganym morzem piekle wytrzymały ludzkie istoty. Rowy strzeleckie znajdują się o trzydzieści metrów jeden od drugiego, walczono twarzą w twarz. Broń, meble wywleczone ze schronów, poduchy i koce walają się w piasku. W wykrotach leżą jeszcze trupy. Na szkieletach drzew siedzą obżarte ścierwem wrony. W morze walą się spiętrzone lokomotywy, jakby i maszyna brała udział w pogromie Rzeszy. Wszystko tu jest jeszcze akcją, dynamiką, walką.

Wsiadł do naszego auta młody, czarniawy wojak i objaśnia nam to, co widzimy. Pasjami lubię słuchać tych prostych, naiwnych chłopaków, jak z powagą starają się sprostać sytuacji i przedstawić sprawę w korzystnym świetle. Ten tutaj – podał nam swoje nazwisko i lata, ale prosił o niepublikowanie – był po skończonej bitwie parlamentariuszem, przywiózł niemieckiego generała, pojechał po niego sam, z szoferem tylko. „No i coś mu powiedział?” – „A co miałem mówić, za łeb i do wozu”. Potem rozstrzelano zdrajców, ale nasz rozmówca żałuje, że ich rozstrzelano „tak swobodnie”. Warto było powiesić.

Nocujemy w Pucku. Na całym wybrzeżu z aprowizacją nieco gorzej, brak tłuszczu, ryb za to pod dostatkiem. Chciałabym trochę popsuć ceny warszawskim paskarzom, ujawniając, że w nadmorskich wędzarniach kilo fląder kosztuje wyraźnie siedem złotych, kilo wędzonego dorsza sześć złotych. Czy naprawdę transport musi kosztować dwieście pięćdziesiąt złotych od kilograma?

Cudowną autostradą mijamy Lębork, fruwamy koło wysokich drzew, polotnych gniazd szumu. Znów cudowne lasy sosnowe. Na wybrzeżu całe kępy złocistego żarnowca, co za urocza harmonia z niebieskim łubinem! Dalej całe pole jaskrawych maków i szafirowych chabrów.

Mijamy Ludwikowo, gdzie czterech tęgich milicjantów przygotowuje się do zajęcia poniemieckiego gospodarstwa i choć tam jeszcze Niemcy siedzą, oznaczyli je przezornie biało-czerwonymi chorągiewkami. Walimy na Słupie,

[3] Tak zwana operacja pomorska prowadzona wiosną 1945 roku. Wojska niemieckie zostały wyparte m.in. na Półwysep Helski i tam skapitulowały.

na główny teren imigracyjny powiatów koneckiego i opoczyńskiego. Osiedlono do czerwca przeszło sto rodzin z tych powiatów i piętnaście rodzin repatrianckich. Na terenie jest kilka wielkich majątków, których się w tej chwili nie dzieli. Wielka własność na ziemiach odzyskanych nie będzie teraz w ogóle przekazywana chłopom. Aby nie obciążać tych nowych właścicieli, wszystkie ciężary kontyngentów będą przerzucone na tę właśnie wielką własność, która będzie w zarządzie państwowym.

W Słupi jest wielu Niemców. Rzuca się to w oczy choćby dlatego, że młodzież rozlepia na ścianach domów gazetkę niemiecką. Niewinne to jak nowo narodzone dziecię, ale czuje się pod tym bardzo ostrą akcję podziemną, Niemcy, wtedy kiedyśmy tam byli, mieli własne radio i teatr. Obecnie wszystko się zmienia, milicja jest o wiele liczniejsza, skompletowano zarząd gminny, zarządy niemieckie skapitulowały doszczętnie, powtórzył się „hołd pruski". W magistracie zachowało się kilkanaście czarnych zabytkowych pieczęci miejskich.

Tu miejsce, ażeby znów wspomnieć o niemieckiej propagandzie. W chwalebnej, choć nieoczekiwanej miłości prawdy (!) posuwa się ona tak daleko, że dziełko o ciekawostkach Zatoki Świeżej podaje fotografię łowców wron na mierzei, którzy złapane ptaki uśmiercają... zębami, miażdżąc czaszki. Ja bym się tym nie chwaliła.

Na wieczór przybywamy znów nad morze do Postomina, gdzie asystujemy przy niezbyt budującym widowisku, jak za łby się biorą burmistrz i milicja z jednej strony, a wodniacy z drugiej strony. Kto ma rację, nie wiem.

Muszę wyznać, że poczułam zgubną słabość do Postomina, tylko tu chciałabym zamieszkać. Wille są wspaniałe, jak wszędzie na wybrzeżu, piękne przy nich ogrody ze strzyżonymi szpalerami, morze rozległe i ponure, sosny aż czarne od soków. Kto nie potrzebuje niezbędnie sopockiego gwałtu i zabawy, niewątpliwie zagustuje w tej pięknej miejscowości.

Nasz plastyk, zwariowany jachtsman i zawodowy „deprawator" młodzieży, którą „zatruwa" miłością do morza i pięknego sportu żeglarskiego, zachwyca się portem.

Na drugi dzień rano jesteśmy już w wojewódzkim Koszalinie. Swoją drogą trudno nie zauważyć różnicy między terenem będącym już dawniej w naszym posiadaniu a otaczającymi go z dwóch stron ziemiami odzyskanymi. W niesławnej pamięci „korytarzu" ludzie przepędzani i gnębieni, wrócili na swoje miejsca, poruszają się ze swobodą, czują się bardziej i szczerzej u siebie. Barwne gromadki z zapałem koszą łąki, śpiewają. Tam na bokach wyczuwa się jakby skrępowanie w ruchach i mowie. Ciszej tam...

Estetyczny gmach województwa w Koszalinie odniemcza się właśnie na gwałt. Kamieniarz zawieszony na wieżyczce sprawnie odkuwa orła, blacharz operuje w sensie polskości małego niemieckiego orzełka koło chorągwi. Wewnątrz pracowity Niemiec cierpliwie zamazuje niemieckie napisy oznaczające piętra, ciesząc się, że robota jest lekka i dobrze idzie. [...]

Kiedy na drugi dzień ruszamy w stronę Szczecina, oczekuje nas na drodze niespodziane a świetne przyjęcie. Oto swoim zwyczajem zatrzymujemy się w pierwszej lepszej wsi i wchodzimy do pierwszego lepszego domu. Budynek murowany, dachówką kryty niczym nas nie zadziwia, tu innych domów nie ma. I wewnątrz wszystko w zupełnym porządku: dobrze rozmieszczone trzy pokoje, kuchnia, kaflowe piece, podwójne okna, wszystkie sprzęty należne do kulturalnego życia, aż do dywanów i bujającego fotela włącznie. Ale najcenniejsze sprzęty tego domu to oboje młodzi gospodarstwo, którzy ten piękny mająteczek zdobyli i utrzymali. Młody człowiek to fryzjer warszawski z ulicy Czerniakowskiej, spryciarz jakich mało, zresztą syn gospodarski. Czasu wojny pracował tu u bauera jako niewolnik (tak oni wszyscy o sobie mówią), wyszukał sobie najlepsze gospodarstwo, osiadł na nim z młodą kobietką, która pomaga mu dzielnie w pracy. Trzeba słyszeć tego dwudziestoparoletniego człowieka, jak mówi o polityce, wzajemnym stosunku Polaków i Niemców, o swoich obowiązkach jako wodza gromadki osadniczej, która się tu koło niego skupiła – jest bowiem sołtysem. Oprowadza nas po gospodarstwie, z dumą pokazuje sześć krów, cztery konie, elektryczny motor, wspaniałe obory i stajnie. A cóż dopiero, kiedy siadamy do stołu! To istne olśnienie. Ile tam mleka słodkiego i zsiadłego, serów, masła, wędlin, ile napieczono chleba i ciastek, co za cielęcina! Prawdziwie to zachęcający przykład, ile może zdziałać człowiek młody i energiczny, który ma dobrze w głowie. Do stołu oczywiście usługuje Niemka. Ten człowiek nie wyniósł na pewno z czasu okupacji i niewoli kompleksu niższości.

A jeżeli tu mowa o ludziach spotkanych, przypomina mi się jeszcze jeden, na którego trafiłam w którejś z miejscowości nadmorskich. Ten umiał z prostotą mówić o rzeczach wielkich. Stał z towarzyszem, który tu odgrywał rolę konfidenta w sztuce, bo nie pamiętam repliki – służył tylko do tego, żeby rozmówca mógł swoje wypowiedzieć. Więc powiedział tak: „Byłem wierny przysiędze, nie dałem się odepchnąć od morza. Tyle tylko, że kiedy musiałem uciekać z Gdańska, przeniosłem się do Gdyni". Może przeczyta te słowa, są one pozdrowieniem.

Wieczorem przyjeżdżamy do Szczecina. Nie ma tam wiele zniszczeń. Oglądamy plan miasta, na którym przejrzyście przedstawiony jest jego stan

powojenny; może jakaś piąta część leży w gruzach, głównie dzielnica nadrzeczna. Szczecin ma szeroko rozbudowany przemysł maszynowy, szklany i ceramiczny, elektrotechniczny, cementowy i budowlany. Ten wieczór w Szczecinie ma wydźwięk dramatu. Po ciemnym niebie przelatują ciężkie i wielkie chmury, na horyzoncie błyska się. Od wielkiego gmachu rządowego miasto schodzi piętrami ku Odrze, scena średniowiecznego moralitetu. Na każdym piętrze akcja odrębna i wyraźnie oddzielona jak niebo i piekło. W burej wodzie rozświetlonej gzygzakami błyskawic stoją rzędem niewyładowane berlinki[4], na których tłoczą się Niemcy, ewakuowani do Stralsundu i na Rugię i teraz, korzystając z chwilowej koniunktury, wracają. O piętro wyżej, na wybrzeżu, widać ich baraki i obozowiska, gdzie krzyczą półnagie dzieci, rzucając w siebie zgniłymi kartoflami. Zgiełkliwie tu i ciemno, skłębiony tłum krzyczy jak potępieńcy, kiedy zaczynają padać pierwsze grube krople deszczu. Jeszcze wyżej, na tarasach spadzistego brzegu, w alejach przekopanych niedawnymi strzeleckimi rowami, wśród architektury dziwacznych, połamanych kolumn, jak na teatrze w Łazienkach – błądzą ciemne i milczące duchy czyśćcowe z workami i hakami, szukając łatwego łupu. Na rzece ciemnieje most zmierzający ku okrągłej baszcie, jak most i zamek Świętego Anioła we Florencji [*sic!*].

Ale właściwy dramat rozgrywa się na najwyższym piętrze, w gmachu rządowym, po którym błądzimy w przeciągach, trzaskaniu okien i huku nadciągającej burzy. Ten gmach, który ze trzysta osób mógł pomieścić na nocleg, dziś ledwo może go udzielić naszej skromnej gromadce. Prezydent powrócił na urzędowanie wczoraj dopiero po dwudziestu dniach nieobecności, ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki, jest chory.

Panie prezydencie! Czy zdawał pan sobie sprawę, że stoi przy panu ktoś, kto niby nie patrząc, będzie liczyć i ważyć każde słowo, które wychodzi z pana zgorączkowanych ust, zarejestruje każde rozłożenie drżących rąk, każdy skurcz załamanych palców? Stał pan przed nami, panie prezydencie, jako niezłomny przedstawiciel na tych dalekich jej krańcach, jako wzór i przykład obowiązku, wzór i przykład obywatela. Czy pomyślał pan o sobie, kiedy ojczyzna po raz drugi, a potem po raz trzeci wezwała pana na to eksponowane stanowisko? Czy wymawiał się pan przed przyjęciem nas, przed rozmową z nami?

Właśnie kiedyśmy wstawali – zahuczał pierwszy grzmot z nagromadzonych chmur i zaraz przedarło się niebem coś bladego i niebieskiego jak nadzieja. Poszliśmy wypocząć.

Dzień, który nastąpił, jest słoneczny i nic nie pozostało z niesamowitych nastrojów wieczora. Prezydent ma się lepiej, żegnamy go i odjeżdżamy. Pięknie

[4] Patrz s. 273, przyp. 6.

tu w tych nadmorskich stronach, gdzie na drogach do małych ręcznych wózków zaprzęgli się Niemcy. Nie stać mnie na pobłażanie czy choćby współczucie dla ich widocznej nędzy, dla nędzy ich dzieci tam, w najniższym kręgu przyrzecznej strony. Bez wzruszenia myślę, że ich trud jest i był daremny, że cofną się o tyle kilometrów, kiedy na puste miejsca napłynęło niezmierzone i tyle wieków cierpliwe morze ludu polskiego. [...]

Wanda Melcer, *Wyprawa na odzyskane ziemie*, Warszawa: Biblioteka Społeczno-Naukowa, 1945, s. 3–5, 7–18, 32–41

1948

Aleksander Janta-Połczyński (1908–1974)

Cytuję wyłącznie własne doświadczenie

Z kim on się nie spotykał jako reporter...

W 1931 roku – z poetą i lordem Alfredem Douglasem, sławnym kochankiem Oscara Wilde'a:

> Na szafie, wysoko, że się dopiero po długiej chwili spostrzega jego istnienie, znany subtelny rysunek: głowa lorda Douglasa, kiedy miał lat osiemnaście, kiedy był jasnowłosym i pięknym chłopcem o oczach ogromnych, o czystych, rasowych i smukłych rysach, u samego wstępu przyjaźni z Wilde'em. Naprzeciwko tego rysunku, w fotelu, szeroko rozparty siedzi przede mną ten sam Douglas o czterdzieści dwa lata starszy. Tęgi pan o wiecznie ruchliwych, niespokojnych, białych cienkich rękach. W twarzy z lekka nalanej, obwisłej o wydatnym nosie... – Przecież nie wyglądam na starca?

W 1935 roku – z Charlie Chaplinem. Wysiadał z samochodu przed willą gwiazdora, a drzwi otwierali japońscy służący:

> – Są przyjemni – mówi Chaplin. – Umieją być tak bardzo ludzcy, kiedy potrzeba. Są, a jakby ich nie było. Zawsze pod ręką i zawsze z daleka. Nic a nic nie nudni. To wiele warte.

W 1939 roku – z Mahatmą Gandhim, który jadł przy Jancie obiad, a potem płukał usta i gardło, i przedmuchiwał nos, bez żadnego zażenowania, charcząc i chrypiąc:

> Z tym Gandhim, gdy odsunąwszy teraz obiadowe naczynia i sztuczne zęby oraz plik blankietów telegraficznych, ułożył się wygodniej na poprawionych poduszkach posłania, rozmawiam o sytuacji – w Europie.

W 1946 roku – z pisarzem André Gide'em, który przy reporterze dzwonił w sprawie zainstalowania mu w domu nowego pieca. Kiedy dowiedział się, że piec może się pojawić w jego mieszkaniu dopiero za dwa tygodnie, wtedy „z wzorową dykcją i naciskiem" literował swoje nazwisko, aż okazało się, że piec będzie jutro:

> Zauważyłem, że najlepszy to chyba komentarz do stanowiska, jakie w Europie, a przede wszystkim we Francji zajmuje wielkiej miary pisarz, a zarazem

> dowód jego autorytetu w społeczeństwie. [...] Celebrował niewątpliwie swoją sytuację wielkiego pisarza i wyjątkowego człowieka, celebrował wyższość i jedyność swojego miejsca w literaturze Francji i w świecie. Nie było w tym żadnej specjalnie pozy; przychodziło mu to tak naturalnie jak innemu oddychanie.

Aleksander Janta-Połczyński był też pierwszym polskim dziennikarzem, który dostał się na konferencję prasową prezydenta Roosevelta. Swoich spotkań często nie przekuwał w wywiady prasowe, ale w teksty reporterskie (najczęściej dla „Wiadomości Literackich"). Najlepszym określeniem jest dla tych artykułów to, które wiele lat później wymyślił Truman Capote: portrety konwersacyjne. Spotkanie (przeważnie jednorazowe) z rozmówcą jest dla Janty podstawą, na której buduje sylwetkę swojego bohatera. Dużą rolę grają didaskalia i drobiazgi zaobserwowane wprawnym okiem.

Ksawery Pruszyński nazwał go „Rejem polskiego reportażu". Janta przemierzał tysiące kilometrów w poszukiwaniu tematów. Michał Sprusiński, autor antologii tekstów Janty *Lustra i reflektory*, która wyszła w 1982 roku, napisał, że jego biografia jest wielką sensacyjną powieścią o iście renesansowym zakroju.

Syn rodziny ziemiańskiej z Małej Komorzy pod Tucholą. Najpierw debiutował nowelami i prozą. Potem jako dwudziestopięciolatek wybrał się w podróż. Był nieznużonym młodzieńcem. Z Rosji w 1933 roku napisał dwie książki: *Patrzę na Moskwę* i *W głąb zsrr*. Z Japonii w 1935 – *Made in Japan*. Po kilku miesiącach objeżdżał Stany. Z Hollywood napisał *Stolicę srebrnej magii* (1936). Podczas kampanii francuskiej był reporterem wojennym. W niewoli niemieckiej udawał Francuza. Napisał o tym książkę *Kłamałem, aby żyć* (1945). Po wojnie zdecydował się na pozostanie w Stanach Zjednoczonych.

W 1948 roku przez paryską „Kulturę" został wysłany w podróż po Polsce. Po ponad dwóch miesiącach wrócił z zaskakującym reportażem. Czuł, że od emigranta – współpracującego z kwestionującym pojałtański porządek pismem Giedroycia – oczekuje się reportażu nieprzychylnego dla prl-u.

> Przez cały czas pobytu w Polsce nie miałem wypadku, aby ktokolwiek sprawdzał moje papiery albo legitymował mnie – wyznał w didaskaliach poprzedzających reportaż. I zaraz zastrzegł: – Nie przesądzam tym twierdzeniem niczego; cytuję wyłącznie własne moje doświadczenie. Wiem o ludziach, którzy mieli inne. Przeważnie jednak nie w wyniku przypadkowego sprawdzenia papierów, bo tego się w Polsce nie stosuje; nie słyszałem też, aby przeprowadzane były łapanki. ub poluje na upatrzonego; różnica między systemem niemieckim np. polegającym na ślepym zarzucaniu

sieci i traktowaniu ryczałtem wszystkich złapanych w nią ludzi, wyraża się w stwierdzeniu, że UB łowi na wędkę, dobrze wiedząc już naprzód, kogo i po co łapie. Do tego stopnia, że na śledztwie nie pytają – mówią.

Twierdził, że spotykał, kogo chciał i gdzie chciał. Rozmawiał i z przedstawicielami rządu, i z jego przeciwnikami. Z ludźmi, którzy dopiero co wyszli z więzienia, i tymi, którzy poszukiwani byli przez UB. Każdy z nich miał inną ocenę tego, co się w Polsce dzieje. Dlaczego to mu się udało? Tłumaczył to tak:

Wobec osiągnięć, uzyskanych w ciągu czterech lat rządów dzisiejszego reżimu, czuje się on tak pewnie, że stać jego ludzi na pokazanie nawet postronnemu obserwatorowi, jak dokonywana dziś odbudowa i przebudowa naprawdę wygląda. Stać go na puszczenie go samopas po Polsce – niech sam zobaczy, co się tam robi, jak się to robi [...]. Byłoby mi dziś na pewno łatwo, inspirując się z postępowania polityków, zrobić z tego reportażu jeszcze jeden akt oskarżenia i potępić wszystko, co widziałem w Polsce, dlatego że istnieje ingerencja w jej sprawy wpływów rosyjskich [...].

Z bogatej podróży przez Warszawę, Katowice, Kraków, Oświęcim, Poznań, Szczecin, Gdańsk, Sopot, Gdynię, Tucholę, Chojnice i kilka innych miast wybraliśmy dwa rozdziały, które swoim stylem diametralnie różnią się od stylu reportaży, jaki zaczął obowiązywać wtedy w Polsce.

Niestety – jak pisze Michał Sprusiński – po tym reportażu Janta został wzięty w dwa ognie. Nie zadowolił ani rodaków, ani emigracji. Atakowano go zewsząd, ale bronił sam książę Giedroyc:

Wydaje mi się, że już czas najwyższy [...] nie ulegać terrorowi dawnych autorytetów.

Reakcje na reportaż Janty-Połczyńskiego opisuje Magdalena Grochowska w swojej biografii Jerzego Giedroycia. Generał Anders zakazał kolportażu w Londynie numeru „Kultury" z tym tekstem. W liście do Giedroycia zabronił też druku kolejnych części w następnych numerach i oskarżył „Kulturę" o chwiejność ideową. Zażądał (mimo że pożyczka zaciągnięta przez Instytut Literacki u 2. Korpusu już została zwrócona), by w przyszłości przysyłać mu do oceny kontrowersyjne artykuły.

Redaktor wstrzymał druk następnych odcinków w „Kulturze", ale na początku 1949 roku wydał pozostałe teksty w książce, bez winiety Instytutu Literackiego, za własną odprawę z wojska. W londyńskich „Wiadomościach" natychmiast ukazała się recenzja *Wracam z Polski* pod tytułem *Babranie się*

w obrzydliwościach. Jan Lechoń przysłał Giedroyciowi list, w którym oskarżył Jantę, że ten pisał swój reportaż „pod dyktando bolszewickie". Ze zdradą się nie dyskutuje, tylko się z nią walczy – pouczał. Obrona Janty w „Kulturze" była dla Lechonia objawem relatywizmu, który stanowi „zaprzeczenie wielkiej moralnej linii, jaką kierowała się dusza polska".

Giedroyc nazwał poetę w liście do Janty bęcwałem.

Wracam z Polski 1948

Warszawska codzienność

Warszawska codzienność jest dziś udziałem sześciuset tysięcy mieszkańców stolicy i około stu tysięcy ludzi dojeżdżających z osiedli podmiejskich. Ulice aż huczą życiem, ruch automobilowy jest spory, taksówek przeszło tysiąc, przed Dworcem Głównym czekają całym stadem, żadnych ograniczeń benzyny (jest węgierska, rumuńska albo sowiecka), upłynnia się tą drogą nasz węgiel – mówią. Jeżdżą zaś bardzo „żywiołowo", jak zauważył szofer mojej taksówki, wymijając pędzącego kolegę. Poza tym konne dorożki, tramwaje i autobusy, a także ciężarówki pasażerskie, zwożące co rano urzędników poszczególnych instytucji z oddalonych punktów przedmieścia. Odbudowano lub zbudowano na nowo dwadzieścia pięć linii tramwajowych, siedemnaście linii autobusowych i trzy trolejbusowe, które dysponują trzystu czternastoma wozami tramwajowymi, sześćdziesięcioma siedmioma autobusami i dwudziestoma jeden trolejbusami. Obsługują one w samej Warszawie łącznie trasę o długości 222,9 kilometra.

Restauracje są liczne, kawiarnie ludne, sklepów z zapełnionymi wystawami co niemiara, bardzo wiele księgarń, w bramach domów antykwariaty, kioski z papierosami sprzedają nie tylko wyroby Monopolu Tytoniowego, ale także papierosy amerykańskie w każdej ilości, po trzysta złotych za paczkę po piętnaście złotych za sztukę. Najtańsze polskie triumfy lub nysa kosztują po sześćdziesiąt złotych za paczkę. Wielu ludzi kupuje papierosy na sztuki.

Ruchem kierują milicjanci w białych, lnianych mundurach (jest lato) i białych okrągłych czapkach z daszkiem. Są na ogół grzeczni, ale stanowczy w przestrzeganiu przepisów ruchu ulicznego. Zaraz pierwszego dnia przedstawił mi któryś z nich doraźny nakaz karny Nr 48448 (!) na pięćdziesiąt złotych za przejście przez ulicę Marszałkowską w nieodpowiedniej chwili. „To dla pańskiego dobra" – mówi, inkasując pieniądze i mrugając do mnie porozumiewawczo. Że niby trudna rada, ale taki jest jego obowiązek.

W związku ze zmianami nazw ulic, przywracanych teraz częściowo do dawnego, historycznego brzmienia [...] oraz zmianą nazwy policjantów na milicjantów krąży po Warszawie następująca historyjka z pierwszego okresu po „wyzwoleniu":

– Przepraszam, panie posterunkowy...

– Nie mówi się „panie posterunkowy", mówi się „obywatelu milicjancie".

– Chciałem trafić na Aleje Ujazdowskie...

– Mówi się aleja Stalina.

– No to może mi pan jeszcze powie, czy most przez Wołgę już stoi, bo ja chciałbym potem na Pragę...

Warszawskie kpiarstwo nadal kipi i kwitnie.

W restauracjach jadłospisy podają wybór potraw co najmniej tak liczny jak przed wojną. Jedzenie znakomite, obfitość porcji także tradycyjna. Siedzę z pewnym brzuchatym jegomościem przy chłodniku z szyjkami rakowymi i pulardzie z kapłona, zakrapianej gęsto śliwowicą. Jest z tych, którzy bywają za granicą.

– Ile razy jestem z powrotem w Polsce, oddycham znowu pełną piersią – mówi. Ale gest, którym okrasił to powiedzenie, jest gestem zaczynającym się na wysokości brzucha i obrysowującym jego mocno wydatny kształt z góry na dół.

Mimo cen, wydających się na przeciętną skalę zarobków w Polsce bardzo znacznymi, wszędzie pełno. Ale podają w każdej restauracji od trzeciej do piątej obowiązkowo także obiad tak zwany klubowy – za sto pięćdziesiąt złotych, i popularny – za sześćdziesiąt pięć złotych. Taki obiad składa się z dwóch dań, nie tylko jadalnych, ale na ogół także najadalnych. Sam sprawdziłem[1].

Powiedziałem, że lokale są pełne. Skąd ludzie mają jeszcze pieniądze w Polsce? Rzecz prosta, że zwykły robotnik nie może sobie pozwolić na bywanie w takich restauracjach, chyba że należy do przodowników pracy, to znaczy, że wyrabia jakieś nadnormy, premiowane często bardzo wysoko. Skąd więc, powtarzam, biorą się te pieniądze, których wydawanie w lokalach warszawskich odbywa się tak szeroko?

Trzeba tu stwierdzić przede wszystkim, że zarobkowe możliwości dla człowieka ze zdolnościami, z głową i z nosem są w Warszawie większe niż gdzie indziej, a wynikają w ogóle z tendencji kumulowania kilku posad, co oczywiście reprezentuje ogromne przeciążenie pracą dla tych, którzy nie trudnią się interesami. Przeciętna urzędnicza pensja także przecież waha się od jakich ośmiu do piętnastu tysięcy złotych. Inicjatywa prywatna, chociaż tępiona i coraz bardziej naciskana podatkami, jeszcze się jednak broni. Bronienie to daje często smutne skutki, zwłaszcza odkąd wzięto się do badania księgowości przedsiębiorstw za rok 1946. Wykryte nadużycia prowadzą bez pardonu za kratki i zmniejszają wydatnie liczbę przedsiębiorczych albo wykazujących się nadmierną inicjatywą ludzi. Są wprawdzie tacy, którzy w czasie

[1] Dla ilustracji przytaczam menu typowego obiadu klubowego w restauracji warszawskiej: zupa lub rosół, sztuka mięsa z ćwikłą lub potrawka cielęca (150 zł). Popularny: zupa kalafiorowa lub barszcz zabielany, bitki sarnie po myśliwsku lub sznycel siekany (złośliwi nazywają go „przegląd tygodniowy") (65 zł). Niektóre restauracje dają także obiady tak zwane firmowe z trzech dań, z większym wyborem za 250 zł. Praktykowane są dnie bezmięsne i bezciastkowe. W dniu bezmięsnym dozwolony jest drób i dziczyzna. Można w te dnie spotkać w menu restauracyjnym np.: pieczeń wieprzową z dzika albo sznycel z drobiu. „Jaki jest ten sznycel?" – zapytałem. „Oczywiście cielęcy" – odpowiedziano. W dzień bezciastkowy zamawia się w niektórych kawiarniach „partyzanta". I dostaje sporą porcję bitej śmietany. Ciastko ukryte jest pod nią [przyp. aut.].

okupacji porobili majątki; przepuszczają je teraz, ponieważ istnieje obawa, że utrzymać je będzie zbyt trudno. Paradoks, że się w Polsce najlepiej powodzi kapitalistom, ma nogi coraz krótsze, żyje się więc przeważnie z ręki do ust.

Naukowa i literacka praca daje dochody stosunkowo najmniej krępowane przepisami i naciskiem podatków. „Nie zapominaj – mówił mi jeden z kolegów po piórze – że Polska to dzisiaj przede wszystkim księstwo pisarzy". Ale o tym potem, osobno.

Lokale znajdują się na ogół pod obserwacją kontrolerów skarbowych, interesujących się wcale żywo każdym klientem, który rzuca pieniędzmi. Niech no który zwróci ich uwagę, a może mu się zdarzyć rewizja, nalot albo desant (jest, zdaje się, rozróżnienie intensywności w tych trzech pojęciach) Skarbowej Komisji Specjalnej, która wtrąca się człowiekowi do najbardziej prywatnych rachunków i wymaga od niego przekonujących dowodów na każdy wydatek i każdą sumę, jaka przepłynęła przez jego ręce. Potrafi ten obyczaj niejednemu na długo zakłócić poczucie spokoju, zwłaszcza jeżeli przy tej okazji Komisja trafi na najmniejszą nieścisłość, która podpada pod rubrykę karalnych nadużyć. Sankcja podatkowego d o m i a r u, wyznaczanego w zależności od oceny pobocznego zarobku, który nie został zapisany w deklaracji dochodów, kładzie niejeden prywatny interes na obie łopatki. Mania robienia interesów na lewo jest pozostałością wojenną, która wykształciła się u wielu ludzi w nieprzeczuwany przedtem talent i stanowi w dzisiejszej sytuacji niebezpieczny już i tępiony nawyk.

W związku z owymi niedyskretnymi pytaniami, jakie grozić mogą klientowi, który płaci podejrzanie wysoki rachunek w restauracji, opowiadają popularną anegdotę, że pociągnięty w tej sprawie za język gość na pytanie, jaki jest jego zawód, odpowiada:

– Zawód? Nauczyciel.

– A ile też pan zarabia jako nauczyciel?

– Około ośmiu złotych miesięcznie.

– Jak może pan wytłumaczyć w takim razie wydatek kilku tysięcy złotych na dzisiejszą kolację? Czyżby miał pan dochody poboczne?

– A oczywiście, że mam. Daję prywatne lekcje.

– I przynoszą panu aż tyle?

– A tak. Bo przecież mam między swoimi uczniami jednego ministra, którego przygotowuję do matury, i jednego generała, którego uczę po polsku...

Jeszcze przed rokiem uważano, że na przykład kawiarnia w Warszawie jest jednym z najlepszych interesów, jakie sobie można wyobrazić. Znamiennym objawem zmiany tego mniemania jest okoliczność, że istnieją obecnie oferty

na kupno prosperującego lokalu tego typu, na który jeszcze niedawno było sporo amatorów z pieniędzmi, dziś natomiast trudno ich już znaleźć. Jest to wynik przewidywań, że interesy „lokalowe" będą się raczej kurczyć, niż rozwijać.

Zaszła też w Polsce spora i powszechna zmiana stylu w ubiorze, wynikająca z podrównania robotnika, a zwłaszcza chłopa, pod jakiś lepszy, zamożniejszy standard, i jakby zmniejszenie liczby dobrze, po europejsku ubranych ludzi. Wrażliwość na sprawy ubrania jest bardzo różna, zależna nie tylko od oczu, ale także od znawstwa obserwatora. Mogę powiedzieć, że mimo pewnych oznak niedostatku, jeżeli idzie o przyodziewek, zilustrowany choćby faktem wielkiej różnorodności stroju, bo o wybór w warunkach ich życia trudno i każdy ubiera się „w com ta miał", ogólnie przecież na ulicy warszawskiej przechodnie ubrani są lepiej, niżby się tego można po nich spodziewać. Najgorzej wyglądają od strony butów. Wielu chodzi w pantoflach tenisowych. Ostatnio dopiero Bata w wyniku wymiennych umów między Polską a Czechosłowacją rzuciła na rynek trochę taniego, ale też niezbyt solidnego obuwia. Mężczyźni często w bryczesach i butach kawaleryjskich (krój oficerski). Tak pono chodzili w czasie okupacji. Są w pumpach, z wykładanym *à la* Słowacki kołnierzykiem i w „bandytówce", czyli czapce z daszkiem na bakier. Wyglądają dość „pumpatycznie", twierdził jeden z moich przyjaciół. Wśród młodzieży moda wojskowo-harcerska – bardzo krótkie spodenki, kurtki czasem białe, lniane, z krótkimi rękawami. Spotyka się jednak piękne i dobrze ubrane kobiety, które z właściwym swemu gatunkowi i przysłowiowym dla Polek kunsztem potrafią nawet z niczego ubrać się popisowo. Ubrania mężczyzn są na ogół wymięte, sporo mundurów bez odznak, noszonych w zastępstwie cywilnego ubrania z cywilną koszulą na przykład albo cywilnymi spodniami do wojskowej bluzy. Są nawet mundury amerykańskie z unrowskich darów jakoby. Po kroju munduru poznać można jego pochodzenie. Można odróżnić andersowca od byłego żołnierza 1. Dywizji albo 1. Armii. Czarny naramiennik identyfikuje żołnierzy Maczka.

Panuje dość powszechnie „bezkrawacie". Można nawet powiedzieć, że istnieje w tej dziedzinie tendencja brawurowania i demonstracyjne zapominanie o nim, jako wyraz dostosowania się do aktualności, więc trochę poza, widoczna zresztą raczej na niższych szczeblach społecznych, a nie kopiująca przykładów z góry. Istnieje jednak i inne także podejście do tego zjawiska.

– Proszę pana, ja w czasie powstania umierałem trzy razy dziennie, to pan rozumie, że dla mnie sprawa, czy kto ma, czy nie ma krawata, nie może być ważna. Bylebym miał własne łóżko, które znów mam od niedawna.

Podejrzewałem bowiem, że to bardzo trudne od odzyskania, jak się to raz straciło. Spałem w rezultacie przez jakiś czas z pewnym starszym jegomościem, z którym naprawdę nic mnie nie łączy, i dlatego dotąd uważam, że od ubrania ważniejsze jest łóżko...

Istnieje poza tym moda medali i odznak. Sporo odznak byłych więźniów obozów koncentracyjnych w klapach od marynarki. Związek byłych więźniów kacetu[2] obejmuje tych tylko, którzy przesiedzieli co najmniej trzy miesiące. Mira Zimińska, zawsze pełna humoru i werwy, a mająca za sobą tylko dwa i pół miesiąca, rozpytywała się któregoś wieczoru, gdzie tu można odsiedzieć jeszcze dwa tygodnie, aby mieć prawo wstąpienia do Związku. Spotyka się jakichś młodzieńców, którzy nawet na cywilnej kurtce noszą swoje Virtuti i inne krzyże naturalnej wielkości. Widuje się całe serie baretek. Jeżeli pomyśleć, że to jedyna nagroda i dorobek wojenny tych ludzi po paru latach najcięższych przeżyć, nie ma się właściwie czemu dziwić.

Pije się w Polsce wiele. Istnieje już jednak w społeczeństwie jak gdyby instynktowny odruch przeciwko temu rozpiciu, które jest nie tylko jednym z przyzwyczajeń okupacyjnych, ale nadal leży tym ludziom we krwi jako najtańszy dziś środek rozrywki, oszołomienia i ucieczki od codzienności, choć już także stanowi codzienność. Pije się w Polsce za pięćdziesiąt miliardów złotych rocznie. Czytam na słupach ogłoszeniowych afisze plebiscytu jednego z tygodników: „Czy pijaków należy leczyć?", obok ogłoszeń sztuki *Ladacznica z zasadami* Sartre'a [...].

Trochę zabawnie brzmią rozwieszone w niektórych lokalach nocnych ogłoszenia jakiejś tam ligi do walki z alkoholizmem, mówiące, że ludzi w stanie nietrzeźwym nie wolno wpuszczać. Cóż, kiedy przeważnie wypuszcza się ich właśnie w takim stanie.

Ile razy mowa o polskim pijaństwie, nie mogę oprzeć się przypomnieniu rozmów z Karolem Szymanowskim, kiedy mu się marzyło, jaka wspaniała byłaby ta Polska, gdyby się w niej piło nie wódkę, ale wino. „Bo uważasz, złotko, wino to przecież słońce, ta wódka to jednak kartofle". I już całą różnicę wypowiadał tym porównaniem, wyznaczającym na pewno granicę, która określa wcale istotną różnicę cech psychicznych narodów i ich cywilizacji.

Mówi mi pewna starsza dama, bardzo krytyczna wobec dzisiejszości:

– Każdy ma teraz swojego patrona, jeden znajomość w UB, drugi plecy w partii, trzeci protekcję u władz lokalnych. Ja mam świętego Antoniego. Nie twierdzę, że bardzo mi jest pomocny w tych czasach, gdzie łatwiej wszystko zgubić, niż cokolwiek znaleźć. Tyle mam tylko dobrego z świętym Antonim, że przynajmniej nie potrzebuję z nim chodzić na wódkę...

[2] Kacet – obóz koncentracyjny (od niem. KZ, *Konzentrationslager*).

Chyli się Polska w trudne czasy
przed bóstwem wódki i kiełbasy
i przed płaczami i po płaczach
po prasłowiańsku się zatacza
i z czkawką licząc swe ubóstwo
racji do chluby widzi mnóstwo...

– pisze współczesny poeta Czesław Miłosz.

Każę sobie wyczyścić buty przed hotelem Polonią. Śpieszę się, nie wiem, ile to kosztuje, pytam czyściciela, czy po dwudziestce za but wystarczy? Nie, wyczyszczenie kosztuje pięćdziesiąt złotych. (Szofer warszawskiej taksówki powiedziałby: pół złotówki). Po chwili jednak czyściciel dodaje:

– Ale od pana to ja bym się spodziewał dostać co najmniej sto złotych.

– A to dlaczego? – pytam.

– A no bo przecież u pana buty amerykańskie, skarpetki amerykańskie, ubranie robione w Ameryce...

– Gdzież to pan się tak nauczył poznawać? – mówię zdziwiony nie na żarty.

– Ja to tak z amatorstwa jestem Szerlok Holmes – odpowiada.

– No, no – mówię – gdyby pan był naprawdę Szerlok Holmes, toby pan siedział za biurkiem, zamiast czyścić buty.

Podnosi głowę i z filuternym uśmiechem stwierdza, że niekoniecznie. A kiedy odchodzę, z butami zrobionymi na glanc i zapłaciwszy pięćdziesiąt złotych, rzuca za mną:

– A zresztą ja i tak wiem, kto pan jest...

Opowiadam tę rozmowę komuś w kawiarni.

– Dziwi się pan? Przecież w Warszawie żyje się jak na patelni. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

– No to dlaczego aresztują? – pytam.

– E, proszę pana, aresztują tylko takich, którzy pracują p o n a d n o r m ę.

Rozmowa schodzi przypadkiem na fatalny stan tak zwanych ubikacji w całej Polsce. Wróciłem właśnie z podróży Beniowskim ze Szczecina do Sopotu i także tam, na okręcie, stwierdziłem karygodne zaniedbania w tej dziedzinie. Wschód, smród i ubóstwo. Sytuacja wołająca o pomstę do... Sławoja. Na Wystawie Ziem Odzyskanych[3] napis na drzwiach ustępu: „Za użycie – opłata 10 zł. Pracownicy wzo[4] za okazaniem legitymacji płacą 2 zł. Dla kontroli należy żądać pokwitowania opłaty". Podsłyszałem czyjąś uwagę, już po opuszczeniu tego przybytku:

[3] Zorganizowany we Wrocławiu w 1948 roku cykl wystaw i imprez propagandowych prezentujący osiągnięcia i postępy odbudowy na Ziemiach Odzyskanych.

[4] wzo – Wojewódzki Zakład Oczyszczania.

– Kwity to dają, psiakrew, ale papieru w środku za żadne skarby nie znajdziesz...

A na to wszystko filozoficzne spostrzeżenie kolegi pisarza, który objechał cały świat:

– Zauważyłem, że w ustrojach radykalnych klozety n i e l u b i ą funkcjonować...

Chciałbym tutaj podkreślić jeszcze jeden polski egzotyzm, uderzający, zwłaszcza kiedy się przyjeżdża do Polski z takich krajów jak Stany Zjednoczone, Francja albo Anglia. Polska jest bowiem krajem bez obyczaju napiwków. W restauracjach dolicza się do rachunków procent za usługę i płaci dokładnie sumę na nim wyznaczoną. Szofer taksówki bierze akurat tyle, ile wybił licznik, i nawet mówi „dziękuję". Nie spodziewa się żadnego dodatku, nie liczy na więcej. Obyczaj ten dobrze wpływa na stosunki między ludźmi. Zawsze się trochę dziwiłem, że w krajach, w których skąpstwo klientów i chciwość służby jest rzeczą powszechnie znaną, pozór dobrowolności napiwku utrwalił się w zwyczajach i przybrał formę przyjętej przez wszystkich instytucji. Wynikają z tego niepotrzebne zadrażnienia, niezasłużone pretensje i przykrości. Każdy z nas ma w oczach wściekłe miny zawiedzionego szofera francuskiego, rzucającego klientowi w twarz jakieś drobne, które wydają mu się niedostatecznym wynagrodzeniem jego już zapłaconej usługi, albo przekleństwa rzucane przez szofera amerykańskiego, który nie jest zadowolony nawet z tradycyjnych dziesięciu procent, przyjmując na oko, że pasażer może, względnie powinien zapłacić więcej.

Od tego zauważenia krok tylko do stwierdzenia innej jeszcze cechy Polaków. Jest nią, mimo przebytej wojny, niesprzyjającej rozwojowi dobrych manier, znaczna i ujmująca uprzejmość, obejmująca także pokolenie najmłodsze. Wiem, że nie jest to na ogół przyjęte zdanie, jeżeli idzie o zachowanie się ludzi w Polsce, ale stwierdzam, że w ciągu podróży i możności zetknięcia się ze wszystkimi szczeblami tak zwanej drabiny społecznej nie doświadczyłem nigdy objawów przysłowiowego chamstwa, z wyjątkiem chyba sytuacji, w których tłok tłumu nie pozwala na żadne delikatności w postępowaniu. To samo powiedzieć można o przeciążonych na ogół i podenerwowanych naciskiem klienteli urzędnikach. Bowiem w życiu spotyka się człowiek z objawami ułatwiania go sobie i tendencją złagodzenia raczej niż zaostrzania jego i tak już trudnych warunków. Obyczaje zresztą nie uległy wielkiej zmianie. Coraz to trafić można na typową dla Polaków nadwrażliwość, wietrzącą czyjąś chęć ubliżenia człowiekowi, zwłaszcza gdy lekko podchmielony stan zaciera w nim czucie proporcji, przyjaciele nadal całują się z dubeltówki i całują w rękę

kobiety przy każdej okazji, panuje powszechnie nieunikniona konieczność podawania każdemu ręki i ceremonie przy wchodzeniu i wychodzeniu, które Francuzów skłoniły do zauważenia już dawno, że dla Polaków drzwi otwarte są przeszkodą nie do pokonania.

Istnieją także próby wychowywania w społeczeństwie obyczaju uczciwości, którym służą na przykład zainstalowane w tramwajach skrzynki z gazetami. Klient sam bierze, sam płaci, a nawet zmienia pieniądze z otwartego pudełka. W pierwszej fazie rozmieszczenia tych skrzynek konstatowano zwykle nadwyżki przy obliczaniu dziennego wpływu. Potem nagle deficyt. Zabrano się do badania jego przyczyn z dokładnością, na jaką stać dzisiejszy system, i stwierdzono, że oszukuje nie publiczność, ale właśnie funkcjonariusze, powołani do opróżniania publicznych „skrzynek uczciwości".

W redakcji jednego z pism warszawskich byłem świadkiem, jak w ciągu godziny szoferzy taksówek, względnie szarzy obywatele, znosili coraz to czyjeś zgubione przedmioty. Rubryki rzeczy znalezionych w gazetach są same przez się wymowną ilustracją tego zjawiska.

Jest także inna strona zauważonej tu prawdy.

Wydaje się, że jej przyczyn szukać trzeba w rozpanoszonej jak nigdy biurokracji obecnego systemu, która stanowi jedną z plag życia w Polsce, poddanej tyranii cyfr i papieru. Pokazywano mi w którymś urzędzie „dziennik czynności" z rubrykami, w które urzędnik wstawia dokładny opis sposobu wyzyskania obecności swojej w biurze: od 8.33 do 8.45 sortowanie korespondencji, o 9.10 telefon, o 9.48 wywołany przez szefa, o 10.40 wrócił itd., to znaczy *ad absurdum* i właściwie całkiem dowolnie. Pracownicy wysilają głowy, aby te rubryki wypełnić z możliwie dużym urozmaiceniem. Podobno potrzebne to jest do badań nad intensyfikacją pracy czy dla ustalenia warunków współzawodnictwa, czy jeszcze czegoś. W sklepach zastaje się personel nad kolumnami cyfr. Na każdą sumę kwitek z osobnego bloku (przez kalkę) wydawany kupującemu, oprócz konieczności zapisania każdej pozycji co najmniej trzy razy. I niech no coś spróbuje się nie zgadzać. [...]

Wygląd ludzi, zwłaszcza latem, kiedy dużo jest opalonej skóry i po powrocie z letnisk wypoczętych i odświeżonych twarzy, nie wskazywałby przy pobieżnym spojrzeniu w tłum tych klęskowych objawów, zdartych nerwów i nadszarpniętego zdrowia w społeczeństwie, jakie są wynikiem wojny. Wiadomo jednak, że zdrowotny stan ludności pozostawia wiele do życzenia, bo też start, z którym zaczynało się dzisiejsze, już pokojowe życie, był co się zowie groźny. Charakteryzowało go, oprócz powszechnego alkoholizmu, pogorszonego złym gatunkiem alkoholu, robionego prywatnie, to jest bimbrem,

panoszenie się chorób wenerycznych, głównie w wojsku i na Ziemiach Odzyskanych, i trudne warunki leczenia, wynikające z małego uświadomienia chorych. Dalej gruźlica, zarówno u młodzieży, jak i starszych; przy obecnym stanie ludności zarejestrowano milion dwieście tysięcy dotkniętych jej objawami, co grozi dwustu tysiącami zgonów na rok. Dalej mała odporność na zakażenia, wiele owrzodzeń, złośliwych angin, powtórnych zachorzeń na odrę. Dane te, dostarczone mi przez jednego z warszawskich lekarzy, opatrzone były stwierdzeniem, że gdyby nie sulfamidy oraz energiczna działalność Naczelnej Komisji Walki z Epidemiami, groziłoby Polsce szerzenie się chorób zakaźnych, przypominające średniowiecze.

Jeżeli dodać do tego obrazu brak personelu lekarskiego i niedostatek lekarstw, oprócz faktu, że osiemset tysięcy kalek potrzebuje protez, dwa miliony sierot i półsierot i pięć milionów dzieci okazało się niedożywionych, a śmiertelność noworodków sięgała dwudziestu procent – będziemy mieli obraz sytuacji zdefiniowanej w najgorszym, powojennym okresie startu i prowadzącej do rezultatu, że Polska, posiadająca przed wojną przyrost naturalny powyżej jedenastu na tysiąc mieszkańców (Niemcy – siedem) w stosunku rocznym, dawała plus minus sto pięćdziesiąt tysięcy ubytku zamiast przyrostu (dane z roku 1946). [...]

Oficjalnie zarejestrowanych Żydów jest dziś w Polsce około stu tysięcy, z tego około siedmiu tysięcy na Ziemiach Odzyskanych, w tym tysiąc górników żydowskich w Wałbrzychu. To wszystko, co zostało z przeszło trzech milionów przed wojną. Około osiemdziesięciu tysięcy repatriowano z Rosji, około dwustu pięćdziesięciu tysięcy uciekło wkrótce po wojnie. Część została „po stronie aryjskiej", asymilując się w wyniku wojny – zmieniając nazwiska i wtapiając się już bez reszty w społeczeństwo polskie. Mówi się o nich „narciarze". Przyjęli nazwiska na ski. [...]

Podróż koleją

Mówiono mi nieraz: niech się pan przejedzie pociągiem, niech pan posłucha, co mówią ludzie.

Jeździłem pociągami. Ale zanim powiem o ludziach, muszę najpierw parę słów poświęcić samym kolejom. Nie mam pod ręką cyfr, aby wyrazić rozmiar ich zniszczeń i dezorganizacji, ale mam w oczach strzaskane dworce i ślady zwalonych mostów, cmentarze lokomotyw i wagonów, widoczne dotąd na każdej niemal stacji.

Stoi to jedno przy drugim, postrzelane, pobite bombami, nieużyteczne. Pod Braniewem, na samej północy Warmii, blisko granicy, wzdłuż linii

kolejowej leży do dziś dnia pociąg, złożony z kilkudziesięciu wagonów wywróconych kołami do nieba. Jest takich obrazków na pewno więcej. Znaczą wymownie stan kolejnictwa w Polsce, ale także drogi, dzielącej nas już od tego stanu dzisiaj, jeżeli zważyć, że koleje funkcjonują w Polsce normalnie, punktualnie i gdyby nie mocno jeszcze podniszczony tabor, można by prawie powiedzieć, że tak jak przed wojną.

Nadal jeszcze nocą podróżuje się bez światła w wagonach, druga klasa natomiast jest podobnie jak trzecia – twarda, a to z powodu tych ciemności właśnie i smutnych doświadczeń z pluszem czy innym materiałem, jakim próbowano wyścielać od nowa siedzenia. Opłacało się jeżdżenie drugą klasą szabrownikom, drącym z siedzeń w ciemności całe pasy materiału, i to do tego stopnia nagminnie, że trzeba było zrezygnować tymczasem z uczynienia jej, jak dawniej, miękką. Do sumy wysiłku włożonego w odbudowę arterii kolejowych trzeba wliczyć jeszcze zamianę torów na kilku większych liniach z szeroko- na normalnotorowe.

Wszędzie dziś na kolejach pełno. Polacy jeżdżą masami. Dużo ludności wiejskiej. Do intensywności tego ruchu przyczyniały się tego lata tłumne wyjazdy robotników i pracowników wszelkich instytucji na w c z a s y. To takie nowe słowo w Polsce, znaczące „urlop" (z nowych polskich słów do zanotowania: w d z i a n k o – nazwa lnianej, popularnej kurtki z krótkimi rękawami).

Każdy z pracowników państwowych albo spółdzielczych ma prawo do wczasów, z bezpłatnym albo bardzo zniżonym przejazdem i bardzo niedrogim pobytem, w setkach uzdrowisk i letnisk, nad morzem zwłaszcza i na Ziemiach Odzyskanych. Jest nawet wolność wyboru miejsca, w którym chciałoby się „wczasować", pod warunkiem oczywiście że jest w nim jeszcze miejsce. Jeżeli do tego ruchu dodać zbiorowe wycieczki, jeżdżące wzdłuż i wszerz po całym kraju, chociaż celem wielu zwiedzań i mnóstwa kongresów był w tym roku Wrocław, ze względu na wystawę – łatwo już będzie zrozumieć pospolite na dworcach, przed kasami ogonki ludzi. Sprzedawanie biletów trwa długo, bo każdy prawie pasażer ma jakiś dokument zezwalający na zniżkę, kasjer natomiast nie ma gotowych biletów i większość z nich wypisuje. Jest jakimś niewytłumaczonym sekretem biurokracji w kraju, w którym większość instytucji jest upaństwowiona, ta zniżkowa rachunkowość, wymagająca niezliczonych pisań, przelewów, obliczeń i rozrachunków, które wszystkie zbiegają się przecież w jednej i tej samej kasie. Łatwiej w Polsce o przelew krwi niż o przelew czeku – powiada pewien dowcipniś.

Tłumaczy mi inny, już bardziej serio, że z psychologicznych względów lepszym chwytem jest danie człowiekowi prawa do zniżek na kolej, tramwaj,

kino, teatr i inne przyjemności, względnie konieczności życia, niż na przykład podwyżkę pensji. Bo zniżka stanowi swego rodzaju przywilej, stwarza poczucie wyróżnienia i korzyści, wynikającej z pracowania w tym czy innym urzędzie, co przy podwyżce pensji albo obniżeniu cen przeszłoby właściwie niezauważone.

A teraz już jedziemy. Kontakt z ludźmi nawiązuje się łatwo. Bo też Polacy gadają, co myślą, i wygadują, ile mogą. Pamiętam robotnika, starego człowieka, który młodemu kapitanowi owiniętemu w pelerynę wykładał swój pogląd na świat i na to, że właściwie nie ma różnicy między tym, co było, a tym, co jest. Jak były więzienia – tak są więzienia. Jak dawniej trzeba było pracować – tak i dziś trzeba pracować. Jak byli panowie – tak są panowie. I rozgadawszy się, dalej wszystko w ten deseń porównywał. A co do wojny, to choć jedna się dopiero skończyła, druga znowu nam grozi i nigdy temu nie będzie końca. Znów mamy na przykład wojsko. Po co nam jeszcze wojsko? Było to pite wyraźnie do owej mundurowej obecności w przedziale. Kapitan z odznakami 1. Armii, a więc formacji z tradycją i przeszkoleniem politycznym, czując, że trzeba na to odpowiedzieć, zaczął tłumaczyć, że wojny skończą się dopiero, jak będzie jeden świat demokratyczny, a znowu niesprawiedliwość społeczna może zniknąć dopiero, kiedy wszędzie zlikwiduje się kapitalizm. Nie wydaje się, że przekonał robotnika. Mówili więc nadal: ten sobie, a tamten sobie, choć inni pasażerowie przezornie nie wtrącali się wcale do rozmowy, półsłówkami tylko zaznaczając swoje niezbyt określone w niej stanowisko, byle podtrzymywać dyskusję.

W innym przedziale pasażer, widzący przez okno zająca w lesie, mówi:

– Pewno taka będzie nasza przyszłość.

Zainteresował się jego sąsiad, co też ma na myśli. Wyjaśnienie brzmiało, że przecież zając „bezpartyjny i w lesie". Cały przedział huknął śmiechem, co znowu stanowiło prolog do opowiadania ciętych i śmiałych kawałów na temat nowej rzeczywistości. Prości ludzie nie liczą się bowiem ze słowami i gadają, co im przejdzie przez głowę.

– Takie rzeczy mówili, że bałem się słuchać – opowiada się potem. [...]

Siedzę sobie, wciśnięty między pasażerów w przedziale, i wysłuchuję historyjki o PPR; że jest jak cmentarz – wszyscy się tam w końcu znajdą. I zaraz potem, że Polska jest jak noworodek: małe to, czerwone, krzykliwe – i podobne do sąsiada.

Jakaś skromnie ubrana kobieta o szlachetnej, zmęczonej twarzy opowiada wileńskim, rozciągłym akcentem, jak wyglądało jej życie kiedy gdzieś na obszarach Nowogródczyzny; mieszkała w 1943 roku na łasce Niemców

i partyzantów jak między młotem a kowadłem. Partyzanci zabijali za stwierdzoną bytność Niemców w domu, Niemcy za partyzantów. A każdy domagał się gościnności z rewolwerem w ręku. Sama nie wie, jak przeżyła ten koszmar.

Rozplątały się języki. Każdy jakieś wspomnienie przytacza, licytują się w opowiadaniu okropności, aby stwierdzić, że jeśli żyją, to tylko cudem. Dzięki działaniu całej serii cudów. Przy oknie stare i mocno zaniedbane, bo brudne chłopisko wyciąga z kieszeni szczyptę machorki, udziera kawałek gazety i skręca sobie papierosa.

Potem znowu, jak w Grand Guignolu[5], przeskakują na lżejsze tematy. Ktoś pyta:

– Czy znacie nową wersję *Kto ty jesteś? Polak mały…*?

Nikt nie zna, więc mówi taki wierszyk:

> Kto ty jesteś? Polski kmiotek.
> Jaki znak twój? Sierp i młotek.
> Gdzie ty mieszkasz? W jakim kraju?
> Proszę pana, ja nie znaju…

A drugi, żeby się nie dać zakasować, wytrząsa jak z rękawa od razu dwie anegdotki. Rozmowa w areszcie UB.

– Za co pana zamknęli? – pyta towarzysz niedoli.

– Za to, że się spóźniłem na pociąg.

– No, no, za to chyba jeszcze nie zamykają.

– Ale kiedy mówię panu. Bo gdybym się nie spóźnił, toby mnie tu już dawno nie było.

– A słyszeliście, jak postępuje budowa nowego domu Zjednoczonej Partii?

– …?

– Prawe skrzydło już wykończone.

Wyciągnąłem z teki kupiony przed podróżą egzemplarz *Wstępu do teorii marksizmu* i zacząłem czytać. W przedziale zrobiła się cisza i poczułem wyraźnie chłód, jaki się zrobił koło mojej osoby. Już nikt więcej nie powiedział dowcipu i nikt nie próbował mnie zagadać.

Jeżeli ten drobny incydent może posłużyć jako ilustracja nastrojów, to oczywiście przyznać trzeba, że jest on zarazem stwierdzeniem nie tylko wrogości ogółu wobec zagadnień, jakich rozwiązywanie ma miejsce w dzisiejszej Polsce, ale także typowego w nim konserwatyzmu.

Te elementy składają się także na ocenę postępowania ludzi, którzy z przekonania albo w wyniku ewolucji pojęć, jakiej dopomogła wojna, ustosunkowują się do rzeczywistości pozytywnie. Nie mówię tu o przejrzystych

[5] Patrz s.329, przyp.2.

karierowiczach, gotowych do zrobienia każdej wolty w zależności od tego, jak wiatr wieje. Mówię o ludziach z czystą pobudką i logiczną w wyniku posiadania takiej, a nie innej koncepcji linią angażowania się czynnego w dzisiejszej rzeczywistości. W rodzinie jednego z nich, którego przekonania od dawna były znane i prowadzące do tego właśnie udziału, nie mówi się o nim inaczej jak „biedny człowiek" albo wręcz, że trochę pomylony. I są w tonie tych słów jakieś bezmiary politowania, jak gdyby mówiono o kimś bliskim, który poszedł na złą drogę.

Mimo krążącego dowcipu, że UB ogłosiło konkurs na najlepszy kawał polityczny (pierwsza nagroda – pięć lat obozu pracy, druga – trzy lata, oraz kilka nagród pocieszenia), pociągania Polaków do odpowiedzialności za danie upustu świerzbiącemu ich językowi mają miejsce stosunkowo rzadko. Wiele popularnych dziś w Polsce historyjek urodziło się wśród ludzi reżimu, a w każdym razie powtarzane było przez nich nie bez przyjemności. Sam słyszałem niejedną z tak zwanych oficjalnych ust. Nie puszcza ich cenzura, więc nie znajdują odbicia w prasie; żyją też wobec tego i rozwijają się na wolności. Jedna z ostatnich brzmi tak: znana na ogół definicja partii w Polsce: PPR – Polska Partia Rządząca, PPS – Polska Partia Słuchająca, PSL – Polskie Stronnictwo Leżące, SL – Stronnictwo Liżące i SD – Stronnictwo Drżące – nie spotkała się z uznaniem słuchającego tej interpretacji Rosjanina.

– Nie bawi to pana? – zapytano.

– Czy panowie słyszeli o Kanale Białomorskim? – odpowiedział.

– Oczywiście, któż by nie słyszał.

– Otóż właśnie, budowali go właśnie takie jak wy anegdotczyki. I dlatego mnie to nie bawi.

I jeszcze jedna, skoro już mówimy o partiach. Córka prezesa Stronnictwa Demokratycznego jest pielęgniarką w szpitalu. Zawód jej, opowiada ojcu, przypomina rolę, jaką dziś w Polsce odgrywa jego stronnictwo. Polega bowiem głównie na trzymaniu pacjenta przed operacją za rękę i zapewnianiu go, że to nie będzie boleć.

Aleksander Janta-Połczyński, *Wracam z Polski 1948*, Paryż: Société Nouvelle d'Imprimerie et d'Edition, 1949, s. 18–31

1950

Michał Krajewski (1904–1993)
Bogdan Ostromęcki (1911–1979)

Talentu nie zaprzęgać

Reportaż – jak cała oficjalna kultura przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych – miał służyć budowaniu świetlanej komunistycznej przyszłości.

Reportaż realizmu socjalistycznego był gatunkiem proletariackim, przeciwstawianym w ZSRR burżuazyjnej prozie fabularnej. Teksty reporterskie pisali tam prozaicy: Gorki, Erenburg, Polewoj czy Paustowski. Radziecka „Prawda" z 14 września 1950 roku nazwała reportaż „twórczym zwierciadłem". „Malując obrazy prawdziwych ludzi i ich rzeczywiste sprawy, mówi o sprawie zwycięskiego komunizmu, wychowuje nowe pokolenia na przykładach tej wielkiej prawdy" – objaśniał znaczenie „twórczego zwierciadła" polski reporter Lucjan Wolanowski (patrz t. 2, s. 87).

Powieści, których tematem była praca w fabryce czy na budowie, nazywano powieściami produkcyjnymi. Określano też tak reportaże. Produkcyjniaki były to utwory proste, schematyczne, z jednowymiarowymi bohaterami. Miały edukować, umacniać wiarę w ustrój i oddziaływać na emocje.

Jak podaje *Słownik realizmu socjalistycznego*, typową cechą kreowanej przez reportaż rzeczywistości była wszechobecność Partii – pisanej zawsze wielką literą i zawsze występującej w aurze mistycznego uniesienia.

Leopold Tyrmand w przenikliwej *Cywilizacji komunizmu* pisał, że w socrealizmie „tylko to, co służy ideologii i polityce, jest literaturą, sztuką, teatrem itp., wszystko zaś inne pustą formą, bez żadnej dla kultury wartości". Tę „pustą" formę nazywano formalizmem. Formalizm stał się wyzwiskiem, którym szafowano, decydując o losach twórców.

> Krowa pasąca się na pastwisku w blasku zachodzącego słońca jest oczywiście obrazem formalistycznym, lecz ta sama krowa – o ile w tytule obrazu zaznaczone zostanie, że jest własnością kołchozu – staje się dziełem socjalistycznego realizmu – tłumaczył Tyrmand formalistyczną obsesję.

Tyrmand był świadkiem, jak w latach pięćdziesiątych dopisywano dialogi w polskim przekładzie powieści współczesnego pisarza australijskiego, zresztą – jak zaznaczył – fanatycznego komunisty.

– Przecież to komunistyczny i prawomyślny pisarz – powiedziałem.
– Ale nie taki, jakiego my teraz potrzebujemy – padła odpowiedź.

I tu jest klucz do reportaży tamtego czasu: „teraz" potrzebne były teksty, które unaocznią nowe osiągnięcia państwa.

Inteligentny czytelnik wiedział, że świat w reportażu socjalistycznym nie jest przedstawiony wiernie, lecz wykreowany i sztuczny. Wiedział, że reporterzy spotykający prostych robotników z awansu społecznego, którzy nie umieją się dobrze i prawomyślnie wypowiedzieć, poprawiają i dopisują im „autentyczne" wypowiedzi. Stefan Kozicki (patrz s. 779), w *Notatkach reportera* zauważył, że bohaterowie różnych relacji reporterskich mówią wciąż to samo. Jeśli jednemu dziennikarzowi uda się sformułować wypowiedź górnika w sprawie obrony pokoju („Wiem, że każda tona węgla wydobyta przeze mnie to cios w podżegaczy wojennych"), to natychmiast w innych reportażach robotnicy wykonujący inne zawody będą mówić, że efekt ich pracy to „cios w podżegaczy wojennych".

Reportażem z budowy Nowej Huty zadebiutował w „Przekroju" 22 lipca 1950 roku także Sławomir Mrożek:

> Chłopcy z 51. Ochotniczej Brygady ZMP ustawili przed namiotami betonowe i ceglane makiety domów i fabryk. Jest coś wzruszającego w tych zabawkach. Chcą mieć swoją hutę koło siebie – podobnie jak przy sobie przechowuje się fotografię ukochanej osoby. [...] Nie poprzestają zresztą na najpiękniejszej choćby wyobraźni. W codziennej pracy nie szczędzą sił, przybliżając nadejście wymarzonej rzeczywistości [...].

Marian Brandys, Kazimierz Koźniewski, Józef Kuśmierek, Jerzy Lovell, Aleksander Ścibor-Rylski, Monika Warneńska, Lucjan Wolanowski czy Witold Zalewski (ze swoim reporterskim dziełem *Traktory zdobędą wiosnę*, którego tytuł był przez lata symbolem socrealistycznego piśmiennictwa) – to tylko niektóre nazwiska reporterów zaprzężonych do służby przez socrealizm.

Czy byli żarliwymi wyznawcami nowego systemu? Tak. Ale niektórzy tylko do czasu.

Dlaczego współautorem *Ludzi rusztowań*, reporterskiej książki o budowniczych Warszawy, był Michał Krajewski? Wytłumaczenie jest dosyć proste. Nie był reporterem, ale murarzem VIP-em, autorem *Podręcznika murarki zespołowej* (1950). Jednym z pierwszych ośmiu, którzy 22 lipca 1949 roku otrzymali pierwszy Order Budowniczego Polski Ludowej.

> Na Mariensztacie w Warszawie bito rekord prędkości stawiania budynków. To tu popisy „szybkościowej murarki" dawał Michał Krajewski, pierwowzór Mateusza Birkuta z filmu Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru* – pisał

varsavianista Tomasz Urzykowski. – W przeciwieństwie do filmowego murarza Mateusza Birkuta jego pierwowzór był oficerem Wojska Polskiego, który porzucił mundur, by stanąć na rusztowaniach. Murował zresztą tylko na pokaz. Na co dzień pracował jako inspektor w Centralnym Zarządzie Państwowych Przedsiębiorstw Budowlanych. Metodę szybkiego wznoszenia domów zaprezentował 12 lipca 1948 roku na Mariensztacie. W ciągu ośmiu godzin ułożył trzy tysiące czterysta cegieł. Przyznał, że sam tego nie wymyślił. „Szybkościową murarkę" podpatrzył ponoć w Orsku na Uralu, gdzie poznał murarza stachanowca Maksymienkę z Nowosybirska. Po rekordzie na Mariensztacie Michał Krajewski ruszył w Polskę z pokazami. Z jego inicjatywy na budowach tamtych czasów wprowadzono system trójkowy: murarz i dwóch pomocników dostarczających zaprawę i cegły. Cztery lata później wezwano Krajewskiego do KC PZPR i zakazano rekordomanii.

Jego pokazową trójkę nazywano w Polsce „cyrkiem Krajewskiego". Dwa dziesięciolecia później Krajewski wyjaśnił Krystynie Jagiełło (patrz t. 2, s. 213), że jego pokazową trójkę rozwiązano, bo on chciał jeździć po Polsce i uczyć murarzy, a władze żądały, żeby przysyłał jednego z kolegów do dokończenia jakiejś pracy, przy której były opóźnienia, na przykład do tynkowania dacz prominentów.

Trudniej zrozumieć, dlaczego drugim autorem *Ludzi rusztowań* był Bogdan Ostromęcki, syn przedwojennego działacza spółdzielczego ze Zduńskiej Woli, absolwent prawa na Uniwersytecie Warszawskim, eseista, tłumacz, a przede wszystkim ceniony poeta liryczny. Powodów można się jednak domyślać.

„Pamiętam, jak się modlił i jak przemawiał, otwierając przez kilka lat z rzędu w kościołach Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Piękny, szlachetny pan" – tak pisał w przedmowie do pośmiertnego tomiku Ostromęckiego *Dom odnaleziony* (1986) ksiądz Jan Twardowski.

Był pracownikiem powołanego w 1945 roku Ministerstwa Odbudowy. Najprawdopodobniej miejsce pracy miało związek z powstaniem *Ludzi rusztowań*, a także z następną jego książką reporterską *Narodziny miasta Nowe Tychy* (1952).

Pierwsza wyszła w serii „Biblioteka Przodowników Pracy". Druga – w serii „Wielkie Budowy Planu Sześcioletniego". Obie publikowało wydawnictwo Książka i Wiedza, powołane do życia po zjednoczeniu PPS i PPR w 1948 roku, by specjalizowało się w literaturze marksistowskiej. Obie serie były żarłoczne – książki o gabarytach broszurek wychodziły często, szukano więc wciąż nowych, świadomych klasowo autorów.

Czy dla Bogdana Ostromęckiego pisanie socrealistycznych reportaży było wyborem, czy przymusem? Trudno dziś powiedzieć. Był poetą, który na chwilę przed oficjalnym początkiem socrealizmu zadebiutował tomikiem wierszy *Popiół niepodległy* (1947). Pisano o tych wierszach, że są „przeniknięte obecnością Boga", a powojenna tęsknota za życiem, rozpacz i nadzieja spotyka się w nich z obrazem Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym. Dzięki czemu łzy i lęk można zastąpić spokojem.

Może chciał odwrócić od tego tomiku uwagę władzy? I zaczął pisać, że łzy i lęk można zastąpić ofiarnością dla socjalizmu?

Ludzie rusztowań

Rekord. Andrzej Religa

Na Mokotowie, na budowie osiedla WSM[1], nikt nie znał jeszcze tego rodzaju pracy. Murarze, z którymi rozmawiał Religa o nowym systemie roboty, o trójkach Krajewskiego, nie okazywali żadnej chęci próbowania tej nowej metody murarskiej. Ale Religa miał przecież za sobą już doświadczenie mariensztackie. Nie darmo należał do tych, którzy zaraz na drugi dzień po pokazie Krajewskiego przystąpili razem z Poręckim do próbowania pracy nowym systemem. Poszło wtedy nieźle.

Religa, starając się namawiać do wypróbowania nowego sposobu, wiedział, że zetknie się z niechęcią i niedowierzaniem. Miał już za sobą przecież niejedno gorzkie doświadczenie. Gdy znużony wracał z roboty do domu po takich właśnie nieudanych rozmowach w stołówce, w czasie obiadu, wspominał, jakie to spotkało go przyjęcie od murarzy na Mirowie[2], gdy pierwszy raz prowadził tam instruktorkę tego nowego systemu. Jeden Markow wówczas okazał dość chęci i zainteresowania nową metodą, z nim też Religa szybko się dogadał. Ale trudno przecież było zorganizować nową brygadę. Markow pracował w innej brygadzie, a tamci ani słyszeć nie chcieli, by przejść całą brygadą na nowy system pracy. Nowych też trudno było do tego na razie zwerbować, dopóki nie widzieli wyników. Trzeba więc było zacząć inaczej. Religa postanowił wejść do brygady, w której pracował Markow. Wtedy namówił Markowa do spróbowania pracy nowym sposobem. Postanowili stworzyć dwójkę i w ramach brygady pracować na własną rękę we dwóch, rozkładając sobie odpowiednio pracę. Wtedy dopiero cała prawda o wyższości systemu zespołowego wyszła na jaw.

Od razu okazało się, że mają lepsze wyniki od innych. Na część brygady Markowa i Religi wypadło 703 procent normy. Oczywiście zarobek ich był dużo wyższy od zarobku tych, którzy pracowali w brygadzie starym sposobem. Wybuchła dzika awantura. Rozległy się pogróżki, klątwy, któryś tam chwytał za młotek. Ci, co nie rozumieli wyższości tej roboty, wymyślali Relidze, że to nie po koleżeńsku, że rozbija pracę brygady, że niesprawiedliwie. Najwięcej jednak darł się brygadzista, że mu ludzie uciekną od roboty, gdy zobaczą, że u Religi można więcej zarobić. Bał się o swoją brygadę, bał się, że Religa

[1] WSM – Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa.

[2] Mirów – dzielnica warszawskiego śródmieścia, zniszczona w czasie wojny i wraz z pobliskim Muranowem intensywnie po niej odbudowywana.

utworzy nową brygadę, do której naturalnie znajdzie masę chętnych, takich, co chcieliby więcej zarobić, a on zostanie bez ludzi.

Wreszcie przyjechał Krajewski, opowiedzieli mu co i jak. Na razie postanowiono z Mirowem dać spokój. Religa został przeniesiony na Mokotów do WSM. Tam zaraz w ciągu kilku dni jako przodownik pracy zorganizował sobie brygadę. Weszli do niej Wit, Markow, Banasiak i Poręcki. Brygada ta postanowiła pracować tylko systemem zespołowym, dwójkami lub trójkami, zależnie od rodzaju roboty, czy mur będzie prosty, bez otworów, gdzie można stosować trójki, czy na przykład przy „filarkach", to jest między otworami okiennymi, gdzie praca prowadzona jest dwójkami.

Religa, uświadomiony robociarz, aktywny członek Partii, rozumiał dobrze, na czym polega wartość murarki zespołowej, rozumiał też dobrze swoje zadania, jako propagator tego nowego systemu pracy chciał pokazać murarzom Mokotowa nowy sposób pracy – ale chodziło mu przecież nie o sam pokaz – tylko o rozpowszechnienie tego systemu, co na pewno przyczyniłoby się do podniesienia ogólnej wydajności pracy.

Jednego z gorących dni majowych Religa zastukał do drzwi pokoju kierownika budowy, inżyniera Przymanowskiego.

Przymanowski, spocony, zmęczony upałem panującym w baraku, rozrywany telefonami, potrafił pracować jednak spokojnie i systematycznie, był doskonałym organizatorem, „dowódcą" całej budowy. Miał czas na rozmowy ze wszystkimi, a zwłaszcza chętnie wysłuchiwał tych, którzy przychodzili z jakimiś nowymi pomysłami. Dlatego też z ciekawością słuchał Religi, gdy ten mu klarował, że chciałby spróbować tu, na WSM, murarki nowym systemem, który zapoczątkował Krajewski.

– Chodzi o to – mówił Religa – żeby ludziom pokazać, jak niedużym wysiłkiem można lepiej pracować, zwiększyć wydajność. Zorganizowaliśmy już sobie taki zespół. Ale chodzi o to, panie inżynierze, żeby taki pokaz, jaki przeprowadził Krajewski na Mariensztacie, zorganizować i u nas na Mokotowie.

Przymanowski zapalił się do pomysłu Religi. Kiwał poważnie swą dużą, łysą głową w czasie całej rozmowy, jasne jego, bystre oczy wpatrywały się z uwagą w siedzącego przed nim Religę. Gdy skończyli rozmowę, polecił wydać odpowiednie zarządzenia co do przygotowania materiałów i wyznaczenia miejsca pokazu.

Któregoś dnia w końcu maja Andrzej Religa z Henrykiem Banasiakiem i Zdzisławem Witem o godzinie siódmej trzydzieści rano stanęli przy wykopie i zabetonowanych ławach fundamentów, gdzie mieli rozpocząć stawianie muru nowym systemem. Kierownictwo przygotowało wszystko,

jak należy; materiał był pod ręką, tak by nie było żadnej przerwy w pracy. Teren został pod czujnym okiem Religi już poprzedniego dnia tak uporządkowany, by nic nie pozostawało na nim zbędnego, by nic nie walało się i nie przeszkadzało. Także przygotowania zaprawy Religa dopilnował osobiście; chodziło mu o to, żeby nie było w niej grud, co ułatwia jednolite rozprowadzanie. Nastrój był dobry. Od razu na początku roboty okazało się, że pomocnicy są w dobrej formie, że, co najważniejsze, wszyscy w zespole są zgrani, ręce nie trafiają w próżnię, nikt na nikogo nie czeka, nie ogląda się za materiałem, za cegłą i zaprawą. Religa, który układał cegły, miał je zawsze pod ręką. Podręczni na zmianę rozkładali zaprawę łopatami na murze bądź przygotowywali cegły.

Z początkiem dnia było piekielnie gorąco, powietrze ciężkie i parne. Zespół pracował w skupieniu i ciszy – robocie przyglądali się jedynie członkowie komisji wyznaczonej przez kierownictwo i delegaci związkowi. Ale z biegiem roboty zaczęli schodzić się ludzie z innych bloków. Nie zachęcały do pracy i nie pomagały Relidze ani jego towarzyszom cierpkie, murarskie powiedzonka i złośliwe kpinki, jakie padały z grupy gapiących się, raczej niechętnie nastawionych do całej imprezy murarzy. Ale oni robili swoje. Mur rósł i rósł wprost w oczach. Przybyli jacyś dziennikarze powiadomieni o nowej próbie pobicia rekordu sławnego już Szadkowskiego[3] i przyglądali się robocie. Przycinki i śmiechy coraz bardziej cichły, niejednemu ze stojących odechciało się żartować, niejednemu już nawet wyrywały się słowa podziwu. Upał stawał się nie do zniesienia, ale jednocześnie nadeszły skądś chmury, ściemniło się i zerwał się suchy, gorący wiatr. Za parę minut zagrzmiało i lunął deszcz, rozdzierany gwałtownymi błyskawicami. Dziennikarze, otwierając parasole, biegli szybko do baraku, murarze chronili się pod okapy i do sieni. Trzeba było przerwać robotę. Z żalem schodził Religa ze stanowiska.

Na szczęście burza przeszła. Pozostawiła jednak fatalne ślady – wszystko było mokre, glina także rozmokła, i jeszcze ciągle siąpił drobny, dokuczliwy deszczyk. Ale zespół postanowił dłużej nie czekać. Komisja odliczyła czterdziestopięciominutowy czas spowodowany przerwą i robota ruszyła na nowo. Teraz pomimo deszczu zebrała się znów spora gromada obserwujących, może nawet większa niż poprzednio. Zbliżało się południe. Równocześnie z robotą prowadzono pomiary wyników, tak że na każdą godzinę wymierzano tempo pracy i na wykazie zamieszczonym na tablicy widoczne były jego wzrosty i spadki.

Przechodzący w pobliżu budowy parę minut po pierwszej usłyszeli wielki krzyk i brawa, jakie wybuchły wśród tłumu stojącego wokoło pracujących.

[3] Szadkowski ze swoją trójką ułożył rekordową liczbę cegieł przy budowie domów administracyjnych Stacji Postojowej Odolany.

Wykaz podawał, że wykonano już dotychczas mur złożony z 6 687 cegieł. Rekord Szadkowskiego został pobity, a do końca dnia roboczego zostało jeszcze ładne parę godzin.

Tempo roboty, pomimo deszczu i kiepskich teraz warunków, nie słabnie. Religa spokojnie układa cegły. O godzinie szesnastej czterdzieści minęło osiem godzin i komisja dała znak ukończenia pracy. Po obliczeniu wyników okazało się, że trójka wymurowała 10 602 cegły, to jest 25,86 m³ muru, czyli wykonano 695 procent normy murarza pracującego indywidualnie.

Ten pierwszy wyczyn murarski na Mokotowie zrobił swoje. Nazajutrz pełno było gadania na wszystkich stanowiskach, jak to Religa pobił Szadkoszczaka. Zaraz na drugi dzień jeden z murarzy Franaszczuk przystąpił do pracy w zorganizowanej trójce. Już za parę dni posypały się inne trójki: Musiał, Woźniak i inni.

O to tylko chodziło Relidze. Teraz i kierownictwo miało ułatwione zadanie, mogło zależnie od rodzaju roboty przygotowywać odpowiedni system pracy, można było wszędzie wprowadzać pracę zespołową w tej bądź innej formie. Opracowywano szczegóły, dyskutowano teraz na naradach wytwórczych różne formy tej pracy z murarzami, z brygadzistami, majstrami. Zaczęli się interesować i inni: tynkarze, betoniarze, cieśle. Religa często zaglądał do inżyniera Przymanowskiego czy też rozmawiał z nim na budowie. Praca zespołów powoli wrastała w osiedle WSM-owskie, powoli ogarniała coraz to większą liczbę robotników.

Tego dnia – dnia rekordu – Religa wracał do domu. Z Mokotowa aż na Spokojną, koło cmentarza Powązkowskiego – to kawał drogi. Religa myślał o swym wyniku i o trudnej drodze, jaką do niego doszedł. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Michałem Krajewskim na Mariensztacie, pierwsze próby. Potem wyjazdy w teren, do Poznania i gdzie indziej. Wszędzie było w początkach to samo: nieufność, kpiny. Potem podziw, zrozumienie, chęć i zapał do roboty tą nową metodą.

Tramwaj zazgrzytał na zakręcie – Religa wysiadł – szedł cichą ulicą, pod wysokim słonecznym murem. Po drugiej stronie wznosiły się stare, odrapane warszawskie kamienice.

W małym mieszkanku na Spokojnej w pokoiku Andrzeja Religi dużo było gadania tego dnia. Najwięcej cieszyła się szesnastoletnia córka Religi, która wciąż pytała: to teraz tato będzie chyba w gazecie, co?

Edek, starszy syn, inwalida z powstania, pracujący w Radzie Zakładowej BOR[4] na Mirowie, zasypywał ojca pytaniami o przebiegu rekordu. Wieczorem przyszedł z internatu w szkole zawodowej Ministerstwa Przemysłu młodszy

[4] Właśc. PPR BOR, Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Budowlane „Budowa Osiedli Robotniczych".

chłopak; chwalił się przed ojcem swymi postępami w nauce – dumny ze sławy ojca.

Ale Religa milczał i przyglądał się swym spracowanym dłoniom i mocnym opalonym, żylastym rękom. Gdy siedział tak przy kuchni, silny, dobrze zbudowany, o wygolonej twarzy i z krótko przystrzyżonymi włosami, nie wiedział zapewne, jakim byłby modelem dla artysty, który by chciał dojrzeć, który by dojrzał w nim i tysiącach takich jak on jeszcze nieznane, nowe porywające piękno.

Ale Religa był murarzem – nie artystą. Myślał o tej trójce, która kręciła się po całej kuchence, o beznogim chłopcu, o ambitnym Jędrku, który chciał jak najszybciej zostać technikiem, i o szesnastoletniej, szczupłej córce, która tak niedawno przecież jeszcze była dzieckiem biegającym koło jego nóg. Myślał też o długim nowym murze tam, na Mokotowie, i murarzach, którzy za jego przykładem postanowili już teraz pobić jego własny rekord. „Rekord" – pomyślał Religa i uśmiechnął się. Wiedział, że tu nie chodziło o rekord ani o gazety, jak to papla ta smarkata.

Murarz Religa patrzył przez okno na daleką zasnutą mgłą wieczoru Warszawę, patrzył w stronę nowych osiedli robotniczych: Muranowa, Młynowa i Mokotowa, w stronę nowego, z trudu mas takich jak on sam robociarzy, powstającego miasta, miasta innego ładu, innego, lepszego życia.

Wielki dzień Mokotowa. Wacław Poręcki i Józef Markow

Dzień 10 czerwca 1949 roku był dniem, w którym osiągnięto najwyższy wynik murarki zespołowej w Polsce – wyczyn ten był próbą pobicia rekordu światowego. Ostatni wynik Michała Grucy z Tarnowa, który w ciągu dnia roboczego wykonał 305 procent normy, układając w trójkowym zespole 32 242 cegły, poważnie zachwiał pozycję „warszawskiego zagłębia" murarskiego, któremu nikt na prowincji dotychczas nie odebrał palmy pierwszeństwa. Toteż murarze warszawscy czuli się widać mocno zaniepokojeni tym osiągnięciem, zwłaszcza ci, którzy mieli za sobą już duże doświadczenie w pracy zespołowej i mogli pochwalić się wybitnymi wynikami. Ale w dniu tym nie chodziło zresztą o pobicie rekordu, o wynik o sportowym charakterze. Załoga warszawska, która przeprowadziła próbę, postawiła sobie nieco inne zadanie. Osiągnięty wysoki wynik był tylko niejako wtórnym osiągnięciem. Chodziło o wypróbowanie pracy nowym systemem, o zbadanie, jak można pracować w kilka zespołów, jak rozłożyć pracę i zorganizować robotę, by kilka zespołów trójkowych stanowiło jedną całość i pracując w sposób zorganizowany, mogło wykorzystać maksimum możliwości technicznych i organizacyjnych, tak by praca szła jak

najsprawniej i rozłożona była na takie czynności elementarne, żeby odpadły wszelkie czynności zbędne, utrudniające jednolity rytm pracy całego zespołu. Chodziło więc o zastosowanie w budownictwie polskim nieznanego dotychczas sposobu pracy, podobnego do pracy przy zracjonalizowanej produkcji wielkich fabryk; chodziło o zastosowanie systemu rozbicia procesu budowania na proste czynności tworzące jednolitą taśmę wiążących się ze sobą wykonań. System ten – w Polsce nieznany – stosowany z powodzeniem w Związku Radzieckim przez murarza Maksymienkę – dotarł do murarzy polskich.

Niektórzy z nich czytali już w prasie i słyszeli o tym systemie oraz zapoznali się teoretycznie z jego zasadniczymi założeniami.

Najbardziej aktywnym, awangardowym środowiskiem murarzy warszawskich, o ile chodzi o zainteresowania w tym kierunku, okazała się gromada pracująca przy budowie kolonii WSM na Mokotowie – gdzie system pracy zespołowej, dzięki pokazom i działalności Religi, Woźniaka, Musiała i innych, był już znany i stosowany. Również miejscowy aktyw partyjny pilnie czuwał nad akcją udoskonalenia metod pracy, nad ogólną atmosferą pracy na budowie, nad rozwojem współzawodnictwa. Także kierownictwo budowy odznaczało się wyjątkową energią we wprowadzaniu wszelkiego rodzaju ulepszeń i udoskonaleń w dziedzinie organizacji pracy, inicjowało wprowadzanie nowych metod, poddawało je robotnikom i chętnie przyjmowało wszelkie wnioski wychodzące z narad wytwórczych. Toteż atmosfera na budowie była jak najbardziej korzystna dla organizowania pracy nową metodą. Robotnicy interesowali się wszystkimi nowymi faktami z dziedziny ich pracy, narady wytwórcze były żywe i interesujące. Kierownictwo skorzystało z wielu ulepszeń i pomysłów. Wśród ludzi wykazujących ten twórczy stosunek do pracy wyróżniali się przede wszystkim przodownicy pracy, a więc Religa, Woźniak, Franaszczuk, Musiał – wreszcie bohaterowie ostatniego wyczynu i organizatorzy pokazu pracy kilku zespołów połączonych w jednolitą organizację „taśmy" produkcyjnej – Markow i Poręcki. [...]

Wacław Poręcki ma za sobą dwadzieścia trzy lata pracy w murarce. Urodził się w Ożarowie pod Warszawą, w osadzie, która dostarczyła Warszawie wielu murarzy. Jak wszyscy robotnicy jego pokolenia, wcześnie stanął do pracy. Tradycje murarskie wyniósł z rodziny. Do murarki wciągnął go wujek, który był murarzem. Młody, siedemnastoletni chłopak zaczął tak jak wszyscy od wody, wapna, potem został podręcznym. Ale widać był zręcznym i pojętnym uczniem, bo jeszcze przed wojskiem zaczął pracować samodzielnie, już jako wykwalifikowany murarz. Były to lata 1928–1929. Służba wojskowa przerwała pracę. Po powrocie znów stanął do pracy, już jako samodzielny murarz.

Poręcki pracował przeważnie w Warszawie. Ale nie zawsze dobra sprawność, a nawet dobra opinia tęgiego fachowca mogła zapewnić pracę. Nadeszły lata kryzysu, lata bezrobocia, czarne lata dla świata pracy w Polsce. Często trzeba było wystawać przed urzędem pośrednictwa pracy, często głodować i wyczekiwać na robotę. Dopiero ostatnie lata przed wojną przyniosły pewne ożywienie. Wybuch wojny zastał Poręckiego w Warszawie. W czasie okupacji nie było mowy naturalnie o większych robotach. Poręcki, przyzwyczajony do starych kątów, nie chciał nigdzie wyjeżdżać za robotą, nie chciał rozstawać się z rodziną. Od czasu do czasu zdarzała się też okazja drobnych robót remontowych po zburzeniach wojennych.

Tak przeszły ciężkie lata okupacji. Poręcki uniknął łapanek i wywiezienia na roboty, szczęśliwy los ocalił też jego rodzinę: żonę i dzieci – dziewczynkę i chłopca.

Po powrocie z przymusowej tułaczki popowstaniowej mieszkanie Poręckich było zniszczone i zrujnowane. Wyremontował więc sobie mały pokoik w jednej z kamienic na Młynarskiej i tam zaczął pierwsze kroki w dźwigającej się z ciężkich spustoszeń Warszawie.

Pierwsze roboty warszawskie – to praca w brygadach pracy, w służbie budowlanej. Po paru miesiącach Poręcki przeniósł się do SPB[5]. Stamtąd dopiero powędrował do PPB[6] na Mariensztat, gdzie zakładano właśnie fundamenty pod pierwsze domy przy trasie W–Z. Poręcki był więc świadkiem powstawania trasy W–Z, był murarzem, który kładł pierwsze cegły pod mariensztackie osiedle.

W połowie lipca 1948 roku pewnego dnia przy jednym z budujących się domów skupiła się spora gromadka murarzy przyglądających się jakiemuś nowemu, który pracował z dwoma podręcznymi, układając tylko cegły. Podręczni wykonywali wszystkie inne czynności murarza. Poręcki również przyglądał się jakiś czas tej robocie, ale tak jak inni nie był nią zachwycony, mimo że widział wysoki wynik, jaki osiągnęła owa trójka. Uważał całą imprezę za rekord, za popis. Wydawało mu się niemożliwe prowadzenie pracy w ten sposób na co dzień. Obawiał się, że nawet palce murarza nie wytrzymają tak szybkiego tempa i od gwałtownych ruchów pościerają się od szorstkiej powierzchni cegieł. Jednakże coś go korciło, by dowiedzieć się czegoś bliższego o tym sposobie roboty. Zaczepił więc Krajewskiego, murarza z owej trójki, i razem z innymi długo wypytywał o szczegóły.

Nazajutrz wraz z Religą pracującym na tej samej co on budowie zorganizowali zespół, a właściwie dwa zespoły trójkowe. Wynik był dobry, choć mniejszy niż wynik Krajewskiego. Obydwa zespoły ułożyły 4 800 cegieł.

[5] SPB – Stołeczne Przedsiębiorstwo Budowlane.

[6] PPB – Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane.

Poręcki spodziewał się dużego zmęczenia po takiej robocie, ze zdziwieniem jednak zauważył, że nie jest znużony więcej niż po pracy dawnym sposobem. Może nawet odczuwał mniejsze zmęczenie niż zwykle.

Budynek, na którym dokonano pierwszej próby zespołowej, ukończono także tym sposobem. Organizowano zespoły trójkowe lub dwójkowe, zależnie od grubości muru. Po ukończeniu tego budynku ukazały się pierwsze owoce wydajnej pracy. Oprócz wyższych zarobków kierownicy zespołów otrzymali brązowe medale odbudowy Warszawy jako przodownicy pracy.

Na Poręckiego zwrócono uwagę. Szkoda było marnować jego sił, zatrudniając go tylko przy jednej budowie. Centralny Zarząd PPB powołał Poręckiego do pracy instruktorskiej. Chodziło o szerzenie idei współzawodnictwa pracy i propagowanie nowego systemu pracy zespołowej również poza Warszawą, na innych terenach, gdzie jeszcze o takich metodach nie słyszano. Poręcki, a także paru innych przodowników ruszyło na podbój prowincji. Gdynia, Katowice, Ostrowiec, Wrocław, Stalowa Wola, Nowe Miasto nad Pilicą – oto etapy pracy Wacława Poręckiego jako instruktora.

Największe znaczenie miały oczywiście nie rozmowy i namowy, ale pokazy praktyczne. Murarze wszędzie prawie przyglądali się z początku nieufnie tym nowomodnym i czarodziejskim niemal dla nich praktykom. Ale szybko nieufność tę przełamywali i sami próbowali swoich sił. Zachęceni zaś pomyślnymi wynikami, wciągali się w nowy system pracy.

Instruktorka jednak nie zaspokajała twórczych ambicji Poręckiego. Po trzymiesięcznej pracy postanowił pójść znów do murarki.

Zatęsknił za robotą, za twardą murarską pracą.

Na Mokotowie, przy budowie osiedla WSM, nie był Poręcki pierwszym „zespołowcem". Były już rekordy, szły coraz lepsze wyniki. Religa był już głośny, także szereg innych.

Poręcki zabrał się do czytania, szukał, szperał, zaglądał do podręczników polskich i radzieckich. W tych ostatnich zetknął się z systemem Maksymienki, z rozszerzonym i udoskonalonym systemem zespołowym. Wówczas zrodziła się w nim myśl, by zorganizować taki większy zespół, tych kilka zespołów pracujących wspólnie na jednym odcinku. Murarzem, który zapalił się do tej myśli, był znajomy jeszcze z innych robót, Józef Markow. Dogadali się szybko i postanowili nowym systemem pobić wszystkie rekordy.

Na Markowie można było polegać. Markow – to przecież też stary murarz, ma już dwadzieścia lat pracy murarskiej za sobą. Najważniejsze zaś było to, że Markow znał nie od dziś system pracy zespołowej. Słyszał już o nim od murarzy, którzy pracowali jeszcze w 1948 roku na Mariensztacie i tam sami

próbowali. Ale także sam zetknął się już dość dawno z tą pracą. Religa, który jako instruktor zjawił się na Muranowie, gdzie wówczas w jesieni 1948 roku pracował Markow, wprowadził go i wtajemniczył w sposób murowania „dwójką". Było to w brygadzie Ambroziaka, kiedy to wybuchła awantura z tymi, co sprzeciwiali się przyjęciu systemu zespołowego przez całą brygadę. Markow i Religa stworzyli „dwójkę" i wyrobili kilkakrotnie większy procent normy niż pracujący indywidualnie. W ciągu ośmiu godzin ułożyli wtedy 6,3 m³ muru. Od tej chwili Markow został gorącym zwolennikiem zespołowego murowania. Markow jest też ponadto dobrym i zręcznym fachowcem. Mimo że w czasie okupacji nie pracował w budownictwie, ale był woźnicą, nie wyszedł z wprawy w murarce i jak widać po wynikach, można było polegać na jego sprawności.

Markow rozumie dobrze rolę i charakter pracy zespołowej. Zna nie tylko pracę poszczególnych „dwójek" czy „trójek" – ale i pracę całych brygad murarskich, kiedy większa grupa stanowi zamkniętą całość, w której na danym odcinku wykonuje się wszystkie czynności murarskie. A więc w brygadzie są nie tylko zespoły właściwie murujące, to jest murarze i podręczni, ale wchodzą także pomocnicy, koźlarze noszący cegły, chłopcy do rozrabiania i noszenia wapna itd., tak że jedna brygada, która wspólnie pracuje i wspólnie dzieli się wynikami, obsługuje cały odcinek pracy. Brygady takie jednak nie pracowały dotychczas w formie systemu taśmowego. Oczywiście Markow wie, ile zależy od jednolitości, od zgrania takiej brygady.

Poręcki wiedział więc, kogo wybrać sobie do współpracy. Bez trudu dogadał się z Markowem i uzgodnił z nim wszystko, co potrzeba. Należało jeszcze porozumieć się z kierownictwem celem uprzątnięcia terenu i przygotowania materiału, co też szybko załatwiono. Znalazł się akurat taki odcinek muru, który najlepiej nadawał się do przeprowadzenia próby systemem „taśmowym". Każdy z murarzy miał już przygotowanych i poduczonych podręcznych i pomoc, tak że w zasadzie dwa zespoły były gotowe.

Zanosiło się, że dzień będzie znów piekielnie upalny. Nad różowymi, wznoszącymi się znad ziemi blokami mokotowskiego osiedla, nad gliniastymi, żółtymi drogami, po których turkotały już wagoniki, unosiło się od wczesnych godzin rannych nagrzane, rozpalone powietrze. W wykopie długości siedemdziesięciu metrów, wzdłuż zbetonowanych ław betonowych fundamentów, leżały już ułożone pryzmy cegieł w równych odstępach. Koło nich kręciło się kilku murarzy. Załoga dobrana przez Markowa i Poręckiego razem z nimi stanowiła brygadę składającą się z dziesięciu ludzi. Ta brygada miała właśnie wykonać próbę pracy „taśmowej". Zespoły zorganizowano w ten sposób, że każdy murarz

miał dwóch podręcznych i dwóch pomocników, a każdy z nich miał ściśle oznaczone czynności bądź bezpośrednio związane z czynnościami murarza, bądź pomocnicze, na przykład dostarczanie cegieł na rusztowanie, przygotowanie zaprawy dla podręcznych, którzy rozkładali zaprawę już na murze.

Do pracy w zespole dobrano ludzi przygotowanych już dostatecznie i obeznanych z rodzajem pracy; w skład tej załogi weszli: Banasiak, Karczewski, Wit, Kokoszko, Markowski, Zalik i Gosowski.

Inżynier Przymanowski zainteresował się od samego początku zamierzeniem pobicia rekordu – toteż już z samego rana zjawił się na miejscu roboty wraz z innymi członkami komisji, która miała obserwować przebieg pracy, a później określić wynik pod względem jakości technicznej i ilości wykonanej pracy. Aby umożliwić obserwowanie wyników pracy co pewien czas, obok miejsca roboty zainstalowano wykaz graficzny, na którym technik oznaczał wyniki w określonych odstępach czasu.

Inżynier Przymanowski obliczył, że w ciągu pełnych ośmiu godzin pracy winno stanąć siedemnaście „szycht" cegieł i utworzyć mur wysokości 1,36 metra. Jeśliby istotnie wynik taki załoga Markowa i Poręckiego osiągnęła w przeliczeniu na ilość ułożonych cegieł, wypadłoby 68 796 sztuk. Zamierzenie było więc bardzo śmiałe. Ale inżynier Przymanowski znał swoich ludzi, znał system pracy zespołowej i starał się o to, by do tego typu roboty wszystko było jak najlepiej przygotowane; wiedział więc, że zadanie leży całkowicie w granicach możliwości.

Mokra rosa perliła się jeszcze na trawach Mokotowa, gdy zaczęto układać pierwsze cegły. Była właśnie godzina siódma rano minut trzydzieści i na wszystkich blokach dawano sygnał rozpoczęcia pracy. Markow i Poręcki stanęli wraz ze swą załogą na stanowiskach, obydwaj rozebrani do pasa, opaleni, w białych płóciennych czapkach. Załoga wzięła od razu ostre tempo. Po półgodzinnej pracy okazało się, że ułożono 7000 cegieł. Wmieszał się jednak wówczas inżynier Przymanowski, obserwujący wykaz na grafiku, i dał polecenie zwolnienia tempa. Było jasne, że aby utrzymać tempo równomierne mniej więcej w ciągu całego dnia, nie mogło ono z samego rana być zbyt szybkie. Toteż tempo nieco zwolniono. Markow, idąc wzdłuż muru grubego na sześć cegieł, układa zewnętrzną jego stronę, a Poręcki po przeciwnej – wewnętrzną. Część pomocników podaje cegły murarzom, część, idąc za nimi, foluje ścianę, czyli wypełnia cegłami wnętrze muru. Załoga wykazuje dość duże zgranie – nie widać prawie opóźnień bądź wybiegania naprzód.

Słońce wznosi się wyżej, a z nim równocześnie wzrasta czerwona linia wydajności na pokratkowanym arkuszu technika. Linia ta ciągle przekracza

jednak linię projektowaną mimo oczywistego zwolnienia tempa. Około godziny dziesiątej temperatura wynosi już trzydzieści stopni w słońcu. Z nieba rozpalonego leje się żar na całą szeroką przestrzeń osiedla mokotowskiego, na głowy murarzy, ciemne ich ręce i opalone barki. Zaczynają gromadzić się murarze z innych budynków, przyglądając się pierwszemu pokazowi pracy systemem taśmowym. Markow i Poręcki chodzą powoli dokoła długiego na sześćdziesiąt trzy metry muru, posuwają się naprzód i jednocześnie układając cegłę po cegle, co pewien czas zmieniają się, by „przejść" na drugą rękę. Ruchy ich są spokojne, oszczędne i jednakowe, ściśle określone. Także pomocnicy co pewien czas zmieniają się na stanowiskach, bowiem ci, co pracują tuż przy murze, przy Markowie i Poręckim, mają cięższą pracę, stale muszą uważać, by murarzom nie zabrakło cegły pod ręką i zaprawy na murze, którą rozrzuca się szerokimi rzutami łopat, a następnie rozprowadza.

Po ułożeniu każdej warstwy muru technik pilnie śledzący pracę wykreśla jedną kratkę na grafiku, która oznacza ułożoną warstwę muru, notuje wydajność ostatniej godziny i temperaturę. Przed jedenastą upał dochodzi do trzydziestu siedmiu stopni. Pot osiada na czołach i karkach Markowa i Poręckiego, pomocników i podręcznych.

Czerwona kreska, oznaczająca tempo osiągnięte przez załogę, spada poniżej czarnej, oznaczającej tempo projektowane. Ale załoga jest spokojna – rano była przecież dość duża nadróbka.

Zbliża się południe. W rozpalonym, jasnym powietrzu płyną metaliczne dźwięki gongów. Markow i Poręcki schodzą z budowy, kryją się w cień i obmywają w zimnej wodzie. Przez cały czas roboty roznoszono dla załogi wodę z miętą, która doskonale gasi pragnienie i chłodzi. Obiad wszyscy spożywają szybko, każdy śpieszy się, by parę minut poświęcić na całkowity wypoczynek, rozkładają się w cieniu wzrastających murów na całą długość wzrostu, niektórzy drzemią.

Ale oto znowu gong. Załoga jest już w komplecie na murze, który widocznie już się teraz wznosi. W czasie przerwy obiadowej brygada cieśli ułożyła rusztowanie, tak że murarze przyglądający się temu, co załoga Markowa i Poręckiego ułożyła przez cztery godziny, widzą długi różowy mur, wznoszący się ponad wykop, obstawiony pomostami rusztowań.

Po obiedzie temperatura nie maleje. Nadchodzą najcięższe godziny dnia, między dwunastą a szesnastą, kiedy żar daje się odczuwać najdotkliwiej. Kobiety nie mogą nadążyć z roznoszeniem mięty do picia. Po kilku godzinach konieczna jest znów krótka przerwa, celem podwyższenia rusztowania. Murarze wznoszą się coraz wyżej i wyżej na tle rozpalonego nieba, ten rosnący

mur staje się wyrazem ich wysiłku, ich wzrastającej wydajności. Przerwę na zbudowanie nowego rusztowania odlicza się od czasu roboty. Po przerwie praca rusza dalej. Dalej krążą wzdłuż muru Markow i Poręcki, jednakowymi niezmiennymi ruchami układając cegły po brzegach, dalej „folują" podręczni, pomocnicy rozkładają zaprawę. Długi mur z rusztowaniem i uwijającymi się na nim ludźmi robi wrażenie jakiejś sceny czy miejsca uroczystości, gdzie wokół odbywających ceremonię aktorów skupia się tłum widzów. Istotnie zgromadzony tłum zwiększa się nieustannie, liczy chyba już około pięciuset osób.

Ciszę panującą wokół pracujących rozrywa klakson samochodu. Przyjechał minister budownictwa powiadomiony o próbie. Wysiada z auta i po chwili w towarzystwie członków komisji i kierownika roboty wchodzi na rusztowanie.

Mur zaś rośnie dalej. Dzięki zastosowaniu nowego wynalazku do układania narożników, specjalnego warstwownika, nie traci się teraz czasu na żmudne pionowanie, sprawdzanie narożników. Układanie narożnika – to praca, która zajmuje najwięcej czasu murarzowi. Dopiero po ułożeniu narożników może on szybciej pracować na całej przestrzeni muru. Teraz trudności te, dzięki wynalazkowi murarzy warszawskich: Paducha i Magierskiego, są pokonane.

Jedna trójka postępuje wciąż po zewnętrznej stronie muru – druga po wewnętrznej. Jedni z podręcznych rozkładają zaprawę, inni kładą cegłę do „foli" i inni wreszcie zalewają ją zaprawą przygotowaną w maszynach, a więc najlepszej jakości, bez grudek.

Parę minut po siedemnastej brygada pracująca na murze kończy szesnaste okrążenie. Do pełnych ośmiu godzin pozostały jeszcze dwadzieścia trzy minuty. O godzinie szesnastej czterdzieści rozlega się ryk syreny i jednocześnie uderzenie gongu. Komisja daje znak zakończenia pracy. Ostatnia warstwa muru ułożona jest do połowy. Załoga powoli schodzi z rusztowania. Tłum czeka na ogłoszenie wyniku, by wreszcie głośnymi brawami powitać ogłoszony wynik: dwa zespoły zbudowały w ciągu ośmiu godzin pracy mur złożony z 66 500 sztuk cegieł. Na zespół zatem wypadło po 33 250 cegieł. Niewiarogodny ten rezultat pracy zespołowej jednego dnia jest pobiciem rekordu światowego Maksymienki, który ułożył takim systemem 31 000 cegieł.

Do Markowa i Poręckiego ciśnie się tłum murarzy, dziennikarzy, inżynierów. Mimo zmęczenia chętnie odpowiadają na zadawane im pytania.

– W czasie codziennej pracy – mówi Poręcki – zwracamy uwagę nie tylko na ilość ułożonej w ciągu dnia cegły, choć ta sprawa jest najważniejsza; dbamy też o dyscyplinę pracy, wpływamy na to, żeby nie było opóźniania się, wałęsania, no i tak zwanych mokrych poniedziałków, kiedy zespół na skutek

pijaństwa byłby bez kompletu. Nasza brygada składa się nie tylko z murarzy i podręcznych przecież, jak to widzieliście, panowie, ale i z pomocników dostarczających materiał, tworzymy więc samowystarczalną załogę na jednym budynku. Razem pracujemy, obliczamy wyniki pracy i dzielimy zarobek zależnie od wykonywanej pracy.

– Przeciętnie teraz na jednego murarza – odzywa się Markow – wypada po tysiąc pięćset do dwóch tysięcy sztuk cegieł, choć przecież nie co dzień murujemy. Zakładamy też stropy i robimy inne roboty, a to wszystko zajmuje czas i cały ten czas bierzemy do obliczenia tej przeciętnej, tak że na samą murarkę wynik wypadłby dużo wyższy.

– Do współzawodnictwa pracy i pracy zespołowej – mówi dalej Poręcki – przystępuje coraz większa liczba murarzy warszawskich. Takie wyczyny jak nasz dziś na pewno jeszcze bardziej pomogą rozszerzaniu się tego nowego systemu pracy. Niedługo wybieramy się na Śląsk, do Poznania i na Wybrzeże. Trzeba rozszerzyć ruch pracy zespołowej. My wiemy, że tu nie chodzi o rekord jednego dnia taki jak nasz, ale o to, żeby się podniosła wydajność każdego z nas, murarzy, bez względu na to, gdzie i przy czym pracują. Nie wystarczy zaś do tego tylko dobra wola, choć to najważniejsze. Muszą pracować i ręce, i głowa. – Uśmiecha się przy tym Markow.

– Bo bez głowy, bez przemyślenia dokładnego, jak najlepiej pracować bez zastanawiania się, na nic cała robota – mówi Poręcki. – Teraz, zdaje mi się, murarze zaczynają coraz to lepiej rozumieć, że wyniki, które osiągają, nie zależą od samej pracy rąk. Dawniej niejeden napracował się jak wół, a mimo to nie osiągnąłby nigdy takiego wyniku, jaki my dziś mieliśmy.

Czerwona, rozżarzona tarcza słoneczna powoli zaczyna pochylać się nad Mokotowem, hen w stronę Ochoty, Woli. Pachnie rumianek, mięta, dzikie zioła porastające gruzy i ścieżki. Zrywa się lekki przedwieczorny powiew i chłodzi spocone czoła warszawskich murarzy.

Duma kobiet

Przy budowie jednego z bloków na Mirowie pracuje brygada złożona z dziewięciu murarzy. Brygada podzielona jest na zespoły, widać, że praca odbywa się w „trójkach". Murarze układają cegły, podręczni przygotowują materiał i rozprowadzają zaprawę. Praca idzie sprawnie i szybko.

Robotnicy tej brygady odznaczają się dziwnie lekkim krokiem, są szczupli i dość niscy. Ubrani są w zwykłe, granatowe kombinezony, na głowach mają białe murarskie czapki. Spod czapek tych... spływają na ramiona ciemne i jasne zwoje włosów.

To dwa pierwsze murarskie zespoły kobiece na Mirowie dokonują właśnie próby pracy systemem „taśmowym". Próba ta jest jednocześnie dla trzech kobiet: Genowefy Michałek, Teodory Goleckiej i Janiny Adamczyk – komisyjnym egzaminem murarskim.

Ambicją wszystkich dziewięciu robotnic było przede wszystkim udowodnienie, że kobiety mogą pracować w budownictwie nie tylko jako siły pomocnicze, ale i jako wykwalifikowane siły murarskie. Poza tym kobiety murarki pragnęły jednocześnie dowieść, że potrafią i pragną stosować najnowsze metody pracy, że potrafią pracować zespołowo i osiągać wysokie wyniki. Może marzyły nawet o pobiciu rekordów męskich...

Zespół pracuje z zadziwiającą jak na młode pracownice wprawą. Uderza przy tym doskonała organizacja pracy, planowe przygotowanie materiałów, planowy i celowy podział czynności. Wszystkie siły zespołu zatrudnione są stale, nie ma przerw, żadna z kobiet nie stoi z próżnymi rękami, nie czeka na drugą. Kobiety murarki dowiodły rzeczywiście, że tylko już legendą jest rzekoma mała wydajność pracy kobiet. Kobiety te dowiodły, że potrafią pracować nadzwyczaj zgodnie, we wspólnym rytmie, że potrafią pracę zracjonalizować i usprawnić.

Pomimo dość ostrego tempa roboty nie widać na twarzach murarek zmęczenia i wysiłku. Przeciwnie, twarze te są pogodne, wesołe, młode oczy patrzą bystro i... zalotnie. Rozbrzmiewające wciąż żarty i śmiechy nie przeszkadzają wcale pracy, która trwa już od kilku godzin: od ósmej rano. Zbliża się właśnie południe. Metaliczne dźwięki gongu płyną nad budującym się osiedlem. Zespół przerywa pracę. Kobiety schodzą z rusztowania i kierują się w stronę stołówki. Ale przed tym oczywiście spojrzenie w lusterka, poprawianie włosów, mycie się... Po zjedzeniu obiadu zostaje jeszcze trochę czasu. Pod dźwięki muzyki tanecznej płynącej z głośnika organizuje się samorzutnie zabawa. Nasze dzielne murarki oto tańczą już w ramionach towarzyszy z ogromną ochotą, wesołe, zadowolone z pracy i zabawy.

Gong daje sygnał rozpoczęcia pracy. Rozbawione tancerki zmieniają się znów w przejęte swą pracą murarki. Słońce przechyla się na drugą stronę nieba, całe osiedle mirowskie rozbrzmiewa dźwiękami wytężonego trudu. Mur, przy którym pracuje nasz kobiecy zespół, wznosi się coraz wyżej i wyżej. Mimo upału i wysiłku kobiety nie okazują zmęczenia lub zdenerwowania, pracują spokojnie i systematycznie. Komisja złożona z przedstawicieli kierownictwa budowy, związku zawodowego, organizacji partyjnej i rady zakładowej przygląda się pracy.

Dzisiejsza próba nie jest właściwie próbą pobicia rekordu, gdyż rekordu tego, o ile chodzi o pracę kobiet, jeszcze nie ma. Zespół kobiecy pracujący na

Mirowie nie ma jeszcze przeciwnika we współzawodnictwie, pierwszy ustali dopiero pewien wynik i być może wywoła inne zespoły do próby pokonania tego wyniku. Przeciwnikiem więc kobiecego zespołu na Mirowie będą tylko na razie własne jego poprzednie osiągnięcia.

O godzinie czwartej znów sygnał – tym razem na zakończenie dnia roboczego. Komisja przystępuje do obliczania wyników. Zespół trzech murarek: Genowefy Michałek, Stefanii Kropielnickiej i Krystyny Molendy wraz z podręcznymi: Teodorą Golecką, Anną Rutkowską, Marią Studzińską, Janiną Adamczyk, Heleną Wagner i Anną Starzyńską, ułożył, pracując systemem taśmowym, w ciągu ośmiu godzin pracy z jednogodzinną przerwą obiadową 11 314 sztuk cegieł, to jest wymurował mur o rozmiarach 30,83 m^3. Przyjmując za normę dzienną dla żeńskiego zespołu murarskiego 1734 cegły, zespół wykonał 746 procent normy.

Kobiety są naprawdę dumne i zadowolone. Z nieukrywanym wzruszeniem przyjmują gratulacje kolegów i członków komisji. Toteż pełne radości z tak pięknego wyczynu, chętnie przyjmują zaproszenie towarzyszy na dalszą zabawę, rozpoczętą już w czasie przerwy obiadowej. I znów świetlica rozbrzmiewa wesołymi dźwiękami muzyki, znów murarze i murarki przemieniają się w pary taneczne.

Nad Mirowem zapada wieczór, a świetlica rozbrzmiewa wciąż jeszcze muzyką, płonie światłem. Ta niefrasobliwa, szczera zabawa robotników Mirowa po pełnym trudu dniu jest najlepszym dowodem, że twórczy wysiłek nie idzie w parze z jakimś nadzwyczajnym zmęczeniem i wyczerpaniem, jak to wyobrażają sobie ci, co ze współzawodnictwem pracy nie mieli do czynienia, a krytykują lub lekceważą.

Ten dzień 5 lipca jest dumą i chlubą kobiet warszawskich, kobiet, które pokazały, że na jeszcze jednym odcinku pracy potrafią się zdobyć na wyniki nie gorsze od mężczyzn.

Michał Krajewski, Bogdan Ostromęcki, *Ludzie rusztowań*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1950, s. 43–51, 70–87, 88–91

1950

Maria Dąbrowska (1889–1965)

Nic nie rozumiem, ale kocham życie

> Przed wyjazdem Wanda i ja piłyśmy herbatę. Była burza. Za oknem w cieniach wieczoru pełno błyskawic i deszczu. Wacek dał mi notes i ołówek, a Marian trzy srebrne złote.
>
> Miałyśmy jechać z plecakami, gdyż Wanda utrzymuje, że tylko w ten sposób jest się niezależnym od rzeczy. Słyszałam o człowieku, który ożenił się z „babą", żeby się od niej odczepić, więc mogę się pogodzić z tym, że aby się uniezależnić od rzeczy, trzeba je dźwigać na sobie.

Tak zaczynał się reportaż podróżniczy Marii Dąbrowskiej pod tytułem *Tydzień w Lubelskiem* napisany w 1925 roku dla czasopisma „Bluszcz". Razem ze swoją szwagierką Wandą z Kociełłów Dąbrowską przejechała przez Szczebrzeszyn i Zamość, a ich celem był Frampol, gdzie mieszkał chory brat Wandy.

Dąbrowska opisuje spotykanych ludzi, drogi, którymi jedzie, domy, które widzi. Po wizycie we Frampolu poświęca osobne rozdziały popołudniu, życiu handlowemu i kulturalnemu. Wypytuje miejscowych o wszystko, co ciekawe, zapisuje ich imiona. Dla dziewczynek, które pod oknem ich pokoju bawiły się kamykami, kupują z Wandą piłki i wstążki do włosów. W bibliotece chcą koniecznie wiedzieć, czy ludzie czytają. Dowiadują się, że najbardziej czytają ci, którzy wrócili z wojska. „Tak, ci przychodzą po książki nawet z dalszych wsi" – mówi kierownik szkoły. Dąbrowska ogląda płótno frampolskie, znany miejscowy produkt. Niestety, jej zdaniem, brzydko dekorowane. Zastanawia się, jak Frampolowi przywrócić godność. Może właśnie zawodowa szkoła tkacka byłaby odpowiedzią na ubóstwo plastycznych pomysłów i doprowadziłaby miasteczko do sławy miasteczek flamandzkich? Dodać by do tego trzeba świetne tutejsze orzechy i czereśnie...

Ten reportaż na pewno odzwierciedla to, co kiedyś zapisała: „Im dłużej żyję, tym więcej nic nie rozumiem, ale kocham życie".

Kiedy na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych pisarze i robotnicy mieli podać sobie ręce, władze oczekiwały, że powstaną wspaniałe powieści i reportaże o nowych zakładach produkcyjnych czy wielkich budowach. W lutym 1950 roku Rada Państwa zaprosiła pisarzy do ośrodków przemysłowych, żeby zapoznali się z wynikami planu trzyletniego. Dąbrowska była wtedy we Wrocławiu, ale zgłosiła się listownie.

> Po prostu sądzę – zanotowała w *Dzienniku* 3 marca 1950 roku – że jest to jedyna okazja zobaczenia, jak te huczne przedsięwzięcia wyglądają. „Tajemnica państwowa" uniemożliwia dotarcie inną drogą do fabryk. [...] Dlatego, o ile to tylko da się pogodzić z moją pracą i z moimi bardzo zmurszałymi siłami, mam zamiar wziąć w tym bynajmniej nie pozorny (choć nie w celu stania się apologetą ustroju) udział.

Maria Dąbrowska dostała trzymiesięczną przepustkę do fabryki parowozów przy ulicy Kolejowej w Warszawie, założonej w 1883 roku i zniszczonej w czasie powstania warszawskiego. Chętnie tam poszła. Trwała właśnie odbudowa zakładu. Prawdopodobnie władze oczekiwały, że znana pisarka stworzy reportaż produkcyjniak. Zresztą na różne sposoby naciskały, aby pisała dla prasy, czego unikała.

W tym samym czasie, gdy odwiedzała fabrykę, odbył się warszawski zjazd Związku Literatów Polskich, gdzie nad stołem prezydialnym, przy którym siedziała też ona, wisiał transparent: „Pisarze – inżynierowie dusz ludzkich". I podpis: Stalin.

Z fabryki napisała „antyprodukcyjniak", który w żadnym wypadku nie mógłby się ukazać w ówczesnej prasie. Konfrontacja oficjalnej propagandy z realnym, nędznym i beznadziejnym życiem robotników. Napięcie: fizyczni–umysłowi. Porównania z warunkami przedwojennymi. Niechęć robotników do zebrań. Przodownicy pracy znienawidzeni. Wiele ludzkich historii, często zahaczających o wojnę i powstanie. Notatki z tych kilkutygodniowych wizyt pisarka umieszczała w swoim dzienniku.

Kiedy redaktor *Dzienników* Tadeusz Drewnowski opublikował te zapiski w 1973 roku jako reportaż *„Parowóz", czyli antyprodukcyjniak* („Literatura" 1973, nr 20), nie znalazło się w nich kilkanaście dużych fragmentów. Trudno powiedzieć, których części nie dopuściła cenzura, a których ostrożność redaktora.

Usunięto wszystko to, co było krytyką systemu, na przykład:

> Wysłuchałam tej narady oszołomiona, smutna i nieszczęśliwa, że nie można za pomocą prawdy walczyć o pomyślność tego ustroju. [...] Robotnicy są zupełnie bezsilni i bezradni, gdy idzie o ich byt ekonomiczny. Jakże mogą mieć entuzjazm do ustroju, który ich zepchnął do rzędu niewolników odrabiających państwowszczyznę, głosząc jednocześnie, że są władcami kraju.

Usunięto wszelkie nawiązania do AK i pozytywne opinie robotników o II Rzeczpospolitej:

Przed wojną, jak ja miałem dwieście sześćdziesiąt złotych (dziś to znaczy ponad pięćdziesiąt tysięcy), to ja mogłem z tego utrzymać siebie i rodzinę, i jeszcze kupić sobie za sto dwadzieścia złotych piękny garnitur smokingowy i parę dobrego obuwia. A na drugi miesiąc mogłem kupić dla żony, a na trzeci dla dzieci. A dziś co?

Usunięto wreszcie wszelkie narzekania na niskie płace. I choć ogołocono tekst z niewygodnej prawdy, redakcja „Literatury" zastrzegła we wstępie, wytłuszczonym drukiem, że opisywana przez Marię Dąbrowską mizerna i zacofana fabryka zmieniła nazwę i stała się kombinatem na wielką skalę. Już jako Bumar-Waryński jest chlubą socjalistycznej ojczyzny. „Zapiski Dąbrowskiej – podkreślała redakcja – stały się więc szybciej, niż mogła przypuścić, kartką z historii. Tak w Polsce powojennej tworzył się przemysł!"

W „Parowozie”

17 IV [1950], poniedziałek

Dziś rano poszłam po raz pierwszy do fabryki, której życie mam w ciągu trzech miesięcy poznawać. Są to Zakłady Produkcji Urządzeń Przemysłowych, dawny „Parowóz”, przedsiębiorstwo wyodrębnione. Co to znaczy „wyodrębnione”, mimo udzielonych mi objaśnień, właściwie nie rozumiem. W każdym razie fabryka jest centrem, któremu bezpośrednio podporządkowane są trzy „filie”, zakłady w Łodzi, Ostrówku i Warszawie. Robią głównie remonty małych lokomobil[1] (do młocarń) i remonty kotłów. Także nowe kotły do wielkich parowozów, zbiorniki na naftę itd. Fabryka znajduje się przy ulicy Kolejowej w krajobrazie ponurym i brzydkim, złożonym z ruin, murów i niebotycznych stosów złomu żelaznego.

W portierni, nagim szpetnym pokoju, siedział przy stoliku dosyć otyły człowiek, który wydawał interesantom przepustki. Ubranie czarne, dosyć wyświechtane, wyglądał na nie bardzo zdrowego, na kogoś, komu nogi puchną. Obejrzał moją przepustkę z Ministerstwa Przemysłu, wydał mi przepustkę lokalną, zatrzymał moją legitymację Związku Literatów Polskich, zapytał: „Do kogo?”, a gdy powiedziałam, że do dyrekcji, i spytałam o drogę, zawołał na przechodzącego przez portiernię człowieka w cyklistówce i niebiesko-zielonej marynarce. Ten poprowadził mnie przez rodzaj wąskiego dziedzińca i przez halę, w której przeznaczeniu na razie nie mogłam się zorientować. [...] W połowie hali skręciliśmy na prawo, znów na rodzaj dziedzińczyka, z którego schodami (bardzo stromymi) na drugie piętro. Tam w małym przedpokoju (wszędzie prymitywnie i ubogo) wskazano mi drzwi do rady zakładowej. W pierwszym pokoiku pracowały dwie „niewiasty”, jedna siedziała nad papierami, druga przy maszynie. Następny pokoik, właściwa siedziba rady, oddzielony był tylko drewnianym przepierzeniem. Bardzo maleńki, zapełniony prawie całkowicie dwoma stołami. Nie było nikogo z rady. Przy jednym stole siedział szczupły jasnowłosy młodzieniec w wojskowej kurtce khaki. Nad nim wisiał wielki portret Stalina z drukowanym podpisem w rosyjskim języku. Po pewnym czasie przyszedł siwy starszy pan o przeraźliwie jasnych niebieskich oczach, suchej żylastej twarzy i energicznych ruchach. Bardzo polski, z lekka zagniewany, z lekka wesoły, bardzo uprzejmy. Natychmiast zjawił się też robotnik zasmolony w granatowym fartuchu; przyszedł w jakiejś swojej osobistej sprawie. Siwy z niebieskim okiem (jak się okazało, prezes rady

[1] Lokomobila – przenośny lub przewoźny silnik parowy.

zakładowej) stemplował mu legitymację, omawiał z nim jakąś sprawę, w której nie mogłam się połapać. [...] Okazał się dosyć wylewny i na moje pytania chętnie i aż z nadmierną szczerością odpowiadał.

– Ja – mówił – jestem kolejarz, ale całe życie byłem społecznikiem. Teraz jestem już emerytem, ale że siły i zdrowie jeszcze mi służą, chcę dalej pracować i być pożytecznym. W tej fabryce jestem dopiero od sześciu miesięcy, ale długo tutaj nie będę, bo nie lubię być tam, gdzie się na nic nie mogę przydać.

– A dlaczego pan myśli, że się tu na nic nie może przydać?

– Dużo okoliczności się na to składa, dużo by o tym trzeba mówić...

Tu rozmowę przerwało wejście owego sekretarza rady, Wójcickiego. W zielonawym ubraniu, żółtowłosy i żółtawogęby z typu franta, uśmiechnięty i przyjacielski, wziął mnie na bok i przy stole pod oknem, przedstawiwszy mi jakiegoś Kostrzewę, wysokiego, siwego człowieka o zgnębionym wyrazie twarzy, w międzyczasie tu przybyłego, zaczął wstępną rozmowę. Fabryka, niegdyś prywatna, potem weszła do spółki akcyjnej Zakłady Ostrowieckie z własną nazwą „Parowóz". Niemcy zniszczyli ją w czasie powstania. Większość maszyn wywieźli, hale wszystkie porujnowali i wysadzili w powietrze. Robotników, którzy znaleźli się w ich zasięgu, wywieźli. Po wypędzeniu Niemców, już w lutym 1945 robotnicy zaczęli napływać do swej fabryki. Ówczesne Biuro Odbudowy Stolicy nie chciało jej odbudowywać. Miał na tym terenie powstać park. Ale robotnicy są przywiązani do swego warsztatu pracy. Swoją niezłomną wolą odbudowania fabryki zmusili Biuro Odbudowy Stolicy do zmiany decyzji. Wzięli się do odbudowy najkonieczniejszych hal. Stopniowo zaczęli napływać wywiezieni do Niemiec. W trzy miesiące po wypędzeniu Niemców z Warszawy fabryka zaczęła po trochu funkcjonować. Pięćdziesiąt procent robotników mieszka poza Warszawą, wielu z nich to małorolni z okolic Warszawy, niektórzy przyjeżdżają z daleka, nawet spod Brześcia nad Bugiem, spod samej obecnej granicy sowieckiej. Ci nocują w dyżurce, wartowni, portierni, tylko raz na tydzień, czasem raz na dwa wracają do domu, żeby się oprać, zobaczyć z rodziną itd. Fabryka zaczęła po wojnie działalność od remontów, a choć ma na przyszłość wielkie ambicje, dotąd jeszcze znaczny procent roboty to remonty kotłów parowozowych i kotłów do lokomobil wiejskich (młocarnie). Wedle Wójcickiego teraz właśnie zamknęła już przyjmowanie remontów i przechodzi na własną produkcję. Niebawem ma to być produkcja taśmowa, na razie odbywa się jeszcze staroświeckimi metodami.

Poszliśmy obejrzeć fabrykę. [...] Widziałam „w akcji" tylko jeden mały młot mechaniczny, który wykuwał rodzaj schodków na ściance podłużnego sześcianu. Było też tam kilka zwykłych palenisk jak z wiejskiej kuźni. Na ziemi

stały wykuwane ręcznie czy mechanicznie grube żelazne pierścienie wysokości jakichś trzydziestu centymetrów o niedużym świetle i bardzo grubym obwodzie. Niektóre z nich były świeżo zdjęte z kowadła i jeszcze czerwone. Na tych robotnicy kowale stawiali garnuszki, przygrzewając sobie strawę. Stamtąd poszliśmy do hali, gdzie nituje się kotły. Panuje w niej wibrujący, po prostu piekielny zgrzyt i hałas. Gdzieniegdzie błyszczą oślepiające ognie spawaczy. Przy nitowaniu bywa, że kotlarze leżą wewnątrz kotła, przytrzymując nity, tam jadowity zgrzyt, huk i pisk metalu przechodzi niemal wytrzymałość człowieka. Każdy kotlarz po kilkunastu latach tej pracy wychodzi inwalidą, co najmniej głuchym. Mówić można, tylko krzycząc na ucho, a i to ledwo się słyszy jak przez mgławicę oszalałych dźwięków. Kiedy wychodziliśmy, spotkał nas otyły robociarz z ciężką twarzą i podpuchniętymi oczyma. Otyłość weteranów jest tu znamieniem nie dobrobytu, lecz niewydolności organizmów po latach męczarni. [...]

Stamtąd poszliśmy do świetlicy, ubogo, ale czysto i przyzwoicie utrzymanej. Tu mieści się biblioteka, obsługiwana przez bardzo młodziutką, bardzo ładną bibliotekarkę. Wójcicki zapoznał mnie z nią, mówiąc, że jestem pisarką itd. Powiedziałam swoje nazwisko i spytałam, czy kiedy o mnie słyszała. Nie, nigdy nie słyszała.

– A może słyszała pani o powieści *Noce i dnie*?

– *Noce i dnie* są w naszej bibliotece – ożywiła się.

Machnęłam ręką i poszliśmy do stołówki. Składa się z dwu izb. Mniejszej z bufetem i większej, o kilka stopni wyżej położonej, gdzie tylko długie stoły, ławy i stołki. Zaproszono mnie na obiad w tej „wyższej" sali. Obiad był obfity i dobry. Nawet kilka potraw do wyboru. [...]

Ogólne wrażenie. Fabryka jest staroświecka, prymitywna i biedna. Produkcja odbywa się takimi samymi metodami jak przed osiemdziesięciu laty. Robotnicy wszyscy sympatyczni, o ciekawych, wyrazistych twarzach. Są raczej skłopotani, źli i smutni, ani śladu radości czy tyle opisywanego entuzjazmu. Ich sprawy życiowe są załatwiane bardzo kiepsko. W czasie gdyśmy chodzili, kilku robotników odrywało się od warsztatu i biegło za Wójcickim, nagabując go o jakieś swoje sprawy. Odpowiadał uprzejmie, młodym mówił „ty". Dużo ludzi wałęsa się, praca nie robi wrażenia sprawnie się toczącej, raczej niemrawo markowanej. Wyczuwa się raczej „tempo żółwia". Zapytałam o racjonalizatorów i przodowników pracy. Odpowiedź dostałam ogólnikową i niejasną. Że niby są, ale że fabryka nie jest nastawiona na zbyt wielkie przekraczania norm. Co by o niej dobrze świadczyło, bo te normy są bardzo niepopularne. Ale tu zdaje się zgoła nie być pracy.

Na zakończenie tej pierwszej bytności Wójcicki zaprowadził mnie do dyrektora naczelnego, Kotowicza. Młody dryblas o krągłej twarzy i gęstej, ciemnej czuprynie rozmawiał ze mną z pięć minut w sposób zdawkowy i szablonowy. Mówił mi „wy".

– Co wam się w naszej fabryce najwięcej podobało albo nie podobało? No, cóż, zwiedzajcie, przypatrujcie się, my będziemy wam służyć wszelkimi informacjami.

Zapytałam, jaki jest (względnie bywa) stopień tak zwanej absencji, o której teraz tyle piszą w gazetach. Odpowiedział:

– Nie jest z tym najlepiej, ale i nie najgorzej. Mamy dwa procent absencji nieusprawiedliwionej, co jest jeszcze względnie przyzwoicie. A i tę absencję, jaka się zdarza, należy tłumaczyć tym, że wielu robotników mieszka poza Warszawą.

Po tych słowach pożegnaliśmy się, bo spieszył się, by dokądś wyjechać.

19 IV, środa

Od dziewiątej i pół rano po raz drugi w fabryce „Parowóz". Stary jegomość z portierni poznał mnie i przywitał życzliwie. Nazywa się Dziewoński czy Dziewański. Od niego dowiedziałam się trochę o losach fabryki za Niemców i w czasie powstania. Niemcy w czasie powstania wywieźli znaczną część maszyn, a także i tych robotników, których powstanie zaskoczyło w fabryce. Między innymi i samego rozmówcę, portiera. Fabrykę wysadzili w powietrze hala po hali. Zostały tylko gruzy i gdzieniegdzie nieuszkodzone żelazne wiązania stropów. W portierni zatrudnionych jest stale trzech starych robotników półinwalidów pracy. Jeden z nich, wysoki, dobrze zbudowany o mięsistej, sympatycznej twarzy, powłóczy nogą – inwalida jeszcze z pierwszej wojny światowej. Nazywa się Gałązka. Drugi to ten, co mnie za pierwszym razem zaprowadził do lokalu rady zakładowej, Jaroszewski, ów w zniszczonej, ale kiedyś pięknej marynarce z wełny turkusowego koloru. Po chwili rozmowy z tymi trzema ludźmi poszłam sama na hale fabryczne. Zatrzymałam się w pierwszej, tej, gdzie zmagazynowane są blachy i rury do budowy kotłów. Trochę to jest olbrzymia graciarnia. [...] Zatrzymałam się przy grupie złożonej z trzech mężczyzn, z których dwu przykręcało właśnie do wielkiego arkusza blachy aparat noszący nazwę szrubcęgi, a mogący doskonale nazywać się imadłem albo uchwytem; trzeci malował białą olejną farbą na blasze jej wymiary i numer. Szrubcęga ujmuje blachę z dwu stron i przykręcana jest do niej tak mniej więcej, jak przykręca się maszynkę mielącą mięso do stołu. Kiedy ją przykręcili, suwnica ruszyła i przeniosła blachę ze środka hali pod

ścianę, przy której stało już opartych o ścianę wiele podobnego wymiaru blach. [...] Wdałam się w rozmowę z robotnikiem, który przykręcał ową blachę do haka suwnicy i z którym poszłam do miejsca, gdzie ją odkręcał. Szczupły, dość młody jeszcze człowiek o nieregularnych rysach i markotnym wyrazie twarzy. Nazywa się Kornacki, mieszka w Grodzisku i stamtąd dojeżdża. Pracuje w fabryce od pół roku jako niewykwalifikowany.

– A co pan przedtem robił?

– Pracowałem w cegielni w Grodzisku.

– I stamtąd pan tu przyszedł?

– Nie, ja w tej cegielni pracowałem przed wojną.

– A co pan robił, zanim pan przyszedł do tej fabryki?

Po dłuższej chwili milczenia:

– Handlowałem.

– A jak pan jest zadowolony z pracy w fabryce?

Pokręcił głową.

– Wszystko byłoby dobrze, tylko zarobki strasznie niskie. Proszę pani, jak tu można wyżyć?

– A pan ile zarabia?

– Dziesięć tysięcy na miesiąc.

Ponieważ jest niemożliwe, żeby wyżyć za dziesięć tysięcy na miesiąc, a zwłaszcza z rodziną, zastanawiam się, jak te rodziny robotnicze urządzają się, żeby wyżyć.

– A gdzie pan był, co pan robił w czasie okupacji? – pytam jeszcze.

Popatrzył na mnie jakoś poufnie i uważnie, a po chwili powtórzył:

– Handlowałem. Dobrze mi było – dodał.

[...] Kornacki poskarżył się jeszcze, że kombinezony do pracy wydawane są tylko raz na rok. A niszczą się o wiele prędzej i tak są przesycone smarami, że człowiek wkłada je ze wstrętem, a często (na przykład przy pracy w kuźni) tak przepalone, że chodzi się w strzępach, wcale nie chroniących odzieży. Stamtąd do rady zakładowej. Prezes (wciąż jeszcze nie wiem jego nazwiska) przeglądał moje książki, które przyniosłam, trochę jakby oszołomiony. Wdałam się z nim w rozmowę. Bardzo prosto i ufnie opowiedział mi swoją historię. Zdziwiłam się, bo tak jakoś nie wygląda na komunistę. Tymczasem nie tylko za dwudziestolecia był członkiem Polskiej Partii Komunistycznej od początku, ale w pierwszą wojnę światową, jako młody kolejarz (i syn kolejarza), ewakuowany do Rosji brał czynny udział w rewolucji bolszewickiej, był członkiem Rady Żołnierzy i Robotników w Penzie[2], w dodatku brał udział w jej komisariacie sprawiedliwości, więc zapewne wydawał lub wykonywał

[2] Penza – miasto obwodowe w europejskiej części Rosji, nad Surą (dopływ Wołgi).

wyroki śmierci. Człowiek o tak przejrzyście niebieskich, niewinnych oczach! A on sam powiada, że te jego jasne oczy nazywano w Rosji „październikowymi". Po powrocie do kraju był dozorcą robót na stacji Warszawa Towarowa, a potem – Warszawa Dworzec Wschodni.

– Cierpiałem – powiedział – za moje przekonania lewicowe, wydalili mnie z pracy, ale potem Trybunał Administracyjny uwolnił mnie od odpowiedzialności z braku dowodów.

Mój Boże, oto jak wyglądało prześladowanie komunistów za dwudziestolecia. „Kaszka z mlekiem" w porównaniu z dzisiejszym stosunkiem do przeciwników. W Rosji nikt prawie z tych, co robili rewolucję bolszewicką, nie przeżył. Ten prezes to biały kruk. Żyje, bo uszedł do Polski. Obawiam się, że UB i partia prędzej czy później go wykończą. W czasie mojej z nim rozmowy przyszedł młody człowiek, blondyn o kędzierzawej czuprynie i „greckich", bardzo prawidłowych rysach. Przyniósł jakieś papiery ze związku zawodowego czy z KC partii. Prezes skrzywił się.

– Znów przynieśliście papierki, jakbyśmy nie mieli ich wyżej uszu.

Spojrzawszy na datę któregoś z nich, dodał:

– 24 marca! Prędko idzie! Prędko idzie!

Sekretarz rady Wójcicki zagabnął „greckiego" blondyna:

– A sprawa Getki? (czy Gedki).

– A, właśnie, sprawa Getki. – Młodzieniec wyjął nowy plik papierów. – Czy możecie, towarzyszu, zaraz go tu sprowadzić?

Posłano po owego Getkę. Wszedł młodzian w granatowym kombinezonie z rękoma osmolonymi smarem (ręce cienkie i delikatne), prosto od warsztatu. Smukły, typowy Antek znad Wisły, nonszalancko spokojny, lekko wzgardliwy.

– Słuchajcie – powiedział do niego grecki Merkury partii – macie wypełnić tę ankietę, dołączyć do tego trzy fotografie i zaświadczenie Urzędu Skarbowego, że nie posiadacie żadnego przedsiębiorstwa ani majątku i żadnych zadłużeń. To wszystko musicie dostarczyć jeszcze dzisiaj.

Getko, Gedko czy Getke powiada, nie wyjmując papierosa z gęby:

– To przecież niemożliwe. Jakże ja to mogę wszystko dzisiaj dostarczyć?

– Musicie. Jeżeli nie dziś, to najdalej jutro na ósmą rano. Inaczej nie pojedziecie na wczasy do Czechosłowacji.

Getko:

– Jak ja mam to zrobić? Przecież ja do trzeciej pracuję i nie mieszkam w Warszawie. Kiedy ja mam to zrobić? Przecież Urząd Skarbowy nic do mnie nie ma, bo tam nie płacę. Mogę najwyżej dostać świadectwo z gminy, że nie

mam żadnego przedsiębiorstwa ani żadnej własności, więc nie mogę mieć i żadnych zadłużeń.

„Merkury" partii:

– Musicie się zwolnić zaraz i pobiegać za tym. Tak żądają w związku.

– Skąd ja wezmę na dziś, a choćby na jutro rano fotografie?

– No – powiada Merkury. – Musicie się zaraz zwolnić. I pięciominutówki, gdziekolwiek wam to na poczekaniu zrobią.

– Za pozwoleniem – wtrąca prezes. – Jak my go mamy zwolnić? Pozbawiacie nas jednego z najlepszych robotników, na którym mi zależy.

I nagle zwraca się z tą sprawą do dwu otyłych, tryskających sytością i świetnie ubranych jegomościów, którzy w międzyczasie weszli i gawędzili na uboczu z Wójcickim.

– No, patrzcie, towarzysze, jak oni to robią. Na ostatnią chwilę każą wszystko dostarczyć, żeby chłopak mógł jechać na wczasy do Czechosłowacji.

– To wy chcecie jechać do Czechosłowacji? – zwraca się do zasmolonego kombinezonu jeden z tuzów partyjnych.

– Ja chcę? Ja nic nie wiem.

Posłuchawszy chwilę chaotycznej rozmowy „panów", kandydat na czeskie wczasy wziął swoje papiery i nie wyjmując papierosa z gęby, z nikim się nie pożegnawszy, wyszedł.

– Czy to na wymianę z robotnikami czeskimi? – spytałam.

Potwierdzono, że tak. Poprosiłam, żeby mi ktoś pomógł trafić do świetlicy. Poszedł ze mną chłopak o pulchnych ustach i pryszczatym czole, już mi znany. Po drodze dowiedziałam się, że prowadzi on referat przodownictwa i racjonalizacji pracy.

– A, właśnie – mówię – ciągle pytam o tych waszych przodowników pracy. Mówi się, że są, ale jakoś mi ich nie pokazują.

– Ta sprawa – odpowiedział – nie idzie jeszcze całkiem dobrze. Trudno obliczać stawki przodowników, bo często robią montaż kotłów poza fabryką, a wtedy stawki przepadają.

Nie bardzo to zdawkowe wyjaśnienie zrozumiałam. Z dalszej rozmowy dowiedziałam się, że mój „młodociany" należy do ZMP, mieszka u rodziców na Pradze czy jeszcze dalej. W świetlicy zabałamucił chwilę przy stoliku bibliotekarki (i świetliczanki), wpatrując się w śliczną dziewczynę. Była oszołomiona ilością książek, które przyniosłam. Kiedy młody referent poszedł, napisałam na książkach dedykacje dla biblioteki i wdałam się w rozmowę z bibliotekarką. Nazywa się Wanda Gierkowska, czy jakoś tak. Ma dopiero szesnaście lat. Zdała w zeszłym roku małą maturę[3]. Nie jest bibliotekarką wykwalifikowaną, ma

[3] Mała matura – egzamin kończący edukację w czteroletnim gimnazjum.

dopiero pójść na kurs bibliotekarski. Mieszka u rodziców. Przejrzałam cały kartkowy katalog biblioteki. Ku mojemu zdziwieniu biblioteka jest chaotyczna, ale dobra i ma przeważnie polską literaturę. Wszyscy najlepsi pisarze XIX i XX wieku z dużą przewagą klasyków, chociaż żadnego dzieła nie posiada w komplecie. [...]

W czasie, kiedy byłam zajęta katalogiem biblioteki, gwizdek obwieścił przerwę obiadową. Miałam możność stwierdzić, że świetlica jest pewną atrakcją dla robotników. Natychmiast bowiem zjawiło się dwu „młodocianych", którzy zaczęli grać w ping-ponga z wyraźnym oglądaniem się na piękną bibliotekarkę i popisywaniem się przed nią zręcznością. Dwie robotnice – jedna w granatowym kombinezonie, druga w wiatrówce khaki i jakiejś spódniczynie, obie o tyle o ile przystojne, ale o grubych wulgarnych rysach twarzy, nastawiły adapter radia, puściły płytę (tego świetlica ma spory zapas) i zaczęły we dwie tańczyć. Postanowiłam się z nimi zapoznać i objaśniwszy im, kim jestem i w jakiej roli tu przebywam (co słabo zrozumiały), pocałowałam się z nimi. Obie pracują w magazynie, zaprosiły mnie, żeby z nimi tam pójść. Po drodze powiedziały mi, że ich praca jest ciężka, trzeba się okrutnie nadźwigać, przenosząc skrzynki z nitami i śrubkami albo wydając je z magazynu. Jednak przez pół godziny, które spędziłam w magazynie, siedząc na pace, nie było tam żadnej roboty. Dziewczyny po prostu paliły papierosy (czego nie wolno) i wzdychały. [...]

Kiedy wyszłam stamtąd, spotkałam znów Jaroszewskiego w turkusowej marynarce, oparliśmy się o stos blach i wszczęliśmy rozmowę.

– Jaki – pytam – jest stosunek dyrekcji do robotników?

– Dobry – powiedział z wahaniem. – Wszystko byłoby dobrze – dodał – tylko płace są takie niskie, że w żaden sposób wyżyć z nich nie można.

Zapytałam, jaki jest stosunek tych płac do zarobków przedwojennych. Zaśmiał się, a brzydki ten człeczyna o żółtej pomarszczonej twarzy i kapciuchowatych ustach, w których brak wielu zębów, ma piękny, jakby czegoś proszący uśmiech.

– Proszę pani, tych rzeczy nawet nie można wcale porównywać! Przed wojną jak ja miałem dwieście sześćdziesiąt złotych (dziś to znaczy ponad pięćdziesiąt tysięcy), to ja mogłem z tego utrzymać siebie i rodzinę i jeszcze kupić sobie za sto dwadzieścia złotych piękny garnitur smokingowy i parę dobrego obuwia. A na drugi miesiąc mogłem kupić dla żony, a na trzeci dla dzieci. A dziś co? Szósty rok mija od wyzwolenia, a ja, daję słowo, nie sprawiłem sobie przez ten czas nic, ale to nic do ubrania.

– Ale ma pan przecież – powiedziałam – taką ładną niebieską marynarkę.

– To nie moje – powiedział. – To dostałem od kuzyna, jak wrócił z zagranicy. Bo mu się mnie żal zrobiło, żem taki obdarty.

I opowiedział mi historię tego kuzyna, który jako szofer jakiegoś dyrektora departamentu wyjechał z nim, „jak rząd uciekał" w 1939. Potem wstąpił do wojska i bił się we Francji.

– A Francuzi bić się nie chcieli i jeszcze naszym urągali, a nasi powiedzieli, że choć do ostatniego wyginą, a bić się będą.

Potem ów kuzyn był w Anglii, ale po wyzwoleniu bał się wracać.

– Bo to, pani wie, nie wiedział jak i co, i mówili, że każdego wracającego zaaresztują i wywiozą. Ale że tam ich źle traktowali, w końcu wrócił. I trzeba powiedzieć, wrócił niebiedny. Przywiózł i kilka garniturów, i ze sześć marynarek. To wtedy dał mi tę marynarkę.

Mówiąc to wszystko, Jaroszewski straszliwie się zakaszlał. Spytałam, czy nie potrzeba mu leczenia.

– Pan Wójcicki mówił mi, że nie bardzo chętnie jeździcie na wczasy. A dlaczego?

Jaroszewski znów się szeroko uśmiechnął z tym nieopisanym wyrazem jakby pobłażania dla mojej niewiedzy i razem prośby o zrozumienie.

– Jakże my, proszę pani, mamy chętnie jeździć na wczasy? Przecież się jedzie bez grosza przy duszy, z pustymi rękoma. Czy to przyjemnie? A po drugie – jak już się jedzie, to człowiek chciałby zabrać choć żonę, choć które z dzieci. A tego nie wolno. Wczasy rodzinom nie przysługują. To kto rodzinny chce jechać w takich warunkach?

– To pan nigdy nie jeździł na wczasy?

– Nigdy.

– Ale z urlopu pan przecie korzystał?

– Urlop miałem. Tom jeździł do krewnych na wieś w płockie.

Na tej rozmowie skończyła się moja druga bytność w fabryce.

20 IV, czwartek

We wczorajszej rozmowie z robotnikiem Jaroszewskim zapomniałam dodać, że gdy skarżył się na niskie stawki płac, zapytałam:

– I na to nic nie można poradzić? Przecież robotnicy są teraz gospodarzami kraju. Jakim sposobem nie możecie wpłynąć na to, żeby się płace podniosły?

Jaroszewski spojrzał na mnie ze swym zniewalającym uśmiechem kapciuchowatych ust i odpowiedział stoicko:

– Jak my możemy na to wpłynąć i jak rząd może to zrobić? On też nie może nic zrobić. Bo pani wie, pieniądz nasz nie ma wartości. Jakby podnieśli płace,

toby musieli drukować więcej pieniędzy, wyszłoby na to samo. Pieniądz nasz jest bez wartości, a przez to i taka sytuacja bezwartościowa.

Długo w noc dumałam nad tą sprawą. Oto rząd mający kłaść podwaliny socjalizmu kładzie je kosztem tej właśnie klasy robotniczej, której potrzeb jest rzekomym wyrazicielem. Nie ma przecie mowy o żadnej dyktaturze proletariatu (dyktatura zresztą sama w sobie jest złem), jest dyktatura biurokracji wspartej o dyktaturę armii sowieckiej. Proletariat jest zahukany, stoicki, smutny, pogrąża się stopniowo w biedę, której nawet u nas już nie znał. Proletariat nie ma nawet na tyle woli i swobody, aby mógł ruszać palcem w podartym bucie. Ma tylko swobodę uchwalania wniosków politycznych i retorycznych albo wiernopoddańczych deklaracji w stosunku do Rosji, sprawy pokoju, Chin czy Wietnamu. To jest opium dla ludu. Robotnicy są zupełnie bezsilni i bezradni, gdy idzie o ich byt ekonomiczny. Jakże mogą mieć entuzjazm do ustroju, który ich zepchnął do rzędu niewolników odrabiających państwowszczyznę, głosząc jednocześnie, że są władcami kraju. I to może nawet nie zła wola, tylko tragicznie błędne koło nieżyciowości ustroju. Efektowna teatralna inscenizacja oficjalnych (jakże kosztownych) uroczystości, ale nic dla życia i człowieka. W ten sposób nasi „twórcy socjalizmu" podcinają gałąź, na której siedzą. Bo czymże byliby bez robotników? Garstką uzurpantów popieranych przez ościenne mocarstwo. A są bez robotników! To prawda, że istnieje kilkanaście tysięcy przodowników pracy i „racjonalizatorów", którzy zarabiają dużo, podobno zdarza się, że do trzystu tysięcy w niektóre miesiące, ale cóż stąd? Nigdy wszyscy robotnicy nie będą przodownikami, a ten system wysuwania przodowników sprawia tylko, że pogłębiają się przepaście socjalne nie już między różnymi środowiskami „świata pracy" (nigdy przepaść między zarobkami inteligencji a zarobkami pracowników fizycznych nie była tak wielka jak dziś), ale powstają przepaście socjalne wśród samych robotników. Toteż owi przodownicy są podobno znienawidzeni przez ogół robotniczy.

22 IV, sobota

Rano o dziewiątej wyjechałam do „mojej" fabryki. W portierni, jak i poprzednio, bardzo przyjaźnie przywitali mnie Gałązka i Dziewoński. Natomiast Jaroszewski w turkusowej marynarce był tak pochmurny i milczący, że z największym trudem wyciągnęłam z niego ze dwa słowa. Był zupełnie inny niż zawsze. Kiedy weszłam na pierwszą halę (gdzie dźwigi transportowe), też odczułam od razu jakby trochę inny niż za poprzednich bytności nastrój. Jak poprzednio robotnicy odpowiadali życzliwie, a nawet skwapliwie na moje powitania, tak tym razem wielu nie odkłoniło mi się lub udało, że nie widzi mnie i nie

słyszy. Co więcej, spostrzegłam od razu, że na hali jest bardzo dużo tych ludzi ze straży przemysłowej – możliwe, że coś w fabryce zaszło. Widząc ich tylu (są po cywilnemu i mają biało-czerwone opaski na ramieniu), zwróciłam się do jednego z nich, zapytując go o jakiś szczegół dotyczący fabryki. Odpowiedział, że nie wie, gdyż nie jest robotnikiem.

– Ach, tak? Myślałam, że straż jest z robotników.

Zapytał, po co przyszłam. Wyjaśniłam, ale niewiele zrozumiał. Powiedział:

– Pani nie może tak sama chodzić po fabryce. Musi zawsze być z panią ktoś z dyrekcji.

– Ja mam, proszę pana, przepustkę do fabryki na trzy miesiące. Gdyby ktoś z dyrekcji miał mi przez cały ten czas towarzyszyć, to straciłby za wiele godzin pracy.

– A tam właśnie idzie dyrektor naczelny. – Wskazał przed siebie.

Jakoż zobaczyłam dyrektora Kotowicza, który tym razem przywitał mnie bardzo uprzejmie, co widząc, strażnik zostawił mnie już z nim w spokoju. Zaczęliśmy obchodzić hale. Kotowicz zaprowadził mnie do warsztatu mechanicznego, gdzie pracuje – jedyna, zdaje się, zatrudniona bezpośrednio przy produkcji – kobieta. Muszę następnym razem zawrzeć z nią bliższą znajomość. Na razie nie bardzo zorientowałam się, co właściwie robi. Kotowicz pokazał mi frezarki i inne obrabiarki. Potem pokazał mi w innej hali wyprodukowany już w tej fabryce wielki kocioł do centralnego ogrzewania. Między dwoma płaszczami żelaznymi takiego kotła kładzie się grubą warstwę azbestu, umocowaną jeszcze za pomocą specjalnej siatki. To żeby ciepło nie promieniowało na zewnątrz, lecz całe szło w rury radiatorów. Potem opowiadał mi o projektach rozbudowy i unowocześnienia fabryki.

– Na razie, pani widzi, to jest istna graciarnia. Pracujemy starymi metodami i nie możemy nawet wyspecjalizować należycie robotników. Prawie wszyscy używani są raz do takiej, to znów do innej roboty, zależnie od tego, co jest w tej chwili najpotrzebniejsze.

Powiedziałam, że chciałabym się zapoznać z systemem płac, gdyż robotnicy mówią, że wszystko byłoby dobrze, tylko że płace są za niskie.

– Ach, proszę was – odpowiedział – to mało „za niskie". Płace są nędzne. A i w ogóle świadczenia socjalne żadne, bezpieczeństwo pracy niezapewnione, widzicie, w jakich prymitywnych warunkach ci ludzie pracują. To właśnie jest wielką naszą troską, ale musimy temu zaradzić. W 1952 roku fabryka będzie już pracowała i zatrudniała na całkiem innych warunkach.

Przed pożegnaniem się z nim zapytałam jeszcze o tę straż przemysłową, nadmieniając, że jeden z nich indagował mnie dziś, po co tu chodzę.

– No tak, oni mają prawo was legitymować. Pokazujcie im tę przepustkę z ministerstwa.

– Z jakich elementów rekrutują się ci ludzie?

– Przeważnie to są byli żołnierze.

– Komu podlegają?

– Tu, na fabryce, to mnie. Ale organizacyjnie to należą do KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czyli wojska UB). Na razie nie mają jeszcze mundurów, ale będą je mieli.

Jak tylko rozstałam się z dyrektorem, zaczepił mnie jeden z owych strażników. Pokazałam mu przepustkę. Czytał ją bardzo długo z nieporadnością półanalfabety.

– Przepustka jest ważna tylko do końca tego miesiąca – rzekł wreszcie.

– Nie, jest ważna do końca czerwca. – I pokazałam mu datę na świstku.

Pogodził się z tym wreszcie i puścił mnie dalej. Podeszłam do dwu robotników, którzy na „oprawę" (podwozie) małego parowozu kolejki dojazdowej zakładali uszczelnienie do cylindra tłoczącego parę i poruszającego koła. Zobaczyłam więc, jak się uszczelnia taki cylinder. Pracowali z rozwagą, spokojem i powolnością ludzi niechwyconych jeszcze w zawrotne tempo nowoczesnej mechanizacji. Jeden z nich, młody chłopak, blondyn, dość milczący, skończył kurs „przysposobienia przemysłowego". Drugi, rumiany, krągłolicy, o dobrotliwym uśmiechu, pracował tu jeszcze za Niemców. Nazywa się Stanisław Ociepa. Wypytałam go trochę o czasy okupacji. Pracowało tu wtedy dwa tysiące robotników. Fabryka robiła tylko duże parowozy. Dyrekcja była niemiecka, lecz robotnicy i majstrowie – Polacy. Stawki płac były nędzne, przedwojenne, nieuwzględniające spadku złotego. Świadczenia (kartki) takie jak dla całej ludności polskiej. Pracowało sporo inteligentów, była na terenie fabryki organizacja podziemna; i AK, i AL. Była ukryta (nie zrozumiałam dobrze gdzie) stacja radiowa odbiorcza, prowadząca nasłuch. Radio to Niemcy znaleźli na skutek donosu jednego z robotników Niemców (bo Ociepa dodał, że pracowali też Niemcy i volksdeutsche). W związku z wykryciem tego radia Niemcy aresztowali kilku ludzi. Ociepa mieszka na Okęciu[4]. W czasie, gdy z nim rozmawiałam, podszedł znów ten ze straży, co pierwszy ze mną rozmawiał.

– Czy pani długo tak tu będzie chodzić?

– Mam prawo przychodzić tu przez trzy miesiące. Czy pan chce, żebym pokazała przepustkę?

– Nie potrzeba, pani chodziła z dyrektorem. Ale czy pani d z i s i a j długo tu będzie jeszcze chodzić?

[4] Okęcie do 1951 roku było podwarszawską gminą wiejską.

– Mam czas do wpół do dwunastej. – Spojrzałam na zegarek. – Ale ja mam prawo chodzić tu każdego dnia i tyle czasu, ile mi się podoba.

Odszedł, nic już nie mówiąc, zdenerwował się widać, że rozmawiam z robotnikami.

Przed wyjściem z fabryki wstąpiłam jeszcze do dziewcząt z magazynu. Przywitały mnie grzecznie, ale i one rozmawiały dziś jakoś opornie. Spytałam jedną z nich (tłustą blondynę w spódnicy), co one robią po pracy. Czy chodzą na jakie zabawy, do kina, do teatru? Odpowiedziały obie razem.

– Skąd? Za co byśmy się bawiły? Z takimi zarobkami? Zresztą po robocie człowiek taki już jest zmęczony... [...]

28 v [niedziela]

Następnego dnia we środę rano o dziewiątej pojechałam do fabryki „Parowóz". Z pewną tremą, jak mnie przyjmą, bo nie byłam tam przeszło trzy tygodnie. W portierni zastałam tych samych: Jaroszewskiego, Gałązkę i Dziewońskiego. Ale sprawa przepustek zaostrzyła się od tego czasu. Trzeba teraz legitymację wysyłać do wydziału personalnego, który dopiero upoważnia kartką do wydania przepustki. Kiedy weszłam do pierwszej hali z suwnicami, zwróciła moją uwagę znacznie większa czystość i porządek w fabryce. Jak mnie później objaśniono, też wynik „miesiąca czystości", nic teraz nie oznacza naturalnego biegu rzeczy ku poprawie i ulepszeniom, wszystko jest wynikiem jakichś okolicznościowych opisów. W radzie zakładowej nikogo nie było. W pokoju maszynistek (których także jeszcze nie było) siedział nieznany mi młody człowiek z czarną przepaską na lewym oku, poza tym dosyć miłej powierzchowności, raczej drobny i smukły. Bardzo uprzejmie prosił mnie, żebym usiadła i poczekała, prezes rady jest „na zakładzie", ale wnet przyjdzie. Po chwili zaczęli wchodzić robotnicy. Załatwiali jakieś sprawy osobiste (jak zawsze w tych czasach uspołecznionych). Z dwoma z nich młodzieniec w przepasce na oku wdał się w rozmowę. Mówili między innymi o wczasach.

– Tu od nas jeden jedzie w tym roku do Czech – powiedział młody z okiem – ale nie wiadomo, czy go puszczą, bo to kawaler.

– Co nie mają puścić, dlaczego nie puszczą? – podjął jeden z robotników.

A ów z przepaską mówi:

– Jak myśmy pojechali do Czech w czterdziestym siódmym, to jak nas pojechało sześciu, to tylko ja jeden powróciłem. Zwiali i tak się uwinęli, że ani śladu po nich.

Za chwilę znowu usłyszałam, jak młody z przepasanym okiem opowiada:

– To był brytyjski statek, a marynarze byli Murzyni. To mnie ci Murzyni chwycili i zamknęli mnie w takiej paczkowni i do beczki. Ale przyszła nasza kontrol na statek i ja zacząłem krzyczeć wniebogłosy: „Tu jestem w paczkach!", że musieli mnie oddać. A już ten statek miał za kwadrans odpłynąć. I małom z nimi nie odjechał. A co by potem ich propaganda mówiła? Że polska policja ucieka i zdradza tajemnice państwowe. A jakby mi się udało wrócić, to kto by mi uwierzył?

Tak się dowiedziałam, że ów z przepaską był w policji czy w UB. W międzyczasie różni podchodzili i kołatali do drzwi przepierzenia, za którym kryje się biuro rady zakładowej, a które młody człowiek z okiem zamknął na klucz. Do jakiejś szarpiącej klamkę kobiety powiedział, wskazując na numer 36 nad drzwiami przepierzenia:

– Pani nie widzi? Przyjmuje się dopiero o trzydziestej szóstej godzinie.

Stąd wnoszę, że ten młody człowiek ma poczucie satyrycznego humoru. Potem wdał się ze mną w rozmowę, pytając, czy mam pilną sprawę. Gdy objaśniłam, w jakim charakterze tu chodzę i że jestem powieściopisarką, rzekł:

– Ach, życie powieściowe, to jest... to jest bardzo piękne.

Na koniec zjawił się prezes rady (nazywa się Zygmunt Antczak) i z nim sekretarz, ale już nie Wójcicki, jakiś inny, ale musiałam go za poprzednich bytności poznać, bo się serdecznie przywitał i twarz mi jego znajoma. Antczak od razu zaczął się skarżyć, że ma okrutny kłopot „z tą socjalistyczną dyscypliną pracy".

– Ja nie wiem, co oni tam na górze sobie myślą, ale to jest robione biurokratycznie, bez zrozumienia dla człowieka. To mi demoralizuje ludzi, bo się nie wchodzi w ich położenie. Ja pani opowiem taki wypadek. Kobieta, doskonała pracownica, zachorowała na pierś. Pani wie, że z tym żartów nie ma. Pierś twarda, lekarz ubezpieczalni skierował ją do specjalisty, naznaczyli godzinę przyjęcia na dwunastą. A dyrekcja nie chce jej puścić, partia nie chce jej puścić. A to przecie życie ludzkie w niebezpieczeństwie. W końcu przeparłem, jest już w szpitalu, ale ja na takie traktowanie ludzi nie mogę się godzić. To trzeba brać indywidualnie. Ja mogę nie puścić człowieka, o którym wiem, że szuka tylko okazji, żeby się zwolnić, ale nie dobrego pracownika, rzeczywiście potrzebującego. Ale tu są w dyrekcji i w ogóle martwi ludzie! [...]

Prezes rady Antczak mówi często o martwych ludziach, którzy gdzieś tam z góry paraliżują pracę. [...]

Ponieważ wyraziłam chęć zapoznać się z pracą kobiet, posłano po przewodniczącą fabrycznej Ligi Kobiet. Pojawiła się młoda osoba ujmującej

powierzchowności, tak zwana socjalna fabryki. Poszłam z nią do narzędzialni. Tak to nazywają, ale na drzwiach widnieje napis: „Wypożyczalnia narzędzi". Są tu różnego rodzaju świdry, heble do metalu, cęgi do rozkręcania śrub itd. Długa izba, dość czysta i świeżo malowana, pełna półek i szufladek z ponumerowanymi narzędziami. Zwróciło moją uwagę, że na szczytowej ścianie wisi ciemny dębowy krzyż, dosyć nawet wielki. Obsługują to trzy kobiety i jeden chłopak. Z jedną z nich dłużej rozmawiałam. Młoda jeszcze, bardzo tęga, na przedzie górnej szczęki brak zębów. Niedawno wyszła za mąż za robotnika tejże fabryki. Także jej ojciec pracuje tu już od trzydziestu lat. To już dynastia. Pytam, przepraszając, jakim sposobem taka młoda osoba nie ma już tylu zębów. Odpowiedź, oczywiście:

– Niemcy wybili w obozie.

Mieszkają poza śródmieściem, gdzieś w okolicy Boernerowa[5]. Niemcy wywozili stamtąd, jak tylko zaczęło się powstanie. Wywieźli ją razem z ojcem i matką. Rozmowa się przerywa, gdyż do okienka podchodzą robotnicy zwracający narzędzia albo żądający zamiany jednych na inne. Ta bezzębna młoda mężatka z wielką precyzją rozpoznaje „swoje" narzędzia, nawet nie sprawdzając numeru. Jakiemuś młodemu, co podał jej szrubcęgę do wymiany, powiedziała, rzuciwszy tylko okiem:

– To nie ta, tej pan ode mnie nie brał. Nie mogę przyjąć.

Potem rozmowa z ową panią Gagałową z wydziału socjalnego. Partyjna. Narzeka gorzko na inteligencję fabryki. Poza ściśle zawodowymi zajęciami nie można jej do niczego użyć (biedactwo nie wie, że cały ten jej wydział to dęta lipa). Jest niespołeczna i wymiguje się ze wszystkiego (to znaczy używa rozumu, aby się bronić przed lipą). Co innego robotnicy. Ci są nadzwyczaj ofiarni i gotowi na największe trudy (widziałam coś z tego) poza swoją pracą zawodową. Próbowałam bronić inteligencji, ale uzyskałam tylko to, że się obruszyła. Potem opowiedziała mi swoją historię, dość niebanalną, i tu była prawdziwa. Jej mąż jest brygadzistą (odpowiada to mniej więcej przedwojennemu majstrowi), ślusarzem w fabryce dawnej Norblina[6]. Ma synka, ósmy rok życia. Chodzi jeszcze do przedszkola... sióstr zakonnych, bo innego w pobliżu nie było. Od jesieni pójdzie do szkoły. Mąż, który ma więcej czasu, chodzi po niego do przedszkola.

– Ja pracuję tu nieraz wiele godzin poza oficjalnymi – opowiada – a gdy wrócę, to pani wie, ile jest roboty przy dziecku. Żeby je oprać i obszyć, siedzę nieraz do drugiej w nocy. Przed kobietami – dodaje – stoją teraz wielkie zadania. I kobiety są bardzo dzielne. Który mężczyzna po pracy zawodowej zgodziłby się jeszcze zająć domem i dziećmi?

[5] Boernerowo – wówczas osiedle na warszawskiej Woli.

[6] Zakład Platerniczy Norblinów, warszawska firma założona w 1820 roku, po drugiej wojnie znacjonalizowana i funkcjonująca jako Walcownia Metali „Warszawa".

Napomknęłam, że wiem, ile roboty jest przy dzieciach, choć jestem wdową i bezdzietną, bo w czasie wojny wychowywałam dwoje dzieci mojego brata.

– Ja też jestem wdową – odrzecze na to. – To jest mój drugi mąż. A synek jest z pierwszego męża, który, jak się okazało... żyje.

Tu mi opowiedziała, że ów pierwszy mąż zaginął w powstaniu.

– Przez dwa lata, proszę pani, szukałam i czekałam. Po dwu latach Czerwony Krzyż przysłał oficjalne zawiadomienie z Niemiec, że mąż mój, wywieziony z powstania, umarł w obozie w Sachsenhausen. Potem czekałam jeszcze dwa lata, aż wreszcie wyszłam za mąż. A teraz okazuje się, że mój mąż żyje i jest w Związku Radzieckim.

– Jakim sposobem – pytam – z Niemiec tam się znalazł?

– On miał w Rosji rodzinę, a że nie wiedział po powstaniu, gdzie ja jestem, więc do nich napisał.

– Jak to, nie pani szukał w Polsce, tylko tej rodziny aż w Rosji? Dlaczego?

– Nie wiem – odpowiedziała krótko.

Jestem skłonna przypuszczać, że w Niemczech umarł ktoś inny tego samego imienia i nazwiska, a ten mąż w bliżej nieokreślonych okolicznościach został po prostu do Rosji wywieziony.

– A synek pani – pytam – wie o ojcu?

– Wie wszystko. Przed dzieckiem nie trzeba nic ukrywać – odpowiada poważnie.

– I pogodził się z tym, że ma innego ojca, choć ten prawdziwy żyje? – pytam.

– Proszę pani, to wszystko zależy od kobiety, jak ona to postawi. Z pierwszym mężem żyłam tylko rok i dwa miesiące. Dziecko go nie pamięta i obecnego mojego męża uważa za tatusia.

Niebawem pożegnałam się z bezzębną szafarką narzędzi. Pani Gagałowa spieszyła się, ale odprowadziła mnie jeszcze do dziewcząt z magazynu (znane mi już Wiesia i Halusia), mówiąc po drodze, że obie są bardzo dobrymi pracownicami. Że jadą niebawem na wczasy do Świeradowa i że ona wyrobiła im, że pojadą razem; co dla nich przyjemniejsze, niż mieszkać z obcymi, a pojedynczych pokojów nie dają.

W magazynie – mimo że tak narzekają na przepracowanie – właściwie po raz pierwszy zastałam te dziewczyny przy robocie. Liczyły i segregowały ćwieki śrubkowe. Przykucnęłam przy Wiesi i pomogłam jej wybierać gwoździe spomiędzy muterek małego kalibru, z którymi były pomieszane, niby robota dla Kopciuszka. W magazynie prócz kierownika o wielbłądziej twarzy i wielkich zębach (i w drucianych okularach) było dwu robotników tym razem. Krągły

na twarzy brunet i pociągłej twarzy blondyn. Okazało się, że wszyscy trzej byli w czasie okupacji w Warszawie i pracowali w tejże fabryce. Powiedzieli mi, że w fabryce było schowanych pięć aparatów radiowych, i powtórzyli raz już słyszaną przeze mnie wersję o tym, że zostały wykryte przez Niemców na skutek denuncjacji robotnika volksdeutscha. Wskutek czego jakiś majster, jakiś inżynier i ktoś jeszcze bezpośrednio zaangażowany zostali zabici – paru innych wysłano do obozu. Ale do tego, jakie organizacje pracowały na terenie fabryki, trudno dotrzeć... Ludzie się po prostu boją, jako że każdy, kto brał w czasie okupacji udział w jakiejkolwiek organizacji walczącej przeciw Niemcom, jest podejrzany o coś wręcz odwrotnego, to jest o sprzyjanie Niemcom.

Kiedy więc zapytałam, jakie organizacje były czynne na terenie fabryki, brunet po dość długiej chwili milczenia wszystkich odpowiedział:

– Armia Ludowa.

– No tak – mówię – ale Armia Ludowa była dopiero później, pod koniec okupacji, a sami powiadacie, że te aparaty wpadły w roku czterdziestym drugim. Więc musiała być i AK.

– Tak – odpowiadają z wahaniem – była i AK.

A na gębach mają napisane, że są z AK. Pytam jeszcze, czy rozmawiający ze mną byli w czasie powstania w fabryce.

– Nie – odpowiadają – kto by tam wtedy szedł do fabryki Niemcom w łapy? Ale straż pożarna była, to ją Niemcy od razu rozwalili.

– Ja – dodaje brunet – byłem w powstaniu, w walce.

Pytam gdzie.

– Najpierw na Powiślu, a jak Powiśle padło, to w Śródmieściu. Na Żulińskiego i na Nowogrodzkiej pocztę my ostrzeliwali. Miałem taką procę w naszych warsztatach zrobioną, z której granaty się wyrzucało. [...]

12 VI, poniedziałek

W piątek rano do miasta po zakupy na obiad. Do krawca przymierzyć kostium już nie zdążyłam. Obiad podałam na pierwszą i już o drugiej byłam w fabryce „Parowóz", miałam bowiem zanotowane, że tego dnia odbędzie się tam narada produkcyjna. Zastałam tylko sekretarza biura, tego z opaską na oku. Powiedział, że narada będzie w stołówce. Czekałam tedy, a jednooki zwierzał mi się sentymentalnie, że on też marzy o pisaniu powieści i że ma takie okropne mieszkanie, gnieździ się kątem z żoną i dzieckiem. Bardzo mnie wypytywał, czy nie wiem o jakim dla niego pokoju. Jak zawsze wciąż przychodzili robotnicy interesanci. Zapamiętałam taki fragment rozmowy. Jednooki powiedział:

– Już ja bym mojej żony nigdy nie zabrał ani nie posłał na wczasy. Kobieta jak pojedzie na wczasy, to już przepadła.

Zapytałam dlaczego.

– Jak te plotkarki wezmą kobietę w obroty, to już najniewinniejsza się popsuje – powiedział – to już wróci jak nie ta sama.

Jeden z interesantów, młody, ładny, w kombinezonie, wszedł ze złą, wrogą twarzą. Przyszedł o poświadczenie zwolnienia na poniedziałek.

– To musi rada zakładowa, ja nie mogę. A teraz nikogo nie ma – przekładał młody z opaską na oku.

Robotnik rzekł z irytacją:

– Oni mnie już mówili, że nie dostanę zwolnienia. A mnie już wszystko jedno. Ja i tak w poniedziałek nie przyjdę.

– Słuchajcie, tak nie można. Wiecie, dyscyplina pracy, będziecie mieli przykrości – perswaduje opaskooki.

– Ja wiem, już mnie mówili, że dostanę naganę. To trudno. Niech będzie nagana.

– Należycie do przodowników pracy, nie?

– Należę! Co mnie dyscyplina! Ja i bez dyscypliny ani razu się nie spóźniłem, ani jednego dnia żem nie opuścił. Ale tak nie może być, żebym ja na ślub brata nie mógł się zwolnić. Podpiszecie czy nie, ja i tak w poniedziałek nie przyjdę.

Zabrał swój papier i odszedł w gniewie.

Niebawem poszliśmy na zebranie narady produkcyjnej do stołówki. Co mnie uderzyło przede wszystkim, to zdenerwowanie tych, co przyszli (chyba to był aktyw partyjny). Zdaje się, że na naradzie produkcyjnej powinien być ogół robotników, na co bodaj czy kto liczy, a i sali takiej nie mają. Ale w stołówce zebrało się tylko jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób. Nikogo z dyrekcji i rady zakładowej (może to tak przewidziane) prócz Kochanowskiego, zdaje się nowego sekretarza rady. W przeciwieństwie do inteligenta Wójcickiego ten jest zdaje się robotnikiem, w każdym razie mówi: „Znakiem tego". Otóż człowiekowi temu zaczerwieniły się wielkie uszy z irytacji na nieobecnych. Słyszałam, jak mówił do kogoś:

– Cwaniaki, psia krew, cholery, do pieniędzy to są, a jak narada, to ich nie ma. Za łeb trzeba było brać i przyprowadzić.

Słyszałam, jak ktoś drugi liczył obecnych i mówił zgryziony:

– Psia krew, nawet i stu ludzi nie będzie. Nie warto zaczynać.

Przez ten czas w pierwszym pokoju stołówki kilkunastu młodych robotników jadło w pośpiechu obiad. Organizatorzy narady patrzyli na nich z troską

i wyczekiwaniem, ale nie próbowali nawet zatrzymać nikogo, gdy ci młodzi obiadowicze skończyli jeść, wzięli czapki i poszli.

W końcu zostali prawie sami starsi ludzie łysi, siwi, wielu bardzo otyłych. Nigdy nie myślałam, że istnieje tylu otyłych robotników, ilu ich widzę w tej fabryce. Jeszcze nie zaczynali, jeszcze czekali. Nieprzyjemnego wrażenia dopełnił huragan, który rozszalał nad miastem, pędząc tumany kurzu, potem lejąc ulewnym deszczem i trzaskając piorunami. W stołówce zrobiło się ciemno, zapalono światła. Przez krokwie prowizorycznego dachu (stropu i sufitu nie ma) zaczęło ciec tak, że kilka razy zmieniałam miejsce, żeby nie zmoknąć. Wreszcie zaczęło się. Po zagajeniu przewodniczącego ktoś z kierownictwa odczytał sprawozdanie z produkcji za maj. Streścił je następującymi słowy:

– Planu za maj w całości nie wykonaliśmy. Wykonaliśmy go w dziewięćdziesięciu procentach, a po prawdzie to w siedemdziesięciu, bo dwa kotły, które podaliśmy za wykonane, jeszcze są na wykończeniu, a tylko to można uważać za wykonane, co wyszło z fabryki.

Potem składali sprawozdania przedstawiciele poszczególnych działów fabryki. We wszystkich działach są braki, niedokończone roboty itd. [...] W końcu wszyscy powstali na wydział mechaniczny, że nie dostarcza części ani narzędzi, że robi się starymi narzędziami znalezionymi w gruzach. Wydział mechaniczny w osobie jakiegoś inżyniera bronił się, że nie ma ludzi, że powinien pracować na dwie zmiany, a nie ma kim, że brak obrabiarek itp. [...] Najbardziej podobało mi się przemówienie robotnika czy majstra Mazura. Siedział koło mnie. Zacna, poważna twarz z siwiejącym wąsem, całe wzięcie się spokojne i taktowne. Wezwał do zaprzestania tych wzajemnych wymyślań i poszukania przyczyny niedomagań i sposobu, jak na nie zaradzić.

– Otóż – powiada – wedle mojego rozumu, jeśli mechaniczny ma za mało ludzi, żeby obsłużyć inne działy, jeśli nie można zrobić drugiej zmiany, bo nie ma kim, to trzeba, żeby ci ludzie, co są, robili godziny nadliczbowe, i nie trzeba żałować na zapłatę tych godzin. Trzeba uczciwie wejrzeć na warunki, w jakich człowiek dzisiaj w tej fabryce pracuje, i w nich szukać przyczyny, że nic dobrze nie idzie. Są, którzy mogą w tych warunkach zrobić więcej, ale inni nie mogą w tych warunkach zrobić tyle, co by mogli w lepszych. Jeżeli ludzie uciekają z fabryki, to dlatego że szukają lepszych warunków bytu; trzeba im dać te lepsze warunki, to się ich zatrzyma. Myśmy – mówił (nie wiem, za jaki dział) – nasz plan wykonali, ale czy kto pytał, jakimi narzędziami i jakim kosztem? Ja, proszę towarzyszy, zrobiłem do „zapotrzebowania" zamówienie na (nie pamiętam już na co)... w styczniu 1949 – podnosi głos – a dostałem

ten materiał w lutym bieżącego 1950 roku! A robota już była zrobiona. Czy kto się zainteresował, jakeśmy ją zrobili? [...]

Potem jeszcze inni – że jakieś krany do jakichś wężów były potrzebne, to znów jakieś zamówienie nie dopisało, jakiś transport zawiódł. [...] Kiedy było potrzeba desek na rusztowania, to „zapotrzebowanie" znów nawaliło. Trzeba było znów na rynku szukać desek i znalazło się sześć takich krótkich „jak ten stół", a trzeba było dwadzieścia dwa razy dłuższych. Co do remontu maszyn, to robi się na starych i zniszczonych, że ani wiadomo, jak one jeszcze chodzą. Zwłaszcza suwnice są tak zniszczone, że na przykład suwnica numer 5 to ma tryby tak starte, że są jak brzytwy. Wezwano do tłumaczenia się przedstawiciela remontu maszyn. Młody jeszcze człowiek w koszuli z zawiniętymi rękawami zaczął mówić powoli:

– Ja mam tylko dwu ludzi. Jak ja mogę z nimi robić remont maszyn? Z niczym nie nadążamy. Starcza nas tylko na wezwania, jak jest awaria i na naprawę doraźnych uszkodzeń. Mnie potrzeba jeszcze choćby dwu ludzi, żeby mogli czyścić i naoliwiać. Jakby chodzili koło tych suwnic, stale by je smarowali i czyścili, to te suwnice może by jeszcze ze dwa, trzy miesiące porobiły.

Sumując wrażenia, muszę powiedzieć: wszystko, co ku memu przerażeniu usłyszałam, dyskwalifikuje tę fabrykę do tego stopnia, że nie mogę rzec inaczej, tylko: żadna fabryka ustroju kapitalistycznego nie już w Ameryce czy Zachodniej Europie, ale nawet w przedwojennej Polsce nie szłaby nawet tygodnia w podobnie nędzny sposób. Zawaliłaby się z wielkim skandalem, nie wytrzymując konkurencji fabryk bodaj tylko znośnie funkcjonujących. A jednak to się podtrzymuje z wiarą, że „za dwa lata będzie z tego reprezentacyjny obiekt przemysłowy stolicy". Blaga czy bohaterstwo? Chciałabym widzieć, jak i czy to się spełni? Zmartwiłabym się, gdyby to był czysty „humbug", jak na to wygląda.

Ale wszystko, co mówili robotnicy i majstrowie, było przynajmniej prawdą pełną troski. Straszliwym kłamstwem, frazesem i „lakiernictwem" były dwa przemówienia wygłoszone „dla pokrzepienia serc" przez przybyłych na naradę przedstawicieli partii czy związku. Jeden z nich, krzycząc, nawoływał, żeby nie biadać, ale podawać wnioski naprawy. Myśl słuszna, ale sam mówca nic prócz krzyku nie umiał narzekaniom przeciwstawić. Toteż gdy skończył, siedzący koło mnie Mazur powiedział do sąsiada:

– Nakrzyczał, nakrzyczał, a nic nie powiedział.

Drugi, ładnie ubrany i ładny, trochę podobny do Wyki[7], z zamglonym spojrzeniem alkoholika czy marzyciela, wygłosił sloganowe przemówienie w stylu Minca[8]:

[7] Kazimierz Wyka (1910–1975) – krytyk i historyk literatury polskiej.

[8] Hilary Minc (1905–1974) – ekonomista, przewodniczący Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, minister przemysłu i handlu.

– Słyszeliśmy tu – powiadał – o wielkich brakach w wykonywaniu produkcji tego zakładu i o wielkich brakach w dostawie materiałów i narzędzi. I ja jestem bardzo zadowolony („sfery" są zawsze bardzo zadowolone), że to usłyszeliśmy, bo to wskazuje na charakterystyczny moment naszego rozwoju gospodarczego. Oto w produkcji przemysłowej zrobiliśmy olbrzymie kroki naprzód. Produkcja nasza wyprzedziła już przedwojenną, ale oto transport jeszcze nie dopisuje. Transport nie dotrzymuje tempa naszej młodej, wspaniałej produkcji socjalistycznej, transport się opóźnia, powodując opóźnienia w wykonywaniu planu! Z tym musimy walczyć i transport, towarzysze, transport musimy podciągnąć. Transport nam bruździ! Transport nie nadrobił jeszcze zaniedbań okresu przedwojennego.

W tym duchu bredził jeszcze jakiś czas, a potem w tryumfie załgania odjechał zieloną skodą. Cynik lub ignorant i dureń, który nie wie, że przed wojną nie do pomyślenia było, żeby transport, czy to osobowy, czy towarowy, zawiódł – mieliśmy kolejnictwo jedno z lepszych w Europie. System zawodzi – prędzej czy później ta prawda stanie przed oczyma wszystkich.

Wysłuchałam tej narady oszołomiona, smutna i nieszczęśliwa, że nie można za pomocą prawdy walczyć o pomyślność tego ustroju. Narada trwała prawie do szóstej. Na dworze było już pogodnie, ale po burzy bardzo się ochłodziło. […]

Maria Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. 7, Warszawa: PAN, Wydział I Nauk Społecznych, 2009, s. 48–100

1951

Jerzy Ros (1919–1997)

Zaglądać do starych reportaży

Chwalił go Marek Hłasko w „Po prostu":

> Budujemy nowe życie ogromnym wysiłkiem i ofiarnością klasy robotniczej. Któż da świadectwo tym trudom? Trudom ludzi czystych?

I miał odpowiedź: Jerzy Ros, reporter „Życia Warszawy".

Otóż Jerzy Ros postanowił (lub mu to zlecono) rozprawić się z książką reporterską sprzed dwudziestu lat – *Oko w oko z kryzysem* Konrada Wrzosa (jej rozdział *Miasto bezrobotnych* o Zawierciu znajduje się w niniejszym tomie). Ros pojechał śladami Wrzosa, żeby skonfrontować przedwojenną rzeczywistość kapitalistyczną z rzeczywistością socjalistyczną. Powstała z tego książka *Konfrontacje* (1954). Podkreślał, że wychodzi ona nie tylko dwadzieścia lat po tamtej, ale dziewięć lat po tym, gdy władzę w Polsce objął lud, likwidując analfabetyzm i przekreślając raz na zawsze nędzę i głód.

Konrada Wrzosa raz po raz nazywa reporterem „sanacyjnym", nie dostrzegając zupełnie tego, co zauważamy w jego postawie my: lewicową wrażliwość. Ros przypisuje Wrzosowi intencje, których trudno się w książce dopatrzeć. Uważa, że *Oko w oko z kryzysem* miała wykonać określone zadanie polityczne:

> Miała rozładować, częściowo przynajmniej, antyrządowe, antysanacyjne nastroje wśród inteligencji, wykazując jednocześnie, że odpowiedzialność za tragiczną sytuację mas i kraju nie należy przypisywać rządowi sanacyjnemu ale – kryzysowi – „sile wyższej".

Książka Wrzosa nie wykonała jego zdaniem tego zadania, bo wypadki zaszły za daleko, rozdźwięk między klasami posiadającymi a masami był już tak wyraźny i jaskrawy, że „żadna książka nie mogła powstrzymać nawałnicy". Nie pisze, co było tą nawałnicą, ale oczywiście chodzi mu o zwycięstwo ludu pracującego miast i wsi.

Ros pojechał w te same miejsca, chciał spotkać tych samych ludzi. W urzędach zatrudnienia, w których Wrzos „na niby" stał w kolejce z bezrobotnymi, Ros dowiaduje się, że potrzeba setek, a nawet tysięcy niewykwalifikowanych robotników, nie mówiąc o pracownikach wykwalifikowanych. Wszystko dlatego – podsumowuje – że nowy socjalistyczny system nie zna określenia „człowiek niepotrzebny".

Wreszcie trafia do Zawiercia. W 1933 roku siedem tysięcy ludzi w mieście nie miało pracy, w 1953 – trzy tysiące miejsc czeka na pracowników. Droga do dawnej dzielnicy nędzy, Argentyny, gdzie przed wojną rósł las, „który sosnową zasłoną jak przepierzeniem oddzielał nędzę zawierciańskiego śródmieścia od argentyńskiego dna" – teraz porośnięta jest osiedlem nowoczesnych dwupiętrowych bloków.

Ros poszukuje Stanisława Wałka, który był opiekunem społecznym trzydziestego czwartego obwodu bezrobotnych. Wrzos pisał, że w jednym dużym pokoju mieszka osiem osób. Stanisław Wałek nie ma za co kupić dzieciom butów. Musi się też wyrzec marzeń, żeby wykształcić dzieci. Syn Stanisław dojeżdża do seminarium nauczycielskiego do Sosnowca, ale bilet miesięczny kosztuje dwanaście złotych. Na ten bilet składają się wszyscy krewni. Czternastoletnia córka Krystyna celująco zdała egzamin do czwartej klasy gimnazjum. Z tego powodu dyrekcja szkoły obniżyła jej czesne do piętnastu złotych miesięcznie, ale i na to Stanisława Wałka nie stać, więc Krystyna siedzi w domu i pochlipuje, gdy ojciec opowiada o tym Wrzosowi. Reporter pyta najmłodszego Kazia, czym się odżywia. Odpowiadają za niego rodzice:

> – Kartoflami, kapustą, chlebem.
> Kazio wielu rzeczy nie widział jeszcze. Nie widział na przykład cukru.

Jerzy Ros po dwudziestu latach pokazuje im książkę Wrzosa, są zaciekawieni, bo jej nie znali. Co robi Krystyna? Uzyskała absolutorium z filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim i pisze pracę magisterską. Chce się poświęcić pedagogice jak starszy brat Stanisław, który jest nauczycielem w liceum pedagogicznym. Najmłodszy Kazimierz studiuje na Akademii Medycznej w Szczecinie, dostaje stypendium i niedługo składa ostatnie egzaminy.

> Z Argentyny wracałem przez nowe osiedla mieszkaniowe. Dwadzieścia lat temu dziennikarz sanacyjny szedł tędy przez las argentyńskiej dżungli. Nie przypuszczał zapewne, że mały Kazio, który nie znał cukru, w Polsce Ludowej będzie studiował medycynę – podsumowywał Ros w *Konfrontacjach*.

Marek Hłasko (wtedy młody kierowca ciężarówki drukujący w „Po prostu") przeciwstawiał Jerzego Rosa „idiotycznym pisarzom dwudziestolecia":

> Ros to dziennikarz całą gębą; nie ględzi, nie moralizuje, nie pisze zdań w rodzaju „słońce wschodzi nad ojczyzną, odsłaniając coraz szersze pole bez miedzy" itp. Ros posiada umiejętność chyba najważniejszą w dziennikarstwie: umiejętność zestawiania faktów. Autor pozwala mówić faktom

i – doprawdy bez przesady chyba – z niewielkiej tej książeczki nauczyć się można o wiele więcej niż z niejednego grubego podręcznika. Rosowi należy się za tę książkę podziękowanie. Aż dziwne, że nie doczekała się ona szerszego omówienia.

Do serii „Wielkie Budowy Planu Sześcioletniego" Jerzy Ros napisał książkę o działalności Huty „Częstochowa", która przed wojną należała do Towarzystwa Zakładów Metalowych Bernard Hantke, w czasie wojny do niemieckiego koncernu HASAG, a w 1952 roku została nazwana imieniem Bolesława Bieruta.

Anonimowy recenzent „Życia Częstochowskiego" pisał, że dzisiaj „»Częstochowa« staje przed naszą literaturą jako wielki temat, domaga się artystycznego świadectwa prawdy, ponieważ przeżywa patos tworzenia podstaw socjalizmu", i Jerzy Ros poradził sobie z tym świetnie, ponieważ „położył nacisk na uchwycenie bohaterskiego, pełnego dramatycznego napięcia wysiłku budowniczych Huty »Częstochowa«".

Trudno powiedzieć, czy to socrealizm zaprzągł Rosa do służby, czy to on zaprzągł się sam. Ale przynajmniej w jego książce o hucie znalazło się coś ożywczego. Tu po raz pierwszy wykorzystał pomysł, żeby pójść dawnym śladem. Tym razem – znalezionych w hucie listów dawnych pracowników. Biorąc pod uwagę sztampę socrealistycznych tekstów, Jerzy Ros był na tle lat pięćdziesiątych reporterem wprost awangardowym.

Gdy ukończył *Stalowe źródła siły*, a jeszcze przed *Konfrontacjami*, redakcja „Życia Warszawy" wysłała go do Indii, skąd przywiózł materiał do książki *Indyjskie wędrówki* (wydanej w 1957 roku). Kiedy minął socrealizm, Ros jako pisarz popularyzator poświęcił się mitom i religiom Skandynawii oraz zagrabionym przez hitlerowców dziełom sztuki.

Stalowe źródła siły

W piwnicach gmachu dyrekcji Huty „Raków" – w piwnicach starej częstochowskiej huty, w sąsiedztwie której wyrasta nowy potężny kombinat metalurgiczny – robiono generalne porządki. Pokłady papierzysk narastające latami tak się już zagęściły, że dnia pewnego postanowiono posegregować je i przetrzebić.

I oto wśród stosu szpargałów, rachunków sprzed lat, wśród pożółkłych faktur i zamówień, wśród całej tej masy korespondencji handlowej, którą skrupulatnie gromadzić zwykła administracja zakładów i przedsiębiorstw przemysłowych – w dolnych warstwach dokumentacji przedwojennej, w papierowych pokładach ery kapitalizmu, znaleziono dokumenty, które dziś – po niespełna dwóch dziesiątkach lat, dzielących nas od chwili, gdy je pisano – wstrząsają czytelnikiem swą niezamierzoną wymową.

Znaleziono listy robotników huty, pisane do ówczesnego pełnomocnika posiadaczy akcjonariuszowskich pakietów – listy do „Wielmożnego Pana Dyrektora".

Przysypane kurzem czasu listy te przetrwały lata w segregatorach, aby świadczyć dziś o czasach nędzy i deptania godności ludzkiej, czasach poniżenia i wyzysku człowieka przez człowieka.

Oddajmy im głos i pozwólmy przemówić!

Prośba Janica Piotra ze wsi Błeszno
Do Wielmożnego Pana Dyrektora Huty B. Hantke w Rakowie

Wielmożny Panie Dyrektorze!

Zwracam się do Pana Dyrektora z gorącą prośbą, aby Pan nie pamiętał mi tego, że tam może Pana obraziłem, lecz w obecnej chwili proszę o przebaczenie, gdyż jestem nawiedzony straszną klęską i nieszczęściem, a mianowicie żona leży chora po porodzie i do tego ma lewą rękę niewładną, syn, który ma 9 lat, postradał ze wszystkim słuch i wzrok, prócz tego reszta dzieci bez ubrań i bielizny, i kawałka chleba.

Co ja, biedny, mam zrobić, chora żona prosi o ratunek, chory syn prosi, aby go leczyć, aby nie pozostał tak nieszczęśliwy, ta reszta płacze jeść i drży z zimna. Proszę Pana o udzielenie mi pracy, gdziekolwiek, chociaż ze 3 dni w tygodniu, abym mógł uratować życie nieszczęśliwej rodzinie,

o to jedynie błagam i proszę, gdyż mam w Panu Dyrektorze całe życie mojej rodziny. Dlatego że Pan Dyrektor jest całym gospodarzem Huty „Raków", więc dlatego może ofiarować mi te parę dni pracy, a uszczęśliwi nas w tak wielkiej nędzy.

Janic Piotr

Po osiemnastu latach dzielących nas od chwili, kiedy to robotnik Piotr Janic, wyrzucony za fabryczną bramę podczas jednej z licznych redukcji, pisał ten swój list rozpaczy – stajemy przed malutkim domkiem w podczęstochowskiej wsi Błeszno. Soczysta zieleń wina pnącego się po ścianie i śnieżna biel firanek zawieszonych w oknach kontrastem barw przyciąga oko.

Rodzina Janiców mieszka tu do dziś.

Korpulentna, o śniadej cerze i szpakowatych włosach wymykających się spod chustki Maria Janic z nieukrywanym zdumieniem w oczach słucha wyjaśnień przybysza, powołującego się na jakiś stary mężowski list, znaleziony w fabrycznej piwnicy. Ze zdziwienia przerywa zagniatanie ciasta na przysypanej mąką stolnicy i nawet woda kipiąca w garnku nie może wytrącić jej z osłupienia, skąd ten obcy człowiek znać może stare i zapomniane szczegóły rodzinne. Skąd wie, że po połogu rzeczywiście chorowała na rękę, skąd wie, że syn cierpiał w dzieciństwie na oczy i na uszy – skąd wie, że męża zredukowali wówczas...?

Od słowa do słowa lody zostają przełamane. Rozmowa nabiera bezpośredniości.

Tak! Chorowała wówczas na niedowład ręki. Lekarze powiedzieli, że to zapalenie stawów. A Tadeusz źle widział i słyszał w dzieciństwie, bo jakiś złośliwy wrzód zrobił mu się na głowie (matki przez lata całe pamiętają najdrobniejsze szczegóły chorób swoich dzieci).

Męża nie ma w domu, bo dziś jest na pierwszej zmianie. Od wyzwolenia kraju pracuje znów na walcowni. A co robi ten chory chłopak?

Maria Janic śmieje się. Jaki tam chłopak? Przecież dzisiaj ma już dwadzieścia sześć lat. Po tamtej chorobie wyzdrowiał zupełnie. Najlepszy dowód, że w 1946 roku przyjęli go do marynarki handlowej. Przeszedł kurs na Darze Pomorza. Pływał na Opolu, na Warcie, a ostatnio – przed tą amerykańską awanturą[1] – na Batorym. Teraz popłynął jakimś statkiem do Ameryki Południowej. Mąż to będzie wiedział, jak się ten statek nazywa.

Młodszy – Józef – do wojska poszedł. Poprzednio pracował w rzeźni miejskiej w Częstochowie, egzamin czeladniczy tam składał.

[1] Mowa o wojnie koreańskiej (1950–1953) i wynikającym z niej zaostrzeniu stosunków USA i ZSRR.

Słuchamy opowiadania matki, którą duma rozpiera, że tak jej się chłopcy udali – słuchamy i zastanawiamy się nad tym, czy ta dobroduszna kobieta zdaje sobie sprawę z tego, że jej dzieci – nawet najbardziej udane – siłą warunków politycznych i ekonomicznych byłyby w dawnej Polsce skazane na wegetację i bezrobocie. Los ojca, dopraszającego się – „przynajmniej trzy dni pracy w tygodniu" – byłby ich losem.

Czy nie zapomniała? Czy pamięta, jak było dawniej? Czy w przemianach, które dokonały się w Nowej Polsce, dostrzega źródło awansu społecznego swych synów – dawniej synów bezrobotnego – dziś synów współgospodarza kraju – robotnika? Czy pamięta dziś, kiedy w rodzinie Janiców zarobkują trzy osoby – a pracy starczyłoby dla tylu, ilu by w tej rodzinie było?

– Ten mały, co się panu tak przygląda, to nie rodzony. Sierota. Po siostrze. Przygarnęliśmy go. Chodzi do trzeciej klasy i nieźle się uczy. Lotnikiem – mówi – lotnikiem chce zostać, jak dorośnie. Dziewięć lat ma dopiero, patrzcie go, a chciałby do lotników!

Plasnęła się w udo z żartobliwym zdumieniem, podkpiwając dobrodusznie z malca. Chłopak spłonił się jak piwonia. Taki despekt wobec obcego... Taki despekt... Nawet kot, siedzący na ławie i myjący sobie łapę czerwonym języczkiem, przerwał toaletę i ze zgorszeniem ruszył wąsami, jakby solidaryzował się z chłopcem i mówił: „Oj, te kobiety, kobiety – żadnej wyrozumiałości dla ambicji męskiej – żadnego zrozumienia!".

Cóż, chłopcze – pragniesz skrzydeł? Nie turbuj się kpinkami ciotki. Byleś tylko gorąco i konsekwentnie pragnął lotu – wzlecisz wysoko i z tej wiejskiej chaty. Pamiętaj – te skrzydła są przeznaczone dla takich jak ty. Dostaniesz je i jeśli ich będziesz tylko godzien, nikt ci ich nie podetnie.

Żegnamy się.

– Odwiedzimy męża na walcowni. Do widzenia...

– Dzień dobry, obywatelu Janic. Chcieliśmy z wami pogadać, możecie poświęcić nam kilkanaście minut?

Piotra Janica zastajemy na walcowni. Wśród płomiennych węży rozpalonego żelaza, wśród gorejących sztab, jak plastelinowe szyny wyskakujących spomiędzy walców, wśród gejzera iskier tryskających spod pił.

Zatłuszczona czapka – kosmyki siwizny – blizna szeroką krechą przecinająca policzek – i uważne, jasnoniebieskie spojrzenie wyblakłych oczu, przywykłych śledzić rozpaloną stal.

List? Tak, pamięta – pisał, gdy go zredukowali. Cóż było robić? Cóż pozostawało mu – gdy dzieci wołały jeść? Nie, nie uwzględniono wówczas jego prośby. Nie doczekał się odpowiedzi, mimo że tu, na tej hucie, pracować zaczął

jeszcze w 1917 roku. Mimo że tu, na tej hucie, na skutek warunków urągających bezpieczeństwu pracy dwakroć kontuzjowany był w wypadkach.

Wyciąga przed siebie mocną żylastą rękę i pokazuje złamanie kciuka. Drugi wypadek był znacznie gorszy. Po groźnym oparzeniu pół roku przeleżał w szpitalu.

Ale to nie mogło mieć żadnego wpływu na redukcję. Objęła ona wówczas wszystkich, dosłownie wszystkich pracowników. Dyrekcja zwolniła całą załogę, by po upływie dwóch tygodni – zastraszonych i sterroryzowanych widmem bezrobocia – przyjmować ponownie... na znacznie gorszych warunkach płacy.

– Ludzi było za dużo, a pracy za mało. Jak się więc kto nie miał czym wkupić majstrowi, jak nie miał protekcji albo jeśli zapracował sobie na opinię „buntownika", na robotę nie mógł liczyć. Jakże, darmo by robotę dawali? Albo niepewnym...? Teraz? – Wzrusza ramionami. – Cóż, teraz, wiadomo, inaczej – mówi i ruchem głowy wskazuje rosnący w sąsiedztwie wysłużonych, starych zabudowań dawnej Huty „Raków" masyw nowych, przestronnych, wysokich i jasnych hal nowej stalowni – pierwszego oddziału produkcyjnego wielkiego metalurgicznego kombinatu, który plan sześcioletni wznosi tu, w Częstochowie.

Od 1945 roku – od chwili wyzwolenia – Janic pracuje tu, w hucie, z której przed laty wygnała go „za bramę" redukcja.

– ...Tak, tak – dodaje nagle w zamyśleniu – pamiętam: żona chorowała mi wówczas po połogu... – i urywa w pół zdania.

Oczy starego hutnika, wyblakłe, niebieskie oczy, przywykłe patrzeć na żar stali – teraz zapatrzone są w jakiś daleki, niedostrzegalny dla innych punkt w przestrzeni. A może patrzą w głąb minionego czasu?

Ale wróćmy do dokumentów. Wróćmy do listów, które przypadek wydobył z piwnic fabrycznych na światło dzienne – po to, aby gorejącą treścią oskarżały mrok bezpowrotnej przeszłości.

PODANIE
Merdzika Józefa zam. w Błesznie – szosa nr 4

Ze względu zbliżających się ćwiczeń rezerwy zwracam się do Pana Dyrektora z gorącą prośbą, aby Pan Dyrektor był łaskaw wpłynąć na moje krytyczne położenie, w jakim się znajduję obecnie. Zaznaczyć należy, że ojciec pracuje w hucie około 30 lat, na oddziale walcowni, obecnie w wykańczalni, i ja również pracowałem od szkolnej ławki aż do samego wojska

w oddziale stalownia do 1929, a tylko przez wojsko mam pracę przerwaną, bo od września 1930 pracowałem zaledwie 5 miesięcy w 1931 roku, kiedy były w biegu dwa piece stalowni.

Wobec tego proszę gorąco Pana Dyrektora o przyjęcie mnie do jakiejkolwiek bądź pracy, abym mógł zabezpieczyć byt żonie i dziecku przez 6 tygodni ćwiczeń, a z drugiej strony, aby uzyskać Kasę Chorych, a to ze względu, że żona chodzi ciężarna i zagraża mi nowa tragedia.

Z głębokim szacunkiem
kreślę się
Merdzik Józef

Żużlowy domek przy szosie mieści dwa mieszkania. W prawym mieszka ojciec, Merdzik Józef – w lewym syn, też Merdzik Józef, autor przytoczonego, pisanego przed laty podania.

Pierwsze kroki kierujemy omyłkowo do mieszkania ojca. Staruszka, w której domyślać się można żony, wyjaśnia, że „stary" poszedł na drugą zmianę do huty. Pracuje tam jako dozorca. Przechodzimy więc do sąsiedniego mieszkania syna. Scena zdumienia i początkowej nieufności powtarza się i tym razem. I tym razem ustępuje w miarę rozmowy.

Bronisława Merdzik, wsparta o kuchnię, opowiada ostatnie dzieje rodziny. Mąż pracuje w hucie – w walcowni. Starsza córka – ta sama Wiesława, która w chwili pisania pamiętnego podania liczyła roczek zaledwie – wyszła już za mąż.

W tej chwili, jakby na wyreżyserowane potwierdzenie tych słów, do kuchni wchodzi młody człowiek – zięć. Student ostatniego roku liceum górniczego – Antoni Dziurkowski. Wymieniamy uścisk ręki. Rozmowa toczy się dalej i tylko przybyły młody mężczyzna przysłuchuje się z wzrastającym napięciem i ciekawością tej niecodziennej konwersacji, której źródła tkwią w jakimś podaniu złożonym w latach, kiedy kobieta będąca dziś jego żoną raczkowała jeszcze po podłodze.

Druga córka – Jadwiga – ta, o której przed osiemnastu laty bezrobotny i zrozpaczony przyszły ojciec pisał: „zagraża mi nowa tragedia" – od niedawna pracuje w dziale gospodarczym huty jako przedstawicielka trzeciego, nowego pokolenia Merdzików.

W kolejach losu tej młodej dziewczyny – niewiedzącej dziś nawet o tym, że ongiś jej narodziny były tragedią ekonomiczną rodziny robotniczej – w kolejach jej losu symbolicznie i lapidarnie skoncentrował się sens wielkich przemian, dokonujących się w naszym kraju.

Ale pożegnajmy się i chodźmy do huty, by odnaleźć jej ojca, który kończy pracę na pierwszej zmianie, i by odnaleźć dziadka rozpoczynającego ją na drugiej zmianie.

Chodźmy.

W niewielkiej budce sąsiadującej z wagą złomową, tuż w sąsiedztwie jednego z wewnętrznych torów kolejowych – zastajemy i poznajemy autora podania.

Brygadzista – sekretarz rady oddziałowej – związkowy mąż zaufania – Józef Merdzik ma mocno zarysowaną robotniczą twarz. Koleje swego losu opowiada jasno i zwięźle, bez śladu czułostkowej rozlewności i gadulstwa. Takie już było surowe i twarde życie robotnika i kto go nie zakosztował, może i nie zrozumie.

W hucie pracować zaczął jeszcze w 1925 roku. Pracy bywało na trzy, czasem cztery dni w tygodniu. Zarobek w akordzie około sześciu złotych dziennie. Po powrocie z wojska i tego nie było. Rok chodził bez pracy.

– Jakie warunki były, wiecie, skoroście to podanie czytali...

Lata okupacji – obozy koncentracyjne – wyzwolenie – i powrót do huty. Tu, gdzie pracuje ojciec i trzech braci, a teraz jeszcze siostra i córka. Pracy i chleba dość jest dla wszystkich.

Do budki, w której rozmawiamy, wchodzą coraz to nowi ludzie. Syrena obwieściła koniec zmiany, ale zapowiedziano tu zebranie związkowe. Nie przeszkadzajmy i nie dezorganizujmy programu. Czas się pożegnać i pójść ku stajniom, w których pracuje najstarszy z Merdzików.

W przystajennym pokoiku, przy piecu zebrała się stara, wąsata gwardia robotników huty. Merdzik, który przed pięćdziesięciu laty budował tu pierwsze fundamenty z austriackimi murarzami, który od chłopaka przepracował tu pół wieku, snuje nić wspomnień.

Lata pracy i bezrobocia – historia trzech wypadków, które ze zdrowego robotnika uczyniły osiemdziesięcioprocentowego inwalidę.

Merdzik opowiada szczegóły katastrofy, szpitalnej kuracji, historię życiowego wstrząsu, który sprawił, że on – człowiek sprzedający swoje ręce – utrzymujący siebie i rodzinę z pracy najemnej – stracił władzę w połowie ciała, otrzymując w zamian pięćset dwadzieścia złotych.

Bezpieczeństwo, higiena pracy, opieka nad robotnikiem – toż to były mrzonki wówczas, gdy na każde wolne miejsce wyczekiwało kilku i kilkunastu bezrobotnych. Gdzie drwa rąbią – mawiano – tam i drzazgi lecą, a gdzie pracuje się przy gorącym żelazie, tam nieuniknione są wypadki. Ot, koszty handlowe. Pięćset dwadzieścia złotych za paraliż połowy ciała.

Komisja przyjeżdżała. Gadała z kierownictwem, w najlepszym razie z majstrem, i wydawała orzeczenia: „Wypadek spowodowany nieuwagą robotnika". A próbowałeś, bracie, dochodzić swego – to cię tak wykończyli, że i ty, i dzieci twoje, jako dzieci „buntownika", pracy na oczy nie zobaczyły. A praca to był chleb – tak jest, chleb!

Opowiada stary Merdzik, jak pracowało się w giserni[2], w stalowni, na wielkim piecu – a jego prawe zdrowe oko płonie młodzieńczym ogniem, podczas gdy lewe raz po raz przysłania bezwładna powieka.

Konie biją w stajni kopytami o ziemię i podzwaniają łańcuchami. Ogień pali się w piecu, a siedzący wokół stajenni i woźnice snują wspomnienia o dawnych czasach. Płyną opowieści o tym, jak to rodziny całe czekały przed budynkiem dyrekcji, jak ludzie, mężczyźni z żonami i dziećmi, rzucali się dyrektorom do nóg, prosząc o pracę, jak to nawet, jak ten Serdak, pod dyrektorskie konie się rzucali, jak szli bezrobotnym tłumem pod magistrat i jak ich tam policja kolbami i pałkami rozpędzała.

Jak na starym sztychu rytym ręką ludowego artysty, czującego krzywdę, i ból, i nędzę, i troskę mas – tak w opowieściach tych zarysowuje się obraz innej, tej nieopiewanej Częstochowy. Nie tej ze słodkawo-bogobojnych malunków i kantyczek, ale tej krzyczącej głosem krzywdy społecznej, tej niepokornej i buntowniczej Częstochowy nizin społecznych, zakutych w dyby ekonomicznej niewoli, prowadzonych na łańcuszku pokory, karmionych manną obietnic „o poniżonych, którzy wywyższeni będą" – manną, którą, jako żywo, nigdy jeszcze nikt pustego żołądka nie napełnił.

Ze wspomnień starych robotników wstaje obraz tej Częstochowy, w której aktywną działalność rewolucyjną rozwijał Feliks Dzierżyński – bojownik sprawy ludu uciemiężonego.

Tej Częstochowy, o której w sprawozdaniu do Komitetu Zagranicznego SDKPiL[3] pisał w dniu 8 lutego 1905 – rewolucyjnego roku:

> W środę o godz. 10-ej rano stanęła w Rakowie (osada pod miastem) huta żelazna Hantkego (3 tysiące robotników), stawiając żądania 8 godz. dnia roboczego, podwyższenia płacy o 30% i inne drobniejsze... – grunt dla szerokiej akcji politycznej wspaniały.

Upłynęły lata. Najstarszy z Merdzików, który hucie dał czterech synów, córkę i wnuczkę – pracę ma dzisiaj nieciężką. Oprócz pensji dostaje pięćset kilo węgla miesięcznie i sto trzydzieści złotych inwalidzkiej renty, no i robocze ubranie.

Dzień w dzień, jak wysłużony żołnierz na plac ćwiczeń, utykając, maszeruje do huty, w której upłynęło mu życie. I żeby nie ten przeklęty bezwład

[2] Giserni – odlewnia.

[3] SDKPiL – Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, partia socjalistyczna działająca w latach 1893–1918, należała do radykalnego skrzydła II Międzynarodówki, postulowała rewolucję socjalną przeprowadzoną siłami klasy robotniczej.

ręki, to pokazałby tym młodziakom tam, na tej nowej stalowni, którą budują, jak się suwnicę prowadzi.

Bo to nie takie czasy bywały, jak człowiek hutniczy fach zdobywał, nie takie! Ho, ho! – pięć lat się starą hutę budowało, a nie jeden rok jak teraz, że i nie do wiary...

W piwnicy starej Huty „Raków" znaleziono jeszcze jeden list. Niestety autora poszukiwaliśmy bezskutecznie. Osiemnaście lat – osiemnaście takich lat, jakie dzielą nas od chwili, gdy Marian Piekacz podpisywał swoją prośbę „z głębokim poważaniem" – mogły zatrzeć wszelki ślad po nim.

Trudno dociec, czy ten zrozpaczony robotnik umarł, czy zginął w burzliwych latach okupacji – czy prośba jego została rozpatrzona, czy odrzucona? Lata przysypały wszystko popiołem czasu.

List jego, rozbrzmiewający po latach z fabrycznej piwnicy krzykiem goryczy – niech będzie dokumentem, który na tle robotniczej starości inwalidzkiej Józefa Merdzika – stajennego dozorcy w państwowej Hucie „Częstochowa" – przemówi głosem innej starości robotniczej. Starości wyrzuconej ongiś za bramę kapitalistycznej Huty „Raków" tak, jak na śmietnik wyrzuca się dziurawy kapeć.

Gdy Szanowny Pan Dyrektor czyta tą prośbę, ja z niecierpliwością czekam w poczekalni na odpowiedź, na której się waży mój los. Bo gdybym dostał odpowiedź, że do pracy nie będę przyjęty, to cóż mi wypada zrobić. Nic innego, jak odebrać sobie życie i wiecznym snem uspokoić skołataną głowę. Bo już dosyć tej męczarni, już mi obrzydł ten świat, gdzie jest tyle fałszu i niesprawiedliwości. Moja żona i dzieci przymierają z nędzy, a ja teraz nie mogę dać im utrzymania. Bo, jak zostałem zredukowany z Huty „Raków", gdzie pracowałem przez przeszło 24 lata, gdzie straciłem siły, młodość, zdrowie i wzrok, zostałem na starość wygnany za bramę jak pies. Nie, gorzej jeszcze. Bo psa nie wypędzają stamtąd, gdzie wysłużył tyle lat, tylko trzymają, aż zdechnie. A ja dostałem nagrodę w postaci redukcji.

Och, gdyby Szanowny Pan Dyrektor chciał iść do mojego domu i zobaczyć, jak wyglądają moje dzieci i żona, toby może słowom uwierzył. A teraz co mi wypada zrobić, gdy pracę straciłem?

Więc proszę Szanownego Pana Dyrektora o rozpatrzenie tej sprawy i odpowiedź.

I daj Boże, żebym został z powrotem przyjęty do pracy, bo inaczej to będzie ze mną źle.

Z głębokim poważaniem
Marian Piekacz

Jerzy Ros, *Stalowe źródła siły*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1951, s. 3–12

1955

Ryszard Kapuściński (1932–2007)

Odwiedź poznanych kiedyś ludzi

21 sierpnia 1955 roku w tygodniku „Nowa Kultura" ukazał się *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka o beznadziejnym, jałowym i upodlającym życiu robotników – budowniczych Nowej Huty. Część czwarta poematu brzmiała tak:

Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą
zbudować hutę, wyczarować miasto,
wykopać z ziemi nowe Eldorado,
armią pionierską, zbieraną hałastrą
tłoczą się w szopach, barakach, hotelach,
człapią i gwiżdżą w błotnistych ulicach:
wielka migracja, skudlona ambicja,
na szyi sznurek – krzyżyk z Częstochowy,
trzy piętra wyzwisk, jasieczek puchowy,
maciora wódki i ambit na dziewki,
dusza nieufna, spod miedzy wyrwana,
wpół rozbudzona i wpół obłąkana,
milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki,
wypchnięta nagle z mroków średniowiecza
masa wędrowna, Polska nieczłowiecza
wyjąca z nudy w grudniowe wieczory...
W koszach od śmieci na zwieszonym sznurze
chłopcy latają kotami po murze,
żeńskie hotele, te świeckie klasztory,
trzeszczą od tarła, a potem grafinie
miotu pozbędą się – Wisła tu płynie.
Wielka migracja przemysł budująca,
nieznana Polsce, ale znana dziejom,
karmiona pustką wielkich słów, żyjąca
dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom –
w węglowym czadzie, w powolnej męczarni,
z niej się wytapia robotnicza klasa.
Dużo odpadków. A na razie kasza.

Poemat wywołał szok. Polska Ludowa była przecież krajem powszechnej szczęśliwości, a robotnik był jej ideałem. Partia uznała wiersz za „antyhumanistyczny", „antyludowy", „antyrobotniczy" i „antypartyjny". Do nagonki przeciwko *Poematowi* włączyła się cała prasa. „Sztandar Młodych" wysłał do Nowej Huty dwudziestotrzyletniego dziennikarza Ryszarda Kapuścińskiego. Miał pójść tropem tematów Ważyka. Młody reporter postanowił najpierw odnaleźć tych, których z Huty pamiętał: działaczy ZMP, których poznał, kiedy był tam pięć lat wcześniej na spotkaniu autorskim, i Wiktora Woroszylskiego (towarzyszył mu wówczas w podróży). Działacze potraktowali go jak swego, powiedzieli, że to, co opisał Ważyk, to nic w porównaniu z tym, jak naprawdę wygląda życie Nowej Huty.

30 września 1955 roku w „Sztandarze Młodych" ukazał się reportaż Ryszarda Kapuścińskiego *To też jest prawda o Nowej Hucie*.

Ta prawda to: prymitywne, nieludzkie warunki życia, brud, głód, zacofanie. „Piętnastoletnie kurewki schodzą po deskach do piwnic" – pisał Ważyk. Kapuściński zaś przytaczał rozmowę z czternastolatką, która zaraziła kilku chłopców chorobą weneryczną: „opowiadała o swoich wyczynach tak wulgarnie, że się zbierało na wymioty".

> Naczelna „Sztandaru Młodych" Irena Tarłowska – opowiadał Kapuściński w książce *Lawina i kamienie* – uznała, że nawet nie ma co przedkładać tekstu w cenzurze. Ale zebrał się zespół i zażądał, by go wydrukowano. Udało się namówić znajomego cenzora, by przepuścił tekst. Po jego ukazaniu się Tarłowską odwołano, a cenzor dostał wymówienie.

Powołano komisję, która miała sporządzić raport dla Biura Politycznego KC PZPR, i zdjęto całe kierownictwo huty. A Kapuściński otrzymał pierwsze w swoim życiu odznaczenie – Złoty Krzyż Zasługi.

Jednak, jak twierdzi dociekliwy badacz twórczości Ryszarda Kapuścińskiego Kazimierz Wolny-Zmorzyński, to właśnie po to, by młody reporter przestał zajmować się niewygodnymi dla władzy tematami w kraju, redakcja wysłała go w świat.

W 1956 roku Kapuściński wyjechał więc do Indii, odwiedził także Afganistan i Pakistan. W Delhi czuł się zagubiony, mówił tylko po polsku. Na lotnisku w Rzymie kupił *Komu bije dzwon* w oryginale, w walizce miał słownik. Tak nauczył się angielskiego.

W następnym roku pojechał do Japonii i Chin.

Kiedy w 1957 roku znalazł się w Pekinie, w kraju nastąpił odwrót od gomułkowskiej odnowy. Redakcja „Sztandaru Młodych", popierając ideę

Października ’56, stanęła w obronie rozwiązanego rewizjonistycznego – zdaniem władz – tygodnika „Po prostu”. Za karę odwołano kolegium redakcyjne „Sztandaru”. Część zespołu odeszła z pracy, a część czekała na decyzję Kapuścińskiego. Chcieli od niego usłyszeć: mają odejść z redakcji czy zostać?

Reporter zgłosił się do ambasadora PRL w Chinach i zakomunikował, że wraca do Polski. Podjął decyzję na własną rękę, dlatego nie otrzymał pieniędzy na zakup biletu lotniczego. Przez dziewięć dni jechał więc koleją transsyberyjską. Opisał tę podróż po trzydziestu pięciu latach w *Imperium*.

Odszedł ze „Sztandaru” – był początek 1958 roku. Dziesięć miesięcy spędził w redakcji Polskiej Agencji Prasowej, potem Dariusz Fikus zaproponował mu etat w „Polityce”. Przez cztery lata Kapuściński jako reporter tego pisma jeździł po kraju i tak powstała jego pierwsza książka *Busz po polsku* (1962).

To też jest prawda o Nowej Hucie wreszcie w całej okazałości, bez konieczności szperania w starym roczniku „Sztandaru Młodych”.

To też jest prawda o Nowej Hucie

I

Więc przyjechałeś. Witasz się z tym miastem jak z przyjacielem, którego na długo musiałeś opuścić.

Chodzisz ulicami, których nie było, wśród domów tak ci nieznanych, mijasz ludzi zdziwiony, że ich nie pamiętasz. A przecież w końcu to nieodległa przeszłość, ten czas, kiedy stawiano tu pierwszy fundament i otwierano drzwi pierwszego mieszkania. Wtedy wszystko było tu p i e r w s z e. Ludzie też. Dzisiaj zresztą ich możesz spotkać. Wielu wyjechało, ale iluż odnajdziesz znajomych! Mają dom, zawód, rodzinę, a przyszli z gołymi rękami, z niczym. Związali się z tą ziemią. Władek powiada mi:

– Dwa lata tu jestem i za boga bym nigdzie nie wyjechał.

Nie potrzebujesz takich ludzi szukać, pytać o adresy, dowiadywać się nazwisk. Są tu wszędzie. W ich życiu odczytasz dzieje Huty. Ta wspólnota z miastem zawiera dość ciepła, aby pozostać trwałą.

II

Ale w obrazie Huty, w jej w n ę t r z u, są sprawy niepokojące i złe. Dużo jest tych spraw. Zbyt dużo. Przyglądasz się im, zgłębiasz, dociekasz i oto gromadzą się pytania bez odpowiedzi, rośnie oburzenie, budzi się sprzeciw. Wołasz: „Przypatrzcie się uważniej Nowej Hucie, uważniej!". To będzie pouczająca lekcja. Krzywd, draństwa, bezduszności, zakłamania. Ludzi pozostawionych samym sobie, ran przez nikogo nieleczonych. Taką Hutę także ujrzysz.

III

Posłuchaj: niedawno jedna czternastoletnia zaraziła ośmiu chłopców. Kiedy z nią mówiliśmy, opowiadała o swoich wyczynach tak wulgarnie, że się zbierało na wymioty. Ona nie jest jedyna. Nie wszystkie są tak młode, ale jest ich sporo.

A idź do Lasku Mogilskiego, idź na Tajwan, na Kożedo. To nazwy pleszowskiego osiedla. Same mówią za siebie.

W Nowej Hucie znają mieszkanie, gdzie w jednym pokoju mama przyjmuje od facetów forsę, a w drugim córka wyrównuje gościom te straty. To niejedyne takie mieszkanie.

Te wszystkie historie przeniosły się teraz z ulic i bram – do domów. Trudniej z tym walczyć, bo stało się to bardziej zamaskowane, ukryte. Zresztą, kto poza milicją zajmuje się tymi sprawami?

Wiesz, co tu reguluje normy moralne? Forsa. Dosłownie! Powiedział mi jeden towarzysz:

– Z moralnością lepiej, gdy nie mają za co.

Lekarstwo? Zarządzenia administracyjne! Nie wszystko się da wyleczyć administracyjnymi posunięciami.

Zresztą i tu nic doskonałego. Przecież nieraz biurokratyzm osiąga w Hucie stopień barbarzyństwa.

Oto kobieta – mieszkanka hotelu robotniczego – będzie rodziła dziecko. W tym pokoju mieszka jeszcze sześć dziewcząt. Po trzech miesiącach powinna wrócić do pracy. Nie wraca: pracuje w Hucie, kilka kilometrów od hotelu, a musi karmić dziecko cztery razy dziennie. Wszelako każą przynieść jej zaświadczenie, że pracuje. Tak, ale ona nie może go dostarczyć. Wtedy przychodzi hotelowy, zabiera jej pościel, zabiera wszystko, co nie jest jej własnością: kobieta z maleństwem zostaje na deskach.

A teraz weź kilkaset młodych małżeństw, które w Nowej Hucie nie mają mieszkań. Staraj się odgadnąć myśli młodej dziewczyny, spodziewającej się dziecka. Nie przyjdzie ci to z trudem.

Wiesz, gdzie tu młode małżeństwa spędzają swoje noce? W bramach albo po rowach. Stefek S. mówi mi zawsze:

– Nie będę się żenił, nie ożenię się, bo w tych warunkach musiałbym nie mieć szacunku dla swojej żony.

Pomów tu z dziewczętami. Są takie, które ci powiedzą:

– Wychodzić za mąż? Kiedy i tak nie dadzą żyć razem, po co sobie robić kłopot? Trzeba się jakoś obywać.

A przy tym to dziewczęta z gruntu dobre, pracowite i niełatwo im przychodzi wyrzekać się szczęścia.

Tak rodzi się cynizm, tak odbiera się miłości wiele piękna. Ale oni się tacy nie rodzą, oni tacy w swoim wnętrzu nie są – to my nie umiemy ich niczego nauczyć, nie umiemy im podać ręki.

Czy myślisz, że ktoś tu w sposób zdecydowany rozwiązuje kwestię owych mieszkań? Owszem, była narada. Na skutki trzeba czekać długo. Wiemy: nie wszystkim można je dać od razu, ale kto się zgodzi z tym, aby jego rodzinne życie zależało od bezmyślnych paragrafów hotelowego regulaminu? Któż to wpadł na ten genialny pomysł, że małżeństwa mogą przebywać razem

w hotelowym pokoju tylko do ósmej wieczór? Dlaczego nie wydzielono bodaj jednego z hoteli dla młodych małżeństw?

A teraz, proszę, przyjrzyj się życiu młodego człowieka tu, w Hucie. Wstaje rano, jedzie do pracy. Wraca, jest godzina trzecia. To wszystko. O trzeciej kończy się jego dzień. Chodziłem po takich hotelach. Zaglądam do pokoi: siedzą. Właściwie to jest jedyna czynność, jaką wykonują: siedzą. Nawet nie rozmawiają, o czym ciągle rozmawiać? Mogliby czytać – nie są przyzwyczajeni, mogliby śpiewać – to przeszkadza innym, mogliby bić się – nie chcą. Tylko – siedzą.

Co czynniejsi wałęsają się bez celu ulicami. Do diabła – może jest gdzie pójść, wypełnić czymś pół dnia? Jest pełno knajp. Ale tam jedni nie chcą iść. inni nie mają pieniędzy.

Poza tym nie ma nic. Świetlice, jeśli są, to puste, dwa maleńkie kina (około czterystu miejsc łącznie na osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców), ani basenu, ani boisk, słowem, co najmniej nieciekawie.

A potem jedni piszą kojące sprawozdania, że odbyła się taka to a taka liczba zebrań (zgodnie z instrukcją), a drudzy plują z pogardą na hałastrę „wyjącą" z nudy w grudniowe wieczory.

Ale gdzie są owi trzeci, którzy powiedzieliby tym chłopcom, jak bić się o swoje prawa, jak urządzić sobie dzień, czym się zająć, do czego zmierzać?

Mój drogi – przecież my ciągle widzimy tylko c z ę ś ć człowieka, tylko tę chwilę, w której pracuje. Jeśli pracuje dobrze, chwalimy go: oto patrzcie, na kim się wzorować. Jeśli pracuje źle – ganimy. Wytworzyliśmy już jakie takie normy moralności socjalistycznej w pracy. To wielka nasza zdobycz. Cóż jednak czynimy, żeby wykształcić takie normy poza pracą. Kogo ów chłopak obchodzi po opuszczeniu bramy zakładu? Sekretarza partii? Przewodniczącego koła? Aktywistów? Jeśli sprawuje się poprawnie – nikogo, jeśli nagannie – milicję.

Znam tu w Hucie takich sekretarzy, którzy odpowiadali za zły stan produkcji. Znam również takich przewodniczących ZMP. Ciężko – bywało – odpowiadali. Ale kto ponosił odpowiedzialność za to, że ludzie po prostu nie umieli żyć, a on im nie pomógł, choć to jego o b o w i ą z e k.

Przyszli ze wsi, przynieśli z sobą opłotkową moralność, która tu przestała obowiązywać. Ale nie daliśmy im wychowawcy, surowej opinii kolektywu, żywej ludzkiej tradycji. Jakże mamy czelność odwracać się plecami do tych ludzi albo nie dostrzegać tego wszystkiego?

IV

Ludzie jakoś tracą oddech, przygasa ich zapał, nie staje chęci do walki. N a s i ludzie. Nie ci utyskiwacze, nieufni i nieprzekonani, ale ci, którzy szli w przodzie, nawykli do starć, niezawodni.

Znam ich, oni mnie zagrzewali, z nimi czułem się silniejszy. Pamiętasz Kwiatkowskiego? Wspaniały chłopiec. Młody robotnik, chętny do książki, odważny, rozsądny. Nie mógł znieść tych wszystkich świństw – krytykował, oburzał się, pisał. Znaleziono na niego sposób: nie dali mu mieszkania, choć ma chorą matkę i żonę na wsi. Niech nie krytykuje!

Znasz Mikosza? Też nie dawał za wygraną, też dochodził praw robotników. Znaleziono na niego sposób: zwolnili z pracy. Chłopak trzy miesiące błąkał się bez roboty. Niech nie krytykuje!

A Jakus, ten nieustępliwy, śmiały Jakus? Nie mogą go zwolnić, jest zbyt znany, więc robią wokół niego opinię, że bumelant, rozrabiacz. To też niezgorsza metoda. Niech nie krytykuje!

Kwiatkowski powiedział:

– Już się przekonałem, że nie warto bić się o nic.

Wiesz, do czego dochodzi? Ludzie mówią tu wprost: „Gdyby tu był towarzysz Dzierżyński!".

To więcej znaczy niż tysiąc faktów, takie jedno powiedzenie.

Ludzie patrzą, ludzie dużo widzą. To oni postawili Hutę, oni są jej gospodarzami dbałymi o jej dobro. Bardzo piękny objaw. Ludzie troszczą się o majątek Huty, ludzie rozumieją, że to i c h Huta.

A teraz popatrz: mówimy – „Robotniku, oszczędzaj każdą złotówkę". Robotnik buduje na przykład nowe osiedle i oszczędza złotówki. Kiedy wybudował do pierwszego piętra, zdarza się, że przychodzi zmiana projektu i budynek się przerabia, częściowo rozbiera, ściany rozkuwa itd. Robotnik zaoszczędził złotówki, projektant zmarnował tysiące. Kto za to odpowiada? Nikt.

Niedawno nastąpiła awaria pieca martenowskiego. Mówią, że półmilionowa strata. Kto za to odpowiada? Nikt. Chociaż dobrze wiadomo ludziom, czyja to wina. A my mówimy: „Robotniku, oszczędzaj każdą złotówkę".

Zrobiono stroje dla zespołu pieśni i tańca. Mówią, że półtoramilionowy koszt. Teraz zespół rozwiązany, bo się go nie da wychować (!), stroje marnieją. Kto za to odpowiada? Nikt. A my mówimy: „Robotniku, oszczędzaj każdą złotówkę". Mówimy na pewno słusznie. Ale tylko ukrócenie takich praktyk może nas ustrzec przed mówieniem w próżnię.

Nasłuchałeś się tych historii, każdy człowiek może się tu ich nasłuchać. Nie, nie sprawdziłem z absolutną pewnością, czy dokładnie tak właśnie wyglądają, czy nie ma w tym jakiejś nieścisłości.

Ale mówię – bo tu mówią o tym wszyscy, zresztą nie tylko o tym, o setkach innych spraw tego rzędu również. Jeden człowiek, przy tym niefachowiec, nie potrafi do niczego dojść, niczego udowodnić. To zbyt trudne dla jednego, to nawet niemożliwe. Ale głosy dziesiątków ludzi coś znaczą. Mają swoją wymowę, nie mogą być pominięte, ktoś musi je zebrać, powtórzyć, wyciągnąć na światło.

Nie chodzi o to, żeby mnożyć przykłady. Ważne jest, że ludzie dobrze widzą. Ma się wrażenie, że jakiś potworny grzyb biurokratyzmu narósł tutaj, że się rozplenia i przygniata wszystko, ale nikt się tym nie interesuje, nikogo to nie obchodzi.

Często tu przyjeżdża ktoś z KC, ktoś z ministerstw. Widzimy, jak przyjeżdża, widzimy, jak wyjeżdża. Tylko nie widzimy, żeby się po takiej wizycie coś zmieniło. Kto tu, przyjeżdżając z Warszawy, rozmawia z robotnikami, z młodzieżą? Nikt. Z jednym wyjątkiem: rozmawiał z nimi towarzysz Chruszczow, kiedy był w Nowej Hucie. Toteż wspominają go robotnicy, jakby to było wczoraj.

Myślę, że ludzie mają prawo pytać, myślę, że mają prawo pytać, kto odpowiada za miliony rzucone w błoto, stracone albo wręcz ukradzione. Kogo obchodzi sytuacja w Hucie, krzywdy wyrządzane robotnikom? Kto zatwierdził plan budowy miasta, przewidujący dotąd tylko dwa małe kina, a za to wiele knajp?

Ludzie mają prawo pytać i skoro nie mogą znaleźć odpowiedzi tu, na miejscu, sądzą, że powinien odpowiedzieć im ktoś z Warszawy, ktoś z władz kierowniczych.

Żadne pytanie człowieka pracy nie może pozostać w naszym ustroju bez odpowiedzi. Nie może być u nas spraw, o których się mówi szeptem, po kątach. O wszystkim rozmawiajmy pełnym głosem.

Przecież nie wystarczy nawoływać do krytyki oddolnej. Trzeba zachęcić do niej nie tylko słowami, ale i przykładem: ukarać kilku takich, którzy by chcieli żyć nie z robotnikiem, ale na robotniku. Czy aby takich zaczęliśmy nie za wcześnie t y l k o wychowywać, zamiast postawić ich nieraz przed sądem ludzi? U licha, nie tylko dywersanci robią u nas szkodliwą robotę.

Człowiek jest tu zdany tylko na łaskę i niełaskę zwierzchnika. Nie spodobasz się – przegrałeś. A nim dojdziesz swoich praw, dużo wody upłynie.

V

Nie chcemy, żeby ludzie na swojej drodze nie mogli spotkać sprawiedliwości. Nie te czasy, aby układać się z tymi, którzy krzywdzą.

W Nowej Hucie mieszkają prawdziwi ludzie. Uczciwi, pracowici i wytrwali. Ludzie, którzy uczą się żyć, którym trzeba pomóc. Tu też można by pisać opowieść o prawdziwym człowieku. Na pewno można by napisać wiele takich opowieści.

Bo Nowa Huta jest terenem nieustannych zmagań i zaciekłych starć. Na zewnątrz niewidoczne, są niemniej powszechne. Niezadowolenie człowieka znajduje ujście nie tylko w pokątnych gadkach, utajonych poszeptach. Wyzwalają je także burzliwe narady, drażliwe dyskusje w czasie zebrań, listy pisane do Warszawy. I patrzcie: mimo że krytykującym nieraz utrudnia się życie, nie wszyscy z nich kapitulują, ba, pojawia się wielu nowych, ze świeżym zapasem sił. Zresztą to nie jest żadne odkrycie: to prawidło walki.

Niejeden raz tenże Jakus przyjeżdżał do Warszawy, sygnalizował w ZG[1] o sytuacji w Hucie – bez echa. Są w tejże Warszawie dokumenty o złym stanie w Nowej Hucie – bez odpowiedzi.

To świadczy, że nie zawsze bacznie wsłuchujemy się w owe głosy, ale to świadczy przede wszystkim, że ludzie nie ustają w swoim dążeniu do lepszego, że kłócą się o nie, walczą, że domagają się zmian, poprawy.

Dobre i złe w Nowej Hucie ściera się co dzień, ludzka troska i odwaga zwycięża, zdobywa nowe tereny, umacnia swoje pozycje. Nowa Huta jest droga jej mieszkańcom i nie godzą się oni, by wiązać jej kule u nóg. Kto wie, ile właśnie dzięki tym szeregowym trudu usunięto przeszkód, oszczędzono kosztów, usprawniono pracy.

VI

Żaden z mieszkańców Nowej Huty nie jest legendarnym bohaterem, wszyscy są zwyczajni, często niepozorni. Ba, ileż razy chodzą po krzywych drogach. Ale nie są „hałastrą", „duszą wpółobłąkaną", „Polską nieczłowieczą", na pewno nie są „kaszą"!

Te określenia, wzięte z poematu Ważyka, *Poematu dla dorosłych*, są dla nich krzywdzące, nieprawdziwe, obrażające. Ich wysiłek powinien się spotkać z szacunkiem i mają żal do poety, że dostrzegł w nich „kaszę", a nie serca gorące i chęci warte uznania.

Powiedzieli w dyskusji:

– To nas oburza. Nie jesteśmy tacy jak w *Poemacie*. Jesteśmy po prostu ludźmi.

[1] Chodzi o Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej – Nowa Huta była wówczas poligonem działania Związku.

Poemat się do nich nie odwołał, pojęli go tak, że nie są nikomu potrzebni, nawet, że się ich nie widzi. Strofy wiersza nie zabrzmiały dla nich jak wezwanie do walki – pogłębiły rozgoryczenie.

Ale przyznali prawdziwość wielu obrazów poematu, tym bardziej że stanowczo zbyt rzadko czytają o sobie całą prawdę. Ale bo też i im najbardziej leżą na sercu niepokojące sprawy w Hucie. Oni są siłą, o której nie wolno zapominać, która jest dość wielka, aby wymieść brud i stęchliznę, jeśli się przyjdzie jej z pomocą. W tym boju oni zadecydują!

W Nowej Hucie muszą zobaczyć, że codziennie stajemy w obronie człowieka pracy, że zagląda się tam, dokąd robotnik nie ma nigdy wglądu, bo daleko nam jeszcze do tego, aby lokalny kacyk czuł się odpowiedzialny przed masami. Nie łudźmy się.

W Nowej Hucie ludzie czekają na sprawiedliwość. Nie mogą czekać długo. Tam trzeba pojechać, rozkopać to, co skrzętnie zakopano przed ludzkim wzrokiem, i odpowiedzieć na wiele, wiele gorzkich pytań.

Nowa Huta czeka. Czeka niecierpliwie. Tamci ludzie dużo powiedzą, jeśli zobaczą, że ktoś o nich staje, pomogą, pomogą z całego serca, ze wszystkich sił. To dostateczna gwarancja i opora w walce o lepsze życie Nowej Huty. W walce, która trwa, która musi przybrać na sile.

Będziemy do tej walki wracać, będziemy o niej pisać. Pisać, to znaczy także brać w niej udział – większy i pełniejszy niż dotychczas.

Ryszard Kapuściński, *To też jest prawda o Nowej Hucie*, „Sztandar Młodych" 1955, nr 234

1955

Włodzimierz Godek (1929–1960)

Płomienna głowa

Redakcją, która dwadzieścia lat po „Wiadomościach Literackich" ożywiła polski reportaż, stał się tygodnik „Po prostu". Teksty reporterskie pojawiły się tam jako wynik wielkiego zamętu. „Po prostu", studenckie czasopismo społeczno-literackie, wychodziło od 1947 do 1957 roku, ale najpopularniejsze i najbardziej poszukiwane stało się dopiero w drugiej połowie 1955 roku. Na czarnym rynku płacono nawet dziesięciokrotną cenę numeru. Nakład wzrósł z piętnastu tysięcy do stu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy.

O zespole mówiło się: dziennikarze, ale nie chodzą na pasku władzy. Panowało przekonanie, że w „Po prostu" da się wydrukować artykuł, który nie przeszedłby gdzie indziej. Panowała też teoria spiskowa – „Po prostu" może więcej, dlatego że komuś na tym zależy. Czyli że władza sama założyła sobie wentyl bezpieczeństwa i umie z niego korzystać.

Początkowo „Po prostu" było oficjalnym pismem politycznym organizacji młodzieżowych. Rzucano na przykład hasła „O pełną mobilizację uczelnianych organizacji ZMP do zwycięskiego przeprowadzenia sesji egzaminacyjnej" itp. Oblicze moralno-polityczne studentów, praca Związku Młodzieży Polskiej – to były najważniejsze tematy. W kulturze proponowanej przez pismo obowiązywał socrealizm. Ów „klimat intelektualny" najlepiej wyraża następujący list studenta:

> Droga Mamo!
> Gdy siadałem do czytania materiałów z IX Plenum Partii, nie mogłem nie myśleć o Twoich słowach, o Tobie, o naszych rozmowach, które prowadziliśmy, gdy przyjeżdżałem do domu. Opowiadałem Ci o mojej partii, o jej trosce o ludzi, o porywających perspektywach naszego narodu... Zaufałaś. Patrz. Partia mego i Twego zaufania nie zawiodła. Dowodem jest właśnie plenum, które odbyło się w dniu 20 i 30 października... Gdy dostaniesz list, przyjdzie może do Ciebie Jaworek. Będzie Ci szeptał wiadomości z BBC i z Głosu Ameryki. Pomyśl. Jakże głupie i ohydne są te „głosy" nikczemnych sprzedawczyków wobec pięknej i porywającej prawdy naszych dni.

Przemiana „Po prostu" nastąpiła w drugiej połowie roku 1955 na fali odwilży po śmierci Stalina. Partia jednak zawiodła zaufanie... Najpierw pojawiła się na łamach dyskusja o niedostatkach organizacji ZMP. Momentem przełomowym

było wydrukowanie autentycznego pamiętnika młodego lekarza Eliasza Mickiewicza, absolwenta lubelskiej Akademii Medycznej, oraz artykułu Janusza Czyńskiego i Zdzisława Grzelaka *Ziemia obiecana*, w którym rzucono ideę organizowania na prowincji Klubów Młodej Inteligencji. Zaczęły one powstawać jesienią 1955 roku, „Po prostu" patronowało im do końca swojego istnienia.

W tym samym numerze redakcja pisała we wstępniaku: „Gorąco pragniemy, aby nasze wszystkie materiały miały podwyższoną temperaturę". O temperaturze niech świadczą tematy: nieprawidłowości w adwokaturze (*Adwokatura z lewa i prawa*), łamanie praworządności (*Niech prawo zawsze prawo znaczy*), rehabilitacja Armii Krajowej (*Na spotkanie ludziom AK*). Od 1953 roku szefem pisma był Eligiusz Lasota, przez ostatnie dziesięć numerów – Ryszard Turski. Wicenaczelną była Anna Bratkowska. „To, co mieliśmy sobie do wyrzucenia, to wyrzuciliśmy w 1955 i 1956 roku. To nowe »Po prostu« było naszym *katharsis*" – mówiła.

Dwie reporterki, Barbara N. Łopieńska (patrz t. 2, s. 227) i Ewa Szymańska (patrz t. 2, s. 167) , napisały w latach 1980–1981 książkowy reportaż o tygodniku „Po prostu" zatytułowany *Stare numery*. Już w pierwszym zdaniu na tylnej okładce piszą o Włodzimierzu Godku: „Wysoki, przystojny, uwielbiany przez wszystkich. Płomienna głowa – jak szedł, to szedł na całość".

Był synem robotnika, pochodził z Nowego Sącza. Skończył prawo na Uniwersytecie Wrocławskim i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Działał w ZMP i był z tego dumny.

> Wszedł do grupy wybrańców – napisała Anna Bratkowska. – Był kryształowo uczciwy i szczery. Kiedy więc w latach pięćdziesiątych nawoływano do „szczerości", przypomniał sobie siódmą wodę po kisielu, fatalnego pociotka. Opowiedział o tym publicznie z całą otwartością: pociotek był kucharzem u amerykańskiego *attaché* wojskowego. A ten *attaché* miał proces. Skandal! Aktywista ZMP ma krewnego... Wniosek: wyrzucić z ZMP i Akademickiej Kompanii Wojskowej. Był jednak lubiany, okazano mu wielkoduszność. Musiał zniknąć z aktywu.

To jeszcze bardziej wzmocniło jego chęć zmiany Polski poprzez pisanie. Naczelna „Sztandaru Młodych" Irena Tarłowska (ta, która puściła tekst Kapuścińskiego o Nowej Hucie) mówiła do kolegów z „Po prostu": „To przez was wejdą czołgi", mając na myśli interwencję radziecką.

W drugiej połowie 1955 roku – piszą Łopieńska i Szymańska – „Po prostu" zaparło dech cenzurze. Ruszyło swoimi reportażami. Ruszyło ostro. Włodzimierz Godek napisał reportaż, w którym skrytykował wysokiego działacza

partyjnego, oceniony w KC jako antypartyjny. Córka Włodzimierza Godka, który w trzy lata po rozwiązaniu „Po prostu" popełnił samobójstwo, przeczytała niedawno wszystkie teksty ojca. „Wujku – powiedziała Turskiemu, bo tak go do dziś nazywa – od jesieni 1955 to jakby inny człowiek pisał".

> Jeśli w ogóle można mówić, że ilość przechodzi w jakość, to właśnie w wypadku Godka tak się stało – opowiadał Ryszard Turski. – Błysk. To, co do tej pory widział jako koszty rewolucji, zobaczył jako zwyczajną krzywdę człowieka. Zobaczył i opisał. Ale ciągle jeszcze uważali, że ta krzywda jest wynikiem bezduszności i biurokracji średniego aparatu władzy. Ciągle jeszcze myśleli: wystarczy, że „góra" się dowie – wszystko naprawi.

Łopieńska i Szymańska piszą, że kiedy nakład rósł, a dziennikarze pisma byli coraz bardziej znani, stali się podporą dla „inteligencji z małych miasteczek, trzymanej za mordę przez zdemoralizowanych kacyków".

Oto jeden z takich zaangażowanych reportaży Włodzimierza Godka. Reportera, który – jak napisała trzydzieści dwa lata po jego śmierci Anna Bratkowska – „nie umiał dopasowywać faktów do tezy. Działał jakby w poczuciu misji. W upajającej świadomości aktywnego działania w historii".

Oto wyobraźmy sobie, że czytając ten tekst, oglądamy pożar... tyle że sprzed pięćdziesięciu dziewięciu lat.

Sądecki tor przeszkód

Daj ognia. Pytasz, co u mnie słychać? Dam ci porównanie – takie prosto do artykułu. Jestem jak ta wypalona zapałka. Marzenia, chęci – wypaliły się, sczerniały. Każdy dzień jest taki sam. Mam tylko jedno pragnienie: jakoś przeżyć do wieczora i położyć się spać. W nocy śnić przyjemne obrazy, a rano zapomnieć o nich i wrócić do zwykłej szarzyzny. W niedzielę ubrać się w najlepszy garnitur i pospacerować po Jagiellońskiej. Bez celu, wysiłku i myśli. Od czasu do czasu pójść do kina, wypić ćwiartkę czystej i tak powtarzać każdy miesiąc od pierwszego do pierwszego.

Czemu tak na mnie patrzysz? Zastanawiasz się, gdzie podział się zetwuemowiec[1] w czerwonym krawacie, który chciał zmienić świat?

Tak, kiedyś byłem takim człowiekiem. I chyba takim jeszcze będę. Ale nie w Sączu. Powiem ci szczerze: chcę stąd odejść. Mam dość miasta i jego atmosfery. Tu można stać się żywym trupem, wyzutym z wszelkich ambitniejszych planów i myśli.

Kiedy otrzymałem nakaz pracy do Sącza, chciałem wnieść rewolucję do mego miasteczka. Mówić mieszkańcom, że świat nie kończy się na plotkach i kościele, że człowiekowi potrzebna jest w życiu książka, film, teatr, a przede wszystkim świadomość, po co się żyje.

Dzisiaj nie ja przekonałem sąsiadów, lecz oni mnie zwyciężają.

Dlaczego?

W naszym mieście zmieniło się wiele na lepsze: rozbudowały się warsztaty kolejowe, powstały nowe przetwórnie owocowe, przybyło wiele nowoczesnych budynków mieszkalnych, a plany przewidują dalszy przemysłowy rozwój miasta. Ludzie jednak w ogromnej większości żyją po dawnemu. Wierzą w opatrzność boską, w wieczny podział na bogatych i biednych, szczęście rozumieją jako walkę o własny byt, nawet kosztem innych. Życie toczy się tutaj z wolna jak ślimak – z dnia na dzień. Czasami mam wrażenie, że gdyby nie tablice na budynkach, wskazujące siedziby komitetów partyjnych i władz państwowych, można by pomyśleć, że mieszkańcy przespali PKWN[2] i lata, które nastąpiły po Manifeście Lipcowym. Po dawnemu króluje plotka i niechęć do obcych, po dawnemu wszelkie dyskusje ideologiczne są potępione jako niemoralne, a słowo „bezbożnik" to synonim łotra, wyzutego z ludzkich uczuć. Po dawnemu działaniami ludzi kierują pobudki osobiste: kariera, własna kieszeń i znajomości.

[1] Członek Związku Walki Młodych, komunistycznej organizacji młodzieżowej utworzonej w 1943 roku i podporządkowanej Polskiej Partii Robotniczej.

[2] PKWN – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, tymczasowy organ władzy utworzony w 1944 roku na ziemiach na zachód od linii Curzona zajętych przez armię sowiecką. Uznawał za nielegalne władze RP na uchodźstwie, zwalczał Polskie Państwo Podziemne, ogłosił Manifest Lipcowy, w którym zawarto program reform społeczno-politycznych i określono ramy sojuszu z ZSRR; zawarł porozumienie z rządem sowieckim ustanawiające jurysdykcję Armii Czerwonej na terenach polskich.

To znane prawdy. Ale bez nich nie zrozumiesz, jak czuje się młody absolwent w naszym mieście. Przede wszystkim wielu kierowników różnych instytucji niechętnie przyjmuje przybyszów. Tak było ze mną, tak było z inżynierem Jankiem Nowakiem – kierownikiem komórki postępu technicznego i racjonalizacji PKP, którego nie chciano zatrudnić, rzekomo z powodu braku etatów. Jeździł biedak do dyrekcji i po wielu kłopotach ulokował się w Sączu. Poczta pantoflowa doniosła, że jego miejsce przeznaczono dla kogoś „swojego". Tak było z młodym i zdolnym magistrem prawa, któremu dano podrzędne stanowisko w PPRN[3] z najniższą grupą uposażenia, aż sprawa oparła się o województwo. A jednemu absolwentowi (był zwolniony z nakazu) po prostu nie dano pracy. „Po co was przyjmę – powiedział mu w zaufaniu przy kieliszku kierownik instytucji – żebyście za rok objęli moje stanowisko? Ja nie mam dyplomu wyższej uczelni".

Swoją drogą te wszystkie trudności to papierek lakmusowy pokazujący wartość człowieka. Kto słaby – ten odpadnie. Silniejszego czekają dalsze próby. Pierwsza – to próba samotności. Przez dłuższy czas jesteś pozostawiony sam sobie. Nikt się tobą nie interesuje, nikt ci nie pomaga. Śledzą cię uważne spojrzenia współpracowników: kto ty jesteś, co wart twój dyplom? A ty często nie wiesz, jak się zachować. Wiedza książkowa to przecież nie to samo co wiedza życia. Tej ostatniej trzeba się uczyć równie pilnie jak pierwszej. Tylko że na studiach są profesorowie, a tu często nie ma nikogo. Potkniesz się – zobaczysz złośliwe uśmiechy; jesteś gorliwy i pilny – nałożą na ciebie tyle pracy zawodowej i społecznej, że ledwie dyszysz.

Rozmawiałem kilka razy z dentystami i lekarzami. Jest ich niewielu. A jednak swych starszych kolegów po fachu znają tylko z oficjalnych spotkań w czasie godzin pracy. Częstokroć muszą ich ukradkiem podpatrywać, by się czegoś nauczyć. To samo jest ze mną. W pracy starsi koledzy tworzą swój klan, a w mieście nie mam przyjaciół, z którymi mógłbym się pospierać, podyskutować, podzielić myślami i marzeniami. Zżera mnie samotność.

I tak powoli jałowieję. W czasie studiów zdobyliśmy trochę wiedzy, ale chcemy, rzecz jasna, uczyć się dalej. A tu przeżuwamy to, co wynieśliśmy z wyższej uczelni. Są tacy, którzy twierdzą, że niepotrzebnie tyle wpychali do głowy. Inni są jak sprężyna – odkręcają swe wiadomości i myślą z przerażeniem: co będzie, gdy się wszystko odkręci? Ja w ciągu roku przeczytałem tylko sześć książek poza znaną mi już lekturą. Wiem, że to straszliwie mało. Pocieszam się, że inni czytają jeszcze mniej. Rozmawiałem z pracownikami biblioteki. Zrobiona naprędce statystyka wykazała, że na dwudziestu znanych mi absolwentów tylko trzech należy do biblioteki, a dwóch (w tym i ja)

[3] PPRN – Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, patrz s.573, przyp.1.

wypożycza książki. Podobnie jest z kupowaniem nowości. Jest w tym na pewno dużo naszej winy. Możemy się jednak usprawiedliwić: nikt z naszych przełożonych, żadna organizacja zetempowska ani partyjna nie interesują się naszym rozwojem. A z uczelnią kontakt zerwaliśmy zupełnie. Inżynierowie wszelkich gałęzi mają co prawda NOT[4], który od czasu do czasu wygłosi jakiś popularny odczyt. Ale to przecież o wiele za mało. My nie tylko powinniśmy dalej się uczyć, lecz prowadzić pracę naukowo-badawczą. Robią to co prawda niektórzy inżynierowie, jak Nowak i Gołosiński, lecz są to prace przypadkowe i odosobnione. A możliwości nie brakuje. Znalazłyby się tematy dla lekarzy, inżynierów, leśników, filologów i historyków. Wskażę jeden przykład: mój profesor z liceum, polonista, profesor Golachowski, organizuje od dwu miesięcy Sądeckie Towarzystwo Historyczne. Ma bogaty zbiór dokumentów archiwalnych od XIII wieku. Są to źródła dla historyków, polonistów, etnografów itp. A kto korzysta z tych źródeł? Kilku nauczycieli starszej daty, studenci węgierscy, którzy badają stosunki polsko-węgierskie w średniowieczu, i miejscowi księża, którzy opracowują szczegółowe monografie Sądecczyzny. Kto będzie badał tradycje rewolucyjne naszej ziemi?

W ogóle w Nowym Sączu takie pojęcie jak życie intelektualne jest raczej nieznane. Nasi działacze zadowalają się nieczęstymi odczytami TWP[5] i pogadankami słynnego na całą Polskę Sądeckiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Pomyśl – trzydziestotysięczne miasto – kilkuset ludzi z wyższym wykształceniem, w tym około stu młodych absolwentów – czy to może wystarczyć? Opowiadano mi, że przed wojną w Sączu wychodziły dwa tygodniki kulturalne. Przy bibliotece Szujskiego istniało koło intelektualistów, zrzeszające nauczycieli szkół średnich i inteligentów. Było również koło literackie „Łom". Odbywały się tam co tydzień dyskusje, odczyty, pogadanki, prelekcje. Przyjeżdżali różni specjaliści i literaci z miast wojewódzkich. Nie analizuję treści tych imprez. Chodzi mi tylko o formę. Czy nie można by rozbudzić życia umysłowego w naszym mieście? Na pewno tak. Chętnych jest dużo. Trzeba tylko większego zrozumienia u naszych władz powiatowych i miejskich. Myślę o wskrzeszeniu i postawieniu na nogi Sądeckiego Towarzystwa Naukowego, które prowadziłoby prace naukowe (chodzi przede wszystkim o zagadnienia związane z miejscowym terenem), opiekowałoby się absolwentami i pomogło w powiązaniu ich z uczelniami i instytutami. Trzeba też otworzyć klub dyskusyjny składający się z młodych inteligentów. Klub miałby własny lokal. Mógłby organizować dyskusje światopoglądowe i polityczne, odczyty dla siebie i mieszkańców oraz utworzyć zespół redakcyjny tygodnika sądeckiego. Bo musisz wiedzieć, że nasze „Wiadomości

[4] NOT – Naczelna Organizacja Techniczna, zrzeszenie samorządnych stowarzyszeń pracowników naukowo-technicznych, inżynierów i techników założone w 1945 roku. Działało na rzecz rozwoju techniki, zajmowało się dokształcaniem członków, organizowało kongresy, konferencje, targi i wystawy.

[5] TWP – Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, stowarzyszenie rozwijające działalność oświatową i kulturalną wśród dorosłych, dzieci i młodzieży. Powstało w 1950 roku, prowadziło uniwersytety powszechne, kluby, organizowało odczyty i wystawy.

Sądeckie" pomimo starań absolwenta dziennikarki Janusza Koszyka są pismem nudnym, mało bojowym.

Porusz te sprawy gdzieś wyżej, może jakaś instancja zrozumie i podyskutuje z władzami powiatu, że prócz troski o wykonanie planów gospodarczych trzeba dać mieszkańcom, zwłaszcza nam, młodym, możliwość rozwoju naukowego i kulturalnego.

Czasami jeszcze marzę. I widzę sale pełne ludzi, którzy do tej pory zajmowali się li tylko plotkami i ogródkiem działkowym, spory i dyskusje, rozpalone czoła, kłótnie i pytania. To my, młodzi, będziemy budzili wątpliwości i zmuszali do rewizji starych poglądów i obyczajów. To my, młodzi, wniesiemy swoją część do rewolucji w miasteczku.

Lecz są to tylko marzenia... Człowiek budzi się i z obłoków spada na ziemię. A na ziemi, to znaczy w Sączu, możesz dwa razy w tygodniu zobaczyć stare filmy, raz na rok jakąś sztukę wystawioną przez amatorski teatr kolejarzy, wziąć udział w akademii. Jest co prawda Dom Kultury Kolejarza. Duży budynek z wielką ilością sal. Lecz jest on w zasadzie tylko dla kolejarzy, a poza tym większość dni w miesiącu nieczynny. Są dwa chóry i duży Zespół Pieśni i Tańca PSS[6] oraz mała orkiestra symfoniczna. Cóż z tego, kiedy występy są tak rzadkie, że szkoda o tych zespołach wspominać. W świetlicę jesteśmy ubodzy. Nawet kilkutysięczne zakłady produkcyjne PKP nie mają własnej świetlicy.

A przecież można by urozmaicić życie naszego miasta w konkretnych naszych warunkach, przy niewielkim nakładzie pracy. Dlaczego nie istnieje u nas teatr zawodowy? Posiadają go inne miasta, jak na przykład Tarnów. Mamy reżyserów, aktorów, a o widzów troszczyć się nie trzeba. Sącz ma przecież bogate tradycje kulturalne. Od dawna istniał tu teatr cieszący się dobrą opinią. Przed paroma laty istniały nawet dwa teatry amatorskie, ale wskutek intryg i małomiasteczkowych waśni Teatr Miejski rozpadł się.

Również kilka lat temu istniała „Wesoła fala skarbowców", satyryczna estrada pracowników wydziału finansowego PPRN. Była dobra muzyka, wesołe skecze i dialogi, ostra satyra. Pewnie, że nasi satyrycy popełniali błędy. Lecz czy dlatego trzeba było zlikwidować cały zespół? Ech, gdybyśmy mieli co miesiąc taki mocny program satyryczny. Ileż brudów można by wyprać, ile zlikwidować biurokracji, dwulicowości i tego wszystkiego zła, którego niemało jest w naszych instytucjach. A ludziom dałoby się zdrowy śmiech i odpoczynek.

Nasi działacze powiatowi mogą odpowiedzieć: nie mamy lokali. Nieprawda. Nie wierz im. Oto wspomniany Dom Kultury Kolejarza. Gdyby lepiej rozplanować w nim pracę, mogłyby się odbywać tam nie tylko konferencje i odprawy. Oto pomieszczenia byłego lokalu związków zawodowych przy

[6] PSS – Powszechna Spółdzielnia Spożywców.

ulicy Jagiellońskiej. Do niedawna była tam duża świetlica, biblioteka, czytelnia, szachy, ping-pong itp. Odbywały się odczyty, wystawy malarskie itp. Dzisiaj pozostała tylko świetlica, którą otrzymał w spadku TPPR[7]. Niestety, nic ciekawego w niej się nie dzieje. Inne pomieszczenia zajęły biura Nowosądeckich Zakładów Gastronomicznych. Przy ulicy św. Ducha jest największa w Sączu sala teatralna, w której można urządzić scenę obrotową. Salę tę otrzymała PSS. Zrobiono w niej przepierzenia, umieszczono jakieś kursy. Koło zamku Jagiellonów istnieje stara kaplica ariańska, nadająca się na salę koncertową. Tym razem PZGS[8] wykorzystał ją na... magazyny. Na marginesie muszę ci powiedzieć, że nasze Muzeum Ziemi Sądeckiej gnieździ się w dwu maleńkich pokoikach, a w przyznanych mu obszernych pomieszczeniach, w najstarszym sądeckim budynku, rozgościła się zaborcza PSS. Opowiadają, że od paru lat główną przeszkodą w zajęciu lokalu są... klucze, które jakiś biurokrata przemyślnie zamknął w biurku.

To jeszcze nic. Opowiem ci historię, która każdego chyba może wyprowadzić z równowagi. Będzie to przyczynek do studiów nad stosunkiem niektórych działaczy partyjnych do spraw kultury.

Otóż pracuje w wydziale finansowym towarzysz partyjny Jerzy Butscher. Znałem go już dawniej. W latach młodości chodził z szopką krakowską i urządzał przedstawienia. Te jego zamiłowania odrodziły się w latach późniejszych. Zorganizował teatrzyk kukiełkowy – jedyna w całym powiecie impreza artystyczna dla dzieci. Przy pomocy kolegów wystawili bajkę *O strasznym smoku i dzielnym szewczyku* oraz *O Kasi, co gąski zgubiła*. Napracowali się co niemiara. Dali ogółem sześćdziesiąt osiem przedstawień, które oglądało około ośmiu tysięcy widzów. Dzieciarnia i starsi byli zachwyceni: kierownictwo teatrzyku dostawało dużo listów z podziękowaniami. Niestety, nie od PPRN.

Już mi nie chodzi o to, że nikt z władz nie interesuje się pracą ambitnego zespołu, nikt nie powie wykonawcom ciepłych słów, nikt im nie pomaga. Na zebraniu partyjnym zarzucono towarzyszowi Butscherowi, że... nie pracuje społecznie i politycznie, dlatego że nie wyjeżdża na wieś i ciągle siedzi w swoich lalkach. A lalki „nie mają nic wspólnego z pracą polityczną". Poza tym kierownik teatrzyku lubi powiedzieć prawdę ludziom w oczy. Ośmielił się skrytykować przewodniczącą PPRN, że zbyt często używa samochodu służbowego, że referat sekretarza POP[9] przy PPRN był „bezpłciowy". I tak wybuchła burza... Chciano go wpierw wyrzucić z partii (!), a potem, wiedząc, że taki absurdalny wniosek nie przejdzie, próbowano udzielić mu nagany. Oczywiście i ten wniosek nie przeszedł. Nawiasem mówiąc, towarzysz Butscher jeździ w teren i przebywa długie dni na wsi.

[7] TPPR – Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

[8] PZGS – Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska".

[9] POP – Podstawowa Organizacja Partyjna, najmniejsza jednostka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, POP-y istniały w zakładach pracy, na uczelniach i w instytucjach kulturalnych. Działały w latach 1949–1989.

Tu już mi nie chodzi o towarzyszkę Wysocką, sekretarza POP czy PPRN – prowodyra nagonki na biedny teatrzyk lalek. W jej niepartyjnej postawie uwidocznił się stosunek wielu działaczy do pracy społeczno-politycznej. Widocznie za pracę społeczną i polityczną uważają oni wszelkie prace, które nie wynikają z zainteresowań człowieka. Bo jednym z zarzutów przeciw towarzyszowi Butscherowi było twierdzenie, że lalki to jego przyjemność...

Nie będę komentował tego wydarzenia. Mam tylko jedną prośbę. Jeżeli będziesz pisał o tych lalkach, to napisz jakoś oględnie, bo towarzysz Butscher boi się rozgłosu tej sprawy, boi się, żeby go nie „wykończono" różnymi sposobami.

À propos opacznego rozumienia pewnych prostych prawd. Otóż ta sama towarzyszka Wysocka zrobiła wielką awanturę pracownikowi „Wiadomości Sądeckich" za to, że chodzi... w krótkich spodniach. „To bikiniarstwo, kolego Dąbrowski". Podobno chciała ten „niezmiernie ważny problem" stawiać na egzekutywie Komitetu Powiatowego. Ech, któż by zresztą spamiętał te wszystkie kwiatki z sądeckiej łąki. Kiedy istniał jeszcze Teatr Miejski, wydarzyła się arcyzabawna historia. Miejski zespół z dużym nakładem wysiłku przygotował premierę *Diabła i karczmarki*. W dniu przedstawienia, kiedy rozprzedano wszystkie bilety, jakieś ważne instancje zabroniły występu. „Sztuka niemoralna, towarzyszu". Dlaczego? Jest w niej scena pocałunku diabła z karczmarką...

Pomyśl, jak te warunki wpływają na młodych absolwentów. Jest nas tutaj chyba setka. Spotkasz kolegów po studiach w Kolejowych Zakładach Naprawczych, parowozowni, ośrodku zdrowia, szpitalu, pogotowiu ratunkowym, aptekach, sądzie, szkołach, radach narodowych, przedsiębiorstwach i innych różnych instytucjach. Większość z nich to partyjni i zetempowcy. Są nawet przewodniczącymi kół i sekretarzami egzekutyw partyjnych. Wielu pracuje bardzo ofiarnie. Niektórzy, jak na przykład magister inżynier Gołosiński, przynoszą państwu milionowe oszczędności.

Z wieloma z nich rozmawiałem. Co robią poza swoją pracą? Bezmyślnie przemierzają Jagiellońską, nudzą się. Kiedyś spotkaliśmy się we trójkę. Poszliśmy nad Dunajec i opróżniliśmy ćwiartkę. Potem przez dwa tygodnie wspominałem ten piękny dzień: oczywiście wzruszony byłem samym faktem spotkania. Młodzi inżynierowie, którzy pracują w okolicy, zapominają o życiu kulturalnym, książkach i innych dobrodziejstwach cywilizowanego świata. Polują na wczasowiczki, a po roku czy dwóch latach żenią się, płodzą dzieci i oczekują starości. Obserwuję kilku znajomych, którzy już parę lat przebywają w mieście. Jeden z nich był kiedyś działaczem partyjnym, wojującym ateistą. Dzisiaj oficjalnie chodzi do kościoła, ciuła pieniądze i ubiera się jak paryski elegant. Kubek w kubek jak starsi mieszkańcy miasta. Drugi, absolwent UJ,

przez dwa lata próbował nie dać się małomiasteczkowej atmosferze, dzisiaj jego marzeniem życiowym jest ciepła posadka, pieniądze i domowe pantofle.

Od roku pracuje u nas stomatolog Jeżewski. Jest energiczny i przedsiębiorczy. Ten dobry fachowiec jest jedynym absolwentem chwalonym przez Zarząd Miejski ZMP. Pisuje do „Wiadomości Sądeckich", postuluje ożywienie teatru i szkoły muzycznej. Słowem, chłopak na schwał. Tymczasem ten pozytywny bohater marzy o założeniu własnego gabinetu dentystycznego. Kupuje sprzęt dentystyczny, stara się o lokal. To jest jego celem życiowym. A inżynier Nowak, o którym ci już wspominałem – bardzo dobry fachowiec, członek partii, człowiek, który nie może przejść obojętnie obok najdrobniejszej sprawy – ukrywa swój materialistyczny światopogląd. Nie chce go głosić, przekonywać innych ludzi. Drugi inżynier, członek egzekutywy POP, kierownik szkolenia partyjnego, z chwilą przyjścia do Sącza zaczął chodzić do kościoła, żeby się ludziom nie narazić.

Jerzy Górka – dawny sądecki działacz młodzieżowy, dzisiaj nauczyciel polskiego w Liceum Pedagogicznym – traci siły, przestaje „działać"... i chce wyjechać do szkoły filmowej.

No, a ja? Kiedy widzę to zło, które można naprawić, kiedy obserwuję zupełną obojętność komitetów partyjnych i organizacji zetempowskiej w stosunku do młodej inteligencji, kiedy widzę, że sam jeden nic nie potrafię zrobić, lecz całkowicie wsiąknę i stanę się jak ci, o których przed chwilą mówiłem, to chcę stąd uciekać... Tu wszyscy myślą się wyrwać. Jedni chcą studiować, inni przenieść się służbowo. Tylko żonaci lub w jakiś inny sposób związani z miastem pozostają.

Ludzie słabi tu giną. Koniec końców i ci silni stopniowo zaczynają ulegać. Kto za nich odpowie? Rzecz jasna – oni sami. Władze powiatu i organizacje partyjne oraz zetempowskie – również. Lecz nie mniejszą winę ponosi uczelnia. Gdy myślę o sobie i mnie podobnych absolwentach, to czuję dziwny żal do uczelni. Dlaczego nie przygotowała nas do życia, dlaczego dała nam wiedzę o przedmiocie, a nie o życiu? Dlaczego organizacja partyjna i zetempowska nie wykształciły naszych charakterów? Dlaczego teraz, kiedy opuściliśmy uczelnie, pies z kulawą nogą za nami się nie obejrzy?

Daj zapałkę. Wiele goryczy jest w moich słowach, a może nieco przesady, czarnych barw. Jednak jeżeli będziesz pisał reportaż, to nie lakieruj...

Muszę już iść. Biorę zastrzyki w przychodni. Wyobraź sobie, że z tej nudy i spokoju dostałem nerwicy serca.

Po prostu 1955–1956. Wybór artykułów,
red. J. Urban, Warszawa: Iskry, 1956, s. 69–78

1957

Jerzy Urban (ur. 1933)

Zajmować się szczęściem indywidualnym

> Byłem dziś w „Po prostu" u Urbana z propozycją napisania artykułu o jawności życia. Wysłuchał, ale powiedział, że to nie jego dział, tylko Ryszarda Turskiego. On nie ma wątpliwości, że cenzura zdjęłaby wszystko, co mu naopowiadałem, jak zdjęła z jutrzejszego numeru artykuł podpisany „zespół" (Dał mi do przeczytania. Mocna rzecz!)

– zanotował 30 marca 1956 roku Andrzej Krzysztof Wróblewski w swoim dzienniku.

Jerzy Urban, syn dziennikarza, członka PPS-u i Bundu, właściciela łódzkiego dziennika „Głos Poranny". Wydalony z Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, został dziennikarzem „Nowej Wsi". W 1955 roku przeszedł do „Po prostu" i w wieku dwudziestu dwóch lat został kierownikiem działu krajowego.

W swoim sławnym artykule *Wyznania nawróconego cynika* pisał:

> Byłem zetempowskim aktywistą. Robiłem obok rzeczy potrzebnych tysiące głupstw i święcie wierzyłem w ich mądrość. Z żarem i entuzjazmem nocami wypełniałem tasiemcowe bzdurne ankiety statystyczne dla wyższych władz. Przyczyniłem się też do wyrzucenia mojej starej i mądrej nauczycielki za „reakcyjność". Popełniłem moc bzdur, ale za to już tydzień przed 1 Maja żyłem w jakiejś gorączce...
>
> Czy rozumiecie? W imię wyższych celów racjonalnej natury skrupulatnie rugowano najnormalniejsze ludzkie odruchy emocjonalne. Dla dobra socjalizmu wytrącono mi z ręki tę najlepszą i najskuteczniejszą broń, którą dysponuje dziennikarz – wrażliwość i możliwość pisania o tych sprawach [ludzkiej krzywdy]. Kłamałem podwójnie – nie pisząc o sprawach istotnych i pisząc lukrowane reportażyki. Ale najgorsze, że ja i inni wierzyli w sens i rację tego kłamstwa.

Jego *Pamiętnik swata* nie był reportażem lukrowanym, ale też nie traktował o żadnej istotnej politycznie sprawie. Był pierwszym polskim reportażem wcieleniowym, a właściwie raczej inscenizowanym (prawdziwe pierwszeństwo należy chyba oddać Januszowi Rolickiemu [patrz s. 759]). Jerzy Urban jako Sylwester Kwiatkowski otworzył w Krakowie fikcyjne biuro matrymonialne. Chciał się dowiedzieć, jakich mężczyzn poszukują kobiety i dlaczego nie mogą ich znaleźć.

Po stalinizmie i socrealizmie nadszedł czas na zajmowanie się szczęściem indywidualnym, a nie tylko kolektywnym.

Anna Bojarska w swojej powieściowej biografii *Urban* pisze, że tłumaczenie *Pamiętnika swata* ukazało się w „Les Temps modernes" – piśmie wydawanym przez Jeana Paula Sartre'a. Pisze też, że Jerzy Urban nigdy potem nie pozwolił tego reportażu przedrukować w Polsce. „I słusznie – dodaje – był taki sobie". (Od redaktora: Pozwolił przedrukować w tej antologii).

Annie Bojarskiej nie podoba się, że kobiety, które powierzyły mu intymne wyznania, potraktował w tekście jako „motłoch":

> Oszust, i w ogóle – o to mu tylko chodziło, żeby śmiesznie wyszło w druku. Wyszło tak sobie. Bo – rozumiecie – tych trzydzieści osiem bab, z którymi gadał, to naprawdę był najgorszy motłoch! Coś, czego nienawidził! Pyta taką o zainteresowania, to mówi, że „książki". Pyta jakie, to mówi, że „w ogóle". Przypiera ją do muru, że nie ma książek „w ogóle", to mu taka idiotka wyznaje, że Orzeszkowa! Główny temat zainteresowań jego ówczesnej, świeżutko poznanej Wieśki Grocholi, która jakąś pracę o tej Orzeszkowej pisze („Tu czynię ukłon w stronę pewnej osoby, która to tylko jedna jedyna go zrozumie").

Pamiętnik swata obrósł legendą. Był wyłomem i w moralności socjalistycznej, i w chłopskiej, którą mimo awansu społecznego przenoszono z sobą do miast. Był wyłomem w polskim dziennikarstwie. Nawet Karol Modzelewski twierdził, że Jerzego Urbana po tym reportażu spotkały represje, choć potem swoje stwierdzenia sprostował:

> Zawierzając lekkomyślnie własnej pamięci, podałem nieprawdziwą informację dotyczącą Jerzego Urbana. Powiedziałem mianowicie, jakoby Jerzy Urban został ukarany w 1957 roku zakazem publikacji za to, że udając pośrednika matrymonialnego, nagrał i ogłosił wynurzenia kobiet, które chciały wydać się za mąż do Australii. W rzeczywistości reportaż Jerzego Urbana *Pamiętnik swata* wywołał kontrowersje w środowisku dziennikarskim, ale nie ściągnął na autora żadnych represji ze strony władz PRL.

Konsekwencje w postaci zakazu wykonywania zawodu dziennikarza spotkały go nieco później, w październiku 1957 roku, za krytyczny wobec ówczesnej polityki historycznej artykuł *Dziady narodowe* umieszczony w ostatnim, skonfiskowanym w całości numerze „Po prostu".

> Ostatni (440) numer pisma ukazał się w czerwcu 1957 roku. Pismo miało zostać wznowione po przerwie wakacyjnej. Numer zaproponowany

na wrzesień nie został zaakceptowany przez cenzurę. 5 października 1957 w „Trybunie Ludu" ogłoszono decyzję Sekretariatu KC PZPR o zamknięciu pisma. Młodzież Warszawy zareagowała demonstracjami – pisze w *Słowniku literatury polskiej xx wieku* Nina Kancewicz-Hoffman.

Zamknięcie tygodnika sprawiło, że od razu stał się legendą.

Śledząc historię – mówił Zdzisław Grzelak – widzimy, że zawsze wybiera ona sobie idealnego kochanka, a potem brutalnie się z nim rozstaje. Kochankiem historii była w 1956 roku redakcja „Po prostu".

A co do Jerzego Urbana, po raz drugi zakazem publikacji na jakiś czas ukarano go za ogłoszony w 1963 roku w „Polityce" artykuł *Jego Totalność dr Marcinkowski*, co nie przeszkodziło dziennikarzowi niemal dwadzieścia lat później zacząć służyć propagandzie PRL-u. Od 1981 aż do 1989 roku pełnił bowiem funkcję rzecznika prasowego rządu.

Pamiętnik swata

Dozwolone od lat 18 – UOZŻ[1]

Człowiek ma dwadzieścia lat z hakiem i mimo poważnych wysiłków w tej mierze jeszcze się nie ożenił. Człowiek jest gentlemanem, dziennikarzem i autorem niniejszych słów. Człowiek był służbowo w Krakowie i wyczytał w gazecie anons następującej treści:

> Przedstawiciel Agencji Matrymonialnej przyjechał do Krakowa, przywożąc oferty m.in. od dyplomatów, literatów, artystów z kraju i zagranicy. Bezpłatne rozmowy odbywać można w Hotelu Francuskim w dniach...

Człowiek nie wahał się ani chwili, pomyślał: oto jest życiowa szansa – zdobędziesz prawowitą małżonkę lub temat do reportażu, albo też jedno i drugie zarazem. I człowiek poszedł. Bo człowiek jest człowiekiem.

W Hotelu Francuskim na pierwszym piętrze, na korytarzu stało kilka panienek w wieku od lat siedemnastu do siedemdziesięciu. Chichotały – te młodsze, a te starsze przestępowały z nogi na nogę. Były wyelegantowane, jakby szły na Boże... Ciało.

Coraz zaglądał tu dyskretnie hotelowy posługacz, bacząc, by klientki nie wykazywały prywatnej inicjatywy. Szczególnie że jedne z drzwi, pod którymi stały, wiodły do pokoi bawiącego tu aktualnie ambasadora USA – a to, jak wiadomo, partia – marzenie, warta niejednego z a c h o d u.

Odczekawszy chwilę, zawiedziony zostałem przed oblicze znakomitego swata, młodziana przystrojonego na ciemno, łysawego i skądziś mi znanego.

Twarz jego, ba, cała sylwetka wydała mi się znajoma. Znałem też to ubranko, te buty i wszystkie rzeczy, które jego są. Pomyślałem sobie: skąd ja cię znam, bratku... Z Warszawy? Krakowa? Sopotu? Zakopanego? Nie, z lustra! – przypomniałem sobie na koniec.

Bowiem byłem to ja sam i we własnej osobie. Tak więc stałem przed sobą samym. Patrzyłem chwilę ja, Jerzy Urban – dziennikarz – na siebie, Sylwestra Kwiatkowskiego – swata i nareszcie doskonale poznawaliśmy się nawzajem. A potem przypomniałem sobie, jak doszło do tego spotkania – czyli całą resztę opisywanej historii.

[1] Urząd Ochrony Złudzeń Życiowych [przyp. aut.].

Kraków – gród stary i szacowny niewiele zmienił się od Boyowskich czasów. Przeszedł tylko powojenną wysypkę nowohuckiego ruchu i z powrotem stał się sobą. Kraków składa się z Wawelu, księży, Plantów, kościołów, studentów obojga płci, aktywistów partyjnych, urzędniczek, wielu innych ludzi, Sukiennic i krakauerów.

Krakauer – to nie zawód, lecz charakter spotykany nie tylko na terenie Krakowa.

W przygotowywaniu Wielkiego Przedsięwzięcia spotykałem i ludzi, i krakauerów. Ludzie są nieciekawi przez swą powszechność i powszedniość. Przedstawię więc krakauerów.

Gdy redaktor miejscowego dziennika zgodził się zamieścić przytoczone ogłoszenie, do boju wystąpiło biuro ogłoszeń RSW „Prasa”[2].

Udałem się tam, a na powitanie powstał z fotela Krakauer Typowy. Za nim – wsparty o ścianę – widniał Krakauer Absolutny. Ten ostatni jak i ja był tu gościem, choć sprawował urząd o niebagatelnym w Polsce, często decydującym znaczeniu, urząd „kumpla kierownika”.

Wyjaśniłem, że oto zamierzam, dla dokonania dziennikarskiej wiwisekcji ludzkich spraw i pragnień, założyć biuro matrymonialne.

Zrobić mały zwiad w codzienne ludzkie sprawy, zorientować się w charakterze życiowych ideałów i pragnień ludzkich, i to wreszcie z intymnej, nie oficjalno-dziennikarskiej pozycji. Jednym słowem, złapać kawałek niekłamanego codziennego życia. Wysłuchawszy powyższego, kierownik, to jest Krakauer Typowy, rzekł:

– Nie rozumiem, pan chce oszukać ludzi...

Przytaknąłem szczerze. W kierowniku zaczęła rozgrywać się walka wewnętrzna pomiędzy dwoma strachami.

Strachem dużym – przed redaktorem dziennika, który polecił zamieścić anons, i zwariowanymi warszawskimi dziennikarzami z jednej strony, a strachem mniejszym – przed własną urzędniczą zwierzchnością i opinią publiczną innych krakauerów, którzy posądzą go o współudział w oszustwie, wspomagany ponadto krakauerskimi kanonami moralnymi, które przegryzły jego duszę – że Jezus, Maria, ludzi oszukać – w głowie się nie mieści!

W głowie nie mieściło się też, po co to czynię, i mimo solidnych wysiłków nie zmieściłem tego we wspomnianym mózgu.

Owa walka wewnętrzna chwilę się rozgrywała, racje ścierały się, ścierały, aż starły i jak to było do przewidzenia, strach większy zwyciężył.

Kierownik wymruczał sentencję wyroku:

– Skoro redaktor zlecił, to ogłoszenie przyjmuję.

[2] RSW „Prasa” – Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza Prasa, przedsiębiorstwo utworzone uchwałą KC PPR w 1947 roku działało do roku 1973. Wydawało ponad połowę wszystkich polskich czasopism, w tym około 90 procent dzienników.

Wtedy to spod ściany wypełzł Krakauer Absolutny, w dalszym ciągu zwany kumplem:

– Ja, proszę państwa, jestem osobą prywatną, ale odradzam... bo prestiż redakcji, bo podważenie zaufania do Instytucji Ogłoszeń...

Nie pomogły moje tłumaczenia, iż oszustwo czynione *pro publico bono* ma długą i piękną historyczną kartę – stanowi podwalinę istnienia społeczeństw, kamień węgielny polityki, moralności i rozlicznych idei. Krakauer Absolutny zaciął się, progu swoich horyzontów myślowych nie przeskoczył i jako „życzliwy znajomy", który „dobrze radzi", napędził naszemu kierownikowi dodatkowego strachu. Tak więc ciężar strachów przewalił się na drugą szalę i nowy, zrewidowany już wyrok wypadł tak jak na urzędnika i krakauera przystało: odwołujemy się do zwierzchności.

Pognałem do zwierzchności w osobie samego Dyrektora Delegatury RSW „Prasa" w królewskim mieście Krakowie. Był to nie krakauer, lecz człowiek, a do tego więcej – partyjny, tedy rzekł:

– Puszczaj, towarzyszu, ogłoszenie i niech cię Bóg prowadzi.

Bóg zaprowadził mnie z powrotem i to galopem do „kierownika", który już bez oporów przyjął ogłoszenie do druku. Odsapnąłem. Ale nie sap hop, póki nie przeskoczysz.

Rankiem wczesnym, diablo wczesnym rankiem obudził mnie telefon.

Uznałem, że nie jest to pora do konwersacji. Dzwonił sobie dalej.

W ślad za telefonem załomotano do drzwi. Pojawił się w nich posłaniec z urzędowym pismem w łapie. Pismo wszystkimi pieczęciami, liczbami dziennika i podpisami przyzywało mnie do stawienia się przed oblicze kierownika biura ogłoszeń w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Zwłoki nie chciałem ścierpieć. Pobiegłem chyżo. Krakauer był triumfujący:

– Dyrektor wyjechał, a wicedyrektor decyzję jego uchylił. Nie przyjmujemy!

Okazało się, że gdyśmy błogo spali, krakauerska machina działała na całego. Przyzwano adwokata, który negatywną decyzję obwarował wszelkimi prawnymi przepisami mówiącymi o tym, jak to autorytetu Poważnej Państwowej Instytucji (czytaj biura ogłoszeń) nie można narażać oszukańczymi machlojkami. Porozumieli się też w tej sprawie „z Warszawą".

Zrozumiałem. Zrozumiałem, że są dwa wyjścia: albo natychmiast wnieść sprawę na Najwyższe Forum, albo działać bardziej kameralnie.

Nasz anons ukazał się natychmiast poza kolumną ogłoszeń, znajdującą się w gestii kierownika.

Wzbogacony życiowo o poznawcze doświadczenia związane z właściwościami krakauerskiej duszy, byłem gotów stawić czoła interesantom.

Tak tedy swat Sylwester Kwiatkowski stał się osobą materialną, fizycznie namacalną, a mimo to dziennikarz Jerzy Urban nie przestał istnieć: nastąpiło rozdwojenie jaźni.

Zanim jednak Urban spotkał Kwiatkowskiego i oba kawałki jaźni poznały się i złożyły sobie ukłon, dziennikarz rozdwojoną swą jaźń obnosił po ulicach Krakowa.

Kto szwenda się ulicami miasta Krakowa, kto zacz ten tłum?

Z tłumu wyłoniła się towarzyszka T.J. z redakcji „Nowych Dróg".

Towarzyszka była „po linii" konserwy partyjnej, ale ma świetny temat dla „Życia Warszawy": „»Życie Warszawy« o życiu Krakowa". Kaapitalne! Konfidencjonalnie (nie bez kozery) wyjaśniła, że w związku z ogłoszeniem idzie, udając klientkę, do agenta matrymonialnego Kwiatkowskiego i zrobi „taaki" materiał. Ucieszyłem się bardzo, że będziemy z siebie nawzajem robić taakie materiały. I zadrżałem. Bo a nuż jako Sylwester Kwiatkowski zastanę w swej poczekalni śliczny tłumek klientek: panie i towarzyszki A.B. z „Nowej Kultury", A.Z. z „Expressu Wieczornego", K.G. z „Trybuny Ludu" i jeszcze cały alfabet z radia, tygodników, dzienników, miesięczników itp., itd. Wystarczy tego, żeby gmach się zawalił.

Koszmar był to nieomal senny. Z tych najgorszych snów.

A przecie marzyłem sobie, że na robaka „dyplomaci, literaci" złapią się tłumnie kociaki ślicznotki, kociaki cuda.

Na szczęście i nieszczęście nie zjawiły się ani jedne, ani drugie.

Złamiemy chronologię następowania klienteli i nim przedstawimy rozliczne warianty Urzędniczki, zaprezentujemy nieurzędnicze rodzynki w urzędniczym cieście z zakalcem. Zaczynamy.

– Szanowne panie pozwolą, Kwiatkowski jestem.

– Uhm, ...ska.

– Uhm, ...owa.

Kilka reklamowych słów, co to ja niby tych szczęśliwych małżeństw mam na sumieniu. I do rzeczy.

– Może szanowne panie łaskawie kilka słów o sobie...

Szanowne panie wiszą między trzydziestką a czterdziestką. Są skromne i nienagannie ubrane, przeciętnie „kulturalne i inteligentne". Ta tęższa ma honor być malarką, ta chudsza aktorką. Obie rozwiedzione, a dzieciate.

– Na kogo więc szanowne panie by reflektowały?

I zgaduję szybko w myśli: Gérard Philipe, Jarosław Iwaszkiewicz czy zgoła Churchill...

– Wszystko jedno. Puszczę gotoweśmy karczować!

Nieco zdeprymowany ni to chichoczę, ni to baranieję. Skąd ja im tu puszczę wytrzasnę? Łatwiej już u nas o jakiegoś „wszystko jedno kto". Tajemnicze zapędy zostają natychmiast rozszyfrowane:

– ...aby w Australii.

Ba, australijski „wszystko jedno kto" to trudniejsza partia od polskiego premiera.

– A czemuż to łaskawe panie akurat do Australii? Może Francja, Włochy, USA, te rzeczy? – proponuję uprzejmie.

Nic z tego. Australijskie postanowienie ma charakter niezłomny. W krakowskiej prasie ukazały się bowiem reportaże o tej krainie mlekiem i miodem płynącej. „Wszystkiemu winna prasa i rasa, i te, co mają maturę" – przypominają mi się głęboko słuszne słowa narodowej pieśni. Ślicznie. Więc „Gazeta Krakowska" nie tylko że zamieściła ogłoszenie, ale jeszcze nagania klientelę.

Interesantki zaś nacierają z całą desperacją.

– Panie, mamy dzieci, nie ma z czego żyć, tu dla nich żadnych perspektyw... Cały Kraków zachorował na *Australiasis acuta suppurativa*[3]... Za wszelką cenę... jedyna szansa... każda droga dobra... aby tam...

Zapewniam, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, zaś w cichości żałuję, że moc moja jest taka nikła. I śmiać się trudno, i wydziwiać.

Wkrótce okazało się, iż zajęcie agenta matrymonialnego bardziej obfituje w momenty smutne niż komiczne. Przynajmniej na tej szerokości geograficznej. Miast kociaków do drzwi zaczęły pukać kawałki życia takiego, jakie ono jest. Ponieważ czytelnicy mają go jednak dosyć we własnym życiu, najpierw opowiem o nieco innych spotkaniach dla zabawy i ku przestrodze.

– Panie, żeby był tylko przystojny i mądry!

– Ba, mądry, to takie względne pojęcie i trudny warunek, proszę pani...

– No, mądrzejszy ode mnie.

– Aha – odetchnąłem z ulgą.

W fotelu rozpiera się kandydatka pod pięćdziesiątkę. Gdyby postać tę wprowadzić na scenę – uznano by, że rola jest przeszarżowana. Gdyby taką postać wsadzić do literatury – uznano by to za sztuczne i nieprawdopodobne. A ona jednak stała przede mną i kokietowała każdym z licznych wdzięków.

[3] *Australiasis acuta suppurativa* (łac.) – „ostra australioza mnoga".

Wielkie wymalowane usta wokół żółtych zębów nasuwały przypuszczenie, że w ogóle żadne prawdziwe wargi pod tym się nie mieszczą. Wielokolorowe cienie na twarzyczce od czerwieni – poprzez fiolet – do czerni układały się w iście futurystyczną mozaikę.

Ubrana była w fioletowosraczkowaty paltot, z którym doskonale harmonizował wytarty lis rudej maści.

Pani ta – czy raczej panienka – to się krygowała, to omdlewała, to wdzięczyła, to plotła, zdrabniając. Z całej zaś opowieści wynikało, iż jest artystką – to znaczy gra (w sensie aktorskim), śpiewa i tańczy. Lecz marnieje jej talent w polskim zaścianku, a doskwiera samotność. A więc pragnęłaby... koniecznie Paryż... dopóki młoda. Za kogoś z branży artystycznej oczywiście. Gdyby zaś los się nie uśmiechnął i skazał na wegetację na ziemi ojców (dosłownie), rada by poznać pana kulturalnego, na stanowisku, solidnego, bez nałogów... Gdyby zaś nie na stanowisku – to urzędnika chociażby.

Żądania minimalistycznieją. Końcowy akord – to przypomnienie o Paryżu – jednakże.

O, umiałaby się odwdzięczyć – tu uśmiech szeroki, wieloznaczny, a mnie ciarki przebiegają po krzyżu.

Miło jej było poznać. I mnie miło było poznać. Kłaniamy się sobie bez końca. Szanowanie.

Nie minęło wiele godzin, a mógłbym zmontować nielichy transporcik emigracyjny.

Przezacna matrona nie w swojej sprawie. Ot, córka ma koleżankę, z prowincji. Dziewczyna pobożna, gospodarna i ładna oczywiście. Żadnych tam felerów. Czy znajdzie się coś dla niej?

– Oczywiście.

Trochę mi dziwno, że takie bezfelerne dziewczę nie stawia ewentualnemu kandydatowi żadnych wymagań. Po chwili wychodzi szydło z worka.

Starsza pani zapytuje, ot tak, przy okazji, w zasadzie przypadkiem, czyby ona nie mogła liczyć na znajomość ze starszym panem, wysoce kulturalnym.

Ano pogadamy.

Miłej pani stuknął, cóż tu ukrywać, szósty krzyżyk. Pochowała trzech mężów. A czwarty, czyli pierwszy, ech... stara, bardzo stara historia.

Pierwszy nieboszczyk (a drugi mąż) był ziemianinem. Wysokiej kultury. Zresztą ona do dziś lubi rolnictwo. Że pił, to prawda. Ona nie ukrywa, ale za to...

Słucham różnych historyjek o sukcesach gospodarczych, towarzyskich i rozmaitych małżonka – nieboszczyka numer jeden, i myślę sobie, że cierpię rezultaty tego, iż kobiecina częściej spotykała się ze spowiednikiem niż agentem matrymonialnym.

By nie pastwić się nad czytelnikiem, poinformuję już krótko, iż *secundo voto* należało do urzędnika państwowego wysokiej szarży – wicestarosty. Wysoce kulturalnego człowieka. Trzecie zaś do konsula w Italii, oczywiście również człeka o wysokiej kulturze, co z racji profesji jest zrozumiałe samo przez się. Poza pamięcią o nieboszczykach pani posiada jeszcze bieliznę z wyprawy (pierwszej? drugiej? trzeciej? czwartej?), dobre nazwisko, którego, hm, nie zdradzi, mieszkanie, meble i całe gospodarstwo. Ale jest samotna. Dzieci w innych miastach. Przyjaciół nie ma. Nic w życiu do roboty.

– Nie, no rozumiem, oczywiście.

Czy chciałaby wyjechać za granicę? Niechętnie. Ale ostatecznie... Za jakiegoś dyplomatę, katolika, wysoce kulturalnego... ale...

I gdzież ja jej, biedaczce, znajdę dziś kulturalnego dyplomatę, a do tego katolika?

Babcia waha się z tą zagranicą, waha, a w końcu szepcze:

– Panie, ja znam życie, żeby tylko do jakiego lupanaru nie trafić!

Weszła energiczna, kanciasta w ruchach, w narciarskim skafandrze. Zaprowadziłem do hotelowego pokoju mieszkalnego, którego drzwi łączyły się z gabinecikiem, w którym przyjmowałem. W pokoju tym w nocy miałem przyjemność sypiać, w dzień zaś służył za poczekalnię.

Spojrzała na łóżko (stało tu dla celów użytkowych, a nie propagandowych), zaczerwieniła się i wyskoczyła za drzwi.

Nieszczęście! Stracę klientkę – przeraziłem się, zatrzymałem ją jednak i usadowiłem w korytarzyku, na krześle.

Nie pożałowałem tej dbałości o interesa. Po chwili weszła na rozmowę, pytając z punktu:

– Czy pan nie żartuje?

– Broń Boże. W tak poważnej materii?! – odparłem oburzony do głębi.

Uspokoiła się i nacisnęła spust wmontowanego w kości twarzowe karabinu maszynowego. Siekła:

Lat dwadzieścia pięć. Absolwentka filozofii i psychologii. (A to radość!) Rzecz jest krótka.

Jednym słowem, mam wyszukać wysokiego Francuza, oczywiście paryżanina, który by skończył takie jak i ona fakultety, ale zajmował się socjologią.

Wtedy ona zgodzi się wyjść za mąż, ale pod warunkiem że on zmontuje ekipę i wyjedzie do Afryki przeprowadzać badania socjologiczne wśród Murzynów.

Zadanie nieliche. Zapytuję nieśmiało, czy badań na Murzynach nie może przeprowadzać bez zamążpójścia. To znaczy wyjechać, wysłana przez naszą placówkę naukową.

– Nie! – trzaska panna. – Gdyby nawet zorganizowali ekipę, wyślą jakichś idiotów, a nie mnie! Zresztą jak się jest wśród samych Murzynów, trzeba mieć białego męża. Inaczej... – Rozkłada ramiona.

Rozumiem. Do widzenia.

Pukanie. Wsadza łeb posługacz hotelowy. Podchodzę do niego.

– Panie – szepcze. – Czy pan może też wróży?

Wypycham go za drzwi. Dostrzegam, że w ręce miętosi stuzłotówkę. No tak, i ja dałem mu wczoraj napiwek. (Zrobiło mi się jakoś żal. Nie wiem – pięciozłotówki, którą mu dałem, czy stuzłotówki, której nie wziąłem).

Następnego dnia – zanim jeszcze napływać zaczęły klientki, swat z nimi rozmawiać, a dziennikarz notować spostrzeżenia i przymierzać swoją osobę do żądanego ideału męża (czego wyniki udostępnię zainteresowanym czytelnikom w dalszym ciągu opowieści) – zadzwonił telefon.

Niewieści głosik zapytał niecierpliwie, czy czasem, przez te kilkanaście godzin, nie wyszperałem dla niej małżonka. Z żalem odpowiedziałem, że nie. W grzecznych słowach dała wyraz swemu rozczarowaniu, które nie mąci nadziei.

Pomyślałem, że widać miała niespokojną noc.

Pamiętałem ją z wizyty dnia poprzedniego. Był to zmanierowany osiemnastolatek, po maturze, pracujący – jakie schematyczne jest życie! – w charakterze sekretarki dyrektora. Kurzomóżdżkowa szczebiotka wyłożyła swe żądania: bardzo przystojny, wysoki, zainteresowania jazzowe, może być student, nie musi być zaraz małżeństwo. Tylko tak... wyjechać do Zakopanego czy coś. Albo może ktoś do wielkiej miłości?

Obiecałem zajrzeć do kartoteki (bo każda szanująca się agencja ma kartoteki) „wielkiej miłości". A nuż coś się znajdzie.

Otóż tej panience również zadałem pytanie, czy chciałaby wyjechać za granicę. Oczywiście, że chciałaby! Wtedy podstępnie zapytałem, czy zgodziłaby się... do Izraela.

Zamilkła. Widziałem na jej gębie wysiłek myślowy. Byłem pewny, że toczy

walkę wewnętrzną. Że ścierają się tam racje pojęciowe domu z chęcią wyjazdu w nieznane. W końcu wypaliła:

– To jest... gdzieś koło Palestyny?

Przytaknąłem.

– Świetnie – odparła uradowana. – Byle nie za Żyda.

Chociaż na dane statystyczne, wnioski i lirykę przyjdzie czas później, warto już rzec, że osiemdziesiąt procent drogich klientek chce wyjechać z Polski. Około dwudziestu pięciu procent miłych pań przyszło tylko po to, iż chcą wyjechać, traktując małżeństwo jako środek wiodący do tego celu. Tylko zaś dwadzieścia procent – przeważnie starszych kobiet, zdecydowanie „odmówiło" wyjazdu, motywując to bądź strachem przed nieznanym, bądź jakimś twierdzeniem zawierającym sens myślowy: tu jest wszystko, co stanowi otokę mego życia, i nie ma sensu jej zmieniać. Można to oczywiście wyrazić bardziej patetycznie.

Z tych osiemdziesięciu procent mniej więcej połowa pragnie żyć za granicą, uznając, że w ten sposób radykalnie poprawi sobie byt. Połowa zaś motywuje swe zamiary chęcią poznania innych stron świata, pragnieniem odbycia podróży itp. Moje pouczenie, że wyjazd nie oznacza „podróżowania", lecz w zasadzie zmianę miejsca zamieszkania, jedną tylko podróż – traktują jako naiwność pana swata, który nie wie, że „tam" świat stoi otworem. Podróże to zaś strasznie ważna, często decydująca część życia. Pragnienie najwyższej miary.

Z owych osiemdziesięciu procent jakieś siedemdziesiąt procent „odmawia wyjazdu" do Izraela. Na wszelki wypadek boją się to szczerze uzasadniać bądź motywują względami religijnymi.

Wiele pań żądało „zagranicznego katolika", nawet z tych krajów, gdzie taki okaz jest rzadkością. Po moim wyjaśnieniu w tej mierze połowa rezygnowała z wyznaniowego pryncypu, połowa zaś – „zmieniała kraj".

Najbardziej atrakcyjne są: Australia, Francja i USA. Kandydaci stamtąd również mają być „kulturalni, inteligentni, z wyższym wykształceniem". Po cierpliwych wyjaśnieniach, iż społeczna hierarchia inaczej tam wygląda, pojęcia „inteligencji" jako warstwy społecznej raczej nie ma itp., połowa godziła się „nawet na robotnika ze średnim wykształceniem", połowa zaś trwała przy swoim (lekarz, inżynier, literat, adwokat). O krajach, do których chcą jechać, żadnego pojęcia nie mają. W cenie wyższej od cudzoziemców stoją polscy dyplomaci.

W rozmowach tych dręczyłem klientki z całym sadyzmem. Niechętnym wyjazdowi do Izraela proponowałem żydowskiego magnata, co powodowało

aż wypieki na twarzy i zwykle – rezerwowanie sobie ostatecznej odpowiedzi na później.

Paniom pryncypialnym w kwestiach religii obiecywałem amerykańskiego reżysera filmowego, który jest zagorzałym i wojującym ateistą. Bardzo męczyły się biedaczki, ale rezygnacja z twardych zasad w tej mierze przychodziła łatwiej.

Miło jest ludziom dostarczać konfliktów i produkować rozdarcia duszy. Choć to niewątpliwe świństwo.

Pierwszy dzień przyjęć zakończył się. Jutro zaczynamy na nowo. Ale jutro... Zamykamy na klucz błaznowatą jaźń swata. On niech przyjmuje klientów. Zaś opowiadać zacznie dziennikarz.

Schodzę na dół, na kolację. Widzę ze dwie znajome twarze eksklientek przy stolikach.

Panie siedzą z panami i sobie flircą. Kamień spada mi z serca: to nie, że zawiodę ich nadzieje. Jakoś, chwalić Pana Boga, same sobie radzą. [...]

Zadzwonił telefon:

– Pan Kwiatkowski? Można przyjść, jak mam trzydzieści dwa lata?

– Czas najwyższy – odparł swat.

– A czy przynieść zdjęcie?

– Po cóż, droga pani, jeśli będę miał szczęście obejrzeć oryginał – wyjaśnił Kwiatkowski z galanterią. Tedy przyszła.

Usiadła skromniutko na brzeżku krzesła, szara i niepozorna, ani brzydka, ani ładna, ani mądra, ani głupia. Podała też personalia od razu i niepytana. Lat trzydzieści dwa, urzędniczka, matura, pokój u mamy, rozwódka (tu okropne zmieszanie), religijna, bez poglądów politycznych. Bała się iść, ale mama powiedziała „idź", więc jest.

Tryb życia? Biuro – dom. Zainteresowania? Książki. Jakie? Takie, w ogóle. A jeśli przyjmiemy, że nie ma książek takich w ogóle? To... (cisza pół minuty, minuta)... Orzeszkowa. (Tu czynię ukłon w stronę pewnej osoby, która to tylko jedna jedyna go zrozumie).

– A więc kogóż pragnęłaby pani poznać? – zapytał swat, a ja chwyciłem za pióro.

– O, proszę pana: żeby miał dobry charakter, był inteligentny, ale spokojny i nie artysta – pewnie wyrecytowała klientka.

– Czemu nie artysta? – podskoczył dziennikarz, a swat zgromił go wzrokiem.

– Bo mój mąż to był artysta, to znaczy nie artysta, ale urzędnik, tylko zainteresowania miał takie artystyczne...

Streszczając historię, rzec wypada, iż mąż chodził do teatru i do kawiarni, gdzie publiczność była taka mniej więcej artystyczna. Do domu po pracy zaglądał rzadziej. Nie żeby pił. Broń Boże, ona nie powie. Tylko żył n i e w d o m u.

Żył, dwuznaczne słowo. Nie chodzi o to, że z kimś, tylko że „życie spędzał" nie w domu. I to był początek końca – bardzo bliski końca rzeczywistego.

– Więc żeby nie był artysta – kończy nasza niewiasta – tylko taki wprost przeciwnie.

Swat solennie to obiecuje, ale dziennikarz ma oczywiście edukacyjne zapędy:

– Ależ skąd pani wie, że i n n y „a r t y s t a" nie będzie inny?

– Och, proszę pana! W naszym domu mieszka małżeństwo: malarka i pianista, to każde chodzi oddzielnie i ciągle się kłócą.

Klientka tezę udokumentowała ostatecznie i apriorycznie. Dziennikarz w karierze swej zdołał przyswoić sobie respekt dla stwierdzeń ostatecznych. Więc zamilkł.

Swat zaś wprowadzał już następną interesantkę.

Nie. Wśród licznej – czterdziestoosobowej przesłuchanej klienteli nie było ani jednego mężczyzny.

Weszła nowa przedstawicielka rodu urzędniczek. Tu w całej sprawie istniał jeden wielki problem: mieszkanie. Mieszkanie to nie tylko szansa zamążpójścia. Jest życie i Życie, a Życie i mieszkanie to w zasadzie jedno i to samo.

Po biurze idzie do domu. Jak jest Dom, to wszystko w porządku. Ale teraz ma tylko sublokatorską klitkę, w której nie sposób zmieścić gospodarstwa i żyć nie sposób.

Agencja matrymonialna – to ta jedyna wyśniona szansa. Bo tak: z biurowym kolegą raz choćby się umówić, iść gdzieś – i już całe życie zatrute, bo wezmą na języki. Będą wytykać palcami. Kolega biurowy to nie mężczyzna! Święta to zasada i biada tej, która ją złamie.

A po pracy... Ma dwa domy, w których „bywa". Ale tam akurat nikogo nie można spotkać. A gdzie jeszcze można iść? Do kina, nie – samej nie wypada. Zresztą co – w kinie czy na ulicy ludzi będzie poznawać?

No, a jeszcze gdzie? Przecie są tysiące miejsc, gdzie ludzie stykają się z ludźmi! W jej życiowym kręgu takich miejsc nie ma. Samotność jest bardzo dosłowna: nie ma z kim porozmawiać ani iść do kina.

Przestrzeń życiowa też dokładnie ograniczona. Dokładniej niż u pensjonariusza ogrodu zoologicznego.

I wracamy wreszcie do kwestii mieszkania. Były z nim jakieś zadawnione perypetie i trzy lata temu zajął je oficer UB. Od tego czasu czyni starania, by pokój odzyskać. Otrzymała nawet pozytywną decyzję kwaterunku. Ale do decyzji szybko dołączony został papierek, który z miejsca ją anulował: „Komendant okręgu Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego stwierdza, że ob. por. X. jest naszym pracownikiem, wobec tego decyzja jest bezpodstawna i należy ją anulować".

Z przesłanki logicznie wynika konkluzja. Nic tu nie można zarzucić. Cieszy lapidarność argumentacji. A prawda, w międzyczasie był październik... nasza „panna" wie, że był październik. Ale oficer ma żonę i dzieci. Przestał też pracować w UB. A jak przestał, to kto mu da mieszkanie zastępcze?

No tak. Racje się zmieniły. Rzecz bardzo ważna. Nie zmienił się tylko obiektywny wynik. Ale że racje się zmieniły, to naprawdę ważna rzecz. Nie ma tu żadnej ironii. Tylko nie ma też mieszkania. Chyba że Gomułka załatwi – powiada interesantka. Chyba że...

Swat-dziennikarz trzyma w ręku papiery mieszkaniowej sprawy i nagle robi mu się gorąco. Wydaje mu się, że go podeszli, że odkryte zostało jego incognito. Boć przecie wielu ludzi przychodzi doń z podobnymi sprawami, pokazuje podobne papiery – tylko jako do dziennikarza. Przecie nikt by swatowi tego nie pokazywał...

Ale po namyśle uspokaja się. Zrozumiał, że takie sprawy przedstawia się k a ż d e m u, kto gotów jest wysłuchać.

Po wyjściu klientki swat zaciera ręce.

– Ta to złapie każdego!

Dziennikarza oczywiście oburza jego bezduszność. Ale też zaczyna myśleć: czy lepszy tu byłby nikt niż każdy, czy może lepszy każdy niż nikt...

Przewaliła się era „zżytych kolektywów towarzyszy pracy", świetlic, domów kultury i kultpochodów. Przez cały czas istniał i pozostał na placu samotny człowiek. Stwarzanie mu „społecznego życia" nie dało nawet jakiejś namiastki osłabiającej samotność. Jedynym środkiem dla jej przezwyciężenia pozostał dom i życiowy partner, z którym można dzielić troski, porozmawiać i iść do kina.

W obliczu tej samotności rzeczą trudną jest „techniczny akt" poznania drugiego człowieka. Stąd powodzenie swata Kwiatkowskiego.

Stare społeczeństwo miało dla tej warstwy klientek, jakie mnie nawiedzały, specjalne „instytucje" i miejsca służące do nawiązywania znajomości.

Instytucje balu, na który mama wyprowadzała pociechę, saloniku itp. Instytucje zniknęły. Odpowiadająca im świadomość, zespół zwyczajowych pojęć – pozostały. Owe pryncypia zwyczajowe powiadają, że nie można poznawać kogoś na ulicy, w kawiarni czy kinie, nie można samotnie iść do lokalu itp.

Autorski postulat mimo wszystko nie szedłby w kierunku reaktywowania jakichś odpowiedników tamtych instytucji, lecz powolnego obalania przesądów zwyczajowych, co jest zresztą zawsze sprawą najtrudniejszą.

– Żeby był taki, proszę pana, jak mój narzeczony.

– To pani ma narzeczonego?

– Miałam... nie, nie porzucił.

Było to tak: Zaczęła „chodzić" z kolegą biurowym. Wezwał go personalny (rzecz miała miejsce półtora roku temu) i zapowiedział: Jak „zepsujesz" dziewczynę, kolego – pogadamy. Narzeczony – widać człek nietowarzyski – wolał nie przeprowadzać tej konwersacji i „nie zepsuł". Nawet miał uraz na tym tle i bał się zostawać z nią sam na sam w czterech ścianach. (Rzecz opowiedziana mi była oczywiście bardziej szczegółowo). Potem wezwał ją z kolei personalny i rzekł:

– Coś to nie tego, koleżanko, dłużej niż rok bez ślubu z nim chodzić...

Powiedziała wówczas, że właśnie mają się pobrać. Personalny ucieszył się, jakby go na wesele zaprosili, i złożył serdeczne gratulacje. Wezwał ją powtórnie po tygodniu:

– No, jak z tym ślubem?

Odparła, że robi się, że cóż to tak panu personalnemu śpieszno, metrykę trzeba wyrobić, poszewki uszyć...

– Bo nie wiem, na kiedy wymówienie pani szykować – wyjaśnił spokojnie personalny.

Po czym zaczął klarować zrozpaczonej kobiecie, iż jest przepis zabraniający małżeństwu pracować w jednej i tej samej instytucji. A gdyby nawet nie przepis – to brak przecie pracy i pierwszeństwo mieć muszą kobiety samotne.

Tegoż dnia wieczorem narzeczeni usiedli liczyć, jak by tu utrzymać się we dwójkę z tysiąca pięćdziesięciu sześciu złotych jego miesięcznej pensji. Obliczenia budżetowe dały wynik ujemny. Z kolumny cyfr wynikało nie tylko, iż nie starczy na mięso i światło. Ołówek wykreślił w ogóle możliwość udania się do urzędu stanu cywilnego.

– Więc żeby był podobny do n i e g o.

– A jaki on był?

Swat trzymał w ręce zdjęcie nijakiego młodzieńca i wysłuchiwał litanii nieprzeciętnych ludzkich cnót. A dziennikarz dumał, jakież to oklepane: personalnik i jezuicki socjalizm.

– Przyprowadziłam go, żeby pan widział, jaki on inteligentny, miły i spokojny. Krzysiu, opowiedz panu jakąś książeczkę.

Nie chciałem słuchać książeczki i byłem zupełnie zbity z tropu. Krzyś poważny był i dostojny.

– Bo widzi pan, nie każdy chce dziś kobietę z dzieckiem. Ale ja młoda jeszcze jestem i mam dobry zawód: księgowa. A dziecko jest wyjątkowe. Jakiego byś chciał mieć tatusia, Krzysiu?

Zdaje się, że dwie osoby były tu zażenowane. Ja i Krzyś.

– Specjalnie go wzięłam – ciągnęła tęga księgowa – żeby pan zobaczył, co to za dziecko, że można mnie z nim śmiało b r a ć...

Ja i Krzyś milczeliśmy jak zaklęci.

– Chcielibyśmy mieć tatusia spokojnego, kulturalnego, bez nałogów, domatora i koniecznie z wyższym wykształceniem. Nieważne, czy pensja duża, czy mała, sama też zarobię, aby miał posadę i wyższe wykształcenie.

Potakiwaliśmy z Krzysiem głowami.

– Mam pokój. Wstawi się nowe łóżko i da zrobić stojącą lampkę nad stołem. Jak wrócimy z biura, Krzyś będzie odrabiać lekcje. Puści się radio. On czytać będzie gazety, ja książkę czy za cerowanie się wezmę. W sobotę do kina można pójść... Albo gdzie do jego znajomych, bo ja to mam mało znajomych, a tak poznam nowych ludzi i Krzyś też.

Krzyś niczym nie zdradzał zachwytu z tego powodu.

– Ja nie jestem przecie jeszcze stara, prawda? A Krzyś chce mieć tatusia. I wtedy wszyscy będziemy tacy s z c z ę ś l i w i!

Milczałem nadal, co pani księgowej bynajmniej nie peszyło. Zdawało się, że ona wcale nie mnie opowiada o tym wyśnionym szczęściu z udziałem braku nałogów i uniwersyteckim dyplomem. Po prostu niektóre osoby mają to do siebie, że lubią głośno marzyć.

Nie potrafię też stwierdzić, czy marzenia te udzielały się też Krzysiowi. Przez cały czas powiedział tylko jedno słowo:

– Do widzenia.

Poczta przyniosła list:

Ze względu na to, że mimo najszczerszych chęci nie mogę akuratnie w tych trzech dniach być w Krakowie i porozmawiać osobiście (mam imieniny w niedzielę), pragnę porozumieć się z Panem listownie, jeśli to jest możliwe.

Chodzi mi tylko o to, czy w zakresie swej działalności mógłby Pan doprowadzić do znajomości między mną a jakimś literatem (ewentualnie bardzo kulturalnym panem) w wieku od trzydziestu siedmiu do czterdziestu pięciu. Jestem magistrem filologii polskiej (w zawodzie polonistką), w wieku trzydziestu ośmiu lat, blondynką (mówią, że przystojną i inteligentną), bardzo energiczną i zaradną życiowo (z wyjątkiem ułożenia sobie życia osobistego). Poza tym jestem ogromnie wrażliwa na piękno słowa, a równocześnie zainteresowana wszystkimi zagadnieniami współczesnej kultury i literatury. Wielkim pragnieniem moim jest znaleźć „bratnią duszę", z którą mogłabym nawiązać kontakt myślowy oraz możliwość współpracy.

Jeśliby Pan mógł i chciał przesłać odpowiedź, proszę skierować ją na adres: (Tu następuje adres).

PS Wszelkie należności uiszczę pod wskazanym adresem.

Gdyby któryś z panów literatów zainteresował się, chętnie służę adresem „Należności" nie będzie. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

– U nas w biurze jest nas jedenaście chętnych. To one mnie prosiły, żebym przyszła w imieniu wszystkich. Bo ja jestem najbardziej śmiała.

Otworzyła teczkę, wyjęła wypchany skoroszyt. Jęknąłem. Na czołowym miejscu widniało „pismo polecające" rady zakładowej charakteryzujące *en gros* wszystkie kandydatki jako osoby o wysokich walorach moralnych, pracowite i godne zaufania. Konkluzja zawierała stwierdzenie, iż „wszystkie wymienione obywatelki stanowią doskonały materiał na żony".

Przystąpiliśmy do ciężkiej pracy biurokratycznej. Najpierw wyszczególnione były ogólne żądania dotyczące kandydatów, które zgodnie wyraziły wszystkie panie.

Nie muszę chyba dodawać, że mają to być panowie w wieku od lat dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu pięciu, inteligentni, kulturalni, możliwie z wyższym wykształceniem, na posadach, o dobrych charakterach.

Potem następowały kartki z życzeniami indywidualnymi: tu zainteresowania muzyczne, tam wysoki brunet, ówdzie miłośnik turystyki lub w ogóle sportowiec.

Następnie dane personalne szanownych kandydatek. Gdzieniegdzie uwagi dotyczące stanu posiadania ważnych dóbr doczesnych – od kołdry po parcelę.

Przerzuciwszy dokumentację towaroznawczą, zapragnąłem zająć się „żywym człowiekiem".

– A pani? Kogo by pani chciała?

– Ja to dziennikarza. Bo ja jestem najwięcej śmiała.

Do dziś żałuję, że w dziedzinie śmiałości nie mogłem dotrzymać jej kroku.

I wreszcie wybiła godzina kończąca czas przyjęć w ostatnim dniu matrymonialnego urzędowania. Dziennikarz zlikwidował okolicznościowy uśmieszek na gębie i rzekł do swata:

– Przestajesz istnieć, przyjacielu. Już cię nie ma!

– Trudno – odparł swat i ostatecznie rozpłynął się w nirwanie.

Jako się rzekło, „przesłuchałem" czterdzieści amatorek męskiego towaru. Ściślej mówiąc – trzydzieści dziewięć. Do „męża doskonałego" brak mi trzech tylko cech dodatnich: wysokiego wzrostu (inne walory zewnętrzne okazały się nieistotne), dobrego charakteru i braku nałogów. Jestem więc dość zbliżony do ideału. Rzucam się tedy na ladę matrymonialnego interesu, a uczynić to muszę sam, gdyż swat rozpłynął się już był przecie w nirwanie, nie chcąc obarczać swej duszy tak ciężkim grzechem jak sprezentowanie komuś mojej osoby.

Wracając – acz niechętnie – do dziennikarskich obowiązków – wymieniam pierwszą zaskakującą obserwację:

Nastąpiła u nas degradacja dyplomu szkoły wyższej. Jest to dziś papier wielce ozdobny, lecz mało w życiu przydatny. Fakt ten studzi i tak mizerne zapały studentów.

Otóż nieprawda! Wycierajcie, przyjaciele, portki na wykładach. Poćcie się na egzaminach. Zamiast tańczyć rock'n'rolla, odbywajcie ćwiczenia wojskowe! Zdobywając dyplom, podniesiecie do maksimum wasze walory. Dyplom jest nie mniej niż metryka niezbędnym dokumentem koniecznym dla szczęśliwego materiału z panną gospodarną; moralnie nienaganną, lubiącą życie domowe i dziatki.

W odbiciu współczesności zaprezentowanym przez większość z czterdziestu pań, pukających do mego hotelowego pokoju, dostrzegłem, że historia przyznała, na zawsze czy na pewien czas, rację zwolennikowi spokojnego kraju o umiarkowanej temperaturze. Przynajmniej w odczuciu większości ludzi w tym kraju.

Znam takich, którzy w swych uproszczonych kategoriach pojęciowych nazwaliby zaobserwowane w krakowskim hotelu zjawiska mieszczaństwem, mieszczanieniem, neodrobnomieszczanieniem itp., itd. Nie byłoby to jednak uproszczenie tylko. Byłaby to nieprawda. Mieliśmy bowiem do czynienia ze świeżutkim produktem współczesności. A przynajmniej przede wszystkim z nim. Potwierdza to m.in. następująca obserwacja:

Ani jedna z klientek nie postawiła jako warunku małżeństwa sprawy posiadania majątku przez ewentualnego kandydata. Ani jedna: stara ni młoda, przystojna czy wprost przeciwnie, blondynka czy brunetka. Na moje wyraźne zapytania w tej mierze odpowiedź brzmiała: „To nieważne", a towarzyszyło jej wyraźne zdziwienie.

Pogarda dla majątku ma oczywiście swe źródła również w wojennych i powojennych doświadczeniach, wskazujących, iż jest on rzeczą, którą w Polsce traci się najłatwiej. Lecz nie to waży tu przede wszystkim.

Fakt posiadania dla samego faktu posiadania stracił wszelki blask celu życiowego. Pieniądz jako środek do zdobycia pozycji społecznej nadrzędnej w stosunku do innych ludzi, jako cel sam w sobie przestał być istotny, przestał być nieodzownym atrybutem pełni ludzkiego szczęścia.

Nasze dwunastolecie wycisnęło tu jednakże pewne pozytywne piętno w ludzkiej świadomości, zredukowało pieniądz do roli środka koniecznego dla zdobycia nieodzownych dla życia i utrzymania się dóbr.

Zaś ogólna sytuacja materialna ludzi w Polsce sprawia, że żąda się od życia rzeczy niewielkich. Określa ona pragnienia. Uniemożliwia nawet w marzeniach wielkie przeskoki. Człowiek w sublokatorskim pokoiku wymaga od życia mieszkania, ale nie willi z telewizorem. Marzenia o polepszeniu bytu są więc na miarę... jakiej takiej dwutysięcznej pensji zarabianej przez wyśnionego męża domatora, aby móc zjeść, jakoś się ubrać i w sobotę iść do kina. Minimalizm życiowych potrzeb określany jest mniej niż minimalnymi możliwościami zaspokajania ich w chwili obecnej.

A więc z jednej strony nastąpiło „przewartościowanie wartości" w pojmowaniu roli pieniądza – zjawisko o niebagatelnym pozytywnym znaczeniu społecznym, z drugiej zaś pewna rezygnacja i minimalizacja pragnień – wynikająca z ciężkiej sytuacji życiowej przeciętnego człowieka w Polsce.

Pragnienia ludzi dojrzałych ograniczają się do „domu". Do jak najspokojniejszego, choćby i skromnego domu. Do własnego „kawałka życia" poza pracą. Pozostał on pierwszą i główną ludzką potrzebą, czymś, co zdolne jest zapełnić bez reszty życie, ba, nadać mu pełny sens. Nie zastąpiły pojęć „dom", „rodzina" lansowane przez lata pojęcia „społeczeństwo", „kolektyw", które to

miały i rozszerzyć krąg ludzkich potrzeb, i dać wartości wyższej miary. Ani też praca nie stała się czynnikiem subiektywnie najważniejszym.

Omawiane kobiety na ogół prosiły, by kandydat na męża był niezaangażowany politycznie. Żądanie to wiąże się nie tylko z doświadczeniami długich lat, iż jest to warunek posiadania w życiu „rzeczy najważniejszej", stabilności i spokoju. Nie, to nie tylko samoobrona. To również eliminacja z życia czynników „niepotrzebnych". To okruch, element sprawy szerszej – rezygnacji z całego wachlarza życiowych wartości, związanych z „wielką grą", ryzykiem, bujnością przeżyć, zmiennością. To akt rezygnacji z obcych już czy jeszcze wielkich pragnień, pasji i niepokojów. Również objaw minimalizmu.

Od życia nie żąda się nie tylko pieniędzy i luksusów. Z innych pobudek lepiej nie dopuszczać niczego, co jest złudą, niczego rozszerzającego te życiowe treści, które mieszczą się w pojęciach: praca, dom, książka, cotygodniowa rozrywka, dzieci. Trzeba wystrzegać się wielkich ambicji tej kategorii, emocji, „przeobrażania świata" i pochodnych nie tylko jako rzeczy niepotrzebnych, zbankrutowanych i obcych. Również dla ratowania wymienionych już elementów i wartości podstawowych i najważniejszych. Tutaj bankructwo wspomnianych przez dwunastolecie idei i pojęć jest całkowite.

Tak dziś jest.

Jedna rzecz pozostała bez zmian, nieomal nienaruszona przez dwunastolecie: społeczne podziały wedle zacofanych w stosunku do otaczającego świata, tradycjonalnych, polskich pojęć i schematów.

Żaden robotnik w mariażu nie wchodzi w rachubę; choćby zarabiał więcej od jakiegoś skryby. Choćby i miał owe „inteligenckie ostrogi" w postaci matury. Lepszy też biedny urzędnik od bogatego sklepikarza.

Cóż... obalenie podziałów społecznych, społecznej drabiny hierarchicznej miało u nas charakter tylko werbalny. Kasta urzędnicza – jako coś wyodrębnionego – nie tylko przetrwała, ale spełniała funkcje rządzące. Pozycja robotnika pozostała taka sama. Brakło więc przesłanek, w oparciu o które mogłoby nastąpić przewartościowanie pojęć.

Po kilku dniach swatowego urzędowania wiedziałem, że w żądaniach – „inteligentny, kulturalny, wykształcony, na posadzie" – nie ma ani krzty komizmu. Że oto notuję społeczny akt minimalizacji dążeń i rezygnacji życiowej, będący odbiciem istniejącej w Polsce sytuacji gospodarczej plus reakcją na dwunastolecie, związaną z bankructwem wielu spraw i pojęć, objawiającym się w wyłącznej dążności do s p o k o j u i t r o c h ę l e p s z e g o ż y c i a.

Taki jest obraz Godota, na którego czekamy.

Aha, byłbym zapomniał. Tedy, choć po niewczasie, czuję się w obowiązku podać relację z rozmowy z jedną jeszcze osobą, której brak ogromnie zubożyłby moją kolekcję.

Przyszła panna, której zawód wymalowany był na wymalowanym obliczu. Że tak powiem, nie ulegał wątpliwości. Od razu poczułem się jakoś swojsko, swobodnie i zagadałem życzliwie a jowialnie:

– Dla panienki artysta, dyplomata, dyrektor, literat czy minister?

– A nie masz pan jakiegoś fajnego, morowego chłopa?

Humor mi się od razu poprawił i jakiś kaloryfer zaczął grzać w okolicy lewej strony klatki piersiowej.

Wypadłem z roli i odpowiedziałem zupełnie szczerze: znam trochę artystów, dyplomatów, dyrektorów i literatów. Morowe chłopy rzadziej się trafiały.

– Może jaki podleci – pocieszyła mnie.

I wstała z krzesła. Jako pierwsza i ostatnia, jedna i jedyna otworzyła wówczas torebkę i zapytała:

– Ile trzeba zadatku?

– Nic, nic nie trzeba – odparłem pospieszne.

Przyjrzała mi się uważnie, zatrzasnęła torebkę i rzuciła na odchodnym:

– Jak tak, to coś mi tu lipą śmierdzi.

Chapeau bas, madame, przed jej życiowym doświadczeniem.

Migawka ta co prawda nic nie wnosi, lecz stanowi pomost dla zakończenia niniejszej opowieści.

Gdy bohaterka *Szubienicznej Toni*[4] (utworu męczącego mnie ostatnio w sposób obsesyjny) stanęła przed niebiańskim trybunałem i gdy wysłuchawszy jej żywota, prezes sędziwego kompletu zadecydował, że Szubieniczna Toni winna iść do nieba, Klech dodaje, iż:

> Niebiański asesor kręci pogardliwie nosem i powiada w odpowiednim tonie:
>
> – Pan prezes znów uczynił zadość swojej zasadzie: każdemu człowiekowi jego królestwo niebieskie...

Bowiem Toni ubrana w niebieską, empirową suknię, zgodnie ze swymi marzeniami przebywała już na wieczność całą w luksusowym burdelu, gdzie gra gramofon, a przy stoliku siedzi jej „blondyn Willi".

Myślę, że rzeczywiście nie ma „obiektywnie i powszechnie doskonałego" nieba dla wszystkich. Że rzeczą największą jest móc dać każdemu jego niebo z jego własnych marzeń.

[4] *Wniebowzięcie Szubienicznej Toni* – opowiadanie Egona Erwina Kischa o praskiej prostytutce.

I dlatego chętniej niż literatów, australijskich chłopców i francuskich socjologów nająłbym skład: „solidnych, kulturalnych, domatorów z wyższym wykształceniem" i obdzielił wszystkie panny, kontystki[5], kancelistki, buchalterki, sekretarki i księgowe.

Chętniej niż współtworzył dla nich inne doskonalsze nieba, ponoć zadowalające pragnienia wszystkich bez wyjątku ludzi.

PS Zrobiwszy swoje, czyli zaaranżowawszy i opisawszy tę zabawę, zwracam się do drogich czytelników z małą osobistą prośbą: czy nie mógłby mi ktoś wskazać adresu dobrego adwokata?

Jerzy Urban, *Pamiętnik swata*, „Po prostu" 1957, nr 10 i 11

[5] Kontystka – pracownica sporządzająca wyciągi z konta lub zapisująca przychody i rozchody na odpowiednie konta.

1957

Marian Brandys (1912–1998)

Jadać przy rodzinie

Nim w reportażu nastało pokolenie Krall, Kapuścińskiego i Kąkolewskiego, był wymieniany jako jeden z najważniejszych polskich reporterów xx wieku – obok Wańkowicza (patrz s. 391) i Pruszyńskiego (patrz s. 467). Cała trójka K. mówiła o nim jako o swoim nauczycielu zawodu. Czytał i komentował ich pierwsze teksty.

Na pytanie, dlaczego nie pisze historii zmyślonych, odpowiedział tak:

> Miałem wówczas dwanaście lat, a może trzynaście. Ze szkoły wrócił mój młodszy o cztery lata brat Kazimierz, dziś uznany pisarz. Nauczycielka zadała jego klasie temat: „Moje zwierzę domowe". Brat o tym zwierzęciu napisał całe opowiadanie. Przyniósł tę pracę do domu i uradowany pokazuje, że dostał piątkę. Ojciec rzecz przeczytał i widzę, że nie bardzo jest z niej zadowolony. Po obiedzie wprowadził mnie do swojego gabinetu i odbył rozmowę. Powiedział tak: „Musisz się zająć swoim bratem, bo on chorobliwie kłamie. Przecież my nie mieliśmy nigdy żadnej kózki! Zwłaszcza takiej, która po śmierci poszła do nieba". Uznałem wtedy właśnie, że zmyślenie mi nie odpowiada, że znacznie bardziej wolę przekazywanie informacji prawdziwych. Fikcja mnie odpychała. Sądzę, że jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy była właśnie ta kózka wymyślona przez Kazimierza.

Urodził się w Wiesbaden, ale dzieciństwo spędził w Łodzi. W 1935 roku skończył ekonomię i prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W 1936 roku jego ojca, który był właścicielem domu bankowego, władze zesłały do Berezy Kartuskiej pod zarzutem „szerzenia paniki na giełdzie warszawskiej". W październiku 1939 roku walczył w grupie generała Kleeberga w rejonie Woli Głuchowskiej, gdzie miał miejsce finał bitwy pod Kockiem, ostatniej w kampanii wrześniowej.

Jako jeniec trafił do oflagu, w obozach dla oficerów przebywał do 1945 roku. W oflagu w Woldenbergu w 1943 roku wstąpił do nielegalnej komórki Polskiej Partii Robotniczej. Po wypuszczeniu z obozu znalazł się w kapitulującym Berlinie. Stamtąd napisał swój pierwszy reportaż. Wrócił do kraju i wstąpił do nowo powstałej PZPR, ale wypisał się z niej w 1966 roku na wieść o tym, że wyrzucono Leszka Kołakowskiego. Potem był sygnatariuszem wielu listów protestacyjnych, przyjacielem Komitetu Obrony Robotników, w którym działała jego żona aktorka Helena Mikołajska. Drukował w podziemnej prasie.

Pierwszą książką reporterską Mariana Brandysa są *Spotkania włoskie* z 1949 roku – owoc półrocznego pobytu we Włoszech.

Zamieszkał w Rzymie u wdowy po producencie makaronu w kamienicy przy placu Hiszpańskim. Miał podły, ciemny pokój, ale zaletą było życie „przy rodzinie". Jadał posiłki z wdową i jej dorosłymi dziećmi, był wprowadzony we wszystkie sprawy, odkrył, że gospodyni – jak wielu rzymskich mieszczan – jest faszystką, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Odwiedzał przedmieście Rzymu – Pietralata, gdzie biedacy „mieszkają gorzej od bydląt, a jedzą gorzej od psów [...]. Zapomniał o nich Bóg i rząd, więc jedyną instancją, która się jeszcze liczy, jest Partia Komunistyczna". W rzymskiej trattorii zaprzyjaźnił się z lewicowym malarzem.

> – Włochy są krajem wolnych artystów – mówi malarz – wolność nasza posunięta jest tak daleko, że postępowemu i utalentowanemu artyście w o l n o tu zdechnąć z głodu, nie wywołując niczyjego sprzeciwu. [...]
>
> Kiedy Sandro – jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodszego pokolenia artystów włoskich, chlubnie wyróżniony na wystawach czterech stolic europejskich, mówi w ten sposób, a jego zachrypnięty głos przybiera ton bolesnej ironii, jest to nieomylną oznaką, że malarz znowu odbywa jeden ze swoich trzydniowych postów oszczędnościowych, w czasie których żywi się tylko suchym chlebem i czarną kawą.

Za „demaskatorski charakter" jego korespondencji z Rzymu chrześcijańsko-demokratyczny rząd De Gasperiego nakazał Polakowi opuszczenie kraju. W Polsce za swoją włoską książkę otrzymał nagrodę państwową, pierwszą w karierze reporterskiej.

Po porzuceniu miłości do komunizmu nie taił dawnej sympatii i nie wstydził się o niej mówić publicznie. „Był to najciekawszy okres w mej działalności pisarskiej" – wyjaśniał Jackowi Trznadlowi w *Hańbie domowej*. Po 1989 roku tłumaczył w wywiadach, że widział w komunizmie jedyną wówczas drogę dla Polski.

> Miałem wielką satysfakcję, że bezpośrednio wpływam na formowanie się tej rzeczywistości, uważałem, że robię dobrą robotę. Nikt mnie do niczego nie przymuszał. Od niczego się nie odżegnuję.

Z biegiem czasu, jeszcze w latach pięćdziesiątych, uznał, że nie może już pisać reportaży społecznych, bo zaczęła w nie wkraczać cenzura, bo sam swoim pisaniem nie zmieni kraju.

> Kiedyś pojechałem z moją uczennicą [...] do granicznego miasteczka Gubin. Tam zorientowaliśmy się, iż rządzi nim klika. Doprowadziliśmy [publikacją prasową] wprawdzie do tego, że została rozbita, ale okazało się, że nie było nikogo na miejsce tych wyrzuconych. Po prostu ludzie się bali. W rezultacie władzę w miasteczku objęli ci sami.

To wydarzenie – jak mówił – spowodowało, że porzucił tematy współczesne na rzecz reportażu historycznego. Dzięki temu powstał najpierw zbiór opowieści o miastach (Pińczów, Zamość, Lublin, Łańcut, Tyszowce i inne), w których tropił ślady przeszłości. Na przykład w pałacu w Kamieńcu Suskim, w niegdysiejszym pokoju pani Walewskiej, zamieszkanym przez rodzinę księgowego z PGR-u, odnalazł oryginalne tapety, na których spoczywał wzrok historycznej damy. Po socrealizmie tom *O królach i kapuście* (1959) był książką zupełnie przełomową, bo dawał czytelnikowi wiedzę, ale też oddech i humor, zwłaszcza że Brandys pisał bez jakichkolwiek schematów. Łączył rozważania o historii ze zdaniem zasłyszanym od niemiłej kelnerki.

Najsłynniejszym jego dziełem był pięcioksiąg o losach Polaków w epoce napoleońskiej, w Królestwie Kongresowym, podczas powstania listopadowego i Wielkiej Emigracji – pod wspólnym tytułem *Koniec świata szwoleżerów* (1972–1979).

Wańkowicz powtarzał o Brandysie: „Ludzie, on was oszukuje, udaje, że pisze książki historyczne, a one są jak najbardziej współczesne".

Norman Davies uważa, że w *Końcu świata szwoleżerów* Marian Brandys potrafił pokazać, że PRL ustanowiony przez Moskwę jest państwem na podobnej licencji jak niegdyś Królestwo Kongresowe. „Oczywiście nie pisał tego wprost, ale poprzez aluzje i porównania – czasem ukryte – wychował kilka pokoleń w polskim patriotyzmie". Adam Michnik przyznał: „Te książki należały do rynsztunku duchowego ludzi mojej generacji".

Marian Brandys oburzał się, kiedy *Koniec świata...* nazywano esejami, a jego eseistą.

> Stale uważam się za reportera! – powtarzał. – W żadnym wypadku nie jestem eseistą, nie komentuję faktów, ja je tylko podaję. Jestem autorem opowieści biograficznych.

Tak też jest z tekstem, który publikujemy – reportaż o bitwie pod Kockiem błędnie bywa nazywany w różnych opracowaniach opowiadaniem. A to literackie podanie faktów.

Ostatnia bitwa

Marianowi Wadeckiemu

Las jest dębowy, gęsty, z lekka już ożółcony jesienią. Oprowadza mnie trzech gajowych. Najstarszego z nich, przysadzistego blondyna o rumianej twarzy i nieco kabłąkowatych nogach, pamiętam świetnie jeszcze z tamtego czasu. Był jednym z niewielu cywilów, którzy nie ewakuowali się stąd przed bitwą. To on pełnił honory domu w gajówce Ofiara, gdzie kwaterowało nasze dowództwo. Przegadaliśmy z nim wtedy większą część nocy. Niewiele się zmienił przez te osiemnaście lat, stał się tylko mniej rozmowny. Każde słowo waży teraz z takim namysłem, jakby od tego miał zależeć osąd historii. Za to dwaj młodzi trzaskają dziobami bez skrupułów. Byli wtedy chłopcami niespełna dziesięcioletnimi, w czasie bitwy znajdowali się o wiele kilometrów stąd – więc mają prawo wiedzieć wszystko. Ich wprowadzenie w temat naprawdę zdumiewa. Sypią numerami niemieckich dywizji i pułków, znają każdy szczegół strategii generała Kleeberga, pamiętają wszystkie sytuacje bojowe. Rozpiera ich duma, że na terenie ich leśnictwa rozegrała się „ostatnia regularna bitwa kampanii wrześniowej". Swój spacer ze mną po lesie traktują niemal jak misję historyczną. Jeden z nich z dobrej woli przetelepał na rowerze czterdzieści kilometrów, żeby przywieźć mi metalową oprawkę od busoli Bezarda, znalezioną przed osiemnastu laty na pobojowisku. Noszę teraz tę oprawkę w kieszeni spodni, regularnie kalecząc sobie dłoń o jej ostrą krawędź.

Chodzimy po lesie, zatrzymujemy się, gadamy, milczymy, porównujemy nasze wspomnienia. Diabelnie trudno po tylu latach zorientować się w mało znanym lesistym terenie. Niezmienione pozostały tylko zasadnicze punkty: gajówka Ruszcza, gajówka Ofiara, skrzyżowanie dróg... Ale rozmieszczenie drzew jest jakby inne. Pamiętam przecież dokładnie, że kiedy wychodziło się z gajówki, las znajdował się z prawej strony drogi, a karczowisko z lewej... Czyżby do tego stopnia zawodziła mnie pamięć?

Gajowi pobłażliwie kiwają głowami. Nie jest to wina pamięci. Zmienił się po prostu krajobraz lasu. Stare dęby z 1939 roku wycięto za okupacji. Na starych karczowiskach wyrosła ściana młodych drzew. Pod wpływem czasu las obrócił się dokoła swej osi i... przeszedł na drugą stronę drogi. Minęło przecież osiemnaście lat.

Po raz pierwszy przyszliśmy do tego lasu wieczorem 4 października 1939 roku. Oddział nasz należał do grupy generała Kleeberga i w księgach

żołdu zapisany był jako drugi rzut 79. Pułku Piechoty. Ale potocznie nazywano nas – od nazwiska dowódcy – batalionem majora Bartuli. Batalion miał za sobą zwykły szlak kampanii wrześniowej. Po wyjściu z małego kresowego garnizonu brnęliśmy tygodniami przez piaski Polesia, przemykając się wśród niemieckich zagonów pancernych. Od czasu do czasu nadlatywały czarne junkersy i ogniem pokładowym lub lekkimi bombami masakrowały nam tabory. Wieczorami, na kwaterach w małych dworkach poleskich, słuchaliśmy opowiadań ewakuowanych starościn o tym, jak przemyślnie marszałek Rydz-Śmigły „wciąga Niemców w worek". Nocami z rosnącym niepokojem obserwowaliśmy tajemnicze sygnały świetlne, którymi wróg rozmawiał o nas nad naszymi głowami. Na szosach mijały nas kolumny uciekających samochodów. Żony dygnitarzy, wystrojone w podróżne kostiumy koloru khaki, zrzucały żołnierzykom całe pudła junaków i mew. Bledliśmy z gniewu i z pogardy, ale papierosy podnosiliśmy, bo nie było co palić. Nie było także co jeść. Stęchły, przypalony pęcak z zepsutych kuchni polowych nie chciał przechodzić przez gardło. A mieszkańcy mijanych wsi dawno stracili już chęć do dzielenia się z wojskiem swymi szczupłymi zapasami. Ojczyzna wkoło nas kurczyła się gwałtownie. Stawała się obca, nieufna, zła. W połowie września rozeszła się pogłoska, że mamy iść do Rumunii. Młodsi oficerowie batalionu zaczęli szeptać o zdradzie dowództwa. Obawy ich okazały się przedwczesne. Wydarzenia 17 września odcięły grupę Kleeberga od południowych granic państwa. Nowy rozkaz generała przerzucił nas razem z innymi oddziałami na lewy brzeg Bugu – na odsiecz oblężonej Warszawie.

30 września – nie zapomnę nigdy tego dnia – ranny „rozbitek", pętający się przy moim plutonie taczanek, skradł nam konia luzaka. Szukałem tego konia z rozpaczą i przerażeniem, do jakich jest zdolny tylko młody oficer rezerwy, którego po raz pierwszy w życiu obciążono odpowiedzialnością za stan i majątek oddziału. Miotając się konno wzdłuż maszerującej kolumny, na którychś rozstajach dróg natknąłem się na obcego kapitana, odpoczywającego ze spuszczoną głową pod krzyżem przydrożnym. Kiedy spytałem o konia, podniósł na mnie wygasłe oczy.

– Niech pan się nie wygłupia, poruczniku – powiedział ze smutkiem. – Co mnie obchodzi pański koń? W dupie mam pańskiego konia! Warszawa skapitulowała! Rozumie pan? – I rozpłakał się.

Drogi za Bugiem pełne były wozów z rannymi, rozbitych taborów, skłębionego zamętu i wściekłego ujadania woźniców. Trzymany w karbach twardą ręką dowódcy batalion przepychał się przez tę miazgę wojny. Po kilku dniach

wytężonego marszu osiągnęliśmy wyznaczony punkt koncentracji leśnej pod wsią Wola Gułowska.

Ileż to lat można wędrować po Polsce, a nie dowiedzieć się nigdy, że istnieje wieś o nazwie Wola Gułowska! Teraz, kiedy stoimy na skraju lasu i mamy tę wioskę przed sobą jak na dłoni, sprawia ona wrażenie oazy sielskiej pogody i niczym niezakłóconego spokoju. Długi szereg małych, schludnych domków, biały barokowy kościół, kolorowe sady. Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna... A przecież, jeżeli o Woli Gułowskiej da się w ogóle powiedzieć coś ciekawego, to chyba tylko to, że leży ona na odwiecznym szlaku polskich wojen, wśród starych pobojowisk Parczewa, Kocka, Adamowa... Cóż poza tym? W sąsiedniej Woli Okrzejskiej przynajmniej urodził się Henryk Sienkiewicz. W Woli Gułowskiej nie urodził się nikt sławny. Tu ludzie tylko umierali. Nieraz przychodzili umierać z daleka. W lesie gułowskim do dziś otacza się kultem groby powstańców z 1863 roku. Niektóre miejsca noszą tu niepokojące, złowróżbne nazwy: Krzywda, Ofiara, Mogiły... Las okrąża wioskę ze wszystkich stron – cichy, bezpieczny, ogromny...

Kiedy przyszliśmy tu w roku 1939, las gułowski nie był cichy ani bezpieczny. Mruczała w nim wojna. Z daleka przewalało się głuche dudnienie armat, parskały konie, chrzęściły nowe rzemienie uprzęży, szczękały kawaleryjskie szable. Na leśnym biwaku czekała na nas brygada kawalerii generała Kmicica-Skrzyńskiego. W ostatnią noc szarej, ubogiej kampanii wrześniowej rozbłysła nam niespodzianie przed oczami cała świetność ułańskiej Polski. Chyba jeszcze nigdy „malowane dzieci" nie bratały się z nędznymi „zającami" z piechoty tak serdecznie jak owej pamiętnej nocy. Wypoczęci, piękni jeźdźcy w zawadiackich furażerkach i zgrabnych półkożuszkach obejmowali czule piechocińskich łazarzy, częstowali ich rumem i siłą ciągnęli do swych zamaskowanych ognisk. Byliśmy dla nich upragnioną odsieczą. Już od dwóch dni stali w obwodzie bitwy przetaczającej się powoli od Kocka przez Adamów i Krzywdę na Wolę Gułowską. Według ich zgodnych relacji bitwa była w zasadzie wygrana. Niemcy bronili się resztkami sił. Nasze przybycie miało ostatecznie przeważyć szalę polskiego zwycięstwa.

Kiedy pokrzepiony tymi wiadomościami szedłem z kolegami na wyznaczoną kwaterę, minął nas niski, tęgi oficer w płaszczu bez odznak i w naciśniętej na uszy połówce. Chociaż nie nosił okrągłej czapy z amarantowym otokiem ani monokla, a twarz miał zmiętą i nieogoloną, poznaliśmy go natychmiast. Przed wojną widywało go się często na tarasie warszawskiej „Europy" w pełnym sztafażu szwoleżerskich blasków. Pułkownik Busler – dawny adiutant marszałka Piłsudskiego! To przypadkowe spotkanie uprzytomniło

nam zasięg i ostateczny charakter leśnej koncentracji. Ściągnięto tu wszystko, co pozostało jeszcze z sił zbrojnych Rzeczypospolitej.

Dopiero dzisiaj, po osiemnastu latach, dowiaduję się od moich przewodników, że ówczesny optymizm ułański nie był pozbawiony podstaw. Generał Kleeberg zetknął się początkowo tylko z jedną dywizją niemieckiej piechoty i w dwudniowej bitwie opór tej dywizji złamał prawie całkowicie. Ale wycofujący się Niemcy zdążyli wezwać na pomoc drogą radiową dwie ciężkie dywizje pancerne z rejonu Dęblina. Dywizje te weszły do walki 5 października – w trzecim dniu bitwy.

5 października o czwartej nad ranem major Bartula zarządził odprawę dowódców kompanii. Jako dowódca plutonu cekaemu na taczankach również byłem objęty tym wezwaniem. Odprawa odbywała się konno na skrzyżowaniu leśnych dróg. Las cały był jeszcze w mgłach. Konie parskały niecierpliwie. Drżeliśmy z chłodu, z niewyspania i... z rozkosznego podniecenia. O takich odprawach marzyło się przecież przy lekturze książek Przyborowskiego i Gąsiorowskiego.

Major powitał nas twarzą posępniejszą niż zwykle. Zgarbiony na swej wielkiej gniadej kobyle, przyjmował raporty, nie patrząc nam w oczy. Ten burkliwy, zamknięty w sobie sztabowiec – zwany w pułku Michałem Ponurym – nie zabiegał o popularność u oficerów rezerwy. Ale szanowali go wszyscy, gdyż dał się poznać jako odważny żołnierz i zdecydowany dowódca. Owego ranka jednak uderzała nas w jego zachowaniu jakaś nowa, niepokojąca nuta.

– O piątej wyruszamy do natarcia – oznajmił krótko. – Z prawego i lewego skrzydła osłaniają nas sąsiednie pułki. Kierunek natarcia dla batalionu: kościół we wsi Wola Gułowska. To wszystko.

Byliśmy zdumieni lakonicznością tego rozkazu.

– Panie majorze – odezwał się czyjś niepewny głos. – A co mamy robić potem, po zdobyciu kościoła?

Major ogarnął nas chmurnym spojrzeniem i jeszcze bardziej oklapł w siodle. Po raz pierwszy dojrzeliśmy w jego twarzy wyraz niezdecydowania i bezradności.

– Na razie nie mam nic do dodania – burknął niechętnie. – Dalsze rozkazy otrzymacie później.

Wracaliśmy z tej odprawy zgnębieni. Piękny adiutant batalionu porucznik Tytus Wilski mówił:

– Ja znam Ponurego i umiem czytać z jego twarzy. To się nie może dobrze skończyć.

Od skraju lasu, gdzie zatrzymujemy się, aby podumać o bojach sprzed osiemnastu lat, do białego kościoła w Woli Gułowskiej będzie chyba z półtora kilometra. Pole równe jak stół, pozbawione zasłon terenowych – w zasadzie nie bardzo nadające się do przeprowadzania natarć. Typowo polski krajobraz tchnie spokojnym urokiem dojrzewającej jesieni. Na łące pasie się stado łaciatych krów. Snuje się leniwie dym z ogniska, na którym pastuszkowie opiekają kradzione kartofle. Od wsi dobiega skoczne chrypienie radiowęzła, zwanego tu „kołchoźnikiem". W czystym powietrzu niosą się jakieś wesołe nawoływania. Niełatwo w takich warunkach realnie odtworzyć sobie w pamięci te wszystkie wariackie wydarzenia, które rozegrały się tu przed osiemnastu laty.

Jeszcze na długo przed przyjściem do gułowskiego lasu oficerów rezerwy naszej kompanii męczyła niepewność, czy w czasie pierwszego upragnionego starcia zbrojnego z wrogiem okażą się wystarczająco odważni. Rozmawialiśmy o tym wiele razy na nocnych kwaterach – i ten dręczący strach przed stchórzeniem stał się decydującym motorem naszych poczynań, kiedy ruszyliśmy do natarcia.

Jeżeli bitwa gułowska miała w ogóle jakiś uporządkowany plan, to trzeba stwierdzić, że w naszym odcinku załamał się on całkowicie po przebiegnięciu trzystu metrów. Na przestrzeni tych pierwszych trzystu metrów poczucie odpowiedzialności za kompanie i plutony przeważało jeszcze w umysłach młodych dowódców nad żądzą wykazania własnej odwagi. Hamowaliśmy nasz bojowy zapał i rozpędzone nogi, posuwaliśmy się ostrożnymi skokami na linii oddziału, podciągaliśmy krzykiem obsługi karabinów, oglądaliśmy się co chwila i klęliśmy z rozpaczą opieszałych. Ale stopniowo odstęp między nami a plutonami zwiększał się coraz bardziej. My poza pistoletami nie mieliśmy żadnego obciążenia. Żołnierze taskali ciężkie maximy 08 i skrzynki z amunicją. Naszym rozpaczliwym nawoływaniom odpowiadały wściekłe postękiwania. Tymczasem ogień niemiecki spod kościoła przybierał na sile. Wtedy strach, żeby nie być poczytanym za tchórzów, przesłonił wszystko. Dowódcy oderwali się od swego wojska. Poczęliśmy biec szeroką tyralierą oficerską – jak naganiacze w myśliwskiej nagonce – potrząsając pistoletami i obłędnie wrzeszcząc. Przestaliśmy się kryć przed kulami. Przestaliśmy w ogóle myśleć. Ogarnięci amokiem bitwy, ogłuszeni hukiem wystrzałów i własnym wrzaskiem – przez pot zalewający oczy widzieliśmy już tylko biały kościół, który mieliśmy zdobyć.

– Naprzód! – zagrzewaliśmy się krzykiem do szybszego biegu. – Naprzód! Naprzód!!!

W pewnej chwili pod kościołem wszczął się jakiś ruch. Zobaczyliśmy Niemców, przenoszących biegiem karabiny maszynowe. Wpadło nam w uszy dalekie niecierpliwe nawoływanie:

– *Artillerie!! Artillerie!!*

Teraz, kiedy rozpamiętuję to wszystko na chłodno, nie mogę pojąć, jak to się stało, że Niemcy, rozporządzając znakomitymi stanowiskami z obu stron kościoła, ograniczyli się do wybicia tylko połowy szaleńczej tyraliery polskiej, a przed drugą jej połową sromotnie uciekli. Młodzi gajowi tłumaczą to tym, że piechurzy niemieccy panicznie bali się starcia wręcz z Polakami. Stąd ich zgubny pomysł zmiany stanowisk ogniowych w ostatniej chwili. Lęk przed odwagą i lęk przed brakiem odwagi prowadzą w bitwie do tak samo fatalnych następstw.

O jakiejś porze dnia – której dziś sprecyzować już nie potrafię – ogień ustał i znalazłem się przy samym kościele. Kościół był widocznie atakowany z różnych stron i wszystko musiało się w natarciu poplątać, gdyż otaczały mnie same obce twarze z lewoskrzydłowego pułku. Zobaczyłem pierwszych jeńców. Wysoki, jasnowłosy żołnierz niemiecki słaniał się, podtrzymując rękami krwawą masę wyciekającą mu z brzucha, w rowie strzeleckim, obok porzuconego karabinu maszynowego, stał z podniesionymi rękami rozdygotany ze strachu tłusty feldfebel w stalowym hełmie. Wokoło niego podskakiwał jak kogut mały, szczupły poruczniczek, wymachując potężnym naganem i piszcząc zachłystującym się głosem:

– Widzisz, ty skurwysynu, do czego cię twój Hitler doprowadził! Widzisz ty, skurwysynu!

– *Aber Herr Leutnant!* – bełkotał przerażony tłuścioch. – *Aber Herr Leutnant!...*[1]

Zwyciężony i zwycięzca sprawiali wrażenie jednakowo bezradnych.

Po kilku minutach dopędził mnie goniec mego plutonu, kapral rezerwy Brzeziński.

– No, tośmy wygrali wojnę, panie poruczniku – mrugnął do mnie z niewesołą kpiną. – A teraz trzeba nam szukać naszego wojska. Jakieś cekaemy mają być na placyku za kościołem!

Ale za kościołem nie znaleźliśmy naszych wysłużonych „maximów". Stały tam tylko piękne kaemy polskie „wzór 30". Wokół nich roiło się od nowych ciemnozielonych hełmów i srebrnych galonów na mankietach i naramiennikach. Placyk był zajęty przez szkolny pluton zawodowych podchorążych, którzy szli do natarcia razem z lewoskrzydłowym pułkiem. Podchorążowie stracili w bitwie dowódcę i byli skołowani tak samo jak my. Po zdobyciu kościoła nikt nie wiedział, co robić dalej.

[1] *Aber Herr Leutnant!* (niem.) – Ależ, panie podporuczniku!

Zatrzymaliśmy się dla wspólnego omówienia sytuacji. Na ziemi porozsiadały się grupki zmęczonych zwycięzców. Pośrodku placyku, przy studzience, młody żołnierzyk pił wodę z hełmu. Na dalszym przedpolu – już pod lasem – widać było tyralierę uchodzących Niemców. Nagle w górze za naszymi plecami zaterkotał karabin maszynowy. Z wieży kościoła bluznęła struga ognia. Żołnierzyk przy studni przewrócił się jak podcięty. Kilku siedzących na ziemi zwaliło się na plecy. Na spokojnym placyku wybuchł popłoch. Obsługi rzuciły się do karabinów, ranni krzyczeli przeraźliwie. Ale najgorszy był ten przy studni. Musiało go trafić w szczękę, bo leżał zupełnie cicho, tylko gestem uniesionej ręki wzywał naszej pomocy. Nie można było na to patrzeć i nie można mu było pomóc. Zapora ogniowa jak warczący pies broniła dostępu do studni. Upłynęło kilka minut, zanim oszołomieni podchorążowie skierowali wyloty swych cekaemów na wieżę kościelną. W chwili gdy miał paść rozkaz do otwarcia ognia, z wieży zawołano po polsku:

– Nie strzelać, tu szósta kompania!

Tak, przez długie miesiące uczono nas sztuki nastawiania celowników. Ale wówczas wszystko odbywało się na niby. Któż liczył się z tym, że drobny błąd w celowniku może doprowadzić do takich skutków!

– Idziemy stąd, panie poruczniku – powiedział kapral Brzeziński. – Trzeba szukać naszego wojska.

Opuściliśmy więc fatalny placyk i pobiegliśmy w lewo, tam gdzie był przykościelny cmentarz. Na stratowanych mogiłach leżały trupy. Rozpoznaliśmy dowódcę trzeciej kompanii strzeleckiej, porucznika Smoleńskiego.

Najbardziej wojskowy z naszych rezerwistów! To on na porannej odprawie upominał się o dalsze rozkazy. Teraz były mu już niepotrzebne. Przeszedł w stan spoczynku. Leżał na cudzym grobie, szary i sztywny jak gliniana kukła. Kiedy zdejmowaliśmy mu z szyi blaszkę rozpoznawczą, spokojnym powietrzem cmentarza targnął gorący podmuch. Ziemia zatrzęsła się pod nami i głucho stęknęła. Na las, z którego niedawno wyruszyło natarcie, runął ostrzał ciężkiej artylerii. Dzisiaj przypuszczam, że było to pierwsze uderzenie dwóch posiłkowych dywizji niemieckich, które właśnie wtedy weszły do bitwy.

Od tej chwili wydarzenia na polu gułowskim utraciły resztę sensu i wszystko splątało się w obłąkańczy, wyjący chaos. Pierwsza salwa artyleryjska wyzwoliła całą utajoną orkiestrę. Rozryczały się działa, rozterkotały karabiny maszynowe, zaniosły się jazgotem miotacze min. Niebo nad nami pękało. Walił się świat. Biegliśmy i padaliśmy. Mózgi nasze przeniosły się do nóg. Kolana same zginały się i prostowały. Biegliśmy i potykaliśmy się o trupy.

Strzelano do nas z trzech stron – z niemieckiej i z dwóch skrzydeł polskich. Ryliśmy palcami ziemię, wcieraliśmy się w nią brzuchami, żeby nie było nas widać. W ucho wpadały mi roztrzęsione zdrowaśki Brzezińskiego. Potem biegliśmy znowu. Musiało to trwać wiele godzin.

Kiedy trochę się uspokoiło, wróciliśmy skokami pod kościół. Ale tam już było pusto. Żołnierzy jakby wymiotło. Zza węgła wybiegła nam na spotkanie jakaś dziwaczna postać – stary człowiek w granatowej czamarze i wysokiej konfederatce, uzbrojony w myśliwską dwururkę.

– Panie poruczniku! – wołał z daleka. – Zgłaszam się do wojska, proszę mnie przyjąć pod swoją komendę!

Dziś owego osobliwego konfederata wspominam z rozrzewnieniem, ale wówczas sytuacja była inna. Kiedy staruszek zbyt natarczywie zastępował nam drogę, Brzeziński huknął na niego z góry:

– Odpieprz no się pan, panie starszy! Z bykaś pan spadł? Chcesz pan się bić, to się bij, jest przecież bitwa!

Zostawiliśmy go za sobą oniemiałego z obrazy i pobiegliśmy dalej.

Zaraz za cmentarzem napotkaliśmy stanowisko podchorążackiego cekaemu. Klęcząca obsługa w napięciu obserwowała zasłoniętą drzewami ulicę wsi, gdzie znowu byli Niemcy. Obok karabinu leżał rozciągnięty na trawie szpakowaty kapitan z baretką Virtuti Militari. Przysiedliśmy przy nim dla zaczerpnięcia oddechu. Kapitan był ranny w prawe ramię i – tak samo jak my – odbity od swojego oddziału. Ale nie była nam sądzona długa rozmowa. Na zasłoniętej drzewami drodze – gdzieś daleko z prawej strony – zawarczały motory. Serca przestały nam bić: samochody pancerne! Młodziutki podchorąży pełniący funkcję karabinowego wyprężył się jeszcze bardziej i wspaniałym, regulaminowym gestem uniósł ugalowane ramię:

– Samochody pancerne z prawej, celownik...

Leżący kapitan poderwał się jak dźgnięty nożem:

– Podchorąży, co pan chce robić!?

Podchorąży zwrócił ku niemu swą chłopięcą buzię i przez ramię obrzucił go lekko drwiącym spojrzeniem:

– Jak to co? Samochody pancerne... Będziemy się bić!

– Z jednym karabinem na samochód pancerny? – jęknął kapitan. – Tak was nauczyli w szkole?! Przecież miazgę z nas zrobi! Trzeba się kryć, kryć!

Podchorąży wzruszył ramionami:

– Trudno, my się będziemy bili!

Warczenie zbliżało się. Na uniesionej ręce karabinowego błysnął srebrzysty galon:

– Amunicją przeciwpancerną ładuj broń! Kapitan skoczył do cekaemu. W lewej zdrowej ręce miał visa.

– Łeb ci rozwalę, gówniarzu! Precz stąd! Ja obejmuję komendę!

Podchorążemu krew uciekła z twarzy. Wargi rozdygotały mu się jak małemu chłopcu:

– Panie kapitanie, ja muszę się bić... Panie kapitanie, przecież samochody pancerne... Panie kapitanie...

Warczenie motoru przetoczyło się przed naszym stanowiskiem i przepadło gdzieś z lewej strony drogi. Podnieśliśmy się i poczęliśmy biec dalej.

Zachodziło już słońce, kiedy odnaleźliśmy pierwsze karabiny naszej kompanii. Ostrzał artylerii odbił je na paręset metrów w lewo od kościoła. Kompania była mocno zmasakrowana, część obsługi wybita. Witaliśmy się z kolegami jak po latach niewidzenia. Od nich dowiedziałem się o śmierci majora Bartuli. Według relacji, która zdążyła już jakimś niewiadomym sposobem obiec chaotyczne pobojowisko, major podczas całej bitwy zachowywał się po bohatersku. Zginął w lesie, trafiony odłamkiem niemieckiego pocisku – w chwili, gdy organizował artyleryjskie wsparcie dla swego batalionu. Prawdopodobnie razem z nim został zabity adiutant batalionu porucznik Tytus Wilski.

Leżąc przy odnalezionych karabinach, ocenialiśmy po raz pierwszy zdarzenia kończącego się dnia. Mimo zdobycia kościoła natarcie trudno było uznać za zwycięskie, nie mąciło to jednak słodyczy odpoczynku. Zapadał zmierzch. Wokoło nas dogasała bitwa. Rozkoszowaliśmy się spokojem. Ale dogasanie bitwy to termin z zakresu wielkiej strategii. Nie ma on władzy nad zbłąkanymi kulami i nie zapewnia bezpieczeństwa poszczególnym żołnierzom. W moich oczach zginęli jeszcze dwaj amunicyjni oraz dowódca naszej kompanii – miły, dobry przyjaciel porucznik Skarbek-Kruszewski. Było już prawie ciemno, kiedy rozkaz anonimowego majora z sąsiedniego pułku ściągnął niedobitki batalionu na punkt zborny, pod kościół.

Trudno mi wprost zrozumieć, jak ta wariacka bieganina zbrojna na niezbyt rozległym przedpolu wsi mogła nam zająć wówczas tyle godzin – od wczesnego ranka do późnego wieczora. Teraz tę samą przestrzeń od skraju lasu do kościoła przebywamy z gajowymi w ciągu niespełna dwudziestu minut. Kościół jest świeżo odnowiony i lśni niepokalaną bielą. W sadzie obok przykościelnego cmentarza czerwienieją dojrzałe klapsy. Przy fatalnej studzience, ostrzelanej niegdyś przez szóstą kompanię, spryskują się wodą dwaj mali chłopcy.

Wieś żyje jeszcze wspomnieniami sprzed osiemnastu lat. Dopiero tu udaje mi się dowiedzieć, w jaki sposób zakończyła się nasza bitwa. W pertraktacjach

między walczącymi stronami pośredniczyli zakonnicy z gułowskiego kościoła. Koło południa jeden z nich przeprowadził parlamentariuszy generała Kleeberga do sztabu niemieckiego. Kapitulacja została podpisana we wczesnych godzinach popołudniowych. Mój Boże: we wczesnych godzinach popołudniowych! Biedny Józio Kruszewski, biedni dwaj amunicyjni! Głupia to rzecz – zginąć już po podpisaniu kapitulacji.

Gajowi oprowadzają mnie z dumą po nowym cmentarzu wojskowym. Niedawno przeniesiono tu wszystkie groby żołnierskie z lasu i ze starego cmentarza. Z pewnością niewiele jest w Polsce miejsc żołnierskiego spoczynku otoczonych przez ludność takim pietyzmem i taką rodzinną troską, jak ten mały cmentarzyk wojskowy, zagubiony wśród puszcz Lubelszczyzny. W powodzi świeżych kwiatów, pod jednakowymi nagrobkami z szarego piaskowca leżą tu ci, których znałem: major Bartula, nazywany Michałem Ponurym, adiutant batalionu Tytus Wilski, dowódcy kompanii Smoleński, Kruszewski.

Sztab niemiecki przyjął kapitulację polską w godzinach popołudniowych, ale artyleria niemiecka oczyszczała pobojowisko jeszcze do późnej nocy. Spod płonącego kościoła wycofywaliśmy się pod gęstym ostrzałem artyleryjskim, obchodząc pobojowisko od lewej strony. Dzięki temu mogłem naocznie stwierdzić, że poranna bitwa z lewej strony kościoła miała przebieg bardziej uporządkowany.

Odwrót nasz prowadził przez piekło. Całe pole było gęsto zasłane trupami i rannymi. Z jednej strony leżeli Niemcy – z drugiej Polacy. Błagalne ręce czepiały się w ciemności naszych biegnących nóg. Ścigały nas rozpaczliwe wołania: „Bracia, ratujcie! Polacy, nie opuszczajcie nas. Nie zostawiajcie nas samych!".

Do lasu dotarliśmy półżywi. Przywitał nas obraz zniszczenia. Strzaskane wozy taborowe. Ogromne, wzdęte brzuchy padłych koni. Po krótkiej, dretwej odprawie odwalonej przez nieznajomego majora powlekliśmy się na nocleg do tej samej gajówki, gdzie spędziliśmy noc poprzednią. Na czas bitwy urządzono tam polowy lazaret. Podłogę zaścielała zbita słoma, mokra od krwi. Śmierdziało ropą i wydzielinami. Ale można było spać. Nie myśleć o niczym i spać, spać, spać...

6 października, około godziny ósmej rano, pozostałych przy życiu oficerów batalionu majora Bartuli wezwano na odprawę do nowego dowódcy. Poszedłem tam z podporucznikiem Podgórecznym – dzisiejszym dyrektorem Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy. Dobroduszny olbrzym Podgóreczny w ciągu jednej doby postarzał się o lat dziesięć. Przepadła bez śladu jego

przysłowiowa pogoda. Zarośnięty, ponury, milczący kroczył obok mnie jak widmo klęski. Drogę leśną wypełnił zdenerwowany tłum żołnierski. Nikt dobrze nie wiedział, jaka jest sytuacja, ale wszystkich trawił ten sam głęboki niepokój. Przed leśniczówką – gdzie mieścił się sztab – stała grupa niemieckich podchorążych, wziętych do niewoli poprzedniego dnia. Otaczali ich uprzejmym kołem nasi sztabowcy. Młodzi Niemcy wyglądali butnie i nie było przy nich straży. Widok ten nie wzbudzał najlepszych przeczuć.

Zaraz za leśniczówką przypadł do nas rudy, wąsaty plutonowy z naszego batalionu. Dysząc z podniecenia, ciągnął za sobą przestraszonego żołnierza.

– Panie poruczniku, tego drania defetystę trzeba rozstrzelać! Sam słyszałem, jak rozpowiadał ludziom, że mamy kapitulować.

– Puśćcie go! – zapiał nieswoim głosem Podgóreczny. – Puśćcie go i nie urządzajcie głupich hec! Czy nie macie oczu?

Rudy plutonowy zatoczył się jak uderzony.

– A więc tak?...

W tej chwili gdzieś za nami zagrała syrena samochodowa i zelektryzował nas przeciągły okrzyk. Z kierunku Lipin przez skłębiony na drodze tłum przepychała się wielka, zakurzona limuzyna. Na stopniu samochodu stał młodziutki, zgrabny szwoleżer w garnizonowej czapce z amarantowym otokiem. Jego wspaniałe oficerki z kolczastymi ostrogami, szykowny mundur i białe rękawiczki były pokryte kurzem i spryskane czarnym błotem. Nie odejmując urękawiczonej dłoni od blachy daszka, adiutancik dobywał z siebie resztek zdartego głosu:

– Przejazd dla pana generała! Przejazd dla pana generała! Panowie, proszę się rozstąpić!

Żołnierze rozstępowali się pośpiesznie, z szacunkiem. Od wczoraj o dowódcy grupy krążyły legendy. Wszyscy wiedzieli, że w bitwie walczył w pierwszej linii, z karabinem, jak prosty szeregowiec. Mówiono, że nie chciał przeżyć klęski i szukał śmierci od kuli...

Samochód wolno przetoczył się obok nas. Przez szybę dojrzałem pochyloną siwą głowę Kleeberga. Generał nie widział nikogo. Za naszymi plecami ktoś stęknął z rozpaczą:

– To koniec! Teraz już nigdy nie będzie Polski!

Na dowódcę batalionu po majorze Bartuli wyznaczony został obcy porucznik ze sztabu. Od pierwszej chwili nie przypadliśmy sobie do gustu. Stojąc w naszych poszarpanych drelichach, zrudziałych od kurzu, fasowanych

buciorach i przepoconych furażerkach, z niemą złością patrzyliśmy na nieposzlakowaną elegancję nowego dowódcy: na jego wypucowane oficerki, kamgarnowy mundur z garnizonowymi patkami, marsowy hełm i Krzyż Walecznych na świeżej biało-czerwonej wstążce. Zwłaszcza ten krzyż wydawał się nam wręcz nieprzyzwoity.

Nowy dowódca batalionu odczytał nam rozkaz kapitulacyjny. Ze zwieszonymi głowami słuchaliśmy lapidarnych sformułowań generała Kleeberga.

„...Z oddziałów, które się oparły demoralizacji, zebrałem Was pod swoją komendę, by walczyć do końca..."

„...Chciałem iść najpierw na południe, gdy to się stało niemożliwe – nieść pomoc Warszawie..."

„...Warszawa padła, nim doszliśmy..."

„...Dziś jesteśmy otoczeni, a amunicja i żywność są na wyczerpaniu..."

„...Każę zaprzestać walki, by nie przelewać krwi nadaremnie..."

I punkt ostatni, który Niemcy wymuszali na wszystkich kapitulantach:

„...Postanowienia kapitulacji obowiązują wszystkich. Kto im się nie podporządkuje, będzie uznany za dezertera..."

Porucznik złożył papier i obrzucił nas krytycznym spojrzeniem.

– Rozkaz przekażą panowie podległym pododdziałom. Poza tym proszę dopilnować, aby wszyscy żołnierze doprowadzili do porządku umundurowanie i czysto się wygolili. Panowie zrobią to samo.

Wtedy ogromny, zarośnięty jak niedźwiedź podporucznik Podgóreczny zapytał za nas wszystkich:

– A właściwie po co mamy się golić? Na jakie święto?

Krzyż Walecznych zachrzęścił niecierpliwie na piersi nowego dowódcy.

– Jak to po co? Żeby pokazać wrogowi naszą postawę!

Ogarnęła nas wściekłość. Więc nie wczoraj na polu bitwy, tylko teraz – goleniem! Ale dalsza wymiana zdań została przecięta krótko i bezapelacyjnie:

– Rozkaz! Nie dyskutować!

Batalion „doprowadzał się do porządku" na rozległym karczowisku za gajówką Ruszcza. Widziałem, jak jakiś młody podchorąży podczas golenia płakał. Może dlatego że golił się bez mydła. A może dlatego że przegraliśmy wojnę. W pewnej chwili podszedł do mnie kapral Brzeziński i odciągnął mnie tajemniczo na bok.

– Panie poruczniku – powiedział, zniżając głos – razem walczyliśmy, więc do pana przychodzę. Po diabła nam iść do niewoli! Znalazłem tu znajomka

z wozem i końmi. Da nam cywilne ubrania. Przysiądziemy na parę dni w lesie. A później pryśniemy prosto do Warszawy...

Odrzuciłem tę propozycję bez chwili namysłu:

– Kapralu, czy nie znacie rozkazu? To byłaby przecież dezercja!

Brzeziński popatrzył na mnie jakoś dziwnie i po raz pierwszy pominął mój wojskowy tytuł:

– Ano, to już jak pan sobie uważa... Odwrócił się na pięcie i poszedł.

Później zakopywaliśmy do ziemi nasze cekaemy, żeby ich nie oddać Niemcom. Nie przypuszczałem nigdy, że pożegnanie z bronią może być ciężkim przeżyciem nawet dla zakamieniałego cywila.

Około godziny dwunastej w południe batalion wyruszył do niewoli. Szliśmy drogą leśną od gajówki Ruszcza na gajówkę Ofiara. Niemiecki punkt kontrolny, na którym mieliśmy złożyć broń, znajdował się za wsią. Zdyscyplinowany oddział majora Bartuli, osierocony przez dowódcę, w ciągu jednej nocy zmienił się w rozlazłą cywilbandę. Mimo wysiłków oficerów ludzie obsiadali gęsto wozy taborowe, szyk czwórkowy co chwila łamał się i plątał. Zamęt powiększali odprowadzający nas mieszkańcy wsi. Kobiety popłakiwały. Mężczyźni starali się wyprosić u oficerów co lepsze konie. Ja także oddałem im mego kasztanowatego wałacha. Ponieważ Niemcy mieli już wykaz etatów końskich, dla zachowania rachunku dano mi w zamian wynędzniałego do ostatecznych granic kawaleryjskiego deresza. Po raz pierwszy w życiu dosiadłem konia tak wysokiej rasy. Pod cienką, pościeraną skórą dygotała w nim każda żyłka. Ten koń wiedział, że dzieje się z nami coś strasznego.

W połowie drogi przez maszerującą kolumnę przeszedł dreszcz. Od czoła zabrzmiały okrzyki komendy: „Baczność! Na lewo patrz!". Razem z komendą szła sensacyjna plotka: generał Kleeberg z niemieckim generałem będą odbierać defiladę. Spadło to na nas jak niespodziewana obelga. Ludzie, klnąc w najohydniejszy sposób, zeskakiwali z wozów. Tłocząc się i popychając, zdemoralizowana kolumna prostowała zgięty kręgosłup. „Baczność! Na lewo patrz!" Komenda zbliżała się do nas. Jeszcze sto metrów... jeszcze pięćdziesiąt... już!

Nie było tam niemieckiego generała. Na skraju lasu stał prosty krzyż nad świeżo usypaną mogiłą. Na mogile leżała majorska czapka...

W śmiertelnej ciszy, mocno wybijając równy krok, batalion majora Bartuli defilował po raz ostatni przed swym dowódcą.

I właśnie wtedy w skupioną ciszę leśną wdarł się nowy, nieznany hałas – daleki, miarowy, stale narastający grzechot, od którego zamarły serca.

Przypominało to głos drewnianej kołatki, którą w dzieciństwie wypłaszano nas wieczorami z parków miejskich, kiedy zbyt długo przeciągała się nasza zabawa w wojsko.

Na niemieckim punkcie kontrolnym jeńcy polscy rzucali karabiny na stos. Nasza dziwna zabawa była skończona.

Marian Brandys, *O królach i kapuście*, Warszawa: Iskry, 1964, s. 249–268

1959

Zbigniew Kwiatkowski (1920–1979)

Zrozumiane ocenić

Był w polskiej prasie jak znak drogowy. Żółty trójkąt, który ostrzega przed urwiskiem, koleinami czy grząskim poboczem. Kiedy umarł, inni reporterzy pisali o nim jak o papieżu polskiego reportażu. Na zajęciach na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego w latach osiemdziesiątych Krystyna Goldbergowa podkreślała, że jego *Byłem niemilczącym świadkiem* to ekstraklasa polskiego reportażu i jedna z najważniejszych powojennych książek.

Pisał teksty gorące, pełne emfazy, retorycznych pytań i pedagogicznych wskazówek. Kiedy wydał *Niemilczącego świadka* (trzydzieści dwa reportaże z lat 1959–1964), we wstępie oznajmił, że rządzącym i rządzonym poleca rozdział pierwszy, a zainteresowanym wychowaniem – trzeci. Widział siebie jako reportera na służbie i traktował to zadanie śmiertelnie poważnie. Jego *genre* to był reportaż publicystyczny. Pełen komentarzy, uogólnień i wniosków dla władz Polski Ludowej.

> Mam nadzieję – napisał we wstępie do wspomnianej książki – że udało mi się z postawy obserwatora zachować to, co w niej najważniejsze, a więc wierność zasadzie: najpierw zjawisko poznać, poznane zrozumieć. Ale, będąc obserwatorem w służbie społecznej – czułem się w obowiązku zrozumiane ocenić, co w praktyce reportera oznacza: jedno zjawisko zasygnalizować jako postęp, drugie jako niebezpieczeństwo.

W 1967 roku na pierwszym sympozjum polskich reporterów w Kazimierzu nad Wisłą powiedział kolegom, że trudno, aby reporter ograniczał się do relacji o widzianym i zaobserwowanym. Reporter nie może tylko „zastępować czytelnika w miejscach tamtemu niedostępnych". Reporter musi więcej.

Jego styl to „zmaganie się". Głównie z socjalistyczną Polską, którą trzeba ulepszać. Wyszukiwał absurdy w gospodarce, śledził zachowania społeczne. Zaopatrzony w analizy i mądre myśli fachowców jechał na prowincję i weryfikował dane.

Opisywał na przykład Przemyśl jako miasto bez przemysłu, a więc miasto bez szans. Jednak nie zaczynał od konkretu – spotkania z bohaterem, wypowiedzi, scenki czy reporterskiej obserwacji. Zaczynał od długiego, kwiecistego i często dosadnego prologu. Dziś nazwalibyśmy to pretensjonalnością, ale na

przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych musiało się to chyba podobać. Podobnie pisał jego kolega z Krakowa Jerzy Lovell (patrz t. 2, s. 119) (środowisko reporterów nawet nazwało ten styl „szkołą krakowską"):

> Wybierając się do Przemyśla, w delegacji służbowej, w rubryce „Cel wyjazdu" napisałem: reportaż. Człowiek akceptujący wyjazd zapytał: „Przeciw komu będziesz pisał?".
>
> Zaskakuje was to pytanie? Niesłusznie. Publicysta bez przeciwnika to widok żałosny. Odpowiedziałem więc: przeciw historii.

Zanim przeszedł do właściwego tematu, podobnych akapitów miał kilka.

Na samym początku głośnego reporterskiego portretu Rzeszowa, który napisał w 1959 roku (*Rzeszów – karykatura czy awans*), Kwiatkowski wyjaśnia, na czym polega jego sposób podejścia do tematu. (Robił to w większości tekstów). I dystansuje się od kolegów:

> Podziwiam takt niektórych moich kolegów po fachu: zjeżdżają ten biedny Rzeszów jak burą sukę, ale robią to łagodnie, dobierając słów, które łatwo nawet rzeszowianom przełknąć. Poklepują – z wyżyn Warszawy czy Krakowa – to biednieńkie miasteczko, ale z wyraźnym współczuciem dla wszystkiego (i wszystkich), co się w nim dzieje. To współczucie rozbraja. Wpędza rzeszowską inteligencję i „czynniki" na pozycję obrony i wyjaśnień, zmusza do usprawiedliwień.

Oczywiście zdaniem Kwiatkowskiego rzeszowian nie trzeba oszczędzać:

> Będę mniej taktowny. Rzeszów to miasto o sparszywiałych fasadach domów. Rzeszów nie ma ani jednego kilometra przyzwoitych bruków, a dwa kilometry – wszystkiego – wyasfaltowanych ulic. Reszta to potworne kocie łby albo ulice pełne nigdy niewysychającego błota, które koła pojazdów rozbryzgują na wszystkie strony, obrzucając nim przechodniów i ściany domów. To miasto brzydkie. Bez wdzięku. Bez tradycji. Sztuczny twór „administracyjnej konieczności". Stolica-nonsens i stolica-(województwa oczywiście)-bzdura.
>
> Tak jak wyżej trzeba, koledzy reporterzy, nazywać i określać to miasto. Nie bawiąc się w sentymenty ani nie ulegając czułostkowości. Bo niby po co? Żeby tym, którzy są na nie s k a z a n i, osłodzić żywot? Niczego tym nie dokonacie. Oni sami wiedzą, jak jest.

Krystyna Goldbergowa napisała, że *Byłem niemilczącym świadkiem* mogło wyjść tylko dlatego, że chronił tę książkę „towarzysz Kałucki, wówczas

naczelnik w Głównym Urzędzie Kontroli – jeden z najmądrzejszych i najświatlejszych cenzorów, jakich spotkałam na swej wydawniczej drodze".

Zbigniew Kwiatkowski był laureatem dorocznej i w tamtych czasach bardzo prestiżowej nagrody reporterskiej, przyznawanej przez krakowskie „Życie Literackie". Dostał ją w 1959 roku. Potem w tym tygodniku zaczął drukować swoje najważniejsze reportaże. Wcześniej pracował w „Dzienniku Polskim", „Słowie Ludu" i „Gazecie Krakowskiej". Po jego śmierci reporter Romuald Karaś napisał, że na szczęście zostają z nami jego książki, które w przeciwieństwie do wielu innych nic nie stracą na swojej wartości.

Straciły, niestety, bo upadł PRL. Były zbyt doraźne. Książki, które nikogo emocjonować już nie mogą. Chociaż... proszę osądzić. Oto jeden z reportaży Zbigniewa Kwiatkowskiego: anatomia zjawiska, które mogło się pojawić chyba tylko w socjalistycznej rzeczywistości.

Miasto, które mijamy

To miasto się z zasady mija, a jeżeli nawet ktoś się tu i zatrzyma, to trudno mu się uwolnić od zniecierpliwienia: żeby jak najszybciej dalej. Albo do Zakopanego, albo – jeżeli urlop się już skończył – do Krakowa, Warszawy, Katowic, Gdyni. To miasto się mija. Co najwyżej wypija się chybcikiem kawę w cukierni mieszczącej się o krok od przystanku autobusów.

– Pięć minut postoju! – woła konduktor.

Przypomina się dyliżans, chociaż diabli wiedzą dlaczego: na linii Kraków–Zakopane kursują wygodne autobusy, niebieskie pudła bogato zdobione niklem, świetnie wykończone. Słowem: komfort, luksus, fiat.

Czasem przez rynek przemknie wytworny samochód zagranicznego globtrotera; zakołysze na wybojach i zniknie w ulicy Szaflarskiej.

Wiadomo – wiadomo było od pierwszego zdania, że mowa o Nowym Targu. Bo które z miast Rzeczypospolitej, miast większych – nie mówię tu o nic nieznaczących, uczepionych jakiejś martwej linii kolejowej stacyjkach – mija się, t y l k o s i ę m i j a? Do Sanoka i do Krosna, i do Brzozowa – a przecież to wszystko miasta mniejsze od Nowego Targu – do tych miast s i ę j e ź d z i. Jeździ dla nich samych. Ma się tu jakieś interesy. Coś się załatwia. Te miasta są czymś. Nowy Targ dla setek tysięcy ludzi, jadących do Zakopanego, Szczawnicy czy Czorsztyna, jest miastem, przez które się przejeżdża.

Kupiłem bilet do Nowego Targu.

Zostawiłem swój bagaż we wspomnianej już cukierence – przyjęli – i wyszedłem na miasto. Pada śnieg, będzie go już z pół metra. W jednym z rogów rynku grupa ludzi. Cóż się tam stało? Uwiązany za tylne nogi zwisa z drzewa co najmniej dwumetrowej długości wilk. Do futra przyczepiona kartka: „Basior zastrzelony w dniu 26 stycznia w Łapszach". Łeb ogromny. Żółtawe, długie kły, matowe, suche – sterczą z wpół otwartego pyska. Na boku – dostał chyba w komorę – czerwienieje krew.

– Byłoby z niego niezłe futro...

Ze swoją uwagą zwracam się do stojącego obok mnie mężczyzny, który przed chwilą odpalił ode mnie papierosa. Ten patrzy na mnie z politowaniem:

– Futro? Z wilka? Widział pan takie? (Widziałem – ale nie mam odwagi się do tego przyznać, pewność siebie przejawiana przez mojego rozmówcę

jest miażdżąca). Co najwyżej można to wyprawić, podbić materiałem. W sam raz na podłogę.

– Ale... – próbuję oponować.

– Co za „ale". Nie ma żadnego „ale". Ja to panu mówię...

„Ja"? Kto to jest? Ależ tak: przecież kiedy odpalał papierosa, widziałem jego ręce. To jeden z ludzi, których poszukuję w tym mieście. Paznokcie ma jegomość wyraźnie przyczernione, skóra na palcach szczególny odcień: mój rozmówca jest jednym z nowotarskich garbarzy. Jednym z tych, o których się tu mówi: ci mają forsy jak lodu. Oni tu rządzą.

Ilu ich jest? Oficjalnie nie ma ani jednego. Nikt – do tej pory – n i k t nie ma prawa wyprawiania skór futerkowych. Nikomu poza rzemieślnikami zrzeszonymi w spółdzielni pracy „Beskid" nie wolno wyprawiać, przetwarzać niepozornych baranich skór w piękne, nieróżniące się niczym od importowanych błamy czy też modne tu ostatnio gotowe kurtki, zapinane na błyskawiczne zamki.

Więc oficjalnie nie ma ani jednego, ale ilu ich jest w rzeczywistości? Wszędzie, gdzie o to pytałem, padała nieodmiennie liczba: czterysta. Czterysta warsztatów.

Jeden z moich rozmówców, z zawodu inżynier chemik, a przy tym rybak amator, badał wodę w Dunajcu i wykrył w niej zawartość chromu – składnik środków garbujących – powyżej ścieków istniejącej w Nowym Targu maleńkiej garbarni, ale poniżej wpływu miejskiego kanału. W zagrażającym rybom stężeniu, dowodzącym niezbicie, że w mieście, w którym oficjalnie nikt nie wyprawia skór, skóry te wyprawia się, i to masowo. Dowodów równie niezbitych jak przytoczony wyżej można znaleźć wiele. Zresztą kto o tym nie wie, i to nie tylko w Nowym Targu, ale w Krakowie i Warszawie, w Katowicach i Zakopanem? Kto nie wie, że w Nowym Targu można piękny błam futrzany kupić o kilkaset złotych taniej niż w handlu państwowym? Naiwni nie wiedzą. Ale mniej naiwni wiedzą doskonale, że na futrach nowotarskich można zrobić świetny interes. Wystarczy zakupić tu kilka skór i wywieźć je do Katowic – dla przykładu. Albo do Warszawy. Zysk osiągnięty na jednym błamie pokrywa koszty podróży. Reszta to c z y s t y zysk, nieskażony podatkiem... I dobry zysk. Nietrudno skóry sprzedać. Jeżeli błam ładny, to i za importowany ujdzie.

Dowody są. Ale wszystkie są tej samej natury jak ten, który mi przedstawił wspomniany inżynier: chrom w Dunajcu. Wiadomo, że w Nowym Targu wyprawia się skórki, ale nie wiadomo, kto je wyprawia. Skóry wyciekają – podobnie jak chrom do Dunajca – podziemnym kanałem. Nocą. Na światło

dzienne wynurzają się daleko od źródeł. Dowody w postaci ściemniałych paznokci? Za ściemniałe paznokcie nikogo żaden prokurator nie zamknie. Trzeba mieć w ręce dowód przestępstwa: skórki zanurzone w roztworze garbującym. Wtedy dopiero prokurator „da sankcję". Skóry, z ukrytego – bywa, że i w lesie – dołu, wędrują na milicję, stamtąd do warsztatów spółdzielni albo warsztatów liceum garbarskiego (trzeba przecież ratować cenny surowiec i dalej prowadzić proces garbowania), a stamtąd – często, często... – z powrotem do ich posiadacza. Tak. Bo okazuje się, że zatrzymane skóry to te same właśnie, które – na przykład – zostały zakupione od państwa za dewizy. (Dla wyjaśnienia: niektórzy nowotarscy kuśnierze zakupują ze źródeł państwowych partie skór importowanych za dolary). I bywa – z reguły tak bywa – że zwrotowi ulegają znaczniejsze partie skór: trzysta, czterysta sztuk. Jeżeli milicja znajdzie pięć albo dziesięć, te przepadają na rzecz państwa. Przestępstwo jest wyraźne. Kto garbuje pięć skórek, ten – czego się łatwo domyślić – nie ma nadmiaru waluty...

I tak ten świat się toczy. W oficjalnych statystykach nie ma śladu całego problemu. W rzeczywistości w Nowym Targu prosperuje skomplikowane, świetnie zorganizowane, bogate, obracające setkami tysięcy złotych – a może setki tysięcy to liczba zbyt skromna? – podziemie gospodarcze.

Aby mu się odrobinę przyjrzeć, zatrzymałem się w mieście, które się z reguły mija.

Jak do tego podziemia dotrzeć? Poznać jego mechanizm i prawa, które tym światem rządzą?

To nie jest łatwe. To prawie niemożliwe. Nowy Targ chce być miastem, które się mija. Dziennikarz czuje, jak między nim a życiem tego miasta powstaje – z każdą chwilą grubsza – szklana ściana. Nie jest w swojej izolacji odosobniony. Odnoszę wrażenie, że podobnie izolowani żyją przedstawiciele urzędów i władz. Izolację można złamać, ale za cenę współuczestniczenia w życiu, które toczy się podziemnym nurtem. Za współudział w tym dziwnym, utajonym życiu – i w zyskach, które ono daje – płaci się zależnością od jego co poważniejszych przedstawicieli. Walutą jest milczenie. Dzieje się to niedostrzegalnie. Maleje czyjaś aktywność. Skromny człowiek zaczyna wydawać w miesiącu więcej, dużo więcej, niż wynoszą jego pobory. Wreszcie wpada. Ale teraz jest już nikomu niepotrzebny. Nie pokryje swoim działaniem żadnej machlojki, nie przestrzeże przed kontrolą nielegalnych garbarni. Teraz dostanie co najwyżej od czasu do czasu ochłap za milczenie o dawnych sprawach, o których wie. Ale to już są nędzne grosze.

Wiem, że mało w tym reportażu konkretów – nie ma nazwisk ani cyfr. I nie będzie ich do końca. Żaden urząd statystyczny nie notuje obrotów podziemnego rynku. Żaden urząd nie odnotował liczby dokonanych transakcji. Są tylko ich ślady.

Czasem pies wywlecze skądś tuszę baranią – wywlecze na widok publiczny. Jakiż stąd wniosek? Może cena żywego barana kształtuje się niżej od ceny skóry, a może transport skóry na żywym baranie przedstawia mniejsze ryzyko. W okolicznych lasach znajdowano mięso baranie, co dowodzi, że ubito tu nie jedną, nie pięć i nie dziesięć sztuk. Śmierdziało to w lesie i trudno było nie znaleźć.

Czerwone mury blisko dwustu wznoszonych w Nowym Targu domów. Za co budowanych? Wiadomo. Powszechnie wiadomo. Tu nawet wiadomo kto. Wiadomo za ile. Cena parceli budowlanej sięga stu pięćdziesięciu złotych za metr kwadratowy. Ale wiadomo także, że miasto buduje wszystkiego rocznie mniej niż sto izb, a potrzeby miasta rosną.

A czego dowodzą dziesiątki prywatnych samochodów? Setki motocykli tłukących się po wąskich ulicach miasta i po rynku w wiosenne i letnie popołudnia?

A co sygnalizuje taki fakt: uczeń miejscowego liceum garbarskiego, który opuścił kilka dni, usprawiedliwia swoją nieobecność w sposób następujący:

– A pomagałem tam takiemu jednemu.

– Ileś za to dostał?

– Trzysta złotych za dniówkę...

Oczywiście moja „statystyka" jest niepełna. Warto ją uzupełnić jeszcze jedną pozycją: w roku 1958 na Fundusz Budowy Szkół uzyskano jako dopłatę do wypijanej wódki trzy miliony dziewięćset tysięcy złotych. I jeszcze: jeden z kiosków prowadzących także wino w ciągu jednego dnia sprzedał wina za szesnaście tysięcy złotych. (Cały utarg wyniósł tego dnia dwadzieścia tysięcy).

Ale to wszystko to zewnętrzne objawy rzeczy dziejących się głęboko pod powierzchnią. To bogate życie jest udziałem c z ę ś c i mieszkańców Nowego Targu. Obok tych, którzy swoje miesięczne dochody w sezonie liczą na dziesiątki tysięcy – trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, kto to wie dokładnie? – żyją tacy, którzy liczą na setki: robotnicy zakładów obuwniczych, urzędnicy, pracownicy handlu uspołecznionego. A także ci, którzy – też nielegalnie – wyprawiają nie trzysta czy pięćset skór w miesiącu, ale dziesięć, piętnaście. Proletariat garbarski.

Więc z jednej strony urzędnik, milicjant, nauczyciel, z drugiej kto? Kapitalista? To zbyt pojemne słowo. Spekulant? Oczywiście, ale nie tylko, bo mijający

się z obowiązującymi przepisami nowotarski kuśnierz jest rzemieślnikiem, nieraz świetnym fachowcem z dziada pradziada.

Pozostawmy na chwilę na uboczu sprawę zakwalifikowania czynów i ludzi. Przyjrzyjmy się zjawisku, którego także można się raczej domyślać, niż je zaobserwować – procesom pojawiającym się na styku dwóch formacji, dwóch grup ludzkich, z których jedna ma władzę, druga pieniądze. Jedna obowiązki – druga zyski.

Dla przedstawicieli pierwszej tysiąc złotych to często całomiesięczny zarobek, dla przedstawicieli drugiej setka to – złotówka. (Słyszałem, jak mówiono: – Ile kosztuje dobry błam? – Siedemnaście złotych. – Ile? – pytam. – No, siedemnaście setek). Co się dzieje? Słyszałem:

– Lepszy garbarz zarobi w miesiącu w sezonie pięćdziesiąt koła. No, ale na czysto zostanie mu nie więcej niż trzydzieści. Bo to trzeba tu i tu... (uśmiech). Czasem trzeba kogoś gdzieś zaprosić, wypić...

Jeden z poważnych działaczy miejscowych, człowiek, który w Nowym Targu pracuje od niedawna, mówi mi:

– Próbowano i mnie złamać, kupić, skończyć. Wiem, że przeprowadzano cały wywiad: Pije? Pieniądze lubi?

A może kobiety?

Człowiek, o którym mowa, nie pije, pieniądze pewnie lubi, ale uczciwie zarobione. Mimo iż do dziś nie ma mieszkania, do pokoiku służbowego sprowadził żonę z dzieckiem. Zawsze to pewniej...

Tysiąc dwieście, tysiąc siedemset złotych z jednej strony i pięćdziesiąt tysięcy, trzydzieści albo nawet tylko dwadzieścia – z drugiej. Trzeba się bronić. Pieniądz daje pozycję. Bronić przed wymówkami żony, która raz na miesiąc chce być w Zakopanem, odległym przecież tylko o dwadzieścia cztery kilometry. Taka wyprawa kosztuje dwieście złotych. Bronić się, ale jak? Można wziąć wykłady w TWP[1]. Za odczyt w odległej o kilkanaście kilometrów wsi – śnieg, zamieć – dostać można sto pięćdziesiąt złotych. Można się bronić inaczej. Można – tak robi kierownik jednej z bardzo poważnych instytucji powiatowych, poważnej i ważnej – hodować kury. Na fermie jest kur sto dwadzieścia – ferma, prowadzona do spółki z kimś drugim, daje w efekcie około trzystu, czterystu złotych dodatkowego dochodu. Syn na studiach, co robić. Rzeczywiście, co robić? A co odpowiedzieć synowi, który pyta, czy nie lepiej jednak rzucić studia i zająć się jakąś pożyteczniejszą robotą?

A pożyteczna robota w Nowym Targu to nie tylko wyprawa skór. Są i inne, może bardziej ryzykowne, ale za to równie intratne, niewymagające natomiast żadnego fachowego przygotowania: handel dolarami, przemyt.

[1] TWP – Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, patrz s.699, przyp.5.

Źródłem dolarów jest okoliczna wieś. Nie znajdziesz tu rodziny, która by nie miała kogoś w Ameryce. W listach przychodzą „zielone" – po dziesięć, po pięć. Mieszkaniec dalekiej wsi nie zawsze jest zorientowany w aktualnej, obowiązującej – na czarnym rynku oczywiście – cenie dolara. Świetny interes. Trzeba tylko mieć firmę – ale to przychodzi z czasem.

Albo przemyt: z Polski do Czechosłowacji nosi się swetry, wełniane szale (tak zwane tybetanki), spirytus. Z Czechosłowacji do Polski dolary, kalkę techniczną, czasem jeszcze buty. Pewne możliwości daje handel wełną, no i „ciuchy".

Na granicy dwóch światów trzeszczą i pękają ludzkie zasady. Gdyby się dobrze wsłuchać, byłoby chyba słychać chrzęst łamanych kręgosłupów (moralnych oczywiście). A kiedy ten nie pęka, można złamać prawdziwy. W jednej ze wsi w powiecie nowotarskim przetrącono go sekretarzowi organizacji partyjnej. Sprawcy nieznani.

Mowa prokuratorska skończona. Obraz może tu i ówdzie lekko przyczerniony, może tu i ówdzie lekko niedoczerniony. Rejestr przestępstw gotowy. Teraz kolej na sankcje.

Przepraszam – co? Sankcje? Teraz? Dlaczego nie dwa, trzy, pięć lat temu? Czy brak było odpowiednich ustaw i zarządzeń, czy nie dysponuje nimi milicja, prokurator i sąd? Wydział finansowy i wydział przemysłowy PPRN[2]? Mogę czytelnika uspokoić: podstawy prawne do zwalczania wszystkich wymienionych wyżej – i niewymienionych – przestępstw istnieją od lat. Zarządzenia ministerstw i różnych szczebli władz terenowych. Milicja działa. Aresztowań sporo. Żaden z dwudziestu kilku nowotarskich adwokatów nie narzeka na brak klienteli. Żaden z jedenastu sędziów i asesorów – na brak zajęcia, tym bardziej że świadkowie nie grzeszą niezłomnością. A mimo wszystko sytuacja się nie zmienia.

Czy mieszkańcy Nowego Targu to urodzeni przestępcy? Czy na losach tego miasta tak zaważyła jego niedawna przeszłość? (Okupacja, banda Ognia[3]). Takie wyjaśnienie nie wytrzymuje krytyki. Pewnie – jest w cechach mieszkańców tego podgórskiego powiatu i jego stolicy wiele spotykanych (nie tak powszechnie) gdzie indziej, i to nie najlepszych. Podhale pije. Sprawa Łojasa[4] też o czymś świadczy. Ale te czynniki nie tłumaczą sytuacji istniejącej w Nowym Targu.

Rozmowa, którą zrelacjonuję niżej, miała dzięki przypadkowi szczególną oprawę. Siedzieliśmy w jednej z licznych prywatnych restauracji. Wódki tam nie podają, więc siedzieliśmy przy ćwiartce przyniesionej z miasta. (Gospodarz

[2] PPRN – Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, patrz s.573, przyp.1.

[3] Banda Ognia – oddział partyzancki Józefa Kurasia, pseud. Orzeł, Ogień. W czasie drugiej wojny światowej Kuraś współpracował z AK, AL i partyzantką sowiecką, w latach 1945–1947 wraz ze swoim oddziałem zwalczał władzę komunistyczną na Podhalu.

[4] Chodzi o proces Józefa Łojasa, parobka, który w 1958 roku w Bukowinie po pijanemu bez żadnej przyczyny zabił palikiem wyrwanym z płotu napotkanego na drodze młodego turystę Marka Ormana.

lokalu nic o tym nie wiedział). Szła rozmowa „o fachu". Dębiałem, słuchając, co można zrobić z dobrej skóry baraniej (mój rozmówca uchodzi za jednego z najlepszych fachowców). Ćwiartka się skończyła i w tej chwili właśnie zgasło światło. (Pewnie stopki[5]). Dalsza rozmowa toczyła się w ciemności.

– Czy pan myśli, że my chcemy tak żyć? Pod strachem, w oczekiwaniu na najście milicji, na rewizję? Myśli pan, że przyjemne jest spotkanie z prokuratorem? My tak musimy żyć. Mam koncesję na warsztat kuśnierski – koncesję ma czterdziestu innych. Za koncesje zapłaciliśmy po kilka tysięcy. Możemy robić błamy i szyć kożuchy. Ale z czego? Nie dostajemy przydziału materiałów. Kombinujemy... Czy pan by na moim miejscu postąpił inaczej?

Nie odpowiedziałem.

– Niech pan nie myśli, że my (miał na myśli kuśnierzy koncesjonowanych) sami garbujemy skórki. Nie, mój panie, garbuje pozostałych trzystu sześćdziesięciu.

– Czy dla was?

Teraz on nie odpowiada.

– Z czegoś trzeba żyć. A jeżeli się ryzykuje, to już trzeba ryzykować tak, żeby się opłaciło. Ukraść tysiąc złotych czy ukraść dziesięć tysięcy to już n i e d u ż a różnica. Jeżeli mam już być przestępcą...

Światło się zapaliło i mój rozmówca zesztywniał.

– Co ja tu będę opowiadał, każdy panu powie to samo. Każdy. I milicjant to wie, i urzędnik ze starostwa. Wszyscy to wiedzą, że przepis nieżyciowy. I nic. Jak było, tak jest. Stąd sami złodzieje w Nowym Targu. Bo życie jest życiem.

Życie jest życiem. Każdy to wie. W miejskiej radzie, w powiatowej i wojewódzkiej. W Ministerstwie Przemysłu Lekkiego? Tam – do niedawna – chyba nie wiedzieli jednak. Bo jest faktem: kuśnierze nowotarscy przydziału skór nie dostawali. Byli co najwyżej tolerowani. (Stąd koncesje). Jeden z nich, odznaczony na Targach Poznańskich złotym czy srebrnym medalem, po powrocie do Nowego Targu musiał się gęsto tłumaczyć, skąd wziął materiał na wykonanie odznaczonych wyrobów...

A życie jest życiem.

Czy trudno sobie wyobrazić postępującą konsolidację grupy ludzi, którzy – przez sam fakt wykonywania zawodu – stawali poza prawem? Konsolidacja grupy była zjawiskiem nieuchronnym. Wiadomo przecież, że nic tak nie łączy jak zagrożenie. Powstawała mafia – mafia dysponująca poważnymi środkami pieniężnymi. Wzorem stawał się cwaniak, który umiał kpić w żywe oczy z władz i przepisów. Dobre rzemiosło traciło na wartości.

[5] Stopka – bezpiecznik.

Życie jest życiem. Jak myślicie: czy przedstawiciel władzy może działać konsekwentnie, z przekonaniem, skoro sam nie jest przekonany o słuszności zarządzenia, które ma stosować? W Nowym Targu podziemie gospodarcze dzieli od ludzi zza biurek przepaść, ale ta przepaść po ośmiu godzinach urzędowania – na pozostałą część dnia się zwiera. Urzędnik wydziału finansowego (to oczywiście tylko przykład) spotyka się z kuśnierzem przy piwie, na rybach, w parku, na meczu hokejowym. Znają się. Jan pyta Franciszka:

– Czego chcesz, przecież przydziału nie dają...

Co odpowie Jan? W biurze zasłoni się zarządzeniem. W biurze Jan jest urzędnikiem, w parku, na boisku hokejowym – sąsiadem.

Życie jest życiem. I dlatego co drugi mój rozmówca powiada mi:

– P r y w a t n i e ja wiem dużo...

Miasto, które się mija, i problem, który mija się od dziesięciu już lat. A przecież jest jakieś wyjście. Receptę – zadziwiające: wszędzie brzmiała tak samo – odstępowano mi tanio, ale bez nadziei, że ją ktoś zastosuje: trzeba dać przydziały skór nowotarskim rzemieślnikom. Duże przydziały i nie dziesięciu czy piętnastu, ale wszystkim, którzy się wykażą prawem do prowadzenia rzemiosła. Jednocześnie zorganizować – na prawach wyłączności – skup gotowych produktów przez państwo. Zorganizować, co nie wydaje się trudne, eksport gotowych wyrobów, którymi zachwycał się już niejeden turysta mijający miasto. A wtedy każde przestępstwo karać – i to tak karać, żeby kara była zapamiętana.

Sprawa handlu dolarami. I tu jest jakieś rozsądne wyjście: uruchomić, podobny do istniejącego w Krakowie, sklep PKO. Pośrednika prywatnego zastąpić państwowym.

Słowem: i w jednym, i drugim wypadku inicjatywie podziemia przeciwstawić inicjatywę władzy. Władza operująca tylko zakazem? Nic smutniejszego od obrazu takiej władzy.

Są rozwiązania. Mówią o nich działacze terenowi. I co?

I – jak dotąd – nic. Bo jak dotąd niektórzy ludzie rozumują widocznie tak: łatwiej kogoś przymknąć, niż wychować.

Łatwiej?

Zbigniew Kwiatkowski, *Byłem niemilczącym świadkiem*, Warszawa: Iskry, 1965, s. 154–165

1960

Janusz Rolicki (ur. 1938)

W masce

Jako dziennikarz był w Polsce prekursorem dwóch odmian literatury faktu.

Przeprowadził pierwszy wywiad rzekę. W *Przerwanej dekadzie* (1990) rozmawiał z Edwardem Gierkiem, byłym pierwszym sekretarzem KC PZPR, który został odsunięty od władzy po Sierpniu '80 i odciął się od świata. Nie zaufał żadnemu dziennikarzowi poza Rolickim.

> Wyczułem – mówił reporter – że jest koniunktura na opowieść o upadłym aniele, który przez dekadę codziennie pojawiał się w każdym domu – na ekranie telewizora.

Przerwana dekada rozpoczęła u nas modę na wywiady rzeki i była pierwszym hitem wydawniczym nowej, kapitalistycznej Polski. Czytelnicy spragnieni byli książek mówiących „prawdę" i ukazujących się w oficjalnym obiegu. Literatura faktu zyskała nową odmianę. Nie lubię zaglądać innym autorom do portfela, ale w tym przypadku warto poprzez portfel Janusza Rolickiego pokazać, jak wielkim sukcesem wydawniczym była ta nowa wtedy w formie książka:

> Wygrałem los na loterii – opowiada reporter. – Pieniądze dostawałem od Górskiego [właściciel wydawnictwa BGW] i zabierałem je od niego w foliowych reklamówkach. Z prowizji od ceny hurtowej uzbierał się miliard. Wtedy jeszcze nie było PIT-ów, obowiązywał podatek wyrównawczy. Zjawiłem się w skarbówce i zakomunikowałem, że mam do zapłacenia trzysta dwadzieścia milionów – urzędniczka była zaszokowana. Za pieniądze z *Gierka* wybudowałem segment w Warszawie, kupiłem mazdę 626, zabrałem córkę na narty w Alpy.

Janusz Rolicki zainicjował także w Polsce reportaż wcieleniowy. W tej odmianie reportażu dziennikarz wnika w jakieś środowisko, nie zdradzając swojej roli ani nie ujawniając tożsamości. Staje się częścią opisywanej przez siebie grupy. Często myli się ten typ reportażu z reportażem uczestniczącym. W tym drugim reporter uczestniczy w jakichś wydarzeniach, ale może brać w nich udział najzupełniej jawnie. We „wcieleniówce" czy też „przebierance", bo tak nazywamy w naszym żargonie reportaż wcieleniowy, tożsamość reportera pozostaje ukryta.

Najbardziej znanym autorem „wcieleniówek" jest niemiecki reporter

Günter Wallraff, który udawał Turka, Somalijczyka, robotnika, bezdomnego, dziennikarza tabloidu czy, całkiem niedawno, pracownika call center.

> Nie umiem pisać „z zewnątrz". Muszę poczuć to na sobie – wyznaje Wallraff i tak tłumaczy ideę wcieleń: – Gdy trzeba upowszechnić maskowaną prawdę, konieczne jest założenie maski.

Janusz Rolicki przekonał się o tym już w 1960 roku, na kilka lat przed Wallraffem, kiedy jako dwudziestodwulatek został reporterem w przebraniu.

Jego reportaż wcieleniowy tym różni się od reportażu Jerzego Urbana (patrz s. 705), że Urban stworzył dla reportażu sytuację sztuczną, do której wciągał nieświadome niczego bohaterki. Rolicki wchodził w świat zastany.

Jest absolwentem historii na Uniwersytecie Warszawskim, był reporterem „Polityki" i „Kultury", gdzie w latach 1968–1972 kierował działem reportażu, od 1974 roku – w Telewizji Polskiej; jako szef działu kultury stworzył i prowadził bardzo popularne programy: *Godzina szczerości*, *Sam na sam*. W stanie wojennym przez dwa i pół roku miał zakaz pisania.

Pomysł na reportaż *Janek, podaj wapno* podrzucił ówczesny sekretarz redakcji „Polityki" Dariusz Fikus. Zaproponował Rolickiemu pracę na budowie, bo młody praktykant błąkał się po redakcji bez celu: „Popracuj, a potem opisz, co widziałeś".

> To nie była III RP, ludzi do roboty potrzebowano wszędzie, zwłaszcza w budownictwie – opowiadał Krzysztofowi Pilawskiemu. – Miałem opory z powodu dwuznaczności sytuacji. Odnosiłem wrażenie, że oszukuję robotników. Przyszedłem ich opisać, a oni o tym nie wiedzieli. Ta wątpliwość mnie nie opuszczała przez cały czas pracy. [...] Gdyby nie moja wrodzona ambicja, nie wykonałbym takiego numeru. Poza tym dla mnie to był duży wysiłek – dwa miesiące pracy przy łopacie. Tłumaczyłem sobie, że warto, bo pokażę prawdziwy obraz polskiego budownictwa.

W tym czasie amerykański reporter John Howard Griffin przygotowywał książkę *Czarny jak ja*. Żeby przekonać się, jak Amerykanie traktują Afroamerykanów, łykał pigułki zmieniające pigmentację skóry. Jego książka wyszła w Stanach w 1961 roku, a rok później w Polsce. Rolicki mówił, że nie rzuciła go na kolana, ale umocniła w przekonaniu, że to, co robi, ma sens.

Już po wydrukowaniu pierwszego z trzech odcinków „pamiętnika z budowy" Janusz Rolicki został uznany za autora szlagieru. Rzecz jasna – niewygodnego dla władzy. Jak mówił, zamachnął się na świętość, czyli klasę robotniczą. Jej część – murarze – była dotąd wyłącznie opiewana, w piosenkach i wierszach, bo to ona dźwigała z ruin Warszawę.

W gazetach – tłumaczy reporter – zdarzały się drobne wzmianki, że jakiś robotnik coś wyniósł z budowy lub fabryki. Ale to nie wpływało na obraz całej klasy robotniczej. [...] Ludzie rządzący krajem zdawali sobie sprawę, jaka jest klasa robotnicza, ale nie upoważniali nikogo, by ją zdejmował z cokołu. [...]

Minister budownictwa zwołał kierownictwo ministerstwa i zaprosił kolegium redakcyjne:

Minister zwrócił uwagę na ocenę budowy. Mówił do mnie: „Panie redaktorze, artykuł byłby bardzo dobry, gdyby w ostatnim zdaniu mógł pan napisać, że ten budynek, który budowaliście z pana udziałem, zawalił się z hukiem. Ale dom stoi, z powodu pana artykułu kontrola była przeprowadzana i wykazała, że jest w dobrym stanie, nikt nie zgłasza zastrzeżeń. To o co ta cała awantura?". Fikus pocił się, tłumacząc sens reportażu. W końcu wyszło na to, że ministerstwo uznaje uwagi redakcji.

Janusz Rolicki na kilka lat został specjalistą od wcieleniówek, przygotowywał jedną, dwie rocznie. Pracował w pegeerze, likwidował szkody rolnicze (dawano mu za to łapówki), klasyfikował trzodę chlewną, pływał statkiem rybackim, zapisał się do junaków, spał na dworcu. Kontynuatorem jego metody był w latach siedemdziesiątych Jacek Snopkiewicz (*Człowiek w bramie*), „wcieleniowiec miejski", warszawski, bo Rolickiego bardziej ciągnęła prowincja.

Janek, podaj wapno razem z dwoma innymi tekstami miały się złożyć na debiutancką książkę Rolickiego. Niestety, cały nakład poszedł na przemiał, wstrzymała go cenzura. Kilka lat później redaktorka Iskier Krystyna Goldbergowa spróbowała raz jeszcze – dołożyła kilka innych reportaży, a urząd cenzury oznajmił, że zakaz odwiesi, jeśli Rolicki dopisze do każdego reportażu postscriptum.

Postawiono warunek: muszę do reportaży napisać happy end. Ich wymowa miała być taka: rzeczywistość jest trudna, ale Polska się zmienia. Zgodziliśmy się na te dopiski – nazywaliśmy je ogonami – by uratować książkę. Do dziś czuć, że to obce ciało, osłabiające autentyzm i drastyczność tekstów. Inteligentni czytelnicy w PRL doskonale orientowali się, że to danina złożona socjalistycznej prawomyślności.

Tytuł książki *Brałem łapówki* wymyślił Stefan Kozicki.

Janek, podaj wapno

15 lipca. Zgłaszam się do jednego ze stołecznych zjednoczeń i proszę o pracę w charakterze robotnika niewykwalifikowanego. Kadrowy przegląda moje papiery, dowód i wysyła na badanie do ambulatorium. W ambulatorium dostaję z kolei skierowanie na prześwietlenie i morfologię.

16 lipca. Tracę pół dnia na prześwietlenie w szpitalu na Kasprzaka.

18 lipca. Przychodzę na morfologię, stoję w kolejce wraz z kilkunastu nowo wstępującymi.

20 lipca. Otrzymuję wyniki badań i po pięciominutowej wizycie u lekarza – ze stempelkiem „zdolny do pracy" – przychodzę ponownie do kadr. Dostaję piękną teczkę, która szybko pęcznieje od moich powstających tutaj akt. Czeka mnie teraz przeszkolenie bhp.

Wchodzę do sąsiedniego pokoju, przy czterech biurkach siedzi czterech panów. Przerywam im pośniadaniową sjestę. Są z tego wyraźnie niezadowoleni. Po kilku minutach opowiadam już dzieje swego żywota.

– Pan nie pracował na budowie?

– Nie.

– Robota jest ciężka, brudna, może by pan wziął coś innego?

Jestem jednak nieugięty. Mój rozmówca, ziewając, tłumaczy:

– No bo, widzicie, ja nie wiem, gdzie pan będzie pracował, czy w transporcie, czy przy maszynach, czy też jako betoniarz, dlatego też nie mogę panu udzielić dokładnych informacji, jak zachowywać się na budowie, aby uniknąć nieszczęśliwego wypadku przy pracy. Niech pan jednak szczególnie uważa, pracując przy windzie. Jeśli będzie wam na głowę leciała cegła, to... uskakujcie.

Na zakończenie rozmowy dostaję instrukcję z uwagami w stylu „używaj narzędzi ręcznych w należytym stanie" i podpisuję blankiecik, w którym czarno na białym stwierdzam, że jestem już „przeszkolony i poinformowany o grożącym niebezpieczeństwie na danym stanowisku pracy". Co najciekawsze jednak, ani ja, ani tym bardziej behapowiec nie wiemy, jakie to będzie stanowisko.

Wracam znów do kadr. Niemalże jestem przyjęty do pracy. Moją umowę ma tylko podpisać dyrektor. To jedynie formalność. [...]

23 lipca. Przyjeżdżam na budowę o szóstej czterdzieści. Otrzymałem przydział do majstra G. Mój szef wypytuje, skąd przybyłem, czy pracowałem już itd., itp.

Tłumaczę, że jestem studentem, chcę trochę zarobić, dlatego przyszedłem na budowę.

– Dobrze – odpowiada majster – znajdziemy dla pana robotę.

Przyglądam się swemu nowemu warsztatowi pracy. Będę pracował przy wykańczaniu dużego, czteropiętrowego domu. Dzisiaj załoga przystępuje właśnie do budowania stropu. O siódmej schodzą się robotnicy.

Zostaję przydzielony do grupy betoniarzy – patrzą na mnie podejrzliwie. Jeden z nich pyta:

– Po coś pan tu przyszedł, nie mogłeś pan znaleźć lepszej roboty?

Noszę na windę płytki dachowe. Robota jest ciężka. Pot kapie z czoła. Na szczęście mój współpracownik Bogdan jest sympatycznym chłopcem. Wypytuję go, ile można zarobić i jaka jest praca. Bogdan odpowiada – znamy się zaledwie około czterech godzin – że dobrze zarobić mógłbym, jeślibym znalazł kupca na materiały budowlane.

– Pracując normalnie, wyciągniesz co najwyżej dwa patyki.

Dziś sobota – wypłata. Wszyscy są podnieceni. O jedenastej trzydzieści bractwo zaczyna się wymykać po pieniądze, a o dwunastej praca na budowie zamiera. Co prawda praca w sobotę trwa do godziny trzynastej, lecz kto by się tam na to oglądał w tak uroczystym dniu. Majster trochę zrzędzi, ale nikt nie zwraca na niego uwagi.

25 lipca. Wstaję o piątej trzydzieści. Pędzę do pracy. Przychodzę przed siódmą. Paskudna pogoda, leje deszcz, jest zimno. Idę z majstrem do magazynu. Otrzymuję – na swoje nieszczęście, jak się później okazało – nową łopatę i taczki. Z tym ekwipunkiem wracam na budowę. Wozimy taczkami beton. Na dachu kładą właśnie strop. Bogdanowi podoba się moja łopata, chce ją kupić, przydałaby się w domu. Jestem żółtodziobem, więc nie sprzedaję. Rozmawiamy o majstrze, podobno pies, nie człowiek. Jak na gust Bogdana jest zbyt sumienny. Za kilkuminutowe spóźnienie odpisuje godziny. Nie da się obijać, wciąż tylko gania do roboty. Mam pecha, na sąsiedniej budowie majstrem jest podobno „swój człowiek". Pozwala na wszystko. Często też mówi: „Pijesz, bracie, jeden dzień, to pij, pijesz dwa, trzy dni, to pij, ale potem pracuj".

Kapuśniaczek wciąż pada. Niewygodnie jest wjeżdżać taczkami na windę. Rozlałem trochę betonu. Bogdan mi pomaga w sprzątaniu. Godzina dwunasta – rozpoczyna się tak zwany obiad. Wszyscy siadają gdzie popadnie, jedzą chleb z kiełbasą, kaszanką albo boczkiem. Opowiadamy soczyste wice, mocno zaprawione łaciną kuchenną. Godzina dwunasta trzydzieści – koniec obiadu. Nosimy we czwórkę belki stropowe, ciężkie są, bestie. Od czternastej wożę taczkami trociny zmieszane z ziemią. Godzina piętnasta dziesięć – jeden z murarzy mówi do mnie: „Co to, fajrant, a ty jeszcze wozisz?". Fajrant oficjalnie zaczyna się o piętnastej trzydzieści. Małe nieporozumienie na budowie. Betoniarze na górze chcą jeszcze trocin. Windziarka nie daje mi jednak ładować na windę i krzyczy do nich.

– Chała, fajrant już, koniec roboty, co wy tam, wariaci, wyprawiacie?

Betoniarze ustępują. O piętnastej piętnaście robota zamiera, a o piętnastej trzydzieści ostatni robotnicy opuszczają budowę.

26 lipca. Przychodzę do pracy o szóstej czterdzieści. Majster już jest. Podobno codziennie zjawia się w pracy kilka minut po szóstej. Pracę oficjalnie zaczyna tak jak i my – o siódmej. Zaczynam coraz lepiej poznawać moich nowych kolegów. Wszyscy betoniarze i niemal wszyscy pomocnicy murarzy, czyli tak zwani robotnicy niewykwalifikowani, pochodzą ze wsi podwarszawskich, tylko majster, grupowy i operator są z Warszawy. Windziarka i jeden betoniarz mieszkają w hotelu robotniczym. W Warszawie także mieszkają fachowcy: hydraulicy, elektrycy i monterzy.

Robotnicy niewykwalifikowani – stanowią oni oczywiście większość – dowożeni są do pracy ciężarówkami zjednoczenia. Do roboty dojeżdżają często siedemdziesiąt i osiemdziesiąt kilometrów. Za dojazd nic nie płacą. Aby jednak zdążyć na czas do pracy, muszą wstać rano około godziny czwartej. Do domu zaś wracają dopiero około osiemnastej.

Dziś tak jak i wczoraj wożę beton. Na razie nie umiem się jeszcze obijać. Widzę jednak, że co sprytniejsi starają się tak urządzić, aby zniknąć majstrowi z oczu.

27 lipca. Zgubiłem łopatę. Dotychczas nie mogę zrozumieć, dlaczego do książeczek robotników zapisuje się łopaty i taczki, skoro przedsiębiorstwo nie daje żadnego schowka czy podręcznego magazynu, w którym można by było ten sprzęt zostawić. Zapytałem więc majstra, gdzie można schować łopatę.

– Niech ją pan rzuci gdzie w krzaki – odpowiedział – tylko tak, żeby nikt nie widział.

Rzuciłem więc i dziś nie mam czym kopać. Na szczęście w innym miejscu w trawie znalazłem drugą łopatę, co prawda używaną, ale można nią od biedy pracować.

Bogdan około godziny jedenastej mówi, że nie chce mu się dzisiaj pracować. Idzie do majstra i tłumaczy, że go boli ząb. Majster uwierzył. Bogdan mruga do mnie i wyrusza po proszki. Po godzinie wraca, siada na schodach, trzyma się za twarz i stęka. Mówi do mnie z dumą:

– Widzisz, tak się robi dziada w konia, nie stracę ani godziny i nic się nie narobię.

28 lipca. Jeden z pomocników murarzy nie przyszedł dziś do pracy. Z frekwencją nie jest najlepiej. Przeciętnie do pracy nie przychodzi od dziesięciu do trzydziestu procent robotników. Noszę więc cegły i wapno za bumelującego kolegę.

30 lipca. Nareszcie mamy ładny dzień. Znowu wożę beton i tak zwaną szlichtę, czyli rozwodnioną zaprawę. Betoniarkę obsługuje dziś Czesiek, operator z przymusowego awansu. Prawdziwego operatora nie ma już od kilku dni, poszedł do wojska. Biedna maszyna nie jest chyba zadowolona z takiego obrotu sprawy, zgrzyta bowiem i piszczy. Nowy „operator" Czesiek – nie posiada zezwolenia na prowadzenie sprzętu mechanicznego – ujeżdża betoniarkę bezlitośnie. Zaindagowany przeze mnie odpowiada, że jeśli się betoniarka popsuje, to naprawi ją specjalna brygada – od czego oni są?

– A jeśli popsuje się na amen? – pytam.

– To dadzą nową. Zresztą to nie nasze, a firmy. Niech się psuje.

1 sierpnia. W dalszym ciągu wożę beton. Koło południa jestem świadkiem „zabawnej scenki". Jeden z robotników przychodzi na budowę z workiem. Podchodzi do leżących na ziemi arkuszy blachy i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, owija je w worki, bierze pod pachę i zmierza ku wyjściu. Koledzy wychodzącego, przypatrujący się dotychczas spokojnie tym poczynaniom, naraz zaczynają głośno krzyczeć.

– Te, nie wynoś blachy... Panie władzo, panie władzo!

Milicjanta nie ma w pobliżu, ale zaskoczony przybysz ogląda się i całkiem zrezygnowany zawraca z blachą, chcąc ją odnieść na miejsce. Wtedy znowu padają okrzyki:

– Te, Franek, żartujem, żartujem. Ee, stary warszawski cwaniak z Woli, a dał się tak nabrać. Nie znasz się na żartach czy jak? Bierz te blachę i wypylaj.

2 sierpnia. Czesio jest w dalszym ciągu operatorem. Betoniarka jest zardzewiała i brudna. Zacina się ze dwa razy i wreszcie o dziewiątej trzydzieści staje na amen. Nikt jej nie może naprawić – stoi i basta. Z sąsiedniej budowy przychodzi konserwator, klnie i reperuje. Jestem taką odmianą losu – wraz z kilkoma kolegami – zachwycony, zanosi się bowiem na dłuższą labę. Ale gdzie tam, majster nie da się obijać, zapędza nas do noszenia płytek stropowych. Skwaszeni bierzemy się do roboty. Na majstra klniemy. Obiektywnie jednak trzeba przyznać, że ten mistrz R. trzyma całą budowę. Trzeba być naprawdę leserem dużej klasy, żeby u niego nic nie robić.

Po obiedzie rusza betoniarka. Dają wreszcie operatora z prawdziwego zdarzenia. Teraz pracuję razem z Czesiem. Sypię piach i cement do bębna maszyny. Czesio uważa, abym, broń Boże, nie pracował mniej od niego. Przedziwny facet. Chłopisko jak byk, a ciągle zaspany i robić mu się nie chce. Złoty chłopak do jedzenia i do spania. Ma pięć hektarów ziemi, staw, a mimo to jeździ tu do roboty.

3 sierpnia. Dzisiaj od rana wynoszę gruz z drugiego piętra. Pracuję z Gieniem, małym, prześmiesznym facetem. Po godzinie dowiaduję się, że Gienio jest eksobywatelem ziemskim w krytycznym położeniu.

– Panie – mówi poważnie – mój jeden brat jest lekarzem, drugi inżynierem, a ja tu siedzę, świata bożego nie widzę i męczę się. Ach, przed wojną – tu aż oczęta mu się zaświeciły – miałem w Zakroczymiu karczmę, pieniędzy, panie, wszystkiego w bród.

Później Gienio podobno pracował u Everta[1], chodził w czarnym garniturze, dawał napiwki po pięć złotych, szalały za nim kobiety. Tak sobie gaworzymy aż do obiadu. Po obiedzie Gienio bierze łopatę i idzie szukać zapałek. Ma za chwilę wrócić. Niestety, tego dnia eksobywatela już nie ujrzałem, zniknął jak kamfora. Ja sam zapycham do piętnastej piętnaście. Pracuję za siebie i uroczego Gienia.

4 sierpnia. Dziś znów z Gieniem. Rozmawiamy o budowie.

– Uważaj pan, majster idzie.

Wyczuwa go na odległość; łapie moje taczki pełne gruzu i, o dziwo, gna z nimi na balkon, aby gruz wyrzucić na ziemię.

– Panie, jakie tu kokosy robią – mówi Gienio – a mnie nigdy nic nie dadzą. Widzisz te rudery? Jaka tu dobra cegła! Oj! Oni, to znaczy kierownictwo, rozbierają te domy i sprzedają cegłę na lewo, bo na budowę, oczywista, idzie niewiele. Inżynier bierze za to ze trzy patyki, technik też coś, a ci robotnicy,

[1] Księgarnia i Dom Wydawniczy Trzaska, Evert, Michalski. Znane warszawskie wydawnictwo założone w 1920 roku.

którzy te budy rozbierają – zresztą w godzinach pracy, dostają od pięciuset do tysiąca złotych...

W tym momencie zobaczył, że majster patrzy w naszą stronę, złapał więc ponownie łopatę do ręki i drapie o cegłę, aż się chałupa trzęsie. Praca idzie na całego.

Po fajrancie widzę, jak Czesiek ubija targ z cieślą. Dostaje od niego dwa kilogramy gwoździ, ma mu za to z domu przywieźć gruszek. Cieśla jest z Warszawy. Na zakończenie mówi:

– Pamiętaj, tylko muszą być dobre... [...]

6 sierpnia. Sobota. Moi towarzysze są podnieceni perspektywą cotygodniowej zabawy wiejskiej. Co najmniej połowa robotników z budowy chodzi na te ubawy. Bogdan namawia, abym z nim pojechał:

– Napijesz się, pobawisz z dziewuchami. – Tu znacząco mruga.

Po południu dowiaduję się, że nasz majster idzie na tygodniowy urlop. Przez sześć dni będziemy „sierotami".

Murarka

8 sierpnia. Około dziesiątej dochodzą nas wzburzone okrzyki nestora murarskiego S. Szuka sznura elektrycznego długości około czterdziestu metrów. Bez żarówki w ciemnościach piwnicznych – ani rusz. Co gorsze jednak, za sznur, jeśli przepadł, trzeba będzie płacić. Operator zaczyna liczyć, ile kosztuje metr sznura, a ile czterdzieści metrów. Okazuje się, że kilkaset złotych. Stary denerwuje się więc coraz bardziej. I tak czas nam schodzi szybko. Tymczasem wraca Gienio, który o godzinie ósmej poszedł na piwo. Oczęta mu błyszczą, humorek ma niezły, tłumaczy mi, do czego służy ćwiarteczka i jak się ją chowa przed nieproszonym okiem.

10 sierpnia. Schodzimy się do pracy niezbyt punktualnie. Na rozmowach upływa czas do siódmej trzydzieści. Może gadki trwałyby dłużej, gdyby nie to, że niektórzy „pracusie" – pomni na aktualne hasło „jaka praca, taka płaca" – pędzą nas do roboty. Gdyby nie akord, to doprawdy w czasie tych pięknych dni bez majstra mało kto ruszałby łopatą czy kielnią.

W dalszym ciągu pracuję przy murarzach. Robota w bieżącym tygodniu jest zorganizowana nieudolnie. Pięciu pomocników obsługuje czterech murarzy. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego na budowach marnują tyle cegły. Dzisiaj już rozumiem, bo sam stałem się udziałowcem w dziele marnowania. Wraz z kolegami ciskamy cegły na taczki tak, że mniej więcej co piąta lub co

dziesiąta pęka. Zanim ja popsuję trochę cegiełek, to przede mną i po mnie robią to inni. Zresztą cegła nie jest towarem reglamentowanym i za nadmierne zużycie dużych kar nie ma. Co innego cement. O, tego towaru majster pilnuje, nad każdym woreczkiem się trzęsie. Ale jak tylko odejdzie od betoniarki, to chłopaki na jedno mieszanie betonu wsypują do bębna nie półtora, a dwa worki cementu. Tak już jest: jeśli się zacznie sypać cement, to wygodniej jest opróżnić cały worek aniżeli połowę. Zaprawy murarskiej też często przed fajrantem kręci się za dużo, rozlewa się przed betoniarką. Następnego dnia przypomina ona bardziej skamielinę niż materiał budowlany.

11 sierpnia. Pracę zaczynamy o siódmej dwadzieścia. Wszyscy pracują na słowo honoru. Siadam, aby porozmawiać z Gieniem. Ten jednak podrywa mnie:

– Nie siedź pan – mówi. – Na budowie możesz pan stać i dłubać w nosie, byleby w drugiej ręce trzymać łopatę. Tutaj na nich nic tak źle nie działa jak widok siedzącego robotnika.

Dziś Gienio jest trochę bojaźliwy.

– Taki dzielny chłop z ciebie, a boisz się – mówię.

Eksobywatel tłumaczy mi jednak, że licho nie śpi i że pewnie dziś przyjdzie inżynier z technikiem, aby obliczyć, ile zarobiliśmy. Faktycznie, po kwadransie inżynier pokazuje się na budowie. Gienio natychmiast zaczyna się kręcić jak w ukropie – przesypuje piasek z kupki na kupkę. Z daleka wygląda to z pewnością imponująco.

Oględziny inżynierskie nie wypadły zbyt dobrze. Okazało się, że zmarnowaliśmy właściwie kilka dni. Perspektywa niskiego zarobku podziałała na betoniarzy mobilizująco. Robota aż do obiadu idzie na całego. [...]

Na budowie organizacje nie tylko polityczne, lecz i zawodowe pracują bez większych wyników. Rola związku zawodowego ogranicza się do potrącania z pensji składek miesięcznych. Każdy nowo wstępujący podpisuje deklarację i płaci określony procent od poborów. Wielu robotników, mimo formalnego członkostwa, nie ma nawet legitymacji. Praca organizacji partyjnej, która istnieje na tak zwanym odcinku czwartej budowy, zewnątrz jest zupełnie niewidoczna.

12 sierpnia. Operator przyszedł do pracy o godzinie dziesiątej. Stracił kilka porannych godzin w magazynach. Przyniósł jednak drelichy i buty gumowe. Każdy robotnik dostaje bezpłatnie raz na pół roku jedną parę kamaszy, które w sklepie kosztują sto sześćdziesiąt pięć złotych. Przyniesione buty operator

na poczekaniu opylił Cześkowi. Trochę się targowali, wreszcie stanęło na stu złotych.

Od Bogdana dowiaduję się, że Czesiek już drugi raz bierze z budowy do siebie na wieś krzynę cementu. Podziwiam tego chłopaka. Bierze on bowiem jedną czwartą lub jedną trzecią worka cementu pod pachę i wiezie ten skarb do domu. Nie wstydzi się tego. Koledzy jadący z nim samochodem widocznie dają mu na to milczące przyzwolenie. Jeśli przez kilka dni powozi tak cement do chaty, to wkrótce będzie mógł podmurować stodółkę gospodarczym systemem. Przywieźli terakotę, D. ogląda ją z dużym zainteresowaniem. Wreszcie stwierdza:

– Szkoda, że nie mieszkam bliżej.

– Dlaczego? – pytam.

– Bobym se wyłożył kuchnie. Ładnie by wyglądało. A tak to za daleko wozić.

13 sierpnia. Spóźniłem się półtorej godziny do pracy. Lista obecności leżała na biurku u inżyniera.

– Czy można się podpisać?

– Proszę bardzo – odpowiedziano.

Skwapliwie skorzystałem i uciekłem. Na budowie majster jeszcze nie wpisał obecnych do kontrolki, uszło mi spóźnienie na sucho.

Dzisiaj podaję murarzom cegłę czerwoną i cementową. Czerwona jest wyjątkowo krucha, źle wypalona. Odpadów bardzo dużo. Sobota przedświąteczna i do tego wypłata. Tak dużo szczęścia naraz, że doprawdy trudno pracy podołać. Jeden z murarzy przyszedł nawet w półodświętnych ciuchach, musi uważać, żeby ich nie brudzić, toteż starannie unika roboty. Inni ciągle dopytują się o godzinę. Takie już jest prawo „wigilii".

O dwunastej na budowie pozostał już tylko przysłowiowy – co prawda nie kulawy – pies wartownika.

16 sierpnia. Do roboty nie przyszło siedmiu ludzi. Znowu pogoda się popsuła. Chłodno i mokro. Sprzątam pokoje, usuwam z nich cegły. Około godziny dziesiątej na dole zaczyna się awantura na całego. Szofer klnie, na czym świat stoi. Jeździ od budowy do budowy, nie mogąc nigdzie złożyć dziesięciu par drzwi, które przywiózł z magazynu centralnego. Wysyłają go od Annasza do Kajfasza. Wreszcie po raz trzeci przyjeżdża do nas i zrzuca swój towar wbrew protestom majstra. U nas przydałyby się okna, drzwi mamy aż nadto. Trzeba jednak przyjąć nową partię. Później będziemy je pewno wymieniali.

Majster R., który dziś właśnie wrócił z urlopu, miota się w bezsilnej złości. Wymyśla na magazynierów, których jest aż trzech, a bałaganią, jakby ich było co najmniej siedmiu.

17 sierpnia. Wypogodziło się. Odżyliśmy: betoniarka dziś stoi. Ja z Bogdanem kopię rowy za domem. Mamy trochę spokoju, nasze stanowisko bowiem znajduje się nieco na uboczu. Sztukę obijania się już właściwie posiadłem. Idzie mi to tym lepiej, że Bogdan jest w tej dziedzinie fachowcem. Ukradli mi łopatę.

– Nie chciałeś sprzedać, to teraz masz – mówi mój towarzysz.

Pytam Bogdana, kto mógł to zrobić. On sam chwalił się niedawno, że ma dwie łopaty.

– Wziąłem łopatę, ale nie twoją – stwierdza. – Utrzymaj tylko sekret, to ci powiem, jak to było. Kilka dni temu poszedł na urlop pomocnik P. Łopatę oddał pod opiekę majstrowi. Mistrz trzymał ją w swej budzie-kantorku. Przyuważyłem tę łopatę i wziąłem ją sobie. Ubiegłem zresztą w tym Cześka – dodaje triumfująco – też miał na nią ochotę. Aby jednak podpylonej łopaty nie rozpoznano, złamałem żelastwo i zaniosłem magazynierowi do wymiany. Dali mi nową. Tę nową wziąłem do chaty, tutaj zaś pracuję starą. Gdy wrócił z urlopu P. i chciał odebrać swój sprzęt, majster dał mu cudzą łopatę. Może to była twoja – konkluduje. Po czym upewnia się: – Pamiętaj, przyrzekłeś nikomu nie mówić.

Co prawda wolałbym zamiast tej słodkiej tajemnicy otrzymać z powrotem łopatę, ale trudno. Uśmiecham się do Bogdana. Ten uspokojony moją reakcją dodaje:

– Nikt na tym nic nie stracił, bo to firmy. Tobie bym nie zabrał.

18 sierpnia. Wożę taczkami beton. Dziś znowu do pracy nie przychodzi kilku robotników. Pytam operatora, dlaczego część z nich chodzi w kratkę.

– A bo to im zależy na robocie? – mówi. – Mają domy, trochę ziemi, świnie, krowy, to im nie pilno do roboty. Tu sobie tylko dorabiają. Jak ich z roboty wyrzucą, to i tak nie stracą chleba. [...]

20 sierpnia. Pomagam ponownie murarzom. Nic nie wyszło z moich snów o zawodzie betoniarza. Jestem typowym zapchajdziurą. Raz kopię, innym razem sprzątam, jeszcze innym – wożę i podaję. Z roboty wychodzę dzisiaj z Bogdanem o godzinie jedenastej, jestem już przebrany, on idzie w stroju roboczym. Na ulicy Bogdan pyta nieco zażenowanym głosem:

– Nie wstydzisz się ze mną iść?

– Wstydzić się, dlaczego?

Nie dostaję odpowiedzi. Na przystanku rozmawiamy o pracy.

– Czy ty mówisz swoim znajomym – pytał Bogdan – że pracujesz na budowie?

Odpowiadam, że oczywiście tak.

– I nie wstydzisz się? – Po raz drugi o tym wstydzie. – No, bo widzisz – wyjaśnia – praca na budowie jest hańbiąca, trudna. To zła robota.

Jestem zdumiony. Bogdan ma tylko siedem klas.

– Cóż więc chcesz robić?

– Będę pracował na gospodarstwie – odpowiada z dumą. – Ta robota wcale mi nie jest potrzebna. Robię to ot tak, aby robić.

Ja chcę do baru mlecznego. Bogdan ciągnie mnie do restauracji. Tłumaczę mu, że naprawdę wolę mleko. Pijemy wreszcie piwo. Omal się nie pokłóciliśmy, każdy chciał postawić drugiemu. Koniec końców pijemy po dwa duże piwa. Na ulicy Bogdan, osiemnastoletni rosły chłop, zachowuje się jak wystraszony podrostek, odczuwa wyraźny kompleks niższości w stosunku do miastowych.

22 sierpnia. Zostaję w domu. Co to będzie? Nie mam ani usprawiedliwienia, ani zwolnienia.

23 sierpnia. A jednak nic nie było. Nikt, dosłownie nikt nie zapytał, co robiłem poprzedniego dnia. Przełożeni są widocznie tak przyzwyczajeni do absencji robotników, że czyjaś nieobecność nie wywiera na nich żadnego wrażenia. Nie mam czym pracować, proszę więc majstra o pomoc. Mój szef mówi:

– Inny na pana miejscu już dawno miałby sprzęt. Ależ z pana fujara.

– Weź pan łopatę z innej budowy – radzi operator. – Tylko nie u nas, bo tu poznają. Musiałbyś pan wymieniać ją w magazynie.

Dzisiaj wyrzucam z trzeciego piętra na ziemię belki stropowe i deski. Wiele z nich pęka. Zastanawia mnie ta robota, lecz pracuję niestrudzenie. Z belek często sterczą gwoździe. Jeden z nich zaczepił o moją nogawkę zupełnie pechowo. W ostatniej niemal chwili, już spadając, zaczepiłem się jednak o framugę drzwi. Portki rozdarły się, belka zleciała, ale ja zostałem na górze. Spodni właściwie mi nie żal, i tak wyglądają cudacznie. Zakłady szyjące odzież roboczą mogłyby sobie zaoszczędzić trudu przyszywania guzików: wszystkie odpadły już drugiego dnia. Chodzę więc przepasany drutem, podobnie radzą sobie moi niektórzy koledzy.

W każdej chwili któryś z nas może zostać mimowolnym zabójcą. Na dole kręcą się robotnicy. Przed zrzuceniem każdej deski musimy się wydzierać, by ostrzec tych, którzy pracują na dole.

24 sierpnia. Pojąłem to, czego wczoraj pojąć nie mogłem. Na opał można zabierać tylko odpady; dzięki naszej wczorajszej działalności jest ich pod dostatkiem dla wszystkich.

Już rano zauważyłem, że moja osoba działa na nerwy pewnemu panu. Dla kawału na kilka minut się gubię – przykucam, jestem niewidoczny. Widzę, jak ów pan ze sporym zawiniątkiem pod pachą przechodzi przez dziurę w płocie i klucząc po polu jak tropiony zając, ginie w zagajniku. Po dwóch, trzech minutach wraca w stronę budowy. Korci mnie, aby zobaczyć, co było w tym woreczku. W czasie obiadu, korzystając z tego, że bractwo je, a więc ma mniej czasu na gapienie – wychodzę przez tę samą dziurę co mój poprzednik i zaglądam do zagajnika. Wśród liści znajduję zawiniątko. Są tam jakieś śrubki, kolanka, muterki, ze trzy klucze francuskie, palnik i wiele innych skarbów.

25 sierpnia. Pomagam lastrykarzom, sprzątam piwnicę. Wtem z parteru spada tuż koło mnie lawina cegieł. Uskakuję przerażony, okazuje się, że nade mną ktoś inny sprząta parter i nie sprawdziwszy, czy jest ktoś w piwnicy, wsypał taczkę gruzu w niezabetonowaną dziurę od przewodów kanalizacyjnych. Posyłam mu „wiązankę". Skruszony kolega z parteru oferuje mi nawet kilkuminutową pomoc przy sprzątaniu piwnicy. [...]

27 sierpnia. [...] Chcę się przenieść na inną budowę. U majstra A. mam pracować jako pomocnik murarza. Obgaduję z nim sprawę, zgadza się. Na odchodnym dostaję od majstra R. piękną łopatę. Nie chcę wierzyć swemu szczęściu. Prawdziwa łopata, cóż za skarb. Chcę ją zostawić na przechowanie u majstra, nie zgadza się.

– To łopata Kowalczyka – mówi. – On jest bogatym chłopem, ma ogród, staw, ziemię. Ciągle coś stąd wynosi, wiem o tym, ale pal go diabli. Będzie miał za to teraz karę. Niech pan tylko pilnuje tej łopaty.

Dziękuję. Mniejsza o skrupuły – grunt, że łopata jest.

Z taczkami wapna

29 sierpnia. Pierwszy dzień na nowej budowie. Pracuję wraz z czterema murarzami i trzema pomocnikami, budujemy fundamenty. Ściany mają być podciągnięte do parteru, następne kondygnacje będą już zbudowane z prefabrykatów. Nareszcie widzę na naszym odcinku jakąś solidniejszą mechanizację: dźwigi, agregat do tynkowania. Nie ma tylko transporterów. Wciąż dużą część roboty wykonuje się siłą mięśni. Wożę zaprawę dla czterech murarzy. Uwijam się jak w ukropie. Wapno jest ciężkie. Betoniarkę obsługuje tu jeden z pomocników murarskich. Chyba nie wychodzi jej to na zdrowie, bo zbyt często się zacina. Koło dziesiątej przychodzi do nas majster R. Mój grupowy kłóci się z nim:

– Dlaczego nam pan przysyła same męty?

Oprócz mnie dostał jeszcze dwóch innych pomocników. Nie jestem więc samotnym mętem. Robi mi się raźniej.

30 sierpnia. Bawię się w bumelanta. Nie przychodzę na budowę.

31 sierpnia. Dziś robię to samo co wczoraj, to znaczy siedzę w domu.

1 września. Przychodzę do pracy nieco wystraszony. Dwudniowego „urlopu" – jak dotąd – jeszcze nie miałem. Jak na to zareagują? Majster A. pyta, co ze mną było. Sięgam do przebogatego repertuaru wymówek szkolnych i mówię, że bardzo, ale to szalenie bolał mnie brzuch. Majster na to:

– A zwolnienie lekarskie pan masz?

– Nie – odpowiadam – ale mogę przynieść.

– A zresztą – majster macha z rezygnacją ręką – czy to nie wszystko jedno? Mnie ono niepotrzebne i w ogóle nic mnie to nie obchodzi.

Dziś, tak jak trzy dni temu, wożę wapno. Koleś zastępujący operatora naładował do betoniarki zbyt wiele piachu i wapna. Maszyna niemal tonie w rzadkiej mazi. Nie mam butów gumowych. Kamasze grzęzną w błocie. Pomocnicy, z którymi pracuję, są sympatyczni. Szczególnie miły jest Dziadek – pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna. Pracuje za dwóch. Bez przerwy nosi cegłę. W czasie gdy przywiezie murarzom dwie taczki, jego kompani zdążą dostarczyć zaledwie jedną.

W czasie obiadu Dziadek opowiedział mi, jak to mógł w ubiegłym roku ładnie zarobić, ale nie zarobił.

– Wszystko przez te kłopoty finansowe. W tamtym roku – tłumaczy – rozebraliśmy drzewo z rusztowań i mieliśmy je oczyścić, żeby poszło na inną budowę. Drzewo było oblepione wapnem, tkwiły w nim gwoździe. Roboty

takiej nie uwzględniono w żadnym cenniku. Musieliby nam zapłacić ze cztery patyki, a robotę zrobilibyśmy w kilka dni. Cóż z tego, kiedy nie było forsy. Chcieli ją wziąć z tego funduszu bezosobowego, ale się bali. I wiesz pan, co ten osioł kierownik w końcu zrobił? Zamówił wagon nowych desek, bo na to miał pieniądze. Wagon desek kosztował dwadzieścia pięć tysięcy złotych, a nasza robota kosztowałaby cztery. Nie dali człowiekowi zarobić i firma też straciła. Widzisz pan, jakie hece i głupoty oni wyrabiają?

2 września. Nie przyszedłem do pracy.

3 września. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Rano, gdzieś o siódmej dwadzieścia – na tej budowie zawsze się tak zaczyna robotę – wziąłem z innymi taczki i jakby nigdy nic spokojnie pracowałem. [...]

5 września. Dzień dzisiejszy przebiega pod znakiem wina. Pomocnicy kupują trzy butelki. Pomagier Sit niesie je za pazuchą, tak aby ich nikt nie zauważył. Zagląda do nas, czy nie ma gdzie w pobliżu majstra, po czym już śmielej wchodzi. Stajemy w kółeczku, każdy z nas przykłada butelczynę gryfa do gardziołka i żłopie. Potem podaje butelkę następnemu. Za zagrychę służy kaszanka i chleb. Uczta jest wyśmienita. Wkrótce widać dno trzeciej butelki, robimy nową składkę. Stare butelki zostają uprzątnięte. Pracujemy powoli, mając przed oczyma wizję drugiej partii ożywczego nektaru. W czasie obiadu rozsiadamy się na dobre. Koło piętnastej mamy już przeciętnie na głowę jedną butelkę wina. Jest nas ośmiu.

6 września. Dalej murujemy nasz blok. Obok kilku facetów ma dużą frajdę. Nieopodal nas stoi bowiem beczka pełna politury. Rozlewają ją do butelek. Przy tym zabiegu moc płynu się marnuje. Jeden z murarzy, widząc tę kradzież połączoną z marnotrawstwem, próbuje zwrócić uwagę złodziejaszkom. Ucisza go grupowy:

– Te, głupi jesteś? Czy to twoje? Siedźże spokojnie i nie przeszkadzaj innym w robocie.

7 września. Przyszedł operator z prawdziwego zdarzenia. Ma skończony kurs i osiemnaście lat. Z właściwą temu wiekowi pewnością siebie podchodzi do betoniarki i nic nie sprawdziwszy, zaczyna kręcić zaprawę. Z bębna zamiast wapna leje się jakaś rzadka cementowa nalewka. Nadmiar wody. Eksoperator z awansu zaczyna sarkać.

– Taki szczeniak i struga operatora. Tyś, chłopie, jeszcze z gołym tyłkiem po polu biegał, a ja już pracowałem w budownictwie.

Do mnie zaś mówi po cichu, żebym operatorowi nie pomagał. To jego robota, a nie nasza. Myśli, że wszystkie rozumy zjadł. Nabierze trochę szacunku do nas, jak się tu narobi.

8 września. Nie przychodzę do roboty. Wypoczywam po nicnierobieniu ostatnich dni.

9 września. Ten dzień spędzam tak samo jak poprzedni.

10 września. W robocie przyjmują mnie bez żadnych wymówek. Moją absencję traktują jako coś najzwyklejszego, niegodnego wręcz uwagi. Na budowie rozgorzała dyskusja na temat norm.

Na wiosnę tego roku była generalna zmiana norm. Pomocnikom murarzy podwyższono stawki, betoniarzom obniżono. Z początku było trochę sarkania. Najbardziej wybrzydzali ci, co układali prefabrykaty. Na przykład za ustawienie i wmontowanie jednej ścianki płacą obecnie siedem pięćdziesiąt, przed zmianą dwanaście pięćdziesiąt. Zmiana ta jednak – jak mówią robotnicy – zmniejszyła dysproporcję i poprawiła sytuację pomagierów murarskich, których płaca była dotychczas zbyt niska w stosunku do wkładu pracy. Obecnie nowe normy już całkiem się przyjęły. Robotnicy przyzwyczaili się do nich, na niektórych budowach dobre grupy betoniarskie osiągnęły zarobki na poziomie ubiegłego roku.

Dziś płacą za dwa tygodnie. W brudnym, obskurnym baraku kierownika odcinka staję wraz z kilkoma kolegami w kolejce po wypłatę. Wtem pojawia się elegancko ubrany, w granatowym garniturze Czesiek. Patrzy na mnie z wyższością, wali wprost do technika, pomijając kolejkę. Towarzystwo zaczyna szumieć. Czesio wyciąga z kieszeni świstek papieru, którym toruje sobie drogę do kasy. Okazuje się, że to wezwanie do sądu, ale na piątek, a nie na sobotę. Technik wypłaca mu pensję i odsyła do diabła.

Stojący przede mną robotnik otrzymuje niecałe sto złotych. Protestuje, mówi, że to pewnie jakieś nieporozumienie. Do sporu momentalnie włącza się stojący obok mnie inżynier. Nie wie nawet, o co rzecz idzie, ale broni technika. Podniesionym głosem tłumaczy robotnikowi:

– Ile pan chciał dostać? Więcej nie będzie.

Gdy robotnik zrezygnowany odchodzi, inżynier pyta, o co mu chodziło, po czym wraca do przerwanej rozmowy. [...]

13 września. Nie lubię liczb feralnych. Nie przychodzę do pracy.

14 września. Dowiaduję się, że wielu kolegów podziela mój zabobon. U nas na przykład murarze nie mogli murować, nie przyszli bowiem pomocnicy. W dniu dzisiejszym nawaliła dystrybucja. Nie ma cegły, nie możemy murować. Ośmiu chłopa wykonuje wewnątrz domu pracę, którą normalnie spełnia trzech, czterech ludzi. Przeszkadzamy sobie wzajemnie. Umawiamy się więc, że czterech będzie pracować przez godzinę, a czterech siedzieć, i tak na zmianę. Ten system pracy po kilku godzinach przestaje mi odpowiadać. Nie ma wygodnych ławek i zdrętwiałem. [...]

15 września. Dalej nie murujemy. Nie ma czym robić. Wytyczamy teren pod nowy wykop. Sprzątamy drzewo z pola, po którym jeździ spychacz. Kierowca złośliwie wkopał część belek do ziemi, jeszcze inne połamał. Mamy więc dużo dodatkowej pracy z tym sprzątaniem. Spychacz grasuje po polu na całego. Na naszych oczach ścina czwartą z kolei gruszę. Podjeżdża do drzewa, podważa je swym lemieszem, mocuje się z nim przez moment, po czym zwalone wlecze na stertę gliny. Drzewo jest jednak nieustępliwe. Opasuje swymi ramionami prześladowcę, szamocze się, walczy. Wreszcie po kilku minutach całkiem stłamszone zostaje wtłoczone w hałdę ziemi. Obraz swoistej walki przyrody z maszyną wywiera na nas duże wrażenie.

– To było coś wspaniałego, a zarazem tragicznego – mówi majster.

16 września. Przywieźli cegłę. Zrzucają ją w wygodnym miejscu. Materiał zwożą końmi. Okazuje się, że trzy kobyły pracujące na naszych budowach należą do jednego właściciela. Koń zarabia około stu złotych dziennie. Właściciel ich wynajmuje więc trzech wozaków, którzy wożą materiał. Płaci im przedsiębiorstwo, zarabiają po dwa tysiące złotych miesięcznie. Konie zaś pracują na swego wielkiego wozaka. Z trzech kobyłek facet ma około dziesięciu tysięcy złotych miesięcznego zarobku.

Będziemy mieli ułatwiony dowóz cegły do stanowisk murarskich. Pomocnik Sit targuje się z majstrem, aby w wykazie wykonywanej przez nas roboty zapisał, że mamy daleki i utrudniony dowóz. Mistrz to dusza człowiek. Chętnie więc przystaje. Więcej zarobimy. Mówię Sitowi, że kto jak kto, ale majster to nam się udał. Koleś mój spokojnie odpowiada:

– Albo to ze swojego nam daje? Tyle tylko, że nie przeszkadza, a pomaga w zarobku. Nieraz z nim tak robię – dodaje.

Koło obiadu idę do biura, aby oznajmić, że jutro rzucam robotę. Słyszę właśnie, jak inżynier mówi do swych kolegów:

– Pójdziecie wreszcie z tego cholernego biura na obiad czy nie?

Nie chcę przeszkadzać, Polak głodny jest zły.

17 września. Odchodzę z budowy. Żegnam się z chłopakami nie bez żalu. Nieraz stękałem może bardziej niż oni, czasem nawalałem, ale zawsze jakoś to było. Oddaję swój sprzęt. Biorę popsute taczki, łopatę i oddaję swe skarby do magazynu. [...]

Janusz Rolicki, *Brałem łapówki*, Warszawa: Iskry, 1966, s. 5–30

1961

Stefan Kozicki (1923–1991)

Nie pisać o kosmonautach

Pod koniec lat pięćdziesiątych Stefan Kozicki wyruszył na poszukiwanie nielegalnego impresario, który bez państwowego zezwolenia organizował tandetne występy rozrywkowe we wsiach Dolnego Śląska i ściągał na nie tłumy. Fałszywy impresario używał pieczątki Zarządu Zakładów Gastronomicznych Wrocław Północ, ukradł też afisze i twierdził, że jest przedstawicielem zakładów. Ich dyrektor wyraził oburzenie („Ktoś wykorzystał nasze dobre imię!") i rozmarzył się, jak mogłaby wyglądać rozrywka na Dolnym Śląsku:

> Przychodzą tu do mnie – mówi o artystach – tłumy, ale nic z tego nie wychodzi. Dobrzy za wysoko się cenią, a na słabych jesteśmy za dobrzy. Jest na ten przykład para tancerzy Walczaków; sami w latach, ale zaproponowali się nam z trzema młodymi dziewuszkami; wdzięczne nawet, cóż kiedy surowe. Albo taka Lilianna, śpiewaczka; śpiewając, chciała jednocześnie artystyczny strip-tease robić; ale, panie redaktorze, jak zobaczyliśmy to ciało!... Zresztą i tak władze się nie zgodziły. Tu jest jeszcze dużo dogmatyzmu. Gdyby tak można było Mambo-Girls ze stolicy sprowadzić, ale my na to za biedni, no, i na coś takiego trzeba mieć p l e c y.

Ów reportaż – *Związek zawodowy kapitalistów?* – wprowadza czytelnika w zawiłe zasady socjalistycznego „przemysłu" rozrywkowego. Pojedynczy, kierujący się zyskiem impresario ma więcej sukcesów niż państwowe przedsiębiorstwa. Jest bardziej elastyczny i rzutki. Jednak dla „prywatnego kapitalisty" kultura „nie znaczy nic poza forsą".

> Patrząc na tych panów robiących „na kulturze" majątki – pisze reporter – myślałem o tym, że w naszych warunkach ustrojowych nawet ta najlżejsza, estradowa muza powinna się czymś różnić od prostytutki.

Pod pozorem poszukiwania oszusta Kozicki pokazuje całą nędzę kultury na prowincji, wynikającą z absurdów centralizacji.

Reporter świętej prowincji – tak brzmiał tytuł szkicu o Stefanie Kozickim w „Kontrastach". Pierwsza książka reporterska Kozickiego miała tytuł *Prowincja, czyli tajemnice powiatowej władzy* (1957). Kozicki ogłosił, że Polską rządzi powiat. Bo większości Polaków socjalizm nie kojarzy się z ideą czy hasłami zdobiącymi plakaty, ale z lokalną władzą.

Pracę dziennikarską zaczął w 1945 roku – wysłał swój tekst na konkurs pisma „Walka Młodych". Potem został w nim redaktorem naczelnym. Współpracował z „Po prostu", na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był reporterem „Polityki", od 1969 roku do stanu wojennego – reporterem „Kultury". (Po 1981 roku wycofał się z dziennikarstwa). Skończył socjologię na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Miał za sobą przynależność do AK i udział w powstaniu warszawskim. Przyjazny systemowi, cały czas jednak opisywał jego mielizny. Nie wprost, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy systemu nie wolno było krytykować, ale można było – jak Kozicki – wybierać sobie bohaterów, poprzez których pokaże się pułapki totalitaryzmu. Można było oznajmić na przykład – jak Kozicki – że nie napisze nigdy o kosmonaucie:

> Bo kosmonauta nie jest człowiekiem, który sam, na własną odpowiedzialność decyduje o swoim losie. Wybrano go z wielu mu podobnych, nauczono pełnienia pewnej misji, wyuczono czynności i sposobu reakcji.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że słowa te reporter wypowiedział w styczniu 1979 roku, kilka miesięcy po sławnym i celebrowanym przez propagandę PRL-u locie polskiego kosmonauty w kosmos, to da się odnaleźć aluzję do wszystkich, których system wyuczył sposobów reakcji.

Kto wobec tego jest dla Stefana Kozickiego postacią godną opisania?

> Tylko ten, kto sam projektuje i realizuje swoje życie. Jeśli jednak popatrzymy pod tym kątem na współczesną literaturę, stwierdzimy, że takich bohaterów prawie już nie ma. Dlatego że tak samo jest w życiu: społeczne prawidła pchają nas w kierunku utraty kontroli nad swoim losem. [...] Dlatego poszukuję bohaterów, którzy mają jeszcze złudzenie, że sami sobą kierują. Jest to wymierający gatunek *homo sapiens*, co najlepiej widać w naszym najmłodszym reportażu. Świat w nim przedstawiony jawi się już bowiem jako zamknięty mechanizm, nie wymaga pytań ani żadnych zmian. Jest – i to wystarcza.

Nawet powiatowa miss jest dla Kozickiego punktem wyjścia do opowieści o Polsce poststalinowskiej – nazywanej popaździernikową – która tylko pozornie różni się od tej stalinowskiej. „Przystosowanie się" obowiązuje nadal.

Szukam miss powiatu (1961) to druga książka reporterska Stefana Kozickiego, z niej pochodzi reportaż *Panna Lili poszukuje posady*. Przy jego powstaniu współpracował poeta i tłumacz Andrzej Mandalian, który miał zebrać dokumentację do scenariusza filmowego osnutego na kanwie słynnej wówczas afery wokół wyborów powiatowej miss. Nie udało mi się potwierdzić, czy taki film powstał.

Panna Lili poszukuje posady

współpraca Andrzej Mandalian

Panna Lili? Widziałem jej zdjęcie kilka razy. Najpierw w „Dookoła świata", z nadtytułem mówiącym coś o najpiękniejszych. Potem w „Szpilkach" z wykpiwającym komentarzem. Wreszcie oglądałem oryginał zdjęcia przekazywany sobie kolejno z rąk do rąk przez młodych ludzi w nocnej knajpie (pierwszej kategorii).

Czytałem o niej sporo. Opiewały ją pióra nie byle jakie. Sławnemu krytykowi nie podobała się jej prowincjonalna, śmieszna w swej sztuczności poza; znany pisarz brał ją w obronę, chwalił odwagę, zwracał uwagę na pewne okoliczności łagodzące, jak na przykład środowisko, w którym wyrosła, i atakowanie jej przez klasy wrogie.

Aż wreszcie zobaczyłem ją z bliska. Rozmawiałem z nią długo. Zamówiłem audiencję u jej aktualnych protektorów.

O kim mowa? Mowa o miss powiatu, królowej kultury polskiej z dni „odwilży", fundamencie dowodowym publikacji z dziedziny kultury popularnej („Widz tego chce, czytelnik tego się domaga!").

Przeglądając raz jeszcze przed wyruszeniem w teren wspomniane zdjęcia przeróżnych „missek", głowiłem się nad motywami, którymi kierowali się organizatorzy „missyjnych" imprez wyborczych (redakcja „Kuriera Lubelskiego" i dyrekcja Estrady[1]), pomysłowi inicjatorzy „powiatowych eliminacji". Jeden z moich kolegów reporterów, romantyk, uporczywie trzymał się zdania, iż są to spryciarze, jakich świat nie widział, hochsztaplerzy, którzy zwęszyli nowy interes, czyli legalni handlarze żywym towarem; drugi – sceptyk, rzewnie się uśmiechając, prawił o oryginałach, marzycielach, bezinteresownych wariatach. Ja zaś byłem za kompromisem: są to – myślałem – ludzie opętani manią cywilizacyjną „Przekroju". Poza tym cała impreza wydawała się dość śmieszna, aby wzbudzić jeszcze jedną sensacyjkę w stołecznej prasie. Już w pociągu do Lublina wyobraźnia rysowała rockandrollowy szał ogarniający powiatowe miasta. Stukot kół przeradzał się w zjadliwy szept wszechwładnej opinii publicznej, potępieńcze okrzyki dewotek. Nareszcie polskie Clochemerle[2]!

Rzeczywistość przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania. Przeprowadziłem ankietę w wielu miasteczkach powiatowych, szukając śladów jakichś wrażeń lub ocen w świadomości ludzi, którzy mieli możność być czynnymi

[1] Estrada – państwowe przedsiębiorstwo zajmujące się organizacją występów i wydarzeń artystycznych.

[2] Clochemerle – miasteczko z satyrycznej powieści Gabriela Chevalliera; na wieść o planach postawienia na miejskim rynku publicznej toalety wybucha zajadły spór o naruszenie moralności.

lub biernymi uczestnikami wyborów miss powiatu. I – nic. Spokojne bajorka jak stały, tak stoją. Nie poruszyła ich nawet sensacja „*made in* Zachód".

W Hrubieszowie, miasteczku najbardziej oddalonym od wojewódzkiego centrum i nieposiadającym z nim prawie żadnej komunikacji, usłyszałem jednak bardzo ciekawą ocenę z kół „dobrze poinformowanych", zbliżonych do miejscowych władz. Zapytawszy konkretnie o reakcję proboszcza na imprezę wyborów miss, usłyszałem w odpowiedzi:

– Nic nie miał naprzeciw, bo to ksiądz p o s t ę p o w y. – Widząc zaś niedowierzające spojrzenie, mój rozmówca zupełnie poważnie dodał: – Ten nasz ksiądz jeszcze przed wojną był ze swej postępowości znany. Pohandlować lubił sobie nawet. Naciął kiedyś Żydów na dziesięć tysięcy złotych przy pośrednictwie w sprzedaży lasów pana hrabiego.

Nowe kryterium „postępowości" (traktowane przez rozmówców na pozór jak najpoważniej) jest w istocie, podobnie jak sama impreza, związane w ich świadomości, czy też podświadomości, z czymś umownym i przejściowo konwencjonalnym. Działa tu, jak się wydaje, stara, znana mechanika. Kiedy przed laty autor niniejszego reportażu miał wyjechać w podróż na tak zwany Zachód, pewnego dnia po powrocie z pracy zastał przed drzwiami swego mieszkania dozorcę z niezwykle konspiracyjną miną.

– Był tu taki jeden, o pana wypytywał – objaśniał dozorca. – Powiedziałem, że kobiet na noc nie sprowadza, pije w miarę. Ale temu nie o to chodziło. „A czy ten obywatel – pyta mnie niby – ustosunkowuje się pozytywnie do spółdzielczości produkcyjnej?".

Podobnie, jak się wydaje, jest i dzisiaj z nowym kryterium postępowości, obowiązującym na prowincji w omawianych tutaj środowiskach. Pojęcie postępowości dla tych ludzi nie ma już żadnej ideowej wymowy, znaczy najczęściej przystosowywanie się do określonej mody, asymilację, barwę ochronną w stosunku do zmieniających się gdzieś w „górze" dyrektyw i przychodzących gdzieś z miasta wojewódzkiego, już przedtem oficjalnie i poza nim zatwierdzonych nowinek.

A więc, jak mówi biologia: nic w naturze nie ginie. Czasem tylko odwraca się do góry nogami.

Otóż te nogi! Gdyby jeszcze ktoś poważnie wierzył w ich misję. Ale nie. Nawet sami organizatorzy.

Jedynie może ci, którzy pierwsi stworzyli ideę – dziennikarze z wojewódzkiej gazety, początkowo wierzyli. Ale ponieważ każda idea wsiąka wreszcie w gąbkę biurokracji – i tym razem wsiąkła w zdemokratyzowany, to znaczy występujący pod zmienioną nazwą Artos. (Dla konserwatystów – Artos, dla

nowoczesnych – Estrada). Estrada od razu zrezygnowała z idei. Widziała w wyborach miss środek do wyrównania deficytu wynoszącego w województwie lubelskim zaledwie sześćset tysięcy złotych, tyle bowiem dokłada państwo do działalności kulturalnej jednej tylko instytucji „rozrywkowej", która posiada trzy teatralne zespoły amatorskie i poza tym nic więcej, jeśli nie liczyć głębokiego kompleksu niższości. „Gdybyśmy tak mieli brazylianę[3]!" – wzdychali zgodnie.

Ale brazyliana, jak wiadomo, do Lubartowa nie pojechała. Estradzie natomiast udało się znaleźć na miejscu kilka białych murzynek. Nie poszło łatwo. Trzeba było namawiać, kusić nagrodami: w rezultacie, ponieważ do powiatowych wyborów miss stawała czasami jedna, czasem dwie, najwyżej trzy dziewczęta – nagrody miały zapewnione z góry i traktować je mogły jako zwykłe honorarium za udział w „rewii".

Dyrektorzy Estrady odkryli więc nowe lądy i przestali się dziwić deficytowi.

– Był u nas Wiech... – zwierzył się jeden z dyrektorów. – Literat, ale murowany numer. I co pan powie? Prawie że klapa. Publiczność nie była zadowolona. Bo faktycznie, cóż taki Wiech może p o k a z a ć?

Niewielkie to lądy. Co przyniosły bowiem Estradzie imprezy wyborów miss poza częściowo wyrównanym deficytem? Niewiele. Trochę anegdot, trochę nowych zgorzknień i zdecydowane (na rozkaz z centrali) zaniechanie planów stworzenia czwartego amatorskiego zespołu złożonego z samych miss, które, jak nam fachowo tłumaczono, występowałyby na scenie jako „adeptki sztuki".

Estrada lubelska opuściła już odkryte przez siebie nowe ziemie. Uczyniła to w samą porę, w momencie kiedy znalazła się na trudnej granicy, w komorze celnej, w momencie kiedy powstała sytuacja wymagająca od nich zdeklarowania się ideowego; kiedy od akcji jednorazowej trzeba było przejść do „długofalowości", swoje plany usprawiedliwić teoretycznie – kiedy należało zrobić „coś" dalej z biednymi dziewczętami.

Najłatwiej było wypchnąć je na scenę, obdarzyć nylonowymi „kompletami" i naobiecywać kupę. Trudniej natomiast realizować obietnice. Bo – wbrew powszechnej opinii publicystów, którzy pisali już na ten temat – n a s z e wybory miss nie były bynajmniej kopią wyborów zgniłoeuropejskich. Tam „misski" są narzędziem, nigdy nie występują same dla siebie czy jako takie – mówiąc belferskim językiem. Służą reklamie. Raz miss związana jest z mączką dla świń, drugi raz z elektroluksami, trzeci – z koncernem hoteli w znanych uzdrowiskach. Organizatorzy wyborów miss na Zachodzie – to normalni pośrednicy handlowi. A u nas – inaczej. U nas musiała od razu chwycić w swe ręce rzecz całą monopolistyczna instytucja p a ń s t w o w a, aby ofiarować dziewczętom „nowoczesną" bieliznę i obiecać s ł a w ę.

[3] Brazyliana – tu: zwycięska reprezentacja piłkarska Brazylii z mundialu 1958.

Pocieszające jest, że tej ostatniej nie wszystkie chciały. Znalazły się bowiem i takie, które myślały o awansie, i to wcale nie artystycznym. Wyglądać to może jak dowcip, ale nie jest nawet smutnym dowcipem: znalazły się wśród nich i takie, które przystępowały do imprezy w nadziei, iż automatycznie umożliwi im to dostanie się („nie matura, lecz chęć szczera") na studia uniwersyteckie. W jednym z miasteczek powiatowych przyszła do organizatorów imprezy chłopka. Gotowa była opierającą się i wołającą „Mamo, ja nie chcę!" kilkunastoletnią córkę wystawić – jak powiadała – „goło na scenę", byleby tylko otrzymać nagrodę w wysokości złotych pięciuset (rozumiała, że to będzie gotówka), a która to suma potrzebna jej była na zapłacenie zaległości podatkowych. Najbardziej tragiczne było jednak co innego: jedna z kandydatek do tytułu powiatowej miss myślała, iż za tę cenę uda się jej otrzymać jakąkolwiek pracę. Chociażby w PZGS-ie[4].

Istotnie, telefon z centrali do lubelskiej Estrady odezwał się w samą porę, aby rozwiązać niepotrzebne kłopoty.

Konkluzja? Konkluzji może być wiele. Nie są one jednak tak ważne, bo przecież praktycznie imprezy te nie dały w swymi wyniku ż a d n y c h ujemnych społecznie skutków. Spłynęły po codziennym dniu prowincji polskiej jak woda.

Były tragedią paru dziewcząt. Ale cóż... W skali państwowej, na wielką miarę...

Reportera nie zawsze obchodzi ta „państwowa skala". Bardziej interesujące są przypadki indywidualne. Nie zawsze takie smutne jak te powiatowe. Czasem wesołe. W poszukiwaniu kontrastu do nastroju wyborów miss powiatu wybrałem się do dużego wojewódzkiego miasta.

Przyjechałem do Łodzi w odwiedziny do najpiękniejszej (czy raczej: urzędowo uznanej za najpiękniejszą) łodzianki, aktualnej miss Łodzi i wicemiss Polski pani Krystyny Zajkowskiej. Przyjechałem do pani Krysi nie tylko dlatego, że słyszałem wiele o jej naprawdę nieprzeciętnej urodzie, ale przede wszystkim dlatego że jest to bohaterka wprost do dydaktycznego reportażu wymarzona: nie dosyć, że piękna, to jeszcze dobrze się uczy.

Ale oto – właśnie w trakcie najbardziej wytężonej nauki – trafia się dzień świętej patronki. Zapada decyzja: imienin obchodzić się nie będzie. Imieniny imieninami, a uczyć się trzeba. Tak słyszy reporter umawiający się z panną Krysią, aktualną miss i wicemiss, a w najbliższej przyszłości panią doktor. Kiedy jednak reporter zjawia się w domu solenizantki, jednocześnie z nim pojawiają się młodzi ludzie w nieskazitelnie białych koszulach i z ogromnymi

[4] Patrz s. 701, przyp. 8.

bukietami kwiatów. W ogóle kwiatów jest pełne mieszkanie, przeważają goździki i róże. Reporter jest zawstydzony, przyniósł tylko dwa tulipany, wprawdzie przewiązane różową wstążeczką i owinięte sreberkiem, ale takie jakieś kopciuszkowate wśród bukietów kipiących wprost z wazonów. Na stole pojawia się koniak.

– Ma go znów nie być, więc mąż kupił od razu kilkanaście butelek – tłumaczy się pani domu, matka panny Krystyny, podsuwając coraz to nowe zakąski, na stole koniak ustępuje miejsca wiśniówce, gra radio i gramofon, ktoś włącza pralkę i telewizor, hokeiści na lodzie ganiają tak szybko, że aż patrzeć nie można, od razu robi się niedobrze, telewizor huczy, pralka (czeska!) miga (a może odwrotnie).

Ale mimo to mieszkanie nie traci swego charakteru, jest nadal zasiedziałe, solidne, mieszczańskie, przytulne i świetnie „na błyszcząco" wyposażone. Pan domu zagaja dyskusję literacką. Nie podoba mu się czarna seria naszej młodej literatury. Wznosimy toast na cześć panny Krystyny. Gdy tylko będzie dyplom, rodzice kupią jej auto. Hurra! Życie jest piękne.

Życie piękne, panna Krystyna też. Tańczy tak wspaniale, iż nawet reporterowi, zazwyczaj depczącemu partnerki po pantofelkach, wydaje się, że płynie w powietrzu (i dlatego nie może deptać). Pięć minut hula-hoop. (Panna Krystyna nie potrzebowała się uczyć tego tańca. Kupiła kółko, zakręciła się i już, za pierwszym razem – poooszło!) Pięć minut stepu (w wykonaniu młodego człowieka w wąziutkich lakierkach). Tupot butów przypomina komuś straszliwy bałagan, który pono panował na wyborach miss Polonii w Warszawie. (Mama panny Krystyny pojechała z nią na te wybory, a jakże, pilnowała córki cały czas). Z adapteru dobywa się sentymentalna piosenka o kowboju. (– To moja ulubiona piosenka – powiada panna Krystyna). Reporter tańczy ze smukłą blondynką – koleżanką solenizantki, jest to jedyna, poza panią domu, kobieta w towarzystwie.

– Jedyna moja bliska przyjaciółka – wyjaśnia panna Krysia. – Mam ich tak mało. Nie wiem, dlaczego lubią mnie bardziej koledzy niż koleżanki...

Wtedy reportera nachodzi przypomnienie:

...Po raz pierwszy – nim trafiłem na owe imieniny, których miało nie być – umówiłem się z panną Krystyną w klubie Stowarzyszenia Dziennikarzy. Lokal ten, nowocześnie zaprojektowany przez inżyniera Czekalskiego, wyposażony w świetną kawę i uroczą władczynię kaw, panią Janinę, bywa od czasu do czasu terenem upowszechniania. Ostatnio na przykład łódzcy koledzy zaprosili rewelację sezonu – panią Alicję Darlen od strip-tease'u. Strip-tease wyłącznie dla dziennikarzy!

Pani Alicja Darlen to tancerka z Artosu. Są w Polsce setki młodych dziewcząt, które marzą o „zwróceniu na siebie uwagi", o karierze Artosowych starletek. Miss Hrubieszowa, zwróciwszy na siebie uwagę, uzyskała w rezultacie pracę w spółdzielni kominiarzy „Wspólna Sprawa".

I oto siedzę w nowocześnie urządzonym klubie dziennikarzy naprzeciw ślicznej panny, ubranej z wielkim smakiem, niebiednej i niegłupiej.

Siedzę naprzeciw ślicznej panny, do której już niedługo będą się zwracać per „pani doktor", i w panice myślę, że nic nie wiem. Że tu zupełnie zawodzi mnie dotychczas wyuczona znajomość przedmiotu.

– A gdyby tak – kuszę – przyszedł teraz do pani Wajda i powiedział: „Daję pani główną rolę w moim nowym filmie", to co by pani zrobiła?

– Nie – odpowiada śliczna panna. – Wajda by teraz nie przyszedł. To niemożliwe. Teraz są egzaminy.

Dotąd, zdawałoby się, wiem wszystko. Wyobrażałem sobie kandydatki stające na przykład do wyborów na „miss Polonię" jako panienki głupiutkie (lub sprytne); jako takie, co w przyszłości dalej niż na odległość ramienia (przeważnie męskiego) patrzeć nie potrafią.

A tu siedzę naprzeciw panny, która wie z całą pewnością, że za plus minus rok będzie miała własny g a b i n e t (najlepiej w Warszawie).

Więc: dlaczego? Dlaczego kandydowała? Dlaczego zapragnęła włożyć na swą główkę w Sali Kongresowej Pałacu Kultury koronę miss?

Dla „draki"? Chyba nie. Do dziś traktuje swój tytuł całkiem poważnie.

Na przekór? Na złość środowisku, na złość purytańskiemu otoczeniu? To byłoby „coś pięknego". T a a a k i temat dla reportera. Podejrzewam, że jakieś okruszyny z tego – może podświadomie – zaważyły na decyzji panny Krysi. Ale okruszyny te nie mogły decydować, mówi przecież o czymś i to, że właśnie mama – przypominam! – holowała osobiście pannę Krysię na wybory do Warszawy.

Decyduję się wreszcie. Pytam delikwentkę wprost: dlaczego?

– Dlaczego? – Zastanawia się długo. – Właściwie... No... Tak na pewno to nie wiem... Koleżanki namawiały...

– Koleżanki? Pozwalam sobie nie bardzo w to wierzyć, panno Krysiu.

I pozostaję na lodzie. Patrzę na siedzącą naprzeciw mnie piękną dziewczynę, panią doktor *in spe*, właścicielkę własnego gabinetu w Warszawie, może auta, osobę niepotrzebującą przepychać się siłą przez życie, mającą to życie w miarę wygodne oraz dokładnie zaplanowane i – nic nie wiem.

Domyślam się... Nie. Wolę się nie domyślać.

A więc – *à l'américain*:

– Ile ma pani lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Wzrost?

– Metr sześćdziesiąt cztery.

– Inne dane?

– Obwód w biodrach: dziewięćdziesiąt centymetrów, w biuście: osiemdziesiąt osiem, w talii – pięćdziesiąt osiem.

Jak określić kolor włosów i oczu? Włosy kasztanowate czy może lepiej – orzechowe? Orzechowo-kasztanowate? A oczy? Oczy piwne? Nie, to byłoby zbyt pospolite. Oczy, które tak patrzą, nie mogą być piwne. Więc inne może?

– Pani ulubiony deser?

– Kisiel.

– Ulubiony poeta?

– Gałczyński.

– Co pani teraz czyta (z beletrystyki oczywiście)?

– *Ingeborgę* Kellermanna.

– Podoba się?

– Bardzo lubię powieści romantyczne, o stylu poetyckim. Nie rozumiem i nie lubię takich pisarzy amerykańskich jak Hemingway na przykład.

– A jazz pani lubi?

– Bardzo.

– To dziwne, bo współczesna literatura amerykańska kojarzy mi się z jazzem. Ale jedźmy dalej: wzorcowy typ mężczyzny?

– Wzrost średni, szczupły.

– Blondyn, brunet?

– Bez znaczenia.

– A co ma znaczenie?

– Charakter. Musi być c z u ł y.

– Uhm. A który teatr łódzki najwięcej pani lubi?

– Operetkę. Tylko operetkę. Przepadam za operetką.

Panna Krysia (tak samo zresztą jak jej matka) nie lubi szarej, zadymionej Łodzi. Panna Krysia marzy – i planuje przeniesienie się do stolicy. („Teraz mieszkanie łatwiej kupić niż dawniej, prawda?") Panna Krysia marzy też o jakiejś pięknej wycieczce za granicę.

Czechosłowacja – już przez Orbis załatwiona.

Rumunia – a jakże.

Bułgaria – wczasy nad Morzem Czarnym.

ZSRR – aż dwa razy.

NRD – oczywiście.

Ale to wszystko jeszcze n i e t o. Gdyby tak słodka Francja albo Włochy...

Właśnie: piękną wicemiss i pilną studentkę proteguję niniejszym do Biura Wczasów i Turystyki Zrzeszenia Studentów Polskich. Lansuję pannę Krysię na eksport.

A może by i mnie samemu też z tą wycieczką, razem z panną Krysią... co? Da się coś zrobić, panie kierowniku?

Tylko ten charakter! Okropnie nie lubię być c z u ł y. Że też pani taka wymagająca, panno Krysiu. To wcale nie po dzisiejszemu. Nie wierzę pani. Ktoś, kto kocha jazz, kto tańczy rocka i hula-hoop tak świetnie jak pani – nie powinien pozować temu wszystkiemu na przekór, według sentymentalnych wzorów. Dlaczego pani jest przeciwko biednemu Hemingwayowi (ma taką miłą brodę!)? Dlaczego nie chce pani mieć nic wspólnego z atomowymi cechami atomowego pokolenia?

I czy zdaje sobie pani sprawę z kontrastu, jaki powstaje przy porównaniu pani z koleżankami, bohaterkami jednego „skandalicznego" dnia wyborów miss powiatu?

Panno Krysiu!

– Panno Lili!

...przed wyjazdem w „powiatowy" teren byłem skłonny przyłączyć swój skromny głosik do chóru trąb jerychońskich, w które dmą liczne armie oblegające twierdzę szmiry. Po powrocie z wędrówki po powiatowych miasteczkach nie zmieniłem wprawdzie przekonania, że walka ze szmirą jest potrzebna, ale uważam, że nie tędy powinien przebiegać i nie od tego powinien się zacząć, jak to sugerują niektórzy, „główny kierunek natarcia" – nie ten wróg jest najgroźniejszy i nie taka znów potężna jego twierdza. Cywilizacja „Przekroju", w czystym wydaniu, została przyjęta bezkrytycznie tylko w pewnych ściśle określonych środowiskach wielkomiejskich, przeważnie tych samych, które przed epoką koegzystencji awansowały babskie pismo o kieckach „Elle" do roli powstańczego, antypaństwowego „podaj z rąk do rąk". W „powiatowej" Polsce cywilizacja „Przekroju" napotkała od razu mur trudny do przekroczenia, a jeśli asymilowała się tam, to w każdym razie nie jako kierunek zwycięski.

Pewien powiatowy dom kultury (którego nie wymienię z nazwy, ponieważ mi za niego trochę wstyd) w miasteczku słynnym z niezbyt udanych wyborów miss, ponieważ znalazły się tylko dwie amatorki, czyli tym samym sprawę

wyboru załatwiono „w zarodku" (jako że jedna z nich musiała zostać miss, a druga wicemiss piękności, mimo gwizdów publiki, że granda) – otóż ów PDK, tuż po tak zwanym Październiku – ruszył z kopyta do roboty pod hasłem nowalijek i odnowy. Rozumiano to tam po swojemu: zabawy, wieczorynki, potańcówki i znów zabawy. Wszystko zapowiadało się „na nowym etapie" jak najlepiej do chwili, kiedy dało znać o sobie szczególne prawo polskiej powiatowej drogi, prawo przystosowania „czystej" cywilizacji „Przekroju" do miejscowych warunków i tradycji. Wkrótce bowiem przyszedł czas, kiedy nowo przybyła do PDK młodzież dosłownie zbuntowała się, odmówiła przyjmowania dóbr kulturalnych w postaci tańca i wystąpiła za pośrednictwem specjalnej delegacji – nieomalże komitetu strajkowego – do kierownictwa domu kultury o zaprzestanie wszelkiej wesołości. Kierownictwo nie skapitulowało. Przeprowadziło (po dyplomatycznym zakwestionowaniu mandatu delegacji) w niesłychanie perfidny sposób (w czasie tańca) ankietę wśród swych bywalców. Rezultat? Dziewięćdziesiąt procent, czyli dwieście głosów za nietańczeniem. Kto odpowiadał na ankietę? Ponuracy? Byli zetempowcy? Nie. Wręcz przeciwnie. To młodzież, która przedtem na żadne odczyty nie chodziła, młodzież jak najbardziej przeciętna, niezorganizowana.

Skąd wzięła się ta niezorganizowana ponuracka jedność bywalców PDK w momencie, kiedy ZMS[5] buduje, przeżywa, ustala programy, dyskutuje gorąco? Ot, zwyczajnie – zbliżał się sześciotygodniowy okres W i e l k i e g o P o s t u...

Po tej ankiecie skłonny jestem uważać, że kierowanie g ł ó w n e g o natarcia na powiatowym „odcinku kulturalnym" przeciw „przekrojowej cywilizacji" jest typowo stołecznym nieporozumieniem. Tysiące słów napisano o tym, iż postulat dochodowości kultury stworzył realne niebezpieczeństwo rozpanoszenia się szmiry. Wszystko racja! Szeroko rozpowszechniony kompleks prowincji uczynił krajowy rynek kulturalny podatnym na każdą tandetę. Śmiem jednak twierdzić, że w naszych, mówiąc w skrócie, warunkach cywilizacyjnych pojęcie szmiry, określane w kategoriach estetycznych czy artystycznych, w kategoriach upowszechnienia kultury, nie znaczy dosłownie nic. Znaczy natomiast – i to niemało – zaszczepiana od wieków, poparta analfabetyzmem wsi parafialna kultura Polski „powiatowej" z jednej strony, a z drugiej – pluszowo-landszaftowe drobnomieszczańskie sentymenty, rozmazane łezką panieńską „*made in* Zachód". To się liczy. I żadne wpływy burżuazji czy nawet działalność środowisk świadomie, politycznie klerykalnych niewiele znaczą wobec tej przytłaczającej kulturalno-obyczajowej siły inercji.

Stefan Kozicki, *Szukam miss powiatu*, Warszawa: Iskry, 1961, s. 112–127

[5] ZMS – Związek Młodzieży Socjalistycznej, organizacja młodzieżowa działająca w latach 1957–1976, ideowo, politycznie i organizacyjnie podporządkowana PZPR. Zastąpiła ZMP, które zakończyło działalność po przesileniu politycznym Października 1956.

1962/1972

Anna Stroińska (1931–2007)

Wedle zgrzebnych faktów

W 1966 roku pisała o Marynie, jednej z pierwszych góralek, które złożyły pozew o rozwód. Wśród górali było to wówczas zjawisko niespotykane, a w przypadku Maryny podwójnie szokujące. Miała bowiem pięćdziesiąt osiem lat i rozwodziła się z mężem, który był od niej o trzydzieści lat młodszy. Feluś ją bowiem oszukał: podkradł dowód, wkleił do niego zdjęcie swojej młodej kochanki, ta przefarbowała się na siwo, dzięki czemu Feluś przedstawił ją u notariusza jako swą prawowitą żonę, a wtedy fałszywa Maryna przepisała na męża swoje dwie morgi ziemi – majątek, który Maryna właściwa postanowiła jeszcze przed ślubem zatrzymać tylko dla siebie.

Strońska opowiada o niej pięknie. Reporterka świetnie słyszy zaskakujący język swoich rozmówców, ale sama nie ustępuje im w świeżości sformułowań.

„Maryna jest zwiędła, czarna, żarliwa" – pisze o niej w pierwszym zdaniu. Potem streszcza jej życie i sumuje, że „wytrwała boża niechęć upodobała sobie ją właśnie, Marynę". Całe życie przepracowała na służbie, pozbawiona marzeń i prawa do własnych potrzeb. Spośród ludzi wyróżnia ją „nieurodzaj losu". Co więcej, „Maryny nie stać na los skomplikowany". Feluś za to jest chłopakiem bardzo udanym, „wymajsterkował go Pan Bóg bez obrazy oka". Dlaczego poszła za młodego? „Maryna jest góralką, kobiety tutejsze nie słuchają czasu. W górach później niż na nizinach sięga się po sztukę rezygnacji". O swoim dowodzie osobistym zapomniała, zawinęła go kiedyś starannie w chustkę i zamknęła w pudełku na dnie szafy, co Strońska nazywa „dystansem Maryny wobec urzędowej gwarancji swojego istnienia".

> Trzeba jednak wiedzieć – pisze reporterka – iż pierwsza oszukała Maryna. Obiecywała żyć krócej, jak dzisiaj przyznaje się przede mną. Był to podstęp dalekowzroczny: z czasem mąż miał polubić żonę za dobroć, za hojne wiano i polubiwszy – darować żywotność. [...]
>
> – Wcale nie chciałam źle. Gadam jemu: póki ja będę żyła, ja cię będę miała za swoje dziecko, a jak pominę, to ty sobie będziesz robił po swojemu. Nawet brat jego taką mu dał naukę: kobieta starsza jest, wybita na służbach... Czemu jej nie słuchasz? Przecie ona przeminie i już się będziesz rządził sam. Wszyscy ludzie nie inaczej go uczyli.

W reportażu *Rozwód po góralsku* Anna Strońska neutralny język reporterski miesza z językiem górali i językiem pisarki, która lubi zdania barokowe, nieoczywiste w swoich konstrukcjach. Reportaż pisze kobieta z miasta, która umie się znaleźć na wsi, nie wywyższa się, ale pozostaje kobietą z miasta.

W tekstach czy wzmiankach o Annie Strońskiej, łącznie z notatką w Wikipedii, pojawia się określenie „pierwsza dama polskiego reportażu". Byłem ciekaw, co to oznacza: sposób bycia czy sposób pisania, ale nikt mi nie umiał odpowiedzieć. (Hanna Krall uważa, że słowa „reportaż" i „dama" się wykluczają. „Strońska była świetną reporterką i uczciwym człowiekiem" – mówi).

Dyplom dziennikarza Anna Strońska otrzymała w 1953 roku i rozpoczęła pracę w dziale rolnym „Gazety Krakowskiej", wiedząc o wsi tyle, ile może wiedzieć człowiek wychowany w mieście. Ponieważ reporterka na wsi nie jest „swoja", w Polsce gromadzkiej – jak wyliczyła Katarzyna Meloch – Strońska bywała: prokuratorem, pańcią z opieki społecznej, „kumotrem od miejskiego brata", „kumotrem od wrogów miejskiego brata", tajniaczką, prywatną inicjatywą, inspektorem PIH-u, korespondentem powiatowym, członkiem rządu, panienką na wydaniu.

Swój pierwszy wiejski temat, pisze dalej Meloch, studentka wydziału dziennikarstwa Strońska znalazła, gdy leżała w szpitalu. Na sąsiednim łóżku umierała kobieta ze wsi. W ostatnich dniach życia namawiała męża do nowej żeniaczki. Szło o gospodarstwo, a przede wszystkim o najbliższe żniwa. „Bez pomocy nie uciągniesz" – mówiła umierająca i radziła, jakiej szukać kobiety i jak ominąć obowiązkową żałobę.

> [Maria] Dąbrowska chciała świadczyć o okrutnym proletariackim losie chłopów. Strońska jest pisarką innych wsi, innych ludzi: bezwzględnych twardych egoistów, którym ręka zgina się ku sobie. Ludzi zmysłowych w każdym znaczeniu tego różnorakiego słowa, namiętnych, ale namiętnością smutną, gdyż bardzo wyrachowaną.

Tak o bohaterach Anny Strońskiej pisał Kazimierz Koźniewski.

Andrzej W. Pawluczuk nazwał jej twórczość literaturą faktu okrutnego.

W „Gazecie Krakowskiej" pracowała do 1962 roku, potem przeszła do „Polityki", gdzie była reporterką, aż pismo zamknięto po wprowadzenia stanu wojennego. Negatywnie zweryfikowana, zajęła się pisaniem dla filmu i teatru. W 1991 roku Jan Łomnicki nakręcił według jej scenariusza głośny film *Jeszcze tylko ten las* z Ryszardą Hanin w roli głównej. Wydała siedem zbiorów reportaży, a najlepsze z nich wydawnictwo Czytelnik zaprezentowało w 1976 roku w książce *Życie, jakie jest*. Teksty o położnej Kawińskiej, które prezentujemy w tej

antologii, były słynnymi reportażami Strońskiej o współczesnej siłaczce. Położnej, która zwalczała na wsi zabobon i nieufność do medycyny.

Gdy w latach siedemdziesiątych reporterka znów leżała w szpitalu, w telewizji pokazywano właśnie serial o Henryku VIII – pokaz królewskiego umierania zbiegł się więc, jak pisała, z agonią tej grubej z szóstki, która stale się awanturowała o złe obiady.

> Pacjentka, posłuszna obyczajowi i prawu szpitalnej społeczności – pisze Meloch – bo na hematologii pełniła nawet funkcję starościny sali, nie przestała być reporterką. Chora – znalazła w sobie dość siły, żeby spamiętać i zapisać, co działo się na sąsiednich łóżkach.

Tak powstała książka *W wolnych chwilach przed śmiercią* (1978).

> Misterium męki człowieczej wedle zgrzebnych faktów: ja wołam o basen, ty konasz, ona je pierogi.

Pożegnanie z Kawińską

Chciała zostać w powiecie przemyskim lub w sąsiedztwie przemyskiego. Przydział pracy skierował ją na Lubelszczyznę.

Wytargowała się z komisją rozsyłającą po Polsce absolwentki szkoły położnych i poszła pakować manatki na drogę, która prowadziła w kierunku całkowicie, jak sobie przypominam, rozbieżnym z pewnym jej osobistym planowaniem.

Na ten temat nie było jednak rozmów ani z komisją, ani ze mną. Wcześniejszy jeszcze układ sił życiowych wykształcił w Kawińskiej cechy charakteru, które zwykliśmy nazywać męskimi. I może właśnie tej odporności psychicznej, talentowi do „wyłażenia spod wozu na wóz" – jak rzecz nazwie sama Wiśka – przypiszemy również okoliczność, że w pierwszym czy w drugim miesiącu pobytu Kawińska najzwyczajniej w świecie z Lubelszczyzny nie uciekła.

Listy dostawałam często. Sążniste. Przyczynę urodzaju korespondencji rozszyfrowałam łatwiutko. Lubelska wieś Krzywda skazała n o w ą na milczenie. Gdyby nie miejscowy sklepik – skazałaby ją i na głód. Ów sklep spożywczy dysponował co prawda tylko jajkami, za to miał pewien walor zasadniczy: nie odmawiał sprzedaży. We wsi nikt nie sprzedałby nowej ziemniaków lub kwaterki mleka.

Rzucony w ciemności kamień nie zawsze musi chybić. I kilka nie chybiło.

Po kwarantannie milczącego bezrobocia – pierwsze pacjentki. Najtrudniejsze. Jeśli przy babce kobieta „nie radzi urodzić", jeśli kobieta kona, krzywdziańscy sprowadzają n o w ą. Później pisze do mnie:

> ...zwykle nie ma nawet w czym wykąpać noworodka. Jedno wiadro w domu: do noszenia wody, do gotowania świniom żarcia, prania brudów, mycia naczyń – no, i jako wanienka. Położnica ma wypić „na powrót sił". Babki stosują okłady z rozgrzanych cegieł lub parówki, „żeby się lepiej wszystko otwierało" (brama do raju?!). Zapalają też denaturat i podtrzymują położnicę nad płomieniem. „Ciepło przyspiesza..." Że ogień parzy? Nie szkodzi. Że krwotok? Nie szkodzi. Dopiero po utracie przytomności wiozą kobietę do szpitala. Jeśli zdążą... „Normalna" rodząca ma leżeć na łóżku

rozkrzyżowana, nie wolno przez kilkanaście godzin ręką, nogą ruszyć, wtedy dziecko się prędzej „wybije". Ja bym tym instruktorkom zęby wybijała! Mnie się z reguły wzywa na ostatni dzwon. Lament, tłok w izbie, po dwie babki klęczą na łóżku. Czasem zdążę uratować i matkę, i dziecko, chociaż pod oknami już się głośno modlą za konających. Czasem wchodzę za późno. Pamiętam śmierć trzydziestoletniej zdrowej kobiety. Łożysko nie odchodziło, więc babka mocno pociągnęła za pępowinę. Przerwała, nastąpił krwotok. Do mnie tylko kilometr, a do babki pięć kilometrów drogi. Sama zapłakałam nad biedną ofiarą zacofania. Babka skomli i pcha pod oczy papierek: przed wojną dał jej lekarz kartkę, że w razie nagłej potrzeby może dziecko odpętlić. Służyła w szpitalu. Siedemdziesiąt lat... komu tam za kratki? Więcej do porodu nie pójdzie, boi się. Wreszcie trochę spokoju, bo to była w Krzywdzie moja największa konkurentka.

Sytuacja wymagała jednak administracyjnego podparcia. W porozumieniu z Kawińską Urząd Stanu Cywilnego zaczął wzbraniać się przed wydawaniem metryk noworodkom, których matki nie posiadały zaświadczenia od położnej. Na swój sposób pomógł również uproszony przez zmyślną Wiśkę pleban, rozgłaszając z ambony przydatność nowej i strasząc wierne gniewem bożym, jeśli nie przestaną tkwić postępowi ością w gardle.

Kawińska prosi, wymyśla, pije wódkę po dwie „szklanice", za siebie i za rodzącą – ale robi swoje. Pierwszy list w tonacji triumfalnej:

...nareszcie zawołali mnie w porę! Dziecko żywe, za to poród z przygodami. W domu ani nafty, ani świecy. Łuczywo chłop trzyma, kopci to, śmierdzi, ale zawsze świeci. Raptem, w trakcie wytaczania główki, rumor – ciemno. Chłop zemdlał. Zostawiłam rodzącą i dziecko, chłopa za nogi wywlokłam do sieni, wiadro wody na łeb – zawołałam sąsiadkę, przyniosła światło, wykończyłam poród.

W tym czasie już nikt nie obrzuca Kawińskiej kamieniami i nikt jej nie skazuje na śniadania z jajecznicy, obiady z jajecznicy, kolacje z jajecznicy. Jest potrzebna. Zaczyna być s w o j a.

W Krzywdzie pracuje Kawińska przez trzy lata. W 1950 roku – odbiera pięć porodów. W 1951 – dwadzieścia pięć. W 1952 – czterdzieści pięć. W 1953 – sześćdziesiąt sześć.

Na terenie powiatu powstają pierwsze izby porodowe. Najpierw w Adamowie, potem w Stoczku Łukowskim, tym samym, pod którym grzmiały

historyczne armaty; potem w odległym od Krzywdy o czterdzieści dwa kilometry Trzebieszowie.

Dzisiejsza wieś Krzywda – mająca już na miejscu lekarza medycyny, dentystę, weterynarza – transportuje swoje położnice do pobliskiego Adamowa albo do Stanina.

Jeszcze z końcem 1953 roku wydział zdrowia przenosi Wiśkę na placówkę znowu pionierską: do Trzebieszowa. W rok później Kawińska otrzyma odznakę dziesięciolecia za wzorową pracę.

Czterdzieści dwa kilometry: odległość nie tej miary, aby uderzenie przełamanych w Krzywdzie lodów zdołało ominąć Trzebieszów. Tutaj także nie ma już wrogów. Są tylko nieprzekonani. Są kobiety skłonne zrozumieć sąsiadkę, która rodzi u Kawińskiej, ale niespieszące się do pójścia w ślady sąsiadki.

Początki pobytu położnej – ugrzecznione, nijakie, senne. Wieś życzliwa, izba prawie pusta.

W Krzywdzie położna, proszona czy nieproszona, wędrowała po cudzych domach. W Trzebieszowie – dysponuje własnym zapleczem. To samo przez się wystarczy, aby wzmocnić autorytet. To jeszcze nie może wystarczyć do zwycięskiego finiszu w konkurencji ze znachorkami.

Odmienny, złagodzony gatunek konfliktów. Jakaś synowa wyznaje, że chętnie powierzyłaby siebie rękom nowej, tylko teściowa zabrania. Jakaś teściowa tłumaczy, że wszystkie synowe rodziły w domu, więc i ta urodzi. Jeśliby, nie daj Boże, kłopoty – skoczy się po panią akuszerkę albo podrzuci jej położnicę. Jeśli dziecko, daj Boże, wybrnie na świat gładko – nie warto pani akuszerki męczyć.

Ale Kawińska to także człowiek ze wsi: przywykły do zawiłych rachub, zawzięty w swoim, cierpliwy. W moich i Kawińskiej stronach rodzinnych, u progu Bieszczadów, mieszkańcy ukraińskiej okolicy pilnie obserwowali zwyczaj prynuki. Bez usilnej prynuki, czyli zachęty, gość nie dawał się gospodarzom usadzić za stołem, choćby bardzo sutym. Im dłuższy opór, im kunsztowniejsza prynuka – tym większe wyrobienie towarzyskie przybysza, tym milsza kurtuazja domowników.

I Kawińska robi prynukę. W Krzywdzie, narażając się pacjentkom, przeganiała rodziny od łóżka położnicy. W Trzebieszowie, narażając się wydziałowi zdrowia, pozwala odwiedzać położnice o każdej porze dnia i nocy. Wabik ryzykowny, bijemy się w piersi, ale czyniący izbie reklamę intratniejszą niż owe cztery wyprawki dla niemowląt, bezpłatnie zaofiarowane pierwszym czterem pacjentkom.

Po kilku miesiącach Kawińska napisze:

> ...tu też miały właściwie jak w domu, więc przestały wołać mnie do domów. W czystej pościeli wypoczynek lepszy, no i ta pewność, że się swoim leżeniem nikogo nie złości, że nikt nie spędza z łóżka do roboty. Wreszcie u mnie wikt lepszy, taniej kosztuje. Opłatę pobiera się według przychodowości rocznej. Która nie ma majątku, nic nie płaci...

Izba Kawińskiej obsługuje sześć gromad: Trzebieszów, Nuszynę, Łazy w powiecie łukowskim, Kąkolewnicę, Jelenicę, Tłuściec w powiecie Radzyń Podlaski. Obsługiwała też pogranicze powiatu siedleckiego, dopóki nie wyręczyła jej izba w Wólce Kamiennej.

Dwadzieścia pięć wsi, rozrzuconych w odległości do piętnastu kilometrów. Jeśli szpital łukowski jest przepełniony, a to zdarza się często, karetki pogotowia podrzucają Kawińskiej pacjentki aż z Domaszewnicy, Gąsek, Sarnowa, czyli z miejscowości odległych o trzydzieści, czterdzieści pięć kilometrów.

Jaka jest ta współczesna o k o l i c a K a w i ń s k i e j, Trzebieszów na głębokiej Lubelszczyźnie *Anno Domini* 1961?

Zasięg administracyjny gromady: dwanaście wsi, dziewięćset dziewięćdziesiąt numerów, blisko sześć tysięcy mieszkańców. Równina, bezustanna równina, tyle że bardzo zielona. Lasy. Dostatek sadów.

Sam Trzebieszów, podzielony na cztery oddziały i ulicówką rozciągnięty na ośmiokilometrową długość, liczy sobie trzysta pięćdziesiąt numerów i około dwóch tysięcy czterystu mieszkańców.

Domy już przeważnie kryte blachą, dachówką. Zabudowania jeszcze w większej części – słomą.

Grunt na ogół dobry, aż po czarnoziem. Miejscowi faworyzują jednak gospodarkę hodowlaną. Sporo obejść, w których trzyma się po cztery do ośmiu krów, po dwadzieścia, czterdzieści sztuk nierogacizny.

To ziemia lubelska. Nie jesteśmy w krajobrazie zmodernizowanym przez industrializację. Trzebieszów nie może się dożywiać bliskością wielkiego przemysłu. Może jednak zarabiać – i zarabia – w mieście. W łukowskiej fabryce obuwia. W międzyrzeckich zakładach jajczarsko-drobiarskich. W zakładach krawiecko-bieliźniarskich. W handlu państwowym czy spółdzielczym, w budownictwie.

Jest w Trzebieszowie siedmioklasowa szkoła: czterystu uczniów, ośmioro nauczycieli. Jest przedszkole. Urząd pocztowy. Gees we własnej murowanej

rezydencji. Piekarnia parowa, zresztą specjalistka od półsurowego chleba. Biblioteka z pięcioma tysiącami książek, czytanych książek.

Jest – otwarta jesienią 1960 roku – pierwsza w Polsce agronomówka[1]. Ośrodek zdrowia, piętrowy, murowany: internista dojeżdża z Łukowa co drugi dzień, regularnie, rzadziej ordynuje dentysta.

Jest apteka. Pokaźna lecznica weterynaryjna: dwu lekarzy weterynarii, jeden felczer. Stałe kino w przebudowanej remizie strażackiej, które dwa razy w tygodniu wyświetla dobre filmy. Czasem, czasem – objazdowy teatr z miasta.

Przed wojną nie było nawet drogi. Jak opowiadają tutejsi, nieraz wypadło zostawić wóz w błocie ponad siły zmordowanych koni i miesiącami czekać z jego wydobyciem na suszę albo na mróz.

Dzisiaj komunikacja Trzebieszowa ze światem jest zupełnie niezła. Autobusami dojeżdża się stąd do Łukowa, do Międzyrzeca Podlaskiego, gdzie uregulowana już na całej swej długości Krzna łączy się z Wieprzem, do Siedlec. Przystanek kolejowy mniej popularny od PKS-u, bo mniej wygodny. Trzeba iść pięć kilometrów przez las, i to „polską drogą". Jeszcze.

Autobusy autobusami, kolej koleją, a Trzebieszowa nie ominął czar prywatnych kółek – nie czterech, co prawda, jak w mieście, ale dwu, jak w innych wsiach współczesnych. Niedzielne panny na szpilkach i w milanowskich jedwabiach milej widzą zmotoryzowanych kawalerów. Jawy czy wuefemki potrafią zresztą wykazywać swą przydatność i w małżeńskim stanie właściciela. Minęły czasy, kiedy tylko furmanki zatrzymywały się przed trzebieszowską izbą porodową. Kawińska nawet chwali sobie ten postępowy transport pacjentek.

– Jeszcze nie miałam wypadku, żeby na motocyklu która urodziła, bo i tą lokomocją dowożą, ale przynajmniej zdążyć zdążą, i po takiej przejażdżce długo skutku nie czekam... Z wozami inna sprawa. Razu jednego pod izbą krzyk. Wybiegam. Dziecko już urodzone, całe śniegiem pokryte. Ojciec tak się przestraszył, tak pędził konia, że ten iskrami z kopyt sypał. I co? Matka zdrowa, dziecko też ani nie kichnęło: zahartowane!

Trzebieszów, w który województwo zdążyło już zainwestować tyle pieniędzy, i to ciężkich pieniędzy, nie jest jeszcze zelektryfikowany. Tyle że prowadzona obecnie zwózka słupów urealnia ludziom termin. Światło ma być za rok.

– Era sputnikowa, a tu kaganki... wstyd! – grzmi Kawińska. – Na naszych ludziach pelisy, barany węgierskie, nylony, perlony i inne pierony, a w chałupie ciemno. Radio? Kosztowny luksus. Płacę miesięcznie więcej niż

[1] Agronomówka – siedziba agronoma (nieraz dzielona z lekarzem weterynarii), która wraz z przyległą działką obejmowała ogródek owocowo-warzywny i małe pólko demonstracyjno-doświadczalne. W agronomówce znajdowało się też podręczne laboratorium do badań glebowo-klimatycznych.

sto złotych, bo baterie i suche ogniwa bardzo szybko się wyczerpują. Izba miała przez dwa miesiące agregat spalinowy, obsługiwany przez mechanika. Agregat stoi dalej, zepsuty. Może by się i znalazły części zamienne, tylko nie znalazła się gotówka w wydziale zdrowia. Dzieciska znów przy nafcie na świat wyskakują.

Światło: temat numer jeden trzebieszowskich rozmów. Gospodarze już ciułają gotówkę, wypadnie im dopłacać za instalację. Niemało dopłacać.

Myślę, że jeszcze z dziesięć lat temu elektryfikacja – nawet całkowicie sprezentowana przez państwo – nie wzbudziłaby we wsi bezspornego entuzjazmu. Dzisiaj Trzebieszów postękuje nad wydatkiem, owszem, ale też pali się do jego efektu.

Cóż, osiem lat temu Kawińska oglądała w swojej izbie łóżka bez pacjentek, a dzisiaj pacjentki byłyby gotowe przyjeżdżać z własnymi łóżkami, byle się tylko u Kawińskiej zmieścić.

Ciasnota tu nielicha. Kawińska klnie – i ma rację. Jej drewniana chałupa gryzie w oczy przy konfrontacji z przestronnym, „kamienicznym" ośrodkiem zdrowia.

Brak strychu. Brak piwnicy. Pokoik służbowy jest zarazem spiżarnią. Większe zapasy – ziemniaki, warzywa – zmagazynowane kątem u sąsiadów. Pralnia – na ganku. Zimą pościel zamiast schnąć, zamarza.

Sala matek teoretycznie mieści tylko pięć łóżek. Jak Trzebieszów na elektryczność, tak Kawińska czeka na zapowiedzianą budowę nowego, nowoczesnego szpitala w powiatowym Łukowie. [...]

Zastanawia się przy mnie:

– Ten nowy szpital [...] wyśmienicie rozwiąże sytuację w terenie. Moja rudera – pokazuje ręką izbę – ma pójść na emeryturę, jak słychać w powiecie. Ewentualnie zrobią tutaj punkt położniczy.

– Wyjedzie pani wtedy?

– Rudera – powtarza Kawińska. – „Najbiedniejsza i najciaśniejsza w powiecie, ale najlepsza..." Tak ją zaprezentował przedstawicielom radzieckiej służby zdrowia i naszej stołecznej asyście tych odwiedzin kierownik wojewódzkiego wydziału zdrowia, doktor Żelazowski. Duża dla mnie pociecha! Stara już jestem, czterdziestka dobrze stuknęła... sto kilogramów żywej wagi, serduszko w łoju, jak pani widzi, a przy tym prymitywie robota i odpowiedzialność podwójna.

– Więc wyjazd? Do Łukowa czy do Przemyśla?

Kawińska milczy, pochłonięta oględzinami wysłużonego ganku-pralni. Odrzuca przez ramię:

– Przecież mówię, że punkt położniczy byłby tutaj. A zresztą ja już się dowiadywałam w Lublinie i oni tam wcale nie myślą mojej izby likwidować. Wcale! [...]

Czasem zdaje mi się, że jakaś moja wina jednak w tym jest. Nieduża, ale jest.

Potem znowu usiłuję sama siebie przekonać, że nie. Ostatecznie – dziennikarz zawsze może dużo mniej, niż po nim oczekują. Ostatecznie – są racje szersze od racji jednego człowieka.

Tylko, psiakrew, ta szerokość na razie ma charakter wyłącznie perspektywiczny. Widzi ją Lublin, widzi Łuków, nie chce widzieć Trzebieszów. W Lublinie i w Łukowie dla wygody Trzebieszowa podjęto decyzję, której Trzebieszów za wygodną nie uważa. Jakoś w złą godzinę powtórzyłam słowa Kawińskiej: „Oni tam wcale nie myślą mojej izby likwidować". Owszem, pomyśleli. Izba już nie istnieje. [...]

W dziesięć lat później

Gazeta żyje krótko, powtarzamy to do znudzenia i czasem – jednak – z żalem, że fascynujące ludzkie losy rozmijają się z trwalszą pamięcią. Ileż takich życiorysów pozostało w ogóle niezauważonych! Dzisiaj perypetie położnej z półdziką, niepiśmienną, skąpiącą na nafcie i na butach wsią lubelską dla niej samej trącą egzotyzmem. Kupując bilet do okolicy Kawińskiej *anno* 1972, z góry wiem (korespondencja przecież trwa...), że nie znajdę już za wiele punktów odniesienia do tamtych sytuacji.

Wiśka trzykrotnie zmieniała adres na Podlasiu i każda ze zmian wynikała z procesów cywilizacyjnych. Od siedmiu lat jest kierowniczką jednej z ostatnich już być może w rozbudowującym szpitale województwie izb porodowych w Kąkolewnicy.

Żadna tam chałupa – dworek. Doskonałe warunki dla położnic. Dwupokojowe mieszkanie dla położnej. Łazienka, telefon, telewizor; po miejsku. Prześliczny ogród, tego w mieście nie ma.

Osiemnaście lat przemęczyła się kątem u ludzi. Mówi się o niej, że ma szczęśliwą rękę, a przecież nie odbierała porodów w sterylnej bieli kliniki, tylko na zleżałej słomie albo na znoszonych szmatach. [...]

– Pani Wisiu – powiadam, delektując się widokiem ciężkich, staroświeckich mebli i Kościuszki z brązu, który podniósł się w strzemionach i wskazuje szablą na drzwi do sali matek. – Nareszcie żyje pani po ludzku.

– A tak – machinalnie przytakuje Wiśka. – Bardzo dobre miejsce. Pod

każdym względem dobre. Nie przemęczam się, bo mało pacjentek. Nie ryzykuję, bo pod bokiem dwa szpitale i na karetkę czeka się nie dłużej niż dwanaście minut. Placówka jak się patrzy, wyposażona, przestronna... Dawniej i na chwilę drzemki czasu brakowało, a dzisiaj ja jestem wielka pani, mam personel do posługi i dyżurów. Wygrany los, tak jest.

Coś mi się nie podoba w głosie Wiśki, więc patrzę na nią pytająco.

– Ejże, pani położna, może by jednak tak po dawnemu, kawę na ławę, bez mydlenia oczu?

Wreszcie Kawińska nie wytrzymuje. Chwyta się pod boki szerokimi, muskularnymi rękami, przez które zdążyło już przejść z górą trzy tysiące noworodków, i grzmi stentorowym głosem.

– W d.... mam taką rezydencję! To już nie jest życie, to jest czekanie na emeryturę.

Wszystkiego sześć łóżek dla położnic. Z sześciu – zwykle dwa albo i trzy wolne. Śmiechu wart taki ruch w interesie, wzdycha Wiśka. Z trzebieszowskich czasów pamięta dni, kiedy na pięciu łóżkach i na dwu dostawkach leżało trzynaście kobiet, a czternasta, której już żywcem nie było gdzie upchać, ciężko obrażona odjechała do szpitala.

Nie te czasy, nie ci ludzie. Podlasie *anno* 1972 wyuczyło się perspektywicznej kalkulacji. O pozory dba się od metryki. Coraz więcej ojców pilnuje, żeby żona zdążyła na poród do szpitala: dziecko urodzone w Radzyniu albo w Międzyrzecu będzie miejskim dzieckiem. W razie czego – już mu nikt nie przygada od wsioków.

Wieś Kąkolewnica, a tak naprawdę – trzy Kąkolewnice: Wschodnia, Południowa i Północna. Dziewięć kilometrów zabudowy. Chałupy pod słomą przetykane willami, bar Venus, pusty klub bez nazwy, w co trzecim gospodarstwie motor, w co drugim – wóz na ogumionych kołach, jak zdążyła obliczyć pani magister Biegajło-Głowniakowa, wielka kąkolewnicka patriotka.

Imiona tej potrójnej wsi są dwojakie: z urzędu i dla ludzi. Wschodnia – dzieli się na Zakancelarię, Brzezinkę i Klin. Południowa – na Kozi Rynek, Kaczy Dołek i Podbór. Wreszcie Północna – na Podbarana i na Byka.

Ziemia Śledziów, Karasiów, Zajęców, Gilów, Kotów, Sokołów, Sójków. W Kąkolewnicy gospodarzą Ozimińscy, Mateje, Dzidy i Lendziony. Dużo Mazurów, Gomułków, Komoni. Czasem, jak na przypomnienie bliskiego Polesia, trafi się Kiryło czy Koźluk.

Tysiąc dziewięciuset dziewięćdziesięciu ośmiu mieszkańców, w tym dziewięćset osiemdziesięciu pracujących, w tym sześciuset pracujących wyłącznie

w rolnictwie. Taka wiocha zabita – powiadają rolnicy. Bardzo atrakcyjna wioska – mówią inteligenci. Dlatego kierownik szkoły sceptycznie ocenia projektowaną budowę Domu Nauczyciela.

– To bez sensu. Nauczyciele bez tego pchają się jak muchy do miodu. W Kąkolewnicy nie ma pustych biurek, są tylko puste gospodarstwa. Z braku amatorów przyszło zamknąć Szkołę Przysposobienia Rolniczego.

– Espeery nie urządzają młodzieży – wyjaśnia sekretarz Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. – Niepoważny adres dla młodych, bo miejscowy, no i matury nie da. Pani sama wie, za czym dzisiaj każdy patrzy. Technikum rolne? Owszem, pasowałoby, ale nie można się dostać. Sprawdziłem na przykładzie własnej córki. Zdać – zdała, tylko miejsc nie starczyło. Coś przecież trzeba z dzieckiem zrobić, więc chcąc nie chcąc, posłałem ją do ogólniaka. W końcu Podlasie to produkcja rolna, a szkoły u nas – jak na odciąganie ludzi. Prędzej wykształcisz się na urzędnika niż na gospodarza.

Tutejszy internista jeszcze przed ubezpieczeniem wsi przyjmował około pięciuset pacjentów w miesiącu. Doktor Frankowski przyjechał do Kąkolewnicy z nakazem pracy, zasiedział się już z własnej woli siedemnaście lat. Zmusza mnie do obejrzenia nowoczesnego, znakomicie zaprojektowanego i wyposażonego ośrodka.

– Proszę mi powiedzieć, ilu specjalistów w stolicy ma tak luksusowe warunki ordynacji.

Na kąkolewnickich dachach anteny telewizorów, w kąkolewnickich chałupach – krzywica. Niepokojąco dużo tych kilkumiesięcznych i kilkuletnich nóg wygiętych jak obręcze. Do czternastego roku życia leczenie już i dawniej było bezpłatne. Kiedyś sprawa tłumaczyła się nędzą, dzisiaj tłumaczy się wyłącznie głupotą. Zżymam się, słysząc gospodarskie argumenty.

– Nie to nawet, żeby rodzice źli byli, tylko każdy zagoniony, spracowany i nie przywiązuje wagi. U nas mówią: „Człowiek zdrów, póki chodzić da radę".

Jednak doktor Frankowski ma inną skalę porównawczą i upiera się przy zdecydowanej poprawie.

– Był czas, kiedy codziennie przynosiłem z gabinetu pchłę w skarpetce, a teraz to się nie zdarza. Ostatnią wesz odzieżową znalazłem... no, odpukać, z tym już raczej spokój. Wszawica głowy najwyżej u dziesięciu, piętnastu procent dzieci szkolnych. Pani łapie się za głowę, ale ja pamiętam badania kontrolne wykazujące wszawicę u pięćdziesięciu procent uczniów.

Kierownik szkoły grzecznie i bez przekonania słucha moich wywodów o funkcji higienistki.

– Proszę pani, nie oszukujmy się. Żebym ja miał w szkole umywalnie i prysznice, można by coś zwojować powolutku. Sam jak mieszkam? Wodę w wiadrach na wysokie piętro dźwigam i z brudną wracam na podwórze. Pieluchy syna suszą się nad łóżkiem, bo w przeciwnym razie musiałbym je chyba po klasach porozwieszać. Co tu gadać o higienie! Dziecko myje się na miarę swoich możliwości. Pokazałbym pani uczniów, którzy jeszcze z rodzinami w słomie śpią pokotem. Ja dzisiaj będę u niego zwalczał wszawicę, a do jutra znowu go te drobne oblezą.

Jedyny w dwudziestoosobowym gronie nauczycielskim mężczyzna, i to ożeniony z zamiejscową: jakże takiemu przyjść na swoje? A koleżanki pana kierownika powydawały się za wsiowych – która za kierowcę, która za młynarza, która za zwyczajnego rolnika – i dzisiaj rządzą się we własnych willach. Jeśli na czymś zbywa w tym komforcie, to na sanitariach. Z łazienką można poczekać, ważniejsze kryształy i kilimy. Latoś pobudowała się magister od polskiego, żona krawca, autorka doskonałej pracy o gwarze i folklorze. Między swojakami ma reputację ostrej nauczycielki. Podobno łatwiej u niej o dwóję niż o piątkę. Roześmiała się, kiedy zapytałam, czy dużo we wsi nieuków. Nieuk po podlasku to młody wół, który jeszcze nie umie chodzić w jarzmie. [...]

– Ludzie, dokąd ludzie idą? Dlaczego ludzie nic nie mówią?

To ksiądz kanonik na porannym spacerze. Jak wiem od samego – wywodzi się z łyków, z unitów w Sokołowie Podlaskim. Jak wiem od miejscowych – wiele wycierpiał w czasie wojny. Ma siedemdziesiąt pięć lat, w tych dniach wybiera się na emeryturę. Usłyszawszy o przyjeździe dziennikarza, przyszedł pozałatwiać trochę spraw społecznych. Tak to nazywa i powłócząc nogami w staroświeckich, czyściutkich, chyba o dwa numery za dużych na siebie butach, opędzając się od much zrudziałym kapeluszem, wkracza do pokoju z Kościuszką.

Za oknem bas Wiśki:

– Chcesz się powiesić? – To do sąsiadki, która chciałaby sznur pożyczyć na suszenie bielizny. – Nie wieszaj się, bo wiatr będzie, a suszyć możesz tu u nas. Pięknie wyschnie, bo wysoko i kaczki nie obsrają.

Kanonik pochrząkuje, zwrócony ku Kościuszce.

Psi rejwach (Wiśka powiada, że trzeba mieć jakąś bliską duszę na stare lata, więc przygarnęła kudłacza nieokreślonej rasy i kocura zabijakę) oznajmia nowego gościa. Wchodzi kobieta w przezroczystej chustce, granatowym kostiumie i tenisówkach. Speszona.

– Pani położna, mąż mówił, żeby dziecku nie dawać więcej tych zastrzyków, bo ono już jest dobre i na co kłuć.

Z pomocą Wiśce śpieszy ksiądz kanonik.

– Słuchać fachowców, bo jak Marcinowej i Józefowej słuchać zaczniecie, może być kiepsko.

Matka waha się, błagalnie patrzy na położną.

– Doktor kazał niby wszystkie wziąć, ale mąż mówi „Nabijesz dziecku tych zastrzyków, napłacze się i po co to wszystko?".

Kanonik już zdenerwowany:

– Nie mądrzyć się, powiadam, tylko słuchać kogo trzeba.

Częstujemy ciastkami.

– A nie gośćcie wy mnie, a nie chcę – broni się staruszek.

Trzeba nam wiedzieć, że nie lubi po prosięcinie chodzić, żadne tam: „Ksiądz poczeka, ksiądz zje, zaraz obiad będzie". Tutaj on decyduje, to jest jego czas. I gdyby tak ciastko okazało się niesmaczne? Skłamać nie skłamie, przyzna się, że mu w gębie rosło, zatem po cóż robić wrogów z ludzi.

Kanonik nie miał w ustach wódki od czterdziestu ośmiu lat, papierosa od pięciu. Z pism prenumeruje „Gromadę-Rolnika" oraz „Zdrowie i Trzeźwość". Nie uznaje radia ani telewizji.

– Mnie, oryginałowi, wystarczy gazeta.

Zbiera materiały o Kąkolewnicy i doprowadzi monografię do ładu, jeśli uda mu się pożyć przez rok jeszcze lub przez dwa: dłużej nie potrzeba.

Tak sobie gwarzymy i kiedy Wiśka znika, jestem przekonana, że poszła nastawić wodę na świeżą herbatę. Coś tam istotnie szumi na maszynce. Zaglądam do drugiego pokoju: gotuje się, owszem, ale strzykawka do zastrzyków. Wraca rozpromieniona Wiśka.

– Jest!

– Herbata?

Nie, dziecko. Jak to, skąd? A z furmanki. Pacjentka przyjechała z Worsy, sześć kilometrów po wybojach, więcej krzyku w drodze niż w izbie.

– Ładnie rodziła? – Już jestem fachowiec, naśladuję język położnej.

– Bardzo ładnie. Spokojnie.

– A co mamy?

– Czarnulę, Marynę, bo z ruskiej wsi. Przyjemne dziecko.

Wiśka uradowana, odmłodzona, miło na nią spojrzeć. Wreszcie nie trzeba było czekać na przepełnienie w szpitalach. Wreszcie – jak dawniej – pacjentka nie z przypadku, tylko z zaufania. Kilkanaście podlaskich wsi po staremu podrzuca Kawińskiej swoje położnice, nie licząc się z odległościami i z ryzykiem podróży.

– Mam takie żelazne klientki w Leszczance, Jakuszach, Rolach, Trzebieszowie, Dębowierzchach, Gołowierzchach... Bez złudzeń, pani redaktor. Życie idzie do przodu. Izba szpitalowi nierówna. Przecież ja dobrze wiem, że mój czas mija.

– Choć jutro umrzesz, dzisiaj rób. Ciebie, nie dzieło, porwie grób – pociesza kanonik.

– Gadaj zdrów – mruczy położna. [...]

Asystuję przy odejściu z izby młodej matki. Wyelegantowany chłop w białej koszuli, z ciastem w gazecie, wita ją podaniem ręki. Mówi niedbale, żeby się nie martwiła o autobus. Będzie jechał star ze znajomej firmy, zabiorą się w szoferce. Zawsze to poręczniej niż w PKS-ie, kobieta nie umęczy się, naród dziecka nie zgniecie. Dobrze to będzie? A pewnie, że dobrze. Tak sobie obydwoje rozmawiają i utwierdzają się w tym, co już z dawna postanowione.

Chłop kłania się Kawińskiej i rękę ściska za udane dziecko. Wiśka do położnicy:

– Dał zegarek za syna? Pocałował?

– Ani nie dał, ani nie pocałował – przyznaje się żona.

– To od czego ma te dwa zęby?

Szczęśliwemu ojcu zostały już – i to w dwudziestym czwartym roku życia – niedobitki trzonowych i dwa żółte siekacze w górnej szczęce. Rozweselony tłumaczy się, że na gospodarce jak na gospodarce, niesporo do dentysty.

Teraz Kawińska demonstruje niemowlaka.

– No jak? Twoja robota?

Chłop poprawia włosy. Z wysoka patrzy na pomarszczoną, malutką twarz dziecka.

– Moja – mówi z godnością. [...]

W Kąkolewnicy rodziła u Wiśki swoje dwunaste dziecko kobieta po czterdziestce, jedenaste – kobieta po trzydziestce. Szczęśliwy ojciec zzieleniał na wiadomość, że wszystko znowu poszło jak z płatka, i rozpoczął pertraktacje:

– Pani położna, jej trza zrobić skręt macicy.

Szło o zabieg jeszcze dzisiaj praktykowany przez babki: jeśli pacjentka wyżyje, będzie już bezpłodna.

– Zrobi się, co trzeba – rzekła Wiśka do petenta.

Chłop posłusznie ruszył za nią do komórki. Dopiero tutaj zaniepokoił się:

– Pani, a na co ta siekiera?

– A na to, żebyś do końca życia miał spokój murowany. Rozpinaj portki. – Jeszcze pogroziła siekierą za uciekającym. – Spróbuj babie krzywdę zrobić, już ja ciebie znajdę.

Podlaskie teściowe są za domowymi porodami. Przyjdzie znająca, weźmie masła na rękę, żeby tłusta droga była, i raz dwa otworzy macicę. W Krzywdzie zeszło kiedyś na takim otwieraniu dwadzieścia godzin. W dwudziestej pierwszej, znająca – niewidoma staruszka – zmęczyła się i kazała posłać po położną.

Jeszcze żyją, jeszcze mają z czego żyć babki na Podlasiu. W razie niepożądanej ciąży za drobną opłatą otworzą macicę drutem, szydełkiem, gęsim piórem. Tuż przed moim przyjazdem pochowano młodą mężatkę, ofiarę amatorskiego zabiegu: we wsi panuje przekonanie, że kobiecie dogodziła teściowa, ta sama, która zna się na „odczynach" (zamawianiu czarów) i zaleca wywar z maku dla niemowląt, jeśli zbytnio płaczą.

Kiedy Kawińska zajęta dziećmi lub porodem, ja ugaduję się z rodzinami położnic. Już wiem, że kobieta ze wsi Szóstka ma dobrego męża. Przyniósł jej krótko ścięte róże w zeszytowym papierze w kratkę i bardzo martwił się, że w sklepie zabrakło kompotów. Opowiadał mi o tym zmartwieniu przez dwadzieścia minut: zakłopotany, markotnie zerkający w okna porodówki, zwierzał się, z jakim postanowieniem tutaj przyszedł, jak cieszył się z przyjemności, którą sprawi żonie. Chciał kupić, ile by kosztowało, nawet dwa słoiki. Niech widzi, że ma, niech sobie wypije. Usiadł przy mnie na stopniu i starannie wytarł z potu twarz i szyję.

– Leżący jest w swoim prawie, to trzeba uwzględnić – powiedział z pretensją.

Nazajutrz wraca z triumfalną miną: jednak zdobył kompot. Jest calutki słoik i jest list. Po przeczytaniu kobieta wygląda na zdenerwowaną.

– Pani położna, ja już całe dwa dni leżę.

Usłyszawszy, że nie wyjdzie wcześniej niż po pięciu, wybucha płaczem, chowa twarz w poduszkę. Kogo tu krwotokiem straszyć, komu chorobę wróżyć, kiedy rozchodzi się o żniwa?

– Pani położna, ja aby tylko przy dzieciach, przy kaczuszkach. Niech pani puści.

Położna wie, że kobieta mówi pół prawdy, i kobieta wie, że położna nie wierzy. List z rozkazem powrotu dyktowała matka męża, za której czasów nikt nie robił komedii o takie głupstwo jak poród. Teściowa dobrze pamięta dzieje własnego macierzyństwa: na godzinę przed każdym porodem normalna praca, w dwie godziny po każdym porodzie normalna praca. Kiedyś bóle chwyciły ją pośrodku żniw, przy załadunku snopów. Bez słowa oddała chłopu widły i bez słowa ułożyła się w pierwszym lepszym dołku. Nawet nikt się nie spostrzegł, póki nie przyniosła dziecka.

Teściowe z Szóstek, Anielek i Adamków nie mają zrozumienia dla dzisiejszych delikatnych czasów.

– Niech pani puści, bo stara żyć nie da.

Jeśli ktoś w siedemdziesiątym albo i osiemdziesiątym roku życia musi wychodzić do żniw, a poza tym pilnować inwentarza, a poza tym dopilnować dzieci, to nie temu komuś mówić o racjach medycyny. Teściowa z Szóstki jeszcze nie zrobiła zapisu. Ona jest gospodynią, ona zapłaci młodej za urlop w miękkim łóżku.

Być położną wiejską, znaczy – wiedzieć o ludziach ze wsi czasem więcej, niż wie ich spowiednik. [...]

W noc poprzedzającą mój wyjazd (nie widziałyśmy się przez dziesięć lat, za ile lat wrócę?) siedzimy z Wiśką przy wybornej herbacie. Opowiadam o pannie z oświęcimskiej wsi, która lekko zarzucała na plecy stukilowy worek, siejąc ciężką panikę pośród konkurentów. Kawińska słucha bez wrażenia, bo i cóż to w końcu znaczy cetnar podnieść?

– Sama brałam i po schodach nosiłam dla gimnastyki. – U położnej siła ważna rzecz, na wsi zwłaszcza. W trzebieszowskiej izbie nie było wózka, dźwigało się pacjentki na rękach. – Każdy bierze się do pomagania, a tak nieudolnie, że patrzeć nie można. „Pani, ona ciężka!" „Jaka ciężka? Już was tu nie ma, wszyscy won, bo zrobicie krzywdę kobiecie". Przystawiłam się bez żadnych pomagierów – jedna ręka pod plecy, druga pod tyłek – i doniosłam.

Tej nocy oglądamy zdjęcia. Nie za dużo ich, jak to na wsi: fotografię robi się na ważną pamiątkę albo wcale.

Więc rodzina Wiśki. Siostra, która wydała się i została na ostrowskich morgach, więc bracia, niewidziani od lat, bo już z dawna rodzinni i zajęci swoim własnym życiem w śląskich i pomorskich miastach.

– A to już Trzebieszów – mówi Kawińska.

Jakiś ołtarz w niewysokim kościele, jakiś staruszek w ornacie wyraźnie już za ciężkim: czy poznaję? Ależ tak, to ten proboszcz o prześlicznym nazwisku, to ksiądz Kłopotek, który walnie przyczynił się do sukcesu Wiśki, grzmiąc co niedziela z ambony: „Macie położną dobrą, silną, czegóż wy, durne, do babek łazicie". Pasł oporne dusze podlaskie ze wszystkich sił, płakała po nim i wieś, i Wiśka.

Ani jednej fotografii z wczasów. Kawińska niechętnie wyjeżdżała na urlopy.

– Widzi pani, już mam lata i troszkę zdziczałam.

Jeszcze to nieduże zdjęcie na dnie skrzynki. Dawne. Młoda Wiśka. Musiała mieć swój dzień, z oczu jej patrzy, że był wyśmienity. Ależ czarnula! Warkocz

niedbale przez ramię, olśniewające zęby, grube korale na kwiecistej bluzce. Ładna dziewczyna, po cygańsku ładna. Zamyślam się, a Wiśka patrzy na mnie z leciutkim, pobłażliwym uśmiechem.

– Jeszcze herbatki, pani redaktor?

– A jeszcze, jeszcze, pani położna.

– Zapalimy sobie na naszą zgubę, pani redaktor? Rano tchu nie mogę złapać przez te papierosy.

– A czy ja mogę, pani położna?

– Tak to jest, tak. Nie za mocna herbata?

– Pewnie, że za mocna, ale nie szkodzi.

– Słyszy pani, jak cicho, pani redaktor? W Trzebieszowie miałam izbę przy samej ulicy, bywało, siądę sobie przy oknie i przynajmniej widzę życie. A tędy nikt nie przechodzi. Wielka cisza.

Losy nie wymyślone, oprac. K. Goldbergowa, Warszawa: Iskry, 1980, s. 316–331

1962

Aleksander Rowiński (ur. 1931)

Obwąchiwać temat jak pies jeża

Gdyby jakiemuś historykowi obyczajów potrzebne były obiegowe prawdy i powiedzenia środowisk alternatywnych z okresu środkowego PRL-u, cały katalog znajdzie u Rowińskiego w książce *Anioły Warszawy* (1969):

> Ja mam dewizę jeża: „Żadnej już nie zaufam" – powiedział jeż, który zszedł ze szczotki ryżowej.
>
> Jak dzisiaj podajesz komuś rękę na powitanie, natychmiast policz palce, czy są wszystkie.
>
> Tym chata bogata, co ukradnie tata.
>
> Wszystko jest gówno oprócz moczu.
>
> Rodzice to nietoperze. Są głusi, ślepi i czepiają się wszystkiego.
>
> I tym podobne.

Pisząc „środowiska alternatywne", mam na myśli ludzi na marginesie ówczesnego systemu: cinkciarzy, prywaciarzy, oszustów, prostytutki, złotą młodzież. Aleksander Rowiński wszedł w te kręgi jak nikt inny, a książka, którą o nich napisał, cieszyła się takim powodzeniem, że można ją było kupić tylko na warszawskim bazarze Różyckiego, zaś „Życie Literackie" przyznało za nią reporterowi swoją doroczną nagrodę.

Różny jest kaliber bohaterów tej książki – pisał Jacek Snopkiewicz – od handlarki sprzedającej pumeks u wejścia do domów towarowych Centrum, do Kargula – największego hochsztaplera czasów powojennych. Jak zauważył Janusz Rolicki (patrz s. 759), Rowińskiego interesuje świat egzotyczny dla mieszkańców trzydziestoośmiometrowych kwater obliczonych na trzy osoby. Napisał ambitny i głęboki reportaż o ludziach, których mogą bliżej poznać tylko wybrani. Dzięki Rowińskiemu – zachwycał się Rolicki – poznajemy „nagie kobiety biegające po bogatych willach na Saskiej Kępie". Aleksander Rowiński opisał typ ludzi, którym – jak sam mówił – magister kojarzył się ewentualnie z aptekarzem. W kawiarni hotelu Europejskiego, gdzie spotyka się cała finansowa śmietanka Warszawy lat sześćdziesiątych, Rowiński (wtedy trzydziestokilkuletni) przesiadywał tygodniami. W rozdziale *Towarzystwo* zdradza prawdy i reguły tego lokalu. Dziwi go na przykład, że jeden z kręcących się typów nie siada przy kawiarnianym stoliku.

– Czy ten Bolo Grubas nie może usiąść?

– Z nami? – zapytał Tuś.

– Nie, w ogóle.

– Tutaj, panie szanowny, jak ktoś siedzi, to ma interes w tym, żeby siedzieć, jak ktoś stoi przy toaletach, to ma interes, żeby stać przy toaletach, albo ma widocznie interes przy spacerowaniu.

Dzięki pracy przy *Aniołach Warszawy* napisał potem książkę *W lepszym towarzystwie* (1975) o wspomnianym Marianie Kargulu *vel* Abrahamie Kierbelu – handlarzu walutą, fałszywym konsulu, fałszywym bohaterze drugiej wojny, fałszywym przemysłowcu. Reporter go demaskuje. Oblicza, że Kargulem zajmowało się pięciuset sędziów, stu prokuratorów, co najmniej tysiąc oficerów i podoficerów milicji, pięćdziesięciu adwokatów, dwustu dziennikarzy i siedem tysięcy osób, których nazwiska wiązały się z jego osobą. Rowiński napisał o Kargulu czterysta trzydzieści pięć stron, a materiał zbierał pięć lat w czterech krajach. Za *W lepszym towarzystwie* autor otrzymał Nagrodę imienia Ksawerego Pruszyńskiego.

Jego wcześniejsza książka *Wstąpcie do klasztoru* (1966) o żeńskich klasztorach w Polsce – złożona z reportaży drukowanych w „Prawie i Życiu" oraz tygodniku ateistów „Argumenty", który krzewił kulturę świecką – to rzecz zaangażowana. Po jej publikacji pisano, że osoby niepełnoletnie powinny uzyskiwać na wstąpienie do klasztoru zgodę sądu. Albo że autor udowodnił: klasztor to „społeczna dezercja".

Jedną z najbardziej poruszających historii w tej książce jest misja, której podejmuje się reporter. W imieniu starych, schorowanych rodziców ze wsi ma odnaleźć ich córkę Klarę, która uciekła do zakonu we Wrocławiu, i dowiedzieć się, dlaczego ich porzuciła. Zostawiła ich i gospodarstwo na pastwę losu. Wprawdzie ma jeszcze rodzeństwo: starszego brata, ale ten już bierze ślub i będzie gospodarował u żony, oraz siostrę, ale ona jest mężatką i urodziła sparaliżowane dziecko. Powinna była zostać na sześciu morgach, gospodarzyć. Nie miała prawa pójść swoją drogą. O wszystko obwiniane są zakonnice: „sama nie zaszła do Wrocławia – musiały jej pokazać drogę", „milicji się nie ulękły", „wiedzą, że byłam w szpitalu, a mimo to ją zabrały" itp.

Rowińskiemu, któremu – jak pisze – „najpierw kołacze się wątła myśl, że prawo jest po stronie rodziców, a po klasztornej – przemoc", udaje się znaleźć Klarę. Kiedy ją poznaje, ta myśl już pęcznieje: w imieniu czytelników zarzuca dziewczynie, że nie miała prawa starym rodzicom zadawać bólu, że przekreśliła dorobek ich życia.

Jest w tym tekście pewien typowy rodzaj okrucieństwa, stosowany czasem przez ówczesnych reporterów: bezwzględny opis postaci. Jakby w ogóle nie brali pod uwagę, że bohaterowie ich tekstów przeczytają o sobie i poczują się pozbawieni godności. W reportażu o siostrze Klarze (*I stało się dobro – czy zło?*) natrafiamy na jej opis. Zakonnica zjawia się przy furcie klasztoru.

> Weszła, witając się męskim uściskiem dłoni, dużymi krokami, energiczna, wielka, masywna. Swoją pyzatą twarz pewnie nieraz oglądała w lustrze, klnąc jej odbicie: jestem brzydka!

I teraz reporter szczerze ocenia: „Była brzydka cała, brzydotą bez wdzięku". Gdybym miał być adwokatem Rowińskiego, zacytowałbym jego słowa, że kiedy ktoś chce uprawiać reportaż bez narażania się, lepiej, żeby w ogóle nie pisał.

> Reportaż, który wszystkim się podoba, jest reportażem złym lub fałszywym.

Aleksander Rowiński skończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim (1953), potem na cztery lata wyjechał na Śląsk, gdzie pracował w „Dzienniku Zachodnim". Od 1957 roku – już w Warszawie, w „Prawie i Życiu" i „Kulturze". Był współredaktorem książkowej serii „Ekspres Reporterów". Został pierwszym naczelnym (1982–1983) powołanego do życia na początku stanu wojennego magazynu „Przegląd Tygodniowy". Pod koniec lat osiemdziesiątych współorganizował wydawnictwo Oficyna Literatów Rój.

Tekst *Sądny dzień*, który zamieszczamy w antologii, był spełnieniem jego wielkiego marzenia:

> Temat bliski i niepodjęty? Mam taki. Jeden. Naczelny. Obwąchuję go od lat jak pies jeża. Wiem, że powinienem, ale nie potrafię. Albo nie mam dość odwagi. Albo czasu. Albo znajduję sto innych usprawiedliwień. Jest to temat, do którego zbyt kuse są formuły, jakie podejmuje się na początku każdego reporterskiego zadania.
>
> W trakcie budowy statku wybuchł pożar, ogień odciął odwrót ludziom, pracującym na niskich pokładach – jakie przyczyny wywołały katastrofę. [...] Czy winni są ci, których publicznie się oskarża?
>
> Temat niepodjęty, temat widmo, wyłania się zamiast innego na przekór albo mimochodem. Spływa widokiem kropli nerwowego potu na czole człowieka, który ma wydać decyzję. Własną. Odpowiedzialną.
>
> Upoważnieni z urzędu – mimo to nie decydują sami – wyczekują, patrzą na telefon lub wsłuchują się w odgłosy z gabinetu obok, bądź piętro wyżej lub okopani w szańcach biurowych pism i okólników próbują przeczekać

krytyczny moment. Czasami – bywa – kładą się do łóżka, wolą udawać, że chorują, niż udawać, że mogą coś znaczyć. Odwykli od używania słów „tak" i „nie", gdyż są one jednoznaczne i wymagające. [...] Nauczyli się wyślizgiwania z pułapek odpowiedzialności. [...] W ciągłym lęku, aby nie zrobić praktycznego użytku ze swojej pozycji społecznej, stanowiska zawodowego, autorytetu, opędzają się jak krowy od dokuczliwych gzów, od samodzielnych myśli. [...]

Gdybym tylko potrafił dobrać się do tego tematu, gdybym mógł, gdybym chciał... Gram z sobą na zwłokę – kto kogo?

Reportaż powstał, Aleksander Rowiński napisał tekst ważny – może jeden z najważniejszych peerelowskich reportaży o systemie. Lektura *Sądnego dnia* uzmysławia, że system to coś ponadustrojowego, co i dziś każe wielu z nas „wyślizgiwać się z pułapek odpowiedzialności".

To reportaż, który jest bardzo związany ze swoim czasem i jednocześnie bardzo ponadczasowy.

Sądny dzień

Siadają one zawsze na tej samej ławce, ludzie łatwo się przyzwyczajają. Nigdy nie dwadzieścia jeden – to znaczy wszystkie, ale zawsze kilka. Wdowy. Równy szereg w czerni. Najmocniejszy akcent na sali sądowej – reszta jest zwyczajną scenerią tego miejsca.

Na ławie oskarżonych jedenastu.

Któraś z tych w czerni – nieodporna w nieszczęściu albo może rozumiejąca konflikt po swojemu, prosto: kto na ławie oskarżonych, ten winien – przechodząc mimo, syczy:

– Mordercy.

Z tych jedenastu sześciu siedzi ogrodzonych ramionami milicjantów pełniących służbę przy pilnowaniu; pięciu z tyłu porusza się. W czasie przerw bez wsłuchiwania się w krok mundurowych. Jedni i drudzy oraz galeria dwudziesty już dzień od rana do późnego wieczoru okupują reprezentacyjną salę Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku. Sprowadził ich tutaj największy wypadek, jaki dotknął przemysł okrętowy – pożar statku MS Konopnicka. Dwudziesty czwarty z kolei dziesięciotysięcznik, który miał wyjść z doskonałej w świecie Stoczni Gdańskiej.

Ci, co przemawiają w sali pod ogromnym, ozdobnym żyrandolem, i pozasądowi mówcy są jednakowo subtelni, uwrażliwieni, gdy trzeba wyliczyć straty: czterdzieści trzy miliony złotych – koszt statku – wspominane są rzadko i niechętnie wobec liczby, która tak bardzo obciążyła statystykę śmiertelnych wypadków w wielkim przemyśle. Jednego dnia.

13 grudnia 1961 roku.

Ten fatalny trzynasty zaczął się tak, jak każdy inny dzień. Gdyby ktoś z tych, co przyszli do pracy punktualnie, i tych, którzy się spóźnili, i tych, co powinni być tam, gdzie ich nie było, mógł przypuszczać, że za kilka miesięcy w sali sądowej ten trzynasty będzie rozpatrywany niemal sekunda po sekundzie, każdy ruch ludzki, nawet ich gesty...

...Jak tego trzynastego jechała straż do pożaru, czy zawór był przekręcony dwa i pół raza, ile watów mają żarówki lamp awaryjnych.

Wszystko po to, żeby ustalić, kto winien i za ile.

Wśród tych, którzy oceniają wypadek z trzynastego, nie ma jednomyślności. A jeżeli jest – to grupowa, środowiskowa.

Zatem pierwsze, podstawowe zdanie, obiegające inżynierskie grono, jest to:

– Jedenastu siedzi na ławie oskarżonych. Niesłusznie. Za co każe się odpowiadać tym świetnym budowniczym statków, dyrektorowi naczelnemu, skoro sytuacja jest bezsporna – zawinił monter. Wyłącznie. To on podpalił statek.

Nikt inny.

Miał wykonać najprostszą czynność, łatwą. On poszedł z ogniem do ropy.

7 grudnia wróciła Konopnicka z rejsu próbnego. Wśród napraw, przeróbek, prac, które są zwykle po powrocie statku z morza do wykonania, była również ta: wstawić zawór do rurociągu. Armatorowi chodziło o pewne usprawnienie połączeń paliwowych. Należało wyjąć rurę, wymierzyć, pospawać – cała filozofia.

Tutaj, w stoczni, stale trzeba pracować przy rurociągach napełnionych ropą, tak było zawsze. I będzie.

Niebezpiecznie. Pewnie, można było zmierzyć odcinek kawałkiem drutu, iść na warsztat i tam spawać. Ale jakby coś się nie zgadzało, a zwykle albo zabraknie, albo za dużo jest centymetrów, trzeba by było chodzić jeszcze raz. Bezpiecznie, ale dużo mitręgi i fatyga. Istniał jednak prostszy sposób – wymontować rurę, zanieść na drugi koniec maszynowni, z daleka od rurociągu, którym przepływa ropa, i tam spawać, bezpiecznie. Wedle zdrowego rozsądku i przepisów... Monter był na kursie i pokwitował odbiór tej niewielkiej, ale mądrze ułożonej książeczki, w której powiedziane jest, co wolno i co należy.

On nie; on działał wbrew najprostszym zasadom zachowania bezpieczeństwa, wbrew przepisom, wbrew temu, czego go uczono – wbrew książeczce, której odbiór pokwitował.

On sobie szczególnie zlekceważył.

Chwilę przedtem podstawił wiadro, bo skądciś ściekała ropa. I przy tej ściekającej ropie, pod rurociągiem z ropą spawał. Palnikiem, którego płomień ma kilkaset stopni ciepła.

Za tego montera ma odpowiadać dyrektor?

Za każdego spawacza, który przepisy ma za nic, machającego ręką na oczywiste niebezpieczeństwo? Dyrektor przedsiębiorstwa, zatrudniającego trzynaście tysięcy pracowników? I za montera lekceważącego swoją książeczkę obowiązków mają odpowiadać inżynierowie, budowniczowie statków?

Nie ma na ławie oskarżonych montera.

Nie odpowie nikomu i na żadne z pytań. Jest pierwszym na liście dwudziestu jeden. Nie tylko dlatego że jego nazwisko zaczyna się na A. On musiał spłonąć najpierw.

Jednak nie wszyscy są przeciw niemu. On odszedł, rzecznicy jego sprawy pozostali. Mają argumenty. Przecież monter nie był żółtodziobem, pracował w stoczni długo, znał fach. Już on dobrze wiedział, czym grozi ropa. Przy swoim zajęciu na pewno uważał. A bo to nie pracowało się w stoczni przy rurociągach z paliwem, przy zbiornikach?

Nie jego wina.

Nie mógł przewidzieć, że spuszczą mu z otwartego rurociągu, wprost na palnik ropę.

Winien jest mechanik.

Przyszedł do stoczni niedawno. Nie ich człowiek. Nie stoczniowiec. Swoje znaczy, że mogą o nim tak powiedzieć. Mechanik odkręcił ten nieszczęsny zawór, to on. Jeden z nich – monter lub jego pomocnik – zanim przystąpił do wykonania swojego zadania, zawór zakręcił. Zamknął przepływ ropy.

O tym, że tym samym ustał dopływ ropy do agregatu, że unieruchomił agregat prądotwórczy, nie wiedział.

Konopnicka była zasilana prądem tylko z jednego źródła – z agregatu czynnego na statku. Powinno być jeszcze połączenie elektryczne z lądem. Nie było.

Kiedy zawór został zakręcony, nie od razu zgasło światło. Agregat pracował jeszcze kilka lub kilkanaście minut na zapasie paliwa.

W tym czasie monter wyjął rurę, położył ją obok na podłodze i ciął palnikiem.

Minęło te kilka lub może nawet kilkanaście minut. Zapas ropy skończył się, ustała praca agregatu; zgasło światło.

Mechanik pobiegł do zaworu. Istotnie, zawór zamknięty – zatem żeby z powrotem zabłysło światło, należało zawór otworzyć. Mechanik podszedł i odkręcił. Ropa z otwartego rurociągu runęła na palnik montera.

Czy nie można było jej powstrzymać?

Czy płomienie musiały ogarnąć statek, unicestwiając dwudziestu jeden ludzi, którzy w panicznej ucieczce rozbijali sobie głowy w zakamarkach maszynowni lub dusili się w ślepych korytarzach? Czy musiały płonąć dziesiątki ton cieczy?

Na te pytania ma odpowiedź mechanik, bo mechanik odpowiada na pytania – uszedł z życiem. Odpowiada na pytania z pierwszego rzędu ławy oskarżonych. Z miejsca, na którym wolno rozmawiać tylko z sędzią, prokuratorem, adwokatem i milicjantem. Są to zarazem pośrednicy, dzięki którym

mechanik ma okazję wypowiedzieć się wobec stoczniowców, pokazujących palcem jego wyłączną winę.

Prokurator żąda od mechanika zadośćuczynienia w trzech kwestiach. Po pierwsze mechanik sprowadził niebezpieczeństwo pożaru na Konopnickiej, gdyż nie sprawdził charakteru robót wykonywanych przy rurociągu; po drugie mechanik otworzył zawór, nie dociekając przyczyny jego zamknięcia, powodując tym samym wylanie się ropy; po trzecie mechanik po zauważeniu ognia nie zamknął zaworu. Dodajmy – lecz ratował się sam.

Mechanik może odpowiadać na pytania. Znał najlepsze wyjście z pożaru, które wprawdzie prowadziło przez ogień, ale zaraz za ścianą płomieni zaczynał się otwarty korytarz. W jego słowach i w słowach zeznających po nim profesorów, stoczniowców, strażaków – powinna tkwić odpowiedź na główną tezę obrony i główną tezę oskarżenia.

Na sali rozpraw i poza nią nikt tych tak niewiele różniących się od siebie zdań nie nazywa aż tezą. Ot, prokurator w czasie przemówienia kilka razy powtórzy: „Pożar na Konopnickiej to logiczny koniec splotu wydarzeń". Z ławy oskarżonych i miejsc w stoczni, które ją rozgrzeszają – nie w całości, każdy ma swoich faworytów, zebranie razem poszczególnych rozgrzeszeń daje dopiero wynik jedenaście – rozlega się zdanie: „Pożar to związek tragicznych przypadków".

Zatem – oskarżyciele głoszą, że tak musiało być.

Obrońcy, iż tak mogło się zdarzyć.

Zgoła inaczej wygląda sytuacja ludzi wpędzonych na ławę oskarżenia przez przypadek. Korzystniej. Wokół przypadku zawsze krąży niespokojna myśl: a może obecność na ławie oskarżonych mieści się również w sferze jego oddziaływania?

Inaczej, jeżeli przyjąć logiczny splot wydarzeń. Wówczas – jak konstruuje prokurator – na ławie oskarżonych nie może znaleźć się tylko jeden człowiek albo tylko dwóch ludzi. Na przykład ten, co odkręcił zawór, czy ten, co posłał montera, aby spawał w miejscu, nad którym wisiało ostrzeżenie „Ostrożnie z ogniem".

Dwudziesty już dzień trwa roztrząsanie kwestii przypadku-nieprzypadku, zakresu odpowiedzialności, stopnia winy.

Sąd wysłuchuje mechanika, który widział wszystko i wie najwięcej o pożarze statku. Ale przecież on się broni – zatem nie wiadomo, czy to, co mówi, jest pełną prawdą, połową prawdy czy kłamstwem.

On, mechanik, fatalnie zaczął pracę na lądzie. Przedtem pływał sześć lat na różnych statkach. Pierwsze polecenie, jakie otrzymał w stoczni, było – objąć

wachtę na MS Konopnicka. Zaprotestował, nigdy nie pływał na dziesięciotysięcznikach; nie znał maszynowni takiego dużego statku. Powiedziano mu, że to nie jest trudna praca – niech zaraz idzie na statek, zaraz dzisiaj, w przeddzień wachty. Niech obejrzy, poprosi o objaśnienia. Poszedł prosić.

Mechanik wachtowy, do którego się zwrócił, był na statku po raz drugi, rozłożył bezradnie ręce. Smarownik i palacz byli po raz pierwszy.

Taki przypadek lub taki splot wydarzeń.

Była godzina szesnasta, pokręcił się po statku coś dwie godziny.

– Nie mogli mi nic pokazać – mówi.

Przyszedł tragicznego trzynastego na służbę. Punktualnie zameldował się w stoczni, ale na statku był dwadzieścia minut po siódmej. Nie zastał tego, co miał mu przekazać służbę – opuścił wachtę punktualnie, nie oglądając następcy. Następcy, który nadal nie znał maszynowni dziesięciotysięcznika.

Taki przypadek.

Mechanik sięgnął do dziennika maszynowego. Nie było w nim żadnych uwag o przewidywanych w siłowni statku pracach.

Taki przypadek.

Mechanik wiedział z całą pewnością tylko jedno – że ma pilnować pracy agregatu.

Niestoczniowiec – mechanik na sali pod ozdobnym żyrandolem przemawia łamiącym się głosem. Po sześciu latach pływania pierwsza praca na lądzie, pierwsze dni na lądzie i taki przypadek.

– Jak zgasło światło, to nic nie było widać.

Więc wziął latarkę i świecąc sobie pod nogi w ciasnych przejściach, popędził do zaworu.

I odkręcił.

Dziewięciu mechaników zapytanych, co by zrobili w podobnej sytuacji, odpowiedziało: sprawdzilibyśmy, czy zawór jest otwarty... I by go otworzyli.

Ktoś mówił, że mechanik powinien chodzić, zaglądać, pilnować. Wytrącić palnik z ręki montera. Inny, że maszynowni nie upilnuje, choćby nie wiem jak krążył. Trzeci powiada, że mechanik przecież szedł przez maszynownię, a jak szedł – to musiał mieć otwarte oczy, a jeżeli miał otwarte oczy – nie mógł nie zauważyć smugi ognia z palnika, nie mógł nie omijać pracującego montera, nie mógł nie dostrzec wymontowanej rury, leżącej na jego drodze. W końcu kiedy zobaczył zamknięty zawór, zanim zamachnął się, żeby go odkręcić, powinien pomyśleć nad przyczyną, dla której został zamknięty.

Nie znał statku? – Tym bardziej.

Ale dziewięciu mechaników, jak jeden, gdyby stanął agregat prądotwórczy i zgasło światło, zrobiłoby to samo – też by zamknięty zawór otworzyli.

Sąd słucha i galeria. I wszyscy zadają sobie to samo pytanie: ropa runęła na palnik, zapaliło się – co wówczas uczynił mechanik?

On – wspomina – zobaczył przed sobą i dookoła ogień, poczuł go na twarzy, skulił się w marynarce i prysnął przez płomienie do przejścia prowadzącego na powietrze. Na ląd, gdzie panował mroźny trzynasty.

On był przy pożarze, on wie najlepiej – ale on się broni. I dlatego sąd prosi również na salę pod ozdobnym żyrandolem profesora, jednego z arbitrów komisji ustalającej przyczyny pożaru.

Profesor nie był w maszynowni, kiedy od aparatu spawalniczego zapaliła się ropa, ale profesor jest specjalistą – on zna prawidła rządzące spalaniem. Profesor uważa, że najpierw płonął tylko strumień ropy, wylewającej się z rurociągu. Potem strumień ten zaczął się rozpryskiwać, aż pożar objął całą siłownię.

– W ciągu jakiego czasu mogło to się stać? Sekundy, minuty?

– W ciągu dwóch, trzech sekund zapalił się strumień ropy, w ciągu kilku minut ogień ogarnął wszystko.

Kilka minut? Kilka minut to bardzo wiele i bardzo godzi w mechanika. Zawór można zakręcić kilkoma obrotami.

Sąd nie daje tak łatwo za wygraną. Z lewej i prawej strony profesora padają pytania o te minuty... czy może sekundy?

Jednak minuty... Może dwie, trzy.

Dwie to też wiele, to też wystarczy, żeby zakręcić zawór. Czy jednak nawet w obliczu ognia?

– Jak pan uważa, profesorze?

– Nie każdy chce być bohaterem – odpowiada profesor.

W sądzie jest już sennie i duszno, zmierzch przy słonecznych dniach połowy kwietnia przychodzi późno, lecz jeszcze później kończą się spotkania w sali pod ozdobnym żyrandolem. Teraz, kiedy profesor spokojnie, świadomy wagi swych słów, argumenty znajdując w nabytej wiedzy o spalaniu i ludziach, dał swoją ocenę mechanika, salę opanowuje nastrój niechęci lub może nawet potępienia. Bo chociaż nie można wymagać od ludzi bohaterstwa, to jednak czas pozwalał zakręcić zawór. Mechanik mógł zdążyć.

– Więc jak było? – powtarza mechanikowi pytanie sąd.

Mechanik, po raz nie wiadomo który, rzecze:

– Ogień buchnął od razu.

On się broni.

Jest jeszcze biegły, docent. Też specjalista. Staje w przegródce dla zeznających i tam stwierdza, że nie podziela poglądu profesora na temat rozprzestrzenienia się ognia.

– Powstał wysoki płomień – mówi. – Wysoka temperatura, przerzut ognia błyskawiczny – mówi. – Ciąg powietrza płomień poderwał do góry, tam, gdzie stał mechanik – mówi.

Następuje zarządzona przez sąd przerwa, jedna z tych denerwujących przerw, o których nie wiadomo, czy skończą się za dziesięć minut, czy po dwóch godzinach. Biegły przegląda jeszcze raz szkice, fotografie. Potem powraca do przegródki. Pokazuje palcem na zdjęcia.

– Podtrzymuję swój pogląd – mówi. – Zaczęło się palić jednocześnie wszystko – mówi. – Płomień sięgnął od razu po zawór – mówi.

Mechanik to już nie jest ten sam człowiek co przed godziną. Ten człowiek, którego nie stać było na odwagę. To jest człowiek, który mógł uratować tylko siebie.

Biegły nie powiedział jeszcze wszystkiego o mechaniku. Dodaje swoje przypuszczenie. Mechanik szedł z nastawieniem, że ktoś mu zawór zerwał. Ale kiedy podszedł – mówi biegły – musiał optycznie stwierdzić, że ktoś zawór zamknął. A gdyby się przyjrzał, toby wiedział, że zawór został zamknięty ręcznie.

Lecz czy miał okazję ustalać to wszystko w świetle mizernej latarki, przy pośpiechu?

Nikt o to nie zapytał – bo pytać nie można bez końca. Także nigdy nie ma pewności, czy w procesie sądowym nie padnie o jedno pytanie za mało.

Przed sądem w Gdańsku pada pytań nadto wiele.

Sporo pytań sobie i świadkom pożaru musiał zadać prokurator, skoro na ławie oskarżonych nie zasiadł tylko mechanik pokazywany palcem: „Ten, co odkręcił zawór" – ale jeszcze dziesięciu.

...Bo wprawdzie on odkręcił zawór, ale ktoś przecież kazał monterowi iść i spawać do maszynowni, gdzie trzynastego znajdowała się tablica: „Uwaga, ropa na statku – nie palić!".

Ktoś polecił mu zamknąć zawór.

Ktoś wiedział, że na statku czynny jest tylko jeden agregat prądotwórczy, że jest to jedyne źródło, dające prąd windom, chłodniom, oraz światło, że poza nim nie ma statek połączenia elektrycznego z lądem.

I ktoś, od kogo zależało, ile będzie czynnych źródeł prądu na statku, w którym pracują ludzie na każdym stanowisku, od pokładu po maszynownię – spieszący się.

I ktoś, kto powinien pouczyć montera, mechanika.

Wśród tego ludzkiego działania, gdzie ma miejsce przypadek?

Drugiemu spawaczowi, który trzynastego miał iść razem z monterem do maszynowni, zepsuł się palnik, więc nie pracował – ocalał. Oto na pewno przypadek.

Jedenastu z ławy oskarżonych odpowiada na zadawane pytania.

Trójmiasto słucha.

Stocznia Gdańska liczy trzynaście tysięcy pracowników własnych, cztery tysiące w przedsiębiorstwach współpracujących. Tę liczbę mnoży się tutaj przez cztery – statystyczną rodzinę. Są to najbliżej zainteresowani.

Na sali rozpraw sądzi się inżynierów budowniczych statków.

Całe kierownictwo stoczni – dawne i obecne – zdobywało ostrogi, budując statki. Budowniczowie to siła.

Przyczajeni czekają werdyktu.

Gdybyśmy ogłosili „tydzień w zgodzie z przepisami" – mówią ci, dla których winien pożaru Konopnickiej jest monter – stocznia by stanęła. Dawniej załatwialiśmy sprawy jednym telefonem – teraz układamy pisma: „Zwracamy uwagę, że wasz dział...".

Nigdy przedtem nie krążyło po stoczni tyle papieru. Wrócił statek z prób – przed naprawami wytankowano z niego paliwo. Wylano do morza dziesiątki ton ropy. Teraz można iść spawać – nie wybuchną zbiorniki!

Codziennie płyną z sali sądowej do stoczni wiadomości o procesie, najwartościowsze, bo od swoich – stoczniowców przysłuchujących się rozprawie. Ze stoczni na salę rozpraw przenikają reakcje na proces, drugim, także oficjalnym kanałem – przez świadków. Głośno jest od opinii, które krążą, nabierając coraz soczystszych barw.

Sąd jest szczególnie dociekliwy. Przewodniczący kompletu daje majstersztyk roboty. W stoczni powstał pogląd: jeżeli ktoś kiedyś miał wątpliwości, to teraz został przekonany o niezawisłości sądu.

Temu doskonałemu kompletowi zostali przedstawieni, z ławy oskarżonych, budowniczowie MS Konopnickiej. Odpowiada jeden z nich.

Ma wytłumaczyć, dlaczego tolerował w siłowni statku zatankowanego paliwem prace z otwartym ogniem bez asysty dyżurnego strażaka. Dlaczego nie dopilnował harmonogramu usuwania usterek po próbnym rejsie. Dlaczego zaniedbał zainstalowania oświetlenia zastępczego, skoro miały być wykonywane prace przy agregacie prądotwórczym. Dlaczego dopuścił do przeróbki rurociągu bez odpowiedniej dokumentacji technologicznej.

Gdyby dopilnował, zadbał, nie byłoby pożaru.

Czy budowniczy przyznaje się do winy?

Nie, nie przyznaje się.

Bo on, budowniczy, powiedział jasno brygadziście – przeróbki rurociągu można dokonać albo do dwunastego, albo po piętnastym. W ciągu trzech dni między tymi datami agregat miał pracować dla potrzeb chłodni i nie wolno go było wyłączyć ani na chwilę.

On, budowniczy, nigdy by nie pozwolił na prace spawalnicze trzynastego.

– Nie, nie w obawie niebezpieczeństwa pożaru, ale właśnie z uwagi na próby chłodni, które nie mogły być przerwane.

Niechby on, budowniczy, zobaczył trzynastego palnik w maszynowni! Nie zobaczył.

Od tego trzynastego miał się zajmować pracami na pokładzie, ale ciągnęło go na dół, bo był emocjonalnie wciągnięty w tę robotę. Poszedł obejrzeć. Maszynownia była *okay*.

Po drodze spotkał jeszcze mechanika, którego nie znał. Ten mu zameldował: nie znam maszynowni. A budowniczy na to: jakoś sobie damy radę wspólnymi siłami. Nadszedł brygadzista, więc budowniczy polecił, aby pokazał robotę mechanikowi. Nie zapytał budowniczy brygadzisty, czy została wykonana przeróbka rurociągu. Widocznie została – rozumował, skoro brygadzista nie przyszedł poprzedniego dnia na naradę. Nie przyszedł – to znaczy nie miał trudności. Poza tym budowniczy nie skorzystał z okazji do pytań z prostej przyczyny – na dziewiątą naznaczono kolejną naradę – zatem mieli z brygadzistą spotkać się za godzinę. Ładnie by wyglądał budowniczy, gdyby każdego majstra po kolei zaczepiał pytaniami o wykonaną robotę. Dziesięciu jest ich na statku.

Zbliżała się dziewiąta.

Budowniczy zabrał się ze statku, poszedł do biura, telefonował po nurka. Zdążył podnieść słuchawkę, gdy ktoś krzyknął mu w twarz – pożar!

Na sali sądowej następuje dramatyczna pauza. Wstaje z ławy oskarżonych brygadzista i jeszcze raz, budowniczemu w oczy, twardo cedzi: byłem na naradzie w przeddzień trzynastego, mówiłem budowniczemu, że przeróbka rurociągu nie jest wykonana.

Sąd pyta, czy budowniczy nie widział na podeście – w czasie rozmowy z mechanikiem – węży doprowadzających tlen do aparatów spawalniczych, czy nie oglądał zaworów. Budowniczy odpowiada, że nie. I znowu wisi w powietrzu kolejne pytanie, które jeżeli nie padło teraz, to padło wcześniej lub padnie później albo jeśli w ogóle nie padnie – to znaczy, że sprawa stała się już oczywista.

Jeżeli budowniczy szedł – to musiał mieć otwarte oczy. Jeżeli miał otwarte oczy – to czy mógł nie zauważyć przewodów aparatów spawalniczych – przecież monter musiał je przeciągać tamtędy, którędy chodził budowniczy. I czy budowniczy nie zauważył nikogo w miejscu, gdzie miała być dokonana przeróbka rurociągu? – Montera?

Wtrąca się jeszcze brygadzista: gdyby miał rysunek, gdyby wiedział, że rurociąg prowadzi do agregatu, nigdy by nie przystąpił do wykonania tej pracy.

Na pytania, które padają pod adresem budowniczego, jednak chyba nie można odpowiadać z przegródki dla świadków. W jakim niesprawiedliwie gorszym położeniu byłby wówczas brygadzista, upierający się przy swoim – że był na naradzie, meldował o niewykonaniu przeróbki rurociągu.

Spornych i niejasnych kwestii jest więcej niż ta jedna. Budowniczowie są również na galerii. Wysiadują długie godziny, aby zanieść do stoczni, co usłyszą w sali pod ozdobnym żyrandolem. Oni od razu i dawno wytypowali winnego – monter. Lecz skoro prokurator zapełnił ławę oskarżonych, skoro pytania z lewej przygważdżają do tej ławy budowniczych z Konopnickiej, a pytania z prawej nie czynią w ławie oskarżonych wyłomu – słusznie, że dalej, za budowniczym, usytuowany jest naczelny dyrektor. Mają o nim męskie zdanie.

Był nosicielem swoistego stylu. Oni ten styl przenosili niżej, transmitowali. Zepchnięci zostali do roli stróżów – mieli nawet pilnować sprzątających. Pohukiwać na ludzi, zamiast dyskutować o terminach. Pohukiwać – zamiast instruować. W dwudziestym dniu procesu nie mówi się, że za spawacza odpowiada dyrektor. Postawiono dość pytań – wystarczyło, aby zadomowieni w sali pod ozdobnym żyrandolem nabrali przeświadczenia, że dyrektor odpowiada za pożar statku i jego nieproste przyczyny.

Sąd ma się wypowiedzieć, czy słusznie. Czy dyrektor wyznaczał nierealne terminy wyjścia statków w morze? Czy i jaki ma to związek z niebezpiecznym nagromadzeniem się robót? Powiadają, że brygady potrącały się łokciami, malarze pracowali przy spawaczach, że robotnicy z palnikami acetylenowymi wchodzili do zatankowanych paliwem statków, do maszynowni.

Spętani narzuconym im pośpiechem pracowali bez dokumentacji, bo nie było czasu jej przygotować. Zatem – jak w wypadku montera – nie mogli wiedzieć o niebezpieczeństwie.

Pośpiech, brak koordynacji, dokumentacji – razem biorąc, wspierane były niezachowywaniem bezpieczeństwa pracy i bezpieczeństwa przeciwpożarowego w całej stoczni.

Rzecz idzie więc o termin, jaki wyznaczono do przekazania Konopnickiej armatorowi. Dyrektor podyktował 16 grudnia – budowniczowie się sprzeciwili. Ale dyrektor obstawał przy swoim. Nie przeglądając listy usterek i poprawek, nie zaglądając w harmonogramy. Pohukiwał.

Komu zależało na terminie 16 grudnia? Czy armatorowi? Armatorowi nie – stwierdza prokurator, wyciągając korespondencję ze stocznią, w której armator nie wierzył w termin 16 grudnia, nie domagał się jego dotrzymania.

Pytają dyrektora o to, dlaczego ujął w miesiącu grudniu – w okresie spiętrzenia prac – więc niebezpieczeństwa – tysiąc godzin nadliczbowych straży pożarnej. Pytają, dlaczego straż stoczniowa nie miała ubrań żaroodpornych, odpowiedniego sprzętu.

Dyrektor wychodzi z kąta na ławie oskarżonych, z teczek wyjmuje pisma w tych sprawach, swoje zarządzenia, w których nieustannie przypomina o sprawach bezpieczeństwa pracy, bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

Pytań jest coraz mniej – to już dwudziesty dzień procesu – lecz ciągle wiele.

Sąd ma odpowiedzieć kolejno wobec ludzi uwikłanych w splot wydarzeń z 13 grudnia na pytanie: winien, nie winien. I wymierzyć karę.

Przewód sądowy z pewnością odpowiedział na jedno pytanie, centralne. Pytanie, które zadawało sobie trzynaście tysięcy pracowników stoczni, pomnożone przez cztery – statystyczną rodzinę: czy ława oskarżonych ma właściwy skład.

Czy właściwy? Czy jedenastu to zbyt wielu, czy może jeszcze nie komplet?

Ci ludzie, którzy się na niej znaleźli – niezależnie od tego, czy zostaną uwolnieni od kary, czy nie – znaleźli się na niej skutkiem logicznego splotu wydarzeń.

Należało zdać sprawę dwudziestu jeden wdowom. Niech ten, co wyrokuje: „Monter winien", pójdzie to powiedzieć przed rząd czarno ubranych postaci, zajmujących z przyzwyczajenia stale tę samą ławkę.

Monter?

A kto go tam posłał, a dlaczego nikt nie objaśnił?

Czy może miał na ławie oskarżonych znaleźć się tylko mechanik, który po raz pierwszy przyszedł na statek, na dziesięciotysięcznik, niewprowadzony do pracy przez nikogo? Jeżeli istnieje związek rzeczy i zjawisk, to za mechanikiem stoi brygadzista, za brygadzistą budowniczy. Przekraczając bramę stoczni o siódmej, kierując się do tego samego doku, stają się od siebie zależni, jeden od drugiego, współodpowiedzialni – razem budują statek. Dzielą nagrody światowych sukcesów Stoczni Gdańskiej, razem z dyrektorem. Im właśnie trzynastego spalił się statek. Nikomu innemu.

W pożarze zginęło dwudziestu jeden stoczniowców, którzy tego dnia, trzynastego, przyszli normalnie do pracy. Gdyby ocaleli – być może któryś z nich mógłby odpowiedzieć na jakieś nowe pytanie.

Sąd Wojewódzki w składzie: przewodniczący Sądu Wojewódzkiego T. Juściński, sędziowie Sądu Wojewódzkiego J. Karczewski i J. Moczydłowski – wydał następujące wyroki:

Oskarżony z artykułu 215, paragraf 1 i artykułu 286, paragraf 1 kodeksu karnego – J. Wychowski (występujący w reportażu jako dyrektor) – został uniewinniony.

J. Sternik (występujący w reportażu jako budowniczy) – skazany na rok aresztu.

M. Kamiński (występujący w reportażu jako brygadzista) – skazany na trzy lata więzienia.

M. Wajs (występujący w reportażu jako mechanik) – skazany na osiem miesięcy aresztu, z warunkowym zawieszeniem kary na dwa lata.

W. Hinca (mistrz wydziału) – skazany został na rok więzienia.

Pozostali oskarżeni – jak wszyscy w procesie, odpowiadający z artykułu 215, paragraf 1 i artykułu 286, paragraf 1 kodeksu karnego – zostali uniewinnieni.

Oskarżali: prokurator wojewódzki – J. Miklas i W. Kajtanowski.

Klucze do zdarzeń. Wybór reportaży z Polski i o Polsce, wybór i oprac. K. Goldbergowa, Z. Stolarek, Warszawa: Iskry, 1976, s. 196–209

1964

Edward Hołda (ur. 1924)

Nie dążyć do pełni

Mało prawdopodobne, że Dorota Masłowska czytała zapomnianą książkę Edwarda Hołdy *Okazja dla spóźnionych* z 1964 roku. A może jednak? Proszę spojrzeć:

> Ani ojca, ani matki, tylko brat, bratowa Olga, ich dziecko, Nastia, stara ciotka Weronika, podkradająca jajka i wynosząca je turystom na drogę, po złotówce jedno, a za uzbierane złotówki kupująca sobie cichcem wódki na ból zębów, których starej ciotce zostało jeszcze dwa wyraźne i cztery pieńki, jak to sama stwierdziła wobec byle kogo, tak że wskutek tego i najdalszy jakiś, pod Orelcem osiadły mieszkaniec Bóbrki, mógłby to za nią stwierdzić, gdyby chciał.
>
> Ale te dwa wyraźne zęby starej ciotce z roku na rok truchlały, a ostatnio to już z dnia na dzień, i dlatego, kiedy nastawał wieczór, ona się w kłębek zwijać musiała na łóżku, co było przyparte do tej ściany domu od Sanu, a od tej od Myczkowic przyparte było łóżko starszego brata i bratowej Olgi. A więc on, piętnastoletni Romek, który nie zdał do drugiej klasy technikum w Lesku, sypiał na samej krawędzi, za plecami starej ciotki, ciesząc się chyba z tego, bo gdyby sypiał z kraja, toby się jeszcze bardziej nie wysypiał, ciotka by przecież przez niego sięgała po swoją ćwiartkę ku krzesłu przy wezgłowiu, a choćby i na krześle ją trzymała, choćby ją trzymała na podołku, toby i tak brała do ust łyk co pół godziny, nie przełykając, tylko tym łykiem wódki w ustach znieczulając to truchlenie dwu ostatnich zębów, dopóki odruchowo odrobinka po odrobince tej wódki jednak nie przełknęła i dopóki jej w ogóle nie przełknęła tyle, że się ta wódka przemieniała w niepamięć [...].

To początek opowieści o zubożałej wiejskiej rodzinie z Bieszczad, dla której budowa zapory wodnej w Solinie jest nie tylko „przyzarobkiem, do którego idą dziesięć i więcej kilometrów", ale najważniejszym wydarzeniem w życiu, czymś, czemu „siebie osobiście, nie swoją pracę, a nawet nie swoje tyranie od rana do nocy, tylko dosłownie siebie ofiarowywali". Reporter pisze o nich, kiedy zapora jest jeszcze na papierze, „choć zaświadczona już sąsiednimi Myczkowcami i zaświadczona co dzień rozrastającym się osiedlem na wzgórzu, barakami na całym tym ogromnym rozjeżdżonym placu budowy". Mimo to nadal wydaje się

mieszkańcom „niewiarygodna jako coś, co się wzniesie i przetrwa; jako coś, co sami oni również będą wznosić przez całe lata, a później raz na zawsze to zachowają i wszystkie tego skutki".

Pod piórem Edwarda Hołdy zapora na Sanie staje się obiektem niemalże metafizycznym. I nie ma to moim zdaniem nic wspólnego z sakralizowaniem wielkich budów czy trudu robotnika w reportażu socrealistycznym. Produkcyjniaki lat pięćdziesiątych były schematyczne, a fraza i obrazowanie Hołdy są nieprzewidywalne i nieokiełznane. Jak dziś u Masłowskiej.

Mimo że Hołda po ukończeniu Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Krakowie był redaktorem tygodnika „Po prostu" (1955–1957), dwutygodnika „Współczesność" (1970–1972) i tygodnika „Literatura" (1972–1981), pisał w sposób zupełnie niespotykany w polskiej prasie. Ciągle podkreślano jego odmienność w stosunku do obowiązujących stylów. Długie frazy „na jednym oddechu" mogą mniej odpornego czytelnika przyprawić o myślową zadyszkę, szczególnie gdy brak zróżnicowania stylistycznego między tym, co autorskie, a tym, co przytaczane – uważał recenzent „Kontrastów" Bogusław Wróblewski. Pisząc o innej książce Hołdy *W skurczu źrenicy* (1977), skarżył się, że natrafiamy w niej także na okresy zdaniowe o długości całej strony. Jerzy Doliński uważał, że przy wszystkich zaletach teksty Hołdy wydają się zaprzeczeniem jednej z najbardziej podstawowych reguł reportażu: potrzebie maksymalnej prostoty, klarowności i komunikatywności tekstu.

> Jednak i pomimo wszystko reportaż to plebejusz wśród gatunków literatury i głównie do plebejuszy jest adresowany. Nie wolno go na siłę uszlachcać. Zbyt zawiły i kunsztowny, staje się nie tyle świątynią bez Boga, co bez wiernych.
>
> Hołda prowadzi nieustającą polemikę wewnętrzną ze swoimi krytykami, którzy próbują go nakłonić, by szedł we wspólnym z innymi reporterami szeregu – odpowiadała Katarzyna Meloch. – Ta proza – dodawała – zmusza do podjęcia trudu współdociekania, a na koniec nie obiecuje efektownej pointy.

Edward Hołda jest jednak przede wszystkim poetą, ma na koncie kilkanaście tomików. Pisać zaczął – jak sam stwierdza – przymusowo. Zaraz po wojnie, w czasie której walczył w szeregach AK, zachorował i pięć lat spędził w szpitalach i sanatoriach. Pewna dziewczyna w szpitalu podsunęła mu pomysł na „instrument do samoobrony" przed sytuacją, w której się znalazł. Pisanie. Gdyby nie to, uważa, byłby inżynierem. W „Po prostu", pierwszej swojej redakcji, drukował teksty dziennikarskie, ale i wiersze. „Walił poezją w aparat partyjny" – napisały Łopieńska i Szymańska w *Starych numerach*.

Ja – syn robotników rolnych – mówił – chodziłem w łapciach z łyka i byłem jednym z tych, którym dano szansę. [...] Pisałem agitki na płoty wiejskie w sprawie skupu czy spółdzielczości. Ale nie była to nowomowa, nie zdążyła nią być. Nie pojawił się u mnie odzew duchowy. Chorowałem, miałem elementarne kłopoty duchowe.

Mówi, że na szczęście nie napisał żadnego wiersza o Stalinie.

Nie znosi słowa „reportaż" i nazywa siebie „konkretystą", literaturę faktu – literaturą konkretystyczną, a swoje teksty, także prozatorskie i poetyckie – faktogramami.

Jego idea pisania tekstów non-fiction jest szczególna:

Są reporterzy, którzy podchodzą do faktów w sposób linearny – mówi – pokazują szereg następujących po sobie zdarzeń i podają kolejne informacje, jedna wynika z drugiej. U niego rozwija się stale ta sama informacja, powraca jedno zdarzenie – tylko analizowane i opisywane na różnych poziomach.

Są reporterzy, dla których celem ostatecznym jest przekazanie treści. Dla niego celem jest osiągnięcie formy, w której zostanie uchwycone dane zjawisko. To przeniósł do faktogramów z poezji. Gdyby zapisać jego teksty w zupełnie innej formie, prawdopodobnie z kilkunastu stron powstałoby kilkanaście zdań.

Są reporterzy, którzy chcą sytuację bohatera ująć psychologicznie. Jemu chodzi o ujęcie symboliczne, a nawet mitotwórcze.

Są reporterzy, którzy budują postaci pełne, gromadzą szczegóły, ustalają wszystkie możliwe okoliczności, słowem – muszą mieć olbrzymi materiał. On, zapisując życie ludzi, rezygnuje z tej pełni, wyolbrzymia za to jakąś cechę.

Dlaczego to robi?

Wyolbrzymienie pewnych cech, wynotowanie z czyjegoś życia tylko pewnych tropów, skupienie się na czyimś urazie – daje mi szansę, że zanotuję możliwie dużo dowodów na to, że mój bohater postępuje podług swojego urazu, dla swojej idei. Wydobywam motywy pozaracjonalne. Powody niejasne, nieuświadamiane [...].

Uważał, że bohaterami jego tekstów są przeważnie „błędni rycerze". Plebejusze ze zmysłem Sancho Pansy. Bohaterowie jego niezwykłego tekstu *Luminescencja* rzeczywiście wyglądają na błędnych rycerzy – żyją we wsi, w której nie ma światła.

Luminescencja

Ja, a nie kto inny, który się utajam za plecami swojej zmarłej żony, przez co mogę być wylegitymowany jako wdowiec z dziećmi, ale tych dwojga dorosłych dzieci też nie zdradzę; ja się w imieniu nich głównie udaję do redakcji, podkuszony przez wydelegowanego w tym celu redaktora, w danym momencie stojącego przy parkanie i ogryzającego babichę[1] po przymrozku, do czego redaktora nie zapraszałem, tylko do mleka, ale czego mu i nie wzbraniałem.

A niech sobie stoi i gryzie. A niech sobie i pójdzie, jak zapowiadał, na Iły, na Borek, na Wysiołek, na Ojrzanów. Wieczorem wróci, jeśli mu nóg wystarczy. Tu, w samym Prandocinie centralnym, wystarczyłoby, ale w tamtych prandockich dzielnicach, gdzie nie ma krzemiennej drogi, a goła rozbabrana glinka, bywa, że i płynąca koleinami po kolana albo i wyżej; tam się chodzi na nogach coraz to krótszych, a dalej, do Muniakowic, czasem wypada iść i na nogach kilkucentymetrowych, co może na postronnych obywatelach robić niezasłużone wrażenie kalectwa osoby jakby zupełnie beznogiej, jadącej na inwalidzkim wózku, chociaż naprawdę ta osoba potrafi się dzielnie poruszać, tyle że częścią nóg w cajgowych albo brezentowych portkach porusza się nad ziemią, a częścią w butach gumowych pod ziemią, zależnie od pogody raz gęściej, raz rzadziej rozrobioną z opadami atmosferycznymi.

A mówiłem temu redaktorowi, panie, panu tam zagraża obniżenie poziomu, panie, przymrozek może popuścić i pan się tam utapla. Pożyczyłbym panu tych gumowych butów, ale wtedy ja bym się utaplał, więc nadrę panu owijaczy z worka i pan się owinie do kolan, a najpierw półbuty przywiąże do kostek, żeby panu tych półbutów ta rozrobiona ziemia nie połknęła, która bez umiaru połyka drewno, kamień, żelastwo, skórę, gumę, rozzuwając nas, ledwo się obujemy, zakleszczając wozy, aż się łamią koła i dyszle, jazdę ciągników wichrując ku nierozrobionym polom, a to oznacza niszczenie zasiewów czy płotów, jeśli te pola to nie pola, tylko ogródki za balaskami, i jeśli te balaski to balaski, a nie jakieś drzewa przydrożne, grubości za grubej nawet dla ursusa dawniejszego typu. Od takiego zderzenia spowodowanego nagłym zwichrowaniem rozsypuje się ursus, a drzewo zostaje i przeważnie traktorzysta należycie przetrącony. To się zresztą zdarzyło nie u nas, a kiedyś pod Proszowicami, zaś ten traktorzysta był po ćwiartce, czego u nas wieczorem, kiedy redaktor będzie utaplany wracał, tak łatwo się nie dostrzeże, chyba

[1] Babicha – ludowa nazwa krzewu z rodziny głogów.

żeby redaktorowi podobnych historii wystarczyło się dosłuchać przed barem prandockim, ukrytemu w ciemnościach na prandockim rynku, rozjaśnianych zaledwie podczas otwierania drzwi przed kolejnym ćwiartkowiczem, doprowadzanym do swoich często drobnych, a nie dorosłych jak moje dzieci, do gospodarstwa i do poczucia swojej osobowości przez żonę, a bywa że i kilkoro członków rodziny.

Ćwiartkowicz zstępuje po schodkach na ten tak zwany prandocki rynek, czyli nieduży plac pośrodku wsi, gdzie się mieści rada, mleczarnia, świetlica, kantor i waga spędowa dla czwartkowych spędów nierogacizny, a także wspomniany bar. Ale kiedy drzwi baru zamkną się za ćwiartkowiczem, zamykają się znowu i ciemności na tym tak zwanym rynku i na drodze przez wieś, wskutek czego nic znowu nie widać, a powinno być widać, i z tym ja się przede wszystkim udaję do redakcji.

Z projektem demokratycznego gromadzkiego oświetlenia tego tak zwanego rynku pośrodku wsi, ale bliżej szosy, po której bez ustanku jeżdżą autobusy, ciężarówki, samochody osobowe, motocykle, dzięki czemu jest ta szosa z Krakowa do Miechowa i na odwrót oświetlona jak w mieście, tak że i drobniutkim drukiem na blaszce wypisany rozkład jazdy można wygodnie sobie poczytać o zmierzchu, byle nie tuż przed północkiem. Tuż przed północkiem jest się zmuszonym jednak przyświecić sobie prywatną latarką albo zapałkami.

Na rynku tego projektu nie kończę, a rozciągam w obie strony, na zachód, ku tej szosie, i na wschód, ku Borkowi, zaś przez Borek aż ku drodze do Muniakowic, a to z tego powodu, że na tej drodze prandockiej żadna prywatna latarka już się nie kalkuluje, bo żadna prywatna latarka zapalona pojedynczą ręką przez pojedynczego człowieka, dając radę w ciemnościach wymacać, gdzie kałuża, dziura, słup telefoniczny, nie daje rady reflektorom na tej prandockiej drodze od szosy do Muniakowic rozpanoszonym bardziej niż psy tutejsze i napływowe z całej prandockiej okolicy.

Takie przedkładam wyliczenie, a bierze się ono z namacalnej praktyki cowieczornych moich wyjść, to do sąsiadów, to do rady, jeśliby tam jeszcze siedział nasz przewodniczący nazwiskiem Staszek, to dokądś indziej, zależnie od interesu. Liczby zbierałem przez miesiąc. Średnio na drodze prandockiej spotyka się wieczorem w ciągu dziesięciu minut jednego psa, zaś reflektorów dwa pojedyncze, przynależne do gospodarzy mających motocykle, czy też częściej do ich synów, bo na tych pięćdziesięciu motocyklach we wsi jeżdżą przeważnie mężczyźni młodsi z odmienną płcią uczepioną z tyłu; więc reflektorów dwa pojedyncze, ale chlastające po dachach, płotach, podwórzach jak stumetrowe pomiotła, a oprócz tych dwu stumetrowych pomioteł na

jednego nieuwiązanego psa w ciągu dziesięciu minut przypada jeszcze jedno podwójne pomiotło ciężarówki czy traktora chlastające jeszcze dalej, jeszcze wyżej, a zwłaszcza szerzej i czyby ktoś idący prandocką drogą z prywatną pojedynczą latarką życzył sobie, czy nie życzył, chlastające nieodwołalnie średnio co dziesięć minut, byleby ten ktoś szedł z samego wieczora, gdzieś od piątej do ósmej, a znowu nie tuż przed północkiem. Tuż przed północkiem już są wyłączone i te pojedyncze reflektory motocykli, i podwójne trzech prandockich traktorów rolniczego kółka i trzech traktorów kółka z Muniakowic i dwu z Iłów, chyba żeby to były żniwa albo pilne orki. Wtedy te traktorowe reflektory chlastają i do świtu po polach, a dodać należy i reflektory ciężarówek spółdzielczych, ciężarówek budowlanych dojeżdżających z budulcem do jakiegoś remontu czy budowy, jak niedawno do budowy szkoły w Muniakowicach; karetek pogotowia, wozów służbowych z powiatu i województwa, a niekiedy i prywatnych wozów, chociażby dwu inżynierów Folfasińskich z Huty, którzy tę Hutę od samego początku budowali, synowie kierownika prandockiej szkoły, Folfasińskiego, a starszy z nich, inżynier Marian Folfasiński, rozpalał niedawno nowy piec w Hucie, o czym pisała prasa w całej Polsce, ale nie pisała nic o tym, jak jednego wieczora przed tym rozpalaniem zajechał do rodziców i martwił się z nimi, czy nic nie zawiedzie, żeby się to rozpalenie udało. Czy wszystkie dostawy nadejdą, czy się coś nie zdarzy nieprzewidzianego.

Z takich to względów występuję przeciwko nieporadności prywatnych latarek, a zarazem alarmuję o niebezpieczeństwie oślepnięcia od reflektorów, kiedy się idzie tą ciemną prandocką drogą. I stwierdzam, że nie podoba mi się wcale ta tym ciemniejsza pomiędzy chlaśnięciami świetlistych pomioteł ciemności, która po ósmej do północka i po północku do rana jest już ciemnością i tylko ciemnością, utajającą wszystko, złe czy dobre, wszystko, co przecież każdemu powinno być widne niezależnie od pory. I uważam, że tę widność czy to przed, czy po północku dałoby się właśnie zaprowadzić dzięki demokratycznemu gromadzkiemu oświetleniu prandockiego tak zwanego rynku i całej drogi przez wieś.

To nie musiałaby być inwestycja na żadnych wysokich słupach od nowa wkopywanych. Można by wykorzystać już istniejące, odpowiednio wyniosłe punkty zaczepienia. Przekrętkę do włączania powierzyłoby się sołtysowi, ale żeby dzieci, które wtedy pewnie chciałyby zachodzić do niego niby to po coś w imieniu rodziców, nie zabawiał się dowolnie tą przekrętką, najlepsza byłaby automatyczna zegarynka i przecież mógłby ją skombinować ktoś z dojeżdżających do roboty w Hucie czy w Krakowie, ostatecznie ogłosiłoby się apel do

tych dwustu osiemdziesięciu dwóch powojennych wychowanków pana Folfasińskiego, co się z Prandocina porozpraszali po całym kraju, udając się na dalszą naukę albo obejmując stanowiska. A te sposobności jeszcze się w nowym roku powiększą, bo ta liczba określa tylko dotegoroczny konkretny stan rozproszenia się prandociniaków po Polsce, nie dotyczy natomiast zapędów i nadziei na rozproszenie jeszcze dalsze.

I cóż to taka zegarynka, skoro w Prandocinie znalazłoby się już dziś coś podobnego, nie wątpię, że na przykład jakiś taksometr, chociaż samochodów osobowych ani dla szyku i lokaty, ani na zarobek nikt dotąd jeszcze nie trzyma. Skoro kto tylko może zewsząd, ukrywając w szopach, komórkach, stodołach, za pamułą[2] i krokwiami, ściąga, ile się tylko da, rozmaitego technicznego żelastwa.

Drutu gołego, drutu w gumie, w plastyku; prętów, cynkowej blachy, walcówki; a to oponę, a to rurę kanalizacyjną, wodociągową do prywatnego wodociągu, których jest w Prandocinie kilka z pompami przy studniach, napędzanymi elektrycznie; a to cewkę do tej elektryczności, kabel; a to jedną i drugą antenę telewizyjną na przyszłość, bo obecnie tylko świetlica ma telewizor, którego antena wprawdzie się popsuła, ale nie szkodzi, jeden z nowohuckich chłopaków weźmie ją i w Hucie przepisowo przyspawa, co należy; a to nie dwudziestą i nie setną lampę radiową; lepik, eternit, papę, warsztat ślusarski, podwozie do samochodu strażackiego i oddzielnie sporządzoną beczkę, z którego to podwozia plus motor, plus ta beczka miejscowa straż złożyła sobie beczkowóz jak się patrzy do gaszenia pożarów i do państwowych defilad. A za tymi rzeczami nie wiadomo kiedy, tu, w tym prandockim błocie przecież jeszcze, pośród gnojników na podwórzach, w niedostatkach przeróżnych, a i w biedzie, jakiej doświadcza choćby taki Adamczyk, którego żona zmarła przy siódmym porodzie i Adamczyk sam został z siedmiorgiem drobiazgu i niedołężnymi ojcami; w podobnych okolicznościach i podobnym zaniedbaniu, co i zaniedbanie samej świetlicy prandockiej, cisną się do uszu, do głów, na języki słowa, których tu nie bywało. Temu redaktorowi, w danym momencie gryzącemu zwarzoną babichę, kiedy już wróci utaplany z dalszych prandockich okolic i ogarnie się miotłą z tego utaplania, a wysuszy, radziłbym posiedzieć choćby w tej świetlicy i przysłuchać się, a nawet ponotować te niebywałe prandockie słowa, wypowiadane przez chłopaków i dziewczyny prosto od rżnięcia sieczki, od zadawania koniom albo od udoju.

Oktoda, dwusiarczek, fotosynteza, Ohm, glucyna, utleniacz, aglomerat, perigeum, dielektryk, bojler, iskrownik, mangan, neutron.

[2] Pamuła – miejsce między dachem a belką, na której wsparto krokwie, na strychu lub w stodole.

Bo to jeszcze i książki się przyczyniają, wypożyczane przez panią Folfasińską w bibliotece przytykającej do mieszkania Folfasińskich. Pani Folfasińska za barierką stoi pomiędzy bibliotecznymi półkami, zza okna dolatuje chrobotanie miotły zdzierającej błoto z butów czy śnieg w zimie, wchodzą obywatele i obywatelki po osiem, dziesięć czy dwanaście lat i tym pani Folfasińska doradza, tymi kieruje. Ale czytelnicy pod dwudziestkę są już oporniejsi, na różne nowele, poezje i powieści w ogóle machają ręką, za to ani ich oderwać od podręczników i poradników elektrotechniki, chemii stosowanej, samochodziarstwa, od pamiętników historycznych, kronik okupacyjnych, zbiorów dokumentalnych o wojnie, polityce i rozwoju świata.

A na dobitkę prandocka Szkoła Przysposobienia Rolniczego, kursy obsługi urządzeń technicznych, ćwiczenia straży pożarnej, przy której Związek Młodzieży Wiejskiej wystawił drużynę dziewczęcą. I coś tam ta drużyna już nawet gasiła, przy jakimś tam ogniu już się uwijało tych dwanaście dziewcząt z nauczycielką Kozakówną na czele, od niedawna zamężną, poubieranych w jednakowe strażackie spódnice i berety, jako też pasy, ale bez toporków. A w wolnym czasie pomiędzy pożarami jedna z tych dziewcząt, Gugalanka, była na kursie sanitarnym, gdzie się wybierają i następne, skoro by wyższe władze dały przydział i nadesłały zawiadomienie, zaś obecnie w tym wolnym czasie zdarzają się i defilady, co zapewnia efekt niepowtarzalny, kiedy te prandockie strażaczki maszerują za prandocką orkiestrą dętą. Czterech bratanków Hatnych idzie w tej orkiestrze ubranych w nowiusieńkie uniformy z gabardyny, którą to gabardynę zakupiono z własnych zarobków orkiestry przygrywającej do zabaw odpustowych z okazji świętego Jana i świętej Anny, do pogrzebów lokalnych, a czasem i powiatowych, do wiwatów bożenarodzeniowych, wielkanocnych, imieninowych, co też trochę pieniędzy przynosi od ogrywanych osobników. Pięknie dzwonią dopiero co zakupione talerze tureckie za sześć tysięcy złotych. A za orkiestrą idzie tych dwanaście dziewcząt. Zaś kiedy regularne defilady się wyczerpią, to powiatowa komenda straży w Miechowie zorganizuje jakiś sztuczny pożar i wtedy te prandockie strażaczki są może jeszcze bardziej niepowtarzalne, co zostało nawet odgórnie skwitowane, bo podczas takiego sztucznego pożaru z popisami ostatnio tę naszą prandocką komendantkę Kozakównę odznaczono pośrodku rynku. A dyryguje orkiestrą Mietek Gugała, osiemdziesiąt lat istniejącą, którą do niedawna dyrygował stary Paweł Durmała, a Durmale, co teraz tylko prawidłowo jak nikt przepisuje nuty, przekazał tę orkiestrę już przedwojenny Gackowski, dziś prawie niepamiętny.

Tymczasem kilometrów dwanaście od Prandocina, w Miechowie, wsiada do autobusu albo w kolejkę wąską, albo na motocykl, albo na furę ten czy inny doktor. Ginekolog Binkiewicz, który też na konferencji Związku Młodzieży Wiejskiej objaśniał budowę i prawa kobiety, a tym samym również dorosłej dziewczyny; lekarz stażysta Kobylec, przewodniczący Klubu Inteligencji, ta i owa młoda lekarka ze szpitala powiatowego. Wsiadają i jadą na różne wsie, gdzie się odbywają wykłady szkół zdrowia, a po wykładach nieraz słuchacze starsi i młodsi odprowadzają lekarzy, wypytując, a wypytując i z tego powodu ilość tych niebywałych słów wsiowych znowu się pomnaża.

Embrion, pęcherzyk Graafa, substancja szara, terramycyna, owulacja, awitaminoza, antykoncepcja, hemoglobina, hibernacja, Salk, Petrucci.

Więc się przy tej sposobności zapytuję, czy demokratyczne gromadzkie oświetlenie nie pasowałoby do tych słów wypowiadanych w prandockiej świetlicy, którą młodzież prandocka chce przemienić w kawiarnię z kawą po dwa pięćdziesiąt zaparzaną przez Felę Nowak w białym fartuszku? Kawa. Jeszcze jedno niebywałe słowo. Brud na podłodze, Fela Nowak zmarznięta przy otwartym oknie, bo trzeba je było otworzyć, z pieca dym, zapalić się nie chce za Boga, może dopiero pojutrze chłopaki zeskrobią ten brud z podłogi po to, żeby za parę tygodni znowu brudem zarosła, a dziewczęta szczotkami na kijach będą się doszorowywać słojów w sosnowych deskach, a za parę tygodni doszorowywać znowu, w związku z czym Boże daj jak najprędzej zimę, a tu kawa. Ale tylko niewidomy nie dojrzy, z jakim to słowem się to słowo zderza w tej porządkowanej prandockiej świetlicy mimo tego dymu z pieca i mimo tego, że Fela Nowak fartuszka jeszcze nie włożyła. Ze słowem barowym *jabłczak wysokoprocentowy, niżej dwu dych za flaszeczkę,* tak jak tamte słowa ze świata, z książek, z kursów długo się zderzały ze słowami *kamfina, gnój, fitka, powijak, urzeknąć, popsuć się, nańduch, łach, dziadówka, bezbożnik* i niweczyły je. I tak jak inne jeszcze słowa, słowo *plan*, słowo *fundusz,* słowo *akumulacja, kontraktacja, kooperacja, zetor, ursus, zestaw maszynowy,* każdego dnia i o każdej porze napierają na słowo *zagroda, hipoteka, sukcesja, podkulek, półkoszek,* nie mówiąc już o jajach wynoszonych w chusteczce na targ, co się wcale nie kalkuluje, raz dlatego, że w autobusach do Słomnik i Miechowa ludzie strasznie się gniotą, ale najbardziej, że w tym Miechowie i Słomnikach w ogóle postęp socjalistyczny polikwidował rynki, na ich miejsce ustanawiając w Słomnikach skwery, a w Miechowie rondo z ruchem okrężnym i trzydziestoma ułożonymi z odblaskowych szkiełek znakami drogowymi, wskutek czego jajkami w chusteczce da się

zahandlować najwyżej gdzieś pod kościelnym murem, o ile dowiezie się je niepogniecione.

A czyby się i dymić musiało w tej prandockiej świetlicy w kawiarnię przemienianej pod opieką studenta Szarzyńskiego, aktywisty wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej z Krakowa, gdyby to demokratyczne oświetlenie było już założone? Apeluję do kompetencji. Nie zaistniałyby wtedy na pewno w świetlicowym kominie dwa kawcze gniazda, które posłużyły tym kawkom do zalęgnięcia się. Ale teraz młode już wywędrowały i Zbyszek Warchoł oraz inni szturchający osęką w ten komin niczego już kłopotliwego nie wyszturchali prócz tych dwu kawczych gniazd uwitych jak baranice z patyków, perzu, szmatek, a nawet drutu, i po tym wyszturchaniu ich i obeśmianiu zaraz zaczęło się w piecu ładnie palić, co świetlicy przydało lepszego wyglądu i perspektyw. Lecz na pewno te gniazda w ogóle nie zaistniałyby przy jakiejś lampie koło tego komina, bo wtedy kawki musiałyby się spodziewać, że je ludzie dojrzą i nie dopuszczą, żeby się aż zalęgły.

I dzięki tym lampom wzdłuż całej drogi przez wieś dojrzą też ludzie siebie we właściwym świetle. W świetle palącym się i o czwartej rano, kiedy się schodzą na przystanek autobusowy prandociniacy dojeżdżający do Huty. A pośród tych dojeżdżających dojrzą ludzie zwłaszcza Stanisława Marca, prawie bezrolnego byłego spółdzielcę, któremu ta prawie bezrolność, jakieś pół morgi z byle jaką chałupką, utrudnia otrzymanie mieszkania przy nowohuckiej parowozowni, gdzie Stanisław Marzec od pięciu lat pracuje, co i bez pytania można by wywnioskować z jego czarnej kolejarskiej twarzy. Od pięciu lat pracuje i od pięciu lat, przed świtem wstając, dąży do przystanku autobusowego, a w tym roku, po tych pięciu latach, synowi Stanisława Marca minęło lat osiemnaście i już dwu Marców dąży do tego przystanku, bo syn w Hucie też dostał robotę. Jednak Stanisław Marzec troska się bardziej o córkę piętnastoletnią, trzeba by ją do jakiejś szkoły, na naukę, bo przecież prawie bezrolną w chałupce na lepsze jutro Polski nie zostanie.

I gdyby to inni ludzie prandoccy, choćby młodzież z koła Związku w tym właściwym świetle dojrzała, kto wie, czyby się nie ujęła za Stanisławem Marcem u jego zwierzchników, którzy już go na liście przydziału mieszkań umieścili, ale którzy przecież nie mają okazji widzieć całej życiowej drogi Stanisława Marca. Może by się ta młodzież ujęła, mimo że i jej samej jest ciężko, tyle że Stanisławowi Marcowi ciężej; ujęła i napisała do tych zwierzchników, panowie zwierzchnicy, a następnie o tych pięciu latach, o synu, o córce, a nawet wcześniej o tym, jak się Marzec rozłączał ze spółdzielnią, goło i nędznie,

bo się wydostawał z różnych nieporozumień, z kombinacji zarządu i ze skweresu dookoła wprost do swojej prawie bezrolności, a skweres dział się wtedy we wsi spory, spółdzielcze domy na działkach poprzedni właściciele pól oborali, tak że chyba po mostkach by się trzeba było do tych domów przedostawać, ale to nie trwało długo, bo zaraz jednemu z tych spółdzielców, przybyłemu z Wężerowa Kalinowskiemu, spaliła się stodoła, więc Kalinowski przewidując i pożar domu, ten nowy dom cegła po cegle rozebrał i przeniósł do Wężerowa, gdzie posiadał blisko sześć hektarów, nie tyle co Marzec. Marzec i tak musi wyjechać z Prandocina. Parowoziarzowi Marcowi z synem i córką na roli nic a nic się nie opłaca i wy mu pomóżcie, jak tam potraficie, panowie zwierzchnicy. Dopilnujcie sprawiedliwości.

Natomiast wieczorem w tym właściwym świetle nie jeden raz, tylko tyle, ile dni w roku, gdyby to właściwe światło założone było od roku, bo gdyby, na przykład, już od lat piętnastu, to należałoby te dni w roku pomnożyć przez piętnaście, tyle razy na drodze ze szkoły do mieszkania pojawiłby się pan Folfasiński, który w Prandocinie uczy i kieruje szkołą już przez te lat piętnaście, a przedtem trzydzieści lat uczył w Nasiechowicach, skąd po wojnie na własną prośbę odszedł, gdyż mu się wciąż unaoczniała nasiechowicka tragedia okupacyjna[3].

Starszy syn pana Folfasińskiego, Marian, leżał wtedy w szpitalu miechowskim, młodszego też na szczęście w domu nie było, kiedy zajechała karna ekspedycja, granatowi, Ukraińcy, hitlerowcy, i wyciągali ci rozmaici hitlerowcy z domów, kogo zastali, kobiety, dzieci, starych i chłopów. Część tego kontyngentu rozstrzelali przed kościołem, a część pognali do lasu, gdzie temu kontyngentowi kazali usiąść na ziemi i pruli do niego z broni maszynowej, tak że nikt z tego kontyngentu już nie powstał z wyjątkiem jednego też uśmierconego gospodarza nazwiskiem Ryło, który w parę godzin po tym uśmierceniu zdołał sobie pomyśleć, ja chyba żyję, i odwlókł się z tej kupy mięsa, dzięki czemu żyje dotąd rzeczywiście, chociaż lekarze go odpychali od siebie, nie chcieli ratować w wielkiej obawie. A inny gospodarz uchronił się, stojąc za stodołą, kiedy w domu hitlerowcy jego żonę i dzieci likwidowali indywidualnie. Pomnik jest nad tą tragedią ufundowany w Nasiechowicach, ale niektórzy w okolicy się rozgoryczają, że to pomnik nie za jakiś patriotyzm, tylko za wzajemne powydawanie się hitlerowcom rozmaitych wyjątkowych mieszkańców, którzy skargi na siebie słali zaadresowane do okupanta.

Państwo Folfasińscy nie ruszali się podczas tej tragedii z krzeseł w swojej izbie i myśleli, minie nas czy nie minie, minie czy nie minie. A kiedy

[3] 4 czerwca 1943 roku Niemcy dokonali pacyfikacji Nasiechowic, w których kilka dni wcześniej kwaterował oddział partyzancki. W sumie zamordowano wówczas sto czterdzieści osób.

hitlerowcy odjechali, pan Folfasiński poszedł przed kościół, choć mu pani Folfasińska mówiła, zatrzymaj się, po co tam będziesz chodził, lecz on poszedł i teraz tego widoku nie może z siebie usunąć i dlatego z żoną nigdy o tych Nasiechowicach nie rozmawiają ani z ludźmi, tylko się do dziś zdumiewają, że synowie ocaleli. I ci synowie, inżynierowie z Huty, to największa nagroda państwa Folfasińskich, innej nie potrzeba nawet panu Folfasińskiemu osobiście, jakkolwiek przed Nasiechowicami uczył on jeszcze parę lat w Makowie, tak że w sumie to się już składa ściśle na lat czterdzieści dziewięć pracy nauczycielskiej, czyli w przyszłym roku zamknie się okrągłe pół wieku.

A i ten niby rynek prandocki niedaleko mieszkania państwa Folfasińskich też by się w tym świetle ukazał jakby w czasie kontroli, która nie odjeżdża po paru godzinach, lecz trwa, umożliwiając uprzątnięcie z tego rynku nie tylko ćwiartkowiczów, bo oni by się w tym świetle na pewno bardziej wstydzili i nie odtrącali żon i innych członków rodziny niewymownymi klątwami, tylko uchylali elegancko kapeluszy i odpowiadali, przepraszam, kochanie, bardzo mi przykro, dziękuję, z czego by i dzieci mogły pobierać lekcję poglądową, a nauczyciele wpajający dzieciom te słowa mieliby wyraźną pomoc. I razem z tymi ćwiartkowiczami albo i często litrowiczami byłoby też przez te lampy prandockiej demokratycznej instalacji, huśtające się pod kloszami, uprzątnięte to, co się kryje za tymi ćwiartkami i litrami, a nie wypada wątpić, że się kryje, skoro się działającym uchem dosłyszy i te słowa, które padają między szklaneczką a szklaneczką, rzecz jasna, jeśli ktoś nie pije prosto z flaszki.

Zwichnąć kogoś, wymankować, zamazać nomenklaturę, dać w łapę, oprzeć o bufet, uskrobać z obrotu, zastawić się dziurą w worku.

I wtedy by dopiero, dzięki tym lampom, przez całą wieś mógł się w pełnym blasku ukazać i ten najgłośniejszy fragment prandockiego ruchu drogowego, ten wysoki smok transportowy z Muniakowic, jeden z trzech tamtejszych traktorów, zaprzęgnięty do przyczepy nabitej muniakowickimi młodymi chłopami, ze dwudziestu ich co najmniej, kawalerów i takich ledwo po dwa, trzy lata żonatych, a z tym smokiem i na tej przyczepie niebojących się wcale tego błota, tej naszej ziemi, wygłodniałej i połykającej, co się tylko da, włącznie z redaktorem, który już babichy nie ogryza, a chyba idzie gdzieś drogą, nie wiadomo, czy nie boso, bo przymrozek faktycznie popuścił. Przelatują ci młodzi co dzień przez Prandocin na kurs traktorzystów do ośrodka maszynowego w Kacicach. Pozazdrościli naszym trzem prandockim traktorzystom z Borka, Ryszardowi Natkańcowi, który jest zarazem wiceprezesem kółka, Lucjanowi Misztalowi z tegoż kółka i Stefanowi

Kramarzowi, zawierającemu w sobie traktorzystę, prezesa kółka i prezesa straży jednocześnie, co jest w naszej wsi rozważane pod kątem kultu jednostki. Wystawili przeciw tym naszym trzem całą wysmotruchaną towotem i oliwą banderię i pod kątem tego kultu wsiowej odpowiedzialnej jednostki zaczynają prześcigać Prandocin.

Droga redakcjo! I czy temu wszystkiemu nie należy się to właściwe oświetlenie, odczytywane dotąd przez ciebie, być może, jako pusty wymysł, a nie faktyczna potrzeba?

A to jest faktyczna potrzeba i dla uczynienia jej zadość nikomu nie powinno być żal bodajby wysokich słupów od nowa wkopywanych i bodajby jarzeniówek na tych słupach.

Edward Hołda, *Okazja dla spóźnionych*,
Warszawa: Iskry, 1964, s. 21–33

1965

Wiesław Górnicki (1931–1996)

Widzieć więcej niż zeszyt

Słyszał rechot wielkich smolistych żab drzewnych w cejlońskiej dżungli; wieczorny śpiew rybaków z Luizjany; szum uralskich brzóz w październiku; przejmującą ciszę granatowych fiordów na północ od Bodø; szelest węża sunącego po rozpalonym piasku afrykańskiej pustyni; skowyt małych chłopców w Rawalpindi, ćwiczonych kańczugiem za nie dość szybkie wiązanie supełków dywanu... Tak podsumowywał swoje podróże, wymieniając jeszcze niezliczoną liczbę wrażeń, których nie chce mi się cytować, bo mają za dużo przymiotników, a ich nadmiar powoduje, że nasz mózg zamyka się jak małża i na nic ich działanie.

W dzieciństwie teksty Wiesława Górnickiego robiły na mnie wielkie wrażenie. Największe – relacja z wieczoru, kiedy w Nowym Jorku wysiadła elektryczność. Książka dla młodzieży (*Od fiordu do atolu*, 1977) z nowojorskim reportażem *Zaćmienie* miała w mojej biblioteczce jedenastolatka numer 40 i gdy dziesięć lat później likwidowałem swój dziecinny księgozbiór, zostawiłem ją sobie właśnie ze względu na ten tekst. We wstępie do niej autor napisał, jak reporter powinien spoglądać na rzeczy, a ja obawiałem się, że nigdy nie uda mi się ich tak właśnie widzieć, od podszewki:

> Kiedy zauważam w Rawalpindi dziecko, które z nieopisaną radością wymachuje zwykłym, szkolnym zeszytem – muszę już zawczasu, zanim je zobaczę, znać dokładnie przyczynę tej radości. Zeszyt jest wykonany z importowanego papieru, bo Pakistan ma niewiele lasów i nie stać go jeszcze na tak kosztowną i skomplikowaną dziedzinę przemysłu, jak wytwórnie papieru. Produkt importowany jest drogi i nie dla każdego dostępny. Ale skąd pochodzą spinacze w grzbiecie zeszytu – czyżby także z importu? Jest to przecież nic innego jak pocięty na kawałki drut stalowy. Drut – to walcownie. Walcownie – to zazwyczaj i huta. Huta – to konieczność posiadania dostatku energii elektrycznej, ciężkich maszyn, kopalni rudy, doświadczonych inżynierów i majstrów. Tego wszystkiego w Pakistanie nie ma pod dostatkiem, więc i spinacze są zapewne importowane, co jeszcze bardziej podnosi cenę zeszytu. Dzieciak cieszy się dlatego, że otrzymał cenny i niepowszedni prezent; w tutejszych szkołach dzieci piszą zazwyczaj rysikiem na tabliczce z łupku.

Po wojnie, podczas której uczył się w tajnym gimnazjum, zdobył dyplom technika mechanika lotnictwa i przez rok studiował na Wydziale Lotniczym Szkoły Inżynierskiej Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Ze względu na zainteresowanie lotnictwem zaczął pracę w „Skrzydlatej Polsce". Potem pisał dla „Sztandaru Młodych" i „Świata", a w 1961 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie był korespondentem PAP-u przy ONZ-ecie i studiował dziennikarstwo na Indiana Univeristy. Kiedy wrócił do Polski, pracował w centrali PAP-u i w „Przekroju". Po powrocie wydał bardzo poczytne książki, m.in. *Opowieści zdyszane* (1971) – reportaże z kilku krajów – oraz *Wielki świat. Ze wspomnień snoba-katorżnika* (1976) – miejscami bardzo sensacyjną reporterską opowieść o kulisach pracy ONZ-etu. Jest w niej fragment o tym, jak Górnicki usiłuje nadać dalekopisem korespondencję do Polski. Ten oryginalny zapis dialogu (w ortografii dalekopisowej) jest sam w sobie reportażem z pracy korespondenta w latach sześćdziesiątych.

Czytając go, pamiętajmy, że zwrot ZCZC PL oznacza kod wywoławczy Głównego Urzędu Telekomunikacji w Warszawie, POLPRESSNY – symbol nowojorskiej placówki PAP-u, słowem MOM służba łącznościowa całego świata oznacza chwilę zwłoki, natomiast sygnał RYRYRY służy do sprawdzania aparatury lub utrzymania biegu maszyny bez treści. Korespondencję Górnicki chciał nadać po lunchu prezydenta USA Lyndona B. Johnsona z sekretarzem ONZ-etu, Birmańczykiem Sithu U Thantem, podczas którego przewidywano zbliżenie stanowisk w sprawie wojny w Wietnamie. „Birmańczyk jednak obsobaczył LBJ za Wietnam, żadnego zbliżenia".

A oto tekst o historii polskiego dziennikarstwa, który przeszedł do historii polskiego dziennikarstwa:

— ZCZC PL TU POLPRESSNY CZY PANI MNIE ODBIERA TU POLPRESSNY CZY MOGE NADAWAC SERWIS? TU POLPRESSNY

PROSZE PANI TO PILNE CZY MOGE NADAWAC!!!!

— OK TAK DOBRZE PROSZE NADAWAC

— OK MOM JUŻ DAJE TU POLPRESSNY

— OJ CHWILECZKE TASMA NAM SIĘ ZERWALA

— RANY BOSKIE MNIE SIE SPIESZY

— MUSIMY ZALOZYC TASME

— NO JUZ?

— JESZCZE NIE ALE PAN NERWOWY

— WIADOMOSC NIE ZDAZY DO GAZET CZY MOZNA NADAWAC?

— MOM NIECH PAN PISZE ZAKLADAMY TASME

— PANI JADZIU TO STRASZNIE PILNE

— %=+=+&

— CO?

— NIC JESZCZE ZAKLADAMY

— ALE PANI COS NAPISALA

— A CO

— WLASNIE NIE WIEM BO BYŁA GORNA KASETA

— CO GORNE?

— PANI JADZIU JA MAM PILNA WIADOMOSC GAZETY NIE WYJDA

— WYJDA WYJDA

— TU POLPRESSNY

— CZY MOGĘ NADAWAC?

— TAK JUZ PROSZE TASMA OK

— DOBRA JUZ LECE UWAGA TU POLPRESSNY WIESLAW GORNICKI NADAJE Z NOWEGO JORKU SERWIS NR 1416 7 PAZDZ 1966 GODZ 2347 GMT ITEM 32012/1 JOHNSON WONZ NYK PAP. NIEOCZEKIWANA WIZYTA PREZ JOHNSONA W SIEDZIBIE NARZJEDN I JEGO ROZMOWA Z SEKR GEN WZBUDZILY OZYWIONE KOMENTARZE W KOLACH DYPL ONZ. WIARYGODNE ZRODLA DYPL WSKAZUJA ZE PODCZAS SPOTKANIA KTORE W WIEKSZOSCI DOTYCZYLO KONFL WIETNAMSKIEGO NIE OSIAGNIETO ZADNEGO POROZUMIENIA UWAZASIE POWSZECH

RYRYRYRY

— CO TO JEST JA NADAJE

— JA WIEM ALE NAM SIE ZERWAL PAPIER

— PANI JADZIU PRZECIEZ GAZETY CZEKAJA

— ALE U NAS SIE NIE ODBIJA PAN SIĘ ZAWSZE TAK SPIESZY

RYRYRYRYRYRYRY

— ALE JA ZARAZ MUSZE WYJSC Z POKOJU

— %!?:&-;”

— CO PANI PISZE

— NIC

— JAK TO NIC PRZECIEZ MI SIE ODBIJA

— CO SIE PANU ODBIJA

— NIE WIEM JAKIES LITERY

— MY ZAKLADAMY PAPIER

— ALE TO PILNE

— PANIE REDAKTORZE U NAS SIE ZERWAL PAPIER

RYRYRYRYRYRYRY

[...]

– TO CO JA MAM POWTARZAC

– TAK PROSZE

– ALE JA SIE SPOZNIE DO GAZET

– JA NIE POKWITUJE NIC NIE ROZUMIEMY

– DLACZEGO

– BO JA WIEM

– MOZE INZYNIER JEST W POBLIZU

– NIE INZYNIER POSZEDL NA KAWE

– TRUDNO POWTARZAM: TU POLPRESSNY, WIESLAW GORNICKI NADAJE Z NOWEGO JORKU

– MOM PROSZE PANA ZNOW NIC NIE ROZUMIEMY

– JA DOSTANE CHOLERY

– OJEJ ALE SIE PAN WYRAZA

– NO PRZECIEZ NIE MOGE POWTARZAC BEZ KONCA

–?&%+?&

– CO PANI PISZE

–?+=/?”+

– JA NIC NIE ROZUMIEM

– +=-:+”=%&

– ZNOW GORNA KASETA

– OJEJ ALE SIE NAPLATALO KLOPS

– PANI JADZIU KOCHANA JA NIE MOGE DLUZEJ JA MAM PILNA WIADOMOSC JA MUSZE

– OK MOM ZARAZ PRZYJDZIE INZYNIER

RYRYRYRYRYRYRY

– NIECH PANI NIE RYKA GAZETY CZEKAJA

– MOM

– KROLOWO ZADNE MOM JA MUSZE NADAWAC

– MOM

– DO DIABLA JA MAM DOSYC TYCH MOM

– MOM

– STARCZY CZY PANI MNIE ODBIERA?!!!!!

– PAN SIE NIE DENERWUJE MOM

– KIEDY TO BARDZO PILNE JA CALY WIECZOR PI

– MOM JUZ IDZIE INZYNIER

– TU POLPRESSNY PANIE INZYNIERZE JA BARDZO PROSZE JA MAM

– %?!+&+

W tym momencie – pisze Górnicki – łączność ustała na dobre; ze względu na strefę zmierzchu i związane z nią zakłócenia elektromagnetyczne, jak mnie poinformowano w amerykańskiej końcówce łącza. Wyobraziłem sobie swą notę do centrali w dniu następnym: „Z powodu strefy zmierzchu nie mogłem w terminie poinformować o spotkaniu Johnson – U Thant oraz o wypowiedzi Johnsona w sprawie granic europejskich. Górnicki".

Na dwa miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego Wiesław Górnicki został bliskim współpracownikiem generała Jaruzelskiego. Pisał mu przemówienia, łącznie z tym, które przeszło do historii: o wprowadzeniu stanu wojennego. Gabriel Mérétik w reporterskiej książce *Noc generała* pisze, że postać Jaruzelskiego naprawdę fascynowała dziennikarza. Obaj od początku przypadli sobie do gustu. Do tego stopnia, że Górnicki cywil, który nie był w wojsku, otrzymał stopień kapitana i został wcielony do armii. Dokładnie w sobotę 12 grudnia o godzinie 15.00 dostarczono mu mundur spod igły. Włożył go, żeby podyktować maszynistkom przemówienie. Andrzej Krzysztof Wróblewski (patrz t. 2, s. 9) z „Polityki" wspominał, że Górnicki kiedy tylko mógł, chodził w mundurze.

Wiesław Górnicki, a raczej podpułkownik Wiesław Górnicki, bo obrażał się, kiedy nie traktowano jego stopnia poważnie – był klasycznym przykładem wielkiego talentu, któremu zabrakło rozwagi. Uczciwy aż do szpiku kości; kiedy Gomułka w 1967 roku oskarżył Polaków żydowskiego pochodzenia, że są „piątą kolumną" Izraela, Górnicki – wówczas korespondent PAP w Nowym Jorku, chociaż sam nie miał pochodzenia innego niż „robotnicze" – nie zawahał się wysłać depeszy z protestem przeciw słowom pierwszego sekretarza. Doskonale zdawał sobie sprawę, że za swoją uczciwość zapłaci posadą.

Dlaczego przestał być reporterem? Od początku, czyli od wielkich strajków na Wybrzeżu latem 1980 roku, przeciwstawiał się Solidarności. Do tego stopnia, że – jak pisze Mérétik – dziennikarze „Przekroju", gdzie pracował sześć lat, zażądali jego odejścia. Kiedy w październiku 1981 roku Jerzy Urban, świeżo mianowany rzecznik rządu, zaproponował mu współpracę, bezrobotny Górnicki skorzystał z okazji.

Zaćmienie

[...] W piątek 9 listopada 1965 roku o godzinie 17.34 czasu miejscowego (w Warszawie dochodziła już północ) siedziałem w swym biurze w gmachu ONZ i tłukłem zaciekle w klawiaturę dalekopisu. Część mojego wieczornego serwisu, przeznaczona do sobotnich gazet popołudniowych, biegła już do kraju z szybkością sześćdziesięciu sześciu słów na minutę, ja zaś musiałem w pośpiechu dopisać jeszcze kilka ważnych informacji, bo akurat trwała sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych i coś się tam ważnego działo.

Taki wyścig z pędzącą taśmą jest czynnością ryzykowną i wymagającą wyjątkowego skupienia. Po każdym naciśnięciu klawisza odbija się na papierowej taśmie pewna liczba dziurek. Na przykład literze „A" odpowiadają dwie dziurki u góry taśmy, trzy przerwy i znów jedna dziurka. Wynika z tego, że w teorii można by czytać podziurkowaną taśmę tak samo jak się czyta tekst drukowany literami. Ale wszyscy wiemy, jak to z teorią. Krótko mówiąc, pisałem zawsze z pamięci i musiałem mieć spory zapas sperforowanej, czyli podziurkowanej taśmy, żeby dalekopis, pożerający ją z szybkością kilkunastu metrów na minutę, nie zaciął się nagle z braku pożywienia. To trochę niezwykle wygląda, kiedy się tłucze palcami w klawiaturę bardzo podobną do klawiszy maszyny do pisania, a tymczasem na wałku dalekopisu odbija się zupełnie inny, wcześniej sperforowany tekst kontrolny. W tej sytuacji utrata ciągłości myśli choćby na chwilę jest już nie do odrobienia – skąd wiadomo, jakie było ostatnie słowo i ostatnia sperforowana litera?

Nagle mój dalekopis zwolnił, charknął dwa razy i zatrzymał się. Ze złości uderzyłem pięścią w pulpit. Spieszyło mi się okrutnie na ważną konferencję prasową, centrala w Warszawie za pół godziny kończyła pracę, a tu takie niespodzianki. W żaden sposób nie mogłem zostawiać serwisu rozbabranego w połowie, bo później nikt by się nie połapał w zniekształceniach i poprawkach.

Zanim jednak zdążyłem zastanowić się nad skutkami nieoczekiwanej przerwy, w pokoju zgasło światło. Uznałem, że przepalił się bezpiecznik przeciążonej linii – o tej porze wszyscy nadawaliśmy w świat swe informacje, a gmach ONZ płonął wszystkimi światłami – wobec czego wyjrzałem na korytarz. Ale i tu panowała zupełna ciemność. Rzuciłem się po omacku do okna

i dopiero wtedy złość ustąpiła miejsca zdumieniu: na przeciwległym brzegu Wschodniej Rzeki, w dzielnicy Queens, nie było widać nic. Dosłownie nic. Na miasto spadła kompletna, absolutna noc. Tylko na autostradzie, tuż nad brzegiem rzeki, ciągnęły się niemrawo rozmazane smugi świateł samochodowych, ponieważ była to pora powrotu z pracy i zarazem początek weekendu, czyli moment największego natężenia ruchu.

Wypadłem znów na korytarz, ale nikt wśród moich kolegów nie był pewien, co się właściwie stało. Pewne było tylko jedno: że również na Manhattanie zapanowała zupełna ciemność.

Zapalono świecę. W jej chybotliwym blasku spojrzeliśmy na siebie wzrokiem zupełnie innym niż dotychczas. Taki moment niepewności wyzwala w ludziach bardzo rozmaite myśli.

– Czy to wojna? – zapytał łamiącym się głosem jeden z amerykańskich kolegów, bardzo zazwyczaj wojowniczy w swych komentarzach.

Po cichu zadałem sobie to samo pytanie. Cóż innego mogło się wydarzyć? Nie dopuszczałem do siebie myśli, że po prostu mogło się coś popsuć. Amerykanie? Z ich techniką? Z tylekroć zachwalanym systemem zapobiegawczym? Zresztą nagła ciemność zawsze już będzie mi się kojarzyć ze wspomnieniami wojennymi, ponieważ z reguły zwiastowała nalot. Trochę będzie głupio słuchać teraz wycia syren. Ale żadne syreny się nie odzywały i zacząłem znowu zastanawiać się, co to może znaczyć.

– Radio nie działa! – krzyknął ktoś z rozpaczą.

Nie dowierzając, rzuciliśmy się do wszystkich radioodbiorników, które były w pobliżu. Milczały rzeczywiście. Nie pomagało kręcenie pokrętłami, potrząsanie, klepanie i pstrykanie palcem w głośniki.

Teraz w ciągu kilku minut zaczęły do nas dochodzić wieści jeżące włos na głowie. Przestała działać telewizja, włącznie z wewnętrzną, która transmituje posiedzenia różnych ciał ONZ. Nie odpowiadały telefony wewnętrzne. Utknęły wszystkie schody ruchome. Stanęły windy. Umilkł delikatny szum aparatury klimatyzacyjnej i wkrótce po całym gmachu, który nie ma innych źródeł ogrzewania, zaczął się rozpełzać przykry, dojmujący chłód. Milczał głucho wewnętrzny system głośnikowy, za pomocą którego informowano nas zawsze o różnych sprawach.

I jakby tego było nie dosyć, okazało się, że nie działają również telefony miejskie. Nowy Jork był teraz odcięty od świata, pogrążony w chaosie i ciemności, skazany właściwie na zamarznięcie, bo wieczór był okrutnie zimny; na uduszenie się i skręt kiszek. W samym sercu największej metropolii świata można było nagle umrzeć z samotności jak pośrodku Sahary.

Minęło piętnaście minut domysłów, niezdecydowanych zamiarów i kręcenia się w kółko, bo, szczerze mówiąc, nikt nie wiedział, co się naprawdę stało i co właściwie należałoby czynić. Pomyślałem o nienadanym do Warszawy serwisie, ale uświadomiłem sobie, że do kraju nie docierają w tej chwili żadne, ale to żadne wieści z Nowego Jorku. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że nie docierają również z Waszyngtonu, Montrealu, Bostonu i żadnego innego miasta na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Wreszcie komuś udało się złowić w radioodbiorniku, oczywiście bateryjnym, zdenerwowany głos spikera jakiejś podmiejskiej rozgłośni.

– Proszę państwa – mówił roztrzęsionym głosem – nasza stacja przeszła na zasilanie akumulatorowe. Można nas odbierać na każdym bateryjnym odbiorniku, niestety tylko w niewielkim promieniu od naszej siedziby. Do tej pory nie wiemy, co się stało w Nowym Jorku. Nie mamy żadnych informacji od policji ani od władz miejskich. Nie możemy uzyskać połączenia telefonicznego z wojskiem. Uważamy jednak, że w tak niezwykłej chwili konieczne jest zachowanie zupełnego spokoju. Nasi reporterzy z przenośnymi radiostacjami udali się pieszo w kierunku miasta, ponieważ zator samochodowy na głównych drogach nie da się opisać. Prosimy o cierpliwość. A teraz nasze posłanie.

Posłanie, czyli pospolita w Ameryce forma reklamy radiowej lub telewizyjnej, wpychana w każdy, nawet najciekawszy program, dotyczyło papierosów Winston, które „smakują tak, jak powinien smakować prawdziwy papieros". Ale sobie wybrali moment na reklamę! Przeżyłem chwilę szczerej satysfakcji, patrząc na wściekłe miny mych amerykańskich kolegów, rozsierdzonych tą głupawą reklamą w najmniej stosownym momencie. Dawno już wyrzekałem na głupotę nachalnych reklam, ale mało kto chciał mnie słuchać. Teraz mogli się sami przekonać, że miałem rację.

Odnaleźliśmy w eterze jeszcze jedną stację, też chyba zasilaną z akumulatora lub z własnego agregatu prądotwórczego. Wiadomości były jednak nadal skąpe i niejasne. Dowiedzieliśmy się, że na ulicach Manhattanu, a zwłaszcza na drogach wyjazdowych z Nowego Jorku utworzył się największy zator, jaki kiedykolwiek obserwowano. Ugrzązł w nim burmistrz Nowego Jorku Wagner, którego bezskutecznie poszukują krążące nad zapchanymi ulicami śmigłowce policyjne. Ale odnalezienie pojedynczego samochodu w takim tłoku było naprawdę trudniejsze niż odnalezienie szpilki w stogu siana. Donoszono także o wypadkach, że przez zator nie mogły się przedrzeć radiowozy policyjne, straż pożarna, i, co najgorsze, karetki pogotowia. W Empire State Building, który był jeszcze wówczas najwyższym budynkiem świata, przystąpiono do rozbijania szybów windowych na wysokości czterdziestego dziewiątego

i dziewięćdziesiątego czwartego piętra, ponieważ w windach utknęły dziesiątki, jeśli nie setki osób i jakoś trzeba je było wydobyć na powietrze. Nie ma nadal żadnych informacji o sytuacji pod ziemią, choć o tej porze pociągi metra przejeżdżają co pół minuty. W pociągach zatrzymanych pośrodku tunelu, na podziemnych stacjach i przejściach, pozbawionych teraz oświetlenia i wentylacji, znajduje się o tej porze dobrze ponad pół miliona ludzi.

Ktoś rzucił propozycję, aby z dziennikarskiego obowiązku, a choćby dla potomności, dowiedzieć się o losy sekretarza generalnego U Thanta. Pomysł był jednak zupełnie niewykonalny. Windy nie jeździły, telefony nie działały, a marsz na trzydzieste ósme piętro gmachu ONZ w zupełnych ciemnościach zapasowej klatki schodowej mógłby potrwać całą noc. Zawsze łatwiej zejść z trzydziestego ósmego piętra niż tam się wdrapywać.

Kilku z nas, gnanych niecierpliwością, postanowiło opuścić gmach ONZ i przejść się po mieście. Ale i to okazało się niezmiernie trudne. Budowniczowie kompleksu gmachów ONZ wyszli z założenia, że istnienie prądu elektrycznego w przewodach jest równie oczywiste jak istnienie tlenu w powietrzu, toteż wszystkie szczegóły konstrukcyjne gmachów są w jakiś sposób zelektryfikowane. Zacięły się na przykład samoczynne drzwi, w innych zaś zapadły rygle alarmowe na wypadek pożaru, które można było odblokować tylko za pomocą innych dźwigni sterujących. Oczywiście poruszanych elektrycznie. W rezultacie kilka tysięcy ludzi musiało korzystać z dwóch tylko wyjść, których przez niedopatrzenie nie zelektryfikowano. Brak światła elektrycznego zamienił kuluary i cały parter gmachu w koszmarny labirynt, w którym nawet stali bywalcy co krok potykali się o jakieś narożniki, zakręty i oburzające występy muru.

Zresztą i na piętrze prasowym kompletna ciemność znów zalała wszystkie zakątki, ponieważ wypaliła się jedyna w całym gmachu świeca.

Radio – a w eterze było już z sześć różnych stacji radiowych – przynosiło coraz bardziej nieprawdopodobne wieści. Ustalono już za pomocą telefonów wojskowych, że na wschodnim wybrzeżu Ameryki zdarzyła się gigantyczna awaria systemu energetycznego, nikt jednak nadal nie wiedział, co ją spowodowało i jak to długo potrwa. Dopiero po kilku dniach wyszło na jaw, że wszystko zaczęło się od niewielkiego przekaźnika, który mógłby się pomieścić w męskiej dłoni, a kosztował cztery dolary i trzydzieści pięć centów. Przepalił się po prostu, a potem cała sieć energetyczna rozsypała się jak przewracane kostki domina.

Amerykanie już mieli nazwę na to, co się zdarzyło: *blackout*, czyli mniej więcej tyle co nagłe zaćmienie. Zabawne, że tym samym słowem określa się

stan utraty przytomności. Myślę, że bardzo trafnie dobrano to słowo: osłupienie, zamęt i niepewność rzeczywiście graniczyły z utratą przytomności.

– Podobno – mówili spikerzy – obszar ciemności sięga aż po Montreal i Ottawę na północy, po Chicago na zachodzie i Florydę na południu.

(Później okazało się, że te pierwsze wieści były nieco przesadzone, ale nie tak znów bardzo; w każdym razie obszar dotknięty awarią zamieszkiwało trzydzieści pięć milionów ludzi, czyli więcej niż całą Polskę). Podobno zerwana została wszelka komunikacja ze światem zewnętrznym. Burmistrza Nowego Jorku nadal nie można było odnaleźć w zatorze i nie bardzo było wiadomo, kto ma podejmować ważne decyzje. Gubernator stanu Nowy Jork zapowiedział mobilizację Gwardii Narodowej, to znaczy oddziałów obrony terytorialnej, na godzinę 21.00, jeśli do tego czasu awaria nie zostanie usunięta. W metrze po półgodzinnym popłochu częściowo opanowano sytuację. Większość pasażerów wyprowadzono na powierzchnię i unieruchomiono wszystkie pociągi hamulcami awaryjnymi, aby nie ruszyły przed siebie, gdyby w przewodach znów popłynął prąd. Wkrótce jednak stwierdzono z przerażeniem, że nie można się doliczyć czterech pociągów metra i oczywiście pasażerów, którzy gdzieś tam ugrzęźli w plątaninie tuneli, skrzyżowań i rozjazdów.

Ale mniej więcej po godzinie, kiedy Amerykanie zorientowali się już, że nagła ciemność nie oznacza najprawdopodobniej wojny (choć o spalonym przekaźniku nikt jeszcze wtedy, włącznie z inżynierami energetyki, nie wiedział), sytuacja zaczęła nabierać nie tyle może oznak trwałości, ile raczej pewnej stabilizacji. Jest to naród łebski i zaradny do genialności, pełen rzutkości w nieprzewidzianych sytuacjach. Zdaje się, że inwazja z Marsa zadziwiłaby ich tylko na dziesięć minut, po czym natychmiast zaczęliby z Marsjanami handlować.

Typowy dla tego sposobu reagowania był na pewno pewien pomysłowy szesnastolatek, którego zaćmienie zaskoczyło koło dworca kolejowego Grand Central. Skombinował szybko, że pewno ciemności potrwają trochę dłużej. Pożyczył więc od kolegów dziesięć dolarów, wszedł do najbliższego sklepu i kupił wszystkie znajdujące się na półce latarki bateryjne, których cena wynosiła pół dolara za sztukę. Po czym z naręczem latarek stanął przed dworcem i zaczął je sprzedawać po cztery dolary za sztukę. Ludzie oburzali się na spekulację, ale płacili, bo i co mieli robić. Po sprzedaniu połowy spryciulek dobrał sobie wspólnika, którego wysłał po następny transport. Po godzinie zaćmienia miał już w kieszeni pięćset dolarów – więcej, jak się potem przyznał reporterom, niż kiedykolwiek widział na własne oczy. Nie powiem, żebym zachwalał ten rodzaj obrotności, ale zdumienia powściągnąć nie potrafię.

A jednak nie wszystko to było takie proste. Przeważająca większość budynków nowojorskich ma własną instalację klimatyzacyjno-ogrzewczą, która oczywiście przestała działać. Mroźne, przenikliwe powietrze zaczęło się wciskać wszystkimi szczelinami, przyprawiając przywykłych do błogiego ciepełka jankesów o dreszcz zgrozy. Proszę pamiętać, że jest to naród, który nigdy nie zaznał wojny na własnym terytorium i związanych z tym plag.

Było więc zimno, ciemno i do domu daleko, zważywszy, że na Manhattan dojeżdża do pracy z odległych przedmieść niemal dwa miliony ludzi, a spacer w taki ziąb, w zupełnej ciemności i przy nowojorskich odległościach mało komu przyszedł do głowy. We wszystkich hotelach Manhattanu zabrakło miejsc już po godzinie, przy czym układano się w pokojach pokotem.

Z każdą upływającą minutą zaćmienia wychodziły na jaw jakieś nowe fakty, których Amerykanie chyba nigdy nie kojarzyli sobie z obecnością prądu elektrycznego w przewodach. Na przykład pewien nasz kolega przybiegł ze zdumiewającą wieścią, że restauracje przestały wydawać posiłki z powodu wystygnięcia podczerwonych palenisk i podgrzewaczy, nie mówiąc już o ciemnościach, które pozbawionym skrupułów klientom mogłyby dostarczyć cudownej okazji: mogli przecież zjeść najwytworniejszego homara lub zwłaszcza żeberka wieprzowe, które w Ameryce uchodzą za kosztowny arcydelikates, udając, że jedzą po prostu jakieś pierożki. Zamarł zresztą wszelki zorganizowany handel (z wyjątkiem naręcznego) i w najlepszych restauracjach Manhattanu nie można się było doprosić nawet o piwo. Powód był bardzo prosty: awaria unieruchomiła automatyczne kasy o napędzie elektrycznym, kontrolujące utarg. Personel domów towarowych i większości sklepów nie chciał się narażać na zarzut handlowania na własny rachunek. Zresztą nawet zupełnie małe sklepy nie umiały przejść na liczydła lub po prostu tak zwane paragony, gdyż kasy elektryczne są połączone z maszynami do księgowania, te – z samoczynnymi urządzeniami do fakturowania stanu zapasów i zamówień, a samoczynne urządzenia... i tak bez końca.

Nad tym niezmierzonym miastem zawisła nagle groźba ognia, głodu i epidemii, jak gdyby rzecz działa się w XIV wieku na jakimś zamkowym podgrodziu. Straż pożarna została dokładnie i bezapelacyjnie unieruchomiona w remizach i nawet nie zamierzała odpowiadać na żadne wezwania, bo i tak nie przebiłaby się przez zator. Znieruchomiały filtry miejskie, stacje pomp i hydrofornie, no a studnie znane są nowojorczykom tylko ze starych legend pionierskich. Przestały działać wszystkie lodówki i chłodnie, też w końcu napędzane elektrycznością, a już zwłaszcza wielkie superchłodnie przemysłowe, gdzie mięso przetrzymuje się latami w temperaturze minus sześćdziesięciu

stopni. Co dziesięć minut temperatura w chłodniach rosła o jeden stopień Fahrenheita. Właściciele firm chłodniczych opowiadali później, że każdy stopień ocieplenia powyżej pewnej granicy mógł ich kosztować milion dolarów. Stanęły wreszcie młyny asenizacyjne i miejskie spalarnie śmieci – rzecz nie bez znaczenia w mieście, które wytwarza sześć tysięcy ton odpadków na dobę. Ależ tak, nie mylę się: sześć tysięcy ton na dobę, dwieście pięćdziesiąt ton na godzinę!

Zatrzymał się całkowicie wszelki ruch towarów, ponieważ nie było ich skąd zabrać i którędy dowieźć. Najważniejsze zaś, że ustały dostawy żywności – rzecz nigdy przedtem nieznana w historii tego miasta. Tysiące ton żywności muszą tu dopływać przez całą dobę, bez chwili przerwy. Obliczono kiedyś, że dwunastogodzinna przerwa w dostawach żywności spowodowałaby ostry deficyt artykułów spożywczych, a następne dwanaście godzin sprowadziłoby na miasto po prostu klęskę głodu. Ostatecznie nie jest łatwo nakarmić czternaście milionów ludzi. Spiker powiedział, że właśnie nadeszła pora, żeby sprawdzić, czy obliczenia były trafne.

Wszystkie te wieści docierały do nas w gmachu ONZ na przemian z nieprawdopodobnie wielką liczbą reklam. Małe, biedne stacje radiowe, które ledwo już dyszały przed zaćmieniem, a teraz, widocznie na skutek swego zacofania technicznego, mogły się błyskawicznie przestawić na zasilanie akumulatorowe, postanowiły wyżyłować tę wielką szansę swego żywota do końca, do oporu.

– Proszę państwa – mówił zdyszany spiker, nie umiejąc ukryć radości, gdyż miał chyba jakieś udziały w firmie – nic tak skutecznie nie usuwa nadkwasoty żołądka i nieprzyjemnego oddechu jak pastylki Alka Seltzer. Powtarzam: Alka Seltzer poratuje cię w każdej potrzebie. W rejonie Piątej Ulicy Wschodniej wybuchł pożar, brak jest wody w hydrantach, zresztą straż pożarna i tak nie może dojechać na miejsce. Tylko papierosy Winston smakują tak, jak powinien smakować prawdziwy papieros. Dowiadujemy się, że z wind Empire State Building wydobyto już wszystkich pasażerów, jedna osoba doznała ataku serca, trzy inne zdradzają objawy szoku po półtoragodzinnym pobycie w zapełnionych szczelnie klatkach wind, które utknęły między piętrami. Najskuteczniejszym środkiem na przemęczenie i zdenerwowanie jest Ovovitol, powtarzam: Ovovitol. Przepraszam, świeca się dopala i nie mogę odczytać następnej wiadomości. Aha. Najwspanialsze przenośne telewizory marki Zenith znów staniały. Uprzyjemnią wam weekend. Dowiedzcie się w najbliższym sklepie.

Wzmianka o telewizorze rozwścieczyła już wszystkich jednakowo. Właśnie teraz, kiedy telewizja byłaby najpotrzebniejsza – ekrany były martwe

i ciemne. Żaden spiker nie gorączkował się „szkoda, że państwo nie mogą tego zobaczyć". Zresztą i tak nic w ogóle nie było widać. Koło dziewiątej wieczorem wyszedł na mroźne niebo wielki, łysy, nadąsany księżyc, do którego nowojorczycy poczuli teraz serdeczną sympatię. Przynajmniej w kłębowisku ludzi, samochodów i różnych dziwnych rzeczy można było w końcu odróżnić jakieś zarysy.

– Otrzymaliśmy wiadomość – ciągnął spiker – że prezydent Johnson znajduje się w bezpiecznym miejscu. Na jego polecenie grupa ekspertów pracuje nad ustaleniem przyczyn awarii i wkrótce przedłoży w Białym Domu specjalny raport, bez względu na porę. W razie niestrawności – tylko Bisodol! Wypróbowany, niezawodny, przyjemny w działaniu. Niestety, nadal nie wiemy, dlaczego nasza piękna Ameryka tak nagle pogrążyła się w ciemności. Wiele osób nie wyklucza sabotażu. Błąd konstrukcyjny uchodzi za rzecz wykluczoną. Aparat fotograficzny marki Kodak umożliwi ci uwiecznienie najpiękniejszych chwil twego życia! Z automatyczną regulacją przesłony! W rejonie Sto Drugiej Ulicy Zachodniej doszło do gigantycznego zderzenia samochodów, w którym uczestniczy ponad sześćdziesiąt pojazdów. Nie ma nic lepszego po dniu ciężkiej pracy niż butelka coca-coli.

Plótł tak i plótł, ale my zaczynaliśmy już zdobywać wiadomości na własną rękę. Po prostu na powrót zaczęły działać telefony miejskie (a jest ich w tym mieście trzy i pół miliona). Stopniowo zaczął się z tych wieści wyłaniać obraz Nowego Jorku, pogrążonego po uszy w najbardziej nieprawdopodobnej przygodzie, jaka go kiedykolwiek spotkała.

Straszne rzeczy na przykład działy się w ogrodzie zoologicznym na Bronksie. Zwierzęta, spłoszone nagłą ciemnością i chłodem, popadły w szaleństwo i rycząc, piszcząc, wyjąc i warcząc, przystąpiły do roznoszenia klatek, w czym, jak nam później doniesiono, celowały zwłaszcza słonie i pawiany.

W więzieniach nowojorskich więźniowie z całkowitą jednomyślnością uznali wyłączenie oświetlenia za szykanę strażników pod swym adresem – po prostu nie przyszło im do głowy, że również na wolności może nie być światła. Podnieśli więc rwetes pod niebiosa, graniczący właściwie z buntem. Gdyby wiedzieli, że nie działają żadne urządzenia alarmowe, a w takiej ciemności wszystkie koty szare...

Blady strach padł na dyrektorów banków. Większość skarbców ma skomplikowane zamki elektryczne, a i urządzenia ostrzegawcze też muszą być stale pod napięciem. W gruncie rzeczy pomysłowy gangster mógłby chyba w tę noc opróżnić kasy banków z dobrych kilku miliardów dolarów. W Nowym Jorku napadów jednak było niewiele. Widocznie włamywacze też mieli trudności

z odnalezieniem drogi w ciemnościach. Natomiast w Rochester i w Bostonie doszło rzeczywiście do licznych włamań, a miały też miejsce napady na banki – wszystkie zresztą nieudane.

W porcie nowojorskim awaria unieruchomiła radary i całą sygnalizację świetlną awanportu, a ruch statków jest tam niewiele mniejszy niż ruch samochodów na ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Co gorsza, zaniemówił także wskutek braku napięcia pewien przemądrzały, nowo nabyty komputer, który segregował ruch statków po Zatoce Hudsona, przydzielał nabrzeża i kontrolował godziny wyjścia w morze. Ponieważ nikt już nie potrafił zastąpić w tym maszyny – opuszczone statki pośrodku zatoki ryczały wniebogłosy, aż do zachrypnięcia syren, domagając się opieki i jakichkolwiek wyjaśnień. Których zresztą w kapitanacie portu i tak nikt nie mógł im udzielić. W kapitanacie sami chcieliby wiedzieć, co się stało. Na domiar złego, w rejon stoczni wojennej na Brooklynie wpływała właśnie eskadra niszczycieli. Są to statki szybkie, silne i pozbawione skrupułów; każdy z nich mógł spokojnie przepołowić każdego „cywila", a traf chciał, że przy pogrążonych w ciemności nabrzeżach pasażerskich cumowały akurat dwa największe transatlantyki świata, jeden koło drugiego. Naprawdę źle by się to skończyło, gdyby awaria nastąpiła o pół godziny wcześniej.

No, a skoro już mówimy o komunikacji, trzeba koniecznie opowiedzieć, co się działo podczas zaćmienia na międzynarodowym lotnisku imienia Kennedy'ego. Normalnie co trzydzieści pięć sekund ląduje tam lub startuje samolot, lecz w piątek, przed weekendem ruch jest jeszcze bardziej natężony.

Anegdoty lotnicze o skutkach zaćmienia przytaczano potem w prasie całymi tygodniami. Mnie osobiście najbardziej przypadły do gustu dwie z nich, których morał jest taki, że niczego w życiu nie należy się zapierać. Albowiem naprawdę wszystko może się zdarzyć.

Pierwsza z nich dotyczy pilota skandynawskich linii lotniczych SAS. Na jakieś pół minuty przed „wybuchem ciemności" zaczął podchodzić do lądowania wielkim odrzutowcem pasażerskim. Zezwolenie na lądowanie otrzymał dokładnie w tym samym momencie, kiedy zgasła ziemia. Jeszcze sekundę wcześniej objął wzrokiem światła Nowego Jorku, a naprawdę jest na co popatrzeć, ustalił ton tykania radiopelengatora w słuchawkach (jest to rodzaj akustycznego kompasu, jeśli można to tak nazwać), po czym położył samolot w ciasny, głęboki skręt, podczas którego i tak zazwyczaj widać tylko aksamitną czerń nocnego nieba. Kiedy wrócił do lotu poziomego, nie zobaczył już ani świateł miasta, ani oświetlonego pasa startowego, ani

świateł wieży kontrolnej. Na domiar złego przestał słyszeć cokolwiek w słuchawkach, a przerażony radiooficer krzyknął, że dyżurny z ziemi zamilkł. Ziemia w ciągu jednej sekundy ogłuchła, oślepła i zaniemówiła. Ile w końcu można narozrabiać jednym głupim ruchem sterów i lotek? Pilot opowiadał później, że po raz pierwszy w życiu obawiał się o własną równowagę psychiczną. W końcu nie jest to taka znów sobie zwyczajna rzecz, kiedy zamiast największego miasta świata dostrzega się pod sobą coś w rodzaju afrykańskiej wioski oświetlonej łuczywami, bo tylko tak wyglądały z wysokości słabe światła reflektorów samochodowych.

Druga anegdota dotyczy pilota zachodnioniemieckiej Lufthansy, który podprowadzał samolot do lądowania w Bostonie. Na chwilę przed awarią zapowiedział pasażerom przez głośnik, że z prawej strony mogą podziwiać rozjarzone światła Bostonu, z lewej – delikatny zarys również oświetlonego przylądka Cod, a w ogóle to panu kapitanowi jest bardzo miło, dziękuje za wspólny lot i ma nadzieję, że jeszcze raz spotka się z pasażerami na pokładach Lufthansy. Tak każe lotniczy obyczaj.

W chwilę później, kiedy kapitan pogrążył się w kontroli przyrządów pokładowych, wpadła do kabiny przerażona stewardesa i wyszeptała, że ani z prawej, ani z lewej żadnych świateł nie widać.

– Spokój! – wrzasnął kapitan. – Przecież nie pobłądziłem, panno Müller. Boston jest pod nami.

– Kiedy nie ma żadnych świateł...

– Milczeć, do diabła! Co pani sobie wyobraża? Ja złożę raport o nieposłuszeństwie wobec kapitana podczas lotu...

– Ależ niech pan wyjrzy przez okno, kapitanie. Tam nic nie ma. Ciemno.

– Nie będę wyglądał! Jeśli mówię, że światła Bostonu są pod nami, to chyba się znam na mapie.

Właśnie w tym momencie kapitan zupełnie przypadkowo, wbrew własnej woli, rzucił wzrokiem na ziemię, gdzie po najdalszy kraniec horyzontu nie było widać nic – dosłownie nic, oprócz mętnych i mizernych blasków, rzucanych przez stłoczone na autostradach samochody. Ileż to osób tak stanowczo odmawia spojrzenia wokół siebie, a przecież odrobina wyobraźni nigdy nie zawadzi.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się dokładnie, w jakim stopniu awaria wpłynęła na różne urządzenia wojskowe, w tym również na lotniska wojskowe. Takich wiadomości nigdy się nie publikuje. Sądzę jednak, że w sferach wojskowych bałagan musiał być niezły. Najlepszy dowód, że zarządzona przez gubernatora stanu mobilizacja Gwardii Narodowej nie doszła do skutku. Z tej prostej, lecz

strasznej przyczyny, że żołnierze i oficerowie po prostu nie mogli się dostać na wyznaczone punkty zbiórki.

Zdaje się jednak, że nawet opowieści lotnicze są fraszką w porównaniu z tym, co się działo na kolejach. Na obszarze dotkniętym przez zaćmienie znajdowało się w ruchu około ośmiuset pociągów, bo była to akurat pora powrotu z pracy, a nawet w Ameryce nie wszyscy jeżdżą samochodami. To, że część pociągów stanęła nagle w miejscu, nie było niczym tak nadzwyczajnym. Ten sam rezultat można uzyskać na każdej dziecięcej kolejce, wyłączając dopływ prądu. Gorzej, że w jednej chwili przestały działać wszystkie zwrotnice, sygnały i automatyczne stacje rozrządowe, których większość oczywiście natychmiast się popsuła. A jeszcze gorzej, że nie wszystkie przecież lokomotywy miały napęd elektryczny. Spora część z nich miała silniki wysokoprężne na ropę i spokojnie jechała sobie naprzód, mijając nieczynne sygnalizatory, wjeżdżając na nieodpowiednie tory i gwiżdżąc – dosłownie – na unieruchomione koleżanki.

Tego, co się działo w kolejnictwie amerykańskim następnego dnia, kiedy w przewodach znów popłynął prąd – nie da się w żaden sposób opowiedzieć. Nie wiadomo było, jak przystąpić do rozplątywania tego gigantycznego supła. Zwłaszcza że pewna część systemów rozrządowych nadawała się tylko na złom, a trzeba było dopiero w praktyce sprawdzać, o które to urządzenia chodzi.

Rozzłoszczone lokomotywy zaczęły się mścić na człowieku za całą poprzednią historię, kiedy im kazano jeździć tylko tam, gdzie człowiek sobie życzył. Teraz nareszcie zaczęły jeździć tam, gdzie im się podobało. Pewien szczególnie uparty zestaw pasażerski na przyległej do Nowego Jorku wyspie Long Island trzeba było wozić tam i z powrotem niemal przez dwie doby, ponieważ za każdym razem zaskakiwała nie ta zwrotnica, włączał się nie ten system automatyczny i blokował się wjazd akurat na tę stację, gdzie upartego pociągu oczekiwano z utęsknieniem.

Niezła jest też opowieść o pewnej przepalonej zwrotnicy, która sprawiała wrażenie chorej umysłowo: mimo wszelkich napraw z maniackim uporem zawracała stale do Pittsburgha pociągi dopiero co stamtąd wyprowadzone po wielogodzinnych zmaganiach z głupim żelastwem. Podobno kiedy dyżurny ruchu po raz czwarty zobaczył pociąg, który już trzykrotnie usiłował wypędzić ze swego rejonu, rąbnął pięścią w aparaturę. I dopiero wtedy zwrotnica odczuła wyrzuty sumienia. Wszystko przez to, że kontrola ruchu pociągów i ich formowanie zostały w Stanach prawie całkowicie zautomatyzowane. Zresztą nie tylko kolejnictwo. Właśnie przy okazji zaćmienia wielu

Amerykanów zadało sobie pytanie, czy aż takie uzależnienie się od maszyn jest rzeczywiście celowe.

Co do mnie, myślę, że ten maleńki przedsmak katastrofy dobrze Amerykanom zrobił. Nie chcę już nawet wyobrażać sobie, jak by to wszystko wyglądało, gdyby tak do zapaści energetycznej dołączył się jeszcze element paniki, czy tym bardziej – poważny kryzys międzynarodowy. Że to wszystko było bardziej śmieszne niż tragiczne – wielka w tym zasługa zaradności Amerykanów i ich nadzwyczajnego zmysłu organizacyjnego. Ale mogło być gorzej. Dużo gorzej. Wśród takich, co nie chcą dmuchać na zimne, najwięcej jest tych, którzy nigdy się jeszcze nie sparzyli na gorącym.

Wszystkie jednak opowieści lotnicze i kolejarskie bledną w porównaniu z tym, co się tej nocy działo na nowojorskich drogach i ulicach. W największym zatorze wszystkich czasów, w gigantycznym skrzepie żył cywilizacji ugrzęzło, jak później obliczono, około dziewięciu milionów samochodów. Liczbę zderzeń szacowano na czterdzieści tysięcy. Inaczej mówiąc, w ciągu tych szesnastu godzin, bo tyle trwała całkowita likwidacja skutków awarii, co dwie sekundy ktoś gdzieś na kogoś wjeżdżał. Aż dziwne, że cały ten karambol gigant kosztował tylko dwustu zabitych. Jak na rzeź, która się normalnie odbywa na amerykańskich drogach, była to wyraźna taryfa ulgowa. Może za przyczyną amerykańskich harcerzy, którzy dobrowolnie, bez żadnych rozkazów wyszli niemal natychmiast na pobliskie skrzyżowania i zaczęli, jak mogli, regulować ruch.

Nie są to już opowieści z drugiej ręki. Krótko przed północą ruszyłem po omacku w głąb przepastnych garaży w gmachu ONZ, ponieważ postanowiłem dojechać wreszcie do domu na odległym o siedemnaście kilometrów przedmieściu Flushing. Długo trwała ta wyprawa, okupiona kilkoma siniakami. Dopiero kiedy wyprowadziłem samochód, zobaczyłem na własne oczy, co dzieje się na ulicach, i uświadomiłem sobie, czym może być zator drogowy w Ameryce. U nas, w Europie, nikt nie może mieć o tym przybliżonego pojęcia. Na całej długości Manhattanu nie było nawet centymetra wolnej przestrzeni, w którą mógłby się wcisnąć nawet kot samobójca, nie mówiąc o kierowcy. Rozdzierający ryk klaksonów, złorzeczenia wyprzedzanych i wyzwiska tych, którzy wyprzedzali lub mieli takie wrażenie, dalekie, beznadziejne jęki syren policyjnych – to wszystko rzeczywiście przypominało piekło. Zwłaszcza że było nadal zupełnie ciemno, a każdy konkurent na drodze jakoś kojarzył się z diabłem.

Ostatecznie nie było się czemu dziwić. Zator nie miał właściwie początku ani końca, ale w samym Nowym Jorku ze względu na zgęszczenie materii

przypominał jądro komety. Według warszawskiej skali odniesienia ciągnął się od Siedlec do Żyrardowa, z odnogami do Radomia i Pułtuska. Za tymi odnogami zaczynały się oczywiście nowe zatory.

Przyczyny były już po chwili zupełnie oczywiste. Awaria spowodowała wygaszenie wszystkich świateł sygnalizacyjnych na skrzyżowaniach, a na samym Manhattanie jest ich czterdzieści dwa tysiące. Spowodowała zatrzymanie wszystkich pomp na stacjach benzynowych, wobec czego raz po raz jakiś samochód zatrzymywał się w samym środku zatoru po prostu z braku paliwa.

O popychaniu lub holowaniu nie było mowy, rzecz prosta. Chyba że mimowolnie. Wreszcie zgasły wszystkie podświetlone tablice informacyjne i drogowskazy, co na przykład na czteropoziomowych skrzyżowaniach i dwunastokierunkowych rozjazdach ma jednak dla ruchu zasadnicze znaczenie. Awaria unieruchomiła także automatyczne rogatki na autostradach wylotowych. Większość amerykańskich dróg, zwłaszcza szybszych i bardziej przelotowych, jest dostępna dla każdego, kto uiści odpowiednie myto – od dwudziestu pięciu centów do kilku dolarów, w zależności od rodzaju drogi i jej długości. Czasem należność inkasują strażnicy, częściej jednak opłatę pobiera automat. Oczywiście uruchamiany elektrycznością. Żeby zaś nikomu nie przyszły do głowy niemądre pomysły, rogatki automatyczne są dla zasady tak zbudowane, że można je sforsować tylko przy użyciu lekkiego czołgu.

Kiedy nad ranem dojechałem wreszcie do domu – a udało mi się to tylko dlatego, że znałem różne ryzykowne skróty, gdzie można było ugrzęznąć na zawsze lub przemknąć się chyłkiem – przyszło mi do głowy, że z opisu tej podróży na trasie liczącej zaledwie siedemnaście kilometrów mógłby powstać całkiem niezły scenariusz filmowy. I może to jeszcze kiedyś uczynię. Tylko skąd wziąć dziewięć milionów samochodów?

Zdaje się jednak, że wśród wszystkich utrapień spowodowanych przez awarię najdotkliwszy był jednak dla Amerykanów brak telewizji. Dotknął on przejściowo nawet mieszkańców dalekiego zachodu, gdzie prąd wprawdzie był, ale za to programy przestały płynąć kablami ze wschodniego wybrzeża. Przypuszczam, że dopiero wtedy wiele amerykańskich nastolatków uświadomiło sobie związek pomiędzy obecnością prądu elektrycznego w przewodach a osobami gadającymi z ekranu telewizora. Widok całych rodzin wpatrujących się z przygnębieniem w wygasłe, milczące telewizory musiał być naprawdę zasmucający.

Tak, to było rzeczywiście trzęsienie ziemi połączone z tajfunem. Pewna pani napisała nawet list do nowojorskiej gazety, nie kryjąc swego oburzenia: „Rozumiem, że było zaćmienie, ale jakim prawem telewizja nie nadała

o normalnej porze *Brzegu nocy*?". Program, o którym mowa, jest czymś w rodzaju amerykańskich *Matysiaków*, idzie od niepamiętnych czasów i rzeczywiście można się było przyzwyczaić. Redakcja zapewniła swą czytelniczkę, że nie było mowy o żadnej szczególnej złośliwości. Po prostu elektryczności nie było w ogóle nigdzie, z telewizją włącznie. Nie do wiary!

O skutkach zaćmienia w przemyśle można by opowiadać godzinami. Zastygły piece elektryczne w stalowniach, zamarły suwnice i wszelkie obrabiarki, zakrztusiły się gorącymi blachami walcownie, którym później trzeba było dosłownie wycinać z gardła zakrzepły metal. W przemyśle chemicznym ustały procesy elektrolizy, a w piecach karbidowych pojawiły się najdziwniejsze reakcje.

Ale cóż tu mówić o przemyśle, skoro zaćmienie o mały włos nie zrujnowało nawet fachu fryzjerskiego. Ostrzyżeni do połowy mężczyźni złorzeczyli mistrzom nożyc, że mają maszynki tylko na napęd elektryczny, kobietom nie można było porozplątywać marznących na chłodzie papilotów, a największe nieszczęścia zdarzyły się w pewnym supernowoczesnym zakładzie, który miał elektryczną maszynę do wytwarzania piany mydlanej do golenia.

Najbardziej jednak przewrotnej zemsty nad człowiekiem dopuściły się maszyny matematyczne.

Wielkie maszyny matematyczne, wykonujące setki tysięcy działań na sekundę, są zazwyczaj wynajmowane na określony czas, ponieważ jest to zbyt kosztowna zabawka, aby ją mieć na własność. Właśnie w ów feralny piątek od piątej do siódmej dzierżawiła czas na komputerze pewna wielka firma, o której za chwilę. Maszyna obliczała listę płac dla kilkudziesięciu tysięcy zatrudnionych. Przerwa w dopływie prądu wprowadziła firmę w stan paniki. Powstała groźba, że zatrudnieni w tej firmie ludzie nie otrzymają na czas swojej tygodniówki, bo w całym Nowym Jorku nie ma tylu rachmistrzów, którzy by to mogli obliczyć. To mogłoby za sobą pociągnąć procesy sądowe, odszkodowania, wypłatę procentów za utracony zarobek i mnóstwo innych kłopotów. Uniknięto ich w ten sposób, że firma zaciągnęła błyskawiczną pożyczkę w banku.

Dowcip polegał na tym, że ową firmą był wielki koncern energetyczny Consolidated Edison. Ten sam, który ponosił wyłączną odpowiedzialność za wadliwą budowę sieci energetycznej na wschodnim wybrzeżu, za niechlujnie zamontowany przekaźnik i za całą awarię.

Wiesław Górnicki, *Od fiordu do atolu*, Warszawa: KAW, 1977, s. 130–152

Dodatki

Literatura rzeczowa i źródła cytatów do tomu 1
Rada programowa antologii

Literatura rzeczowa i źródła cytatów do tomu 1

7599 dni Drugiej Rzeczypospolitej, wybór i oprac. Ewa Sabelanka, Kazimierz Koźniewski, Warszawa 1983

absolutnie nieperfekcyjna, *Straszny dziadunio*, http://absolutnienieperfekcyjna.blogspot.cz/2013/04/m-rodziewiczowna-straszny-dziadunio.html [dostęp: 31.10.2013]

Ajnenkiel Andrzej, *Od rządów ludowych do przewrotu majowego. Zarys dziejów politycznych Polski 1918–1926*, Warszawa 1977

Ale Babki na Czarnym Lądzie, http://www.mmpoznan.pl/311775/2009/6/29/ale-babki-na-czarnym-ladzie?category=news [dostęp: 31.10.2013]

Archiwum Ringelbluma, http://www.jhi.pl/archiwum_ringelbluma [dostęp: 31.10.2013]

Bachórz Józef, Alina Kowalczykowa, *Słownik literatury polskiej xix wieku*, Wrocław 2002

Bikont Anna, Joanna Szczęsna, *Lawina i kamienie*, Warszawa 2006

Bojarska Anna, *Urban*, Gdańsk 2000

Borwicz Michał, *Inżynierowie dusz* [w:] *Boy we Lwowie 1931–1941. Antologia tekstów o pobycie Tadeusza Żeleńskiego* (*Boya*) *we Lwowie*, oprac. Barbara Winklowa, Warszawa 1992

—, *Spotkania włoskie*, Warszawa 1953

Cat-Mackiewicz Stanisław, *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów*, posł. Aleksandra Niemczykowa, Warszawa 1998

Czachowska Agnieszka, *Aby stać się domem*, „Więź" 1983, nr 295

Dąbrowska Maria, *„Parowóz", czyli antyprodukcyjniak*, „Literatura" 1973, nr 20

—, *Dzienniki powojenne 1945–1965*, wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski, Warszawa 1996

Dębicki Tadeusz, *Z dziennika marynarza. Na pokładzie „Lwowa" z Gdańska do Rio de Janeiro i z powrotem*, Warszawa 1934

Dołęga-Mostowicz Tadeusz, *Kim był Zbigniew Uniłowski*, „Wiadomości Literackie" 1937, nr 50

Drewnowski Tadeusz, *„Dzienniki" Marii Dąbrowskiej – pierwsze pełne wydanie*, http://www.culture.pl/baza-literatura-pelna-tresc/-/eo_event_asset_publisher/k3Ps/content/dzienniki-marii-dabrowskiej-pierwsze-pelne--wydanie [dostęp: 31.10.2013]

Dwudziestolecie mniej znane. O kobietach piszących w latach 1918–1939. Z antologią, red. Ewa Graczyk, Monika Graban-Pomirska, Karolina Cierzan, Paulina Biczkowska, Kraków 2011

Faron Bolesław, *W kręgu autobiografizmu – Zbigniew Uniłowski* [w:] *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego. Sylwetki*, red. Bolesław Faron, Warszawa 1972

Giedroyc Jerzy, Aleksander Janta-Połczyński, *Korespondencja 1947–1974*, Warszawa 2009

Giełżyński Witold, *Podróż społeczna po Polsce*, „Wiadomości Literackie" 1933, nr 38

Gil Franciszek, *Ziemia i morze*, Kraków 1954

Goetel Ferdynand, *Pisma podróżnicze*, wybór, wstęp i oprac. Ida Sadowska, Kraków 2004

Górnicki Wiesław, *Strefa zmierzchu i inne takie* [w:] tegoż, *Wielki świat. Ze wspomnień snoba-katorżnika*, Warszawa 1976

Grochowska Magdalena, *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu*, Warszawa 2009

Hielscher K., *Żydowska tragedia. „Polscy Żydzi" jesienią 1938 roku w Zbąszyniu*, http://www.sztetl.org.pl/pl/article/zbaszyn/16,relacje--wspomnienia/7533,k-hielscher-zydowska-tragedia-polscy-zydzi-jesienia-1938-roku-w-zbaszyniu-herne-1989-/ [dostęp: 31.10.2013]

Hłasko Marek, *W dwadzieścia lat później*, „Po prostu" 1955, nr 21

Hutnikiewicz Artur, *Żeromski*, Warszawa 2000

Iłłakowiczówna Kazimiera, *Z rozbitego fotoplastykonu*, Warszawa 1957

Iwaszkiewicz Jarosław, *Optymizm Uniłowskiego*, „Wiadomości Literackie" 1937, nr 50

Jagiełło Krystyna, *Cyrk Krajewskiego* [w:] tejże, *Wszyscy święci na urlopie*, Kraków 1979

Jakowska Krystyna, *Podręczny słownik pisarzy polskich*, Warszawa 2006

Jakubowski Dawid, *Kontrowersje wokół Wandy Wasilewskiej*, http://antykapitalista19171959.salon24.pl/84929,dawid-jakubowski-kontrowersje-wokol-wandy-wasilewskiej-smiech-b [dostęp: 31.10.2013]

Janta-Połczyński Aleksander, *Lustra i reflektory*, wybór i przedmowa Michał Sprusiński, Warszawa 1982

Jeż Teodor Tomasz, *Od kolebki przez życie*, t. 3, Kraków 1937

Kaden-Bandrowski Juliusz, *Łuk*, posł. Michał Sprusiński, Kraków 1981

Kaiser Waldemar, *Negatywne konteksty literackie twórczości Jerzego Lovella – reportaż 1949–1955*, http://blogdziennikarski.pl/konteksty-literackie-tworczosci-jerzego-lovella-reportaz-1949-1955/ [dostęp: 31.10.2013]

Kalicki Włodzimierz, *Powrót do Sulejówka*, Warszawa 2001
Kancewicz-Hoffman Nina, *„Po prostu"* [w:] *Słownik literatury polskiej xx wieku*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1993
Kapuściński Ryszard, *Lapidarium i–iii*, Warszawa 2008
—, *Lapidarium iv–vi*, Warszawa 2008
—, *Ten inny*, Kraków 2006
Karaś Romuald, *Reporter trudnych dróg*, „Literatura" 1979, nr 49
Karsov Nina, Szechter Szymon, *Od wydawców, czyli O Józefie Mackiewiczu piórem kolaborantów* [w:] Józef Mackiewicz, Toporska Barbara, *Droga Pani*, Londyn 1984
Kąkolewski Krzysztof, *Reportaż* [w:] *Słownik literatury polskiej xx wieku*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1993
—, *Wańkowicz krzepi. Wywiad rzeka*, Warszawa 1977
Kersten Krystyna, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Lublin 1989
Kirchner Hanna, *Nałkowska albo życie pisane*, Warszawa 2011
Kisch Egon Erwin, *Powieść i reportaż*, „Kontrasty" 1978, nr 3
Kisielewski Władysław, *Godzina strachu*, „Żołnierz Polski" 1968, nr 12
Klich Aleksandra, Marek Baster, *Z zawodu Polak*, „Gazeta Wyborcza", 9.10. 2004
Kozicki Stefan, *Związek zawodowy kapitalistów?* [w:] tegoż *Szukam miss powiatu*, Warszawa 1961
Kurski Jarosław, *Nie wielopolski, po prostu polski*, „Gazeta Wyborcza", 18–19.04.1998
Kurzyna Mirosław, *Wańkowicz*, Warszawa 1972
Laskowski Kazimierz, *Żydzi przy pracy. Notatki wieśniaka*, Warszawa 1896
Łojek Jerzy, Jerzy Myśliński, Wiesław Władyka, *Dzieje prasy polskiej*, Warszawa 1988
Łopieńska N. Barbara, Ewa Szymańska, *Stare numery*, Warszawa 1990
—, *Fakty, przyroda i ludzie*, Londyn 1993
Mackiewicz Józef, *Bunt rosjtów*, Wilno 1938
Marek Radziwon, *Cywil w Berlinie*, „Gazeta Wyborcza", 29.05.2006
Markiewicz Henryk, *Wielka historia literatury polskiej. Pozytywizm*, Warszawa 1999
Masłoń Krzysztof, *Miłość pełna swarów*, „Rzeczpospolita", 17–18.06.2000
Matusiak Wojtek, *Powojenne losy elity polskiego lotnictwa*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2011, nr 3
Matuszewski Ryszard, *Mariana Brandysa przygody z historią*, „Rzeczpospolita", 28.11.1998
Maziarski Jacek, *Anatomia reportażu*, Kraków 1966
Meloch Katarzyna, *Kolekcjonerka słów i rzeczy*, „Kontrasty" 1079, nr 4
—, *Reporter dobrych idei. Opisanie Edwarda Hołdy*, „Kontrasty" 1977, nr 10

Mérétik Gabriel, *Noc generała*, przeł. Michał Radgowski, Warszawa 1989
Michnik Adam, *Na jubileusz Mariana Brandysa. Mądrość i gniew*, „Gazeta Wyborcza", 21/25–26.01.1992
Miller Marek, *Reporterów sposób na życie*, Warszawa 1982
Miłosz Czesław, *Zbigniew Uniłowski*, „Wiadomości Literackie" 1937, nr 50
Minakowski Jerzy, *Baza artykułów dotyczących plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu w 1920 r.*, http://www.obn.olsztyn.pl/towarzystwo/artykuly/bibkiografia.pdf [dostęp: 31.10.2013]
Misieniec Stefan, *Maryjny strumień w poezji. Z ludem idę*, http://tygodniksalwatorski.icm.com.pl/modules.php?op=modload&name=News&file=article&sid=2563 [dostęp: 31.10.2013]
Mitzner Zbigniew, *Wstęp* [w:] *Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych*, wyb. Jan Dąbrowski, wstęp Zbigniew Mitzner, Warszawa 1962
Modzelewski Karol, *Wyjaśnienie*, „Gazeta Wyborcza", 26.05.2009
Mrożek Sławomir, *Młode miasto*, „Przekrój" 1950, nr 276
Nowaczewski Artur, *Reymont na pielgrzymce*, „Gość Niedzielny" 2007, nr 34
Od niczego się nie odżegnuję. Z Anną Baczewską rozmawia Marian Brandys, „Życie Warszawy" 1990, nr 162
Osmańczyk Edmund, *Notatki korespondenta*, Warszawa 1951
Ostromęcki Bogdan, *Dom odnaleziony*, Warszawa 1986
Parandowski Jan, *Alchemia słowa*, Warszawa 1986
—, *Eros na Olimpie*, Warszawa 1978
Pękala Bolesław, *Żeromskiego świat i Polska. Zarys życia i twórczości*, Międzyrzecz 2003
Pietruczuk Władysława, *Od „Gazety Grudziądzkiej" do „Zielonego Sztandaru" – rozmowa z Władysławem Kisielewskim*, „Zielony Sztandar" 1973, nr 46
Pietrzak Lech, *Godzina w Sądzie Pracy* [w:] *Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych*, wyb. Jan Dąbrowski, wstęp Zbigniew Mitzner, Warszawa 1962
Polakowska Anna, *Laskowski Kazimierz*, http://www.eduteka.pl/doc/laskowski-kazimierz-pseud-el-i-in [dostęp: 31.10.2013]
Polit Monika, *Autor i jego teksty* [w:] Perec Opoczyński, *Reportaże z warszawskiego getta*, Warszawa 2009
Polskie drogi. *Wybór reportaży z lat międzywojennych*, wyb. Jan Dąbrowski, Warszawa 1962
Prokop Jan, *W poszukiwaniu utraconego czasu – Jan Parandowski* [w:] *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego. Sylwetki*, red. Bolesław Faron, Warszawa 1972
Pruszyński Ksawery, *Noc na Kremlu*, wstęp Janusz Roszko, Warszawa 1989

Reymont Władysław Stanisław, *Pielgrzymka do Jasnej Góry*, Warszawa 1895
Ros Jerzy, *Konfrontacje*, Warszawa 1954
Rowiński Aleksander, *Anioły Warszawy*, wyd. 1, Warszawa 1969; wyd. 3, Warszawa 1978
—, *I stało się dobro – czy zło?* [w:] tegoż, *Wstąpcie do klasztoru*, Warszawa 1966
Rowiński Aleksander, *Kto kogo? Nienapisany reportaż*, „Argumenty" 1962, nr 25
Sieroszewski Wacław, *Wśród kosmatych ludzi*, Warszawa 1927
Słonimski Antoni, *Gwałt na Melpomenie*, Warszawa 1982
Stanowisko Urzędu Wojewódzkiego Lubelskiego w sprawie cenzury prasowej, 1.09,1938, http://www.cerkiew1938.pl/stanwosiko_uwl_w_sprawie_cenzury.html [dostęp: 31.10.2013]
Strońska Anna, *Rozwód po góralsku* [w:] tejże, *Życie jest, jakie jest*, Warszawa 1976
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław, *O własnych siłach. Kartki z prywatnego archiwum 1921–1933*, Warszawa 1967
Syzdek Eleonora, *W jednym życiu tak wiele... Opowieść o Wandzie Wasilewskiej*, Warszawa 1980
Szabłowski Witold, *Kapitan kryzys przytył pięć kilo*, „Gazeta Wyborcza", 10.11.2008
Szarota Tomasz, *Wstęp* [w:] Antoni Sobański, *Cywil w Berlinie*, Warszawa 2006
Szczygieł Mariusz, *Fragment*, „Press" 1999, nr 12
Szpakowska Małgorzata, *„Wiadomości Literackie" prawie dla wszystkich*, Warszawa 2013
Sztachelska Joanna, *Reporteryje i reportaże. Dokumentalne tradycje polskiej prozy w 2. połowie XIX i na początku XX wieku*, Białystok 1997
Szypowska Maria, *Konopnicka jakiej nie znamy*, Warszawa 1963
„Świt", Muzeum Historii Kobiet, http://www.feminoteka.pl/muzeum/readarticle.php?article_id=34 [dostęp: 31.10.2013]
Tochman Wojciech, *Eli, Eli*, Wołowiec 2013
Tomasik Krzysztof, *Homobiografie*, Warszawa 2008
Tomasik Wojciech, Zdzisław Łapiński, *Słownik realizmu socjalistycznego*, Warszawa 2005
Trznadel Jacek, *Hańba domowa*, Paryż 1986
Tur Krzysztof, *Posłowie* [w:] Juliusz Kaden-Bandrowski, *Piłsudczycy*, Białystok 1990
Tuszyńska Agata, *Długie życie gorszycielki*, Kraków 2013
Twardochleb Bogdan, *Franciszek Gil 1917–1960. Nad tym grobem, w takiej ciszy* [w:] *Ku Słońcu 125. Księga z miasta umarłych*, red. M. Czarniecki, Szczecin 1987
Tyrmand Leopold, *Cywilizacja komunizmu*, Londyn 1992
Urban Jerzy, *Wyznania nawróconego cynika*, „Po prostu" 1956, nr 4

Urzykowski Tomasz, *Rekordowa trasa W–Z*, http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/1,89378,5254779,Rekordowa_Trasa_W_Z.html [dostęp: 31.10.2013]
Wallraff Günter, *Człowiek, który zmienił Niemcy. W rozmowie z Angeliką Kuźniak*, „Gazeta Wyborcza", 1.10.2011
Wańka-wstańka. Z Januszem Rolickim rozmawia Krzysztof Pilawski, Warszawa 2013
Wańkowicz Melchior, *Anoda i katoda*, t. 2, Warszawa 2011
—, *Karafka La Fontaine'a*, t. 1 i 2, Warszawa 2010
—, *Prosto od krowy*, Warszawa 1965
—, *Przez cztery klimaty. 1912–1972*, Warszawa 1972
Ważyk Adam, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1982
Wierzyński Kazimierz, *Cygańskim wozem. Miasta, ludzie, książki*, Londyn 1966
Wisłocki Adam, *Gwałty niemieckie na Mazurach i Warmii* [w:] *7599 dni Drugiej Rzeczypospolitej*, wybór i oprac. Ewa Sabelanka, Kazimierz Koźniewski, Warszawa 1983
Wiśniewski Janek, *Z salonu na ulicę*, http://magazynkontakt.pl/z-salonu-na-ulice.html [dostęp: 31.10.2013]
Wolny-Zmorzyński Kazimierz, *Reportaż – jak go napisać?*, Rzeszów 1996
WP, *Przygody polskiego lotnika*, „Zielony Sztandar" 1973, nr 16
Wróblewski Andrzej Krzysztof, *Dzienniki zabrane przez bezpiekę*, Warszawa 2008
Wróblewski Bogusław, *Schemat tragizmu*, „Kontrasty" 1977, nr 10
Wyka Kazimierz, *Droga pisarska Ksawerego Pruszyńskiego* [w:] Ksawery Pruszyński, *Wybór pism publicystycznych*, t. 1, Kraków 1966
Zahorska Anna, *Maria Rodziewiczówna i jej dzieła*, Poznań 1931
Zapert Tomasz Zbigniew, *Ferdynand Goetel – ostatnia ofiara Katynia*, „Rzeczpospolita", 29.02.2008
Zawada Andrzej, *Dwudziestolecie literackie*, Wrocław 1997
Zbąszyn 1938, http://zbaszyn1938.pl/zbaszyn/zarys-wydarzen [dostęp: 31.10.2013]
Zbąszyn 1938, http://zbaszyn1938.pl/zbaszyn/zarys-wydarzen [dostęp: 31.10.2013]
Zbyszewski Karol, *Witajcie rodacy z Niemiec*, „Prosto z mostu" 1938, nr 53
Ziółkowska-Boehm Aleksandra, *Na tropach Wańkowicza po latach*, Warszawa 2009
Żeromski i Kasprowicz w Olsztynie, „Gazeta Olsztyńska" 1920, nr 64
Żeromski Stefan, *Na probostwie w Wyszkowie* [w:] tegoż, *Inter arma*, Warszawa 1920

Rada programowa antologii

Hanna Krall (ur. 1935)
Najbardziej znana za granicą polska reporterka. Absolwentka Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowała m.in. w „Życiu Warszawy", „Polityce" i „Gazecie Wyborczej". Po ogłoszeniu stanu wojennego odeszła z redakcji „Polityki", jej książki były publikowane przez wydawnictwa podziemne. Za granicą ukazało się pięćdziesiąt jeden jej książek w czternastu językach. Jest jurorką Würth-Preis für Europäische Literatur, jednej z najważniejszych niemieckich nagród literackich, i członkinią kapituły Konkursu Stypendialnego imienia Ryszarda Kapuścińskiego dla młodych reporterów.

Więcej o Hannie Krall – t. 2, s. 301.

Elżbieta Sawicka (ur. 1952)
Dziennikarka. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Siedemnaście lat (1990–2007) pracowała w „Rzeczpospolitej" jako szefowa działu kultury, redaktorka dodatków „Plus Minus" i „Rzecz o książkach". Współpracowała także z „Pulsem Biznesu", miesięcznikiem „Nowaja Polsza", „Zeszytami Literackimi" oraz Polskim Radiem. W latach 2009–2012 redaktorka naczelna portalu Culture.pl, prowadzonego przez Instytut Adama Mickiewicza. Opublikowała *Przystanek Europa. Rozmowy nie tylko o literaturze* (1996) oraz *Widok z wieży. Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim* (1997). Jest jedną z autorek pracy zbiorowej *Jan Lebenstein* (2004). Kilkanaście jej wywiadów weszło do książki *Czesław Miłosz. Rozmowy polskie 1979–1998* (2006), dziewięć – do tomu *Nasze histerie, nasze nadzieje. Spotkania z Tadeuszem Konwickim* (2013). W 2005 roku została odznaczona medalem Gloria Artis jako współtwórczyni i redaktorka dodatku „Plus Minus". Laureatka PIK-owego Lauru (2006), nagrody przyznawanej przez Polską Izbę Książki za najlepszą prezentację książek w mediach (w kategorii prasa). Obecnie współpracuje z Działem Rękopisów Biblioteki Narodowej i miesięcznikiem „Nowaja Polsza". Jest członkinią kapituły Konkursu Stypendialnego imienia Ryszarda Kapuścińskiego dla młodych reporterów oraz kapituły Nagrody imienia Ryszarda Kapuścińskiego za książkę reporterską. Należy do Towarzystwa Dziennikarskiego.

Małgorzata Szejnert (ur. 1936)
Reporterka. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowała m.in. w „Kurierze Polskim" i „Tygodniku Demokratycznym". W latach 1973–1981 była reporterką i kierowniczką działu reportażu w tygodniku „Literatura". Po ogłoszeniu stanu wojennego odmówiła pracy w mediach oficjalnych i straciła posadę w „Literaturze". Od 1990 roku przez piętnaście lat prowadziła dział reportażu „Gazety Wyborczej". Wychowała i wyszkoliła wielu młodych reporterów. Po przejściu na emeryturę wydała jak dotąd trzy książki reporterskie – wszystkie znalazły się w finale lub zdobyły główne nagrody w najważniejszych polskich konkursach literackich. Za książkę *Czarny ogród* otrzymała Literacką Nagrodę Mediów Publicznych „Cogito". Jest członkinią kapituły Konkursu Stypendialnego imienia Ryszarda Kapuścińskiego dla młodych reporterów oraz wieloletnią przewodniczącą jury Nagrody imienia Ryszarda Kapuścińskiego za książkę reporterską.

Więcej o Małgorzacie Szejnert – t. 2, s. 139.

Prof. dr hab. Kazimierz Wolny-Zmorzyński (ur. 1957)
Medioznawca i literaturoznawca. Kierownik Katedry Genologii Dziennikarskiej i Komunikacji Wizualnej w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiceprezes Towarzystwa Studiów Dziennikarskich. Ekspert Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tytuł doktora uzyskał w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, a doktora habilitowanego – na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego na podstawie książki *Wobec świata i mediów. Ryszarda Kapuścińskiego dylematy dziennikarskie, literackie, społeczno-polityczne* (1999). W latach 1990–1994 wykładał na Uniwersytecie w Budapeszcie. Pomysłodawca i organizator Piwnicy Medialnej w Piwnicy pod Baranami oraz Salonu Medialnego w Klubie Dziennikarza „Pod gruszką" w Krakowie. Dwukrotny laureat Nagrody Związku Literatów Polskich „Złote Pióro". Autor kilku powieści obyczajowych oraz książek naukowych, m.in.: *O poetyce współczesnego reportażu polskiego* (1991), *Sztuka reportażu wojennego Melchiora Wańkowicza* (1991), *Z teorii prozy narracyjnej i reportażu* (1992), *Reportaż – jak go napisać?* (1996), *O twórczości Ryszarda Kapuścińskiego. Próba interpretacji* (1998), *Gatunki dziennikarskie. Specyfika ich tworzenia i redagowania* (współaut.: A. Kaliszewski i W. Furman, 2000), *Fotograficzne gatunki dziennikarskie* (2007), *O wybranych problemach dziennikarstwa. Genologia i mistrzowie* (2009).

Mariusz Szczygieł (ur. 1966)
Reporter i felietonista związany z „Gazetą Wyborczą". Pracę reportera zaczął w wieku dziewiętnastu lat w tygodniku „Na przełaj". Jest autorem książek *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (1996), *Gottland* (2006), *Kaprysik* (2010), *Zrób sobie raj* (2010), *Láska nebeská* (2012). Jego książki zostały przetłumaczone na czternaście języków. Na ich podstawie stworzono w Polsce i w Czechach pięć spektakli teatralnych i sześć filmów. *Gottland* i *Zrób sobie raj* wielokrotnie w różnych konkursach zdobyły tytuły książek roku. *Gottland* został także nagrodzony Nike Czytelników 2007; European Book Prize 2009 – nagrodą Unii Europejskiej za najlepszą europejską książkę roku; Prix Amphi 2009 – nagrodą literacką Uniwersytetu w Lille za najlepszą książkę obcojęzyczną wydaną we Francji. Za swój reportaż *Śliczny i posłuszny* (2013) otrzymał Nagrodę imienia Andrzeja Woyciechowskiego. Jest także popularyzatorem literatury reportażowej. Razem z Bożeną Dudko był pomysłodawcą koncepcji i redaktorem *Dzieł wybranych* Ryszarda Kapuścińskiego (2008). Jest autorem antologii *20. Dwadzieścia lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła* (2009). Przygotował specjalny numer węgierskiego pisma „Nagyvilág" (2011, nr 12) z wyborem polskich reportaży, a także numer włoskiego pisma „Internazionale" (2013, nr 12) z wyborem polskich reportaży i opowiadań. Na zlecenie Narodowego Instytutu Kultury napisał scenariusz i poprowadził rozmowę telewizyjną z Hanną Krall w cyklu *Rozmowy poszczególne* (2013). Razem z Wojciechem Tochmanem i Pawłem Goźlińskim założył Fundację Instytut Reportażu, a w jej ramach księgarnię Wrzenie Świata, Faktyczny Dom Kultury i Polską Szkołę Reportażu.

Zakupiono w NEXTO: 1740951